H.P. Lovecraft

# Zgroza w Dunwich

## i inne przerażające opowieści

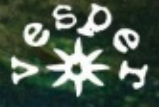

H.P. Lovecraft

# Zgroza w Dunwich

# i inne

# przerażające opowieści

Wybór, przekład, opracowanie i posłowie: Maciej Płaza

Ilustracje: John Coulthart

Tytuł: Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści

Copyright for the Polish translation © by Vesper, Poznań 2012
All rights reserved
Copyright for the illustrations © by John Coulthart

Wydawca: Włodzimierz Wieczorek
Wybór, przekład, opracowanie i posłowie: Maciej Płaza
Redakcja: Urszula Horecka
Korekta: Janusz Krasoń

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy,
z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.

Dystrybucja:
In Rock

ul. Wieruszowska 16
60-166 Poznań
tel./fax (061) 8686795
handlowy@inrock.pl
milosnik@inrock.pl
www.inrock.pl

Vesper
www.vesper.pl
Wydanie I
Poznań, wrzesień 2012
ISBN 978-83-7731-159-2

# Spis treści

Strona tytułowa

Dagon (Dagon, 1917)

Ustalenia dotyczące zmarłego Arthura Jermyna i jego rodu (Facts Concerning the Late Arthur Jermyn and His Family, 1920)

Wyrzutek (The Outsider, 1921)

Muzyka Ericha Zanna (The Music of Erich Zann, 1921)

Szczury w murach (The Rats in the Walls, 1923)

Święto (The Festival, 1923)

Zew Cthulhu (The Call of Cthulhu, 1926)

Przypadek Charlesa Dextera Warda (The Case of Charles Dexter Ward, 1927)

Kolor z innego wszechświata (The Colour Out of Space, 1927)

Zgroza w Dunwich (The Dunwich Horror, 1928)

Szepczący w ciemności (The Whisperer in Darkness, 1930)

W górach szaleństwa (At the Mountains of Madness, 1931)

Widmo nad Innsmouth (The Shadow Over Innsmouth, 1931)

Cień spoza czasu (The Shadow Out of Time, 1935)

Nawiedziciel mroku (The Haunter of the Dark, 1935)

Posłowie: Maciej Płaza, W przeddzień potwornego zmartwychwstania

Cthulhu R'lyeh

Więcej na: www.ebook4all.pl

# Dagon

Piszę te słowa w stanie niemałego napięcia zmysłów, bo nim nastanie wieczór, nie będzie mnie wśród żywych. Nie mam grosza przy duszy i kończy mi się narkotyk, ostatnia rzecz, która jeszcze trzyma mnie przy życiu; nie zniosę już dłużej dręczących mnie katuszy, wkrótce otworzę okno mego stryszku i rzucę się na plugawy uliczny bruk. Nie sądźcie, że skoro dałem się zniewolić morfinie, jestem słabeuszem czy zwyrodnialcem. Przeczytajcie to skreślone w pośpiechu wyznanie, a może zdołacie odgadnąć – choć w pełni nie pojmiecie tego nigdy – czemu nie ma dla mnie ucieczki przed zapomnieniem lub śmiercią.

Przemierzaliśmy właśnie najbardziej otwarty i najmniej uczęszczany przestwór wielkiego Pacyfiku, gdy statek pocztowy, na którym służyłem jako nadzorca ładunku, padł ofiarą niemieckiego korsarza. Wielka wojna dopiero się rozpętywała i siły morskie Hunów nie pogrążyły się jeszcze bez reszty w zwyrodnieniu, które stało się ich udziałem w latach następnych, toteż jednostkę naszą wzięto jako należny pryz, nas zaś, jej załogę, traktowano z wszelkim szacunkiem i bezstronnością należną morskim jeńcom. Doprawdy, tak wielką swobodą cieszyliśmy się w rękach naszych pogromców, że pięć dni po naszym pojmaniu udało mi się zbiec samotnie w niewielkiej szalupie, z zapasem wody i żywności na wiele dni żeglugi.

Kiedy wreszcie zostałem sam pośrodku oceanu, miałem nader mgliste pojęcie o swym położeniu. Nie posiadłszy dostatecznej znajomości nawigacji, domyślałem się tylko z grubsza, na podstawie ogólnej pozycji Słońca i gwiazd, że znajduję się nieco na południe od równika. Długość geograficzna była dla mnie niewiadomą, w zasięgu wzroku nie majaczyły żadna wyspa ani wybrzeże. Niebo było pogodne i przez wiele, wiele dni dryfowałem bez celu w palącym słońcu, licząc, że znajdzie mnie przepływający statek lub dobiję do jakichś gościnnych brzegów. Wszelako nie ujrzałem ani statku, ani brzegu, i samotny dryf pod kopułą niezmąconego błękitu z czasem jął przyprawiać mnie o rozpacz.

Zmiana nastąpiła, gdy spałem. Jak do niej doszło, nie dowiem się nigdy, spałem bowiem głęboko, choć niespokojnie, i dręczyły mnie niedobre sny. Gdy się wreszcie zbudziłem, okazało się, że leżę w pewnej odległości od swej szalupy, na poły wessany w śluzowatą breję, która rozlewała się aż po horyzont piekielnym, czarnym, rozfalowanym monotonnie bagniskiem.

Jakkolwiek można się spodziewać, że pierwszym uczuciem, jakie zrodziła we mnie tak znaczna i niespodziewana odmiana krajobrazu, było zdumienie, w istocie nad osłupieniem górowała we mnie zgroza; zarówno powietrze, jak

gnijący grunt miały bowiem w sobie coś złowieszczego, co przejęło mnie do szpiku kości. Niekończąca się równina przebrzydłego mułu zasłana była gnijącymi truchłami ryb i jeszcze innych, trudniejszych do opisania stworzeń, przez co nozdrza wypełniał mi wstrętny, trupi odór. Może zresztą daremnie się łudzę, że uda mi się wyrazić w zwykłych słowach, jak nieopisaną ohydą mogą być przepojone absolutna cisza i jałowy bezkres. W którąkolwiek stronę zwróciłem wzrok czy nadstawiłem uszu, rozciągał się tylko czarny śluz – wszelako dojmujący bezruch i jednostajność tego pejzażu przyprawiały mnie o mdlący lęk.

Słońce zalewało mnie swym żarem, a niebo w swym bezchmurnym okrucieństwie wydawało mi się niemal czarne, jak gdyby odbijało się w nim atramentowe trzęsawisko, które miałem pod stopami. Wczołgawszy się do ugrzęźniętej łodzi, doszedłem do przekonania, że moje położenie można wyjaśnić tylko jedną teorią: niespotykana w swej gwałtowności erupcja wulkanu musiała wyrzucić na powierzchnię część oceanicznego dna, odsłaniając obszary, które przez niezliczone milionlecia spoczywały w niezmierzonych głębinach. Wyniesiony pode mną nowy ląd rozpościerał się tak rozlegle, że choć z całych sił wytężałem słuch, nie posłyszałem najlżejszego choćby szmeru morskich fal. Nie zauważyłem też, by jakieś morskie ptactwo żerowało na zalegającym dookoła ścierwie.

Przez kilka godzin siedziałem w skąpym cieniu przewalonej na burtę szalupy, oddając się ponurym dumaniom. W miarę upływu godzin grunt z wolna tracił na lepkości; wydało mi się, że rychło wyschnie na tyle, że uniesie ciężar mych stóp. Niewiele spałem tej nocy, nazajutrz przyszykowałem zaś sobie tobołek z jedzeniem i wodą, gotując się do pieszej wędrówki w poszukiwaniu zaginionego morza i możliwości ratunku.

Trzeciego ranka grunt był już na tyle suchy, że chodziło się po nim z łatwością. Odór ryb był nie do zniesienia, głowę zaprzątały mi jednak znacznie poważniejsze troski, toteż nie przejmowałem się tak błahą niedogodnością i wyruszyłem dziarsko ku nieznanym celom. Przez cały dzień parłem wytrwale na zachód, kierując się w stronę odległego pagóra, piętrzącego się nad dookolną pustynią wyżej aniżeli wszystkie inne wzniesienia. Nocą rozbiłem obóz, a następnego dnia kontynuowałem marsz w stronę pagóra – jakkolwiek odniosłem wrażenie, że od kiedy go wypatrzyłem, zbliżyłem się doń zaledwie odrobinę. Czwartego wieczoru dotarłem wreszcie w jego pobliże. Okazał się znacznie wyższy, niż można było sądzić z oddali; otoczony był doliną, przez co tym wyraźniej odcinał się od powierzchni gruntu. Na wspinaczkę zabrakło mi już sił, przeto położyłem się spać w cieniu wzgórza.

Dalibóg, nie wiem czemu tej nocy nękały mnie tak oszalałe sny, wszelako nim nad wschodnią równiną zdążył wzejść niknący, fantastycznie garbaty księżyc, zbudziłem się zlany zimnym potem i postanowiłem, że spać już nie będę. Nie zniósłbym więcej podobnych majaków. W blasku księżyca przekonałem się też, jak nieroztropnie postąpiłem, wędrując za dnia, w prażącym słońcu; nocny marsz kosztowałby mnie znacznie mniej energii. Uczułem wręcz, że mogę już podjąć się wspinaczki, na którą brakło mi sił o zmierzchu. Spakowałem tedy mój tobołek i ruszyłem ku szczytowi

wysoczyzny.

Wspomniałem już, że dookolna równina swą niezmąconą monotonią przyprawiała mnie o mgliste poczucie trwogi – lecz jeszcze większa groza przejęła mnie w chwili, gdy dotarłem wreszcie na wierzchołek i ujrzałem, co znajduje się po drugiej stronie. U mych stóp rozwierał się niepomierną głębią czarny kanion, istna czeluść, której tajni nie rozświetlał dopiero co wzeszły księżyc. Czułem się tak, jakbym stał na skraju świata, jakbym spozierał w bezdenny chaos wiekuistej nocy. W mej strwożonej głowie pobrzmiewały osobliwym echem ustępy z *Raju utraconego* – przypomniałem sobie, jak Szatan rozpoczynał swą ohydną wędrówkę na Ziemię poprzez nieokrzesane władztwa ciemności…

Gdy księżyc dźwignął się nieco wyżej na nieboskłonie, dostrzegłem, że zbocza doliny wcale nie są tak pionowe, jak sobie zrazu wyobrażałem. Skały pełne były występów i półek, które mogły posłużyć jako oparcie dla stóp, kilkaset zaś jardów niżej spadzistość znacznie łagodniała. Wiedziony impulsem, którego nie umiem do końca wytłumaczyć, z niemałym trudem zeszedłem po skałach i stanąwszy na niższym, łagodniejszym stoku, jąłem wpatrywać się w stygijską głąb nietkniętą jeszcze promieniem światła.

Nagle uwagę moją przykuł pewien potężny, osobliwy obiekt wznoszący się stromo około stu jardów ode mnie na przeciwległym zboczu; postrzegłem go, gdy łysnął biało w promieniach księżyca, który zdążył właśnie wspiąć się nieco wyżej. Rychło upewniłem się, że jest to tylko gigantyczny kawał kamienia, wszelako nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jego kształt i położenie nie do końca są dziełem Natury. Po bliższych oględzinach wypełniły mnie odczucia, których nie umiem wyrazić; jakkolwiek bowiem olbrzymi był ów dziwny obiekt, jakkolwiek przecież od zarania świata musiał tkwić na dnie oceanu, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jest to obelisk o zgoła nieprzypadkowym kształcie, że jego masywna bryła zaznała ongiś twórczej ręki – a może i czci – żywych i myślących istot.

Półprzytomny z przerażenia, ale i nie bez rozkosznego dreszczu naukowej czy archeologicznej ekscytacji, przyjrzałem się baczniej otoczeniu. Księżyc, bliski już zenitu, zalewał ostrym, nieziemskim blaskiem górujące nad przepaścią urwiska, a przy okazji objawił mym oczom coś jeszcze: pokaźne rozlewisko, z obu stron znikające kręto za skalnymi załomami i chlupoczące niemal u mych stóp. Po drugiej stronie rozpadliny drobne fale lizały cokół cyklopowego obelisku; na jego powierzchni mogłem już zaś dojrzeć napisy i toporne rzeźby. Inskrypcje wykonane były pismem hieroglifowym, nieznanym mi i niepodobnym do żadnych systemów, jakie zdarzyło mi się widzieć w książkach; były to głównie konwencjonalne symbole związane ze światem wód: ryby, węgorze, ośmiornice, skorupiaki, mięczaki, wieloryby… Kilka hieroglifów przedstawiało stworzenia morskie nieznane we współczesnym świecie, poznałem jednak, że to właśnie ich truchła zalegały na dźwigniętej z oceanu równinie.

Najbardziej porażające wrażenie wywarły na mnie jednak reliefy obrazkowe – z racji olbrzymich rozmiarów widoczne przez wodny przestwór jak na dłoni. Były to płaskorzeźby o tematyce, której nie powstydziłby się sam Doré. Wyobrażały, jak mi się zdaje, ludzi – a przynajmniej pewien rodzaj

ludzi; byli oni wszakże przedstawieni w trakcie rybich figli w morskiej grocie lub składania hołdów w skalnej świątyni najwyraźniej również znajdującej się pod wodą. Ich twarzy i cielesnych kształtów nie śmiem opisać w szczegółach – na samo ich wspomnienie robi mi się słabo. Groteskowe ponad wszystko, co zrodziła wyobraźnia Poego czy Bulwer-Lyttona, w ogólnym pokroju zdradzały wstrętne podobieństwo do ludzi – przeczyły mu jednak płetwiaste dłonie i stopy, rażąco szerokie i obwisłe wargi, szkliste, wyłupiaste oczy tudzież inne, jeszcze mniej przyjemne cechy. Co ciekawe, miałem wrażenie, że wyrzeźbiono je z pogwałceniem wszelkich proporcji względem otoczenia: jedno ze stworzeń zostało przedstawione w trakcie zabijania wieloryba, było jednak odeń zaledwie odrobinę mniejsze. Uwagę moją przykuły, jak powiadam, groteskowość kształtów i dziwne rozmiary tych istot; po chwili wszakże uznałem, że są to tylko wizerunki bogów zrodzonych w wyobraźni jakiegoś prymitywnego rybackiego lub żeglarskiego plemienia, którego ostatni potomek sczezł na długo, nim narodził się pierwszy neandertalczyk lub człowiek z Piltdown. Byłem zdumiony i wstrząśnięty, że tak znienacka dane jest mi wejrzeć w przeszłość, o której nie śniło się nawet najśmielszym antropologom; zamyśliłem się tedy, światło zaś księżyca odbijało się dziwnymi poblaskami w cichym kanale u mych stóp.

ZDUMIEWAJĄCE NICZYM POTWÓR Z KOSZMARNYCH SNÓW ŚMIGNĘŁO W STRONĘ OBELISKU

I nagle to ujrzałem. Leciutką tylko kipielą zdradzając, że wzbija się z głębin, wyśliznęło się nad ciemną wodę; potężne, obmierzłe jak Polifem, zdumiewające niczym potwór z koszmarnych snów śmignęło w stronę obelisku, zarzuciło nań gigantyczne łuskowate ramiona, po czym skłoniło swój ohydny łeb i wydało kilka miarowych dźwięków. Wydaje mi się, że wtedy postradałem zmysły.

Niewiele pamiętam z gorączkowej wspinaczki w górę zbocza, przez krawędź urwiska, i obłąkańczej wędrówki do porzuconej łodzi. Zdaje się, że zawzięcie coś wyśpiewywałem, a gdy nie mogłem już śpiewać, zanosiłem się dziwacznym śmiechem. Przypomina mi się mgliście, że niedługo po mym powrocie do szalupy zerwał się wielki sztorm; tak czy owak słyszałem łoskot piorunów, tudzież inne jeszcze dźwięki, które Natura wydaje z siebie tylko w chwilach najdzikszego szaleństwa.

Gdy umysł mój powrócił już z krainy cieni, ujrzałem, że jestem w szpitalu w San Francisco; przywiózł mnie tam kapitan amerykańskiego statku, który natknął się na moją szalupę pośrodku oceanu. W malignie sporo majaczyłem, lecz moje słowa wzbudziły nikłe zainteresowanie. O tym, by na Pacyfiku nastąpiło wyniesienie morskiego dna, moi wybawcy nie słyszeli nic – ja zaś nie uznałem za stosowne przekonywać ich do czegoś, w co z całą pewnością by nie uwierzyli. Wreszcie dotarłem do sławnego etnologa, który zdumiał się, słysząc z mych ust osobliwe pytania związane ze starożytną filistyńską legendą o Dagonie, Bogu-Rybie; spostrzegłszy jednak, że jego poglądy są beznadziejnie konwencjonalne, rychło zaprzestałem mych dociekań.

Nocami, zwłaszcza gdy rozświetla je niknący, garbaty księżyc, zdarza mi się widzieć tamtą istotę. Ratowałem się morfiną, lecz narkotyk przyniósł mi tylko przejściową ulgę, a w dodatku spętał mnie i uzależnił bez reszty. Oto spisałem więc wszystko, co przeżyłem – kto chce, niech wierzy, albo zbędzie to pogardliwym rozbawieniem – i zamierzam ze wszystkim skończyć. Często zadaję sobie pytanie, czy nie mógł to być wytwór czystej fantazji – gorączkowy majak zrodzony w malignie, kiedym leżał w otwartej łodzi po ucieczce z niemieckiego okrętu. Zadaję je sobie raz po raz, lecz w odpowiedzi zawsze pojawia mi się przed oczyma tamten widok, tak szkaradnie wyrazisty. Ilekroć pomyślę o morskich głębiach, przejmuje mnie dreszcz: wyobrażam sobie, że właśnie teraz te nieopisane stwory wiją się i roją w swojej śluzowatej macierzy, oddając cześć pradawnym kamiennym bożkom i rzeźbiąc ich wstrętne podobizny na podmorskich obeliskach z wyszlifowanego przez wodę granitu. Roi mi się w snach, że pewnego dnia mogą powstać z morskich głębin i wyciągnąć swe cuchnące szpony po niedobitków zmizerniałej, wyczerpanej wojną ludzkości – że pewnego dnia ziemia pogrąży się w odmętach, a mroczne dno oceanu wynurzy się wśród powszechnego pandemonium.

Koniec jest bliski. Za drzwiami słyszę hałas, jak gdyby napierało na nie jakieś ogromne, śliskie cielsko. Nie znajdzie mnie. Boże, ta ręka! Okno!

Okno!

# Ustalenia dotyczące zmarłego Arthura Jermyna i jego rodu

Życie jest doprawdy ohydne, na domiar złego zaś uchyla niekiedy zasłonę pozorów i odsłania przed nami przebłyski diabolicznej prawdy czyniącej je tysiąckroć ohydniejszym. Nauka, której rewelacje zdążyły już wstrząsnąć nami do głębi, koniec końców przyniesie pewnie zgubę ludzkiemu gatunkowi – o ile rzeczywiście jesteśmy odrębnym gatunkiem – gdyby bowiem świat poznał skrywany przez nią w zanadrzu bezmiar nieodgadnionych zgróz, żaden śmiertelnik nie ostałby się przy zdrowych zmysłach. Gdybyśmy wiedzieli, kim jesteśmy, postąpilibyśmy tak jak Arthur Jermyn; Arthur Jermyn zaś pewnej nocy oblał się naftą i podpalił. Zwęglonych jego szczątków nie złożono w urnie, nie wystawiono mu też nagrobka; pewne dokumenty i zamknięty w pewnej skrzyni przedmiot sprawiły bowiem, że wolano o nim zapomnieć. Niektórzy spośród dawnych jego znajomych zaprzeczają w ogóle, jakoby ktoś taki kiedykolwiek istniał.

Arthur Jermyn poszedł na wrzosowisko i spalił się po tym, jak zobaczył ów przedmiot w skrzyni, świeżo sprowadzony z Afryki. To właśnie za sprawą tego przedmiotu, nie zaś swej osobliwej aparycji, Arthur Jermyn targnął się na swoje życie. Mało kto cieszyłby się życiem, wyglądając tak osobliwie, Arthur Jermyn był wszakże poetą, uczonym, i nie dbał o takie błahostki. Po swych przodkach odziedziczył zapał do wiedzy: sir Robert Jermyn, jego prapradziadek z tytułem baroneta, zyskał sławę jako antropolog, a praprapradziadek sir Wade Jermyn był jednym z pierwszych odkrywców okolic Konga, pisał przebogate w wiedzę rozprawy o żyjących tam plemionach, zwierzętach i domniemanych zabytkach. Gorliwość, z jaką sir Wade oddawał się swym zainteresowaniom, graniczyła wręcz z manią. Jego książka *Spostrzeżenia na temat niektórych regionów Afryki*, zawierająca cudaczne domysły na temat istniejącej w prehistorycznym Kongu białej cywilizacji, została powszechnie wyśmiana. W 1765 roku nieustraszony ów odkrywca został umieszczony w przytułku dla obłąkanych w Huntingdon.

Szaleństwo u Jermynów przechodziło z ojca na syna, toteż nikt nie żałował, że ród ów był tak nieliczny; istotnie, nie miał żadnych bocznych gałęzi i wygasł wraz z bezpotomną śmiercią Arthura. Gdyby Arthur miał dzieci, nie wiadomo, co mógłby zrobić, ujrzawszy przysłany w skrzyni przedmiot. Jermynowie nigdy nie wyglądali prawidłowo, każdemu czegoś brakowało, Arthur zaś wyglądał najgorzej – jakkolwiek stare rodowe portrety w domu Jermynów zaświadczają, że dawniej, jeszcze przed sir Wade'em, zdarzały się wśród nich przystojne twarze. Szaleństwo zaczęło się niewątpliwie wraz z sir Wade'em, który obłędnymi opowieściami o Afryce wzbudził niegdyś wśród swych nielicznych przyjaciół rozkosz pomieszaną z grozą; dostatecznym świadectwem owego szaleństwa była jego kolekcja afrykańskich trofeów zawierająca okazy, jakich nie zbierałby i nie przechowywał żaden normalny człowiek, jeszcze dobitniejszym zaś – kompletne odosobnienie, w jakim

trzymał swoją żonę. Była ona, jak twierdził, córką poznanego w Afryce portugalskiego kupca i nie przepadała za angielskimi obyczajami. Razem z maleńkim synkiem, urodzonym jeszcze w Afryce, towarzyszyła mężowi w drugiej, najdłuższej wyprawie, wybrała się też na trzecią i ostatnią, z której już nie wróciła. Była osobą o ekscentrycznym i gwałtownym usposobieniu, toteż nikt nigdy nie widział jej z bliska, nawet służba. Podczas krótkiego pobytu w Anglii zajmowała odległe skrzydło domu Jermynów, usługiwał jej zaś osobiście mąż. Najosobliwszą właściwością sir Wade'a była właśnie dbałość o rodzinę: gdy pojechał do Afryki, jedyną osobą, jaką dopuszczał do swego dziecka, była pewna wstrętna czarnoskóra Gwinejka, wróciwszy zaś do domu po śmierci lady Jermyn, całkowicie przejął opiekę nad synkiem.

O tym, że przyjaciele sir Wade'a uznali go za szaleńca, zdecydowały wszakże jego opowieści snute zwłaszcza po kilku głębszych. W racjonalnym wieku osiemnastym człowiek światły powinien być na tyle rozsądny, by nie opowiadać o dziwnych i obłędnych rzeczach, jakie dane mu było ujrzeć pod kongijskim niebem: o gigantycznych murach i kolumnadach zapomnianego miasta, murszejących i porosłych winnymi pnączami, o wilgotnych i cichych schodach z kamienia wiodących nieskończenie w mroczną głąb otchłannych lochów, skarbców i niepojętych katakumb. Szczególnie niemądrze było roić o żywych istotach być może nawiedzających to bezbożnie starodawne miasto – stworzeniach na poły dzikich, na poły ludzkich, tak bajecznych, że nawet Pliniusz opisałby je ze szczyptą sceptycyzmu; istotach, które mogły pojawić się na świecie po tym, jak umierające miasto – z jego kolumnami i murami, lochami i obłędnymi rzeźbami – opanowały wielkie małpy. Po powrocie z ostatniej wyprawy sir Wade opowiadał jednak o tym z niesamowitą, zatrważającą wręcz swadą, zwłaszcza w gospodzie Knight's Head po trzecim kielichu; przechwalał się znaleziskami, które przywiózł z dżungli, i tym, że mieszkał w sobie tylko znanych zakątkach strasznych ruin. Wreszcie począł mówić o owych istotach w taki sposób, że zamknięto go w przytułku dla obłąkanych. Nie okazał wielkiego żalu, że znalazł się za kratami, w jego umyśle zaszła bowiem intrygująca zmiana: od kiedy jego syn zaczął wyrastać z wieku dziecięcego, własny dom stał się dla sir Wade'a miejscem coraz bardziej nienawistnym, aż wreszcie zaczął budzić w nim grozę. Zadomowił się na dobre w Knight's Head; gdy zaś go zamknięto, okazywał wręcz coś na kształt wdzięczności, jak gdyby na wolności coś mu groziło. Trzy lata później zmarł.

Syn jego Philip był osobą doprawdy przedziwną. Jakkolwiek pod względem fizycznym bardzo przypominał ojca, wygląd i maniery miał tak ordynarne, że omijano go z daleka. Wbrew obawom nie odziedziczył po ojcu szaleństwa, był jednak wyjątkowo głupi, miewał też wybuchy nieokiełznanej gwałtowności. Posturę miał skromną, lecz był ogromnie silny i niewiarygodnie zwinny. Dwanaście lat po objęciu tytułu ożenił się z córką swego leśniczego, z pochodzenia – jak mówiono – Cyganką, jakby jednak ów mezalians tudzież jego prostackie zwyczaje nie były dostatecznym powodem ogólnej odrazy, jeszcze przed narodzinami syna zaciągnął się na okręt wojenny jako zwykły marynarz. Po zakończeniu amerykańskiej wojny o niepodległość pływał ponoć na jakimś statku handlowym do Afryki; swoją

siłą i zwinnością we wspinaczce po wantach zaskarbił sobie nawet coś na kształt szacunku, jednak pewnej nocy, gdy jego statek kotwiczył u wybrzeży Konga, przepadł bez wieści.

Osobliwość rodziny Jermynów stała się rzeczą ogólnie akceptowaną, lecz syn Philipa sir Robert Jermyn nadał jej wymiar dziwny i tragiczny. Mimo pewnej dysharmonii w proporcjach ciała Robert był wysoki i wcale przystojny, niepozbawiony tajemniczego orientalnego wdzięku, i już za młodu dał się poznać jako obiecujący badacz i uczony. To właśnie on pierwszy przebadał naukowo potężny zbiór pamiątek, który jego szalony dziadek przywiózł był z Afryki i który rozsławił Jermynów jako rodzinę o tradycjach odkrywczych i etnologicznych. W roku 1815 sir Robert poślubił córkę siódmego wicehrabiego Brightholme'a, która w krótkim czasie urodziła mu trójkę dzieci; najstarszego i najmłodszego nigdy wszak nie pokazano publicznie ze względu na wrodzoną ułomność ciała i umysłu. Przybity rodzinnymi nieszczęściami uczony szukał pociechy w zajęciach naukowych; podjął także dwie długie wyprawy badawcze w głąb Afryki. W roku 1849 jego drugi syn Nevil, osobnik wyjątkowo odpychający, łączący w sobie – jak się zdawało – grubiaństwo Philipa Jermyna z wyniosłością Brightholme'ów, uciekł z pospolitą tancerką, uzyskał jednak ojcowskie przebaczenie, wróciwszy po roku – już jako wdowiec, za to w towarzystwie malutkiego synka Alfreda, który później miał zostać ojcem Arthura Jermyna.

Przyjaciele rodziny twierdzili później, że to właśnie owa seria zgryzot doprowadziła sir Roberta Jermyna do obłędu, jakkolwiek do ostatecznej katastrofy przyczyniła się prawdopodobnie szczypta afrykańskiego folkloru. Będąc w podeszłym już wieku, sir Robert zbierał legendy plemion Onga zamieszkujących rejony sąsiadujące z obszarem, który i on, i jego dziadek badali w trakcie swych wypraw – miał nadzieję, że uda mu się wyjaśnić zagadkę obłędnych opowieści sir Wade'a o zaginionym mieście i mieszkających w nim dziwacznych hybrydach. W osobliwych papierach swego szalonego przodka dostrzegł pewną konsekwencję, która mogła świadczyć o tym, że wyobraźnię jego pobudziły krążące wśród tamecznych ludów mity. Dziewiętnastego października 1852 roku do domu Jermynów przybył z wizytą odkrywca Samuel Seaton; przywiózł ze sobą rękopiśmienne notatki poczynione w trakcie wizyt u Ongasów z nadzieją, że znanego etnologa mogą zaciekawić pewne legendy o szarym mieście zamieszkanym przez białego boga i podległe mu plemię białych małp. Można przypuszczać, że w trakcie rozmowy ujawnił wiele szczegółów, lecz jakiej natury – nie dowie się już nikt, oto bowiem niespodziewanie rozpętała się seria zdarzeń tragicznych i odrażających: sir Robert Jermyn pojawił się samotnie w drzwiach biblioteki, pozostawiając za sobą uduszonego odkrywcę, i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, pozbawił życia troje swych dzieci – ową niewidzianą przez nikogo dwójkę oraz syna, który niegdyś zasłynął haniebną ucieczką. Nevil Jermyn zginął w obronie swego dwuletniego synka, który najwidoczniej miał być kolejnym celem morderczego ataku oszalałego starca. Sir Robert został pojmany i po kilku nieudanych próbach samobójstwa, uparcie odmawiając wydania z siebie jakiegokolwiek artykułowanego dźwięku, w drugim roku pobytu w przytułku zmarł na

apopleksję.

Sir Alfred Jermyn został baronetem, nim zdążył ukończyć czwarty rok życia, lecz swymi zamiłowaniami zadawał kłam szlacheckiemu tytułowi. W wieku dwudziestu lat przystąpił do trupy kabaretowej, a gdy miał lat trzydzieści sześć, porzucił żonę i dziecko i dołączył do objazdowego amerykańskiego cyrku. Zakończył życie w sposób wyjątkowo makabryczny. Wśród cyrkowych zwierząt znajdował się potężny goryl o nietypowo jasnej sierści, który swą zdumiewającą łagodnością zaskarbił sobie wśród cyrkowego personelu znaczną sympatię. Goryl ów budził w Alfredzie Jermynie osobliwą fascynację: obaj często zasiadali naprzeciwko siebie i długo wpatrywali się w swoje oblicza przez pręty klatki. W końcu Alfred poprosił o możność zajęcia się tresurą zwierzęcia i uzyskawszy pozwolenie, radził sobie z tym tak świetnie, że wzbudził zdumienie wśród widzów i kolegów po fachu. Pewnego ranka w Chicago, gdy Alfred i goryl odbywali nadzwyczaj zręczną próbę pojedynku na pięści, małpa wyprowadziła mocniejszy niż zwykle cios, przynosząc jej trenerowi amatorowi uszczerbek nie tylko na ciele, ale i na godności. O tym, co zdarzyło się później, pracownicy „Największego Widowiska Świata”* opowiadają niechętnie. Nie spodziewali się, że usłyszą z ust Alfreda Jermyna tak przeszywający, nieludzki wrzask i zobaczą, jak chwyta oburącz niezdarnego przeciwnika, ciska nim o podłogę klatki i z diabelską dzikością zatapia zęby w jego kudłatym gardle. Goryl dał się zaskoczyć, ale nie na długo: nim właściwy treser zdążył cokolwiek uczynić, z nieszczęsnego baroneta pozostał już tylko nierozpoznawalny zewłok.

# II

Arthur Jermyn był synem sir Alfreda Jermyna i szansonistki kabaretowej nieznanego pochodzenia. Gdy Alfred uciekł do cyrku, żona jego wprowadziła się wraz z dzieckiem do domu Jermynów, gdzie nie było już nikogo, kto mógłby sprzeciwić się jej obecności. Jak się okazało, miała pewne pojęcie o tym, co przystoi szlachcicowi, i dopilnowała, by jej syn zdobył najlepsze wykształcenie, na jakie tylko pozwalały ograniczone rodzinne fundusze. Rodowy majątek zdążył niestety znacznie stopnieć, dwór popadł w pożałowania godną ruinę, lecz młody Arthur uwielbiał stare domostwo i wszystko, co się w nim znajdowało. Nie przypominał żadnego ze swych przodków, był bowiem poetą i marzycielem. Niektórzy sąsiedzi, znający opowieści o niewidzianej przez nikogo portugalskiej żonie

sir Wade’a, uznali, że w Arthurze niechybnie odzywa się jej południowe pochodzenie; więcej wszelako było takich, którzy pokpiwali z jego wrażliwości na piękno, uważając, że odziedziczył je raczej po matce, osobie o niejasnym statusie społecznym. Poetyczna delikatność Arthura zwracała uwagę tym większą, że przejawiał ją młodzieniec o wyjątkowo ordynarnej

aparycji. Dziwaczny i nieco odstręczający pokrój nie był w rodzie Jermynów rzadkością, przypadek Arthura był wszakże uderzający. Właściwie trudno było stwierdzić, do czego jest podobny – lecz rysy i wyraz jego twarzy w połączeniu z długością ramion sprawiały, że widząc go po raz pierwszy, trudno było opanować dreszcz odrazy.

Niedostatki wyglądu Natura wynagrodziła Arthurowi subtelnością umysłu i charakteru. Młodzieniec był mądry i wszechstronnie uzdolniony, w Oksfordzie dostąpił największych zaszczytów i wydawało się, że wskrzesi dawną chwałę Jermynów jako światłego rodu. Jakkolwiek przejawiał raczej temperament poetycki niż naukowy, zamierzał kontynuować etnologiczną i antykwaryczną działalność swych przodków, wykorzystując doprawdy cudowne, choć dziwaczne afrykańskie zbiory sir Wade'a. Często oddawał się fantastycznym rojeniom o prehistorycznej cywilizacji, w którą tak święcie wierzył szalony odkrywca, i układał niezliczone opowieści o zamarłym mieście w dżungli, pojawiającym się w co obłędniejszych ustępach jego pism. Mgliste wzmianki sir Wade'a o zagadkowej, niesłychanej rasie leśnych hybryd budziły w nim osobliwe uczucie fascynacji pomieszanej z grozą; Arthur snuł rozmaite przypuszczenia co do genezy owej fantazji, starał się też rzucić nieco światła na świeższe dane, jakie jego dziadek i Samuel Seaton zebrali wśród Ongasów.

W roku 1911, po śmierci matki, sir Arthur Jermyn postanowił rozwinąć swoje badania na niespotykaną pierwej skalę; sprzedał część swej posiadłości, za uzyskane tą drogą fundusze zorganizował ekspedycję i pożeglował do Konga. Na miejscu ułożył się z belgijskimi władzami, wynajął grupę przewodników i spędził rok na terenach zamieszkałych przez plemiona Onga i Kaliri. Informacje, które udało mu się zebrać, przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Kalirisom przewodził sędziwy wódz Mwanu obdarzony nie tylko doskonałą pamięcią, ale i wyjątkową inteligencją. Mwanu interesował się także starymi legendami i potwierdził wszystkie znane Arthurowi opowieści, uzupełniając je własną, przekazaną mu przez przodków wersją mitu o kamiennym mieście i białych małpach.

Wódz twierdził, że leśne hybrydy wyginęły – przed wielu laty zgładziło je wojownicze plemię N'bangus. Plemię to nie tylko wycięło w pień mieszkańców szarego miasta i zburzyło większość budowli, ale osiągnęło też główny cel swego najazdu, czyli przywłaszczyło sobie obiekt kultu owych dziwnych istot – wypchane ciało białej małpiej bogini, zgodnie z tradycją kongijskich plemion uosabiającej postać rządzącej niegdyś w mieście księżniczki. Czym właściwie były owe małpoludy, Mwanu nie miał pojęcia – sądził jednak, że to właśnie one wzniosły kamienne miasto. Jermyn nie miał podstaw, by snuć na ich temat jakiekolwiek domysły, lecz po dokładniejszej indagacji udało mu się usłyszeć od wodza barwną legendę o wypchanej bogini.

Małpia księżniczka poślubiła mianowicie wielkiego białego boga, który przybył z Zachodu. Oboje przez długi czas sprawowali nad miastem wspólne rządy, lecz gdy urodził im się syn, zabrali go i wyjechali. Później biały bóg i księżniczka wrócili, a po śmierci księżniczki boski małżonek zmumifikował jej ciało i złożył je w olbrzymim kamiennym grobowcu, który następnie stał

się miejscem jej czci. To uczyniwszy, wyjechał. W tym miejscu legenda zaczynała się rozszczepiać na trzy różne wersje. Jedna głosiła, że nic więcej się nie wydarzyło poza tym, że wypchana bogini zaczęła symbolizować wyższość plemienia, które akurat było w jej posiadaniu – dlatego właśnie porwali ją N'bangusi. Zgodnie z wersją drugą bóg powrócił i skonał u stóp swej zmumifikowanej małżonki. Wersja trzecia głosiła, że powrócił jego syn, osiągnąwszy pełnię wieku męskiego – lub może małpiego czy boskiego – lecz nieświadom własnej tożsamości. Trzeba przyznać, że obdarzone wyobraźnią dzikusy wycisnęły z wymyślnej legendy, ile tylko się dało.

Arthur Jermyn nie wątpił już ani trochę, że opisane przez sir Wade'a miasto istniało naprawdę – i nie zdziwił się, gdy w początkach roku 1912 udało mu się wreszcie odnaleźć jego szczątki. W legendach wyolbrzymiano nieco rozmiary miasta, wszelako mnogość kamiennych ruin świadczyła o tym, że nie była to zwykła murzyńska wioska. Niestety, nie udało się znaleźć żadnych rzeźb, skromne zaś środki, jakimi dysponowała ekspedycja, nie pozwoliły na podjęcie dokładniejszych badań – odkryto jedynie korytarz, który ponad wszelką wątpliwość prowadził do wspomnianego przez sir Wade'a systemu lochów. Jermyn wypytywał wszystkich okolicznych wodzów o białe małpy i wypchaną boginię, dopiero jednak w rozmowie z Europejczykiem udało mu się potwierdzić informacje uzyskane od Mwanu. M. Verhaeren, belgijski agent handlowy stacjonujący w faktorii nad rzeką Kongo, twierdził, że jest w stanie nie tylko zlokalizować, ale i zdobyć wypchaną boginię – potężni niegdyś N'bangusi byli teraz potulnymi poddanymi króla Belgii Alberta i drobna perswazja powinna wystarczyć, by rozstali się z uprowadzonym przed laty makabrycznym bóstwem. Jermyn odpływał tedy do Anglii przepełniony radosną nadzieją, że w ciągu kilku miesięcy otrzyma bezcenny etnologiczny okaz potwierdzający najobłędniejsze opowieści jego prapraprapradziadka – a raczej najobłędniejsze spośród tych, jakie zdarzyło mu się słyszeć; dziedzice majątków sąsiadujących z posiadłością Jermynów być może znali opowieści jeszcze bardziej niewiarygodne, przekazane im przez przodków, którzy pijali z sir Wade'em w Knight's Head.

Arthur Jermyn czekał cierpliwie na przesyłkę od M. Verhaerena, coraz dogłębniej studiując rękopisy swego szalonego przodka. Poczuł, że łączy go z nim silna więź, przeto nie tylko badał owoce afrykańskich wyczynów sir Wade'a, ale zaczął też poszukiwać śladów jego życia osobistego w Anglii. Ustnych przekazów o tajemniczej, trzymanej w odosobnieniu dziedziczce było w bród, lecz w całym domu nie pozostał po niej ani jeden ślad materialny. Jermyn próbował dociec, co też mogło sprawić, że sir Wade tak skrzętnie ukrył swą żonę przed światem – i uznał, że przyczyną był jego obłęd. Była ponoć córką portugalskiego kupca; jako kobieta praktyczna i powierzchownie znająca Czarny Ląd z pewnością pokpiwała sobie z męża, gdy bajał o tym, co widział we wnętrzu kontynentu, sir Wade nie był zaś mężczyzną, który puszcza takie rzeczy płazem. Zmarła w Afryce – zapewne mąż zaciągnął ją tam, by na własne oczy przekonała się, że mówił prawdę. Arthur folgował sobie w domysłach, zdawał sobie jednak sprawę, że półtora stulecia po śmierci obojga przodków snucie takich domniemań jest zajęciem raczej

jałowym.

W czerwcu 1913 roku przyszedł list od M. Verhaerena. Belg donosił, że znalazł wypchaną boginię, i zapewniał, że jest to przedmiot doprawdy nadzwyczajny – przedmiot, którego jako laik nie jest w stanie sklasyfikować. Tylko uczony mógłby stwierdzić, czy jest to mumia ludzka, czy też małpia, rozróżnienie owo mogło zaś być w tej mierze trudne, że zachowała się w nie najlepszym stanie. Czas i kongijski klimat nie obchodzą zbyt łaskawie się z mumiami, zwłaszcza tak amatorsko spreparowanymi. Małpia księżniczka miała na szyi łańcuszek z pustym medalionem ozdobionym rodowym herbem; najwidoczniej N'bangusi zabrali go jakiemuś nieszczęsnemu podróżnikowi i zawiesili jej na szyi jako amulet. Komentując rysy twarzy bogini, M. Verhaeren pozwolił sobie na kuriozalne porównanie – czy raczej w żartobliwy sposób zastanawiał się, jakie też zrobią one wrażenie na jego korespondencie; był jednak na tyle zainteresowany naukowymi aspektami znaleziska, że nie rozpisywał się o tym zbyt szeroko. Najważniejsze, że wypchana bogini została już należycie zapakowana i powinna dotrzeć do Jermyna około miesiąca po otrzymaniu listu.

Skrzynia przybyła do domu Jermynów 3 sierpnia 1913 roku. Dostarczono ją po południu i niezwłocznie wniesiono do dużej komnaty mieszczącej zbiór afrykańskich eksponatów, urządzony przez sir Roberta i samego Arthura. O tym, co zdarzyło się potem, najlepiej zaświadczają relacje służby oraz zbadane później rzeczy i dokumenty związane ze sprawą. Najbardziej obszerna i spójna opowieść pochodzi od kamerdynera Soamesa, człowieka sędziwego i godnego zaufania. Wedle jego słów sir Arthur Jermyn wyprosił wszystkich z komnaty i został sam na sam ze skrzynią, a dochodzące zza zamkniętych drzwi uderzenia młotka i dłuta świadczyły o tym, że nie zwlekał z jej otwarciem. Przez pewien czas nie było słychać nic ponadto; jak długo – Soames nie umiał określić, lecz z pewnością nie dłużej niż kwadrans. Nagle rozległ się przerażający wrzask, bez wątpienia Jermyna, po chwili zaś młodzieniec wybiegł z komnaty i rzucił się w stronę głównego wyjścia z domu, jak gdyby ścigał go ohydny wróg. Wyrazu jego twarzy – która nawet spokojna wyglądała dostatecznie upiornie – nie da się opisać. Tuż przed drzwiami Arthur zatrzymał się, jak gdyby tknięty nagłą myślą, zawrócił na pięcie i zniknął na schodach do piwnicy. Osłupiała służba zgromadziła się u ich szczytu i czekała, lecz pan już się nie pojawił; z dołu dochodziła jedynie silna woń nafty. Gdy zapadł zmierzch, chłopiec stajenny usłyszał grzechot zamka w drzwiach wiodących z piwnicy wprost na dziedziniec, po chwili zaś ujrzał, jak lśniący od stóp do głów i cuchnący naftą Arthur Jermyn przemyka się pod ścianami, a potem znika na otaczających dwór czarnych wrzosowiskach. Wówczas wszyscy ujrzeli coś, co przejęło ich najwyższą zgrozą: na wrzosowisku błysnęła iskra, buchnął płomień i w niebo wystrzeliła kolumna ludzkiego ognia. Ród Jermynów przestał istnieć.

Powód, dla którego nie zebrano i nie pogrzebano zwęglonych szczątków Arthura Jermyna, odkryto później; była nim głównie przysłana w skrzyni istota. Wypchana bogini, przegniła i spróchniała, przedstawiała sobą widok obrzydliwy, ponad wszelką wątpliwość była to jednak zmumifikowana małpa nieznanego gatunku, mniej owłosiona niż wszelkie znane małpy i

nieskończenie bliższa gatunkowi ludzkiemu – w istocie bliska wręcz wstrząsająco. Dokładny opis nie byłby zbyt przyjemny, trzeba jednak wspomnieć o dwóch istotnych szczegółach, w odrażający sposób odpowiadają one bowiem niektórym zapiskom z afrykańskich wypraw sir Wade'a oraz kongijskim legendom o białym bogu i małpiej księżniczce. Szczegóły owe są następujące: po pierwsze, herb na pustym medalionie był herbem Jermynów; po drugie, żartobliwa sugestia M. Verhaerena na temat czyjegoś podobieństwa do zasuszonej twarzy dotyczyła – co objawiło się z najżywszą, upiorną grozą zwyrodnienia – nikogo innego jak tylko Arthura Jermyna, wrażliwego prapraprawnuka sir Wade'a Jermyna i jego nieznanej żony. Przedstawiciele Królewskiego Instytutu Antropologicznego spalili mumię, medalion wrzucili do studni, niektórzy zaś z nich zaprzeczają, jakoby Arthur Jermyn kiedykolwiek istniał.

* „The Greatest Show on Earth", amerykański cyrk założony w roku 1881 przez słynnych impresariów P.T. Barnuma i Jamesa A. Baileya (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Więcej na: www.ebook4all.pl

# Wyrzutek

W noc ową baron staczał bój z koszmarem,

Panów rycerzy gnały w snach straszliwych

Chmary glist z trumien, biesy, wiedźmy, dziwy.

Keats*

Nieszczęsny, kto ze wspomnień swoich lat dziecięcych czerpie jeno żałość i trwogę. Biada temu, kto wraca pamięcią do samotnych godzin w potężnych, ponurych komnatach przybranych w brązowe draperie i zastawionych szeregami obmierzłych starożytnych ksiąg, kto wspomina, jak z bojaźnią wpatrywał się w zmroczniałe, ciche gaje gigantycznych, oplecionych winną latoroślą drzew, rozfalowanych gdzieś w dali gąszczem groteskowych koron. Taki bogowie zgotowali mi los – mnie, oszołomionemu, rozczarowanemu, mnie, złamanej, jałowej istocie. A przecież jednak ze zwiędłych tych wspomnień czerpię dziwną radość, hołubię je w sobie z trwożną rozpaczą – ilekroć myśl moja, omsknąwszy się, sięgnie do tego, co zdarzyło się potem.

Nie wiem, gdzie przyszedłem na świat. Wiem tylko, że zamek był stary i straszny ponad wszelkie pojęcie, pełen ciemnych przejść, a sufity miał tak wysokie, że sięgnąwszy okiem wzwyż, widziało się jeno pajęczyny i cienie. Murszejące kamienne korytarze powleczone były zawsze ohydną wilgocią, wszędy unosił się też odór przeklęty, jakby wyziew ze stosu nagromadzonych z biegiem pokoleń trupów. Nigdy nie rozświetlały go najlichsze nawet lampy, niekiedy zapalałem więc świece i z ulgą zatapiałem wzrok w ich płomieniu; z zewnątrz nie docierało też słońce, albowiem nawet szczyt najwyższej dostępnej mi wieży ginął w pomroce rzucanej z góry przez niebotyczne drzewa. Jedna tylko czarna wieżyca wzbijała się ponad ów gąszcz straszliwy, w nieznane, niedosiężne niebo – była wszakże częściowo zrujnowana, tedy aby dotrzeć na jej szczyt, trzeba by dokonać sztuki omal niemożliwej: kamień po kamieniu wspiąć się po nagim murze.

Zamek ów niechybnie był moim mieszkaniem, lecz jak wiele trwało to lat – nie pomnę. Ktoś zapewne troszczył się o me cielesne potrzeby, jakkolwiek nie pamiętam zgoła nikogo prócz mej własnej osoby – ani żadnych żywych

stworzeń prócz bezszelestnych szczurów, pająków i nietoperzy. Ktokolwiek mię wychował, musiał być chyba przeraźliwie wiekowy, gdy wspomnę bowiem moje najpierwsze wyobrażenie żywej istoty, widzę kogoś, kto jest do mnie złudliwie podobny, tyle że poskręcany zgrzybiałym uwiądem starości, tak jak i cały zamek. Nie widziałem nic groteskowego w stosach kości i szkieletów zawalających krypty w najgłębszych lochach zamczyska. Roiłem sobie fantastycznie, że jest to widok powszedni i zwyczajny, miałem je za rzecz naturalniejszą niźli żywe istoty z barwnych rycin, które znajdowałem w zapleśniałych księgach. Z takich właśnie ksiąg czerpałem całą wiedzę. Nikt mię nie kształcił, nie naglił do nauki, nie przypominam sobie też, bym przez te wszystkie lata choć raz usłyszał ludzki głos – nawet własny; jakkolwiek bowiem z lektur wiedziałem, że istnieje mowa, nigdy nie próbowałem wydobyć z siebie głosu. Nie mniejszą zagadkę stanowił mój wygląd: w zamku nie było luster, toteż jeno instynkt podpowiadał mi, że muszę być podobny do młodzieńców wyrysowanych i wymalowanych w księgach. Czułem się młody, ponieważ pamięć moja nie sięgała daleko.

Po drugiej stronie fosy, z dala od jej gnilnych wyziewów, kładłem się często w cieniu mrocznych, niemych drzew i godzinami marzyłem o tym, com wyczytał w księgach. Myśl moja wyrywała się hen, za bezkresną puszczę, do słonecznego świata, oczyma wyobraźni widziałem siebie śród wesołych tłumów. Któregoś razu spróbowałem wyrwać się z lasu, lecz gdy tylko oddaliłem się od zamku, cienie jęły gęstnieć, a powietrze wypełniło się posępną trwogą – rzuciłem się przeto jak szaleniec z powrotem, aby tylko nie zgubić się w labiryncie milkliwej pomroki.

I tak upływały nieprzeliczone zmierzchy, a ja śniłem i czekałem; na com wszakże czekał – nie wiedziałem. Z czasem jednak tęsknota za światłem roztętniła się we mnie tak szaleńczo, że nie mogłem już zdzierżyć mej cienistej pustelni – i błagalnie wyciągałem ręce ku czarnej zrujnowanej wieży, która wystrzelała hen, ponad puszczę, wprost w nieznane, niedosiężne niebo. Aż wreszcie postanowiłem, że wdrapię się na nią, choćbym nawet miał przypłacić to upadkiem – wolałem sczeznąć, ujrzawszy choć przez chwilę niebo, niż żyć, aż do śmierci nie widząc światła dnia.

W wilgnym półmroku wspinałem się po wytartych, wiekowych stopniach z kamienia, dopokąd się nie urwały – dalej już pełzłem po ścianie, chwytając się wątłych występów. Straszliwe, upiorne było to miejsce: wymarły, skalisty cylinder bez schodów – zrujnowany, opuszczony, posępnie oskrzydlony czernią spłoszonych nietoperzy śmigających bez szmeru. Lecz jeszcze upiorniejsza, jeszcze straszliwsza była powolność, z jaką piąłem się w górę; ciemność nad mą głową nie rzedła bowiem ani trochę, nadto zaś przeszył mię nieobecny pierwej chłód, jakby ziemisty wyziew grobowej zmurszałości. Dygocząc z zimna, zachodziłem w głowę, czemu jeszcze nie dotarłem do światła; mogłem spojrzeć w dół, lecz nie śmiałem. Łudziłem się, że nagle zapadła noc; chciałem wyjrzeć na zewnątrz i oszacować, na jakiej jestem wysokości, wolną ręką szukałem tedy w ścianie wnęk okiennych – lecz na próżno.

Piąłem się na oślep w tej rozpacznej studni, zda się bez końca – gdy wtem uderzyłem głową w coś twardego; domyśliłem się, że mam nad sobą dach, a

przynajmniej jeszcze wyższe piętro. W ciemnościach uniosłem rękę i zmacałem przeszkodę; była kamienna, nieporuszona. Puściłem się tedy na śmiertelnie niebezpieczny obchód całego koliska wieży, chwytając się wszelkich załomów, jakie kryły się w oślizłej ścianie; w którymś wreszcie miejscu pod naciskiem mej dłoni przeszkoda ustąpiła, podciągnąłem się więc na rękach, głową zaś wparłem się w ustępliwą płytę czy klapę. W szczelinie nie zabłysło światło, a dźwignąwszy się wyżej, ujrzałem, że nie jest to bynajmniej kres mej wspinaczki; okazało się bowiem, że otworzyłem zapadnię w płaskiej kamiennej podłodze, mającej obwód większy niźli niższa wieża. Bez wątpienia znalazłem się w jakimś przestronnym napowietrznym obserwatorium. Ostrożnie przelazłem przez otwór; starałem się nie upuścić ciężkiej płyty, ale na próżno – z upiornym łoskotem upadła na swe dawne miejsce. Zległem więc bez tchu na kamiennej posadzce, nie tracąc wszelako nadziei, że w razie potrzeby uda mi się ją na powrót otworzyć.

Byłem przekonany, że wspiąłem się na wysokość niebotyczną, daleko ponad przeklętą leśną gęstwinę – dźwignąłem się tedy z podłogi i jąłem szukać okien, przez które mógłbym po raz pierwszy ujrzeć niebo, księżyc i gwiazdy, o których czytałem w książkach. W którąkolwiek jednak stronę się zwróciłem, tam spotykało mię rozczarowanie: wszędy znajdowałem jeno masywne marmurowe półki, a na nich – ohydne podłużne skrzynie niepokojących rozmiarów. Szukając, zachodziłem zaś w głowę, jakież to zamierzchłe tajemnice mogą się kryć w tym niedosiężnym siedliszczu, które upływ eonów odciął od niższego zamku. Nagle, zgoła niespodzianie, wymacałem wnękę, a w niej – kamienne dźwierze rżnięte w jakieś dziwne wzory. Pchnąłem – były zamknięte; uczułem jednak w sobie siłę mocarza, natężyłem się – i dźwierze ustąpiły, to zaś, co ujrzałem za nimi, wprawiło mię w najczystszą, nieznaną pierwej ekstazę. Ujrzałem bowiem kamienne, biegnące w górę schodki, u ich szczytu żelazną kratę, przez kratę przelewał się zaś blask księżyca w pełni – który dotąd oglądałem jeno w snach i mgławych zwidach, nie śmiąc ich nazwać wspomnieniami.

Rojąc sobie, że dotarłem na sam wierzchołek zamku, popędziłem w górę po kamiennych stopniach; raptem jednak księżyc zaszedł za chmurę, w mroku potknąłem się – i zwolniłem, by dalej posuwać się już krok po kroku. Gdy dotarłem do kraty, wciąż jeszcze było ciemno; pchnąłem ją delikatnie – nie była zamknięta, sądząc wszelako, że znajduję się na zawrotnych wyżynach, nie otwierałem jej, lękając się upadku. Aż wreszcie księżyc wyjrzał zza chmur.

Najbardziej arcydiabelskim wstrząsem, jaki można sobie wyobrazić, jest ów, gdy wpadamy w otchłań niespodziewanego, gdy niewiarygodność graniczy z groteską. Doprawdy, żadne z dotychczasowych przeżyć nie zatrwożyło mię bardziej niż widok, który miałem teraz przed oczyma – oraz kryjąca się w nim zapowiedź przecudacznych dziwów. Widok ów był tyleż zdumiewający, co błahy: oto bowiem miast zawrotnej panoramy drzewnych koron, widzianych z wyżyn strzelistej wieżycy, za żelazną kratą rozpościerał się ni mniej, ni więcej jak tylko twardy grunt, tu i ówdzie urozmaicony marmurowymi płytami i zdobny w takież kolumny. Ponad wszystkim górował prastary kamienny kościół; księżycowy blask łyskał widmowo na

zrujnowanej iglicy.

Półprzytomnie otworzyłem kratę i wytoczyłem się chwiejnie na białą żwirową ścieżkę ciągnącą się w obu kierunkach. Jakkolwiek w głowie kłębiło mi się rojowisko wrażeń, wciąż szaleńczo łaknąłem światła, tedy nawet ten fantastyczny cud nie mógł mię odwieść od mych dążeń. Nie wiedziałem – i nie dbałem o to – czy to, co widzę, jest wytworem obłędu, przyśnienia czy mocy czarodziejskich; za wszelką cenę gotów byłem szukać jasności i wesela. Nie wiedziałem, kim bądź czym jestem ani w jakim znalazłem się miejscu; lecz w miarę jak posuwałem się naprzód chwiejnym krokiem, jęła budzić się we mnie jakaś zatrważająca uśpiona pamięć – toteż kierunek mego marszu nie był zgoła przypadkowy. Minąłem łukowatą bramę, opuszczając miejsce pełne płyt i kolumn, i wyszedłem na otwarte pole. Czasem trzymałem się drogi, czasem natomiast ciekawość wiodła mię na przełaj przez łąki, gdzie rozrzucone z rzadka resztki ruin były ostatnim już śladem po starożytnych, zapomnianych gościńcach. Przepłynąłem nawet przez bystrą rzekę – omszałe kikuty filarów wskazywały, że jej brzegi ongiś spajał most.

Minęły z pewnością co najmniej dwie godziny, nim dotarłem do miejsca stanowiącego – jak mi się zdawało – cel mej wędrówki. Było to dostojne zamczysko w oplotach bluszczu, stojące śród gęstego parku; wydało mi się obmierźle znajome, a zarazem w przejmujący sposób obce. Postrzegłem, że fosa jest pełna, część zaś znajomych wież została zburzona, zdumiałem się natomiast, widząc świeżo dobudowane skrzydła. Najbardziej wszakże zainteresował mię i uradował widok otwartych okien – przepysznie rozgorzałych światłem i buchających wrzawą najprzedniejszej hulanki. Zbliżywszy się do jednego z nich, zajrzałem do środka. Oczom moim istotnie ukazała się gwarliwa kompania, cudacznie poprzebierana i tryskająca najwyborniejszym humorem. Najwyraźniej nigdy dotąd nie dane mi było słyszeć ludzkiej mowy, bo treści tych wesołych przekomarzań mogłem się jeno mgliście domyślać. Wyraz niektórych twarzy odzywał się we mnie echem niepojęcie odległych wspomnień, inne wydały mi się zgoła obce.

Niewiele myśląc, przesadziłem niski parapet okienny i znalazłem się w rzęsiście rozjarzonej komnacie – wszelako ten jeden krok zdmuchnął we mnie płomyk nadziei i wtrącił mię w bezdeń najczarniejszej rozpaczy. Koszmar rozpętał się w okamgnieniu! Moje najście spotkało się z najprzeraźliwszym przyjęciem, jakie mogłem sobie wyobrazić: gdy tylko wesoła kompania zoczyła mię w oknie, przeszył ją dreszcz niespodziewanej trwogi – tak przejmującej, że wszystkie twarze wykrzywiły się w ohydnym grymasie, a z gardeł wyrwał się najszkaradniejszy wrzask. Zamęt był nieopisany: rażeni paniką biesiadnicy rozpierzchli się na wszystkie strony, niektórzy padali bez zmysłów na ziemię i towarzysze ciągnęli ich na oślep do wyjścia; inni zasłaniali oczy i gnali po omacku ku pierwszym lepszym drzwiom, przewracając meble i wpadając na ściany.

Wrzask poraził mię, oszołomił. Stałem sam jak palec w przepysznej komnacie, słuchając, jak echo zamiera gdzieś w głębiach zamku, i nagle zadrżałem – pojąłem bowiem, że sprawcą tej nagłej paniki musiała być jakaś niepostrzegalna wciąż dla mnie maszkara. Rozejrzałem się z grubsza – pokój

wydawał się opustoszały. Potem jednak ruszyłem ku jednej z alków, i zdało mi się, że ktoś tam jest: w sąsiedniej, dość podobnej komnacie, skroś złotych, łukowo wysklepionych odrzwi dostrzegłem nikły pozór ruchu. Gdy podszedłem bliżej, tajemnicza postać przybrała kształt wyraźniejszy – i wówczas po raz pierwszy i ostatni w mym życiu wydałem z siebie głos: upiorny skowyt, który zbrzydził mię nie mniej niźli jego plugawa przyczyna. Oto w pełni swej strasznej ohydy stało przede mną monstrum niepojęte, nieopisane, niewysławialne – to samo, które w okamgnieniu zmieniło radosną kompanię w szaleńczo rozpierzchłą gromadę.

Jak ów potwór wyglądał – nie umiem opisać nawet w przybliżeniu; był zlepkiem wszystkiego, co nieczyste, niesamowite, nieprzyjazne, nienormalne i odrażające. Było to piekielne widmo najrozpaczniejszej strupieszałości i rozkładu, ociekający zgnilizną zwid objawiający treść chorobliwą, uchylony rąbek wszetecznych sekretów, które miłosierna ziemia winna trzymać w ukryciu. Bóg mi świadkiem, że nie była to istota z tego świata – bądź już nie z tego świata – lecz o zgrozo, w jej kościanych, zgniło rozścierwionych kształtach widziałem przebrzydłą, szyderczą parodię ciała ludzkiego, na domiar złego zaś – co przejęło mię wstrętem wręcz niewysłowionym – tak zatęchle, grzybiasto zmurszałą!

Groza mię sparaliżowała, wszelako nie na tyle, bym nie podjął nieporadnej próby ucieczki; cofnąłem się o krok – lecz nadaremno! Bezimienne, bezgłośne monstrum zniewoliło mię spojrzeniem swych wstrętnych, szklistych ślepiów. Nie mogłem zmrużyć powiek, patrzyłem więc jeno jak zaczarowany – całe szczęście, że po pierwszej chwili zgrozy wzrok mój litościwie się omglił, zacierając ów widok straszliwy. Próbowałem unieść rękę, by się przed nim zasłonić, lecz odrętwiałe nerwy nie chciały mię słuchać. Pod wpływem tej próby daremnej zachwiałem się wszakże, tedy musiałem postąpić kilka kroków naprzód, by uniknąć upadku. Uczyniwszy to, zdałem sobie nagle z przerażeniem sprawę, że wstrętne ścierwo jest tuż obok mnie – roiło mi się wręcz, że słyszę jego cuchnący, głuchy oddech. Bliski obłędu zdołałem jednak wyciągnąć rękę ostrzegawczym gestem, pragnąc dać odpór nadciągającej ohydzie – i w tej sekundzie nastąpiła katastrofa, zdarzenie piekielne, jakby wyśnione w kosmicznym koszmarze: oto pod samym złotym łukiem moje palce dotknęły gnijącej łapy potwora.

Nie wrzasnąłem już – za to w mym imieniu wrzasnął chór upiornych strzyg cwałujących na skrzydłach nocnego wiatru – a w tej samej chwili obruszyła się we mnie lawina wspomnień, od których nicestwieje dusza. Objawiły mi się wszelkie rzeczy przeszłe; nie tylko przypomniałem sobie, skąd wziął się straszny leśny zamek, gdzie przyszedłem na świat, nie tylko rozpoznałem odmienione gmaszysko, w którym byłem teraz, ale także – co zatrwożyło mię najokropniej – cofnąwszy zbrukane palce, poznałem, kim jest bluźniercze szkaradzieństwo wytrzeszczone na mnie z naprzeciwka.

Lecz przecież w kosmosie prócz udręki można też zaznać ukojenia – a zwie się ono nepenthe. W tej najprzeraźliwszej sekundzie zdążyłem zapomnieć, co mię przeraziło, a rozbłysk czarnych wspomnień zgasł w powodzi skłębionych obrazów. We śnie czmychnąłem z przeklętego, widmowego dworzyszcza, w blasku księżyca stopy niosły mię chyżo, bezszelestnie. Wróciłem na

marmurowy dziedziniec kościoła i zszedłem do krypty, lecz gdy próbowałem dźwignąć zapadnię, a ta ani drgnęła, nie uczułem żalu – nienawidziłem mego starożytnego zamczyska i dookolnych drzew. Przyjęła mię kompania przyjaznych, kpiarskich strzyg – razem cwałujemy na skrzydłach nocnego wiatru, a za dnia igramy śród katakumb Nephrena-Ka, w strzeżonej, nieznanej dolinie Hadoth nad Nilem. Wiem już, że nie zaznam światła innego niż to, którym księżyc oblewa skalne grobowce w Neb, ani innego wesela niż nieopisane uczty królowej Nitokris popod Wielką Piramidą – lecz w mym swobodnym, dzikim rozkiełznaniu obcość jest mi niemal słodka.

Jakkolwiek bowiem kojący jest balsam nepenthe, nigdy nie zapomnę, że jestem wyrzutkiem – jestem obcy w mym stuleciu, obcy śród tych, co pozostali ludźmi. Wiem o tym od chwili, gdym wyciągnął dłoń w stronę szkaradzieństwa wewnątrz wielkiej pozłacanej ramy – gdym wyciągnął dłoń i dotknął zimnej, gładkiej, niewzruszonej powierzchni zwierciadła.

* Wigilia św. Agnieszki, tłum. Zofia Kierszys.

# Muzyka Ericha Zanna

Z najwyższą starannością przestudiowałem plany miasta, lecz na żadnym nie udało mi odnaleźć Rue d’Auseil. Nie ograniczyłem się bynajmniej do map współczesnych – wiem przecież, że nazwy się zmieniają. Owszem, zagłębiłem się także w dokumentach historycznych; ponadto osobiście przeszukałem każdą dzielnicę, bez względu na jej nazwę, w której mogła znajdować się ulica znana mi jako Rue d’Auseil. To doprawdy upokarzające, ale mimo wszelkich starań nie potrafię odnaleźć domu, ulicy ani nawet okolicy, gdzie w ostatnich miesiącach mego ubogiego bytowania jako studenta metafizyki zdarzyło mi się słyszeć muzykę Ericha Zanna.

Nic zresztą dziwnego, że pamięć mi szwankuje; w czasie gdy mieszkałem przy Rue d’Auseil, poniosłem bowiem poważny uszczerbek na zdrowiu, zarówno cielesnym, jak psychicznym; nie przypominam sobie również, bym zaprosił tam kogokolwiek z nielicznych mych znajomych. To, że nie mogę tego miejsca odnaleźć, zdumiewa mnie jednak i frapuje – leżało wszak ledwie pół godziny marszu od uniwersytetu, a przy tym było w swych osobliwościach tak niepowtarzalne, że każdy, kto ujrzałby je choć raz, raczej by go nie zapomniał. A jednak nie spotkałem nikogo, kto widziałby Rue d’Auseil.

Ulica leżała na drugim brzegu ciemnej rzeki, nad którą górowały niebotyczne ceglane ściany magazynów o zamazanych oknach i pretensjonalny most z ciemnego kamienia. Rzekę zawsze spowijał półmrok, jak gdyby słońce nie mogło przedrzeć się przez dym z pobliskich fabryk. Cuchnęła też plugawie i być może dzięki temu uda mi się kiedyś ją odnaleźć – fetorów takich nie czułem nigdzie indziej, przeto rozpoznałbym to miejsce natychmiast. Po drugiej stronie mostu znajdowały się brukowane zaułki pocięte szynami; potem szło się pod górę, zrazu łagodnie, a potem, im bliżej Rue d’Auseil, niewiarygodnie wręcz stromo.

NIGDY JUŻ NIE UDAŁO MI SIĘ ODNALEŹĆ RUE D'AUSEIL

Nigdy wcześniej ani później nie widziałem ulicy tak wąskiej i spadzistej. Było to niemal urwisko, zamknięte dla wszelkich pojazdów, w kilku miejscach przechodzące w schodki, a na szczycie kończące się wysokim murem w oplotach bluszczu. Wyłożone było rozmaicie: kamiennymi płytami, kocimi łbami, gdzieniegdzie wyłaniały się nawet spłachetki gołej ziemi porośniętej lichą zielonkawoszarą roślinnością. Wysokie, niewiarygodnie stare kamienice o kalenicowych dachach miotały się szaleńczo to w przód, to w tył, to na boki. Kilka stojących naprzeciw siebie budynków chyliło się jednako ku przodowi, spinając ulicę dachami na podobieństwo łukowego sklepienia; rzecz jasna skutecznie odcinały ją od światła. Niektóre domy połączone były mostkami.

Szczególne wrażenie zrobili na mnie tamtejsi mieszkańcy. Zrazu sądziłem, że frapuje mnie ich małomówność i powściągliwość; później wszelako za najosobliwsze uznałem to, iż wszyscy są niezwykle sędziwi. Sam nie wiem, jak mogłem zamieszkać przy takiej ulicy, ale wprowadzając się tam, z pewnością nie byłem sobą. Mieszkałem już wcześniej w niejednej nędznej norze, zewsząd wyrzucano mnie za brak pieniędzy na komorne; wreszcie trafiłem na Rue d’Auseil, do chwiejącej się kamienicy, w której stróżował paralityk Blandot. Był to trzeci dom od szczytu i zdecydowanie najwyższy na całej ulicy.

Pokój mój mieścił się na najwyższym, czwartym piętrze, a ponieważ kamienica świeciła pustkami, pozostałe sąsiadujące z moim pokoje były niezamieszkane. Już pierwszej nocy z poddasza doleciała mych uszu dziwna muzyka. Nazajutrz zagadnąłem o nią Blandota i dowiedziałem się, że mieszka tam stary Niemiec, dziwny niemowa podpisujący się jako Erich Zann, grający na wioli w orkiestrze jakiegoś podrzędnego teatru. Zann lubił grywać nocą po powrocie z pracy i z tego właśnie względu zamieszkał tak wysoko, w pojedynczym pokoju na poddaszu; jego okno było jedynym punktem, z którego widać było panoramę rozciągającą się w dół za wieńczącym uliczkę murem.

Od tej pory słyszałem Zanna każdej nocy i choć nie dawał mi spać, jego muzyka oczarowała mnie swą niesamowitością. Nieszczególnie znałem się na sztuce, wszelako byłem pewien, że nigdy wcześniej nie słyszałem podobnych harmonii; doszedłem do wniosku, że mam do czynienia z oryginalnym, niepospolicie utalentowanym kompozytorem. Im więcej go słuchałem, tym bardziej rosła we mnie fascynacja; po tygodniu postanowiłem, że zawrę z nim znajomość.

Pewnej nocy, gdy Zann wracał właśnie z teatru, zatrzymałem go w korytarzu i oznajmiłem, że chciałbym go poznać i posłuchać jego gry. Był drobnym, szczupłym i przygarbionym staruszkiem w znoszonym ubraniu, miał niebieskie oczy, groteskową twarz satyra i niemal zupełnie łysą głowę; na moje zagajenie zareagował, jak mi się zdawało, złością i trwogą. Widząc, że odnoszę się doń przyjaźnie, złagodniał wreszcie i niechętnie dał mi znak, bym ruszył za nim po krętych, skrzypiących i rozchwierutanych schodach. Jego pokój, jeden z dwóch zaledwie, jakie mieściły się pod spadzistym dachem, wychodził na zachód, wprost na wysoki mur zamykający uliczkę.

Był bardzo duży, a z racji niezwykłej wręcz skromności obskurnego wyposażenia wydawał się jeszcze większy. Umeblowanie ograniczało się do żelaznego łóżka bez materaca, odrapanego stojaka z miednicą, małego stolika, dużego regału z książkami, żelaznego pulpitu na nuty i trzech staroświeckich krzeseł. Na podłodze piętrzyły się bezładnie stosy nut. Ściany były z gołych desek, prawdopodobnie nikt ich nigdy nie tynkował; wrażenie zaniedbania i opuszczenia potęgowały wszechobecne pajęczyny i zwały kurzu. Widać było, że Erich Zann szuka piękna wyłącznie w najdalszych zakątkach kosmosu wyobraźni.

Niemowa wskazał mi krzesło, zamknął drzwi na duży drewniany rygiel i zapalił drugą świecę. Następnie otworzył przeżarty przez mole futerał, wyjął swą wiolę i zasiadł na najmniej niewygodnym krześle. Nie korzystając w ogóle z nut i nie pytając mnie o życzenia, przez godzinę z pamięci raczył mnie najczarowniejszymi i najdziwniejszymi tonami, najwyraźniej własnej kompozycji. Komuś niebiegłemu w arkanach sztuki muzycznej niepodobna opisać istoty tych dźwięków; układały się w coś na kształt fugi z powracającymi tematami urzekającej wprost urody, uwagę moją wszelako zwróciło to, że brakło w niej zgoła owych niesamowitych melodii, które słyszałem przez sufit w mym pokoju.

Te dziwne melodie zapadły mi w pamięć, często nuciłem je sobie fałszywie lub pogwizdywałem, toteż gdy Zann odłożył smyczek, spytałem, czy nie zechciałby mi zagrać właśnie którejś z nich. Gdy zacząłem wyłuszczać me życzenie, jego pobrużdżona twarz satyra, w trakcie gry znudzona i łagodna, przybrała znów wyraz gniewny i strwożony, taki jak wówczas, gdy zagadnąłem go w korytarzu. Przez chwilę byłem skłonny nalegać, lekce sobie ważąc starcze kaprysy; próbowałem nawet wzbudzić w mym gospodarzu mroczniejszy nastrój, gwiżdżąc niektóre z zasłyszanych uprzednio melodii – lecz trwało to tylko chwilę: ledwie bowiem stary niemowa rozpoznał naśladowane nieudolnie tony, twarz wykrzywił mu grymas, jakiego opisać nie sposób, zaś ręka jego, długa, zimna, koścista, zamknęła mi usta. Co jeszcze dziwaczniejsze, rzucił struchlałe spojrzenie w stronę zasłoniętego okna, jak gdyby obawiał się jakiegoś intruza – spojrzenie absurdalne w dwójnasób, poddasze górowało bowiem, wysokie i niedostępne, nad sąsiednimi domami, samotne okno Zanna było wręcz, jak mówił dozorca, jedynym punktem stromej uliczki, z którego można było zajrzeć za wieńczący ją mur.

Widząc spojrzenie starca, przypomniałem sobie wzmiankę Blandota i przyszła mi cokolwiek kapryśna ochota, by zerknąć przez zasłonięte okno na rozległą, zawrotną panoramę świateł miasta i skąpanych w blasku księżyca dachów, którą spośród wszystkich mieszkańców Rue d’Auseil mógł podziwiać tylko ten gburowaty muzyk. Zbliżyłem się do okna i już miałem rozsunąć spłowiałe zasłony, gdy niemowa dopadł mnie z niespotykaną pierwej furią; tym razem nerwowo pociągnął mnie oburącz ku wyjściu, wskazując głową drzwi. Zmierził mnie tym gestem nie na żarty; rozkazałem, by mnie puścił, i oświadczyłem, że wyjdę bez jego pomocy. Zann zwolnił uścisk, gdy zaś spostrzegł, żem zniesmaczony i obrażony, gniew jego począł z wolna ustępować. Znów mnie ścisnął, lecz tym razem po przyjacielsku; gestem

kazał mi usiąść, sam zaś z wyrazem zadumy zasiadł przy zabałaganionym stoliku, chwycił ołówek i długo coś pisał.

Kartka, którą mi wręczył, zapisana była nieudolną cudzoziemską francuszczyzną i zawierała prośbę o zrozumienie i wybaczenie. Zann żalił się, że jest stary, samotny, dręczą go dziwne lęki i zapaści nerwowe związane z jego muzyką oraz sprawami innego jeszcze rodzaju. Rad był, że wysłuchałem jego muzyki, życzyłby sobie też, bym go jeszcze odwiedził i nie zważał na jego dziwactwa; nie może jednak nikomu grać owych niesamowitych harmonii ani słuchać ich w cudzym wykonaniu, nie znosi też, gdy kto tyka rzeczy w jego pokoju. Aż do naszej rozmowy na schodach nie miał pojęcia, że u mnie słychać jego grę, toteż zapytuje mnie, czy nie byłbym łaskaw w porozumieniu z Blandotem przenieść się piętro niżej, gdzie nie będę go słyszał; mógłby nawet pokryć różnicę w komornym.

Odcyfrowując z mozołem tę koszmarną francuszczyznę, uczułem przypływ wyrozumiałości dla znękanego starca. Dręczyły go fizyczne i nerwowe cierpienia – tak jak mnie; studia metafizyczne nauczyły mnie zresztą łagodności. W ciszy, jaka zapadła, zza okna dobiegł nagle mych uszu ulotny dźwięk – nocny wiatr musiał trącić okiennice – i nie wiedzieć czemu wzdrygnąłem się niemal tak gwałtownie jak przedtem Erich Zann. Przeto gdy skończyłem czytać, uścisnąłem dłoń mego gospodarza i rozstaliśmy się w przyjaźni. Nazajutrz Blandot przydzielił mi droższy pokój na drugim piętrze, między mieszkaniem wiekowego lichwiarza a pokojem zacnego tapicera. Na piętrze trzecim nie mieszkał nikt.

Niedługo później przekonałem się, że Zann bynajmniej nie jest tak złakniony mego towarzystwa, jak się wydawało wówczas, gdy namawiał mnie do wyprowadzki z czwartego piętra. Nie zapraszał mnie już, gdy zaś odwiedzałem go nieproszony, był niespokojny i grał apatycznie. Działo się to wyłącznie nocami – w dzień spał i nikogo nie przyjmował. Nie darzyłem go zbytnią sympatią, jakkolwiek pokój na poddaszu i rozbrzmiewająca w nim niesamowita muzyka wciąż budziły we mnie dziwaczną fascynację. Dręczyło mnie cudaczne pragnienie, by wyjrzeć przez jego okno – spojrzeć ponad murem na rozpościerające się tam na pewno, a niewidoczne z dołu wieże i połyskujące dachy miasta. Pewnego razu, gdy Zann był w teatrze, wybrałem się na poddasze, lecz jego pokój był zamknięty.

Udawało mi się jedynie podsłuchać nocne koncerty starego niemowy. Zrazu zakradałem się na palcach nie wyżej niż na moje dawne czwarte piętro, później ośmieliłem się już na tyle, że wspinałem się po stromych skrzypiących schodach aż na poddasze. Stałem w wąskim korytarzyku, przykładałem ucho do drzwi – zaryglowanych i z zatkaną dziurką od klucza – i nierzadko słyszałem dźwięki, które przejmowały mnie nieokreślonym lękiem; był to lęk przed niejasnymi dziwami i mroczną tajemnicą. Nie chodzi o to, że były odrażające, bynajmniej – wibrowało w nich po prostu coś nieziemskiego, ponadto w pewnych interwałach dźwięki owe nabierały symfonicznego rozmachu, jakiego w mym mniemaniu żaden solista wytworzyć nie był w stanie. Zaiste, Erich Zann obdarzony był potężnym, nieokiełznanym talentem. Mijały tygodnie, a jego muzyka kipiała coraz większą dzikością – stary muzyk mizerniał zaś coraz bardziej, przemykał się

ukradkiem, aż przykro było nań patrzeć. Nie przyjmował mnie już wcale i uciekał, ilekroć zoczył mnie na schodach.

Wreszcie którejś nocy, podsłuchując pod drzwiami, usłyszałem, jak jego jazgocząca wiola wybucha nagle chaotyczną kakofonią; Zann rozpętał takie pandemonium, że pewnie zwątpiłbym i we własne zmysły, gdyby zza tego zabarykadowanego portalu nie doszedł mnie żałosny dowód na to, że rozgrywa się tam coś strasznego – wstrętny, nieartykułowany krzyk, jaki może wydać z siebie tylko niemowa, i to w chwilach najprzeraźliwszego lęku lub udręki. Pukałem do drzwi, ale bezskutecznie. Czekałem potem w gęstym mroku przejęty dreszczem trwogi, aż wreszcie usłyszałem, jak nieszczęśnik gramoli się z podłogi, wspierając na krześle. Sądząc, że zemdlał i właśnie odzyskuje przytomność, zapukałem ponownie; aby dodać mu otuchy, wypowiedziałem na głos me nazwisko. Usłyszałem, jak Zann kuśtyka w stronę okna, opuszcza je i zamyka okiennicę, następnie niezdarnie podchodzi do drzwi i niepewnie odsuwa rygiel. Tym razem naprawdę uradował się na mój widok: chwycił mnie za rękaw płaszcza jak dziecko chwyta się matczynej spódnicy, a jego przerażona twarz promieniała ulgą.

Roztrzęsiony starzec wskazał mi krzesło, sam zaś opadł żałośnie na drugie. Wiola i smyczek leżały porzucone na podłodze. Przez chwilę siedział bezwładnie, dziwacznie kiwając głową, wszelako sprawiał paradoksalne wrażenie, że intensywnie i trwożliwie nasłuchuje. Nie usłyszał wszakże chyba nic niepokojącego, zasiadł tedy przy stoliku, napisał krótką notkę, podał mi ją, a potem począł pisać dalej, pospiesznie i nieprzerwanie. W notce błagał mnie, bym okazał mu miłosierdzie i przynamniej przez wzgląd na własną ciekawość był łaskaw zaczekać, podczas gdy on opisze dokładnie po niemiecku, jakie dręczą go cuda i zgrozy. Czekałem więc, zaś ołówek niemowy śmigał po papierze.

Jakąś godzinę później, gdy na stoliku wciąż jeszcze rósł stos gorączkowo zapisywanych kartek, ujrzałem nagle, że Zann wzdryga się, jak gdyby coś nim straszliwie wstrząsnęło. Ponad wszelką wątpliwość spoglądał w stronę zamkniętego okna i z przerażeniem nasłuchiwał. Zdało mi się wówczas, że i ja słyszę jakiś dźwięk; nie brzmiał strasznie – była to raczej melodia, niezwykle cicha i płynąca z nieskończonej dali, jak gdyby wygrywał ją muzyk ukryty w jednej z sąsiednich kamienic lub za wysokim murem, przez który nie było mi dane spojrzeć. Na Zanna podziałała jednak przeokropnie: biedak upuścił ołówek, zerwał się z miejsca, chwycił wiolę i jął rozdzierać noc najdziksza grą, jaka kiedykolwiek wyszła spod jego smyczka – równie dziką słyszałem jedynie wtedy, gdy podsłuchiwałem przez zamknięte drzwi.

Próżno byłoby opisywać, jak grał Erich Zann tej przeraźliwej nocy. Grał straszniej niż kiedykolwiek przedtem, wyraz jego twarzy uświadomił mi bowiem, że tym razem do grania popycha go najczystszy strach. Starzec próbował coś zagłuszyć, odpędzić swym graniem, pogrążyć; co to było – nie miałem pojęcia, wszelako czułem, że musi być potworne. Grał nieziemsko, delirycznie, histerycznie, a przecież nie roniąc najsubtelniejszych nawet znamion swego muzycznego geniuszu. Rozpoznałem melodię – był to dziki taniec węgierski, często grywany w teatrach; przemknęło mi przez myśl, że po raz pierwszy słyszę, jak Zann gra cudzą kompozycję.

Coraz głośniej i głośniej, z coraz dzikszą rozpaczą jazgotała i kwiliła rozszalała wiola. Zlany niesamowitym potem Zann podrygiwał niby małpa, uporczywie wpatrzony w zasłonięte okno. W obłędnych tonach jego wioli kłębiły się czeluście chmur, dymu i błyskawic, a w nich wirowali w oszalałym tańcu widmowi satyrowie i bachantki. Potem zaś zdało mi się, że słyszę nutę, która nie pochodzi z wioli, nutę mocniejszą i przenikliwszą, nutę spokojną, rozmyślną, celową, szydliwą; a dochodziła ona z zachodniej oddali.

Wtedy to poczęły stukać okiennice targane porywami nocnej wichury, która zerwała się nagle ze skowytem, jakby w odpowiedzi na szaleńczą muzykę. Zann przechodził już sam siebie, ze swej rozkrzyczanej wioli dobywał dźwięki, o jakie nigdy bym tego instrumentu nie podejrzewał. Okiennice zastukały jeszcze głośniej, odemknęły się wreszcie i jęły łomotać w okno. Szyba brzęczała, w końcu pękła i do środka wdarł się zimny wiatr; zasyczały świece, zaszeleściły kartki, na których Zann zaczął był spisywać straszną tajemnicę. Spojrzałem na niego, lecz był już niemal nieprzytomny: wybałuszył zeszklone, niewidzące oczy, zaś jego gorączkowa gra przerodziła się w ślepą, mechaniczną, chaotyczną orgię dźwięków, której żadne pióro nie zdołałoby opisać.

Nagły, silniejszy niż dotąd poryw wichru porwał rękopis i uniósł go w stronę okna. Rzuciłem się rozpaczliwie za rozsypanymi kartkami, lecz przepadły w ciemnościach, nim zdążyłem dobiec do strzaskanych szyb. Wtem przypomniałem sobie dawne me pragnienie, by zerknąć przez to okno, jedyne przy Rue d’Auseil, przez które widać było stok wzgórza za murem i rozciągające się u jego stóp miasto. Było bardzo ciemno, lecz miejskie światła nie gasły nigdy, przeto spodziewałem się, że ujrzę je przez zacinający deszcz. Jednak gdy spojrzałem przez to najwyższe spośród okien poddasza – tymczasem za mną skwierczały świece, a oszalała wiola wtórowała skowytom nocnej wichury – nie zobaczyłem w dole znajomych ulic rozjarzonych przyjaznym blaskiem, tylko bezkresną i nieogarnioną czerń, niepojętą przestrzeń roztętnioną muzyką i ruchem, niepodobną niczemu, co nosiła ziemia. I gdy patrzyłem tak skamieniały ze zgrozy, wiatr zdmuchnął obie świece, jedyne źródło światła na strzelistym, wiekowym poddaszu, i znalazłem się w rozwścieklonym, nieprzebitym mroku, przed sobą mając szalejące pandemonium, a za plecami obłąkańczy, diabelski skowyt wioli.

Targnąłem się do tyłu; nie mając czym zapalić świec, brnąłem na oślep: wpadłem na stolik, przewróciłem krzesło, wreszcie po omacku dotarłem do miejsca, w którym ciemność wrzeszczała wstrząsającą muzyką. Bez względu na to, z jakimi mierzyłem się mocami, mogłem przynajmniej spróbować uratować i siebie, i Ericha Zanna. Zdało mi się, że musnęło mnie coś lodowatego, krzyknąłem więc, lecz krzyk mój głuszyła bez reszty ta ohydna wiola. Nagle w najgłębszym mroku uczułem, że trącił mnie piłujący szaleńczo smyczek, poznałem tedy, że jestem już blisko. Postąpiłem naprzód, wymacałem oparcie krzesła, wreszcie odnalazłem Zanna i potrząsnąłem go za ramię, starając się przywrócić mu zmysły.

Starzec nie zareagował, ani na jotę nie osłabł szkaradny jazgot jego instrumentu. Dotknąłem jego głowy, udało mi się zatrzymać jej mechaniczne kiwanie, i krzyknąłem mu do ucha, że musimy uciekać przed nieznanymi

mieszkańcami nocy. On wszakże nie odpowiedział, nie uciszył też swej rozszalałej, niewysłowionej muzyki, powietrze w jazgotliwym mroku poddasza zdawało się zaś pląsać w przedziwnych porywach. Dotknąwszy jego ucha, zadrżałem, choć nie wiedziałem czemu – nie wiedziałem, pókim nie przesunął dłoni na jego zmartwiałą twarz: stężałą, lodowatą, bez tchnienia, ze szklistymi oczyma bezużytecznie wytrzeszczonymi w próżnię. I odskoczyłem jak oparzony od tej szklanookiej istoty, cudem odnalazłem drzwi i wielki drewniany rygiel i uciekłem przed tą przeklętą wiolą, która jeszcze w chwili mej ucieczki zanosiła się coraz bardziej upiornym skowytem.

Na łeb na szyję, na oślep leciałem przez niekończące się schody; jak wariat wypadłem z ciemnej kamienicy na bruk wąskiej, stromej, prastarej uliczki; pędziłem w dół po schodkach w cieniu rozchwierutanych domów ku rzece płynącej cuchnącym kanionem; bez tchu przemknąłem przez wielki, ciemny most w stronę znajomych, szerszych i zdrowszych ulic oraz bulwarów; pamiętam te straszne chwile jak dziś. I pamiętam, że nie było wiatru, że świecił księżyc, a miasto rozmigotane było miriadami świateł.

Mimo najstaranniej podjętych poszukiwań nigdy już nie udało mi się odnaleźć Rue d’Auseil. A jednak nie do końca tego żałuję – nawet tego, że w niewyobrażalnych otchłaniach przepadły zapiski, które mogły wyjaśnić tajemnicę muzyki Ericha Zanna.

# Szczury w murach

Szesnastego lipca 1923 roku, gdy z rusztowań zeszli ostatni robotnicy, wprowadziłem się wreszcie do Exham Priory. Podniesienie zamku z ruiny było zadaniem kolosalnym – z biegiem wieków została zeń jedynie wydrążona skorupa zewnętrznych murów; ponieważ jednak było to rodowe gniazdo mych przodków, nie szczędziłem wydatków, by przywrócić mu świetność. W zamku nie mieszkał nikt od czasów panowania Jakuba I, kiedy to dziedzic wraz z pięciorgiem dzieci i kilkorgiem służących ponieśli śmierć w tragicznych i niesłychanie ohydnych, choć mocno też niejasnych okolicznościach. Straszliwe podejrzenie padło na jedynego potomka, który ocalał, zachowując tym samym ciągłość odrażającego rodu – trzeciego syna, mego przodka w prostej linii. Ponieważ na jedynym dziedzicu zaciążył zarzut morderstwa, majątek wrócił w ręce korony, oskarżony zaś nie próbował go nawet odzyskać ani oczyścić się z podejrzeń. Walter de la Poer, jedenasty baron Exham, zdjęty raczej zgrozą niż lękiem przed karą czy własnym sumieniem, kierował się już tylko jednym szaleńczym pragnieniem: uciec jak najdalej od starożytnego gmachu i wymazać go ze swej pamięci. Z tą myślą zbiegł za ocean, do Wirginii, i założył tam rodzinę, która w następnym stuleciu stała się znana jako Delapore'owie.

Exham Priory pozostało niezamieszkane, acz później, gdy przyłączono je do majątku rodziny Norrysów, stało się przedmiotem wnikliwych badań ze względu na osobliwą wielowarstwowość swej architektury: gotyckie wieże wznosiły się na podbudowie saksońskiej i romańskiej, ta zaś spoczywała na fundamentach należących do porządku lub porządków jeszcze starszych – jeśli legendy nie kłamią, może nawet rzymskich, druidycznych lub rdzennie cymryjskich. Fundamenty były zresztą wyjątkowe same w sobie: z jednej strony przechodziły płynnie w litą wapienną ścianę urwiska górującego nad pustą, jałową doliną i oddalonego o trzy mile na zachód od wioski Anchester. Zamek Exham był tedy dziwnym reliktem zapomnianych stuleci i jako taki upodobali go sobie architekci i historycy, okoliczni wieśniacy darzyli go jednak serdeczną nienawiścią. Nienawidzili go przed wiekami, gdy mieszkali w nim jeszcze moi przodkowie, i nienawidzili później, gdy pokrył się już mchem i pleśnią zapomnienia. Nim zdążyłem postawić w Anchester choćby jeden krok, już wiedziałem, że mój dom jest przeklęty. A nie dalej jak tydzień temu robotnicy wysadzili Exham Priory w powietrze – i właśnie zacierają ślady po jego fundamentach.

Czysto statystyczne dane na temat mego rodu nigdy nie były dla mnie tajemnicą, podobnie jak to, że mój pierwszy amerykański przodek przybył do kolonii otoczony dziwnymi podejrzeniami. Szczegółów nie znałem jednak żadnych, albowiem temat dziejów rodzinnych zawsze był u Delapore'ów zbywany milczeniem. W przeciwieństwie do naszych sąsiadów nieczęsto chlubiliśmy się wyczynami naszych antenatów, nie zwykliśmy mienić się potomkami krzyżowców ani innych średniowiecznych bądź renesansowych herosów. Nie przekazywaliśmy sobie również żadnej rodzinnej tradycji;

jedynym jej śladem była pewna zalakowana koperta, którą aż do wybuchu wojny secesyjnej każdy dziedzic przekazywał swemu najstarszemu synowi z przykazaniem, by otworzył ją dopiero po jego śmierci. Szczyciliśmy się jedynie tym, co osiągnęliśmy już na amerykańskiej ziemi; a osiągnęliśmy niemało – byliśmy dumnym i poważanym, choć cokolwiek powściągliwym i nietowarzyskim rodem wirginijskich plantatorów.

W czasie wojny odwróciła się od nas fortuna; koleje naszej egzystencji odmieniły się nieodwracalnie z chwilą, gdy Carfax, nasz dom usytuowany na brzegu rzeki James, został podpalony przez żołnierzy Unii. W pożarze zginął mój dziadek, posunięty już w latach, a wraz z nim rzeczona koperta – jedyna więź łącząca nas z przeszłością. Miałem wówczas siedem lat, ale pamiętam wszystko jak dziś: ogień, krzyki żołnierzy, pisk kobiet, modlitewne zawodzenia murzyńskich niewolników. Ojciec był wtedy w wojsku, walczył w obronie Richmondu; po długich pertraktacjach matce i mnie udało się przekroczyć linię frontu i doń dołączyć. Gdy wojna dobiegła końca, wyprowadziliśmy się na północ, do Massachusetts, rodzinnego stanu mej matki; dorastałem przeto, wchodziłem w wiek średni i dorabiałem się majątku już jako rozsądny, praktyczny Jankes. Ani memu ojcu, ani mnie samemu nie było dane dowiedzieć się, co zawierała nasza dziedziczna koperta – gdy zaś wtopiłem się na dobre w szary, kupiecki świat, straciłem wszelkie zainteresowanie mglistą prehistorią mego rodu. Ach, gdybym tylko przeczuł, jak straszliwą skrywa tajemnicę! Z przyjemnością pozostawiłbym Exham Priory na pastwę pajęczyn, mchów i nietoperzy!

Ojciec mój zmarł w roku 1904, nie pozostawiając żadnego przesłania – ani mnie, ani memu jedynemu dziecku Alfredowi, którego w wieku lat dziesięciu odumarła matka. To właśnie mój syn odwrócił w naszej rodzinie tradycyjny obieg informacji; od swego ojca nie usłyszał bowiem o przeszłości nic prócz krotochwilnych domysłów, sam zaś, gdy w 1917 roku stacjonował w Anglii jako oficer lotnictwa, opowiedział mi w liście garść arcyciekawych rodzinnych legend. Historia rodu Delapore'ów musiała być doprawdy barwna, a może nawet posępna – przyjaciel Alfreda, kapitan Edward Norrys z Royal Flying Corps, mieszkał w Anchester i opowiedział mu o przesądach rozpowszechnionych wśród okolicznego chłopstwa, tak obłędnych i niewiarygodnych, że bledną przy nich wymysły najwyuzdańszych powieściopisarzy. Sam Norrys, rzecz jasna, nie traktował ich poważnie, mój syn jednak szczerze się zdumiał i uznał za stosowne przytoczyć mi je w listach. To właśnie owe legendy ostatecznie skierowały mą uwagę ku europejskim przodkom i sprawiły, że postanowiłem odkupić i odrestaurować rodzinne gniazdo; Norrys pokazał Alfredowi tę malowniczą ruinę, a ponieważ stanowiła ona wówczas własność jego rodzonego wuja, zaofiarował się, że pomoże nam nabyć ją po zaskakująco przystępnej cenie.

Kupiłem Exham Priory już w roku 1918, niemal natychmiast musiałem jednak zaniechać planów odbudowy, ponieważ mój syn odniósł na froncie ciężkie rany i wrócił do domu jako inwalida. Żył jeszcze tylko dwa lata – ja zaś cały ten czas poświęciłem bez reszty na opiekę nad nim, pozostawiając nawet moje interesy pod nadzorem wspólników. I tak oto w roku 1921 zostałem sam, nieutulony w żalu, i jako emerytowany przemysłowiec, od

dawna już niemłody, jąłem rozglądać się za kolejnym zajęciem – jakoż i postanowiłem w ostatnich latach mego życia zakrzątnąć się przy nowym nabytku. W grudniu wybrałem się do Anchester, odwiedziłem kapitana Norrysa – sympatycznego, pulchnego młodzieńca, który zachował mego syna w dobrej pamięci – i uzyskałem odeń obietnicę pomocy w zbieraniu planów i anegdot mających pomóc mi w kierowaniu odbudową. Sam zamek nie budził we mnie emocji – było to tylko omszałe, rozchwierutane zwałowisko średniowiecznych ruin, przycupnięta na skraju przepaści kolonia gawronów, w której nie zachowały się nawet podłogi ani stropy, a jedynie zewnętrzne kamienne mury poszczególnych baszt.

W miarę jak rekonstruowałem wygląd budowli sprzed trzystu lat, czyli z czasów, gdy opuścił ją mój praszczur, zacząłem najmować robotników do pracy. Okazało się jednak, że muszę szukać ich w dalszych miejscowościach – wieśniacy z Anchester odnosili się bowiem do mej posiadłości z niewiarygodnym wręcz lękiem i nienawiścią. Byli w tych uczuciach tak zatwardziali, że niekiedy udawało im się nawet zarazić nimi przyjezdnych robotników, co z kolei skutkowało niezliczonymi dezercjami z miejsca pracy. Zorientowałem się też, że obiektem tej trwożliwej odrazy jest zarówno sam zamek, jak i zamieszkujący go niegdyś ród.

Syn mój wspomniał był kiedyś, że gdy odwiedzał wioskę, miejscowi jakby go unikali, właśnie dlatego, że był z rodu de la Poerów; ja również zacząłem doświadczać podobnego ostracyzmu, wszelako zaradziłem temu, dając wieśniakom do zrozumienia, że posiadam nader nikłą wiedzę na temat mego dziedzictwa. Wciąż jednak odnosili się do mnie z ponurą niechęcią, toteż gdy zacząłem zbierać miejscowe gawędy, musiałem zdać się na pośrednictwo Norrysa. Być może nie mogli mi wybaczyć, że przyjechałem wskrzesić symbol, który napawa ich takim wstrętem – zasadnie czy nie, w Exham Priory widzieli bowiem wyłącznie siedlisko upiorów i wilkołaków.

Z zebranych przez Norrysa podań tudzież prac kilku uczonych, którzy pierwej badali ruiny, wywnioskowałem, że w miejscu, gdzie stoi Exham Priory, w czasach prehistorycznych znajdowała się świątynia, druidyczna lub nawet przeddruidyczna, rówieśniczka sławnego Stonehenge. Większość badaczy nie miała wątpliwości, że odprawiane w niej były jakieś niepojęte rytuały; zachowały się też nieprzyjemne wzmianki o tym, jakoby po nadejściu Rzymian rytuały te zaadaptowano na potrzeby kultu bogini Kybele. W najgłębszych lochach widać było jeszcze resztki inskrypcji z wyraźnie zachowanymi ciągami liter: *DIV… OPS… MAGNA. MAT…* – bezsprzecznymi śladami kultu Magna Mater, Wielkiej Matki, na próżno zakazywanego niegdyś wśród obywateli Rzymu. Wiele śladów wskazuje, że w Anchester stacjonował trzeci legion cesarza Augusta, świątynia Kybele była zaś ponoć naprawdę przepyszna; tłumy wiernych pod przewodem frygijskiego kapłana odprawiały w niej nieopisane obrzędy. Legendy mówią też, że upadek dawnej religii bynajmniej nie położył kresu świątynnym orgiom – przeciwnie, kapłani przeszli na nową wiarę, nie zmieniając zbytnio swych obrządków. Rytuały nie zanikły też wraz ze schyłkiem potęgi Rzymu; Saksonowie rozbudowali świątynię, nadając jej mniej więcej taki kształt, w jakim przetrwała następne stulecia, i uczynili z niej ośrodek kultu, który

budził lęk w wielu państwach anglosaskiej heptarchii. Około roku tysięcznego, jak wynika z kronik, było to pokaźne kamienne opactwo zamieszkane przez dziwny i potężny zakon, otoczone rozległymi ogrodami, które odstraszały strwożone pospólstwo lepiej niż kamienne mury. Opactwo przetrwało najazd Duńczyków, musiało jednak poważnie podupaść po podboju normańskim, skoro w roku 1261 Henryk III bez większych trudności zawłaszczył je i nadał memu przodkowi Gilbertowi de la Poer, czyniąc zeń pierwszego barona Exham.

Do tego momentu nie pojawiają się żadne podejrzane wzmianki na temat mej rodziny, potem jednak musiało się zdarzyć coś dziwnego. Jeden z kronikarzy wspomina, że w roku 1307 de la Poer został „przeklęty przez Boga”, zamek zaś, wzniesiony przezeń na fundamentach dawnej świątyni i opactwa, zaczął budzić wśród miejscowych wieśniaków szaleńczą trwogę jako siedlisko zła. W tych wiejskich bajędach roiło się od makabrycznych opisów, tym upiorniejszych, że wylękli gawędziarze otaczali je mglistymi niedomówieniami. Przodkowie moi jawili się w nich jako ród wcielonych demonów, przy których bezeceństwa Gilles’a de Retza i markiza de Sade’a wydają się niewinnymi wybrykami; po cichu obarczano ich też odpowiedzialnością za zniknięcia okolicznych wieśniaków, jakie zdarzały się przez kilka pokoleń.

Najnikczemniejszymi kreaturami byli sami baronowie i ich bezpośredni spadkobiercy – przynajmniej o nich krążyło najwięcej mrocznych pogłosek. Jeśli któryś dziedzic zdradzał zdrowsze skłonności, szybko i w tajemniczych okolicznościach umierał, ustępując miejsca bardziej typowym latoroślom. Wygląda na to, że w Exham Priory uprawiano wewnętrzny kult ograniczony niekiedy do najściślejszego grona; przewodniczyła mu zawsze głowa rodziny. Kult ów krzewił się raczej na pożywce indywidualnego temperamentu aniżeli dziedzictwa krwi, uprawiało go bowiem także kilkoro powinowatych rodu. Czyniła tak na przykład lady Margaret Trevor z Kornwalii, żona Godfreya, drugiego syna piątego barona – dama ta rychło stała się postrachem dzieci w całej okolicy i demoniczną heroiną wyjątkowo przeraźliwej ballady, którą po dziś dzień można jeszcze usłyszeć na angielsko-walijskim pograniczu. W pieśni gminnej zachowała się także – choć z innej przyczyny – ohydna opowieść o lady Mary de la Poer, która wyszła za hrabiego Shrewsfielda i niedługo po ślubie została zamordowana przez męża i jego matkę. Jej mordercy zostali ponoć rozgrzeszeni i pobłogosławieni przez księdza, wyznawszy mu rzeczy, których nie ośmielili się wyjawić światu.

Te mity i ballady, jakkolwiek stanowiły typowy wytwór prostackich zabobonów, wielce mnie wzburzyły. Szczególnie irytujące były ich trwałość tudzież to, że dotyczyły tak długiej linii moich przodków. Gdy czytałem o przypisywanych im potwornościach, nawiedziło mnie nieprzyjemne wspomnienie skandalu, jaki wywołał jeden z mych nieodległych protoplastów, kuzyn Randolph Delapore z Carfaksu – młodzieniec ów, wróciwszy z wojny z Meksykiem, zbratał się mianowicie z Murzynami i został kapłanem wudu.

Znacznie mniej wstrząsnęły mną inne, nieco mglistsze opowieści: o lamentach i zawodzeniach, jakie słychać było niekiedy w smaganej wiatrem

dolinie u stóp wapiennego urwiska; o cmentarnych fetorach, które czuć było po wiosennych deszczach; o tym, jak sir John Clave, jadąc konno pewnej nocy przez ustronne pole, stratował nieopatrznie szamoczącą się z kwikiem białą istotę; o służącym, który postradał zmysły, ujrzawszy coś w świetle dnia w zamkowych wnętrzach. Byłem podówczas zawołanym sceptykiem, toteż odrzuciłem je z miejsca jako bajania przesądnego gminu. Trudniej było zbagatelizować wzmianki o zaginionych chłopach, choć zważywszy na panujące w średniowieczu obyczaje, nie miały one raczej kluczowego znaczenia. Karą za wścibstwo w tamtych czasach była śmierć – jakoż i niejedną ciekawską głowę zatknięto na nieistniejących już dziś bastionach wokół Exham Priory.

Niektóre opowieści były niezmiernie malownicze; zacząłem wręcz żałować, że w młodości nie posiadłem większej wiedzy z dziedziny mitologii porównawczej. Wierzono na przykład, że każdej nocy nad zamkiem gromadzi się legion nietoperzoskrzydłych diabłów i przewodzi sabatowi czarownic; a musiał to być legion liczny i żarłoczny, bo tylko tak można wytłumaczyć wielką obfitość warzyw uprawianych w olbrzymich zamkowych ogrodach. Najbardziej wszakże sugestywna i dramatyczna była opowieść o szczurach – plugawej, wychudzonej, wygłodniałej armii, która trzy miesiące po zbrodni Waltera de la Poer wynurzyła się z opustoszałego zamku – obmierzłej, nienasyconej armii, jaka z rozmrowionym po tysiąckroć tupotem ruszyła przez wioski, pożerając wszystko, co stanęło jej na drodze: ptactwo, koty, psy, wieprze, owce, a nawet dwoje nieszczęsnych ludzi. To niezapomniane, epickie zdarzenie obrosło całym cyklem mitów, szczurze plugastwo rozproszyło się bowiem po chałupach, siejąc postrach i grozę wśród wieśniaków.

Takimi właśnie nasiąkałem klechdami, gdy ze starczym uporem niosłem na swych barkach brzemię odbudowy rodowego gniazda. Nie należy sądzić, iżby wpłynęły one znacząco na moją psychikę – wręcz przeciwnie, kapitan Norrys oraz wspomagający mnie w tym dziele historycy wspierali mnie nieustającą pochwałą i zachętą. Odbudowa trwała przeszło dwa lata. Kiedy ukończono ostatnie roboty, jąłem przechadzać się po wielkich komnatach i podziwiać obite boazerią ściany, sklepione sufity, kwaterowe okna, szerokie schody – i rozpierała mnie duma z nawiązką wynagradzająca bajońskie sumy wydane na odbudowę. Wszystkie atrybuty średniowiecznej architektury zostały zmyślnie zrekonstruowane, nowe części zespolono idealnie z pierwotnymi ścianami i fundamentami. Siedlisko mych praojców było ukończone – i nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie mój ród, we mnie mający ostatniego przedstawiciela, odzyska dobre imię w swych ojczystych stronach. Postanowiłem, że zamieszkam w Exham Priory na stałe i udowodnię, że ten, kto nosi nazwisko de la Poer (przywróciłem bowiem pisownię oryginalną), wcale nie musi być potworem. W dobrym samopoczuciu umacniało mnie być może również i to, że choć zamek zrekonstruowałem wedle średniowiecznych planów, cały wystrój wnętrza był zupełnie nowy, wolny od szczurzego plugastwa i dawnych upiorów.

Jak już wspomniałem, do zamku wprowadziłem się 16 lipca 1923 roku. Wraz ze mną zamieszkało siedmioro służących oraz dziewięcioro

przedstawicieli gatunku, w którym mam szczególne upodobanie – czyli kotów. Mój najstarszy kot nosił imię Nigger-Man, miał siedem lat i przyjechał ze mną z mego domu w Bolton, w stanie Massachusetts; pozostałą ósemkę zgromadziłem podczas mego pomieszkiwania u kapitana Norrysa. Przez pięć dni życie w zamku toczyło się z niezmąconym spokojem. Większość czasu poświęcałem na porządkowanie wiadomości o pradziejach swego rodu. Udało mi się dotrzeć do bardzo szczegółowych relacji na temat zbrodni i ucieczki Waltera de la Poer; uznałem, że właśnie ta opowieść niechybnie stanowiła treść rodowych zapisków, które przepadły w pożarze Carfaksu. Mojego przodka oskarżono mianowicie – i to raczej zasadnie – o to, że zamordował we śnie wszystkich swych domowników, z wyjątkiem czterech służących będących z nim w zmowie; uczynił to zaś ponoć dwa tygodnie po dokonaniu pewnego wstrząsającego odkrycia, które całkowicie odmieniło jego postępowanie, lecz którego w bezpośrednich słowach nie wyjawił nikomu – chyba że służbie będącej wspólnikami zbrodni i towarzyszącej mu w ucieczce za ocean.

Dokonaną z rozmysłem rzeź, której ofiarą padli ojciec, trzej bracia i dwie siostry Waltera, wieśniacy przyjęli z dużą pobłażliwością, prawo zaś zajęło się nią tak opieszale, że sprawca, nie ponosząc żadnego uszczerbku na ciele i honorze – ba, nie ukrywając nawet swej tożsamości – rychło zbiegł do Wirginii. W Anchester przeważała opinia, że swą zbrodnią Walter oczyścił okolicę z ciążącej na niej od niepamiętnych czasów klątwy. Cóż za odkrycie pchnęło go do tak straszliwego czynu – nie mogłem sobie wyobrazić. Ponure opowieści na temat swej rodziny Walter de la Poer musiał znać od dawna, toteż nie mogły być one bezpośrednią podnietą. Byłżeby on zatem świadkiem przeraźliwego starożytnego rytuału? A może natrafił w zamku bądź jego sąsiedztwie na jakiś tajemny symbol i za jego sprawą doznał zatrważającego objawienia? Dopokąd mieszkał w Anglii, cieszył się opinią młodzieńca nieśmiałego i układnego. W Wirginii nie zhardział ani nie zgorzkniał – wydawał się raczej wylękły i znękany. Wspominał o nim w swym pamiętniku inny szlachcic awanturnik Francis Harley z Bellview – wedle jego świadectwa Walter był człowiekiem wielkiego honoru, delikatnym w obejściu i sprawiedliwym.

Dwudziestego drugiego lipca wydarzył się pierwszy dziwny incydent. Zrazu został raczej zlekceważony, nabrał jednak nadzwyczajnego znaczenia w świetle wypadków późniejszych. Był właściwie tak błahy, że łatwo mógł ujść mej uwadze i zważywszy na okoliczności, mogłem go w istocie zlekceważyć – należy bowiem pamiętać, że z wyjątkiem murów budynek był zupełnie nowy i krzątała się po nim stosownie liczebna służba, toteż nie było żadnych rozsądnych powodów do lęku. Później przypomniałem sobie tylko tyle, że mój stary czarny kot, którego nastroje znam doskonale, nagle zjeżył się w czujnym pogotowiu, i to tak bardzo, że zgoła nie licowało to z jego usposobieniem. Targany niepokojem jął przemierzać komnatę za komnatą, nieustannie obwąchując ściany po części składające się z pierwotnych, gotyckich murów. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że brzmi to trywialnie – jak gdybym snuł banalną opowieść grozy, w której obowiązkowo musi pojawić się pies warczeniem ostrzegający swego pana przed duchem –

wszelako nie mogę tego zdarzenia z czystym sumieniem pominąć.

Nazajutrz jeden ze służących poskarżył się, że wszystkie koty zachowują się bardzo niespokojnie. Gdy przyszedł mi to oznajmić, siedziałem w swym gabinecie na piętrze – wysokiej komnacie o łukowatych sklepieniach, ze ścianami wyłożonymi czarną dębową boazerią i z potrójnym gotyckim oknem wychodzącym dokładnie na jałową dolinę u stóp wapiennego urwiska – i zanim jeszcze skończył mówić, ujrzałem, jak zjeżony Nigger-Man pełznie wzdłuż zachodniej ściany i drapie w nowiutkie boazerie pokrywające starożytny mur. Odparłem służącemu, że stare ściany pewnikiem wydzielają osobliwy zapach czy wyziew, niewyczuwalny dla ludzkich zmysłów, ale drażniący delikatne kocie nozdrza – nawet przez świeże drewniane obicia. Mówiłem to ze szczerym przekonaniem, gdy zaś sługa zasugerował, że może w grę wchodzą raczej szczury bądź myszy, stwierdziłem, że szczurów nie było w zamku od dobrych trzystu lat, okoliczne pola roją się zaś wprawdzie od myszy, lecz trudno przypuszczać, by zapuściły się tak wysoko na zamkowe mury, skoro nigdy wcześniej ich tu nie spotykano. Po południu odwiedziłem kapitana Norrysa, ten zaś zapewnił mnie, że hipoteza o polnych myszach jest zgoła nieprawdopodobna – z całą pewnością nie mogły zagnieździć się w zamku, i to tak znienacka.

Tej nocy, jak zwykle obywając się bez lokaja, udałem się na spoczynek do komnaty, którą obrałem za swą sypialnię. Znajdowała się ona w zachodniej wieży, z gabinetu prowadziły do niej kamienne schody – po części oryginalne – oraz krótka galeria, w całości zrekonstruowana. Komnata miała kolisty kształt, była bardzo wysoka i pozbawiona boazerii – mury zasłonięte były jedynie arrasami, które osobiście wybrałem w Londynie. Upewniwszy się, że jest ze mną Nigger-Man, zamknąłem ciężkie gotyckie drzwi i zapaliłem elektryczne lampy, nadzwyczaj zręcznie imitujące świece. Wreszcie zgasiłem światło i spocząłem na mym rzeźbionym łożu, pod rozpiętym na czterech kolumnach baldachimem, z dostojnym kocurem śpiącym jak zwykle w poprzek mych stóp. Nie zaciągnąwszy zasłon, popatrywałem w wąskie północne okno na wprost łóżka. Niebo było rozjarzone jakby zorzą w przyjemny sposób podkreślającą subtelności okiennych maswerków.

W którymś momencie musiałem niepostrzeżenie zapaść w sen, pamiętam bowiem wyraźnie, że gdy wybudzałem się z jakichś dziwnych rojeń, kot zerwał się nagle z miejsca. Widziałem jego sylwetkę na tle bladej zaokiennej poświaty: głowę wyciągnął naprzód, przednie łapy wsparł na mych kostkach, a tylne rozkraczył za sobą. Wpatrywał się intensywnie w jakiś punkt na ścianie, nieco na zachód od okna – punkt ów na moje oko nie wyróżniał się niczym, lecz idąc za przykładem kota, skupiłem na nim teraz całą uwagę. Po chwili wiedziałem już, że Nigger-Man nie niepokoił się na próżno. Czy arras faktycznie się poruszył – nie potrafię orzec; myślę, że tak, leciuteńko. Mogę za to przysiąc, że dobiegł mnie zza niego cichy, stłumiony chrobot szczurów bądź myszy. W mgnieniu oka kot rzucił się wprost z łóżka na ciężką oponę i zdarł ją na posadzkę ciężarem swego ciała, odsłaniając starożytny mur z wilgotnego kamienia – widać było na nim łaty świeżej zaprawy, lecz ani śladu przyczajonych gryzoni. Nigger-Man jął biegać wzdłuż ściany, smagając pazurami zwalony arras, niekiedy usiłując też wcisnąć łapę między ścianę a

dębową podłogę. Nic jednak nie znalazł – i po dłuższej chwili powrócił, znużony, na swe dawne miejsce w nogach łóżka. Ja nawet nie drgnąłem, ale nie zmrużyłem już oka aż do rana.

Rankiem przepytałem całą służbę, lecz nikt nie zauważył niczego niezwykłego – z wyjątkiem kucharki, której utkwiło w pamięci dziwne zachowanie kota śpiącego na parapecie w jej izbie. O jakiejś nieokreślonej porze nocy kot ów jął mianowicie głośno zawodzić; kucharka zbudziła się i w ostatniej chwili zdążyła jeszcze spostrzec, jak zwierzę zrywa się z parapetu, pędem wybiega przez otwarte drzwi i znika na schodach. W południe zażyłem niedługiej drzemki, a po południu ponownie złożyłem wizytę Norrysowi. Kapitan lubował się we wszystkim, co barwne i niezwykłe, toteż dziwaczne incydenty, które mu zreferowałem – tak niepozorne, a zarazem osobliwe – wielce go zaintrygowały i z miejsca przypomniały mu cały bezlik krążących po okolicy niesamowitych legend. Obaj byliśmy szczerze zdumieni, że w zamku zagnieździły się szczury; kapitan pożyczył mi trutkę i kilka pułapek, które zaraz po powrocie kazałem służbie rozmieścić w strategicznych miejscach.

Ponieważ czułem się bardzo niewyspany, wcześnie udałem się na spoczynek, nocą dręczyły mnie jednak najszkaradniejsze sny. Śniłem, że spoglądam z niebotycznych wysokości w głąb spowitej półmrokiem groty pełnej gnoju i widzę, jak unurzany w nim po kolana białobrody demon z laską w ręku pasie stado sflaczałych grzybowatych bydląt, których wygląd napełnił mnie niewysłowioną odrazą. W pewnym momencie pasterz zatrzymał się i skinął głową – na ten znak nieprzeliczony rój szczurów rzucił się z góry w cuchnącą czeluść i jął pożerać jednako stado i pasterza.

Z tej strasznej wizji wybudził mnie znienacka Nigger-Man, który jak zwykle spał zwinięty w nogach łoża. Tym razem nie musiałem już się domyślać, czemu tak burczy i syczy, ani dociekać, dlaczego aż tak się przeląkł, że zatopił odruchowo pazury w mojej łydce – oto bowiem wszystkie ściany komnaty roztętniły się mdlącym dźwiękiem: plugawym, śliskim chrobotem wygłodniałych, gigantycznych szczurów. Tym razem nie było zorzy, która oświetliłaby arrasy – opona zerwana przez kota wróciła już na swoje miejsce – wszelako nie byłem aż tak strwożony, by zapalić światło.

Gdy żarówki rozjarzyły się już jasnym blaskiem, ujrzałem, że zasłaniające ścianę opony rozfalowały się ohydnym drżeniem, przez co zdobiące je figury, utrzymane w cokolwiek osobliwym stylu, ruszyły w przedziwny pląs śmierci. Ruch ten zamarł niemal po chwili, wraz z nim ucichł także dźwięk. Wyskoczyłem z łóżka i dźgnąłem arras długą rękojeścią spoczywającej nieopodal szkandeli, po czym uniosłem róg tkaniny – nie było tam wszakże nic prócz połatanego kamiennego muru; nawet kot stracił swą czujną pewność, że istotnie czai się tam coś nienaturalnego. Sprawdziłem pułapkę – była zatrzaśnięta, lecz cokolwiek się w nią złapało, zniknęło bez śladu.

O spaniu nie było już co marzyć, przeto zapaliłem świecę, otwarłem drzwi i w towarzystwie Nigger-Mana ruszyłem galerią w stronę antycznych schodów prowadzących do mego wielkiego gabinetu. Nim jednak dotarliśmy do kamiennych stopni, kot wyrwał się naprzód i zniknął. Gdy i ja ruszyłem w dół, raptem z komnaty dobiegł mnie dźwięk, którego niepodobna z

czymkolwiek pomylić. Za dębową boazerią wprost roiło się od szczurów: gryzonie kotłowały się ze wstrętnym tupotem, a Nigger-Man biegał wzdłuż ścian miotany wściekłością zdezorientowanego łowcy. Znalazłszy się w gabinecie, zapaliłem światło, tym razem to jednak nie wystarczyło, by uciszyć hałas: szczurze kłębowisko wiło się nieprzerwanie z niesłychaną siłą, a także – jak zdołałem zorientować się po chwili – w określonym kierunku. Stada gryzoni, wyrojone w nieprzeliczonej obfitości, najwyraźniej przemieszczały się z jakichś niewyobrażalnych wyżyn w dół, w wyobrażalną – a może jednak nie – głąb zamkowych piwnic.

W korytarzu usłyszałem kroki; po chwili masywne drzwi otwarły się i w progu stanęło dwóch służących. Biegali właśnie po całym domostwie, usiłując dociec, co sprawiło, że wszystkie koty nagle zjeżyły się, zaburczały i puściły biegiem po długich, krętych schodach do najgłębszej piwnicy, by na koniec przycupnąć, wrzeszcząc przeraźliwie, u zamkniętych wrót. Spytałem, czy słyszeli szczury, lecz słudzy zaprzeczyli; chciałem zwrócić ich uwagę na dźwięki dobiegające zza obić, lecz zdałem sobie sprawę, że wszelki hałas ucichł. Pospołu zeszliśmy do piwnicy, ale kotów już tam nie było. Postanowiłem, że później otworzę drzwi i dokładnie zbadam kryptę, tymczasem zaś ruszyłem na obchód zamku, sprawdzając pułapki. Wszystkie zostały zatrzaśnięte – i wszystkie były puste. Upewniwszy się, że szczury słyszałem tylko ja i moje koty, aż do rana przesiedziałem w gabinecie, dumając głęboko i przypominając sobie wszystkie, najdrobniejsze nawet strzępki legend związanych z zamieszkaną przeze mnie budowlą.

Przed południem zdrzemnąłem się odrobinę, zasiadłszy wygodnie w wielkim fotelu w bibliotece – i takiego bowiem mebla nie pominąłem w mych rekonstrukcyjnych planach. Potem zatelefonowałem do Norrysa. Kapitan zjawił się natychmiast i pomógł mi zbadać piwnicę. Nie odkryliśmy absolutnie nic podejrzanego, nie mogliśmy jednak powstrzymać się od dreszczu podniecenia – zwiedzaliśmy wszak lochy zbudowane rękoma starożytnych Rzymian. Rzymski był każdy łuk niskiego sklepienia, każdy podtrzymujący je filar – mówiąc to, nie mam zaś na myśli zdegenerowanej rzymskiej maniery saksońskich partaczy, lecz surowy, harmonijny klasycyzm ery Cezarów. Przypominały o tym również ściany pokryte inskrypcjami, które w toku niekończących się badań zdołali już rozszyfrować historycy – takie na przykład jak *P. GETAE. PROP… TEMP… DONA… czy L. PRAEC… VS… PONTIFI… ATYS…*

Odwołanie do Atysa przyprawiło mnie o dreszcz, czytałem bowiem Katullusa i wiedziałem co nieco o ohydnych rytach, jakie odprawiano na cześć tego wschodniego boga, silnie powiązanych z kultem Kybele. W świetle latarń usiłowaliśmy z Norrysem odczytać dziwaczne, niemal do cna zatarte zdobienia na nieregularnych, prostokątnych blokach z kamienia, powszechnie uważanych za stoły ofiarne – starania nasze spełzły jednak na niczym. Przypomniało nam się, że jeden z wzorów, coś na kształt słońca w wianuszku promieni, badacze uważali za obcy kulturze rzymskiej; sugerowali, że ołtarze mogły zostać po prostu zaadaptowane przez rzymskich kapłanów, pierwotnie stanowiły zaś część jeszcze starszej, być może tubylczej świątyni. Na jednym z bloków widać było dziwne brązowe

plamy, które uznałem za głęboko zastanawiające. Blok największy, stojący pośrodku izby, na górnej powierzchni nosił znamiona świadczące o tym, że ongiś stykał się z ogniem – być może składano na nim całopalne ofiary.

Takie oto widoki ukazały się naszym oczom w krypcie, pod którą pierwej zawodziły koty i w której wraz z Norrysem postanowiliśmy spędzić noc. Nakazaliśmy służącym, by nie przejmowali się, jeśli nocą koty będą się podejrzanie zachowywać, i znieśli nam na dół kanapy. Do pomocy i towarzystwa wzięliśmy sobie Nigger-Mana. Zdecydowaliśmy, że wielkie dębowe drzwi do piwnicy – replikę starych wrót, zaopatrzoną w szczeliny wentylacyjne – pozostawimy zamknięte na głucho; to uczyniwszy, udaliśmy się na spoczynek, pozostawiając zapalone latarnie, by w razie czego móc szybko zorientować się w sytuacji.

Loch znajdował się w najgłębszych fundamentach zamku, z pewnością jeszcze niżej niż podłoże wapiennego urwiska górującego nad dolinnym pustkowiem. Nie miałem wątpliwości, że właśnie tutaj zmierzają owe niepojęte szczurze hordy, ale czemu tak czynią – nie umiałem orzec. Leżeliśmy na kanapach w czujnym oczekiwaniu, lecz w moje czuwanie rychło jęły wsączać się na wpół senne rojenia – z których budziły mnie niespokojne poruszenia kota jak zwykle leżącego na moich stopach. Rojenia owe nie były bynajmniej niewinne – przeciwnie, był to koszmar podobny do tego, który nawiedził mnie poprzedniej nocy. Raz jeszcze ujrzałem półmroczną grotę, raz jeszcze objawił mi się pasterz i unurzana w gnoju trzoda niewysłowionych grzybowatych bydląt; gdy zaś skierowałem na te stworzenia wzrok, zdało mi się, że są nieco bliżej, że widzę je wyraźniej – tak wyraźnie, że mogę niemal dostrzec ich gęby. Jąłem tedy przyglądać się obwisłej fizjonomii jednego z nich – i zbudziłem się z krzykiem tak głośnym, że Nigger-Man zerwał się na równe łapy, a kapitan Norrys, który nie spał, wybuchnął gromkim śmiechem. Być może uśmiałby się bardziej – a może jednak mniej – gdyby wiedział, co skłoniło mnie do krzyku. Nawet ja nie mogłem sobie tego jednak przypomnieć, przynajmniej na razie. Najskrajniejsza zgroza często poraża pamięć litościwym paraliżem.

Norrys obudził mnie, gdy zaczęły się dziać niepokojące zjawiska. Grążyłem się właśnie po raz kolejny w przeraźliwym śnie, gdy uczułem, że potrząsa mnie delikatnie za ramię i nagli, bym posłuchał kotów. Doprawdy było czego słuchać: za zamkniętymi drzwiami, górującymi u szczytu kamiennych schodów, rozpętywało się właśnie istne pandemonium kocich zawodzeń i chrobotów, a Nigger-Man, nie bacząc na obecność pobratymców, biegał w wielkim podnieceniu wokół kamiennych murów – z murów dobiegał zaś ten sam szczurzy harmider, który tak mnie zaniepokoił poprzedniej nocy.

Uczułem, że narasta we mnie najczystsza zgroza – miałem bowiem przed sobą anomalię, dla której niepodobna było znaleźć normalnego wyjaśnienia. Jeżeli szczury nie były wytworem zwykłego szaleństwa, które dotknęło tylko mnie i moje koty, musiały naprawdę ryć i myszkować w rzymskich murach – jak mniemałem wprzódy – zbudowanych z litych bloków wapienia… A może przez siedemnaście stuleci woda zdążyła wyżłobić w nich tunele, w których z łatwością mieściły się ciała smukłych gryzoni? Lecz wówczas sytuacja nie

byłaby ani na jotę mniej upiorna: jeśli bowiem istotnie w murach roiło się od żywego plugastwa, czemu dźwięk tej obrzydliwej kotłowaniny nie docierał do uszu Norrysa? Czemu kapitan wciąż naglił mnie, bym obserwował Nigger-Mana i posłuchał kotów za drzwiami, czemu nie wiedział, co je niepokoi, tylko snuł jedynie mgliste, szalone domysły?

Nim zdołałem oznajmić mu, co usłyszałem – starając się jak najracjonalniej ważyć słowa – szczurzy tumult zdążył ścichnąć niemal do cna; przemieszczał się zaś wciąż w dół, w jeszcze dalszą głąb; odniosłem wrażenie, że w całym skalnym urwisku pod nami roi się od buszujących szczurów. Wbrew oczekiwaniom Norrys nie odniósł się do moich słów sceptycznie – wręcz przeciwnie, wydawał się głęboko poruszony. Zwrócił uwagę, że koty pod drzwiami już się uspokoiły, jak gdyby pogodzone z tym, że gryzonie czmychnęły bezpowrotnie. Nigger-Man natomiast rozszalał się znów z niepokoju: biegał wokół wielkiej podstawy kamiennego stołu ofiarnego – do którego Norrys miał ze swej kanapy bliżej niż ja – i drapał w nią jak opętany.

Mój lęk przed nieznanym narastał z każdą chwilą. Wydarzyło się coś naprawdę zdumiewającego; zorientowałem się też, że kapitan Norrys – człowiek młodszy, bardziej krzepki, a być może też o bardziej materialistycznych zapatrywaniach – jest poruszony nie mniej niż ja, być może dlatego, że przez całe życie nasiąkał miejscowymi legendami. Na razie nie mogliśmy uczynić nic; patrzyliśmy tylko, jak mój stary czarny kocur ze słabnącą werwą drapie w podstawę ołtarza, co pewien czas spoglądając na mnie i miaucząc nagląco – zupełnie jakby dopraszał się ode mnie jakiejś przysługi.

Norrys wziął wreszcie latarnię, przybliżył do kamiennego bloku i obejrzał miejsce, gdzie drapał Nigger-Man; potem ukląkł bez słowa i zeskrobał wielowiekową warstwę mchu, która spoiła masywny prehistoryczny blok z mozaikową posadzką. Nie znalazł jednak niczego i już miał zaprzestać dalszych prób, gdy uwagę moją przykuła pewna okoliczność; w zasadzie była to okoliczność trywialna, nie wynikało z niej nic ponad to, czego już pierwej się domyślałem, a przecież nie mogłem powstrzymać dreszczu zgrozy. Podzieliłem się moją obserwacją z Norrysem i obaj jęliśmy przyglądać się nieuchwytnemu niemal zjawisku zahipnotyzowani niezwykłością naszego odkrycia i najzupełniej pewni, że oczy nas nie mylą. Wyglądało ono następująco: gdy zbliżaliśmy latarnię do ołtarza, płomień zaczynał leciuteńko, lecz wyraźnie migotać, poruszony prądem powietrza – żywszym niż zastałe piwniczne powietrze, a dobywającym się ponad wszelką wątpliwość ze szczeliny między posadzką a kamienną podstawą, którą nieświadomie odsłonił Norrys, zdrapując warstwę mchu.

Resztę nocy spędziliśmy w rzęsiście oświetlonym gabinecie, debatując nerwowo, co czynić dalej. Odkrycie, że popod najgłębszymi rzymskimi fundamentami znajdują się jeszcze jakieś lochy – których istnienia nie domyślili się najdociekliwsi nawet historycy ostatnich trzech stuleci – było już dość ekscytujące samo w sobie, jego wagę potęgowały zaś jeszcze posępne dzieje zamku. Byliśmy przeto zafascynowani w dwójnasób; wahaliśmy się też, co robić: czy poniechać dalszych poszukiwań i z

zabobonną ostrożnością porzucić zamek na zawsze, czy też zaspokoić naszą awanturniczą żyłkę i śmiało zmierzyć się z okropnościami, które być może czekają na nas w nieodkrytej ciemnicy. Nim wstał świt, doszliśmy do porozumienia. Postanowiliśmy, że udamy się do Londynu i zbierzemy stosowną grupę archeologów i ludzi nauki zdolnych do zmierzenia się z odkrytą przez nas tajemnicą. Muszę też nadmienić, że zanim opuściliśmy piwnicę, próbowaliśmy przesunąć ów centralny ołtarz będący – wiedzieliśmy to już na pewno – bramą do siedliska nieznanej, niewysłowionej trwogi; nasze starania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Sekret otwarcia owej bramy musieliśmy pozostawić mędrszym od nas badaczom.

W Londynie spędziliśmy z kapitanem Norrysem wiele dni; zgromadzone przez nas fakty, domysły i gminne bajania przedstawiliśmy pięciu znakomitym, a przy tym zaufanym autorytetom – ludziom umiejącym zachować w tajemnicy rodzinne sprawy, które mogą wyjść na jaw w trakcie badań. Większość z nich na szczęście nie wykpiła naszych domniemań, przeciwnie – okazała żywe zainteresowanie i szczerą życzliwość. Nie ma chyba potrzeby ich wszystkich wymieniać, mogę tylko powiedzieć, że znalazł się wśród nich sir William Brinton, którego wykopaliskami w Troadzie w swoim czasie ekscytował się cały świat. Gdy wyjeżdżaliśmy pociągiem w stronę Anchester, czułem, że jestem o krok od zatrważających rewelacji; wrażenie to podkreślał symbolicznie żałobny smutek panujący wśród Amerykanów, spowodowany wieścią o nagłym zgonie prezydenta.

W Exham Priory wylądowaliśmy wieczorem 7 sierpnia. Słudzy oznajmili, że podczas mej nieobecności nie wydarzyło się nic niezwykłego. Koty, nie wyłączając starego Nigger-Mana, zachowywały niezmącony spokój, nietknięte pozostały też wszystkie pułapki. Badania zamierzaliśmy rozpocząć nazajutrz; resztę dnia poświęciłem na rozlokowanie gości w specjalnie przygotowanych pokojach. Sam jak zwykle spocząłem u siebie w wieży, z Nigger-Manem leżącym na mych stopach. Zasnąłem szybko, lecz nękały mnie ohydne sny. Tym razem wyśniłem sobie rzymską biesiadę, wyuzdaną niby uczta Trymalchiona, z jakąś potwornością podaną w krytym półmisku. Potem znów ujrzałem przeklętą wizję z pasterzem i jego ugnojonym stadem w oćmionej grocie. Obudziłem się wszakże dopiero późnym rankiem i usłyszałem jedynie odgłosy zwyczajnej, codziennej krzątaniny. Nie niepokoiły mnie szczury, ani żywe, ani te widmowe, Nigger-Man pogrążony był w błogim śnie. Schodząc na dół uczułem, że mój spokój przejęło całe domostwo; gdy podzieliłem się tym wrażeniem z mymi gośćmi, jeden z nich – niejaki Thornton, zamiłowany mediumista – cokolwiek absurdalnie odparł, że dzieje się tak zapewne dlatego, iż pewne siły objawiły mi wreszcie przeznaczoną mi wizję.

Wszystko było już przygotowane, toteż o godzinie jedenastej zebraliśmy się całą siedmioosobową grupą, uzbroiliśmy w potężne elektryczne reflektory i sprzęt do wykopalisk, po czym zeszliśmy do piwnicy i zaryglowaliśmy za sobą drzwi. Towarzyszył nam Nigger-Man, nasi naukowcy bowiem nie mieli jeszcze okazji, by zaobserwować jego pobudzenie, i domagali się wręcz, by nam towarzyszył – na wypadek gdyby szczury znów rozpoczęły swe tajemnicze pochody. Rzymskim napisom i nieznanym zdobieniom na

kamiennych blokach nie poświęciliśmy wiele uwagi, spośród naszej ekipy trzej uczeni widzieli je bowiem już wprzódy, pozostali zaś znali je z opisów. Głównym przedmiotem naszego zainteresowania był ołtarz główny – i nie minęła godzina, a sir William Brinton odkrył zasadę, podług której wyważono ów ciężki kamienny blok, i zdołał przechylić go do tyłu.

Czyniąc to, odsłonił przed naszymi oczyma widok tak przerażający, że gdybyśmy nie byli nań przygotowani, padlibyśmy chyba na ziemię jak rażeni gromem. Przez kwadratowy otwór w posadzce widać było kamienne schody, tak wyślizgane, że pośrodku została z nich już niemal równa pochylnia – pokrywało je zaś upiorne usypisko ludzkich bądź półludzkich kości. Roiło się na nich od śladów szczurzych zębów, gdzieniegdzie zachowały się też jeszcze całe szkielety zastygłe w panicznej trwodze. Kształt i wielkość czaszek wskazywały jednoznacznie, że ich właściciele nie wyrastali ponad poziom skrajnego kretynizmu czy wręcz prymitywnego, na poły małpiego idiotyzmu. Nad piekielnymi schodami wznosiło się łukowate sklepienie, najwyraźniej wykute w litej skale. Z otworu płynął wyraźny prąd powietrza – nie był to jednak smrodliwy wyziew, jaki zwykle bucha z otwartego lochu, lecz chłodny powiew niepozbawiony swoistej świeżości. Nie ociągając się zbytnio, drżącymi rękoma jęliśmy torować sobie drogę wśród kości. Sir William, który przyglądał się bacznie kutym ścianom, poczynił wówczas dziwaczne spostrzeżenie, że sądząc po kierunku uderzeń kilofów, musiały one zostać wyrżnięte od dołu.

Muszę teraz starannie i z rozmysłem dobierać słowa.

Odkopawszy spod ogryzionych kości kilka schodków, ujrzeliśmy przed sobą światło – i to bynajmniej nie żadną mistyczną poświatę, tylko stłumione, acz wyraźne światło dzienne, najpewniej sączące się przez nieodkryte dotąd spękania w urwisku górującym nad jałową doliną. To, że nikt dotąd takich spękań nie odkrył, nie było niczym nadzwyczajnym: dolina jest zupełnie niezamieszkana, a urwisko tak wysokie i nachylone, że dokładnie dałoby się je zlustrować jedynie z pokładu aeroplanu. Znów postąpiliśmy parę schodków w dół – i to, cośmy ujrzeli wówczas, dosłownie zaparło nam dech. Thornton, badacz mediumista, osunął się bez zmysłów prosto w ramiona oszołomionych uczonych, którzy szli za nim; Norrysowi, którego pulchne oblicze rozciągnęło się w obwisłą, bladą maskę, wyrwał się jedynie nieartykułowany okrzyk; ja zaś chyba jęknąłem tylko, bądź syknąłem, i zakryłem oczy. Uczony idący moim śladem – jedyny z naszej siódemki, który był starszy ode mnie – wykrztusił tylko banalne „o mój Boże!”, uczynił to wszakże najbardziej ochrypłym głosem, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć. Spośród siedmiu statecznych, wykształconych mężczyzn jedynie sir William zachował zimną krew – tym większe zaś należy mu się uznanie, że szedł na samym czele i ujrzał wszystko pierwszy.

Przed nami, dalej niźli sięgał wzrok, rozciągała się ośmiona, niebotycznie wysoka grota. Ten podziemny świat, bezkreśnie tajemniczy i nasuwający na myśl najstraszliwsze skojarzenia, wypełniały budowle i inne ułomki dawnej architektury – w jednym mgnieniu strwożonego oka dostrzegłem niesamowicie ułożone kurhany, stojące w barbarzyńskim kręgu obeliski, nisko sklepione ruiny rzymskie, rozległe rumowiska z czasów saksońskich,

wreszcie staroangielski gmach z drewnianych bali – wszystko to wszakże nie mogło się równać z diabolicznym widokiem, jaki przedstawiało dno samej groty. U stóp schodów ścieliły się bowiem w szaleńczym rozsypisku ludzkie kości – przynajmniej tak samo ludzkie jak te, którymi usłane były stopnie. Piętrzyły się bieliście niby fale spienionego morza, niektóre osobno, inne zaś jako nierozpadłe jeszcze do cna kościotrupy; te ostatnie zastygłe były w demonicznie obłąkańczych pozach: broniły się przed jakimś zagrożeniem bądź wpijały się ludożerczo w swoich towarzyszy.

Gdy nasz antropolog doktor Trask przystąpił do badania i klasyfikowania czaszek, orzekł z niekłamanym zdumieniem, że stanowią one wyjątkowo zwyrodniałą mieszaninę gatunków. Większość czerepów była prymitywna, ich właściciele stali na niższym szczeblu ewolucyjnej drabiny aniżeli człowiek z Piltdown, wszyscy jednak bez wątpienia byli ludźmi. Wiele było też typów wyżej rozwiniętych, znalazło się również nieco czaszek, które musiały należeć do osobników prawdziwie inteligentnych i wrażliwych. Wszystkie kości były pogryzione, przeważnie przez szczury, ale też przez pobratymców bądź jeszcze inne, półludzkie kreatury. Między nimi walały się drobniutkie kosteczki szczurów – padłych członków śmiercionośnej armii, która położyła kres epicznym dziejom tych prastarych lochów.

Zaprawdę to dziwne, żeśmy dokonawszy tego ohydnego odkrycia, uszli w ogóle z życiem i o zdrowych zmysłach. Żaden Hoffmann, żaden Huysmans nie zdołałby wymyślić czegoś bardziej niewiarygodnie szaleńczego, frenetycznie odpychającego i gotycko groteskowego niźli grota, przez którą brnęliśmy właśnie w półmroku – z każdym krokiem natykając się na coraz obłędniejsze rewelacje i starając się nie myśleć o tym, co też musiało się w niej dziać onegdaj: przed trzystu laty – przed tysiącem – przed dwoma, dziesięcioma tysiącami lat. Był to istny przedsionek piekła – a biedny Thornton zemdlał po raz wtóry, gdy Trask oznajmił, że część umarłych istot już od dobrych dwudziestu pokoleń zdegenerowana była do poziomu istot czworonożnych…

Groza wzmogła się do niesłychanych granic, gdy poczęliśmy analizować resztki budowli. Istoty czworonożne, tu i ówdzie uzupełnione dwunogami, trzymane były w kamiennych kojcach, i najwidoczniej w końcu wyrwały się z nich doprowadzone do obłędu przez głód bądź lęk przed szczurami. Były ich stada nieprzeliczone, tuczono je zaś najpewniej warzywami – trujące resztki kisiły się jeszcze na dnie olbrzymich kamiennych kadzi starszych chyba niż Rzym. Nareszcie się dowiedziałem, czemu moi przodkowie uprawiali tak rozległe ogrody! O niebiosa, gdybym mógł wymazać sobie tę wiedzę z pamięci! W jakim celu hodowano te stada – doprawdy nie musiałem już pytać.

Sir William stanął z reflektorem pośród rzymskich ruin i odczytał na głos opis najbardziej wstrząsającego rytuału, o jakim zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć; objaśnił nam też, czym żywili się członkowie odprawiającej go przedpotopowej sekty – sekty, z którą połączyli się później kapłani Kybele, tworząc jeden, wspólny kult. Norrys, jakkolwiek w okopach Wielkiej Wojny przywykł był do najróżniejszych okropności, ledwie trzymał się na nogach, gdy wyszedł z angielskiego budynku. Tak jak się spodziewał,

znalazł tam jatkę i kuchnię; wszelako ujrzeć w takim miejscu znajome, angielskie sprzęty kuchenne i znajome angielskie napisy na ścianach, wykonane nawet jeszcze w 1610 roku – tego było już dlań zbyt wiele. Nie odważyłem się tam wejść – nie chciałem oglądać śladów diablich poczynań, którym położył kres dopiero sztylet mego przodka Waltera de la Poer.

Przemogłem się natomiast, by wejść do ruin z czasów saksońskich, niskiego budynku o zwalonych dębowych drzwiach. Wewnątrz odkryłem straszliwy szereg dziesięciu kamiennych cel o zardzewiałych kratach. W trzech znajdowały się jeszcze szkielety więźniów – ludzi na wysokim poziomie rozwoju – na jednym z kościanych palców znalazłem zaś sygnet z pieczęcią mego rodu. Pod kaplicą rzymską sir William odkrył jeszcze starsze cele, lecz zupełnie puste. Pod nimi znajdowała się niska krypta ze skrzyniami pełnymi starannie ułożonych kości; niektóre skrzynie pokryte były straszliwymi inskrypcjami wyrżniętymi po łacinie, grecku i w języku Frygów. Doktor Trask dostał się tymczasem do wnętrza jednego z kurhanów i wydobył kolejne czaszki, niewiele bardziej ludzkie niźli czaszki goryli i porżnięte nieczytelnymi ideogramami. Mój kot przechadzał się wśród tych okropności statecznie i niewzruszenie. W pewnej chwili spostrzegłem, że przycupnął potwornie na szczycie wielkiego stosu kości – i zadumałem się, jakie też sekrety mogą kryć się w jego żółtych ślepiach.

Zaznajomiwszy się przynajmniej odrobinę z zatrważającymi rewelacjami, które objawiły się naszym oczom w spowitej półmrokiem części groty – zwiastowanymi mi ohydnie w nawracających snach – ruszyliśmy dalej w bezkresną, zdawałoby się, wypełnioną mrokiem najczarniejszej nocy głąb, nietkniętą najniklejszym nawet promykiem światła ze szczelin urwiska. Nigdy już nie poznamy stygijsko mrocznych światów, jakie kryją się w tej czeluści – przeszedłszy niewielki kawałek, uznaliśmy bowiem, że ludzkość nie powinna znać jej sekretów. A przecież i tak dość się napatrzyliśmy: ledwie zanurzyliśmy się w mrok, światło naszych reflektorów odsłoniło przed naszymi oczyma przeklęte, nieprzeliczone skupisko głębokich wykopów, w których niegdyś zwykły ucztować szczury; gdy owe wykopy nagle przestały się zapełniać, wygłodniała armia gryzoni zrazu zaatakowała ludzką trzodę konającą z głodu w kojcach, a potem wyrwała się z zamku i rozpętała historyczną orgię zniszczenia po dziś dzień pamiętaną przez miejscowych chłopów.

Boże mój, Boże! Bodajbym nie ujrzał nigdy tych koszmarnych dołów wypełnionych stosami ludzkiego ścierwa – poprzerzynanych, ogryzionych szkieletów i rozłupanych czaszek… kości pitekantropów, Celtów, Rzymian, Anglików, nagromadzonych z biegiem nieprzeliczonych, bluźnierczych stuleci! Niektóre jamy były pełne po brzegi – a kto wie, jak głęboko ongiś sięgały? Inne ziały na nas w świetle reflektorów bezdenną czernią i zamieszkiwał je tylko tłum naszych niewysłowionych rojeń. Cóż stało się z nieszczęsnymi szczurami – pomyślałem – które przemierzając w nieprzebitym mroku ten potworny Tartar, powpadały do takich pułapek?

W pewnej chwili stopa omsknęła mi się tuż obok straszliwej krawędzi jednego z tych dołów i przeżyłem chwilę ekstatycznej trwogi. Musiałem się głęboko zadumać, bo gdy się rozejrzałem, w zasięgu wzroku nie było już

nikogo prócz pulchnego kapitana Norrysa. Potem z bezbrzeżnej, czarnej jak atrament dali doszedł mnie dźwięk, który wydał mi się znajomy; w tej samej chwili mój stary czarny kot śmignął obok mnie, niczym skrzydlaty egipski bóg, prosto w bezbrzeżną czeluść nieznanego. Niewiele mnie jednak wyprzedził – wahałem się tylko przez chwilę. Dźwiękiem, który usłyszałem, był bowiem upiorny tupot szczurów, nieutrudzonych w ściganiu nowych zgróz – diablego pomiotu wiodącego mnie uparcie coraz dalej i dalej, do samego środka Ziemi, wprost w paszcze jaskiń, gdzie Nyarlathotep, szalony bóg bez twarzy, zawodzi bezrozumnie do wtóru dwóch bezkształtnych flecistów idiotów.

Mój reflektor zgasł, lecz nie ustawałem w biegu. Słyszałem głosy, słyszałem wycia, słyszałem echa – lecz ponad wszystko wznosił się delikatnie ów bezbożny, zdradliwy tupot; narastał i narastał, delikatnie, tak samo delikatnie, jak odęty, sztywny trup wznosi się nad tonią oleistej rzeki płynącej pod łukami nieprzeliczonych onyksowych mostów ku czarnemu, smrodliwemu morzu. Coś na mnie wpadło, coś miękkiego i pulchnego; na pewno szczury – lepka, galaretowata, nienasycona armia, która ucztuje na ciałach żywych i umarłych… Czemu szczury nie miałyby pożreć de la Poera, skoro de la Poer pożera to, czego żreć zakazano? Wojna pożarła mego syneczka, niechby ich wszystkich diabli… jankeski ogień pożarł Carfax, spalił seniora rodu Delapore'ów i naszą tajemnicę… Nie, nie, mówię wam przecież, to nie ja byłem tym demonem, który pasł swoją trzodę w oćmionej grocie! Ten sflaczały, grzybowaty stwór wcale nie miał tłustej gęby Edwarda Norrysa! Kto mówi, że jestem z rodu de la Poerów? On przeżył – a mój syneczek zginął!… Czy Norrysowie przejmą ziemie de la Poerów?… To wudu, mówię wam… ten plamisty wąż… Niech cię szlag, Thornton, już ja cię nauczę mdleć na widok uczynków mego rodu!… Na rany Krysta, wemknę-ć ia te krzyki do garła… mam-że iak ony obrać się za ciebie, śmierdzielu?… *Magna Mater! Magna Mater!… Atys… Dia ad aghaidh 's ad aodann… agus bas dunach ort! Dhonas 's dholas ort, agus leat-sa!*[*]*… Ungl… ungl… rrrlh… chchch…*

Ponoć takie właśnie słowa usłyszeli z mych ust pozostali odkrywcy, gdy po trzech godzinach poszukiwań znaleźli mnie w mroku. Znaleźli mnie skulonego nad pulchnym, na wpół pożartym ciałem kapitana Norrysa; mój kot skakał mi z pazurami do gardła. Exham Priory zostało zburzone, Nigger-Mana mi zabrano, a ja siedzę zamknięty w zakratowanym pokoju w przytułku Hanwell i słucham trwożliwych plotek na temat mych przodków i ich wyczynów. W sąsiednim pokoju siedzi Thornton, ale nie dopuszczają mnie do niego. Usiłują też zataić większość ustaleń dotyczących zamku. Kiedy wspominam o nieszczęsnym Norrysie, oskarżają mnie o ohydny postępek, ale przecież na pewno wiedzą, że nie ja to zrobiłem. Na pewno wiedzą, że to szczury – szmerliwe, rozbiegane szczury, których tupot już nigdy nie pozwoli mi zasnąć – diabelskie szczury, które myszkują za obiciami mej izolatki i wabią mnie do kolejnych potworności, większych niż mi się śni – szczury, których prócz mnie nikt nigdy nie usłyszy – szczury – szczury w murach.

* Fragment pisany po gaelicku w zamyśle autorskim miał pozostać niezrozumiały, lecz skoro S.T. Joshiemu, biografowi i badaczowi Lovecrafta, udało się dotrzeć do jego źródła, godzi się za nim wyjaśnić: Lovecraft przepisał te słowa z noweli The Sin-Eater („Zjadacz grzechów”) szkockiego pisarza Williama Sharpa, opublikowanej w 1895 r. pod pseudonimem Fiona Macleod. Sharp opatrzył swoją nowelę przypisem, tłumacząc sens tych słów następująco: „Oby cię Bóg pokarał... obyś sczezł w bólu i zgryzocie, przeklęty... na pohybel tobie i twoim bliskim...”.

Więcej na: www.ebook4all.pl

# Święto

Efficiunt Daemones, ut quae non sunt,

sic tamen quasi sint, conspicienda hominibus exhibeant.*

Laktancjusz

Byłem daleko od domu – i stało się, że wschodnie morze rzuciło na mnie swój czar. O zmierzchu posłyszałem, jak bije o skały, i pojąłem, że jest blisko, tuż za wzgórzem, na którym pokrzywione wierzby wiły się na tle czystego nieba i pierwszych gwiazd wieczoru. A ponieważ leżało tam też miasto, do którego już wprzódy wzywali mnie ojcowie, ruszyłem zapadłą drogą ku szczytowi wzniesienia, tam gdzie śród drzew łyskał Aldebaran; przez płytki, świeży śnieg ruszyłem do wiekowego miasteczka – nigdy go pierwej nie wiedziałem, lecz często o nim śniłem.

Był to czas Yuletide. Ludzie nazywają go Bożym Narodzeniem, choć w głębi duszy wiedzą, że jest starszy niż Betlejem czy Babilon, starszy niż Memfis, starszy niż ludzkość. Był to czas Yuletide, a ja wreszcie zmierzałem do wiekowego portowego miasteczka, w którym moi krajanie od wieków obchodzili Święto. Obchodzili je w dawnych czasach, gdy było zakazane; jakoż i przykazali swym synom: niechaj raz na stulecie oni także je obchodzą, aby nie zginęła pamięć o najpierwszych sekretach. Starzy byli ci moi krajanie, starzy byli już przed trzystu laty, gdy do ich brzegu przybili pierwsi osadnicy. I dziwni byli ci moi krajanie, przybyli tu bowiem jako smagły, skryty lud z ogrodów południa, odurzających wonią orchidei, i mówili wówczas innym językiem niż ów, którego nauczyli się od błękitnookich rybaków. A teraz rozproszyli się po świecie; i tylko to ich jeszcze łączyło, że odprawiają misteria i rytuały niepojęte dla żywych. Tej nocy prócz mnie nie było zaś nikogo, kto posłuszny legendzie wróciłby do starego rybackiego miasteczka – albowiem pamiętają tylko ci, co są samotni i ubodzy.

Wreszcie zza garbu wzniesienia wyłoniło się Kingsport, mroźnie roziskrzone w gęstniejącym zmroku – zaśnieżone Kingsport pełne prastarych iglic, kalenic, kominów z nadstawkami i kurków na dachach, nabrzeży i mostków, wierzb i cmentarzy – niekończący się labirynt uliczek, stromych, wąskich i krętych, z górującą pośrodku wieżycą kościoła, którego nie

ośmielił się nadkruszyć ząb czasu – niezgłębiony gąszcz kolonialnych domów, nieporządnie nawarstwiony, pokrzywiony na wsze strony niby stos dziecięcych klocków – mansardowe dachy pobielone ręką zimy i otulone szarym skrzydłem zamierzchłości – naświetla i okna o maleńkich szybkach rozbłyskujące po kolei w zimnym zmroku światłami domowych ognisk, jak gdyby chciały dołączyć do Oriona i archaicznych gwiazd. O butwiejące nabrzeża rozbijały się zaś fale morza – tajemnego, niepamiętnego morza, z którego przed wiekami wyszli ludzie.

Przy drodze, ze wzgórza wyrastał pagór jeszcze wyższy; posępny był, nagi, wysmagany wiatrem, i poznałem, że jest na nim cmentarz – ujrzałem bowiem czarne nagrobki wychynięte upiornie spod śniegu niczym gnijące palce gigantycznego trupa. Na drodze nie widać było żywej duszy. Niekiedy zdawało mi się, że w oddali coś straszliwie poskrzypuje, jakby chwiejąca się na wietrze szubienica. W roku 1692 czworo mych pobratymców powieszono za czary; lecz gdzie to się zdarzyło – nie wiedziałem.

Gdy schodziłem już ku morzu, z każdym zakrętem coraz bardziej wytężałem słuch, spodziewając się radosnej wieczornej wrzawy – nie usłyszałem wszakże nic zgoła. Wszelako – pomyślałem sobie – jest to czas świąteczny; może stary purytański ludek ma własne, dziwaczne dla mnie zwyczaje, może czci Boże Narodzenie, siedząc przy kominku z cichą modlitwą na ustach? Przestałem tedy nasłuchiwać świątecznego gwaru i wypatrywać miejscowych wesołków, szedłem dziarsko naprzód, zostawiając za sobą ciche, rozjarzone światłem farmy tudzież prastare sklepiki i tawerny: cieniste kamienne mury, szyldy poskrzypujące w powiewach słonej bryzy, ganki z kolumnami i groteskowe kołatki łyskające w świetle sączącym się z małych, zasłoniętych okien na wyludnione niebrukowane podwórza.

Plany miasta widziałem już pierwej, wiedziałem więc, gdzie znajdę dom moich krewnych. Powiedziano mi, że rozpoznają mnie i ugoszczą, albowiem wiejskie legendy mają długi żywot; przez Back Street dotarłem tedy do Circle Court, jedynego kompletnie wybrukowanego placu w mieście, teraz zasypanego dziewiczym wciąż śniegiem, po czym za gmachem targowym skręciłem w zaułek Green Lane. Stare mapy nie straciły na aktualności, nie zmyliłem więc drogi; w Arkham chyba mi jednak nakłamano, że do Kingsport jeżdżą tramwaje – nie zauważyłem bowiem wcale tramwajowych przewodów. Nie widziałem również szyn, choć te mógł zasypać śnieg. Byłem rad, że zdecydowałem się iść pieszo – ze szczytu wzgórza zaśnieżona mieścina wyglądała przepięknie; teraz zaś spieszno mi było, by zapukać do drzwi moich ziomków. Mieszkali przy Green Lane, w siódmym domu po lewej; budynek miał prastary kalenicowy dach i piętro wysunięte nad ulicę, powstał zaś jeszcze przed 1650 rokiem.

W środku paliło się światło, sądząc zaś po rombowych oknach dom musiał zachować się w nieledwie pierwotnym stanie. Górna kondygnacja chyliła się nad wąską, zachwaszczoną uliczką, niemal stykała się z piętrem domu naprzeciwko, toteż stojąc przed niskim kamiennym progiem, zgoła wolnym od śniegu, czułem się prawie jak w tunelu. W zaułku nie było chodnika, za to wiele domów miało wysokie podmurówki, więc do drzwi wejściowych wchodziło się po podwójnych biegach schodów z żelaznymi balustradami. Był

to widok przedziwny; nigdy wcześniej nie bywałem w Nowej Anglii, nie widziałem tedy jeszcze czegoś podobnego. Miasteczko przypadło mi nawet do gustu, wszelako spodobałoby mi się bardziej, gdybym dostrzegł w śniegu jakiekolwiek ślady, gdybym spotkał na ulicach choćby garstkę ludzi, gdyby choć kilka okien nie było szczelnie zasłoniętych.

Gdy zastukałem archaiczną żelazną kołatką, ogarnął mnie nieuchwytny lęk. Narastał we mnie już od dłuższej chwili. Czego się bałem? Może tego, że mam tak dziwnych przodków, że tak posępny jest wieczór, że tak dziwaczna jest cisza, że tak osobliwe zwyczaje panują w tej sędziwej mieścinie? Gdy zaś moje pukanie przyniosło spodziewany skutek, lęk ów wzrósł we mnie i zgęstniał, albowiem nim skrzypnęły otwierane drzwi, nie posłyszałem za nimi żadnych kroków. Wszelako nie lękałem się długo: otworzył mi staruszek w szlafroku i kapciach, o twarzy tak łagodnej, że aż odetchnąłem z ulgą; pokazał wprawdzie na migi, że jest głuchy, miał jednak ze sobą woskową tabliczkę i rysik, i skreślił mi na niej pradawne, staroświeckie powitanie.

Skinieniem ręki zaprosił mnie do niskiego pokoju o potężnych, odsłoniętych belkach stropu i nielicznych meblach, ciemnych i niewygodnych, najwyraźniej jeszcze siedemnastowiecznych. W blasku świec widziałem, że przeszłość wciąż jest w nim żywa – zaprawdę, nie brakło ani jednego jej atrybutu. Był tam przepaścisty kominek, a nawet kołowrotek – garbiła się przy nim, odwrócona plecami do wejścia, milcząca staruszka w luźnej podomce i wielkim staroświeckim czepku, i choć czas był świąteczny, przędła zapamiętale. W pokoju panowała nieokreślona wilgoć, toteż zdumiałem się, że w kominku nie pali się ogień. Po lewej stronie, na wprost zasłoniętych okien stała ława z wysokim oparciem; zdało mi się – acz pewności nie miałem – że ktoś na niej siedzi. Nie wszystko, co ujrzałem w pokoju, przypadło mi do gustu, przeto powrócił mój uprzedni lęk. Główną jego przyczyną było teraz coś, co pierwej go zmniejszyło, mianowicie łagodna twarz staruszka – im dłużej się jej przypatrywałem, tym bardziej mnie ta łagodność przerażała. Oczy były zupełnie nieruchome, a skóra aż nazbyt kojarzyła się z woskiem. Koniec końców nabrałem pewności, że nie jest to wcale twarz, lecz wykonana z upiorną zręcznością maska. Wiotkie ręce staruszka, o dziwo obleczone w rękawiczki, śmigały jednak wesoło po tabliczce; przeczytałem na niej, że nim zostanę zaprowadzony na miejsce obrzędu, muszę jeszcze chwilę zaczekać.

Następnie stary wskazał mi krzesło i stół, na którym piętrzyły się książki, po czym wyszedł z pokoju; a gdy usiadłem i zerknąłem na tomiszcza, ujrzałem, że są wiekowe i zatęchłe, i że są wśród nich dzieła tak szalone jak *Dziwy wiedzy* starego Morrystera, straszliwy *Saducismus Triumphatus* Josepha Glanvilla z 1681 roku, bulwersująca Daemonolatreia Remigiusa, wydana w 1595 roku w Lyonie, oraz rzecz najgorsza ze wszystkich: niewysławialny *Necronomicon* szalonego Araba Abdula Alhazreda, w zakazanym łacińskim przekładzie Olausa Wormiusa – księga, której dotąd nie widziałem na oczy, lecz słyszałem na jej temat potworne, szeptane trwożliwie pogłoski. Nikt się do mnie nie odzywał, słyszałem tylko poskrzypywanie szyldów na ulicy i terkot kołowrotka, na którym staruszka

w czepku wciąż przędła, przędła i przędła w milczeniu. Cały ten pokój, razem z książkami i dwojgiem staruszków, wydał mi się chorobliwy, jął mierzić mnie i niepokoić – wszelako przybyłem na to dziwne świętowanie, by stało się zadość tradycji mych praojców, postanowiłem tedy, że niczemu nie będę się dziwił. Próbowałem zająć myśli lekturą przeklętego *Necronomiconu*; zaiste, nie minęło wiele czasu, a znalazłem w nim coś, co przykuło mą uwagę i przejęło mnie do głębi – pewna myśl, myśl i legenda, nazbyt ohydne dla zdrowej, ludzkiej świadomości. A potem zdało mi się, że coś słyszę, i wcale mi się to nie spodobało: oto jedno z okien, przed którymi stała ława, zamknęło się, jak gdyby ktoś je pierwej niepostrzeżenie otworzył. Wcześniej rozległo się jakby terkotanie i wcale nie było to terkotanie kołowrotka. Dźwięk ów był nikły, staruszka przędła bowiem zaciekle, przez chwilę zaś wtórowało jej bicie wiekowego zegara. Z tą chwilą zgoła odeszło mnie uczucie, że na ławie ktoś siedzi, i z trwożliwym zapałem pogrążyłem się na powrót w lekturze – aż wreszcie wrócił stary, obuty i odziany w luźny antyczny kostium, i zasiadł właśnie na owej ławie, znikając zupełnie za wysokim oparciem. Czekałem, rzecz jasna, w wielkim nerwowym podnieceniu, zdwojonym jeszcze przez trzymane w dłoniach bluźniercze tomiszcze. Gdy wybiła godzina dwudziesta trzecia, starzec wstał wreszcie, bezszelestnie oddalił się w kąt i z masywnego, rzeźbionego kufra wyjął dwa płaszcze z kapturami; jeden wdział na siebie, drugim zaś otulił staruszkę, która właśnie przerwała swą monotonną pracę. Potem oboje ruszyli do wyjścia: kobieta pokuśtykała niezdarnie, stary zaś, wziąwszy ode mnie księgę, którą właśnie czytałem, skinął na mnie i zasłonił swą nieporuszoną twarz czy maskę kapturem.

Wyszliśmy pod bezksiężycowe niebo i zanurzyliśmy się w gąszcz niewiarygodnie wiekowych uliczek; gdy zaś szliśmy przez ten labirynt, w zasłoniętych oknach po kolei gasły światła, a Psia Gwiazda łypała z góry na tłum – zakapturzony, okutany, wylewający się w milczeniu ze wszystkich drzwi i w potwornym pochodzie sunący uliczkami; i szedł ten tłum, mijając skrzypiące szyldy i fasady przedpotopowych domów z krytymi strzechą dachami i oknami o rombowych szybkach – i brnął pod górę przez spadziste zaułki pełne stłoczonych, murszejących zgodnie chałupinek, przepływał przez place i przykościelne cmentarze – a gdy szedł przez te place, rozkołysane światełka niesionych latarń zlewały się w nieziemskie, pijane konstelacje.

Śladem mych bezgłosych przewodników przedzierałem się przez te milczące tłumy – tymczasem łokcie, co mnie szturchały, wydawały się nadnaturalnie miękkie, a brzuchy, co mnie popychały, wydawały się nienormalnie pulchne – nie widząc wszakże ani jednej twarzy i nie słysząc jednego choćby słowa. I pełzły pod górę te przeraźliwe zastępy, i dalej, i dalej, wciąż pod górę, aż wreszcie ujrzałem, że w pewnym miejscu zlewają się wreszcie w jedną zwartą ciżbę; miejsce to leżało pośrodku miasteczka, był nim zaś wierzchołek wysokiego wzgórza, na którym zbiegała się obłędna plątanina zaułków i mościł się wielki biały kościół. Widziałem ten kościół już wprzódy, gdym schodził ku miasteczku, widziałem na tle świeżo zaciągniętego zmroku – i pamiętam, że się wtedy wzdrygnąłem, bo zdało mi się, że na jego upiornej wieżycy przysiadł przez chwilę Aldebaran.

Wokół kościoła rozpościerał się plac – po części cmentarz, wnosząc z widmowych sylwet nagrobków, po części zaś dziedziniec, na poły brukowany, niemal do cna omieciony ze śniegu przez wiatr; okalały go niezdrowo archaiczne domy o kalenicowych dachach i wysuniętych nad plac wykuszach. Nad grobami tańczyły błędne ogniki, tworząc nader ponure widowisko, lecz – co osobliwe – nie rzucając cieni. Hen za wzgórzem, w prześwitach między domami, postrzegłem rozmigotane nad portem gwiazdy; samo miasteczko ginęło natomiast w nieprzebitym mroku. Tylko gdzieniegdzie śród krętych uliczek zachybotał jeszcze straszliwie płomień latarni spieszący w ślad za tłumem – ów zaś wślizgiwał się właśnie bez szmeru do kościoła. Zaczekałem, aż wszyscy przecisną się przez czarne wrota, przepuściłem też wszystkich maruderów. Stary niemowa ciągnął mnie za rękaw, lecz ja postanowiłem, że wejdę ostatni. Jakoż i wszedłem wreszcie, puszczając przodem mego posępnego przewodnika i sędziwą prządkę. Zanurzając się w niezgłębioną, rojną ciemność świątyni, odwróciłem głowę, by spojrzeć raz jeszcze na otwarty świat, i w schorzałej cmentarnej poświacie ujrzałem dróżkę, którą przyszliśmy na wzgórze. Ujrzawszy ją zaś, zadrżałem; jakkolwiek bowiem wiatr wyczyścił był ją niemal do cna, przy samych wrotach leżało parę nietkniętych spłachetków śniegu – i teraz, rzuciwszy przez ramię przelotne spojrzenie, ujrzałem ze wzburzeniem, że nie odcisnęły się w nich żadne ślady stóp, nawet moje własne.

Latarnie nie rozświetlały zbytnio ciemnego kościoła, albowiem większość z nich już zniknęła: tłum sunął główną nawą, między rzędami śnieżnobiałych ławek, ku zejściu do podziemi, ziejącym ohydnie tuż przed kazalnicą, i bezszelestnie zanurzał się w głąb. Ja także zstąpiłem bez słowa po wytartych stopniach w wilgny, dławiący mrok podkościelnej krypty. Strasznie było patrzeć, jak ogon tego ludzkiego węża wije się po schodkach, lecz gdy zeszliśmy już do wnętrza sędziwego grobowca i ujrzałem go w całej poskręcanej okazałości, przeraziłem się w dwójnasób. Potem spostrzegłem, że w podłodze krypty znajduje się otwór kolejny, że ciżba znów ześlizguje się w dół – i chwilę później zstępowaliśmy już pospołu po złowieszczych schodach z topornie ciosanych kamieni; schodach wąskich, wilgotnych, woniejących dziwacznie i wiodących spiralnie w głąb nieskończoną, do samych trzewi świątynnego wzgórza. Strasznie mi się szło w tym milczącym tłumie, a po pewnym czasie spostrzegłem też ze zgrozą, że ściany i stopnie wyglądają inaczej niż wprzódy, że nie są już wymurowane z kamiennych bloków i spojone skruszałą zaprawą, tylko wykute w litej skale. Najbardziej zaś gnębiło mnie to, że całe to mrowie ludzkich stóp schodzi bez najcichszego nawet tupotu, bez najniklejszego echa. Szliśmy tak, zda się, przez wieki, aż wreszcie ujrzałem, że korytarz wiodący niczym sztolnia w najgłębszy, najtajniejszy mrok nie jest już wcale jednolity, bowiem z nieznanych, najczarniejszych czeluści dochodzą doń boczne chodniki czy przekopy. Wnet była ich już mnogość nieprzeliczona, ziały w ścianach niczym bezbożne katakumby pełne nieopisanego zła; wionący z nich cierpki fetor rozkładu stał się nie do zniesienia. Domyśliłem się, że jesteśmy już nie tyle nawet we wnętrzu góry, ile wręcz niżej niźli samo Kingsport; wzdrygnąłem się na myśl, że to naprawdę aż tak starożytne miasto i że aż do samych

trzewi przeżarła je larwa nikczemności.

Potem uderzyło mnie w oczy blade, migotliwe światło i usłyszałem podstępny chlupot podziemnych wód. Zadrżałem raz jeszcze – sekrety, jakie odsłaniały się przede mną tej nocy, wcale mi się nie podobały, gorzko żałowałem, że moi przodkowie wezwali mnie na ten pierwotny rytuał. Gdy korytarz począł się rozszerzać, usłyszałem dźwięk kolejny: wątłe, szydliwe zawodzenie cieniuteńkiej piszczałki. I nagle świat podziemny rozokolił się przede mną bez granic: ujrzałem kolumnę schorzałego zielonkawego ognia, a w jej blasku potężny, zagrzybiony brzeg obmywany przez szeroką, oleistą rzekę. Rzeka płynęła z jakichś przeraźliwych otchłani, w niepojęty sposób łącząc je z najczarniejszą bezdnią niepamiętnego oceanu.

Z wrażenia omal nie zemdlałem; jak zaczarowany chłonąłem wzrokiem tytaniczne muchomory, trędowaty ogień, lepką toń podziemnych wód – wszystko razem kipiące niczym jakiś bezbożny Erebus – tymczasem zakapturzony tłum ustawił się w półkręgu wokół płomienistej kolumny. Był to obrzęd Yule, który narodził się wcześniej niż człowiek i któremu przeznaczone jest przeżyć człowieka; pierwotny rytuał przesilenia, w samym środku zimy wieszczący nadejście wiosny; rytuał ognia i wiecznej zieleni, światła i muzyki. I ujrzałem, jak zebrany w stygijskiej grocie tłum rozpoczyna rytuał, jak oddaje cześć słupowi ognia, jak zrywa i ciska do rzeki garście lepkich roślin łyskających zielonym, chlorotycznym blaskiem. Widziałem to wszystko – i spostrzegłem też, że w oddali, poza kręgiem światła, przykucnął kształt nieokreślony, poświstując plugawie na piszczałce; i gdy słuchałem tej piszczałki, zdało mi się, że z najodleglejszych, cuchnących ciemności dobiega też odrażający trzepot. Wszelako najbardziej zatrwożył mnie ów słup płomienisty – kipiąc wulkanicznie z niepojętych głębin Ziemi, nie rzucał bowiem cienia, jak powinien czynić każdy zdrowy ogień, i oblewał saletrzaną skałę jedynie wstrętną, jadowitą śniedzią. Cała ta rozkipiała pożoga nie dawała bowiem ani krztyny ciepła, bluzgała tylko maziście śmiercią i zepsuciem.

Mój przewodnik przecisnął się pod samą kolumnę ohydnego ognia, odwrócił twarzą do półkola tłumu i jął wykonywać sztywne ceremonialne gesty. W pewnych momentach rytuału ciżba pokornie padała mu do stóp, zwłaszcza gdy wznosił nad głową obrzydliwy *Necronomicon*; i ja także padałem na twarz, albowiem przybyłem na Święto posłuszny pismom mych przodków. Potem stary celebrans dał znak ukrytemu w półmroku fleciście, ów zaś przestał naonczas wątle popiskiwać i zadął mocniej, w innej tonacji – zwiastując tym samym potworność niewyobrażalną i niespodziewaną. Ujrzawszy ją, omal nie zatoczyłem się na liszajowatą ziemię – rażony zgrozą nie z tego świata, nie z żadnego świata, raczej z obłędnych międzygwiezdnych przestrzeni.

Oto mianowicie z niezgłębionej pomroki czerniejącej poza kręgiem zimnego, gangrenowego ognia, z tartarowych bezkresów, przez które toczyła oleiste fale niesamowita, niesłychana i niespodziewana rzeka, wybiegło z rytmicznym trzepotem stado oswojonych, wyszkolonych stworów – skrzydlatych hybryd, jakich trzeźwe oko nigdy nie zdołałoby w pełni ogarnąć, a trzeźwy umysł nie potrafiłby zapisać bez reszty w pamięci. Nie

do końca były to kruki, nie do końca krety, nie do końca myszołowy, mrówki ani nietoperze wampiry, ani też rozkładające się ludzkie zwłoki – raczej coś, czego nie mogę i nie wolno mi wspominać. To podskakując na płetwiastych łapach, to polatując na błoniastych skrzydłach, stwory zbliżyły się do tłumu wiernych, ci zaś chwytali je i dosiadali, po czym kolejno oddalali się wzdłuż smolistej rzeki – w głąb tajemnych czeluści i przejść wypełnionych trwogą, tam gdzie trujący nurt toczy się po niedosiężnych, straszliwych kataraktach.

Stara prządka zniknęła wraz z ciżbą, stary zaś został tylko dlatego, że gdy skinął na mnie, bym i ja dosiadł zwierzęcia i wyruszył, odmownie pokręciłem głową. Dźwignąwszy się na równe nogi, spostrzegłem, że bezkształtny flecista zniknął już z pola widzenia, dwie bestie wciąż jednak stały nieopodal i czekały cierpliwie. Widząc, że się waham, stary wyciągnął tabliczkę i rysik, po czym napisał, że jest prawowitym następcą mych ojców, którzy w tym starożytnym siedlisku zaczęli ongiś obchodzić Yule, oraz że zrządzono, iżbym powrócił do Kingsport i że czekają nas jeszcze najtajniejsze misteria. Pisał to wszystko swą sędziwą dłonią, gdy zaś wciąż się wahałem, z fałdów szaty wydobył pierścień i zegarek, oba z mym rodowym herbem – pragnąc w ten sposób dowieść prawdziwości swych słów. Był to jednak dowód ohydny, albowiem czytałem kiedyś w starych dokumentach, że ów zegarek w 1698 roku złożono razem z mym praprapraprapradziadkiem do grobu.

Następnie starzec odsunął kaptur, aby zademonstrować mi rodzinne podobieństwo – lecz ja tylko się wzdrygnąłem, ponieważ byłem pewien, że nie jest to twarz, tylko diabelska maska z wosku. Trzepotliwe zwierzęta skrobały już niespokojnie liszajowatą skałę, zauważyłem też, że stary niecierpliwi się nie mniej niż one. W końcu jedno jęło człapać przed siebie kaczkowatym krokiem, stary pospieszył więc, by je zatrzymać – i nagły ów ruch spowodował, że woskowa maska obsunęła mu się z czegoś, co powinno być głową. Wówczas, ponieważ w owej chwili koszmarnej stary zagradzał mi drogę do kamiennych schodów, rzuciłem się w oleiste fale podziemnej rzeki z bulgotem zdążającej ku podmorskim jaskiniom – skoczyłem w tę płynną zgniliznę z głębi Ziemi, ażeby obłąkańczy mój wrzask nie wywołał z morowych czeluści następnych trupich legionów.

W szpitalu dowiedziałem się, że znaleziono mnie o świcie na przystani w Kingsport; bliski zamarznięcia dryfowałem na zesłanej mi przez szczęśliwy traf belce. Powiedziano mi, że nocą skręciłem w złą stronę na wzgórzu i spadłem z urwiska przy Orange Point; wywnioskowano to z moich śladów na śniegu. Nie mogłem zaoponować, bo wszystko było inaczej, wszystko było nie tak. W morzu dachów, jakie rozpościerało się za szerokim oknem mej sali, najwyżej co piąty był naprawdę stary, ulice zaś rozbrzmiewały turkotem tramwajów i warkotem aut. Wszyscy upierali się, że jestem w Kingsport, a ja nie mogłem zaprzeczyć. Dowiedziawszy się, że szpital stoi nieopodal starego kościoła na szczycie Central Hill, zacząłem bredzić w malignie, toteż przewieziono mnie do Szpitala Marii Panny w Arkham, który mógł zapewnić mi lepszą opiekę. Spodobało mi się tam: lekarze byli światlejsi, korzystając ze swych znajomości wypożyczyli mi nawet z biblioteki Uniwersytetu Miskatonic starannie strzeżony egzemplarz gorszącego *Necronomiconu*

Abdula Alhazreda. Wspomnieli coś o „psychozie” i zgodnie stwierdzili, że najlepiej będzie, jeśli wyzbędę się wszelkich dręczących obsesji.

Przeczytałem tedy ponownie ów rozdział ohydny i tym razem przeraziłem się w dwójnasób; zaiste, byłem bowiem pewien, że nie czytam go po raz pierwszy. Widziałem go już pierwej, bez względu na to, co mówiły moje ślady na śniegu; lecz gdzie to było – zapomniałem ze szczętem. Nikt nie był w stanie mi tego przypomnieć, przynajmniej na jawie; moje sny natomiast pełne są zgrozy za sprawą zdań, których nie śmiem przytoczyć z owej strasznej księgi. Ośmielę się zacytować jeden tylko ustęp – o ile zdołam go przełożyć z niezgrabnej średniowiecznej łaciny:

Najgłębszych jaskiń – pisał szalony Arab – nie przenikną ani nie pojmą oczy, które widzą; mieszkają w nich bowiem cuda dziwne i straszliwe. Niechaj przeklęta będzie ziemia, w której umarłe myśli powstają do życia w nowych, osobliwych ciałach; zły to umysł, co nie mieszka w niczyjej głowie. Mądrze rzecze Ibn Schacabao: szczęśliwy to grób, w którym nie spoczął czarownik, i szczęśliwe jest nocą miasto, gdzie czarownicy obrócili się w proch. Albowiem powiadają od dawna, że dusza przekupiona przez diabła nie umyka ze swej trupiej powłoki, że tuczy się na niej i kształci ówże robak, co ją drąży – dopokąd z zepsucia nie wylęgnie się życie szkaradne, a nierozumne ścierwojady, co ryją w ziemi, nie schytrzeją na tyle, aby ziemię nękać, i nie spotworniejąna tyle, by ją dręczyć. Tam, gdzie winny wystarczyć zwyczajne szczeliny, potajemnie wyżłobiono wielkie jamy, to zaś, co winno pełzać, nauczyło się chodzić.

* Demony umieją sprawiać, by ludzie postrzegali rzeczy nieistniejące tak, jak gdyby istniały one naprawdę (łac.).

# Zew *Cthulhu*

(rękopis znaleziony w papierach zmarłego Francisa Waylanda Thurstona z Bostonu)

Można sobie wyobrazić, że takie potężne moce czy byty zachowały się do dziś… zachowały się z pradawnych czasów, gdy świadomość być może manifestowała się jeszcze w kształtach i formach, które później ustąpiły przed naporem rozwijającego się człowieczeństwa… formach, których ulotne wspomnienie przetrwało jedynie w poezji i legendach, pod postacią bóstw, potworów, najprzeróżniejszych mitycznych istot…

Algernon Blackwood

## I. Gliniane szkaradzieństwo

Największym dobrodziejstwem naszego świata wydaje mi się to, że człowiek nie potrafi objąć go rozumem. Żyjemy sobie na spokojnej wysepce niewiedzy śród czarnych mórz nieskończoności i nie powinniśmy wypuszczać się z niej za daleko. Nauki ciągną w rozbieżne strony i na razie nie wyrządziły nam wielkiej krzywdy; wszelako przyjdzie dzień, gdy scalimy naszą rozproszoną wiedzę, a wtedy zarówno rzeczywistość, jak i nasze w niej miejsce ukażą się z tak zatrważającej perspektywy, że przyjdzie nam albo oszaleć, albo uciec przed śmiercionośnym światłem tego objawienia w kojące i bezpieczne mroki nowego średniowiecza.

Teozofowie domyślili się, jak przeraźliwie majestatyczny jest kosmiczny cykl, w którym nasz świat i ludzka rasa są jedynie przejściowym incydentem. Czynione przez nich aluzje do zachowanych z dawien dawna dziwów zmroziłyby nam krew w żyłach, gdyby nie były przybrane w dobrotliwą maskę optymizmu. Lecz to nie w pismach teozofów postrzegłem przebłysk zakazanych eonów, przejmujący mnie dreszczem, ilekroć o nim myślę, i nawiedzający w snach, od których tracę zmysły. Przebłysk ów, tak jak wszystkie inne przebłyski strasznej prawdy, zamigotał mi przed oczyma, gdy przypadkowym zrządzeniem losu połączyłem zgoła odrębne rzeczy: artykuł ze starej gazety oraz notatki pewnego zmarłego profesora. Mam nadzieję, że nikomu nie uda się już powtórnie złożyć ich w całość; rzecz jasna, jeśli przeżyję, nigdy świadomie nie przyczynię się do uzupełnienia tego odrażającego łańcucha faktów. Sądzę, że również sam profesor nie zamierzał ujawnić znanego mu ogniwa i że zniszczyłby swe notatki, gdyby

nie zaskoczyła go nagła śmierć.

Całą sprawą zacząłem interesować się zimą roku 1926 na 1927, kiedy to zmarł mój cioteczny dziadek George Gammell Angell, emerytowany profesor języków semickich na Uniwersytecie Browna w Providence, w stanie Rhode Island. Profesor Angell był powszechnie znany jako autorytet w dziedzinie starożytnych inskrypcji, często służył swą wiedzą kuratorom najlepszych muzeów, toteż jego śmierć w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat nie przeszła bez echa. Na miejscu szczególne zainteresowanie wzbudziła też niejasna przyczyna jego zgonu. Profesor zasłabł, gdy wracał ze statku po powrocie z Newport; szedł urwistą ścieżką wiodącą na skróty od nabrzeża do domu pogrzebowego na William Street. Jak zeznali świadkowie, upadł nagle potrącony przez Murzyna, z wyglądu żeglarza, który wynurzył się z jednego z podejrzanych ciemnych podwórzy na zboczu wzniesienia. Lekarzom nie udało się odnaleźć na ciele profesora żadnych widocznych obrażeń; zakłopotani po dyskusji doszli do wniosku, że życiu starego profesora położyła kres bliżej nieokreślona dolegliwość sercowa wywołana szybką wspinaczką na strome wzgórze. W owym czasie nie miałem powodu, by nie zgadzać się z tym *dictum*, dziś jednak zdarzenie to głęboko mnie zastanawia – i nie tylko zastanawia.

Dziadek umarł jako bezdzietny wdowiec, toteż oczekiwano, że będąc jedynym spadkobiercą i wykonawcą ostatniej woli, przejrzę pozostawione przezeń papiery. Aby zająć się tym z należną pieczołowitością, wszystkie jego teczki i pudła przewiozłem do mego mieszkania w Bostonie. Sporą część opracowanych wówczas materiałów opublikuje wkrótce Amerykańskie Towarzystwo Archeologiczne; jedno pudło ujawniło wszakże zawartość niezmiernie zagadkową i o tym, by mogła ona ujrzeć światło dzienne, myślałem z wielką niechęcią. Pudło było zamknięte na klucz i długo nie mogłem go otworzyć. Dokonałem tego wreszcie, przypomniawszy sobie pierścień, który profesor nosił zawsze w kieszeni. Gdy zajrzałem do środka, trafiłem na przeszkodę jeszcze potężniejszą: cóż bowiem miały znaczyć dziwaczna gliniana płaskorzeźba i stosik niepowiązanych z sobą zapisków, bazgrołów i wycinków? Czyżby mój dziadek na starość padł ofiarą jakichś szytych grubymi nićmi szalbierstw? Postanowiłem, że odszukam ekscentrycznego rzeźbiarza, który – jak uznałem – zamącił biednemu staruszkowi w głowie.

Relief miał kształt topornego prostokąta, mniej więcej pięć na sześć cali szerokiego i na niespełna cal grubego. Wykonano go z całą pewnością w naszych czasach, wszelako klimat umieszczonych na nim rytów i nasuwające się w związku z nimi sugestie nie miały w sobie nic współczesnego; jakkolwiek bowiem nieokiełznane są wybryki kubistów i futurystów, nieczęsto zdarza się im odtworzyć ową szczególną regularność, która skrywa się wśród tajni prehistorycznych pism. Lwia część rytów ponad wszelką wątpliwość była zaś pismem – aczkolwiek mimo niezłej orientacji w papierach i zbiorach mego dziadka żadną miarą nie mogłem określić, do jakiego należy rodzaju, ani wysnuć z niej najbledszych nawet skojarzeń.

Nad domniemanymi hieroglifami widniało coś, co miało być zapewne podobizną, acz wykonano ją na tyle impresjonistycznie, że niepodobna było

wysnuć niezbite wnioski na temat natury zobrazowanej postaci. Był to jakby potwór, czy też symbol przedstawiający potwora, o kształtach, które mogły się zrodzić tylko w schorzałej fantazji. Nie uchybię chyba duchowi tego monstrum, jeśli powiem, że w mej cokolwiek nieumiarkowanej wyobraźni skojarzył mi się jednocześnie z ośmiornicą, smokiem i karykaturą człowieka. Miał groteskowe, łuskowate cielsko zaopatrzone w szczątkowe skrzydła i zwieńczone mięsistym, mackowatym łbem; najbardziej zatrważający wydał mi się wszakże jego ogólny zarys. W tle płaskorzeźby majaczyły sylwety jakichś cyklopowych budowli.

Pomijając plik wycinków z gazet, wszystkie zapiski towarzyszące tej osobliwości sporządzone były starczą ręką profesora Angella, nie rościły sobie też żadnych pretensji do literackości. Rękopis, który sprawiał wrażenie najgłówniejszego dokumentu, opatrzony był nagłówkiem „KULT *Cthulhu*”, starannie wypisanym drukowanymi literami, najwyraźniej po to, by nikt się nie pomylił, odczytując niespotykane słowo. Dzielił się na dwie części; pierwsza nosiła tytuł „1925. Sen i owoc snu H.A. Wilcoksa, Thomas St. 7, Providence, Rhode Island”, druga: „Opowieść inspektora Johna R. Legrasse'a, Bienville St. 121, New Orleans, Louisiana, na zjeździe A. T. A. w 1908 r.; notatki dot. sprawy i sprawozd. prof. Webba”. Resztę rękopiśmiennych materiałów stanowiły krótkie fiszki: streszczenia dziwnych snów różnych osób, cytaty z książek i czasopism teozoficznych (głównie *Atlantydy i zaginionej Lemurii* W. Scott-Elliota) oraz komentarze na temat zachowanych po dziś dzień tajnych stowarzyszeń i ukrytych kultów, z odnośnikami do prac źródłowych z dziedziny mitologii i antropologii, takich jak *Złota gałąź* Frazera i *Kult czarownic w Europie Zachodniej* panny Murray. Wycinki prasowe traktowały głównie o niecodziennych zapaściach umysłowych i wybuchach zbiorowego szaleństwa czy manii, jakie nastąpiły wiosną 1925 roku.

Pierwsza część głównego rękopisu zawierała wielce osobliwą opowieść. Otóż 1 marca 1925 roku profesora Angella odwiedził pewien chudy, śniady młodzieniec o wyglądzie zdradzającym neurotyczną nadpobudliwość, dzierżący w ręku osobliwą glinianą płaskorzeźbę, zupełnie jeszcze mokrą i świeżą. Zaanonsował się jako Henry Anthony Wilcox, profesor domyślił się więc, że ma do czynienia z najmłodszym potomkiem znanej mu co nieco, znakomitej rodziny, oddającym się ostatnio studiom rzeźbiarskim w Rhode Island School of Design i mieszkającym samotnie nieopodal uczelni w kamienicy Fleur-de-Lys. Wilcox był młodzieńcem nad wiek rozwiniętym, utalentowanym, ale i wielce ekscentrycznym – już od dziecka zwracał powszechną uwagę swoimi frapującymi historyjkami, a także dziwacznymi snami, których treść miał zwyczaj opowiadać. Uważał, że jest „psychicznie nadwrażliwy”, natomiast stateczni mieszkańcy prastarego kupieckiego miasta częściej określali go pobłażliwym mianem „cudaka”. Wilcox stronił od ludzi tego pokroju i z biegiem czasu zniknął z oczu miejscowej społeczności, przestawał już tylko ze skromną gromadką estetów z innych miast. Nawet Klub Artystyczny z Providence, skrzętnie pielęgnujący swój konserwatyzm, uznał go za przypadek beznadziejny.

Gdy profesor przyjął rzeźbiarza – czytałem dalej w rękopisie – ów bez

ogródek poprosił gospodarza, by uczynił użytek ze swej wiedzy archeologicznej i pomógł mu zidentyfikować hieroglify na płaskorzeźbie. Mówił w rozmarzony, namaszczony sposób, zdradzający pewną sztuczność i przez to dość odstręczający; dziadek zrazu potraktował go szorstko, podejrzana świeżość tabliczki wykluczała bowiem wszelkie związki z archeologią. Odpowiedź Wilcoksa, która zrobiła na dziadku tak wielkie wrażenie, że aż zapamiętał ją i spisał słowo w słowo, pobrzmiewała nutą fantastycznie poetycką, na pewno obecną w całej ich rozmowie i jak się później przekonałem, niezmiernie dla młodego rzeźbiarza charakterystyczną. Odezwał się on mianowicie tymi słowy: „Dalibóg, rzeźba jest nowa – stworzyłem ją bowiem dziś w nocy, śniąc o dziwnych miastach – sny są zaś starsze niźli zadumany Tyr, zamyślony Sfinks, niźli wiszące ogrody Babilonu”.

Potem popłynęła z jego ust zawiła opowieść, która najwyraźniej trąciła jakąś uśpioną strunę w pamięci mego dziadka i wzbudziła w nim gorączkowe zainteresowanie. Poprzedniej nocy w Nowej Anglii dało się odczuć drobne, lecz największe od paru już lat trzęsienie ziemi. Wstrząs rozpłomienił wyobraźnię Wilcoksa. Nocą nawiedził go sen niesłychany: śniły mu się cyklopowo potężne miasta zbudowane z tytanicznych bloków i wystrzelonych w niebo obelisków, ociekające zielonym szlamem i bijące utajoną grozą. Ściany i kolumnady pokryte były hieroglifami, a w jakichś nieokreślonych głębinach zagrzmiał głos, który nie był głosem – chaos słuchowych doznań, jakie tylko w fantazji mogą przybrać postać dźwięku; Wilcox wszelako pokusił się o zapisanie go za pomocą niemal niewymawialnego ciągu liter: *Cthulhu fhtagn*.

Z całej opowieści Wilcoxa to właśnie ów bełkotliwy zlepek zgłosek ozwał się w pamięci profesora Angella najbardziej ekscytującym i bulwersującym echem. Profesor przepytał rzeźbiarza z drobiazgowością godną prawdziwego naukowca, a następnie z szaleńczo wręcz natężoną uwagą przystąpił do oględzin reliefu, który tego ranka młodzieniec ujrzał z konsternacją przed omglonymi jeszcze snem oczyma – gdy zziębnięty, ubrany tylko w nocną koszulę, trzymał go w dłoniach i wykańczał ostatnimi pociągnięciami palców… Dziadek usprawiedliwiał się – wspomniał później Wilcox – że to z racji podeszłego wieku nie rozpoznał hieroglifów i rzeźbionej podobizny od razu. Wiele jego pytań wydało się gościowi niestosownych – zwłaszcza gdy dziadek indagował go o związki z dziwnymi kultami i towarzystwami; Wilcox nie mógł też pojąć, czemu dziadek tak gorliwie przyrzeka mu dyskrecję w zamian za przyjęcie do jakiegoś ogólnoświatowego związku wyznającego mistyczną bądź pogańską religię. Kiedy profesor Angell przekonał się, że rzeźbiarz naprawdę nie ma pojęcia o żadnych kultach ani systemach wiedzy tajemnej, wymógł na nim przyrzeczenie, że będzie mu opowiadał kolejne sny. Plon tych spotkań okazał się obfity: w manuskrypcie odnotowane były codzienne wizyty, podczas których Wilcox opisywał dziadkowi zdumiewające fragmenty nękających go nocą zmór. Niezmiennie powtarzał się w nich straszliwy, cyklopowy pejzaż ciemnych, ociekających wodą głazów, a jakiś podziemny głos czy umysł monotonnie wykrzykiwał tajemnicze dźwięki, których nie dało się zapisać inaczej niż za pomocą

kompletnego bełkotu. Dwa najczęściej powtarzane dźwięki profesor zapisał jako *Cthulhu i R'lyeh*.

Dwudziestego trzeciego marca, jak podaje rękopis, Wilcox się nie zjawił, dziadek wybrał się więc osobiście do jego kamienicy, by zasięgnąć informacji. Okazało się, że młodzieńca powalił atak tajemniczej gorączki, toteż odwieziono go do domu rodzinnego na Waterman Street. Ponoć w środku nocy wybuchł strasznym krzykiem, budząc kilku mieszkających po sąsiedzku artystów, a później popadł w malignę przeplataną stanem zupełnej bezprzytomności. Dziadek niezwłocznie zadzwonił do Wilcoksów i od tej pory pilnie śledził przebieg wydarzeń; dowiedziawszy się, że pieczę nad chorym sprawuje doktor Tobey, często zaglądał do jego gabinetu na Thayer Street.

Gorączkujący młodzieniec snuł dziwne majaki, o których lekarz nie potrafił mówić bez drżenia. Znalazła się wśród nich nie tylko treść wcześniejszych snów, ale też obłędna wzmianka o idącym czy toczącym się przed siebie gigantycznym stworze „sięgającym nieba". Wilcox nie opisał go dokładnie ani razu, lecz z powtórzonych przez doktora Tobeya garstki obłąkańczych słów profesor wywnioskował, że musi to być ów nieopisany potwór, którego Wilcox przez sen starał się wyrzeźbić. Jak dodał lekarz, ilekroć młodzieniec wspominał o tajemniczej istocie, zaraz potem zapadał w letarg. O dziwo temperaturę ciała miał podwyższoną bardzo nieznacznie, wszelako ogólny jego stan zdawał się raczej skutkiem gorączki niż zaburzeń umysłowych.

Drugiego kwietnia około trzeciej po południu choroba znienacka ustąpiła, i to bez najmniejszego śladu. Wilcox po prostu usiadł raptem na łóżku, zdumiał się, że jest w rodzinnym domu, i nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nim działo na jawie i we śnie, począwszy od nocy z 22 na 23 marca. Lekarz stwierdził, że nic mu nie jest, i po trzech dniach rzeźbiarz wrócił do swego mieszkania. Powrót do zdrowia pozbawił go jednak bez reszty dziwnych przyśnień i profesor nie miał już z niego pożytku: po tygodniu spisywania przypadkowych, najzupełniej zwyczajnych zwidów zarzucił wszelkie dociekania w tym kierunku.

W tym miejscu kończyła się pierwsza część rękopisu, lecz odnośniki do pewnych fiszek z notatkami dały mi wiele do myślenia – i to tak wiele, że tylko z wrodzonego sceptycyzm, który w owym czasie był podstawą mej filozofii, wciąż nie dawałem wiary świadectwu Wilcoksa. W notatkach tych streszczone były sny rozmaitych osób, odnotowane w tym samym okresie, kiedy dziwne mary nawiedzały młodzieńca. Dziadek mój szybko przedsięwziął szeroko zakrojone badania: niemal wszystkim znajomym, do których mógł się o to zwrócić bez posądzenia o impertynencję, polecił, by opisali, co im się ostatnio śniło, odnotowując przy okazji daty najciekawszych przyśnień. Reakcje na jego prośbę były – jak mi się zdało – dość zróżnicowane; koniec końców jej plon okazał się wszakże tak obszerny, że trudno było go ogarnąć bez pomocy sekretarza. Oryginalnych listów profesor nie zachował, lecz sporządził z nich rzetelny i aż nadto wymowny wypis. Zwykli, przeciętni ludzie interesu – tradycyjna „sól ziemi" Nowej Anglii – nie mieli do powiedzenia niemal zupełnie nic, jakkolwiek w ich relacjach gdzieniegdzie zdarzały się zapisy niepokojących, acz nieokreślonych nocnych doznań, zawsze datujące się między 23 marca a 2

kwietnia, czyli w okresie maligny młodego rzeźbiarza. Niewiele wrażliwsi okazali się ludzie nauki – aczkolwiek czterech z nich zeznało, że w mglistych, przelotnych mgnieniach zdarzyło im się dostrzec jakieś dziwne krajobrazy, jeden zaś wspominał, że którejś nocy zląkł się czegoś potwornego.

Najcelniejszych odpowiedzi dostarczyli artyści i poeci; jestem pewien, że gdyby dane im było porównać między sobą swe zapiski, wybuchłaby wśród nich panika. Nie dysponowałem wszakże oryginałami listów, toteż nie dało się wykluczyć, że dziadek naprowadził ich na określone odpowiedzi, stawiając odpowiednie pytania – mógł też w taki sposób zredagować otrzymaną korespondencję, by potwierdzić własne domysły. Dlatego właśnie wciąż nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystkiemu winien był Wilcox: mógł dowiedzieć się skądś o materiałach zebranych pierwej przez starego uczonego i wykorzystując tę wiedzę, zwyczajnie go okpić. Odpowiedzi udzielone przez estetów układały się w opowieść wstrząsającą. Otóż między 28 lutego a 2 kwietnia wielu z nich istotnie miało przedziwne sny, przy czym intensywność tych przyśnień niepomiernie wzrosła w okresie majaczeń Wilcoksa. Co najmniej czwarta część tej grupy odnotowała, że przyśniły jej się dziwne obrazy i dźwięki; z opisów wynikało, że nie różniły się one zbytnio od tych, których doświadczył młody rzeźbiarz. Niektórzy wyznali, że doświadczyli dojmującej trwogi przed jakąś nieopisaną gigantyczną istotą ukazującą się ich oczom dopiero pod koniec snu. Jeden przypadek, opisany z emfazą, był bardzo smutny. Jego bohater, powszechnie znany architekt skłaniający się ku teozofii i okultyzmowi, oszalał – w tym samym dniu, kiedy miał swój atak Wilcox – i po kilku miesiącach wyzionął ducha; do samej śmierci błagał rozpaczliwie, by go ratować przed jakimś zbiegłym mieszkańcem piekieł. Gdyby mój dziadek opatrzył poszczególne zeznania nazwiskami, a nie tylko numerami, wszcząłbym stosowne dochodzenie i starałbym się zweryfikować ich prawdziwość. Udało mi się to zaledwie w kilku przypadkach – wszelako za każdym razem zapiski dziadka potwierdzały się w całej rozciągłości. Często się zastanawiałem, czy wszyscy adresaci dociekań profesora byli tak zbici z tropu jak ta grupka, do której udało mi się dotrzeć. Dobrze, że nigdy nie poznają wyjaśnienia.

Wycinki prasowe, jak już nadmieniłem, dotyczyły przypadków paniki, manii i ekscentrycznych zachowań, które wystąpiły w rzeczonym okresie. Aby je zebrać, profesor Angell musiał zatrudnić biuro wycinków – ich liczba była bowiem olbrzymia, pochodziły zaś z najróżniejszych zakątków świata. W Anglii pisano o nocnym samobójstwie: mieszkający samotnie londyńczyk zaniósł się znienacka rozdzierającym krzykiem i wyskoczył z okna. Gazeta z Ameryki Południowej opublikowała bełkotliwy list od fanatycznego czytelnika, który pod wpływem swych niedawnych majaków wieszczył światu rychłą zagładę. W Kalifornii pewna kolonia teozofów nagle poczęła odziewać się *en masse* w białe szaty z myślą o jakimś „wspaniałym spełnieniu”, które nigdy nie nadejdzie; w Indiach wzmiankowano dyplomatycznie, że w ostatnich dniach marca wśród krajowców wybuchły poważne rozruchy. Na Haiti mnożyły się orgie wudu. Afrykańskie faktorie donosiły, że wśród tamecznych ludów szerzą się złowrogie szemrania. Na Filipinach o

niepokojach wśród tubylców raportowali amerykańscy wojskowi; w Nowym Jorku zaś nocą z 22 na 23 marca tłum rozwydrzonych Lewantyńczyków zaatakował policjantów. Szaleńcze pogłoski i legendy szerzyły się też w zachodniej Irlandii, w Paryżu zaś na wiosennym wernisażu malarz fantasta Ardois-Bonnot wystawił bluźniercze płótno *Pejzaż ze snu*. Problemy w przytułkach dla obłąkanych odnotowano w liczbie tak ogromnej, że chyba tylko cudem medyczne bractwo nie doszukało się w nich dziwnej zbieżności i nie zadumało nad wynikającymi z niej wnioskami. Plik wycinków tworzył całość wręcz porażającą; dziś z ledwością pojmuję, jak mogłem być tak zatwardziały w swoim racjonalizmie, by je zlekceważyć. Wówczas jednak byłem po prostu przekonany, że młody Wilcox już pierwej orientował się w dawniejszych sprawach, o jakich napomknął mu profesor.

## II. Opowieść inspektora Legrasse'a

Owe dawniejsze sprawy, które spowodowały, że sen i dzieło rzeźbiarza okazały się tak znaczące dla mego dziadka, stanowiły temat części drugiej sążnistego rękopisu. Dowiedziałem się z niej, że profesor Angell widział już kiedyś piekielną sylwetę z potwornego reliefu, łamał sobie głowę nad nieznanymi hieroglifami i słyszał złowrogie sylaby, których nie da się zapisać inaczej niż *Cthulhu*; wszystko to ujrzał zaś i usłyszał w tak poruszającym i straszliwym połączeniu, iż trudno się dziwić, że z taką gorliwością wypytywał młodego Wilcoksa i żądał odeń informacji.

Zdarzyło się to siedemnaście lat wcześniej, w roku 1908, podczas dorocznego zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa Archeologicznego. Profesorowi Angellowi, jako zasłużonemu autorytetowi w dziedzinie archeologii, przypadła główna rola w obradach; skupiła się też wokół niego garstka osób spoza Towarzystwa, która wykorzystała zjazd jako sposobność do zasięgnięcia informacji i fachowej pomocy.

W owej grupce wyróżniał się – i rychło skupił na sobie uwagę całego zgromadzenia – pewien pospolicie wyglądający mężczyzna w średnim wieku; wyznał, że przyjechał aż z Nowego Orleanu w poszukiwaniu pewnych szczególnych informacji, których żadnym sposobem nie mógł zdobyć u siebie. Nazywał się John Raymond Legrasse, z zawodu był zaś inspektorem policji. Miał przy sobie przedmiot, który skłonił go do przyjazdu: groteskowy, odpychający i najwyraźniej niezwykle stary posążek, którego pochodzenia nie umiał żadnym sposobem określić. Nie należy sądzić, że inspektor Legrasse wykazywał choćby najmniejsze zainteresowanie archeologią – wręcz przeciwnie, jego pragnienie wiedzy podyktowane było względami czysto zawodowymi. Posążek, bożek, fetysz – cokolwiek to było – wpadł w jego ręce kilka miesięcy wcześniej podczas najazdu na otaczające Nowy Orlean lesiste bagna, będące jakoby siedliskiem obrzędów wudu; odprawiane tam rytuały okazały się tak osobliwe i odrażające, że policjanci rychło zdali sobie sprawę, iż mają do czynienia z wyjątkowo mrocznym, a przy tym zgoła nieznanym kultem, nieskończenie bardziej diabolicznym niż najczarniejsze afrykańskie wudu. O jego pochodzeniu – pomijając pokrętne,

mało wiarygodne zeznania wydarte siłą z pojmanych sekciarzy – nie udało się dowiedzieć absolutnie nic; z tym większym zapałem policjanci poszukiwali kompetentnego historyka, który oświeciłby ich, co znaczy ów zatrważający symbol, i w ten sposób pomógł im dotrzeć do źródła posępnego kultu.

Inspektor Legrasse nie spodziewał się, że przywieziony przezeń przedmiot wywoła taką sensację. Ledwie odsłonił posążek, szacowne naukowe grono stłoczyło się wokół niego z najżywszym podnieceniem i wychodziło ze skóry, by ujrzeć figurkę z bliska. Istotnie, straszliwy ów przedmiot wydawał się tak absolutnie obcy, tak otchłannie starożytny, że trudno było oprzeć się wrażeniu, iż przed archeologią otwiera się przestwór niewyobrażalnych dotąd archaicznych dziejów. Wykuty był ze zgoła nieznanego kamienia i nie nosił znamion żadnej określonej szkoły rzeźbiarskiej, wszelako odnosiło się wrażenie, że na jego matowej, zielonkawej powierzchni zapisane są setki, może nawet tysiące lat istnienia.

Uczeni jęli wreszcie podawać sobie figurkę z rąk do rąk i poddali starannym oględzinom. Mierzyła siedem, może osiem cali wysokości i była wytworem najprzedniejszego rękodzieła. Przedstawiała monstrum, w ogólnym pokroju jakby człekokształtne, lecz opuchłe do rozpuku, z łbem jak kałamarnica i twarzą ginącą w rojowisku macek; cielsko wydawało się gumowate i pokryte łuskami, przednie i tylne łapy zwieńczone były potężnymi szponami, a z grzbietu wyrastały długie, wąskie skrzydła. Stwór przycupnął złośliwie na prostokątnym bloku czy cokole pokrytym nieczytelnymi hieroglifami i tchnął przeraźliwą, nienaturalną nikczemnością. Czubkiem skrzydeł dotykał tylnej krawędzi cokołu, siedział pośrodku, długie zaś, zakrzywione szpony złożonych, podkurczonych tylnych nóg zaciśnięte były na przedniej krawędzi i rozciągały się w dół na ćwierć wysokości bloku. Ośmiornicowaty łeb pochylony był naprzód, toteż koniuszki gębowych macek sięgały grzbietów przednich łap zaciśniętych na podkulonych kolanach. Potwór wyglądał jak żywy, a bijąca odeń chorobliwa aura była tym straszliwsza, że nic zgoła nie wiedziano o pochodzeniu posążka. W to, że jest zdumiewająco, wręcz niepomiernie starożytny, nikt nie wątpił; niepodobna było jednak dopatrzyć się w nim zbieżności z żadnym rodzajem sztuki, który uprawiano u zarania cywilizacji – ani też w jakichkolwiek innych czasach. Posążek był osobny, jedyny w swym rodzaju. Zagadką był nawet sam materiał: gładki, zielonkawoczarny kamień z opalizującymi bądź złotymi cętkami i prążkami nie przypominał żadnej skały znanej geologom i mineralogom. Nie mniejsze zakłopotanie wzbudziły napisy na cokole; jakkolwiek w zjeździe uczestniczyła połowa największych światowych specjalistów w dziedzinie badań lingwistycznych, żaden z nich nie umiał w najogólniejszym choćby przybliżeniu przypisać ich do jakiejkolwiek rodziny języków. Podobnie jak treść rzeźby, tudzież materiał, z jakiego ją wykonano, inskrypcje wydawały się zatrważająco odległe, nieludzkie w swej obcości; w straszliwy sposób nasuwały myśl o prastarych, bezbożnych cyklach życia, w których nasz świat i nasze wyobrażenia nie grają żadnej roli.

Okazało się jednak – choć każdy raz po raz potrząsał głową i wyznawał, że

nie potrafi rozwiązać problemu inspektora – że jednemu z uczestników zjazdu potworna figurka wydała się cudacznie znajoma. Był to nieżyjący już dziś William Channing Webb, profesor antropologii na Uniwersytecie Princeton, badacz o niemałych osiągnięciach. Poproszony o wyjaśnienie uczony ów z niejakim zakłopotaniem opowiedział dziwaczną anegdotę. Otóż czterdzieści osiem lat wcześniej wyprawił się na Grenlandię i Islandię w poszukiwaniu pewnych runicznych inskrypcji. Run nie udało mu się znaleźć, natomiast na zachodnim wybrzeżu Grenlandii natknął się na osobliwe plemię czy sektę zdegenerowanych Eskimosów; wyznawali oni szczególną religię, jakby kult diabła, tak krwiożerczy i ogólnie obrzydliwy, że aż mrożący krew w żyłach. Inne plemiona eskimoskie niewiele o tej religii wiedziały i drżały na samą o niej wzmiankę – twierdziły, że zrodziła się w straszliwie pradawnych eonach, zanim jeszcze powstał nasz świat. Jej wyznawcy spełniali nieopisane obrzędy, składali ofiary z ludzi, a ponadto z pokolenia na pokolenie odprawiali dziwaczne rytuały na cześć najwyższego pradiabła zwanego *tornasuk*. Profesor Webb usłyszał to określenie z ust sędziwego *angekok*, eskimoskiego kapłana i czarownika, i zanotował je pismem fonetycznym, starając się jak najdokładniej oddać za pomocą łacińskich liter poszczególne dźwięki. Najciekawszą i najistotniejszą rzeczą był jednak fetysz, wokół którego tajemnicza sekta odprawiała rytualne tańce, gdy tylko polarna zorza zalśniła na zrębach lodowych urwisk. Była to mianowicie – jak oświadczył profesor – toporna kamienna płaskorzeźba przedstawiająca ohydną podobiznę i jakieś tajemne pismo. O ile się nie mylił, w najogólniejszych właściwościach nie różniła się zbytnio od szkaradzieństwa, które mieli teraz przed oczyma uczestnicy zjazdu.

BYŁ TO WYTWÓR NAJPRZEDNIEJSZEGO W SWEJ ZŁOWIESZCZOŚCI RĘKODZIEŁA

Informacje te zostały przyjęte przez członków Towarzystwa z napięciem i zdumieniem, wszelako inspektora Legrasse'a poruszyły w dwójnasób. Policjant z miejsca zasypał profesora pytaniami; miał przy sobie spisane zaklęcia, które wykrzykiwali aresztowani przezeń na bagnach sekciarze, i jął zaklinać profesora, by w miarę możności przypomniał sobie sylaby zasłyszane u szatańskich Eskimosów. Gdy uczony zadośćuczynił jego prośbie, obaj długo i żmudnie porównywali szczegóły obu zapisów – aż wreszcie zapadła chwila bojaźliwego milczenia. Oto bowiem detektyw i profesor zgodnie stwierdzili, że w obu piekielnych rytuałach, odprawianych w tak odległych zakątkach świata, powtarza się właściwie to samo zdanie. Zaśpiew, który u stóp swych pokrewnych bożków intonowali eskimoscy czarownicy i kapłani z bagien Luizjany, brzmiał z grubsza następująco – z podziałem na słowa wprowadzonym domyślnie na podstawie pauz w intonacji:

*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn*.

W jednej kwestii Legrasse miał nad profesorem Webbem przewagę, kilku aresztowanych mieszańców zdradziło mu bowiem znaczenie tych słów, przekazane im przez starszych celebrantów. Brzmiało ono mniej więcej tak:

W swym domu w *R'lyeh* śniąc czeka martwy *Cthulhu*.

Następnie inspektor Legrasse spełnił naglące żądanie wszystkich zebranych i zrelacjonował w możliwie najdokładniejszy sposób, co wydarzyło się na bagnach. Do jego opowieści mój dziadek najwyraźniej przywiązywał niesłychaną wagę. Brzmiała tak, jakby wylęgła się z najdzikszych sennych rojeń mitotwórców i teozofów – zaprawdę, jak na mieszańców i pariasów pojmani przez inspektora sekciarze obdarzeni byli zdumiewającymi pokładami kosmicznej wyobraźni.

Otóż mianowicie 1 listopada 1907 roku w nowoorleańskim komisariacie policji zjawił się rozgorączkowany posłaniec. Człowiek ów, przedstawiciel kolonistów zamieszkujących bagna i wysepki laguny na południe od miasta – prymitywnych, ale dobrodusznych potomków korsarskich załóg Lafitte'a – wyznał, że od pewnego czasu pod osłoną nocy w pobliżu ich siedzib dzieją się niepojęte okropności. Był to najwyraźniej kult wudu, lecz straszliwszy niż wszelkie obrzędy wudu, o jakich zdarzyło im się słyszeć; dookolne lasy – czarne, nawiedzone ostępy, od których koloniści trzymali się z daleka – całymi nocami tętniły złowieszczym dudnieniem tam-tamów, a z osady znikło kilka kobiet i dzieci. W lesie słychać było obłąkańcze wrzaski, bestialskie wycia, mrożące krew w żyłach zaśpiewy, migotały jakieś diabelskie ognie; koniec końców – dodał przerażony posłaniec – w osadzie uradzono, że dłużej tego znosić niepodobna.

Policjanci szybko zorganizowali dwudziestoosobowy oddział, załadowali się do dwóch konnych powozów i automobilu, i późnym popołudniem wyruszyli na bagna podług wskazówek roztrzęsionego osadnika. Gdy skończyła się utwardzona droga, wysiedli z wozów i przez kilka mil brnęli w milczeniu przez straszliwą cyprysową puszczę, do której nigdy nie zagląda światło dnia. Pod nogami wyrastały nagle wstrętne korzenie, z drzew zwieszały się złośliwie gęste liany oplątwy, tu i ówdzie z mokradeł wychynął stos kamieni lub ułomek gnijącego muru – szczęty jakichś schorzałych siedlisk, potęgujące przygnębiające wrażenie sprawiane przez pejzaż koślawych drzew i grzybiczych wysepek. Wreszcie w leśnym gąszczu ukazała się osada; dostrzegłszy kołyszące się latarnie, rozhisteryzowani mieszkańcy wysypali się z żałosnych chatynek i otoczyli policjantów zbitą grupką. Hen, w oddali słychać było stłumione dudnienie tamtamów; od czasu do czasu, gdy powiał odpowiedni wiatr, wtórował mu przeszywający wrzask. Gdzieś z samego jądra nieskończonego leśnego labiryntu przez nikłe poszycie sączyła się też jakby czerwonawa poświata. Przelękli osadnicy ani myśleli się rozdzielać – każdy z nich oświadczył bez ogródek, że nie ruszy się ani na krok w stronę bezbożnych obrzędów, toteż inspektor Legrasse i jego dziewiętnastu towarzyszy już bez przewodnika zanurzyli się w domenę najczarniejszych zgróz, w której żaden z nich nie postawił dotąd swej stopy.

Teren, na który wkroczyli, od dawien dawna owiany był złą sławą, biali zasadniczo trzymali się odeń z daleka i wiedzieli o nim niewiele. Mówiono, że leży tam tajemne jezioro nietknięte jeszcze wzrokiem śmiertelnika, zamieszkane przez wielkiego stwora, polipa o bezkształtnym białym cielsku i lśniących ślepiach. Koloniści szeptali, że z grot w trzewiach ziemi wylatują nietoperzoskrzydłe diabły i o północy oddają mu cześć; twierdzili, że stwór żył tam, zanim jeszcze do tutejszych wybrzeży przybiły statki D'Iberville'a czy La Salle'a, zanim przyszli Indianie, zanim jeszcze puszcza zaroiła się od zwierzyny i ptactwa. Był to wcielony senny koszmar, ujrzeć go – znaczyłoby umrzeć; sprowadzał jednak na ludzi sny – i te sny wystarczyły, by miejscowi nie zapuszczali się do lasu. Miejsce, w którym odbywała się ówczesna orgia, leżało zaledwie na obrzeżach tego odrażającego ustronia – a przecież i tak było dostatecznie niegodziwe; być może kolonistów bardziej nawet przerażało owo miejsce niż rozgrywające się tam okropieństwa.

Tylko poeta lub szaleniec umiałby przyoblec w słowa jazgot, jaki słyszeli ludzie Legrasse'a, gdy brnęli przez czarne moczary śladem czerwonej poświaty i stłumionego dudnienia tam-tamów. Istnieją głosy właściwe ludziom i głosy właściwie zwierzętom – strasznie jest usłyszeć jedno, gdy wszystko wskazuje na to, że powinniśmy słyszeć drugie. Puszcza tętniła zwierzęcą wściekłością i orgiastycznym rozpasaniem; ekstatyczne skowyty i skrzeczenia rozdzierały pomrokę demonicznym echem niby morowe nawałnice z samego dna piekieł. Co pewien czas bezładne zawodzenie cichło i odzywał się chór chrapliwych głosów dobiegających, zda się, z dna głębokiej studni – a w monotonnym zaśpiewie dało się rozpoznać ohydne zdanie czy zaklęcie: „*Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn*". Wkrótce las nieco się rozrzedził i widowisko odsłoniło się w całej okazałości. Na ten widok czterech policjantów się zachwiało, jeden zemdlał, a dwóch

zaniosło się szaleńczym szlochem, na szczęście zagłuszonym przez opętańczą kakofonię orgii. Legrasse zaczerpnął wody z bagna, chlusnął na twarz omdlałego towarzysza, po czym wszyscy stanęli jak zahipnotyzowani i z drżeniem chłonęli przerażający widok.

Pośrodku bagien rozciągała się naturalna wyspa o mniej więcej akrowej powierzchni, niezadrzewiona i względnie sucha. Na wyspie skręcała się w podrygach nieopisana naga horda, istny wykwit ludzkiego spotwornienia, który umieliby przedstawić chyba tylko malarze w rodzaju Sime'a czy Angaroli. Bękarci pomiot wył, ryczał i wił się wokół potwornego ognistego kręgu, pośrodku zaś tego kręgu stał – ledwie widoczny przez zasłonę płomieni – wielki granitowy obelisk, wysoki na jakieś osiem stóp; na szczycie obelisku stała nieproporcjonalnie drobna, plugawa rzeźbiona figurka. Okolony pożogą obelisk opasywało jeszcze szerszym, regularnym pierścieniem dziesięć szafotów, z których głowami w dół zwisały zmasakrowane w przedziwaczny sposób ciała nieszczęśników porwanych z osady. W tym właśnie kole, pomiędzy kręgiem ciał a kręgiem płomieni, przesuwał się z lewa w prawo krąg sekciarzy, wśród ryków i podskoków odprawiając niekończące się bachanalia.

Być może tylko za sprawą wyobraźni – być może tylko za sprawą echa – jeden z policjantów, pobudliwy Hiszpan Joseph D. Galvez, uroił sobie, że jeszcze skądś dalej, z nieoświetlonego miejsca we wnętrzu przeraźliwej, owianej złą legendą puszczy rytualnym inkantacjom odpowiada jakaś antyfona. Dotarłem później do tego człowieka i o wszystko go wypytałem. Okazał się obdarzony nazbyt wybujałą wyobraźnią; napomknął nawet, że słyszał odległy łopot wielkich skrzydeł, a między pniami najdalszych drzew dostrzegł błysk ślepi i kolosalne białe cielsko – sądzę jednak, że nasłuchał się zbyt wielu zabobonnych tubylczych bajęd.

Przyczajeni mężczyźni nie zastanawiali się długo – poczucie obowiązku szybko wzięło górę nad trwożliwym zdumieniem. Choć tłum celebrantów musiał liczyć bez mała setkę ludzi, policjanci zaufali sile swej broni i zacisnąwszy zęby, rozpoczęli pogrom skundlonego pomiotu. Na pięć minut rozpętał się chaos, którego nie da się opisać: sypały się najdziksze ciosy, padały strzały, sekciarze rozpierzchali się na wszystkie strony… Koniec końców Legrasse doliczył się jakichś czterdziestu siedmiu jeńców. Kazał im się jak najszybciej ubrać i ustawił w szeregu między dwoma rzędami policjantów. Pięciu sekciarzy padło trupem, dwóch ciężko rannych ułożono na zaimprowizowanych noszach i kazano nieść współtowarzyszom. Figurkę Legrasse oczywiście zdjął ostrożnie z obelisku i zabrał ze sobą.

Po niezwykle żmudnej, uciążliwej wędrówce więźniów doprowadzono wreszcie do głównego komisariatu i przesłuchano. Byli to w większości marynarze, ludzie wyjątkowo podłego sortu, skrzywieni umysłowo mieszańcy; garstka Murzynów i Mulatów, głównie mieszkańców Indii Zachodnich i Portugalczyków z Wysp Zielonego Przylądka, wniosła do tego niejednorodnego obrzędu domieszkę wudu. Wszelako zanim jeszcze rozpoczęto przesłuchanie, nikt nie miał wątpliwości, że jest to kult znacznie głębszy i starszy niż zwykły murzyński fetyszyzm. Jakkolwiek tępe i zwyrodniałe, pojmane kreatury z zaskakującą jednomyślnością wyjawiły

główną ideę swej odrażającej religii.

Otóż mianowicie zeznali oni, że oddają cześć Wielkim Przedwiecznym, którzy przybyli z nieba, gdy świat był jeszcze młody, na długo nim narodził się człowiek. Tych Przedwiecznych już nie ma, zniknęli pod ziemią i w głębinach mórz – lecz ich martwe ciała w snach objawiły swe sekrety pierwszym ludziom, ci zaś założyli sektę, która wciąż jest żywa. Więźniowie zeznali, że są właśnie jej członkami. Sekta istniała zawsze i nigdy istnieć nie przestanie, przetrwa w zapadłych pustkowiach i mrocznych zakątkach rozsianych po świecie – aż przyjdzie dzień, gdy *Cthulhu*, wielki kapłan, powstanie ze swego mrocznego domostwa w potężnym mieście R'lyeh na dnie oceanu i znów obejmie Ziemię we władanie. Tajna sekta czeka cierpliwie, aż gwiazdy będą gotowe, i uwolni go, gdy usłyszy jego zew.

Nic więcej nie wolno im mówić. Istnieje sekret, którego nie zdradzą nawet na torturach. Ludzkość nie jest bynajmniej jedynym gatunkiem świadomych istot na ziemi; garstkę prawowiernych nawiedziły już kształty wychynięte z mroku. Nie byli to jednak Wielcy Przedwieczni. Nikt z ludzi jeszcze nigdy nie widział Wielkich Przedwiecznych. Wyrzeźbiony bożek to wielki *Cthulhu*, nikt jednak nie potrafi orzec, czy pozostali wyglądają dokładnie tak samo. Starych napisów nikt już nie odczyta, lecz odpowiednie słowa wciąż krążą z ust do ust. Rytualny zaśpiew nie jest tajemnicą – choć o jego treści głośno się nie mówi, szepcze się tylko po cichu. Brzmi ona tak: „W swym domu w *R'lyeh* śniąc czeka martwy *Cthulhu*".

Tylko dwóch więźniów okazało się na tyle zdrowych na umyśle, by można było ich powiesić; resztę pozamykano w rozmaitych przytułkach. Wszyscy zgodnie zaprzeczali, jakoby brali udział w rytualnych mordach – upierali się, że popełnili je Czarnoskrzydli, którzy przybyli ze swego odwiecznego miejsca zlotów w nawiedzonej puszczy. O tych tajemniczych sojusznikach więźniowie nie umieli jednak powiedzieć nic konkretnego. Większość informacji zdradził właściwie jeden człowiek, niesłychanie wiekowy Metys nazwiskiem Castro, który – jak twierdził – zawijał kiedyś do dziwnych portów i rozmawiał z nieśmiertelnymi przywódcami sekty działającej w górzystym regionie Chin.

Stary Castro przytoczył fragmenty odrażającej legendy, która rzeczywiście przyćmiewa spekulacje teozofów i sprawia, że ludzki świat wydaje się zaledwie chwilowym i przejściowym epizodem. Otóż dawno temu, przed wieloma eonami, na świecie panowały inne Istoty; a żyły One w wielkich miastach. Pozostały po Nich – powiadali nieśmiertelni Chińczycy – cyklopowe głazy, które można jeszcze znaleźć na wyspach Pacyfiku. Istoty umarły olbrzymi szmat czasu przed narodzinami człowieka, ale istnieją pewne czynności, którymi można przywrócić Im życie, gdy tylko gwiazdy na powrót osiągną właściwą pozycję w wiekuistym cyklu. Istoty te przybyły bowiem z gwiazd – i przyniosły ze sobą swoje podobizny.

Ci Wielcy Przedwieczni – ciągnął Castro – nie do końca są zbudowani z krwi i kości. Owszem, mają cielesną powłokę – czyż nie dowiodła tego podobizna *Cthulhu* wyrzeźbiona wśród gwiazd? – lecz nie jest ona materialna. Kiedy gwiazdy osiągają właściwą pozycję, Przedwieczni ruszają poprzez niebo, zagarniając świat za światem; lecz gdy pozycja gwiazd im nie

sprzyja, żyć nie mogą. Wszelako choć teraz już nie żyją, tak naprawdę nie umrą nigdy. Spoczywają pospołu w kamiennych domostwach w swym wielkim mieście R'lyeh – dzięki czarom potężnego *Cthulhu* oczekują dnia, w którym gwiazdy i Ziemia będą gotowe na Ich chwalebne wskrzeszenie. Lecz aby Ich ciała mogły się wyzwolić, musi Im pomóc jakaś siła z zewnątrz. Czary, które zachowały Ich w nietkniętej postaci, uniemożliwiają Im zarazem wykonanie pierwszego ruchu, toteż jedyne, co mogą uczynić, to czuwać w ciemnościach przez nieprzeliczone milionlecia i oddawać się rozmyślaniom. Przedwieczni wiedzą o wszystkim, co dzieje się we wszechświecie, lecz porozumiewają się tylko poprzez przesyłanie myśli. Nawet teraz rozmawiają ze sobą w swych grobowcach. Gdy po nieskończonych eonach chaosu na Ziemi pojawili się pierwsi ludzie, Wielcy Przedwieczni wybrali sobie tych najwrażliwszych i przemówili do nich, kształtując odpowiednio ich sny – albowiem jedynie w taki sposób cielesne mózgi ssaków mogą zrozumieć Ich język.

I stało się wówczas – szeptał Castro – że ci pierwsi ludzie zaczęli oddawać cześć niewielkim bożkom, które pokazali im Wielcy Przedwieczni – bożkom, które w pradawnych, mglistych czasach przybyły wraz z Nimi z ciemnych gwiazd. Ów kult nie zginie nigdy – będzie trwał, dopokąd gwiazdy znów nie osiągną właściwej pozycji i tajni kapłani nie wywołają wielkiego *Cthulhu* z grobu, a ten nie wskrzesi swych poddanych i nie obejmie znów władztwa na Ziemi. Nikt tej chwili nie przeoczy, ponieważ ludzie staną się wówczas tacy jak Wielcy Przedwieczni, wolni i dzicy, poza dobrem i złem; odrzucą precz moralność i prawo, i będą krzyczeć, zabijać i używać z rozkoszą. Wyzwoleni Przedwieczni nauczą ich potem, jak jeszcze inaczej krzyczeć, zabijać i używać z rozkoszą, i całą ziemię rozżagwi całopalny ogień wolności i ekstazy. Na razie tajemna sekta musi odprawiać stosowne obrzędy, by zachować pamięć o tych starożytnych sprawach i wieszczyć ponowne ich nadejście.

Dawniej wybrańcy porozumiewali się w snach z pogrzebanymi Przedwiecznymi, lecz później coś się stało: wielkie kamienne miasto R'lyeh ze swymi obeliskami i grobowcami pogrążyło się w morskich falach; głębia oceanu, wypełniona największą, najpierwszą tajemnicą, której niepodobna nawet objąć myślą, zerwała ów nieziemski kontakt. Nie zginęła jednak pamięć – a wielcy kapłani orzekli, że miasto wynurzy się z odmętów, gdy gwiazdy znajdą się we właściwej pozycji. Później z podziemnych czeluści przyszły czarne duchy ziemi, zatęchli posępnicy, i zdradziły ludziom mgliste pogłoski zasłyszane w jaskiniach pod dnem zapomnianych mórz. O nich wszakże Castro nie śmiał powiedzieć nic zgoła; urwał w pół słowa i ani łagodną, ani ostrą perswazją nie zdołano zeń wyciągnąć nic więcej. Co ciekawe, nie chciał też nic powiedzieć o rozmiarach Wielkich Przedwiecznych. Serce całego kultu – jak mu się zdawało – znajduje się w pustynnych bezdrożach Arabii, tam gdzie grąży się w snach ukryty i nietknięty Irem, Miasto Filarów. Nie ma on nic wspólnego z europejskim kultem czarownic i poza kręgiem swych wyznawców jest właściwie nieznany. Nie wzmiankowała o nim nigdy żadna księga – aczkolwiek nieśmiertelni Chińczycy twierdzili, że Necronomicon szalonego Abdula Alhazreda mieni się znaczeniami, że wtajemniczeni mogą go czytać wedle uznania, zwłaszcza

ów gęsto komentowany dwuwiersz:

Nie umarło, co wiecznie może trwać uśpione,
Z biegiem dziwnych eonów i śmierć może skona.

Legrasse był głęboko poruszony i niemało zdumiony opowieścią starego Metysa; usiłował dowiedzieć się czegoś o historii sekty, ale na próżno. Najwyraźniej Castro nie kłamał, że jest otoczona głęboką tajemnicą. Uczeni z nowoorleańskiego Uniwersytetu Tulane nigdy nie słyszeli ani o kulcie, ani o bożku, toteż detektyw postanowił, że zasięgnie rady najtęższych autorytetów w kraju – lecz usłyszał jedynie grenlandzką opowieść profesora Webba.

Gorączkowe zainteresowanie, jakie wzbudziła opowieść Legrasse'a, namacalnie potwierdzona obecnością posążka, znalazło echo w późniejszej korespondencji uczestników zjazdu; wszelako w oficjalnych publikacjach Towarzystwo odniosło się do sprawy bardzo zdawkowo. Każdy, kto miewa do czynienia z fałszerzami i szarlatanami, w podobnych przypadkach postępuje z najwyższą ostrożnością. Profesor Webb na pewien czas wypożyczył figurkę od Legrasse'a, lecz po śmierci uczonego wróciła ona do właściciela i po dziś dzień pozostaje w jego posiadaniu. Niedawno widziałem ją na własne oczy. Doprawdy, przeraźliwa rzecz – a przy tym uderzająco podobna do sennej rzeźby młodego Wilcoksa.

Nie dziwiłem się już, że dziadek wysłuchał opowieści z tak wielkim podnieceniem – cóż za myśli musiały kłębić mu się w głowie, gdy znając już relację Legrasse'a, trafił na wrażliwego młodzieńca, któremu przyśniły się nie tylko postać i hieroglify identyczne jak na posążku bagiennej sekty i diabelskim reliefie z Grenlandii, ale też co najmniej trzy słowa z formuły wykrzykiwanej przez eskimoskich czcicieli diabła i luizjańskich mieszańców! Nic dziwnego, że natychmiast wszczął swe skrupulatne dochodzenie; osobiście jednak nie mogłem wyzbyć się podejrzeń, że Wilcox już wprzódy dowiedział się skądś o sekcie i całą serię snów po prostu zmyślił tylko po to, by kosztem mego dziadka tajemnica spotęgowała się jeszcze i okrzepła. Zebrane przez profesora wycinki i streszczenia snów oczywiście mocno przemawiały za jej prawdziwością, wszelako mój wrodzony racjonalizm i ekscentryczność całego zagadnienia skłaniały mnie do zachowania postawy sceptycznej – jak mi się podówczas zdawało, najrozsądniejszej. Raz jeszcze przewertowałem tedy cały rękopis, sprawdziłem teozoficzne i antropologiczne przypiski profesora do opowieści Legrasse'a, po czym wyruszyłem do Providence, by osobiście spotkać się z rzeźbiarzem i udzielić mu reprymendy – która, jak mniemałem, należała mu się za to, że tak zuchwale okpił sędziwego uczonego.

Wilcox wciąż mieszkał samotnie na Thomas Street w Fleur-de-Lys – wiktoriańskiej imitacji siedemnastowiecznej architektury bretońskiej, ohydnym domiszczu afiszującym się nieprzystojnie swym stiukowym frontem wśród pięknych kolonialnych domów zdobiących to prastare miejskie wzgórze, i to w cieniu kościoła baptystów, najwspanialszej georgiańskiej wieży w Ameryce. Zastałem go w pracowni – i ujrzawszy próbki jego twórczości, z miejsca uznałem, że obcuję z najprawdziwszym geniuszem. Jestem przekonany, że wkrótce zasłynie jako kolejny wielki dekadent;

utrwala bowiem w glinie – a pewnego dnia uwieczni też w marmurze – te same senne mary i fantazje, które Arthur Machen ucieleśnia w swej prozie, a Clark Ashton Smith w poezji i malarstwie.

Wilcox okazał się młodzieńcem śniadym, delikatnej postury i cokolwiek zaniedbanym; gdy wszedłem, obrócił się ku mnie omdlewającym ruchem i nie wstając, spytał, co mnie sprowadza. Gdy usłyszał, kim jestem, nieco się ożywił; mój dziadek bardzo go zaintrygował, wypytując o dziwne sny, lecz nie zdradzając ani słowem celu swych dociekań. W tej akurat mierze nie wzbogaciłem jego wiedzy, starałem się tylko go wybadać. Rychło zdałem sobie sprawę, że jest najzupełniej szczery, mówił bowiem o swych snach w sposób doprawdy wyjątkowy. Ich jawna i podświadoma treść odcisnęła głębokie piętno na jego twórczości; pokazał mi jedną ze swych rzeźb, a ja niemal zadrżałem, czując potęgę mrocznych skojarzeń, jakie budziła swym chorobliwym pokrojem. Wilcox nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział jej pierwowzór, wzorował się tylko na swej płaskorzeźbie ze snu – lecz straszliwy kształt sam wyłonił mu się spod nieświadomych dłoni. Ponad wszelką wątpliwość był to ów gigantyczny stwór, który uroił mu się w malignie. Rychło nabrałem też pewności, że o tajemnej sekcie rzeźbiarz naprawdę nie wie nic ponad to, co usłyszał podczas nieustępliwych indagacji mego dziadka – i znów starałem się zrozumieć, skąd w takim razie przyszły mu do głowy tak niesamowite wyobrażenia.

O swych snach Wilcox mówił w sposób dziwnie upoetyzowany i niezwykle sugestywny; przed oczyma stanął mi straszliwie żywy obraz wilgotnego cyklopowego miasta z lepkiego zielonego kamienia – miasta, które wedle jego dziwnych słów miało nieprawidłową geometrię; zdawało mi się, że słyszę na własne uszy, jak z głębin dobiega złowieszcze, na poły podświadome wołanie: „*Cthulhu fhtagn, Cthulhu fhtagn*”. Była to część straszliwego rytuału, który opowiadał o sennym czuwaniu martwego *Cthulhu* w kamiennym lochu w *R’lyeh* – i choć z przekonania byłem racjonalistą, dźwięk tych słów poruszył mnie do głębi. Wciąż byłem przekonany, że Wilcox usłyszał był gdzieś przypadkiem o sekcie, a potem, w natłoku nie mniej niesamowitych lektur i dumań zwyczajnie o tym zapomniał; zasłyszana wzmianka wywarła zaś na nim tak silne wrażenie, że znalazła swój podświadomy wyraz – w snach, w płaskorzeźbie i w przeraźliwym posągu, który miałem przed oczyma. Uznałem tedy, że młodzieniec oszukał wprawdzie mego dziadka, lecz wyjątkowo niewinnie. Uosabiał typ ludzki, którego nigdy nie darzyłem sympatią: nieco egzaltowany, a zarazem odrobinę niemiły; nie mogłem mu jednak odmówić ani geniuszu, ani uczciwości. Pożegnałem go więc uprzejmie, życząc mu sukcesów, na jakie zasługiwał jego talent.

Sprawa tajemniczego kultu wciąż mnie fascynowała; niekiedy snułem mrzonki, że zbadanie jej źródeł i powiązań przyniesie mi sławę. Wybrałem się do Nowego Orleanu, rozmawiałem z Legrasse’em i innymi uczestnikami najazdu na bagna, widziałem potworną podobiznę, dotarłem nawet do żyjących jeszcze w przytułkach sekciarzy. Stary Castro, niestety, od kilku lat już nie żył. Wszystkie informacje, które uzyskałem teraz z pierwszej ręki, nie były w zasadzie niczym więcej jak tylko szczegółowym potwierdzeniem

zapisków mego dziadka – a jednak od nowa rozpaliły moją wyobraźnię. Nie miałem bowiem wątpliwości, że jestem na tropie autentycznej, sekretnej, starożytnej religii i odkrywając jej tajemnicę, zdobędę uznanie jako antropolog. Moim postępowaniem wciąż jeszcze kierował niezachwiany materializm, ponieważ wciąż chciałem, by mną kierował – i z niewytłumaczalną przewrotnością lekceważyłem zastanawiającą zbieżność między zapisami sennych marzeń a prasowymi wycinkami zebranymi przez profesora Angella.

Zaczęło mnie wszakże gnębić podejrzenie – które, jak się obawiam, dziś już graniczy z pewnością – że mój dziadek bynajmniej nie umarł śmiercią naturalną. Przewrócił się, pchnięty przez murzyńskiego marynarza, na wąskiej, stromej uliczce wiodącej od prastarego portu, w którym roi się od skundlonych cudzoziemców. Doskonale pamiętam, że luizjańscy sekciarze rekrutowali się spośród mieszańców i żeglarzy; nie można wykluczyć, że ludzie tego sortu używają zatrutych igieł czy innych sekretnych metod uśmiercania, nie mniej odwiecznych niż tajne obrzędy i wierzenia. Legrasse i jego ludzie są wprawdzie cali i zdrowi, ale w Norwegii pewien marynarz, który też widział swoje, już nie żyje. Byłoż możliwe, by głębsze dociekania, jakie podjął mój dziadek po spotkaniu z rzeźbiarzem, nie doszły do niepożądanych uszu? Sądzę, że profesor Angell zginął dlatego, że wiedział za dużo lub też istniała groźba, że dowie się za dużo. Czy i ja podzielę jego los, jeszcze się okaże – bo wiem już o całej sprawie niemało.

## III. Szaleństwo z morza

Jeśli niebiosa zechcą kiedykolwiek obdarzyć mnie swą łaską, to chciałbym, by wymazały bez reszty rezultaty pewnego błahego przypadku – przypadku, który sprawił, że moje oko spoczęło na pewnym zapomnianym strzępku gazety. Gdyby moje życie toczyło się utartą, codzienną koleiną, z pewnością bym nań nie natrafił, była to bowiem gazeta australijska, stary numer „Sydney Bulletin” z 18 kwietnia 1925 roku. Uszedł był nawet uwadze biura wycinków, które podówczas gorliwie zbierało materiały dla mego dziadka.

Zdarzyło się to w czasie, gdy już niemal zupełnie zarzuciłem badania nad czymś, co profesor Angell określił mianem „kultu *Cthulhu*”. Bawiłem właśnie w Paterson w stanie New Jersey, u mego uczonego przyjaciela, kuratora miejscowego muzeum i uznanego mineraloga. Pewnego dnia, gdy siedziałem na zapleczu muzeum i przeglądałem zapasowe okazy minerałów, wzrok mój przykuło dziwaczne zdjęcie w jednej z gazet, którymi wyścielone były półki z kamieniami. Był to właśnie ów numer „Sydney Bulletin” – przyjaciel mój miał bowiem rozległe kontakty we wszystkich możliwych częściach świata. Niewyraźne zdjęcie przedstawiało odrażający kamienny posążek, niemal identyczny z tym, który Legrasse znalazł na bagnach.

Pospiesznie sprzątnąłem z gazety cenne okazy i dokładnie przyjrzałem się ilustracji. Ku memu rozczarowaniu artykuł okazał się dość pobieżny – lecz zawarte w nim sugestie miały zasadnicze znaczenie dla mych osłabłych

poszukiwań, toteż niewiele myśląc, wydarłem go starannie z gazety. Brzmiał, jak następuje:

## TAJEMNICZY WRAK ZNALEZIONY MA MORZU

Vigilant przyprowadza na holu uzbrojony nowozelandzki jacht.
Na pokładzie dwóch rozbitków: jeden żywy i jeden martwy.
Relacja ze śmiertelnej morskiej bitwy.
Uratowany marynarz odmawia podania szczegółów zdarzenia.
Znaleziono przy nim dziwny posążek.
Admiralicja wszczyna dochodzenie.

Należący do spółki Morrison Co. frachtowiec Vigilant, płynący z Valparaiso, przybił dziś rano do nabrzeża Darling Harbour, prowadząc na holu uszkodzony w walce, ciężko uzbrojony jacht parowy Alert z nowozelandzkiego portu Dunedin. Jacht znaleziono 12 kwietnia na 34°21’ szerokości południowej, 152°17’ długości zachodniej z jedną żywą i jedną martwą osobą na pokładzie.

Vigilant wypłynął z Valparaiso 25 marca; 2 kwietnia wyjątkowo gwałtowne sztormy i potężne fale zniosły go daleko na południe. Dwunastego kwietnia zauważono dryfujący statek. Wyglądał na opuszczony wrak, po wejściu na pokład okazało się jednak, że znajduje się na nim dwóch rozbitków: jeden na wpół obłąkany, drugi zaś martwy, prawdopodobnie co najmniej od tygodnia. Ocalały marynarz trzymał kurczowo w rękach straszliwego kamiennego bożka nieznanego pochodzenia, wysokości około jednej stopy. Twierdził, że znalazł go w kabinie jachtu, w niewielkim relikwiarzu rzeźbionym w pospolite wzory. O ustalenie pochodzenia bożka zwrócono się do uczonych z Uniwersytetu w Sydney, Towarzystwa Królewskiego i muzeum na College Street, wywołał jednak wśród nich jedynie najwyższą konsternację.

Doszedłszy do siebie, rozbitek opowiedział niesłychanie dziwną historię o krwawej pirackiej napaści. Nazywa się Gustaf Johansen, pochodzi z Norwegii i jest człowiekiem niepozbawionym inteligencji. Służył jako drugi oficer na dwumasztowym szkunerze Emma z Auckland. Emma wypłynęła 20 lutego z Callao z jedenastoma ludźmi na pokładzie. Pierwszego marca wielki sztorm zniósł ją daleko na południe; 22 marca na 49°51’ szerokości południowej, 128°34’ długości zachodniej natknęła się na Alert, obsadzony podejrzaną, nikczemnie wyglądającą załogą złożoną w całości z Kanaków i mieszańców. Jacht nakazał Emmie bezwarunkową zmianę kursu, kapitan Collins jednak odmówił, przeto dziwna załoga Alertu bez ostrzeżenia rozpoczęła gwałtowny ostrzał szkunera z osobliwie ciężkiej baterii mosiężnych dział. Jak mówi rozbitek, marynarze z Emmy podjęli walkę i mimo że szkuner zaczął tonąć od trafień, udało im się podpłynąć nim do wrogiej jednostki i dokonać abordażu. Na pokładzie jachtu stoczyli bój z dzikusami, a ponieważ mieli niewielką przewagę liczebną, zmuszeni byli wybić ich do nogi – sprowokowani wyjątkowo odrażającym i rozpaczliwym, choć dość

niezdarnym sposobem walki przeciwnika.

Trzech członków załogi Emmy, wśród nich kapitan Collins i pierwszy oficer Green, zginęło w walce; pozostałych ośmiu pod dowództwem drugiego oficera Johansena przejęło ster i skierowało jacht w pierwotnym kierunku, by się przekonać, czy rozkaz zawrócenia był w jakikolwiek sposób uzasadniony. Następnego dnia jacht przybił do niewielkiej wysepki, choć o ile wiadomo, w tej części oceanu nie ma żadnego lądu. Na wyspie sześciu członków załogi z jakichś powodów poniosło śmierć, jakkolwiek zdarzenie to Johansen zrelacjonował w sposób dziwnie powściągliwy; stwierdził tylko, że wpadli do skalistej rozpadliny. Następnie wraz z ostatnim ocalałym towarzyszem wrócili na pokład i próbowali wrócić jachtem do portu, lecz 2 kwietnia pokonał ich potężny sztorm. Od tego momentu aż do dnia ocalenia Johansen przypomina sobie niewiele, nie pamięta nawet, kiedy zmarł jego towarzysz William Briden. Przyczyna śmierci Bridena jest trudna do ustalenia, marynarz zmarł prawdopodobnie wskutek wielkiego wzburzenia lub udaru słonecznego. Z Dunedin otrzymaliśmy telegraficzną informację, że Alert prowadził ożywiony handel na wyspach i miał złą opinię wśród miejscowych żeglarzy. Był własnością osobliwej grupy mieszańców; nie mniej osobliwe były częste spotkania, jakie podejmowali ci ludzie na lądzie, oraz ich nocne wyprawy w góry. W swój ostatni rejs wyruszyli w wielkim pośpiechu – tuż po tym, jak ustały wielki sztorm i wstrząsy sejsmiczne z 1 marca. Nasz korespondent w Auckland donosi, że Emma i jej załoga cieszyli się znakomitą opinią, sam zaś Johansen uważany jest za człowieka opanowanego i godnego szacunku. Jutro admiralicja wszczyna dochodzenie na temat całego zajścia i podejmie wszelkie kroki, by nakłonić go do złożenia dokładniejszych zeznań niż dotychczas.

To było wszystko – krótki artykuł i zdjęcie piekielnego posążka. Jakaż jednak lawina myśli obruszyła się w mej głowie! Miałem przed sobą kolejne, bezcenne informacje o sekcie wyznawców *Cthulhu* oraz dowód na to, że mieli oni swoje dziwne sprawki i na ziemi, i na morzu. Co kierowało tymi dzikusami, gdy kazali Emmie zawrócić, a sami płynęli dalej ze swym ohydnym bożkiem na pokładzie? Cóż to była za nieznana wyspa, na której zginęło sześciu członków załogi szkunera, a sam Johansen tak bardzo nie chciał o niej mówić? Co wykazało śledztwo wiceadmiralicji i co o tym plugawym kulcie wiedziano w Dunedin? I wreszcie dziw nad dziwy: cóż miała znaczyć ta głęboka, nieprzypadkowa zbieżność dat, przez którą tyle zbiegów wydarzeń, skrupulatnie odnotowanych przez mojego dziadka, stało się niezaprzeczalnie i złowróżbnie znaczących?

Pierwszego marca – biorąc pod uwagę linię zmiany daty, u nas był to jeszcze ostatni dzień lutego – nastąpiło trzęsienie ziemi i sztorm. Tego dnia z Dunedin wypłynął Alert ze swą parszywą załogą na pokładzie – pospiesznie i gorliwie, jak gdyby w odpowiedzi na naglące wezwanie – po drugiej zaś stronie globu poeci i artyści jęli śnić o dziwnym, cyklopowym mieście, a młody rzeźbiarz ulepił przez sen sylwetkę straszliwego *Cthulhu*. Dwudziestego trzeciego marca na brzegu nieznanej wysepki zginęło sześciu marynarzy z Emmy; tego samego dnia rozmaici wrażliwcy z niespotykaną pierwej żywością jęli roić sobie w snach, że ściga ich olbrzymi potwór – i

również tego dnia oszalał architekt, a rzeźbiarz nagle popadł w malignę! A ów sztorm z 2 kwietnia – dnia, w którym wszystkie sny o dziwnym mieście ustały, a Wilcox bez szwanku wyzwolił się z oków dziwnej gorączki? Co z tym wszystkim począć? A wzmianki starego Castro o drzemiących pod wodą Przedwiecznych, którzy wnet mają zapanować nad światem? A wierna sekta oddająca im cześć, a ich wpływ na ludzkie sny? Czyżbym uchylił rąbka kosmicznych zgróz przekraczających człowieczą wytrzymałość? Lecz jeśli tak, to siedliskiem owych zgróz był niechybnie ludzki umysł – jakkolwiek przecież potworne było niebezpieczeństwo, które przypuściło swój szturm na duszę ludzkości, drugi dzień kwietnia jakimś sposobem położył mu kres.

Jeszcze tego wieczoru, po całym dniu gorączkowych przygotowań i telegraficznego umawiania się, pożegnałem mego gospodarza i wsiadłem w pociąg do San Francisco. Nie minął miesiąc, a byłem w Dunedin; na miejscu jednak niewiele wiedziano o dziwnych sekciarzach, którzy przesiadywali kiedyś w starych tawernach. Portowe szumowiny były gatunkiem na tyle pospolitym, że nie budziły większego zainteresowania; ktoś wspomniał wszakże półgębkiem, iż rzeczona banda mieszańców pewnego razu wybrała się w głąb lądu – z odległych wzgórz niosło się później dudnienie bębnów i blask czerwonych płomieni. W Auckland dowiedziałem się, że Johansen na przesłuchaniu w Sydney udzielił wyjaśnień pobieżnych i nieprzekonujących, gdy zaś wrócił, jego żółta niegdyś czupryna była biała oraz że wkrótce potem sprzedał swą chatę na West Street i wraz z żoną wyjechał do dawnego domu w Oslo. O swoich wstrząsających doświadczeniach nie zdradził znajomym nic ponad to, co zeznał urzędnikom admiralicji, toteż jedyne, co mogli oni dla mnie zrobić, to udostępnić mi jego adres w Oslo.

Następnie udałem się do Sydney i bezowocnie próbowałem dowiedzieć się czegoś od marynarzy i od członków wiceadmiralskiego trybunału. Alert został sprzedany, służył jako statek handlowy; widziałem, jak stał przy Circular Quay w Zatoce Sydnejskiej, nie przewoził wszakże nic interesującego. Posążek stwora z mątwowatym łbem, smoczym kadłubem i łuskowatymi skrzydłami, przykucniętego na pokrytym hieroglifami postumencie, przechowywało muzeum w Hyde Parku. Poddałem go długim i bacznym oględzinom; istotnie, stanowił wytwór najprzedniejszego w swej złowieszczości rękodzieła; był też tak samo niepojęcie tajemniczy, straszliwie starożytny, tudzież wykonany z tego samego dziwnego materiału co mniejszy okaz Legrasse'a. Kurator stwierdził, że ów materiał jest potężną zagadką dla geologów: zaklinali się ponoć, że na całym świecie nie ma takiej skały. Słysząc to, zadrżałem, przypomniałem sobie bowiem, co stary Castro powiedział Legrasse'owi o Wielkich Przedwiecznych: „Istoty te przybyły bowiem z gwiazd – i przyniosły ze sobą swoje podobizny."

Wstrząśnięty do głębin mego jestestwa postanowiłem, że wybiorę się do Oslo i odwiedzę Johansena. Przypłynąłem do Londynu i niezwłocznie zaokrętowałem się na statek do norweskiej stolicy; w końcu pewnego jesiennego dnia wysiadłem na nabrzeżu w cieniu Ekebergu. Johansen mieszkał, jak się okazało, na Starym Mieście, założonym jeszcze przez króla Haralda Hardråde, nazywanym „Oslo" nawet przez te wszystkie stulecia, gdy wyrosłe dokoła nowsze miasto mieniło się „Christianią". Podjechałem

kawałeczek taksówką i z drżeniem serca zapukałem do drzwi schludnej, starej kamienicy z tynkowanym frontonem. Otworzyła mi smutna, ubrana na czarno kobieta – i ku memu rozczarowaniu oznajmiła kulawą angielszczyzną, że Gustafa Johansena nie ma już wśród żywych.

Powrót do Oslo go nie uratował – opowiadała wdowa; biedak nie podźwignął się już po tym, co przydarzyło mu się na morzu w 1925 roku. Nie zdradził jej nic więcej ponad to, co oświadczył publicznie, wszelako pozostawił po sobie sążnisty rękopis – jak stwierdził, „o sprawach technicznych” – spisany po angielsku, najwyraźniej po to, by uchronić żonę przed zgubnymi skutkami przypadkowej lektury. Jak umarł? Pewnego dnia, gdy szedł wąskim zaułkiem nieopodal gothenburskich doków, z okna na poddaszu spadł mu na głowę ciężki pęk papierów. Z pomocą pospieszyli od razu dwaj hinduscy marynarze, lecz nim przybył ambulans, Johansen już nie żył. Lekarzom nie udało się ustalić przyczyny śmierci, złożyli ją na karb chorego serca i osłabienia organizmu.

Słysząc te słowa, uczułem, jak w mych wnętrznościach zatapia kły najczarniejsza zgroza, i że nie opuści mnie ona aż do mej własnej śmierci – czy to wskutek „wypadku”, czy jakiejkolwiek innej. Przekonawszy wdowę, że jestem dostatecznie upoważniony do tego, by zapoznać się ze „sprawami technicznymi” opisanymi przez jej męża, otrzymałem od niej rękopis i zacząłem go czytać podczas rejsu do Londynu. Była to prosta, bezładna pisanina, naiwna żeglarska próba pamiętnika *post facto*; Johansen relacjonował dokładnie dzień po dniu swój szkaradny ostatni rejs. Całość jest nazbyt mglista i wielosłowna, by warto było przytaczać ją w całej rozciągłości, streszczę z niej jednak to, co najważniejsze – tym samym nie będę musiał tłumaczyć, czemu chlupot fal o burty stał się dla mnie tak nieznośny, że aż zatkałem sobie uszy bawełną.

Johansen mógł dziękować Bogu, że nie wie o wszystkim – mimo że ujrzał miasto i tę Istotę. Ja już nigdy nie zasnę spokojnie; zbyt dobrze wiem, jakie potworności czyhają bez ustanku za zasłoną życia w czasie i przestrzeni, jakie bluźniercze plugastwa z dawnych gwiazd śnią w odmętach oceanu, znane i czczone przez koszmarną sektę, która aż się pali, by wypuścić je na świat, gdy tylko kolejny wstrząs morskiego dna na powrót wyniesie ich potworne kamienne miasto na powierzchnię.

Rejs zaczął się tak, jak Johansen zeznał admiralicji. Emma z pustymi ładowniami wypłynęła z Auckland 20 lutego i wkrótce wpadła w objęcia nawałnicy powstałej wskutek sejsmicznego wstrząsu – tego samego, który dźwignął z morskiego dna niewysłowione okropności i otworzył im drogę do ludzkich snów. Emma przetrwała sztorm i wróciła na dawny kurs, lecz 22 marca pomyślną żeglugę przerwało spotkanie z Alertem. Stary żeglarz z niekłamanym żalem opisywał ostrzał i zatopienie szkunera. O smagłoskórych diabłach z Alertu pisał z wyraźnym przerażeniem; mieli oni w sobie coś osobliwie odpychającego, coś, co sprawiło, że zgładzenie ich narzucało się wręcz jako obowiązek – toteż Johansen z prostodusznym zdziwieniem przyjął z ust śledczych zarzut, jakoby jego załoga obeszła się z nimi okrutnie. Następnie wiedziona ciekawością załoga Emmy ruszyła zdobycznym jachtem pod dowództwem Johansena i wkrótce spostrzegła na

horyzoncie wielki kamienny obelisk wystający wprost z morza, a wreszcie na 47°9’ szerokości południowej i 126°43’ długości zachodniej przybiła do cyklopowego kamiennego wybrzeża oblepionego mułem, szlamem i wodorostami. Była to oczywiście najpotworniejsza rzecz na świecie, objawiona w pełni namacalnych kształtów: koszmarne, trupie miasto R’lyeh wzniesione w nieobjętych, praludzkich otchłaniach czasu przez potężne, wstrętne kształty, które spłynęły na ziemię z ciemnych gwiazd. Tam, w zaciszu zielonych, lepkich lochów spoczywał ze swymi hordami wielki *Cthulhu* – wreszcie, po nieprzeliczonych obrotach czasu, władny wysyłać myśli, które sieją trwogę w sercach wrażliwców i wzywają wiernych, by przybyli z wyzwoleńczą i odnowicielską pielgrzymką. Johansen nie miał o tym wszystkim pojęcia, lecz Bóg przecież świadkiem, że zobaczył niemało!

Przypuszczam, że z morza wychynął zaledwie wierzchołek całego miasta – ohydna, zwieńczona obeliskiem cytadela, w której leżał pogrzebany wielki *Cthulhu*. Gdy pomyślę o tym, co jeszcze może się tam lęgnąć, mam ochotę targnąć się na swoje życie. Johansen i jego ludzie z bojaźnią chłonęli kosmiczny majestat tego podmorskiego Babilonu pradawnych demonów; na pewno domyślili się, że nie pochodzi on ani z naszej, ani z żadnej innej rozumnej planety. Bojaźń, jaką przejął ich niewiarygodny ogrom zielonkawych kamiennych bloków, zawrotna wysokość potężnego, rzeźbionego obelisku, tudzież osłupiająca identyczność posągów i płaskorzeźb z niesamowitym posążkiem znalezionym w relikwiarzu na pokładzie jachtu – wszystko to aż tętni w zapiskach strwożonego żeglarza.

Johansen nigdy nie słyszał o futuryzmie, a jednak udało mu się opisać wynurzone miasto w sposób nieledwie futurystyczny; zamiast wyczerpująco opisywać każdy posąg czy budowlę poprzestał bowiem na opisie wrażeń, jakie wzbudziły w nim potężne kąty i kamienne powierzchnie – powierzchnie, które były zbyt niestosownie, nienormalnie rozległe jak na ziemską budowlę, a w dodatku bluźnierczo porzeźbione w straszliwe podobizny i hieroglify. Zwracam uwagę na wzmiankę Johansena o kątach, ponieważ skojarzyła mi się z czymś, co pierwej słyszałem od Wilcoksa: że mianowicie geometria wyśnionego przezeń miejsca była nienormalna, nieeuklidesowa, w odrażający sposób przywodziła na myśl obce sfery i wymiary. Niewykształcony żeglarz odniósł dokładnie to samo wrażenie, stojąc oko w oko ze straszliwą rzeczywistością.

Johansen i jego ludzie wyszli na stromy, mulisty brzeg tego poczwarnego akropolu i jęli wdrapywać się po lepkich, tytanicznych blokach, które z całą pewnością nie mogły służyć za stopnie zwykłym śmiertelnikom. W polaryzujących wyziewach, jakie buchały z tego podmorskiego wszeteczeństwa, załamywało się nawet zbożne światło słońca, obłędnie zaś łudzące załomy rzeźbionych skał wydawały się złośliwie, perwersyjnie groźne: ilekroć oko wpierw postrzegało kształt wypukły, tam po chwili rozwierała się zdradziecka wklęsłość.

## Z BOJAŹNIĄ CHŁONĘLI KOSMICZNY MAJESTAT TEGO PODMORSKIEGO BABILONU

Odkrywców rychło poczęła drążyć nieokreślona trwoga – i to zanim jeszcze ujrzeli coś więcej aniżeli szlam, wodorosty i skały. Tylko lęk przed wzgardą towarzyszy sprawiał, że żaden z nich nie rzucił się do ucieczki; wszyscy bez przekonania – i jak się okazało, na próżno – rozglądali się dokoła w poszukiwaniu jakiejś pamiątki.

Portugalczyk nazwiskiem Rodriguez wspiął się wreszcie na cokół obelisku i zawołał pozostałych. Towarzysze poszli jego śladem i po chwili z ciekawością stłoczyli się przy jego znalezisku. Były to olbrzymie wrota, rżnięte w znany im już wizerunek mątwowatego smoka. Wedle słów Johansena wyglądały jak wrótnia wielkiej stodoły; wszyscy byli zgodni, że są to wrota – miały zdobiony próg i nadproże, okolone były ościeżnicą – chociaż niepodobna było orzec, czy leżą płasko, na zasadzie zapadni, czy też ukośnie, jak drzwi od przydomowej piwnicy. Jak powiedziałby Wilcox, miejscem tym rządziła nieprawidłowa geometria. Nikt nie miał pewności, czy nawet morze i grunt leżą poziomo, toteż pozycja, jaką zajmowały wszystkie inne obiekty, wydawała się zmienna niczym fantastyczny zwid.

Briden starał się pchnąć w paru miejscach kamienne drzwi, ale bez skutku. Z kolei Donovan obszedł je delikatnie wzdłuż krawędzi, obmacując każdy punkt z osobna; piął się w nieskończoność po groteskowych kamiennych reliefach – „piął się”, rzecz jasna, pod warunkiem że nie leżały one jednak poziomo – a wszyscy zachodzili w głowę, skąd w całym wszechświecie mogły się wziąć tak olbrzymie wrota. Wtem akrowych rozmiarów płaszczyzna z wielką delikatnością i powolnością jęła uchylać się u szczytu; widać było, że jest wyważona. Donovan opuścił się w dół ościeżnicy – czy też popędził wzdłuż – i dołączył do towarzyszy, po czym wszyscy razem już obserwowali, jak poczwarnie rzeźbiony portal zapada się do środka. Złudliwie, nierealnie zniekształcony chylił się ruchem nienormalnie skośnym – urągając, zda się, prawom rządzącym materią i perspektywą.

Z otworu ziała czerń niemal materialna. Mroczność owa była w istocie jakością wymierną, zaciemniała bowiem wewnętrzne powierzchnie murów, które wraz z otwarciem wrót powinny wszak były się odsłonić – buchnęła niby kłąb dymu uwolniony z pradawnego więzienia, z trzepotem błoniastych skrzydeł uleciała w skurczone, znikliwe niebo, aż wyraźnie przygasł blask słońca. Z rozwartych głębin zionął nieznośny fetor, a po chwili bystrouchy Hawkins oznajmił, że słyszy jakiś wstrętny chlupot. Wszyscy wytężyli słuch – i stali tak jeszcze zasłuchani, gdy Coś z ohydnym mlaskiem wyczłapało z mroku w stronę czarnych wrót i po omacku przecisnęło zielony ogrom swego galaretowatego cielska wprost w skalane powietrze tego obłędnego, trującego miasta.

Biedny Johansen! Widać było, że pisząc te słowa, z trudem trzymał pióro w drżących palcach. Spośród sześciu ludzi, którzy już nie wrócili na statek, dwóch – jak mu się zdawało – uśmierciła w tej przeklętej chwili najczystsza trwoga. To, co ujrzeli, wymyka się wszelkim próbom opisu – żaden język nie

pomieści takich otchłani wrzaskliwego, niepamiętnego szaleństwa, upiornie zadających kłam wszelkim prawom materii, siły i kosmicznego porządku. Góra ruszyła z posad! Boże, i jakżeż tu się dziwić, że w tej telepatycznej chwili po drugiej stronie globu znakomity architekt postradał zmysły, a Wilcox zaczął bredzić w gorączce? Rzeźbiony bożek, zielony, lepki pomiot z gwiazd obudził się, by upomnieć się o swoje. Gwiazdy znów były we właściwej pozycji – i czego nie dokonała z rozmysłem odwieczna sekta, przypadkiem sprawiła grupa niewinnych marynarzy. Po wigintylionach lat *Cthulhu* odzyskał wolność i z rozkoszą wyruszał na żer.

Nim ktokolwiek zdążył choćby drgnąć, trzech ludzi smagnęły zwiotczałe szpony. Niech spoczywają w Panu – o ile tylko we wszechświecie możliwy jest spoczynek. Byli to Donovan, Guerrera i Ångstrom. Pozostali puścili się szaleńczym pędem przez bezkresne połacie zzieleniałych, obrośniętych skał. Parker się pośliznął; Johansen zaklinał się, że pochłonął go kąt jakiejś budowli, który zjawił się nie wiedzieć skąd – kąt ostry, choć zachowywał się tak, jakby był rozwarty. Na statek dotarli więc tylko Briden i Johansen; znalazłszy się na pokładzie, jęli rozpaczliwie odbijać, tymczasem potworny kolos ześliznął się w dół po lepkich skałach i człapał niepewnie na brzegu.

Kotły na szczęście nie zdążyły wygasnąć, mimo że nikt ich nie doglądał; wystarczyło więc parę chwil gorączkowej krzątaniny między sterem a maszynownią i za rufą jachtu zakipiały śmiercionośne wody. Powoli, wśród zgróz, które sięgały już szczytów zwyrodnienia, Alert powoli ruszał w morze; tymczasem na kamiennym brzegu nieziemskiego cmentarzyska tytaniczna Istota z gwiazd bluzgała mlaskliwym bełkotem niczym Polifem przeklinający uciekającego Odyseusza. Wielki *Cthulhu* był jednak śmielszy niż osławiony cyklop: koniec końców zsunął się w wodę i z kosmiczną siłą rzucił się za jachtem, potężnymi rzutami oślizłego cielska wzbijając niebotyczne fale. Briden obejrzał się – i oszalał; cały deliryczny rejs przesiedział potem w swej kabinie, zanosząc się piskliwym śmiechem, aż wreszcie którejś nocy odnalazła go śmierć.

Johansen wszelako jeszcze się nie poddał. Wiedział, że dopokąd płynie przed siebie, Istota niechybnie go doścignie, toteż rozpaczliwie czepił się ostatniej szansy: zbiegł do maszynowi, dał całą naprzód, po czym lotem błyskawicy popędził na pokład i zakręcił sterem. Alert zakołysał się potężnie, bryznął kłębami wstrętnej piany i kierowany ręką dzielnego Norwega ruszył prosto na ścigającą go galaretę, wznoszącą się z nieczystej kipieli niczym rufa czartowskiego galeonu. Przebrzydły mątwowaty łeb z wijącą się gęstwą macek wisiał już niemal nad bukszprytem niezłomnego jachtu, lecz Johansen nieubłaganie pędził naprzód. Wreszcie huknęło, jakby eksplodował pęcherz – chlusnęło wstrętnie jak z rozpłatanego głowonoga – buchnął fetor, jakby otwarto nagle tysiąc grobów – i rozległ się dźwięk, którego nie da się opisać... Przez chwilę jacht spowijała żrąca chmura zielonego waporu, a za rufą wściekliło się tylko jadowite wirowisko; lecz raptem – Boże na niebiesiech! – rozbryźnięte, glejowate szczątki kosmicznego pomiotu jęły łączyć się na nowo, jak z mgławicy wyłaniając z siebie nienawistny kształt pierwotny! Alert był już jednak daleko – kotły i maszyny pracowały pełną parą.

Na tym koniec. Później Johansen siedział już tylko w kabinie i dumał nad znalezionym bożkiem; wychodził tylko po to, by przygotowywać posiłki dla siebie i obłąkanego towarzysza. Wykonawszy swój brawurowy manewr, zupełnie porzucił ster – to, co zobaczył, odebrało mu jakąś cząstkę duszy. Drugiego kwietnia rozpętał się sztorm, a świadomość Johansena pogrążyła się w chmurnym omroczu. Targało nim upiornie przez płynne otchłanie nieskończoności, na ogonie komety śmigał zawrotnie przez wirujące wszechświaty, coś ciskało nim histerycznie z najgłębszych czeluści na księżyc i z księżyca w czeluść – a wszystko to ożywiał chóralny chichot spaczonych, wesołkowatych prabogów i zielonych, nietoperzoskrzydłych, złośliwych lich z Tartaru.

Z tych snów wybawił go Vigilant – a potem przesłuchania przed sądem admiralicji, ulice Dunedin i długa podróż do dawnego domu u podnóża Ekebergu. Nikomu nie mógł się zwierzyć – uznano by go za szaleńca. Zanim umrze, mógł wszystko spisać, lecz w taki sposób, by nie zdradzić się przed żoną. Jeśli śmierć może uwolnić go od wspomnień, będzie tylko łaską.

Na tym kończy się rękopis Johansena. Wkładam go teraz do blaszanego pudełka razem z płaskorzeźbą i papierami profesora Angella. Za chwilę dołączy do nich dowód mej własnej poczytalności – niniejsze zapiski scalające fakty, których oby nikt już po mnie na powrót nie połączył. Widziałem największą zgrozę wszechświata – teraz ciąży mi nawet błękit wiosennego nieba, robak lęgnie się nawet w letnim kwiecie. Nie sądzę jednak, by dane mi było żyć długo. Zginął mój dziadek, zginął nieszczęsny Johansen, wnet zginę też i ja. Zbyt dużo wiem – a sekta wciąż żyje.

I sądzę, że żyje też jeszcze sam *Cthulhu*, na powrót zamknięty w kamiennej otchłani, która kryła go od zarania gwiazd. Przeklęte miasto zatonęło ponownie – Vigilant płynął tamtędy po kwietniowym sztormie – lecz w odludnych zakątkach Ziemi jego misjonarze wciąż odprawiają swe wrzaskliwe, krwawe ceremonie u stóp zwieńczonych bożkami obelisków. W chwili gdy tonęło, musiał znów tkwić w swej czarnej czeluści – inaczej cały świat skowytałby już z szaleństwa i trwogi. Któż wie, jaki będzie koniec? Co powstało, może zatonąć – a co zatonęło, może powstać. Ohyda czeka i śni w swych głębinach, a człowiecze miasta marnieją i grążą się w rozkładzie. Przyjdzie czas… lecz sza, nie mogę, nie chcę o tym myśleć! Moich spadkobierców błagam tylko o jedno: jeżeli ten rękopis mnie przeżyje, niechaj wykażą się raczej ostrożnością niż zuchwalstwem i dołożą starań, by nie spoczęło na nim więcej ludzkie oko.

# Przypadek Charlesa Dextera Warda

Podstawowe Sole Zwierząt można preparować i przechowywać, tedy Człek zmyślny zdolen iest sprawić sobie w Pracowni swoiey cały Korab Noego i dla Przyjemności swoiey każdego Zwierza z Prochów iego w wybornym Kształcie przywołać może; takimż Sposobem z podstawowych Soli z Prochów Człowieczych korzystaiąc, a przy tem nie popełniaiąc zbrodniczego grzechu Nekromancyi, Filozof przywołać może Kształt iakiegożkolwiek Przodka, z Prochów, w iakie ów ciałem swym się obrócił.

Borellus

## I. Rezultat i prolog

### 1.

Z prywatnego szpitala dla obłąkanych w pobliżu Providence w stanie Rhode Island zniknął niedawno wielce osobliwy pacjent. Nazywał się Charles Dexter Ward, umieścił go tam zaś z najwyższą niechęcią własny ojciec, który z bólem obserwował był, jak jego syn podlega coraz większej aberracji – jak ze zwykłego ekscentryka przeistacza się w niebezpiecznego maniaka, jak kiełkują w nim skłonności mordercze, a treść i wytwory jego umysłu podlegają głębokim i osobliwym zmianom. Zakłopotania nie kryli nawet lekarze; przyznali, że przypadek ten znacznie odbiega zarówno od fizjologicznej, jak psychologicznej normy.

Po pierwsze, pacjent wyglądał dziwnie staro jak na swoje dwadzieścia sześć lat. Zaburzenia umysłowe postarzają wprawdzie bardzo szybko, twarz tego młodzieńca nabrała jednak pewnej subtelności zwykle spotykanej u osób w wieku naprawdę podeszłym. Po drugie, jego procesy życiowe przebiegały w sposób cokolwiek niespotykany, przeczący wszelkiej wiedzy medycznej. Oddychanie i akcja serca wykazywały się zdumiewającą nieregularnością; pacjent stracił głos, nie mógł więc wydobyć z siebie dźwięku głośniejszego niż szept; trawienie odbywało się w sposób niewiarygodnie spowolniony i ograniczony, a odruchy nerwowe na typowe bodźce nie przypominały żadnych odnotowanych dotąd przypadków, normalnych ani patologicznych. Skóra była niezdrowo zimna i sucha, a struktura komórkowa tkanki skórnej wydawała się niesłychanie gruboziarnista i rozluźniona. Zniknęło nawet duże oliwkowe znamię na prawym biodrze, z kolei na klatce piersiowej pojawiło się znamię nowe: wyjątkowo osobliwy czarniawy punkt, jakby pieprzyk, którego nigdy wcześniej tam nie było. Wszyscy lekarze, którzy mieli do czynienia z Wardem, zgodnie przyznają, że procesy metaboliczne w

jego organizmie zostały spowolnione w bezprecedensowym stopniu.

Pod względem psychologicznym stan Charlesa Warda był nie mniej wyjątkowy. Jego obłęd nie przypominał zgoła niczego, co opisywano w rozprawach medycznych, nawet najświeższych i najobszerniejszych, sprzęgnięty był zaś z potężną siłą psychiczną, która uczyniłaby zeń geniusza bądź przywódcę, gdyby tylko nie przybrała tak wypaczonych, groteskowych form. Doktor Willett, lekarz rodziny Wardów, twierdzi, że zdolności umysłowe Charlesa, mierzone podług jego reakcji na sprawy spoza sfery jego szaleństwa, były właściwie większe niż przed chorobą. To prawda, Ward zawsze był młodzieńcem uczonym, zapalonym antykwariuszem, lecz nawet w najbłyskotliwszych wczesnych rozprawkach nie zdradzał takiego myślowego rozmachu ani głębi, jaką wykazał się podczas ostatnich badań. W istocie stwarzał pozór osoby tak sprawnej i przytomnej na umyśle, że niełatwo było uzyskać pozwolenie na hospitalizację; dopiero zeznania osób postronnych tudzież nienormalne, przeczące jego inteligencji braki w wiedzy ogólnej sprawiły, że udało się umieścić go w zakładzie zamkniętym. Aż do swego zniknięcia żarłocznie pochłaniał książki i na ile pozwalał mu na to osłabły głos, prowadził zajmujące rozmowy; obserwujący go bacznie alieniści nie przewidzieli ucieczki, prognozowali raczej, że rychło zostanie wypisany do domu.

Jedynie doktor Willett, który sprowadził Charlesa na świat i od początku obserwował jego cielesny i umysłowy rozwój, wydawał się przerażony myślą o jego zwolnieniu. Zaobserwował i odkrył był pierwej coś straszliwego i nie śmiał podzielić się swym odkryciem ze sceptycznymi kolegami po fachu. Związek Willetta ze sprawą Warda stanowi w istocie osobną zagadkę. Rozmawiał on z pacjentem ostatni, gdy zaś trzy godziny później rozeszła się wieść o ucieczce Warda, kilka osób przypomniało sobie, że opuścił jego izolatkę ze zgrozą i ulgą zarazem. Sama ucieczka należy do najbardziej frapujących, niepojętych tajemnic szpitala doktora Waite'a. Trudno przypuszczać, by pacjent mógł zbiec przez okno otwierające się na sześćdziesięciostopowej wysokości urwisko – wszelako nie da się zaprzeczyć, że po rozmowie z Willettem młodzieniec zniknął. Willett nie umiał zaproponować sensownego wyjaśnienia, można jednak odnieść wrażenie, że od całego zajścia dziwnie się wypogodził. Niektórzy sądzą, że chętnie podzieliłby się swą wiedzą, gdyby ufał, że znajdzie dość słuchaczy, którzy dadzą mu wiarę. Kiedy zaszedł do salki Warda, pacjent jeszcze tam był, lecz gdy niedługo po jego wyjściu zapukali do niej pielęgniarze, odpowiedziała im głucha cisza. Otworzywszy drzwi, ujrzeli, że salka jest pusta, a okno otwarte, omal nie udusiła ich też chmura miałkiego sinawoszarego pyłu kłębiąca się w porywach zimnej kwietniowej bryzy. Prawdą jest, że słychać było wycie psów – działo się to jednak jeszcze wówczas, gdy u Warda siedział Willett, później nie zauważono już nic niepokojącego. Natychmiast zatelefonowano do ojca Charlesa, ów jednak zdawał się raczej zasmucony niż zaskoczony. Zanim zjawił się osobiście doktor Waite, Willett odbył z nim rozmowę i obaj zaprzeczyli, jakoby wiedzieli cokolwiek na temat ucieczki bądź byli jej współsprawcami. Pewne wskazówki udało się uzyskać dopiero od kilku zaufanych przyjaciół Willetta i Warda seniora, są one jednak

doprawdy zbyt fantastyczne, by można było je podać do publicznej wiadomości. Jedynym faktem niezbitym jest to, że po dziś dzień nie ma nawet śladu po zbiegłym szaleńcu.

Charles Ward wykazywał zainteresowania antykwaryczne od najmłodszych lat. Ukształtowało je bez wątpienia sędziwe miasto, w którym dorastał, oraz rodzinny dom przy Prospect Street – stara rezydencja na szczycie wzgórza, pełna najrozmaitszych pamiątek przeszłości. W biegiem lat jego fascynacja starociami rosła; historia, genealogia, badania nad architekturą, meblami i rzemiosłem czasów kolonialnych ostatecznie bez reszty zawładnęły sferą jego zainteresowań. Rozważając przypadek Warda, należy o tych upodobaniach pamiętać – jakkolwiek nie stanowią one ostatecznego jądra obłędu, odegrały pierwszorzędną rolę w jego zewnętrznych przejawach. Wychwycone przez alienistów luki w informacjach obejmowały wyłącznie sprawy współczesne, rekompensowała je zaś wiedza o czasach dawno minionych, niesłychanie rozległa, choć skrzętnie skrywana – ujawniła ją dopiero zręczna indagacja. Można było wręcz odnieść wrażenie, że pacjent dosłownie przeniósł się w dawne czasy za pomocą jakiejś niepojętej autohipnozy. O dziwo zupełnie utracił swoje antykwaryczne zainteresowania. Wygląda na to, że starocie stały się dlań nieciekawe jako rzeczy zupełnie powszednie; pod koniec widać było jak na dłoni, że ze wszystkich sił stara się opanować zwykłą wiedzę o świecie współczesnym, pierwej wymazaną z jego umysłu bez śladu. Ward robił, co mógł, by ukryć, że do tego wymazania doszło, wszelako żaden z obserwujących go lekarzy nie miał wątpliwości, że cały ten program intensywnych lektur i konwersacji dyktuje mu szaleńcze pragnienie przyswojenia wiedzy na temat własnego życia oraz jego praktycznego i kulturowego tła, czyli wszystkiego, co wykształcony, urodzony w roku 1902 człowiek powinien wiedzieć o wieku dwudziestym. Alieniści zachodzą dziś w głowę, jak też zbiegły pacjent radzi sobie ze skomplikowanym światem współczesnym; przeważa opinia, że na razie się przyczaił, prowadzi gdzieś skromne, niewymagające życie, jednocześnie uzupełniając braki w aktualnej wiedzy.

Alieniści nie są zgodni co do tego, kiedy zaczęło się szaleństwo Warda. Doktor Lyman, znakomity specjalista z Bostonu, sytuuje ów moment w roku 1919 bądź 1920. Chłopiec uczęszczał wówczas do ostatniej klasy Moses Brown School i niespodziewanie porzucił swe badania historyczne na rzecz studiów okultystycznych; odmówił nawet zdawania na uczelnię wyższą, twierdząc, że jest zajęty badaniami nierównie większej wagi. Tezę tę potwierdza to, że w owym czasie Ward istotnie zmienił zwyczaje: zaczął przesiadywać w miejskim archiwum i wałęsać się po starych cmentarzach w poszukiwaniu pewnego grobu wykopanego w 1771 roku; miał to być grób jego przodka Josepha Curwena – Ward twierdził, że znalazł jakieś jego papiery za boazerią wiekowego domu przy ulicy Olney Court w dzielnicy Stampers' Hill, domu, który Curwen zbudował i w którym mieszkał. Mówiąc najogólniej, nie da się zaprzeczyć, że zimą roku 1919 i 1920 Ward bardzo się zmienił: w jednej chwili porzucił swoje antykwaryczne poszukiwania i pogrążył się bez reszty w szaleńczych studiach okultystycznych, zarówno w kraju, jak za granicą, przerywanych jedynie osobliwie uporczywymi

poszukiwaniami grobu przodka.

Z opinią tą zasadniczo nie zgadza się doktor Willett. Powołuje się przy tym na bliską, długotrwałą znajomość z pacjentem oraz na pewne zatrważające dociekania i odkrycia, które poczynił niedługo przed jego zniknięciem; owe dociekania i odkrycia odcisnęły zresztą na nim swe piętno – doktorowi do dziś drży głos, gdy o nich mówi, i trzęsie mu się ręka, gdy próbuje o nich pisać. Willett przyznaje, że przemianę z przełomu 1919 i 1920 roku można w przybliżeniu traktować jako początek postępującego upadku Warda, przypieczętowanego straszliwym, niesamowitym obłędem w roku 1928; na podstawie własnych obserwacji uważa jednak, że należy tu wprowadzić subtelne rozróżnienie. Nie przeczy, że chłopiec zawsze miał niezrównoważony temperament i z przesadnym entuzjazmem reagował na otaczające go zjawiska, wątpi jednak, by ów wczesny zwrot w jego zainteresowaniach oznaczał przejście od umysłowego zdrowia do obłędu; na dowód przytacza stwierdzenie samego Warda, jakoby ów odkrył – po raz pierwszy lub na nowo – coś, co może w kolosalny i zdumiewający sposób wpłynąć na ludzką myśl. Doktor Willett nie ma wątpliwości, że obłęd pojawił się wraz z przemianą późniejszą – po tym, jak Ward odkrył portret Curwena i stare dokumenty, po tym, jak wrócił z dziwnej zagranicznej podróży, po tym, jak w niezwykłych i tajemnych okolicznościach zostały wyśpiewał straszliwe inwokacje; po tym, jak owe inwokacje doczekały się pewnych odpowiedzi, a udręczony w niepojęty sposób Ward napisał swój gorączkowy list; po tym, jak okolicę nawiedziła plaga wampiryzmu, a w Pawtuxet pojawiły się złowieszcze pogłoski; po tym, jak z pamięci pacjenta zaczęły znikać współczesne fakty, zanikł mu głos, wygląd fizyczny zaś jął podlegać subtelnym, lecz tak wyraźnym modyfikacjom.

Jak z dużą dozą przenikliwości dowodzi Willett, w tym właśnie czasie osobie Warda zaczęto przypisywać tak koszmarne właściwości; doktor uważa, choć myśl ta przyprawia go o dreszcz, że istnieją poważne dowody, iż młodzieniec nie mylił się co do wagi swego odkrycia. Po pierwsze, świadkami znalezienia papierów Curwena było dwóch niegłupich robotników; po drugie, chłopiec sam pokazał je kiedyś Willettowi, wraz z kartką z dziennika Curwena, i oba dokumenty nosiły wszelkie znamiona autentyczności. Dziura, w jakiej Ward je znalazł, była widoczna przez długi czas, ponadto Willett z całą pewnością widział je potem raz jeszcze, w miejscu, w którego rzeczywiste istnienie trudno uwierzyć i może niepodobna go dowieść. Pozostawały jeszcze tajemnice i zbieżności w listach Orne'a i Hutchinsona, problem charakteru pisma Curwena oraz tego, co detektywi ujawnili w związku z doktorem Allenem, a także straszliwa wiadomość wypisana średniowieczną minuskułą, znaleziona w kieszeni Willetta, gdy odzyskał już przytomność po swych wstrząsających przeżyciach.

Najbardziej decydujące znaczenie mają jednak dwa odrażające rezultaty, jakie pod koniec swych dociekań doktor uzyskał za pomocą pewnych dwu formuł; rezultaty, które w zasadzie dowiodły autentyczności dokumentów Curwena i wynikających z nich potwornych implikacji – w tej samej chwili, gdy dokumenty owe zniknęły na zawsze z ludzkiego świata.

## 2.

Teraz musimy cofnąć się do lat młodości Charlesa Warda jako czegoś, co należy do przeszłości w nie mniejszej mierze niż umiłowane przezeń czasy historyczne. Jesienią roku 1918, wykazując niemały zapał do powszechnych wówczas ćwiczeń wojskowych, Charles rozpoczął naukę w położonej nieopodal domu Moses Brown School. Budynek szkoły, wzniesiony w roku 1819, od samego początku pieścił oko młodziutkiego antykwariusza, dookolny zaś park zaspokajał jego wrażliwość na piękno krajobrazu. Chłopiec nie był przesadnie towarzyski; większość czasu spędzał w domu, w szkole i na ćwiczeniach, na włóczęgach po mieście oraz poszukiwaniach antykwarycznych i genealogicznych – w miejskim ratuszu, gmachu stanowym, bibliotece publicznej, bibliotece Athenaeum, w siedzibie Towarzystwa Historycznego, w bibliotekach Uniwersytetu Browna: John Carter Brown Library i John Hay Library, a także w nowo otwartej Shepley Library przy Benefit Street. Nietrudno sobie wystawić, jak podówczas wyglądał: wysoki, szczupły, lekko zgarbiony młodzian, o jasnych włosach i bystrych oczach, ubrany cokolwiek niedbale, dość niepozorny, sprawiający wrażenie raczej nieszkodliwego niezguły.

Każdy jego spacer był wędrówką w głąb dziejów. Ward przechadzał się czarownymi ulicami, wśród miriadów pamiątek przeszłości, i przed oczyma stawało mu jak żywe miasto sprzed stuleci. Sam również mieszkał w starym domu, wielkiej georgiańskiej rezydencji o ceglanej fasadzie i dwu wyniosłych wykuszach, usytuowanej na szczycie stromego wzgórza na wschodnim brzegu rzeki; za tylnymi oknami rozciągał się zapierający dech pejzaż niższej części miasta, naszpikowany iglicami, kopułami, dachami i wierzchołkami drapaczy chmur, rozciągnięty aż po purpurowe zamiejskie wzgórza. Tutaj się urodził; tutaj niańka sadzała go w wózku i przez urokliwą klasyczną werandę wywoziła na długie spacery. Mijali dwustuletni biały domek pamiętający jeszcze czasy, gdy dokoła rozciągały się wioski, i paradną, cienistą ulicą ruszali w stronę dostojnych budynków uniwersytetu; wzdłuż ulicy pyszniły się wystawne dziedzińce i ogrody, a w ich zaciszu grążyły się w wyniosłym, dufnym rozmarzeniu stare ceglane rezydencje oraz mniejsze drewniane domy o wąskich portykach wspartych na masywnych doryckich kolumnach.

Jeździli także przez senną Congdon Street biegnącą niżej zboczem wzgórza, po wschodniej stronie zabudowaną tarasowo usytuowanymi willami. Drewniane domki były tu nieco starsze, miasto rozbudowywało się bowiem od dołu ku szczytowi wzgórza; chłopiec wyglądał z wózka i chłonął tlący się jeszcze koloryt pradawnej kolonialnej wioski. W parku Prospect Terrace niańka często przysiadała na ławce i ucinała sobie pogawędki z policjantami. To stąd mały Charles zachował jedno ze swych pierwszych wspomnień: pewnego zimowego popołudnia przystanęli przy barierce na skraju parku, a za barierką ciągnęło się w dół ku zachodowi olbrzymie morze dachów, wieżyc i dalekich wzgórz, opalizujące mistyczną fioletową mgiełką na tle apokaliptycznego zmierzchu rozgorzałego czerwienią, złotem, purpurą i dziwaczną zielenią. W oddali wznosiła się potężna marmurowa kopuła siedziby władz stanowych, rozżagwione zaś niebo, wypalające barwne

prześwity w cienkiej warstwie chmur, otaczało wieńczący ją posąg fantastyczną aureolą.

Kiedy chłopiec odrósł trochę od ziemi, jął wyruszać na swoje słynne wędrówki – zrazu ciągnąc za sobą niańkę, potem już samotnie, w sennym zamyśleniu. Coraz dalej, coraz niżej schodził prostopadłym niemal wzgórzem, za każdym razem zagłębiając się w coraz starsze i osobliwsze rejony starodawnego miasta. Nieśmiało, z wahaniem schodził spadzistą Jenckes Street, mijając szereg kolonialnych domów o szczytowych dachach, aż do cienistego rogu Benefit Street.

Tam wyrastał przed nim drewniany zabytek z dwojgiem drzwi przyozdobionych jońskimi pilastrami; obok niego wznosiły się prehistoryczny dom z mansardowym dachem i zachowanymi jeszcze resztkami zabudowań gospodarskich oraz wielkie domostwo sędziego Durfeego ze smętnymi resztkami georgiańskiej świetności. Miejsce to z wolna popadało w nędzę, tytaniczne wiązy skrywały ją jednak w litościwym cieniu, toteż chłopiec lubił się tędy przechadzać. Skręcał na południe i mijał długie szeregi willi jeszcze sprzed wojny o niepodległość, o wielkich kominach i klasycznych portykach; te po wschodniej stronie ulicy osadzone były na wysokich fundamentach, a do drzwi prowadziły podwójne biegi kamiennych schodów z balustradami. Oczyma wyobraźni młodziutki Charles widział ulicę, jak gdyby była nowa: przywracał barwy spłowiałym fasadom, wyobrażał sobie, że krzątają się przy nich wyfioczone postacie w perukach i czerwonych trzewikach.

Po stronie zachodniej teren opadał w dół niewiele łagodniej niż w wyższych partiach ulicy, aż do dawnej Town Street wybudowanej na brzegu rzeki przez założycieli miasta w 1636 roku. Prowadziły do niej niezliczone wąskie uliczki, przy których tłoczyły się stareńkie, poprzekrzywiane chałupiny; wiele czasu minęło, nim Charles dał upust swej fascynacji i zanurzył się w ten gąszcz – będąc malcem, lękał się, że spadziste zaułki okażą się wrotami do nieznanych, może sennych zgróz. Znacznie mniej strasznie było mu iść dalej wzdłuż Benefit Street: mijał ukryty za żelaznym płotem cmentarz przy kościele Świętego Jana, tył wybudowanego w 1761 roku gmachu władz kolonialnych i rozsypującą się bryłę Golden Ball Inn, w której zatrzymał się niegdyś Waszyngton. Mijając Meeting Street – dawniej noszącą nazwy Gaol Lane i King Street – spoglądał ku wschodowi, tam gdzie pnąca się w górę ulica przechodzi w łukowate schodki; niżej, po stronie zachodniej, mijał ceglany budynek starej kolonialnej szkoły uśmiechający się do stojącej naprzeciwko stareńkiej kamienicy Pod Głową Szekspira, w której przed wojną o niepodległość drukowano „Providence Gazette and Country-Journal”. Dalej pysznił się zbytkowny Pierwszy Kościół Baptystów z 1775 roku, wystrzelający w górę niedościgle piękną iglicą Gibbsa i otoczony kopułami georgiańskich dachów. Im dalej na południe, tym dzielnica była okazalsza, na końcu rozkwitała wręcz cudownym bukietem sędziwych rezydencji; na zachód wciąż jednak odchodziły od Benefit Street zapadłe zaułki widmowo najeżone wieżyczkami archaicznych domostw, biegnące w dół, aż do starego, nikczemnego portu mieniącego się roztęczem najbarwniejszego zepsucia. Tam, wśród gnijących nabrzeży, wielojęzycznego marynarskiego plugastwa i kaprawookich dostawców okrętowych, ostały się

jeszcze ślady dawnych, chwalebnych czasów handlu z Indiami Wschodnimi – mianowicie w nazwach portowych uliczek: Gotówkowej, Sztabkowej, Złociszowej, Srebrnikowej, Bilonowej, Dublonowej, Suwerenowej, Guldenowej, Dolarowej, Miedziakowej i Centowej.

Podrósłszy już trochę, Ward rozzuchwalił się i niekiedy zapuszczał się w ten odmęt rozchwierutanych chałup, połamanych nadproży, kruszejących schodków, pogiętych balustrad, śniadych twarzy i nieokreślonych woni; skręcał z South Main w South Water Street, zapuszczał się do portu, w którym tkwiły pękate parowce, i wzdłuż brzegu ruszał z powrotem ku północy; mijał wybudowane w 1816 roku magazyny o spadzistych dachach i docierał do podnóża mostu Great Bridge, gdzie na swych starodawnych arkadach wciąż stoi krzepko hala targowa z 1773 roku. Tam, na obszernym placu przystawał i do upojenia chłonął widok przepięknej starówki wznoszącej się na wschodnim urwisku, strojnej w parę georgiańskich wieżyc i zwieńczonej potężną kopułą kościoła Nauki Chrześcijańskiej niczym Londyn katedrą Świętego Pawła. Najbardziej lubił tu przychodzić późnym popołudniem, gdy w niskich promieniach słońca hala targowa oraz wiekowe dachy i dzwonnice na wzgórzu mienią się złotem, a nabrzeża, śniące o czasach, gdy przybijały do nich dalekomorskie żaglowce, roztaczają swój czarowny urok. Wreszcie budził się z poetycznego zapatrzenia i jak odurzony ruszał z powrotem do domu; w gasnącym świetle dnia mijał stary biały kościół i piął się stromymi zaułkami w górę, mijając wysokie, schodkowe wejścia do domów z misternymi balustradami z kutego żelaza – tymczasem przez małe szybki okien i naświetli sączył się żółty blask domowych ognisk.

W późniejszych latach zdarzało mu się szukać wyrazistszych kontrastów: wpierw ruszał na północny zachód, w dół wzgórza, i zapuszczał się w podupadłą kolonialną część Stampers' Hill, aż do murzyńskiego getta stłoczonego wokół placu, z którego przed wojną o niepodległość odjeżdżał dyliżans do Bostonu; drugą część spaceru poświęcał na wytworne okolice George Street, Benevolent, Power i Williams – tam, na południowym stoku wzgórza, zachowały się nietknięte przez czas pyszne posiadłości i ogrodzone murem resztki parku ze stromą alejką, przesycone miriadami niezwietrzałych jeszcze wspomnień. Z tych właśnie włóczęg, uzupełnionych pilnymi studiami w bibliotekach i archiwach, Charles Ward czerpał swą wiedzę historyczną, jaka później zawładnęła jego umysłem, wypierając zeń bez reszty świat współczesny – na taką właśnie umysłową glebę owej tragicznej zimy z 1919 na 1920 rok padło ziarno, które wydało tak dziwny i straszny plon.

Doktor Willett jest przekonany, że aż do tej złowieszczej zimy antykwaryczna pasja Charlesa Warda wolna była od wszelkich niezdrowych podtekstów. Chłopiec nie zdradzał najmniejszych skłonności do przemocy ani dzikich instynktów; cmentarze pociągały go wyłącznie ze względu na swą malowniczość i wartość historyczną. Później jednak zatrute owoce jęło przynosić jedno z największych odkryć genealogicznych, jakich Ward dokonał w roku poprzednim – mianowicie takie, że wśród jego przodków po kądzieli znajdował się pewien niezwykle długowieczny osobnik o nazwisku Joseph Curwen; przywędrował on z Salem w marcu 1692 roku, a za nim rój

wyjątkowo osobliwych i niepokojących pogłosek.

Stało się otóż, że prapradziad naszego młodego genealoga, Welcome Potter, poślubił w roku 1785 niejaką „Ann Tillinghast, córkę Elizy i kapitana Jamesa Tillinghasta”; o jej przodkach po mieczu nie zachowała się żadna informacja. Pod koniec 1918 roku Ward przewertował stosy rękopiśmiennych akt miejskich i natknął się na wpis, z którego wynikało, że w roku 1772 pani Eliza Curwen, wdowa po Josephie Curwenie, a wraz z nią siedmioletnia córka Ann, powróciła do nazwiska panieńskiego Tillinghast – na takiej mianowicie podstawie, że „nazwisko jej Męża publiczną okryło się Hańbą, a to skutkiem Spraw, które wyszły na jaw po jego Zgonie; takoż potwierdza się Pogłoska z dawien dawna krążąca, aleć w lojalności swej Żona zmarłego nieskora jest uznać jej za Prawdę, aże kto jej ponad wszelką Wątpliwość nie dowiedzie”. Notę ową Ward odkrył, rozerwawszy przypadkiem dwie strony archiwalnej księgi; ktoś starannie skleił karty i dla niepoznaki pracowicie poprawił numery wszystkich stron.

Charles nie miał najmniejszych wątpliwości, że wpadł na trop nieznanego dotąd praprapradziadka. Odkrycie zaintrygowało go tym mocniej, że zdarzało mu się już słyszeć bądź czytać mgliste wspominki i rozproszone aluzje dotyczące jego osoby; osoby, której istnienie potwierdzało tak niewiele jawnych dokumentów – nie licząc tych upublicznionych ostatnimi laty – iż można było odnieść wrażenie, że zawiązał się spisek dla zatarcia po niej wszelkich śladów. Co więcej, przypadkowo odkryta informacja była tak osobliwa i prowokująca, że nie sposób było nie zadumać się nad tym, co też kolonialni archiwiści tak pilnie chcieli ukryć przed światem – tudzież nie wysnuć podejrzeń, że mieli po temu ważne powody.

Wprzódy Ward skłonny był już pogodzić się z tym, że Joseph Curwen pozostanie dlań postacią mityczną i mglistą; lecz gdy tylko odkrył, że z tym wymazanym ze zbiorowej pamięci osobnikiem łączą go więzy pokrewieństwa, jął z największą starannością gromadzić wszelkie tyczące go informacje. Ekscytujące poszukiwania uwieńczył sukces przekraczający jego najśmielsze oczekiwania: na strychach starych domów i w innych zakątkach Providence kurzyły się bowiem całe pliki starych listów, dzienników i niepublikowanych wspomnień, w nich zaś można było znaleźć ustępy niezwykłej wagi, których autorzy nie uznali za stosowne zniszczyć. Ważny trop udało się odnaleźć nawet w Nowym Jorku – muzeum w tamecznym Fraunces’ Tavern również przechowywało zbiorek korespondencji z kolonialnych czasów. Znaleziskiem najwyższej wagi – które zdaniem doktora Willetta stało się też głównym zalążkiem Wardowej zguby – były jednak papiery ukryte za boazerią w rozsypującym się domu przy Olney Court. Nie można już dziś wątpić, że to właśnie one otworzyły horyzonty, których kres był mroczniejszy niźli najczarniejsza otchłań piekieł.

## II. Poprzednik i zgroza

# 1.

Ze strzępków odkrytych i zasłyszanych przez Warda legend wyłoniła się postać Josepha Curwena jako persony wyjątkowo tajemniczej, zdumiewającej i w niejasny sposób przerażającej. Curwen uciekł z Salem do Providence – przystani ludzi niepokornych, dziwaków i odszczepieńców – gdy tylko wybuchła histeria na punkcie czarów; obawiał się, że jako odludek niestroniący od dziwnych chemicznych i alchemicznych doświadczeń on także nie uniknie oskarżeń o czary. Był wówczas nijako wyglądającym mężczyzną około trzydziestki; wkrótce uzyskał prawo obywatelstwa miasta Providence i kupił posesję w dole Olney Street, kawałeczek na północ od domu Gregory'ego Dextera. Dom postawił sobie w Stampers' Hill, na zachód od Town Street, przy ulicy nazwanej później Olney Court; w 1761 roku na tym samym miejscu wybudował dom większy, który stoi do dziś.

W Providence zrazu wszystkich zdumiało to, że nie widać było, iżby Joseph Curwen zbytnio się starzał. Zaczął prowadzić handel morski, kupił nabrzeże w pobliżu Mile-End Cove, w 1713 roku wspomógł przebudowę Great Bridge, w 1723 był jednym z fundatorów kościoła kongregacjonistów na wzgórzu; przez wszystkie te lata zachował jednak ów nieokreślony wygląd mężczyzny najwyżej trzydziesto-, trzydziestopięcioletniego, jaki miał w momencie przybycia. W miarę upływu dziesięcioleci ta szczególna właściwość zaczęła zwracać powszechną uwagę. Curwen tłumaczył się, że odziedziczył ją po swych krzepkich przodkach i że w zachowaniu młodego wyglądu pomaga mu prosty, skromny tryb życia. Poczciwi mieszczanie nie bardzo wiedzieli, jak pogodzić ową skromność z niewytłumaczalnymi zajęciami, jakim oddawał się skryty kupiec, tudzież podejrzanymi błyskami rozświetlającymi jego okna o każdej porze nocy – toteż przyczyn jego długowieczności szukali gdzie indziej. Większość skłaniała się do przypuszczenia, że wieczna młodość Curwena rodzi się w bulgoczących nieprzerwanie chemicznych retortach. Po mieście krążyły plotki o dziwnych odczynnikach, jakie ściągał swoimi statkami z Londynu i Indii lub kupował w Newport, Bostonie i Nowym Jorku; gdy stary doktor Jabez Bowen sprowadził się z Rehoboth i po drugiej stronie Great Bridge otworzył aptekę Pod Jednorożcem i Moździerzem, miasto rozplotkowało się o medykamentach, kwasach i metalach, jakie nieustannie kupował w niej bądź zamawiał milkliwy odludek. Ludzie skarżący się na rozmaite dolegliwości sądzili, że Curwen posiadł jakieś cudowne i tajemne umiejętności medyczne, tedy często zgłaszali się doń z prośbą o pomoc w cierpieniu; jakkolwiek Curwen zdawał się w wymijający sposób utwierdzać ich w tym przekonaniu i zawsze służył jakimiś dziwacznie zabarwionymi miksturami, zauważono, że ich stosowanie rzadko przynosi poprawę. Koniec końców, gdy dziwny przybysz mieszkał w Providence już z górą pół wieku, jego zaś twarz i cielesna konstytucja nie zdradzały upływu czasu dłuższego niźli pięć lat, zaczęto o nim mówić rzeczy coraz posępniejsze i jego pragnienie samotności zaspokajano coraz skwapliwiej.

Prywatne listy i dzienniki z tamtych lat ujawniają wiele innych przyczyn, dla których Joseph Curwen budził zdumienie, lęk, a wreszcie zaczęto omijać go jak zarazę. Znany był na przykład ze swego zamiłowania do cmentarzy –

śród grobów widywano go o każdej porze doby i w każdych warunkach, jakkolwiek nigdy nie zauważono, by dopuszczał się tam jakichś makabrycznych postępków. Przy Pawtuxet Road miał farmę; mieszkał tam głównie latem, często widywano też, jak jeździł tam konno o najosobliwszych porach dnia i nocy. Jedynymi ludźmi, jakich można było zobaczyć na farmie, była ponura para sędziwych Indian z plemienia Narragansett, pełniąca funkcję gospodarzy, stróżów i służących; mąż niemowa pokryty był osobliwymi szramami, żona zaś miała wyjątkowo odpychające rysy twarzy, zapewne za sprawą domieszki krwi murzyńskiej. W przybudówce za domem znajdowało się laboratorium, w którym Curwen przeprowadzał większość swych doświadczeń. Kurierzy i tragarze dostarczający rozmaite butelki, worki i skrzynie pod małe tylne drzwi laboratorium szeptali między sobą o fantastycznych kolbach, tyglach, alembikach i palnikach, które widzieli w ciasnej izdebce; wieszczyli też, że małomówny „chimik” – mieli na myśli alchemika – już niebawem odkryje kamień filozoficzny. Jeszcze dziwniejsze rzeczy opowiadali najbliżsi sąsiedzi, mieszkający ćwierć mili od farmy Fennerowie; zarzekali się, że nocami na farmie słychać dziwne hałasy, jakby wrzaski i stłumione skowyty. Nie podobało im się też, że na pastwisku Curwen wypasa wielkie stada zwierząt gospodarskich – nie potrzeba było aż tyle trzody, by zaopatrzyć w mięso, mleko i wełnę samotnego starca i dwójkę służących; ponadto od farmerów z Kingstown wciąż przyjeżdżały stada nowe, tedy zdawało się, że z tygodnia na tydzień na pastwiskach widać coraz to inne zwierzęta. Wyjątkowo paskudne wrażenie robił też jeden z budynków gospodarskich: potężna kamienna budowla z wąskimi szczelinami zamiast okien.

Próżniacy wałęsający się w okolicach Great Bridge mieli też wiele do powiedzenia o miejskiej sadybie Curwena przy Olney Court – nie tyle o nowym, pięknym domu, który Curwen postawił w roku 1761, zbliżając się już bodaj do setki, ile o pierwszej, niskiej, krytej gontem chałupie z mansardowym dachem i strychem bez okien, jaką wyburzył, a potem z osobliwą starannością spalił pozostałe po niej drewno. Przyznać trzeba, że pod względem tajemniczości miejski dom Curwena nie równał się z jego farmą w Pawtuxet – lecz o tak różnych porach nocy paliły się w nim światła, tak skryci byli dwaj śniadzi cudzoziemcy stanowiący jedyną męską służbę, tak wstrętnie mamrotała pod nosem niewiarygodnie sędziwa francuska gosposia, tak wielkie ilości jedzenia dostarczano pod drzwi dla ledwie czwórki domowników, taką właściwość miały głosy, które o najbardziej niestosownych porach toczyły tam ściszone rozmowy, że zdobył nie lepszą sławę niźli owa farma.

O Curwenie rozmawiano też oczywiście w lepszym towarzystwie; w miarę jak swą pracą i wsparciem dla Kościoła wrastał w miejską społeczność, w naturalny sposób zaczął zawierać coraz lepsze znajomości, z racji swego wykształcenia radził zaś sobie w towarzyskich sytuacjach doskonale. Wiadomo było, że pochodzi ze znakomitego rodu – Curwenów czy Corwinów z Salem nie trzeba było nikomu w Nowej Anglii przedstawiać. Okazało się, że Joseph Curwen za młodu sporo podróżował, przez pewien czas mieszkał w Anglii i co najmniej dwukrotnie wybrał się na Bliski Wschód; gdy już

zaszczycił kogoś rozmową, mówił jak światły, wytworny Anglik. Z jakichś powodów Curwen nie cenił sobie jednak dobrego towarzystwa. Gości wprawdzie przyjmował należycie, lecz odnosił się do nich z taką rezerwą, że każdy lękał się otworzyć usta w obawie przed kompromitacją.

W jego zachowaniu wyczuwało się jakąś tajemniczą, szydliwą arogancję, jak gdyby wskutek obcowania z dziwniejszymi, potężniejszymi bytami Curwen traktował ludzi jak głupców. Kiedy w 1738 roku znany ze swej elokwencji doktor Checkley przyjechał z Bostonu, by objąć probostwo w King's Church, nie odmówił sobie złożenia wizyty u człowieka, o którym tyle słyszał – opuścił wszakże jego dom już po chwili, nie mogąc znieść złowieszczych podtekstów, jakimi pobrzmiewały słowa gospodarza. Rozmawiając z ojcem o Curwenie, pewnego zimowego wieczoru Charles Ward zwierzył się, że wiele by dał, by się dowiedzieć, co też tajemniczy starzec powiedział był krotochwilnemu kapłanowi – kronikarze stwierdzali jednak zgodnie, że doktor Chuckley nigdy tego nikomu nie powtórzył. Poczciwina wyszedł był od Curwena najokropniej wstrząśnięty i ilekroć wspominał jego osobę, wyraźnie tracił wyborny humor, z którego tak słynął.

Więcej wiadomo natomiast o powodach, dla których wyniosłego pustelnika unikał inny szlachetnie urodzony i wytworny człowiek, pan John Merritt. Ów starszy angielski dżentelmen, kształcony w literaturze i naukach przyrodniczych, sprowadził się w 1746 roku z Newport, skuszony rosnącym błyskawicznie prestiżem Providence, i kupił piękną wiejską posiadłość w miejscu zwanym The Neck, dziś leżącym w samym środku najlepszej dzielnicy mieszkalnej. Mieszkał wygodnie i gustownie, jako pierwszy w mieście miał własny powóz i służących w liberii, szczycił się też swym teleskopem, mikroskopem oraz doskonale dobranym angielskim i łacińskim księgozbiorem. Dowiedziawszy się, że Curwen jest posiadaczem najlepszej biblioteki w Providence, nie zwlekając złożył mu wizytę, ów zaś przyjął go serdeczniej niż większość swoich gości. Pan Merritt okazał taki podziw dla zawartości półek gospodarza – prócz greckich, łacińskich i angielskich klasyków znajdował się tam też pokaźny zbiór dzieł filozoficznych, matematycznych i przyrodniczych: Paracelsusa, Agricoli, van Helmonta, Sylwiusza, Glaubera, Boyle'a, Boerhaavego, Bechera i Stahla – że Curwen zaproponował mu wizytę w swym wiejskim laboratorium, do którego nikogo wcześniej nie zapraszał; obaj wsiedli przeto do powozu pana Merritta i pojechali na farmę.

Pan Merritt wyznawał później, że nie zobaczył tam niczego naprawdę przerażającego, twierdził jednak, że już sam przegląd specjalnego księgozbioru taumaturgicznego, alchemicznego i teologicznego, trzymanego przez Curwena we frontowej izbie, napełnił go silną i trwałą odrazą. Być może wrażenie owo spotęgował wyraz twarzy, z jakim gospodarz pokazywał mu swe księgi. Prócz mnóstwa dzieł, które nie wzbudziły niepokoju ani zazdrości pana Merritta, przedziwny ów zbiór zawierał niemal wszystkie znane ludzkości dzieła kabalistyczne, demonologiczne i czarodziejskie, był też istną skarbnicą wiedzy z mętnych dziedzin alchemii i astrologii. Był tam Hermes Trismegistus w wydaniu Mesnarda, *Turba Philosophorum*, *Liber Investigationis* Gebera, *Klucz mądrości* Artephiusa, kabalistyczny *Zohar*,

Albert Wielki w wyborze Petera Jammy'ego, *Ars Magna et Ultima* Raymonda Lully'ego w wydaniu Zetznera, *Thesaurus Chemicus* Rogera Bacona, *Clavis Alchimiae* Fludda, obok nich *De Lapide Philosophico* Trithemiusa. Licznie reprezentowane były średniowieczne dzieła żydowskie i arabskie; pan Merritt sięgnął po wspaniały tom pyszniący się tytułem Qanoon-e-Islam i aż zbladł, gdy ujrzał, że w istocie jest to zakazany Necronomicon szalonego Araba Abdula Alhazreda, o którym nasłuchał się był strasznych pogłosek kilka lat wcześniej, gdy wyszło na jaw, że w dziwnej wiosce rybackiej Kingsport, leżącej w prowincji zatoki Massachusetts, odprawiano niewysłowione w swej potworności obrzędy.

Co jednak ciekawe, czcigodny dżentelmen sam przyznawał, że największym, choć niejasnym niepokojem napełnił go pewien drobny szczegół. Na potężnym mahoniowym stole leżał mianowicie rozłożony grzbietem do góry mocno podniszczony egzemplarz Borellusa, na marginesach i między wierszami upstrzony wieloma tajemniczymi dopiskami Curwena. Księga była otwarta mniej więcej z połowie, jeden z ustępów zaś był podkreślony tak mocnymi i drżącymi pociągnięciami pióra, że gość nie oparł się pokusie i przebiegł po nim wzrokiem. Co uderzyło go najbardziej – czy treść podkreślonego ustępu czy gorączkowa zamaszystość owych podkreśleń – nie umiał później określić, tak czy owak połączenie to wywarło na nim potężne i osobliwe wrażenie. Ów fragment Borellusowego dzieła pan Merritt wspominał do końca swych dni: zapisał go później z pamięci w swoim pamiętniku, kiedyś nawet próbował go odczytać doktorowi Checkleyowi, z którym się bardzo przyjaźnił, przerwał jednak, widząc, jak bardzo wstrząsnął on pogodnym kapłanem. Drukowany mistycznym gotykiem paragraf brzmiał:

Podstawowe Sole Zwierząt można preparować i przechowywać, tedy Człek zmyślny zdolen iest sprawić sobie w Pracowni swoiey cały Korab Noego i dla Przyjemności swoiey każdego Zwierza z Prochów iego w wybornym Kształcie przywołać może; takimż Sposobem z podstawowych Soli z Prochów Człowieczych korzystaiąc, a przy tem nie popełniaiąc zbrodniczego grzechu Nekromancyi, Filozof przywołać może Kształt iakiegożkolwiek Przodka, z Prochów, w iakie ów ciałem swym się obrócił.

Najgorsze rzeczy o Curwenie opowiadano jednak w okolicach portu przy południowej części Town Street. Żeglarze to ludek przesądny, tedy wszystkie stare wilki morskie – kapitanowie niezliczonych slupów przewożących rum, niewolników i melasę, chwaccy korsarze, szyprowie wielkich brygów Brownów, Crawfordów i Tillinghastów – wykonywały ukradkiem dziwne, chroniące przed złem gesty, ilekroć ujrzały szczupłą, płowowłosą, lekko zgarbioną, zwodniczo młodzieńczą sylwetkę Curwena wchodzącego do magazynu przy ulicy Doubloon Street lub rozmawiającego z kapitanami i nadzorcami ładunku na długiej kei, do której niestrudzenie przybijały Curwenowe statki. Zatrudniani przez Curwena księgowi i kapitanowie lękali się go i nienawidzili, załogi zaś jego statków stanowiła skundlona hałastra z Martyniki, Sint Eustatius, Hawany i Port Royal. Najgłówniejszą i

najkonkretniejszą bodaj przyczyną lęku, jaki wzbudzał tajemniczy starzec, była częstotliwość, z jaką owi marynarze znikali i zastępowani byli przez kolejnych. Gdy statek stał w porcie i załoga wychodziła do miasta, niektórych jej członków posyłano zapewne po jakieś sprawunki; gdy marynarze schodzili się z powrotem na statek, było niemal pewne, że co najmniej jednego będzie brakowało. Wszyscy pamiętali, że wiele z tych sprawunków było dostarczanych na farmę przy Pawtuxet Road i że niewielu marynarzy stamtąd wróciło – nic więc dziwnego, że kompletowanie tych dziwacznych załóg z czasem sprawiało Curwenowi coraz większy kłopot. Za każdym niemal razem, gdy jego statek zawijał do Providence i na pokład docierały szeptane na nabrzeżach plotki, kilku marynarzy uciekało na brzeg, a w Indiach Zachodnich coraz trudniej było znaleźć ludzi na ich miejsce.

W roku 1760 Curwen był już w zasadzie bojkotowany towarzysko; podejrzewano, że dopuszcza się zatrważających postępków i sprzymierzył się z diabelskimi siłami, tym bardziej złowrogimi, że nikt nie umiał ich nazwać, zrozumieć ani nawet dowieść ich istnienia. Gwoździem do trumny była bodaj sprawa zaginionych żołnierzy. Oto w marcu i kwietniu 1758 roku w Providence stacjonowały dwa królewskie regimenty maszerujące do Nowej Francji; w trakcie postoju ich szeregi zostały z niewyjaśnionych przyczyn uszczuplone, znacznie bardziej, niż zwykle dzieje się to wskutek zwykłych dezercji. Szczególną uwagę zwróciła częstotliwość, z jaką Curwen gawędził ponoć z odzianymi w czerwone płaszcze żołnierzami; gdy wyszło na jaw, że kilku z nich brakuje, mieszkańcom Providence od razu przyszły na myśl tajemnicze zniknięcia wśród marynarzy. Trudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby oba regimenty nie otrzymały w końcu rozkazu wymarszu.

Tymczasem zamorskie interesy starego kupca szły jak najlepiej. Curwen niemal zmonopolizował w mieście handel saletrą, czarnym pieprzem i cynamonem, prócz Brownów nikt też nie mógł się z nim równać w imporcie mosiądzu, indygo, bawełny, wełny, soli, lin żeglarskich, żelaza, papieru i wszelakich artykułów z Anglii. Wielu miejscowych sprzedawców – choćby James Green, właściciel sklepu Pod Słoniem w Cheapside, Russellowie z firmy Pod Złotym Orłem z drugiej strony Great Bridge, Clark i Nightingale spod Patelni i Ryby obok New Cofee-House – byli zależni niemal wyłącznie od jego dostaw; dzięki umowom z miejscowymi gorzelnikami, mleczarzami i hodowcami koni z Narragansett oraz świecarzami z Newport Curwen stał się jednym z głównych eksporterów w całej kolonii.

Jakkolwiek Curwena poddano powszechnemu ostracyzmowi, nie można było odmówić mu obywatelskiego ducha. Gdy pożar strawił stary gmach kolonii, stary kupiec ochoczo wziął udział w loteriach, które pozwoliły wybudować w 1761 roku gmach nowy – do dziś prężący się dumnie przy głównej niegdyś ulicy miasta. W tym samym roku pomógł odbudować Great Bridge po październikowej nawałnicy. Bibliotece publicznej odkupił wiele książek spalonych w pożarze gmachu kolonii, wziął też niebłahy udział w loterii, dzięki której błotnistą Market Parade i zrytą koleinami Town Street pokryto nawierzchnią z grubego okrągłego bruku, z ceglanym trotuarem czy deptakiem pośrodku. Mniej więcej w tym czasie zbudował też sobie prosty, ale piękny dom – wejście doń jeszcze dziś można uważać za popis sztuki

rzeźbiarskiej. Gdy stronnicy Whitefielda dokonali w 1743 roku religijnej schizmy, odłączając się od parafii doktora Cottona na wzgórzu i pod wodzą dziekana Snowa zakładając własny Kościół po drugiej stronie mostu, Curwen nie omieszkał do nich przystąpić – aczkolwiek jego zapał dla sprawy wkrótce osłabł. Wyraźnie odzyskiwał jednak dawną pobożność; być może starał się rozproszyć posępną aurę, która otaczała jego postać i rychło mogła zrujnować jego interesy.

## 2.

Widzieć, jak ten dziwny, blady jegomość, z wyglądu niezupełnie jeszcze w średnim wieku, choć z pewnością co najmniej stuletni, stara się rozwiać spowijającą go duszną, lecz mglistą i nieuchwytną aurę lęku i odrazy, było rzeczą zarazem żałosną, dramatyczną i godną pogardy. Bogactwo i powierzchowne gesty mają wszakże taką władzę, że okazywana mu powszechnie niechęć jęła z wolna maleć – zwłaszcza gdy nagle przestali znikać brytyjscy żołnierze. Curwen musiał też nierównie staranniej i tajniej podejmować swe wyprawy na miejskie nekropolie, nigdy już nie przyłapano go bowiem na cmentarnych włóczęgach; znacznie mniej plotkowano też o niesamowitych dźwiękach i poczynaniach na jego farmie w Pawtuxet. Wciąż nienormalnie wielkie było spożycie żywności oraz rotacja bydła w jego gospodarstwie; jednak aż do czasów współczesnych, kiedy to Charles Ward przejrzał w Shepley Library księgi handlowe Curwena, nikt – może z wyjątkiem pewnego rozgoryczonego młodziana – nie zwrócił uwagi na ponurą dysproporcję między olbrzymią liczbą czarnych niewolników z Gwinei, jaką Curwen sprowadził do roku 1766, a niepokojąco skąpą liczbą rachunków za ich dalszą odsprzedaż, jeśli nie liczyć garstki, którą kupili handlarze niewolników na targu przy Great Bridge i plantatorzy w hrabstwie Narragansett. Nie ulegało wątpliwości, że gdy sytuacja tego wymagała, ten odrażający człowiek umiał wykazać się niesamowitą wręcz chytrością i pomysłowością.

Te spóźnione starania nie przyniosły wszakże, bo i nie mogły, znaczących efektów. Curwena nadal omijano z daleka, choćby z racji utrzymywanego przezeń nieprzerwanie, mimo późnej starości, młodego wyglądu; kupiec zorientował się przeto, że pomyślny los najpewniej w końcu go opuści. Rozległe badania i doświadczenia, jakim się oddawał – czegokolwiek mogły dotyczyć – najwyraźniej wymagały znacznych nakładów finansowych; ponieważ zaś zmiana środowiska mogłaby pozbawić go osiągniętych kupieckich awantaży, raczej nie opłacało mu się zaczynać od nowa w innym miejscu. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien naprawić stosunki z mieszkańcami Providence, tak by wreszcie przestano go unikać pod byle pretekstem, by na jego widok nie cichły rozmowy, a atmosfera nie robiła się krępująca i niespokojna. Wielu zmartwień przysparzali mu jego księgowi: ubogie, nierozgarnięte tałatajstwo, którego nikt na jego miejscu by nie zatrudnił; kapitanowie i oficerowie na jego statkach trzymali się przy nim już tylko dlatego, że Curwen umiał ich sobie zręcznie podporządkować – a to

hipoteką, a to wekslem dłużnym, a to drobną, lecz celnie godzącą w ich dobro informacją. Niejednokrotnie – jak notowali z pewną bojaźnią kronikarze – w odkrywaniu rodzinnych tajemnic swych podwładnych Curwen wykazywał się czarodziejską wręcz zdolnością. W ciągu ostatnich pięciu lat swojego życia objawił taką znajomość dawno pogrzebanych sekretów, że musiał chyba dowiadywać się ich wprost od ludzi nieżyjących od dziesięcioleci.

Mniej więcej w tym czasie zręczny uczony podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę odzyskania dawnej pozycji w miejskiej społeczności. Dotychczas znany jako zatwardziały pustelnik zdecydował się wreszcie zawrzeć korzystne małżeństwo; chciał poślubić pannę na tyle dobrze urodzoną, by do reszty oddalić od siebie klątwę ostracyzmu. Być może pomysł mariażu miał też inne, głębsze motywy – motywy wykraczające tak daleko poza rubieże znanego nam kosmosu, że można było się ich domyślić dopiero ze znalezionych półtora wieku po jego śmierci dokumentów; o tym wszakże niczego pewnego dowiedzieć się nie sposób. Naturalnie Curwen zdawał sobie sprawę, że zwyczajne konkury z jego strony wzbudziłyby tylko zgrozę i oburzenie, toteż rozglądał się za taką kandydatką na żonę, której rodziców mógłby poddać odpowiednim naciskom. Znalezienie takiej kandydatki, jak się przekonał, nie było wcale łatwe, Curwen miał też bowiem wyjątkowe wymagania co do jej urody, umiejętności i pozycji społecznej. Koniec końców skupił się w poszukiwaniach na jednym ze swych najlepszych i najwierniejszych kapitanów, człowieku szlachetnie urodzonym i o nieposzlakowanej opinii, wdowcu o nazwisku Dutee Tillinghast; jego jedyna córka Eliza wydawała się mieć wszelkie możliwe zalety – prócz tej, że jako dziedziczka potrzebowała męża. Kapitan Tillinghast był zupełnie podporządkowany Curwenowi i odbywszy z nim straszliwą rozmowę w swym zwieńczonym kopułą domu na wzgórzu Power’s Lane, usankcjonował swoją zgodą bluźnierczy mariaż.

Eliza Tillinghast miała podówczas osiemnaście lat i była tak dobrze ułożona, jak tylko mógł jej to zapewnić niebogaty ojciec. Uczęszczała do szkoły Stephena Jacksona naprzeciwko Court House Parade; matka zmarła na ospę w 1757 roku, zdążyła jednak starannie wyuczyć ją ogłady i wszelkich umiejętności potrzebnych w prowadzeniu domu. Próbkę haftu wykonaną przez Elizę w 1753 roku – w wieku dziewięciu lat – wciąż można oglądać w siedzibie Towarzystwa Historycznego Rhode Island. Po śmierci matki dziewczynka wzięła na siebie obowiązek prowadzenia domu, wspomagana jedynie przez starą murzyńską gosposię. Gdy ojciec obwieścił jej plany małżeńskie Curwena, musiała zażarcie protestować – dokumenty jednak na ten temat milczą. Pewne jest tylko to, że zerwane zostały jej zaręczyny z młodym Ezrą Weedenem, służącym jako drugi oficer na należącym do Crawfordów statku pocztowym Enterprise, zaślubiny z Josephem Curwenem odbyły się zaś w kościele baptystów 7 marca 1763 roku, w obecności najznakomitszej bodaj śmietanki towarzyskiej, na jaką stać było wówczas miasto; nabożeństwo odprawił pastor Samuel Winsor młodszy. „Gazette” skomentowała wydarzenie krótką wzmianką, wyciętą później lub wydartą z większości zachowanych egzemplarzy. Ward długo poszukiwał nietkniętego

numeru gazety i w końcu znalazł go w prywatnych zbiorach pewnego szacownego kolekcjonera; notatka rozbawiła go napuszonym ponad miarę stylem:

W ostatni poniedziałek, z wieczora, imć Joseph Curwen, Miasta naszego Obywatel, Kupiec, pojął za żonę pannę Elizę Tillinghast, córkę kpt. Duteego Tillinghasta, młodą Damę, której rozliczne Cnoty, jako i lic Nadobność, wróżą owemu związkowi Długie i Szczęśliwe trwanie.

Zbiór listów Durfeego i Arnolda, odkryty przez Charlesa Warda tuż przed pierwszym atakiem domniemanego obłędu w prywatnym archiwum wielmożnego Melville'a F. Petersa z George Street i obejmujący rzeczony okres oraz lata nieco wcześniejsze, pozwala sobie wyobrazić, jakie wzburzenie wywołał w miejskiej społeczności ten niedobrany mariaż. Wysoka pozycja społeczna Tillinghastów była jednak niezaprzeczalna, toteż Joseph Curwen znów zaczął gościć u siebie persony, których w innym przypadku nic nie skłoniłoby do przekroczenia progu jego domu. Nie akceptowano go, rzecz jasna, bez zastrzeżeń, jego wybranka pod względem towarzyskim ucierpiała na tym wymuszonym zamążpójściu; wszelako mur jawnego ostracyzmu nieco się nadkruszył. Curwen traktował swą żonę z najwyższym szacunkiem, okazywał jej wszelkie możliwe względy, czym w równej mierze zdumiał ją samą i opinię publiczną. W nowym domu przy Olney Court nie działo się już zupełnie nic niepokojącego; Curwen wprawdzie stale przesiadywał samotnie na farmie w Pawtuxet, lecz jeszcze nigdy, od kiedy zamieszkał w Providence, nie sprawiał wrażenia tak zwyczajnego obywatela. Jawną wrogość okazywał mu tylko jeden człowiek – młody oficer, z którym Eliza Tillinghast tak raptownie zerwała zaręczyny. Ezra Weeden otwarcie poprzysiągł mu zemstę i choć z natury był człowiekiem cichym i łagodnym, dążył do niej z nienawistnym uporem, niewróżącym mężowi uzurpatorowi nic dobrego.

Jedyne dziecko Curwena, córka Anna, urodziło się 7 maja 1765 roku, ochrzcił je zaś wielebny John Graves w King's Church; do tej właśnie świątyni małżonkowie uczęszczali na nabożeństwa, godząc w ten sposób swą niejednorodną przynależność wyznaniową: Curwen był kongregacjonistą, a Eliza baptystką. Notka o narodzinach dziecka, podobnie jak dwa lata wcześniejsza wzmianka o ślubie, była wyrwana z większości miejskich i kościelnych kronik, w których powinna była się pojawić. Charles Ward znalazł obie z najwyższym trudem, po tym jak odkrył, że wdowa po Curwenie zmieniła nazwisko – odkrycie to uświadomiło mu, że jest jego krewnym, i wyzwoliło w nim gorączkowe zainteresowanie osobą Curwena, które ostatecznie doprowadziło go do szaleństwa. Wzmiankę o narodzinach dziecka napotkał jednak niespodziewanie w listach spadkobierców doktora Gravesa, lojalisty, który opuścił swój pastorat po wybuchu rewolucji, zabierając z sobą kopię parafialnych ksiąg. Ward sprawdził to źródło, ponieważ wiedział, że jego praprababka Ann Tillinghast Potter była wyznania episkopalnego.

Narodziny córki Curwen powitał z niespotykanym u siebie entuzjazmem,

niedługo zaś później postanowił sprawić sobie portret. Namalował go wielce utalentowany Szkot Cosmo Alexander, który mieszkał podówczas w Newport i zasłynął jako pierwszy nauczyciel Gilberta Stuarta. Podobiznę umieszczono ponoć na pokrytej boazerią ścianie biblioteki w domu przy Olney Court, ale żaden z dwóch starych pamiętników, które o niej wzmiankowały, nie wspomniał, co stało się z nią później. W owym czasie nieobliczalny uczony był wyjątkowo nieobecny duchem, większość czasu spędzał też na swej farmie przy Pawtuxet Road. Odnosiło się wrażenie – pisali diaryści – że nie opuszcza go stan stłumionego podniecenia czy niepewności, jak gdyby spodziewał się czegoś niezwykłego lub był na progu osobliwego odkrycia. Wydaje się, że spory udział miała w tym chemia lub alchemia, Curwen wywiózł bowiem z domu na farmę większość swych ksiąg z tych właśnie dziedzin.

Nie słabło jednak jego obywatelskie zaangażowanie. Curwen wykorzystywał każdą okazję, by wesprzeć Stephena Hopkinsa, Josepha Browna i Benjamina Westa, osobistości starające się podwyższyć kulturalną rangę Providence – miasta, które jako opiekun sztuk wyzwolonych stało wówczas znacznie niżej niż Newport. Pomógł Danielowi Jenckesowi otworzyć w 1763 roku pierwszą księgarnię, później zaś był jej najwierniejszym klientem; jeszcze wydatniej wspierał borykającą się z kłopotami finansowymi „Gazette” wychodzącą w środy w kamienicy Pod Głową Szekspira. W polityce gorliwie popierał gubernatora Hopkinsa przeciw dominującemu w Newport stronnictwu Warda; gdy w 1765 roku zdominowana przez Warda rada miasta przegłosowała secesję North Providence jako osobnego miasta, Curwen wygłosił w Hacker’s Hall płomienną mowę za jednością miasta, która bardziej niż wszystkie uprzednie działania przełamała ogólne uprzedzenia względem jego osoby. Ezra Weeden, który śledził każdy jego krok, cynicznie pokpiwał z tej społecznej działalności; zaklinał się, że to tylko zasłona skrywająca niedocieczone konszachty z najczarniejszymi czeluściami Tartaru. Żądny zemsty młodzian jął bacznie obserwować Curwena i jego postępki, gdy tylko akurat był w porcie; godzinami kręcił się nieopodal nabrzeży w płaskodennej szalupie, czekając, aż zapalą się światła w magazynie Curwena, i nie spuszczał oka z niewielkiej łodzi, która niekiedy wymykała się stamtąd i płynęła cichaczem w głąb zatoki. Starał się też jak najpilniej obserwować farmę w Pawtuxet; kilka razy został nawet dotkliwie pokąsany przez psy, którymi poszczuła go para indiańskich służących.

## 3.

W roku 1766 w Curwenie nastąpiła ostatnia zmiana. Przyszła zupełnie znienacka i nie uszła uwagi ciekawych mieszczan; całą swą wyczekującą niepewność Curwen zrzucił z siebie bowiem niby stary płaszcz, zastępując ją źle maskowanym triumfalnym uniesieniem. Z wyraźnym trudem powstrzymywał się przed publicznym rozgłoszeniem tego, co znalazł, odkrył bądź wytworzył; wszelako najwidoczniej potrzeba tajemnicy była większa niż

chęć podzielenia się radosną wieścią, nie doczekano się bowiem od niego żadnych wyjaśnień. Właśnie po tym przełomowym momencie, jaki nastąpił w początkach lipca, posępny uczony począł zadziwiać ludzi informacjami, które – rzec by można – mógł uzyskać jedynie od ich dawno nieżyjących przodków.

Przemiana Curwena bynajmniej nie położyła kresu jego tajemnym przedsięwzięciom; wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej się one nasiliły. Coraz więcej jego zamorskich interesów prowadzili zawiśli odeń kapitanowie – wcześniej podporządkowani groźbą bankructwa, teraz bronią równie potężną: strachem. Curwen porzucił na dobre handel niewolnikami, twierdząc, że jego zyskowność stale maleje. Każdą możliwą chwilę spędzał na farmie w Pawtuxet; od czasu do czasu krążyły plotki, że pojawia się też w miejscach niekoniecznie może sąsiadujących z cmentarzami, acz umiejscowionych w pewnej względem nich bliskości – przeto ludzie skłonni do refleksji zaczęli się zastanawiać, czy rzeczywiście stary kupiec odmienił swe zwyczaje. Ezra Weeden z racji służby na morzu mógł oddawać się swym szpiegowskim zajęciom dość sporadycznie i przez krótki czas, czynił to jednak nadal z mściwym uporem, którego brakowało praktycznym zwykle mieszczanom i farmerom, i poddawał wszystkie poczynania Curwena tak dogłębnym badaniom jak jeszcze nikt przed nim.

Wiele podejrzanych manewrów podejmowanych przez statki dziwnego kupca nie budziło niczyich podejrzeń, ponieważ były to niespokojne czasy: koloniści ze szczególnym uporem starali się omijać ograniczenia narzucone przez Ustawę cukrową, krępującą dochodowy handel tym surowcem. W zatoce Narragansett uprawiano regularny szmugiel, zakazane towary wyładowywano na brzeg niemal każdej nocy. Wszelako Weeden, który co noc pływał w ślad za barkami i małymi slupami odbijającymi spod Curwenowych magazynów przy Town Street, szybko się upewnił, że okręty wojenne Jego Królewskiej Mości bynajmniej nie są tym, czego posępny włóczęga najbardziej stara się unikać. Przed przemianą Curwena z 1766 roku łodzie te woziły głównie skutych łańcuchami Murzynów: wywożono ich w głąb zatoki, a potem wysadzano na brzeg w dobrze ukrytym miejscu na północ od Pawtuxet; następnie pędzono ich po skarpie na górę i dalej, przez pola, na farmę Curwena, tam zaś zamykano w owym potężnym kamiennym budynku, który zamiast okien miał tylko wysokie, wąskie szczeliny. Później jednak cały harmonogram się zmienił. Curwen raptownie zaprzestał importu niewolników i na pewien czas zarzucił też swe nocne rejsy. Jeszcze później, w okolicach wiosny 1767 roku, zaczął realizować plan nowy. Barki znów jęły wypływać z czarnej, cichej przystani, lecz tym razem zapuszczały się nieco dalej w głąb zatoki, być może aż do Namquit Point, gdzie wypływały im na spotkanie i przekazywały swój ładunek dziwne statki o pokaźnych rozmiarach i najróżniejszym wyglądzie. Marynarze Curwena dostarczali potem ów ładunek do tradycyjnego miejsca na brzegu, po czym transportowali go drogą lądową na farmę; następnie zamykali go w tej samej tajemniczej kamiennej budowli, w której pierwej umieszczano niewolników. Ładunek ów składał się niemal wyłącznie z pudeł i skrzyń, z których spora część była podłużna, ciężka i niepokojąco podobna do trumien.

Weeden obserwował farmę z niesłabnącą gorliwością; bywało, że

odwiedzał ją co noc, rzadko się zdarzało, by w ciągu tygodnia nie zapuścił się tam choć raz, chyba że akurat na ziemi zalegał śnieg zdradzający ślady. Nawet wówczas jednak podchodził możliwie najbliżej gościńcem lub schodził na zamarzniętą rzekę, by obejrzeć tropy zostawione przez innych. Ponieważ służba na statku utrudniała mu stałe prowadzenie obserwacji, najął sobie do pomocy kompana z tawerny o nazwisku Eleazar Smith; ów prowadził podchody, gdy Weeden był akurat na morzu, i wkrótce obaj wiedzieli już tyle, że mogliby rozpuścić po mieście naprawdę wstrząsające pogłoski. Nie czynili tego jednak, wiedząc, że zaalarmowałoby to śledzonego i uniemożliwiło dalsze postępy. Przed podjęciem jakichkolwiek działań woleli zdobyć pewność niezbitą. Wiedza, którą posiedli, musiała być istotnie zdumiewająca – Charles Ward wielekroć żalił się rodzicom, że Weeden później spalił swoje notatniki. Wszystko, co wiadomo o ich odkryciach, pochodzi z niezbyt składnych zapisków Eleazara Smitha tudzież pamiętników i listów innych autorów, drżącą ręką powtarzających to, co koniec końców ujawnili obaj tropiciele – czyli że farma była jedynie przykrywką dla rzeczy niesłychanie odrażających i groźnych, a przy tym tak potężnych i nieuchwytnych, że dostępnych jedynie dla mglistych domysłów.

Sądzi się, że Weeden i Smith bardzo szybko doszli do przekonania, iż pod farmą istnieje wielka sieć tuneli i katakumb zamieszkiwana przez znaczną liczbę ludzi, na pewno nie tylko przez starego Indianina i jego żonę. Dom był reliktem z siedemnastego stulecia: miał stromy dach, potężny komin i witrażowe okna o rombowych szybkach; laboratorium znajdowało się w przybudówce po północnej stronie, tam gdzie dach niemal dotykał ziemi. Dom nie miał połączenia z żadnym innym budynkiem, wszelako sądząc po głosach, które dobiegały z jego wnętrza o najdziwniejszych porach, musiało prowadzić do niego tajne podziemne przejście. Przed 1766 rokiem słychać było mamrotania, szepty i szaleńcze krzyki murzyńskich niewolników oraz towarzyszące im osobliwe zaśpiewy i inwokacje. Później jednak zastąpiły je dźwięki jeszcze dziwaczniejsze i okropniejsze: otępiałe potakujące pomruki i dzikie wrzaski bólu lub wściekłości, burkliwe rozmowy i jękliwe błagania, ochocze posapywania i krzyki protestu. Wszystko to wypowiadano w językach przeróżnych, bez wyjątku znanych jednak Curwenowi – często można było rozpoznać jego charakterystyczny chrapliwy głos wykrzykujący odpowiedzi, nagany bądź groźby. Niekiedy w domu musiało być kilka osób: Curwen, jacyś jeńcy oraz ich strażnicy. Język wielu głosów Weeden i Smith potrafili zidentyfikować, wszelako zdarzały się też takie, jakich nie słyszeli w najdalszych nawet portach świata. Rozmowy zawsze stanowiły coś w rodzaju przesłuchania, jak gdyby Curwen starał się wydobyć ze swych zastraszonych bądź zbuntowanych więźniów jakieś informacje.

W swym notatniku Weeden zapisał słowo w słowo wiele podsłuchanych fragmentów tych rozmów, ponieważ często odbywały się one w znanych mu językach: angielskim, francuskim i hiszpańskim. Nic z tych zapisków się nie zachowało. Później opowiadał tylko, że z wyjątkiem kilku upiornych dialogów dotyczących dawnych spraw pewnych rodzin z Providence, większość pytań i odpowiedzi, jakie udało mu się zrozumieć, obracała się wokół zagadnień historycznych i naukowych, niekiedy ogromnie

zamierzchłych i odległych. Jednego z więźniów, na przemian rozjuszonego i pokornego – o ile istotnie był to więzień – Curwen przepytywał na przykład po francusku o masakrę dokonaną przez Czarnego Księcia w Limoges w 1370 roku, jak gdyby wiedział, że rządziły nią jakieś ukryte motywy, i chciał je poznać. Pytał, czy rozkaz rzezi został wydany dlatego, że na ołtarzu w starej rzymskiej krypcie w podziemiach katedry znaleziono Znak Kozła, i czy Mroczny Gość na sabacie w Haute-Vienne wypowiedział Trzy Słowa. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, inkwizytor najwyraźniej sięgnął po ostrzejsze środki, bo w końcu rozległ się przerażający wrzask, potem zapadła cisza, a jeszcze później słychać było mamrotanie i łoskot upadającego ciała.

Żadnego z tych przesłuchań nie udało się tropicielom zobaczyć, okna były bowiem zawsze starannie zasłonięte. Pewnego razu jednak, gdy rozmowa toczyła się akurat w nieznanym języku, na zasłonę padł cień, który niezmiernie Weedena zatrwożył; podobny był do jednej z marionetek, jakie Weeden widział jesienią 1764 roku w Hacker's Hall, gdy pewien człowiek z Germantown w Pensylwanii wystawił zmyślny mechaniczny spektakl reklamowany jako *Widok sławnego Miasta Jeruzalem, w którym przedstawia się Jeruzalem, świątynię Salomona, jego Królewski Tron, ważniejsze Wieże, Wzgórza, jako też Mękę naszego Pana Zbawiciela, od Ogrójca poczynając, aż po Krzyż na Golgocie; prawdziwy popis Sztuki Rzeźbiarskiej, ku uciesze Ciekawskich pokazany*. Weeden odskoczył od frontowego okna, przy którym przyczaił się był w trakcie rozmowy, i narobił hałasu, alarmując starych Indian; właśnie wtedy został poszczuty psami. Po tym zdarzeniu wewnątrz domu nie było już słychać żadnych rozmów, Weeden i Smith uznali więc, że Curwen przeniósł je do jakichś izb podziemnych.

O tym, że takie miejsca naprawdę istniały, świadczyło wiele poszlak. Słabe krzyki i jęki rozbrzmiewały niekiedy z dala od wszelkich budynków, jak gdyby wprost spod ziemi. Powyżej Pawtuxet, w stromym zboczu rzecznej doliny, ukryte były w krzakach łukowate dębowe drzwi osadzone w potężnej murowanej ościeżnicy, niewątpliwie wiodące do lochów wewnątrz wzgórza. Kiedy i jak zbudowano te katakumby, Weeden nie potrafił orzec, często jednak podkreślał, że z wielką łatwością można było dostać się do nich niepostrzeżenie od strony rzeki. Zaiste, do różnych zajęć Joseph Curwen zatrudniał swój skundlony żeglarski pomiot! Wiosną 1769 roku, gdy padały rzęsiste deszcze, obaj tropiciele nie spuszczali stromego brzegu z oka, licząc na to, że ulewy wymyją spod ziemi jakieś tajemnice. Nie przeliczyli się: w głębokich wypłuczyskach w nadrzecznej skarpie znaleźli sporą ilość ludzkich i zwierzęcych kości. Znalezisko to można było naturalnie wyjaśnić na wiele sposobów – było to wszak na tyłach farmy hodowlanej, w okolicy roiło się też od starych indiańskich cmentarzysk – lecz Weeden i Smith wyciągnęli z niego własne wnioski.

W styczniu 1770 roku, gdy Weeden i Smith wciąż nie mogli się zdecydować, co myśleć – i czy w ogóle powinni coś myśleć – o całej tej niebywałej historii, wydarzyło się zajście z Fortalezzą. Latem roku poprzedniego admirał Wallace, dowódca floty celnej, zirytowany spaleniem w Newport slupa straży przybrzeżnej Liberty, nakazał zwiększyć czujność w kontrolowaniu podejrzanych jednostek; zgodnie z tym rozkazem uzbrojony

szkuner Jego Królewskiej Mości Cygnet, pod dowództwem kapitana Charlesa Lesliego, pewnego ranka zatrzymał po krótkim pościgu dwumasztowiec Fortalezza z Barcelony, dowodzony przez kapitana Manuela Arrudę i zgodnie z dziennikiem pokładowym płynący z Wielkiego Kairu do Providence. Statek został przeszukany, okazało się jednak, że zamiast spodziewanej kontrabandy przewozi, o dziwo, wyłącznie egipskie mumie. Odbiorcą był „Marynarz A.B.C.”, który miał zgłosić się po odbiór swego towaru na barce tuż za Namquit Point, tożsamości jego wszakże kapitan Arruda nie czuł się zobowiązany ujawniać. Sąd Wiceadmiralicji w Newport, nie wiedząc, co począć z przejętym statkiem – nie przewoził kontrabandy, lecz wpłynął do zatoki potajemnie, a więc niezgodnie z prawem – przyjął kompromisową propozycję poborcy Robinsona: puścił statek wolno, lecz zakazał mu zawijać do portów w stanie Rhode Island. Później widziano go ponoć na wodach Zatoki Bostońskiej, jakkolwiek otwarcie nie wpłynął do bostońskiego portu.

To niezwykłe wydarzenie nie uszło uwagi mieszkańców Providence, mało kto również wątpił w istnienie związku między ładunkiem mumii a złowrogą osobą Josepha Curwena. O tym, że Curwen prowadzi jakieś egzotyczne badania i importuje najdziwniejsze chemikalia, wiedzieli wszyscy, podobnie jak o jego cmentarnych zamiłowaniach; nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by powiązać jego osobę z ową cudaczną przesyłką, nie do pomyślenia było bowiem, by mógł ją zamówić ktokolwiek inny. Curwen chyba zdawał sobie sprawę z tych powszechnych podejrzeń, bo przy kilku okazjach zdarzyło mu się napomknąć od niechcenia o tym, jaką to wartość mają dla chemika znajdowane w mumiach balsamy – sądząc być może, że dzięki temu całe zdarzenie będzie wyglądało naturalniej, nie przyznając jednak otwarcie, że miał w nim swój udział. Weeden i Smith oczywiście nie mieli najmniejszych wątpliwości, że jest to rzecz pierwszorzędnej wagi, i snuli najobłędniejsze teorie na temat Curwena i jego potwornych zajęć.

Wiosną następnego roku, podobnie jak w roku poprzednim, padały obfite deszcze; obaj tropiciele znów starannie obserwowali brzeg rzeki za farmą Curwena. Woda wymyła spore połacie przybrzeżnego gruntu, ponownie odsłaniając pewną liczbę kości; nie odkryła jednak żadnych podziemnych lochów ani pieczar. Wszelako, jak mówiono, coś pojawiło się około mili niżej, we wsi Pawtuxet: nurt rzeki jest tam przecięty wodospadem, a następnie łagodnieje i uchodzi do małej, osłoniętej zatoczki. Tam, przy wiejskim moście, wśród wspinających się na wzgórze malowniczych starych chat i rybackich kutrów drzemiących na kotwicy w zacisznej przystani, krążyły mgliste pogłoski, jakoby jakieś stworzenia spłynęły w dół rzeki, ukazując się na chwilę, gdy prąd przewalał je przez krawędź wodospadu. Oczywiście Pawtuxet to długa rzeka, meandrująca przez wiele zamieszkanych okolic obfitujących w cmentarze, wiosenne zaś deszcze były naprawdę ulewne; rybakom mieszkającym w pobliżu mostu nie spodobało się jednak, że jedno z tych stworzeń, nim runęło z uskoku w spokojną wodę, wyślepiło się na nich dzikim spojrzeniem, inne zaś wydało z siebie krzyk, choć było w stanie, w jakim żadne stworzenie zwykle już nie krzyczy. Weeden był wówczas na morzu; Smith usłyszawszy te plotki, pospieszył samotnie na brzeg za farmą Curwena, spodziewając się, że rzeka wypłukała

tam potężny kawał brzegu. Nie znalazł już jednak nawet wrót do lochów; ze skarpy osunęła się bowiem niewielka lawina, która zamurowała je grubą warstwą ziemi i wyrwanych krzaków. Smith próbował trochę kopać, lecz szybko się zniechęcił, nie wierząc w skuteczność tych wysiłków – lub może lękając się ich powodzenia. Ciekawe, co też uczyniłby uparty, żądny zemsty Weeden, gdyby był podówczas na miejscu.

## 4.

Jesienią 1770 roku Weeden uznał, że pora już podzielić się z kimś swymi odkryciami; miał w ręku sporo powiązanych z sobą faktów, a także drugiego naocznego świadka, który mógł oddalić zarzut, jakoby jego wyobraźnię podsycały zazdrość i mściwość. Za pierwszego powiernika obrał sobie dowódcę statku Enterprise, kapitana Jamesa Mathewsona – ów znał go bowiem zbyt dobrze, by wątpić w jego prawdomówność, a na dokładkę był w mieście osobą dostatecznie wpływową, by z kolei jemu mogli dać wiarę inni. Rozmowa odbyła się w pokoju gościnnym portowej gospody Sabin’s Tavern; Smith, który również w niej uczestniczył, potwierdził każdy fakt. Opowieść zrobiła na kapitanie potężne wrażenie. Podobnie jak niemal każda osoba w mieście, już wcześniej żywił on względem Curwena mroczne podejrzenia; bogate w szczegóły zeznanie Weedena potwierdziło je tylko i przekonało go bez najmniejszych zastrzeżeń. Gdy narada dobiegła końca, z najwyższą powagą nakazał obu młodzieńcom zachowanie ścisłej tajemnicy; zobowiązał się, że przekaże zdobyte przez nich informacje kilku lub kilkunastu najświatlejszym i najznaczniejszym osobom w mieście, wybada, co sądzą o całej sprawie, i wysłucha, co radzą czynić dalej. Przypuszczalnie bez względu na rozwój wypadków należało zachować milczenie, nie była to bowiem sprawa dla miejskich konstablów ani milicji; przede wszystkim zaś nie można było dopuścić, by o wszystkim zwiedział się popędliwy tłum – żeby w dość już burzliwych czasach nie wywołać paniki porównywalnej z tą, która przed niespełna stuleciem wybuchła w Salem i przygnała Curwena do Providence.

Najlepiej było, zdaniem kapitana, wtajemniczyć następujące osoby: astronoma Benjamina Westa, który swą broszurą o ostatnim tranzycie planety Wenus dowiódł, że jest pierwszorzędnym uczonym i myślicielem; wielebnego Jamesa Manninga, rektora miejscowej uczelni, przeniesionej niedawno do Providence z Warren i tymczasowo mieszczącej się w nowym budynku szkolnym przy King Street w oczekiwaniu na ukończenie właściwej siedziby na wzgórzu nad Presbyterian-Lane; byłego gubernatora Stephena Hopkinsa, człowieka o niezwykle szerokich horyzontach, niegdyś członka Towarzystwa Filozoficznego w Newport; Johna Cartera, wydawcę „Gazette”; wszystkich czterech braci Brownów: Johna, Josepha, Nicholasa i Mosesa, miejscowych potentatów, z których Joseph amatorsko parał się naukami przyrodniczymi; starego doktora Jabeza Bowena, człowieka o niepospolitej erudycji, w dodatku mającego wiedzę z pierwszej ręki o dziwnych zakupach chemicznych Curwena; i wreszcie kapitana Abrahama Whipple’a,

fenomenalnie wręcz energicznego i dzielnego korsarza mogącego objąć przywództwo, jeśliby okazały się potrzebne ostrzejsze kroki. Gdyby wszyscy ci ludzie przychylili się do sprawy, można by zmówić ich na wspólną naradę; wspólnie można by też zdecydować, czy przed podjęciem działań należy powiadomić o wszystkim gubernatora kolonii Josepha Wantona z Newport.

Powodzenie misji kapitana Mathewsona przekroczyło najśmielsze oczekiwania; jeden czy dwóch wytypowanych przezeń powierników odniosło się wprawdzie dość sceptycznie do upiornych aspektów opowieści Weedena, wszyscy wszakże jak jeden mąż zgodzili się, że należy przedsięwziąć sekretne i skoordynowane działania. Nikt nie miał wątpliwości, że Curwen stanowi potencjalne zagrożenie dla pomyślności miasta i kolonii, tedy za wszelką cenę należy go wyeliminować. Pod koniec grudnia 1770 roku grupa znamienitych mieszczan zebrała się w domu Stephena Hopkinsa i ułożyła wstępny plan. Starannie odczytano notatki Weedena, przekazane przezeń kapitanowi Mathewsonowi, Weedena i Smitha wezwano też osobiście, by poświadczyli pewne szczegóły. Nim narada dobiegła końca, całą grupę przejęło coś na kształt lęku, acz lękowi owemu towarzyszyła ponura determinacja – najlepszym jej wyrazem była seria dosadnych przekleństw kapitana Whipple'a. Postanowiono, że gubernator nie zostanie wtajemniczony, potrzebne były bowiem działania niemieszczące się w granicach prawa. Curwen najwyraźniej miał do dyspozycji tajemne, niedocieczone moce, i nie można było po prostu kazać mu się wyprowadzić; posępna kreatura mogła podjąć niewyobrażalne środki odwetowe, a gdyby nawet okazała się powolna nakazowi opuszczenia miasta, wyprowadzka mogła oznaczać po prostu przeniesienie nieczystych przedsięwzięć w inne miejsce. Były to czasy bezprawia, a ludzie, którzy od lat grali na nosie królewskim egzekutorom podatkowym, nie wahali się w razie potrzeby użyć ostrzejszych środków. Należało skrzyknąć grupę zaprawionych w bojach korsarzy, zaskoczyć Curwena na farmie w Pawtuxet i dać mu jedną, ostateczną szansę złożenia wyczerpujących wyjaśnień. Gdyby okazał się szaleńcem, który dla rozrywki powrzaskuje, zmienia głos i toczy wyimaginowane rozmowy, zostałby przykładnie pojmany i zamknięty. Gdyby sprawa okazała się poważniejsza i wyszłoby na jaw, że w podziemiach jego farmy rzeczywiście dzieją się jakieś potworności, i on, i wszyscy jego pomocnicy musieliby zginąć. Dałoby się to zrobić po cichu, nie trzeba by nawet wyjawiać całej prawdy wdowie i jej ojcu.

Kiedy rozważano te dramatyczne kroki, w mieście zdarzyła się rzecz tak straszliwa i niepojęta, że przez pewien czas w całej okolicy nie mówiło się bodaj o niczym innym. W pewną głuchą, księżycową noc styczniową, gdy ziemię przykrywała gruba warstwa śniegu, od strony rzeki i wzgórza dała się słyszeć seria przerażających krzyków. W oknach zaroiło się od zaspanych twarzy, a ci, co mieszkali wokół Weybosset Point, ujrzeli wielką białą istotę pędzącą szaleńczo przez kiepsko odśnieżony plac przed sklepem Pod Głową Turka. W oddali ujadały psy, lecz wkrótce zagłuszył je rozgwar zbudzonego miasta. Na miejsce pospieszyły grupy mężczyzn z muszkietami i latarniami, lecz poszukiwania okazały się bezowocne. Rankiem na zatorze lodowym wokół południowych filarów Great Bridge, na wysokości destylarni Abbotta i

basenu portowego zwanego Long Dockiem, znaleziono jednak gigantyczne, muskularne ciało, zupełnie nagie, tożsamość jego stała się zaś potem przedmiotem niekończących się spekulacji i domysłów. Domysły owe snuli głównie starsi mieszkańcy miasta, albowiem widok zastygłej twarzy z poczwarnie wyłupiastymi oczyma odbił się echem w pamięci wyłącznie najbardziej sędziwych patriarchów. Oni to właśnie lękliwym, drżącym szeptem wymieniali się teraz zadziwiającą i zatrważającą wieścią: otóż w sztywnych, ohydnych rysach twarzy martwej istoty dopatrzyli się podobieństwa do twarzy innej, tak zdumiewająco dokładnego, że niemal doskonałego – do twarzy człowieka, który zmarł okrągłe pół wieku wcześniej.

Ezra Weeden był przy tym, gdy znaleziono ciało; przypomniawszy sobie, skąd dobiegało nocne ujadanie psów, ruszył wzdłuż Weybosset Street i dalej, przez most Muddy Dock Bridge. Miał pewne podejrzenia i nie zdziwił się, gdy dotarłszy na skraj zwartej zabudowy, tam gdzie miejska ulica przechodzi w Pawtuxet Road, natrafił na niezmiernie ciekawe ślady. Tropem nagiego olbrzyma szli obuci mężczyźni z psami i powrotne ich ślady widać było jak na dłoni. Zaprzestali oni pościgu, zbliżywszy się zanadto do miasta. Weeden uśmiechnął się ponuro i aby pozbyć się resztek wątpliwości, ruszył śladem bosych stóp. Zgodnie z jego oczekiwaniami trop wychodził z farmy Josepha Curwena; dowiedziałby się nawet więcej, gdyby nie to, że podwórze farmy było mocno zadeptane. Zresztą w biały dzień wolał nie przyglądać się farmie zbyt otwarcie. Swymi spostrzeżeniami natychmiast podzielił się z doktorem Bowenem. Doktor przeprowadził sekcję dziwnych zwłok i odkrył w nich osobliwości, które wprawiły go w osłupienie. Wyglądało na to, że układ pokarmowy olbrzymiego mężczyzny jeszcze nigdy nie był używany, skóra zaś na całym ciele miała niepojęcie gruboziarnistą i rozluźnioną budowę. Weeden zdumiał się pogłoskami, jakoby martwa istota przypominała dawno zmarłego kowala Daniela Greena, którego praprawnuk Aaron Hoppin służył na statku Curwena jako nadzorca ładunku, i wypytał, gdzie Greena pochowano. Jeszcze tej nocy grupa dziesięciu mężczyzn wybrała się na stary cmentarz North Burying Ground naprzeciwko Herrenden’s Lane i otworzyła grób. Zgodnie z oczekiwaniami okazał się pusty.

Tymczasem w porozumieniu z kurierami pocztowymi przechwytywano też listy Curwena. Tuż przed zajściem z nagim trupem przejęto na przykład list, którego nadawcą był niejaki Jedediah Orne z Salem – list ten dał spiskowcom wiele do myślenia. Przepisane fragmenty listu Charles Ward znalazł w rodzinnym archiwum Smithów. Brzmiały one tak:

Wielcem kontent, że kontynuujesz na własną rękę Dawne Sprawy, i nie wydaje mi się, bychmy wespół z p. Hutchinsonem w Salem Village lepiej sobie poradzili. Zaprawdę, w tym, co H.-owi udało się wskrzesić, zgromadziwszy jeno część Tego, co powinien, nie było Nic prócz najżywszego Szkaradzieństwa. To, coś mi przysłał, nie Poskutkowało – czy to dla Składników jakowychś braku, czy dlatego, żem nie umiał Odpowiednich wypowiedzieć Słów, czy może z racji błędnego ich Przepisania. Nie wiem już, co począć. By postępować zgodnie z nakazami Borellusa, biegłości w Chimicznej nie staje mi sztuce, i na VII Xiędze Necronomiconu, którąś mi

polecił, utknąłem. Pomnij wszako, że Ostrzegano nas, iżbychmy Zważali, kogo przywoływamy: Świadom jesteś przecie, co p. Mather w Magnalia… etc. pisał, i łacno osądzić możesz, jak prawdziwie przedstawił on ową rzecz Straszliwą. Raz jeszcze powiadam Ci: nie wzywaj nic, Czego nazad odesłać byś nie mógł – inaczej rzekąc, Co z kolei przeciw Tobie wezwać coś by mogło, Najmocarniejsze z Twych Środków czyniąc bezużytecznymi. Zawżdy od Mniejszego żądaj, bo jeśli odpowie Ci Większe, mocniejsze od Ciebie okazać się może. Przeraziło mię, że wiadomo Ci, co też Ben Zariatnatmik w swej Hebanowej trzymał Skrzyni, boć domyślam się, kto Ci to zdradził. I raz jeszcze Cię proszę: pisząc do mnie, kładź na kopercie imię Jedediah, nie Simon. Tu, w naszej Gminie, Człek żyć zbyt długo nie może, a Ty znasz przecie mój Plan i wiesz, żem jako własny Syn tu powrócił. Rad byłbych wielce, gdybyś wtajemniczyć mię zechciał, czego też Zły dowiedział się od Sylvanusa Cocidiusa w Lochu pod Rzymskim Murem, i będę zobowiązany, jeśli Rkps., o którym rzeczesz, Wypożyczyć mi raczysz.

Kolejny, niepodpisany list, wysłany z Filadelfii, był równie intrygujący, zwłaszcza w następującym fragmencie:

Zastosuję się do tego, coś pisał, iżbych słał Rachunki wyłącznie Twoimi statkami, aliści nie zawsze wiem, kiedy się ich spodziewać. W rzeczonej Materii jednej tylko jeszcze rzeczy mi potrzeba, lecz chciałbym, co oczywista, należycie Cię zrozumieć. Powiadasz, że dla najświetniejszych Efektów osiągnięcia konieczne jest, aby żadnej zgoła Części nie brakło, ale wiesz przecie, jak trudno jest co do tego mieć pewność. Wydawa mi się, że zabieranie całej Skrzyni to Ryzyko wielkie i Mozół, zresztą uczynić to w Mieście (ze Świętego Piotra, Świętego Pawła, Maryi Panny, Kościoła Chrystusowego etc.) jest rzeczą omal niemożliwą. Aliści wiem przecie, ile Niedoskonałości było w tym, com in Octobris łońskiego roku wskrzesił, i ileś żywych musiał wykorzystać Okazów, żeby w r. 1766 do należytego dojść Sposobu, tedy we wszytkich Sprawach na Twoje się zdaję przewodnictwo. Brygu Twego wyglądam z niecierpliwością, co dzień pytam, czy już przybył, na Nabrzeżu p. Biddle'a.

Trzeci podejrzany list napisany był w nieznanym języku, a nawet nieznanym alfabetem. W swym dzienniku Smith niezgrabnie przepisał szczególnie często pojawiającą się w nim kombinację znaków; uczeni z Uniwersytetu Browna stwierdzili, że jest to alfabet amharski bądź abisyński, aczkolwiek nie rozpoznali ani jednego słowa. Żadna z trzech epistoł nigdy nie dotarła do Curwena, jakkolwiek to, że niedługo później w Salem odnotowano zniknięcie Jedediaha Orne'a, wskazuje, że grupa z Providence podjęła pewne skryte działania. Ciekawe listy znajdują się też w posiadaniu Pensylwańskiego Towarzystwa Historycznego – adresowane były do doktora Shippena i wzmiankowały, że w Filadelfii przebywa pewna niebezpieczna persona. Zanosiło się już jednak na bardziej rozstrzygające kroki; za najważniejszy efekt działań Weedena powinniśmy przeto uznać to, że w magazynach Browna zaczęła zbierać się grupa twardych, wypróbowanych marynarzy i starych, zaufanych korsarzy. Powoli, nieubłaganie rozwijał się plan kampanii, która miała zetrzeć z powierzchni ziemi wszelki ślad po niezdrowych tajemnicach Josepha Curwena.

Mimo przedsięwziętych środków ostrożności Curwen najwyraźniej wyczuł, że coś się święci, wyglądał bowiem wówczas na niezwykle strapionego. Jego powóz widywano w mieście i na Pawtuxet Road o wszelkich możliwych porach; Curwen stopniowo zatracał też wymuszoną jowialność, którą starał się był przełamać uprzedzenia wobec swej osoby. Najbliżsi sąsiedzi jego farmy, Fennerowie, zauważyli pewnej nocy, jak wielki snop światła wystrzela w niebo z jakiejś szczeliny w dachu owej tajemniczej kamiennej budowli o wysokich, niezwykle wąskich oknach; o zdarzeniu tym powiadomili niezwłocznie Johna Browna. Pan Brown, który objął dowództwo nad grupą powołaną do eliminacji Curwena, powiadomił Fennerów, że przygotowywany jest pewien tajny plan; uznał to za rzecz konieczną, jako że najazd na farmę Curwena i tak musiał odbyć się na ich oczach. Wyjaśnił, że Curwen okazał się szpiegiem inspektorów celnych z Newport, przeciwko którym jawnie bądź skrycie buntował się każdy importer, kupiec i farmer w Providence. Trudno orzec, w jakiej mierze Fennerowie, którzy widzieli u swego sąsiada tyle niewytłumaczalnych rzeczy, uwierzyli w tę bajeczkę, wszelako człowiekowi oddającemu się tak dziwacznym zajęciom skłonni byli przypisać każde możliwe zło. Pan Brown powierzył im zadanie obserwowania farmy Curwena i informowania o wszystkim, co się tam dzieje.

## 5.

Prawdopodobieństwo, że Curwen ma się na baczności i próbuje przedsiębrać niecodzienne środki obronne – na co mógł wskazywać dziwny snop światła – przyspieszyło przygotowywaną starannie przez stroskanych mieszczan akcję. Zgodnie z dziennikiem Smitha w piątek 12 kwietnia 1771 roku, o godzinie dwudziestej drugiej, w wielkiej izbie tawerny Thurstona Pod Złotym Lwem, znajdującej się przy Weybosset Point po drugiej stronie Great Bridge, zebrał się blisko stuosobowy oddział. Spośród przywódców prócz Johna Browna znalazł się tam doktor Bowen wyposażony w torbę z narzędziami chirurgicznymi, rektor Manning bez swojej charakterystycznej olbrzymiej peruki (największej w całej kolonii), gubernator Hopkins spowity w czarny płaszcz i w towarzystwie swego brata, żeglarza imieniem Esek, którego wtajemniczył w ostatniej chwili za zgodą pozostałych, a także John Carter, kapitan Mathewson oraz kapitan Whipple mający dowodzić właściwym najazdem. Przywódcy naradzili się pierwej w tylnej izbie, potem kapitan Whipple pojawił się w głównej sali, zaprzysiągł zebranych marynarzy i udzielił im ostatnich instrukcji. Eleazar Smith razem z przywódcami czekał na przybycie Ezry Weedena, który miał za zadanie śledzić Curwena i dać znak, gdy zobaczy, że jego powóz kieruje się w stronę farmy.

Około 22.30 na moście rozległ się donośny rumor, chwilę później zaś ulicą przed tawerną przejechał powóz – nie trzeba było już czekać na znak od Weedena, że cel ataku jedzie na farmę, by po raz ostatni oddawać się swemu bezbożnemu czarnoksięstwu. Chwilę później, gdy oddalający się powóz

turkotał już w oddali na Muddy Dock Bridge, pojawił się Weeden. Uczestnicy najazdu w milczeniu wyszli na ulicę i ustawili się w wojskowym szyku, uzbrojeni w skałkowe karabiny, śrutówki i wielorybnicze harpuny. Byli z nimi Ezra Weeden i Smith, zaś spośród planujących akcję mieszczan brać w niej udział mieli kapitan Whipple jako dowódca, kapitan Esek Hopkins, John Carter, rektor Manning, kapitan Mathewson i doktor Bowen, a także Moses Brown, który nie uczestniczył w przygotowaniach w tawernie, ale dołączył do grupy o godzinie jedenastej. Wszyscy ci obywatele z setką podległych im marynarzy, nie zwlekając, ruszyli w długą drogę, gdy zaś zostawili za sobą Muddy Dock oraz wznoszącą się delikatnie pod górę Broad Street i zmierzali już ku Pawtuxet Road, sposępnieli nieco, a serca wypełnił im niepokój. Tuż za kościołem dziekana Snowa niektórzy odwrócili się, by ogarnąć pożegnalnym spojrzeniem miasto rozciągające się w dole pod kopułą wczesnowiosennych gwiazd. Wieże i strome dachy rysowały się na tle nieba kształtną, czarną linią, a od zatoki na północ od mostu wiała delikatna słona bryza. Nad wielkim wzgórzem po drugiej stronie zatoki wspinała się po niebie Wega, a równą linię drzew na grzbiecie wzniesienia przełamywał zarys dachu nieukończonego jeszcze budynku uczelni. U stóp wzgórza, wzdłuż wąskich, stromych zaułków na jego zboczu, śniło swe sny stare Providence – miasto, którego bezpieczeństwo i rozsądek wymagało, by zniszczyć grożące mu kolosalne, potworne bluźnierstwo.

Po godzinie i kwadransie cała grupa przybyła, jak uzgodniono wcześniej, na farmę Fennerów; tam wysłuchano raportu z ostatnich poczynań przyszłej ofiary. Curwen przyjechał na farmę ponad pół godziny wcześniej; niedługo później w niebo znów wystrzeliło dziwne światło, lecz okna były zupełnie ciemne. Ostatnio zawsze tak się działo. Nim jeszcze Fennerowie skończyli mówić, południowe niebo ponownie rozjarzył potężny blask; najeźdźcy pojęli, że istotnie zbliżają się do miejsca, w którym dzieją się zdumiewające, sprzeczne z Naturą cuda. Kapitan Whipple podzielił swoje siły na trzy oddziały. Dwudziestu ludzi pod dowództwem Eleazara Smitha miało zająć pozycję na brzegu rzeki i strzec miejsca, w którym mogły wylądować ewentualne posiłki Curwena; w razie nagłej potrzeby posłaniec miał ich przywołać na farmę. Kolejna dwudziestka, dowodzona przez kapitana Eseka Hopkinsa, miała przedrzeć się do rzecznej doliny i toporami bądź prochem zniszczyć dębowe drzwi w wysokiej, stromej skarpie. Trzeci oddział miał okrążyć dom i dookolne budynki, dzielił się zaś na trzy grupy: jedna pod dowództwem kapitana Mathewsona miała zaatakować tajemniczy kamienny budynek z wąskimi oknami, druga pod kapitanem Whipple'em miała uderzyć na dom Curwena, a trzecia otoczyć kordonem wszystkie budynki i w razie potrzeby na umówiony znak dołączyć do atakujących.

Oddział nad rzeką po pierwszym gwizdku miał sforsować drzwi w skarpie, a następnie czekać i pojmać wszystkich bądź wszystko, co wyłoni się z tunelu; na dwa gwizdki miał wejść do środka i ruszyć w głąb tuneli, by stawić czoła ukrytemu w nich nieprzyjacielowi bądź dołączyć do oddziałów operujących na farmie. Te same sygnały obowiązywały oddział w kamiennym budynku: po pojedynczym gwizdnięciu miał on wedrzeć się do środka, a po dwukrotnym zejść wszelkimi możliwymi korytarzami pod

ziemię i dołączyć do decydującej walki, która – jak oczekiwano – rozegra się w lochach. Potrójne gwizdnięcie pomyślano jako sygnał alarmowy, przywołujący rezerwowy oddział strzegący miejsca wyładunku nad rzeką; w razie czego miał on podzielić się na dwie dziesięcioosobowe grupy, a następnie przez dom i kamienny budynek zstąpić w nieznane czeluście. Kapitan Whipple był święcie przekonany, że katakumby pod farmą naprawdę istnieją, przygotowując plan nie brał nawet pod uwagę innej możliwości. Miał ze sobą gwizdek o potężnym, przenikliwym dźwięku i nie spodziewał się, by jego sygnały mogły przez kogokolwiek zostać nieusłyszane bądź źle zrozumiane. Grupa rezerwowa znajdowała się oczywiście na granicy słyszalności gwizdka, dlatego zdecydowano, że wezwie ją specjalny posłaniec. Do nadrzecznego oddziału kapitana Hopkinsa dołączyli Moses Brown i John Carter, kapitanowi Mathewsonowi w ataku na kamienny budynek miał zaś towarzyszyć rektor Manning. Doktor Bowen i Ezra Weeden zostali przy kapitanie Whipple'u, który miał uderzyć wprost na dom. Atak miał się rozpocząć, gdy tylko do kapitana Whipple'a dotrze posłaniec z wieścią, że grupa nad rzeką jest w pełnej gotowości. Kapitan miał wówczas dać jeden potężny sygnał gwizdkiem i trzy oddziały miały przypuścić jednoczesny atak na wyznaczone obiekty. Tuż przed godziną pierwszą trzy grupy opuściły farmę Fennerów: jedna ruszyła na miejsce wyładunku, druga na poszukiwanie drzwi w nadrzecznej skarpie, trzecia podzieliła się i przygotowywała do szturmu na właściwe zabudowania.

Eleazar Smith, który dołączył do oddziału rezerwowego, odnotowuje w swym dzienniku, że wraz z towarzyszami dotarł na miejsce bez przeszkód, a potem długo czekał na klifie nad zatoką. Ciszę zakłócił jedynie daleki dźwięk gwizdka, a potem osobliwa, przytłumiona mieszanina ryków i krzyków oraz dochodzący chyba z tej samej strony odgłos wybuchu. Potem ktoś stwierdził, że słyszy daleką strzelaninę, a jeszcze później sam Smith uczuł, jak powietrze zadrżało od wypowiedzianych tytanicznym, gromkim głosem słów. Tuż przed świtem nadbiegł obdarty posłaniec; miał obłęd w oczach, przesiąknięty był nieznanym, wstrętnym fetorem i nakazał rozproszyć się, po cichu wrócić do domów i już nigdy nie myśleć ani nie rozmawiać o tym, co się zdarzyło tej nocy, ani o człowieku, który nosił nazwisko Joseph Curwen. Zachowanie posłańca mówiło więcej, niż zdołałyby przekazać słowa, wielu marynarzy z oddziału znało go bowiem osobiście i w owej chwili widziało, że w jego duszę wraziło się coś, co odmieniło go na zawsze. To samo zauważyli później u reszty dawnych kompanów, którzy stanęli oko w oko ze zgrozą na farmie Curwena: większość z nich wyszła z tego spotkania naznaczona nieuchwytnym i nieopisanym piętnem; ujrzeli oni, usłyszeli lub poczuli coś, co nie było przeznaczone dla istot ludzkich, i nie mogli tego zapomnieć. Nikt nigdy nie usłyszał od nich żadnych zwierzeń, najpospolitsze nawet człowiecze instynkty mają bowiem swoje straszliwe granice. Widok strwożonego posłańca przejął więc marynarzy nad rzeką taką niewysłowioną bojaźnią, że i oni nie zdradzili się niemal słowem. Niewiele się od nich dowiedziano – dziennik Eleazara Smitha to jedyny ocalały zapis losów ekspedycji, która tego wieczoru wyruszyła z gospody Pod Złotym Lwem pod rozgwieżdżone niebo.

Charles Ward odkrył wszakże jeszcze jedno mgliste świadectwo owych zdarzeń: korespondencję Fennerów. Znalazł ją w Nowym Londynie, gdzie – jak się dowiedział – mieszkała ich dalsza rodzina. Fennerowie obserwowali z okien swego domu, jak zwarte oddziały wyruszają w kierunku dalekiej farmy; słyszeli też wyraźnie szczekanie Curwenowych psów, a potem pierwszy gwizdek dający znak do ataku. Po gwizdku z kamiennego budynku wystrzelił kolejny snop światła, a po chwili, gdy szybkie dwukrotne gwizdnięcie rozpoczęło generalny szturm, rozległa się przytłumiona palba muszkietów, po niej zaś straszliwy, ogłuszający ryk, który Luke Fenner opisał w swym liście następująco: „*Waaaahrrrrr – R'waaahrrr*". Krzyk ów miał w sobie jednak coś, czego pismo oddać nie zdoła, autor listu wspomina też, że jego matka, usłyszawszy go, padła bez zmysłów na ziemię. Później krzyk wybrzmiał raz jeszcze, już ciszej, potem było słychać tylko cichą strzelaninę i głośny wybuch od strony rzeki. Jakąś godzinę później psy rozszczekały się jak oszalałe i zatrzęsła się ziemia – tak wyraźnie, że zadrżały płomienie świec na gzymsie kominka. Rozległa się silna woń siarki; ojciec Luke'a Fennera stwierdził też, że słyszał trzykrotne, alarmowe gwizdnięcie, lecz nikt tego nie potwierdził. Znów zagrały muszkiety. Potem dał się słyszeć wrzask kolejny, mniej przeszywający, lecz straszliwszy jeszcze niźli jego poprzednik – jakby gardłowe, obrzydliwie lepkie kaszlnięcie czy bulgot, który z krzykiem kojarzył się raczej przez to, że trwał przez pewien czas i zdawał się nieść treść psychiczną, aniżeli ze względu na swe właściwości akustyczne.

Następnie ciemności skrywające farmę Curwena rozświetliła jakaś paląca się istota, a po chwili dały się słyszeć rozpaczliwe krzyki przerażonych ludzi. Błysnęły i huknęły muszkiety, płonąca istota upadła na ziemię. Pojawiła się druga – i znów wyraźnie słychać było ludzki wrzask. Fenner pisał, że dosłyszał nawet wykrzyczane w przerażeniu słowa: „Boże wszechmogący, miej swą owieczkę w opiece!". Znów huknęły strzały i druga płonąca istota upadła na ziemię. Potem niemal przez trzy kwadranse panowała cisza; wreszcie braciszek Luke'a, mały Arthur Fenner wykrzyknął, że z przeklętej farmy unosi się ku gwiazdom „czerwona mgła". Nikt prócz niego tego nie potwierdził, Luke zauważył jednak, że w tej właśnie chwili trzy koty siedzące wraz z ludźmi w izbie wygięły grzbiety i zjeżyły futro w spazmie panicznej trwogi.

Pięć minut później powiał lodowaty wiatr, a powietrze wypełnił odór tak nieznośny, że tylko mocny, świeży powiew od morza sprawił, iż nie poczuł go oddział na brzegu ani żaden z mieszkańców Pawtuxet. Smród ten nie przypominał żadnej woni, z jaką Fennerom zdarzyło się kiedykolwiek zetknąć, niósł też ze sobą natarczywy, bezpostaciowy lęk, silniejszy jeszcze niż ów, jaki wywołuje bliskość grobów czy kostnicy. Niemal równocześnie dał się słyszeć głos, którego żaden z nieszczęsnych słuchaczy już nigdy potem nie zapomniał. Zagrzmiał z nieba niby zwiastun zagłady, a od cichnącego echa aż zadźwięczały okna. Był głęboki i melodyjny; potężny jak basowe organy, lecz zły jak zakazane księgi Arabów. Co mówił – nikt nie zrozumiał, mówił bowiem w nieznanym języku, Luke Fenner zapisał jednak tę demoniczną inkantację za pomocą następującego ciągu znaków: *DEESMEES – JESHET –*

*BONE DOSEFE DUVEMA – ENITEMOSS*. Aż do roku 1919 żaden śmiertelnik nie zdołał rozszyfrować tego topornego zapisu za pomocą dostępnej człowiekowi wiedzy – Charles Ward, odczytawszy go jednak, pobladł, rozpoznał w nim bowiem słowa, które Mirandola ze wstrętem potępił jako najprzeraźliwsze ze wszystkich zaklęć czarnej magii.

Odpowiedzią na obłędny ów dziw był głos niewątpliwie ludzki: głęboki, chóralny wrzask, potem zaś do nieznanego odoru dołączył kolejny, równie nieznośny. Teraz z kolei wybuchł dźwięk odmienny: jakby zawodzenie, wznoszące się i opadające w przeciągłych paroksyzmach. Chwilami zdawało się, że pobrzmiewają w nim konkretne słowa, acz żaden ze świadków nie mógł ich rozróżnić; w pewnej chwili brzmiało niemal jak diaboliczny, histeryczny śmiech. Potem z dziesiątków ludzkich gardeł wyrwał się skowyt najskrajniejszej, ostatecznej trwogi i czystego szaleństwa – brzmiał on zaś mocno i czysto, jakkolwiek musiał dobiegać z podziemnych głębin; gdy ścichł, zapanowały niepodzielnie ciemność i cisza. Gwiazdy niknęły w spiralnych kłębach gryzącego dymu, acz nie błysnął nawet jeden płomień, nazajutrz zaś nie widać było, by którykolwiek z budynków zniknął bądź doznał jakiegoś uszczerbku.

Tuż przed świtem do drzwi Fennerów zapukali dwaj strwożeni posłańcy, przesiąknięci potwornym, nieokreślonym smrodem, i poprosili o baryłkę rumu. Zapłacili za nią sowicie, jeden z nich oznajmił zaś, że sprawa Josepha Curwena jest zamknięta, i zakazał rozpowiadania komukolwiek o wydarzeniach minionej nocy. Rozkaz wydawał się arogancki, lecz wygląd posłańca w pełni go usprawiedliwiał i nadawał mu jakąś straszną moc; dlatego właśnie nieśmiałe listy, które Luke Fenner pisał do swego krewnego w Connecticut – każąc mu je zniszczyć po przeczytaniu – są jedynym świadectwem wydarzeń tamtej nocy. Tylko dzięki temu, że ów krewny nie zastosował się do prośby Luke'a i jednak zachował listy, cała sprawa nie popadła w litościwe zapomnienie. Pieczołowitość, z jaką mieszkańcy Pawtuxet zachowywali rodzinne legendy, sprawiła zaś, że Charles Ward mógł uzupełnić tę opowieść o jeszcze jeden szczegół. Stary Charles Slocum powiedział mu mianowicie, że jego dziadek słyszał był dziwną pogłoskę, jakoby tydzień po ogłoszeniu śmierci Josepha Curwena na polach znaleziono zwęglone, zniekształcone ciało. Pogłoska owa zachowała się w pamięci miejscowych dzięki temu, że owe sczerniałe, poskręcane zwłoki – o ile dało się to określić – ani nie były zupełnie ludzkie, ani też nie przypominały żadnego zwierzęcia, o jakim kiedykolwiek w Pawtuxet słyszano lub czytano.

## 6.

Nikogo z uczestników strasznego najazdu nikomu nie udało się namówić do żadnych zwierzeń, tedy wszystkie mgliste informacje na jego temat pochodzą od postronnych świadków. Jest coś zatrważającego w staranności, z jaką pogromcy Curwena dławili każdą, najcieńszą nawet aluzję do jego osoby. Śmierć poniosło ośmiu marynarzy; rodziny nie zobaczyły ich ciał, zadowoliły się jednak oświadczeniem, że polegli w potyczce z celnikami. Tak

samo wyjaśniano niezliczone obrażenia, własnoręcznie opatrzone i zabandażowane przez uczestniczącego w akcji doktora Jabeza Browna. Trudniej było wytłumaczyć niespotykany fetor, który przylgnął do uczestników najazdu i przez wiele tygodni był tematem powszechnych plotek. Spośród przywódców najciężej ranni byli kapitan Whipple i Moses Brown, z listów ich zdumionych żon wynikało zaś, że obaj nie pozwalali nikomu opatrywać swych ran i ignorowali wszelkie pytania na ich temat. Wszyscy uczestnicy rajdu ucierpieli też na psychice – wyszli zeń poruszeni, poważniejsi i postarzali. Na szczęście byli to silni mężczyźni, ludzie czynu kierujący się prostą, ortodoksyjną religijnością – ktoś obdarzony subtelniejszym, introspekcyjnym umysłem z pewnością ucierpiałby znacznie bardziej. Najciężej wstrząśnięty był rektor Manning; nawet on jednak odzyskał równowagę i zdławił mroczne wspomnienia gorliwą modlitwą. Każdy z nich miał jeszcze do odegrania ważną rolę w życiu publicznym i może właśnie dzięki temu doszedł do siebie. Nie dalej niż dwanaście miesięcy później kapitan Whipple przewodził pospolitemu ruszeniu, które spaliło statek celny Gaspee – być może dzielny ów czyn był dlań jednym ze sposobów wyparcia niezdrowych wspomnień.

Wdowa po Curwenie otrzymała zapieczętowaną ołowianą trumnę osobliwego wzoru, najwidoczniej znalezioną na farmie, zawierającą – jak jej oznajmiono – ciało jej męża. Dowiedziała się, że zginął w bitwie z celnikami, której szczegółów najrozsądniej będzie jednak nie ujawniać. Potem nikt już nawet się nie zająknął o tym, jak skończył Joseph Curwen, tedy Charles Ward zbudował swą teorię, kierując się jedną zaledwie wskazówką, właściwie nikłą poszlaką: podkreślonym drżącą ręką ustępem w skonfiskowanym liście Jedediaha Orne'a do Curwena, częściowo przepisanym przez Ezrę Weedena. Kopię ową zachowali potomkowie Smitha; musimy jednak rozstrzygnąć sami, czy Weeden przekazał ją po wszystkim swemu towarzyszowi, bez słów sugerując mu, z jaką aberracją zetknął się na farmie, czy też – co bardziej prawdopodobne – Smith miał ją już wcześniej i sam podkreślił rzeczony fragment na podstawie tego, co wydobył ze swego druha zręczną indagacją i uzupełnił trafnymi domysłami. Podkreślony ustęp był krótki:

Raz jeszcze powiadam Ci: nie wzywaj nic, Czego nazad odesłać byś nie mógł – inaczej rzekąc, Co z kolei przeciw Tobie wezwać coś by mogło, Najmocarniejsze z Twych Środków czyniąc bezużytecznymi. Zawżdy od Mniejszego żądaj, bo jeśli odpowie ci Większe, mocniejsze od Ciebie okazać się może.

Zważywszy na jego treść, sugerującą, że w obliczu największego zagrożenia Curwen mógł był wezwać na pomoc niewyobrażalnych sojuszników, Charles Ward miał prawo zastanawiać się, czy któremukolwiek z obywateli Providence naprawdę udało się go zabić.

Rozmyślne wymazanie wszelkich śladów po Curwenie z życia i kronik Providence było o tyle łatwe, że wszyscy przywódcy najazdu byli wpływowymi miejskimi osobistościami. Zrazu nie zamierzali być aż tak

gorliwi i nie wtajemniczali wdowy, jej ojca ani dziecka Curwena w prawdziwe okoliczności jego śmierci; kapitan Tillinghast był jednak nie w ciemię bity, wkrótce do jego uszu dotarło nieco plotek, to zaś, czego się z nich dowiedział, przejęło go zgrozą – dlatego właśnie wymógł na córce zmianę nazwiska, zażądał, by spaliła bibliotekę męża i wszystkie pozostawione przezeń dokumenty, tudzież kazała zetrzeć jego nazwisko z nagrobka. Kapitan Tillinghast dobrze znał kapitana Whipple'a, może więc prostoduszny żeglarz właśnie przed nim uchylił rąbka tajemnicy i zdradził co nieco na temat śmierci wyklętego czarownika.

Od tamtej pory wszelką pamięć po Curwenie zacierano z coraz większą zaciekłością; doszło nawet do tego, że za wspólną zgodą zniszczono dotyczące go zapiski z miejskich archiwów i roczników „Gazette". W swym duchu zmowa ta porównywalna była jedynie ze zmową milczenia, jaka otaczała nazwisko Oscara Wilde'a przez dziesięć lat po tym, jak okrył się hańbą, w swym zasięgu zaś – z losem grzesznego króla Runazaru z opowieści Lorda Dunsany'ego, który z wyroku Bogów musiał zniknąć nie tylko z teraźniejszego, ale i minionego już świata.

Wdowa po Curwenie, od roku 1772 znana jako pani Tillinghast, sprzedała dom przy Olney Court i zamieszkała z ojcem przy Power's Lane. Zmarła w roku 1817. Farma w Pawtuxet, pozostawiona własnemu losowi i omijana z daleka jak zaraza, rozpadła się w zadziwiająco szybkim tempie: do 1780 roku pozostały tylko kamienne i ceglane mury, w ciągu zaś następnych dwudziestu lat i one rozsypały się w bezkształtne rumowiska. Nikt nie próbował przedrzeć się przez gęste zarośla na brzegu rzeki, za którymi być może znajdowało się wejście do tuneli, nikt też nie starał się odtworzyć dokładnych okoliczności, w jakich Curwen opuścił rozpętany przez siebie bezmiar zgróz.

Tylko staremu, krzepkiemu kapitanowi Whipple'owi zdarzało się niekiedy mruczeć pod nosem: „Żeby tak trąd stoczył tego ...syna, przecie powinien był krzyczeć, a on się śmiał. Przeklęty ...syn, zupełnie jakby miał jakiegoś asa w rękawie. Za parę groszy poszedłbym do chałupy tego ...syna i puścił ją z dymem".

## III. Poszukiwanie i przywoływanie

### 1.

Jak wiemy, w roku 1918 Charles Ward dowiedział się, że jest potomkiem Josepha Curwena. Nic dziwnego, że z miejsca zafascynowało go wszystko, co miało związek z dawną miejską tajemnicą – skoro w jego żyłach płynęła krew Curwena, nawet najbardziej mglista pogłoska na jego temat miała dlań teraz żywotne znaczenie. Każdy genealog, któremu nie zbrakło wyobraźni i pasji, na jego miejscu postąpiłby podobnie: zacząłby zachłannie i systematycznie gromadzić wszelkie informacje o swym zagadkowym

przodku.

Swoich najpierwszych poszukiwań Ward bynajmniej nie trzymał w tajemnicy – toteż nawet doktor Lyman nie ma pewności, czy należy datować początek jego szaleństwa wcześniej niż na koniec 1919 roku. Ward otwarcie rozmawiał o Curwenie ze swą rodziną – jakkolwiek matka nie była zbyt zachwycona, że ma wśród swoich przodków osobę pokroju Curwena – oraz z pracownikami odwiedzanych muzeów i bibliotek. Prosząc prywatne osoby właścicieli o udostępnienie rodzinnych archiwów, nie ukrywał, kto jest przedmiotem jego zainteresowania, i tak jak oni znalezione w starych listach i pamiętnikach relacje traktował z mieszaniną zdumienia i sceptycyzmu. Często zastanawiał się na głos, co też naprawdę wydarzyło się przed półtora stuleciem na farmie w Pawtuxet, którą zresztą daremnie próbował odnaleźć, i kim naprawdę był Joseph Curwen.

Dotarłszy do dziennika i archiwów Smitha oraz listu od Jedediaha Orne'a, Ward postanowił wybrać się do Salem i odnaleźć ślady wczesnej działalności i powiązań Curwena. Przepiękne stare miasto, pełne kruszejących purytańskich domów o wysokich szczytach i mansardowych dachach, odwiedził podczas ferii wielkanocnych w 1919 roku. W Essex Institute, miejscowym towarzystwie historycznym, w którym bywał już podczas poprzednich wizyt, przyjęto go bardzo serdecznie, w tamecznych archiwach znalazł zaś sporo informacji o Curwenie. Jego przodek urodził się w wiosce Salem Village, przemianowanej później na Danvers, leżącej siedem mil od miasta, 18 lutego (zgodnie z obowiązującym wówczas kalendarzem juliańskim) 1662 lub 1663 roku. W wieku lat piętnastu uciekł na morze, dziewięć lat później wrócił – z polorem, stylem i akcentem rodowitego Anglika – i osiedlił się we właściwym Salem. Z rodziną nie utrzymywał już wtedy szczególnych kontaktów, większość czasu spędzał wśród osobliwych książek przywiezionych z Europy oraz dziwnych chemikaliów, które sprowadzał statkami z Anglii, Francji i Holandii. Wśród miejscowych wielką ciekawość wzbudziły jego wyprawy za miasto: krążyły pogłoski, że mają one coś wspólnego z ogniskami palonymi nocą na wzgórzach.

Curwen przyjaźnił się tylko z niejakim Edwardem Hutchinsonem z Salem-Village i niejakim Simonem Orne'em z Salem. Często widywano ich razem na naradach w sprawach gminnych, wszyscy trzej często się odwiedzali. Hutchinson mieszkał kawałek od wioski, pod lasem, wrażliwsi ludzie nie przepadali zaś za nim ze względu na dźwięki, które nocami dobiegały z jego domu. Podobno przyjmował dziwnych gości, a światła w jego oknach nie zawsze były tej samej barwy. Szczególnie niezdrowa wydawała się posiadana przezeń wiedza o dawno zmarłych osobach i zapomnianych przez wszystkich zdarzeniach. Hutchinson zniknął mniej więcej wówczas, gdy wybuchła histera na punkcie czarownic, i nigdy więcej go już nie widziano. W tym samym czasie wyjechał także Joseph Curwen; wkrótce jednak rozeszła się wieść, że osiadł w Providence. Simon Orne mieszkał w Salem do roku 1720, kiedy to zaczął zwracać powszechną uwagę tym, że mimo upływu lat ani trochę się nie starzeje. Niedługo potem zniknął; trzydzieści lat później w mieście pojawił się zaś jego syn, identyczny z wyglądu i ubioru, by odzyskać majątek ojca. Ponieważ dokumenty okazały się wiarygodne, Jedediah Orne

zamieszkał w Salem i pozostał tam aż do roku 1771, kiedy to pewne listy z Providence, otrzymane między innymi przez wielebnego Thomasa Barnarda, doprowadziły do tego, że został z miasta potajemnie usunięty.

Dokumenty związane z tymi dziwnymi osobnikami Ward znalazł w Essex Institute, w archiwum miejscowego sądu oraz w rejestrze aktów prawnych. Były wśród nich zarówno papiery banalne i nieszkodliwe – akty własności gruntu, kwity zastawne – jak i zapiski pełne prowokujących niedomówień. Cztery lub pięć niezbitych aluzji na ich temat zawierały protokoły z procesów o czary; na nadzwyczajnej rozprawie – a odbyła się 10 lipca 1692 roku pod przewodnictwem sędziego Hathorne'a – niejaki Hepzibah Lawson zeznał na przykład pod przysięgą, że „w Lasach za domem pana Hutchinsona odbywały się Schadzki, na których zjawiał się Zły oraz cztyrdzieści Czarownic", 8 sierpnia zaś niejaki Amity How oświadczył przed sędzią Gedneyem, że „pan G.B. (wielebny George Burroughs) tejże nocy Piętnem Czartowskim naznaczył Bridget S., Jonathana A., Simona O., Deliverance'a W., Josepha C., Susan P., Mehitable C. i Deborah B.". Dalej następował katalog niesamowitego księgozbioru Hutchinsona, który odkryto po jego zniknięciu, oraz nieukończony manuskrypt sporządzony jego ręką nieznanym szyfrem. Ward zamówił sobie fotostatyczną kopię tego dokumentu i gdy tylko mu ją dostarczono, zaczął go niespiesznie odcyfrowywać. Pod koniec lata pracował już nad dokumentem z gorączkową intensywnością, jego ówczesne słowa i zachowanie pozwalają też przypuszczać, że klucz do szyfru miał gotowy około października bądź listopada. Nigdy wszakże nie przyznał, czy udało mu się ów dokument odczytać.

Odkryciem największej wagi okazały się jednak dokumenty Orne'a. Ward bez większego trudu przekonał się o słuszności swych podejrzeń, których nabrał był, czytając list Jedediaha Orne'a do Curwena – identyczność charakterów pisma świadczyła ponad wszelką wątpliwość, że Simon Orne i jego domniemany syn byli w istocie tą samą osobą. Jak wyznał Orne swemu korespondentowi, w Salem niebezpiecznie było żyć zbyt długo – dlatego właśnie wyjechał na trzydzieści lat, a o swój majątek upomniał się dopiero wówczas, gdy mógł już ujść za przedstawiciela następnego pokolenia. Większość swej korespondencji Orne najwyraźniej skrupulatnie zniszczył, uczestnikom najazdu na farmę Curwena udało się jednak znaleźć i zachować kilka szczególnie zdumiewających listów i dokumentów. Były w nich tajemnicze diagramy i wzory pisane nie tylko ręką Orne'a – Ward przepisał je starannie lub zamówił wykonanie fotokopii – oraz jeden szczególnie tajemniczy list przechowywany w rejestrze aktów prawnych, w którym Ward rozpoznał bez pudła rękę Curwena.

Dokument ów pozbawiony był daty rocznej, Ward nie miał jednak wątpliwości, że nie jest to list, na który Orne odpowiedział epistołą skonfiskowaną przez mieszczan z Providence; na podstawie zawartych w treści wskazówek ustalił, że nie mógł on zostać napisany później niż w roku 1750. Nie od rzeczy będzie przytoczyć go tutaj w całości, jako próbkę stylu tej mrocznej i straszliwej postaci. Zaadresowany był do „Simona", aczkolwiek imię to było przekreślone – nie wiadomo, czy ręką Curwena czy samego Orne'a.

Prouidence, *1 Maii (Ut. vulgo)*

Bracie!

Szanowny, stary mój Druhu, szlę należne Uszanowania i najszczersze Życzenia Temu, któremu obaj służymy dla wiekuistej Potęgi. Doszedłem właśnie do Tego, o czym wiedzieć powinieneś, co tyczy się Sprawy Najostateczniejszej, jakoż i tego, co w związku z nią czynić. Nie jestem skłonny iść Twoim śladem i pójść Precz z Prouidence w związku z mym posunięciem się w Leciech, albowiem w ściganiu i przed Sąd doprowadzaniu Rzeczy niezwykłych Miasto to z mniejszą niż Twoje postępuje Surowością. Trzymają mię tu Statki moje i Dobra, tedy nie mogę postąpić jak Ty, nadto pod moją farmą w Patuxet znajduje się To, o czym Wiesz, a co czekać, póki nie Wrócę jako ktoś Inakszy, nie może.

Aliści, jakem Ci już rzekł, gotowym także i na złą Losu odmianę, i wielem się napracował, iżby mieć Sposób na Powrót po swoim Skonie. Tej Nocy wypowiedziałem Słowa, które przywołują YOGGE-SOTHOTHE, i po raz pierwszy ujrzałem Twarz, o której Ibn Schacabao pisał w ––––. I rzekło TO, że klucz zawiera Psalm III w Liber-Damnatus. Kiedy Słońce będzie w V Domu, a Saturn w Trójcy, wykreśl Ognisty Pentagram i po trzykroć wypowiedz Werset dziewiąty. Werset ten powtarzaj w każdy dzień Znalezienia Krzyża i w wilię Wszystkich Świętych, aże w Sferach Zewnętrznych porodzi się Istota.

*A z Nasienia Starego zrodzi się Ten, który nazad spojrzy, nie wiedząc jednak, czego szuka.*

Żadnych wszako z tego nie będzie Pożytków, jeśli nie znajdzie się Następca i wszytkie Sole bądź Sposoby ich wytworzenia do jego nie pozostaną Dyspozycyjej; acz przyznać muszę, żem jeszcze zbyt wielkich po temu nie przedsięwziął Kroków. Cały Proces diablo wielkiego wymaga utrudzenia, jakoż i tak wielkiego Mnóstwa żywych Okazów, że ledwie mogę Nastarczyć – jakkolwiek przecie mam co nieco Marynarzy z Indii. Ludzie dziwować się poczynają, ale potrafię dać im odpór. Szlachcice gorsi są w tym od Pospólstwa: skrupulatniejszych podejmują się Działań, w ich słowa zasię łacniej wszytcy dają wiarę. Obawiam się, że ten Parson i p. Merritt to i owo rozgadali, aleć w Tym, co mówili, żadnej Groźby dla mnie jeszcze nie było. Substancje Chimiczne dostać nietrudno, a to z tej racji, że w mieście jest dwóch dobrych Chimików: dr Bowen i Sam. Carew. Postępuję w ślad za przykazaniami Borellusa, wspomogła mię też VII Xięga Abdoola Al-Hazreda. Cokolwiek osiągnę, będziesz miał i Ty. Tymczasem nie wahaj się użyć Słów, które Ci tu posyłam. Są to słowa Właściwe, aliści jeśli pragniesz ujrzeć JEGO, posłuż się Wersetami na kawałku ––––, które posyłam Ci wraz z niniejszym Pisaniem. Wersety te powtarzaj w każdy dzień Znal. Krzyża, jakoż i w wilię Wszystkich Świętych; a jeśli linia Twa nie wygaśnie, po leciech wielu znajdzie się ktoś, kto spojrzy nazad i z Soli bądź Materiałów na Sole, któreś mu zostawił, właściwy uczyni użytek. Job, XIV, XIV.

Cieszy mię, żeś znów jest w Salem, tuszę, że niebawem się

obaczym. Mam dobrego Ogiera, przemyśliwam też nad kupnem Powozu – jeden już w Prouidence jest (p. Merritta), acz Drogi są liche. Aleć jeśli Tobie zdarzy puścić się w Podróż, nie omieszkaj do mnie zajechać. Z Bostonu pojedziesz Drogą Pocztową przez Dedham, Wrentham i Attleborough, wszędzie znajdziesz tam dobre Gospody. Zatrzymaj się w Wrentham u p. Bolcoma, ma lepsze łóżka niż p. Hatch, ale stołuj się lepiej u Hatcha, bo smaczniejszą mają tam Kuchnię. Do Prouidence skręć przy wodospadzie Patucket i jedź Drogą obok gospody p. Saylesa. Dom mój znajdziesz naprzeciwko Gospody p. Epenetusa Olneya przy Towne Street, stoi jako pierwszy po półn. stronie Olney Court. Od rogatek Bostonu będzie to jakie XLIV mil.

Twój stary, oddany przyjaciel i sługa w Almousinie-Metratonie
Josephus C.

Do Pana Simona Orne'a
przy William's-Lane, w Salem.

Co ciekawe, w liście tym Ward znalazł pierwszy ślad wskazujący jednoznacznie, gdzie mieścił się miejski dom Curwena; żaden z przeglądanych wcześniej dokumentów nie określał tego dokładnie. Odkrycie było zaskakujące po dwakroć, uzmysłowiło Wardowi bowiem, że nowszy dom Curwena, wybudowany w 1761 roku na miejscu pierwszego, wciąż istnieje – stoi sobie, porządnie już sfatygowany, przy Olney Court, Ward znał go doskonale ze swych antykwarycznych włóczęg po Stampers' Hill. Znajdował się raptem o kilka przecznic od jego domu, w wyższych partiach wielkiego wzgórza, zamieszkiwała go zaś pewna murzyńska rodzina, wielce ceniona za świadczone dorywczo usługi w zakresie prania, sprzątania domów i czyszczenia pieców. Ward był wielce poruszony, że wizyta w dalekim Salem niespodziewanie uzmysłowiła mu, jak ważne miejsce w dziejach jego rodziny zajmuje znana mu z widzenia rudera; postanowił, że po powrocie niezwłocznie uda się na miejsce i dokładnie ją sobie obejrzy. Mistyczne fragmenty listu – które uznał za cokolwiek ekscentryczną symbolikę – wprawiły go w niemałe zakłopotanie, jakkolwiek odkrył z dreszczem podniecenia, że wspomniany w nim ustęp z Księgi Hioba jest mu doskonale znany: „Kiedy umrze człowiek, czy żyć będzie? Przez wszystkie dni służby mojej czekałbym wtedy, aż przyjdzie wyzwolenie”*.

## 2.

Młody Ward wrócił do domu w stanie przyjemnego podniecenia, najbliższą sobotę spędził zaś na długich, drobiazgowych oględzinach domu przy Olney Court. Rozsypujące się już ze starości domostwo nigdy nie zasługiwało na miano rezydencji – był to po prostu skromny, piętrowy drewniany dom z poddaszem, utrzymany w typowym dla Providence kolonialnym stylu, z prostym kalenicowym dachem, wielkim centralnym kominem i kunsztownie rzeźbionym wejściem: zdobnym naświetlem, trójkątnym naczółkiem i

zgrabnymi doryckimi pilastrami. Z zewnątrz niewiele się zmienił, toteż Ward uczuł, że mroczny przedmiot jego poszukiwań jest już na wyciągnięcie ręki.

Murzyńska rodzina znała Warda, stary Asa i jego tęga żona Hannah z wielką uprzejmością oprowadzili go po całym domu. Wnętrze zmieniło się bardziej, niż można było sądzić po wyglądzie fasady; Ward z żalem zauważył, że niewiele już zostało z przepięknych, zdobionych w woluty gzymsów kominków i rżniętych w muszle ornamentów na kredensach, że ścienne występy są porysowane i obtłuczone, a cudne boazerie odrapane bądź pokryte od góry do dołu lichą tapetą. Ogólnie rzecz biorąc, plon tych oględzin okazał się skromniejszy, niż Ward się spodziewał, wszelako młodzieniec doświadczył czegoś poruszającego: przestąpił próg domu, w którym niegdyś mieszkał jego straszliwy praszczur. Z dreszczem emocji zauważył, że ze starodawnej mosiężnej kołatki z wielką starannością wytarto monogram Curwena.

Od tej pory aż do wakacji szkolnych Ward ślęczał nad fotostatyczną kopią szyfru Hutchinsona i gromadził informacje o Curwenie. Pierwsze z tych zajęć wciąż nie przynosiło efektów, drugie wręcz przeciwnie: Ward wiele się dowiedział, odnalazł też tropy prowadzące do Nowego Londynu i Nowego Jorku; przeto już w lipcu wybrał się w podróż, by przejrzeć zbiory starych listów, które wedle wszelkich wskazówek znajdowały się właśnie w tych miastach. Kwerenda okazała się bardzo owocna: Ward dotarł do listów Fennerów, zawierających straszny opis najazdu na farmę w Pawtuxet, oraz listów Nightingale’a i Talbota, z których dowiedział się o portrecie Curwena namalowanym na boazerii w jego bibliotece. Szczególnie zafrapowała go sprawa portretu; Ward wiele by dał, żeby się dowiedzieć, jak wyglądał Joseph Curwen, tedy postanowił, że raz jeszcze przeszuka dom przy Olney Court, tym razem bacząc, czy spod łuszczących się warstw farby lub spleśniałej tapety nie wyziera zarys prastarej podobizny.

Poszukiwania owe Ward rozpoczął na początku sierpnia. Dokładnie obejrzał ściany w każdym pokoju, który był na tyle obszerny, że mógł niegdyś mieścić bibliotekę strasznego gospodarza. Ze szczególną dokładnością przyjrzał się sporym połaciom boazerii nad ocalałymi jeszcze kominkami – i po godzinnych oględzinach aż zadrżał z podniecenia, gdy zeskrobawszy kilka warstw farby nad kominkiem w przestronnym pokoju na parterze, przekonał się, że drewniana powierzchnia pod nimi wydaje się wyraźnie ciemniejsza aniżeli pierwotny kolor ścian bądź desek. Dla pewności przeprowadził swym cienkim nożykiem jeszcze kilka prób i po chwili nie miał już wątpliwości, że odnalazł olbrzymich rozmiarów portret. Młodzieniec wykazał się powściągliwością godną prawdziwego uczonego: nie ryzykował uszkodzenia ukrytego portretu nieporadnym skrobaniem, tylko pozostawił swe odkrycie nietknięte i udał się po pomoc do odpowiedniego specjalisty. Po trzech dniach wrócił w towarzystwie doświadczonego artysty Waltera C. Dwighta, który miał swą pracownię u podnóża College Hill; ów znakomity restaurator natychmiast przystąpił do pracy z użyciem odpowiednich metod i odczynników. Stary Asa i jego żona byli oczywiście wielce zaaferowani najściem dziwnych gości, za naruszenie spokoju

domowego ogniska otrzymali też należytą rekompensatę.

Mijał dzień za dniem, restaurator robił coraz większe postępy, a Charles Ward z narastającym zainteresowaniem przyglądał się liniom i cieniom wydobywanym na światło dzienne po tyloletnim zapomnieniu. Dwight zaczął swą pracę od dołu, toteż gdy obraz był odsłonięty w trzech czwartych wysokości, twarz wciąż jeszcze pozostawała zasłonięta. Widać było natomiast, że model jest szczupłym, dobrze zbudowanym mężczyzną, ubranym w ciemnoniebieski surdut, haftowaną kamizelkę, czarne atłasowe spodnie do kolan i pończochy z białego jedwabiu, i że siedzi na rzeźbionym fotelu na tle okna, za którym widać statki i portowe nabrzeża. Wkrótce spod farby wyłoniła się też schludna peruka w stylu Albemarle, a pod nią chuda, spokojna, niczym niewyróżniająca się twarz, która zarówno Dwightowi, jak samemu Wardowi wydała się cokolwiek znajoma. Wszelako dopiero wówczas, gdy oczyszczanie obrazu dobiegło końca i chude, blade oblicze ukazało się w całym bogactwie szczegółów, restaurator i jego klient pospołu wydali okrzyk bojaźliwego zdumienia. Jeszcze jedno przetarcie oliwą, jeszcze jedno pociągnięcie delikatną skrobaczką – i ukryte przed półtora wiekiem oblicze odsłoniło się w pełni, ujawniając niezwykłą sztuczkę dziedziczności: oto bowiem Charles Dexter Ward, miłośnik dawnych dziejów, na podobiźnie swego straszliwego praprapradziadka ujrzał ni mniej ni więcej, jak tylko rysy własnej twarzy.

Ward sprowadził rodziców, by na własne oczy ujrzeli cudowne znalezisko. Ojciec z miejsca oświadczył, że zamierza portret kupić – jakkolwiek namalowany był wprost na ściennej boazerii. Mimo znacznej różnicy wieku Curwen i chłopiec byli do siebie podobni w stopniu wręcz niebywałym; widać było jak na dłoni, że za sprawą atawistycznego kaprysu Natury rysy twarzy Josepha Curwena po wielu dziesiątkach lat zostały dokładnie odtworzone w jego potomku. Pani Ward nie była podobna do swego przodka ani na jotę, jakkolwiek stwierdziła, że pamięta krewnych, którzy istotnie nieco przypominali jej syna i Curwena; tak czy owak nie była zachwycona odkryciem Charlesa i oświadczyła mężowi, że obraz należałoby raczej spalić aniżeli przenieść do ich domu. Twierdziła, że wyczuwa w nim coś niezdrowego – nie tyle nawet w jego immanentnych właściwościach, ile w niesamowitej zbieżności rysów modela i Charlesa. Wszelako pan Ward był człowiekiem nad wyraz praktycznym – fabrykantem bawełny, właścicielem licznych przędzalni w Riverpoint w dolinie Pawtuxet – i niełatwo ulegał niewieścim skrupułom; niesamowite podobieństwo zrobiło na nim potężne wrażenie, toteż uznał, że chłopiec zasłużył, by otrzymać portret w prezencie. Nie trzeba podkreślać, że jego syn w pełni ten pogląd podzielał. Kilka dni później pan Ward odnalazł obecnego właściciela domu – drobnego osobnika o gardłowym akcencie i szczurzym obliczu – i oświadczył, że chce nabyć całe obramowanie kominka wraz z panneau, na którym namalowany był obraz; widząc, że właściciel jest skłonny do żmudnego i obłudnego kramarzenia, od razu zaproponował godziwą cenę i dobił targu.

Teraz pozostawało już tylko zdjąć panneau i przenieść do domu Wardów. Na miejscu poczyniono już odpowiednie przygotowania: obraz miał zostać umieszczony nad elektryczną imitacją kominka w pokoju Charlesa na drugim

piętrze, pełniącym funkcję pracowni czy też biblioteki. Nadzór nad jego przeniesieniem pozostawiono Charlesowi. Dwudziestego ósmego sierpnia dwaj wykwalifikowani pracownicy firmy dekoracyjnej Crookera w towarzystwie Charlesa zjawili się w domu przy Olney Court, po czym z wielką pieczołowitością usunęli całe obramowanie kominka wraz z panneau, z myślą o przetransportowaniu go firmową ciężarówką. Pod boazerią ukazała się ceglana ściana komina, w niej zaś – sześcienna wnęka szerokości mniej więcej jednej stopy, znajdująca się dokładnie na wysokości głowy na portrecie. Młodzieniec zaciekawił się, jakie też mogło być jej przeznaczenie lub zawartość, zajrzał więc do środka; pod grubą warstwą kurzu i sadzy leżał stosik luźnych pożółkłych kartek, zgrzebny, gruby notatnik oraz kilka butwiejących strzępków tkaniny, być może wstążki, którą niegdyś związano cały plik. Ward zdmuchnął kurz, odgarnął popiół, wyjął kajet i spojrzał na tytuł. Sporządzony był zdecydowanym pismem, znanym już Wardowi z dokumentów znalezionych w Essex Institute, i obwieszczał, że pod okładką kryje się D*ziennik oraz Notatki JMości Jos. Curwena z Kolonii Providence, poprzednio z Salem*.

Podekscytowany ponad wszelką miarę Ward pokazał kajet zaciekawionym robotnikom. Ich świadectwo potwierdza w sposób niezbity autentyczność jego znaleziska, toteż doktor Willett właśnie na nim opiera swą teorię, jakoby moment ów zapoczątkował tylko wielkie dziwactwa Charlesa, obłęd zaś pojawił się później. Wszystkie pozostałe dokumenty również zapisane były ręką Curwena, jeden zaś nosił szczególnie złowieszczy tytuł: *Do Tego, który Przyjdzie po mnie, i o tym, jak może Wynijść poza Czas i Sfery*. Inny sporządzony był szyfrem – Ward miał nadzieję, że tym samym co rękopis Hutchinsona, który zdążył sprawić mu tyle kłopotu. Dokument trzeci – i tu poszukiwacz aż zadrżał z radości – zawierał prawdopodobnie klucz do szyfru, czwarty i piąty zaś zaadresowane były odpowiednio do „Jaśnie Wielmożnego Pana Edw. Hutchinsona” i „Jaśnie Pana Jedediaha Orne’a” lub „Ich Potomka lub Potomków, albo Tych, którzy Ich Reprezentują”. Szósty i ostatni nosił tytuł: *Joseph Curwen, jego Życie i Wędrówki w leciech 1678–1687: dokąd Podróżował, gdzie Przebywał, kogo Widział i czego się Nauczył*.

## 3.

Dotarliśmy już do momentu, w którym akademicko nastawieni alieniści dopatrują się początków szaleństwa Charlesa Warda. Natychmiast po dokonaniu odkrycia młodzieniec zajrzał do kajetu i pozostałych rękopisów, przejrzał kilka stronic i najwyraźniej znalazł coś, co zrobiło na nim piorunujące wrażenie. Pokazał robotnikom tytuły, lecz za wszelką cenę starał się ukryć przed ich wzrokiem sam tekst; okazywał przy tym doprawdy tak wielkie wzburzenie, że trudno usprawiedliwić je antykwarycznym wyłącznie bądź genealogicznym znaczeniem znaleziska. Po powrocie do domu obwieścił wprawdzie, co znalazł, lecz uczynił to niemal z zakłopotaniem, jak gdyby chciał podkreślić najwyższą wagę swego odkrycia, unikając zarazem konieczności dzielenia się nim z rodzicami. Nie pokazał im nawet tytułów,

powiedział tylko, że znalazł dokumenty pisane ręką Curwena, „w większości szyfrem”, i że by pojąć ich właściwy sens, będzie musiał je wnikliwie przestudiować. Można przypuszczać, że nie pokazałby ich nawet robotnikom, gdyby nie to, że bardzo się jego odkryciem zainteresowali; bez wątpienia uczynił to tylko po to, by swą tajemniczością nie prowokować ich do snucia zbędnych domysłów.

Najbliższą noc Charles Ward spędził na lekturze znalezionych rękopisów; nie przerwało jej nawet nadejście świtu. Gdy zajrzała do niego zaniepokojona matka, poprosił tylko, by posiłki przynoszono mu do pokoju; wieczorem pojawił się zaledwie na chwilę, gdy przyjechali robotnicy, którzy mieli zainstalować w jego pokoju obramowanie kominka i portret Curwena. Następną noc przedrzemał w ubraniach, w przerwach od gorączkowych zmagań z zaszyfrowanym rękopisem. Rankiem matka zastała go nad fotostatyczną kopią szyfru Hutchinsona, którą wcześniej często jej pokazywał; w odpowiedzi na jej pytanie stwierdził jednak, że klucz Curwena do niego nie pasuje. Po południu przerwał pracę i jak urzeczony przyglądał się kończącym pracę robotnikom: obraz został umieszczony nad łudząco realistycznym paleniskiem, imitację kominka wraz ze świeżo zainstalowanym obramowaniem wysunięto nieco z północnej ściany, aby wzmocnić wrażenie, że znajduje się za nią prawdziwy komin, i obudowano po bokach boazerią dopasowaną do wystroju pokoju. Przednie panneau z obrazem przepiłowano i zaopatrzono w zawiasy, tworząc w ten sposób kredens. Po wyjściu robotników Ward przeniósł się ze swymi zajęciami do pracowni i zasiadł przed obrazem, lecz nie mógł już skupić się na pracy – jednym okiem wciąż spoglądał na portret, który odwzajemniał jego spojrzenie niby lustro, postarzające i przenoszące patrzącego w dawne wieki.

Rodzice Charlesa, którzy później odtwarzali w pamięci jego zachowanie w owym okresie, zapamiętali interesujący szczegół związany z przejawianą przezeń wówczas skrytością. Na widok służących Charles rzadko ukrywał przeglądane przez siebie papiery, słusznie zakładając, że archaiczne, pełne zakrętasów pismo Curwena będzie dla nich zbyt trudne do odczytania. W obecności rodziców był jednak ostrożniejszy – o ile studiowany akurat rękopis nie był szyfrem lub gmatwaniną sekretnych symboli i nieznanych ideogramów (roiło się od nich na przykład w tekście Do Tego, który Przyjdzie po mnie), zakrywał go pierwszą lepszą kartką papieru i nie odsłaniał, póki gość nie opuścił pokoju. Udając się na spoczynek, wszystkie papiery zamykał na klucz w swym zabytkowym kredensie; umieszczał je tam również, ilekroć opuszczał pracownię. Wkrótce powrócił do dawnego, regularnego trybu życia, z tą wszakże różnicą, że zaprzestał swych długich spacerów i innych zajęć poza domem. W szkole – gdy skończyły się już wakacje i zaczął uczęszczać do ostatniej klasy – niepomiernie się nudził; wielekroć zapewniał zresztą, że nie zamierza zawracać sobie głowy studiami wyższymi. Oznajmił, że czekają go dociekania niepospolitej wagi, które zapewnią mu lepszy dostęp do wiedzy przyrodniczej i humanistycznej aniżeli jakikolwiek uniwersytet.

Rzecz jasna, tylko ktoś, kto zawsze przejawiał ekscentryczne, samotnicze usposobienie i lubił ślęczeć nad książkami, mógł przez dłuższy czas

prowadzić taki tryb życia, nie zwracając na siebie uwagi. Ward był wszakże takim właśnie rozmiłowanym w wiedzy pustelnikiem – toteż skrytość, z jaką prowadził swe studia, jego rodzice przyjęli raczej ze smutkiem niż z zaskoczeniem. Mimo to dziwili się, że syn nie odsłania przed nimi choćby ułamka swego skarbu ani nie zdradza, co zawierają mozolnie odcyfrowywane przezeń rękopisy. Charles usprawiedliwiał się, że osiągnięcie prawdziwie odkrywczych rezultatów wymaga czasu; gdy jednak mijały kolejne tygodnie, a on wciąż nie ujawniał swoich sekretów, w rodzinie zaczęło narastać swoiste napięcie – potęgowane jeszcze nieskrywaną dezaprobatą matki dla wszelkich spraw związanych z osobą Curwena.

W październiku Ward znów zaczął odwiedzać biblioteki, lecz nie szukał już w nich wiedzy antykwarycznej, która niegdyś tak go zajmowała. Czary i magia, okultyzm i demonologia – takie były jego nowe pasje; gdy zaś przestały mu wystarczać księgozbiory w Providence, wsiadał w pociąg do Bostonu, by skorzystać z przebogatych zbiorów wielkiej biblioteki przy Copley Square, Widener Library na Harvardzie lub Zion Research Library w Brookline zawierającej rzadkie dzieła biblistyczne. Wiele książek kupował, do swej pracowni wstawił nawet dodatkowe regały przeznaczone na świeżo zakupione dzieła poświęcone niesamowitym dziedzinom wiedzy; podczas ferii świątecznych odbył też wiele podróży po okolicznych miejscowościach, w tym jedną do Salem – chciał sprawdzić pewne archiwa w Essex Institute.

Mniej więcej w połowie stycznia 1920 roku Ward począł zdradzać oznaki triumfu; ich przyczyny jednak nie wyjawił, najwyraźniej zarzucił też pracę nad szyfrem Hutchinsona. Skoncentrował się teraz na dwojakiej działalności: rozpoczął badania chemiczne – w tym celu urządził sobie laboratorium na nieużywanym dotąd poddaszu swego domu – i wznowił penetrację archiwów, tym razem szukając wszelkich możliwych źródeł zawierających statystyki demograficzne Providence. Indagowani później właściciele drogerii i sklepów z odczynnikami przedstawiali zupełnie niesłychane, na pozór bezsensowne listy zamawianych przezeń specyfików i laboratoryjnych instrumentów; urzędnicy stanowi, pracownicy miejskiego ratusza i rozmaitych bibliotek byli jednak zgodni co do tego, jaki był główny przedmiot jego zainteresowań: Charles z niesłabnącą, gorączkową gorliwością poszukiwał mianowicie grobu Josepha Curwena, z którego przed wielu laty roztropnie wymazano jego nazwisko.

Rodzina Wardów z wolna nabierała przekonania, że dzieje się coś niedobrego. Charles już wcześniej miewał rozmaite dziwactwa i często zmieniał zainteresowania, wszelako jego narastająca skrytość, tudzież pasja, z jaką oddawał się dziwacznym zajęciom, nawet u niego były czymś niespotykanym. Do szkoły chodził już tylko dla zachowania pozorów; nie zdarzyło mu się wprawdzie oblać ani jednego egzaminu, lecz widać było, że stracił wszelkie zainteresowanie nauką szkolną. Teraz zaprzątały mu głowę inne sprawy: jeśli nie przesiadywał akurat w swym nowym laboratorium wśród stosów staroświeckich alchemicznych ksiąg, to z pewnością albo ślęczał gdzieś nad archiwami starych cmentarzy, albo studiował arkana wiedzy tajemnej w swej pracowni, gdzie niepokojąco doń podobny Joseph Curwen – rzec by wręcz można, że coraz podobniejszy – przyglądał mu się

dobrotliwie znad kominka na północnej ścianie.

Pod koniec marca Ward uzupełnił swoje kwerendy w archiwach serią włóczęg po najstarszych miejskich cmentarzach. Ich przyczyna wyszła na jaw później, gdy dzięki informacjom uzyskanym od urzędników miejskiego ratusza udało się ustalić, że Ward prawdopodobnie natrafił na ważną wskazówkę. Oto bowiem zamiast grobu Josepha Curwena nagle zaczął szukać miejsca pochówku osobnika nazwiskiem Naphtali Field; przyczyna tej niespodziewanej zmiany zainteresowań wyjaśniła się, gdy detektywi krok po kroku sprawdzili przejrzane przezeń dokumenty i natrafili na urywkową notkę o pogrzebie Curwena, pominiętą w procesie wielkiego zapominania i głoszącą, że osobliwą ołowianą trumnę złożono do ziemi „10 stóp na południe i 5 stóp na zachód od grobu Naphtalego Fielda na cmentarzu –––––”. Brak nazwy cmentarza w zachowanym wpisie niezmiernie komplikował poszukiwania, grób Fielda wydawał się równie niedosiężny, jak grób Curwena; nazwiska Fielda nie otaczała jednak zmowa milczenia, toteż Ward rozsądnie założył, że jeśli tylko wytrwale poszuka, w końcu odnajdzie jego nagrobek. W tym właśnie celu buszował po miejskich nekropoliach; pominął jedynie cmentarz przy kościele Świętego Jana (dawniej znanym jako King’s Church) oraz prastary cmentarz kongregacyjny, obecnie leżący pośrodku nekropolii Swan Point Cemetery – z innych dokumentów dowiedział się bowiem, że jedyny Naphtali Field, o jakiego mogło chodzić *(obiit 1729)*, był baptystą.

## 4.

Około maja doktor Willett spełnił prośbę Warda seniora i uzbroiwszy się we wszelkie informacje na temat Curwena – uzyskane przez państwa Wardów, zanim jeszcze ich syn jął otaczać swe poczynania tajemnicą – przeprowadził z Charlesem rozmowę. Nie na wiele się ona przydała i nie doprowadziła do konkretnych wniosków – Willetta przez cały czas nie opuszczało wrażenie, że młodzieniec doskonale nad sobą panuje i obcuje ze sprawami ogromnej wagi; udało mu się go jednak nakłonić, by wyjaśnił swoje zachowanie w ostatnim czasie. Ward, z natury powściągliwy i opanowany, rzadko okazywał zakłopotanie, toteż ochoczo przystąpił do wyłuszczana istoty swych dociekań, nie zdradzając wszakże ich przedmiotu. Stwierdził, że w dokumentach jego przodka zawarte są niebywałe sekrety dawnej wiedzy naukowej, w większości zaszyfrowane, o znaczeniu porównywalnym jedynie z odkryciami brata Rogera Bacona, a może znaczniejsze nawet od nich. Aby je pojąć, należy jednak ukazać je w korelacji z korpusem wiedzy dawno już zarzuconej; przedstawienie jej światu wyłącznie w zestawieniu z nauką współczesną odarłoby je z całej niezwykłości i doniosłości. Jeśli owe sekrety mają otrzymać należne im miejsce w historii ludzkiej myśli, pierwej należy określić ich korelację z właściwym im tłem historycznym – i tego zadania właśnie podjął się Ward. Stwierdził, że stara się przyswoić sobie jak najszybciej arkana dawno zapomnianej wiedzy, które znać powinien każdy rzetelny egzegeta

Curwenowych pism, i ma nadzieję, że już wkrótce będzie mógł ogłosić światu rewelacje o wyjątkowym znaczeniu dla nauki i całej ludzkości. Nawet Einstein nie mógłby zrewolucjonizować pojmowania spraw tego świata w sposób równie dogłębny.

Swych cmentarnych poszukiwań Ward nie taił; nie zdradził wprawdzie, czy przyniosły spodziewany sukces, ale przyznał, że istotnie szuka grobu Curwena; dodał też, że ma powody sądzić, iż na okaleczonym nagrobku znajdują się pewne mistyczne symbole – wyryte zgodnie z ostatnią wolą Curwena, a zlekceważone przez tych, którzy ścierali z płyty jego nazwisko – o fundamentalnym znaczeniu dla Curwenowego systemu szyfrów. Ward był przekonany, że Curwen umyślnie utrudnił rozwikłanie swych sekretów i zapisywał je w sposób wyjątkowo osobliwy. Doktor Willett poprosił go o pokazanie tych mistycznych dokumentów, Ward zadośćuczynił jednak jego prośbie z wielką niechęcią, próbując zresztą zbyć doktora fotostatyczną kopią szyfru Hutchinsona oraz wzorami i diagramami Orne'a. W końcu jednak pokazał mu okładki prawdziwych papierów Curwena – *Dziennik oraz Notatki…*, szyfrowany rękopis (z zaszyfrowanym również tytułem) oraz naszpikowany wzorami dokument *Do Tego, który Przyjdzie po mnie…* – i pozwolił mu rzucić okiem na niezrozumiałe symbole.

Otworzył także dziennik – starannie wybrał jakąś nieszkodliwą stronicę i zaprezentował Willetowi próbkę Curwenowej angielszczyzny. Doktor przyjrzał się dokładnie pokrętnym, zawikłanym literom, zauważył też, że zarówno styl, jak charakter pisma noszą wyraźne piętno siedemnastego stulecia – jakkolwiek życie autora przypadło w większości na wiek osiemnasty – i szybko nabrał pewności, że dokument jest autentyczny. Sam tekst był dość trywialny; Willet zdołał przypomnieć sobie jedynie fragment:

> Środa, 16 Octobris 1754. Mój slup Wakeful przybył dziś z Londynu z grupą XX nowych Ludzi zamustrowanych w Indiach, Hiszpanów z Martyniki i 2 Holendrów z Surinamu. Holendrzy pewnie spróbują Czmychnąć, jeśli w związku z mymi Przedsięwzięciami obije im się o uszy Cośkolwiek Niedobrego, aliści postaram się Dopilnować, by Zostali. Dla p. Knighta Dextera spod Chłopca i Księgi: 120 bel prawdziwego Kamlotu wielbłądziego i 100 bel Kamlotów zwyczajnych, 20 bel niebieskiego Multonu, 100 bel Czałunu,
>
> 50 bel Kałamajki, po 300 bel Cwelichu i Perkali. Dla p. Greena spod Słonia: 50 Galonowych Kociołków, 20 Szkandeli, 15 Kociołków do Pieczenia, 15 par Szczypiec do Paleniska. Dla p. Perrigo 1 Komplet Szydeł, dla p. Nightingale'a 50 Ryz przedniego Papieru Kancelaryjnego. Zeszłej Nocy wypowiedziałem po trzykroć SABAOTH, aleć nikt się nie zjawił. Muszę wywiedzieć się więcej od p. H. w Transylwanii, lubo dotrzeć doń Trudno, a najdziwniejszym zdawa mi się, iż tego, co przez setki lat tak świetnie mu służyło, Użyczyć mi się nie kwapi. Simon od V już Tygodni nie Pisał, aleć spodziewam się odeń rychłych wieści.

Dotarłszy do końca ustępu doktor Willett przewrócił kartkę, lecz Ward

niemal wyrwał mu kajet z rąk. Doktor zdążył dostrzec jedynie dwa zdania, wszelako, co ciekawe, dobrze je zapamiętał. Brzmiały one następująco: „Werset z *Liber-Damnatus* pięciokroć w dzień Znalezienia Krzyża i czterokroć w wilię Wszystkich Świętych wymówiszy, tuszę, że w Sferach Zewnętrznych rodzi się już Istota. Ona sprowadzi Tego, kto ma Przyjść, jeślić tylko upewnić się zdołam, że byt jego pewny. On zasię myśl swą ku Przeszłym skieruje rzeczom i spojrzy nazad poprzez wszytkie te lata, a ja przeciw tymże muszę gotowe mieć Sole albo To, z czego się je wytwarza”.

Więcej Willett przeczytać nie zdołał, lecz nie wiedzieć czemu niedługi ów fragment sprawił, że z twarzy Josepha Curwena, wpatrzonego w nich wprzódy dobrotliwie z panneau nad kominkiem, biła teraz jakaś nieuchwytna zgroza. Przez dłuższą chwilę doktor nie mógł pozbyć się wrażenia – choć jako lekarz doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko urojenie – że oczy Curwena jakby próbują śledzić każdy ruch Warda, a być może nawet istotnie to czynią. Przed wyjściem doktor przystanął przed portretem i uważnie mu się przyjrzał; raz jeszcze zadziwił się nad podobieństwem modela do młodego Charlesa, notując w pamięci każdy szczegół tajemniczej, pozbawionej wyrazu twarzy, aż po najdrobniejsze znamiona, takie jak maleńka blizna czy dołek w gładkiej brwi nad prawym okiem. Doprawdy, Cosmo Alexander był godnym synem Szkocji, ojczyzny Roeburna, i godnym nauczycielem znakomitego Gilberta Stuarta.

Uzyskawszy od doktora zapewnienie, że Charles jest najzupełniej zdrów na umyśle i para się badaniami, które mogą przynieść naprawdę ważkie rezultaty, państwo Wardowie nabrali dla syna większej wyrozumiałości; nie zakłóciło jej nawet to, że w czerwcu młodzieniec ogłosił, iż nie zamierza zdawać na uniwersytet. Oświadczył, że zajmuje się dociekaniami znacznie większej wagi, w przyszłym zaś roku chciałby udać się w podróż zagraniczną, aby skorzystać z pewnych niedostępnych w Ameryce źródeł. Ward senior wyśmiał to ostatnie życzenie jako absurdalne w ustach osiemnastoletniego chłopca, nie namawiał go jednak na wyższe studia, tedy ukończywszy z niezbyt olśniewającymi wynikami Moses Brown School, Charles rozpoczął trzyletni okres intensywnych studiów okultystycznych i wędrówek po cmentarzach. Wkrótce stał się znany ze swych dziwactw i jeszcze bardziej odsunął się od przyjaciół rodziny – bez reszty pogrążył się w swych studiach; z rzadka tylko wyjeżdżał z miasta w poszukiwaniu najróżniejszych zapomnianych archiwów. Pewnego razu wyprawił się na południe do pewnego starego, dziwnego Mulata, który mieszkał na bagnach, a w gazecie pisano o nim osobliwe rzeczy. Innym razem wyruszył w góry Adirondack w poszukiwaniu jakiejś małej wioski, w której – jak mówiono – odprawia się dziwne pradawne obrzędy. Rodzice wciąż jednak nie chcieli mu pozwolić na wyprawę do Starego Świata.

Uzyskawszy w 1923 roku pełnoletność, a nieco wcześniej odziedziczywszy niewielki spadek po matecznym dziadku, Ward postanowił wyruszyć jednak w podróż, której mu dotychczas odmawiano. Nie powiedział, dokąd właściwie się wybiera, stwierdził tylko, że jego badania wymagają odwiedzenia wielu miejsc, obiecał jednak, że będzie często pisał. Widząc, że nie sposób odwieść go od tego planu, rodzice cofnęli zakaz i udzielili mu

wszelkiej możliwej pomocy w przygotowaniach do podróży; koniec końców w czerwcu młodzieniec wsiadł więc na pokład statku linii White Star i pożeglował do Liverpoolu, pobłogosławiony przez rodziców, którzy odwieźli go do Bostonu i odprowadzili aż na nabrzeże w Charlestown, a potem machali na pożegnanie, póki jego sylwetka nie znikła im z oczu. Wkrótce zaczęły przychodzić listy; Charles donosił, że dotarł szczęśliwie do Londynu, wynajął niezłe mieszkanie na Great Russell Street i zamierza tam zostać, unikając wszelkich znajomych rodziny, dopóki nie zgłębi wszystkich zasobów British Museum z interesującej go dziedziny. O swym życiu codziennym pisał niewiele, ale też nie bardzo było o czym pisać: cały czas przepędzał na lekturze i doświadczeniach, nadmienił też, że w jednym z pokojów urządził sobie laboratorium. Ani jednym słowem nie wspomniał, że zwiedza Londyn; nawet nie napomknął o tym wspaniałym starym mieście, kuszącym panoramą starodawnych kopuł, wieżyc, gąszczem ulic i zaułków, wciągającym miłośnika zabytków niby mistyczny labirynt, by po chwili zaskoczyć go niespodziewaną perspektywą. Dla rodziców był to dobitny znak, jak mocno jego umysłem zawładnęły nowe zainteresowania.

W czerwcu 1924 roku w krótkim liściku Charles poinformował, że wyjeżdża do Paryża, który odwiedził był już raz czy dwa razy w poszukiwaniu jakichś materiałów dostępnych w Bibliothèque Nationale. Później przez trzy miesiące przysyłał tylko pocztówki; podawał adres zwrotny na Rue St Jacques i donosił, że bada rzadkie rękopisy w jakimś prywatnym księgozbiorze, nie podając wszakże nazwiska jego właściciela. Nie nawiązywał żadnych znajomości, nie widział go też na ulicach miasta żaden turysta. Potem zapadła cisza. W październiku nadeszła pocztówka z Pragi, stolicy Czechosłowacji – Charles pisał, że przyjechał do tego prastarego miasta, aby spotkać się z pewnym wiekowym profesorem, przypuszczalnie ostatnim żyjącym specjalistą w osobliwej dziedzinie badań mediewistycznych. Jako adres zwrotny podał Neustadt i nie pisał aż do stycznia. Następne pocztówki przyszły z Wiednia: Charles informował, że zatrzymał się tam w drodze na wschód, dokąd zaprosił go jeden z jego korespondentów, tak jak on rozmiłowany w okultystycznych studiach.

W następnej pocztówce, przysłanej z Klausenburgu w Transylwanii, Ward obwieszczał, że zbliża się do celu – posiadłości barona Ferenczego, leżącej w górach na wschód od wioski Rakus; szlachcic ów właśnie w Rakus wyznaczył mu spotkanie. Kolejna pocztówka przyszła tydzień później, już z Rakus; Charles pisał, że powóz barona już przybył i za chwilę wyjeżdża w góry. Na częste listy od rodziców nie odpowiadał potem aż do maja, kiedy to matka oznajmiła, że razem z mężem wybierają się wiosną do Europy, i zaproponowała, aby spotkali się w Londynie, Paryżu lub Rzymie. Charles odwiódł ją od tego pomysłu, tłumacząc, że jego badania nie pozwalają mu opuścić obecnego miejsca pobytu, z kolei zamek barona Ferenczego nie nadaje się do przyjmowania gości: stoi na skraju górskiego urwiska pośrodku mrocznej leśnej krainy, tak omijanej z daleka przez okoliczną ludność, że ludzie normalni czują się tam nieswojo. Osoba barona nie przypadłaby zresztą statecznym, konserwatywnym przybyszom z Nowej Anglii do gustu: ma on swoje dziwne przyzwyczajenia, może też być kłopotliwy w obejściu ze

względu na podeszły wiek. Charles przekonywał, że wróci już niebawem, przeto najlepiej będzie, jeśli rodzice zaczekają na niego w Providence.

Wrócił jednak dopiero w maju 1926 roku; obwieściwszy swój przyjazd kilkoma pocztówkami, wsiadł na pokład statku Homeric, bez przeszkód wylądował w Nowym Jorku, a potem długo jechał do Providence autobusem, po czterech bez mała latach nie mogąc się nasycić widokiem prastarej, rodzinnej Nowej Anglii. Chłonął widok rozkwitłego wiosennie Connecticut: zielonych wzgórz, obsypanych pachnącym kwieciem sadów, białych małomiasteczkowych wież. Gdy autobus przekroczył rzekę Pawcatuck i wjechał do Rhode Island, serce załomotało mu w piersi: późnowiosenny krajobraz tonął w baśniowym świetle popołudnia niby w płynnym złocie, widok zaś Providence – gdy autobus mknął już alejami Reservoir i Elmwood – zdał mu się tak cudowny, że jego zachwytów nie zdławiła nawet pamięć o zgłębionych nie tak dawno otchłaniach zakazanej wiedzy. Zjeżdżając w stronę wielkiego placu u zbiegu Broad, Weybosset i Empire Street ujrzał przed sobą swojskie, miłe jego sercu domy i wieże starówki stojące w pożodze zachodzącego słońca; gdy autobus skręcał już na dworzec za hotelem Biltmore, pożerał ciekawym wzrokiem widok wielkiej kopuły gmachu władz stanowych, łagodną, pociętą dachami linię prastarego zielonego wzniesienia po drugiej stronie rzeki i strzelistą kolonialną iglicę Pierwszego Kościoła Baptystów różowiejącą w czarodziejskim świetle wieczoru na tle bujnych wiosenną zielonością wzgórz.

Stare Providence! Właśnie to miasto, zagadkową siłą swych długich, nieprzerwanych dziejów, sprowadziło go na świat, to ono pchnęło go stronę tajemnic i dziwów, o których nie śniło się prorokom. To tu spoczywał sekret, cudowny albo straszliwy, do którego sposobił się w trakcie długich lat wędrówki i nauki. Za oknem taksówki mignął mu plac przed głównym budynkiem poczty z widokiem na rzekę, stara hala targowa, ujście zatoki, potem zaś, gdy auto pięło się stromym łukiem Waterman Street w stronę Prospect Street, od północy łysnęła mu jeszcze w blasku wieczornego słońca potężna kopuła i jońskie kolumny kościoła Nauki Chrześcijańskiej. Potem jeszcze tylko osiem kwartałów pięknych starych rezydencji, które tak sobie upodobał, oglądając je dziecięcymi jeszcze oczyma, i urokliwych ceglanych chodników, jakie przemierzał w nieskończoność młodzieńczymi stopami – po prawej stary biały wiejski domek – po lewej ganek we włoskim stylu – i wreszcie dostojny fronton z wykuszami: wielka ceglana willa, gdzie się urodził. Zapadał zmrok. Charles Dexter Ward wrócił do domu.

## 5.

Alieniści z nieco mniej akademickiej szkoły niż doktor Lyman datują szaleństwo Charlesa właśnie od jego europejskich wojaży. Przyjmując, że wyruszając w podróż, był jeszcze zdrów, w jego zachowaniu po powrocie do domu dopatrują się znamion jakiejś katastrofalnej przemiany. Wszelako doktor Willett odrzuca nawet i tę hipotezę; prawdziwa zmiana – jak twierdzi – nastąpiła później. Doktor przyznaje, że w owym czasie chłopiec

zachowywał się niepokojąco, uważa jednak, że przyczyną tego stanu rzeczy była nabyta za granicą znajomość dziwnych rytuałów – owszem, dostatecznie niesamowitych, lecz z całą pewnością niezdolnych do wypaczenia umysłu kogoś, kto w nich uczestniczył. Istotnie, jakkolwiek Ward wyraźnie postarzał się i zmężniał, w najogólniejszych swych reakcjach wciąż jeszcze był normalny; w trakcie kilku rozmów, jakie odbył z nim doktor Willett, wykazywał równowagę umysłu, jakiej żaden szaleniec, nawet w początkowej fazie swej choroby, nie zdołałby zachować dłużej niż przez chwilę. Źródłem poglądu, jakoby Ward był obłąkany już wówczas, były dźwięki dobiegające nieustannie z jego laboratorium na poddaszu, w którym przez większość czasu przesiadywał – powtarzane w nieskończoność zaśpiewy oraz gromkie, deklamowane w niesamowitych rytmach wersety. Wypowiadał je i wyśpiewywał bez wątpienia sam Charles, lecz w jego głosie oraz w artykulacji recytowanych przezeń formuł było coś, co ścinało krew w żyłach. Państwo Wardowie zauważyli, że stareńki Nig, ukochany przez wszystkich domowy kot, na dźwięk niektórych fraz jeżył sierść i wyginał się w pałąk.

Nie mniej dziwaczne były dobiegające niekiedy z laboratorium zapachy. Bywały wśród nich odrażające fetory, częściej jednak zdarzały się urzekające aromaty z nieuchwytną, hipnotyzującą nutą, która – jak się zdawało – wywoływała fantastyczne wizje. Kto je poczuł, temu w krótkich przebłyskach zwidywały się olbrzymie przestrzenie, dziwne wzgórza bądź niekończące się aleje, wzdłuż których aż po widnokrąg ciągnęły się szeregi sfinksów i hipogryfów. Ward nie wznowił już włóczęg; zaszył się w swych pokojach i pogrążył na dobre w dziwnych księgach, które przywiózł z podróży, tudzież nie mniej dziwnych eksperymentach. Tłumaczył, że źródła, z których miał sposobność skorzystać w Europie, umożliwiły mu jeszcze dogłębniejsze studia niż dotychczas i że w najbliższych latach spodziewa się prawdziwie rewolucyjnych wyników. Przez to, że wyglądał nieco starzej, upodobnił się do Curwena w stopniu iście zdumiewającym; wychodząc z jego biblioteki, doktor Willett często przystawał przed portretem, nie mogąc się nadziwić ich niezwykłemu podobieństwu – zauważył, że maleńki dołek nad prawym okiem Curwena jest właściwie jedynym szczegółem, którym żyjący młodzieniec różni się od nieżyjącego od dziesiątków lat czarownika. Willett odwiedzał Charlesa na prośbę Warda seniora. Doprawdy osobliwe były to wizyty; Ward ani przez chwilę nie zachowywał się odstręczająco, wszelako doktor zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się wejrzeć w najtajniejszą głąb jego psychiki. Często zauważał najosobliwsze rzeczy: na półkach lub na stołach leżały woskowe tabliczki rżnięte w groteskowe wzory, na środku przestronnego pokoju widniały czasem na wpół starte resztki wyrysowanych kredą lub węglem drzewnym kół, trójkątów i pentagramów; do tego każdej nocy w pracowni grzmiało od niesamowitych, rytmicznych inkantacji. Służący zaczęli wreszcie szeptać między sobą, że Charles postradał rozum – i coraz trudniej było ich zmusić do milczenia lub powstrzymać przed odejściem.

W styczniu 1927 wydarzyło się coś wielce osobliwego. Pewnego razu, około północy, gdy Charles odprawiał jakiś rytualny zaśpiew dudniący w całym domu upiornym echem, od zatoki uderzył nagle poryw lodowatego

wichru, a ziemią wstrząsnęło drżenie – leciutkie, acz na tyle wyraźne, że odczuli je wszyscy sąsiedzi. W tejże chwili kot jął zdradzać oznaki niesłychanej trwogi, na milę zaś dokoła rozszczekały się psy. Po tym preludium nadeszła burza, zjawisko niezwykłe o tej porze roku, a jeden piorun zagrzmiał tak potężnie, że państwo Wardowie byli przekonani, iż trafił prosto w ich dom. Popędzili na górę, by zobaczyć, jakie wyrządził szkody, lecz w drzwiach poddasza przywitał ich Charles – blady, pewny siebie i złowieszczy, z zatrważająco wręcz poważnym i zwycięskim wyrazem twarzy. Zapewnił ich, że piorun nie trafił w dom i że burza wkrótce się skończy. Państwo Wardowie zawahali się; lecz wyjrzawszy przez okno, stwierdzili, że się nie myli: błyskało się coraz dalej i dalej, zimny wicher znad zatoki z wolna przycichał, nieruchomiały konary drzew. Grzmoty przez chwilę bełkotały jeszcze w oddali na podobieństwo stłumionego chichotu, aż wreszcie ucichły. Na niebie pojawiły się gwiazdy, a twarz Charlesa Warda zastygła w najosobliwszym grymasie triumfu.

Przez jakieś dwa miesiące po tym zdarzeniu Ward spędzał w swym laboratorium nieco mniej czasu. Wykazywał dziwne zainteresowanie pogodą, zadawał też niepokojące pytania o to, kiedy ziemia zacznie rozmarzać. Pewnego razu, już w marcu, wyszedł z domu po północy i długo nie wracał. Pani Ward, która akurat nie mogła zasnąć, nad ranem usłyszała dochodzący od bramy dla powozów warkot silnika i stłumione przekleństwa; wstała więc, podeszła do okna i ujrzała, jak cztery ciemne postacie pod kierunkiem Charlesa zdejmują z ciężarówki długą, ciężką skrzynię i taszczą ją ku tylnym drzwiom. Później usłyszała na schodach ciężkie kroki i strudzone sapanie, a wreszcie głuchy rumor na poddaszu; potem czterej osobnicy zeszli z powrotem na dół, znów pojawili się przed domem i odjechali swą ciężarówką.

Nazajutrz Charles na powrót zamknął się w laboratorium; zaciągnął szczelnie zasłony w oknach i pracował nad jakąś metaliczną substancją. Nikomu nie otwierał i uparcie odmawiał wszelkich posiłków. Około południa dały się stamtąd słyszeć odgłosy jakiejś szarpaniny, potem straszliwy krzyk i łoskot padającego ciała. Kiedy pani Ward zapukała do drzwi, po chwili usłyszała jednak głos syna – powiedział słabo, że nic złego się nie stało, a nieopisanie wręcz ohydny smród, jaki dobywa się z laboratorium, jest zupełnie nieszkodliwy i niestety nieunikniony; dodał też, że nie może nikogo wpuścić i że wkrótce zejdzie na obiad. Po południu zza zamkniętych drzwi dobiegły jeszcze dziwne syki, a potem pojawił się wreszcie sam Charles; był skrajnie wynędzniały i oświadczył, że nikomu pod żadnym pretekstem nie wolno wchodzić do laboratorium. Od tego momentu jął otaczać swe poczynania jeszcze głębszą tajemnicą; już nigdy nikogo nie wpuszczał do swej samotni – ani do tajemniczej pracowni, ani do sąsiadującego z nią składziku, który wysprzątał, skromnie umeblował i urządził w nim sypialnię. Przeniósł tam nawet książki ze swej biblioteki na piętrze i na dobre już zamieszkał na poddaszu – do czasu, gdy kupił sobie domek w Pawtuxet i tam właśnie przeprowadził się ze swymi naukowymi zajęciami.

Wieczorem Charles przechwycił świeże wydanie gazety, nim zdążył je zobaczyć ktokolwiek z domowników, i na pozór nieumyślnie uszkodził.

Doktor Willett ustalił później na podstawie zeznań poszczególnych domowników datę owego wydarzenia i dotarł do nietkniętego egzemplarza tego wydania w redakcji „Journala”. Na zniszczonej przez Charlesa stronicy znajdowała się krótka notka następującej treści:

NOCNI KOPACZE PRZYŁAPANI NA CMENTARZU NORTH BURIAL GROUND

Robert Hart, nocny stróż na North Burial Ground, zauważył dziś rano w najstarszej części cmentarza kilku mężczyzn i ciężarówkę; prawdopodobnie jednak spłoszył ich, zanim zdołali uczynić to, co zamierzali.

O godzinie czwartej uwagę stróża zwrócił warkot silnika na cmentarzu. Zaalarmowany Hart opuścił swoją stróżówkę i udał się w kierunku, z którego dobiegał hałas. Na głównej alei, w odległości kilku prętów*, zauważył zaparkowaną dużą ciężarówkę; nie zdołał jednak podejść bliżej, gdyż zdradził go odgłos kroków na żwirowej nawierzchni. Intruzi pospiesznie załadowali na ciężarówkę masywną skrzynię i zdążyli odjechać. Ponieważ żaden grób nie został rozkopany, Hart podejrzewa, że mieli zamiar ukryć swój ładunek na cmentarzu.

Kopacze musieli spędzić pośród grobów dość długi czas, nim zostali nakryci, Hart odkrył bowiem, że w pewnej odległości od alei, w kwaterze mężczyzny nazwiskiem Amasa Field, z której już dawno zniknęła większość starych płyt, wykopany został potężny dół. Był wielkości grobu i zupełnie pusty, znajdował się zaś w miejscu, w którym cmentarny rejestr nie odnotowuje żadnego pochówku.

Sierżant Riley z drugiego posterunku policji był już na miejscu i wyraził opinię, że sprawcami zdarzenia byli przemytnicy alkoholu, dół zaś miał być pomysłową, acz makabryczną przechowalnią nielegalnego towaru. W odpowiedzi na pytania Hart zeznał, że uciekająca ciężarówka skierowała się najprawdopodobniej w stronę Rochambeau Avenue, nie ma jednak w tej materii całkowitej pewności.

W ciągu najbliższych kilku dni państwo Wardowie rzadko widywali syna. Uzupełniwszy swe królestwo na poddaszu o sypialnię, Charles prawie już stamtąd nie wychodził; jedzenie kazał sobie przynosić pod drzwi, a zabierał je dopiero wówczas, gdy służący zszedł z powrotem na dół. Co pewien czas dobiegały stamtąd mruczane monotonnym głosem formuły i śpiewane w dziwacznych rytmach inkantacje, czasem też szczęk szkła, syk chemicznych odczynników, chlupot przelewanej wody bądź huk gazowego palnika. Niekiedy czuć było najbardziej niepojęte wonie, zgoła niepodobne do tych, które zdarzały się wcześniej; ilekroć zaś młody odludek wypuścił się gdzieś poza dom, był tak rozgorączkowany, że wyglądem swym prowokował do najwymyślniejszych plotek. Raz wyprawił się w pośpiechu po zamówioną książkę do księgarni Athenaeum, innym razem najął posłańca, który przywiózł mu wyjątkowo rzadką księgę z Bostonu. W całym domu panowała atmosfera złowieszczego napięcia; zarówno rodzina, jak i doktor Willett

przyznawali, że nie mają najmniejszego pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

## 6.

Piętnastego kwietnia wydarzyła się kolejna dziwna rzecz. Jakkolwiek na zamkniętym poddaszu nie zaszło nic prócz tego, co działo się już przedtem, tym razem jednak wszystko wydarzyło się w stopniu straszliwie spotężniałym; doktor Willett z jakichś powodów przypisuje temu zdarzeniu wielką wagę. Działo się to w Wielki Piątek, co dla służących było okolicznością nader znaczącą, dla reszty domowników wszakże stanowiło przypadkowy zbieg okoliczności. Późnym popołudniem młody Ward zaczął powtarzać pewną formułę, czynił to zaś osobliwie głośno, paląc jednocześnie substancję tak cuchnącą, że jej opar wypełnił calutki dom. Słowa brzmiały tak wyraźnie, że pani Ward, która akurat umierała z niepokoju pod zamkniętymi drzwiami, chcąc nie chcąc zapamiętała ją i spisała później na prośbę doktora Willetta. Znawcy tematu powiedzieli doktorowi, że bardzo zbliżoną formułę można znaleźć w mistycznych pismach Eliphasa Leviego, tajemniczej persony, której udało się przecisnąć przez szczelinę w zakazanych wrotach i wejrzeć w straszliwy bezmiar ziejącej po drugiej stronie próżni:

Per Adonai Eloim, Adonai Jehova,
Adonai Sabaoth, Metraton On Agla Mathon,
verbum pythonicum, mysterium salamandrae,
conventus sylvorum, antra gnomorum,
daemonia Coeli Gad, Almousin, Gibor, Jehosua,
Evam, Zariatnatmik, veni, veni, veni.

Zaśpiew ten powtarzał się przez dwie godziny bez żadnej zmiany ani przerwy, aż wreszcie w całej okolicy rozpętało się pandemonium psich skowytów. O tym, jak donośne było to wycie, świadczy to, że nazajutrz pisano o nim w gazetach – dla mieszkańców domu Wardów jeszcze przeraźliwsza była jednak woń, która pojawiła się chwilę później: wstrętny, przenikliwy smród, niepodobny do żadnej innej woni, jaką kiedykolwiek zdarzyło im się poczuć. W chwili gdy żrący fetor rozlewał się po całym domu, za oknami przeraźliwie coś błysnęło, jakby piorun, który byłby wspaniały i oślepiający, gdyby nie działo się to w biały dzień. Potem rozległ się głos, jakiego nikt z domowników już nigdy nie zapomni – daleki jak grzmot, niewiarygodnie głęboki i upiornie niepodobny do głosu Charlesa, a przy tym tak donośny, że cały dom aż zatrząsł się w posadach, a słyszano go także – mimo nieustającego wycia psów – w dwu sąsiednich posiadłościach. Pani Ward, nasłuchująca z rozpaczą pod zamkniętymi drzwiami laboratorium swego syna, aż zadrżała, rozpoznała w nim bowiem treść piekielną – Charles wspomniał był jej kiedyś, jak mroczną sławą cieszy się ów okrzyk w zakazanych księgach, i o tym, jak wedle listów Luke’a Fennera grzmiał on nad przeklętą farmą Pawtuxet w noc śmierci Curwena. Nie miała wątpliwości, że słyszy właśnie ową koszmarną frazę, Charles opisywał ją

bowiem aż nazbyt sugestywnie, gdy jeszcze skłonny był mówić otwarcie o swych dociekaniach związanych z osobą Curwena. A przecież nie było to nic więcej, jak tylko fragment archaicznego, zapomnianego języka: „*DIES MIES JESCHET BOENE DOESEF DOUVEMA ENITEMAUS*”.

Nie ścichł jeszcze do końca gromki ów głos, gdy zgasło na chwilę światło dnia – jakkolwiek słońce miało zajść dopiero za godzinę – a potem buchnął kłąb kolejnego smrodu, innego niż poprzedni, lecz równie nieznanego i nie mniej nieznośnego. Charles znów zawodził – matkę dosłuchała się sylab brzmiących mniej więcej jak „*Yi-nash-Yog-Sothoth-he-lgeb-fi-throdog*”, zwieńczonych ogłuszającym, rozwścieklonym crescendem: „*Yah!*”. Nie minęła sekunda, a echo tych słów zagłuszył szaleńczy wybuch żałośliwego wrzasku, który po chwili obrócił się w paroksyzm diabolicznego, histerycznego śmiechu. Pani Ward w przystępie trwogi pomieszanej ze ślepą matczyną odwagą przypadła do drzwi i jęła w nie kopać, lecz bez jakiegokolwiek skutku; kopała dalej, lecz po chwili zamarła bez ruchu, oto bowiem rozległ się wrzask wtóry – i tym razem poznała, że słyszy głos syna, lecz równocześnie z ponawianymi wciąż wybuchami obcego rechotu. Pani Ward osunęła się bez zmysłów na ziemię, jakkolwiek do dziś nie potrafi sobie uświadomić bezpośredniej przyczyny omdlenia. Pamięć niekiedy bywa litościwa.

Pan Ward wrócił do domu mniej więcej kwadrans po szóstej. Na dole nie zastał żony, lecz jedynie przerażonych służących; dowiedziawszy się, że pani Ward prawdopodobnie nasłuchuje pod drzwiami Charlesa, zza których dobiegają dźwięki dziwniejsze niż wszystko, co do tej pory w tym domu słyszano, nie zwlekając, ruszył na górę. Pani Ward leżała jak długa na korytarzu przy drzwiach laboratorium, najwyraźniej zemdlona. Pan Ward pospieszył do sąsiadującej z poddaszem alkowy, zaczerpnął szklankę wody i chlusnął nieprzytomnej w twarz. Zimny płyn od razu ją otrzeźwił; pan Ward z ulgą obserwował, jak żona otwiera zamglone oczy, rychło jednak i on sam zadrżał z takiej trwogi, że omal nie znalazł się w stanie, z jakiego właśnie wybudzała się pani Ward. Albowiem ciche na pozór laboratorium w istocie ciche bynajmniej nie było – dobiegał stamtąd pomruk przyciszonej, nerwowej rozmowy, zbyt przytłumionej, by dało się zrozumieć choć słowo, lecz o prawdziwie wstrząsającym brzmieniu.

W tym, że Charles mamrotał swe formuły, nie było, rzecz jasna, nic nowego, wszelako tym razem zza drzwi dobiegał pomruk inny. Był to ponad wszelką wątpliwość dialog bądź imitacja dialogu, z regularnymi zmianami intonacji, wskazującymi jednoznacznie, że ktoś tam pyta i odpowiada, stwierdza coś i replikuje. Jeden głos bez wątpienia należał do Charlesa, w drugim wszakże dudniła otchłanna, głucha głębia, której młody Ward nie osiągnął dotąd nawet u szczytu swych naśladowczych możliwości. Było w nim coś ohydnego, bluźnierczego, zwyrodniałego – i gdyby nie szloch wracającej do zmysłów żony, który w każdym mężczyźnie zbudziłby obronne instynkty, Theodore Howland Ward najpewniej nie mógłby jeszcze przez niemal rok przechwalać się, że nigdy w życiu nie zemdlał. Przemógł się zatem, porwał małżonkę w ramiona i z najwyższą chyżością zniósł na dół, nim zdążyła usłyszeć głosy, które tak straszliwie nim wstrząsnęły. A przecież

uczynił to i tak nie dość szybko – zdążył bowiem posłyszeć coś, co omal nie zwaliło go z nóg razem z troskliwie niesioną żoną. Okazało się, że nie tylko on słyszał, jak pani Ward rozszlochała się po przebudzeniu; uzmysłowiły mu to pierwsze w tej straszliwej, ściszonej rozmowie zrozumiałe wyrazy. Wypowiedział je wprawdzie Charles, tonem podnieconym i ostrzegawczym, lecz ich sens z jakichś powodów napełnił pana Warda niewysłowioną grozą. A były to zaledwie dwa krótkie słowa: „Sza! – pisz!”.

Przy kolacji państwo Wardowie długo naradzali się, co robić; pan Ward postanowił wreszcie, że jeszcze tego wieczoru przeprowadzi z Charlesem poważną, stanowczą rozmowę. Bez względu na to, jak doniosłe są jego naukowe dociekania, towarzyszące im zachowanie jest niedopuszczalne; ostatnie poczynania Charlesa przekraczają wszelkie granice rozsądku, stanowią zagrożenie dla porządku i psychicznego dobrostanu wszystkich domowników. Młodzieniec chyba naprawdę do reszty postradał zmysły – wszak tylko szaleniec mógł wydawać z siebie tak obłędne wrzaski i prowadzić udawanymi głosami urojone rozmowy. Dłużej tak być nie może – inaczej pani Ward ciężko się rozchoruje i nie sposób będzie zgodzić jakichkolwiek służących.

Po kolacji pan Ward wstał od stołu i ruszył w stronę laboratorium Charlesa. Na drugim piętrze zawahał się jednak, usłyszał bowiem hałas dobiegający z porzuconej już przez syna biblioteki: ktoś przerzucał książki, wściekle szeleścił papierami. Pan Ward zajrzał do środka i zobaczył syna. Charles, do cna wycieńczony i wynędzniały, lecz niezwykle podniecony, upychał sobie właśnie pod pachą stos najprzeróżniejszych materiałów. Słysząc głos ojca, wzdrygnął się i upuścił wszystko na podłogę; potem usiadł posłusznie i przez dłuższą chwilę słuchał napomnień, na które już dawno sobie zasłużył. Nie doszło do żadnej sprzeczki. Gdy ojciec skończył swój wykład, Charles przyznał, że łoskoty, pomruki, zaśpiewy i fetor chemikaliów, jakie dochodziły zza drzwi jego pracowni, istotnie musiały być nieznośne, obiecał, że od tej pory będzie się zachowywał ciszej, acz zaznaczył, że wolałby nadal utrzymywać swe poczynania w ścisłej tajemnicy. Zapewnił, że od tej pory będzie głównie ślęczał nad książkami, jeśli zaś w przyszłości okażą się jeszcze potrzebne jakieś rytualne zawodzenia, znajdzie sobie osobne lokum. Wyraził najgłębszą skruchę, że doprowadził matkę do takiego przerażenia, tłumaczył też, że rozmowa, którą słychać było przez drzwi laboratorium, miała charakter symboliczny, była wyrafinowanym środkiem służącym do wytworzenia specyficznej umysłowej atmosfery. Wyjaśnienia jego były tak naszpikowane zawiłą techniczną terminologią, że pod koniec rozmowy pan Ward był już cokolwiek oszołomiony, rozstając się z synem miał jednak wrażenie, że jest on zupełnie opanowany i zdrów na umyśle – jakkolwiek wyczuwał w jego zachowaniu niesłychane napięcie. Rozmowa nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć; Charles pozbierał swój stosik i opuścił bibliotekę, pan Ward zaś, zbity z tropu, nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Nie mniej tajemnicza była śmierć starego, kochanego Niga – godzinę wcześniej w piwnicy ktoś znalazł jego sztywne truchełko z wytrzeszczonymi ślepiami i pyszczkiem wykrzywionym trwogą.

Wiedziony nieokreślonym instynktem detektywa oszołomiony ojciec

przyjrzał się pustym półkom, by sprawdzić, co też jego syn zabrał ze sobą na strych. Charles utrzymywał swój księgozbiór w przejrzystym i rygorystycznym porządku, toteż już na pierwszy rzut oka widać było, jakich tytułów brakuje – lub przynajmniej z jakiej dziedziny. Jakież było zdumienie pana Warda, gdy odkrył, że tym razem nie brakuje ani jednej pozycji okultystycznej ani antykwarycznej – prócz tych, które wywędrowały na poddasze już wcześniej. Tym razem zniknęły materiały o tematyce współczesnej: książki geograficzne i historyczne, traktaty naukowe, podręczniki literatury, dzieła filozoficzne oraz pewna liczba współczesnych gazet i czasopism. Ta nagła zmiana zainteresowań Charlesa była tak osobliwa, że pan Ward aż zamarł skonsternowany do najdalszych granic. Czuł, jak narasta w nim przemożne uczucie dziwności – tak dojmujące, że gdy rozglądał się po pokoju, czuł się tak, jakby zatapiały mu się w pierś ostre kły. Zaiste, z całą pewnością coś było nie tak, zarówno w wymiarze materialnym, jak duchowym; czuł to od chwili, gdy przekroczył próg... aż wreszcie go olśniło.

Na północnej ścianie wciąż pysznił się rzeźbiony gzyms kominka z domu przy Olney Court, lecz pieczołowicie odrestaurowany, potężny, olejny portret Curwena przestał istnieć. Czas i wahania temperatury dopełniały dzieła zniszczenia z rozmyślnie wręcz złośliwą szybkością: farba złuszczyła się, zbiegła, a wreszcie odkleiła się od desek i drobniutkimi płatkami opadła na podłogę. Najgorsze nastąpiło po ostatnim sprzątaniu pokoju. Joseph Curwen przestał wreszcie śledzić uporczywym wzrokiem swego potomka, który go tak osobliwie przypominał; jego podobizna leżała rozsypana na podłodze pod postacią warstewki miałkiego sinawoszarego pyłu.

## IV. Przemiana i szaleństwo

### 1.

Po pamiętnym Wielkim Piątku przez tydzień Charlesa widywano częściej niż zwykle. Nieustannie kursował z książkami między swą biblioteką a laboratorium na poddaszu. Zachowywał się spokojnie i racjonalnie, lecz jego ruchy, ukradkowe i lękliwe, nie przypadły do gustu pani Ward; sądząc po wymaganiach, jakie zgłaszał wobec kucharza, dopisywał mu też potężny, nienasycony apetyt. Doktor Willett, który dowiedział się od Wardów o piątkowych zajściach, we wtorek zasiadł z młodzieńcem w bibliotece, nieśledzony już przez portret Curwena, i przeprowadził z nim długą rozmowę. Jak wszystkie poprzednie nie przyniosła ona żadnych rozstrzygnięć, doktor zaklinał się jednak później, że Charles był przytomny i zdrów na umyśle. Wciąż utrzymywał, że już wkrótce dokona wielkich odkryć, nadmieniał też, że musi dokądś przenieść swe laboratorium. Utrata portretu obeszła go osobliwie mało, zważywszy na to, jak bardzo się entuzjazmował jego znalezieniem; można było wręcz odnieść wrażenie, że jego nagły koniec

nieco go rozbawił.

Jakiś tydzień później Charles począł znikać na dość długi czas z domu; stara, dobra Hannah, która pewnego dnia przyszła pomóc przy wiosennych porządkach, wspomniała, że chłopiec często odwiedza stary dom przy Olney Court – przynosi wielgachną walizę, schodzi do piwnicy i prowadzi tam jakieś osobliwe poszukiwania. Swoje najścia zawsze hojnie wynagradza, ale Hannah i Asa zauważyli, że wydaje się bardziej strapiony niż kiedyś; Hannah niezmiernie to martwiło, bo znała go od kołyski. Następne doniesienia o jego poczynaniach Wardowie otrzymali od przyjaciół z Pawtuxet – Charles ponoć kręcił się tam z zaskakującą częstotliwością; myszkował, jak im się wydawało, w okolicach przystani i wypożyczalni łódek Rhodes-on-the-Pawtuxet. Doktor Willett kilka razy przeprowadził dochodzenie na miejscu i dowiedział się, że Charles uparcie starał się przedrzeć na porośnięty gąszczem krzaków brzeg rzeki: wyruszał wzdłuż linii zarośli w kierunku północnym i zwykle dość długo nie wracał.

Pod koniec maja na chwilę odżyły rytualne zaśpiewy w laboratorium na poddaszu; pan Ward udzielił za to Charlesowi srogiej reprymendy, ten zaś z pewnym roztargnieniem obiecał poprawę. Zdarzyło się to rankiem. Młodzieniec jakby wznowił swą urojoną rozmowę z burzliwego Wielkiego Piątku – najwyraźniej toczył ze sobą żarliwy spór, bo nagle za jego drzwiami rozległ się duet gniewnych krzyków, zupełnie do siebie niepodobnych, jak gdyby dwie osoby rzucały sobie w twarz jakieś sprzeczne żądania. Pani Ward pobiegła na górę i jęła nasłuchiwać. Zdążyła jednak usłyszeć ledwie krótki fragment, jedyne zaś wyraźne słowa brzmiały: „musi pozostać czerwone przez trzy miesiące”; gdy zapukała do drzwi, zapadła głucha cisza. Charles wyjaśniał później ojcu, że istnieją pewne konflikty między różnymi obszarami świadomości; aby ich uniknąć, ma niestety za mało wprawy, postara się jednak przenieść je w inne sfery.

Następna dziwna rzecz wydarzyła się mniej więcej w połowie czerwca, w środku nocy. Wczesnym wieczorem w laboratorium dał się słyszeć jakiś łoskot i seria głuchych ciosów; pani Ward nadstawiła uszu, ale nagle zapadła cisza. O północy, gdy państwo Wardowie już spali, kamerdyner zamykał na noc główne drzwi, nagle jednak – jak twierdził nazajutrz – ujrzał schodzącego z góry Charlesa; młodzieniec trochę jakby chwiał się na nogach, dzierżył wielką walizkę i pokazywał na migi, że chce wyjść. Nie odezwał się ani słowem, lecz w jego rozgorączkowanym spojrzeniu było coś, co sprawiło, że kamerdyner z niewiadomych przyczyn zadrżał. Otworzył drzwi i wypuścił Charlesa, lecz z samego rana złożył na ręce pani Ward rezygnację. Oświadczył, że spojrzenie, jakim obrzucił go Charles, miało w sobie coś bezbożnego; nie godzi się, by młody dżentelmen spoglądał w taki sposób na uczciwego człowieka, toteż on, zacny Anglik z Yorkshire, nie wyobraża sobie, by mógł spędzić z nim pod jednym dachem choćby jeszcze jedną noc. Pani Ward przyjęła rezygnację kamerdynera, nie dawała jednak jego świadectwu wiary. Przypuszczenie, jakoby mógł on w środku nocy mieć nieprzyjemne spotkanie z Charlesem, uważała za absurdalne, przez długie bezsenne godziny słyszała bowiem ciche dźwięki dochodzące z laboratorium – i były to raczej niespokojne kroki, szloch i westchnienia świadczące o najgłębszej,

najokropniejszej rozpaczy. Pani Ward przywykła już do nocnych nasłuchiwań – tajemnica poczynań Charlesa bez reszty zawładnęła jej myślami.

Następnego wieczoru, podobnie jak trzy miesiące wcześniej, Charles Ward przechwycił świeżą gazetę i przypadkowo podarł pierwszą stronę. Wardowie przypomnieli sobie o tym dopiero później, gdy doktor Willett zaczął kojarzyć fakty i szukał powiązań między pozornie nieznaczącymi wydarzeniami. W redakcji „Journala” znalazł okaleczone przez Charlesa wydanie i zaznaczył dwa artykuły, które w jego mniemaniu mogły mieć pewne znaczenie. Brzmiały one następująco:

ZNÓW KTOŚ BUSZOWAŁ NA CMENTARZU

Hieny cmentarne po raz kolejny zaatakowały najstarszą część North Burial Ground. Nocny stróż Robert Hart odkrył dziś rano, że ktoś rozkopał i splądrował grób Ezry Weedena, żyjącego w latach 1740–1824. Używając najprawdopodobniej szpadla skradzionego z pobliskiej szopy, nieznani sprawcy wyrwali także i brutalnie rozłupali płytę nagrobną. Cokolwiek mogło znajdować się w ponadstuletnim grobie, zniknęło – pozostało tylko kilka drzazg zbutwiałego drewna. W najbliższej okolicy nie znaleziono śladów samochodu, policja odkryła jedynie odciski stóp jednej osoby; sądząc po rodzaju butów, był to raczej dżentelmen. Hart skłonny jest wiązać to zdarzenie z tajemniczym zajściem z marca tego roku, kiedy to grupa mężczyzn z ciężarówki została spłoszona po wykopaniu głębokiego dołu. Sierżant Riley z drugiego posterunku policji nie podziela jednak tego poglądu i podkreśla, że oba zdarzenia różnią się nader istotnymi szczegółami. W marcu rozkopano miejsce, w którym nie ma żadnego pochówku, tym razem zaś doskonale oznaczony i zadbany grób; sposób, w jaki to uczyniono, wskazuje na rozmyślne działanie, zniszczenie zaś nietkniętego dotychczas nagrobka sugeruje, że sprawca kierował się wyrachowaną złośliwością. Powiadomieni o zajściu członkowie rodziny Weedenów wyrazili najgłębsze zdumienie i żal; twierdzą, że z całą pewnością nie mają wrogów, którzy byliby zdolni do zbezczeszczenia grobu ich przodka. Hazard Weeden, zamieszkały przy Angell Street 598, wspomniał wprawdzie o rodzinnej legendzie, jakoby Ezra Weeden jeszcze przed wybuchem rewolucji zamieszany był w wyjątkowo osobliwe zdarzenia, nieprzynoszące mu zresztą ujmy; nie przypomina sobie jednak, by w nowszych czasach jego rodzina uwikłana była w jakiekolwiek tajemnice czy waśnie. Prowadzący dochodzenie inspektor Cunningham ma nadzieję, że już w najbliższej przyszłości uda mu się odkryć wiarygodne poszlaki prowadzące do sprawcy.

NIESPOKOJNE PSY W PAWTUXET

Około godziny trzeciej w nocy mieszkańców Pawtuxet zbudziło niespotykanie zażarte ujadanie psów. Szczekanie koncentrowało się najprawdopodobniej nad rzeką, nieco na północ od Rhodes-on-the

Pawtuxet; większość świadków przyznaje, że było ono wyjątkowo głośne i dziwaczne. Stróżujący w przystani Fred Lemdin twierdzi także, że towarzyszyły mu jakby wrzaski śmiertelnie przerażonego i udręczonego człowieka. Na koniec rozpętała się chwilowa burza; jak się wydaje, pioruny biły w okolicach brzegu rzeki. Okoliczni mieszkańcy są przekonani, że z zajściami wiążą się też dziwne i nieprzyjemne wonie, jakie tej nocy można było poczuć nad rzeką, przypuszczalnie pochodzące ze zbiorników z olejem w zatoce; być może to właśnie one zaniepokoiły psy.

Charles wyglądał w tym czasie jak wynędzniałe, zaszczute zwierzę; z perspektywy czasu wszyscy zgodnie twierdzą, że zachowywał się tak, jakby pragnął podzielić się z kimś jakimś wyznaniem, lecz powstrzymywała go przed tym najczystsza zgroza. Chorobliwie wyczulona na nocne hałasy pani Ward przyznała, że syn często wymykał się z domu pod osłoną nocy, większość zaś akademickich alienistów zgodnym chórem uważa go za sprawcę bulwersujących, do dziś niewyjaśnionych aktów wampiryzmu, o których krzyczały wówczas nagłówki gazet. Wypadki te, zbyt świeże i głośne, by trzeba było je dokładnie relacjonować, skupiły się w dwóch różnych miejscach: w dzielnicy willowej na wzgórzu i w North End, czyli w pobliżu rezydencji Wardów, oraz w dzielnicach podmiejskich graniczących z Pawtuxet. Atakowane były osoby w każdym wieku, każdej płci i rasy, zarówno wracające nocą do domu, jak śpiące przy otwartych oknach. Ci, którzy przeżyli, zeznawali jednomyślnie, że padli ofiarą chudej, gibkiej i skocznej istoty o płonących ślepiach – potwór zatapiał im kły w szyi bądź w ramieniu i żarłocznie chłeptał krew.

Doktor Willett, który uważa, że nawet wówczas Charles Ward nie był jeszcze szalony, traktuje wyjaśnienia tych przeraźliwych zajść z pewną ostrożnością. Twierdzi, że ma na ten temat własne teorie, nie wypowiedział jednak żadnych sądów pozytywnych, pokusił się jedynie o osobliwą negację:

– Nie powiem – stwierdził – kto moim zdaniem odpowiada za te zbrodnicze ataki, twierdzę jednak, że nie jest to Charles Ward. Mam poważne podstawy, by sądzić, że nie zaznał smaku krwi – pogłębiająca się wówczas bladość i anemiczna słabość jego ciała dowodzą tego lepiej niż jakiekolwiek argumenty. Ward zajmował się straszliwymi rzeczami, ale poniósł za to karę; nigdy nie był potworem ani mordercą. Co go spotkało? Nie mnie sądzić. Nastąpiła pewna zmiana – i chciałbym wierzyć, że dawny Charles Ward umarł. Tak czy owak jego dusza umarła na pewno: w tym obłąkanym ciele, które zniknęło ze szpitala Waite'a, mieszkał już ktoś inny.

Willett wie, co mówi, ponieważ w owym czasie często odwiedzał dom Wardów; doglądał matki Charlesa, której nerwy były napięte do ostatecznych granic. Pani Ward z pewnym wahaniem zwierzała mu się z halucynacji, jakich nabawiła się od conocnych nasłuchiwań; doktor w trakcie wizyt je bagatelizował, ale na osobności głęboko się nad nimi zastanawiał. Niezmiennym składnikiem tych urojeń były cichutkie dźwięki dochodzące z laboratorium i sypialni na poddaszu, zwłaszcza powtarzające się o najnieprawdopodobniejszych porach zdławione westchnienia i łkania. Na

początku czerwca Willett wyprawił panią Ward dla poratowania zdrowia na nieokreślony czas do Atlantic City, nakazując mężowi i wycieńczonemu Charlesowi, by pisali do niej wyłącznie pogodne listy. Być może właśnie tej niechętnej, wymuszonej ucieczce z domu pani Ward zawdzięcza życie i zachowanie zdrowych zmysłów.

## 2.

Niedługo po wyjeździe matki Charles Ward rozpoczął negocjacje w sprawie wynajmu domu w Pawtuxet. Była to wielka drewniana rudera z betonowym garażem, przycupnięta wysoko na słabo zaludnionym brzegu rzeki tuż nad przystanią Rhodesa; z jakichś dziwnych powodów Charlesowi zależało jednak właśnie na niej. Dopóty naprzykrzał się agencjom nieruchomości, dopóki jedna z nich nie zdołała przekonać cokolwiek niechętnego właściciela, by zgodził się ją wynająć; bez szemrania zapłacił wygórowaną cenę i wprowadził się, gdy tylko chata była wolna. Pod osłoną ciemności przewiózł zamkniętą furgonetką całą zawartość swego laboratorium, nie wyłączając książek – zarówno o tematyce okultystycznej, jak współczesnej – zabranych z biblioteki na piętrze. Załadunek odbył się w najczarniejszych godzinach nocy; ojciec wspomina, że przez sen docierały doń jedynie stłumione przekleństwa i tupot nóg najętych pomocników. Po przeprowadzce Charles wprowadził się na nowo do swych pokojów na drugim piętrze i nigdy już nie pojawiał się na poddaszu.

W chacie w Pawtuxet Charles trzymał swe działania w nie mniejszym sekrecie niż w swym królestwie na strychu, tyle że sekret ów dzielił teraz z dwoma wspólnikami: portugalskim mieszańcem o wyglądzie złoczyńcy, pochodzącym z nabrzeża przy South Main Street i pełniącym funkcję służącego, oraz chudym nieznajomym w ciemnych okularach, z krótko przyciętą i najpewniej farbowaną brodą – najwyraźniej towarzyszącym mu w zajęciach badawczych. Sąsiedzi na próżno starali się nawiązać z tymi dziwakami kontakt. Mulat Gomes słabo mówił po angielsku, brodacz zaś, przedstawiający się jako doktor Allen, brał z niego przykład i również gorliwie milczał. Charles starał się być uprzejmiejszy, naplótł sąsiadom, że prowadzi jakieś chemiczne doświadczenia, lecz spotęgował tylko w ten sposób ich ciekawość. Niebawem cała okolica zaczęła szemrać o rozświetlonych aż do świtu oknach w domu Warda, a nieco później, gdy to nocne palenie światła raptownie się skończyło, poczęły krążyć opowieści jeszcze dziwaczniejsze: ponoć Ward zamawiał u rzeźnika nieproporcjonalnie wielkie ilości mięsa, a w jego chacie słychać było zdławione krzyki, recytacje, rytmiczne zaśpiewy oraz wrzaski dobiegające jakby z przepastnych piwnic. Miejscowi niedwuznacznie dawali do zrozumienia swym nowym, dziwnym sąsiadom, że nie są tu mile widziani; nie należy też się dziwić, że zaczęli snuć ponure domysły na temat ich związku z szalejącą właśnie epidemią wampirycznych ataków i morderstw – tym bardziej że zasięg owej plagi nie wykraczał poza obręb Pawtuxet oraz najbliższych ulic sąsiedniego Edgewood.

Większość czasu Ward spędzał w Pawtuxet, zdarzało mu się jednak nocować w domu, tedy wciąż uznawano, że mieszka pod ojcowskim dachem. Dwakroć wypuścił się z miasta na tygodniowe podróże, po dziś dzień nie ustalono jednak, jaki był ich cel. Nie przestawał blednąć i chudnąć; doktora Willetta wciąż zapewniał o doniosłości swych badań i czekających go niebawem odkryciach, wszelako czynił to z coraz mniejszym przekonaniem. Willett często czekał na niego w domu; pan Ward bowiem głęboko martwił się i zdumiewał postępowaniem syna, toteż zależało mu na tym, by otoczyć go jak najściślejszym nadzorem – tak ścisłym, jak to tylko było możliwe w przypadku pełnoletniego młodzieńca o niezależnym i skrytym usposobieniu. Doktor wciąż utrzymuje, że Charles nawet jeszcze wówczas nie był obłąkany; na potwierdzenie tego sądu przytacza wiele przeprowadzonych z nim podówczas rozmów.

Około września wampiryczne napaści ustały, wszelako w styczniu Ward omal nie wpadł w poważne tarapaty. Od pewnego czasu w całej okolicy głośno było o kursujących nocą między jego domkiem a jakimiś nieznanymi miejscami ciężarówkach, nic więc dziwnego, że w końcu zawartość jednej z nich została niespodziewanie ujawniona. W pewnym odludnym zakątku nieopodal Hope Valley jedna z ciężarówek padła mianowicie ofiarą rabusiów grasujących po drogach w poszukiwaniu nielegalnie przewożonego alkoholu. Tym razem ów plugawy postępek zaowocował odkryciem nierównie bardziej wstrząsającym. Po otwarciu skradzionych z ciężarówki długich skrzyń okazało się, że mieszczą się w nich rzeczy przeraźliwe i makabryczne; tak makabryczne, że wieść o nich nie zdołała się utrzymać w granicach półświatka. Złodzieje czym prędzej zakopali swe znalezisko, lecz policja stanowa rychło zwiedziała się o sprawie i przeprowadziła staranne śledztwo. Jeden z aresztowanych właśnie opryszków w zamian za gwarancję anulowania wszelkich dodatkowych zarzutów zgodził się na współpracę i zaprowadził oddział policji na miejsce, w którym pospiesznie zakopano ów straszliwy ładunek – i w rzeczy samej okazał się on haniebny i odrażający. Przejęci policjanci natychmiast uznali, że dla narodowego – a nawet międzynarodowego – poczucia przyzwoitości lepiej będzie nie ujawniać publicznie, co zawierał; przystali na to nawet ci, których trudno byłoby posądzać o służbistość. Z komisariatu błyskawicznie popłynęły gorączkowe depesze do Waszyngtonu.

Skrzynie były zaadresowane do Charlesa Warda, toteż stanowi i federalni funkcjonariusze natychmiast złożyli mu w Pawtuxet poważną, służbową wizytę. Na miejscu zastali Charlesa, bladego i zafrasowanego, oraz jego obu dziwnych kompanów. Ward, jak się wydaje, dostarczył policjantom przekonujących wyjaśnień i dowodów swej niewinności. Wyjaśnił, że potrzebował pewnych anatomicznych okazów do badań naukowych, których wagę i swoistość może potwierdzić każdy, kto miał z nim styczność przez ostatnich dziesięć lat; zamówił tedy pewną ich liczbę w agencjach, działających – jak sądził – najzupełniej legalnie. O tożsamości owych okazów nie wiedział nic zgoła, był też szczerze wstrząśnięty, gdy inspektorzy dali mu do zrozumienia, jak potwornie wpłynęłaby ta sprawa na publiczną wrażliwość i poczucie narodowej godności, gdyby tylko stała się

przedmiotem powszechnej wiedzy. Jego zeznanie potwierdził z całą mocą brodaty doktor Allen; jego osobliwie głuchy głos brzmiał jeszcze bardziej przekonująco niźli zapewnienia roztrzęsionego Charlesa. Koniec końców policjanci nie podjęli więc przeciw Wardowi żadnych kroków, zapisali tylko starannie nazwisko i nowojorski adres osoby, od której zdaniem Warda można było zacząć dochodzenie; takoż uczyniono, lecz bez żadnych rezultatów. Warto dodać, że anatomiczne okazy szybko i dyskretnie odwieziono z powrotem na przynależne im miejsce, tedy opinia publiczna nigdy nie dowie się, że ich spoczynek został w bluźnierczy sposób zakłócony.

Dziewiątego lutego 1928 roku doktor Willett otrzymał od Charlesa Warda list; doktor przypisuje owej epistole nadzwyczajną doniosłość, często też spierał się o jego treść z doktorem Lymanem. Lyman traktuje ów list jako bezsprzeczny dowód zaawansowanego dementia praecox, Willett z kolei uważa, że jest to ostatnia w pełni rozsądna wypowiedź nieszczęsnego młodzieńca; szczególną uwagę zwraca na normalny charakter pisma – zdradzający wprawdzie nerwowe wzburzenie autora, lecz świadczący też niezbicie, że był nim nie kto inny jak Charles Ward. Oto pełna treść listu:

Prospect Street 100
Providence, Rhode Island
8 lutego 1928 roku.

Drogi doktorze Willett,

Czuję, że czas już najwyższy, bym zadośćuczynił Pańskim naleganiom i zgodnie z daną dawno obietnicą odkrył przed Panem moją tajemnicę. Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny, że okazał mi Pan tak wielką cierpliwość i tak niezachwianie wierzył Pan w mój umysł i czystość mych zamiarów.

Oto więc jestem gotów do rozmowy, lecz z pokorą muszę wyznać, że wyśniony od dawna triumf nigdy nie stanie się mym udziałem. Miast chwały poznałem czyste przerażenie, rozmawiać zaś chcę z Panem nie dla chwalby z odniesionego zwycięstwa, lecz po to, by pomógł mi Pan i poradził, jak zbawić i mię samego, i świat cały od zgrozy przekraczającej wszelką człowieczą zdolność pojmowania. Zapewne pamięta pan listy Fennerów o najeździe na farmę w Pawtuxet? Trzeba to uczynić raz jeszcze, i to szybko. Na naszych barkach spoczywa brzemię większe, niż zdołają to wyrazić słowa: los całej cywilizacji, naturalnych praw, być może nawet los Układu Słonecznego i całego wszechświata. Sprowadziłem na świat poczwarną zwyrodniałość, jakkolwiek uczyniłem to dla dobra ludzkiej wiedzy. Teraz dla dobra Natury i wszystkiego, co żyje, z Pańską pomocą musimy pchnąć ją z powrotem w mrok.

Dom mój w Pawtuxet opuściłem na zawsze; musimy unicestwić wszystko, co tam pozostało, żywe lub martwe. Nie pójdę tam już – i zaklinam, niech Pan nie wierzy, jeśli ktokolwiek Panu powie, że tam jestem. Wyjaśnię to Panu, gdy już się spotkamy. Wróciłem na dobre do domu i chciałbym, by odwiedził nas Pan, gdy tylko znajdzie Pan pięć–

sześć godzin, żeby mnie wysłuchać. Tak, aż tyle to potrwa – i proszę mi wierzyć, jeszcze nigdy w swym zawodowym życiu nie miał Pan do spełnienia pilniejszego obowiązku. Moje życie i zdrowie mego umysłu to doprawdy najmniejsza rzecz, jaka leży na szali.

Nie śmiałem mówić o wszystkim ojcu, bo nie pojąłby niczego. Powiedziałem mu tylko, że grozi mi niebezpieczeństwo, toteż czterech ludzi z agencji detektywistycznej nieustannie strzeże naszego domu. Nie wiem, w jakiej mierze się przydadzą, mają bowiem przeciw sobie siły, których nawet Pan nie jest w stanie w pełni sobie wyobrazić ani zrozumieć. Jeśli zatem chce Pan zastać mnie przy życiu, niech przyjdzie jak najszybciej – dowie się Pan, jak uratować kosmos od najprawdziwszego piekła.

Proszę przyjść o dowolnej porze – nie ruszam się z domu nawet na krok. Niech Pan nie zapowiada się telefonicznie; nigdy nie wiadomo, kto lub co mogłoby nas podsłuchać. I módlmy się, módlmy do wszelkich możliwych bogów, by nic nie stanęło naszemu spotkaniu na przeszkodzie.

Pogrążony w najgłębszej zgryzocie i rozpaczy
Charles Dexter Ward

PS Jeśli Pan spotka doktora Allena, niech go Pan zastrzeli i rozpuści jego zwłoki w kwasie. Proszę ich nie palić.

Doktor Willett otrzymał list około wpół do jedenastej rano i z myślą o owej doniosłej rozmowie natychmiast zorganizował sobie wolne późne popołudnie i wieczór, dopuszczając nawet możliwość przedłużenia wizyty do późnej nocy. Zamierzał przyjść do Wardów o szesnastej i przez cały dzień tak mocno zaprzątał sobie głowę najobłędniejszymi domysłami, że większość swych posług lekarskich wykonywał zupełnie machinalnie. Dla kogoś obcego list mógł wyglądać na bredzenie szaleńca, ale doktor Willett widział na własne oczy zbyt wiele dziwactw Charlesa, by go teraz zlekceważyć. Nie miał wątpliwości, że z listu bije jakaś arcysubtelna, pradawna i straszliwa aura, wzmianka zaś na temat doktora Allena – zważywszy na to, co się mówiło w Pawtuxet o tej enigmatycznej postaci – wydawała się zrozumiała sama przez się. Willett nigdy go nie widział, ale wiele słyszał o jego wyglądzie i zachowaniu i zachodził w głowę, jakie oczy mogą się kryć za jego niesławnymi ciemnymi okularami.

Dokładnie o czwartej doktor Willett zaanonsował się w rezydencji Wardów; jakież było jednak jego zmartwienie, gdy okazało się, że Charles nie wytrwał w swym postanowieniu i opuścił dom. Strażnicy trwali na posterunku, ale stwierdzili, że młodzieniec jakby odrobinę przestał się lękać. Ranek spędził przy telefonie; jak wyznał jeden z detektywów, z wyraźnym przestrachem kłócił się z jakąś nieznaną osobą, używając między innymi takich oto zdań: „Jestem bardzo zmęczony, muszę chwilę odpocząć”, „Wybacz, ale na razie nie mogę nikogo przyjmować”, „Proszę, powstrzymaj się od zdecydowanych działań, może osiągniemy jakiś kompromis” czy

„Bardzo mi przykro, ale muszę sobie zrobić wakacje od wszystkiego; porozmawiamy później”. Potem, najwidoczniej po namyśle odzyskawszy śmiałość, wymknął się z domu, i to tak niepostrzeżenie, że jego nieobecność zauważono dopiero wówczas, gdy o godzinie pierwszej wrócił bez słowa wyjaśnienia. Udał się na górę i tam musiał znów ogarnąć go lęk, słychać było bowiem, że przekroczywszy próg swej biblioteki, wydał z siebie przerażony krzyk przechodzący z wolna w zdławiony jęk. Kamerdyner poszedł sprawdzić, co się dzieje, lecz gdy dotarł pod drzwi biblioteki, w progu stanął Charles, śmiały i butny, i bez słowa kazał mu odejść – uczynił to zaś gestem, który miał w sobie coś niewypowiedzianie wręcz przerażającego. Później najprawdopodobniej przestawiał regały, w bibliotece bowiem potężnie coś stukotało, łomotało i skrzypiało; jeszcze później znów pojawił się na dole i natychmiast wyszedł z domu. Willett spytał, czy młodzieniec nie zostawił żadnej wiadomości; detektyw zaprzeczył. Kamerdyner był dziwnie wstrząśnięty wyglądem i zachowaniem Charlesa; pytał doktora z troską, czy zna jakieś lekarstwo na jego skołatane nerwy.

Przez niemal dwie godziny doktor Willett czekał daremnie w bibliotece Charlesa, przyglądając się zakurzonym półkom z pustymi miejscami po zabranych książkach i zerkając z ponurym uśmiechem na panneau na północnej ścianie, z którego rok wcześniej spoglądał nań uprzejmie i dobrotliwie stary Joseph Curwen. Po pewnym czasie zaczął zapadać zmrok; zgasł pogodny zmierzch, nadciągała noc zwiastowana narastającym z wolna, gęstym niby cień uczuciem nieuchwytnej grozy. W końcu wrócił do domu pan Ward; widząc, że mimo wszelkich wysiłków, jakie podjął dla ochrony syna, ów zniknął bez śladu, wielce się zdziwił i rozgniewał. Nie wiedział o jego liście do doktora, obiecał przeto, że powiadomi go, gdy tylko Charles się pojawi. Żegnając się z Willettem, stwierdził, że jest bezbrzeżnie zdumiony stanem, w jakim znalazł się jego syn, i nalegał, by doktor uczynił wszystko, co w jego mocy, by przywrócić mu równowagę. Willett z ulgą opuścił bibliotekę, zdało mu się bowiem, że nawiedziło ją coś zatrważającego i bezbożnego – jak gdyby obraz Curwena, znikając, pozostawił po sobie jakieś nikczemne dziedzictwo. Nigdy nie przepadał za tym portretem; jakkolwiek był człowiekiem o mocnych nerwach, nawet teraz, gdy nad kominkiem została już tylko pusta boazeria, spoglądając na nią czuł, że wolałby jak najszybciej wyjść na świeże powietrze.

## 3.

Następnego ranka Willett otrzymał od Warda seniora list z informacją, że Charles jeszcze nie wrócił. Pan Ward wspomniał też, że telefonował do niego doktor Allen – oznajmił, że Charles pozostanie przez pewien czas w Pawtuxet i że nie wolno mu przeszkadzać; jest to ważne o tyle, że on, doktor Allen, zmuszony jest wyjechać na czas nieokreślony, pozostawiając wszystkie badania pod wyłącznym, stałym nadzorem Charlesa. Charles przesyła serdeczne pozdrowienia i prosi o wybaczenie, jeśli jego nagła zmiana planów spowodowała jakikolwiek kłopot. Prowadząc tę rozmowę, pan Ward

po raz pierwszy słyszał głos doktora Allena i odniósł wrażenie, że na jego dźwięk ożyło w nim jakieś mgliste wspomnienie – zupełnie niepochwytne, lecz niepokojące, wręcz budzące lęk.

Doktor Willett nie miał najbledszego pojęcia, co czynić w obliczu tak zaskakująco sprzecznych informacji. List od Charlesa pełen był niekłamanej, gorączkowej szczerości, cóż jednak można było począć, skoro jego autor natychmiast zaprzeczył własnym życzeniom? Pisał był przecież, że w swych dociekaniach ociera się już o niebezpieczne bluźnierstwo, że zarówno ich wyniki, jak i jego brodaty kompan muszą zniknąć z tego świata, a jego noga już nigdy nie postanie w miejscu, które stało się widownią tych ponurych badań; ostatnie jego sugestie wskazywały jednak, że o wszystkim zdążył już zapomnieć i od nowa drąży swoje tajemnice. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że najlepiej będzie pozostawić młodzieńca sam na sam ze swym wariactwem, lecz za podszeptem głębszego instynktu doktor wciąż nie mógł się opędzić od wrażenia, jakie wywarł na nim ów rozgorączkowany list. Czytał go raz po raz, lecz list wciąż nie chciał mu się wydać tak błahy, jak sugerowałoby jego bombastyczne słownictwo i ostateczny brak potwierdzenia w zachowaniu Charlesa. Zbyt głęboka, zbyt prawdziwa biła zeń groza, zbyt wyraźnie łączył się z posiadaną już przez doktora wiedzą, zbyt mocne czynił aluzje do potworności spoza czasu i przestrzeni, by można było go zbyć cynicznym wyjaśnieniem. Gdzieś obok leżał świat niewysłowionych zgróz – i jakkolwiek mogły okazać się niedosiężne, należało zachować najwyższą czujność i być gotowym na wszystko.

Ponad tydzień doktor Willett głowił się nad tym dylematem i z każdym dniem narastało w nim pragnienie, by odwiedzić Charlesa w Pawtuxet. Żaden z przyjaciół młodzieńca nie odważył się dotąd przestąpić progu jego wyklętej samotni, nawet ojciec znał ją tylko o tyle, o ile syn był łaskaw mu ją opisać; Willett czuł jednak, że musi koniecznie przeprowadzić ze swym pacjentem bezpośrednią rozmowę. Pan Ward otrzymywał od syna tylko krótkie i wymijające wiadomości, nie lepiej była poinformowana kurująca się w Atlantic City matka – przeto doktor postanowił w końcu przejść do działania; jakkolwiek czuł się nieswojo, wspominając dawne legendy o Curwenie, tudzież najświeższe rewelacje i ostrzeżenia Charlesa, pewnego wczesnego lutowego popołudnia wsiadł w swój mały samochodzik i wyruszył śmiało do domku na nadrzecznej skarpie.

Willett był tam już kiedyś z czystej ciekawości, choć, rzecz jasna, nie wszedł do środka ani nie zdradził przed Charlesem swojej obecności; dzięki temu jednak dobrze znał drogę. Gdy jechał przez Broad Street, przyszła mu do głowy dziwna myśl, że tę właśnie drogę przed stu pięćdziesięciu siedmiu laty przemierzał posępny oddział egzekutorów, zmierzając ku straszliwym, niewyobrażalnym dla nikogo celom.

Zapyziałe miejskie opłotki szybko zostały w tyle, ustępując schludnemu Edgewood i sennemu Pawtuxet. Willett skręcił w prawo, najszybciej jak mógł przejechał wiejską Lockwood Street, potem zatrzymał auto i ruszył pieszo na północ, w stronę skarpy wznoszącej się nad prześlicznymi zakolami rzeki i omgloną nadrzeczną niziną. Domów wciąż jeszcze było tu niewiele, toteż po lewej ręce, na wzniesieniu, od razu rzucała się w oczy samotna chata z

betonowym garażem. Doktor dziarsko zbliżył się do domu zapuszczoną żwirową ścieżką, zapukał pewną ręką, a gdy w uchylonych o włos drzwiach pojawił się portugalski Mulat, przemówił do niego bez drżenia w głosie.

Doktor oświadczył, że musi natychmiast zobaczyć się z Charlesem w sprawie najwyższej wagi; nie dopuszcza żadnych wymówek i jeśli zostanie odprawiony, przedstawi pełną relację panu Wardowi. Mulat wciąż się wahał, nie pozwolił też Willettowi otworzyć szerzej drzwi; doktor powtórzył jednak żądanie podniesionym głosem. Wówczas z ciemnego wnętrza dał się słyszeć ochrypły szept, którego brzmienie przejęło Willetta do szpiku kości – choć nie umiał określić, dlaczego tak się go przeląkł.

– Wpuść go, Tony – mówił głos. – Moment na rozmowę dobry jak każdy inny.

Jakkolwiek niepokojąco brzmiał ów szept, jeszcze większą jednak trwogą przejął doktora widok, który ujrzał po chwili. Oto zaskrzypiała podłoga i właściciel dziwacznego, głębokiego głosu pojawił się we własnej osobie – a był nim nie kto inny jak Charles Dexter Ward.

Przeprowadzoną owego popołudnia rozmowę doktor Willett zapamiętał i odtworzył później z wielką dokładnością, a to dzięki temu, że – jak twierdzi – całemu temu okresowi przypisuje zasadnicze znaczenie. Doktor uważa, że właśnie wówczas zaszła istotna zmiana w umysłowości młodego Warda – że między umysłem, którego rozwój obserwował był od dwudziestu sześciu lat, a umysłem, jaki teraz przemawiał doń ustami Charlesa, powstała nieodwracalna, beznadziejna różnica. Spór z doktorem Lymanem zmusił go do precyzyjnego określenia momentu, kiedy zaczęło się szaleństwo Charlesa, Willett stwierdził tedy, że nastąpiło to wówczas, gdy państwo Wardowie zaczęli otrzymywać od syna pisane na maszynie wiadomości. Nie były one utrzymane w normalnym Charlesowym stylu – ani nawet w stylu ostatniego, szaleńczego listu do Willetta; napisane były dziwacznie i archaicznie, jak gdyby przez rysę w umyśle młodzieńca przelała się fala skłonności i wrażeń nagromadzonych nieświadomie w latach chłopięcych antykwarycznych pasji. Znać było, że autor stara się pisać współcześnie – lecz duch, a gdzieniegdzie też język tych listów, należał do przeszłości.

Z przeszłości pochodził też najoczywiściej w świecie każdy ton i gest, z jakim Ward przyjął doktora w swoim mrocznym domu. Ukłonił się, wskazał mu krzesło i jął pospiesznie mówić dziwnym szeptem, który zresztą już na początku starał się wyjaśnić.

– Zaniemogłem – zaczął. – Od tego przeklętego rzecznego powietrza nabawiłem się gruźlicy. Proszę mi wybaczyć mój głos. Mniemam, że przychodzi pan z polecenia mego ojca, by sprawdzić, co mi dolega; tuszę, że nie dostarczy mu pan alarmujących wieści.

Willett z najwyższą uwagą wsłuchiwał się w ten zgrzytliwy głos, ale jeszcze baczniej przyglądał się twarzy mówiącego. Czuł, że coś jest nie tak. Przypomniała mu się opowieść Wardów o przerażonym angielskim kamerdynerze. Wolałby, żeby w pokoju nie było tak ciemno, nie poprosił jednak o odsłonięcie stor. Spytał tylko Warda, czemu tak łacno zaprzeczył swemu szaleńczemu listowi wysłanemu niewiele ponad tydzień wcześniej.

„Właśnie do tego zmierzałem – odparł gospodarz. – Musi pan wiedzieć, że

moje nerwy są w opłakanym stanie; robię i mówię rzeczy dziwaczne, których nie umiem wyjaśnić. Wielekroć mówiłem już panu, że jestem na progu wielkich odkryć; to właśnie ich wielkość odbiera mi jasność umysłu. Każdy byłby przerażony, gdyby dokonał tego co ja, ale mnie lęk nie powstrzyma. Byłem głupcem, zamykając się w domu i każąc się strzec; skorom zaszedł tak daleko, moje miejsce jest tutaj. Moi wścibscy sąsiedzi nie najlepiej o mnie mówią, a ja, być może ze słabości, sam w ich gadanie uwierzyłem. W tym, czym się zajmuję, nie ma nic złego, póki robię to właściwie. Niech pan będzie tak dobry, doktorze, i zaczeka jeszcze sześć miesięcy; to, co panu pokażę, z nawiązką wynagrodzi pańską cierpliwość.

Wie pan też zapewne, że zdobywam wiedzę ze źródeł pewniejszych niźli książki; dzięki drzwiom, do których zyskałem dostęp, zmienię bieg historii, filozofii i sztuk pięknych, ocenę tego wpływu pozostawiam zaś pańskiemu osądowi. Tą samą drogą kroczył mój przodek – cóż, skoro zamordował go bezrozumny, wścibski motłoch. Osiągnąłem już tyle co on, a przynajmniej niedoskonałą tego część. Tym razem nikt nie może mi przeszkodzić, a już najmniej moje własne idiotyczne lęki. Błagam, doktorze, niech pan spuści zasłonę milczenia na tę moją pisaninę i nie się lęka tego domu ani jego mieszkańców. Doktor Allen to człowiek o najprzedniejszym umyśle, winien mu jestem przeprosiny za to, co o nim nagadałem. Wielka szkoda, że musiałem się z nim rozstać, doktor wyjechał jednak w ważnych sprawach. Jego oddanie dla sprawy nie ustępuje mojemu, toteż, jak przypuszczam, przeląkłszy się mej pracy, zląkłem się też i jego, mego najlepszego pomocnika”.

Gdy Ward umilkł, doktor nie wiedział, co powiedzieć ani co myśleć. Młodzieniec tak spokojnie zaprzeczył wszystkiemu, co pisał w swym liście, iż Willett czuł, że się zbłaźnił; lecz przecież nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to, co słyszy teraz, brzmi obco i obłędnie, list zaś ów był wręcz tragicznie naturalny, pisany ręką Charlesa jakiego doskonale znał. Doktor próbował sprowadzić rozmowę na tory współczesne, starał się też przywrócić swojski nastrój, przypominając młodzieńcowi rozmaite zdarzenia z dawnej przeszłości. Jego wysiłki przyniosły jednak efekt groteskowy – nie mniej groteskowy niż efekty późniejszych badań alienistów. Istotna część obrazów przechowywanych w umyśle Charlesa Warda, zwłaszcza tych, które dotyczyły czasów najnowszych i jego życia osobistego, została w niepojęty sposób wymazana – natomiast nagromadzona w latach chłopięcych wiedza antykwaryczna przebiła się z jakiejś głębokiej podświadomości i przytłoczyła wiedzę na temat spraw współczesnych i osobistych. Jego znajomość dawno minionych faktów była nienormalna i bezbożna; młodzieniec ze wszystkich sił starał się zresztą ją ukryć. Gdy Willett wspominał o czymś, czym Charles pasjonował się w chłopięcych latach, nierzadko dowiadywał się na ten temat rzeczy, o jakich nie mógł mieć pojęcia żaden śmiertelnik – toteż niektóre co wymyślniejsze aluzje przyprawiały go o dreszcze.

Nie wzdrygnął się tedy, gdy dowiedział się, jak to peruka spadła z głowy tłustemu szeryfowi, gdy wychylał się z loży na przedstawieniu w prowadzonej przez pana Douglassa Histrionick Academy przy King Street, odgrywanym 11 lutego 1862 roku, który to dzień przypadał w czwartek; lub

o tym, że aktorzy tak skrócili tekst *Świadomych kochanków* Richarda Steele'a, że nawet dobrze, iż pod naciskiem baptystów rada miejska dwa tygodnie później zamknęła teatr. O tym, że kursujący do Bostonu dyliżans Thomasa Sabina był „diablo niewygodny", pilny antykwariusz mógł wyczytać w starych listach; lecz skądżeż mógł wiedzieć, że skrzypienie nowego szyldu Epenetusa Olneya (pstrokatej korony, jaką umieścił nad wejściem do swej tawerny, przemianowawszy ją na Crown Coffee House) brzmiało jota w jotę jak pierwsze nuty nowego szlagieru jazzowego, który słychać było w każdym radiu w Pawtuxet?

Ward nie pozwolił się wszakże za długo wypytywać. Sprawy osobiste i współczesne odsunął od siebie natychmiast, rozmowa zaś na tematy historyczne szybko zaczęła go bezgranicznie nudzić. Widać było jak na dłoni, że chce zaspokoić ciekawość gościa na tyle, by zniechęcić go do powtórnej wizyty. W tym celu zaproponował Willettowi, że pokaże mu cały dom, i nie zwlekając, jął oprowadzać go po wszystkich izbach, od piwnicy aż po strych. Doktor bacznie się wszystkiemu przyglądał, zauważył jednak, że wszystkie widoczne książki są raczej trywialne, a przy tym tak nieliczne, że nie wypełniłyby nawet pustych miejsc na półkach w domowej bibliotece Charlesa, tak zwane zaś laboratorium to tylko skąpo wyposażony, najlichszy w świecie pozór. Najwidoczniej właściwa biblioteka i laboratorium znajdowały się gdzie indziej, lecz gdzie – nie sposób było się domyślić. W tej pogoni za czymś nienazwanym Willett uznał się tedy za pokonanego; przed wieczorem wrócił do miasta i opowiedział o wszystkim panu Wardowi. Obaj zgodzili się, że młodzieniec z całą pewnością postradał zmysły, uznali jednak, że nie należy podejmować żadnych drastycznych kroków, przede wszystkim zaś nie wolno dopuścić, by pani Ward dowiedziała się o stanie syna więcej, niż mówiły jego dziwne maszynopisane liściki.

Pan Ward postanowił, że osobiście złoży synowi niespodziewaną wizytę. Pewnego wieczoru doktor Willett zawiózł go do Pawtuxet swoim samochodem, odprowadził go do miejsca, z którego widać już było chatę, i cierpliwie zaczekał na jego powrót. Wizyta trwała długo, pan Ward wrócił z niej wielce zasmucony i zakłopotany. Został przyjęty podobnie jak Willett, z tą wszakże różnicą, że musiał siłą wedrzeć się do domu i stanowczo zażądać od Portugalczyka, by przyprowadził jego syna – ów zaś wyjątkowo długo kazał mu na siebie czekać, gdy zaś się pojawił, odmieniony, nie zdradzał ani krztyny synowskich uczuć. Światła w domu były przygaszone, lecz Charles i tak skarżył się, że go okropnie rażą. Nie wypowiedział głośno ani jednego słowa, twierdząc, że jego gardło jest w opłakanym stanie; jego chrapliwy szept miał jednak w sobie coś tak niepokojącego, że pan Ward nie mógł przestać o nim myśleć.

Tak oto pan Ward i doktor Willett połączyli wreszcie siły i postanowili uczynić wszystko, co w ich mocy, by uratować umysł młodego Charlesa. Jęli gromadzić wszelkie możliwe dane na temat sprawy, poczynając od krążących po Pawtuxet plotek – co było dość łatwe, jako że obaj mieli tam znajomych. Więcej pogłosek zgromadził Willett, miejscowi chętniej bowiem zwierzali się doktorowi aniżeli ojcu głównego obiektu ich zainteresowań. Z zebranych informacji wyłaniał się obraz Charlesa jako osobnika doprawdy

dziwacznego. Powszechnie kojarzono go na przykład z wampirycznymi napaściami z poprzedniego lata; pretekstem do mrocznych domysłów były też kursujące nocą ciężarówki. Miejscowi kupcy opowiadali o dziwacznych zamówieniach składanych przez plugawego Mulata, zwłaszcza o niespotykanych ilościach mięsa i świeżej krwi kupowanych u dwóch mieszkających w najbliższym sąsiedztwie rzeźników. Jak na liczące ledwie trzy osoby gospodarstwo były to ilości wręcz absurdalne.

Pozostawała jeszcze kwestia podziemnych hałasów. Na ten akurat temat trudniej było uzyskać precyzyjne informacje, w mglistych plotkach powtarzało się jednak kilka najważniejszych faktów. Przede wszystkim owe dźwięki – mające wyraźnie rytualny charakter – niezaprzeczalnie się rozlegały, i to niekiedy wówczas, gdy dom pogrążony był w mroku. Mogły oczywiście płynąć z jakiejś znanej piwnicy, ludzie utrzymywali jednak, że wzgórze pocięte jest głębszymi i rozleglejszym kryptami. Pamiętając dawne opowieści o katakumbach Josepha Curwena oraz zakładając, że Charles wybrał domek właśnie dlatego, że znajdował się on na miejscu dawnej farmy Curwena – co mógł ustalić na podstawie dokumentów znalezionych w skrytce za obrazem – Willett i Ward senior traktowali te pogłoski z najwyższą powagą; wielekroć wyprawiali się też nad rzekę i bezskutecznie szukali ukrytych w skarpie drzwi, o których wzmiankowały rękopisy. Wybadali też, co miejscowi sądzą o poszczególnych mieszkańcach domku nad rzeką; wkrótce okazało się, że śniadego Portugalczyka sąsiedzi się brzydzą, brodatego okularnika Allena lękają, młodego zaś bladego uczonego serdecznie nie cierpią. Najwyraźniej Ward zapracował sobie na tę zmianę w ciągu ostatniego tygodnia czy dwóch, zarzucając wszelkie pozory uprzejmości i w rzadkich kontaktach z okolicznymi mieszkańcami posługując się wyłącznie chrapliwym, dziwnie odpychającym szeptem.

Takie oto ułomki informacji udało się pozbierać panu Wardowi i doktorowi Willettowi. Toczyli nad nimi później długie, poważne narady. Zaprzęgli do pracy dedukcję, indukcję, wytężali konstruktywną wyobraźnię, łamali sobie głowę, szukając powiązań między wszystkimi znanymi im faktami z ostatnich miesięcy życia Charlesa – nie wyłączając szaleńczego listu do Willetta, który doktor pokazał w końcu panu Wardowi – a nikłym materiałem dowodowym dotyczącym Josepha Curwena. Gdybyż mogli choćby rzucić okiem na dokumenty odkryte przez Charlesa! Obaj nie mieli wątpliwości, że klucz do jego szaleństwa leży w zdobytej przezeń wiedzy na temat starego czarownika i jego postępków.

## 4.

Wszelako okazało się, że w przedziwnym przypadku Charlesa Dextera Warda to nie pan Ward i doktor Willett wykonali następny ruch. Maszynopisane liściki młodego Warda nadchodziły coraz rzadziej, a ojciec i lekarz, skonfundowani i pokonani w zmaganiach z bezpostaciowym, nieuchwytnym widmem, pogrążyli się w niespokojnej bezczynności. Wreszcie pierwszego dnia marca, gdy przyszło do zwykłych comiesięcznych rozliczeń

finansowych, w niektórych bankach Providence zapanowało poruszenie: urzędnicy osobliwie potrząsali głowami, wydzwaniali do siebie nawzajem. Kilku oficjeli, którzy znali Charlesa Warda z widzenia, pofatygowało się do Pawtuxet, by dowiedzieć się, dlaczego wszystkie wystawione na jego nazwisko czeki są niezdarnie sfałszowane – ów zaś chrapliwym szeptem zapewnił ich, jakkolwiek słabiej, niżby sobie tego życzyli, że wskutek wstrząsu nerwowego doznał porażenia ręki i ledwie jest w stanie utrzymać pióro. Twierdził, że pisanie ręczne jest dlań najokropniejszym znojem; dowodzi tego fakt, że od pewnego czasu zmuszony jest pisać na maszynie wszystkie listy – nawet do ojca i matki, którzy z łatwością mogą to poświadczyć.

W największe zakłopotanie wprawił jednak urzędników śledczych nie ów prosty fakt – trudno było uznać go za rzecz niespotykaną i potraktować jako pretekst do podejrzeń – ani nawet krążące po Pawtuxet pogłoski, które już wcześniej obiły im się o uszy. Z największym zażenowaniem przyjęli mianowicie sam sposób mówienia młodego Warda – dziwny, pogmatwany, wskazujący, że z jego pamięci zniknęły wszelkie ważne sprawy finansowe, które jeszcze przed miesiącem czy dwoma miał w małym palcu. Coś było nie tak – jakkolwiek Charles na pozór wyrażał się spójnie i racjonalnie, nie sposób było dociec, skąd wzięła się jego źle maskowana amnezja w najbardziej żywotnych kwestiach. Co więcej, jakkolwiek żaden ze śledczych nie znał go zbyt dobrze, trudno było nie zauważyć zmiany, jaka zaszła w jego języku i manierach. Słyszeli wprawdzie, że ma zainteresowania antykwaryczne, lecz przecież nawet najbardziej zapamiętały antykwariusz nie stosuje na co dzień przestarzałej frazeologii ani archaicznych gestów. Połączenie chrapliwego głosu, paraliżu rąk, niedostatków pamięci oraz odmienionego sposobu mówienia i zachowania wskazywało niezbicie, że młodzieniec cierpi na poważne dolegliwości czy zaburzenia – one też musiały być podstawą krążących po okolicy dziwnych plotek. Opuściwszy dom Charlesa, urzędnicy postanowili przeto, że koniecznie muszą rozmówić się z Wardem seniorem.

Szóstego marca 1928 roku w biurze pana Warda odbyła się zatem długa, poważna narada, po której do cna oszołomiony ojciec wezwał doktora Willetta i pogrążony w beznadziejnej rezygnacji zreferował mu sprawę. Willett obejrzał wysilone, niezdarne podpisy na czekach i w myślach porównał je z pismem z gorączkowego lutowego listu. Zaiste, charakter pisma młodego Charlesa uległ radykalnym, głębokim zmianom – a przecież miał w sobie coś diabelsko znajomego. Roiło się w nim od zawiłych, archaicznych zakrętasów, pióro prowadzone było zgoła inaczej, niż zwykł to czynić Charles – pismo było dziwne, ale skądżeż doktor mógł je znać? Tak czy inaczej nie ulegało wszakże wątpliwości, że Charles jest obłąkany. Był to fakt niezbity. Ponieważ wydawało się nieprawdopodobne, by w tym stanie mógł sprawować pieczę nad swą własnością i komunikować się ze światem zewnętrznym, należało jak najszybciej objąć go nadzorem, a być może także podjąć próbę leczenia. Wówczas to właśnie wezwano na pomoc alienistów: doktorów Pecka i Waite’a z Providence oraz doktora Lymana z Bostonu. Pan Ward i doktor Willett przedstawili im w najdrobniejszych szczegółach historię

przypadku Charlesa, a następnie wszyscy trzej przeprowadzili długie konsylium w nieużywanej już bibliotece młodego pacjenta – przejrzeli pozostawione przezeń książki i dokumenty, by móc wystawić sobie jego umysłowy profil. Przebadawszy cały dostępny materiał i złowróżbny list do Willetta, zgodzili się jednomyślnie, że prowadzone przez Charlesa studia z łatwością mogły wykoleić, a przynajmniej wypaczyć każdy zdrowy intelekt, stwierdzili też, że bardzo chcieliby zobaczyć księgi i dokumenty młodzieńca mające bardziej osobisty charakter; zdają sobie jednak sprawę, że warunkiem spełnienia tego życzenia – o ile w ogóle da się je spełnić – jest wizyta w chacie w Pawtuxet. Willett przystąpił do działania ze zdwojoną energią; właśnie naonczas dotarł do robotników, którzy byli świadkami odkrycia dokumentów Curwena, i wybrał się do redakcji „Journala”, by sprawdzić, o jakich wypadkach donosiły zniszczone przez Charlesa prasowe notki.

W czwartek 8 marca doktorzy Willett, Peck, Lyman i Waite w towarzystwie pana Warda złożyli Charlesowi brzemienną w skutki wizytę; nie ukrywali, że traktują go jako pacjenta i poddali go wyjątkowo szczegółowej indagacji. Charles wprawdzie podejrzanie długo kazał im na siebie czekać, a gdy wreszcie się zjawił, był zaaferowany i przesiąknięty odrażającymi laboratoryjnymi zapachami, lecz zachowywał się najzupełniej ugodowo. Przyznał otwarcie, że zaangażowanie w trudne i zawiłe badania wytrąciło go z równowagi i spowodowało zaburzenia pamięci; nie opierał się, gdy go przekonywano, by zmienił miejsce zamieszkania, niezależnie zaś od luk w pamięci wykazywał się – jak się zdawało – wcale wysoką inteligencją. Doprawdy, wrażenie to było tak silne, że trzej lekarze rychło zakończyliby wywiad i odeszli z zakłopotaniem, gdyby nie to, że młodzieniec uparcie przetykał swe wypowiedzi archaicznymi wtrętami, a jego świadomość była wyraźnie naszpikowana starodawnymi i przestarzałymi ideami – co świadczyło niezbicie, że stan jego umysłu znacznie odbiega od normy. O swych zajęciach Charles nie powiedział nic ponad to, co już wcześniej zdradził rodzinie i doktorowi Willettowi, wzmiankę zaś o swym gorączkowym liście zbył lekceważąco, tłumacząc, że był to tylko przejaw histerii i nerwowego rozstroju. Upierał się, że w mrocznej chacie nie ma żadnego ukrytego laboratorium ani biblioteki, a potem pokrętnie wyjaśniał, dlaczego w domu zgoła nie wyczuwa się zapachów, którymi przesiąknięte jest jego ubranie. Krążące wśród sąsiadów plotki uważał za prostackie wymysły zrodzone z lękliwej ciekawości. Zagadnięty o cel podróży doktora Allena stwierdził, że nie czuje się upoważniony, by o tym mówić, zapewnił jednak, że brodaty okularnik może w każdej chwili wrócić, jeśli okaże się to konieczne. Pytano go też, dlaczego trzyma u siebie portugalskiego mruka nieodpowiadającego na żadne pytania, i zamyka się w chacie, która mimo wszystko wydaje się siedliskiem posępnych tajemnic – Ward znosił jednak wszystko bez najmniejszych oznak nerwowości; niekiedy tylko robił ledwie zauważalne pauzy, jak gdyby nasłuchiwał jakichś cichuteńkich dźwięków. Widać było, że pełen jest spokojnej, filozoficznej rezygnacji, jak gdyby przeniesienie go w inne miejsce było dlań jedynie przejściowym incydentem, który nie przysporzy mu żadnych kłopotów, jeśli tylko odbędzie się on

szybko i raz na zawsze. Wyraźnie ufał, że nienaruszona sprawność rozumowania może zatuszować jego bulwersujące uchyłki w pamięci, utracony głos i umiejętność odręcznego pisania, tudzież skryty i ekscentryczny sposób bycia. Pani Ward, zgodnie z przyjętymi ustaleniami, nie wiedziała o tym, jak bardzo się zmienił – ojciec pisał do niej listy na maszynie w imieniu syna. Koniec końców Charlesa odwieziono do prywatnego szpitala doktora Waite'a położonego na malowniczej i zacisznej wyspie Conanicut w zatoce; tam wszyscy psychiatrzy, którzy zaangażowali się w jego przypadek, poddali go dalszym wnikliwym badaniom. Wtedy właśnie wyszły na jaw dziwaczne zmiany w jego organizmie: spowolniony metabolizm, odmieniona skóra, niewspółmierne reakcje nerwowe. Najbardziej zaniepokoił się doktor Willett, znał wszak Warda od urodzenia i ze straszliwą drobiazgowością odnotowywał rozmiar dezorganizacji, jakiej uległa jego cielesna konstytucja. Zniknęło nawet znajome oliwkowe znamię na biodrze – na piersi zaś pojawiło się inne, jakby myszka czy szrama, wielka i czarna, prowokująca Willetta do rozmyślań, czy aby Charles nie zafundował sobie „znaku czarownicy", którym ponoć piętnowali się uczestnicy niezdrowych nocnych zgromadzeń w dzikich, niedostępnych zakątkach. Doktorowi kołatał się po głowie fragment protokołu z procesu o czary, który Charles pokazał mu przed laty, gdy jeszcze nie trzymał swych poczynań w tajemnicy: „pan G.B. tejże nocy Piętnem Czartowskim naznaczył Bridget S., Jonathana A., Simona O., Deliverance'a W., Josepha C., Susan P., Mehitable C. i Deborah B.". Niepokoiła go i przerażała także twarz Warda – aż nagle odkrył, czemu właściwie budzi w nim taką grozę. Oto nad prawym okiem młodzieńca doktor spostrzegł coś, czego wcześniej nigdy nie zauważył: maleńką bliznę lub dołek, dokładnie taki sam, jaki miał Joseph Curwen na starym portrecie – być może kolejny ślad po jakiejś odrażającej inokulacji, którą obaj mogli przecież przejść na pewnym etapie swych okultystycznych karier.

Podczas gdy Charles wprawiał w konsternację cały personel szpitala, pan Ward zarządził ścisłą kontrolę korespondencji zaadresowanej do syna lub doktora Allena, którą odtąd kierowano do rodzinnego domu Wardów. Willett nie obiecywał sobie po tym zbyt wiele, podejrzewając, że wiadomości o najbardziej żywotnym znaczeniu dostarczane są przez posłańców; pod koniec marca nadszedł jednak list z Pragi do doktora Allena – i dał ojcu i doktorowi wiele do myślenia. Napisany był zawiłym, archaicznym pismem, jego zaś angielszczyzna, jakkolwiek nie sprawiająca wrażenia cudzoziemskiej, odstawała od języka współczesnego w nie mniej osobliwym stopniu aniżeli język samego Charlesa. Brzmiał on następująco:

Kleinstrasse 11,
Praga, Altstadt
11 Febr. 1928.

Bracie w Almousinie-Metratonie!

Dziś otrzymałem Twoją wzmiankę o tym, co z Soli, którem Ci był posłał, powstało. Wynik właściwy nie jest, z czego jasno wynika, że

gdy Barnabas dla mnie wydostawał Okaz, pomięszane musiały być Nagrobki. O tym, iż rzecz to częsta, zapewne Ci wiadomo: pomnij Istotę, którąś w 1769 wyciągnął z grobowca przy Kaplicy Królewskiej, jakoż i tę, którą H. wykopał w 1690 na Cmyntarzu Starym, przez co omal mu do zguby nie przyszło. Jam po 75 leciech w Egipcie na takąż trafił Istotę, stąd też Blizna, którą Chłopiec zauważył u mnie w 1924. Jak jużem Ci dawno rzekał, nie wzywaj Tego, czego nazad odesłać byś nie mógł, tak z martwych Soli, jak i spoza Sfer najdalszych. Słowa do odsyłania miej zawżdy w pogotowiu i ilekroć Wątpliwość Cię najdzie co do tego, Kogo wzywasz, upewnić się nie omieszkaj. Nagrobki w dziewięci cmyntarzy na dziesięć zgoła są pomięszane. Pewności mieć nie będziesz, póki nie zapytasz. Dziś pisanie otrzymałem od H., któremu z Żołnierstwem przytrafił się Kłopot. Snadź nie jest kontent, że Transylwania z węgierskich w rumuńskie przeszła granice, i rad by gdzie się przenieść, gdybyć w Zamku jego nie było pełno Tego, o czym Wiemy. Ale o tym pewnikiem Ci już pisał. Z następnym pisaniem poszlę Ci coś z Kopca grobowego na Wschodzie, co wielką przyniesie Ci radość. Racz tymczasem nie zapomnieć, że jeśliś B.F. wydostać dla mnie zdolen, czekam ja nań z wielkim utęsknieniem. G. z Filad. lepiej znasz niż ja. Użyj go pierwej, jeśli taka Twoja wola, aleć nie czyń tego tak gwałtownie, iżby stał się Kłopotliwy, boć na Koniec i ja z nim rozmówić się pragnę.

Yogg-Sothoth Neblod Zin
Simon O.

Do Pana J.C.
w Providence.

Pan Ward i doktor Willett zamarli w bezbrzeżnym osłupieniu w obliczu świadectwa tak głębokiego, nieuleczalnego szaleństwa. Krok po kroku musieli przyswajać sobie fakty, które zdawało się ono sugerować. Byłżeby więc nieobecny doktor Allen, nie zaś Charles Ward, przywódcą prowadzonych w Pawtuxet machinacji? Wyjaśniałoby to ową wariacką, morderczą wzmiankę w postscriptum Charlesowego listu. A czemuż ów tajemniczy brodacz tytułowany był „panem J.C.”? Skojarzenia nasuwały się same, lecz przecież nawet największa potworność musi mieć granice. Kim był „Simon O.” – starcem, którego Ward odwiedził w Pradze cztery lata wcześniej? Być może, lecz przecież przed półtora wiekiem żył inny Simon O. – Simon Orne, *alias* Jedediah, który przepadł bez wieści w 1771 roku i którego osobliwe pismo doktor Willett przypomniał sobie teraz nieomylnie z pokazanych mu niegdyś przez Charlesa fotostatycznych kopii. Cóż za zgroza, cóż za tajemnica, cóż za gwałt na Naturze rozgrywał się po tylu dziesiątkach lat pośród kopuł i wież starego Providence?

Ojciec i stary lekarz, do cna straciwszy rozeznanie, co teraz czynić i myśleć, udali się do szpitala i z największą delikatnością, na jaką było ich stać, wypytali Charlesa o doktora Allena, o wizytę w Pradze i o wszystko, co

mu wiadomo o Simonie czy Jedediahu Ornie z Salem. Na wszystkie pytania młodzieniec odpowiadał uprzejmie, acz wymijająco; chrypiącym, charkliwym wręcz szeptem wyjaśnił, że doktor Allen pozostaje w szczególnym duchowym związku z pewnymi duszami z przeszłości i kimkolwiek jest jego praski korespondent, najpewniej posiada podobną umiejętność. Wyszedłszy ze szpitala, pan Ward i doktor Willett z rozgoryczeniem zdali sobie sprawę, że to raczej oni zostali gruntownie przesłuchani – nie zdradzając im żadnej ważkiej informacji, skryty młodzieniec zręcznie wyciągnął z nich całą treść listu z Pragi.

Doktorzy Peck, Waite i Lyman nie przywiązywali wielkiej wagi do dziwnej korespondencji Charlesowego kompana; wiedząc, że osoby o podobnych dziwactwach i monomaniach mają skłonność do łączenia się w grupy, żywili przekonanie, że Ward lub Allen odkrył po prostu za granicą bratnią duszę – ów zaś pobratymiec być może po prostu znał skądś pismo Orne'a i naśladował je w swym liście, pozując na jego współczesne wcielenie. Być może podobnie rzecz się miała z doktorem Allenem – brodacz mógł przekonać młodzieńca, by uznał go za inkarnację nieżyjącego od wielu lat Curwena. Takie przypadki były już znane. Na takiej samej podstawie twardogłowi lekarze zlekceważyli narastający niepokój Willetta związany z obecnym charakterem pisma Charlesa, widocznym na kilku uzyskanych podstępem próbkach. Willettowi zdawało się, że już wie, z czym mu się ono mgliście i dziwacznie kojarzy – mianowicie z pismem samego Josepha Curwena; trzej doktorzy uznali je wszakże za przejaw typowej dla tego rodzaju manii fazy naśladownictwa i odmówili mu jakiegokolwiek znaczenia, zarówno na korzyść, jak i na niekorzyść pacjenta. Zorientowawszy się, że reprezentują oni raczej przyziemny sposób myślenia, Willett poradził panu Wardowi, by zachował dla siebie kolejny list, jaki nadszedł 2 kwietnia – zaadresowany znów do doktora Allena, wysłany z Rakus w Transylwanii, napisany zaś pismem jota w jotę takim samym jak to, którym sporządzony był szyfr Hutchinsona, tak że nim ojciec i lekarz zdążyli jeszcze zerwać pieczęć, obaj pospołu zamarli ze zgrozy. Obwieszczał on, co następuje:

Zamek Ferenczego
7 marca roku 1928

Drogi C.!

Nawiedził mię dwudziestoosobowy oddział Milicji, iżby się o tym, co chłopstwo gada, rozmówić. Głębiej trzeba kopać, iżby do plotek nie dawać Okazyjej. Przeklęci Rumuni okrutnie mnie trapią – Madziara jadłem i Kielichem kupić mogłeś, ci zasię w indagacyjach swoich służbiści są a drobiazgowi. W zeszłym miesiącu M. dał mi Sarkofag Pięciu Sfinksów z Acropolis, gdzie faktycznie, jak Ten, któregom wezwał, rzec mi raczył, miał on się znajdować; takoż i z Tym, co w nim pogrzebiono, po trzykroć odbyłem Rozmowę. Poszlę go prosto do S.O. w Pradze, potem trafi do Ciebie. Uparte to, ale Wiesz, jak sobie z Takim radzić. Roztropnieś postąpił, wzywając mniej niż Wprzódy; nie było Potrzeby, iżby Straże w cielesnej trzymać Postaci, żrą tylko na

potęgę, a nadto, jak Ci aż za dobrze wiadomo, Wielki mogą sprawić Kłopot. Tobie snadniej byłoby przeprowadzić się i gdzie indziej pracować, gdyby taka zaszła potrzeba, aliści mam nadzieję, że nierychło będziesz zmuszony do tak Znojnych Poczynań. Rad jestem, że nie frymarczysz zanadto z Tymi z Zewnątrz, zawżdy przecie Śmiertelnie było to Groźne; pomnij, co zaszło, gdyś poprosił o Ochronę Tego, który akurat dać Ci jej nie mógł. W zdobywaniu formuł lepszyś jest ode mnie, tedy ktoś inakszy być może wypowie je udatnie, aliści Borellus roił sobie, że starczyłoby odpowiednie wypowiedzieć Słowa. Zali Chłopiec często czyni z nich użytek? Że robi się coraz delikatniejszy, to wielce mię frasuje, aleć i obawiałem się tego, gdym miał go tu u siebie 15 bez mała Miesięcy; aliści ufam, że wiesz, jak sobie z nim radzić. Zaklęciem obezwładnić go nie zdołasz, skutkuje to bowiem jeno na tych, których inne zaklęcie przywołało z Soli; Ręce jednak masz mocne, i Nóż masz, i Pistolet, Grób wykopać nietrudno, Kwasu też przecie wiele nie trzeba. O. pisze, żeś mu B.F. obiecował. Muszę go mieć po nim. B. niezadługo powędruje do Ciebie; niechaj Mroczna ta Istota spopod Memfis da Ci wszytko, czego tylko sobie zażyczysz. Bacz, co przywołujesz, i strzeż się Chłopca. Nie minie rok, a gotowi będziemy spod Ziemi zawezwać Legiony, a wtedy temu, co nasze, nie stanie już Granic. W to, co Ci rzekę, pełne miej Zaufanie, wiesz przecie, że O. i ja 150 lat więcej mieliśmy niż Ty, iżby Sprawy te zgłębić.

Nephren-Ka nai Hadoth
Edw. H.

Do J.W. Pana J. Curwena
w Providence.

Doktor Willett i pan Ward nie pokazali tego listu alienistom, nie znaczy to jednak, że zarzucili wszelkie działania. Żadne uczone mędrkowanie nie mogło zaprzeczyć, że przystrojony w dziwną brodę i okulary doktor Allen, wspomniany przez Charlesa w jego gorączkowym liście jako groźny potwór, utrzymuje zażyłą i złowróżbną korespondencję z dwiema niepojętymi istotami, które Ward odwiedził był w trakcie swych podróży i które najoczywiściej w świecie uważają się za dawnych współpracowników Curwena z Salem lub za ich ponowne wcielenia, on sam zaś uważa się za inkarnację Josepha Curwena i żywi – a przynajmniej doradzają mu to jego korespondenci – mordercze zamiary względem jakiegoś „chłopca”, „chłopcem” tym z kolei najpewniej jest nie kto inny jak Charles Ward. Zanosiło się na coś przerażającego – i bez względu na to, kto wszczął te złowrogie działania, dotychczas kierował nimi nieobecny Allen. Podziękowawszy tedy niebiosom, że Charles jest bezpiecznie zamknięty w szpitalu, pan Ward, nie tracąc czasu, wynajął detektywów, by wywęszyli wszystko, co tylko się da, o tajemniczym brodatym doktorze: skąd przybył, co wiadomo o nim w Pawtuxet, a być może aby odkryli także miejsce jego

obecnego pobytu. Wręczył im odebrany Charlesowi klucz od chaty i polecił, by dokładnie przetrząsnęli pusty pokój Allena, zidentyfikowany podczas pakowania rzeczy Charlesa, i postarali się znaleźć w nim wszelkie możliwe wskazówki. Detektywi rozmawiali z panem Wardem w dawnej bibliotece Charlesa, gdy zaś ją wreszcie opuścili, uczuli wyraźną ulgę – mieli mgliste wrażenie, że wypełnia ją jakaś niedobra aura. Może po prostu pamiętali o tym, że niegdyś na boazerii nad kominkiem wisiał portret niesławnego czarownika, być może jednak ich samopoczucie miało przyczynę inną, nieznaczącą; tak czy owak wszyscy wyczuli, że w pokoju unosi się nieuchwytny miazmat – koncentrował się wokół owego rzeźbionego szczątku po dawnym domostwie i niekiedy gęstniał tak mocno, że zdawał się niemal materialny.

## V. Koszmar i kataklizm

### 1.

Ani się czcigodny Marinus Bicknell Willett obejrzał, a doświadczył czegoś odrażającego, co naznaczyło jego duszę niezatartym piętnem lęku – i choć od dawna nie wyglądał już na młodzieniaszka, postarzał się o dobre dziesięć lat. Doktor przeprowadził z panem Wardem długą naradę; obaj zgodzili się co do kilku kwestii, które – w co nie wątpili – alieniści z pewnością by wyśmiali. Uznali mianowicie, że istnieje w świecie jakiś spisek straszliwy, ponad wszelką wątpliwość powiązany blisko z nekromancją starszą jeszcze niźli czary w Salem. Nawet w obliczu wszelkich znanych praw Natury nie sposób było zaprzeczyć, że co najmniej dwóch żywych ludzi – i jeden, o którym nie śmieli nawet myśleć – ma w swym ręku umysły czy osobowości osób żyjących i działających już w 1690 lub nawet wcześniej. Co robiły lub usiłowały zrobić te przeraźliwe kreatury – a z nimi Charles Ward – aż nadto wyraźnie wynikało z ich listów oraz wszelkich, najdrobniejszych nawet poszlak, starych i nowych, jakie udało się w całej sprawie wyśledzić: plądrowały mianowicie groby osób żyjących we wszelkich możliwych epokach, nie wyłączając najmędrszych i najznaczniejszych osobistości tego świata, w nadziei, że z ich prochów wskrzeszą jakiś szczęt świadomości i wiedzy, która niegdyś ożywiała ich cielesne powłoki.

Te hieny cmentarne prowadziły między sobą najwstrętniejszy handel: wymieniali się kośćmi światłych mężów z takim samym spokojem i wyrachowaniem, z jakim sztubacy dzielą się książkami; z zetlałych prochów wydzierali coś, co miało im przynieść moc i mądrość rozleglejszą, aniżeli kiedykolwiek w swych dziejach kosmos pomieścił w jednym człowieku czy grupie ludzi. Odkryli bluźnierczy sposób utrzymywania ich mózgów przy życiu – czy to w pierwotnym, czy też innym ciele – i najwidoczniej nauczyli się podsłuchiwać umysły przywołanych zmarłych. Zaiste, miał trochę racji stary bajdała Borellus, pisząc, że nawet z najdawniejszych szczątków da się

wypreparować pewne „Podstawowe Sole”, z których można wskrzesić cień dawno sczezłej istoty. Istniał przepis na przywołanie takiego cienia, istniał też inny, którym się go odsyłało; oba zostały tak udoskonalone, że można było wyuczyć się ich bez omyłki. Należało jednak zachować ostrożność, albowiem w starych grobach nie zawsze leżą ci, których nazwiska wykuto na stelach.

Willett i pan Ward z drżeniem serca wyciągali kolejne wnioski. Zjawy czy też głosy zmarłych można było wydobywać nie tylko z grobów, ale i z odległych miejsc; ten proces również wymaga ostrożności. Joseph Curwen bez wątpienia dokonał wielu takich zakazanych przywołań – cóż jednak myśleć o Charlesie? Cóż to za siły „z zewnętrznych sfer” dosięgły go po półtora wieku i skierowały jego myśl ku zakazanym sprawom? Coś go poprowadziło, wskazało mu kilka dróg, a on z nich skorzystał. Rozmawiał z jakimś straszliwym mężem w Pradze, dużo czasu przepędził w towarzystwie kreatury z transylwańskich gór. I z pewnością znalazł w końcu grób Josepha Curwena. Artykuł w gazecie i nocne hałasy, które jego matka słyszała na poddaszu, mówiły same za siebie. Potem coś wezwał – i to coś nadeszło. Ten potężny głos, który grzmiał w Wielki Piątek, te różne tony rozbrzmiewające w laboratorium na poddaszu! Do czegóż były podobne w swej dudniącej głębi? Czyż nie zwiastowały w obrzydliwy sposób nadejścia strasznego, nieznanego nikomu doktora Allena z jego upiornym basem? Ależ tak, właśnie to wyczuł pan Ward, gdy po raz pierwszy i ostatni rozmawiał z tym człowiekiem – o ile był to człowiek – przez telefon!

Cóż za piekielna świadomość bądź głos, cóż za chorobliwy cień bądź widmo zjawiły się w odpowiedzi na sekretne ryty Charlesa Warda wyśpiewywane za zamkniętymi drzwiami? Te zwaśnione głosy… „musi pozostać czerwone przez trzy miesiące” – dobry Boże! Czyż nie działo się to na chwilę przed epidemią wampiryzmu? A splądrowany grób Ezry Weedena, a krzyki słyszane później w Pawtuxet? Czyjże umysł zaplanował tę zemstę i odkrył omijane przez wszystkich siedlisko pradawnych bluźnierstw? Potem jeszcze wynajęcie domku, podejrzany brodacz, plotki, strach. Szaleństwa, które w końcu ogarnęło Charlesa, ani ojciec, ani doktor nie próbowali nawet wyjaśnić, obaj jednak byli pewni, że umysł Josepha Curwena powrócił na ziemię i znów kroczy swym odwiecznym chorobliwym szlakiem. Czy naprawdę mogło wchodzić w grę opętanie przez demona? Musiał w tym maczać palce Allen, toteż detektywi koniecznie muszą dowiedzieć się, kim jest ów, kto swą obecnością zagroził życiu młodego Warda. Skoro zaś istnienie rozległych krypt pod domkiem było właściwie poza wszelką dyskusją, tymczasem należało spróbować je odnaleźć. Świadomi sceptycznego nastawienia alienistów, doktor Willett i pan Ward zakończyli swą ostatnią naradę postanowieniem, że wyprawią się potajemnie do Pawtuxet i będą szukali póty, póki ich nie znajdą; umówili się, że następnego ranka spotkają się przy chacie z torbami pełnymi narzędzi i akcesoriów niezbędnych w architektonicznych poszukiwaniach i zgłębianiu podziemi.

Ranek 6 kwietnia był pogodny. Obaj poszukiwacze spotkali się przed chatą o dziesiątej. Otworzyli drzwi kluczem pana Warda, po czym pobieżnie rozejrzeli się po całym wnętrzu. Bałagan w pokoju doktora Allena

wskazywał, że detektywi już tam byli; pozostawało mieć nadzieję, że znaleźli jakąś wskazówkę, która okaże się cenna. Głównym celem poszukiwań była oczywiście piwnica – obaj tropiciele niezwłocznie skierowali tam więc swe kroki i po raz wtóry obeszli wszystkie pomieszczenia, tak jak uczynili to wcześniej w towarzystwie obłąkanego gospodarza. Wstępne oględziny zbiły ich z tropu, zarówno klepisko, jak kamienne mury wydawały się bowiem tak zwarte i niewzruszone, że trudno było sobie wyobrazić, iżby mogło kryć się gdzieś w nich ukryte przejście. Willettowi przyszło do głowy, że skoro piwnicę wybudował ktoś, kto nie wiedział o rozciągających się głębiej katakumbach, to przejście musiało zostać wykonane niedawno, właśnie przez młodego Warda i jego wspólników – widać zasłyszeli niewinne jeszcze pogłoski o istnieniu starodawnych lochów i podjęli próbę ich odszukania.

Doktor zrazu próbował wejść w skórę Charlesa i dociec, które miejsce mógł on obrać za punkt początkowy; nic jednak nie przyszło mu do głowy. Następnie spróbował posłużyć się metodą eliminacji: poddał wszystkie ściany i podłogi skrupulatnym oględzinom, starając się badać osobno każdy cal powierzchni. Stopniowo zawężał obszar poszukiwań, aż został mu tylko oglądany już wcześniej, lecz daremnie, niewielki podest przed wannami. Próbował go poruszyć wszelkimi możliwymi sposobami i wreszcie, zdwoiwszy wysiłek, odkrył, że górna płaszczyzna podestu istotnie jest ruchoma: da się przekręcić ją i przesunąć w płaszczyźnie poziomej wokół narożnej osi. Pod spodem znajdowały się schludnie wybetonowana powierzchnia i żelazna studzienka. Pan Ward, wielce podekscytowany, rzucił się, by ją otworzyć; pokrywa studzienki nie była ciężka, toteż udało mu się ją podnieść i odsunąć niemal do końca. Nagle Willett zauważył, że jego towarzysz zachowuje się w sposób niepokojący: chwieje się i w oszołomieniu kiwa głową; ponieważ z czarnej czeluści wionął cuchnący wyziew, doktor od razu rozpoznał przyczynę jego stanu.

Chwilę później pan Ward leżał już zemdlony na podłodze, a doktor Willett cucił go zimną wodą. Pan Ward z wolna przychodził do siebie, znać było jednak, że nagły podmuch smrodliwych miazmatów poważnie go zatruł. Willett nie ryzykował – popędził na Broad Street, złapał taksówkę i nie zważając na słabe protesty omdlałego towarzysza, wyprawił go do domu; potem zaopatrzył się w latarkę elektryczną, sporządził sobie ze sterylnej gazy maseczkę na twarz i wrócił do piwnicy, by raz jeszcze zajrzeć do świeżo odkrytych lochów. Wstrętny wyziew tymczasem nieco zelżał, toteż Willett uczuł, że może już pochylić się nad tą stygijską głębią i rozświetlić ją promieniem latarki. Pod pokrywą znajdowała się gładka cylindryczna studnia o betonowych ścianach, zaopatrzona w żelazną drabinę i głęboka na jakieś dziesięć stóp. Niżej widać było przechodzące pod studnią stare kamienne schody; pierwotnie musiały wychodzić na powierzchnię na południowy zachód od obecnej chaty.

## 2.

Willett nie ukrywa, że gdy przypomniał sobie stare legendy o Curwenie,

na chwilę zawahał się przed zanurzeniem się w tę cuchnącą czeluść. Nie mógł przestać myśleć o tym, co pisał Luke Fenner o tamtej potwornej nocy. Zwyciężyło jednak poczucie obowiązku – doktor zaopatrzył się w wielką torbę, na wypadek gdyby się okazało, że na dole są jakieś arcyważne papiery, i powoli, jak przystało na człowieka w jego wieku, jął zstępować po drabinie. Wkrótce wylądował na oślizłych schodach. W świetle latarki wyglądały na bardzo stare; wilgotne ściany pokrywał wielowiekowy osad niezdrowych mchów. Stopnie biegły hen, w głąb, nie spiralnie, lecz skręcając po trzykroć pod ostrym kątem, i były tak wąskie, że z trudem minęłyby się na nich dwie osoby. Doktor zaczął je liczyć, doszedł do trzydziestu, kiedy nagle uszu jego dobiegł cichuteńki dźwięk – i gdy go usłyszał, odeszła go ochota do rachunków.

Był to dźwięk bezbożny, jedna z owych skrytych, podstępnych zniewag przeciw Naturze, które istnieć nie powinny. Jakkolwiek by go nazwać – zduszonym lamentem, potępieńczym skomleniem czy beznadziejnym skowytem zestrojonej w jeden chór udręki i boleści bezrozumnego ciała – nie udałoby się oddać w pełni jego obrzydliwości ani najrozpaczliwiej pobrzmiewających w nim nut. Czy tego właśnie nasłuchiwał Ward w dniu swej wyprowadzki? Dźwięk ów, najokropniejszy ze wszystkiego, co Willettowi dotąd zdarzyło się słyszeć, dobywał się z nieokreślonego miejsca, i niósł się jeszcze, gdy doktor zszedł już na dół po schodach i poświecił latarką w głąb wysokiego korytarza. Korytarz zwieńczony był cyklopowym sklepieniem i po obu stronach poprzecinany niezliczonymi, sklepionymi łukowato odrzwiami, w których czaił się mrok. Mierzył około czternastu stóp wysokości, licząc do środka sklepienia, oraz dziesięć, może dwanaście stóp szerokości; wyłożony był wielkimi łupanymi flizami, ściany zaś i sufit były wytworem porządnej murarskiej roboty. Długości jego nie sposób było sobie wyobrazić – biegł prosto jak strzelił w nieskończoną ciemność. Niektóre przejścia zaopatrzone były w sześciopanelowe drzwi w kolonialnym stylu, inne stały otworem.

Willett przemógł wreszcie trwogę, o jaką przyprawiały go dookolny fetor i skowyt, i jął zaglądać w kolejne wnęki; prowadziły one do średniej wielkości izb o kamiennych, żebrowanych sklepieniach i najdziwaczniejszym przeznaczeniu. Wiele z nich zaopatrzonych było w paleniska; konstrukcja wylotów kominowych była zapewne ciekawym rozwiązaniem inżynieryjnym. Jeszcze nigdy dotąd ani potem doktor nie widział takich przyrządów – lub przedmiotów wyglądających na przyrządy – jak te, które co krok wyłaniały się spod stupięćdziesięcioletniej warstwy kurzu i pajęczyn; wiele z nich było ewidentnie zniszczonych, być może ręką dawnych najeźdźców. Wiele izb wydawało się nietkniętych ludzką stopą od niepamiętnych czasów, najwyraźniej Curwen używał ich w najwcześniejszej, archaicznej fazie swych eksperymentów. Wreszcie trafił się pokój urządzony współcześnie, a przynajmniej zupełnie niedawno przez kogoś zajmowany. Znajdowały się w nim palniki, półki na książki, stoły, krzesła i kredensy, a także biurko zarzucone stosami papierów w najróżniejszym wieku, od prastarych po współczesne. W paru miejscach stały świeczniki i lampy naftowe; znalazłszy puszkę z zapałkami, doktor pozapalał wszystkie, jakie tylko nadawały się do użytku.

W blasku świec stało się jasne, że izba nie była niczym innym jak tylko ostatnią pracownią czy biblioteką Charlesa Warda. Doktor rozpoznał wiele ksiąg oraz sporą część mebli ewidentnie przywiezionych z rodzinnej posiadłości Wardów. Co rusz napotykał doskonale znane mu przedmioty; poczuł się wśród nich doprawdy tak swojsko, że niemal zapomniał o panującym dokoła fetorze i dobiegających z mroku skomleniach – jakkolwiek i jedno, i drugie wyczuwało się tu i słyszało znacznie lepiej niźli u podnóża schodów. Zgodnie z podjętym dawno planem doktor za swój pierwszy obowiązek uznał odnalezienie i zebranie wszelkich dokumentów, które mogły mieć jakąś istotną wartość; dotyczyło to zwłaszcza owych złowieszczych stronic, jakie Charles przed laty odkrył w domu przy Olney Court. Przeszukując piętrzące się na biurku stosy papierów, rychło zorientował się, jak otchłannym zadaniem byłoby ich odczytanie – każdy z nich pokryty był bowiem najdziwniejszym pismem i najosobliwszymi znakami; dokładne ich rozszyfrowanie i opracowanie wymagałoby wielomiesięcznej, jeśli nie wieloletniej pracy. Doktor znalazł między innymi grube pliki listów z Pragi i Rakus zaadresowane niewątpliwie ręką Orne'a i Hutchinsona; pozbierał je starannie i umieścił w swej torbie.

Na koniec Willett przetrząsnął mahoniowy sekretarzyk, niegdyś będący ozdobą rezydencji Wardów, i znalazł pakiet starych papierów Curwena; był to dokładnie ten sam plik, który przed wielu laty niechętnie pokazał mu Charles. Młodzieniec najwyraźniej trzymał je w komplecie, tak jak je znalazł, doktor doszukał się bowiem wśród nich wszystkich tytułów, o których wspominali robotnicy; brakowało tylko listów adresowanych do Orne'a i Hutchinsona oraz szyfru wraz z kluczem. Willett schował cały plik do torby i myszkował dalej. Ponieważ najważniejszą rzeczą był w tym momencie stan zdrowia młodego Warda, Willett najpilniej przeglądał te dokumenty, które wyglądały na najświeższe. Przetrząsając współczesne rękopisy, zauważył coś, co wprawiło go w osłupienie: otóż była wśród nich skromna garstka tekstów napisanych normalną, zdrową ręką Charlesa, spośród których żaden nie powstał później niż przed dwoma miesiącami; całe stosy rękopisów – symboli, wzorów, notatek historycznych i komentarzy filozoficznych – były natomiast sporządzone wymyślnym pismem Josepha Curwena, jakkolwiek bez wątpienia sporządzono je współcześnie. Najwyraźniej ostatnimi czasy Charles usilnie pracował nad podrobieniem pisma starego czarownika – i doszedł w tym, jak się zdawało, do niebywałej perfekcji. Ani jeden dokument nie nosił natomiast śladu jeszcze innej ręki: doktora Allena. Jeśli istotnie to on przejął przywództwo, z pewnością przymusił młodego Warda do pełnienia funkcji sekretarza.

W nowszych manuskryptach jedna formuła, czy raczej para formuł, przewijała się na tyle często, że nim doktor Willett zdążył przejrzeć je do końca, machinalnie wryła mu się w pamięć. Składała się z dwu równoległych kolumn; kolumna lewa zwieńczona była archaicznym symbolem zwanym „Głową Smoka", stosowanym w starych almanachach do oznaczenia węzła wstępującego, prawa zaś odpowiadającym mu znakiem „Ogona Smoka", symbolizującym węzeł zstępujący. Całość wyglądała tak jak na poniższej ilustracji. Doktor niemal nieświadomie zdał sobie sprawę, że

druga część jest po prostu częścią pierwszą z odwróconą wspak kolejnością sylab; wyjątek stanowiły jedynie końcowe monosylaby oraz dziwaczne imię Yog-Sothoth, które doktorowi zdarzało się już widzieć w dokumentach powiązanych z tą straszliwą sprawą, choć w różnych transkrypcjach. Poniższy zapis jest – jak dowodził potem Willett – wiernym odwzorowaniem formuły. Pierwsza jej część w dziwaczny i nieprzyjemny sposób trąciła jakąś uśpioną strunę w jego pamięci; jaką – doktor przypomniał sobie później, analizując wypadki, które zaszły w Wielki Piątek poprzedniego roku.

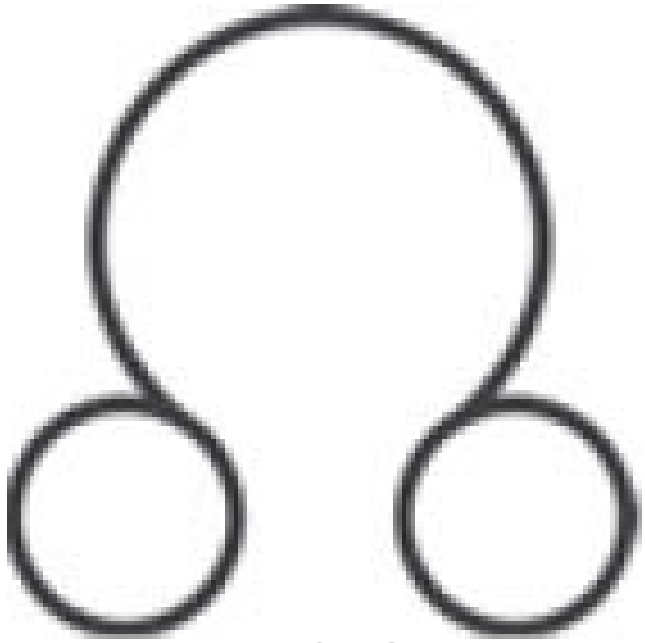

Y’AI ’NG’NGAH,
YOG-SOTHOTH
H’EE – L’GEB
F’AI THRODOG
UAAAH

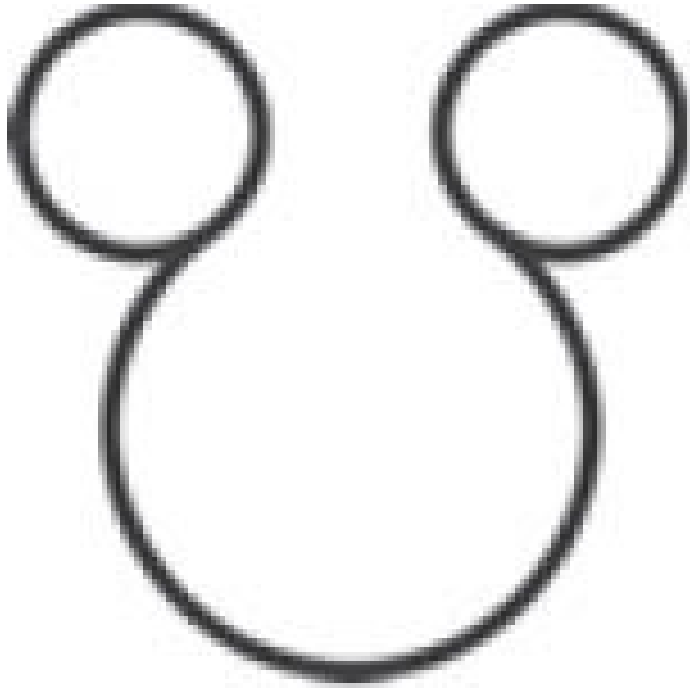

OGTHROD AI’F

GEB’L – EE’H
YOG-SOTHOTH
’NGAH’NG AI’Y
ZHRO

Formuły te działały tak hipnotyzująco i powtarzały się tak często, że doktor mimowolnie zaczął powtarzać je pod nosem. W końcu jednak uznał, że zebrał już wystarczającą liczbę papierów, i zaprzestał dalszych poszukiwań; postanowił, że sprowadzi do lochów całą trójkę sceptycznych alienistów i raz jeszcze, tym razem wspólnie, przeprowadzą systematyczne i gruntowne badania. Teraz musiał znaleźć ukryte laboratorium – zostawił przeto torbę w oświetlonej izdebce i ponownie zanurzył się w mroczny, cuchnący korytarz, pod którego kamiennym sklepieniem niosło się w nieskończoność echo zdławionych, wstrętnych skomleń.

Kilka następnych izb było zupełnie pustych lub wypełnionych jedynie zmurszałymi skrzyniami i złowrogo wyglądającymi ołowianymi trumnami. Doktor był głęboko zdumiony rozmachem, z jakim Curwen prowadził swe machinacje; przypomniał sobie o zaginionych niewolnikach i marynarzach, o grobach plądrowanych w najróżniejszych stronach świata, pomyślał o tym, co musiał ujrzeć oddział egzekutorów – i po chwili uznał, że lepiej nie zastanawiać się nad tym wcale. W pewnym momencie po prawej stronie ujrzał schody idące pod górę; uznał, że musiały niegdyś prowadzić do jednego z Curwenowych zabudowań, być może słynnej kamiennej budowli z wysokimi szczelinami zamiast okien – pod warunkiem że schody, którymi zszedł na dół, wychodziły dawniej z nie mniej sławnego domu Curwena. Nagle ściany jakby rozstąpiły się przed nim, a natężenie smrodu i jęku poczęło narastać. Willett ujrzał, że rozpościera się przed nim potężna otwarta przestrzeń – tak wielka, że światło latarki nie sięgało przeciwległej ściany; postępując naprzód, co pewien czas natrafiał na przysadziste filary wspierające łukowaty strop.

Po pewnym czasie dotarł do filarów tworzących krąg niczym monolity w Stonehenge, z ustawionym pośrodku, na trzyschodkowym podwyższeniu, wielkim rzeźbionym ołtarzem. Rzeźbienia te były tak osobliwe, że doktor zbliżył się, by obejrzeć je dokładniej w świetle latarki; wszelako uczyniwszy to, odskoczył do tyłu z dreszczem zgrozy – i nie przyjrzał się już ciemnym plamom na górnej powierzchni ołtarza, tu i ówdzie rozlewającym się na boki cienkimi smużkami. Ruszył dalej i dotarł na drugą stronę sali. Gigantyczna ściana rozciągała się koliście w obie strony; poprzecinana była gdzieniegdzie ziejącymi czernią odrzwiami oraz bezlikiem ciasnych cel zaopatrzonych w żelazne kraty oraz kajdany na ręce i nogi, przykute łańcuchem do tylnych, wklęsłych ścian. Cele były puste, wszelako wciąż, i to jeszcze wyraźniej niż dotychczas, czuć było tu straszliwy odór i rozlegały się posępne jęki; tym ostatnim co pewien czas towarzyszył odgłos jakby śliskich, głuchych uderzeń.

Fetor był już tak straszliwy, a hałas tak niesamowity, że Willett nie mógł dłużej udawać, że niczego nie zauważa. Tu, w wielkiej kolumnowej sali, czuł i słyszał wszystko wyraźniej niż gdziekolwiek indziej; i jakkolwiek znajdował się już przecież w mrocznych czeluściach podziemnego, tajemnego świata, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że te ohydne dźwięki i nieznośny fetor dobiegają z jakichś jeszcze głębszych otchłani. Doktor zamierzał sprawdzić, czy za którymś z ciemnych wyjść nie znajdują się schody wiodące dalej w dół, pierwej jednak skierował snop światła na kamienną posadzkę. Płyty były ułożone bardzo luźno, w nieregularnych zaś odstępach trafiały się kamienie podziurkowane niewielkimi, nieukładającymi się w żaden określony wzór otworami; na dodatek pod ścianą leżała drabina, niedbale porzucona i niezwykle długa. Co najosobliwsze, właśnie do owej drabiny przylgnął w wyjątkowym stopniu ów przemożny, zatrważający smród. Doktor przemierzał wolnym krokiem całą salę i nagle dotarło do niego, że i hałas, i smród wydają się najsilniejsze właśnie nad owymi dziwacznie dziurkowanymi kamieniami – jak gdyby były to toporne zapadnie prowadzące do jakichś głębszych jeszcze zgróz. Ukląkłszy przy jednym z nich, naparł nań rękoma i istotnie okazało się, że z najwyższym trudem jest w stanie wprawić go w ruch. Gdy tylko ciężka płyta drgnęła, jęk począł narastać, toteż doktor kontynuował to mozolne zajęcie z coraz większą trwogą. Z dołu buchał smród niewysłowiony – gdy Willett odsunął wreszcie płytę na bok i skierował światło latarki w ziejącą pod nią czerń, uczuł, że kręci mu się w głowie.

Jeśli oczekiwał, że ujrzy schody wiodące do jakiejś pieczary wypełnionej najskrajniejszym obrzydlistwem, czekało go rozczarowanie; pośród fetoru i chrypliwego skomlenia zdołał dostrzec jedynie ceglaną cembrowinę cylindrycznej studni mającej jakieś półtora jarda średnicy i pozbawionej drabiny tudzież wszelkich innych sposobów zejścia na dół. Gdy snop światła powędrował w dół, jęk przeobraził się nagle w serię przeraźliwych skowytów; towarzyszył im odgłos ślepych, rozpaczliwych, oślizłych grzmotnięć o kamienną ścianę. Doktor zadrżał, nie próbując sobie nawet wyobrazić, cóż za schorzała istota czai się w tej otchłani; po chwili jednak zebrał się na odwagę – położył się na posadzce, wychylił za grubo ciosaną krawędź i wyciągnął w dół rękę z latarką. Przez chwilę nie mógł dostrzec nic prócz lepkich, omszałych ceglanych ścian ciągnących się w nieskończoną głąb wypełnioną namacalnym wręcz miazmatem oćmy, smrodu i rozpaczliwej udręki; potem ujrzał, jak na dnie wąskiego szybu, znajdującym się nie mniej niż dwadzieścia–dwadzieścia pięć stóp pod poziomem kamiennej posadzki, coś szaleńczo, niezdarnie podskakuje. Latarka zadrżała mu w dłoni, ale doktor zajrzał tam raz jeszcze; ciekaw był, co naprawdę czai się w tym mroku, cóż za stworzenie młody Ward zamurował żywcem w tej nienaturalnej studni. Cokolwiek to było, już cały długi miesiąc – bo tyle czasu minęło, od kiedy Charlesa zabrano do szpitala – cierpiało głodowe męki, a przecież nie było jedyne: wielką kolumnową salę wypełniało całe mrowie podobnych studni zamkniętych na głucho kamiennymi pokrywami. Czymkolwiek były te stworzenia, nie powinny mrzeć w tych ciasnych więzieniach – a przecież tkwiły tam, zapomniane przez swego pana, przez

długie, ohydne tygodnie skomląc i rwąc się do góry w omdlałych podskokach.

Wszelako Marinus Bicknell Willett pożałował, że zajrzał tam ponownie; ten doświadczony chirurg, weteran prosektoriów, tym razem ujrzał coś, co odmieniło go na zawsze. Trudno wyjaśnić, czemu jeden rzut oka na namacalny przecież i wymierny przedmiot aż tak bardzo nim wstrząsnął; możemy tylko stwierdzić, że istnieją pewne formy i istoty, które swą potężną, wymowną symboliką przyprawiają co wrażliwszych myślicieli o dreszcz przerażenia – w mglisty, acz straszliwy sposób sugerując, że za ochronną zasłoną pospolitych złudzeń kosmos wypełnia bezlik mrocznych powiązań i nienazywalnych realności. Zajrzawszy do studni po raz wtóry, Willett musiał ujrzeć taką właśnie formę czy istotę, przez chwil kilka zachowywał się bowiem nie mniej obłąkańczo niż pensjonariusze prywatnej lecznicy doktora Waite'a. Zwiotczały mu mięśnie w wyciągniętej ręce, brakło koordynacji nerwów – nieświadom, co czyni, wypuścił latarkę, nie usłyszał też, jak chwilę później w studziennej czeluści kłapnęły zęby, pieczętując jej los. Wrzeszczał i wrzeszczał, i nie było końca jego wrzasków, wrzeszczał zaś takim głosem – piskliwym, przeraźliwym falsetem – że nie poznałby go nikt z jego znajomych; a ponieważ nie był w stanie dźwignąć się na równe nogi, pełzał i przewalał się rozpaczliwie po wilgotnej posadzce, w odpowiedzi zaś na jego obłąkańczy lament z dziesiątków hadesowych studni wylewał się rozmrowiony strumień zmęczonych pojękiwań i skomleń. Doktor ranił sobie ręce na obruszonych, szorstkich płytach, raz po raz uderzał głową o filary, ale nie ustawał. Krążył tak, nurzając się w smrodzie i nieprzebitym mroku, aż wreszcie z wolna doszedł do siebie. Zatkał sobie uszy, by już nie słyszeć studziennego skowytu przechodzącego z wolna w żałośliwy pomruk. Mokry od potu, bez światła, bez zapałek, tkwił w otchłannych ciemnościach i trząsł się ze zgrozy, nie mogąc wymazać z pamięci potwornego widoku. Pod nim wciąż jeszcze żyły dziesiątki podobnych stworzeń, jeden zaś z szybów był już odsłonięty. Doktor wiedział, że to, co w nim tkwi, nie wdrapie się po śliskich ścianach, zadrżał jednak na myśl, że mogłoby jednak znaleźć przeoczony dotychczas występ w murze.

Czym był ów stwór – niepodobna orzec. Przypominał niektóre z płaskorzeźb na ołtarzu, tyle że był żywy. Z całą pewnością w takiej formie nie mogła go stworzyć Natura, widać było bowiem jak na dłoni, że jest nieukończony. Jego niedostatki były zdumiewające, zwyrodniałość proporcji – wręcz nie do opisania. Willett stwierdził jedynie, że właśnie tego rodzaju byty Ward musiał przywoływać za pomocą niedoskonałych soli i hodować je jako istoty służebne bądź w celach rytualnych. Musiały być w jakiś sposób znaczące, inaczej nie wyrżnięto by ich wizerunków na nikczemnym obrzędowym głazie. Wśród widocznych na nim rzeźbień nie była to rzecz najstraszliwsza, toteż Willett nie otworzył już żadnej innej studni. Pierwszą sensowną myślą, jaka przyszła mu do głowy, było wspomnienie pewnego nieznaczącego ustępu ze starych dokumentów, nad którym już dawno łamał sobie głowę – zdanie, jakie Simon bądź Jedediah Orne napisał w pamiętnym, skonfiskowanym liście do Curwena: „Zaprawdę, w tym, co H.-owi udało się wskrzesić, zgromadziwszy jeno część Tego, co powinien, nie było Nic prócz

najżywszego Szkaradzieństwa”.

Następnie zaś naszło doktora – nie tyle jednak wypierając myśl poprzednią, ile w straszliwy sposób ją uzupełniając – wspomnienie zwęglonych, poskręcanych zwłok, które ponoć znaleziono na polach tydzień po najeździe na farmę Curwena. Charles Ward opowiadał kiedyś doktorowi, co powiedział mu o tych zwłokach stary Slocum: ani nie były one zupełnie ludzkie, ani też nie przypominały żadnego zwierzęcia, o jakim kiedykolwiek w Pawtuxet słyszano lub czytano.

Doktor kołysał się w kucki na pokrytej saletrą kamiennej posadzce, a słowa starego Slocuma dudniły mu w głowie. Próbował je zagłuszyć: zrazu odmawiał w kółko *Modlitwę Pańską*, potem wylewał z siebie bełkotliwy strumień wspomnień, przypominający modernistyczną poezję w rodzaju *Ziemi jałowej* pana T.S. Eliota, a wreszcie jął powtarzać ową podwójną formułę, którą znalazł i zapamiętał w podziemnej bibliotece Charlesa: *Y’ai ’ng’ngah*, *Yog-Sothoth*… i dalej, aż po finałowe, podkreślone *Zhro*. Zaklęcie chyba działało kojąco, bo po pewnym czasie Willett zdołał chwiejnie podnieść się na równe nogi; gorzko żałując utracenia latarki i gorączkowo rozglądając się dokoła, usiłował dojrzeć w atramentowych, lodowatych ciemnościach najlżejszy choćby poblask światła. Myśleć nie był w stanie, wytężał tylko wzrok we wszystkich kierunkach, wypatrując poświaty, która wskazałaby mu drogę do rzęsiście oświetlonej biblioteki. Po chwili zdało mu się, że dostrzega ją gdzieś w nieskończonej dali, tedy ruszył przez skowyt i fetor, na czworakach, z rozpaczliwą ostrożnością badając przestrzeń przed sobą, by nie zderzyć się z którymś z licznych filarów ani nie wpaść do owej wszetecznej studni, tak nieostrożnie przez siebie odkrytej.

W pewnej chwili wymacał drżącymi palcami coś, co musiało być postumentem piekielnego ołtarza – i odskoczył odeń ze wstrętem. Później napotkał odsuniętą płytę i ostrożność jego ruchów stała się wręcz żałosna. Nie zbliżył się już jednak do tego przeraźliwego otworu, nic też zeń nie wychynęło. Cokolwiek tam tkwiło, zamarło bez dźwięku, bez ruchu. Najwyraźniej zaszkodziło mu połknięcie spadającej latarki. Ilekroć Willett natrafiał ręką na dziurkowane płyty, przechodził go dreszcz. Gdy przeczołgiwał się po nich, dochodzący z dołu jęk czasem jakby się wzmagał, na ogół jednak nie działo się nic szczególnego – doktor przemieszczał się niemal bezszelestnie. Kilka razy zdarzyło się, że poświata zauważalnie przygasła. Willett pojął, że w bibliotece jedna po drugiej gasną pozapalane przezeń świece i lampy. Na myśl o tym, że za chwilę może go ogarnąć nieprzebity mrok, że zostanie bez zapałek w tym koszmarnym podziemnym labiryncie, zerwał się na równe nogi i puścił się biegiem; mógł to uczynić, skoro minął już bezpiecznie otwartą studnię, wiedział zaś, że jeśli zgaśnie ostatnie źródło światła, pozostanie mu tylko nadzieja, że po pewnym czasie zaniepokojony jego nieobecnością pan Ward pośle do podziemi grupę ratunkową. Na szczęście udało mu się wreszcie wydostać z wielkiej sali, odnaleźć właściwy korytarz, a wreszcie ujrzeć upragniony blask bijący z drzwi po prawej stronie. Po chwili był już z powrotem w tajnej bibliotece Warda; drżąc z ulgi, stanął w progu i patrzył, jak dogasa ostatnia zbawcza lampa.

Chwilę później pospiesznie napełniał puste lampy naftą ze znalezionego wcześniej zbiornika, a gdy w izbie znów było jasno, rozejrzał się w poszukiwaniu latarni, którą mógłby zabrać z sobą na dalsze poszukiwania. Jakkolwiek bowiem był wręcz zdrętwiały ze zgrozy, nie zapomniał o głównym celu swej ponurej ekspedycji: gotów był przetrząsać lochy dopóty, dopóki nie odkryje całej ohydnej prawdy o dziwacznym obłędzie Charlesa Warda. Latarni nie znalazł, przysposobił sobie przeto najmniejszą lampę, a kieszenie wypchał świecami i zapałkami; zabrał też puszkę z galonem zapasowej nafty, na wypadek gdyby za straszliwą kolumnową salą z jej nieczystym ołtarzem i niesłychanymi studniami udało mu się odkryć ukryte laboratorium. Ponowne przejście przez przepaścistą salę wymagało najwyższego hartu ducha, doktor wiedział wszakże, że musi się na to zdobyć. Szczęśliwym trafem zarówno straszny ołtarz, jak i otwarty szyb znajdowały się daleko od dookolnej ściany z celami – logika podpowiadała zaś, że majaczące w niej tajemnicze wyjścia winny być następnym krokiem w poszukiwawczej misji.

Willett wrócił tedy do olbrzymiej kolumnowej sali kipiącej od smrodu i udręczonego wycia; skierował lampę w dół, by nie widzieć piekielnego ołtarza ani odkrytej studni z odwaloną na bok płytą. Większość wyjść wiodła nie dalej niż do ciasnych izdebek, spośród których część była pusta, część zaś służyła jako składziki. W kilku takich składzikach doktor napotkał zgromadzone osobliwe przedmioty. Jeden wypełniały przegniłe i zakurzone sterty zapasowych ubrań – i to, jak odkrył Willett z przerażeniem, ubrań sprzed półtora stulecia. W innej izbie leżały nieprzebrane stosy strojów współczesnych, przygotowanych jakby z myślą o wyposażeniu wielkiej rzeszy ludzi. Najmniej jednak przypadły doktorowi do gustu stojące tu i ówdzie potężne miedziane kadzie inkrustowane w złowieszcze wzory; doprawdy, wydały mu się one wstrętniejsze jeszcze niźli ołowiane puchary, dziwnokształtne, ze wstrętnym osadem na brzegach i ohydnie cuchnące – co dawało się wyczuć nawet mimo ogólnego smrodu panującego w krypcie. Obszedłszy niemal połowę wielkiego koliska, doktor natrafił wreszcie na korytarz podobny do tego, którym przyszedł, z wieloma pootwieranymi drzwiami; ruszył tedy, by go zbadać, i jął zaglądać za drzwi. Zwiedziwszy trzy średnich rozmiarów izby, które nie mieściły niczego interesującego, znalazł wreszcie pomieszczenie obszerniejsze, owalnego kształtu i fachowo urządzone: stoły, kadzie, paleniska, różne nowoczesne przyrządy, nieliczne książki i niekończące się półki pełne słojów i butli nie pozostawiały wątpliwości, że jest to upragniony cel jego poszukiwań – laboratorium Charlesa Warda, a dawniej z całą pewnością także starego Josepha Curwena.

Willett zapalił wszystkie trzy lampy, które okazały się pełne i gotowe do użytku, po czym z najwyższym zainteresowaniem obejrzał całe pomieszczenie wraz ze znajdującymi się w nim akcesoriami; ze składu zgromadzonych na półkach odczynników wywnioskował, że głównym obszarem dociekań młodego Warda musiała być chemia organiczna. Ogólnie rzecz biorąc, znajdująca się w izbie aparatura badawcza – w której skład

wchodził między innymi posępny stół sekcyjny – niewiele jednak wyjaśniała, toteż efekt oględzin okazał się raczej rozczarowujący. Wśród książek znajdował się wydrukowany gotykiem egzemplarz Borellusa, stary i sfatygowany; ciekawe i niesamowite było to, że Ward podkreślił w nim ten sam ustęp, który z górą półtora wieku wcześniej tak zbulwersował zacnego pana Merritta. Egzemplarz Curwena, rzecz jasna, niechybnie spłonął razem z całym jego księgozbiorem podczas szturmu na farmę. Z laboratorium prowadziły dalej trzy łukowate wyjścia; doktor zaglądał po kolei do znajdujących się za nimi izb. Dwie były niewielkie i służyły tylko jako składziki, Willett jednak dokładnie je sobie obejrzał. Znalazł między innymi sterty trumien w różnym stopniu rozkładu, gdy zaś odcyfrował dwie czy trzy z nielicznych zachowanych tabliczek, aż przeszły go ciarki. Prócz trumien znalazł kolejne stosy ubrań oraz kilka nowych, starannie zabitych gwoździami skrzyń, nie tracił jednak na nie czasu. Najbardziej bodaj zainteresowały go dziwaczne szczątki jakichś urządzeń, najpewniej przyrządów laboratoryjnych Curwena. Widać było, że ucierpiały w spotkaniu z oddziałem egzekutorów, wszelako można było w nich jeszcze rozpoznać akcesoria chemiczne z czasów georgiańskich.

Trzecie wyjście prowadziło do przestronnego pomieszczenia z półkami biegnącymi wzdłuż wszystkich ścian oraz ze stojącym pośrodku stołem. Na stole stały dwie lampy. Willett zapalił je i w jasnym ich blasku dokładnie przestudiował zawartość niekończących się regałów. Niektóre wyższe poziomy były zupełnie puste, większość półek zastawiona była jednak niewielkimi ołowianymi naczyniami o cudacznym wyglądzie. Można było wyróżnić wśród nich dwa główne typy: jeden wysoki i pozbawiony ucha, podobny był do lekytów, greckich dzbanów do przechowywania oliwy; typ drugi wyposażony był w pojedyncze ucho i z kształtu przypominał dzbany falerońskie. Wszystkie miały metalowe zatyczki i pokryte były osobliwymi, płaskorzeźbionymi symbolami. Po chwili doktor zorientował się, że dzbany są niezwykle rygorystycznie skatalogowane; wszystkie lekyty zgromadzone były na jednym regale opatrzonym dużą drewnianą tabliczką z napisem „Custodes”, wszystkie zaś falerony znajdowały się po stronie przeciwnej i oznaczone były jako „Materia”. Wszystkie dzbany czy garnce – nie licząc kilku stojących na wyższych półkach, które okazały się puste – zaopatrzone były też w kartonowe etykietki z numerami, najwidoczniej odsyłającymi do jakiegoś katalogu. Willett postanowił, że zaraz go poszuka, tymczasem jednak bardziej interesował go sam sposób rozmieszczenia całego zbioru. Otworzył na próbę kilka przypadkowo wybranych lekytów i faleronów, by wyrobić sobie ogólne pojęcie o ich zawartości. Jak się okazało, w obu typach naczyń znajdowało się dokładnie to samo: niewielka ilość miałkiego, pylistego proszku, niezwykle lekkiego, w różnych odcieniach matowej, neutralnej barwy. Zawartość poszczególnych dzbanów różniła się jedynie ową barwą, wszelako nie sposób było określić, wedle jakiej zasady są pogrupowane; nie było też różnicy między tym, co znajdowało się w lekytach, a tym, co zawierały falerony. Proszek sinawoszary sąsiadował niekiedy z różowawobiałym, zdarzało się też, że pył identycznego koloru znajdował się w jednym z lekytów i jednym z faleronów. Najszczególniejszą

właściwością wszystkich proszków była ich nieprzyczepność: Willett wysypał sobie trochę pyłu na dłoń, a po przesypaniu z powrotem do słoja stwierdził, że na palcach nie pozostała po nim żadna, najdrobniejsza nawet resztka.

Wielką zagadką było znaczenie obu tabliczek. Doktor zachodził w głowę, dlaczego ta bateria chemikaliów została tak radykalnie oddzielona od odczynników przechowywanych w szklanych dzbanach we właściwym laboratorium. „*Custodes*” i „*materia*” to łacińskie słowa oznaczające odpowiednio „straże” i „tworzywo”... Willett usiłował przypomnieć sobie, gdzie w tej okropnej tajemnicy zdarzyło mu się napotkać słowo „straże”, i nagle go olśniło: rzecz jasna, w ostatnim liście do doktora Allena, napisanym prawdopodobnie przez starego Edwarda Hutchinsona. Brzmiało to tak: „nie było Potrzeby, iżby Straże w cielesnej trzymać Postaci, żrą tylko na potęgę, a nadto, jak Ci aż za dobrze wiadomo, Wielki mogą sprawić Kłopot”. Cóż to znaczyło? Ale zaraz, chwileczkę – czy nie istniała jeszcze jedna wzmianka o „strażach”, o której kompletnie zapomniał, czytając list Hutchinsona? Dawno temu, gdy Ward był jeszcze skłonny do zwierzeń, opowiadał doktorowi o dzienniku Eleazara Smitha zawierającym raport z obserwacji Curwenowej farmy. W tej straszliwej kronice wspomniane były rozmowy, jakie Smithowi i Weedenowi udało się podsłuchać, zanim stary czarownik przeniósł wszystkie swe poczynania pod ziemię. Zgodnie z relacją obu tropicieli w tych straszliwych przesłuchaniach uczestniczyli sam Curwen, jego jeńcy oraz pilnujące tych jeńców straże. Jeśli wierzyć Hutchinsonowi lub jego awatarowi, strażnicy owi „żarli na potęgę” – dlatego właśnie doktor Allen nie trzymał ich w cielesnej postaci. A skoro nie trzymał ich w cielesnej postaci, to jak inaczej aniżeli w formie „soli”, w które – jak się okazuje – cała ta grupa czarowników z łatwością umiała obrócić dowolną liczbę ludzkich ciał i szkieletów?

A więc taka była zawartość lekytów? Poczwarny owoc bluźnierczych uczynków i obrzędów, najpewniej siłą zaprzęgnięty do służby, wzywany mocą piekielnych inkantacji dla obrony swego bezbożnego pana lub po to, by zmuszać opornych do zwierzeń? Willett wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie, co naprawdę przesypywał sobie między palcami; przez chwilę miał ochotę czmychnąć w popłochu z tej ohydnej groty pełnej milczących, a może też czuwających strażników. Potem pomyślał o „tworzywie” – niezliczonych faleronach zebranych po drugiej stronie izby. To również były sole – a jeśli nie sole „straży”, to czyje? Boże! Byłoż możliwe, że spoczywają tam doczesne szczątki połowy największych tytanów intelektu wszystkich czasów, porwane z krypt, gdzie złożył je ufny świat, gotowe na każde skinienie tych mistrzów nekromancji, szaleńców gromadzących wiedzę w jakichś jeszcze szaleńszych zamiarach, których ostateczną stawką jest być może – jak sugerował Charles w swej rozgorączkowanej wiadomości – „los całej cywilizacji, naturalnych praw, być może nawet los Układu Słonecznego i całego wszechświata”? I pomyśleć, że Marinus Bicknell Willett przesiewał je sobie przez palce!

Po chwili doktor spostrzegł w kącie izby niewielkie drzwi, opanował się więc odrobinę, podszedł bliżej i jął studiować wyryty nad framugą toporny znak. Był to tylko symbol, lecz jego widok przejął go nieokreśloną duchową trwogą – pewien przyjaciel, schorzały wędrowiec po krainie sennych

marzeń, narysował mu go onegdaj na kartce i opowiedział co nieco o sensie, jaki ma ów znak w mrocznych czeluściach snu. Był to znak Koth, który zwidywał się śniącym nad sklepionymi wrotami do pewnej czarnej wieży stojącej samotnie w półmroku – doktorowi nie spodobało się zaś to, co ów przyjaciel, Randolph Carter, mówił o tkwiącej w nim mocy. Chwilę później zapomniał już jednak o znaku, uwagę jego przykuła bowiem nowa woń, cierpka i wyraźnie wyczuwalna mimo panującego dokoła odoru. Był to zapach raczej chemiczny niż zwierzęcy, wionął zaś ewidentnie zza zamkniętych drzwi. Bez wątpienia był to też dokładnie ów zapach, którym przesiąknięte były ubrania Charlesa, gdy zabierano go do szpitala. A więc to tutaj zastała go ostatnia wizyta lekarzy? Ward nie stawił oporu, zatem był mędrszy od starego Curwena. Willett zdecydowany był zgłębić wszystkie koszmary i cuda tego piekielnego królestwa, tedy śmiało chwycił małą lampę i otworzył drzwi. Zrazu zalała go fala niewysłowionego przerażenia, nie uległ mu jednak – nie słuchał już kapryśnych podszeptów intuicji. Nie było tu żadnej żywej istoty mogącej go skrzywdzić, toteż nic nie stało mu na drodze do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy żrących, upiornych wyziewów, które pochłonęły jego pacjenta.

Izba była średnich rozmiarów i prawie pusta; znajdowały się tam tylko stół, jedno krzesło i dwie grupy osobliwych machin z klamrami i kółkami – w tych ostatnich Willett rozpoznał po chwili średniowieczne narzędzia tortur. Po jednej stronie drzwi stał stojak z brutalnymi biczyskami, nad nim zaś wisiało kilka półek zastawionych pustymi, płytkimi pucharami wykonanymi z ołowiu i ukształtowanymi na podobieństwo greckich kyliksów. Po drugiej stronie znajdował się stół, na stole stała zaś mocna lampa Arganda oraz dwa zamknięte lekyty, najpewniej przyniesione z sąsiedniego pomieszczenia i tymczasowo bądź w pośpiechu pozostawione w przypadkowych miejscach. Obok leżały bloczek papieru i ołówek. Willett zapalił lampę i uważnie przestudiował zapiski; ciekaw był, jakie notatki sporządzał młody Ward, gdy przeszkodziło mu ostatnie najście; nie znalazł jednak ani jednego zrozumiałego zdania, tylko garść bezładnych fragmentów zapisanych pokrętnym Curwenowym pismem i niewnoszących do całej sprawy nic szczególnego:

B. nie sczezł. Czmychnął w mury i znalazł Miejsce pod ziemią.

Widziałem starego V., wypowiedziałem Sabaoth i wyuczyłem się Sposobu.

Wskrzesiłem po trzykroć Yog-Sothoth, przybył Nazajutrz.

F. próbował zniszczyć wszytko, czegośmy się dowiedzieli o Tych z Zewnątrz wskrzeszaniu.

WSKRZESIŁEM PO TRZYKROĆ *YOG-SOTHOTH* PRZYBYŁ NAZAJUTRZ

Gdy mocny blask lampy Arganda rozświetlił izbę, doktor zauważył, że w ścianę naprzeciwko drzwi, pomiędzy stojącymi w obu kątach narzędziami tortur, powbijane są haki, a na hakach wiszą bezkształtne szaty dość ponurej żółtawobiałej barwy. Znacznie ciekawsze były jednak puste, gładko oszlifowane ściany boczne – pokrywał je bowiem gąszcz topornie wyrytych symboli i formuł mistycznych. Ślady rylca nosiła też wilgotna posadzka; pośrodku udało się Willettowi z pewnym trudem odcyfrować olbrzymi pentagram, mniej więcej w połowie odległości od każdego kąta izby otoczony dodatkowo zwykłym okręgiem. W jednym z kątów, tuż obok wiszących bezładnie szat, stał płytki kyliks, taki sam jak te nad stojakiem z biczami; tuż poza okręgiem znajdował się też faleron opatrzony tabliczką z numerem 118, najwyraźniej przyniesiony z sąsiedniego pomieszczenia. Nie był zamknięty, doktor zajrzał więc do środka i przekonał się, że nic w nim nie ma, wszelako – co zauważył z drżeniem serca – kyliks już pusty nie był: w płytkiej misie spoczywała garstka matowego pyłu zielonkawej barwy, suchego i zwietrzałego. Proszek pochodził najwyraźniej z faleronu, w kyliksie ostał się zaś tylko dzięki temu, że do zacisznej groty nie docierał najlżejszy nawet powiew wiatru. Willett pomału łączył w myślach wszystko, co znalazł dotychczas w trakcie swej podziemnej wędrówki, i na myśl o wynikających stąd implikacjach omal nie zakręciło mu się w głowie. Bicze i narzędzia tortur, prochy czy sole z dzbana z „tworzywem”, dwa lekyty z półki ze „strażami”, szaty, zaklęcia na ścianach, zapiski na kartce, sugestie w listach i legendach, do tego tysiąc intuicji, wątpliwości i domysłów, jakimi zadręczali się przyjaciele i rodzice Charlesa Warda… doktor spoglądał na suchy zielonkawy proszek rozsypany w stojącym u jego stóp ołowianym kyliksie i czuł, jak do głowy uderza mu fala najczystszej zgrozy.

Po chwili, jakkolwiek z wysiłkiem, wziął się jednak w garść i jął studiować wyryte na ścianach formuły. Sądząc po plamach oraz osadzie, jaki nagromadził się w żłobieniach, z pewnością wykonano je jeszcze w czasach Curwena, ich zaś treść rozpoznałby chyba każdy, kto gruntownie zapoznał się z jego rękopisami bądź miał za sobą rozległe studia z historii magii. Doktor bez trudu odnalazł wśród nich zaśpiewy, jakie wydawał z siebie Charles rok wcześniej w pamiętny, złowieszczy Wielki Piątek, będące – jak wyjaśnili mu potem specjaliści – straszliwą inwokacją do tajemniczych bogów spoza granic normalnego wszechświata. Zaśpiew nie był zapisany dokładnie tak, jak zapamiętała pani Ward, ani tak, jak w zakazanym dziele Eliphasa Leviego, które pokazali Willettowi znawcy; był to jednak niewątpliwie ten sam tekst, znajdujące się w nim zaś słowa w rodzaju *Sabaoth, Metraton, Almousin* czy *Zariatnatmik* przyprawiły doktora o dreszcz trwogi – aż nadto współgrały z bezmiarem zgromadzonego tuż za rogiem kosmicznego wszeteczeństwa.

Gdy patrzyło się od strony wejścia, formuła ta znajdowała się na ścianie po lewej ręce. Ściana po prawej zapisana była równie gęsto, na niej także Willett znalazł zresztą coś, co już znał: bliźniaczą parę formuł, która tak często pojawiała się w nowszych notatkach w bibliotece. Były to z grubsza te same zaklęcia co w Charlesowych gryzmołach, wieńczyły je też identyczne

starożytne symbole „smoczej głowy” i „smoczego ogona”. Znacząco różniła się jednak ich pisownia – widocznie stary Curwen inaczej zapisywał te same dźwięki lub też Ward w toku swych badań opracował ich potężniejsze, udoskonalone wariacje. Doktor próbował uzgodnić wersję wyrytą na ścianie z tą, która uparcie wybrzmiewała mu w głowie, okazało się to jednak zadaniem niełatwym. W rękopisie początek inwokacji brzmiał *Y’ai ’ng’ngah, Yog-Sothoth,* epigraf zaś na ścianie zaczynał się od słów *Aye, engengah, Yogge-Sothotha*; bez wątpienia w obu zapisach nie zgadzała się sylabizacja drugiego słowa.

Doktor pamiętał doskonale zapis formuły, toteż niezgodność nieco go zaniepokoiła. Po chwili zorientował się, że usiłując ustalić zbieżność dźwięków z transkrypcją na ścianie nuci na głos pierwszą formułę. Nieziemsko, złowróżbnie rozbrzmiewał jego głos w tej otchłani prawiecznego bluźnierstwa; mocne akcentowanie nadało wymawianym słowom monotonną, lecz wyraźną śpiewność – może za sprawą uroku, jaki mają rzeczy zamierzchłe i nieznane, a może za piekielnym przykładem zdławionego, bezbożnego lamentu, który niósł się aż tutaj przez smrodliwy mrok ze studni w kolumnowej sali, to wznosząc się, to opadając rytmicznie w nieludzkich kadencjach.

Y’AI ’NG’NGAH,
YOG-SOTHOTH
H’EE – L’GEB
F’AI THRODOG
UAAAH!

Ale co to? Cóż to za zimny wiatr zrywa się, ilekroć doktor powtarza początek inwokacji? Lampy zaskwierczały żałośnie, litery na ścianie niemal zniknęły w gęstniejącej oćmie. Pojawił się też dym, a wraz z nim cierpki odór, tak przemożny, że niemal zagłuszył smród dochodzący z dalekich studni – odór, który doktor już znał, wszelako nieskończenie potężniejszy i bardziej żrący. Willett odwrócił wzrok od ściany i spojrzał w głąb dziwacznej izby. Ze stojącego na podłodze kyliksa, wypełnionego złowieszczym zwietrzałym proszkiem, unosił się gęstą chmurą zielonkawoczarny opar, zdumiewająco wręcz obfity i nieprzejrzysty. Ten proszek – wielki Boże! Wszak pochodził z półki z „tworzywem” – cóż się z nim teraz działo i jak się to zaczęło? Wyśpiewana na głos formuła – pierwsza z dwóch – Głowa Smoka, węzeł wstępujący – Chryste przenajświętszy, czyż to możliwe, że…

Willettowi zakręciło się w głowie; przez myśl przelatywały mu galopem strzępki wszystkiego, co dotąd widział, słyszał i przeczytał w związku z zatrważającym przypadkiem Josepha Curwena i Charlesa Dextera Warda. „Raz jeszcze powiadam Ci: nie wzywaj nic, Czego nazad odesłać byś nie mógł… Słowa do odsyłania miej zawżdy w pogotowiu i ilekroć Wątpliwość cię najdzie co do tego, Kogo wzywasz, upewnić się nie omieszkaj… z Tym, co w nim pogrzebiono, po trzykroć odbyłem Rozmowę”… Boże miłosierny, cóż to za kształt wyłania się zza rzednącego dymu?

Marinus Bicknell Willett nie łudzi się, że poza kręgiem najbliższych przyjaciół ktokolwiek uwierzy przynajmniej w cząstkę jego opowieści, toteż nawet nie próbował jej rozpowszechniać. Niewiele osób miało potem możność słyszeć ją z ust jego bliskich – a i tak wśród tej garstki większość śmiała się tylko i stwierdzała, że doktor pewnie się starzeje. Radzono mu, żeby udał się na dłuższy urlop, a w przyszłości unikał przypadków, w których wchodzą w grę zaburzenia umysłowe. Pan Ward jednak wie, że wszystko, co wyznał mu stary lekarz, jest najstraszliwszą prawdą. Czyż on sam nie widział cuchnącej studzienki w piwnicy pod chatą Charlesa? Czyż o godzinie jedenastej tamtego złowróżbnego ranka Willett nie odesłał go do domu, strutego i omdlałego? Czyż tego samego wieczoru nie wydzwaniał na próżno do doktora, a potem jeszcze nazajutrz, i czy w południe nie pojechał wreszcie samochodem do chaty i nie znalazł przyjaciela leżącego na łóżku, nieprzytomnego, ale nietkniętego? Willett oddychał rzęźliwie, a gdy pan Ward wlał mu do ust parę kropel brandy, pomału otworzył oczy – i wzdrygnął się, i wrzasnął przeraźliwie:

– Ta broda… te oczy… Boże, kimżeś ty jest?

Zaiste, dziwacznie doktor przywitał schludnego, błękitnookiego, gładko wygolonego dżentelmena, którego znał jeszcze od lat chłopięcych.

W jasnym świetle południa widać było, że domek pozostał w identycznym stanie jak poprzedniego ranka. Ubranie Willetta było w zasadzie nienaruszone, nie licząc paru plam i przetarć na kolanach; unosiła się wokół niego już tylko resztka żrącego odoru, który bił od Charlesa w dniu, gdy odwożono go do szpitala. Doktor zapodział gdzieś latarkę, lecz torba była na swoim miejscu, tak samo pusta jak dnia poprzedniego. Willett niczego nie tłumaczył, nie wyjaśniał – podniósł się tylko chwiejnie, po czym z wysiłkiem, przezwyciężając wielki wewnętrzny opór, poprowadził przyjaciela do piwnicy i spróbował przesunąć ową nieszczęsną pokrywę przed wannami. Podest ani drgnął. Doktor odnalazł porzucony poprzedniego dnia chlebak z narzędziami, wyjął dłuto i jedna po drugiej jął podważać oporne deski. Ich oczom ukazał się wprawdzie ten sam gładki beton, lecz nie było już ani śladu po żadnym otworze. Nic nie buchnęło już w twarz osłupiałemu ojcu; pod deskami nie było nic, tylko gładki beton – żadnej cuchnącej studni, żadnego straszliwego podziemnego świata, żadnej sekretnej biblioteki, żadnych papierów Curwena ani koszmarnych czeluści pełnych skowytu i smrodu, żadnego laboratorium, żadnych półek, wyrytych w ścianie formuł, nic zgoła… Doktor Willett pobladł i chwycił za ramię młodszego przyjaciela.

– Wczoraj… – spytał miękko – czyś ty to widział… i czuł?

Gdy zaś pan Ward, nie mniej sparaliżowany z trwogi i zdumienia, odnalazł w sobie dość siły, by skinąć twierdząco, doktor na poły westchnął, na poły jęknął, i również kiwnął głową.

– A więc wszystko ci opowiem – powiedział.

Obaj mężczyźni zasiedli przeto w najbardziej słonecznym pokoju, jaki tylko udało się znaleźć w chacie, i przez następną godzinę Willett szeptem snuł swą przerażającą opowieść. Pamiętał wszystko do chwili, gdy zza rozstępującej się chmury zielonkawoczarnego oparu wyłonił się ów kształt nieznany – i nie miał już siły pytać samego siebie, co się właściwie wówczas

zdarzyło. Obaj potrząsali głowami w bezradnym zadziwieniu. W pewnym momencie pan Ward półgłosem podsunął myśl:

– Sądzisz, że warto byłoby pokopać?

Doktor milczał. Trudno mu było sobie wyobrazić, by jakikolwiek śmiertelnik umiał odpowiedzieć na to pytanie, skoro moce z niepojętych sfer wtargnęły z taką siłą na ziemski brzeg Wielkiej Otchłani. Pan Ward zapytał raz jeszcze:

– Ale dokądże to odeszło? Rozumiesz, przyniosło cię tutaj, a potem jakimś sposobem zapieczętowało zejście…

Również i tym razem odpowiedziało mu milczenie.

Wszelako nie był to bynajmniej koniec całej sprawy. Zbierając się do wyjścia, doktor Willett sięgnął po chusteczkę, lecz w kieszeni prócz świec i zapałek zebranych w zaginionych lochach znalazł kawałek papieru, którego wcześniej tam nie było. Zwykła kartka, najwyraźniej wydarta z taniego bloczka leżącego w niesłychanej podziemnej sali tortur, była zapisana pospolitym ołówkiem – bez wątpienia tym samym, który leżał obok bloczka. Kartkę niechlujnie złożono i poza resztką cierpkiego odoru z tajemniczej izby nie widniał na niej żaden znak ani ślad innego świata. Znajdujący się na niej napis stanowił jednak najfantastyczniejszy dziw; nie było to bowiem pismo z żadnej zdrowej epoki, tylko mozolne gryzmoły z ciemnego średniowiecza, dla laika niemal nieczytelne – aczkolwiek niektóre symbole wydawały się dziwnie znajome. Nowa zagadka skłoniła wstrząśniętych przyjaciół do działania. Obaj ruszyli dziarsko do auta pana Warda i kazali się wieźć pierwej do jakiejś cichej restauracji, a potem do John Hay Library na wzgórzu.

Napis wyglądał tak:

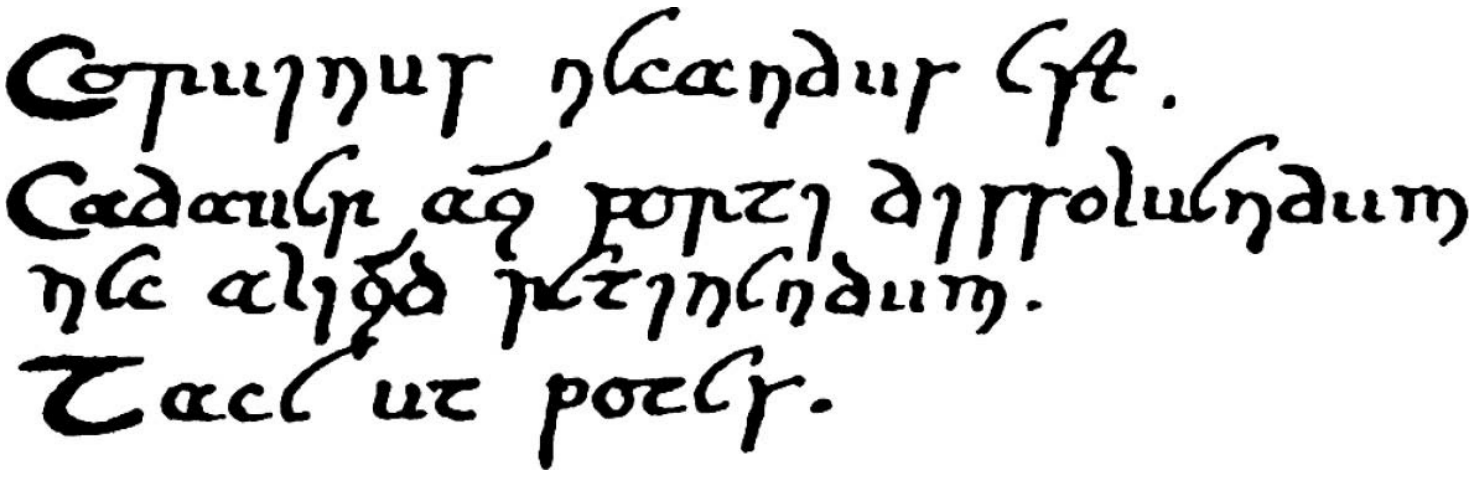

W bibliotece bez trudu znaleźli rzetelne podręczniki do paleografii i ślęczeli potem nad nimi, póki wielki żyrandol w czytelni nie rozjarzył się wieczornym światłem. W końcu znaleźli, co trzeba. Okazało się, że litery nie są wcale fantastycznym wymysłem piszącego; było to zwykłe pismo, tyle że

z najgłębszych mroków średniowiecza – ostra minuskuła saska z ósmego lub dziewiątego wieku naszej ery, z czasów, gdy pod świeżą jeszcze warstewką chrześcijaństwa w Europie kłębiły się ukradkiem pradawne religie i rytuały, a blady księżyc Brytanii widywał jeszcze przedziwne obrzędy w rzymskich ruinach – w Caerleon, w Hexham, pod wieżami kruszejącego muru Hadriana. Tekst napisany był barbarzyńską łaciną, bo tylko taką zapamiętał barbarzyński ów wiek: *„Corvinus necandus est. Cadaver aq(ua) forti dissolvendum, nec aliq(ui)d retinendum. Tace ut potes”*. Można to z grubsza przetłumaczyć jako: „Curwena trzeba zabić. Ciało trzeba rozpuścić w *aqua fortis*, tak by nic z niego nie zostało. Za wszelką cenę zachowaj milczenie”.

Willett i pan Ward aż zaniemówili ze zdumienia. Stanęli w obliczu nieznanego i czuli, że nie starcza im już emocji, które w tej sytuacji – jak im się mgliście wydawało – byłyby najwłaściwszą reakcją. Dotyczyło to zwłaszcza Willetta, który niemal do cna wyczerpał już zdolność odczuwania trwogi. Obaj siedzieli w bezradnym milczeniu aż do zamknięcia biblioteki. Zobojętniali na wszystko pojechali do rezydencji Wardów przy Prospect Street i do późna rozmawiali po próżnicy. Doktor został na noc, a rano nie wrócił do siebie; był u Wardów jeszcze w niedzielę w południe, gdy zadzwonił telefon. Dzwonili detektywi, którzy mieli odnaleźć doktora Allena.

Telefon odebrał osobiście pan Ward, który przechadzał się właśnie nerwowo w szlafroku; dowiedział się, że raport z poszukiwań jest już prawie gotów, tedy kazał detektywom przyjść nazajutrz wczesnym rankiem. Obaj z Willettem byli radzi, że ten akurat wątek przyniósł jakieś rezultaty – bez względu na pochodzenie dziwacznej minuskułowej wiadomości wydawało się bowiem pewne, że „Curwenem”, którego należy zniszczyć, jest nie kto inny, jak ów tajemniczy brodacz w okularach. Charles bał się go, w swym gorączkowym liście pisał, że trzeba go zabić i rozpuścić w kwasie. Co więcej, Allen otrzymywał listy od dziwnych czarowników z Europy, i to właśnie jako Curwen, toteż najpewniej uważał się za wcielenie nieżyjącego od dawien dawna nekromanty. A teraz z nowego, nieznanego źródła nadeszła wiadomość, że „Curwena” należy zniszczyć i rozpuścić w *aqua fortis*. Zbieżność była zbyt oczywista, zbyt nieprzypadkowa. Zresztą czyż Allen nie planował pójść za radą kreatury zwanej Hutchinsonem i zabić młodego Warda? Oczywiście zawierający tę sugestię list nie dotarł do brodacza, wynikało zeń jednak niezbicie, że Allen już wcześniej planował rozprawić się z młodzieńcem, jeśli ten okaże się nazbyt „delikatny”. Allena należało bezwzględnie pojmać; nawet gdyby wymagało to zastosowania najdrastyczniejszych środków, należało go umieścić tam, gdzie nie będzie w stanie skrzywdzić Charlesa Warda.

Po południu, mimo wszystko wierząc, że uda im się rozświetlić mrok tajemnicy, ojciec i lekarz wybrali się w odwiedziny do jedynej osoby, która mogła dać im choćby ślad informacji – pojechali mianowicie nad zatokę, do szpitala doktora Waite’a. Willett w prostych, poważnych słowach opowiedział Charlesowi o wszystkim, co znalazł; młodzieniec bladł z każdym kolejnym opisem, zaświadczając niezbicie o ich prawdziwości. Doktor przedstawił swą relację najdramatyczniej, jak tylko potrafił, opowiadając zaś o nieopisanych hybrydach gnieżdżących się w zakrytych studniach, obserwował Charlesa,

spodziewając się jakiejś oznaki skruchy. Wardowi jednak nawet nie drgnęła powieka. Willett urwał, a potem jął mu wypominać, że skazał swoje stwory na głodowe męki, zarzucił mu nieludzkie okrucieństwo. W odpowiedzi usłyszał wszakże tylko szyderczy śmiech, od którego przechodziły ciarki. Charles, który nawet nie próbował zaprzeczać istnieniu podziemnych krypt, wydawał się traktować całą sprawą jako upiorną hecę – rozchichotał się chrapliwie, jakby coś go szczerze ubawiło. Potem odpowiedział swym straszliwym, schrypłym szeptem, wyraźnie akcentując niektóre słowa, co brzmiało jeszcze straszniej:

– Do diabła z nimi! One żrą, a jakże – ale żreć nie muszą! To ci dopiero rarytas! Miesiąc bez jedzenia, powiada pan? Na Boga, aleś pan skromniutki! Otóż wystaw pan sobie, że jak ten stary biedak Whipple sierdził się tam w swoim świętym oburzeniu, to właśnie tu tkwił cały figiel! Wybił wszystko do nogi, hę? A niech mnie! Toż on prawie ogłuchł od hałasu z Zewnątrz – nie widział ani nie słyszał, że coś w ogóle siedzi w tych studniach! Nawet mu się to nie śniło! Do diabła, te przeklęte stwory siedzą tam w dole i wyją, od kiedy tamci wykończyli Curwena – bite sto pięćdziesiąt siedem lat!

Nic więcej jednak nie udało się z niego wyciągnąć. Z przerażeniem, ale też wbrew sobie niemal przekonany jego słowami, doktor ciągnął dalej swą opowieść, w nadziei, że któreś z wydarzeń wytrąci wreszcie młodzieńca z szaleńczej obojętności. Gdy przyglądał się jego twarzy i widział, jakie zmiany zaszły w niej przez ostatnie miesiące, ogarniała go zgroza. Zaprawdę, chłopcu udało się ściągnąć z niebios coś niewysłowionego i przeraźliwego. Na wzmiankę o izbie z zaklęciami na ścianach i zielonkawym pyle Charles po raz pierwszy się ożywił. Gdy Willett wspomniał o zapiskach odczytanych z bloczka na stole, na twarzy chłopca odmalowało się zdziwienie, odparł jednak z wymuszonym spokojem, że są to bardzo stare zapiski, mające sens tylko dla kogoś głęboko wtajemniczonego w historię magii.

– No ale – dodał – gdyby znał pan właściwe słowa i wywołał to, co tam wsypałem do pucharu, nie byłoby pana tutaj. To był Numer 118. Ależ by pan zdębiał, gdyby znalazł go na mojej liście w tej drugiej izbie! Jeszcze nigdy tego nie przywołałem – ale wtedy, gdyście po mnie przyszli i zaprosili mnie tutaj, właśnie się do tego zabierałem.

Willett powiedział mu o formule i o zielonkawoczarnym dymie; w tej chwili po raz pierwszy ujrzał na jego twarzy prawdziwy lęk.

– To przyszło, a pan wciąż żyje? – wychrypiał Charles; jego głos jakby wyzwolił się z pęt, dudnił niesamowicie, jakby dobywał się z jakichś przepastnych czeluści. Willett w nagłym błysku natchnienia udał, że pamięta całe zajście, i wplótł w swą odpowiedź zapamiętane z listu ostrzeżenie:

– Numer 118, powiadasz? Ale nie zapominaj, że nagrobki w dziewięciu cmentarzach na dziesięć zgoła są pomieszane. Nie będziesz pewien, póki nie zapytasz! – to rzekłszy, znienacka wyciągnął pisany minuskułą list i machnął nim przed oczyma pacjenta. Doprawdy, nie mógł sobie życzyć mocniejszego efektu – Charles Ward osunął się bowiem bez zmysłów na ziemię.

Cała ta rozmowa toczyła się oczywiście w największej tajemnicy, doktor i ojciec nie chcieli bowiem, by szpitalni alieniści oskarżyli ich o utwierdzanie szaleńca w jego urojeniach. Nie wezwali przeto żadnej pomocy, tylko po

cichu dźwignęli omdlałego młodzieńca i ułożyli go na kozetce. Odzyskując przytomność, pacjent jął mamrotać, że musi natychmiast przekazać jakąś wiadomość Orne'owi i Hutchinsonowi – toteż gdy już zupełnie się ocknął, doktor uświadomił mu, że przynajmniej jedna z tych dwu dziwnych istot jest jego śmiertelnym wrogiem i radziła doktorowi Allenowi, by go uśmiercił. Ta rewelacja nie zrobiła na Charlesie wielkiego wrażenia, jednak nim jeszcze doktor zdążył ją wypowiedzieć, na twarzy chłopca odmalował się przestrach. Nie sposób było już wydusić z niego choćby jednego słowa, tedy ojciec i Willett wkrótce wyszli, na odchodne ostrzegając go przed doktorem Allenem. Młodzieniec odparł jedynie, że brodacz jest pod troskliwą opieką i nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić; to powiedziawszy, zaniósł się złośliwym, nikczemnym chichotem, którego aż przykro było słuchać. Pan Ward i Willett nie obawiali się, że uda mu się nawiązać kontakt z ową potworną dwójką w Europie – wiedzieli, że administracja szpitala kontroluje całą wychodzącą pocztę i każdy szaleńczy lub choćby niecodzienny list na pewno zostanie przez nią przechwycony.

Sprawa Orne'a i Hutchinsona – o ile rzeczywiście tak nazywali się wygnani czarownicy – miała jednak osobliwy ciąg dalszy. Wiedziony niejasnym przeczuciem, zrodzonym z doświadczanych podówczas okropieństw, Willett zatrudnił międzynarodowe biuro wycinków, by donosiło mu o wszystkich głośniejszych zbrodniach i wypadkach w Pradze i wschodniej Transylwanii – i oto sześć miesięcy później wśród stosów otrzymanych i przetłumaczonych wycinków odkrył, jak mu się zdawało, dwie notki o pierwszorzędnym znaczeniu. Pierwsza informowała, że pewnej nocy w najstarszej dzielnicy Pragi zburzono do gołej ziemi dom, w którym mieszkał od niepamiętnych czasów zły staruch nazwiskiem Josef Nadek; sam Nadek zniknął bez śladu. W drugim artykule pisano, że w transylwańskich górach na wschód od Rakus nastąpiła tytaniczna eksplozja, która zniszczyła wraz ze wszystkimi mieszkańcami niesławny zamek Ferenczego. Jego właściciel cieszył się wśród miejscowych chłopów i żołnierzy tak złą sławą, że niebawem miano go zawezwać do Bukaresztu na poważne przesłuchanie; wypadek udaremnił ten zamiar i zakończył karierę barona trwającą już tak długo, że jej początki ginęły w mrokach niepamięci okolicznych mieszkańców. Willett twierdzi, że ręka, która skreśliła na kartce minuskuły, była dostatecznie silna, by móc zaprząc do użytku jeszcze potężniejszy oręż – i że skoro jej właściciel właśnie jemu pozostawił rozprawienie się z Curwenem, z pewnością czuł się władny odnaleźć i unieszkodliwić Orne'a i Hutchinsona. O tym, jaki mógł spotkać ich los, doktor uparcie stara się nie myśleć.

## 6.

Następnego ranka Willett pospieszył do domu Wardów, by zdążyć na raport detektywów. Był głęboko przeświadczony, że Allena – lub Curwena, jeśli uznać, że brodacz słusznie uważał się za jego inkarnację – należy za wszelką cenę unicestwić bądź uwięzić; nie omieszkał zwierzyć się z tego

przekonania panu Wardowi, gdy razem czekali na przyjście agentów. Tym razem siedzieli na dole; na górne piętra nikt już się nie zapuszczał, wypełniał je bowiem chorobliwy, nieznośny zaduch. Starsi służący uważali, że ma on coś wspólnego z klątwą pozostawioną przez rozpadły portret Curwena.

Trzej detektywi zostali zaanonsowani o dziewiątej i natychmiast przedstawili wszystko, co mieli do powiedzenia. Z żalem zakomunikowali, że nie udało im się odnaleźć Mulata Tony'ego Gomesa; nie natrafili też na najmniejszy nawet ślad, który wskazywałby, skąd pochodzi ani co teraz porabia doktor Allen. Udało im się natomiast dość gruntownie wywiedzieć się, co o mrukliwym nieznajomym sądzą mieszkańcy Pawtuxet: otóż Allen wydawał im się istotą trochę nie z tego świata; powszechnie uważano też, że jego gęsta piaskowa broda była albo farbowana, albo wręcz sztuczna – przeświadczenie to zresztą udało się detektywom potwierdzić, znajdując w jego pokoju taką właśnie sztuczną brodę wraz z parą ciemnych okularów w rogowych oprawkach. Głos jego – o czym mógł zaświadczyć pan Ward po pamiętnej rozmowie telefonicznej – był tak głęboki i głuchy, że niepodobna było o nim zapomnieć; w jego wzroku zdawał się lśnić złośliwy ognik nawet przez przydymione szkła okularów. Jeden ze sklepikarzy wyznał, że zdarzyło mu się widzieć próbkę pisma doktora i było to ponoć pismo wyjątkowo zawiłe i cudaczne; ten z kolei fakt potwierdziły znalezione w chacie ołówkowe notatki, niezrozumiałe, lecz – co potwierdził kupiec – niewątpliwie wykonane ręką doktora. Zagadnięta o wampiryczne napaści z ubiegłego lata większość mieszkańców gotowa była sądzić, że wampirem był właśnie Allen, nie zaś młody Ward. Detektywi przepytali także policjantów, którzy odwiedzili Warda po nieprzyjemnym incydencie z napadem na ciężarówkę; funkcjonariusze wyznali, że doktor Allen wydawał im się postacią mniej złowieszczą, lecz odnieśli wrażenie, że to właśnie on wiedzie prym w całej mrocznej trójce. W chacie było zbyt ciemno, by mogli mu się dokładnie przyjrzeć, gdyby jednak zobaczyli go ponownie, z pewnością by go poznali. Jego broda istotnie wyglądała dziwnie, ponadto mimo grubych okularów nad prawym okiem doktora można było zauważyć niewielką bliznę. Przetrząśnięcie pokoju Allena nie przyniosło wielkich efektów: udało się znaleźć jedynie rzeczoną brodę i okulary oraz kilka sporządzonych zawiłym pismem notatek; Willett natychmiast rozpoznał w nim pismo ze starych manuskryptów i niezliczonych współczesnych notatek młodego Warda, które znalazł był w upiornych katakumbach.

W miarę jak detektywi przedstawiali kolejne informacje, w doktorze Willetcie i panu Wardzie narastało podstępne, subtelne, acz przejmujące uczucie kosmicznego lęku; wreszcie w tej samej chwili naszła ich myśl jednakowa, myśl mglista, szalona – i obaj omal nie zadrżeli. Fałszywa broda i okulary – zawiłe Curwenowe pismo – stary portret z maleńką blizną – i odmieniony młodzieniec w szpitalu z identyczną blizną – głęboki, głuchy głos w telefonie… czyż nie o tym właśnie głosie myślał pan Ward, ilekroć słyszał żałosne chrypienia, jakie wydawał z siebie – twierdząc, że innego głosu wydobyć nie jest w stanie – jego syn? Czy widział kto Charlesa i Allena razem? Owszem, widzieli ich policjanci, ale później? Czyż nie po zniknięciu

Allena Charles nagle przestał się lękać i przeniósł się na stałe do Pawtuxet? Curwen – Allen – Ward... w jakąż bluźnierczą, wszeteczną unię zespoliły się dwa różne stulecia i dwie różne osoby? Jakżeż diabelsko podobny był do Charlesa Curwen z portretu! Czyż nie wpatrywał się weń bez ustanku, czyż nie śledził w bibliotece każdego jego kroku? Czemuż i Allen, i Charles podrabiali pismo Josepha Curwena, nawet gdy byli sami i nie musieli się z niczym kryć? A co powiedzieć o zatrważającym dziele, jakie wyszło spod ich ręki – o zapomnianych kryptach pełnych zgróz, które w ciągu jednej nocy uczyniły z doktora złamanego starca, o potworach głodujących w smrodliwych czeluściach, o wstrętnym zaklęciu, które przyniosło tak niesłychane rezultaty, o minuskułowym liście w kieszeni Willetta, o dokumentach, listach, o całej gadaninie o grobach, „solach” i odkryciach? Dokąd to wszystko prowadziło? W końcu pan Ward uczynił rzecz najroztropniejszą. Nie zdając sobie sprawy, czemu właściwie to robi, wręczył detektywom pewien przedmiot i polecił pokazać go wszystkim sklepikarzom w Pawtuxet, którzy widzieli złowieszczego doktora Allena. Przedmiotem tym była fotografia jego nieszczęsnego syna, do której pan Ward starannie przymocował znalezione w pokoju Allena ciężkie okulary i spiczastą czarną brodę.

Przez dwie godziny czekali wraz z doktorem na powrót detektywów. Tymczasem atmosfera w domu stawała się coraz bardziej przytłaczająca: puste panneau w bibliotece łypało wciąż chytrze, a wraz z tym łypaniem w pokojach gromadził się lęk gęsty jak trujący opar. Wreszcie detektywi wrócili. Tak – przerobiona fotografia była bardzo wierną podobizną doktora Allena. Pan Ward pobladł, a Willett wyciągnął chustkę i otarł zwilgotniałe nagle czoło. Allen – Ward – Curwen... ten odrażający związek nie mieścił się już w głowie. Cóż ten biedny chłopiec przywołał z próżni – i co mu to zrobiło? I co tu się właściwie działo? Kimżeż był ów Allen, który zamierzał uśmiercić Charlesa jako zbyt „delikatnego”, a którego niedoszła ofiara w postscriptum do swego szaleńczego listu kazała bez reszty unicestwić w kwasie? Czemuż napisana minuskułą wiadomość, której pochodzenia nikt nie śmiał sobie nawet wyobrazić, nakazywała podobnie postąpić z „Curwenem”? Na czym polegała zmiana i kiedy zaczęło się jej ostatnie stadium? Tamtego ranka, gdy doktor odebrał ów obłędny list, Charles był bardzo nerwowy – potem zaś nagle się zmienił: wymknął się niepostrzeżenie, wyprowadzając w pole wynajętych strażników. A więc stało się to wówczas, gdy był poza domem. Nie, jednak nie – czyż nie krzyknął z przerażeniem, wszedłszy do swej feralnej pracowni? Co tam znalazł? Ale zaraz! Należałoby raczej zapytać – co jego tam znalazło? Byłżeby ów sobowtór, śmiało wmaszerowujący do domu, choć nikt nie zauważył, jak wychodzi – byłżeby on widmem, obcym i straszliwym? Byłoż możliwe, że to właśnie on przeraził chłopca, który wcale nigdzie nie wychodził, tylko kulił się ze strachu w bibliotece? Czy kamerdyner nie zeznał, że słyszał dziwne hałasy?

Willett wezwał kamerdynera i półgłosem zadał mu kilka pytań. Ten nie ukrywał, że owej pamiętnej nocy działy się rzeczy okropne: ktoś krzyknął, jęknął, krztusił się, coś zastukało, zaskrzypiało, czy może też załomotało. A gdy Charles wymykał się bez słowa, nie był już sobą. Mówiąc to,

kamerdyner drżał i wciągał w nozdrza ciężki zaduch, który buchał z otwartego okna na piętrze. W domu zagnieździła się jakaś namacalna groza. Nie wyczuwali jej tylko detektywi, twardzi ludzie czynu, wszelako nawet i oni byli niespokojni – w całej sprawie było sporo mglistych, dziwnych elementów, które zupełnie nie przypadły im do gustu. Przez głowę Willetta myśli przelatywały galopem, myśli głębokie i straszne. Ilekroć dochodził do jakichś nowych, zatrważających i coraz bardziej niezbitych konkluzji na temat wszystkich koszmarnych wypadków, łapał się na tym, że niemal mamrocze do siebie pod nosem.

Wreszcie pan Ward dał znak, że uważa naradę za zamkniętą, i wszyscy prócz doktora opuścili pokój. Było południe, lecz nawiedzona rezydencja zdawała się tonąć w cienistym omroczu, jak gdyby wielkimi krokami nadciągała noc. Willett przemówił do gospodarza niezwykle poważnymi słowy. Nalegał, by ciężar dalszego dochodzenia złożył on na jego barki. Przewidywał, że mogą wyjść na jaw rzeczy odrażające, z którymi on, przyjaciel, poradzi sobie lepiej aniżeli ojciec Charlesa. Jako lekarz rodzinny musi mieć wolną rękę; wpierw uda się sam, nieniepokojony przez nikogo, na górę, do opuszczonej biblioteki – tam, gdzie starodawny gzyms kominka skupia wokół siebie aurę najwstrętniejszej zgrozy, gęstszą jeszcze niż wówczas, gdy z malowanego panneau spozierały chytre oczy Curwena.

Pan Ward, do cna ogłupiały bezmiarem groteskowych, chorobliwych zdarzeń i niepojętych sugestii, które napierały nań ze wszystkich stron i doprowadzały go na skraj obłędu, przystał na to bez oporu. Pół godziny później doktor zamknął się w opuszczonym pokoju, sam na sam z panneau z Olney Court. Pan Ward nasłuchiwał pod drzwiami; po pewnym czasie doktor jakby jął myszkować po całym pokoju, a wreszcie rozległo się skrzypliwe szarpnięcie, jak gdyby otwierał ciasno spasowane drzwiczki od kredensu. Potem dał się słyszeć zduszony krzyk, zdławione nosowe prychnięcie, a potem trzask otwartych pierwej drzwiczek. Niemal natychmiast w drzwiach zagrzechotał klucz i w progu stanął Willett, blady jak upiór; zażądał, by przyniesiono mu drewna, bo chce rozpalić w kominku na południowej ścianie pokoju. Nie – oświadczył – piec nie wystarczy, a elektryczna imitacja nie na wiele się przyda. Zżerany ciekawością, lecz nie śmiejąc o nic pytać, pan Ward wydał odpowiednie polecenia i po chwili służący przyniósł naręcze tęgich sosnowych polan; biedak aż się wzdrygnął, gdy poczuł bijące z biblioteki skażone powietrze, wszedł jednak do środka i ułożył polana w kominku. Willett tymczasem udał się do laboratorium na poddaszu i przyniósł ze sobą trochę różnych przedmiotów, które Charles pominął podczas ubiegłorocznej wyprowadzki. Trzymał je w zakrytym koszu, toteż pan Ward nigdy nie dowiedział się, co to były za rzeczy.

Następnie doktor raz jeszcze zamknął się w bibliotece; sądząc po chmurach dymu, jakie buchnęły z komina i rozsnuły się za oknami, musiał rozpalić ogień. Potem dał się słyszeć intensywny szelest gazet, a jeszcze później powtórzyło się dziwne skrzypnięcie drzwiczek; chwilę później coś gruchnęło o podłogę – a dźwięk ten nie przypadł do gustu nikomu z podsłuchujących pod drzwiami domowników. Następnie Willett dwukrotnie wydał z siebie stłumiony okrzyk, potem chlasnęło coś z nieokreślonym,

nienawistnym świstem. Wreszcie buchający z komina dym zasnuł okna osobliwą, ciemną i gryzącą chmurą; wszyscy mieli nadzieję, że rychło rozpędzi ją wiatr, szczędząc im tych dławiących, trujących wyziewów. Panu Wardowi zakręciło się w głowie, służący zbili się w ciasną gromadkę i obserwowali, jak za oknami przewalają się straszliwe czarne tumany. Wieki minęły, nim dym począł się rozwiewiać, a zza zaryglowanych drzwi doleciał na wpół słyszalny odgłos skrobania, zmiatania i innych pomniejszych czynności. Wreszcie znów trzasnęły drzwiczki kredensu i w drzwiach stanął Willett – smutny, blady, wynędzniały; pod pachą trzymał zakryty kosz, który przyniósł był wcześniej z laboratorium. Przez otwarte okno do przeklętego pokoju wpadało teraz czyste, zdrowe powietrze mieszające się z dziwacznym, niespotykanym wcześniej zapachem środków odkażających. Stary gzyms kominka był na swoim miejscu, opuściła go jednak – jak się zdawało – dawna zjadliwa aura; pysznił się teraz spokojnie swym pustym, białym panneau, jak gdyby nigdy nie nosił na sobie portretu Josepha Curwena. Zbliżała się noc, wszelako tym razem mrok nie niósł ze sobą żadnych uśpionych zmór, lecz jedynie łagodną melancholię.

Doktor nigdy nie zdradził, co zrobił w bibliotece. Panu Wardowi powiedział tylko:

– Nie odpowiem na żadne pytania. Mogę jedynie rzec, że magia niejedno ma imię. Dokonałem wielkiego oczyszczenia; mieszkańcy tego domu będą już spać spokojnie.

## 7.

„Oczyszczenie” owo musiało zszargać Willettowi nerwy nie mniej niż odrażająca wędrówka przez labirynt zaginionych krypt, wróciwszy bowiem tego wieczora do domu stary lekarz kompletnie opadł z sił. Przez okrągłe trzy dni odpoczywał, nie opuszczając swego pokoju – jakkolwiek jego służący ponoć w środę po północy usłyszeli, jak cichutko, niemal niesłyszalnie otwierają się i zamykają jego drzwi. Całe szczęście, że służący mają ograniczoną wyobraźnię – w innym wypadku mieliby może coś do powiedzenia na temat artykułu, jaki ukazał się w czwartkowym „Evening Bulletin”:

HIENY CMENTARNE
ZNÓW GRASUJĄ NA NORTH BURIAL GROUND

Po dziesięciu spokojnych miesiącach, jakie minęły od łajdackiego aktu wandalizmu na grobie Ezry Weedena, stróżujący na North Burial Ground Robert Hart dziś ponownie ujrzał nocnego włóczęgę. Około godziny drugiej, spoglądając przez okno swej stróżówki, Hart zauważył niedaleki blask latarni bądź latarki kieszonkowej w północno-zachodniej części cmentarza. Wyjrzawszy na zewnątrz, ujrzał sylwetkę mężczyzny z rydlem, wyraźnie rysującą się na tle światła latarki. Natychmiast rzucił się w pogoń, lecz tajemnicza postać puściła się

pędem do głównego wyjścia, wybiegła na ulicę i nim stróż zdążył ją dopędzić, zniknęła w ciemnościach.

Podobnie jak sprawcy pierwszego z ubiegłorocznych najść, intruz nie zdążył wyrządzić żadnych widocznych szkód. Ślady kopania nosiła wprawdzie pusta część kwatery Wardów, dół był jednak bardzo powierzchowny; nie został też naruszony żaden sąsiedni grób.

Hart twierdzi, że intruz był niskim mężczyzną, prawdopodobnie brodatym, skłania się też ku poglądowi, że wszystkie trzy incydenty mają wspólne źródło. Policjanci z drugiego posterunku wyłączają jednak z tej serii incydent drugi, wyjątkowo brutalny, kiedy to z grobu porwano starą trumnę, stelę zaś rozłupano na kawałki.

Pierwszy wypadek zdarzył się w marcu ubiegłego roku. Udaremniono wówczas – jak się wydaje – próbę zakopania czegoś w cmentarnej ziemi, być może skrzyni z nielegalnym alkoholem. Sierżant Riley jest zdania, że dzisiejszy incydent miał podobny charakter. Funkcjonariusze z drugiego posterunku dokładają wszelkich starań, by pojmać gang niegodziwców odpowiedzialnych za te haniebne postępki.

Przez cały czwartek doktor Willett odpoczywał, jak gdyby odzyskiwał siły po jakimś ciężkim przeżyciu bądź przygotowywał się na coś, co przyniesie przyszłość. Wieczorem napisał list do pana Warda. Skołowany ojciec otrzymał go następnego ranka i przeczytawszy go, głęboko się zadumał. Nie zdążył jeszcze dojść do siebie po straszliwym poniedziałku, kiedy to detektywi złożyli mu swój wstrząsający raport, a doktor przeprowadził swoje zatrważające „oczyszczenie”; wszelako list doktora, jakkolwiek zdawał się nie obiecywać niczego prócz rozpaczy i kolejnych tajemnic, nieco go ukoił.

Barnes Street 10,
Providence, Rhode Island
12 kwietnia 1928 r.

Drogi Teodorze!

Czuję, że muszę nadmienić Ci choć słowem o tym, co zamierzam zrobić jutro. Będzie to już koniec okropieństw, przez które dane nam było przejść (nie sądzę bowiem, byśmy za pomocą szpadla zdołali kiedykolwiek dotrzeć do znanego nam obu potwornego miejsca), obawiam się wszelako, że nie przyniesie Ci on wytchnienia – chyba że z całą mocą zapewnię Cię, że to naprawdę nieodwołalny koniec.

Znasz mnie, od kiedy byłeś małym chłopcem, tedy sądzę, że z pełnym zaufaniem przyjmiesz te oto krótkie słowa: pewnych spraw najlepiej nie rozstrzygać i nie zgłębiać. Lepiej, żebyś już nie dociekał, na czym polegał przypadek Charlesa – a wręcz nie wolno Ci dopuścić, by jego matka dowiedziała się czegoś więcej ponad to, czego już sama się domyśla. Gdy odwiedzę Cię jutro, Charlesa już w szpitalu nie będzie. Ucieknie. Niechże to będzie jedyne wyjaśnienie: był obłąkany – i uciekł. Kiedy już przestaniesz słać jego matce pisane na maszynie

listy, możesz ją łagodnie, krok po kroku wtajemniczyć w najobłędniejszą część tej historii. Radzę ci też, byś dołączył do niej w Atlantic City i także wypoczął. Bóg mi świadkiem, że ci się to należy – mnie zresztą również. Wyjeżdżam na krótko na Południe, żeby poratować zdrowie i uspokoić nerwy.

Przeto gdy zawitam do Ciebie, nie zadawaj mi żadnych pytań. Być może coś pójdzie nie tak, jak powinno, wówczas jednak powiem Ci o tym. Nie sądzę atoli, by miało tak być. Nasze troski skończą się na dobre – Charles będzie bezpieczny, już nic mu nie zagrozi. Już teraz jest bezpieczny – bezpieczniejszy, niż Ci się śni. Nie musisz też lękać się doktora Allena ani zachodzić w głowę, kim był. Należy do przeszłości, tak samo jak portret Josepha Curwena; zatem gdy jutro zapukam do Twych drzwi, bądź pewien, że nie ma go na świecie. Jeśli zaś chodzi o to, czyja ręka napisała minuskułowy list – już nigdy nie będzie to ani moje, ani twoje zmartwienie.

Bądź jednak gotów na wielki smutek – i przygotuj też swą żonę. Muszę ci bowiem wyznać szczerze, że ucieczka Twego syna nie oznacza, iż go odzyskasz. Widziałeś, że w jego fizyczności i umyśle zaszły subtelne zmiany, toteż z pewnością zdajesz sobie sprawę, że dotknęła go osobliwa choroba – i nie łudź się, że jeszcze go zobaczysz. Niech jedynym pocieszeniem będą dla Ciebie te oto słowa: Charles nigdy nie był potworem, nigdy też nie był naprawdę szalony; był tylko gorliwym, pilnym, ciekawym świata chłopcem rozmiłowanym w zamierzchłych tajemnicach – i właśnie one przyniosły mu zgubę. Zetknął się ze sprawami, których żaden śmiertelnik nie powinien znać; wyprawił się w przeszłość, choć nikt nie powinien się tam wyprawiać; coś wychynęło z tej przeszłości i pochłonęło go.

A teraz powiem Ci coś, w co musisz mi uwierzyć najmocniej, właśnie dlatego, że los Charlesa będzie absolutnie przesądzony. Nie ujrzysz go już więcej, tedy jeśli sobie tego życzysz, możesz – dajmy na to: za rok – w należyty sposób uhonorować jego odejście. Możesz postawić mu nagrobek w waszej kwaterze na North Burial Ground, dokładnie dziesięć stóp od grobu Twego ojca, kierując stelę w tę samą stronę. Będzie on wskazywał prawdziwe miejsce spoczynku Twego syna – i nikogo innego, nie obawiaj się. W grobie tym nie będzie nic zdrożnego, tylko prochy tego, kto był kością z Twej kości i krwią z Twojej krwi – prawdziwego Charlesa Dextera Warda, którego umysł rozwijał się od maleńkości na Twoich oczach – prawdziwego Charlesa z oliwkowym znamieniem na biodrze, bez diabelskiego piętna na piersi ani dołka na czole; Charlesa, który tak naprawdę nigdy nie zrobił nic złego i który za swą „delikatność” zapłacił życiem.

To wszystko. Charles ucieknie, a za rok możesz postawić mu nagrobek. Jutro nie pytaj mnie o nic. I wierz mi, honor Twego prastarego rodu pozostanie bez skazy, jak zawsze.

Z najgłębszym współczuciem wzywam Cię, zachowaj hart ducha, spokój i pogódź się z losem –

Twój najserdeczniejszy druh
Marinus B. Willett

Tak oto w piątkowy ranek 13 kwietnia 1928 roku Marinus Bicknell Willett udał się do prywatnej lecznicy doktora Waite'a na wyspie Conanicut i złożył wizytę Charlesowi Dexterowi Wardowi. Młodzieniec wprawdzie nie próbował go zbyć, lecz był w posępnym nastroju; widział, że gość jest spragniony rozmowy, ale najwyraźniej nie miał na nią ochoty. To, że doktor odkrył i przemierzył potworne krypty, spotęgowało jeszcze kłopotliwość ich relacji, toteż po wymianie kilku zdawkowych uprzejmości zapadło między nimi napięte milczenie. Napięcie wzrosło jeszcze bardziej, gdy Ward przypatrzył się pokerowej twarzy doktora i odczytał w niej coś, czego nigdy wcześniej nie widział: straszliwą determinację. Charlesa przeszyła trwoga – nie miał wątpliwości, że od ostatniej wizyty doktor Willett z zatroskanego lekarza rodzinnego przeistoczył się w bezwzględnego, nieubłaganego mściciela.

Charles pobladł. Pierwszy przemówił doktor.

– Znalazłem – powiedział – coś jeszcze. I lojalnie cię ostrzegam: nadszedł dzień zapłaty.

– Cóż to, znowu pan kopał? Znalazł pan kolejne głodujące zwierzątka? – odparł z ironią młodzieniec. Widać było, że aż do ostatka nie zamierza tracić rezonu.

– Nie – spokojnie zareplikował Willett. – Tym razem nie musiałem kopać. Posłaliśmy ludzi za doktorem Allenem. Znaleźli w chacie fałszywą brodę i okulary.

– Wybornie! – odparł gospodarz wyraźnie zaniepokojony, choć starał się być cięty i złośliwy. – Mniemam, że są bardziej twarzowe niż broda i okulary, które widzę na pańskiej twarzy?

– Pasowałyby raczej tobie – padła spokojna, wystudiowana odpowiedź. – Doprawdy, było ci w nich do twarzy.

Gdy Willett wypowiadał te słowa, na chwilę jakby chmura przesłoniła słońce – choć cienie na podłodze nawet nie drgnęły.

– A więc ten drobiazg tak stanowczo domaga się odpłaty? – rzucił Ward. – Czy człowiek nie może od czasu do czasu zapragnąć być kimś innym?

– Nie – odparł z powagą Willett. – Znowu się mylisz. Nie obchodzi mnie, czy ktokolwiek na tym świecie pragnie się rozdwoić – pod warunkiem że w ogóle ma prawo istnieć i że nie niszczy tego, kto przywołał go z innego wszechświata.

– Cóż więc pan znalazł, drogi panie? – wybuchnął Ward. – I czego pan ode mnie chce?

Doktor odczekał chwilę z odpowiedzią, jak gdyby szukał najtrafniejszych słów.

– Znalazłem mianowicie – wyrecytował wreszcie – pewien przedmiot w kredensie za dawnym portretem. Spaliłem to, a prochy pogrzebałem tam, gdzie powinien znaleźć się grób Charlesa Dextera Warda.

Szaleniec zakrztusił się i zerwał z krzesła.

– Bodajby cię diabli! Komuś o tym powiedział? I kto ci uwierzy, że to

naprawdę był on? Po całych dwóch miesiącach? Tym bardziej że ja jestem tutaj, żywy? Co chcesz teraz zrobić?

Willett był mikrego wzrostu, lecz gdy gestem ręki uciszał pacjenta, bił odeń sędziowski wręcz majestat.

„Nie powiedziałem nikomu – rzekł. – To nie jest zwyczajny przypadek, to szaleństwo spoza czasu, zgroza z innych sfer, której ani policja, ani prawnicy, ani alieniści nie tylko nie umieliby stawić czoła, ale nawet nie byliby w stanie jej pojąć. Bogu dzięki, że przypadkiem zachowałem w sobie iskierkę wyobraźni i nie pobłądziłem, zastanawiając się nad całą tą sprawą. Nie oszukasz mnie, Curwen, wiem, że twoja przeklęta magia działa naprawdę!

Wiem, że to ty wydobyłeś z mroków przeszłości czar, który dosiągł i zniewolił twego potomka i sobowtóra; wiem, że wciągnąłeś go w przeszłość i zmusiłeś, by wskrzesił cię z twojego obmierzłego grobu; wiem, że ukrywał cię w swym laboratorium, że uczyłeś się tam współczesnego świata, a nocami wychodziłeś na żer jako wampir, i że później paradowałeś z brodą i w okularach, by nikt się nie zdumiał, żeś do niego tak bezbożnie podobny; wiem, co postanowiłeś uczynić, gdy zbrzydziło go twoje plądrowanie grobów oraz to, co planowałeś zrobić potem, potworze – i wiem, żeś w końcu to uczynił.

Zostawiłeś brodę i okulary i wyprowadziłeś strażników w pole. Sądzili, że to on wchodzi do domu, a to byłeś ty; później sądzili, że to on wychodzi, a to też wychodziłeś ty, pierwej udusiwszy go i ukrywszy zwłoki. Nie doceniłeś jednak różnic, jakie istnieją między dwoma umysłami. Byłeś głupcem, Curwen, rojąc sobie, że wystarczy powierzchowne podobieństwo. Czemuś nie wziął pod uwagę mowy, głosu, charakteru pisma? Jak widzisz, nie udał ci się podstęp. Ty lepiej wiesz niż ja, kim lub czym był ten, kto napisał do mnie list minuskułą – ostrzegam cię jednak, że nie napisał go na próżno. Istnieją wszeteczeństwa i bluźnierstwa, które trzeba bezwzględnie zniszczyć; jestem też przekonany, że autor tej wiadomości zajmie się Orne'em i Hutchinsonem. Jedna z tych kreatur napisała ci kiedyś: „nie wzywaj nic, czego nazad odesłać byś nie mógł". Już raz cię uśmiercono, być może właśnie w taki sposób, i być może twoja czarna magia uśmierci cię ponownie. Człowiek nie może wtrącać się w Naturę ponad pewną miarę, Curwen, a każda potworność, którą uknułeś, w końcu obróci się przeciw tobie i wymaże cię spomiędzy żyjących".

To rzekłszy, doktor umilkł, bo stojący przed nim stwór wydał z siebie konwulsyjny wrzask. Spętany, bezbronny, wiedząc doskonale, że jeśli tylko podniesie rękę na doktora, natychmiast zbiegną się na ratunek dyżurni lekarze, Joseph Curwen jął przywoływać swego prawiecznego sprzymierzeńca – wyciągnął wskazujące palce i rozpoczął serię kabalistycznych gestów, a głębokim, głuchym głosem, wolnym już od udawanej chrypki, wyrzucił z siebie słowa straszliwego zaklęcia:

– PER ADONAI ELOIM, ADONAI JEHOVA, ADONAI SABAOTH, METRATON…

Lecz Willett był szybszy. Choć za oknami poczęły już skowytać psy, a znad zatoki zerwał się lodowaty wiatr, doktor uroczyście, miarowo zaintonował zaklęcie, które od początku zamierzał wyrecytować. Oko za oko – magia za

magię – niech się okaże, czego się nauczył w otchłani! Czystym, mocnym głosem Marinus Bicknell Willett zaintonował drugą z formuł – tak jak pierwszą przywołał w kryptach autora minuskułowego listu; rozpoczął tajemną inwokację, którą poprzedzał Ogon Smoka, węzeł zstępujący –

OGTHROD AI'F
GEB'L – EE'H
YOG-SOTHOTH
'NGAH'NG AI'Y
ZHRO!

Już pierwsze słowo, jakie padło z Willettowych ust, ucięło formułę Curwena niby nożem. Niezdolny wyrzec słowa potwór jął dziko wymachiwać rękoma, aż i te nawet ruchy ustały. Gdy padło wstrętne imię Yog-Sothoth, zaczął się ohydnie przeobrażać. Nie był to zwyczajny rozpad, raczej przekształcenie czy rekapitulacja – Willett aż zamknął oczy, by nie zemdleć, póki nie wyśpiewa inkantacji do końca.

Nie zemdlał jednak – i stało się wreszcie, że przybysz z bezbożnych stuleci, dzierżca zakazanych tajemnic, uwolnił świat od swej osoby. Ucichło szaleństwo spoza czasu, przypadek Charlesa Dextera Warda został zamknięty. Zanim doktor opuścił na miękkich nogach ten straszliwy pokój, otworzył oczy i przekonał się, że dobrze wszystko zapamiętał. Tak jak przewidywał, kwas był niepotrzebny: Joseph Curwen, podobnie jak rok wcześniej jego przeklęty portret, leżał rozsypany na podłodze pod postacią warstewki miałkiego sinawoszarego pyłu.

* Tłum. Czesław Miłosz.

* Pręt – dawna miara długości. Pręt anglosaski liczy 5,5 jarda, czyli ok. 5 metrów.

# Kolor z innego wszechświata

Na zachód od Arkham wznoszą się dzikie wzgórza, w dolinach zaś rosną lasy nietknięte siekierą drwala. W ciemnych, wąskich jarach rosną fantastycznie pochylone drzewa i płyną wąziutkie strumyki, których nigdy nawet nie musnął promyk słońca. Na łagodniejszych zboczach rozciągają się farmy, prastare i kamieniste, z zapadłymi, omszałymi chatami, które pod osłoną wielkich urwisk dumają w nieskończoność nad pradawnymi tajemnicami Nowej Anglii; nikt w nich już nie mieszka, masywne kominy murszeją, a kryte gontem ściany chylą się pod ciężarem niskich mansardowych dachów.

Pierwotni mieszkańcy opuścili już te strony, a cudzoziemcom nie udało się tu zadomowić. Próbowali francuskojęzyczni Kanadyjczycy, próbowali Włosi, przyjechali też Polacy, ale szybko wyjechali. Nie wygnało ich stąd nic, co dałoby się usłyszeć lub dotknąć – raczej coś, co podsuwa wyobraźnia. Okolica nie działa dobrze na wyobraźnię, nocą zaś nie zsyła kojących snów. Chyba właśnie dlatego cudzoziemcy trzymają się od niej z dala – stary Ammi Pierce ani słowem przecież nie wspomniał im o tym, co pamięta z „tamtych dziwów”. Ammi, który z biegiem lat nieco zdziwaczał, jest już jedynym mieszkańcem tych stron, i tylko on ośmiela się mówić o „tamtych dziwach”; nie boi się, bo mieszka blisko otwartych pól i uczęszczanych dróg otaczających Arkham.

Była niegdyś droga, która przecinała te wzgórza i doliny, prosto przez miejsce znane dziś jako przeklęte pustkowie; ludzie przestali z niej jednak korzystać, położono więc drogę nową, okrążającą rejon od południa. Ślady dawnej drogi można jeszcze odnaleźć wśród rozkrzewionych na nowo zarośli; niektóre na pewno nie znikną nawet wówczas, gdy połowę tutejszych kotlin zaleje woda sztucznego jeziora. Mroczne lasy zostaną ścięte, a przeklęte pustkowie zadrzemie w głębiach błękitnych wód, odbijających niebo i rozmigotanych w promieniach słońca. I tajemnice „tamtych dziwów” połączą się z tajemnicami głębin – z tajemną wiedzą starego oceanu i wielkim sekretem pierwotnej ziemi.

Gdy wybierałem się w te strony, by dokonać pomiarów terenu przyszłego zalewu, powiedziano mi, że mieszka tam zło. Lecz powiedziano mi tak w Arkham, prastarym mieście pełnym legend o czarownicach, tedy uznałem, że „zło” to tylko odwieczny straszak miejscowych babek na niegrzeczne wnuki. Nazwa „przeklęte pustkowie” wydała mi się cudaczna i teatralna, dziwiłem się, jakim cudem w ogóle znalazła się w folklorze statecznych purytan. Gdy jednak znalazłem się na zachód od miasta i na własne oczy ujrzałem mroczny labirynt urwisk i jarów, jedyną rzeczą, jakiej się jeszcze dziwiłem, była ich pradawna tajemniczość. Ujrzałem go rankiem, lecz zalegający tam półmrok zdawał się wieczny. Drzewa rosły zbyt gęsto, jak na zdrowe lasy Nowej Anglii zbyt wielkie były ich pnie. Zbyt głęboka była cisza na cienistych dróżkach, zbyt miękko zapadały się stopy w wilgny mech i osad przedwiecznego próchna.

Wyszedłszy z lasu, widziałem niewielkie farmy na zboczach wzgórz, głównie wzdłuż dawnej drogi. Gdzieniegdzie uchowały się jeszcze budynki gospodarskie, czasem tylko jeden lub dwa, niekiedy z ziemi sterczał już tylko samotny komin lub szczątki zasypanego zejścia do piwnicy. Wszędy królowały chwasty i dzikie róże, w zaroślach buszowały ukradkiem leśne stwory. Wszystko spowijała aura niepokojąca i przygnębiająca, krajobraz był cokolwiek nierealny, groteskowy, jak gdyby wypaczył się w nim jakiś żywotny pierwiastek: może światłocień, może perspektywa. Nie dziwiłem się już, że cudzoziemcy nie chcieli tu zostać – nie jest to bowiem okolica, w której można spać spokojnie; aż nadto przypomina pejzaże Salvatora Rosy, zakazane drzeworyty z opowieści grozy.

A przecież jeszcze i to nie może się równać z przeklętym pustkowiem. Poznałem je od razu, gdy tylko znalazłem się na dnie jednej z przestronnych dolin – niepodobna bowiem inaczej nazwać takiego miejsca ani też znaleźć miejsca, które lepiej pasowały do takiej nazwy; zupełnie jakby poeta ukuł ją z myślą o tej właśnie okolicy*. Zrazu sądziłem, że spustoszył je ogień – czemużby wszakże wówczas nie zarosło od nowa, miast ziać ku otwartemu niebu szarą jałowizną wyprażoną wśród lasów i pól niby kwasem? Rozciągało się na północ od starej drogi, niewielkim jęzorem sięgało jednak i na jej stronę południową. Działało na mnie dziwnie odstręczająco, zapuściłem się w głąb tej pustaci wyłącznie dlatego, że wymagały tego moje obowiązki zawodowe. Na całym pięcioakrowym obszarze nie było ani jednego źdźbła trawy, tylko miałki szary popiół czy pył, odporny – jak mi się zdało – na wszelki powiew wiatru. Dookolne drzewa były schorzałe i skarlałe, na samym skraju stało lub leżało wiele pni martwych, toczonych przez zgniliznę. Przechodząc w pośpiechu, po prawej ręce spostrzegłem rumowisko cegieł i kamieni – resztki dawnego komina i piwnicy – i rozdziawioną czarną paszczę porzuconej studni otoczoną stojącym oparem, który migotał dziwacznie w promieniach zachodzącego słońca. W porównaniu z tym miejscem wznoszące się dalej długie, ciemne zbocze lesistego wzgórza wydawało się wręcz przyjemne; ani trochę nie dziwiłem się już struchlałym szeptom zasłyszanym w Arkham. W dolinie nie było już innych domów ani ruin – musiała być ustronna i odludna nawet w dawnych czasach. Gdy zapadł zmrok, lękałem się przejść raz jeszcze przez to złowrogie miejsce, przeto nadłożyłem drogi i wróciłem do miasta okrężną drogą od południa. Nie wiedzieć czemu zapragnąłem, by się zachmurzyło – wisząca nade mną otchłanna próżnia nieba napawała mnie dziwną bojaźnią.

Wieczorem podpytywałem sędziwych mieszkańców Arkham o przeklęte pustkowie, spytałem też, co znaczą owe „tamte dziwy”, o których tak często półgębkiem napomykano. Niczego szczególnego jednak się nie dowiedziałem, prócz tego, że te tajemnicze wypadki bynajmniej nie wydarzyły się tak dawno, jak sobie roiłem, w jakichś legendarnych czasach, lecz już za życia mych rozmówców, w latach osiemdziesiątych. Została wówczas zabita bądź zniknęła jakaś rodzina. Rozmówcy moi nie byli co do tego zgodni, przestrzegali mnie też, bym nie zawracał sobie głowy wariacką gadaniną starego Ammiego Pierce’a – co, rzecz jasna, sprawiło, że wybrałem się doń już następnego dnia. Ammi mieszkał samotnie w

stareńkiej, rozklekotanej chatynce na skraju owej niezdrowo gęstej puszczy. Chata była archaiczna wręcz zatrważająco, zaczynała już wydzielać słabą woń rozkładu, właściwą nazbyt wiekowym domostwom. Długo musiałem się dobijać, żeby obudzić gospodarza. Stary dowlókł się wreszcie do drzwi, lecz gdy mi otworzył, widziałem, że jest zalękniony i nieszczególnie rad z mej wizyty. Nie był wcale tak słaby, jak się spodziewałem, ale miał dziwnie zapadnięte oczy, w znoszonych zaś ubraniach i z białą brodą wyglądał wyjątkowo niechlujnie i posępnie. Nie wiedziałem, jak go zachęcić do zwierzeń, toteż zacząłem rozmowę od mych spraw zawodowych: powiedziałem, że prowadzę pomiary, i zadałem kilka ogólnych pytań związanych z okolicą. Ammi był nierównie bystrzejszy i bardziej oświecony niż próbowano mi wmówić; chwytał wszystko w lot, nie gorzej niż moi rozmówcy z Arkham. Różnił się też zgoła od wieśniaków, których miałem okazję poznać na terenach przeznaczonych pod zalew. Nie przeszkadzało mu, że z powierzchni ziemi zniknie wielka połać lasów i pól – choć może protestowałby, gdyby jezioro miało zatopić także jego własny dom. Okazywał jedynie ulgę – ulgę, że ciemne, prastare doliny, po których włóczył się przez całe życie, przestaną wreszcie istnieć. Niechby już znalazły się pod wodą – należało im się to od czasu „tamtych dziwów”. To mówiąc, Ammi przyciszył schrypły głos, pochylił się do przodu, a wyciągnięty palec, którym wskazał kierunek, drżał mu z wielkiego wzburzenia.

Wtedy to usłyszałem całą historię. Stary gawędził skrzypliwym szeptem, a mną, choć był środek lata, raz po raz wstrząsały dreszcze. Często musiałem przerywać jego dygresje, uzupełniać hipotezy profesorów, z których ostały mu się w pamięci ledwie strzępy, wypełniać luki w logice i ciągłości jego opowieści. Gdy skończył, nie dziwiłem się już, że jest lekko trącony ani że mieszkańcy Arkham nie chcą rozmawiać o przeklętym pustkowiu. Jeszcze przed zachodem słońca znalazłem się z powrotem w hotelu – nie chciałem, by na otwartym terenie rozbłysły nade mną gwiazdy; następnego zaś dnia wróciłem do Bostonu i złożyłem wymówienie. Nie zapuściłbym się już w to chaotyczne kłębowisko lesistych wzgórz i nie zbliżyłbym się do tej szarej pustaci, w której pośród ceglanego rumowiska widziałem rozdziawioną czeluść studni. Sztuczne jezioro powstanie już niebawem i pradawne tajemnice spoczną na wieki, ukryte i bezpieczne, w głębinach wód. Wszelako nie sądzę, bym nawet wówczas odważył się odwiedzić tamte strony nocną porą – a przynajmniej w noc rozjarzoną blaskiem złowieszczych gwiazd; i za żadne skarby nie napiłbym się już w Arkham wody z nowych wodociągów.

Wszystko zaczęło się – jak mówił Ammi – od meteorytu. Wcześniej podarkhamskie lasy bynajmniej nie były owiane mroczną legendą, przynajmniej od czasu procesów czarownic – przecież i wówczas lękano się ich jednak nierównie mniej niż wielu innych miejsc, choćby pewnej wysepki na rzece Miskatonic, na której, jak mówiono, diabeł odprawiał sądy przy osobliwym kamiennym ołtarzu pamiętającym czasy, gdy nie było jeszcze Indian. Lasów tych nie uważano za nawiedzone, ich fantastyczny półmrok nie budził przerażenia – póki nie zdarzyły się „tamte dziwy”. Oto bowiem któregoś dnia w południe niebo zaciągnęło się białą smugą, zadrżało od wybuchów, a z dalekiej leśnej doliny wzbiła się kolumna dymu. Nim zapadła

noc, całe Arkham mówiło już o wielkim głazie, który spadł z nieba i zarył się w ziemię przy studni Nahuma Gardnera. To właśnie jego gospodarstwo zmieniło się później w przeklęte pustkowie – schludny biały dom Nahuma Gardnera pośród urodzajnych ogrodów i sadów.

Nahum wybrał się do miasta, by opowiedzieć o głazie, po drodze wstąpił zaś do Ammiego Pierce'a. Ammi miał wtedy czterdzieści lat i wszystkie te dziwy mocno wryły mu się w pamięć. Następnego ranka dołączył razem z żoną do trzech profesorów z Uniwersytetu Miskatonic, którzy pospieszyli zobaczyć niesamowitego przybysza z gwiazd. Przybywszy na miejsce, uczeni dziwili się, czemu Nahum twierdził, że jest taki wielki. Skurczył się – stwierdził Nahum, wskazując na pokaźny brązowawy kopiec wznoszący się przed domem wśród rozrytej ziemi i wypalonej trawy, tuż przy archaicznym studziennym żurawiu; uczeni odparli jednak, że kamienie się nie kurczą. Bryła wciąż była gorąca, Nahum twierdził też, że nocą leciutko lśniła. Profesorowie ostukali ją młotkiem geologicznym i stwierdzili, że jest dziwnie miękka, niemal plastyczna; raczej wydłubali niż odłupali próbkę do badań. Nawet tak mały kawałek nie chciał ostygnąć, przeto włożyli go do starego cebrzyka, który pożyczył im Nahum. W drodze powrotnej zatrzymali się dla odpoczynku u Ammiego i stropili się, gdy pani Pierce zauważyła, że ich próbka maleje i wypala dno cebrzyka. Rzeczywiście nie była zbyt wielka – uznali jednak, że od początku mogła być mniejsza, niż im się zdawało.

Następnego dnia – działo się to zaś w czerwcu 1882 roku – profesorowie wrócili wielce podnieceni. Po drodze wstąpili do Ammiego i oznajmili, że w trakcie badań okaz zachował się przedziwacznie, a po włożeniu do szklanej zlewki zniknął bez śladu. Zlewka zniknęła także; uczeni wspomnieli, że dziwny kamień wchodzi w silne reakcje z krzemem. W doskonale wyposażonym laboratorium poddali go najróżniejszym doświadczeniom, kamień jednak okazał się niewiarygodnie wręcz niepodatny na wszelkie oddziaływania: podgrzany w węglu drzewnym nie wydzielał żadnych gazów, nic zgoła nie wykazał w próbie perły boraksowej, wkrótce okazało się też, że nie ulatnia się w żadnej temperaturze, jaką tylko można osiągnąć w laboratorium, nawet za pomocą dmuchawki tlenowodorowej. Na kowadle okazał się wysoce ciągliwy, w ciemności intensywnie świecił. Prawdziwą sensację wzbudziło jednak to, że uparcie nie chciał ostygnąć; gdy zaś zbadano go spektroskopem i okazało się, że jego widmo zawiera pasma niespotykanych barw, uczeni jęli prześcigać się w domysłach: mówili o nowych pierwiastkach, o dziwnych właściwościach optycznych i innych jeszcze rzeczach, o których skonsternowani uczeni chętnie spekulują w obliczu nieznanego.

Wciąż gorący okaz umieszczono wreszcie w tyglu i poddano działaniu różnych odczynników. Z wodą nie oddziaływał. Z kwasem solnym również. Próbowano kwasu azotowego, nawet wody królewskiej – syczały tylko i skwierczały w zetknięciu z jego niewrażliwą powierzchnią. Ammiemu niełatwo było sobie to wszystko przypomnieć, gdy jednak wymieniłem w zwyczajowej kolejności nazwy powszechnie stosowanych rozpuszczalników, rozpoznał kilka z nich. Były wśród nich amoniak, soda kaustyczna, alkohol i eter, mdlący dwusiarczek węgla i jeszcze z tuzin innych; jakkolwiek kolejne

rozpuszczalniki konsekwentnie zmniejszały masę próbki, a w niewielkim stopniu obniżyły też jej temperaturę, nie zaobserwowano w nich jednak żadnych zmian, które świadczyłyby, że choć w najmniejszym stopniu naruszyły jej substancję. Ponad wszelką wątpliwość był to jednak metal: po pierwsze, wykazywał właściwości magnetyczne; po drugie, po zanurzeniu w rozpuszczalnikach kwasowych na jego powierzchni ujawniły się słabe zarysy figur Widmannstättena. Gdy temperatura obniżyła się już znacząco, doświadczenia przeprowadzano w naczyniach szklanych – i właśnie w szklanej zlewce umieszczono wszystkie kawałki, na jakie w trakcie doświadczeń podzielono pierwotną próbkę. Następnego ranka nie było już ani zlewki, ani próbek – tylko wypalony ślad na drewnianej półce.

Profesorowie opowiedzieli o tym wszystkim Ammiemu w progu jego domu. Ammi i tym razem wybrał się z nimi obejrzeć kamiennego posłańca z gwiazd, choć już bez towarzystwa żony. Nawet sceptyczni uczeni nie mogli już zaprzeczyć, że meteoryt się skurczył. Topniejąca brązowa bryła leżała w kraterze pośrodku pustej przestrzeni; poprzedniego dnia mierzyła dobre siedem stóp średnicy, teraz zaś ledwie pięć. Wciąż była gorąca. Uczeni oddzielili młotkiem i dłutem większy niż poprzednio kawałek i uważnie przyjrzeli się powierzchni meteorytu. Tym razem zagłębili się nieco bardziej i uzyskawszy próbkę, przekonali się, że jego rdzeń bynajmniej nie jest jednolity.

We wnętrzu brązowej bryły odsłonili bowiem coś, co wyglądało na ściankę dużej, barwnej kuli. Kolor jej, zbliżony do niektórych pasm w dziwnym spektrum przebadanej próbki, był niemożliwy wręcz do opisania; właściwie tylko przez analogię określono go mianem koloru. Powierzchnię miała połyskliwą, a podczas opukiwania wydawała się krucha i pusta. Gdy jeden z profesorów uderzył ją mocno młotkiem, pękła z cichym, nerwowym pyknięciem. Ze środka nic się nie wydostało, kula znikła po prostu bez śladu, pozostawiając po sobie pustą przestrzeń trzycalowej mniej więcej średnicy; uznano jednak, że skoro zewnętrzna powłoka zanika, to być może objawią się następne.

Przypuszczenie nie sprawdziło się, próby znalezienia kolejnych kul za pomocą nawiercana spełzły na niczym, tedy uczonym pozostało jedynie zbadać w laboratorium kolejną próbkę, która – jak się okazało – zachowywała się równie zdumiewająco jak jej poprzedniczka. Pomijając to, że była niemal plastyczna, miała właściwości magnetyczne, wydzielała ciepło oraz nieco świeciła, jej widmo zawierało nieznane pasma, w mocnych kwasach lekko się schładzała, ulatniała się w powietrzu, a w zetknięciu ze związkami krzemu niszczyła i je, i siebie, substancja nie miała żadnych cech, które umożliwiałyby jej identyfikację; ukończywszy doświadczenia uczeni zmuszeni byli przyznać, że nie są w stanie określić jej istoty. Była to rzecz nie z tego świata, cząstka zewnętrznej, pozaziemskiej przestrzeni – miała pozaziemskie właściwości i podlegała pozaziemskim prawom.

Tej nocy szalała burza i gdy następnego dnia profesorowie przyjechali ponownie do Nahuma, spotkało ich przykre rozczarowanie. Magnetyczna bryła musiała mieć osobliwe właściwości elektryczne, wyjątkowo uparcie bowiem – jak powiedział Nahum – „ściągała pioruny”. W ciągu jednej

godziny aż sześciokrotnie piorun uderzył w bruzdę przed domem, gdy zaś burza minęła, przy antycznym żurawiu pozostał jedynie nierówny dół, na wpół zasypany ziemią. Kopanie nic nie dało: obiekt zniknął bez reszty. Uczeni zmuszeni byli przyznać się do sromotnej porażki; nie pozostawało im nic innego, jak wrócić do laboratorium i jeszcze raz zbadać zanikającą część, tym razem pieczołowicie zamkniętą w ołowianej kasetce. Istniała jeszcze przez tydzień i nie zdołano już wydobyć z niej niczego istotnego. Zniknęła wreszcie bez reszty i z czasem profesorowie poczęli wątpić, czy naprawdę widzieli na własne oczy ów tajemniczy odprysk niezgłębionych pozaziemskich otchłani, owo mroczne przesłanie z innych wszechświatów, innych sfer materii, siły i bytu.

O całym wydarzeniu rozpisywały się oczywiście powiadomione przez uczelnię arkhamskie gazety; reporterzy wybrali się także na farmę Gardnerów. Swojego korespondenta przysłał też co najmniej jeden dziennik z Bostonu, Nahum Gardner stał się więc rychło miejscową sławą. Był to szczupły, jowialny mężczyzna koło pięćdziesiątki, razem z żoną i trzema synami gospodarzył na ładnie położonej farmie w dolinie. Często się z Ammim odwiedzali, podobnie jak ich żony; choć tyle minęło już lat, Ammi nie mógł się go nachwalić. Nahum był chyba trochę dumny, że jego gospodarstwo budzi takie zainteresowanie; przez kilka tygodni po zdarzeniu chętnie opowiadał o meteorycie. Lipiec i sierpień były upalne; Nahum nieźle się napracował przy sianokosach na swej dziesięcioakrowej łące za Potokiem Chapmana. Jego wóz turkotał tam i z powrotem, żłobiąc głębokie koleiny na cienistych drogach. Nahum męczył się jakoś bardziej niż w poprzednich latach, czuł już w kościach ciężar wieku.

Później nastał czas żniw i zbiorów. Powoli dojrzewały gruszki i jabłka. Nahum zaklinał się, że jego sady obrodziły jak jeszcze nigdy dotąd: owoce były fenomenalnie wręcz wielkie, lśniły jak nigdy, a do tego rosły tak obficie, że Gardnerowie musieli zamówić dodatkowe beczki. Zbiory gorzko ich jednak rozczarowały: z całej tej bujnej, kusząco soczystej obfitości ani jeden owoc nie nadawał się do jedzenia. W przepyszny dotąd smak gruszek i jabłek wkradła się niezdrowa gorycz, najmniejszy nawet kęs pozostawiał w ustach długotrwały niesmak. Nie inaczej było z melonami i pomidorami. Cały ówczesny zbiór Nahum musiał z przykrością uznać za stracony; szybko skojarzył też fakty i uznał, że najwidoczniej meteoryt zatruł glebę, przeto dziękował Bogu, że część swoich upraw ma na wzgórzu przy drodze.

Zima przyszła wcześnie i była bardzo mroźna. Ammi nieco rzadziej widywał się z Nahumem, zauważył też, że jego przyjaciel jakby się czymś martwi. Coraz skrytsi wydawali się też członkowie jego rodziny; pojawiali się w kościele, brali udział w różnych wiejskich uroczystościach, ale wydawali się smutni i nieobecni. Przyczyn tego stanu niepodobna było się domyślić, jakkolwiek wszyscy pięcioro co pewien czas skarżyli się, że podupadają na zdrowiu i dręczy ich uczucie nieokreślonego niepokoju. Najbardziej skory do zwierzeń okazał się Nahum: zdradził kiedyś, że nie dają mu spokoju niektóre ślady znajdowane na śniegu. Były to jak zwykle ślady wiewiórek, białych królików i lisów, wszelako – jak mówił znękany farmer – z ich wyglądem i sposobem ułożenia było coś nie tak. Nahum nigdy

nie wyjaśnił, co ma na myśli, ale chodziło mu chyba o to, że niezupełnie odpowiadają one typowej budowie ciała i zwyczajom tych zwierząt. Ammi słuchał tego jednym uchem, póki pewnej nocy nie zdarzyło mu się wracać saniami z Clark's Corners i droga nie wypadła mu akurat obok domu Gardnerów. W blasku księżyca przez drogę sadził królik – sadził zaś tak długimi susami, że Ammi w miejscu ściągnął lejce, a koń omal nie poniósł. Od tamtej pory Ammi z większym szacunkiem słuchał opowieści Nahuma, dziwił się też, czemu jego psy każdego ranka trzęsą się ze strachu. Widać było, że niemal zupełnie boją się szczekać.

W lutym chłopaki McGregorów z Meadow Hill wybrali się na świstaki i nie opodal farmy Gardnerów upolowali niezwykle osobliwy okaz. Zwierzę było ukształtowane w nieproporcjonalny, zupełnie nieopisany sposób, wyraz pyszczka zaś miało zupełnie niespotykany wśród zwyczajnych świstaków. Chłopców ogarnęła najprawdziwsza trwoga – wyrzucili precz dziwaczne stworzenie, przeto ludzie w okolicznych wsiach znali je tylko z ich groteskowej opowieści. To, że obok domu Nahuma płoszą się konie, było już jednak faktem powszechnie znanym; wkrótce jego farma zaczęła obrastać szeptaną legendą.

Ludzie zaklinali się na przykład, że obok Gardnerów najszybciej taje śnieg. Na początku marca można zaś było usłyszeć rozmowę strwożonych wieśniaków w sklepie Pottera w Clark's Corners. Stephen Rice przejeżdżał tego ranka obok Gardnerów i zauważył, że w błocie pod lasem po drugiej stronie drogi wschodzą kępy skupni. Nigdy wcześniej nie widział jednak skupni tej wielkości; rośliny mieniły się też dziwnymi barwami, których niepodobna opisać słowami. Kształt miały potworny, a cuchnęły jeszcze wstrętniej niż zwykle – koń Stephena aż parsknął. Po południu kilka osób wybrało się tam, by zobaczyć przerośnięte kwiaty, i wszyscy zgodnie uznali, że rośliny takie nie powinny w ogóle wyróść w zdrowym świecie. Ktoś napomknął też o nieudanych jesiennych zbiorach – i z ust do ust popłynęła wieść, że ziemia u Gardnerów jest zatruta. Winą obarczano oczywiście meteoryt; paru gospodarzy pamiętało zresztą, jak bardzo zdumiał on uczonych z Arkham, powiadomili ich tedy o tym, co się dzieje.

Pewnego dnia uczeni złożyli Nahumowi wizytę. Nie mieli przesadnego szacunku dla ludowych bajań, toteż we wnioskach byli bardzo ostrożni. Rośliny niewątpliwie wyglądały dziwnie, lecz taka już jest skupnia – jej kwiaty zawsze mają dziwny wygląd, kolor i zapach, nieprzypadkowo nazywa się ją „kapustą skunksa". Niewykluczone, że z meteorytu przedostał się do gleby jakiś pierwiastek mineralny, ale przecież niedługo zostanie wypłukany. Dziwne ślady, spłoszone konie? Zwykłe wiejskie gadanie – zwykła rzecz po tak niespotykanym wydarzeniu jak upadek aerolitu. Gdy ludzie zaczynają fantazjować, poważni uczeni nie mają już nic do roboty – przesądni wieśniacy wszystko potrafią wymyślić i we wszystko uwierzyć. Aż do końca „tamtych dziwów" profesorowie odnosili się tedy do całej sprawy ze wzgardliwą obojętnością. Tylko jeden z nich, gdy półtora roku później policja przekazała mu do zbadania dwie fiolki pyłu z przeklętego pustkowia, przypomniał sobie, że dziwaczny kolor skupni bardzo przypominał niezwykłe pasma odkryte w spektroskopowym widmie meteorytu oraz w kruchej kuli

znalezionej we wnętrzu przybysza z otchłani. Próbki pyłu wykazały podczas badania podobną właściwość, później jednak ją utraciły.

Drzewa wokół farmy Nahuma wyjątkowo wcześnie wypuściły pąki, nocami zaś złowieszczo szumiały. Średni syn Nahuma, piętnastoletni wyrostek Thaddeus, przysięgał, że szumiały nawet wówczas, gdy nie było wiatru, wszelako nie potwierdziły tego nawet krążące w okolicy plotki. Niepodobna było jednak zaprzeczyć, że w powietrzu wisi jakiś niepokój. Wszyscy Gardnerowie wyrobili sobie nawyk ukradkowego nasłuchiwania – jakkolwiek nie byliby w stanie określić, jakiego dźwięku się spodziewają; nasłuchiwali raczej w chwilach, gdy ich świadomość była jakby na poły uśpiona. Niestety, chwil owych z każdym tygodniem przybywało, aż wreszcie wszyscy zgodnie uznali, że „z Gardnerami dzieje się coś niedobrego”. Niedługo wzeszła wczesna skalnica, w jeszcze innym, dziwnym kolorze – nieco odmiennym niż skupnia, lecz podobnego rodzaju i tak samo nieznanym. Nahum zawiózł trochę kwiatów do Arkham i pokazał je redaktorowi „Gazette”, mądrala ów jednak raczył jedynie napisać humorystyczny artykulik, w którym dobrotliwie obśmiał lęki przesądnych wieśniaków. Nahum popełnił błąd; nie powinien był opowiadać tępemu mieszczuchowi o tym, co wyprawiały wokół tej skalnicy wielkie, przerośnięte motyle, zwłaszcza rusałki żałobniki.

W kwietniu okoliczni gospodarze już niemal odchodzili od zmysłów; właśnie wtedy zaczęli na dobre unikać drogi koło Gardnerów, co ostatecznie doprowadziło do jej porzucenia. Wszystko przez roślinność. Cały sad Nahuma zakwitł najdziwniejszymi barwami, kamieniste zaś podwórze i przydomowe pastwisko porosły tak niesamowitymi roślinami, że tylko botanik byłby w stanie doszukać się w nich związków z miejscową florą. Jedynym normalnym, zdrowym kolorem była zieleń trawy i listowia; poza tym wszystko mieniło się roztęczem najobłędniejszych odcieni jakiejś schorzałej barwy pierwotnej, nieznanej w ziemskiej palecie barw. Ponuro i groźnie wyglądały kwiaty serduszki, rozbestwiły się w swej chromatycznej perwersji sangwinarie. Ammiemu i Gardnerom większość tych barw uparcie się z czymś kojarzyła – wreszcie przypomnieli sobie, że podobny kolor miała kula we wnętrzu meteorytu. Nahum zaorał i obsiał dziesięcioakrową łąkę i pole na wzgórzu, natomiast pola wokół domu pozostawił odłogiem. Wiedział, że nie byłoby z nich pożytku, miał jednak nadzieję, że latem dziwaczne rośliny wyciągną truciznę z gleby. Był już przygotowany na wszystko. Przywykł też do poczucia, że coś każe mu stale nasłuchiwać. Oczywiście doskwierało mu, że sąsiedzi omijają jego dom; jeszcze bardziej bolała nad tym jego żona. Chłopcom nie dokuczała samotność, bo co dzień byli w szkole; słyszeli jednak krążące po wsiach plotki i byli przerażeni. Najbardziej cierpiał Thaddeus, młodzieniec wyjątkowo wrażliwy.

W maju pojawiły się owady – farma Nahuma zaroiła się od bzyczących i pełzających okropieństw. Większość z nich poruszała się i wyglądała dość nietypowo, a nocne ich zwyczaje urągały wszelkiemu doświadczeniu. Gardnerowie zaczęli spędzać noce na obserwowaniu – rozglądali się na wszystkie strony, wypatrywali… lecz czego? Nie wiedzieli sami. Właśnie wtedy przyznali, że Thaddeus nie mylił się co do szumiących drzew. Pani Gardner spoglądała kiedyś przez okno na spęczniałe gałęzie klonu i w

świetle księżyca spostrzegła, że się poruszyły – choć wcale nie było wiatru. To pewnie przez soki. Dziwaczne było już wszystko, co rosło wokół ich farmy. Następnego odkrycia nie dokonali wszakże sami Gardnerowie – aż do otępiałości oswojeni z otaczającą ich dziwnością, nie dostrzegli czegoś, co nie uszło uwadze pewnego sprzedawcy wiatraków z Bolton. Bojaźliwy ów człowiek nie znał miejscowych legend i pewnej nocy przejechał obok ich farmy; o zjawisku, które zauważył, opowiedział w Arkham, i wkrótce „Gazette” skwitowała je krótką wzmianką; dopiero wówczas dostrzegli je wszyscy okoliczni farmerzy, z Nahumem włącznie. Komiwojażer zeznał mianowicie, że jakkolwiek noc była ciemna, a latarnie jego bryczki świeciły słabiutko, wokół pewnej farmy w dolinie – z opisu wynikało niezbicie, że chodzi o farmę Nahuma – ciemność była mniej gęsta niż gdzie indziej. Cała okoliczna roślinność – trawy, liście, kwiaty – zdawała się leciutko, lecz wyraźnie fosforyzować; w pewnym momencie widać było nawet, jak osobny punkcik światła przemyka po podwórzu nieopodal obory.

Na razie wydawało się, że trawa jest nienaruszona, przeto krowy pasły się swobodnie na pastwisku za domem. Pod koniec maja jednak mleko zaczęło się psuć, toteż Nahum zaczął wyprowadzać je na wyższą łąkę. Problem z mlekiem minął, za to wyraźnie zaczął zmieniać się wygląd liści i traw: z zielonych stały się szare, nabrały też przedziwnej kruchości. Jedyną osobą, która podówczas odwiedzała jeszcze farmę Nahuma, był Ammi, wszelako i on czynił to coraz rzadziej. Gdy skończył się rok szkolny, Gardnerowie zostali właściwie odcięci od świata; niekiedy wyręczali się Ammim w różnych miejskich sprawunkach. Osobliwie podupadali na zdrowiu, zarówno fizycznym, jak psychicznym – toteż nikogo z sąsiadów specjalnie nie zdziwiła wieść, że pani Gardner postradała zmysły.

Stało się to w czerwcu, mniej więcej rok po upadku meteorytu. Biedaczka wykrzykiwała, że widzi w powietrzu jakieś nieopisane rzeczy. W jej majakach nie było ani jednego konkretnego rzeczownika, tylko czasowniki i zaimki: coś się ruszało, zmieniało, trzepotało, w uszach dźwięczały jej impulsy nie do końca będące dźwiękami. Coś jej zabrano – coś z niej wysysano – zaciskało się na niej coś, co nie ma prawa istnieć – niech ktoś to zabierze – nocami wszystko było w nieustannym ruchu – przesuwały się ściany i okna. Nahum nie odesłał jej do stanowego przytułku dla obłąkanych – dopóki nie robiła krzywdy sobie i innym, pozwalał jej chodzić swobodnie po całym domu, nawet gdy zmienił się wyraz jej twarzy. Kiedy jednak chłopcy zaczęli się jej bać, a Thaddeus omal nie zemdlał na widok jej grymasów, Nahum postanowił zamknąć ją na strychu. W lipcu pani Gardner przestała mówić i zaczęła chodzić na czworaka, pod koniec miesiąca zaś Nahum podzielił się z Ammim obłędnym spostrzeżeniem, że w ciemności jego żona leciutko świeci, dokładnie tak jak okoliczna roślinność.

Nieco wcześniej uciekły Nahumowe konie. Którejś nocy zbudziły się nagle i jęły przeraźliwie rżeć i kopać w przegrody. Niepodobna było je uspokoić, gdy zaś Nahum otworzył wrota stajni, wypadły na zewnątrz jak przerażone sarny. Minął tydzień, nim udało się odnaleźć całą czwórkę, a i tak okazało się, że zupełnie nie da się ich już opanować. Coś musiało paść im na mózg – uznano je przeto za bezużyteczne i dla własnego ich dobra zastrzelono. Na

sianokosy Nahum pożyczył konia od Ammiego, ten jednak nie chciał nawet zbliżyć się do stodoły: narowił się, płoszył, rżał, mężczyźni pozostawili go więc na podwórzu i własnoręcznie dotoczyli ciężki wóz do stodolnych brogów. Tymczasem roślinność nie przestawała szarzeć i kruszeć. Zszarzały nawet kwiaty, jeszcze niedawno mieniące się feerią cudacznych barw; szare, karłowate i niesmaczne były też dojrzewające właśnie owoce. Szaro i bezkształtnie zakwitły astry i nawłoć, a róże, cynie i malwy przed domem nabrały wyglądu tak bluźnierczego, że Zenas, najstarszy syn Nahuma, wyciął je w pień. Mniej więcej w tym czasie do cna wyzdychały też dziwacznie obrzmiałe owady, pszczoły zaś opuściły ule i odleciały do lasu.

Nim nastał wrzesień, cała roślinność kruszyła się już i zamieniała w szarawy proszek. Nahum bał się, że zanim trucizna zniknie z gleby, drzewa zdążą obumrzeć. Żona jego miewała teraz napady przerażającego wrzasku, toteż i on, i jego synowie żyli w nieustannym nerwowym napięciu. Unikali już ludzi; gdy zaczęła się nauka, chłopcy nie poszli nawet do szkoły. A jednak to Ammi w trakcie jednej z coraz rzadszych wizyt zauważył, że w studni Gardnerów zepsuła się woda. Miała dziwny smak – ani słony, ani wstrętny, ale na pewno niedobry, toteż Ammi poradził przyjacielowi, by wykopał studnię na wyższym terenie i póki gleba nie ozdrowieje, stamtąd przynosił wodę. Nahum jednak zignorował ostrzeżenie – zdążył już zobojętnieć na wszystko co dziwne i nieprzyjemne. Razem z synami pili dalej skażoną wodę, a czynili to z taką samą mechaniczną apatią, z jaką jadali skąpe, niedbale przyrządzone posiłki i z dnia na dzień wykonywali niewdzięczną, jałową krzątaninę. Ogarnęła ich jakaś tępa rezygnacja, jak gdyby znajdowali się już jedną nogą w innym świecie, jak gdyby pod okiem nienazwanych straży zdążali prosto ku niechybnej, a znajomej zgubie.

We wrześniu oszalał Thaddeus. Poszedł do studni po wodę, wrócił zaś bez wiadra, wrzeszcząc i wymachując rękoma; niekiedy wybuchał głupkowatym chichotem lub szeptał, że „ruszajo się tam jakieś kolory”. Obłęd dotknął już dwoje członków rodziny, wszelako Nahum znosił to wyjątkowo dzielnie. Pozwolił chłopcu chodzić wolno, gdy jednak po tygodniu Thaddeus zaczął się potykać i ranić, zamknął go na strychu, w izbie oddzielonej korytarzem od izby zajmowanej przez matkę. Oboje krzyczeli teraz do siebie zza zaryglowanych drzwi, co brzmiało przeraźliwie – zwłaszcza dla małego Merwina, który roił sobie, że matka z Thaddeusem rozmawiają ze sobą w jakimś straszliwym nieziemskim języku. Merwin już wcześniej miewał zatrważające fantazje, tym bardziej niespokojny stał się teraz, gdy zabrano mu najlepszego towarzysza zabaw.

Niemal w tym samym czasie zaczął padać żywy inwentarz. Najpierw zszarzał i wyzdychał cały drób, mięso padłych ptaków okazało się zaś suche i cuchnące. Świnie zrazu nadzwyczajnie utyły, potem zaś nagle zaczęły dziać się z nimi rzeczy wstrętne i niewytłumaczalne: szarzały, kruszały i rozpadały się, nim jeszcze zdążyły zdechnąć, a ich oczy i pyski zmieniały się w sposób przedziwaczny. Ich mięso okazało się oczywiście bezużyteczne. Trudno było to wyjaśnić, świń nigdy nie karmiono skażonymi roślinami. Nahum nie wiedział teraz, co począć. Żaden wiejski weterynarz nie zbliżał się już do jego farmy; weterynarz wezwany z Arkham bezradnie rozkładał ręce.

Później zaczęły chorować krowy. Skóra więdła im niesamowicie, usychała, niekiedy wręcz na całym ciele, wreszcie pękała obrzydliwie lub się rozpadała. Pod koniec – wszystkie bowiem ostatecznie padały – ich ciała szarzały i kruszały, tak jak wcześniej świnie. O zatruciu nie mogło być mowy, krowy trzymane były wszak w zamkniętej, bezpiecznej oborze. Na pewno nie pokąsały ich żadne drapieżniki – jakież ziemskie zwierzę przegryzłoby się przez murowane ściany? Choroba musiała mieć pochodzenie naturalne; lecz cóż za choroba mogła mieć takie skutki – nikomu nie mieściło się w głowie. Nim nadeszły żniwa, w gospodarstwie nie było już ani jednego żywego zwierzęcia: bydło, drób i świnie padły, a psy uciekły – wszystkie trzy zniknęły pewnej nocy i tyle je widziano. Nieco wcześniej przepadła cała piątka kotów; ich odejście jednak mało kto zauważył, nie było już bowiem myszy, jedyną zaś osobą, która miała upodobanie do tych powabnych zwierząt, była nieszczęsna pani Gardner.

Dziewiętnastego października Nahum przyszedł chwiejnym krokiem do Ammiego, niosąc okropną wieść: biedny Thaddeus skonał w swej izdebce na strychu, i to skonał w sposób, przed którym wzbrania się ludzka mowa. Nahum zebrał to, co po nim zostało, i złożył w grobie na ogrodzonym rodzinnym cmentarzyku na tyłach farmy. Śmierć nie przyszła z zewnątrz – małe, zakratowane okienko i zaryglowane drzwi pozostały nietknięte; była jednak taka sama jak u zwierząt w oborze. Ammi i jego żona pocieszali wstrząśniętego przyjaciela, jak tylko mogli, czynili to jednak z dreszczem trwogi. Zdawało się, że na Gardnerach, tudzież wszystkim, czego się tknęli, kładzie się cień najokropniejszej zgrozy; wystarczyło, że zjawił się któryś z nich, a dom wypełniał się tchnieniem z jakichś dali nienazwanych i nienazywalnych. Ammi z najwyższą niechęcią odprowadził Nahuma i ze wszystkich sił starał się uspokoić szlochającego histerycznie Merwina. Zenasa uspokajać nie musiał: chłopiec ostatnio nie robił już nic, wpatrywał się tylko w przestrzeń i apatycznie wykonywał ojcowskie polecenia; Ammiemu przyszło do głowy, że spotkał go w istocie los najlitościwszy. Krzykom Merwina co pewien czas odpowiadało słabe echo ze strychu; w odpowiedzi na pytające spojrzenie Ammiego Nahum stwierdził, że jego żona bardzo słabnie. Z nadejściem nocy Ammiemu udało się wymknąć do domu; nawet przez wzgląd na przyjaźń z Nahumem wolał nie oglądać, jak po zmroku rośliny rozjarzają się słabym blaskiem, i nie sprawdzać, czy rzeczywiście drzewa kołyszą się, gdy nie ma wiatru. Doprawdy, szczęście miał Ammi, że los nie obdarzył go bujniejszą wyobraźnią. Choć świat dokoła okropniał, jemu udawało się zachować trzeźwość umysłu; gdyby umiał połączyć i ogarnąć myślą otaczające go dziwy, popadłby niechybnie w szaleństwo. Tymczasem zapadał zmrok, a on pędził z powrotem do domu, wciąż słysząc w uszach straszliwe wrzaski oszalałej kobiety i nerwowego dziecka.

Trzy dni później zrozpaczony Nahum ponownie wtoczył się do kuchni Pierce’ów i wykrztusił kolejną opowieść; Ammiego akurat nie było w domu, przeto wysłuchała jej z narastającą trwogą pani Pierce. Tym razem chodziło o małego Merwina – chłopiec przepadł. Późnym wieczorem poszedł z wiadrem i latarnią po wodę, lecz już nie wrócił. Od wielu już dni odchodził

od zmysłów, ledwo wiedział, co się z nim dzieje; krzyczał z byle powodu. Tym razem na podwórzu rozległ się wrzask naprawdę szaleńczy, lecz nim ojciec dobiegł do drzwi, chłopca już nie było. Latarnia zgasła, a Merwin zniknął bez śladu. Zrazu Nahum sądził, że latarnia i wiadro zniknęły wraz z nim; wszelako gdy z nadejściem świtu wrócił ze znojnych całonocnych poszukiwań po okolicznych polach i lasach, przy studni znalazł osobliwe przedmioty: zmiażdżoną i jakby nieco nadtopioną bryłę żelaza, najpewniej latarnię, oraz na wpół stopione ze sobą, poskręcane żelazne obręcze i wygięty pałąk – niechybnie szczątki wiadra. To było wszystko. Nahum nie miał pojęcia, co to miało znaczyć, pani Pierce także, nie pomógł też Ammi, gdy już wrócił do domu. Sąsiadów próżno byłoby prosić o pomoc, wszyscy wszak omijali Gardnerów z daleka; próżno byłby też szukać pomocy w Arkham – wszystkie wieści o Gardnerach kwitowano tam śmiechem. Najpierw zginął Thaddeus, teraz Merwin. Coś się zbliżało, skradało, czekało, aż ktoś je zobaczy, usłyszy i poczuje. Nahum przeczuwał, że wkrótce przyjdzie jego kolej, prosił Ammiego, by po jego śmierci zaopiekował się jego żoną i Zenasem. Uważał, że spotkał go dopust Boży, nie miał jednak pojęcia dlaczego – zawsze był przekonany, że wiedzie życie uczciwe i bogobojne.

Przez ponad dwa tygodnie Ammi nie miał żadnych wieści od Nahuma; zaniepokoił się wreszcie i przełamawszy lęk, wybrał się do niego z wizytą. Z wielkiego komina nie leciał dym, toteż przez chwilę Ammi obawiał się najgorszego. Gospodarstwo przedstawiało widok wstrząsający: ziemię pokrywały szarawe liście i zwiędła trawa, ze ścian i szczytów prastarego domu osypywała się skruszała winorośl, na tle listopadowego nieba prężyły się złowrogo gałęzie wielkich nagich drzew, powyginane – jak zauważył Ammi – w subtelnie odmieniony sposób, na podobieństwo rozmyślnie rozpostartych szponów. Nahum mimo wszystko żył jeszcze. Leżał na tapczanie w nisko sklepionej kuchni, słaby, lecz zupełnie przytomny; był nawet w stanie wydawać Zenasowi proste polecenia. W izbie panował śmiertelny ziąb; widząc, że Ammi zadrżał z zimna, Nahum krzyknął ochryple do Zenasa, by ten przyniósł więcej drewna. Drewno istotnie by się przydało – olbrzymi piec był do cna wypalony, w kominie hulał tylko lodowaty wiatr, wzbijając kłęby sadzy; gdy jednak Nahum spytał, czy będzie dobrze, jeśli dołożą parę szczap drewna, Ammi zorientował się, co się stało. Najtęższa opoka była strzaskana – nieszczęsnego farmera nie imały się już ościenie smutku.

Zenasa wszakże nie było, na próżno zaś Ammi usiłował taktownie wypytać Nahuma, gdzie podział się jego syn.

– W studni… mieszka w studni… – tyle tylko wydobył z majaczącego przyjaciela. Potem w nagłym przebłysku przypomniał sobie o jego obłąkanej żonie, lecz na pytanie o nią Nahum odparł zdziwiony: – Nabby? No przecie jest tutaj!

Ammi stwierdził tedy, że musi poszukać jej sam. Zostawił bełkoczącego, lecz nieszkodliwego Nahuma na tapczanie, wziął z gwoździa przy drzwiach kółko z kluczami i wspiął się po skrzypiących schodach na strych. Panował tam zaduch, okropnie cuchnęło i nie było słychać najlżejszego nawet szmeru.

Spośród czterech izb tylko jedna była zamknięta, Ammi sprawdzał więc kolejno wszystkie klucze, trzeci okazał się właściwy – pogmerał chwilę przy zamku i wreszcie otworzył niskie białe drzwi.

W środku było dość ciemno, małe okienko bowiem niemal zupełnie zasłaniała toporna drewniana krata. Ammi wpatrywał się w podłogę z szerokich desek i nie dostrzegał nic zgoła. Fetor był nie do wytrzymania, nim więc zrobił pierwszy krok, musiał wycofać się do sąsiedniej izby i nabrać w płuca świeższego powietrza. Wreszcie wszedł do środka i w kącie ujrzał ciemny kształt – przyjrzawszy mu się bliżej, wrzasnął zaś wniebogłosy. Zdało mu się, że w chwili gdy krzyknął, okno zasnuł na moment obłok, po chwili uczuł też, że omiata go jakiś upiorny opar. Przed oczyma zapląsały mu dziwne kolory – i gdyby groza nie stępiła mu zmysłów, być może przypomniałby sobie zgruchotaną geologicznym młotkiem kulę z wnętrza meteoru tudzież rozplenioną z nadejściem wiosny schorzałą roślinność. W tej strasznej chwili zdolny był jednak myśleć tylko o skulonej w kącie bluźnierczej potworności – istocie, która ponad wszelką wątpliwość podzieliła niesłychany los młodego Thaddeusa i gospodarskich zwierząt. Najprzeraźliwsze w owej zgrozie było wszakże to, że rozpadając się na kawały, nie przestawała wolno, lecz zauważalnie się poruszać...

Ammi nie opisał mi tej sceny szczegółowo, lecz w dalszej jego opowieści nie było mowy o tym, by ów kształt w kącie izby jeszcze wykonywał jakieś ruchy. O pewnych rzeczach mówić niepodobna, a prawo w osądzaniu postępków dyktowanych zwykłym człowieczeństwem bywa zbyt okrutne. Pojąłem tedy, że w izdebce na strychu nie pozostało nic, co by się jeszcze ruszało, pozostawienie zaś rzeczy owej zdolną do ruchu byłoby potwornością nie mniejszą niż skazanie myślącej istoty na wiekuiste męki. Każdy na miejscu Ammiego z pewnością zemdlałby lub oszalał – ten twardy farmer opuścił jednak niską izdebkę o zdrowych zmysłach i zamknął za sobą drzwi skrywające przeklętą tajemnicę. Teraz należało zająć się Nahumem – nakarmić, wydostać stąd i zabrać go gdzieś, gdzie będzie można roztoczyć nad nim pieczę.

Ammi ruszył po ciemnych schodach, gdy nagle z dołu dobiegł głuchy łomot. Zdało mu się nawet, że słyszy zduszony krzyk, i nerwowo przypomniał sobie wilgny opar, który omiótł go w straszliwej izbie. Cóż za zjawę zbudził swym najściem i strwożonym krzykiem? Zatrzymał się, tknięty niejasnym lękiem, z dołu zaś wciąż słyszał jakieś hałasy; na pewno wlokło się coś z mozołem, potem zaś wybrzmiał najohydniejszy, diabelski w swej wszeteczności odgłos ssania. Gorączkowo lotną myślą Ammi kojarzył fakty i nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie, co widział na strychu. Dobry Boże! W jakichże koszmarów domenę zapuścił się, niebaczny? Nie śmiał postąpić kroku, ani naprzód, ani wstecz, stał tylko w mroku na zakręcie schodów i trząsł się z trwogi. W umysł jego wraził się każdy, najbłahszy nawet szczegół tej chwili: dźwięki, straszne poczucie wyczekiwania, ciemność, stromizna wąskich stopni – a także, o niebiosa miłosierne!... słabiutka, lecz nieomylnie bijąca zewsząd świetlistość: stopni, ścian, odsłoniętych listew, belek!

Raptem pozostawiony na podwórzu koń Ammiego Hero zarżał szaleńczo i rzucił się do panicznej ucieczki. Nie minęła chwila, a tętent kopyt i turkot

bryczki ścichły w oddali, pozostawiając skulonego w ciemnościach właściciela na pastwę domysłów. Lecz na tym nie koniec. Na podwórzu wybrzmiało coś jeszcze: plusnęło coś jakby w wodę – a więc pewnie w studni. Koń stał właśnie tam, nieprzywiązany, gdy więc ruszył z kopyta, bryczka musiała zahaczyć o cembrowinę i utrącić z niej kamień. Tymczasem obmierźle antyczne drewno wciąż rzucało blady poblask. Boże, jakiż to był stary dom! Wzniesiono go jeszcze przed 1670 rokiem; mansardowy dach położono nie później niż w roku 1730…

Cichutkie skrobanie o podłogę rozbrzmiewało na dole coraz wyraźniej. Ammi zacisnął tedy chwyt na ciężkim kiju, który na wszelki wypadek zabrał ze strychu, po czym zebrawszy się wreszcie na odwagę, pokonał kilka ostatnich stopni i ruszył dziarsko w stronę kuchni. Nie dotarł tam jednak, tego bowiem, czego szukał, już tam nie było – wyszło mu na spotkanie i wciąż jeszcze żyło. Pełzło samodzielnie czy też pchane jakąś siłą zewnętrzną? Ammi nie umiał określić; lecz widział, że wydaje ostatnie tchnienia. Cokolwiek się stało, w ciągu pół godziny dokonały się spustoszenia ostateczne: zszarzało to, skruszało straszliwie, rozpadało się na suche kawały. Ammi nie śmiał tego dotknąć, wpatrywał się tylko z przerażeniem w coś, co kiedyś było twarzą, a teraz już tylko jej spaczoną parodią.

– Co to było, Nahum? Co to było? – szepnął, a rozdęta szczelina ust z trudem wyskrzypiała ostatnią odpowiedź:

– Nic… nic… to ten kolor… pali… niby zimny i mokry… a pali… mieszkało w studni… samżem widział… coś jakby dym… jak te kwiaty łońskiej wiosny… studnia świeciła się w nocy… Thad i Merwin, i Zenas… wszystko, co tylko było żywe… powysysało życie ze wszystkiego… w tym głazie… pewnikiem przyleciało w tym głazie… wszystko pozatruwało… nie wiem, czego chce… to okrągłe coś, co to je profesory wydłubały z głazu… i rozwaliły… miało ten sam kolor… kubek w kubek jak rośliny i kwiaty… musiało ich być więcej… nasiona… nasiona… rosły… pierwszy raz żem to zobaczył w tym tygodniu… ani chybi urosło w siłę na Zenasie… taki duży był z niego chłopak, pełen życia… to coś wpierw siada ci na mózg, a potem… potem już ma cię w garści… wypala cię… w wodzie ze studni… dobrześ wtedy gadał… zła była ta woda… Zenas nie wrócił ze studni… nie uciekniesz… wciąga cię… wiesz, że to coś do ciebie lezie, ale i tak nie dasz rady… po tym, jak porwało Zenasa, czasem żem to widywał… co z Nabby, Ammi?… coś kiepsko z moją łepetyną… już nie pamiętam, kiedym jej dawał jeść… trza uważać, żeby jej nie dopadło… tylko kolor… czasem pod wieczór twarz jej się mieni tym kolorem… niby tylko kolor, a pali i ssie… przyleciało skądś, gdzie wszystko jest inaczej niż u nas… któryś z tych profesorów tak gadał… i dobrze gadał… uważaj, Ammi, to jeszcze nie skończyło… wysysa życie…

Lecz na tym koniec. To coś, co mówiło, mówić więcej nie mogło, bo rozpadło się do reszty. Ammi zdjął ze stołu obrus w czerwoną kratę i nakrył nim to, co zostało, po czym wybiegł przez tylne drzwi prosto na pola. Wspiął się na dziesięcioakrową łąkę i od północy, przez lasy, dobrnął do domu. Nie śmiałby przejść obok studni, spod której uciekł jego koń; przed wyjściem zerknął przez okno i widział, że cembrowina jest nienaruszona. Szarpnięta z nagła bryczka nie utrąciła żadnego kamienia – w studni plusnęło coś innego

– coś, co wskoczyło tam po uśmierceniu biednego Nahuma…

Koń z pustą bryczką zdążył już wrócić do domu, przeto pani Pierce szalała z niepokoju. Ammi niczego nie wyjaśnił, uspokoił ją tylko i nie zwlekając pojechał do Arkham powiadomić władze, że rodzina Gardnerów przestała istnieć. Nie podał żadnych szczegółów, powiedział tylko, że Nahum i Nabby nie żyją – o śmierci Thaddeusa już wiedziano – oraz wspomniał, że najpewniej zabiła ich ta sama dziwna przypadłość, na którą wcześniej wyzdychały ich zwierzęta. Powiedział też o zniknięciu Merwina i Zenasa. Ammi został gruntownie przesłuchany, a wreszcie zmuszony był udać się na farmę w towarzystwie trzech policjantów, koronera, lekarza patologa oraz weterynarza, który zajmował się był chorymi zwierzętami Nahuma. Uczynił to z wielką niechęcią, było już bowiem po południu, Ammi bał się zaś przebywać na farmie Gardnerów po zapadnięciu zmroku; z drugiej strony towarzystwo tak licznej grupy ludzi działało nań krzepiąco.

Sześciu mężczyzn ruszyło dwukonnym wozem za bryczką Ammiego i około czwartej po południu cała grupa przybyła do skażonego domu. Jakkolwiek policjanci z niejednym już okropieństwem mieli do czynienia, to, co ujrzeli na strychu i pod czerwonym obrusem, wyraźnie nimi wstrząsnęło. Straszne wrażenie robiło już samo gospodarstwo – obrócone w zszarzałe pustkowie – lecz widok rozpadłych ludzkich szczątków był wręcz nie do zniesienia. Ktokolwiek na nie spojrzał, natychmiast odwracał wzrok; nawet lekarz przyznał, że niewiele ma do roboty, pobrał jedynie próbki do zbadania. Dwie fiolki trafiły później do laboratorium, badanie ich zawartości przyniosło zaś wynik wielce frapujący: analiza spektroskopowa ujawniła zupełnie nieznane widmo, a wiele jego zdumiewających pasm było identycznych z tymi, które zawierało widmo badanego półtora roku wcześniej meteoru. W ciągu następnego miesiąca pył własność tę utracił; składał się zaś głównie z zasadowych fosforanów i węglanów.

O studni Ammi nawet by się nie zająknął, gdyby wiedział, że ekipa policyjna zamierza cokolwiek z nią robić. Zaczynało się zmierzchać i Ammi chciał być już jak najdalej stąd. Mimo woli zerkał jednak w stronę wielkiego krateru i kamiennej cembrowiny; zauważył to jeden z detektywów, Ammi przyznał tedy, że Nahum z jakiegoś powodu lękał się czegoś ukrytego w studni – i to tak bardzo, że nawet przez myśl mu nie przeszło, by sprawdzić, czy nie wpadł do niej Merwin lub Zenas. Po takim wyznaniu policjanci oczywiście niezwłocznie przystąpili do opróżniania i przeszukiwania studni. Ammi przyglądał się z drżeniem serca, jak chlustają na ziemię kolejne wiadra cuchnącej wody. Mężczyźni krzywili się z obrzydzenia; pod koniec fetor był tak nieznośny, że musieli zatykać nosy. Pracę tę wykonali szybciej, niż się obawiali, poziom wody okazał się bowiem zadziwiająco niski. Nie trzeba rozwodzić się szczegółowo nad tym, co znaleźli. Byli tam i Merwin, i Zenas, a raczej ich szczątki, właściwie niemal same szkielety. Wyciągnięto też małą sarnę i dużego psa, z grubsza w takim samym stanie, oraz wiele kości mniejszych zwierząt. Szlam i muł na dnie z niewyjaśnionych przyczyn byłe porowate i bulgotały, policjant zaś, który opuścił się tam z długim drągiem, odkrył, że można go wbić dowolnie głęboko, nie napotykając przy tym żadnego oporu.

Zapadł już zmrok, toteż z domu przyniesiono latarnie. Gdy było jasne, że dalsze przeszukiwanie studni nie przyniesie już żadnych rezultatów, cała grupa udała się do domu i zasiadła w wiekowym salonie, by się naradzić, podczas gdy szara pustać bielała upiornie za oknami w świetle księżyca. Nikt nie miał najbledszego pojęcia, co też może łączyć dziwne zwyrodnienie roślin, nieznaną chorobę, na jaką zapadły zwierzęta pospołu z ludźmi, oraz niewytłumaczalną śmierć Merwina i Zenasa w skażonej studni. Oczywiście słyszeli już wcześniej, co gadano we wsi – lecz wciąż nie mogli uwierzyć, że zdarzyło się coś sprzecznego z prawami Natury. Niewątpliwie meteor zatruł glebę; czemu jednak choroba zaatakowała zwierzęta i ludzi, którzy nie tknęli wszak niczego, co na tej glebie rosło? Czy zatruła ich woda ze studni? Bardzo możliwe. Warto by ją zbadać. Lecz cóż za osobliwy obłęd kazał obu chłopcom do niej wskoczyć? Postąpili bardzo podobnie – ich szczątki świadczyły zaś o tym, że obu uśmierciła ta sama szara skruszałość. Czemu wszystko było takie szare i kruche?

Koroner, który siedział przy oknie wychodzącym na podwórze, pierwszy zauważył, że od studni bije blask. Była już ciemna noc i ohydne dookolne pustkowie leciutko lśniło, blask ów był zaś mocniejszy niż odbite promienie księżyca wychodzącego od czasu do czasu zza chmur – był wyraźny i osobny, bił z czarnej czeluści niby światło reflektora, odbijając się mdło w kałużach wody z opróżnionej studni. Był przedziwnej barwy i gdy mężczyźni zebrali się przy oknie, Ammi uczuł żgnięcie okropnego lęku. Dziwny ów odcień lśniącego widmowo waporu był mu wszak znany – Ammi widział go już i drżał na myśl, co może oznaczać. Takiej właśnie barwy była wstrętna krucha kula znaleziona zeszłego lata we wnętrzu aerolitu, taką barwę miała roślinność, która rozszalała się wiosną. Taką barwę widział też, jak mu się zdało, dziś rano na tle zakratowanego okna w owej straszliwej izdebce na strychu, która stała się widownią niewysłowionych rzeczy: błysnęła przez sekundę, Ammiego omiótł upiorny opar – a potem coś, co miało tę właśnie barwę, uśmierciło biednego Nahuma. W końcu Ammi wydusił to z siebie – powiedział policjantom, że taki sam kolor miała kula i rośliny; że po śmierci Nahuma uciekł jego koń i coś plusnęło w studni – teraz zaś studnia miotała w nocne niebo podstępny blady promień w tym samym diablim odcieniu.

Ammi wykazał się niebagatelną przytomnością umysłu, skoro nawet w tak dramatycznej chwili zwrócił uwagę na kwestię ściśle naukowej natury. Nie mógł się mianowicie nadziwić, że dokładnie taki sam kolor dostrzegł za dnia, w oparze widzianym na tle okna w świetle poranka, oraz nocą, w wyziewie rozpościerającym się fosforyzującą mgiełką na tle czarnej, porażonej pustaci. Było to nienormalne, wbrew prawom Natury! Ammi przypomniał sobie straszne ostatnie słowa konającego przyjaciela:

– Przyleciało skądś, gdzie wszystko jest inaczej niż u nas... któryś z tych profesorów tak gadał...

Wszystkie trzy konie, uwiązane do pary uschniętych drzewek przy drodze, rżały jak oszalałe i ryły kopytami ziemię. Woźnica rzucił się ku drzwiom, żeby temu zaradzić, lecz Ammi położył mu na ramieniu drżącą dłoń i wyszeptał:

– Nie wychodź tam. Nie wiadomo, co to za licho. Nahum gadał, że coś tam

się gnieździ w tej studni i że to wysysa życie. Gadał, że musiało toto jakoś wyrosnąć z okrągłej kuli, takiej jak ta w meteorycie, cośmy go wszyscy widzieli, jak spadł w czerwcu łońskiego roku. Gadał, że to ssie i pali, i że to tylko kolorowa chmura, taka jak ta, co tera świeci na dworze, i że ledwo to widać i nie wiadomo, co to jest. Nahumowi się zdawało, że to zżera wszystko, co żyje, i ciągle rośnie w siłę. Gadał, że widział to w zeszłym tygodniu. Pewnikiem przyleciało skądś tam, z daleka, tak jak tamten meteor w zeszłym roku, miastowe profesory tak o nim gadały… Zrobione jest toto i zachowuje się zupełnie nie po bożemu. Z innego świata się tu wzięło…

Mężczyźni zawahali się więc, patrzyli tylko, jak światło ze studni nabiera mocy, i słuchali coraz obłędniejszego rżenia i wierzgania uwiązanych koni. Zamknięci w prastarym, przeklętym domu, z potwornymi szczątkami czworga ludzi – dwojga z domu i dwojga ze studni – złożonymi w drewutni, wpatrywali się w tryskający z oślizłych głębin snop niezbadanego, bezbożnie opalizującego blasku i przeżywali naprawdę okropne chwile. Ammi zatrzymał woźnicę, zapominając, że sam wyszedł był bez szwanku ze spotkania z kolorowym oparem w izdebce na strychu – być może jednak postąpił słusznie. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co naprawdę dzieje się na podwórzu, a choć do tej pory nikt o zdrowym, trzeźwym umyśle nie ucierpiał jeszcze w zetknięciu z tym pozaziemskim bluźnierstwem, żaden z ukrytych w domu mężczyzn nie wiedział, do czego jest zdolne w tej ostatniej chwili – zwłaszcza że zdawało się rosnąć w siłę, a już za chwilę pod rozświetlanym kapryśnie księżycowym blaskiem niebem miał objawić się cel jego działań.

Raptem jednemu z detektywów wyrwał się krótki, zduszony okrzyk. Pozostali spojrzeli na niego, a potem pospiesznie zwrócili wzrok ku miejscu, które przykuło jego uwagę. Słowa były zbędne. Ostatecznie potwierdziły się krążące po wsiach plotki – i właśnie ze względu na to siedmiu mężczyzn przyrzekło sobie później, że z nikim w Arkham nie będą rozmawiać o „tamtych dziwach”. Koniecznie trzeba wspomnieć, że wieczór był bezwietrzny; wiatr zerwał się, owszem, lecz znacznie później, w tej akurat chwili panowała absolutna cisza. Nie drżały nawet spopielone listki stuliszu, nawet frędzle na daszku policyjnego wozu – a przecież wśród tej napiętej, świętokradczej głuszy poruszały się nagie gałęzie na czubkach wszystkich przydomowych drzew. Skręcały się w chorobliwych, spazmatycznych konwulsjach, w porywach epileptycznego szaleństwa szarpały oświetlone księżycem chmury, targały bezsilnie schorzałe powietrze, jak gdyby kierował nimi bezcieleśnie wijący się pod czarnymi korzeniami kłąb pozaziemskich zgróz.

Na kilka sekund wszyscy wstrzymali oddech. Później księżyc zasnuła gęstsza, ciemniejsza chmura i szponiaste gałęzie momentalnie zniknęły im z oczu. Wówczas ze wszystkich gardeł wyrwał się schrypły, stłumiony bojaźnią krzyk. Nie był to bowiem jeszcze koniec najgorszego: gdy zapadła straszna ciemność, mężczyźni ujrzeli, że wierzchołki drzew obsypane są tysiącznym rojem bezbożnie świetlistych punkcików – przycupniętych na koniuszkach gałęzi niczym ognie świętego Elma lub języki ognia, które zstąpiły na głowy apostołów w dzień Pięćdziesiątnicy. Cóż to była za potworna konstelacja

nienaturalnego światła! Zupełnie jakby chmara wykarmionych ścierwem świetlików tańczyła piekielną sarabandę nad przeklętymi moczarami; barwę zaś miało tę samą, którą wcześniej rozpoznał z trwogą Ammi. Snop fosforyzującego blasku, to przeklęte wyboczenie Natury, jaśniał tymczasem coraz potężniej, przyprawiając stłoczonych przy oknie mężczyzn o dreszcz najprymitywniejszej trwogi. Nieubłagany kolor nie świecił już, raczej wylewał się ze studni, zdawał się płynąć bezkształtnym strumieniem prosto w nocne niebo.

Weterynarz zadrżał i zaryglował wejściowe drzwi dodatkową zasuwą. Ammi trząsł się także; z trudem opanował głos i zwrócił uwagę pozostałych, że coraz bardziej świecą drzewa. Konie rżały i tupały już w sposób zatrważający, lecz nikt już za żadne skarby świata nie odważyłby się wyjść z domu, by je uwolnić. Drzewa jaśniały coraz mocniejszym blaskiem, niespokojne zaś ich gałęzie prężyły się jakby coraz bardziej pionowo. Świecił się już i studzienny żuraw; któryś z policjantów wskazał bez słowa, że lśnią też drewniane szopy i ule przy kamiennym murku po zachodniej stronie. Do tej pory nietknięte zdawały się oba wozy, w pewnej chwili jednak na drodze zakotłowało się, zaturkotało – i gdy Ammi zgasił lampę, wszyscy ujrzeli, że oszalałe policyjne siwki złamały drzewko, zerwały się i uciekły wraz z zaprzęgiem.

Wstrząs wywołany ucieczką koni rozwiązał języki, rozszeptała się oszołomiona grupa.

– Zaraża wszystko, co ma budowę organiczną – wymamrotał patolog.

Nikt nie odpowiedział; policjant, który zszedł był do studni, zauważył tylko, że wbijając w dno długi drewniany drąg, musiał zbudzić coś niepojętego.

– To było ohydne – dodał. – Tam nie było dna. Tylko bulgoczący śluz. I jakby coś tam się w głębi czaiło.

Koń Ammiego na drodze wciąż grzebał kopytem i ryczał wniebogłosy, niemal zagłuszając słowa swego właściciela, który drżącym głosem mamrotał bez ładu i składu:

– Wylazło z tego głazu… rosło tam na dole… pożarło wszystko, co tylko było żywe… wykarmiło się na nich, powyżerało ich od środka… Thad, Mernie, Zenas, Nabby… Nahum był ostatni… wszyscy pili wodę… urosło na nich w siłę… z innego świata się tu wzięło, gdzie wszystko jest inaczej niż tutaj… a tera wraca do domu…

Kolumna nieznanego koloru rozpłomieniła się nagle i zafalowała kształtem fantastycznym, który każdy z widzów opisywał później inaczej, biedny Hero wydał zaś z siebie dźwięk, jakiego nikt jeszcze nigdy nie słyszał. Cała grupa zebrana w nisko sklepionym salonie zatkała uszy, Ammi zaś odwrócił się od okna, bo zgroza przyprawiała go o mdłości. Tego, co się stało, nie opiszą słowa – gdy Ammi ponownie spojrzał w okno, nieszczęsne zwierzę leżało już bez życia między strzaskanymi dyszlami bryczki. To, co z niego zostało, spalono nazajutrz. Na razie nie było czasu na opłakiwanie biednego konia – w tej samej niemal chwili jeden z detektywów bez słowa pokazał pozostałym, że straszne rzeczy dzieją się w samym salonie. Po zgaszeniu lampy widać było jak na dłoni, że fosforyzuje już leciutko całe

wnętrze domu. Jarzyły się szerokie deski podłogi, róg sfatygowanego dywanu, migotały framugi okien o małych szybkach. Blask pełgał po odsłoniętych narożnych podporach, zarażał półkę nad kominkiem, skrzyły się już drzwi i meble; poświata potężniała z każdą chwilą, aż wreszcie stało się jasne, że zdrowe, żyjące istoty muszą opuścić dom.

Ammi wyprowadził grupę do tylnych drzwi i dalej, na ścieżkę przez pola ku dziesięcioakrowej łące. Mężczyźni brnęli jak we śnie i nie śmieli się odwrócić, póki nie znaleźli się na dalekim wzgórzu. Cieszyli się, że istnieje taka ścieżka, nie śmieliby wyjść od frontu, przejść obok studni; wystarczyło, że minęli rozjarzone szopy, stodołę, że przeszli wzdłuż lśniących, diabelsko poskręcanych owocowych drzew – dziękowali Bogu, że najokropniej wiją się gałązki najwyższe. Gdy przechodzili po kładce przez Potok Chapmana, księżyc skrył się za czarniejszym niż dotąd kłębowiskiem chmur, przeto dalej, na otwarte łąki, szli już po omacku.

Gdy obejrzeli się w stronę leżącej hen na dnie doliny farmy Gardnerów, ich oczom ukazał się widok straszliwy, niczym z obrazu Fuselego. Całe gospodarstwo – drzewa, budynki, nawet trawa i zioła, których nie zdążyła jeszcze uśmiercić szara skruszałość – mieniło się ohydną, nieokreśloną mieszaniną barw. Zwieńczone językami nieczystych płomieni gałęzie prężyły się ku niebu, migotliwe strużki potwornego ognia rozpełzały się po kalenicach domu, obory i szop. Wszystko pochłaniała rozbuchana bezkształtna świetlistość, bezwymiarowa tęcza tajemnej studziennej trucizny – wrząca, czująca, chwytna, pazerna, roziskrzona, wyprężona i złowieszczo kipiąca gamą kosmicznych, nierozpoznawalnych barw.

Nagle, bez ostrzeżenia, coś wstrętnego wystrzeliło pionowo w niebo na podobieństwo rakiety lub meteoru i nim ktokolwiek zdążył krzyknąć, znikło bez śladu, pozostawiając okrągłą, zadziwiająco regularną dziurę w chmurach. Widoku tego nie zapomniał już nigdy żaden z obserwatorów. Ammi wpatrywał się tępo w rozmigotany na nocnym niebie gwiazdozbiór Łabędzia, tam gdzie nieznany kolor wtopił się w Drogę Mleczną. Po chwili jednak zwrócił wzrok na ziemię, i to lotem błyskawicy, w dolinie bowiem usłyszał trzask. Tylko tyle – trzeszczenie i pękanie drewna; wbrew temu, co twierdziła reszta, nie było żadnych wybuchów. Skutek był wszelako ten sam: w jednej gorączkowej chwili przeklętą, potępioną farmą wstrząsnął kalejdoskopowy kataklizm, olśniewająca erupcja nienaturalnych iskier i jakiejś substancji; wybuch oślepił na chwilę obserwatorów i bluznął w niebo gradem odłamków, tak barwnych i fantastycznych, że w naszym wszechświecie nie powinno być dla nich miejsca. W ślad za wystrzeloną chwilę wcześniej wielką schorzałością grad ów werżnął się w zasklepiające się chmury i nie minęła sekunda, a zniknął i on także. Nad okolicą unosiła się już tylko ciemność, w którą mężczyźni nie śmieli już na powrót się zagłębić, zerwał się czarny wicher i jął bić w ziemię lodowatymi smagnięciami jakby wprost z międzygwiazdowej przestrzeni: zawodził, skowytał, w porywach kosmicznego szaleństwa chłostał pola i spaczone lasy – aż wreszcie rozdygotana grupka pojęła, że nie ma już co czekać, aż księżyc wyjdzie zza chmur i ukaże ich oczom, co zostało z farmy Nahuma Gardnera.

Zbyt wstrząśniętych było siedmiu mężczyzn, zbyt wielką przejętych

bojaźnią, by kusić się o jakiekolwiek teorie – bez słowa brnęli północną drogą w stronę Arkham. Ammi był w gorszej sytuacji niż reszta, błagał ich przeto, by nie szli prosto do miasta, tylko odprowadzili go do głównej drogi, przy której stał jego dom, i przysiedli na chwilę w jego kuchni. Wolał nie iść sam ciemną nocą przez smagane wichrem lasy. Wstrząsnęło nim bowiem coś, co uszło uwagi pozostałych – i od tej pory już nigdy, choć tyle minęło lat, nie uwolnił się od dręczącego lęku ani z nikim nim nie podzielił. Otóż gdy jego towarzysze, kuląc się przed wiatrem, ruszyli już w stronę drogi, Ammi raz jeszcze rzucił okiem ze wzgórza na spustoszoną dolinę, w której jeszcze niedawno widział swego nieszczęsnego druha. I ujrzał w mrocznej oddali, jak z tego porażonego miejsca wznosi się coś słabiutko, a potem na powrót zapada – właśnie tam, skąd wystrzeliła w niebo owa bezkształtna zgroza. Był to tylko kolor – lecz kolor nie z naszej ziemi ani spod naszych niebios. Ammi rozpoznał ten kolor, wiedział, że ów ostatni szczątek wciąż czai się w studni, i ta wiedza odmieniła go na zawsze.

Ammi nigdy już nie zapuścił się w to przeklęte miejsce. Od strasznych wydarzeń minęło z górą pół wieku, lecz nie był tam już ani razu, i cieszył się, że całą dolinę wkrótce zaleje woda. Mnie też to cieszy: widziałem opuszczoną studnię i nie spodobało mi się, że słoneczne światło zmienia nad nią kolor. Mam nadzieję, że zalew będzie głęboki – lecz i tak nigdy nie odważę się napić z niego wody. Nie sądzę, bym kiedykolwiek odwiedził jeszcze hrabstwo Arkham. Trzech spośród towarzyszy Ammiego wróciło tam następnego ranka, by za dnia obejrzeć ruiny, lecz ruin już właściwie nie było: tylko ceglane szczątki komina, kamienne resztki piwnicy, garstka mineralnych i metalowych szczątków oraz cembrowina owej potwornej studni. Nie licząc końskiego truchła, które mężczyźni odciągnęli na bok i pogrzebali, oraz bryczki, którą później odwieźli Ammiemu, z farmy zniknęły wszelkie ślady życia. Pozostało pięć upiornych akrów, szara pylista pustynia, na której już nic nigdy nie wyrosło; po dziś dzień zieje ku otwartemu niebu wyprażona wśród lasów i pól niby kwasem, nieliczni zaś śmiałkowie, którzy gardząc wiejskimi legendami, udali się tam, by ujrzeć ją na własne oczy, nazwali ją „przeklętym pustkowiem”.

Przedziwne są te legendy. A byłyby jeszcze dziwniejsze, gdyby ludzie z miasta i uczeni z uniwersytetu wykazali odrobinę zainteresowania i zbadali wodę z owej porzuconej studni bądź szary pył, którego nie rozprasza wiatr. Botanicy powinni też zbadać skarłowaciałą florę na obrzeżach pustkowia; wynik ich analiz mógłby rzucić nieco światła na panujące w okolicy przekonanie, że dotknięty morem obszar się poszerza – powolutku, może o cal w ciągu roku. Ludzie mówią, że okoliczna roślinność nie zakwita tak, jak powinna, zimą dzika zwierzyna zostawia cudaczne ślady, śnieg zaś, na którym je widać, jest wątły – zaspy na przeklętym pustkowiu zawsze wydają się cieńsze niż gdzie indziej. Konie płoszą się, ilekroć zjadą w cichą dolinę, ci zaś myśliwi, którzy zapuszczą się w pobliże popielatej pustaci, nie mogą polegać na swych psach.

Ponoć niedobrze działa ona też na ludzki umysł. W ciągu paru lat po śmierci Nahuma wielu okolicznych wieśniaków zdziwaczało, lecz brakło im woli, by wyjechać. Później ci, którzy zachowali jeszcze zdrowe zmysły,

gromadnie opuścili te strony, i od tej pory już tylko cudzoziemcy próbowali zasiedlić ich murszejące domostwa. A jednak nie wytrzymali i oni; swoją drogą ciekawe, cóż jeszcze ponad dostępną nam wiedzę podszepnęły im niesamowite cudzoziemskie gusła. Skarżyli się, że w tych groteskowych stronach dręczą ich koszmary; i nie da się ukryć, że już sam widok tego królestwa ciemności może wzbudzić chorobliwe fantazje. Nikt, kto zapuścił się w głębokie okoliczne jary, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest w nich coś dziwnego, artystom zaś drży ręka, gdy próbują malować gęste miejscowe puszcze, przesycone nie do końca uchwytną okiem, duchową tajemnicą. I mnie wszak nie ominęło osobliwe uczucie, gdy jeszcze przed wizytą u Ammiego odbyłem swój samotny spacer przez przeklęte pustkowie. Gdy zapadł zmrok, nie wiedzieć czemu zapragnąłem, by się zachmurzyło – wisząca nade mną otchłanna próżnia nieba napawała mnie dziwną bojaźnią.

Nie pytajcie mnie, co o tym wszystkim sądzę – po prostu nie wiem. Prócz Ammiego nie miałem kogo podpytać; mieszkańcy Arkham nie rozmawiają o dziwnych dniach, trzej zaś profesorowie, którzy widzieli aerolit i ukrytą w nim barwną kulę, już nie żyją. Kul musiało być więcej. Jedna pewnie wykarmiła się i uciekła, druga prawdopodobnie nie zdążyła. Nie mam wątpliwości, że wciąż tkwi w studni – widziałem, jak wyziew unoszący się nad cembrowiną zniekształca światło słońca. Wieśniacy mówią, że morowy obszar rozszerza się z prędkością cala na rok, być może więc do dziś jeszcze lęgnie się tam, odżywia i rośnie jakiś demon; czymkolwiek to jednak jest, musi być spętane – inaczej szybko rozszerzyłoby swój zasięg. Byłożby uwięzione w korzeniach drzew wyciągniętych w niebo na podobieństwo szponów? Jedna z krążących dziś po Arkham legend mówi, że grube dęby w okolicznych lasach w nienaturalny sposób lśnią i ruszają się pod osłoną nocy.

Cóż to wszystko znaczy? Bóg jeden wie. Przypuszczam, że istota opisana przez Ammiego miała budowę gazową, musiał to być jednak gaz podległy prawom innego kosmosu. Nie zrodził się na żadnym z globów i pod żadnym ze słońc, które w naszych obserwatoriach migoczą w szkłach teleskopów i na fotograficznych odbitkach. Nie było to tchnienie przestworów, których wymiary i ruchy astronomowie nasi badają bądź uznają za zbyt wielkie do zbadania. Był to po prostu kolor z innego wszechświata – przeraźliwy posłaniec spoza najdalszych rubieży znanej nam Natury, z nieukształtowanych sfer nieskończoności, z pozakosmicznych otchłani tak czarnych, że gdybyśmy wejrzeli w nie rozgorączkowanym wzrokiem wyobraźni, oniemielibyśmy strwożeni samym ich istnieniem.

Szczerze wątpię, by Ammi świadomie wszystko zmyślił; nie sądzę też, by opowieść jego była tylko, jak ostrzegali mnie ludzie z miasta, czczym majakiem wariata. Coś strasznego spadło wraz z meteorytem na podarkhamskie doliny i wzgórza, i coś strasznego wciąż tam mieszka – choć nie wiem, ile tego jeszcze zostało. Będę rad, gdy zobaczę ten rejon pod wodą. Mam też nadzieję, że żadna krzywda nie spotka Ammiego. Był blisko tej istoty – i mógł ulec jej zdradliwemu oddziaływaniu. Czemu nigdy nie poczuł się na siłach, by opuścić te strony? Jak dobrze pamiętał ostatnie słowa konającego Nahuma! „Nie uciekniesz... wciąga cię... wiesz, że to coś do ciebie lezie, ale i tak nie dasz rady...”. Ammi to taki poczciwy staruszek –

kiedy już zaczną się prace nad zalewem, muszę koniecznie napisać do głównego inżyniera, żeby miał na niego baczenie. Nie zniósłbym myśli, że może zmienić się w szarą, poskręcaną, skruszałą potworność, która coraz uparciej nęka mnie w snach.

* Poeta – najpewniej John Milton. W Księdze Pierwszej Raju utraconego tak opisuje armię upadłych aniołów: „Jak wówczas gdy ognie niebieskie / Uszkodzą dęby w borze albo sosny / Na grzbietach górskich, tak z osmalonymi / Szczytami stali dumnie rozrośnięci, / Choć nadzy, na przeklętym pustkowiu” (tłum. Maciej Słomczyński).

# Zgroza w Dunwich

Gorgony, hydry, chimery – okropne opowieści o Kelajno i harpiach – mogą się odradzać w umyśle skłonnym do przesądów – lecz istniały w nim już wprzódy. Są to kopie, wzorce – wzorce zaś najpierwsze są w nas, i są wieczne. Jakżeż inaczej mogłyby wpływać na nas wymienione tu byty, skoro na jawie mamy je za nieprawdziwe? Czy jest tak, że budzą one w nas zgrozę w sposób naturalny, ponieważ uważamy, że zdolne są wyrządzić nam cielesną krzywdę? O, bynajmniej! Podłoże owych zgróz jest jeszcze starsze. Są one pierwotniejsze niźli ciało – rzeklibyśmy: istniałyby i bez ciała. Lęk, o jakim tu mowa, ma naturę czysto duchową; jest stosunkowo silny, acz nie wywołuje go żadna spośród rzeczy tego świata; wreszcie nawiedza nas przeważnie w bezgrzesznych latach dziecięctwa – oto trudności, których rozwiązanie być może pomogłoby nam wniknąć w istotę naszego przedcielesnego bytowania i choć jednym okiem wejrzeć w cienistą krainę preegzystencji.

Charles Lamb, *Czarownice i inne zmory nocne*

## I

Jeśli kto, wędrując przez północne obszary stanu Massachusetts, skręci w złą stronę na rozdrożu przy rogatkach Aylesbury, tuż za Dean's Corners znajdzie się w odludnej i niezwykłej okolicy. Kręta, zakurzona droga wiedzie stromo pod górę, w coraz mocniejszym uścisku obrosłych dziką różą kamiennych murków. Drzewa w okolicznych lasach wydają się zbyt wielkie, trawy zaś, chwasty i jeżyny rosną tu z bujnością nieczęsto spotykaną w zamieszkanych stronach. Pola uprawne są wyjątkowo nieliczne i nieurodzajne, a rozrzucone z rzadka domy zaskakująco podobne w swej starości, nędzy i zapuszczeniu. Tu i ówdzie na progach tych murszejących siedlisk lub kamienistych, stromo opadających łąkach dojrzeć można samotne sękate postacie, lecz nie wiedzieć czemu nie mamy ochoty pytać ich o drogę: przemykają w milczeniu, jakby chyłkiem, przez co sprawiają wrażenie istot przeklętych, z którymi lepiej nie mieć do czynienia. Gdy wejdziemy jeszcze wyżej i z głębi puszcz wyłonią się góry, uczucie niepokoju jeszcze wzrośnie: zbyt krągłe, symetryczne wierzchołki nie wyglądają krzepiąco i naturalnie, na wielu z nich rysują się też na tle nieba podejrzane kręgi kamiennych kolumn.

Droga przecina niepokojąco głębokie wąwozy i wądoły, a toporne drewniane mosty nie budzą zaufania. Gdy na powrót zejdziemy w dolinę, wzdrygniemy się odruchowo, widząc dookolne mokradła; wieczorem zaś uczujemy niemal lęk, gdy rozlegną się trele niewidocznych lelków, a rozmnożone ponad miarę roje świetlików ruszą w tan, któremu schrypły, natarczywy rytm podaje przeraźliwy rechot wielkich żab. U stóp sklepionych

wzgórz wąziutką strugą wije się górny bieg rzeki Miskatonic, osobliwie podobny do splotów wężowego cielska.

Im bliżej do wzgórz, tym baczniejszą uwagę przykuwają ich lesiste zbocza – większą jeszcze niźli zwieńczone kamiennymi kręgami szczyty. Tyle w nich mroku i przepaścistej grozy, że chciałoby się trzymać od nich jak najdalej – lecz przecież nie ma innej drogi. Po drugiej stronie krytego mostu spostrzeżemy wioszczynę wtłoczoną między strumień a pionowe urwisko Krągłej Góry: skupisko gnijących mansardowych dachów utrzymanych w starszym stylu niźli architektura w sąsiednim regionie. Bliższa obserwacja nie poprawi nam nastroju: ujrzymy bowiem, że większość domów jest opuszczona i popada w ruinę, kościół zaś ma zburzoną wieżę i mieści się w nim niechlujny wiejski sklepik. Aż strach zapuścić się w omroczniały tunel mostu – ominąć go jednak przecież niepodobna. Na drugim brzegu trudno oprzeć się wrażeniu, że po wsi snuje się ulotna, stęchła woń, jakby wielowiekowego spleśnienia i rozkładu. Trudno nie poczuć ulgi, gdy wreszcie opuścimy wioskę, wąską drogą ruszymy dalej między wzgórza i przez równinne już okolice dotrzemy z powrotem do rogatek Aylesbury. Później być może dowiemy się, że byliśmy w Dunwich.

Miejscowi zapuszczają się do Dunwich najrzadziej, jak tylko się da, po tym zaś, jak wioskę nawiedziła zgroza, z dróg zdjęto wszystkie kierujące do niej drogowskazy. Okolica, jeśli przyłożyć do niej zwykłą estetyczną miarę, jest niepospolicie wręcz piękna – przecież jednak nie ciągną tam artyści ani letni wycieczkowicze. Przed dwustu laty, gdy nie wyśmiewano się jeszcze z opowieści o czarownicach, wyznawcach Szatana i dziwnych leśnych zjawach, stron tych wystrzegano się właśnie z ich powodu. W naszych racjonalnych czasach jest inaczej: zgroza, jaka nawiedziła Dunwich w 1928 roku, została wyciszona przez tych, którym leżało na sercu dobro wioski i całego świata, toteż ludzie wystrzegają się Dunwich, nie wiedząc właściwie dlaczego. Jedną z przyczyn może być – jakkolwiek nie dotyczy to nieświadomych niczego przybyszów z obcych stron – odrażające zdegenerowanie miejscowych. Regresja jest wprawdzie powszechna w zapadłych zakątkach Nowej Anglii, wszelako mieszkańcy Dunwich ulegli jej w wyjątkowym stopniu; stali się wręcz osobną rasą noszącą typowe znamiona chowu wsobnego i wynikającego zeń fizycznego i umysłowego uwstecznienia. Wykazują się rozpaczliwie niskim poziomem inteligencji, a ich kroniki wręcz kipią od jawnych występków oraz na poły skrywanych mordów, stosunków kazirodczych i nieopisanych wręcz gwałtów i zboczeń. Starej szlachcie – dwóm czy trzem herbowym rodom przybyłym tu w 1692 roku z Salem – jakimś sposobem udało się uniknąć panującego wokół zepsucia, wszelako wiele bocznych gałęzi tych rodów zmieszało się z okolicznym motłochem na tyle mocno, że o tym, jakie zhańbili korzenie, świadczą już tylko ich nazwiska. Niektórzy spośród Whateleyów i Bishopów posyłają jeszcze najstarszych synów na uniwersytety, Harvard czy Miskatonic, rzadko wszakże wracają oni pod pleśniejące mansardowe dachy, pod którymi przyszli na świat i oni sami, i ich przodkowie.

Nikt, nawet ci, którzy znają prawdę o niedawnej zgrozie, nie umie wyjaśnić, na czym właściwie polega problem z Dunwich. Dawne legendy

wspominają jednak, że Indianie urządzali tu niegdyś bezbożne obrzędy i zgromadzenia: z wielkich, krągłych wzgórz wywoływali ponoć zakazane, widmowe kształty i odprawiali dzikie, orgiastyczne modły, którym spod ziemi odpowiadały donośne trzaski i dudnienia. W roku 1747 wielebny Abijah Hoadley, świeżo przybyły do Kościoła Kongregacyjnego w Dunwich, wygłosił pamiętne kazanie na temat bliskiej obecności Szatana i jego czartów; mówił w nim tak:

Przyznać należy, że Bluźnierstwa piekielnego Orszaku Demonów nazbyt powszechnej Wiedzy są Przedmiotem, iżby można im było zaprzeczyć; jakoż siła rzetelnych, a żyjących Świadków słyszało, jak spod Ziemi dobywają się Głosy przeklęte Azazela, Buzraela, Belzebuba i Beliala. I jam nie dalej jak przed dwoma tygodniami słyszał na własne uszy, jak na Wzgórzu za mym Domem złe Moce idą w Dyskurs; nie brakło tam Łoskotów, Rzężeń i Jęków, Skrzeczeń ni Syków, jakie żadnym Istotom z tego Świata własne nie są, pochodzić przeto muszą z owych Jaskiń, które odkryć może jeno czarna Magia i jeno Diabeł uchylić.

Pastor Hoadley zniknął niedługo po tym, jak wygłosił swe kazanie; jego tekst, wydrukowany w Springfield, zachował się do dziś. Łoskoty na wzgórzach odnotowywano z roku na rok, po dziś dzień stanowią zagadkę dla geologów i fizjografów.

Podług innych legend w pobliżu kamiennych kręgów na szczytach wzgórz można poczuć nieprzyjemne odory, o pewnych zaś porach w określonych miejscach na dnie wielkich wąwozów można usłyszeć, jak z leciutkim szmerem przemykają zjawy; jeszcze inne bajędy próbują wyjaśnić zagadkę Diabelskiego Chmielowiska – ponurego, przeklętego stoku, na którym nie rośnie ani jedno drzewo, krzak czy źdźbło trawy. Lelków, które w ciepłe noce śpiewają niezliczonymi stadami, śmiertelnie boją się miejscowi. Zaklinają się, że są to psychopompowie czyhający na dusze konających ludzi, swym nieziemskim wrzaskiem wtórujący unisono ich ostatnim tchnieniom. Jeśli uda im się schwycić ulatującą duszę, momentalnie odfruwają, trzepocząc skrzydełkami i zanosząc się diablim chichotem; jeśli nie – cichną stopniowo z wielkim rozczarowaniem.

Wszystko to jest, rzecz jasna, stek niedorzecznych zabobonów pochodzących z bardzo dawnych czasów. Dunwich rzeczywiście jest niedorzecznie wiekowe – to najstarsza osada w promieniu trzydziestu mil. Na południe od wioski można znaleźć szczątki komina i piwnicznych murów starego domu Bishopów wybudowanego jeszcze przed rokiem 1700; najnowszą budowlą jest postawiony w roku 1806 młyn u stóp wodospadu, dziś w ruinie. Przemysł nie przyjął się w tych stronach, dziewiętnastowieczna rewolucja przemysłowa miała tu nader krótki żywot. Najstarszym śladem ludzkiej bytności są wielkie kręgi tępo ciosanych kamiennych kolumn na wierzchołkach wzgórz – ich powstanie przypisuje się jednak raczej Indianom, a nie osadnikom. Wewnątrz kręgów oraz wokół pokaźnego, przypominającego stół głazu na Strażniczym Wzgórzu odkryto pokłady kości i czaszek, co podtrzymuje popularne przekonanie, jakoby były to niegdysiejsze cmentarzyska plemienia Pocumtucków – aczkolwiek wielu etnologów uważa tę teorię za

absurdalnie nieprawdopodobną i obstaje w swym mniemaniu, że są to szczątki ludzi rasy białej.

## II

Właśnie w pobliżu Dunwich, cztery mile od wioski i półtorej mili od najbliższych sąsiadów, w dużym, częściowo niezamieszkanym domu położonym na stoku wzgórza, w niedzielę drugiego dnia lutego 1913 roku o piątej godzinie rano przyszedł na świat Wilbur Whateley. Zapamiętano tę datę, ponieważ był to dzień Matki Boskiej Gromnicznej, który – co ciekawe – w Dunwich obchodzi się pod inną nazwą; zapisała się w pamięci mieszkańców także dlatego, że przez całą noc od wzgórz niósł się łoskot i szczekały wszystkie wiejskie psy. Na uwagę zasługiwało też to, że matka chłopca wywodziła się ze zdeprawowanej gałęzi Whateleyów: była to trzydziestopięcioletnia, cokolwiek ułomna, niepowabna albinoska mieszkająca na farmie z sędziwym, na poły obłąkanym ojcem, którego za młodu posądzano skrycie o najstraszliwsze czary. Nikt nie słyszał, by Lavinia Whateley miała męża, lecz zgodnie z panującym w okolicy zwyczajem nie wyrzekła się dziecka, pozwalając okolicznym wieśniakom snuć dowolne domysły na temat ojcostwa. Owszem, można było odnieść wrażenie, że śniade, podobne do koźlęcia niemowlę – jakkolwiek rażąco różniło się od chorobliwie bladej, różowookiej matki albinoski – napawa ją dziwną dumą; niekiedy mamrotała też pod nosem ciekawe proroctwa o niezwykłych mocach i wspaniałych czynach, jakie czekają je w przyszłości.

Lavinia miała wrodzoną skłonność do snucia takich proroctw – była odludkiem, w czasie burz oddawała się wędrówkom po wzgórzach, próbowała też czytać wielkie, cuchnące księgi odziedziczone jeszcze po pierwszych Whateleyach, rozpadające się ze starości i przeżarte przez robaki. Nigdy nie poszła do szkoły; posiadła jedynie okruchy pradawnej wiedzy, które włożył jej do głowy stary Whateley. Odległa farma Whateleyów zawsze budziła lęk: bano się starego czarownika, pamiętano też, że gdy Lavinia miała dwanaście lat, jej matka zginęła gwałtowną, niewyjaśnioną śmiercią. Lavinia żyła w osobnym świecie, podlegając dziwnym wpływom, oddawała się dzikim, rozbuchanym rojeniom i osobliwym zajęciom; pracom domowym poświęcała niewiele uwagi, zresztą w domu Whateleyów od dawna już nie obowiązywały żadne normy porządku i czystości.

Tej nocy, gdy urodził się Wilbur, szczekały psy, dał się też słyszeć odrażający wrzask, głośniejszy jeszcze niźli łoskoty wśród wzgórz, nie słyszano jednak, by jego przyjściu na świat towarzyszyli lekarz czy akuszerka. Sąsiedzi dowiedzieli się o jego istnieniu dopiero tydzień później, kiedy Stary Whateley zjechał saniami do wioski i zamienił kilka bezładnych zdań z grupą próżniaków pod sklepem Osborna. Staruch jakby nieco się zmienił – coś jakby skrywał w swym zmętniałym umyśle, a przez to zdawał się już nie tyle budzić, ile odczuwać lęk – jakkolwiek nie był to człowiek, którym mogło wstrząsnąć zwykłe rodzinne wydarzenie. Spod tych uczuć

przebijał w nim również przebłysk dumy, tej samej, którą zauważono później u jego córki; to zaś, co powiedział o ojcu dziecka, wielu jego ówczesnych słuchaczy zapamiętało na długie lata:

– Myślta sobie, chłopy, co chceta; gdyby ten dzieciak był podobny do taty, to nawet sobie nie wyobrażata, jak by wyglądał. Nie myślta, że myśmy tu, ludziska, jedyni. Lavinia trochę się naczytała i takie tam sprawki, co wyśta sobie o nich tylko gadali, to ona już widziała na własne oczy. Tak se kombinuję, że po tej stronie

Aylesbury to lepszego męża byśta jej nie znaleźli; a jakbyśta wiedzieli o tych wzgórzach tyle co ja, to w kościele byśta jej ślubu nie szukali... Mówię wam, chłopy – któregoś dnia jeszcze usłyszyta, jak dzieciak Lavinii woła ojca po imieniu na szczycie Strażniczego Wzgórza!

Przez pierwszy miesiąc Wilbura widziały jedynie dwie osoby: stary Zechariah Whateley – z niezdegenerowanych Whateleyów – i Mamie Bishop, nieślubna żona Earla Sawyera. Mamie udała się tam ze zwykłej ciekawości i to, co zobaczyła, skwapliwie potem rozpowiedziała. Zechariah z kolei przyprowadził Whateleyom parę krów rasy Alderney, które Stary kupił od jego syna Curtisa. Były to pierwsze z licznych sztuk bydła, jakie rodzina małego Wilbura kupowała systematycznie aż do roku 1928, kiedy do Dunwich na chwilę zawitała zgroza; a przecież nigdy nie widziano, by Whateleyowie mieli w swej rozchwierutanej oborze nadmiar bydła. Przez pewien czas co ciekawsi śmiałkowie zakradali się w pobliże urwistych pastwisk za starym domem Whateleyów i liczyli pasące się tam krowy – i nigdy nie doliczyli się więcej niż dziesięciu czy dwunastu anemicznych, jakby bezkrwistych sztuk. Stado Whateleyów najwyraźniej dziesiątkowały jakiś mór czy zaraza, być może wywołane przez niezdrową paszę lub szkodliwe powietrze przegniłej, zagrzybionej obory. Krowy, które widziano na pastwisku, pokryte były dziwacznymi ranami i bliznami, jakby po nacięciach; jeszcze wcześniej niektórym się zdawało, że podobne rany widzieli na gardłach siwego, nieogolonego starucha i jego niechlujnej, potarganej córki albinoski.

Pierwszej wiosny po narodzinach Wilbura Lavinia wznowiła tradycyjne wędrówki po wzgórzach, tym razem tuląc w pokracznych ramionach swoje śniade dziecko. Od kiedy większość wieśniaków ujrzała Wilbura na własne oczy, Whateleyom poświęcano już mniej uwagi, nikt nawet nie komentował błyskawicznego wręcz tempa jego wzrostu. Wilbur rósł z szybkością iście zjawiskową, niemal z dnia na dzień: w ciągu trzech pierwszych miesięcy życia osiągnął wielkość i siłę, jakimi nieczęsto może się pochwalić roczne niemowlę. Poruszał się, a nawet gaworzył z niespotykaną u dziecka powściągliwością i rozmysłem, toteż nikt nie okazał zdziwienia, gdy w wieku siedmiu miesięcy zaczął samodzielnie chodzić – wprawdzie jeszcze dość chwiejnie, ale wystarczył kolejny miesiąc, a poradził sobie i z tą niedogodnością.

Mniej więcej w tym czasie, bo w wigilię Wszystkich Świętych, na szczycie Strażniczego Wzgórza, tam gdzie na pradawnych kościach stoi podobny do stołu głaz, widziano o północy wielki błysk. Wieśniacy wzięli Whateleyów na języki, kiedy Silas Bishop – z niezdegenerowanych Bishopów – wspomniał,

że jakąś godzinę przed błyskiem zauważył był, jak na szczyt wzgórza biegnie mały Wilbur, a za nim jego matka. Silas szukał właśnie zbłąkanej jałówki, lecz gdy w słabym świetle latarni mignęły mu w przelocie dwie sylwetki, omal nie zapomniał o celu swej misji. Widział, jak pędzą niemal bezszelestnie przez zarośla, i zdumiał się, bo zdało mu się, że oboje są zupełnie nadzy. Później nie był już tego pewien co do chłopca – stwierdził, że miał chyba na sobie coś w rodzaju pasa z frędzlami i ciemne portki. Od tej pory nigdy już nie widziano Wilbura żywego i przytomnego inaczej niż w pełnym stroju i zapiętego po szyję, ilekroć zaś groziło mu naruszenie kompletności ubioru, wpadał w popłoch i złość. Uważano, że pod tym względem w chwalebny sposób odróżnia się od niechlujnej matki i dziadka – aż do roku 1928, kiedy to Dunwich nawiedziła zgroza i wyszło na jaw, dlaczego był taki schludny.

W styczniu tematem umiarkowanych plotek stało się to, że „czarny bachor Lavinii” zaczął mówić – w wieku jedenastu miesięcy! Mówił w sposób szczególny, bo ze zgoła niespotykanym w okolicy akcentem, zupełnie pominął też fazę dziecięcego szczebiotania, charakterystyczną dla niejednego trzy-, a nawet czterolatka. Chłopiec nie był rozmowny, lecz gdy już się odezwał, w jego mowie pobrzmiewało coś nieuchwytnego i zupełnie wyjątkowego wśród mieszkańców Dunwich. Dziwność ta nie brała się z tego, co mówił, ani nawet z tego, że używał już prostych idiomów – wydawało się raczej, że w jakiś niejasny sposób wiąże się ona z intonacją lub z budową narządów mowy. Szczególnie dojrzały wygląd miała też twarz Wilbura: jakkolwiek odziedziczył po dziadku i matce cofnięty podbródek, to przedwcześnie ukształtowany, stanowczy profil nosa w połączeniu z wyrazem wielkich, ciemnych, niemal latynoskich oczu sprawiał, że wyglądał niemal na dorosłego, i to o nadprzyrodzonej wręcz inteligencji. Mimo niezaprzeczalnej błyskotliwości był wyjątkowo szpetny: grube wargi, żółtawa, dziobata skóra, szorstkie, potargane włosy i dziwacznie wydłużone uszy sprawiały, że miał w sobie coś wręcz koźlego, zwierzęcego. Wkrótce zaczął budzić jeszcze większą niechęć niż jego matka i dziadek, wszelkie zaś wzmianki na jego temat doprawiano wspomnieniami o dawnych czarach Starego Whateleya: opowiadano, jak niegdyś stał pośrodku kamiennego kręgu z otwartą księgą w dłoniach, i jak zadrżało wzgórze, gdy wykrzyknął straszliwe imię Yog-Sothoth. Wilbura nie cierpiały też psy – szczekały nań zażarcie i chłopiec musiał przedsiębrać różne środki obronne.

## III

Tymczasem Stary Whateley wciąż skupował bydło, choć jego stado wcale znacząco się nie powiększało. Naciął też sporo drewna i zaczął remontować nieużywane części chałupy – przestrzennego domostwa z kalenicowym dachem, od tyłu wrośniętego niemal całkowicie w zbocze skalistego wzgórza – mimo że razem z córką i wnukiem bez trudu mieścili się w trzech najmniej zrujnowanych izbach na parterze. Staruch musiał mieć zdumiewający zapas sił, skoro podołał tak ciężkiej pracy; bełkotał czasem starczo pod nosem,

wszelako ciesiołka, która wychodziła spod jego ręki, wydawała się dobrze i przemyślnie wykonana. Prace naprawcze zaczęły się zaraz po narodzinach Wilbura: wówczas to jedna z licznych szop na narzędzia została niespodziewanie uporządkowana, połatana i zaopatrzona w nowy, porządny rygiel. Nie mniej solidną ciesielską robotę wykonał Stary, odnawiając górne piętro. Swoje zdziwaczenie okazał, zabijając deskami wszystkie okna w remontowanej części – acz wielu uważało, że szaleństwem było już to, iż w ogóle zawracał sobie głowę jakimkolwiek remontem. Łatwiej było wytłumaczyć naprawy, jakie poczynił w dolnej izbie przeznaczonej dla wnuka – izbie, którą kilku gościom zdarzyło się widzieć, aczkolwiek żadnemu z nich nie pozwolono wejść na górne, zabite deskami piętro. Do pokoju Wilbura Stary wstawił wysokie, mocne regały, na nich zaś zaczął stopniowo gromadzić – w starannie przemyślanym porządku – wszystkie prastare, gnijące tomiszcza i fragmenty ksiąg, które przez całe życie gromadził w bezładnych stosach w najdziwniejszych kątach całego domostwa.

– Ździebko mi się przydały – mówił kiedyś, pochylając się nad drukowaną gotykiem paginą jednego z dzieł i usiłując ją skleić klajstrem przyrządzonym na pordzewiałym kuchennym piecu. – Ale chłopak ma do nich lepszą głowę. Trza mu będzie jeszcze trochę tych książków poszukać, bo innej szkoły to on mieć nie będzie…

Kiedy Wilbur skończył rok i siedem miesięcy – czyli we wrześniu 1914 roku – swym wzrostem i umiejętnościami budził już niemal lęk. Wielkością dorównywał czterolatkom, mówił zaś płynnie i niewiarygodnie inteligentnie. Swobodnie uganiał się po polach i wzgórzach, towarzyszył też matce we wszystkich jej wędrówkach. W domu przez długie, ciche popołudnia ślęczał nad księgami dziadka, studiując pilnie dziwaczne ryciny i wykresy, podczas gdy Stary Whateley udzielał mu nauk i instrukcji. Remont domu był już wówczas ukończony – ci zaś, którzy śledzili jego postępy, nie mogli się nadziwić, czemu jedno z górnych okien zostało zastąpione wrotami z solidnych desek. Było to okno tylne, tuż pod szczytem wschodniej ściany domu; nikt nie miał też pojęcia, dlaczego do owych wrót prowadzi wprost z ziemi równy drewniany podjazd. Mniej więcej w tym czasie zauważono też, że stara szopa, po narodzinach Wilbura załatana, zabita deskami i zamknięta na rygiel, znowu stoi pusta. Drzwi wisiały smętnie na zawiasach, kiedy zaś Earl Sawyer zajrzał do środka, odprowadziwszy Staremu zamówione krowy, porządnie go zaniepokoiła osobliwa woń – odór, jakiego nie czuł jeszcze nigdy w życiu, chyba że w pobliżu indiańskich kręgów na wzgórzach, na pewno niepochodzący z tego ani żadnego innego rozumnego świata. Trzeba wszakże przyznać, że jeśli chodzi o doznania węchowe, domy i szopy mieszkańców Dunwich nigdy nie były nieskazitelne.

W następnych miesiącach nie zauważono nic ciekawego, wszyscy tylko zaklinali się, że powoli, acz stale narastają tajemnicze łoskoty na wzgórzach. Ostatniego dnia kwietnia, czyli w Noc Walpurgii 1915 roku, ziemia zadrżała tak mocno, że odczuli to nawet mieszkańcy Aylesbury, w następną zaś wigilię Wszystkich Świętych pod ziemią rozległo się dudnienie osobliwie zbieżne z rozbłyskami ognia na szczycie Strażniczego Wzgórza („te czarowniki Whateleye znowu coś majstrują”). Wilbur rósł w tempie

niesamowitym; rozpoczynając czwarty rok życia, wyglądał jak dziesięciolatek. Książki pochłaniał już sam, mówił jednak znacznie mniej niż przedtem. Stawał się coraz większym milczkiem, wówczas też po raz pierwszy w rozmowach na jego temat pojawiło się spostrzeżenie, że jego koźla twarz nabiera złego wyrazu. Chłopak mamrotał coś niekiedy w nieznanej gwarze i intonował cudacznie rytmiczne zaśpiewy, które przejmowały przypadkowych słuchaczy dreszczem niewytłumaczalnej zgrozy. Szeroko rozprawiano też o wrogości okazywanej mu przez psy: dla własnego bezpieczeństwa Wilbur musiał nosić pistolet; co pewien czas zdarzało mu się nawet go użyć, co nie przysparzało mu popularności wśród właścicieli czworonożnych stróżów.

Nieliczni goście Whateleyów często zastawali na parterze jedynie Lavinię, podczas gdy z zabitego deskami piętra dochodziły dziwaczne krzyki i tupoty. Lavinia nigdy nie zdradzała, co chłopak z dziadkiem robią na górze, pewnego razu jednak zbladła i przeraziła się w stopniu wręcz nienormalnym, gdy wędrowny sprzedawca ryb dla żartu próbował otworzyć zaryglowane drzwi prowadzące na piętro. Domokrążca ów zdradził później obibokom pod sklepem, że słyszał tam stukot końskich kopyt. Próżniacy zamyślili się nad tymi zamkniętymi drzwiami, nad tylnym wejściem, nad szybko znikającym bydłem – i z dreszczem grozy przypomnieli sobie opowieści o młodych latach Starego Whateleya tudzież dziwnych rzeczach przychodzącym z głębin ziemi, jeśli o właściwym czasie ofiaruje się wołu pewnym pogańskim bogom. Od pewnego już czasu psy nienawidziły całej farmy Whateleyów i bały się jej – tak bardzo, jak wcześniej nie znosiły i bały się samego Wilbura.

W 1917 roku kraj przystąpił do wojny i Sawyer Whateley, miejscowy sędzia pokoju, a obecnie przewodniczący komisji poborowej, niemało się natrudził, by spośród młodych mężczyzn w Dunwich wyłonić kontyngent, który nadawałby się w ogóle do wysłania na obóz szkoleniowy. Rząd zaniepokoił się oznakami szerzącej się w całym regionie degeneracji i przysłał do Dunwich kilku urzędników i ekspertów medycznych. O wynikach dochodzenia donosiły wówczas gazety w całej Nowej Anglii; zainteresowanie opinii publicznej sprawiło, że reporterzy ruszyli tropem Whateleyów i potem w niedzielnych wydaniach gazet „Boston Globe” czy „Arkham Advertiser” ukazywały się sensacyjne historie o przedwczesnej dojrzałości młodego Wilbura, czarach Starego Whateleya, półkach pełnych dziwnych ksiąg, zamkniętym piętrze wiekowej chałupy tudzież łoskotach na wzgórzach i ogólnej niesamowitości całej okolicy. Wilbur miał wtedy cztery i pół roku, a wyglądał na piętnastoletniego wyrostka. Na policzkach i pod nosem sypał mu się szorstki, ciemny zarost, łamał mu się głos.

Earl Sawyer zaprowadził dziennikarzy i fotoreporterów na farmę Whateleyów i polecił ich uwadze przedziwny odór zdający się teraz sączyć z zamkniętego piętra. Był to, jak objaśniał, dokładnie ten sam smród, który poczuł był w opustoszałej szopie, podobny też do woni, jaką zdarzało mu się poczuć w pobliżu kamiennych indiańskich kręgów na wzgórzach. Wieśniacy z Dunwich czytali te artykuły i ze śmiechem wynajdowali w nich rażące błędy. Dziwili się też, czemu ich autorzy przywiązują taką wagę do tego, że Stary

Whateley zawsze płaci za bydło bardzo starymi złotymi monetami. Whateleyowie przyjmowali gości ze źle skrywanym niezadowoleniem, wszelako nie chcąc prowokować jeszcze większego zainteresowania, powstrzymywali się od otwartego oporu.

## IV

Przez kolejne dziesięć lat Whateleyowie na dobre wtopili się w życie schorzałej społeczności Dunwich, przywykłej do ich dziwactw i zobojętniałej na wiosenne i jesienne orgie. Dwa razy w roku rozpalali ognie na szczycie Strażniczego Wzgórza; dudnienie w górach odzywało się wówczas z niespotykaną wcześniej gwałtownością. Przez cały rok farma tętniła natomiast od dziwnych i złowieszczych zajęć. Z biegiem czasu odwiedzający ich wieśniacy stwierdzili, że hałasy na zamkniętym piętrze słyszą nawet wówczas, gdy cała rodzina przebywa na dole; zastanawiali się też, czy długo zdychają składane przez Whateleyów w ofierze krowy i woły. Ktoś chciał złożyć skargę w Towarzystwie Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, nic z tego jednak nie wyszło: mieszkańcy Dunwich nigdy nie lubili przysparzać sobie rozgłosu.

Około roku 1923, kiedy Wilbur był dziesięciolatkiem o umyśle, głosie, postawie i zaroście dorosłego mężczyzny, stary dom przeszedł kolejną ciesielską rewolucję. Tym razem wszystkie prace toczyły się w zamkniętej izbie na piętrze, na podstawie zaś wyrzuconych kawałków drewna ludzie wywnioskowali, że młodzieniec z dziadkiem usunęli z niej wszystkie ściany działowe, a nawet strop oddzielający piętro od strychu, tak że od podłogi górnej izby aż po kalenicę rozpościerała się teraz olbrzymia pusta przestrzeń. Whateleyowie wyrwali także główny komin – do pordzewiałej kuchni dosztukowali zaś po prostu i wyprowadzili prosto na zewnątrz rurę z lichej blachy.

Wiosną tego roku Stary Whateley zauważył, że z pobliskiego Jaru Zimnych Zdrojów wylatuje coraz więcej lelków i nocami treli pod jego oknem. Wydawał się przypisywać tej okoliczności wielkie znaczenie; próżniakom pod sklepem Osborna oznajmił, że przyszedł już na niego czas.

– Gwiżdżą już dokładnie tak, jak ja dycham – mówił. – Coś mi się widzi, że się gotują, coby ucapić moją duszę. Wiedzą, że będzie wylatywać, i tak kombinują, coby na nią utrafić. Będzieta wiedzieli, czy mnie mają czy nie. Jak ucapią, będą się chichrać i wyśpiewywać do białego rańca. Jak nie, to się uciszą. A niech se próbują – czasem żeby upolować taką duszę, muszą się ostro naszarpać.

W wigilię pierwszosierpniowego Święta Chleba 1924 roku doktor Houghton z Aylesbury odebrał pilne wezwanie od Wilbura Whateleya; Wilbur telefonował ze sklepu Osborna, przygalopował tam w środku nocy na spienionym koniu. Kiedy doktor przybył na miejsce, Stary Whateley był już w stanie krytycznym, akcja serca i chrapliwy oddech świadczyły niezbicie, że koniec jest bliski. Pokraczna córka albinoska i cudacznie brodaty wnuk stali przy łóżku, a z pustej otchłani na piętrze dochodził niepokojący, choć ledwie

słyszalny odgłos, jakby rytmicznego falowania czy chlupotu, jak gdyby fale rozbijały się o plażę. Doktora najbardziej wszakże poruszył chór nocnych ptaków – nieprzebrany legion lelków wywrzaskiwał coś w nieskończoność w rytmie diabolicznie zgranym z charkliwymi tchnieniami konającego starca. Niesamowite to było i nienaturalne – wspominał doktor Houghton – a przy tym aż nadto typowe dla tej okolicy; gdyby nie nagłe wezwanie, doktor nigdy by się tam nie zapuścił.

Około godziny pierwszej Stary Whateley odzyskał przytomność: na chwilę przestał charczeć i wykrztusił kilka słów do wnuka.

– Więcej miejsca, Willy, i to szybko. Nieźle rośniesz – a toto rośnie jeszcze szybciej. Na stronie 751 pełnego wydania znajdziesz długi psalm; otwórz nim bramę dla Yog-Sothotha, a potem puść więzienie z dymem. Nasz ziemski ogień guzik mu zrobi. – Stary najwyraźniej postradał rozum. Po chwili, gdy lelki dostrajały właśnie swój wrzask do zmiennego tempa jego oddechu, a z dalekich wzgórz doleciał stłumiony łoskot, dodał jeszcze: – Żryć mu dawaj regularnie, Willy, i uważaj, ile dajesz; ino niech nie rośnie za szybko, bo jak rozwali chałupę i wylezie, zanim otworzysz Yog-Sothothowi, to wszystko psu na budę. Tylko oni, tamci z daleka, mogą to rozmnożyć i puścić w ruch... Tylko oni, tamci sprzed wieków, co tera chcą wrócić...

Głos jego rychło przeszedł na powrót w dychawiczne tchnienia; Lavinia krzyknęła, słysząc, jak lelki powtarzają ich rytm. Trwało to jeszcze ponad godzinę, aż wreszcie z gardła Starego wyrwało się śmiertelne rzężenie. Doktor Houghton opuścił skurczone powieki na zeszklone oczy, a ptasi rozgwar ścichł niepostrzeżenie. Lavinia zachlipała, za to Wilbur zachichotał tylko, słysząc dudnienie na wzgórzach.

– Nie ucapiły go – mruknął grubym basem.

Wilbur w owym czasie zdążył już posiąść potężną, choć wysoce wyspecjalizowaną wiedzę; mało kto wiedział, że prowadzi korespondencję z wieloma odległymi bibliotekami, w których przechowywano rzadkie, zakazane księgi z dawnych czasów. W okolicy bano się go i nienawidzono coraz bardziej, ostatnimi czasy zaginęło bowiem bez wieści kilkoro młodych ludzi i podejrzewano, że to jego sprawka. Wilbur wszakże umiał uciszyć wszelkie próby dochodzenia – albo strachem, albo złotymi monetami, którymi, tak jak jego dziadek, płacił też za kupowane w coraz większej liczbie bydło. Wyglądał zatrważająco dojrzale, osiągnął już wzrost dorosłego mężczyzny i wszystko wskazywało na to, że będzie rósł dalej. W roku 1925, gdy odwiedził go – i wyjechał pobladły i skonsternowany – korespondencyjny znajomy z Uniwersytetu Miskatonic, był już wysoki na sześć i trzy czwarte stopy.

Przez wszystkie te lata Wilbur traktował swą pokraczną matkę albinoskę z coraz większą wzgardą, aż wreszcie oświadczył, że teraz już sam będzie chodził na wzgórza w Noc Walpurgii i wigilię Wszystkich Świętych. W 1926 roku biedaczka poskarżyła się Mamie Bishop, że chłopak budzi w niej lęk.

– Ja nie mogę ci wygadać wszystkiego, co o nim wiem, Mamie – mówiła. – A ostatnio to już samażem się pogubiła. Jak Boga kocham, pojęcia nie mam, co on se tera umyśli...

W wigilię Wszystkich Świętych na wzgórzach załomotało donośniej niż

kiedykolwiek, jak zwykle zapłonął też ogień na Strażniczym Wzgórzu. Większą uwagę miejscowych zwróciły jednak nienaturalnie spóźnione lelki, które potężnymi stadami gromadziły się w pobliżu nieoświetlonej farmy Whateleyów i zanosiły się rytmicznym wrzaskiem. Po północy trele przeszły w chichot i rozpętało się istne pandemonium, które niosło się po całej okolicy aż do świtu. Z nadejściem dnia lelki odleciały na południe, gdzie powinny były znaleźć się już dobry miesiąc wcześniej. Na razie nikt nie wiedział, co to ma oznaczać, bo nikt we wsi nie umarł – dopiero później wyszło na jaw, że Lavinia Whateley, biedna wynaturzona albinoska, przepadła bez wieści.

Latem 1927 roku Wilbur naprawił dwie szopy i zaczął przenosić do nich swoje książki i resztę dobytku. Niedługo później Earl Sawyer oznajmił próżniakom pod sklepem, że na farmie Whateleyów znowu wre robota. Wilbur zabijał wszystkie drzwi i okna na parterze, chyba usunął też stamtąd wszystkie ściany działowe, tak jak cztery lata wcześniej razem z dziadkiem uczynił to na górze. Zamieszkał w jednej z szop i jak twierdził Sawyer, był nadzwyczaj strapiony i roztrzęsiony. Wśród miejscowych panowało powszechne przekonanie, że Wilbur maczał palce w zniknięciu swej matki, i mało kto już zbliżał się do jego farmy. Chłopak mierzył już siedem stóp wzrostu i nic nie wskazywało na to, by miał przestać rosnąć.

## V

Zimą tego roku zdarzyła się rzecz dziwna: Wilbur po raz pierwszy w życiu wyjechał poza okolice Dunwich. Żadna z bibliotek, z którymi korespondował – ani Widener Library na Harvardzie, ani Bibliothèque Nationale w Paryżu, ani British Museum, ani biblioteki uniwersytetu w Buenos Aires i Uniwersytetu Miskatonic w Arkham – nie zechciała wypożyczyć mu książki, której rozpaczliwie potrzebował, toteż wybrał się w końcu osobiście – kudłaty, brudny, zarośnięty, nieokrzesany – tam, dokąd miał najbliżej, czyli do Miskatonic. I oto pewnego dnia pojawił się w Arkham: wysoki niemal na osiem stóp, śniady, koźlopodobny gargulec, taszczący pod pachą tanią walizę świeżo zakupioną w sklepie Osborna, w poszukiwaniu straszliwej księgi trzymanej pod kluczem w uniwersyteckiej bibliotece – odrażającego *Necronomiconu* szalonego Araba Abdula Alhazreda, w łacińskim przekładzie Olausa Wormiusa, wydanym w siedemnastym stuleciu w Hiszpanii. Wilbur nigdy jeszcze nie widział miasta, wszelako miał tylko jeden cel: znaleźć miasteczko uniwersyteckie; i udało mu się to – na miejscu natknął się tylko na wielkiego stróżującego psa, który na jego widok obnażył białe kły i szarpiąc się szaleńczo na grubym łańcuchu, jął obszczekiwać go z nienaturalną wręcz wściekłością i wrogością.

IÄ! SHUB-NIGGURATH! CZARNA KOZA Z BORÓW Z TYSIĄCEM MŁODYCH!

Wilbur przywiózł ze sobą bezcenny, lecz uszkodzony egzemplarz wydania angielskiego w przekładzie doktora Johna Dee, otrzymany w spadku od dziadka; gdy przyniesiono mu wersję łacińską, niezwłocznie przystąpił do kolacjonowania obu tekstów, szukając pewnego określonego ustępu, w jego egzemplarzu znajdującego się na stronie 751. Bibliotekarzem był nie kto inny jak Henry Armitage – uczony, który niegdyś odwiedził go na farmie (magisterium z nauk humanistycznych na Miskatonic, doktorat z filozofii w Princeton, doktorat z literatury na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa) i teraz zasypał go uprzejmymi pytaniami. Wilbur nie mógł mu odmówić wyjaśnień, przyznał przeto, że poszukuje pewnej formuły czy inkantacji zawierającej przerażające imię Yog-Sothoth, która – o czym przekonał się ze zdumieniem – występuje w tylu rozbieżnych, wieloznacznych i sprzecznych wersjach, że poważnie utrudnia mu to dalsze badania. Gdy znalazł wreszcie pożądaną formułę i począł ją przepisywać, doktor Armitage mimo woli zerknął mu przez ramię i z otwartych stronic odczytał, tłumacząc w myślach z łaciny, taki oto passus niosący potworne zagrożenie dla pokoju i rozumności na świecie:

Nie należy również sądzić, że człowiek jest najstarszym lub ostatnim spośród władców tego świata, ani że życie i jego substancja występują w jednej, pospolitej postaci. Przedwieczni byli, Przedwieczni są i Przedwieczni będą. Najpierwsi i najjaśniejsi nie mieszkają w znanych nam przestrzeniach, lecz pomiędzy nimi, przeto są niewymierni i dla naszych oczu niewidoczni. Yog-Sothoth zna bramę. Yog-Sothoth jest bramą. Yog-Sothoth jest kluczem i strażnikiem bramy. Yog-Sothoth jest przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. On wie, którędy ongiś przeszli Przedwieczni, i wie, którędy przejdą ponownie. On wie, po jakich ziemskich ścieżkach stąpali, po których wciąż stąpają, i dlaczego nikt stąpania Ich ujrzeć nie może. Po zapachu niekiedy pozna człowiek, że są blisko, wszelako po wyglądzie poznać Ich nie może, wyjąwszy tych, których spłodzili Oni z córkami człowieczymi; ci zaś w rozmaitych występują postaciach, począwszy od najprawdziwszej powłoki ludzkiej po ów kształt niewidoczny i niematerialny, jakim są Oni. Niewidoczni i plugawi stąpają w odludnych miejscach, w których o właściwej Porze wypowiedziano Słowa i wykrzyczano Obrzędy. W bełkocie wiatru niosą się Ich głosy, a w pomruku ziemi przemawia Ich świadomość. To Oni zginają do ziemi las i kruszą miasta, a przecież nie ujrzy las ni miasto ręki, która je razi. Znało ich Kadath w zimnej pustaci, a któryż człowiek zna Kadath? Na lodowych pustyniach Południa i zatopionych wyspach Oceanu są głazy, na których wyryto Ich pieczęć, któż jednak widział miasto w lodowych głębinach lub zapieczętowaną wieżę w girlandach wodorostów i mięczaków? Wielki Cthulhu jest Ich krewnym, a przecież i on widzi Ich jak przez mgłę. *Iä! Shub-Niggurath!* Po plugastwie Ich poznacie. Trzymają rękę na waszym gardle, a nie widzicie Ich; mieszkają zaś tam gdzie wy, choć zdaje się wam, że za mocnym kryjecie się progiem. Yog-Sothoth jest kluczem do bramy, w której łączą się sfery. Człowiek panuje tam, gdzie niegdyś panowali Oni; wkrótce Oni zapanują tam, gdzie dziś panuje Człowiek. Po lecie przychodzi zima, a po zimie lato. Oni czekają, cierpliwi i potężni,

albowiem wróci czas Ich władztwa.

Doktor Armitage skojarzył przeczytany ustęp z tym, co słyszał o Dunwich i panoszących się tam zjawach, tudzież o samym Wilburze i mglistej, odrażającej aurze, jaka towarzyszyła jego osobie, począwszy od podejrzanych narodzin po niewykluczone matkobójstwo – i uczuł, jak narasta w nim fala trwogi wyraźna niczym zimny, lepki wiew grobowego powietrza. Ten zgarbiony, koźlopodobny olbrzym wyglądał jak pomiot z obcej planety czy innego wymiaru; jak coś, co jest po części tylko człowiecze, pozostaje bowiem w związkach z czarnymi czeluściami esencji i bytu, które na podobieństwo tytanicznych widziadeł rozciągają się poza najodleglejsze sfery materii i siły, przestrzeni i czasu. Wilbur podniósł właśnie głowę i przemówił swym dziwnym, wibrującym głosem, który sprawiał wrażenie, jakby nie wydobywał się z ludzkiego gardła.

– Panie Armitage – powiedział – tak se kombinuje, coby zabrać tę książkę do domu. Są tu, wie pan, różne takie rzeczy, co to musiałbym je posprawdzać w odpowiednich warunkach; byłby to śmiertelny grzech, gdyby jakieś tam zakazy mi w tym przeszkodziły. Co pan na to, żebym se ją zabrał? Słowo daję, że nikt się nie dowie. Nie muszę panu mówić, że będę o nią dbał, jak trza. Ten mój egzemplarz to nie jażem tak urządził…

Urwał, widząc, że bibliotekarz nie ma zamiaru się zgodzić. Jego koźla twarz przybrała chytry wyraz. Z początku Armitage chciał mu powiedzieć, że może sobie przepisać pożądane ustępy, nagle jednak pomyślał o możliwych konsekwencjach tego czynu i zreflektował się. Wręczając takiej istocie klucz do tak bluźnierczych zewnętrznych sfer, wziąłby na siebie zbyt wielką odpowiedzialność. Whateley widział, co się święci, i próbował zbagatelizować sprawę:

– Ha, no dobra! Jak pan se chce. Może na Harvardzie nie będą tacy drobiazgowi.

To powiedziawszy, wstał i bez słowa opuścił bibliotekę, schylając głowę w każdych drzwiach.

Armitage słyszał dzikie ujadanie wielkiego psa i obserwował przez okno, jak gorylowata sylwetka Whateleya sadzi wielkimi krokami między uczelnianymi budynkami. Przypomniał sobie zasłyszane opowieści oraz artykuły wyczytane niegdyś w niedzielnych wydaniach „Arkham Advertiser”; przypomniał sobie, czego dowiedział się podczas swej jedynej wizyty w Dunwich od tamtejszych wieśniaków. Niewidzialne istoty nie z tej ziemi – a przynajmniej nie z trójwymiarowej ziemi – panoszyły się w dolinach Nowej Anglii, siejąc fetor i zgrozę, i lęgły się przebrzydle na szczytach gór. O tym nie wątpił już od dawna. Wyczuwał, jak nadciąga zgroza, zdało mu się, że dostrzega jakiś straszny jej zwiastun, że piekielne moce wnet powrócą na swój czarny tron i zbudzi się prastary, uśpiony niegdyś koszmar. Wzdrygając się z obrzydzenia, schował *Necronomicon*, w czytelni jednak wciąż unosił się nieokreślony, lecz bezbożny odór. „Po plugastwie ich poznacie” – przypomniał sobie fragment księgi. Tak, była to ta sama woń, która zemdliła go przed trzema laty na farmie Whateleyów. Jeszcze raz przeszła mu przez myśl postać Wilbura, koźla i złowieszcza, i zaśmiał się kpiąco,

przypomniawszy sobie wiejskie plotki na temat jego pochodzenia.

– Chów wsobny? – mruknął do siebie. – Wielki Boże, co za uproszczenia! Przeczytajcie im *Wielkiego Boga Pana* Arthura Machena, a powiedzą, że w Dunwich takie skandale mają na co dzień! Lecz cóż za istota, cóż za przeklęty bezkształtny wpływ, z naszych trzech wymiarów czy z innego świata, był ojcem Wilbura Whateleya? Urodził się w noc Matki Boskiej Gromnicznej – dziewięć miesięcy po Nocy Walpurgii w 1912 roku, kiedy o dziwnych podziemnych łoskotach mówiono nawet w Arkham… Cóż kroczyło po górach tej kwietniowej nocy, tuż przed świętem Znalezienia Krzyża? Jakaż zgroza zadzierzgnęła wówczas z naszym światem półludzką więź ciała i krwi?

Następne tygodnie doktor Armitage poświęcił na zbieranie wszelkich możliwych informacji dotyczących Wilbura Whateleya i bezcielesnych zjaw w okolicach Dunwich. Nawiązał kontakt z doktorem Houghtonem z Aylesbury, który towarzyszył Staremu Whateleyowi ostatnich chwilach jego życia; zacytowane przezeń ostatnie słowa umierającego dały mu wiele do myślenia. Ponownie wybrał się do Dunwich, lecz nie dowiedział się niczego nowego; wszelako gdy wczytał się uważniej w *Necronomicon*, w ustępy, których tak gorliwie poszukiwał Wilbur, odniósł wrażenie, że dowiaduje się coraz więcej straszliwych rzeczy na temat natury, metod działania oraz pragnień owego przedziwnego zła w niejasny sposób zagrażającego całej planecie. Rozmawiał z kilkoma studentami z Bostonu zgłębiającymi archaiczną wiedzę, wszczął rozległą korespondencję, i ogarniało go coraz większe zdumienie, potem zaczął odczuwać coraz większy lęk, ten zaś przeszedł w najprawdziwszą, przejmującą duchową trwogę. Z nadejściem lata ogarnęło go niejasne poczucie, że coś wreszcie trzeba zrobić, powstrzymać okropności czyhające w górnym biegu rzeki Miskatonic oraz poczwarną istotę znaną ludziom jako Wilbur Whateley.

## VI

Zgroza nawiedziła Dunwich między pierwszosierpniowym Świętem Chleba a równonocą jesienną 1928 roku, doktor Armitage zaś był jednym ze świadków jej poczwarnego prologu. Wiedział już, że Wilbur wybrał się w groteskową podróż do Cambridge, że rozpaczliwie usiłował wypożyczyć lub kupić egzemplarz *Necronomiconu* w tamtejszej Widener Library. Usiłował na próżno, Armitage zdążył bowiem listownie zaalarmować wszystkie biblioteki posiadające ów straszliwy tom. W Cambridge Wilbur zachowywał się okropnie nerwowo: rwał się do książki, ale spieszno mu też było z powrotem do domu, jak gdyby się bał, co może się tam stać pod jego nieobecność.

Spodziewane poniekąd rozstrzygnięcie nastąpiło nad ranem 3 sierpnia. Doktora Armitage’a wyrwało wówczas ze snu dzikie, zażarte ujadanie psa strzegącego uczelnianych budynków. Pies szczekał wściekle, straszliwie, warczał jak opętany, coraz głośniej i głośniej, lecz z ohydnie znaczącymi przerwami. Nagle rozległ się wrzask z zupełnie innego gardła – wrzask, który obudził połowę mieszkańców Arkham i jeszcze długo nawiedzał ich w

snach, wrzask, jakiego nie mogła wydać z siebie istota z tego świata, a przynajmniej wyłącznie z tego świata.

Armitage ubrał się w pośpiechu i popędził na przełaj przez ulice i trawniki w stronę uczelni. Przed nim biegło już kilka innych osób, z biblioteki dochodziło wycie alarmu. W świetle księżyca ziała czerń otwartego okna. Cokolwiek się tam dostało, najwyraźniej było już w środku: zajadłe ujadanie psa, przechodzące z wolna w pomruki i jęki, ponad wszelką wątpliwość docierało z wnętrza budynku. Jakiś instynkt ostrzegł Armitage'a, że cokolwiek się tam dzieje, nie powinien oglądać tego nikt nieprzygotowany, toteż otworzywszy drzwi do przedsionka, nakazał wszystkim, aby się cofnęli. Wśród zebranych spostrzegł profesora Warrena Rice'a i doktora Francisa Morgana, którym zdradził był co nieco ze swych domysłów i złych przeczuć – poprosił ich przeto, by weszli z nim do środka. Wewnątrz panowała już cisza zakłócana jedynie burkliwym, ostrzegawczym skomleniem psa. Nagle jednak Armitage uczuł nieprzyjemny dreszcz: oto wśród pobliskich krzewów rozśpiewały się donośnym chórem lelki, w ohydnym rytmie, jak gdyby zestrojonym z ostatnimi tchnieniami umierającego.

W budynku unosił się znany już doktorowi przerażający fetor. Trzej mężczyźni pobiegli korytarzem w stronę niewielkiej czytelni genealogicznej, z której dochodziło ciche skomlenie. Przez sekundę nikt nie śmiał zapalić światła; wreszcie Armitage zdobył się na odwagę i przekręcił włącznik. Gdy uczeni zobaczyli, co leży wśród porozsuwanych stołów i poprzewracanych krzeseł, jeden z nich – trudno orzec który – wrzasnął wniebogłosy. Profesor Rice twierdzi, że na chwilę zupełnie stracił świadomość, choć nie zachwiał się ani nie upadł.

Istota, która leżała skulona na boku w cuchnącej kałuży zielonkawożółtej posoki i smolistej mazi, mierzyła niemal dziewięć stóp wzrostu i wciąż żyła: targały nią jeszcze spazmy i drgawki, pierś unosiła się w bezgłośnym, poczwarnym unisono z oszalałym trelem wyczekujących lelków. Pies do reszty obdarł ją z ubrań i częściowo ze skóry; szczątki butów i strzępy odzienia walały się po całym pomieszczeniu, na oknie leżał zaś – najwyraźniej upuszczony tam podczas wchodzenia do środka – pusty płócienny worek. Obok głównego biurka leżał rewolwer; jak się okazało, kurek opadł, iglica uderzyła w nabój, lecz proch nie wypalił – to wyjaśniało, dlaczego broń nie wystrzeliła. Wszelako wszystkie te przedmioty przyćmił widok samej istoty. Powiedzieć, że żadne ludzkie pióro nie zdoła jej opisać, byłoby komunałem, na dodatek nie dość odpowiadającym prawdzie – można jednak stwierdzić, że nie wyobrazi jej sobie nikt, kto pojęcia wyglądu i kształtu rozumie ściśle podług zwykłych form życia istniejących na naszej planecie i w znanych nam trzech wymiarach. Istota była niewątpliwie po części ludzka: miała zupełnie człowiecze ręce i głowę, twarz zaś, koźla i z cofniętym podbródkiem, nosiła silne piętno rodzinne Whateleyów. Korpus i dolne części ciała stanowiły wszakże pokaz fantastycznego spotwornienia – widać było, że tylko w starannie zapiętym odzieniu stwór ten mógł dotąd bezkarnie i bezpiecznie chodzić po świecie.

Powyżej pasa istota była na poły człekokształtna – acz klatkę piersiową, na której pies wciąż czujnie trzymał łapy, pokrywała powłoka skórzasta i

siateczkowata jak u krokodyla czy aligatora. Łaciaty, czarno-żółty grzbiet kojarzył się niejasno z niektórymi gatunkami węży. Najgorszy widok przedstawiała jednak część dolna: tu kończyły się wszelkie podobieństwa z człowiekiem, a zaczynała czysta fantazja. Skórę porastała szorstka czarna sierść, z brzucha zaś zwisało bezwładnie mrowie zielonkawoszarych macek zakończonych czerwonymi ssawkami. Układały się one w sposób przedziwaczny, podług jakichś kosmicznych symetrii, nieznanych geometrii naszego świata i Układu Słonecznego. Na biodrach, w głębokich okolach różowawych, urzęsionych orbit tkwiła para szczątkowych oczu; w miejscu ogona z kolei wyrastało coś na kształt czułka czy trąby żłobionej w purpurowe pierścienie i wedle wszelkich oznak będącej nierozwiniętą gębą czy gardłem. Tylne członki, choć pokryte czarną sierścią, z grubsza przypominały zadnie łapy prehistorycznych jaszczurów, a ich pręgowato żyłkowane zakończenia nie wyglądały ani na kopyta, ani na szpony. Z każdym oddechem ogon i macki rytmicznie zmieniały barwę, jakby za sprawą jakiegoś krążenia odziedziczonego przez istotę po nieludzkich przodkach: macki pulsowały mocniejszą zielenią, w ogonie zaś chorobliwie szarobiałe odstępy między purpurowymi kręgami nabierały odcienia żółtawego. Nie widać było nawet śladu prawdziwej krwi – tylko smrodliwa zielonkawożółta posoka, która wyciekała wąską strużką z kałuży lepkiej mazi, osobliwie odbarwiając deski podłogi.

Obecność trzech mężczyzn sprawiła, że konająca istota nieco się ożywiła – nie podnosząc ani nie odwracając głowy, jęła z cicha bełkotać; doktor Armitage nie zapisał tych dźwięków, jest jednak przekonany, że nie było wśród nich nawet jednego słowa po angielsku. Pierwsze sylaby nie przypominały żadnej mowy znanej w naszym świecie, pod koniec wszelako dało się rozpoznać urywki zaczerpnięte najpewniej z *Necronomiconu* – owe potworne bluźnierstwa, których poszukiwanie istota przypłaciła życiem. Wedle świadectwa Armitage'a brzmiały one mniej więcej tak: *„N'gai, n'gha'ghaa, bugg-shoggog, y'hah; Yog-Sothoth, Yog-Sothoth*"... Wreszcie zamarły, za oknem zaś wyczekujące bezbożnie lelki wywrzaskiwały swe rytmiczne crescenda.

Raptem oddech ustał. Pies uniósł łeb i zawył przeciągle, żałobnie; żółta, koźla twarz zabitej istoty zmieniła się, wielkie czarne oczy zasnuł posępny cień. Trel lelków ucichł jak ucięty – a po chwili, w której słychać było pomruk zgromadzonego na zewnątrz tłumu, stado rozpierzchło się z panicznym trzepotem skrzydeł. Olbrzymie chmury pierzastych łowców wzbijały się w górę na tle księżyca i znikały w mroku przerażone widokiem swej niedoszłej ofiary.

W tym samym momencie pies zerwał się z miejsca, szczeknął z przestrachem i nerwowym susem wyskoczył przez okno. W tłumie ktoś krzyknął. Doktor Armitage zawołał głośno, by nikt nie wchodził do środka, póki nie zjawi się policja lub koroner. Rad był, że okna znajdują się wysoko i nie da się przez nie zajrzeć; dodatkowo zaciągnął jeszcze ciemne zasłony. W tym momencie przybyło dwóch policjantów. Doktor Morgan, który wyszedł im na spotkanie do przedsionka biblioteki, zaklinał ich, by nie wchodzili do cuchnącej czytelni, póki nie przyjedzie koroner i nie zasłoni sczezłej istoty.

Tymczasem na podłodze działy się rzeczy zatrważające. Niepodobna opisać, w jaki sposób ani jak bardzo istota skurczyła się, a następnie rozpadła na oczach doktora Armitage'a i profesora Rice'a. Można jednak stwierdzić, że poza zewnętrznym wyglądem twarzy i rąk pierwiastek ludzki musiał być w Wilburze Whateleyu doprawdy znikomy. Kiedy koroner dotarł wreszcie na miejsce, na deskach podłogi zalegała już tylko biaława masa, poczwarna woń zdążyła zaś rozpłynąć się niemal bez śladu. Whateley najwyraźniej nie posiadał w ogóle czaszki ani kośćca – przynajmniej w stałej, znanej nam postaci. Wdał się raczej w swego nieznanego ojca.

TYLKO W ZAPIĘTYM ODZIENIU STWÓR TEN MÓGŁ DOTĄD CHODZIĆ PO ŚWIECIE

## VII

Wszystko to było jednak tylko wstępem do właściwej zgrozy. Skonsternowani urzędnicy dopełnili formalności, chorobliwe szczegóły skwapliwie ukryto przed prasą i opinią publiczną, do Dunwich i Aylesbury wysłano zaś ludzi z zadaniem zinwentaryzowania majątku i odnalezienia ewentualnych spadkobierców zmarłego Wilbura Whateleya. We wsi panowało wielkie wzburzenie: dudnienie wśród sklepionych wzgórz potężniało, a z wielkiej pustej skorupy, w jaką zmienił się zabarykadowany dom Whateleyów, dochodziły coraz przeraźliwszy fetor i falujące, chlupoczące dźwięki. Earl Sawyer, który pod nieobecność Wilbura doglądał jego konia i krów, nabawił się fatalnego rozstroju nerwów. Urzędnicy wymówili się od wejścia do cuchnącego, zabitego deskami domostwa, zwiedzili jedynie ostatnie miejsce zamieszkania Wilbura, czyli świeżo naprawione szopy, po czym odjechali z wyraźną ulgą. W sądzie w Aylesbury złożyli rozwlekły raport, spory zaś o spadek ponoć jeszcze po dziś dzień toczą się między nieprzebranymi potomkami Whateleyów – zdegenerowanymi i niezdegenerowanymi – zamieszkującymi dolinę górnego biegu rzeki Miskatonic.

Zdumiewającą zagadką okazał się przedmiot znaleziony w starej komodzie służącej Wilburowi za biurko: nieskończenie wręcz obszerny rękopis oprawny w skórę i będący – jak można wnosić po odstępach w tekście oraz różnicach w atramencie i charakterze pisma – czymś w rodzaju dziennika. Znalazcy debatowali nad nim przez tydzień, aż wreszcie dołączyli go do zbioru dziwnych ksiąg Whateleyów i wysłali na Uniwersytet Miskatonic, aby zbadali go, a może nawet przetłumaczyli tamtejsi uczeni – wszelako najlepsi nawet językoznawcy rychło przekonali się, że odcyfrowanie dokumentu wcale nie będzie łatwe. Nie znaleziono natomiast na farmie ani śladu pradawnego złota, którym Wilbur i stary Whateley zwykli spłacać swoje należności.

Zgroza rozpętała się 9 września, w mroku nocy. Na wzgórzach dudniło wyraźnie przez cały wieczór, przez całą noc ujadały rozszalałe psy. Ci, którzy 10 września wstali z samego rana, uczuli w powietrzu osobliwy fetor. Około siódmej Luther Brown, parobek na farmie George’a Coreya, położonej między wioską a Jarem Zimnych Zdrojów, przybiegł zdyszany i roztrzęsiony z Dziesięcioakrowego Łęgu, gdzie skoro świt zaprowadził krowy. Gdy wpadł do kuchni, niemal spazmował ze strachu – na podwórzu zaś porykiwało żałośnie jego stado, które wróciło za nim do domu i któremu udzieliła się jego trwoga. Z trudem łapiąc oddech, Luther usiłował wydukać, co spotkało go w górach.

– Tam, pani Corey, tam na drodze za jarem… coś tam było! Śmierdzi tam niemożebnie, a wszystkie krzaczory i drzewka przy drodze coś wzięło i zmiotło na bok, jakby ktoś przeciągnął po drodze całą chałupę. Ale to jeszcze

nie jest najgorsze, pani Corey. Na drodze są ślady, wielkie i okrągłe jak beki, wbite w ziemię, jakby słoń tam przelazł, ino jest ich za dużo jak na cztery nogi! Zanimżem tu przyleciał, to se jeden czy dwa oglądnąłem, i widziało mi się, że każdy ma takie krechy rozchodzące się od jednego miejsca; jakby ktoś wziął palmowy liść, ino że te ślady są dwa czy trzy razy takie jak liść, i wcisnął go w głęboko w drogę. A cuchnie tam szkaradnie, zupełnie tak samo jak przy starej chałupie Czarownika Whateleya…

To powiedziawszy, od nowa rozdygotał się z przerażenia. Pani Corey nie mogła już wydobyć zeń jednego nawet słowa, zaczęła więc telefonować do sąsiadów; tym samym zasiała w wiosce panikę, która zwiastowała właściwe okropności. Gdy do rozmowy włączyła się Sally Sawyer, gosposia u Setha Bishopa, najbliższego sąsiada Whateleyów, tym razem ona musiała słuchać, a opowiadała Sally: jej synek Chauncey w nocy źle spał, wstał więc skoro świt i wybrał się na wzgórze nieopodal farmy Whateleyów; gdy jednak ujrzał farmę i pastwisko, na którym przez noc pasły się krowy Bishopów, ze zgrozą przypędził z powrotem do domu.

„Tak, pani Corey – wspólna linia aż drżała od głosu Sally – Chauncey przyleciał do domu na jednej nodze, taki zestrachany, że aż słowa nie mógł wykrztusić! Gadał, że chałupa starego Whateleya wyleciała w powietrze, deski leżą dokoła, jakby ktoś ją rozpirzył od środka dynamitem; została tylko podłoga na parterze, ale cała usmarowana jakąś smołą czy czymś; szkaradnie ta smoła śmierdzi, a tam, gdzie rozwaliło ściany, ścieka na ziemię. A na podwórzu są jeszcze jakieś szkaradne znaki, wielkie okrągłe znaki, szersze niż świński łeb, i one tyż się lepią od tego czegoś, co jest w tej rozwalonej chałupie. Chauncey gadał, że prowadzą na łąki i że widać, którędy to lezie, bo trawa na tych łąkach jest stratowana, jakby ktoś tam przeciągnął stodołę, a wszystkie kamienne murki poburzone.

I gadał jeszcze, pani Corey, że poszedł szukać Sethowych krów, chociaż taki był zestrachany, że aż nim telepało. No i znalazł te krowy, na wyższym pastwisku koło Diabelskiego Chmielowiska, ino w szkaradnym stanie. Połowy wogle nie ma, a z tej reszty, co została, to ktoś prawie do imentu wyssał krew… a jakie te krowiny poharatane! Zupełnie jak u Whateleyów, od czasu jak Lavinia urodziła tego czarnego bachora. Seth poszedł je teraz oglądnąć – chociaż do chałupy Czarownika Whateleya to on za blisko nie podejdzie, co to, to nie! Chauncey dokładnie się nie przyglądał, w którą stronę jest zwalona trawa za pastwiskiem, ale gada, że chyba w stronę tej drogi, co idzie do wioski przez jar.

Ja pani mówię, pani Corey: coś tam się urodziło, a potem wzięło i wylazło, chociaż wcale wyłazić nie powinno! I coś mi się wydaje, że to sprawka tego czarnego Wilbura Whateleya, co to już dostał za swoje. Ja tam zawsze mówiłam, że on był nie do końca człowiek. Myślę, że oni we dwa ze Starym Whateleyem musieli se coś tam w tej zagwożdżonej chałupie wyhodować, coś jeszcze mniej ludzkiego niż oni obydwa. Koło Dunwich zawsze się szwendały jakieś niewidzialne licha – żywe licha – ani ludzkie, ani dobre dla normalnych ludzi.

Pod ziemią przez całą noc gadało i gadało, a nad ranem Chauncey słyszał lelki w Jarze Zimnych Zdrojów; tak się darły, że wogle nie mógł spać. Potem

mu się zdawało, że coś się jakby tłucze koło chałupy Czarownika Whateleya: drewno trzeszczało, pękało, jakby ktoś otwierał jakąś wielką skrzynię czy pudło. Z tego wszystkiego to już oka nie zmrużył do bladego świtu i jak tylko wstało słońce, to wziął i wstał, i od razu poszedł do Whateleyów; no i zobaczył, co się tam dzieje. Mówię pani, pani Corey, co widział, to jego! Słowo daję, że to jakaś paskudna historia, chłopy powinny zebrać się do kupy i coś z tym zrobić. Dzieje się coś szkaradnego, ja to wiem, i coś mi się zdaje, że moja godzina się zbliża… chociaż co to wszystko ma znaczyć, to Pan Bóg jeden wie.

Pani Corey, a ten wasz Luther to nie popatrzył czasem, w którą stronę idą te wielkie ślady? Nie? Ha, no bo jeśli były na drodze po tej stronie jaru i nie doszły jeszcze do pani chałupy, to tak se kombinuje, że toto ciągle musi siedzieć w jarze. Ani chybi. Ja tam zawsze mówiłam, że Jar Zimnych Zdrojów to ani zdrowe, ani przyzwoite miejsce. Te lelki i świetliki to zawsze mi tak wyglądały, jakby to nie Pan Bóg je stworzył; a do tego ludzie gadają, że jak się stanie gdzie trzeba, między usypiskiem a Niedźwiedzią Pieczarą, to słychać, jak coś śmiga w powietrzu i gada jakieś dziwne rzeczy”.

Do południa trzy czwarte mężczyzn i chłopców z Dunwich przeczesywało drogi i łąki między farmą Whateleyów a Jarem Zimnych Zdrojów; z przerażeniem oglądali potężne, poczwarne ślady, okaleczone bydło Bishopów, dziwne, cuchnące ruiny domu i zgniecione, splątane zarośla na polach i poboczach dróg. Cokolwiek wydostało się na świat, bez wątpienia zeszło w głąb wielkiego, posępnego wąwozu – wszystkie drzewa na skraju były pogięte i połamane, a w krzakach porastających przepaściste, pionowe niemal zbocze wyżłobiona była wielka aleja – jak gdyby coś ześliznęło się na dół, miażdżąc gęste chaszcze. Z doliny nie dochodził żaden dźwięk, tylko słaby, nieokreślony odór; przeto nie należy się dziwić, że mężczyźni woleli zostać nad krawędzią i deliberować, niż zejść na dół i zmierzyć się z cyklopową zgrozą w jej legowisku. Trzy psy, które zabrano na wyprawę, z początku się rozszczekały, lecz w pobliżu jaru obleciał je strach. Ktoś zatelefonował do redakcji „Aylesbury Transcript”, lecz dyżurny redaktor, nawykły do dziwacznych wieści z Dunwich, ograniczył się do wysmażenia na ten temat żartobliwej notatki; niedługo później puściła ją dalej w świat agencja Associated Press.

Wieczorem wszyscy się rozeszli i zabarykadowali na głucho domy i obory. Nie trzeba dodawać, że wszystkie krowy z otwartych pastwisk zagoniono na noc do gospodarstw. Około drugiej godziny w nocy całą rodzinę Elmera Frye’a, mieszkającą przy wschodnim skraju Jaru Zimnych Zdrojów, zbudziły przeraźliwy fetor i wściekłe ujadanie psów; wszyscy słyszeli też gdzieś w pobliżu dziwny odgłos, jakby stłumiony świst czy chlupot. Pani Frye zasugerowała, by zatelefonować do sąsiadów, Elmer już niemal się zgodził, wszelako ich naradę przerwał znienacka dźwięk rozłupywanego drewna, dochodzący najpewniej z obory. Chwilę później rozległ się odrażający ryk i tętent przerażonego bydła. Psy przypadły do nóg skamieniałej rodziny. Frye z przyzwyczajenia zapalił lampę, wiedział jednak, że wyjście w mrok podwórza oznaczałoby pewną śmierć. Kobiety i dzieci kwiliły z cicha – od krzyku powstrzymywał je tylko nikły szczątek obronnego instynktu,

podpowiadający, że od milczenia zawisło ich życie. Wreszcie ryk bydła przeszedł w żałosne skomlenie, jeszcze później zaś zaczęło coś potężnie trzeszczeć, chrobotać, łomotać. Frye'owie ani drgnęli, siedzieli objęci w salonie, póki ostatnie echa nie zamarły w dalekich głębiach Jaru Zimnych Zdrojów. Wtedy to Selina Frye podbiegła chwiejnie do telefonu i wśród ponurych jęków dochodzących z zagrody, tudzież diabelskiego trelu spóźnionych lelków, rozpuściła po okolicy wieść, że zgroza weszła w fazę drugą.

Następnego dnia całą wioskę opanowała panika; strwożone, milczące grupki snuły się tylko po miejscach nawiedzonych przez diabelską istotę. Między jarem a farmą Frye'ów ciągnęły się dwie tytaniczne ścieżki zniszczenia, w spłachetkach nagiej ziemi odciśnięte były potworne ślady, jedna zaś ściana obory zupełnie zapadła się do środka. Znaleziono i zidentyfikowano jedynie jedną czwartą stada; z niektórych krów zostały tylko przedziwne strzępy. Wszystkie trzeba było dobić. Earl Sawyer podsunął myśl, żeby wezwać pomoc z Aylesbury czy Arkham, wszyscy jednak uznali, że na nic się to nie zda. Stary Zebulon Whateley, przedstawiciel na poły zdrowej, na poły zepsutej gałęzi Whateleyów, pozwolił sobie na obłędną, mroczną sugestię, jakoby należało odprawić na szczytach wzgórz jakieś obrzędy. W jego rodzinie tradycja była wciąż żywa – pamiętano w niej jeszcze o zaśpiewach intonowanych w wielkich kamiennych kręgach, i to niekoniecznie w związku z Wilburem i jego dziadkiem.

Gdy zapadła ciemność, wieśniacy byli zbyt sparaliżowani, by móc zorganizować prawdziwą obronę. Blisko spokrewnione rodziny gromadziły się pod jednym dachem i czuwały w ponurym milczeniu; większość jednak ograniczyła się do próżnych, nieskutecznych gestów: znów barykadowano drzwi i wrota, ładowano muszkiety, trzymano w pogotowiu widły. Tej nocy wszakże nic się nie wydarzyło, słychać było jedynie łoskoty na wzgórzach; wraz z nadejściem dnia w wielu wstąpiła więc nadzieja, że zgroza odeszła tak szybko, jak się pojawiła. Znalazło się nawet kilku śmiałków, którzy zachęcali do podjęcia wyprawy w głąb jaru, wszelako nie starczyło im odwagi, by własnym przykładem zachęcić do działania opierającą się większość.

Wieczorem znów zabarykadowano domy i zagrody, acz większość rodzin spędziła już noc osobno. Rankiem Frye'owie i Bishopowie donieśli, że ich psy były mocno podenerwowane, z oddali dobiegły ich też nieokreślony hałas i odór; ci, co wstali skoro świt, obwieścili zaś ze zgrozą, że na drodze okalającej Strażnicze Wzgórze pojawiła się świeża seria potwornych śladów. Pobocza znów były zgniecione, jak gdyby tajemnicza zgroza przeczołgała się po nich całym ciężarem swego bluźnierczego cielska. Kształt śladów wskazywał, że wiodą one w dwóch kierunkach, jak gdyby ruchoma góra wydostała się z Jaru Zimnych Zdrojów i tą samą drogą wróciła. Szlak zmiażdżonych zarośli wiódł stromym zboczem od podnóża aż na wierzchołek i jakież było zdumienie tropicieli, gdy odkryli, że szedł on nieubłaganie naprzód nawet przez największą stromiznę. Czymkolwiek była owa zgroza, umiała wspiąć się na niemal pionową skarpę z litej skały; gdy zaś ekspedycja dotarła na szczyt wzgórza bezpieczniejszą dookolną drogą,

okazało się, że w miejscu tym trasa się kończy – czy raczej zawraca.

Właśnie tam, przy głazie przypominającym stół, Whateleyowie rozpalali swoje piekielne ognie i odśpiewywali piekielne rytuały w Noc Walpurgii i wigilię Wszystkich Świętych. Teraz było to centrum rozległego obszaru, po którym rozszalała się górska zgroza, powierzchnię zaś głazu, odrobinę wklęsłą, pokrywała gruba, cuchnąca warstwa smolistej mazi, takiej samej jaką znaleziono na podłodze zniszczonego domu Whateleyów. Mężczyźni spojrzeli po sobie, mamrocząc pod nosem. Potem popatrzyli w dół. Zgroza najwyraźniej stoczyła się tą samą drogą, którą się tu wspięła. Próżno było spekulować: wszelki rozsądek, logika, racjonalne motywy działania były wywrócone na opak. Tylko stary Zebulon, nieobecny wśród tropicieli, mógł sprostać sytuacji lub przekonująco ją wyjaśnić.

Czwartkowa noc zaczęła się nie inaczej niż poprzednie, ale nie skończyła się już tak szczęśliwie. Wielu wieśniaków nie mogło zasnąć przez trele lelków w głębi jaru, około zaś trzeciej godziny nad ranem rozdzwoniły się telefony. Ci, którzy w porę podnieśli słuchawki, usłyszeli wrzask podszyty szaleńczym przerażeniem: „Bożeż ty mój, na pomoc!”… – po czym krzyk zamarł, niektórym zaś zdało się, że słyszą jeszcze odgłos miażdżenia. To było wszystko. Nikt nie śmiał się poruszyć, aż do rana nie wiedziano też, kto dzwonił. Wówczas ci, którzy słyszeli owo wołanie, jęli zdzwaniać się ponownie, wzywali się po nazwisku, aż okazało się, że nie odpowiadają tylko Frye’owie. Prawda wyszła na jaw godzinę później, gdy skrzyknięta w pośpiechu grupa uzbrojonych mężczyzn dowlokła się do farmy Frye’ów u wylotu jaru – i była to prawda straszliwa, lecz mało kogo zaskoczyła. Było tam jeszcze więcej zgniecionej trawy i jeszcze więcej śladów, za to nie było już domu. Został zgruchotany jak skorupka jajka, wśród ruin zaś nie znaleziono ani żywej, ani martwej duszy; tylko fetor i smolistą maź. Elmer Frye i jego rodzina zniknęli z Dunwich.

## VIII

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami pewnego gabinetu w Arkham piekielna zgroza z Dunwich odkrywała swą cichszą, acz w wymiarze duchowym jeszcze bardziej wstrząsającą stronę. Osobliwy dziennik czy zapiski Wilbura Whateleya wprawiły w wielkie zmartwienie i zakłopotanie znawców zarówno starożytnych, jak współczesnych języków; już sam alfabet, jakkolwiek wykazywał pewne podobieństwo do mocno wycieniowanego pisma arabskiego stosowanego w Mezopotamii, okazał się kompletnie nieznany. Koniec końców językoznawcy doszli do wniosku, że jest to alfabet sztuczny, pełniący funkcję szyfru – wszelako oparł się on wszelkim znanym w kryptografii metodom dekodowania, i to mimo że wzięto pod uwagę każdy możliwy język, jakim mógł władać autor. Żadnej wskazówki nie zawierały też prastare księgi zabrane z szopy Whateleya – jakkolwiek pod innymi względami okazały się wielce interesujące, zarówno przed filozofami, jak przed ludźmi nauki otwierały bowiem obiecujące, choć straszliwe obszary badań. Jedna z nich, ciężki tom w żelaznych klamrach, wydrukowana była

nieznanym pismem, lecz jeszcze innego rodzaju – najbardziej przypominającym sanskryt. Pieczę nad zapiskami Wilbura powierzono samemu doktorowi Armitage'owi – ze względu na jego osobliwe zainteresowanie sprawą Whateleyów oraz rozległą wiedzę językoznawczą i biegłość w odczytywaniu mistycznych formuł starożytnej i średniowiecznej ery.

Armitage sądził, że alfabet, w jakim sporządzono zapiski, może być ezoterycznym szyfrem, wciąż używanym przez pewne zakazane kulty, które zachowały się z dawnych czasów i odziedziczyły wiele form i tradycji po czarownikach saraceńskiego świata. Kwestię pochodzenia tego alfabetu uznał wszakże za nieistotną – podobnie jak w przypadku nowoczesnych szyfrów, aby używać symboli, niekoniecznie trzeba znać ich korzenie. Wziąwszy pod uwagę, jak olbrzymi był tekst, Armitage doszedł do przekonania, że autor raczej nie trudziłby się używaniem innego języka niż ojczysty, z wyjątkiem pewnych określonych formuł i inkantacji. Przyjął przeto założenie, że większa część została spisana angielsku, i zaatakował tajemniczy manuskrypt.

Armitage wiedział, że jego koledzy po fachu nie podołali zadaniu, musi więc być ono złożone i poszukiwanie rozwiązań najprostszych to zbędny trud. Wykorzystując zasoby własnej biblioteki, uzbroił się potężnie w wiedzę kryptograficzną – przez cały koniec sierpnia co noc zagłębiał się w tajniki takich dzieł jak *Poligraphia Trithemiusa*, *De Furtivis Literarum Notis* Giambattisty Porty, *Traicté des Chiffres* de Vigenère'a, *Cryptomenysis Patefacta* Falconera, osiemnastowieczne traktaty Davysa i Thicknesse'a oraz prace autorytetów współczesnych: Blaira, von Martena czy *Kryptographik* Klübera. Studia nad szyframi przerywał jedynie po to, by przypuścić kolejne szturmy na rękopis, i z czasem doszedł do przekonania, że ma do czynienia z jednym z owych subtelnych i pomysłowych kryptogramów, w których liczne, odrębne listy odpowiadających sobie liter zorganizowane są na wzór tabliczki mnożenia, przesłanie zaś, skonstruowane za pomocą arbitralnych kluczy, dostępne jest jedynie dla wtajemniczonych. W studiach nad manuskryptem bardziej pomocne okazały się dzieła dawniejsze, przeto Armitage doszedł do wniosku, że zastosowany w nim szyfr jest niezwykle stary – bez wątpienia musiała go zachować przez otchłań wieków długa dynastia mistycznych eksperymentatorów. Kilka razy zdawało mu się, że widzi światełko w tunelu, zawsze jednak utykał na jakiejś nieprzewidzianej przeszkodzie. Wreszcie, gdy wrzesień był już za pasem, rzecz zaczęła się rozjaśniać: pewne litery w pewnych częściach rękopisu udało mu się ustalić ponad wszelką wątpliwość, był już także pewien, że tekst rzeczywiście jest angielski.

Wieczorem 2 września doktor Armitage pokonał ostatnią barierę i po raz pierwszy odczytał w całości ustęp z kronik Wilbura Whateleya. Jak słusznie podejrzewano, rzeczywiście był to dziennik – styl zaś, w jakim spisała go dziwaczna istota, świadczył tyleż o jej orientacji w wiedzy tajemnej, co o ogólnej ciemnocie. Zdumiewający i niepokojący okazał się już jeden z pierwszych odcyfrowanych fragmentów. Napisało go, jak uprzytomnił sobie Armitage, dziecko, które miało podówczas trzy lata, a wyglądało na

dwanaście lub trzynaście. Brzmiał następująco:

Dziś nauczyłem się Aklo na dzień Sabaoth ale mi nie wyszło bo odpowiedź nie była z powietrza jeno ze wzgórz. To na piętrze przerasta mnie bardziej niż myślałem i nie za bardzo myśli po ziemskiemu. Jack, owczarek Elama Hutchinsa, chciał mnie ugryźć i go zastrzeliłem. Elam teraz mówi że mnie zabije. Ale chyba mnie nie zabije. Wczoraj w nocy powtarzałem z dziadkiem formułę Dho i chyba widziałem wewnętrzne miasto i oba bieguny magnetyczne. Jak już ziemia będzie oczyszczona to wybiorę się na te bieguny, chyba że sobie poradzę z formułą Dho-Hna. Ci z powietrza mi powiedzieli podczas Sabatu że zanim oczyszczę ziemię miną jeszcze całe lata, dziadek do tego czasu chyba umrze więc muszę się nauczyć pod jakimi kątami leżą wszystkie płaszczyzny i jeszcze wszystkich formuł między Yr i Nhhngr. Ci z zewnątrz mi pomogą ale oni nie mogą przybrać ciała bez ludzkiej krwi. To na piętrze chyba będzie w sam raz. Jak zrobię znak Voor albo sypnę proszkiem Ibn Ghaziego to trochę udaje mi się to zobaczyć. Wygląda podobnie jak tamci w Noc Walpurgii na Wzgórzu. Ta druga twarz może się trochę zatrzeć. Ciekawe jak będę wyglądał kiedy ziemia będzie już oczyszczona i nie będzie już ziemskich istot. Ten co go Aklo przywołało w Sabaoth powiedział że może będę przemieniony i podobny do tych z zewnątrz.

Nastał ranek, a doktor Armitage, zlany zimnym potem, wciąż siedział pogrążony w gorączkowej pracy. Przez calutką noc siedział przy biurku w świetle elektrycznej lampki i drżącymi rękoma przewracał stronę za stroną, odszyfrowując rękopis najszybciej, jak mógł. Wieczorem zadzwonił zdenerwowany do żony i zapowiedział, że nie wróci na noc do domu, lecz gdy rano przyniosła mu śniadanie, ledwie mógł spojrzeć na jedzenie. Czytał dalej przez cały następny dzień, co pewien czas musiał też z rozpaczą przerywać pracę i od nowa stosować skomplikowany klucz. Obiad i kolację również przyniesiono mu do biblioteki, lecz przełknął ledwie parę kęsów. Następnej nocy zdrzemnął się w fotelu, lecz szybko obudziły go koszmary, niemal tak wstrętne jak odcyfrowywane przezeń prawdy zagrażające istnieniu ludzkości.

Rankiem 4 września profesorowi Rice'owi i doktorowi Morganowi udało się z nim przez chwilę porozmawiać, wyszli zaś z gabinetu roztrzęsieni i bladzi jak ściana. Tej nocy Armitage położył się do łóżka, ale spał niespokojnie. Nazajutrz, w środę, wrócił do rękopisu, zaczął też robić obszerne notatki, i z ustępów odczytywanych na bieżąco, i z tych, które już rozszyfrował. Następnej nocy przespał się odrobinę w fotelu, jednak zanim zdążył wstać dzień, znów ślęczał nad rękopisem. Krótko przed południem odwiedził go jego lekarz doktor Hartwell i nakazał mu przerwać pracę. Armitage odmówił, dając do zrozumienia, że odczytanie pamiętnika jest dlań rzeczą najwyższej wagi, oraz przyrzekając, że w swoim czasie wszystko wyjaśni.

Tego wieczoru, tuż po zmroku, ukończył straszliwą lekturę. Był kompletnie wyzuty z sił. Żona, która przyszła z kolacją, znalazła go niemal w stanie śpiączki; rzuciła okiem na notatki doktora, ów jednak był jeszcze na tyle przytomny, że przeraźliwym krzykiem ostrzegł ją, by ich nie czytała. Chwiejnie podniósł się z fotela, zebrał zapisane papiery, włożył do wielkiej

koperty i schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Do domu dotarł o własnych siłach, lecz był tak osłabiony, że niezwłocznie wezwano doktora Hartwella. Gdy kładziono go do łóżka, mamrotał nieprzerwanie: „Boże, cóż my teraz poczniemy?”

Armitage przespał całą noc, lecz następnego dnia był na pograniczu delirium. Lekarzowi nie udzielił żadnych wyjaśnień, za to w chwilach uspokojenia domagał się długiej narady z Rice’em i Morganem. Gdy wpadał w malignę, opowiadał rzeczy doprawdy zdumiewające: błagał, by zniszczono coś w zabitej deskami chałupie, wspominał, że jakaś straszliwa pradawna rasa istot z innego wymiaru zamierza wygubić całą ludzkość wraz z wszelkim ziemskim życiem, zwierzęcym i roślinnym. Krzyczał, że Ziemia jest w niebezpieczeństwie, ponieważ Starsze Istoty chcą ją spustoszyć, wyrwać z Układu Słonecznego i przeciągnąć z materialnego kosmosu w jakąś inną płaszczyznę czy fazę istnienia, od której odłączyła się przed wigintylionami eonów. Czasem wołał, by przynieść mu księgi, straszliwy *Necronomicon* i *Daemonolatreię* Remigiusa, chciał szukać w nich formuł, która zażegnają niebezpieczeństwo.

– Powstrzymać ich, powstrzymać! – krzyczał. – Whateleyowie chcieli ich wpuścić, a najgorsze dopiero przed nami! Powiedzcie Rice’owi i Morganowi, że musimy coś zrobić, działamy na oślep, ale wiem, jak sporządzić proszek… To nie jadło od 2 sierpnia, kiedy zjawił się tu Wilbur, i w takim tempie…

Mimo swych siedemdziesięciu trzech lat Armitage miał jednak mocny organizm i następną noc przespał dobrze, uspokoił nerwy i uniknął poważniejszych, cielesnych dolegliwości. W piątek obudził się późno i wstał przytomny, jakkolwiek dręczył go lęk i przytłaczało poczucie odpowiedzialności. W sobotę po południu poczuł się już na siłach, by pójść do biblioteki i wezwać Rice’a i Morgana na naradę; przez cały wieczór trzej mężczyźni zadręczali się najobłędniejszymi spekulacjami i najrozpaczliwszymi dysputami. Dziwne i straszne księgi wędrowały z bibliotecznych półek i najtajniejszych skrytek do gabinetu; pęczniał stos przepisywanych gorączkowo diagramów i formuł. O sceptycyzmie nie było mowy: wszyscy trzej widzieli na własne oczy, jak rozpada się ścierwo Wilbura Whateleya, żaden z nich nie dopuszczał więc myśli, by jego dziennik mógł być zwykłym bredzeniem szaleńca.

Z początku nie było zgody, czy powiadomić o wszystkim policję stanu Massachusetts – ostatecznie przeważyła opinia negatywna. W grę wchodziły sprawy, w które nikt nie uwierzyłby na słowo – czego dowiodły aż nadto późniejsze dochodzenia. Narada trwała do późnej nocy; ostatecznie nie podjęto konkretnych decyzji, wszelako cały następny dzień Armitage spędził na zestawianiu wzorów i mieszaniu odczynników znalezionych w uczelnianym laboratorium. Im więcej rozmyślał nad piekielnym dziennikiem, tym bardziej powątpiewał, czy jakikolwiek czynnik materialny może zwalczyć istotę osamotnioną przez Wilbura Whateleya – istotę, która zagrażała całemu światu i która, o czym doktor nie mógł wiedzieć, już kilka godzin później wyrwała się na wolność i została zapamiętana jako zgroza z Dunwich.

Poniedziałek Armitage spędził tak samo jak niedzielę, czekające go

zadanie wymagało bowiem niezliczonych badań i doświadczeń. Im głębiej wczytywał się w potworny dziennik, tym więcej zmian musiał wprowadzić do swego planu, a i tak wiedział, że nie będzie mógł być pewien końcowego efektu. We wtorek wiedział już, co robić, i miał nadzieję, że w ciągu tygodnia uda mu się wybrać do Dunwich. Tymczasem w środę doktor dokonał wstrząsającego odkrycia. Oto w samym rogu szpalty „Arkham Advertiser” trafił na kpiarską notkę agencyjną Associated Press, donoszącą, że mieszkańcy Dunwich pod wpływem nielegalnej whiskey stworzyli potwora. Armitage osłupiał. Nie pozostawało nic innego, jak zadzwonić do Rice’a i Morgana – i znów debatowali do późnej nocy, dnia zaś następnego wszyscy trzej rzucili się w wir przygotowań. Armitage wiedział, że swym działaniem zbudzi straszliwe moce, wszelako zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób można unieszkodliwić jeszcze złośliwsze moce, które inni zbudzili przed nim.

## IX

W piątek rano Armitage, Rice i Morgan wyruszyli samochodem do Dunwich; na miejscu byli około pierwszej po południu. Dzień był przyjemny, lecz nawet najjaśniejsze promienie słońca nie były w stanie rozproszyć cichej grozy; nad dziwnie sklepionymi wzgórzami i głębią ciemnych wąwozów zdawała się wisieć złowieszcza aura. Na niektórych wierzchołkach można było dostrzec na tle nieba posępne kręgi głazów. Z milczącej trwogi, jaka panowała pod sklepem Osborna, uczeni domyślili się, że stało się coś ohydnego – i wkrótce usłyszeli o zagładzie domu i rodziny Elmera Frye’a. Przez całe popołudnie jeździli po wiosce – wypytywali mieszkańców o dokładny przebieg zdarzeń, z narastającym uczuciem grozy obejrzeli także posępne ruiny domu Frye’ów zbrukane smolistą mazią, bluźniercze ślady na podwórzu, poranione bydło Setha Bishopa i rozrzucone po okolicy olbrzymie połacie zgniecionej roślinności. Trop wiodący na Strażnicze Wzgórze wydał się Armitage’owi rzeczą o porażającym wręcz znaczeniu; doktor długo stał na szczycie wzniesienia i wpatrywał się w złowieszczy kamienny ołtarz.

Ponieważ w odpowiedzi na pierwsze telefoniczne doniesienie o tragedii Frye’ów rankiem przybyli z Aylesbury funkcjonariusze policji stanowej, uczeni postanowili ich odnaleźć i w miarę możności porównać notatki. Zamiar ten łatwiej było jednak powziąć niż zrealizować, oddział policji zniknął bowiem bez śladu. Po pięciu ludziach został tylko pusty samochód przy farmie Frye’ów. Miejscowi wydawali się zrazu nie mniej zakłopotani niż Armitage i jego towarzysze. Wreszcie stary Sam Hutchins przypomniał sobie o czymś i pobladł, po czym trącił łokciem Freda Farra i wskazał na ziejącą nieopodal wilgną głąb doliny.

– Boże mój – jęknął. – Przecieżem im gadał, coby nie schodzili do jaru. Nawet do głowy mi nie przyszło, że ktoś może tam poleźć: przecie widzieli te ślady, czuli ten smród, a do tego lelki wydzierają się tam w ciemności, choć to dopiero południe…

Zarówno miejscowi, jak goście uczuli zimny dreszcz; zdawało się, że każdy

nieświadomie, instynktownie wytężył słuch. Armitage dopiero teraz, ujrzawszy jej potworne dzieło, przekonał się w pełni, z jaką zgrozą ma do czynienia, i aż zadrżał na myśl o odpowiedzialności, jaką – wedle swego mniemania – wziął na swoje barki. Noc zbliżała się wielkimi krokami, a właśnie nocą to górskie bluźnierstwo wytaczało się na swój upiorny szlak. *Negotium perambulans in tenebris...*[*] Stary bibliotekarz powtarzał sobie wyuczoną formułę, a w dłoni ściskał karteczkę z drugim, pomocniczym zaklęciem, którego się wyuczyć nie zdążył. Sprawdził latarkę elektryczną: działała. Rice sięgnął do walizy i wyjął rozpylacz w metalowym pojemniku, podobny do tych, jakimi spryskuje się owady; Morgan natomiast wyciągnął z pokrowca wielkokalibrową strzelbę, w której moc wierzył, mimo że koledzy przestrzegali go, że materialna broń na nic tu się nie przyda.

Znając odrażający dziennik, Armitage wiedział aż za dobrze, jakiego rodzaju istoty może się spodziewać; nie chcąc wszakże przyprawiać mieszkańców Dunwich o jeszcze większą trwogę, nie udzielał im żadnych rad ani wskazówek. Miał nadzieję, że wraz z kolegami zdoła pokonać potworne stworzenie, nie objawiając go światu. Gdy zaczęło się ściemniać, wieśniacy zaczęli rozchodzić się do domów i barykadować drzwi jak w poprzednie noce, aczkolwiek wszelkie dowody świadczyły niezbicie, że w starciu z istotą, która bez trudu zgina drzewa i miażdży domy, wszelkie zamki i rygle stworzone ludzką ręką są bezużyteczne. Usłyszawszy, że uczeni zamierzają pozostać na straży przy ruinach domu Frye'ów, pokręcili tylko głowami i odeszli, nie mając wielkich nadziei, że jeszcze ich zobaczą.

Noc rozbrzmiewała dudnieniem z wnętrza wzgórz i przeraźliwym trelem lelków. Co pewien czas z Jaru Zimnych Zdrojów zawiewał wiatr, napełniając ciężkie nocne powietrze nieopisanym fetorem – dokładnie takim jak ów, który trzej uczeni poczuli w Arkham nad konającym stworzeniem przez piętnaście i pół roku swego życia uchodzącym za istotę ludzką. Wyczekiwane horrendum nie pojawiło się jednak. Cokolwiek gnieździło się w jarze, czekało stosownej chwili, Armitage oznajmił zaś kolegom, że atakować je w ciemności byłoby samobójstwem.

Wreszcie wstał blady świt i nocne hałasy ucichły. Dzień był szary i ponury, od czasu do czasu siąpił deszcz; na północno-zachodnim niebie nad wzgórzami tężały coraz cięższe warstwy chmur. Uczeni nie byli pewni, co robić. Schroniwszy się przed gęstniejącą ulewą w jednym z niewielu ocalałych zabudowań Frye'ów, zastanawiali się, czy rozsądniej będzie czekać, czy może przejść do kontrataku i ruszyć w głąb jaru na poszukiwanie niewysłowionej poczwary. Deszcz przybierał na sile, gdzieś w oddali huknął grom. Niebo rozświetliła daleka błyskawica, chwilę później kolejny, zygzakowaty piorun strzelił tuż obok, jakby w samą głąb przeklętego jaru. Niebo pociemniało. Trzej uczeni mieli nadzieję, że burza nie potrwa długo i niebo rychło się przejaśni.

Niewiele ponad godzinę później, gdy panował jeszcze makabryczny półmrok, na drodze dał się słyszeć nieopisany tumult. Po chwili ukazało się kilkunastu przerażonych ludzi: pędzili przed siebie i krzyczeli, niektórzy wręcz histerycznie skamleli. Ktoś z czoła grupy wydukał wreszcie, co się dzieje, i gdy z ogólnego zamętu zaczęła się wreszcie wyłaniać spójna relacja,

uczeni wzdrygnęli się ze zgrozy.

– Bożeż ty mój, o Boże! – krztusił się wieśniak. – To znowu lezie, i tym razem za dnia! Tam jest, o tam, właśnie tu lezie, Bóg jeden wie, kiedy nas wszystkich dopadnie!

To powiedziawszy, zupełnie stracił dech, lecz jego opowieść pociągnął ktoś inny:

– Jakąś godzinę temu Zeb Whateley usłyszał telefon: dzwoni pani Corey, żona George'a, tego, co mieszka przy rozdrożu; dzwoni i gada, że Luther, jej parobek, spędzał właśnie krowy przed burzą, zara po tym, jak grzmotnęło, i nagle zobaczył, że przy wylocie jaru, tam na drugim końcu, wszystkie drzewa się zginają, i poczuł, że cuchnie tak samo szkaradnie jak wtedy w poniedziałek, kiedy znalazł te wielkie ślady. I jeszcze jej ten Luther powiedział, że jak te zarośla się zginały, to wcale nie szumiały normalnie, jak to drzewa, tylko jakoś tak świszczały i chlupotały. I jeszcze że jak tak stał i patrzył, to zaczęły też się zginać drzewa przy samej drodze – patrzy, a tu nagle coś rozpycha je na bok i szkaradnie tupie i chlupie po błocie. Tylko zauważta, Luther nie widział nic a nic, tylko jak się zginają drzewa i krzaki… A potem kawałek dalej, tam jak pod drogą przepływa Biskupi Potok, to mostek nad tym potokiem cały zaczął trzeszczeć i skrzypieć, i Luther gada, że słyszał wyraźnie, jak drewno zaczyna pękać w drzazgi. I ciągle nic a nic nie widział, tylko jak się zginają te drzewa i krzaki. A jak już ten świst się oddalił, het, tam jak się jedzie do Czarownika Whateleya i na Strażnicze Wzgórze, to Luther miał na tyle ikry, że podszedł tam, gdzie to słyszał, i popatrzył na ziemię. Błota było po kostki, niebo ciemne i deszcz rozmywał wszystko w try miga, ale widział, że u wylotu jaru, tam jak się ruszały te drzewa, to znów było trochę tych szkaradnych śladów wielkich jak beczka, takich samych jak tamte w poniedziałek.

W tym momencie wyrwał się znów pierwszy opowiadacz.

– Ale toto jeszcze nie było najgorsze; to dopiero początek. Zeb zaczął zwoływać wszystkich przez telefon, wszyscy słuchają, a tu nagle włącza się gosposia Setha Bishopa Sally, i jak nie zacznie wrzeszczeć: że właśnie widziała, jak się zginają drzewa przy drodze, i słyszała, jak coś miętko człapie i posapuje, jakby słoń lazł prosto w chałupę. Potem nagle mówi, że coś przeraźliwie zaśmierdziało, a jej chłopak Chauncey zaczął się wydzierać, że właśnie tak śmierdziało w poniedziałek w ruinach Whateleyów. A psy tam u nich szczekały i skomlały szkaradnie… A potem Sally wrzasnęła przeraźliwie i gada, że zawaliła się szopa przy drodze, jakby ją zdmuchnęła burza, ino że wiater wcale nie był aż taki silny. Wszyscyśmy słuchali i co rusz ktoś ciężko wzdychał na linii. I nagle Sally znów wrzasnęła, że coś rozwaliło płot od drogi, ino że wogle nie widać, kto to zrobił. A potem wszyscy usłyszeli, że Chauncey też wrzeszczy, i stary Seth Bishop też, a Sally się darła, że coś ciężkiego rąbnęło w chałupę… ale nie żaden piorun ani nic, ino coś ciężkiego, i jeszcze raz rąbnęło we front, waliło tak i waliło, chociaż jak patrzyli przez okno, to nic nie widzieli. A potem… a potem… – Twarze zebranych stężały z trwogi; wstrząśnięty Armitage z trudem opanował się na tyle, by zachęcić mówiącego do kontynuowania relacji. – A potem… Sally wrzasnęła: „Olaboga, chałupa się zapada…” i wszyscyśmy usłyszeli, jak coś

potwornie trzasło, a oni wszystkie tam się darli wniebogłosy… tak jak wtedy u Elmera Frye'a, ino jeszcze gorzej…

Mężczyzna urwał, znów ktoś inny podjął wątek.

– No i tyle… potem już nikt tam nawet nie pisnął, ucichło jak makiem zasiał. No i wszyscy, jak staliśmy, takżeśmy popędzili do samochodów, zebraliśmy tyle silnych chłopa, ile tylko się dało, i żeśmy się zjechali pod Coreyami, a potem przygnali tu do was, żebyśta powiedzieli, co tera robić. Ino mnie się zdaje, że to jest kara boska… za wieleśmy nagrzeszyli i tera mamy…

Armitage nie miał wątpliwości, że należy już podjąć zdecydowane działania, przemówił więc do trzęsących się z trwogi wieśniaków, starając się, by jego głos brzmiał jak najbardziej pewnie:

– Musimy to wytropić, chłopcy. Wierzę, że mamy szansę to unieszkodliwić. Dobrze wiecie, że Whateleyowie byli czarownikami; cóż, wywołali to czarami i czarami musimy to zniszczyć. Widziałem dziennik Wilbura Whateleya, czytałem trochę tych jego dziwnych starych książek i myślę, że znam zaklęcie, którym można to zabić. Pewności, rzecz jasna, nie ma, ale zawsze można spróbować. To coś jest niewidzialne, wiedziałem, że będzie, ale mamy tu rozpylacz z proszkiem, który sprawi, że przez chwilę będziemy mogli to zobaczyć. Wypróbujemy go później. Zaiste, potworna to istota, ale byłaby jeszcze potworniejsza, gdyby Wilbur żył i dalej ją karmił. Nie macie pojęcia, jakiego niebezpieczeństwa uniknął świat. Musimy pokonać tylko jedną sztukę, a to potrafi się rozmnażać. Niemniej może wyrządzić wiele szkód; tym bardziej więc nie wolno nam zwlekać. Musimy to wytropić – a zaczniemy od farmy, którą właśnie zniszczyło. Niech ktoś prowadzi. Nie znam zbyt dobrze okolicy, ale myślę, że da się tam dojść na skróty. Jak sądzicie?

Mężczyźni przez chwilę przestępowali z nogi na nogę, wreszcie Earl Sawyer ponuro wytknął palec na rzedniejący z wolna deszcz i powiedział miękko:

– Najszybciej chyba będzie, jak pójdzieta na skróty przez niższą łąkę, potem brodem przez potok, a dalej wdrapieta się na górę przez łąkę Carriera i dalej koło składu drewna. Wyjdzieta na górną drogę tuż koło Setha, ino ździebko z innej strony.

Armitage z Rice'em i Morganem ruszyli we wskazanym kierunku. Za nimi wolnym krokiem szli wieśniacy. Niebo się przejaśniało, wszystko wskazywało na to, że burza skończyła się na dobre. W pewnym momencie Armitage zmylił drogę, Joe Osborn ostrzegł go jednak w porę i poprowadził pochód dalej. Wszyscy nabierali odwagi i pewności siebie, wszelako gdy przy końcu skrótu musieli zanurzyć się w półmrok lesistego wzgórza i jak po drabinie wspiąć się na górę prostopadłym niemal zboczem, przez gęstwę przeogromnych, prastarych drzew, ich duch został wystawiony na poważną próbę.

Wreszcie cała grupa wydostała się na błotnistą drogę. Słońce właśnie wychodziło zza chmur. Farma Bishopów znajdowała się kawałek za zakrętem, lecz pochylone drzewa i odrażające ślady nie pozostawiały wątpliwości, co się tu wydarzyło. Tropiciele spędzili na farmie ledwie parę

chwil. Obejście wyglądało tak samo jak gospodarstwo Frye'ów: zgruchotane szczątki obory i domu pokrywała smolista maź, unosił się okropny odór, nie było też najmniejszego śladu żywej ani martwej istoty. Nikt nie miał ochoty pozostawać wśród ruin zbyt długo, wszyscy odruchowo ruszyli dalej straszliwym tropem wiodącym w stronę zniszczonego domu Whateleyów i zwieńczonych ołtarzem stoków Strażniczego Wzgórza.

Gdy mijali szczątki siedziby Wilbura Whateleya, wszyscy aż zadrżeli – znów dało się poczuć, jak kruchy jest ich zapał. Tropienie czegoś, co jest wielkie jak dom, niewidzialne, a przy tym wyrodne i nikczemne jak demon, bynajmniej nie było żartem. U stóp Strażniczego Wzgórza ślady skręcały z drogi w bok, na szlaku zaś zgniecionej trawy, wskazującym, którędy potwór uprzednio wdrapywał się na szczyt, widać było świeżo połamane i pochylone zarośla.

Armitage wyjął kieszonkową lunetę o znacznej mocy i przez chwilę lustrował strome zielone zbocze, a następnie przekazał instrument Morganowi. Morgan, który miał bystrzejszy wzrok, patrzył przez chwilę, po czym krzyknął przeraźliwie i podał lunetę Earlowi Sawyerowi, wskazując palcem jakiś punkt na zboczu. Sawyer, jak większość ludzi nieprzywykłych do obcowania z przyrządami optycznymi, gmerał przez chwilę przy lunecie, wreszcie z pomocą Armitage'a zdołał ustawić ostrość – i krzyknął także, lecz już mniej powściągliwie niż Morgan:

– Boże wszechmogący, ruszają się krzaki i trawa! Toż to lezie na górę... wlecze się... pełznie na szczyt, właśnie tera, jak tu stoję, Bóg wie po co!

Jego krzyk zasiał ziarno paniki w sercach tropicieli. Ścigać tę niedocieczoną istotę – to było jedno; znaleźć ją – to zupełnie inna sprawa. Może i czary zadziałają – lecz jeśli nie? Wszyscy zasypali Armitage'a pytaniami, chcieli dowiedzieć się, co wie o niewidzialnym stworzeniu, wszelako żadna z jego odpowiedzi nie wydawała się zadowalająca. Każdy chyba czuł, że znalazł się o krok od takich faz Natury i bytu, które obłożone są najcięższym zakazem i obce doświadczeniu rozumnej ludzkości.

## X

W końcu trzej przybysze z Arkham – sędziwy, siwobrody doktor Armitage, krępy, szpakowaty profesor Rice oraz młody, szczupły doktor Morgan – ruszyli samotnie pod górę. Cierpliwie poinstruowali przerażonych wieśniaków, jak używać lunety, jak ustawiać ostrość, i zostawili ich na drodze; w trakcie wspinaczki byli przeto bacznie obserwowani przez tego, kto akurat miał w rękach instrument. Podejście było strome, Armitage raz po raz potrzebował pomocy. Wysoko ponad wspinającą się trójką pas zgniecionej trawy drżał, zdradzając, którędy ze ślimaczą powolnością stąpa piekielny stwór. Wkrótce widać było jak na dłoni, że tropiciele skracaj dystans.

Nagle trzej mężczyźni znacznie zboczyli z kursu. Curtis Whateley – z niezdegenerowanej gałęzi rodu – dzierżący właśnie lunetę, powiedział, że uczeni najwyraźniej starają się dostać na niższy grzbiet wzgórza, piętrzący

się nad właściwym szlakiem oraz miejscem, w którym właśnie zginały się zarośla. Nie mylił się – wkrótce trzech mężczyzn ukazało się na niższym wzniesieniu, krótką chwilę po tym, jak przetoczyło się po nim niewidzialne bluźnierstwo.

Po Curtisie lunetę przejął Wesley Corey – i wykrzyknął, że Armitage i Rice przygotowują rozpylacz i na pewno zaraz coś się wydarzy. Grupka poruszyła się niespokojnie – wszyscy pamiętali, że dzięki zastosowaniu rozpylacza niedostrzegalna zgroza na chwilę miała stać się widoczna. Dwaj lub trzej mężczyźni zamknęli oczy, Curtis Whateley wyrwał natomiast lunetę Wesleyowi i wytężył wzrok. Rice, który znajdował się akurat powyżej istoty, miał doskonałą okazję, by ze znakomitym skutkiem rozpylić mocarny proszek.

Ci, którzy obserwowali wydarzenia gołym okiem, ujrzeli tylko, jak na mgnienie pod samym szczytem wzgórza buchnął szary obłok – obłok wielkości średniego budynku. Curtis wrzasnął przeraźliwie i upuścił lunetę w błoto, w którym stała po kostki cała grupa. Odwrócił się i byłby osunął się na ziemię, gdyby nie chwyciło go i nie podtrzymało dwóch czy trzech towarzyszy. Z ust jego wydobywał się tylko na wpół słyszalny jęk:

– O, Boże, Boże… wielki Boże… to… to…

Rozpętało się istne pandemonium pytań; jedynie Henry Wheeler był na tyle przytomny, że podniósł upuszczoną lunetę i wytarł ją z błota. Curtis nie był w stanie składnie mówić, z trudem nawet odpowiadał na poszczególne pytania:

– Większe jak stodoła… wije się całe jak kłąb powrozów… z kształtu wygląda trochę jak wielkie kurze jajo, do tego cała kopa nóg wielkich jak świńskie łby, i jak idzie, to te nożyska się chowają do połowy… całe ciekłe jak jakaś galareta, a zrobione tak, jakby wziąć osobne powrozy i ciasno zwinąć, i te powrozy się tak skręcają… wszędzie pełno wyłupiastych ślepiów… po bokach z dziesięć czy dwadzieścia ryjów czy trąb, wielkich jak rury od pieca, i toto podrzuca nimi, i otwiera je, i zamyka… całe szare, w jakichś takich niebieskich czy purpurowych pierścieniach… i… Boże przenajświętszy… to pół twarzy na czubku!…

Ta ostatnia wzmianka – cokolwiek miała znaczyć – okazała się już ponad siły Curtisa: biedak zupełnie się załamał i nie wydobył już z siebie ani słowa. Fred Farr i Will Hutchins znieśli go na bok i położyli w wilgotnej trawie. Henry Wheeler drżącymi rękoma przyłożył lunetę do oka i spojrzał w stronę góry. Dostrzegł jedynie trzy maleńkie sylwetki, biegnące na wierzchołek z całą chyżością, na jaką pozwalała stromizna zbocza; tylko tyle – nic więcej. Raptem z głębi doliny, a nawet z zarośli na stokach Strażniczego Wzgórza dał się słyszeć niespotykany o tej porze roku dźwięk. Był to trel niezliczonych lelków – zaś w piskliwym ich chórze zdawała się pobrzmiewać napięta, złośliwie wyczekująca nuta.

Teraz z kolei luneta powędrowała do Earla Sawyera, który oznajmił, że trzy sylwetki stoją na najwyższym grzbiecie wzgórza, niemal na równi z kamiennym ołtarzem, lecz w znacznej odeń odległości. Jedna z postaci w równych odstępach czasu wznosiła jakby ręce nad głowę; i w chwili gdy Sawyer o tym wspomniał, wszystkim wydało się, że słyszą daleki,

melodyjny głos, jak gdyby gestom postaci na szczycie towarzyszył głośny zaśpiew. Pantomima niesamowitej sylwetki musiała stanowić spektakl nieskończenie wręcz groteskowy, wszelako żaden z obserwatorów nie był w nastroju do estetycznej kontemplacji.

– Chyba wypowiada zaklęcie – szepnął Wheeler i wyrwał Earlowi lunetę. Lelki śpiewały jak szalone, a rytm ich trelu, wyjątkowo dziwaczny, był zupełnie niezgodny z rytmem odbywającego się na wzgórzu rytuału.

Raptem, choć na niebie nie było nawet śladu chmur, jakby przygasł nieco blask słońca. Osobliwe to zjawisko nie uszło uwagi obserwatorów. Pod wzgórzami z wolna wzbierały głuche odgłosy, przedziwnie zgodne z jednoczesnym dudnieniem dochodzącym wprost z nieba. W dali błysnął piorun, na próżno jednak zdumieni wieśniacy wypatrywali na niebie oznak burzy. Rytmiczne inkantacje mężczyzn z Arkham słyszeli już wszyscy, Wheeler widział też przez lunetę, jak wespół wznoszą ramiona. W jakimś dalekim gospodarstwie szaleńczo ujadały psy.

Światło zmieniało się coraz bardziej; cała grupka jak zauroczona wpatrywała się w widnokrąg. Niebo pociemniało, barwa jego przesunęła się z błękitu w purpurę, i tym purpurowym mrokiem napierało na dudniące wzgórza. Ponownie błysnął piorun, nieco jaśniej niż poprzednio, i wszystkim się zdawało, że kamienny ołtarz na dalekim szczycie otoczyła jakby mgiełka. W tej chwili nikt wszakże nie patrzył przez lunetę. Lelki wciąż śpiewały pulsującym chórem, cała zaś atmosfera była tak naładowana nieuchwytną groźbą, że mężczyźni z Dunwich skupili się i w obronnym geście objęli mocno ramionami.

I gdy tak trwali bez ruchu, nagle, bez żadnego ostrzeżenia rozległy się dźwięki, których już nigdy nie zapomną: głębokie, schrypłe, zgrzytliwe; odgłosy, które na pewno nie dobywały się z ludzkiego narządu mowy – człowiecze gardło nie jest zdolne do takiej akustycznej perwersji. Rzec by raczej można, że dochodziły z najgłębszych czeluści – wszelako źródłem ich był bez wątpienia kamienny ołtarz na szczycie wzniesienia. Błędem wręcz jest nazywać je odgłosami – upiornie basowy, poddźwiękowy niemal tembr trącał raczej w najcieńsze membrany świadomości i trwogi, subtelniejsze niż ucho; a przecież inaczej nazwać ich nie sposób, jakkolwiek bowiem niewyraźne, na poły artykułowane, miały postać słów. Były donośne – nie cichsze niż dudnienia z wnętrza gór i odpowiadające im echem gromy – a przecież nie wydawał ich żaden widzialny byt. A ponieważ wyobraźnia podpowiada najrozmaitsze przypuszczenia na temat świata bytów niewidzialnych, ciasno zbita grupka mężczyzn u podnóża góry skupiła się jeszcze bardziej, i zasłoniła oczy, jakby oczekując ciosu.

– *Ygnaiih… ygnaiih… thflthkh’ngha… Yog-Sothoth…* – brzmiał ohydny nieziemski ryk. – *Y’bthnk… h’ehye – n’grkdl’lh…*

W tym momencie krzycząca istota nieco przycichła, jak gdyby toczyła jakąś przeraźliwą psychiczną walkę. Henry Wheeler wytężył wzrok przez lunetę, widział jednak tylko trzy groteskowe ludzkie sylwetki na szczycie wzgórza: wymachiwały rękoma w przedziwnych, wściekłych gestach, zaś ich inkantacje zbliżały się do punktu szczytowego. Z jakich czarnych Acheronów, z jakich praźródeł lęku lub czucia, z jakich niezgłębionych czeluści

pozakosmicznej świadomości lub uśpionego od prawieków dziedzictwa dobywały się te na wpół artykułowane zgłoski, ryczące na podobieństwo gromu? Wnet rozgrzmiały się na nowo, potężniej i spójniej niż wprzódy, a wzbierał w nich czysty, skrajny, ostateczny szał.

– *Eh-ya-ya-ya-yahaah – e'yayayayaaaa… ngh'aaaaa… ngh'aaaa… h'yuh… h'yuh…* POMÓŻ! POMÓŻ!… OO-OO-OO-OJCZE! OJCZE! YOG-SOTHOTH!…

Lecz to już było wszystko. Pobladli mężczyźni na drodze wciąż mieli w uszach te bezdyskusyjnie angielskie zgłoski, które niby grom spadały na nich wprost z obłędnej pustki przy strasznym kamiennym ołtarzu, lecz nie usłyszeli ich później już nigdy. Wzdrygnęli się natomiast, słysząc dźwięk kolejny: huk tak straszliwy, że zdawał się rozdzierać wzgórze, ogłuszający, apokaliptyczny łomot, którego źródła – czy pochodził z nieba, czy też z głębi ziemi – określić było niepodobna. Z purpurowego zenitu w kamienny ołtarz strzelił samotny piorun, mocarną falą runęły ze wzgórza niewidoczna siła i nieopisany odór. Drzewa, trawa, krzaki – wszystko legło pokotem, strwożeni zaś mężczyźni u stóp wzniesienia, osłabli, niemal zaczadzeni zabójczym fetorem, zachwiali się na nogach. W dali wyły psy, trawa i liście z zielonych stały się chorobliwie żółtoszare, a las i pola zasłały ciała padłych lelków.

Odór rozwiał się szybko, lecz roślinność nie odżyła już nigdy. Po dziś dzień wszystko, co rośnie wokół straszliwego wzgórza, ma w sobie coś niepokojąco bezbożnego. Curtis Whateley dopiero odzyskiwał świadomość, gdy ze wzgórza schodzili mężczyźni z Arkham – skąpani w rozbłysłych na nowo, nieskalanych już promieniach słońca. Szli wolno, w uroczystym milczeniu, wydawali się wstrząśnięci wspomnieniami i spostrzeżeniami straszliwszymi jeszcze niż te, które miejscowych wieśniaków zmieniły w kłębek przerażenia. Zasypani bezlikiem pytań potrząsnęli tylko głowami i potwierdzili jedyny fakt niezbity.

– To coś przepadło na zawsze – powiedział Armitage. – Rozpadło się na pierwiastki, z których zostało stworzone, i nikt już nie przywróci go do życia. W normalnym świecie było skandalem. Tylko w najmniejszym swym ułamku składało się ze znanej nam materii. Było podobne do swego ojca… i większa jego część doń powróciła: do jakiegoś mglistego królestwa czy wymiaru poza granicami naszego materialnego wszechświata, jakiejś mglistej otchłani, z której mogło je przywołać na te wzgórza tylko bluźnierstwo człowieka i jego przeklęte obrzędy.

W chwili ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Curtis Whateley z jękiem objął się za głowę – powoli i w bólach odzyskiwał przytomność. Biedak najwyraźniej wrócił pamięcią do chwili, gdy ją postradał, i zgroza, która pozbawiła go zmysłów, wybuchła w nim na nowo.

– O Bożeż ty mój, ta połówka twarzy – ta połówka twarzy na czubku… te czerwone oczy, te potargane albinoskie włosy, i cofnięty podbródek, wypisz wymaluj jak u Whateleyów… To była ośmiornica, stonoga, jakiś taki pająk, ale na czubku miało toto nie do końca ludzką twarz, i ta twarz wyglądała jak Czarownik Whateley, ino że była wielka jak chałupa…

Znów opadł z sił, cała grupa wieśniaków zaś wlepiała weń wzrok w zdumieniu graniczącym z przerażeniem. Tylko milczący dotąd stary Zebulon Whateley, który w zakątkach swej pamięci przechowywał wiele pradawnych

spraw, wymamrotał:

– A piętnaście lat temu nazad stary Whateley gadał… samżem słyszał… że kiedyś usłyszymy, jak dzieciak Lavinii woła ojca po imieniu na szczycie Strażniczego Wzgórza…

Wszedł mu jednak w słowo Joe Osborn, zadając uczonym kolejne pytania:

– Ale co to wogle było… i jak młodemu Czarownikowi Whateleyowi udało się to przywołać z powietrza?

Armitage starannie dobierał słowa.

– Było to… no cóż, powiedzmy, że było to coś w rodzaju siły, dla której nie ma miejsca w naszej części wszechświata; siły, która działa, rośnie i kształtuje się podług innych praw niż te obowiązujące w naszej Naturze. Trzeba wyjątkowych niegodziwców i wyjątkowo niegodziwych sekt, żeby wzywać takie istoty do naszego świata. Jakaś jej cząstka żyła w Wilburze Whateleyu – na tyle duża, że rozwinął się przedwcześnie i wyrodził w diabelskiego potwora, i odszedł w sposób tak straszliwy. Zamierzam spalić jego przeklęty dziennik, a wy najlepiej wysadźcie dynamitem ten kamienny ołtarz i wyburzcie wszystkie te kamienne kręgi na wzgórzach. To one pozwoliły Whateleyom sprowadzić tu swoje ukochane istoty; istoty, które z ich pomocą miały unicestwić ludzką rasę i zaciągnąć opustoszałą Ziemię do niedocieczonych miejsc, w niedocieczonych celach… A co do stworzenia, które właśnie odesłaliśmy z powrotem: Whateleyowie chowali je, bo przeznaczyli mu jakąś straszliwą rolę w swoich przyszłych planach. Szybko rosło w siłę z tych samych powodów, dla których szybko rósł w siłę Wilbur – przewyższyło go jednak, ponieważ więcej miało w sobie pierwiastka zewnętrznego. Nie musicie pytać, jak Wilbur przywołał je z powietrza. On go nie przywołał. To był jego brat bliźniak, tyle że bardziej podobny do ojca.

* Zaraza, co idzie w mroku (łac.) (Ps 91,6, tłum. wg Biblii Tysiąclecia).

Więcej na: www.ebook4all.pl

# Szepczący w ciemności

## I

Zważcie i zakarbujcie sobie w głowach, że na koniec nie zobaczyłem niczego przerażającego. Stwierdzając, że doszedłem do mych wniosków jedynie wskutek psychicznego wstrząsu – że to właśnie ów wstrząs sprawił tamtej nocy, iż uciekłem z odludnej farmy Akeleya i skradzionym samochodem popędziłem jak szalony przez dzikie, sklepione wzgórza Vermontu – zamykacie uszy na to, czego naprawdę wówczas doświadczyłem. Niestety, jakkolwiek prowadziłem pierwej z Henrym Akeleyem obszerną wymianę informacji i domysłów, jakkolwiek widziałem i słyszałem różne rzeczy, i to takie, które wraziły mi się w duszę do żywego, nie potrafię dowieść niezbicie słuszności mych ohydnych konkluzji. Zniknięcie Akeleya nie dowodzi wszak niczego. Jego dom gruntownie przeszukano – wszystko było w porządku, poza tym, że w środku i na zewnątrz znaleziono ślady po kulach. Mogłoby się zdawać, że gospodarz wyszedł jak zwykle na wędrówkę po wzgórzach i już z niej nie wrócił. Nic nawet nie wskazywało na to, że ktokolwiek go odwiedzał, nie było śladu po tych strasznych cylindrach ani maszynach pierwej stojących w gabinecie. Niewiele waży również to, że kraina, w której Akeley urodził się i wychował – pocięty niezliczonymi strumieniami labirynt zielonych wzgórz – budziła w nim śmiertelną trwogę; takie chorobliwe lęki trapią ogromną rzeszę ludzi. Co więcej, wiele jego dziwnych postępków i obaw, zwłaszcza u schyłku naszej znajomości, łacno można złożyć na karb zwykłego dziwactwa.

W moim życiu sprawa ta zaczęła się od historycznej, bezprzykładnej powodzi, która nawiedziła stan Vermont 3 listopada 1927 roku. Byłem wówczas – tak jak i dziś – wykładowcą literatury na Uniwersytecie Miskatonic w Arkham, w stanie Massachusetts; amatorsko, lecz z pasją, oddawałem się również studiom nad folklorem Nowej Anglii. Zaraz po powodzi szpalty gazet wypełniły się doniesieniami o udrękach i niedogodnościach, jakie dotknęły powodzian, tudzież o organizowanej dla nich pomocy; wśród nich trafiały się wszakże wzmianki o tym, jakoby z prądem pewnych wylanych rzek spływały jakieś dziwaczne obiekty. Wieści te rozeszły się wśród mych przyjaciół i stały się przedmiotem namiętnych dyskusji; wreszcie niektórzy zagadnęli i mnie, co na ten temat sądzę. Poczułem się mile połechtany, że moja folklorystyczna pasja spotyka się z takim uznaniem, toteż przyłożyłem się do zadania i uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by zbagatelizować te ciemne, szalone bajędy – wydawało mi

się aż nazbyt oczywiste, że są one pokłosiem starych wiejskich zabobonów. Szczerze się ubawiłem, gdy kilka osób, i to światłych, wyraziło głębokie przeświadczenie, że pogłoski owe mogą mieć oparcie w jakichś niejasnych, zniekształconych faktach.

Opowieści, które tym sposobem zwróciły mą uwagę, pochodziły głównie z gazet. Jedna tylko miała inne źródło – któryś z mych przyjaciół wyczytał ją w liście od matki mieszkającej w vermonckim miasteczku Hardwick. Wszystkie opisywały z grubsza to samo zjawisko, można było jednak wyróżnić trzy odrębne zdarzenia: jedno miało miejsce rzekomo na rzece Winooski w pobliżu Montpelier, drugie na West River, poniżej Newfane w hrabstwie Windham, trzecie zaś najpewniej na rzece Passumpsic w hrabstwie Caledonia, powyżej Lyndonville. Oczywiście wymieniano też wiele innych miejsc, po wnikliwej analizie okazało się jednak, że są to już opowieści wtórne, pasożytujące na którymś z trzech wariantów głównych. W każdym przypadku wieśniacy donosili, że w wezbranych wodach, spływających z nieuczęszczanych wzgórz, widzieli przedziwne, niepokojące obiekty; większość z nich kojarzyła je z pewnym kręgiem szeptanych legend, pradawnych i prymitywnych, wydobytych z zapomnienia przez najstarszych mieszkańców.

Owymi tajemniczymi obiektami, widzianymi rzekomo z brzegów rzek, były jakoby ciała istot żywych – niepodobne jednak do żadnych istot, jakie kiedykolwiek widziano w tym rejonie. Rzecz jasna, mogły to być ciała ludzkie – w tym tragicznym okresie niemało ludzkich zwłok spływało wezbranymi rzekami. Ci, którzy je opisywali, twierdzili wszakże z dziwną pewnością, że ciała te bynajmniej ludzkie nie były – przypominały ludzi jedynie wielkością i najogólniejszym pokrojem. Na pewno nie mogły to być również żadne ze znanych w Vermoncie zwierząt. Jak więc wyglądały? Otóż były to różowawe twory długości około pięciu stóp, budową ciała przypominające skorupiaki, zaopatrzone w kilka par przegubowych kończyn; na grzbiecie miały parę potężnych płetw czy błoniastych skrzydeł, tam zaś, gdzie powinna znajdować się głowa, miały tylko poskręcaną eliptyczną odroślł pokrytą mrowiem króciutkich czułków. Opisy, choć pochodziły z różnych źródeł, okazały się nad podziw zbieżne, wszelako i to można było w pewnej mierze wytłumaczyć: po całym wzgórzystym regionie krążyły wszak te same legendy – i to właśnie one, niezdrowe w swej sugestywności, mogły zapłodnić wyobraźnię wszystkich świadków. Doszedłem przeto do wniosku, że świadkowie owi – wszyscy rekrutujący się z naiwnych prostaczków zamieszkujących zapadłe leśne przysiółki – wypatrzyli po prostu w rwących falach sponiewierane, odęte trupy ludzi i zwierząt gospodarskich, a następnie popuścili wodzy fantazji i pod wpływem wydobytych z zapomnienia klechd przydali tym nieszczęsnym truchłom różne fantastyczne cechy.

Owe prastare vermonckie legendy, choć mgliste, aluzyjne i z reguły nieznane już wśród młodszego pokolenia, są doprawdy wyjątkowo osobliwe, z całą pewnością wykazują też wpływ dawniejszych jeszcze opowieści indiańskich. Jakkolwiek nigdy wcześniej nie byłem w Vermoncie, znałem je doskonale z niesłychanie rzadkiej monografii Eliego Davenporta obejmującej

przekazy ustne krążące wśród najstarszych mieszkańców stanu przed rokiem 1839. Co więcej, przekazy te były wyjątkowo zbieżne z opowieściami, które słyszałem na własne uszy z ust starych górali w New Hampshire. Mówiąc najkrócej, sugerowały one, że gdzieś wśród zapadłych wzgórz – w leśnych ostępach porastających wierzchołki najwyższych wzniesień, w mrocznych dolinach wypełnionych szmerem znikliwych potoków – żyje w najtajniejszym ukryciu rasa poczwarnych istot. Widywano je rzadko, lecz istniały na pewno – ktokolwiek zapuścił się na nieuczęszczane dotąd stoki niektórych gór bądź zabrnął w głąb przepaścistych, omijanych nawet przez wilki wąwozów, zaklinał się potem, że żyją tam naprawdę.

Na błotnistych brzegach strumieni znajdowano dziwaczne ślady stóp czy szczypiec; na jałowych wzgórzach natrafiano na kamienne kręgi z wydeptaną dookoła trawą, jakby nie do końca będące dziełem Natury. Na stokach wzniesień natrafiano też na podejrzanie głębokie jaskinie o wejściach przywalonych otoczakami w sposób dość nieprzypadkowy; drogę do nich wskazywały nieprzeciętnie gęste ciągi osobliwych tropów wiodące, jak się zdawało, w obie strony – o ile oczywiście da się to ocenić. A wreszcie, co już jest naprawdę okropne, śmiałkom, którzy zapuścili się w mroczną głąb najustronniejszych dolin bądź gęstych, strzelistych borów na wierzchołkach wzniesień, zdarzało się niekiedy widywać te stwory w cielesnej postaci.

I nie byłoby chyba wielkich powodów do niepokoju, gdyby te przypadkowe przecież opisy nie miały aż tylu elementów wspólnych. Niemal wszystkie zgadzały się w kilku najważniejszych punktach: że stwory te wyglądają jak olbrzymie jasnoczerwone kraby, mają wiele par odnóży, a pośrodku grzbietu także parę wielkich nietoperzowatych skrzydeł; że kroczą niekiedy na wszystkich odnóżach, a czasami tylko na tylnej parze, w pozostałych przenosząc duże, bliżej nieokreślone przedmioty. Raz jeden spostrzeżono je w większej liczbie: szły w równym trójkowym szyku, wyraźnie zdyscyplinowane, po dnie płytkiego leśnego strumienia. Jeden okaz udało się zauważyć w locie: poderwał się ze szczytu odludnego nagiego wzniesienia, przez chwilę trzepotał wielkimi skrzydłami na tle księżyca w pełni, po czym wtopił się w nocne niebo.

Ogólnie rzecz biorąc, stwory te nie szukały kontaktu z ludźmi. Ilekroć jednak jakiś śmiałek zniknął bez śladu, zwłaszcza jeśli pobudował się zbyt blisko pewnych dolin lub za wysoko na stokach pewnych gór – uważano, że jest to właśnie ich sprawka. Wiele okolic zaczęto uważać za miejsca, gdzie lepiej się nie osiedlać; opinie takie utrzymywały się długo, nawet gdy ich przyczyna zginęła już dawno w mrokach zapomnienia. Niektóre wzgórza, wznoszące się urwiście niczym posępne strażnice, budziły w okolicznych farmerach dreszcz grozy – nawet gdy nikt już nie pamiętał, ilu pochłonęły osadników, ile chałup spłonęło na ich niższych stokach.

O ile jednak wedle legend najwcześniejszych tajemnicze stworzenia wyrządzały krzywdę tylko tym, którzy wtargnęli na ich teren, o tyle później pojawiły się sugestie, jakoby interesowały się one ludźmi i starały się zakładać w ludzkim świecie swe tajne placówki. Pod oknami chałup znajdowano ponoć dziwne ślady szczypiec, zdarzało się też, że ktoś znikał bez śladu, mimo iż nie zbliżył się nawet do nawiedzonych okolic. Samotni

wędrowcy słyszeli niekiedy na zapadłych leśnych drogach i duktach bzyczące głosy imitujące mowę ludzką i składające im jakieś niesłychane propozycje; dzieci, którym przyszło mieszkać na samym skraju odwiecznej puszczy, widywały lub słyszały ponoć rzeczy, od jakich włos jeżył się na głowie. Wreszcie w najostatniejszych legendach – opowiadanych u schyłku istnienia całego zabobonu, gdy przeklęte miejsca omijano już szerokim łukiem – pojawiają się wstrząsające wzmianki, jakoby niektórzy pustelnicy czy mieszkający w odległych zakątkach farmerzy w pewnym momencie swego życia przechodzili odrażającą umysłową przemianę. Takich ludzi omijano później z daleka; to śmiertelnicy, którzy zaprzedali się tym dziwnym istotom – szeptano ze zgrozą. Około roku 1800 w jednym z północno-wschodnich hrabstw doszło wręcz do tego, że wszystkich nielubianych dziwaków i odludków zaczęto postrzegać jako sojuszników bądź przedstawicieli tych skrzydlatych szkaradzieństw.

Naturę owych istot wyjaśniano, rzecz jasna, rozmaicie. Zwykle mówiono o nich „tamci” bądź „przedwieczni”, jakkolwiek zdarzały się też rozmaite określenia lokalne i tymczasowe. Większość purytanów orzekła bez wahania, że są to po prostu chowańcy samego diabła, i snuła na ich temat bojaźliwe spekulacje teologiczne. Ci, co z mlekiem matki wyssali celtyckie legendy – czyli głównie szkoccy i irlandzcy imigranci z New Hampshire oraz ich krewni, którzy osiedli w Vermont dzięki nadaniom ziemskim gubernatora Wentwortha – kojarzyli je mgliście ze złośliwymi chochlikami i „ludzieńkami” w ich ojczyznach straszącymi na bagnach i w ruinach starych fortów, chronili się zaś, wyśpiewując przekazywane z pokolenia na pokolenie urywki tradycyjnych zaklęć. Najfantastyczniejsze teorie snuli jednak Indianie. Jakkolwiek podania poszczególnych plemion nieco się różniły, w najistotniejszych kwestiach były wyraźnie jednomyślne – przede wszystkim zgadzały się co do tego, że tajemnicze stwory nie pochodzą z tego świata.

Najbardziej spójne i barwne były mity plemienia Pennacook. Indianie ci wierzyli, że Skrzydlaci – tak ich bowiem nazywali – pochodzą z Wielkiej Niedźwiedzicy, na nasze ziemskie wzgórza przybyli zaś po to, by wydobywać kamień, którego nie mogli znaleźć na żadnym innym globie. Nie mieszkają na Ziemi, utrzymują tu jedynie swe placówki; ilekroć któryś z nich uzbiera odpowiedni ładunek kamienia, odlatuje z nim na północ, do swych gwiazd. Krzywdzą tylko tych ludzi, którzy zanadto się do nich zbliżą lub próbują ich wyśledzić. Zwierzęta wystrzegają się ich, lecz za sprawą czystego instynktu, nie zaś dlatego, iżby tamci je napastowali. Skrzydlaci nie jedzą ludzkiego pożywienia ani ziemskich stworzeń, przywożą sobie własny prowiant z gwiazd. Nie należy się zanadto do nich zbliżać; młodzi myśliwi, którzy zapuszczają się na ich wzgórza, czasem już nie wracają. Lepiej też nie słuchać, co szepczą nocą po lasach swymi bzyczącymi głosami podobnymi do brzęczenia pszczół i naśladującymi mowę ludzką. Znają języki wszystkich ludów – Pennacooków, Huronów, wszystkich plemion irokeskich – ale własnego języka raczej nie mają i nie potrzebują. Rozmawiają za pomocą swych głów – zmieniają ich barwę stosownie do tego, co chcą powiedzieć.

Wszystkie te opowieści – zarówno mity indiańskie, jak i legendy białych osadników – wygasły w wieku dziewiętnastym; potem ożywały tylko

sporadycznie pod wpływem atawistycznych lęków. Z czasem Vermontczycy przyjęli osiadły tryb życia, sieć dróg i osad zaczęli wytyczać w coraz bardziej planowy, przemyślany sposób, coraz słabiej pamiętając o tym, że plany te kreślą podług swoich dawnych lęków, omijając miejsca uważane wprzódy za przeklęte; ba, zapomnieli nawet o tym, że w ogóle jakichkolwiek miejsc się lękali. Większość ludzi wiedziała tylko tyle, że na niektórych wzgórzach lepiej się nie osiedlać, bo żyje się tam niezdrowo, plony są liche i ogólnie przynoszą one pecha – im dalej kto się od nich trzyma, tym lepiej mu się wiedzie. Z czasem mieszkańcy okolic uważanych za bezpieczne tak okrzepli w swych zwyczajach i codziennych interesach, że nie mieli powodu wypuszczać się poza własne zaścianki – nawiedzonych wzgórz nie omijano już przeto z rozmysłem, tylko siłą przyzwyczajenia. Pomijając sporadyczne, lokalne wybuchy zabobonnych lęków, o istotach ze wzgórz poszeptywali już tylko sędziwi staruszkowie i przesądne babki gawędziarki; nawet oni jednak przyznawali, że nie ma powodu, by się tych stworów bać – ponoć przywykły już do obecności ludzi, ludzie zaś nie zapuszczają się na ich udzielne terytorium.

Całą tę wiedzę zdobyłem już pierwej z lektur oraz ludowych opowieści zebranych w New Hampshire – toteż gdy po powodzi jęły się szerzyć dziwaczne plotki, od razu się domyśliłem, gdzie bije ich wyobraźniowe źródło. Wychodziłem ze skóry, by wytłumaczyć to mym przyjaciołom, wszelako im bardziej się starałem, tym większe ogarniało mnie rozbawienie: kilka osób uparcie odrzucało moje argumenty i doszukiwało się w tych plotkach ziarna prawdy. Starali się mnie przekonać, że bagatelizuję trwałość i jednolitość tych prastarych legend, a wyżynne obszary Vermontu są na tyle słabo zbadane, że rozumny człowiek nie powinien dogmatycznie orzekać, co może, a co nie może tam mieszkać. Okazali się też głusi na moje zapewnienia, że wszystkie te mity zbudowane są wedle dobrze znanego wzorca spotykanego w niemal wszystkich ludzkich kulturach, ich przedmiot zaś jest ułudą bardzo pospolitą, ukształtowaną podług wczesnych, prymitywnych doświadczeń wyobraźni.

Na próżno wykazywałem moim oponentom, że vermonckie mity zasadniczo niewiele się różnią od powszechnie znanych legend personifikujących Naturę – że skrzydlate stwory ze wzgórz to krewniacy starożytnych faunów, driad i satyrów, a nawet kallikantzarów z nowożytnej Grecji, pobratymcy dziwnych, małych i strasznych ras troglodytów i gnomów, których tak lękały się pogańskie ludy dawnej Walii i Irlandii. Na próżno tłumaczyłem, jak blisko im do bohaterów wierzeń wysokogórskich plemion z Nepalu – straszliwych Mi-Go, czyli Wstrętnych Ludzi Śniegu czających się ohydnie wśród skalnych wierchów i lodowców Himalajów. Gdy wytoczyłem te argumenty, rozmówcy moi obrócili je przeciwko mnie, twierdząc, że w takim razie starożytne mity muszą zawierać jądro historycznej prawdy – że musiała zatem istnieć na Ziemi jakaś przedziwna, przedludzka rasa, która z biegiem dziejów, w miarę jak człowiek rozszerzał swe władztwo, zeszła do ukrycia, jej niedobitki zaś być może uchowały się do czasów stosunkowo niedawnych – może nawet do dziś.

Im bardziej wykpiwałem teorie mych przyjaciół, tym bardziej zacięcie przy

nich obstawali. Twierdzili też, że nie trzeba nawet sięgać do legend: popowodziowe doniesienia były zbyt jasne i spójne, zbyt szczegółowe i prozaicznie sformułowane, by można je zupełnie zignorować. Dwaj czy trzej moi korespondenci bronili swego stanowiska z tak fanatycznym zapamiętaniem, że doszukiwali się nawet sensu w prastarych bajaniach Indian przypisujących tajemniczym stworom pochodzenie pozaziemskie; powoływali się przy tym na kuriozalne książki Charlesa Forta propagujące tezę, jakoby Ziemia bywała często odwiedzana przez rozmaitych kosmicznych wędrowców. Większość mych przeciwników grzeszyła jednak po prostu wybujałą, romantyczną wyobraźnią – usiłowali zaszczepić na rzeczywistym gruncie fantastyczną mitologię ukrytych „ludzieńków”, którą w swych wspaniałych opowieściach grozy spopularyzował Arthur Machen.

II

Trudno się dziwić, że w takich okolicznościach nasza zacięta dyskusja w końcu pojawiła się w druku – opublikowano ją w formie listów na łamach gazety „Arkham Advertiser”, fragmenty przedrukowała też prasa wychodząca w rejonach dotkniętych powodzią. W gazecie „Rutland Herald” ukazał się półkolumnowy zbiór wyimków z listów obu stron, „Brattleboro Reformer” zaś ogłosił w całości jeden z długich wykładów, w których zawarłem summę mych poglądów historycznych i mitograficznych na temat całej sprawy; moje sceptyczne konkluzje gazeta wsparła i uzupełniła rozważnym jak zwykle felietonem Charlesa Crane’a, czyli popularnego Pendriftera. Gdy nadeszła wiosna roku 1928, byłem już w Vermoncie znaną osobą, mimo że nigdy nie przekroczyłem granicy tego stanu. Wtedy właśnie zacząłem otrzymywać listy od Henry’ego Wentwortha Akeleya – listy, które wywarły na mnie potężne wrażenie, sprowokowały mnie do poważnych przemyśleń i sprawiły, że wybrałem się w moją pierwszą i ostatnią wyprawę do tej fascynującej lesistej krainy pełnej stromych zielonych wzgórz i szemrzących z cicha strumieni.

Niemal wszystko, co dziś wiem o Henrym Akeleyu, zawdzięczam korespondencji z jego sąsiadami oraz mieszkającym w Kalifornii jedynym synem, prowadzonej już po przygodzie, jaką przeżyłem na jego odludnej farmie. Dowiedziałem się, że w swych stronach ojczystych Henry był ostatnim przedstawicielem znakomitego rodu; wśród jego przodków byli juryści, zarządcy, wykształceni agronomowie. W jego osobie rodzina Akeleyów porzuciła jednak zajęcia praktyczne na rzecz pasji czysto akademickich – jakoż i Henry z wybornymi wynikami ukończył na Uniwersytecie Vermont studia w dziedzinie matematyki, astronomii, biologii, antropologii i folklorystyki. Jego nazwisko nigdy przedtem nie obiło mi się o uszy, on sam nie zasypywał mnie też w listach szczegółami swej autobiografii; już od pierwszych słów wiedziałem jednak, że mam do czynienia z człowiekiem wielkiego charakteru, inteligentnym i wykształconym – choć sprawiał też wrażenie nieobytego w świecie odludka.

Jakkolwiek twierdzenia Akeleya brzmiały zupełnie niewiarygodnie, od samego początku traktowałem go nierównie poważniej niż wszystkich wcześniejszych oponentów. Przede wszystkim dlatego że zjawiska, wokół których snuł tak groteskowe spekulacje, miał na wyciągnięcie ręki, widział

je i odczuwał na własnej skórze. Ponadto, co mnie doprawdy zdumiało, w swych sądach wykazywał się prawdziwie naukową rzetelnością: odsuwał na bok własne widzimisię, nigdy nie opuszczał twardego gruntu faktów, a we wnioskach był trzeźwy i ostrożny. Oczywiście zrazu uznałem, że jest w błędzie, ale musiałem przyznać, że błądzi inteligentnie; ani przez chwilę nie postało mi w głowie, aby – jak czynili to niektórzy jego znajomi – poglądy Akeleya i dręczący go lęk przed odludnymi zielonymi wzgórzami składać na karb szaleństwa. Nie miałem wątpliwości, że jest to człowiek niepospolity, a wszystko, o czym donosi mi w listach, wynika z okoliczności intrygujących, zasługujących na bliższe zbadanie – choćby nawet, na przekór jego mniemaniu, nie było w nich zgoła nic fantastycznego. Nieco później Akeley przysłał mi pewne dowody materialne, które rzuciły na całą sprawę nowe, dziwaczne i niesamowite światło.

Najlepiej będzie, jeśli przedstawię tu w całości – w tej mierze oczywiście, w jakiej jest to możliwe – treść pierwszego listu, jaki odeń otrzymałem – długiego listu, który stał się kamieniem milowym w mej biografii intelektualnej. Listu tego nie mam już w swym posiadaniu, lecz zachowałem w pamięci niemal każde słowo – i raz jeszcze zapewniam, że człowiek, który wystosował do mnie to złowróżbne ostrzeżenie, z całą pewnością był zdrów na umyśle. Oto i ono – tak jak odcyfrowałem je wówczas z krętej, archaicznej bazgraniny świadczącej niezbicie, że jej autor wiedzie życie pustelne, wśród uczonych ksiąg, z dala od spraw tego świata.

Rej. Poczt. nr 2
Townshend, hr. Windham,
Vermont.
5 maja 1928 r.

J.W. Pan Albert N. Wilmarth
Saltonstall St. 118
Arkham, Mass.

Szanowny, drogi Panie,

Z niekłamanym zainteresowaniem przeczytałem w „Brattleboro Reformer” (w nrze z 23 kwietnia) przedruk Pańskiego listu, w którym ustosunkowałeś się Pan do niedawnych pogłosek, jakoby po zeszłojesiennych powodziach widywano w naszych wezbranych rzekach jakoweś ciała, oraz do osobliwie z nimi zgodnych ludowych podań. Rozumie się samo przez się, że ktoś nietutejszy, taki jak Pan, musi zająć właśnie takie stanowisko, nie dziwię się nawet, że i Pendrifter wziął Pańską stronę. Jest to pogląd ogólnie wyznawany przez ludzi wykształconych, zarówno tu, u nas, jak i poza Vermontem; nie inny pogląd wyznawałem też i ja w latach młodzieńczych (dziś mam już lat 57) – zanim powziąłem stosowne studia, przeczytałem książkę Davenporta i wreszcie postanowiłem zgłębić nieczęsto odwiedzane zakątki okolicznych wzgórz.

Do studiów tych skłoniły mnie dziwne, stare bajdy, które zdarzało mi się słyszeć od okolicznych chłopów, zwłaszcza tych starszych i mniej wykształconych; lepiej bym jednak uczynił, nie zawracając sobie nimi

głowy. Nie siląc się na fałszywą skromność, ośmielę się stwierdzić, że w antropologii i badaniach nad folklorem bynajmniej nie jestem nowicjuszem. Sporo naczytałem się na ten temat na uniwersytecie, znam dobrze co ważniejsze dzieła: Tylora, Lubbocka, Frazera, Quatrefagesa, Osborna, Keitha, Boule'a, G. Elliota Smitha, panny Murray i innych. Wiem doskonale, że opowieści o ukrytych rasach są tak stare jak sama ludzkość. Czytałem w „Rutland Herald" przedruki listów Pana oraz Pańskich adwersarzy – i zdaje mi się, że rozumiem Pańskie stanowisko w tym sporze.

Obawiam się jednak, i pragnę to podkreślić z całą mocą, że bliżsi prawdy są Pańscy oponenci – jakkolwiek wszelkie rozsądne argumenty wydają się przemawiać za Panem. Powiem nawet, że są bliżsi prawdy, niż im się wydaje – albowiem wyrozumieli sobie wszystko teoretycznie, nie mogą wiedzieć tego, co wiem ja. Gdyby moja wiedza na temat całej sprawy była równie ograniczona, nie mógłbym z czystym sumieniem opowiedzieć się po ich stronie. Wręcz przeciwnie – murem stanąłbym za Panem.

Jak mogłeś się Pan już zorientować, nie jest mi łatwo dojść do sedna, pewnie dlatego że na samą myśl o owym sednie przejmuje mnie trwoga. Nie owijając zbytnio w bawełnę, powiem tyle: mam dowód na to, że na wierzchołkach wysokich wzgórz, w lasach, do których nikt się nie zapuszcza, naprawdę mieszkają szkaradne monstra. Nie widziałem tych stworów ponoć spływających w rzekach, ale widziałem stwory do nich podobne – w okolicznościach, o których wzdragam się pisać. Widziałem ich ślady, ostatnio nawet tak blisko mego domu (mieszkam w starej rodzinnej rezydencji na zboczu Mrocznej Góry, na południe od wioski Townshend), że aż drżę na samo wspomnienie; w lesie zdarzało mi się zaś słyszeć głosy, których nawet nie będę próbował opisać.

W pewnym miejscu słychać je było tak wyraźnie, że aż wybrałem się tam z fonografem zaopatrzonym w tubę do nagrywania i czysty woskowy cylinder. Postaram się udostępnić Panu nagranie, które wtedy zrobiłem. Odtwarzałem je potem niektórym staruszkom z tutejszych wioszczyn i muszę przyznać, że jeden z głosów przeraził ich nie na żarty – brzmiał zupełnie tak samo jak pewien głos, jaki zapamiętały i naśladowały ich babki (owo leśne bzyczenie, o którym wspomina Davenport). Wiem, co zwykło się myśleć o ludziach twierdzących, że „słyszą głosy", bardzo jednak proszę: zanim wyciągniesz Pan własne wnioski, posłuchaj Pan tego nagrania i zapytaj paru miejscowych staruszków, co o nim sądzą. Jeśli potrafisz Pan jakoś normalnie je wyjaśnić – proszę bardzo, ale ja Panu mówię: coś w tym musi być. Sam Pan dobrze wiesz: ex nihilo nihil fit*.

Otóż więc piszę do Pana nie po to, by się z Panem spierać, lecz po to, by udzielić Panu pewnych informacji, które – jak mniemam – komuś o takich zainteresowaniach wydadzą się wielce intrygujące. Piszę to jednak prywatnie. W publicznej dyskusji stanąłbym po Pańskiej stronie, bo zdążyłem już się przekonać, że o tych sprawach lepiej jest za wiele nie wiedzieć. Moje obecne dociekania są już zgoła prywatne, nie mam

zamiaru mówić nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę ciekawskich i skłonić ich do zapuszczania się tam, gdzie ja się zapuszczałem. Albowiem prawda jest taka – i jest to prawda straszliwa – że te obce stwory nie spuszczają nas z oka, do zasięgania informacji zaś na nasz temat wysługują się szpiegami. Wiele poszlak w tej sprawie uzyskałem właśnie od jednego z takich nędzników – jeśli był zdrów na umyśle (a sądzę, że był), to z pewnością szpiegował na ich rzecz. Nędznik ów palnął sobie potem w łeb, mam jednak powód, by sądzić, że ma już następców.

Stwory te pochodzą z innej planety – umieją przemierzać przestrzeń kosmiczną na swych potężnych, niezgrabnych skrzydłach; skrzydła te sprawdzają się w międzygwiezdnym eterze, lecz nie nadają się do precyzyjnych lotów w ziemskiej atmosferze. Jeśli nie uznałeś mnie Pan jeszcze za wariata, w kolejnych listach opiszę to Panu dokładniej. Przybyły na Ziemię wydobywać metale – ryją sztolnie głęboko we wnętrzu wzgórz i chyba wiem, skąd pochodzą. Jeśli nie będziemy wchodzić im w drogę, nie zrobią nam krzywdy, któż jednak wie, co się stanie, jeśli okażemy się zbyt wścibscy? Oczywiście gdyby skrzyknąć porządny zastęp ludzi, dałoby się rozbić tę ich górniczą kolonię w drobny mak – i tego się obawiają. Lecz gdyby się tak stało, stamtąd przybyłyby kolejne – i byłyby nieprzeliczone. Już teraz mogłyby podbić Ziemię bez trudu, nie czynią tego tylko dlatego, że nie muszą; wolą się nie ujawniać, by nie przysparzać sobie fatygi.

Jeśli chodzi o mnie – sądzę, że chcą się mnie pozbyć, ponieważ wiedzą, co odkryłem. Na Krągłym Wzgórzu, na wschód od mego domu, znalazłem w lesie wielki czarny kamień pokryty nieznanymi, na poły zatartymi hieroglifami. Zabrałem go ze sobą – i od tamtej pory wszystko się zmieniło. Jeśli stwierdzą, że domyślam się na ich temat zbyt wiele, zabiją mnie albo porwą tam, skąd pochodzą. Co pewien czas zabierają ze sobą wykształconych ludzi, żeby wiedzieć, jak stoją sprawy w ludzkim świecie.

I tu odkryję drugi powód, dla którego pozwoliłem sobie do Pana napisać – chciałbym mianowicie, byś miast nadawać swej dyskusji jeszcze większy rozgłos, zechciał ją Pan raczej wyciszyć. Nie wolno dopuścić, by ktokolwiek zbliżał się do tych wzgórz – aby zaś to osiągnąć, nie należy więcej rozniecać ludzkiej ciekawości. Bóg mi świadkiem, że i tak już niedobrze się dzieje: po całym Vermoncie rozpanoszyli się rozmaici agenci i sprzedawcy nieruchomości, a za nimi hordy letników – zadeptują dzikie zakątki i zaśmiecają wzgórza tanimi bungalowami.

Rad bym pozostać w kontakcie z Panem; jeśli Pan zechcesz, postaram się posłać Panu ekspresową pocztą ów zapis fonograficzny oraz czarny kamień (hieroglify są tak zatarte, że na fotografiach niewiele widać). Mówię „postaram się”, albowiem sądzę, że te stwory mają swe sposoby, by udaremnić podobne działania. Na farmie nieopodal wioski mieszka ponury, skryty osobnik o nazwisku Brown – myślę, że to ich szpieg. Krok po kroku próbują odciąć mnie od naszego

świata, ponieważ za dużo już wiem o ich świecie.

To doprawdy niesamowite, jak szybko dowiadują się o wszystkich mych poczynaniach. Być może nawet nie dotrze do Pana niniejszy list. Jeśli sprawy pójdą jeszcze gorzej, w końcu chyba opuszczę te strony i wyjadę do Kalifornii, zamieszkam z synem w San Diego – domyślasz się Pan jednak zapewne, że niełatwo byłoby mi porzucić miejsce, w którym się urodziłem, w którym wychowało się już sześć pokoleń Akeleyów. Zresztą nie śmiałbym chyba sprzedać nikomu mego domu, wiedząc, że tamci mają już nań baczenie. Mam wrażenie, że próbują odzyskać czarny kamień i zniszczyć nagranie – ale uczynię wszystko, by im to udaremnić. Do tej pory zawsze bali się moich wielkich policyjnych wilczurów – na razie jest ich tu niewielu, przenoszenie się z miejsca na miejsce sprawia im jeszcze pewien kłopot. Wspominałem już, że ich skrzydła nieszczególnie się nadają do krótkich, ziemskich lotów. Jestem już o krok od rozszyfrowania napisów na kamieniu – a są to napisy straszliwe; gdybyś zaś zechciał Pan wspomóc mnie w tym zadaniu swą wiedzą folklorystyczną, może dałoby się rozjaśnić parę wątpliwości. Jak sądzę, znasz Pan doskonale zatrważające mity sięgające czasów sprzed zarania ludzkiej rasy, wszystkie te cykle o Yog-Sothothu i Cthulhu – są o nich wzmianki w Necronomiconie. Miałem kiedyś możność zajrzeć do tej księgi, słyszałem też, że trzymacie ją u siebie pod kluczem w uczelnianej bibliotece.

Sądzę zatem, szanowny panie Wilmarth, że możemy wspomóc się nawzajem swą wiedzą. Nie chcę jednakowoż, aby spotkało Pana co złego, powinienem tedy ostrzec Pana, że posiadanie rzeczonego kamienia i nagrania może być niebezpieczne. Wszelako ufam, że pragnienie wiedzy zwycięży i uznasz Pan, iż rzecz godna jest wszelkiego ryzyka. Jeśli Pan się zdecydujesz, pojadę do Newfane lub Brattleboro i wyślę Panu wspomniane przedmioty – ekspresowa poczta godniejsza jest zaufania. Muszę dodać, że mieszkam sam jak palec, nie jestem już w stanie nająć nikogo do pomocy – nikt nie wytrzymałby u mnie nawet jednej nocy, słysząc, że te stwory podchodzą pod mój dom, a psy ujadają jak szalone. Dobrze, że nie zabrnąłem w tę sprawę wówczas, gdy żyła jeszcze moja żona – pewnikiem postradałaby zmysły.

Mam nadzieję, że nie kłopoczę Pana zbytnio i że list mój zachęci Pana do kontaktu, a nie wyląduje w Pańskim koszu jako bredzenie wariata –

Najserdeczniej oddany
HENRY W. AKELEY

PS Wywołuję właśnie dodatkowe odbitki kilku moich fotografii – myślę, że dzięki nim łacniej uwierzysz Pan w wiele opisanych tu spraw. Moi sędziwi sąsiedzi twierdzą, że są potwornie autentyczne. Jeśli będziesz Pan zainteresowany, wyślę je Panu jak najszybciej.

H.W.A.

Nie zdołałbym chyba opisać uczuć, jakich doświadczyłem, czytając po raz

pierwszy ten przedziwny dokument. Rozsądek podpowiadał, że powinienem zbyć te fantazje śmiechem jeszcze bardziej gromkim niż ów, którym wybuchałem, czytając nierównie wszak ostrożniejsze teorie mych znajomych – a przecież jednak w tonie tego listu było coś, co paradoksalnie kazało mi traktować go z powagą. Nie żebym choć przez chwilę wierzył w istnienie ukrytych istot z gwiazd, o których pisał mój korespondent – wyzbywszy się jednak paru poważnych wątpliwości, jakie nawiedziły mnie zrazu w trakcie lektury, nabrałem dziwnej pewności, że człowiek ten jest zdrów na umyśle i ma uczciwe zamiary. Uznałem, że zetknął się po prostu z jakąś osobliwą, lecz najzupełniej zwyczajną anomalią, i nie umie wyjaśnić jej inaczej aniżeli za pomocą wytworów swej wyobraźni. Mylił się, to oczywiste – lecz z drugiej strony cała sprawa była tym bardziej godna zbadania. Akeley był z pewnością ponad miarę rozgorączkowany i przelękły, nie sposób było jednak odmówić mu pewnych racji: wyrażał się precyzyjnie i na swój sposób logicznie, a przede wszystkim jego historyjka w zdumiewający sposób potwierdzała niektóre stare mity – nawet najbardziej obłąkane legendy Indian.

Nie można było na przykład wykluczyć, że Akeley naprawdę słyszał na wzgórzach niepokojące głosy, niezależnie od tego, jak wariacko je zinterpretował; zresztą interpretację tę mógł podsunąć mu ów człowiek, co twierdził, że jest szpiegiem pozaziemskich istot, a później popełnił samobójstwo. Wszystko wskazywało na to, że był po prostu kompletnie szalony, być może jednak zdołał nadać swym rojeniom jakąś perwersyjną, pozorną logikę, która sprawiła, że Akeley – człowiek naiwny, a przy tym urobiony już odpowiednio przez swe folklorystyczne dociekania – dał mu wiarę. Co się tyczyło wypadków najnowszych – niemożność najęcia gosposi zdawała się świadczyć o tym, że ciemni, zabobonni sąsiedzi podzielają przeświadczenie Akeleya, jakoby jego dom był nocą oblegany przez niesamowite stwory. A psy naprawdę mogły szczekać.

Kwestia następna: nagranie z fonografu. Oczywiście nie wątpiłem, że Akeley naprawdę zdobył je tak, jak to opisywał. Coś rzeczywiście musiało w tym być. Może jakieś zwierzęta wydawały odgłosy łudząco podobne do ludzkiej mowy? A może był to głos ludzki – bełkot jakiegoś nocnego włóczęgi, tak zdegenerowanego, że już niemal zezwierzęconego? Potem pomyślałem o czarnym, rżniętym w hieroglify kamieniu oraz domysłach na temat ich znaczenia. A co z fotografiami, które Akeley miał mi jakoby przysłać, a które starzy wieśniacy uznali za straszliwie przekonujące?

Gdy przebrnąłem przez bazgraninę Akeleya po raz wtóry, nabrałem nietowarzyszącej mi pierwej pewności, że moi bezkrytyczni oponenci mają jednak więcej racji, niż sądziłem. Niepodobna było zresztą wykluczyć, że na tych ustronnych wzgórzach gnieździ się grupa podejrzanych wyrzutków, być może nawet dziedzicznie zdeformowanych – nawet jeśli nie były to, jak twierdzą ludowe podania, poczwary z gwiazd. A skoro tak, to przecież w wylanych rzekach istotnie mogły spływać dziwne ciała. Czyż nie można było z czystym sumieniem założyć, że zarówno stare legendy, jak i ostatnie doniesienia mają w sobie choćby ziarno prawdy? Takie oto nachodziły mnie podówczas wątpliwości; niemniej było mi trochę wstyd, że sprowokowały

mnie do nich cudaczne i fantastyczne bajędy Henry'ego Akeleya.

W końcu odpisałem Akeleyowi, przyjmując ton życzliwego zainteresowania i prosząc o dalsze szczegóły. Odpowiedź nadeszła tak szybko, że musiał ją chyba wysłać od razu odwrotną pocztą. Zgodnie z obietnicą dołączone były do niej zdjęcia opisywanych miejsc i przedmiotów. Gdy wyciągnąłem je z koperty i zacząłem oglądać, ogarnęła mnie osobliwa trwoga, jak gdyby otwierał się przede mną świat rzeczy niepojętych i zakazanych; jakkolwiek bowiem w większości były niezbyt wyraźne, miały w sobie jakąś przeklętą, potężną sugestywność – tym większą, że z całą pewnością przedstawiały autentyki. Nie miałem wątpliwości, że widoczne na nich przedmioty istnieją naprawdę, że odbitki te są wytworem bezosobowego procesu przetwarzania obrazu, wolnego od uprzedzeń, omyłek i fałszów.

Im dłużej im się przyglądałem, tym większej nabierałem pewności, że postąpiłem słusznie, nie lekceważąc Akeleya i jego opowieści. Miałem przed sobą niezbity dowód na to, że na wzgórzach Vermontu dzieje się coś, co przynajmniej w części – ogromnej części – nie mieści się w granicach naszej wiedzy i naszych przekonań. Najokropniejsze wrażenie robił ślad stopy – sfotografowany w pełnym słońcu, odciśnięty w kałuży błota gdzieś na opuszczonej wysoczyźnie. Od razu widziałem, że nie jest to tania mistyfikacja – wszystko, co zmieściło się w kadrze, każdy kamyk i źdźbło trawy, było zupełnie ostre, dawało dobre pojęcie o wielkości głównego obiektu i wykluczało możliwość triku z podwójnym naświetleniem. Powiedziałem „ślad stopy", lepszym określeniem byłby chyba jednak „ślad szczypiec". Nawet dziś trudno mi go opisać, poza tym, że budził ohydne skojarzenia ze szczypcami kraba i że nie dało się z zupełną jasnością określić, gdzie ma przód, a gdzie tył. Odcisk nie był ani zbyt głęboki, ani świeży, sądzę jednak, że dorównywał wielkością średniej ludzkiej stopie. Pośrodku odciśnięta była poduszka, a od niej w obie strony odchodziło po parze zębatych szczypiec, których przeznaczenia trudno było się domyślić – o ile oczywiście cała kończyna służyła wyłącznie jako narząd ruchu.

Kolejne zdjęcie – wykonane w głębokim cieniu, najwyraźniej z długim naświetlaniem – przedstawiało gardziel leśnej pieczary zatkaną idealnie okrągłym otoczakiem. Na gołej ziemi przed głazem można było zauważyć gęstą sieć osobliwych tropów, gdy zaś przyjrzałem im się przez lupę, nabrałem niepokojącej pewności, że są to te same tropy co na zdjęciu pierwszym. Na fotografii trzeciej widniał jakby kromlech z pionowych głazów umiejscowiony na szczycie dzikiego wzgórza. Trawa wokół tajemniczego kręgu była mocno zadeptana, ale nie mogłem dopatrzyć się w niej żadnych śladów, nawet przez lupę. Miejsce wyglądało na wyjątkowo zapadłe – w tle aż po omglony horyzont ciągnęło się istne morze niezamieszkanych gór.

O ile spośród wszystkich obiektów na zdjęciach najbardziej zaniepokoił mnie ślad odciśnięty w błocie, o tyle największego ćwieka zabił mi ów czarny kamień znaleziony w lesie na Krągłym Wzgórzu. Akeley sfotografował go na stole, najpewniej w swym gabinecie – świadczyły o tym widoczne w tle rzędy książek i popiersie Miltona. O ile można było się zorientować, kamień stał pionowo, obrócony wprost do obiektywu rzeźbioną

nieregularnie powierzchnią, mierzył zaś dwie stopy wysokości i stopę szerokości. Nie ma chyba jednak ludzkiego języka, w którym dałoby się go opisać – i ową powierzchnię, i ogólny kształt. Jakież nieziemskie zasady geometrii kierowały ręką, która wycięła tę bryłę – albowiem niewątpliwie był to wytwór rozmyślnej obróbki – nawet nie próbowałem się domyślać; mogę tylko powiedzieć, że nigdy przedtem nie widziałem niczego, co wydałoby mi się równie dziwne, obce i nie z tego świata. Większość hieroglifów była dla mnie nieczytelna, wszelako jeden lub dwa udało mi się odcyfrować – i przeżyłem wstrząs. Oczywiście mogłem mieć do czynienia ze zwykłym szalbierstwem, wszak nie tylko ja czytałem potworny, wstrętny *Necronomicon* szalonego Araba Abdula Alhazreda; niemniej gdy odczytałem te najwyraźniejsze ideogramy, przeszedł mnie dreszcz prawdziwej trwogi – dzięki mym studiom wiedziałem bowiem dobrze, że zaklęte są w nich bluźniercze, mrożące krew w żyłach sugestie na temat pewnych bytów, które istniały jeszcze przed zaraniem Ziemi i innych światów Układu Słonecznego.

Spośród pięciu pozostałych fotografii na trzech widoczne były różne miejsca na moczarach i wzgórzach noszące ślady jakiejś ukrytej, niezdrowej obecności. Kolejna przedstawiała podejrzany ślad na ziemi tuż obok domu Akeleya – Akeley wyjaśniał, że wykonał ją rankiem po niespokojnej nocy, gdy wyjątkowo zajadle szczekały psy. Zdjęcie było bardzo niewyraźne, nie sposób więc było wywnioskować z niego nic pewnego; tak czy owak sprawiało równie upiorne wrażenie jak zdjęcie śladu znalezionego na opuszczonych wzgórzach. Na ostatniej fotografii widniała już posiadłość Akeleya: jednopiętrowy dom z poddaszem, biały i schludny, na oko liczący sobie jakieś sto dwadzieścia lat, a przed domem zadbany trawnik i wytyczona kamieniami ścieżka wiodąca do gustownie rzeźbionych georgiańskich drzwi. Na trawniku leżało kilka potężnych policyjnych wilczurów, a obok nich stał sympatyczny mężczyzna z siwą, krótko przystrzyżoną brodą. Jak mniemałem, był to sam Akeley, a ponieważ w prawej dłoni trzymał gruszkę samowyzwalacza – zarazem autor zdjęcia.

Obejrzawszy fotografie, zajrzałem do sążnistego, napisanego drobnym maczkiem listu – i przez następne trzy godziny grążyłem się w czeluściach niewysłowionej zgrozy. O ile wcześniej Akeley przedstawił całą sprawę jedynie w zarysach, o tyle tutaj rozwodził się o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach: przedstawił długie zapisy podsłuchanych nocą w lesie rozmów, drobiazgowo opisywał poczwarne różowawe sylwetki, jakie o zmroku udało mu się podpatrzyć w zaroślach na wzgórzach, a wreszcie zaprezentował straszliwy, kosmiczny wywód, w którym za pomocą swej głębokiej i bogatej wiedzy zinterpretował wymysły snute ongiś w nieskończoność przez samozwańczego, obłąkanego szpiega samobójcę. Zasypał mnie pojęciami, imionami i nazwami, które słyszałem już pierwej w najwstrętniejszych powiązaniach: Yuggoth, Wielki Cthulhu, Tsathoggua, Yog-Sothoth, R’lyeh, Nyarlathotep, Azathoth, Hastur, Yian, Leng, Jezioro Hali, Bethmoora, Żółty Znak, L’mur-Kathulos, Bran, Magnum Innominandum… Czułem, jak te tajemne zaklęcia wciągają mnie w otchłań prawieków i niepojętych wymiarów, ku światom władanym przez istotę najpierwszą, zewnętrzną, o której oszalały autor *Necronomiconu* domniemywał jedynie w najbardziej

mglistych aluzjach. Czytałem o czeluściach, gdzie lęgną się pierwotne formy życia, o tym, jak potem biją one z tych czeluści rwącymi strumieniami – a wreszcie i o pewnym maleńkim strumyczku, z którym splótł się przyszły los naszego świata.

Czułem, że kręci mi się w głowie; o ile po pierwszym liście starałem się wszystko sobie odtłumaczyć, o tyle tym razem zaczynałem już wierzyć w najbardziej niewiarygodne, monstrualne cuda. Obfitość argumentów i dowodów, jakimi zasypał mnie Akeley, była przytłaczająca, wręcz piekielna; jego chłodne, naukowe podejście do sprawy – podejście, w którym niepodobna było doszukać się krzty szaleństwa, fanatyzmu, histerii czy choćby wydziwionych spekulacji – wywarło potężny wpływ na mą zdolność wnioskowania i władzę sądzenia. Chowając z powrotem do koperty ten przerażający list, rozumiałem już doskonale, z jaką trwogą musiał się zmagać ten człowiek – i byłem gotów uczynić wszystko, co w mej mocy, by odstręczyć ludzi od tych dzikich, nawiedzonych wzgórz. Nawet dziś, choć z czasem zatarło się już we mnie tamto pierwsze wrażenie, a nawet zaczynam powątpiewać, czy naprawdę to wszystko przeżyłem i czy słuszne były moje straszliwe domysły, nie ośmieliłbym się zacytować tego listu w całości – ani nawet streścić. Może to i dobrze, że wszystko przepadło: ów list, nagranie, fotografie. Żałuję natomiast – z powodów, które przedstawię wkrótce – że w Układzie Słonecznym odkryto niedawno nową planetę, dalszą jeszcze niż Neptun.

Z chwilą otrzymania tego listu definitywnie zakończył się mój udział w publicznej dyskusji o vermonckich okropnościach. Argumenty mych adwersarzy pozostawiłem bez odpowiedzi lub zbyłem ogólnikami; wreszcie cały spór wygasł i popadł w zapomnienie. Pod koniec maja i przez cały czerwiec prowadziłem z Akeleyem intensywną korespondencję; niestety bywało, że listy ginęły, toteż niekiedy musieliśmy wracać do poruszonych już spraw i żmudnie odtwarzać to, cośmy już napisali. Ogólnie rzecz biorąc, staraliśmy się połączyć naszą wiedzę z mrocznej dziedziny mitografii i ustalić dokładnie, jakie związki łączą zgrozę z Vermontu z korpusem prymitywnych legend z całego świata.

Przede wszystkim rychło doszliśmy do wniosku, że te spaczone truchła w wylanych rzekach należą do tego samego porządku co Mi-Go, ów wcielony koszmar z Himalajów. Istniały też zastanawiające zbieżności zoologiczne; o ich wyjaśnienie poprosiłem profesora Dextera z mego uniwersytetu – mimo wyraźnego żądania Akeleya, by zachować całą sprawę między nami. Pisząc te słowa, sprzeniewierzam się temu żądaniu, lecz czynię to przekonany, że w tym momencie lepiej przysłużę się bezpieczeństwu publicznemu, ostrzegając wszystkich otwarcie przed vermonckimi wzgórzami, aniżeli milcząc jak grób. Najgłówniejszym celem naszych dociekań było odszyfrowanie hieroglifów na niesławnym czarnym kamieniu – gdyby udało nam się tego dokonać, być może dostąpilibyśmy tajemnic głębszych i bardziej oszałamiających niż wszystko, co dotychczas znał człowiek.

## III

Pod koniec czerwca otrzymałem przesyłkę z walcem fonograficznym. Akeley wysłał ją z Brattleboro, nie ufając mniejszym stacjom pocztowym na północ od miasta. Nękało go coraz dotkliwsze poczucie osaczenia, potęgowane zaginięciem niektórych naszych listów; Akeley rozwodził się o niecnych postępkach osób będących w jego mniemaniu agentami i pomocnikami ukrytych istot. Najbardziej podejrzewał niejakiego Waltera Browna, gburowatego farmera mieszkającego samotnie w rozklekotanej chałupie na wzgórzu nieopodal gęstych lasów. Akeley widywał go często, jak włóczy się bez wyraźnego celu i sensu po okolicznych miejscowościach – Brattleboro, Bellows Fall, Newfane, South Londonderry – i był głęboko przekonany, że wychwycił jego głos w podsłuchanej niegdyś straszliwej rozmowie. Pewnego razu znalazł też w pobliżu domu Browna odcisk szczypcowatej stopy; mógł to być fakt o prawdziwie złowieszczym znaczeniu, albowiem tuż obok rzeczonego śladu znajdowały się odciski stóp samego Browna – skierowane właśnie w jego stronę.

Przesyłka przyszła zatem z Brattleboro. Żeby tam dotrzeć, Akeley musiał przebrnąć swym fordem przez zapadłe vermonckie drożyny; w załączonym liście zwierzał się, że zaczyna się bać tych ustronnych dróg i nawet po zakupy do Townshend jeździ już tylko w biały dzień. Wciąż powtarzał, że niedobrze jest wiedzieć za dużo, jeśli mieszka się w pobliżu tych podejrzanych cichych wzgórz, i że już wkrótce zamierza przeprowadzić się do Kalifornii, do syna – jakkolwiek niełatwo mu będzie opuścić miejsce tętniące od wspomnień i rodzinnych uczuć.

Pożyczyłem fonograf z uczelnianej kancelarii, nim jednak odtworzyłem nagranie, dokładnie przeczytałem w listach Akeleya, w jakich okolicznościach je zarejestrował. Zdarzyło się to mianowicie 1 maja 1915 roku, około pierwszej po północy, w pobliżu wejścia do jaskini – tam gdzie z bagien wynurza się zachodni, lesisty stok Mrocznej Góry. Miejsce to już od lat nawiedzały dziwaczne głosy, dlatego właśnie tam zaczaił się z fonografem, tubą i czystym walcem do nagrywania. Nieprzypadkowo wybrał również datę: podług tajemnych europejskich legend noc z 30 kwietnia na 1 maja jest tradycyjną nocą sabatów, toteż Akeley uznał, że może wówczas spodziewać się wyjątkowych rezultatów. I nie pomylił się – ale, rzecz ciekawa, później już nigdy nic tam nie usłyszał.

W przeciwieństwie do większości poszeptywań, jakie można usłyszeć w lasach, treść nagrania brzmiała trochę jak rytualny obrzęd – jeden z jego uczestników był zaś ewidentnie człowiekiem, aczkolwiek Akeley nigdy nie zdołał ustalić jego tożsamości. Na pewno nie był to Brown – głos brzmiał nazbyt kulturalnie. Wszelako kluczowe znaczenie i tak miał głos drugi; było to mianowicie owo przeklęte bzyczenie niemające w sobie zgoła nic ludzkiego – jakkolwiek przecież wymawiało ludzkie słowa, i to poprawną angielszczyzną, z uczoną intonacją.

Fonograf Akeleya działał niestety dość kapryśnie, wielką niedogodnością było też to, że cały rytuał został podsłuchany ze znacznego oddalenia – głosy były więc przytłumione, a całe nagranie bardzo fragmentaryczne. Akeley już wcześniej przysłał mi jego zapis, toteż przygotowując się do odsłuchu, przejrzałem go sobie raz jeszcze. Tekst nie zawierał jawnie przerażających

treści, biła zeń raczej aura mrocznej tajemniczości – jakkolwiek jeśli znało się okoliczności jego powstania, w każdym słowie aż nadto wyraźnie wyczuwało się podskórną grozę. Przedstawiam go tu w całości, tak jak go zapamiętałem; jestem bowiem najzupełniej pewien, że pamiętam go słowo w słowo – nie tylko z lektury jego zapisu, ale też z nieustannego odsłuchiwania samego nagrania. Nie jest to coś, o czym dałoby się szybko zapomnieć!

(NIEROZPOZNAWALNE DŹWIĘKI)
(KULTURALNY MĘSKI GŁOS)

... jest Panem Borów, nawet dla... oraz dary ludzi z Leng... od krynic nocy po otchłanne przestworza, od otchłannych przestworzy po krynice nocy niechaj więc cieszy się wiekuistą chwałą Wielki Cthulhu, Tsathoggua oraz Ten, Którego Imienia Się Nie Wymawia. Niechaj im będzie wiekuista chwała, a Czarna Koza z Borów niech opływa w dostatek. Iä! Shub-Niggurath! Koza z Tysiącem Młodych!

(BZYCZENIE NAŚLADUJĄCE GŁOS LUDZKI)

Iä! Shub-Niggurath! Czarna Koza z Borów z Tysiącem Młodych!

(GŁOS LUDZKI)

I stało się, że Pan Borów, będąc... siedem i dziewięć, w dół po onyksowych stopniach... (od)daje hołd Temu, Co Mieszka w Otchłani, o którym prawiłeś nam cu(da), a którego imię jest Azathoth... na skrzydłach nocy poza najdalsze przestworza, dalej niż... tam, gdzie Yuggoth, dziecię najmłodsze, toczy się samotnie w czarnym eterze, na skraju...

(GŁOS BZYCZĄCY)

... idźcie między ludzi, a znajdźcie do nich drogę, wskazać ją może zaś Ten, Co Mieszka w Otchłani. Nyarlathotep, Potężny Posłaniec, o wszystkim dowiedzieć się musi. Tedy oblecze się On w pozór człowieka, maskę woskową i suknię złudliwą, i zstąpi ze świata Siedmiu Słońc, i będzie mamić...

(GŁOS LUDZKI)

... (Nyarl)athotep, Potężny Posłaniec, który niesie przez próżnię dziwną radość na Yuggoth, Ojciec Miliona Umiłowanych, Tropiciel pośród...

(NAGRANIE URYWA SIĘ NAGLE)

Takich oto słów oczekiwałem, włączając fonograf. Niechętnie zabierałem się do tego zadania. Gdy wcisnąłem dźwignię i szafirowa igła poczęła skrobać po powierzchni walca, uczułem tchnienie najprawdziwszej zgrozy; byłem więc rad, że pierwsze, niewyraźne słowa wypowiada głos ludzki: głos człowieka łagodnego i wykształconego, sądząc po akcencie jakby bostończyka, a już na pewno nie wieśniaka z vermonckich wzgórz. Wytężyłem słuch, by zrozumieć, co mówi, i istotnie, zdawało mi się, że odnajduję jego słowa w starannym zapisie Akeleya. „Iä! Shub-Niggurath!

Koza z Tysiącem Młodych!” – zawodził kulturalny bostończyk…

A potem usłyszałem ten drugi głos. Do dziś przechodzą mnie ciarki, ilekroć przypomnę sobie ten wstrząs – jakkolwiek przecież lektura listu Akeleya przygotowała mnie na to, co usłyszę. Wszyscy, którym go później opisywałem, stwierdzali, że głos ów musiał być wytworem obłędu lub taniego szalbierstwa – lecz przecież gdyby usłyszeli tę okropność na własne uszy lub przeczytali sążniste objaśnienia Akeleya (zwłaszcza drugi, encyklopedyczny list), z pewnością zmieniliby zdanie. Swoją drogą nie mogę odżałować, że nie sprzeciwiłem się woli Akeleya i nie zaprezentowałem nikomu tego nagrania – żałuję też przeokropnie, że straciłem wszystkie jego listy. Dla kogoś, kto znał tło historyczne całej sprawy oraz towarzyszące jej okoliczności, głos ten brzmiał doprawdy potwornie. Posłusznie odpowiadał rytualnym zaśpiewom pierwszego, ludzkiego głosu, ja zaś w wyobraźni słyszałem w nim schorzałe echo dochodzące przez jakieś niewyobrażalne otchłanie z niewyobrażalnych zewnętrznych piekieł. Minęły już z górą dwa lata, od kiedy po raz ostatni puściłem w ruch ten bluźnierczy cylinder – a to cichutkie, diabelskie bzyczenie po dziś dzień rozbrzmiewa w mych uszach.

– Iä! Shub-Niggurath! Czarna Koza z Borów z Tysiącem Młodych!

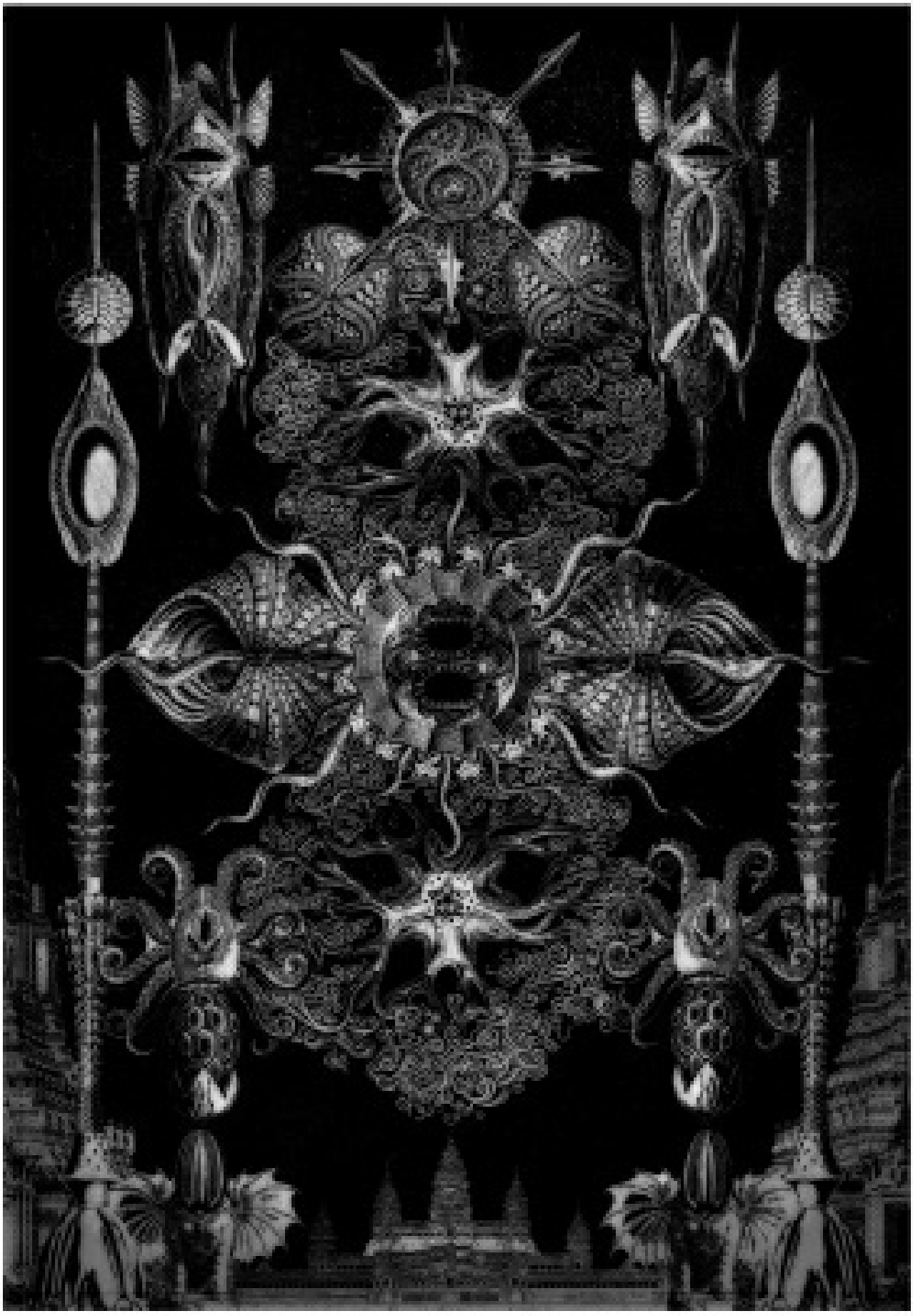

## GDYBY ZABRAĆ NA YUGGOTH CZŁOWIEKA O SŁABYCH NERWACH, PEWNIAKIEM BY OSZALAŁ

Jakkolwiek jednak wciąż nie przestaję słyszeć tego diabelskiego głosu, nigdy dotąd nie umiałem go zanalizować ani ująć w karby wyrazistego opisu. Było to jakby buczenie gigantycznego, odrażającego owada, nieporadnie przekute w artykułowaną, lecz obcą, nieludzką mowę – i jestem absolutnie pewien, że wytwarzały je narządy głosowe w niczym nieprzypominające narządów posiadanych przez człowieka ani żaden inny gatunek ssaka. Tak osobliwy był ów głos w swej barwie i skali, tak szczególne pobrzmiewały w nim tony, że niepodobieństwem było, iżby mógł się wyrodzić w ziemskim, ludzkim świecie. Gdy tylko popłynął z tuby fonografu, dosłownie osłupiałem – i aż do końca nagrania trwałem w tępym oszołomieniu. Wrażenie, że obcuję z jakąś bluźnierczą nieskończonością, owładnęło mnie już podczas słuchania pierwszego, krótszego urywku – gdy jął wybrzmiewać drugi, dłuższy fragment, przejęło mnie jeszcze dotkliwiej. W końcu nagranie gwałtownie się urwało, akurat wtedy, gdy przemawiał ludzki głos z bostońskim akcentem; maszyna zatrzymała się automatycznie, a ja jeszcze długo siedziałem bez ruchu i wpatrywałem się w nią jak ogłupiały.

Nie muszę chyba wspominać, że słuchałem tego wstrząsającego nagrania po wielekroć i że w naszej korespondencji z Akeleyem komentowaliśmy je i analizowaliśmy w nieskończoność. Nie będę tu powtarzał w szczegółach, do czego udało nam się dojść – byłoby to zbędne, a dla mnie też nazbyt okropne. Wyznam tylko tyle: obaj nie mieliśmy wątpliwości, że uchylił się przed nami rąbek jednego z najpierwotniejszych i najwstrętniejszych obrzędów, jakie tylko odprawiała ludzkość w swych tajemnych religiach. Byliśmy też pewni, że u zarania dziejów ukryte zaziemskie istoty uknuły z wybranymi członkami ludzkiej rasy jakieś misterne sojusze. Jak daleko te sojusze sięgały, jak miały się dziś w porównaniu z dawnymi wiekami – nie sposób było się domyślić, wszelako otwierało się tu nieskończone wręcz miejsce dla straszliwych spekulacji. Wyglądało na to, że między ludźmi a niepojętą nieskończonością od niepamiętnych już wieków istnieje odrażająca, kilkustopniowa więź. Bluźniercze stwory, które pojawiały się na Ziemi, pochodziły jakoby z mrocznej planety Yuggoth ukrytej na skraju Układu Słonecznego; był to jednak zaledwie przyczółek – międzygwiezdna rasa musiała pochodzić z najskrajniejszych dali, spoza einsteinowskiego kontinuum czasoprzestrzennego, zza najdalszych rubieży znanego nam kosmosu.

Debatowaliśmy też nad czarnym kamieniem. Zastanawialiśmy się, jak dostarczyć go do Arkham – Akeley odradzał mi bowiem wizytę u siebie. Z jakiegoś powodu uważał też, że nie należy ufać zwykłym, łatwym do przewidzenia trasom pocztowym. Umyślił sobie w końcu, że zawiezie kamień samochodem do Bellows Falls i wyśle go przez Keene, Winchendon i Fitchburg, tak by dotarł do mnie linią pocztową Boston–Maine – mimo że musiałby wówczas jechać nieco bardziej odludnymi i leśnymi drogami niż gdyby udał się prosto do Brattleboro. Twierdził, że gdy nadawał paczkę z

walcem fonograficznym, w urzędzie poczty ekspresowej w Brattleboro zauważył człowieka zachowującego się w wyjątkowo podejrzany sposób: usilnie wypytywał o coś pocztowych urzędników, a następnie odjechał tym samym pociągiem, którym została wysłana przesyłka. Dopóki nie potwierdziłem, że ją otrzymałem, Akeley mocno się niepokoił, czy na pewno do mnie dotrze.

Mniej więcej w tym właśnie czasie – czyli w drugim tygodniu lipca – zorientowałem się z niespokojnych dopytywań Akeleya, że zaginął kolejny mój list. Od tej pory Akeley kazał mi adresować listy nie do Townshend, lecz do rejonowego urzędu pocztowego w Brattleboro – stwierdził, że może tam co parę dni dojechać samochodem lub nawet autobusem, który zastąpił ostatnio w lokalnym ruchu pasażerskim spóźniające się pociągi. Zorientowałem się, że dręczy go coraz większy niepokój: Akeley opowiadał drobiazgowo, jak to jego psy ujadają od zmierzchu do świtu w bezksiężycowe noce, wspominał też, że na drodze i w błocie za domem od czasu do czasu znajduje z rana świeże ślady szczypiec. Któregoś razu doniósł mi, że widział istną ich armię: szły zwartym szeregiem w stronę domu, od podwórza zaś gęstą, wyraźną linią biegły ku nim ślady psich łap. Potwierdzeniem tego znaleziska była dołączona do listu fotografia – doprawdy obrzydliwie wręcz niepokojąca. Owej nocy, jak twierdził Akeley, psy szczekały i skowyczały jak oszalałe.

Rankiem 18 lipca, w środę, otrzymałem telegram z Bellows Falls. Akeley pisał, że wysyła kamień pocztą Boston–Maine, pociągiem o numerze 5508, który wyjeżdża z Bellows Falls o 12.15 czasu miejscowego i dociera na North Station w Bostonie o 16.12. Obliczyłem, że przesyłka powinna znaleźć się w Arkham następnego dnia, najpóźniej w południe – przez cały ranek siedziałem więc w domu i czekałem. Gdy jednak południe minęło, a kurier wciąż się nie pojawiał, zatelefonowałem do urzędu pocztowego i dowiedziałem się, że żadna przesyłka do mnie nie nadeszła. Porządnie już zaniepokojony zamówiłem rozmowę zamiejscową z urzędem poczty ekspresowej na North Station w Bostonie – i nie zdziwiłem się zbytnio, gdy się okazało, że i tam nikt o mej przesyłce nie słyszał. Pociąg numer 5508 przyjechał poprzedniego dnia z zaledwie trzydziestopięciominutowym opóźnieniem i nie było w nim żadnej paczki dla mnie. Agent pocztowy zobowiązał się jednak, że przeprowadzi stosowne dochodzenie. Wieczorem nadałem nocną pocztą list do Akeleya, opisujący całą sytuację.

Odpowiedź z Bostonu nadeszła z godną pochwały rychłością, bo już nazajutrz po południu. Agent zadzwonił do mnie, gdy tylko udało mu się wyjaśnić sprawę. Okazało się mianowicie, że urzędnik pocztowy z pociągu numer 5508 przypomniał sobie pewne zdarzenie, które – jak mu się zdawało – mogło mieć coś wspólnego z utraconą przeze mnie przesyłką. Otóż gdy pociąg stał na stacji w Keene, w New Hampshire, tuż po godzinie trzynastej czasu miejscowego zjawił się szczupły, jasnorudy mężczyzna o wiejskim wyglądzie i dziwacznym głosem wszczął awanturę z personelem wagonu pocztowego. Z wielkim wzburzeniem mówił coś o ciężkiej skrzynce, na którą jakoby czekał, a której nie było ani w pociągu, ani w książkach nadawczych. Przedstawił się jako Stanley Adams, mówił zaś głosem grubym i buczącym,

tak osobliwym, że na jego dźwięk urzędnik pocztowy uczuł nagły przypływ senności i zakręciło mu się w głowie. Urzędnik ów nie mógł sobie przypomnieć, jak zakończyła się ta dziwna rozmowa, pamiętał jedynie, że otrzeźwiał dopiero kiedy pociąg ruszył. Agent z Bostonu dodał też, że jest to człowiek o nieposzlakowanej opinii – pochodzi ze znanej rodziny, pracuje w firmie pocztowej od dobrych kilku lat i z całą pewnością można mu wierzyć.

W urzędzie pocztowym podano mi nazwisko i adres owego urzędnika, tedy jeszcze tego wieczoru wybrałem się do Bostonu, by porozmawiać z nim osobiście. Był to młodzieniec szczery i ujmujący, nie miał jednak nic do dodania ponad to, co już usłyszałem. Co ciekawe, był dziwnie pewien, że gdyby po raz wtóry spotkał owego awanturnika, rozpoznałby go natychmiast. Nic więcej się od niego nie dowiedziałem, wróciłem więc do Arkham i całą noc spędziłem na pisaniu listów: do Akeleya, do dyrekcji poczty ekspresowej, na posterunek policji oraz do agenta w Keene. Czułem, że ów człowiek, który swym głosem tak dziwacznie podziałał na pocztowego urzędnika, musi w tej ponurej sprawie odgrywać rolę kluczową; miałem nadzieję, że pracownicy poczty w Keene i rejestry urzędu telegraficznego podpowiedzą mi, kto to może być i jak udało mu się znaleźć o właściwym czasie we właściwym miejscu.

Niestety, moje dochodzenie spełzło na niczym. Istotnie, wczesnym popołudniem 18 lipca widziano nieopodal stacji w Keene człowieka o dziwnym głosie, jednemu z okolicznych próżniaków zdawało się nawet, że widział w jego rękach ciężką skrzynkę. Nikt go jednak nie znał, nie widziano go tam nigdy przedtem ani potem. O ile udało mi się dowiedzieć, nie zaszedł do urzędu telegraficznego, nie nadał ani nie odebrał żadnej depeszy – nie mógł więc tą właśnie drogą uzyskać informacji, że pociągiem numer 5508 podróżuje czarny kamień. Akeley oczywiście dołączył się do poszukiwań, wybrał się nawet do Keene, by osobiście wypytać o wszystko na stacji – podchodził jednak do całej sprawy z nierównie większym fatalizmem niż ja. Odniosłem wrażenie, że zaginięcie kamienia uważa za złowróżbne zwieńczenie nieuchronnego biegu wypadków i nie łudzi się, że uda się go odnaleźć. Twierdził, że stwory ze wzgórz i ich agenci z pewnością umieją posługiwać się hipnozą i telepatią, w jednym z listów sugerował nawet, że kamienia pewnikiem nie ma już na Ziemi. Ja byłem raczej porządnie rozeźlony – czułem bowiem przez skórę, że w starych, zatartych hieroglifach zaklęte są rzeczy ważne i zdumiewające, i ufałem, że uda nam się je odczytać. Sprawa zaginięcia kamienia z pewnością dręczyłaby mnie pewnie jeszcze długo – rychło poczęły jednak przychodzić od Akeleya listy, które uzmysłowiły mi, że cała okropna sprawa wchodzi w nową fazę, i bez reszty pochłonęły mą uwagę.

## IV

Nieznane istoty – donosił Akeley coraz żałośniej rozdygotanym pismem – przystąpiły do oblężenia z niespotykaną pierwej determinacją. W bezksiężycowe noce szczekanie psów było już trudne do zniesienia; zdarzało

się nawet, że niepokojono go za dnia, gdy przemierzał odludne leśne drogi. Drugiego sierpnia wybrał się na przykład samochodem do wioski i przejeżdżając przez gęsty zagajnik, napotkał pień drzewa obalony w poprzek drogi; jednocześnie rozszczekały się dwa wielkie psy, które miał ze sobą w samochodzie, co świadczyło aż nadto dobitnie, że nikczemne stwory czają się gdzieś w pobliżu. Co by się stało, gdyby jechał sam – Akeley bał się nawet myśleć. Wszelako bez psów już nigdzie się nie ruszał: ilekroć musiał oddalić się od domu, dobierał sobie ze swej mocarnej, wiernej sfory co najmniej dwóch towarzyszy. Kolejne wypadki na drodze zdarzyły się kilka dni później: 5 sierpnia rozległ się strzał i samochód musnęła kula, zaś następnego dnia znów rozszczekały się psy, wyczuwając w lesie obecność wrogich stworzeń.

Piętnastego sierpnia otrzymałem list przepełniony szaleńczą trwogą. Tym razem przeraziłem się nie na żarty i jąłem przekonywać Akeleya, by wreszcie zerwał ze swym samotnictwem i wezwał na pomoc odpowiednie organy. W nocy z 12 na 13 sierpnia rozegrały się bowiem wypadki straszliwe: koło domu słychać było strzały, a rankiem okazało się, że spośród dwunastu psów trzy leżą zabite. Droga usiana była śladami szczypiec, między nimi widać było też odciski butów Waltera Browna. Akeley zatelefonował do Brattleboro, żeby zamówić więcej psów, ledwie jednak zdążył się odezwać, zerwało się połączenie. Pojechał więc do Brattleboro samochodem, a zgłosiwszy awarię, dowiedział się, że główna linia telefoniczna została przecięta – na północ od Newfane, akurat na odludnym, wzgórzystym terenie. Akeley dokupił cztery kolejne psy, kilka paczek amunicji do swego wielkokalibrowego, samopowtarzalnego karabinu i udał się z powrotem do domu. List, napisany przezeń na poczcie w Brattleboro, dotarł do mnie bez opóźnienia.

W tym momencie problem dziwnych istot ze wzgórz niewiele mnie już obchodził w wymiarze naukowym – napawał mnie raczej trwogą czysto osobistą. Bałem się o Akeleya oblężonego w swym samotnym, ustronnym domostwie, ale i zaczynałem z wolna lękać się o siebie – nie dało się już wszak ukryć, że jestem w całą sprawę zamieszany. Ich macki sięgały naprawdę daleko – byłyżby zdolne porwać mnie i pochłonąć? Odpisałem Akeleyowi, że powinien jak najszybciej wezwać pomoc, zasugerowałem też, że mogę uczynić to w jego imieniu. Ponownie zaproponowałem, że wybiorę się do Vermontu i pomogę mu wyjaśnić całą sytuację odpowiednim władzom. Jedyną odpowiedzią był wszakże krótki telegram wysłany z Bellows Falls, w którym Akeley stwierdzał, co następuje:

> DOCENIAM TWOJE CHĘCI, ALE NIE MOGĘ NIC ZROBIĆ. NIE PRZEDSIĘBIERZ SAMEMU ŻADNYCH KROKÓW, ABYŚMY OBAJ NIE PONIEŚLI NA TYM SZKODY. CZEKAJ NA WYJAŚNIENIA.
>
> HENRY AKELY

Sytuacja zagęszczała się jednak z każdą chwilą. Odpowiedziawszy na telegram, otrzymałem krótki list, w którym Akeley drżącą ręką obwieszczał rzecz zdumiewającą: nie tylko nie wysyłał do mnie żadnej depeszy, ale nawet nie otrzymał listu, na jaki zdawała się ona odpowiadać. Jego

pospieszne dochodzenie w Bellows Falls wykazało, że depeszę nadał dziwny jasnorudy mężczyzna o niezwykle grubym, buczącym głosie – było to jednak wszystko, czego udało się mu dowiedzieć. Telegrafista pokazał Akeleyowi oryginalny, nabazgrany ołówkiem tekst depeszy, pismo okazało się jednak zupełnie nieznane. Godne odnotowania było to, że nadawca błędnie się podpisał: A-K-E-L-Y, bez drugiego „E”. Nasuwało to pewne nieuniknione domysły, sprawa weszła już jednak w tak krytyczną fazę, że Akeley nie zawracał sobie nimi głowy.

Akeley pisał też, że stracił dwa kolejne psy i dokupił parę następnych, kule zaś śmigają koło domu już każdej bezksiężycowej nocy. Wśród odcisków szczypiec na drodze i za domem regularnie pojawiają się ślady butów Browna i paru innych ludzi. Akeley przyznał, że sprawa rozwija się paskudnie, zarzekał się też, że prawdopodobnie już niedługo przeprowadzi się do Kalifornii, do syna, bez względu na to, czy zdoła sprzedać dom. Niełatwo mu jednak opuścić jedyne miejsce, które jest drogie jego sercu. Musi wytrzymać jeszcze trochę – być może uda mu się odstraszyć intruzów, zwłaszcza jeśli ostentacyjnie zarzuci wszelkie próby zgłębienia ich sekretów.

Odpisałem natychmiast. Po raz wtóry zaofiarowałem mu swą pomoc; zaproponowałem, że przyjadę do niego i razem przekonamy władze o grożącym mu niebezpieczeństwie. Odwrotną pocztą Akeley nie sprzeciwiał się już tym planom tak stanowczo, jak można było oczekiwać, zaznaczył tylko, że wolałby jeszcze chwilę odczekać: chciałby uporządkować swoje sprawy i pogodzić się z myślą, że przyjdzie mu opuścić miejsce swego urodzenia – do którego, nawiasem mówiąc, wydawał się przywiązany w stopniu wręcz chorobliwym. Stwierdził, że okoliczni farmerzy podejrzliwie odnoszą się do jego dociekań i domysłów, toteż wolałby wyjechać po cichu, nie wywołując wielkiego poruszenia i nie prowokując wątpliwości na temat stanu swych zmysłów. Przyznał, że ma już wszystkiego serdecznie dość, chce jednak opuścić rodzinne siedlisko w sposób możliwie godny.

Rzeczony list otrzymałem 28 sierpnia; niezwłocznie sporządziłem i wysłałem odpowiedź, próbując podnieść go na duchu. Starania moje najwyraźniej przyniosły efekt, bo w następnym liście Akeley był już jakby mniej strwożony. Nie tryskał jednak optymizmem; wydawał się przekonany, że chwilowy spokój zawdzięcza jedynie pełni księżyca. Miał nadzieję, że najbliższe noce nie będą zbyt pochmurne, przebąkiwał nawet, że gdy księżyc zacznie zanikać, przeniesie się do Brattleboro. Raz jeszcze spróbowałem dodać mu otuchy, wszelako 5 września otrzymałem wiadomość kolejną, która najwyraźniej rozminęła się z mą odpowiedzią – i na nią już krzepiąco odpisać nie umiałem. Ze względu na wagę tego listu powinienem chyba przytoczyć go w całości – tak wiernie, jak tylko udało mi się zapamiętać pisane drżącą ręką słowa Akeleya. Brzmiały one mniej więcej tak:

Poniedziałek.

Drogi Albercie!

Oto niezbyt krzepiące postscriptum do mego ostatniego listu. Noc dzisiejsza była pochmurna, choć bez deszczu – nie zaświecił nawet promyk księżyca. Sprawy idą coraz gorzej; obawiam się, że wbrew

naszym nadziejom koniec jest bliski. Po północy coś wylądowało na dachu mego domu. Psy rzuciły się hurmem, by sprawdzić, co to jest – słyszałem, jak się pieklą i kłapią szczękami; potem jednemu udało się wskoczyć na niską przybudówkę, a stamtąd na dach. Rozpętała się tam straszliwa walka, a potem usłyszałem przeraźliwe bzyczenie, którego nie zapomnę do końca życia. Jeszcze później poczułem okropny smród. Mniej więcej w tym samym czasie w okno trafiła kula – minęła mnie o włos. Wydaje mi się, że główny oddział tych stworów przedarł się w pobliże domu, gdy psy zajęte były obszczekiwaniem dachu. Wciąż nie wiem, co się tam na górze działo, ale obawiam się, że one coraz lepiej radzą sobie z lataniem na tych swoich międzyplanetarnych skrzydłach. Zgasiłem światła i ostrzeliwałem się przez okna – pokryłem ogniem cały teren wokół domu, starając się nie mierzyć za nisko i nie trafić psów. To chyba załatwiło sprawę, ale rano odkryłem na podwórzu wielkie kałuże krwi, a obok plamy zielonej, lepkiej mazi – bił od nich najgorszy fetor, jaki kiedykolwiek czułem. Wspiąłem się na dach i znalazłem tam jeszcze więcej tej mazi. Zginęło pięć psów – niestety, jednego chyba niechcący zabiłem sam, dostał postrzał w grzbiet. Łatam teraz rozbite szybki w oknach, potem wybieram się do Brattleboro po kolejne psy. Ludzie z hodowli mają mnie już chyba za wariata. Odezwę się później. Myślę, że w ciągu tygodnia czy dwóch powinienem być gotów do drogi – choć myśl o wyprowadzce łamie mi serce.

W pośpiechu –
AKELEY

Nie był to jednak jedyny list, który rozminął się z moim. Następnego ranka, czyli 6 września, przyszedł kolejny – tym razem wypełniony obłąkańczą bazgraniną, która do reszty rozstroiła mi nerwy i zbiła z pantałyku. I tym razem najlepiej uczynię, cytując go w całości, na ile oczywiście pozwoli mi pamięć:

Wtorek.

Chmury się nie rozwiały, więc księżyc znów nie świecił; zresztą i tak już jest w zaniku. Najchętniej kazałbym naprawić druty i zainstalował koło domu reflektor, ale wiem, że oni i tak zaraz z powrotem przecięliby przewody.

Chyba zaczynam wariować. Być może wszystko, o czym Ci dotychczas pisałem, jest tylko sennym bądź szaleńczym majakiem. Doprawdy, źle się ostatnio działo – gorzej już jednak być nie może. Dziś w nocy oni do mnie przemówili – przemówili tym przeklętym bzyczącym głosem, mówili zaś rzeczy, których nie śmiem Ci powtórzyć. Słyszałem ich wyraźnie, choć ujadały psy – a gdy psy zbytnio się rozszczekały, odezwał się też mocniejszy głos ludzki. Trzymaj się od tego z daleka, Albercie – cała ta sprawa jest okropniejsza, niż podejrzewaliśmy. Oni nie pozwolą mi już wyjechać do

Kalifornii; chcą zabrać mnie stąd żywcem – choć „żywcem” raczej teoretycznie, pod postacią samego umysłu – i to nie tylko na Yuggoth, ale jeszcze dalej, poza naszą galaktykę, być może nawet poza najdalszą krzywiznę przestrzeni kosmicznej. Odparłem, że wcale się tam z nimi nie wybieram, zwłaszcza w tak straszliwy sposób, jaki mi proponują – ale obawiam się, że to na nic. Mieszkam na takim odludziu, że niebawem zaczną przychodzić tu nawet za dnia. Straciłem kolejnych sześć psów, a gdy jechałem dziś przez las do Brattleboro, czułem, że coś czai się po obu stronach drogi.

Niepotrzebnie wysyłałem Ci nagranie i czarny kamień. Lepiej zniszcz ten walec, póki nie jest za późno. Jeśli jutro będę jeszcze wśród żywych, poślę Ci kolejny list. Chciałbym móc zabrać książki i inne moje rzeczy do Brattleboro i tam się zakwaterować. Gdybym mógł, uciekłbym nawet z pustymi rękoma, ale coś uparcie każe mi zostać. Mogę przemknąć się do Brattleboro, tam raczej nic mi nie grozi, ale będę tam tak samo uwięziony jak we własnym domu. I choćbym nawet rzucił wszystko i spróbował uciec, dalej już się nie wymknę. To straszne – nie mieszaj się w to.

Twój AKELEY

Przeczytawszy ten list, nie zmrużyłem oka do bladego świtu – z coraz większym niepokojem zastanawiałem się też nad poczytalnością Akeleya. Treść listu zdawała się wytworem czystego szaleństwa, wszelako sposób jej wyrażenia wydawał się – w świetle dotychczasowych wypadków – przeraźliwie przekonujący. Nawet nie próbowałem odpisywać – postanowiłem, że dam Akeleyowi chwilę czasu i zaczekam, aż odpowie na mój ostatni list. Istotnie, następnego dnia taką odpowiedź otrzymałem – jakkolwiek wypadki najnowsze zgoła przyćmiły w niej sprawy, do których nominalnie się odnosiła. Tak mniej więcej zapamiętałem ów list, upstrzony kleksami i nabazgrany w szaleńczym pośpiechu:

Środa.

A.!

Otrzymałem Twój list, ale nie ma sensu już się nad tym wszystkim zastanawiać. Poddaję się. Aż dziw, że do tej pory miałem dość silnej woli, by dawać tym stworom odpór. Nie ucieknę im już, nawet gdybym rzucił wszystko i wziął nogi za pas. I tak mnie dopadną.

Wczoraj dostałem od nich list – rejonowy listonosz wrzucił mi go do skrzynki, gdy byłem w Brattleboro. Napisany jest na maszynie, a wysłany z Bellows Falls. Piszą w nim, co zamierzają ze mną zrobić. Nie jestem w stanie tego powtórzyć. Ty też miej się na baczności! Zniszcz nagranie. Noce wciąż pochmurne, księżyc ciągle zanika. Chciałbym mieć na tyle śmiałości, by wezwać kogoś na pomoc – może wziąłbym się wtedy w garść – ale i tak każdy, kto ośmieliłby się tu przyjechać, stwierdziłby, że zwariowałem. Chyba żeby mu pokazać jakiś niezbity dowód. Ale i tak nie mam się do kogo zwrócić – już od lat nie widuję się z nikim.

Nie powiedziałem Ci jednak jeszcze najgorszego. Lepiej usiądź, Wilmarth, bo ta wieść cię porazi. Przysięgam, że mówię prawdę. Otóż widziałem jedno z tych stworzeń, dotykałem go nawet – lub jego część. Na Boga, człowieku, cóż za ohyda! Oczywiście było martwe. Dopadł je któryś z psów – dziś rano leżało koło budy. Ukryłem je w szopie, żeby móc przekonać ludzi, że nie zmyślam, ale w ciągu paru godzin wyparowało. Nie zostało nic. Sam zresztą pamiętasz, że te stwory w rzekach widywano tylko pierwszego ranka po powodzi. Ale to i tak nie jest jeszcze najgorsze. Otóż chciałem zrobić zdjęcie, żebyś i Ty to zobaczył – ale gdy wywołałem film, nie było na nim widać nic oprócz szopy. Z czegóż te stwory są zbudowane? Przecież widziałem go, dotykałem. Zresztą zostawiają ślady. Na pewno są materialne – ale cóż to za materia? Kształtu ciała niepodobna opisać: to był wielki krab pokryty gęstą, kleistą mazią nawarstwioną w mięsiste pierścienie czy węzły; zamiast głowy miał czułki. Ta zielona, lepka maź to jego krew lub inny płyn fizjologiczny. A z każdą chwilą jest ich na Ziemi coraz więcej.

Walter Brown zniknął – nie widziano go ostatnio w miejscach, w których zwykle się wałęsa. Musiałem go trafić z karabinu; te stwory zwykle starają się zabierać swych zabitych i rannych.

Dziś po południu dojechałem do miasta bez żadnych kłopotów. Wygląda na to, że zaczynają trochę odpuszczać – ale to pewnie dlatego że sądzą, iż już mnie mają. Piszę ten list na poczcie w Brattleboro. Być może nie usłyszymy się więcej – jeśli nie otrzymasz ode mnie żadnych wieści przez tydzień, pisz do mego syna: George Goodenough Akeley, Pleasant Street 176, San Diego, Kalifornia. Napisz do niego, ale nie przyjeżdżaj tu. I przeglądaj gazety.

Pozostały mi jeszcze w rękawie dwie karty – o ile starczy mi determinacji, by je rozegrać. Najpierw spróbuję ich potraktować trującym gazem (mam odpowiednie składniki, zrobiłem już także maski dla siebie i psów); jeśli to nic nie da, opowiem o wszystkim szeryfowi. Niechaj mnie nawet zamkną w zakładzie dla obłąkanych – wolę to niż los, który szykują dla mnie tamci. Może zdołam namówić szeryfa, żeby obejrzał ślady wokół domu – są niewyraźne, ale każdego ranka pojawiają się nowe. Tyle tylko że policja może je uznać za mistyfikację – wszyscy uważają mnie tu za dziwaka.

Najlepiej byłoby, gdyby ktoś z policji stanowej został u mnie na noc i zobaczył wszystko na własne oczy – choć może być tak, że te stwory zorientują się, co jest grane, i akurat tej nocy nie przyjdą. Ilekroć próbuję telefonować w nocy, przecinają druty; monterzy bardzo się dziwią, może więc zaświadczyliby, że mówię prawdę – choć z drugiej strony mogą też uznać, że przecinam je sam. Przestałem ich wzywać już z górą tydzień temu.

Mógłbym też powołać się na świadectwo któregoś z miejscowych prostaczków, ale nikt ich tu nie traktuje poważnie. Zresztą nie zapuszczają się tu już od tak dawna, że nie mają pojęcia o ostatnich wypadkach. Żaden z tych zahukanych chłopków nie zbliżyłby się już do

mego domu za skarby świata. Listonosz słyszy, co gadają, i powtarza mi to później w żartach. Boże! Gdybym tylko miał śmiałość powiedzieć mu, że to najczystsza prawda! Może spróbuję pokazać mu ślady – tylko że on przyjeżdża po południu, a do tego czasu wszystko zwykle znika. Gdybym przykrył jeden taki ślad jakąś skrzynką czy garnkiem, na pewno uznałby, że sobie żartuję albo próbuję go nabrać.

Szkoda, że stałem się takim pustelnikiem i nikt już mnie nie odwiedza. Nigdy nie ośmieliłem się pokazać nikomu tego czarnego kamienia ani zdjęć, ani nagrania – nikomu prócz tych prostaczków. Wszyscy inni stwierdziliby, że sam wszystko spreparowałem, i wyśmialiby mnie. Ale może jeszcze spróbuję pokazać im zdjęcia. Może i nie da się tych stworów sfotografować, ale ślady widać jak na dłoni. Jaka szkoda, że dziś rano nikt nie zobaczył tego czegoś, nim znikło!

Zresztą… nie wiem, czy jeszcze mi na tym zależy. Po tym wszystkim, co przeszedłem, mogą mnie już nawet zamknąć w zakładzie. Lekarze na pewno zdołają mnie przekonać do wyprowadzki – a tylko to może mnie jeszcze uratować.

Jeśli nie będę dawał znaku życia, pisz do mego syna. Bywaj! Zniszcz nagranie i nie mieszaj się w to.

Twój AKELEY

List ten wtrącił mnie w czeluść najczarniejszej zgrozy. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, skreśliłem tedy parę niezbornych zdań, usiłując dodać Akeleyowi otuchy, i wysłałem listem poleconym. Pamiętam, że nagliłem go, by natychmiast udał się do Brattleboro i oddał pod opiekę władz. Dodałem, że mogę tam przyjechać z nagraniem i postarać się udowodnić, że jest zdrów na umyśle. Napisałem też chyba, że już najwyższy czas ostrzec okolicznych mieszkańców przed grozą, która lęgnie się dosłownie pod ich bokiem. Jak łatwo sobie wyobrazić, byłem już wówczas tak roztrzęsiony, że wierzyłem Akeleyowi bez zastrzeżeń w każde słowo – jakkolwiek uważałem, że zrobienie zdjęcia uniemożliwił mu nie tyle wybryk Natury, ile własny, popełniony ze zdenerwowania błąd.

## V

Zaraz potem, już 8 września w sobotnie popołudnie, otrzymałem od Akeleya następny list, który najwyraźniej rozminął się z mą odpowiedzią – list wystukany zgrabnie na nowej maszynie, a w swym tonie osobliwie odmienny, bo krzepiący i kojący; przedziwny list z zaproszeniem do odwiedzin, świadczący o tym, że w koszmarnych zajściach rozgrywających się śród odludnych wzgórz musiał nastąpić kolosalny zwrot. Raz jeszcze pozwolę sobie zacytować z pamięci – z ważnych powodów starając się zachować cechy jego stylu. List został nadany z Brattleboro, napisany był zaś na maszynie w całości, włącznie z podpisem – co często zdarza się ludziom niemającym doświadczenia w maszynopisaniu. Jak na nowicjusza Akeley wystukał go jednak zdumiewająco bezbłędnie; uznałem tedy, że musiał już

kiedyś mieć z maszyną do czynienia – być może na studiach. Nie skłamałbym, mówiąc, że list przyniósł mi ulgę – wszelako pod tą ulgą czaił się niepokój. Jeśli Akeley był zdrów na umyśle, gdy szalał z przerażenia, to czy był zdrów teraz, donosząc mi o tym, że wszelkie niebezpieczeństwo zostało zażegnane? I cóż miało niby znaczyć owo „polepszenie stosunków”...? Doprawdy, stosunek Akeleya do całej sprawy zmienił się wręcz diametralnie! Przejdźmy jednak do rzeczy – oto ów list spisany przeze mnie z pamięci, którą nie bez powodu się szczycę:

Townshend, Vermont,

Czwartek, 6 września 1928 r.

Mój drogi Albercie,

>Rad jestem wielce, że mogę Cię wreszcie uspokoić, odwołując głupstwa, które wypisywałem w poprzednich listach. Muszę jednakowoż zaznaczyć, że „głupstwem” nazywam raczej swoje trwożliwe nastawienie do określonych zjawisk aniżeli obiektywny ich opis. Zjawiska owe naprawdę istnieją i są bardzo doniosłe; błąd mój polegał na tym, że uważałem je za szkodliwą anomalię.

Wspomniałem Ci już zapewne, że moi dziwni goście próbowali nawiązać ze mną kontakt. Otóż dziś w nocy udało nam się wreszcie porozumieć. W odpowiedzi na pewne sygnały przyjąłem w mym domu posłańca tych kosmicznych przybyszów – spieszę dodać, że był nim przedstawiciel naszej ludzkiej rasy. Opowiedział mi rzeczy, które ani Tobie, ani mnie nie zaświtałyby nawet w głowie, wykazując tym samym, jak mylnie interpretowaliśmy i osądzaliśmy cel, jaki przyświeca Zewnętrznym – utrzymywanie sekretnej kolonii na naszej planecie.

Wygląda na to, że otaczająca ich niesława – wszystkie te pogłoski, jakoby składali oni ludziom nikczemne propozycje i żywili względem Ziemi jak najgorsze zamiary – jest wyłącznie rezultatem błędnego odczytania języka alegorycznego; języka, który formował się, rzecz jasna, pod wpływem niewyobrażalnie wręcz odmiennych warunków kulturowych i myślowych nawyków. Szczerze przyznaję, że w swych własnych domniemaniach rozmijałem się z prawdą nie mniej niż niepiśmienni farmerzy czy dzicy Indianie. Sądziłem, że mam do czynienia z działalnością zwyrodniałą, haniebną, skandaliczną – tymczasem jest to coś olśniewającego, inspirującego, rzekłbym nawet: chwalebnego. Moja uprzednia ocena była li tylko pochodną odwiecznej ludzkiej skłonności do reagowania nienawiścią, lękiem i wstrętem na coś, co jest po prostu całkowicie inne.

Żałuję teraz, że w naszych nocnych utarczkach wyrządziłem krzywdę tym niesamowitym istotom. Jaka szkoda, że zamiast strzelać nie zechciałem się z nimi spokojnie, rozsądnie rozmówić! Oni jednak nie żywią do mnie urazy – pod względem emocjonalnym są zupełnie inaczej skonstruowani niż my. Mieli pecha, że na agentów dobierali sobie w Vermoncie wyjątkowo poślednich przedstawicieli naszego gatunku – takich jak na przykład Walter Brown. To głównie przez niego tak się do nich uprzedziłem. Oni nigdy z premedytacją nie wyrządzali

ludziom krzywdy – za to sami często bywali szpiegowani i okrutnie prześladowani. Istnieje nawet nikczemna tajna sekta (jako erudyta w dziedzinie mistycyzmu z pewnością domyślasz się, że ma ona związek z Hasturem i Żółtym Znakiem), która zapamiętale tropi ich i tępi, mniemając, że dzierżą oni potworne moce z innych wymiarów. To właśnie przeciwko tym napastnikom – nie zaś przeciw normalnej ludzkości – Zewnętrzni przedsiębiorą rygorystyczne środki ostrożności. Przypadkiem dowiedziałem się zresztą, że nasze listy kradzione były nie przez Zewnętrznych, lecz właśnie przez emisariuszy tej szkodliwej sekty.

Zewnętrzni pragną zgody i pokoju, oczekują, że ludzkość nawiąże z ich gatunkiem intelektualną więź. To ostatnie jest dziś już absolutną koniecznością: dzięki wynalazkom i urządzeniom technicznym staliśmy się znacznie mędrsi i mobilniejsi, toteż utrzymanie w tajemnicy niezbędnych placówek na naszej planecie jest dla Zewnętrznych coraz większym niepodobieństwem. Chcą oni lepiej poznać nasz gatunek, jakoż i pragną, by najwięksi luminarze ziemskiej nauki i filozofii dowiedzieli się więcej o nich. Jeśli nawiążemy taką wymianę wiedzy, nic nam już obopólnie grozić nie będzie i wreszcie ustanowimy zadowalający modus vivendi. Już sama myśl o tym, że Zewnętrzni mogliby dążyć do zniewolenia bądź upodlenia ludzkości, jest niedorzeczna.

Przystępując do tego polepszenia stosunków, Zewnętrzni zwrócili oczywiście uwagę na mnie – jako że zdołałem już posiąść niemałą wiedzę na ich temat – i postanowili mianować mnie na Ziemi swym głównym tłumaczem. Dziś w nocy opowiedzieli mi mnóstwo niesłychanych rzeczy otwierających przed nami zupełnie nowe perspektywy; od tej pory będą się ze mną stale komunikować, zarówno ustnie, jak i na piśmie. Na razie nie oczekują, że wybiorę się do nich wraz z nimi, acz nie można wykluczyć, że później sam ich o to poproszę – i za pomocą szczególnych środków technicznych wyruszę w podróż, przy której zblednie wszystko, czego doświadczył dotąd nasz gatunek. Dom mój nie będzie już oblegany. Wszystko wróciło do normy, psy nie mają nic do roboty. Dotychczas żyłem w trwodze – teraz dano mi wielką łaskę: zyskałem wiedzę i doświadczę intelektualnej przygody, jakiej nie przeżyło dotąd wielu śmiertelników.

Zewnętrzne Istoty to chyba najbardziej zdumiewające twory organiczne, jakie istnieją w naszej – i nie tylko naszej – przestrzeni i czasie. Ich rasa rozprzestrzeniona jest po całym kosmosie – wszystkie inne formy życia to zaledwie jej zdegenerowane mutacje. Są to raczej rośliny niż zwierzęta – jeśli do materii, która stanowi budulec ich ciał, można stosować takie kategorie. Pod względem budowy nieco przypominają grzyby, jakkolwiek od prawdziwych organowców odróżniają się tym, że zawierają substancję zbliżoną do chlorofilu i mają bardzo specyficzny układ odżywczy. Zbudowane są zresztą z całkiem innej materii niż ta, która występuje w naszej części kosmosu – elektrony mają w niej zupełnie inną częstotliwość drgań. Dlatego

właśnie, jakkolwiek możemy dostrzec te istoty gołym okiem, niepodobna uwiecznić je na zwykłej kliszy czy płycie fotograficznej. Niemniej dobry, wyposażony w odpowiednią wiedzę chemik byłby w stanie wytworzyć emulsję, która pozwoliłaby zarejestrować ich wizerunek.

Istoty te posiadają zupełnie wyjątkową zdolność: przemierzają zimną, jałową międzygwiezdną próżnię w pełni swych cielesnych kształtów. Niektóre ich podgatunki potrzebują do tego celu urządzeń mechanicznych bądź osobliwych ingerencji chirurgicznych. Tylko nieliczne gatunki wyposażone są w odporne na kosmiczny eter skrzydła – ma je właśnie odmiana rezydująca w Vermoncie. Istoty, które zamieszkują odludne górskie wierzchołki w Starym Świecie, przybyły do nas innym sposobem. Powierzchowne podobieństwo Zewnętrznych do ziemskich zwierząt, tudzież do typu struktury, który uważamy za materialny, jest raczej skutkiem równoległej ewolucji aniżeli bliskiego pokrewieństwa. Pod względem pojemności mózgu Zewnętrzni dystansują wszelkie istniejące obecnie formy życia – jakkolwiek odmiana skrzydlata, która gnieździ się na naszych wzgórzach, bynajmniej nie jest najwyżej rozwinięta. Porozumiewają się zwykle za pomocą telepatii, zachowali jednak szczątkowe narządy głosowe i po niewielkiej korekcie (chirurgicznej – w chirurgii są bowiem niebywale biegli i stosują ją na co dzień) potrafią z grubsza naśladować mowę innych typów organizmów – tych, które wciąż się jeszcze mową posługują.

Najbliższym miejscem ich zamieszkania jest wciąż jeszcze nieodkryty, niemal zupełnie pozbawiony światła glob na samym skraju Układu Słonecznego – dziewiąty od Słońca, dalszy jeszcze niż Neptun. Jak słusznie się domyślaliśmy, właśnie o nim wzmiankuje się w niektórych zakazanych starożytnych pismach używając nazwy „Yuggoth”. Mieszkające tam istoty wkrótce połączą w przedziwny sposób swe myśli i skoncentrują je na naszym globie, aby nawiązać z nami umysłowy kontakt. Należy oczekiwać, że nasi astronomowie rychło otworzą się na ten myślowy prąd i gdy tylko Zewnętrzni im pozwolą, odkryją Yuggoth. Nie muszę chyba jednak mówić, że Yuggoth to tylko odskocznia – lwia część Zewnętrznych zamieszkuje dziwnie urządzone otchłanie niedosiężne dla najśmielszych nawet wzlotów ludzkiej imaginacji. Czasoprzestrzenna kula, którą uważamy za całość kosmicznego bytu, jest zaledwie atomem w nieskończoności, jaką jest ich wszechświat. Nieskończoność ta wkrótce się przede mną otworzy, poznam ją w zakresie, w jakim pozwoli mi na to mój człowieczy umysł – od zarania dziejów doświadczyło tego zaś nie więcej niż pięćdziesięciu przedstawicieli naszej rasy.

Zrazu uznasz pewnie, że majaczę; z czasem jednak zrozumiesz, Wilmarth, jak tytaniczna otwiera się przede mną sposobność. Chciałbym w miarę możności podzielić się z Tobą moją wiedzą – papier nie pomieści jednak wszystkiego, co mam Ci do powiedzenia. Dotychczas ostrzegałem cię, byś do mnie nie przyjeżdżał. Teraz już nic

Ci tu nie grozi. Z przyjemnością odwołuję ostrzeżenie i zapraszam Cię do siebie.

Czy mógłbyś przyjechać, zanim rozpocznie się Twój rok akademicki? Byłbym cudownie wręcz uszczęśliwiony. Przywieź nagranie z fonografu i wszystkie moje listy – przydadzą się jako materiał porównawczy. Przestudiujemy wszystko razem i złożymy całą naszą wiedzę w ostateczną i zdumiewającą całość. Mógłbyś też przywieźć zdjęcia – w zamęcie ostatnich dni zapodziałem gdzieś chyba negatywy i własne odbitki. Jakiż był to jednak próbny, przyczynkowy materiał – i o jakąż obfitość faktów wzbogaci się teraz! A jakież zdumiewające mam tu urządzenie, które pozwoli mi te fakty uzupełnić!

Przyjeżdżaj bez wahania – nikt mnie już nie szpieguje, nie napotkasz tu nic nienaturalnego ani niepokojącego. Mój samochód będzie czekał na Ciebie w Brattleboro. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Zobaczysz, całymi wieczorami będziemy rozprawiać o rzeczach, które ludziom nawet się nie śniły. Oczywiście zachowaj wszystko w sekrecie – wścibskie pospólstwo nie może się o niczym dowiedzieć.

Pociągi do Brattleboro kursują zupełnie przyzwoicie – rozkład jazdy znajdziesz na dworcu w Bostonie. Jedź linią Boston–Maine do Greenfield, tam czeka Cię przesiadka. Najwygodniej będzie, jeśli wyjedziesz z Bostonu osobowym o 16.10; w Greenfield wylądujesz o 19.35, o 21.19 będziesz miał pociąg do Brattleboro. Na miejscu znajdziesz się o 22:01. Tak kursują pociągi w dni powszednie. Daj znać, którego dnia zamierzasz przyjechać – poślę samochód na stację.

Wybacz, że piszę na maszynie – jak wiesz, ostatnio trzęsą mi się ręce i pisanie dłuższych listów sprawia mi kłopot. Maszynę kupiłem wczoraj w Brattleboro – to nowiutka corona, spisuje się doskonale.

Czekam na wieści; wierzę, że niebawem się zobaczymy. Przywieź nagranie i wszystkie moje listy – no i zdjęcia!

Z nadzieją na rychłe spotkanie

Twój
HENRY W. AKELEY

Do J.W. Pana Alberta N. Wilmartha
Uniwersytet Miskatonic
Arkham, Massachusetts

Nie umiałbym opisać, z jakim pomieszaniem uczuć zaczytywałem się w tym dziwacznym i nieoczekiwanym liście. Mówiłem, że przyniósł mi ulgę, a jednocześnie zaniepokoił – jest to jednak grube uproszczenie; wypełniało mnie bowiem istne kłębowisko sprzecznych, głównie podświadomych emocji, mieszczące w sobie ulgę pospołu z niepokojem. Przede wszystkim jakżeż szybko Akeley zapomniał o całej serii przeraźliwych wypadków, których ostatnio doświadczył! Jeszcze przed chwilą umierał ze zgrozy, teraz zaś pławił się w zadowoleniu, wręcz uniesieniu – jego nastrój zmienił się tak nieoczekiwanie, tak błyskawicznie, tak całkowicie! Nie mogłem uwierzyć, że jeden dzień mógł tak odmienić jego psychikę, jego punkt widzenia, że pisze do mnie ten sam człowiek, który jeszcze w środę dzielił się ze mną szaleńczą

trwogą – bez względu na to, jak wielką ulgę mógł mu ten jeden dzień przynieść. Miałem wrażenie, że obcuję z jakąś podwójną nierzeczywistością; chwilami zaczynałem się wręcz zastanawiać, czy cała ta relacja Akeleya ze zmagań z fantastycznym wrogiem nie była jedynie półprzytomnym rojeniem wytworzonym głównie przez mój własny umysł. Pomyślałem o nagraniu – i osłupiałem jeszcze bardziej.

Doprawdy nigdy bym się takiego listu nie spodziewał! Po namyśle stwierdziłem, że zastanawiające są w nim w zasadzie dwie odrębne sprawy. Po pierwsze, jeśli przyjąć, że Akeley był zdrów na umyśle i przedtem, i teraz, to wprost nie mieściło mi się w głowie, by jego sytuacja mogła ulec tak błyskawicznej zmianie. Po drugie, w niesłychanym, nienormalnym wręcz stopniu zmieniły się jego styl, język i stosunek do owej sytuacji. Odniosłem wrażenie, że cała osobowość tego człowieka uległa jakiejś podstępnej mutacji – tak głębokiej, że wydawało się wręcz nie do pomyślenia, iżby jego umysł funkcjonował równie prawidłowo zarówno przedtem, jak i po zmianie. Subtelna zmiana zaszła również w pisowni, w doborze słów. Moje akademickie ucho, wrażliwe na najdrobniejsze nawet niuanse stylistyki, wyczuwało, że Akeley zupełnie inaczej formułuje myśli, że pisane przezeń zdania mają inny rytm. Zaiste, potężnych musiał doświadczyć rewelacji lub emocjonalnych wstrząsów, że zaszedł w nim tak radykalny zwrot! A przecież na swój sposób Akeley był wciąż sobą – jak zawsze zapatrzony w nieskończoność, jak zawsze naukowo dociekliwy... Ani przez chwilę – przynajmniej przez dłuższą chwilę – nie sądziłem, że ktoś się pod niego złośliwie podszywa. Czyż dostatecznym świadectwem prawdziwości listu nie było zaproszenie do odwiedzin? Czyż namawiając mnie do przyjazdu, Akeley nie zachęcał mnie, bym przekonał się o wszystkim naocznie?

Tej soboty w ogóle nie położyłem się spać – całą noc przesiedziałem i przedumałem nad tym zdumiewającym i bulwersującym listem. Umysł mój, udręczony natłokiem potwornych spekulacji, z jakim przyszło mu się mierzyć przez ostatnie cztery miesiące, znów przechodził burzliwy cykl akceptacji i zwątpienia – ten sam, którego doświadczał, obcując z dotychczasowymi rewelacjami. Wszelako jeszcze przed świtem przez kłębowisko niepokoju i konsternacji począł przepalać się żar ciekawości. Cokolwiek działo się z Akeleyem – czy był zdrów czy szalony, czy doświadczył gruntownej przemiany czy po prostu olbrzymiej ulgi – istniała szansa, że w jego ryzykownych poczynaniach badawczych faktycznie nastąpiła niesłychana zmiana perspektywy. Wskutek owej zmiany mogło zmniejszyć się grożące mu dotąd niebezpieczeństwo – rzeczywiste bądź wyimaginowane – a zarazem mógł otworzyć się przed nim oszałamiający przestwór kosmicznej, nadludzkiej wiedzy. Uczułem, że i ja pragnę zmierzyć się z nieznanym, że i mnie zaraził chorobliwy bakcyl przekraczania granic. Ach, gdyby tak zrzucić wreszcie te nieznośne, nużące pęta, jakie narzucają nam przestrzeń, czas i prawo naturalne, gdyby tak zadzierzgnąć więź z zewnętrznym bezkresem, gdybyż zbliżyć się do mrocznych i otchłannych tajemnic nieskończoności i ostateczności! Doprawdy, dla takich rewelacji warto było rzucić na szalę własne życie, duszę, rozum! Zresztą Akeley zapewniał, że nie ma już żadnego zagrożenia – nie ostrzegał mnie jak pierwej, lecz zapraszał do

złożenia wizyty. Wyobraziłem sobie, co też może mi mieć do powiedzenia – i uczułem, że przechodzi mnie paraliżujący niemal dreszcz fascynacji. Nie mogłem się doczekać, kiedy znajdę się w tym ustronnym, a ostatnio tak znękanym domu, kiedy uścisnę dłoń człowieka, który rozmawiał z prawdziwymi emisariuszami pozaziemskiej rasy, kiedy zasiądziemy w fotelach i posłuchamy razem straszliwego nagrania – a obok piętrzyć się będzie stos listów, w których gospodarz zebrał swe dotychczasowe wnioski…

Nie minęło więc jeszcze niedzielne południe, a już telegrafowałem do Akeleya. Zapowiedziałem, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, będę w Brattleboro w najbliższą środę, 12 września. Nie skorzystałem z jego propozycji w jednej tylko kwestii – wybrałem mianowicie inny pociąg. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty znaleźć się późnym wieczorem wśród widmowych vermonckich wzgórz, toteż zatelefonowałem na dworzec, zasięgnąłem informacji i opracowałem inny plan podróży. Gdybym wstał wcześnie i wyjechał do Bostonu o 8.07 (osobowym), mógłbym złapać pociąg do Greenfield o 9.25. W Greenfield byłbym o 12.22 i bez żadnej zwłoki przesiadłbym się do pociągu do Brattleboro. Na miejscu wylądowałbym o 13.08 – i była to znacznie lepsza pora na spotkanie z Akeleyem i podróż przez labirynt sekretnie strzeżonych wzgórz.

Wspomniałem mu o tej decyzji w telegramie – i już przed wieczorem z radością przeczytałem odpowiedź. Mój przyszły gospodarz oznajmiał, że nie ma nic przeciwko mej propozycji:

> AKCEPTUJĘ PLAN. SPOTKAMY SIĘ W ŚRODĘ 13.08. NIE ZAPOMNIJ O NAGRANIU, LISTACH I ZDJĘCIACH. ZACHOWAJ WSZYSTKO W TAJEMNICY. SPODZIEWAJ SIĘ WIELKICH REWELACJI.
> AKELEY

To, że tak szybko otrzymałem odpowiedź – naoczny dowód, że mój telegram istotnie dotarł do domu Akeleya czy to przez listonosza, czy przez naprawioną już linię telefoniczną – uwolnił mnie od resztek podświadomych wątpliwości, jakie mogłem jeszcze żywić w związku z autorstwem zdumiewającego listu. Wyraźnie mi ulżyło – chyba nawet bardziej, niż się spodziewałem, wątpliwości owe dręczyły mnie bowiem bardzo głęboko. Tej nocy wyspałem się za wszystkie czasy – następne dwa dni spędziłem zaś na pilnych przygotowaniach do wyjazdu.

## VI

W środę wyruszyłem zgodnie z planem, z walizką pełną drobiazgów niezbędnych w podróży oraz materiałów naukowych – wśród nich znalazł się także walec z odrażającym nagraniem, fotografie i cały plik listów od Akeleya. Uczyniłem zadość jego życzeniu i nie zdradziłem nikomu, dokąd się wybieram; jakkolwiek bowiem nie dało się zaprzeczyć, że w całej sprawie nastąpił korzystny zwrot, należało zachować ją w najgłębszym sekrecie. Myśl o kontakcie z obcą, pozaziemską formą istnienia z trudem mieściła się

nawet w moim wytrenowanym i w pewnej mierze przygotowanym na nią umyśle – a cóż powiedzieć o nieuświadomionych, niespodziewających się niczego laikach! Sam już nie wiem, jakie uczucie brało we mnie górę – trwoga czy raczej oczekiwanie wielkiej przygody – gdy przesiadałem się w Bostonie do drugiego pociągu i ruszałem w długą drogę na zachód, coraz dalej od znanych, swojskich okolic, mijając coraz mniej znajome stacje: Waltham, Concord, Ayer, Fitchburg, Gardner, Athol…

Do Greenfield dotarłem z siedmiominutowym opóźnieniem, ale na szczęście północny ekspres czekał jeszcze na stacji. Przesiadłem się w pośpiechu, wagony zastukotały po szynach – i wnet w blasku wczesnego popołudnia za oknami roztoczył się pejzaż, o którym wiele czytałem, ale jeszcze nigdy nie widziałem go na własne oczy. Chłonąłem ten widok z dziwnie zapartym tchem. Wciąż byłem w Nowej Anglii – o ileż jednak bardziej staroświeckiej i prymitywnej niż południowa, nadmorska Nowa Anglia, zmechanizowana i zurbanizowana, w której spędziłem całe swoje życie. Wkraczałem do dziewiczej krainy przodków, nietkniętej jeszcze ręką nowoczesności, nieskalanej przez cudzoziemców, dymy fabryk, tablice reklamowe i betonowe drogi. Możliwe, że uchowali się tu jeszcze tacy, co żyją osobliwie, po dawnemu, wrośnięci w ten pejzaż głęboko, prawdziwie niczym drzewa – po dawnemu, czyli podług dziwnych, prastarych wspomnień, użyźniając ziemię widmowym i cudownym próchnem nieczęsto wypowiadanych na głos wierzeń.

Co pewien czas łyskała do mnie błękitnie rzeka Connecticut; wreszcie przekroczyłem ją, minąwszy Northfield. Na wprost majaczyła zielona linia tajemniczych wzgórz. Wkrótce nadszedł konduktor i poinformował mnie, że jestem już w Vermoncie. Polecił mi też cofnąć zegarek o godzinę – do tej północnej, wzgórzystej krainy nie dotarły jeszcze takie nowomodne wynalazki jak czas letni i zimowy. Przesuwając wskazówkę, miałem wrażenie, jakbym cofał kalendarz o całe stulecie.

Pociąg jechał wzdłuż rzeki. Na drugim brzegu, już na terenie stanu New Hampshire, zauważyłem stromy stok góry Wantastiquet, o której z dawien dawna krążyły osobliwe legendy. Później po mojej lewej ręce pojawiły się ulice, po prawej zaś, na rzece, ujrzałem zieloną wyspę. Pasażerowie zaczęli wstawać i tłoczyć się przy drzwiach, ruszyłem przeto ich śladem. Pociąg stanął – i nie minęła chwila, a znalazłem się na długim, krytym peronie stacji Brattleboro.

Rozejrzałem się po zaparkowanych przy dworcu samochodach, nim jednak zdołałem odszukać Akeleyowego forda, ktoś wypatrzył mnie w tłumie podróżnych. Człowiek, który podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i spytał grzecznie, czy ma przyjemność z panem Albertem N. Wilmarthem z Arkham, ani trochę nie przypominał jednak Akeleya – nie był to szpakowaty brodacz, jakiego pamiętałem ze zdjęcia, tylko młodszy, po miejskiemu wyglądający mężczyzna, modnie ubrany, z twarzą przyozdobioną jedynie drobnym, ciemnym wąsikiem. Jego kulturalny głos z lekka mnie zaniepokoił, odniosłem mgliste wrażenie, że skądś go już znam – nie umiałem sobie jednak przypomnieć, w jakich okolicznościach go słyszałem.

Kiedy mu się przyglądałem, mężczyzna pospieszył z wyjaśnieniem, że jest

znajomym mego przyszłego gospodarza i przyjechał z Townshend w jego imieniu. Oznajmił, że Akeley doznał niespodziewanego ataku astmy i nie czuje się na siłach, by wychodzić na świeże powietrze. Nie jest to jednak nic poważnego i w planach związanych z mą wizytą nic się nie zmieniło. Słuchając wyjaśnień pana Noyesa – tak się bowiem przedstawił – nie umiałem się zorientować, jak dalece jest poinformowany o dociekaniach i odkryciach Akeleya, lecz domyśliłem się po sposobie bycia, że jest raczej przyjezdny. Trochę mnie zaskoczyło, że taki pustelnik jak Akeley zdołał błyskawicznie wezwać na pomoc odległego znajomego, ale nie dałem po sobie nic poznać i wsiadłem do wskazanego samochodu. Nie był to mały, wysłużony gruchot, jakiego spodziewałem się po opisach Akeleya, lecz wielki, nowoczesny, nieskazitelnie czysty wóz – najwyraźniej własność pana Noyesa. Tablica rejestracyjna wskazywała na stan Massachusetts i przystrojona była tegorocznym krzykiem mody: zabawnym wizerunkiem „świętego dorsza”. Doszedłem do wniosku, że mój przewodnik jest po prostu letnikiem i przyjechał w okolice Townshend na wypoczynek.

Noyes usiadł za kierownicą i ruszył bez zwłoki. Okazał się nieszczególnie gadatliwy, co mnie akurat cieszyło – w powietrzu unosiło się specyficzne napięcie, które odbierało mi ochotę do rozmowy. Pomknęliśmy w dół stokiem wzgórza i skręciliśmy w prawo, w główną ulicę. Miasteczko wyglądało niezwykle uroczo: drzemało sobie w popołudniowym słońcu, jak to mają w zwyczaju stare nowoangielskie miasta, a kontur dachów, iglic, kominów i ceglanych ścian wskrzesił we mnie wspomnienia z lat chłopięctwa i trącił skrytą głęboko strunę najpierwotniejszych ojczystych uczuć. Nie miałem wątpliwości, że znalazłem się u bram krainy na poły zaczarowanej przez zastały, nawarstwiony czas – krainy, w której to, co stare i dziwne, mogło trwać i róść bez przeszkód, nie niepokojone przez nikogo.

Gdy zostawiliśmy za sobą Brattleboro, moje napięcie i złe przeczucia jeszcze się nasiliły – zewsząd jęły bowiem napierać wyniosłe stoki wzgórz mieniące się zielenią traw i szarością granitu, a cały ten pejzaż miał w sobie coś mgliście złowieszczego, jak gdyby ktoś wciąż, od niepamiętnych czasów, skrywał tu ponure sekrety i mógł żywić względem ludzi nader niejasne zamiary. Co pewien czas jechaliśmy wzdłuż szerokiej, płytkiej rzeki płynącej z jakichś nieznanych wzgórz na północy – i aż zadrżałem, gdy mój towarzysz poinformował mnie, że jest to West River. Doskonale pamiętałem z gazetowych notatek, że to właśnie jedna z tych rzek, w których po powodzi widziano zwyrodniałe krabowate monstra.

Okolica dziczała i wyludniała się coraz bardziej. U podnóży wzgórz wynurzały się z mroków przeszłości archaiczne kryte mosty, a nad zapuszczoną linią kolejową, która biegła wzdłuż rzeki, wrażenie opustoszałości gęstniało w dotykalną niemal mgławicę. Dolina ciągnęła się wspaniałymi zakolami u stóp urwistych stoków; spomiędzy zieloności spowijającej górskie granie wyzierały surowe, szare wręby dziewiczego nowoangielskiego granitu. W wąwozach szumiały nieokiełznane potoki niosące w swych wodach niewyobrażalne sekrety wprost z tysiąca nietkniętych ludzką stopą szczytów. Droga nasza rozgałęziała się niekiedy: wąziutkie odnogi odchodziły w bok i wgryzały się w zwartą, bujną gęstwę

odwiecznej puszczy, w której być może czają się całe zastępy widmowych żywiołaków. Przyglądając się tym znikliwym dróżkom, przypomniałem sobie, że właśnie na tej drodze nękali Akeleya niewidoczni agenci – i nie wątpiłem już ani trochę, że naprawdę tak było.

Staroświecka, malownicza wioska Newfane, którą minęliśmy po niespełna godzinie jazdy, była na naszej trasie ostatnim w miarę ludnym miejscem, ostatnią placówką świata, gdzie człowiek może czuć się jak u siebie. Minąwszy, ją straciliśmy wszelki kontakt z tym, co znajome, namacalne i poddane działaniu czasu, wkroczyliśmy zaś do świata ściszonego i nierzeczywistego, jak z fantastycznej baśni. Wąska wstążka drogi to pięła się, to opadała ostrymi zygzakami śród bezludnych zielonych wierzchołków i na poły opuszczonych dolin, jak gdyby wiedziona jakimś kapryśnym rozmysłem. Nie licząc warkotu silnika i gwaru samotnych farm, które z rzadka zdarzało nam się mijać, jedynym dźwiękiem, jaki docierał do mych uszu, był podstępny szmer strumieni bijących z niezliczonych krynic i toczących swe dziwne wody przez widmowe leśne ostępy.

Sklepione, karłowate wzgórza zamykały drogę w tak mocnym uścisku, że z wrażenia aż zapierało mi dech. Stromizna i urwistość tych wzniesień były jeszcze większe niż sobie wyobrażałem na podstawie opowieści; nie dało się ich porównać z niczym, co istnieje w naszym swojskim, prozaicznym świecie. Miałem wrażenie, że w gęstej, nieprzebytej puszczy porastającej te niedostępne stoki roi się od niesamowitych, nieziemskich stworów; ba, nawet sama linia wzgórz zdawała się nieść dziwne, zapomniane w mroku wieków sensy – były to jakby olbrzymie hieroglify pozostawione przez prawiecznych tytanów, którzy żyją już tylko w szeptanych pogłoskach, a ongisiejszą chwałę odzyskują jedynie w najrzadszych, najgłębszych przyśnieniach. Legendy przeszłości, oszałamiające domysły na temat listów i znalezisk Akeleya, cel mej wizyty, zatrważające anomalie, które miała ona przede mną odsłonić – wszystko to wzbierało w mej pamięci, potęgując napięcie i poczucie zagrożenia, aż wreszcie przeszyło mnie tak lodowatym sztychem, że omal nie odeszła mnie ochota do tajemnych dociekań.

Mój przewodnik chyba zauważył, że się denerwuję, bo im głębiej droga zanurzała się w leśny gąszcz, im bardziej zwalnialiśmy i trzęśliśmy się na wybojach, tym częściej raczył mnie uprzejmymi komentarzami – aż w końcu rozgadał się na dobre. Zachwalał niesamowitą urodę tutejszych stron, objawił też pewne rozeznanie w folklorystycznych badaniach mego przyszłego gospodarza. Sądząc po jego grzecznych pytaniach, musiał wiedzieć, że przyjechałem w celach naukowych i wiozę niezwykle cenne materiały – nie zdradził jednak nawet jednym półsłówkiem, że wie, jak głęboką i ohydną wiedzę udało się w końcu posiąść Akeleyowi.

Noyes był tak pogodny, bezpretensjonalny i układny, że jego grzeczne zagajenia w zasadzie powinny były mnie uspokoić i pokrzepić. O dziwo, odniosły jednak efekt wręcz przeciwny: im dalej brnęliśmy w nieznaną, dziką knieję, tym większe narastało we mnie wzburzenie. Chwilami wręcz zdawało mi się, że stara się wybadać, jak głęboko jestem wtajemniczony w potworne sekrety dookolnych stron, każde zaś zdanie, jakie padało z jego ust, umacniało mnie w poczuciu, że jego głos – miły, kulturalny, na pozór

niemający w sobie nic niepokojącego – jest mi w mglisty, drażniący, zdumiewający sposób znajomy. Nie był jednak bynajmniej nieszkodliwie swojski – przeciwnie, odnosiłem wręcz wrażenie, że słyszę w nim echo zapomnianych koszmarów, czułem, że gdybym go rozpoznał, nie ostałbym się przy zdrowych zmysłach. Gdybym miał na podorędziu przyzwoitą wymówkę, kazałbym mu chyba zawrócić i odwieźć się na stację. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy – pocieszałem się przeto, że racjonalna naukowa rozmowa z Akeleyem pomoże mi wziąć się w garść.

Uspokajał mnie też zresztą dookolny pejzaż oglądany w trakcie fantastycznych podjazdów i nurkowań po stromych stokach wzgórz – miał w sobie pierwiastek prawdziwie kosmicznego piękna, który działał dziwnie hipnotyzująco. Czas pozostał gdzieś za nami, zgubiliśmy go, klucząc w labiryncie wzgórz – wokół nas, jak okiem sięgnąć, ścieliła się już tylko kwietnymi falami czarowna, wskrzeszona uroda znikłych stuleci: chyliły się ku ziemi wiekowe gaje, nieskalane pastwiska okalała radosna roztęcz jesiennego kwiecia, na pionowych ścianach urwisk krzewił się gąszcz wiechlin i wrzośców, u ich stóp zaś, w cieniu olbrzymich drzew, kuliły się gdzieniegdzie brązowe chatki i szopy miejscowych farmerów. Nawet słońce lśniło jakby nadziemskim blaskiem, jak gdyby całą okolicę spowijała osobna, szczególna atmosfera. Nigdy dotąd nie widziałem niczego równie magicznego – chyba że na płótnach włoskich prymitywów: Sodoma i Leonardo wyczarowywali niekiedy podobne przestrzenie, lecz umieszczali je w tle, trzeba było ich szukać w głębokiej oddali, gdzieś między kolumnami renesansowych arkad. My z Noyesem natomiast przemykaliśmy niejako przez sam środek takiego obrazu, jak gdyby zmaterializował go nagle wokół nas jakiś nekromanta – ja zaś czułem, że znam ten pejzaż doskonale, przypominam go sobie naturalną, dziedziczną pamięcią, i że odnalazłem w nim coś, czego zawsze daremnie szukałem.

Wreszcie, gdy wjechaliśmy szerokim łukiem na szczyt stromego wzgórza, samochód nagle się zatrzymał. Po mojej lewej ręce, przy samej drodze zaczynał się schludny, okolony pobielonymi kamieniami trawnik, a za trawnikiem stał biały jednopiętrowy dom z poddaszem, jak na tę okolicę niepospolicie wielki i elegancki. Zza domu wyłaniał się szereg stodół i szop, stykających się bądź połączonych arkadami, po prawej stronie stał wiatrak. Całe miejsce od razu rozpoznałem ze zdjęcia, nie zdziwiłem się tedy, gdy spostrzegłem, że stojąca na poboczu skrzynka pocztowa z galwanizowanego żelaza podpisana jest nazwiskiem Henry’ego Akeleya. Za domem rozpościerał się pas bagnistych, porośniętych rzadkim lasem nieużytków, dalej zaś wznosił się stromy, gęsto zalesiony stok wzgórza zwieńczony strzępiastą granią. Najwidoczniej znaleźliśmy się już w połowie wysokości Mrocznej Góry, porośnięta zaś krzakami grań była jej wierzchołkiem.

Noyes wysiadł z samochodu, wziął moją walizkę i poprosił, bym chwilę zaczekał, podczas gdy on zaanonsuje Akeleyowi moje przybycie. Stwierdził, że wzywają go pilne sprawy i nie może zostać z nami dłużej. Gdy oddalił się szybkim krokiem w stronę domu, wysiadłem z auta, by przynajmniej odrobinę rozprostować nogi przed długim posiedzeniem z gospodarzem. A więc wreszcie znalazłem się w miejscu, w którym wedle listów Akeleya

rozgrywały się makabryczne utarczki – poczułem, że napięcie nerwów znów wzmaga się we mnie do ostatecznych granic. Na myśl o tym, że poprzez nasze rozmowy niebawem zadzierzgnę więź z pozaziemskimi, zakazanymi światami, ogarniała mnie najprawdziwsza trwoga.

Bliski kontakt ze zjawiskiem dziwnym i niesamowitym częściej działa na nas paraliżująco niż inspirująco. Nie spodobała mi się myśl, że pylista droga, na której właśnie stoję, w bezksiężycowe noce staje się widownią śmiertelnych i przerażających wypadków, a z rana pokrywa się potwornymi tropami i cuchnącą zieloną posoką. Przy okazji spostrzegłem, że nie widać nigdzie psów gospodarza. Czyżby je sprzedał, gdy tylko Zewnętrzni zawarli z nim pokój? Mimo najszczerszych chęci nie mogłem uwierzyć, że uczynili to uczciwie i z przekonaniem – nie stać mnie było na taką ufność, jaką okazał Akeley w swym ostatnim, dziwacznie odmienionym liście. Był to zresztą człowiek prostoduszny, nieobyty w świecie. Nie mógłże ów rozejm skrywać jakichś tajnych i złowieszczych planów?

Wzrok mój podążył w ślad za myślami i skierował się na pył drogi, w którym tylekroć odciskały się ohydne świadectwa równie ohydnych wydarzeń. Od kilku już dni nie padało, toteż mimo że droga była rzadko uczęszczana, wśród bruzd i kolein roiło się od najróżniejszych śladów. Wiedziony nieokreśloną ciekawością począłem bacznie przyglądać się zarysom paru różnych odcisków, usiłując jednocześnie zdławić wspomnienia związane z tym miejscem i powściągnąć wodze makabrycznej fantazji. Panujący dookoła bezruch był iście pogrzebowy – doprawdy, było coś nieznośnego w stłumionym, delikatnym szmerze dalekich potoków, było coś złowróżbnego w przepaścistych, porośniętych czarną puszczą grzbietach tłoczących się na wąskim widnokręgu.

I wtedy w świadomość moją wraził się widok, który sprawił, że wszystkie mgliste, złowieszcze przeczucia skurczyły się do rozmiarów niewinnych igraszek wyobraźni. Jak wspomniałem, odciśniętym w pyle drogi tropom przyglądałem się jedynie z błahej ciekawości – lecz ciekawość ta prysła w mgnieniu oka, zmieciona nagłą, paraliżującą falą najżywszej grozy. Jakkolwiek bowiem ślady splatały się w zagmatwany gąszcz, w którym przypadkowe spojrzenie nie wychwyciłoby nic szczególnego, moją niespokojną uwagę przykuły ciekawe szczegóły na poboczu, w pobliżu miejsca, gdzie zaczynała się ścieżka wiodąca do domu – i natychmiast, bez cienia wątpliwości, szczegóły owe objawiły mi się w całej głębi swego straszliwego sensu. Niestety! Nie na darmo prześlęczałem tyle godzin nad przysłanymi przez Akeleya zdjęciami. Aż za dobrze znałem odciski tych ohydnych szczypiec, aż za dobrze pamiętałem, jak trudno określić, w którą kierują się stronę, i że niczego równie potwornego niepodobna znaleźć wśród swojskich, ziemskich stworzeń. Prawda była bezlitosna – nie mogłem się mylić. Oto widziałem na własne oczy, w rzeczywistej, namacalnej postaci, dosłownie u swych stóp, przynajmniej trzy takie szczypcowate tropy – wyróżniały się bluźnierczo w zaskakująco obfitej gmatwaninie niewyraźnych śladów wiodącej w obie strony przydomową ścieżką. Były to piekielne ślady rozumnych grzybów z Yuggoth.

Z trudem zdusiłem krzyk. W zasadzie czyż nie tego właśnie oczekiwałem –

zakładając, że naprawdę wierzyłem w to, o czym donosił Akeley w listach? Napisał przecież, że zawarł z tymi stworami pokój. Czyż więc należało się dziwić, że jeden z nich odwiedził go w domu? Groza była jednak zbyt silna, by dało się ją zagłuszyć podobnym rozumowaniem. Czy ktokolwiek zdołałby zachować spokój, ujrzawszy po raz pierwszy ślady żywych przybyszów z głębin pozaziemskiej przestrzeni? W tym momencie ujrzałem Noyesa: wyszedł z domu i ruszył ku mnie żwawym krokiem. Muszę się jakoś opanować – pomyślałem. – Być może ten sympatyczny jegomość nie ma bladego pojęcia o tym, że Akeley zagłębił się w świat rzeczy niesłychanych i zakazanych.

Noyes pospieszył poinformować mnie, że Akeley jest rad z mego przybycia i gotów się ze mną zobaczyć. Niestety z powodu rzeczonego ataku astmy przez dzień lub dwa nie będzie w stanie wywiązać się w pełni z obowiązków gospodarza. Te nawroty choroby są bardzo dotkliwe, niezmiennie towarzyszy im też silna gorączka i ogólne osłabienie. Akeley ciężko je znosi – musi mówić szeptem, jest bardzo słabowity i niedołężny. Puchną mu też stopy i kostki, toteż musi się bandażować niczym stary artretyk. Dziś jest wyjątkowo niedysponowany, prosi więc, bym sam rozgościł się w domu, niemniej z przyjemnością zaprasza na rozmowę. Znajdę go w gabinecie, po lewej stronie frontowego korytarza; pokój łatwo poznać po spuszczonych zasłonach. W okresach choroby Akeley musi chronić się przed słońcem, ponieważ oczy ma wówczas bardzo wrażliwe na światło.

Noyes pożegnał mnie wreszcie i odjechał na północ swym samochodem, ja zaś ruszyłem z wolna w stronę domu. Drzwi stały otworem, lecz nim wszedłem do środka, rozejrzałem się bacznie po obejściu, usiłując dociec, czemu wydaje mi się ono tak nieuchwytnie dziwaczne. Zabudowania gospodarskie były zwyczajne i schludne, w uchylonych drzwiach przestronnej szopy dostrzegłem też poobijanego forda. Raptem sekret dziwności Akeleyowego gospodarstwa objawił mi się w całej pełni. Otóż panowała w nim absolutna cisza. Farmy są zazwyczaj hałaśliwe, zwierzęta gospodarskie wypełniają je mniej lub bardziej donośnym gwarem – tutaj nie było ani śladu jakiegokolwiek życia. Gdzie podziały się kury, świnie? Krowy, których Akeley posiadał ponoć kilka, być może pasły się właśnie na łące, psy zaś mógł sprzedać – ale to, że nie było słychać żadnego gdakania czy pochrząkiwania, było doprawdy osobliwe.

Nie zabawiłem na ścieżce zbyt długo; jakkolwiek kosztowało mnie to sporo psychicznego wysiłku, zdecydowanym krokiem wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Zaledwie to uczyniłem, ogarnęło mnie nagłe pragnienie ucieczki. Nie dlatego iżbym dostrzegł wokół siebie coś niezdrowego – wręcz przeciwnie, późnokolonialny korytarz wydał mi się urządzony z wielkim znawstwem i smakiem, widać było, że mieszka tu człowiek niepospolitej kultury. Chęć ucieczki spowodowana była czymś słabiutkim i nieokreślonym… może po prostu dziwacznym zapachem, który zdawał się wypełniać cały dom – choć przecież wiedziałem, że nawet w najlepiej utrzymanych starych wiejskich domach woń stęchlizny bynajmniej nie jest rzadkością.

# VII

Nie pozwoliłem jednak, by niewyraźne obawy wzięły nade mną górę. Przypomniawszy sobie instrukcje Noyesa, odnalazłem po lewej stronie sześciopanelowe białe drzwi i nacisnąłem mosiężną klamkę. Zgodnie z zapowiedzią pokój był zaciemniony. Zauważyłem, że w środku dziwny zapach jest silniejszy. Odniosłem też wrażenie, że powietrze w pokoju wypełnione jest leciuteńkim, na poły słyszalnym, rytmicznym wibrowaniem. Przez chwilę musiałem przyzwyczaić wzrok do półmroku, zaraz jednak rozległo się przepraszające chrząknięcie czy szepnięcie, które skierowało mą uwagę ku wielkiemu, głębokiemu fotelowi w odległym, ciemnym kącie pomieszczenia. W gęstym półmroku dojrzałem trzy blade plamy – twarz i dłonie siedzącego mężczyzny. Zbliżyłem się, by się przywitać. W słabiutkim świetle sączącym się przez zaciągnięte zasłony dostrzegłem, że w istocie jest to mój gospodarz. Wielekroć oglądałem jego fotografię i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że mam przed sobą tę samą zdecydowaną i ogorzałą twarz ze szpakowatą, krótko przystrzyżoną brodą.

Wszelako już po krótkiej chwili widok ten zasmucił mnie i zaniepokoił – z całą pewnością była to bowiem twarz człowieka ciężko chorego. Przyglądałem się jej napiętym, sztywnym, znieruchomiałym rysom, patrzyłem w szkliste, niemrugające oczy i czułem, że nie mogą to być objawy pospolitej astmy. Zrozumiałem już, jak straszliwie odcisnęły się na tym człowieku doświadczenia ostatnich miesięcy. Nie byłyż one dość okropne, by złamać każdą istotę ludzką, nawet młodszą niż ten nieustraszony badacz zakazanych spraw? Zacząłem się obawiać, że dziwna, nieoczekiwana ulga, o jakiej Akeley doniósł mi w ostatnim liście, nadeszła zbyt późno, by ochronić go przed ogólnym załamaniem. Trudno było się nad nim nie użalić, gdy widziało się jego szczupłe dłonie leżące bez siły na kolanach. Akeley ubrany był w luźny szlafrok, a głowę i szyję miał owinięte szalem czy kapturem jaskrawożółtej barwy.

Nagle zdałem sobie sprawę, że starzec próbuje coś do mnie powiedzieć, tym samym skrzypliwym szeptem, którym mnie przywitał. Zrazu trudno było ów szept usłyszeć, bo wszelkie ruchy warg maskował siwy wąs, jego brzmienie zresztą wielce mnie zaniepokoiło; wytężywszy słuch, rychło zacząłem jednak rozróżniać poszczególne słowa, i to z zaskakującą łatwością. Wymowa Akeleya nie zdradzała ani śladu wiejskiego akcentu, zaś dobór słów był jeszcze bardziej wyszukany, niż oczekiwałem na podstawie jego listów.

„Pan Wilmarth, jak mniemam? Proszę wybaczyć, że nie wstaję. Pan Noyes zapewne uprzedził pana, że się rozchorowałem. Nie mogłem sobie jednak odmówić przyjemności zaproszenia pana. Pamięta pan, co pisałem w mym ostatnim liście – jutro, gdy już lepiej się poczuję, będę miał panu wiele do opowiedzenia. Brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo się cieszę, że po tej długiej wymianie korespondencji wreszcie widzę pana osobiście. Ma pan ze sobą, jak sądzę, moje listy, zdjęcia, nagranie? Noyes zostawił pańską walizkę w korytarzu – zapewne ją pan widział. Obawiam się, że dziś musi pan sobie radzić sam. Pański pokój znajduje się na piętrze, dokładnie nad moim.

Łazienka jest na wprost schodów – znajdzie ją pan, drzwi są otwarte. W jadalni czeka na pana posiłek – za tymi drzwiami po pańskiej prawej ręce; może pan zjeść, kiedy tylko ma pan ochotę. Jutro będę lepszym gospodarzem – dziś jestem zupełnie wyzuty z sił.

Proszę, niech pan czuje się jak u siebie w domu. Zanim pójdzie pan na górę z walizką, może pan zostawić tu, na stole, moje listy, zdjęcia i nagranie. Będziemy o nich rozmawiać tutaj – o, proszę, tam w kącie stoi fonograf.

Nie, dziękuję, proszę się mną nie kłopotać. Dobrze znam te swoje starcze zapaści. Proszę tylko jeszcze wpaść do mnie wieczorem, pogawędzimy sobie chwileczkę – potem może pan udać się na spoczynek, kiedy tylko pan zechce. Ja zostanę tutaj – może prześpię całą noc w fotelu, jak to mam w zwyczaju. Rankiem stanę na nogi i wreszcie będziemy mogli przejść do sedna. Rozumie pan zapewne, jak niesłychane są to sprawy. Wkrótce otworzą się przed nami – jako jedynymi z niewielu ludzi na całym świecie – otchłanie czasu, przestrzeni i wiedzy, o jakich nie śniło się człowieczej nauce i filozofii.

Czy pan wie, że Einstein się mylił i że pewne przedmioty i siły mogą poruszać się z chyżością większą od chyżości światła? Z odpowiednią pomocą wkrótce może wybiorę się w podróż w czasie i zobaczę na własne oczy, tudzież poczuję na własnej skórze, jak wyglądała i wyglądać będzie Ziemia w odległych epokach. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wysoko te istoty rozwinęły swą naukę. Z umysłem i ciałem żywego organizmu potrafią zrobić wszystko. Spodziewam się, że odwiedzę inne planety, może nawet inne gwiazdy i galaktyki. Wpierw udam się na Yuggoth, najbliższe siedlisko tych istot. To dziwny, ciemny glob na samym skraju Układu Słonecznego. Ziemscy astronomowie nie wiedzą jeszcze o jego istnieniu. Zresztą na pewno panu o tym pisałem. Jak pan już wie, w stosownym momencie istoty te skierują ku nam swe prądy myślowe i spowodują, że Yuggoth zostanie odkryte – być może oddelegują też któregoś ze swych ziemskich sprzymierzeńców, by podsunął naszym uczonym odpowiednią wskazówkę.

Na Yuggoth znajdują się potężne miasta – wielkie skupiska tarasowych wież z czarnego kamienia, dokładnie takiego jak owa próbka, którą chciałem panu wysłać. Słońce świeci tam nie jaśniej niż zwyczajna gwiazda, istoty te obywają się jednak bez światła. Dysponują innymi, subtelniejszymi zmysłami, a swe wielkie domy i świątynie budują bez okien. Co więcej, światło im szkodzi, utrudnia orientację, albowiem tam, skąd pochodzą, w czarnym kosmosie poza czasem i przestrzenią, mroku nie rozświetla najsłabszy nawet promyk. Gdyby zabrać na Yuggoth człowieka o słabych nerwach, pewnikiem by oszalał – ale ja się tam wybieram. Ach, ujrzeć te rzeki czarne jak smoła, te tajemnicze cyklopowe mosty – budowle wzniesione przez jakąś jeszcze starszą, zapomnianą rasę, która wymarła, zanim te istoty przybyły na Yuggoth z najskrajniejszych próżni… kto zachowałby dość zdrowych zmysłów, by opisać ten widok, stałby się nowym Dantem lub Poem!

Proszę jednak pamiętać: ten mroczny świat grzybowatych ogrodów i miast bez okien tak naprawdę wcale nie jest straszny. To tylko nam się tak wydaje. Być może dla tych istot równie straszliwy był nasz świat, gdy ujrzały go po

raz pierwszy w niepamiętnych czasach. Wszak pamięta pan, że przybyły tutaj, zanim jeszcze dobiegła końca bajeczna epoka Cthulhu – wie pan wszystko o zatopionym R'lyeh, wznoszącym się jeszcze wówczas nad wodami. Oni osiedlili się również pod ziemią – mają swoje zejścia, o których ludzie nie mają pojęcia, nawet tu, w Vermoncie, na tych wzgórzach... A tam, pod nami, są wspaniałe światy pełne nieznanego życia: skąpane w błękitnym świetle K'n-yan, Yoth w świetle czerwonym, tudzież spowite najczarniejszym mrokiem N'kai. To właśnie z N'kai przybył straszliwy Tsathoggua – wie pan, ów bezkształtny, ropuchokształtny półbóg, o którym wspomina się w Rękopisach Pnakotycznych, *Necronomiconie* oraz w cyklu mitów z Commoriom, przechowanym przez Klarkash-Tona, arcykapłana Atlantydów.

Ale odłóżmy tę rozmowę na potem. Późno już, dochodzi pewnie czwarta lub piąta. Proszę, niechże pan przyniesie tu moje rzeczy, przegryzie coś, a potem wróci tu do mnie na miłą pogawędkę".

Bardzo powoli zacząłem wypełniać polecenia mego gospodarza: wziąłem walizkę, wyciągnąłem z niej rzeczone przedmioty i pozostawiłem je na stole, wreszcie opuściłem gabinet i udałem się do mego pokoju. Wciąż miałem przed oczyma odcisk szczypiec na poboczu, toteż szeptana przemowa Akeleya wywarła na mnie przedziwne wrażenie; na myśl o tym, że nieobce jest mu zakazane Yuggoth – mroczna kraina zamieszkana przez grzybowate istoty – dosłownie cierpła mi skóra. Było mi niewymownie przykro, że Akeley niedomaga, muszę jednak wyznać, że jego chrapliwy szept brzmiał w mych uszach tyleż żałośnie, co nienawistnie. Gdybyż tylko nie napawał się aż tak bardzo myślą o Yuggoth i jego czarnych tajemnicach!

Pokój, gdzie miałem nocować, okazał się gustownie urządzony i bardzo przytulny; nie wyczuwało się w nim ani zapachu stęchlizny, ani niepokojącej wibracji. Zostawiłem tam walizkę i zszedłem na dół, by pozdrowić Akeleya i zjeść posiłek, który dla mnie przygotował. Jadalnia sąsiadowała z gabinetem, za jadalnią zaś, w tej samej linii, znajdowała się kuchnia. Na stole w jadalni znalazłem stos kanapek, ciasto i ser, obok stała też filiżanka na spodeczku i termos – Akeley nie zapomniał więc również o gorącej kawie. Zjadłem ze smakiem kanapki i szczodrze napełniłem filiżankę – już po pierwszym łyku okazało się jednak, że pod tym akurat względem mój gospodarz się nie spisał: kawa była nieprzyjemnie cierpka, toteż nie tknąłem jej więcej. Podczas posiłku myślałem o Akeleyu siedzącym w wielkim fotelu w zaciemnionym pokoju za ścianą. Zaszedłem nawet do niego i zaproponowałem, by się do mnie przyłączył, wyszeptał jednak, że na razie nie może nic jeść; później, przed snem, napije się trochę słodowanego mleka – będzie to jego jedyny dzisiejszy posiłek.

Po obiedzie zaproponowałem, że posprzątam po sobie i umyję naczynia; wykorzystując okazję, wylałem do zlewu resztę kawy. Potem wróciłem do ciemnego gabinetu, przysunąłem sobie krzesło do fotela swego gospodarza i czekałem, aż zacznie rozmowę. Listy, zdjęcia i nagranie leżały na dużym stole pośrodku, tak jak je zostawiłem, wszelako na razie nie były nam potrzebne. Nie minęło wiele czasu, a zapomniałem nawet o dziwacznym zapachu i osobliwej, ledwie wyczuwalnej wibracji.

Wspominałem pierwej, że w listach Akeleya – zwłaszcza w drugim, najobszerniejszym – wyczytałem rzeczy, których nie ośmieliłbym się zacytować ani nawet streścić na papierze. Tym większe wszelako ogarnia mnie wahanie, gdy przypomnę sobie to wszystko, co zdradził mi tamtego wieczoru, gdyśmy siedzieli w zaciemnionym pokoju śród odludnych, nawiedzonych wzgórz. Nawet w największym przybliżeniu nie umiałbym wyrazić, jaki bezmiar kosmicznych zgróz odsłonił wtedy przede mną swym chrypiącym szeptem. Akeley już wprzódy wiedział o wielu wstrętnych sprawach – lecz to, czego dowiedział się teraz, zawiązując swój pakt z Zewnętrznymi Istotami, zakrawało wręcz na szaleństwo. Nawet dziś jeszcze bezwzględnie odrzucam jego teorie na temat struktury ostatecznej nieskończoności oraz wymiarów równoległych, do dziś nie mogę i nie chcę uwierzyć, że nasza przestrzeń kosmiczna jest tylko przerażająco małym atomem powiązanym z innymi kosmosami w niekończący się łańcuch, w superkosmos krzywizn i płaszczyzn o materialnej i półmaterialnej budowie elektronowej.

Żaden zdrowy na umyśle człowiek jeszcze nigdy nie znalazł się bliżej fundamentalnej tajemnicy bytu – żaden organiczny mózg nie był bliższy ostatecznej zatraty śród chaosu, który przekracza formę, siłę i symetrię. Dowiedziałem się, skąd wpierw wziął się Cthulhu i czemu rozbłysła w kosmosie większość wielkich nowych i supernowych. Domyśliłem się – z sugestii, które nawet memu informatorowi z trudem cisnęły się na usta – jaki sekret kryje się w Obłokach Magellana i we wnętrzu planetarnych mgławic, odgadłem również czarną prawdę ukrytą w niepamiętnej alegorii Tao. Poznałem na wskroś naturę Doelów, dowiedziałem się też, jaka jest istota (lecz nie pochodzenie) Ogarów z Tindalos. Legenda o Yigu, Ojcu Wężów, przestała być dla mnie przenośnią. A wreszcie wzdrygnąłem się z odrazy, gdy usłyszałem o szalejącym za krzywizną przestrzeni potwornym jądrowym chaosie, który w Necronomiconie ukryto litościwie pod mianem Azathotha. Zaprawdę, straszliwej dostąpiłem wówczas wiedzy! Każdy najwstrętniejszy koszmar z tajemnych mitów Akeley przetłumaczył mi na język konkretnych pojęć, te zaś w swej surowości były bardziej jeszcze nienawistne i schorzałe niźli najśmielsze nawet sugestie starożytnych i średniowiecznych mistyków. Nieuchronnie kiełkowało we mnie przekonanie, że ci, co po raz pierwszy szeptali do siebie te przeklęte klechdy, musieli rozmawiać pierwej z Zewnętrznymi, tak jak Akeley – być może nawet zwiedzali niezgłębione czeluście kosmosu, które mój gospodarz miał ujrzeć niebawem.

LEGENDA O YIGU, OJCU WĘŻÓW, PRZESTAŁA BYĆ DLA MNIE PRZENOŚNIĄ

Dowiedziałem się też, czym jest i co oznacza Czarny Kamień, i byłem rad, że jednak nie dotarł w moje ręce. Aż nazbyt trafnie domyślałem się sensu wyrytych na nim hieroglifów! A przecież Akeley wydawał się już pogodzony z całym tym upiornym systemem, który przed nim odsłonięto – ba, skłonny był nawet zanurzyć się jeszcze głębiej w tę potworną otchłań. Zastanawiałem się, z jakimi istotami rozmawiał od chwili, gdy napisał do mnie swój ostatni list, i czy wiele było wśród nich istot ludzkich, tak samo ludzkich jak wspomniany przezeń pierwszy emisariusz. Nie mogłem już ścierpieć napięcia i natłoku myśli; jąłem też snuć najobłędniejsze teorie na temat dziwacznej, uporczywej woni i ledwie wyczuwalnej, perfidnej wibracji, wypełniających zaciemniony pokój.

Zapadał zmrok – a ja zadrżałem, bo przypomniało mi się, co Akeley pisał o niedawnych nocach, i uświadomiłem sobie, że noc będzie bezksiężycowa. Nie podobało mi się też, że dom jest przycupnięty u stóp olbrzymiego lesistego zbocza wiodącego na niedostępną grań Mrocznej Góry. Za pozwoleniem Akeleya zapaliłem małą lampę naftową, przykręciłem ją i postawiłem na biblioteczce w kącie, obok upiornego popiersia Miltona. Rychło jednak tego pożałowałem, bo teraz napięta, nieruchoma twarz i bezwładne ręce mego gospodarza nabrały odrażającego, trupiego wyglądu. Akeley wydawał się niemal niezdolny do jakiegokolwiek ruchu – choć widziałem, że co pewien czas sztywno kiwa głową.

Po tym, co zdążyłem już usłyszeć, nie mogłem sobie doprawdy wyobrazić, jakież to tajemnice Akeley zostawił dla mnie na jutro; w końcu jednak wyjawił, że głównym tematem naszej następnej rozmowy będzie jego podróż na Yuggoth i jeszcze dalej – być może również w moim towarzystwie. Zgroza, z jaką przyjąłem wieść o swym udziale w tej kosmicznej wyprawie, musiała go rozbawić, bo gdy ujrzał lęk malujący się na mej twarzy, gwałtownie potrząsnął głową. Następnie wyjaśnił mi w najłagodniejszych słowach, jakim sposobem istoty ludzkie mogą doświadczyć – i kilkakroć istotnie doświadczyły – rzeczy na pozór niemożliwej, czyli lotu przez międzygwiezdną próżnię. Okazało się, że nie czynią tego w pełnej cielesnej postaci – dzięki swym niesłychanym kwalifikacjom chirurgicznym, biologicznym, chemicznym i mechanicznym Zewnętrzni nauczyli się przenosić same ludzkie mózgi pozbawione towarzyszącej im struktury fizycznej.

Istnieje otóż bezbolesny sposób wyizolowania mózgu oraz utrzymania całej organicznej reszty przy życiu pod jego nieobecność. Nagą, zwartą substancję mózgową zanurza się następnie w cieczy, co pewien czas uzupełnianej – ciecz owa znajduje się zaś we wnętrzu szczelnego cylindra wykonanego z metalu wydobywanego na Yuggoth. Za pomocą odpowiednich elektrod mózg można podłączyć do skomplikowanych urządzeń imitujących trzy najważniejsze władze ludzkiego umysłu: wzrok, słuch i mowę. Bezpieczne przeniesienie cylindra z mózgiem przez kosmiczny eter to dla tych grzybowatych istot bagatela. Na każdej zamieszkanej przez nie planecie dostępna jest

aparatura, do której można taki cylinder podłączyć i odpowiednio dostroić, toteż na każdym etapie swej wędrówki przez bezkresy i rubieże czasoprzestrzennego kontinuum inteligencja ludzka może dysponować pełnym bogactwem doznań zmysłowych oraz artykułować myśli – jakkolwiek wiedzie żywot bezcielesny i mechaniczny. Cała operacja po prostu nie może się nie udać – jest równie prosta jak przeniesienie walca z nagraniem i odtworzenie go na każdym pasującym doń fonografie. Akeley nie lękał się jej wcale. Czyż nie przeprowadzano jej już nieraz z olśniewającym powodzeniem?

Gdy mój gospodarz wypowiadał te słowa, jedna z jego bezwładnych, wynędzniałych rąk po raz pierwszy uniosła się i wskazała na wysoką półkę w najdalszym kącie pokoju. W schludnym szeregu stało tam przeszło tuzin metalowych cylindrów, wykonanych z metalu, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Mierzyły około jednej stopy wysokości, niespełna stopę średnicy, na przedniej zaś części walcowatego boku miały po trzy gniazda ułożone w równoramienny trójkąt. Każdy cylinder podłączony był dwoma gniazdami z parą osobliwych maszyn stojących z tyłu. Ich przeznaczenie było dla mnie aż nazbyt oczywiste, toteż zadrżałem jak w febrze. Potem ujrzałem, że ręka wskazuje teraz bliższy kąt pokoju, tam zaś stały pospinane ze sobą skomplikowane instrumenty z kablami i wtyczkami, niektóre bardzo podobne do tych na wyższej półce.

„Są tu cztery rodzaje aparatów, Wilmarth – wyszeptał głos. – Cztery rodzaje, każdy zdolny do trzech czynności – razem dwanaście. W tych cylindrach na górze znajdują się cztery różne typy istot: troje ludzi, sześć grzybowatych istot, które nie potrafią podróżować w kosmosie w cielesnej postaci, dwie istoty z Neptuna (Boże! Gdybyś pan tylko zobaczył, jakie ciała oni mają na swej macierzystej planecie!), a pozostałe spoza naszej galaktyki, z jaskiń ukrytych we wnętrzu pewnej wyjątkowo interesującej ciemnej gwiazdy. W głównej placówce, mieszczącej się we wnętrzu Krągłego Wzgórza, czasem bywa jeszcze więcej tych cylindrów i maszyn – cylindrów z mózgami spoza kosmosu, o innych zmysłach niż nasze, sprzymierzeńcami i badaczami z najskrajniejszego Zewnętrza. Specjalne maszyny dostarczają im kilku rodzajów wrażeń i środków ekspresji, dostosowanych zarówno do nich, jak i do możliwości odbiorczych kilku odmiennych gatunków słuchaczy. Krągłe Wzgórze, podobnie jak większość głównych placówek rozrzuconych po najrozmaitszych wszechświatach, to miejsce bardzo kosmopolityczne! Oczywiście wypożyczono mi tutaj w ramach eksperymentu tylko kilka najpospolitszych typów.

Proszę, niech pan sięgnie po te trzy maszyny, które panu wskazuję, i ustawi na stole. Tę wysoką z dwiema szklanymi soczewkami na przedzie, to pudło z rurami próżniowymi i tubą rezonansową, i jeszcze tę z metalowym dyskiem na szczycie. Teraz cylinder z nalepką B-67. Niech pan się wespnie na to windsorskie krzesło, powinien pan dosięgnąć. Ciężki? To nic! Niech pan się nie pomyli – ma być nalepka: B-67. Tym świeżym, lśniącym cylindrem podłączonym do maszyn testowych proszę sobie nie zawracać głowy – to mój, jest już na nim moje nazwisko. Proszę postawić B-67 na stole, tam gdzie postawił pan maszyny. Niech pan się upewni, że gałka

potencjometru na wszystkich trzech maszynach jest przekręcona maksymalnie w lewo.

Teraz proszę podłączyć kabel maszyny z soczewkami do górnego gniazda na cylindrze – o, dobrze, właśnie tam. Maszynę z tubą proszę podłączyć do niższego gniazda po lewej, a aparat z dyskiem do gniazda trzeciego. Teraz proszę przesunąć potencjometry na maszynach maksymalnie na prawo – najpierw na tej z soczewkami, potem na tej z dyskiem, potem na tej z tubą. Świetnie. Powiem panu tylko tyle, że jest to człowiek – dokładnie taki jak my. Z innymi istotami porozmawiamy jutro”.

Do dziś nie pojmuję, czemu byłem tak niewolniczo posłuszny tym szeptom, nie pamiętam też, czy zastanawiałem się nad poczytalnością Akeleya. Po tym, co przeszedłem pierwej, powinienem był być przygotowany na wszystko; cała ta mechaniczna bufonada przypominała jednak popisy szalonych wynalazców czy naukowców, toteż zaczęły kiełkować we mnie wątpliwości, których nie zdołała wzbudzić nawet dotychczasowa rozmowa. To, co sugerował mi ten szepczący starzec, było po prostu nie do uwierzenia – czyż jednak wszystkie poprzednie rewelacje nie były jeszcze bardziej niewiarygodne? Czy nie okazałyby się bardziej jeszcze niesłychane, gdyby pod ręką znalazł się namacalny dowód ich prawdziwości?

Czując, że w głowie narasta mi coraz okropniejszy mętlik, nagle zdałem sobie sprawę, że ze wszystkich trzech maszyn, które połączyłem przed chwilą z cylindrem, dobywa się cicha kakofonia dźwięków – instrumenty warkotały przez chwilę i poskrzypywały, a potem przycichły. Co tu się szykowało? Czyżbym za chwilę miał usłyszeć czyjś głos? A jeśli tak, skąd miałem wiedzieć, że nie jest to tylko sprytnie zmajstrowane urządzenie radiowe, przez które przemówi zmyślnie ukryty obserwator? Nawet dziś nie mógłbym przysiąc, że naprawdę słyszałem to, co słyszałem, ani rozstrzygająco określić, co właściwie rozgrywało się na moich oczach. Z całą pewnością jednak coś naprawdę się tam wydarzyło.

Powiem krótko: maszyna z rurami i głośnikiem zaczęła mówić – sądząc zaś po trybie i treści tej przemowy, mówca ewidentnie znajdował się na miejscu i nas obserwował. Głos brzmiał donośnie, metalicznie, martwo i ponad wszelką wątpliwość wytworzony był mechanicznie; nie miał w sobie ani krzty modulacji ani ekspresji, zgrzytał tylko i terkotał z zabójczą precyzją i namaszczeniem.

„Panie Wilmarth – mówił – mam nadzieję, że pana nie przerażę. Jestem istotą ludzką, tak jak pan, jakkolwiek moje ciało spoczywa teraz bezpiecznie w należycie odżywczym środowisku wewnątrz Krągłego Wzgórza, jakieś półtorej mili na wschód stąd. Jestem jednak tutaj, z panem – mój mózg znajduje się w tym cylindrze, wszystko widzę, słyszę i mogę mówić za pomocą tych elektronicznych oscylatorów. Za tydzień wyruszam w kosmiczną próżnię, tak jak czyniłem to już wielokrotnie, spodziewam się też, że miłego towarzystwa dotrzyma mi pan Akeley. Chciałbym, by i pan do nas dołączył – znam pana z widzenia, sporo o panu słyszałem, bacznie śledziłem korespondencję, jaką prowadził pan z naszym przyjacielem. Jak pan zapewne się domyśla, jestem jednym z tych ludzi, którzy sprzymierzyli się z gośćmi odwiedzającymi naszą planetę. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w

Himalajach, wyświadczyłem im niemałą przysługę. W rewanżu pozwolili mi zakosztować rzeczy dla niewielu ludzi dotychczas dostępnych.

Czy pan rozumie, co to znaczy, że byłem na trzydziestu siedmiu różnych ciałach niebieskich – planetach, ciemnych gwiazdach i innych, trudniejszych do zdefiniowania – w tym ośmiu poza naszą galaktyką i dwu poza najdalszą krzywizną czasu i przestrzeni? Nie poniosłem przy tym najmniejszego nawet uszczerbku. Mózg mój został oddzielony od ciała za pomocą cięć tak zręcznych, że nazwać je chirurgicznymi byłoby grubym uproszczeniem. Nasi goście umieją wykonać taki zabieg łatwo i bezboleśnie, wydaje się on wręcz niepozorny – zaś pozbawione mózgu ciało w ogóle się nie starzeje. Dodałbym jeszcze, że mózg w swym mechanicznym środowisku jest w zasadzie nieśmiertelny – potrzebuje jedynie niewielkiej ilości substancji odżywczych, te zaś zawiera uzupełniany od czasu do czasu płyn konserwujący.

Tak czy inaczej żywię szczerą nadzieję, że zdecyduje się pan wyruszyć w podróż ze mną i panem Akeleyem. Nasi goście z radością zapoznaliby się z tak uczonym człowiekiem, pokazaliby panu wielkie otchłanie, o których większość z nas mogła jedynie roić sobie w czczych fantazjach. Istoty te zrazu mogą wydać się panu dziwne, ufam jednak, że nie ulegnie pan trywialnym uprzedzeniom. Myślę, że wybierze się z nami również pan Noyes – człowiek, który wedle mego mniemania przywiózł pana samochodem. Pan Noyes jest jednym z nas od wielu już lat – przypuszczam, że rozpoznał pan jego głos na nagraniu przysłanym przez pana Akeleya”.

Na te słowa wzdrygnąłem się gwałtownie. Głos urwał na chwilę, a potem mówił dalej:

„A zatem, panie Wilmarth, decyzję pozostawiam panu. Dodam tylko, że człowiekowi tak rozmiłowanemu w folklorze i wszelkich dziwnościach nie wolno tracić takiej szansy. Nie ma powodu do obaw. Wszystkie przejścia z jednego stanu w drugi są bezbolesne, a ze zmechanizowanej formy odczuwania można czerpać niemałą przyjemność. Gdy elektrody zostają rozłączone, zwyczajnie się zasypia – i przeżywa wyjątkowo sugestywne, fantastyczne sny.

A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, zakończymy dzisiejszą sesję. Odłóżmy dalsze rozmowy na jutro. Wystarczy, jeśli przesunie pan wszystkie gałki z powrotem w lewo; kolejność nie grali roli, jednakowoż najlepiej byłoby wyłączyć maszynę z soczewkami jako ostatnią. Dobranoc, panie Akeley – niech pan się dobrze obchodzi z naszym gościem! No, jak tam, gotów pan jest przy tych gałkach?”

To było wszystko. Machinalnie wykonałem polecenie i przekręciłem wszystkie trzy przełączniki, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W tępym oszołomieniu słyszałem, jak Akeley szepcze, że mogę zostawić aparaturę na stole, tak jak stoi. Ani słowem nie skomentował tego, co się wydarzyło – zresztą i tak żaden komentarz nie dotarłby do mego przeciążonego umysłu. Usłyszałem tylko, że mogę zabrać lampę do swego pokoju, wydedukowałem przeto, że mój gospodarz pragnie już odpocząć samotnie w ciemności. Nie wątpiłem, że należy mu się odpoczynek – nasze rozmowy, popołudniowa i wieczorna, wyczerpałyby każdego, nawet

nierównie żywotniejszego człowieka. Jak ogłupiały życzyłem Akeleyowi dobrej nocy i udałem się na górę; zgodnie z jego sugestią wziąłem lampę, choć miałem przy sobie doskonałą kieszonkową latarkę.

Byłem rad, że wreszcie opuściłem gabinet wypełniony podejrzanym zapachem i nieuchwytnym wibrowaniem – wszelako ilekroć zaczynałem myśleć o tym, gdzie jestem i z jakimi siłami mam do czynienia, przejmowało mnie ohydne poczucie, że obcuję z jakąś straszliwą i groźną kosmiczną aberracją. Dzika, odludna okolica – czarne, porośnięte tajemniczym lasem zbocze wznoszące się tuż za domem – ślady na drodze – chory, bezsilny starzec szepczący w mroku – piekielne cylindry i maszyny – a przede wszystkim zaproszenie do dziwnych chirurgicznych zabiegów i jeszcze dziwniejszych peregrynacji – wszystko to spadło na mnie tak szybko, tak nagle! Czułem, że natłok nowych wrażeń przetrącił moją wolę i niemal wyzuł mnie z fizycznych sił.

Osobnym wstrząsem było dla mnie odkrycie, że to Noyes był ludzkim celebransem potwornego sabatu, który przed laty nagrał Akeley na swym fonografie – jakkolwiek jego głos już wprzódy wydawał mi się mgliście, odstręczająco znajomy. Jeszcze bardziej poruszył mnie wszakże mój własny stosunek do gospodarza; o ile bowiem w trakcie naszej wymiany listów darzyłem Akeleya odruchową sympatią, o tyle teraz skonstatowałem ze zdumieniem, że jego osoba napawa mnie wyjątkową odrazą. Należało mu raczej współczuć, był wszak ciężko chory – lecz ilekroć o nim pomyślałem, wzdrygałem się z obrzydzenia. Był tak ohydnie, trupio sztywny i bezwładny – a ten jego nieustanny szept brzmiał tak nienawistnie, nieludzko!

Doprawdy, jeszcze nigdy przedtem nie słyszałem podobnego głosu. Ukryte za wąsem usta wydawały się tak omdlałe, że aż nieruchome, lecz dobywający się z nich astmatyczny świst był zdumiewająco donośny, zdawało się wręcz, że drzemie w nim jakaś niepojęta siła. Słyszałem i rozumiałem każde słowo Akeleya, i to nawet w najodleglejszym kącie pokoju. Raz czy drugi odniosłem wręcz wrażenie, że ten dziwny szept, tak nikły, a zarazem przenikliwy, jest efektem nie tyle słabości, ile świadomego rozmysłu; po co jednak mój gospodarz miałby umyślnie ściszać głos – niepodobna było dociec. Już od pierwszych słów osobliwie poruszył mnie też jego tembr. Gdy już w zaciszu mego pokoju próbowałem dociec źródeł tego uczucia, zdało mi się, że wychwyciłem w nim podświadomie jakąś znajomą nutę – tak jak pierwej złowrogo znajomy wydał mi się głos Noyesa. Gdzie i kiedy mogłem go jednak słyszeć – nie miałem najmniejszego pojęcia.

Jednego wszakże byłem pewien: nie odważę się zostać w tym domu na noc. Mój naukowy zapał zniknął bez śladu wyparty przez lęk i odrazę; pragnąłem już tylko uciec, wyrwać się z tej schorzałej pułapki, w której odkryto przede mną nieludzkie rewelacje. Nie chciałem wiedzieć nic więcej. Nie wątpiłem już, że ludzie faktycznie wchodzą w pozaziemskie konszachty – ale wiedziałem też, że normalny człowiek nie powinien się w takie sprawy mieszać.

Bluźnierstwo materializowało się niemal w powietrzu, oblepiało mnie, osłabiało zmysły. O spaniu nie było nawet mowy – zgasiłem jedynie lampę i rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Wiedząc, że postępuję absurdalnie, w

prawą garść chwyciłem rewolwer, którego nie omieszkałem ze sobą zabrać, lewą uzbroiłem w kieszonkową latarkę i gotowałem się na spotkanie z nieznanym. Z dołu nie dochodził najlżejszy nawet dźwięk; widziałem oczyma wyobraźni, jak mój gospodarz siedzi tam w mroku, sztywny jak trup.

Skądś dobiegło mnie tykanie zegara. Powszedni, zwyczajny dźwięk przyniósł mi niejasną ulgę, lecz zarazem przypomniał, że okolica, w której się znalazłem, ma jeszcze jedną bulwersującą właściwość: jest zgoła pozbawiona życia zwierzęcego. Nie dość że Akeley nie miał na swej farmie żadnego gospodarskiego inwentarza, to jeszcze zdałem sobie teraz sprawę, że w lesie nie słychać nawet zwykłych nocnych pokrzykiwań dzikiej zwierzyny. Pomijając złowieszczy szmer dalekich, niewidocznych strumieni, panowała tu absolutna, nienormalna, międzyplanetarna wręcz cisza. Cóż za nieuchwytny gwiazdowy mór poraził tę zapadłą okolicę? Przypomniałem sobie, że podług dawnych legend psy i inne zwierzęta zawsze darzyły Zewnętrznych zajadłą nienawiścią; głowiłem się też, co mogą oznaczać ślady na drodze...

## VIII

Nieoczekiwanie zapadłem w drzemkę, lecz jak długą – nie pytajcie. Nie pytajcie też, jak wiele z tego, co nastąpiło później, było zwykłym przyśnieniem. Jeśli powiem wam, że obudziłem się o określonej godzinie, a potem zobaczyłem i usłyszałem określone rzeczy, odpowiecie, że po prostu jeszcze spałem – i że przyśniło mi się wszystko, aż do chwili, gdy wybiegłem z domu, wpadłem do szopy, w której stał antyczny ford, uruchomiłem go i na oślep, jak szaleniec, popędziłem wyboistą, krętą drogą przez nawiedzone wzgórza – aż wreszcie, przemierzywszy labirynt straszliwego lasu, wylądowałem w jakiejś wiosce – jak się okazało, w Townshend.

Z podobnym niedowierzaniem odniesiecie się też, rzecz jasna, do pozostałych wątków mej relacji. Na pewno stwierdzicie, że wszystkie fotografie, dźwięki z fonograficznego walca, mechaniczne dźwięki z cylindrów i tym podobne dowody to tylko elementy szalbierczej układanki, jaką przygotował dla mnie Henry Akeley. Będziecie nawet sugerować, że nasz zaginiony uknuł spisek z podobnymi sobie ekscentrykami i z ich pomocą spreparował misterną, choć głupią mistyfikację – że to on przejął ekspresową przesyłkę na stacji w Keene, on kazał Noyesowi sporządzić przeraźliwe nagranie. A przecież to dziwne, że do dziś nie udało się ustalić, kim ów Noyes był, i że w pobliżu miejsca zamieszkania Akeleya nikt go sobie nie przypomina, choć przecież musiał często bywać w okolicznych wioskach. Żałuję, że nie zapamiętałem numerów rejestracyjnych jego samochodu – choć może i lepiej, że tego nie zrobiłem. Cokolwiek byście powiedzieli, cokolwiek nawet sam próbuję sobie czasem wmówić, i tak wiem swoje: na wzgórzystym vermonckim odludziu działają odrażające pozaziemskie siły – siły, które mają swych szpiegów i emisariuszy w naszym ludzkim świecie. W moim życiu zależy mi już tylko na jednym: chcę trzymać się od tych wpływów i tych emisariuszy najdalej, jak tylko się da.

Wysłuchawszy mej szaleńczej opowieści, szeryf z Townshend zebrał grupę ludzi i pojechał na farmę – lecz Akeleya już nie było. Luźny szlafrok, żółty szal i bandaże leżały porzucone przy fotelu w kącie gabinetu; nie sposób było określić, czy wraz z gospodarzem zniknęły jakiekolwiek ubrania. Psów i zwierząt gospodarskich faktycznie nie było, na podwórzu zaś i w niektórych ścianach wewnątrz domu znaleziono intrygujące dziury po kulach. Poza tym nie wykryto jednak nic niezwykłego: żadnych cylindrów ani maszyn, żadnych listów ani zdjęć, które przywiozłem w walizce, żadnego dziwnego zapachu ani wibrowania, żadnych tropów na drodze ani żadnego spośród zagadkowych przedmiotów dostrzeżonych przeze mnie na chwilę przed ucieczką.

Przez cały następny tydzień siedziałem w Brattleboro i wypytywałem wszystkich, którzy znali Akeleya – wyniki tego dochodzenia upewniły mnie zaś, że cała sprawa nie była moim omamem ani sennym majakiem. Potwierdziło się, że Akeley na potęgę kupował psy, amunicję i chemikalia, że w pobliżu jego domu przecinano telefoniczne druty; wszyscy, którzy go znali – nie wyłączając syna z Kalifornii – przyznają też, że okazjonalnym wzmiankom Akeleya o prowadzonych przezeń dziwacznych badaniach nie można było odmówić pewnej logiki. Ludzie trzeźwi i rzeczowi sądzą, że Akeley oszalał, nie chcą też słyszeć o żadnych dowodach – wierzą niezachwianie, że było to zwykłe szachrajstwo obmyślone z obłąkańczą przebiegłością, być może nawet za podszeptem ekscentrycznych wspólników. Prości wieśniacy podtrzymują jednak twierdzenia Akeleya w najdrobniejszych szczegółach. Niektórzy z nich widzieli na własne oczy jego fotografie i czarny kamień, słyszeli też ohydne nagranie – i zgodnie stwierdzili, że odciski szczypiec i bzyczący głos są takie same jak w legendach, które słyszeli z ust swoich przodków.

Dowiedziałem się też, że szczególnie dużo podejrzanych rzeczy można było zobaczyć i usłyszeć wokół domu Akeleya po tym, jak znalazł on czarny kamień, i że teraz nie zapuszcza się tam już nikt prócz listonosza i paru innych niewrażliwych ludzi. Mroczna Góra i Krągłe Wzgórze od dawna cieszą się złą sławą, toteż nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by je dokładniej znał. W dziejach okręgu odnotowano też faktycznie kilka zaginięć; ostatnio do listy zaginionych dołączył Walter Brown, na poły rolnik, na poły łazik, o którym Akeley wspominał w listach. Jeden z farmerów twierdził nawet, że podczas powodzi w wezbranych falach West River widział na własne oczy jedno z dziwnych ciał, o których pisano w gazetach – jego opowieść była jednak zbyt zagmatwana, by mogła przedstawiać jakąkolwiek wartość.

Opuściwszy Brattleboro postanowiłem, że moja noga nigdy już w Vermoncie nie postanie – i jestem pewien, że uda mi się tego postanowienia dotrzymać. Nie mam wątpliwości, że tameczne dzikie wzgórza są przyczółkiem straszliwej kosmicznej rasy; w przekonaniu tym upewniłem się jeszcze bardziej, gdy przeczytałem w gazecie, że poza orbitą Neptuna dostrzeżono nową, dziewiątą planetę – dokładnie tak, jak przewidzieli tamci. Z ohydną trafnością, której nawet się nie domyślają, astronomowie nazwali ją Plutonem. Ani chybi musi to być spowite wieczną oćmą Yuggoth – gdy zaś próbuję dociec, z jakich powodów jego poczwarni mieszkańcy właśnie teraz

zapragnęli, by ich glob został odkryty, przeszywa mnie dreszcz zgrozy. Próbuję sobie wytłumaczyć, że nie musi to być wcale zaczątek nowej strategii tych demonicznych stworów, zgubnej dla Ziemi i jej normalnych mieszkańców – ale na próżno.

Wciąż jednak nie opowiedziałem, jak skończyła się tamta straszna noc na farmie Akeleya. Otóż jak wspomniałem, w końcu zapadłem w niespokojną drzemkę; przez głowę przelatywały mi strzępki sennych wizji, głównie jakichś potwornych krajobrazów. Nie umiem określić, co mnie obudziło – potrafię wszakże określić z zupełną pewnością, w której nastąpiło to chwili. Gdy wracałem do przytomności, zrazu doleciało mnie ukradkowe skrzypienie desek podłogi w korytarzu, tuż u mych drzwi; potem ktoś niezdarnie, skrycie gmerał przy klamce. Trwało to jednak zaledwie chwilę, tedy pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem naprawdę przytomnie i wyraźnie, była rozmowa w gabinecie na dole. Odniosłem wrażenie, że uczestniczy w niej kilka osobnych głosów i najprawdopodobniej toczy się między nimi jakiś spór.

Wystarczyło kilka sekund nasłuchiwania, a rozbudziłem się do reszty – rozmowa brzmiała bowiem tak, że myśleć o dalszym spaniu byłoby już niedorzecznością. Głosy różniły się między sobą dość wyraźnie, każdy zaś, kto słyszał był pierwej przeklęte nagranie Akeleya, od razu rozpoznałby, kim są właściciele przynajmniej dwóch spośród nich. Jakkolwiek odrażająca była to myśl, wiedziałem już, że znalazłem się pod jednym dachem z niepojętymi stworami z kosmicznych otchłani – słyszałem bowiem ni mniej, ni więcej jak tylko bluźniercze bzyczenie, dokładnie takie, jakim Zewnętrzne Istoty porozumiewały się z ludźmi. Między sobą oba głosy różniły się znacznie – intonacją, tempem, wysokością tonu – lecz należały do tego samego, przeklętego rodzaju.

Głos trzeci brzmiał mechanicznie, pewnikiem wydobywał się więc z mówiącej maszyny podłączonej do któregoś z mózgów w cylindrach. Rozpoznałem go równie nieomylnie jak oba głosy bzyczące; do końca życia nie zapomnę, jak brzmiał podczas naszej wieczornej rozmowy: głośno, metalicznie, martwo, bez krzty modulacji i ekspresji, zgrzytając i terkocząc z bezosobową precyzją i namaszczeniem. Zrazu założyłem machinalnie, że wytwarza go ten sam umysł, który przemawiał do mnie w gabinecie; rychło przyszło mi jednak do głowy, że jeśli mózgi podłączane są do tego samego aparatu, to pewnie każdy z nich wytwarza głos o identycznym brzmieniu; różnice mogą wystąpić najwyżej w języku, rytmie, wymowie i szybkości mówienia. Upiorną konwersację uzupełniały ponadto dwa głosy zwyczajne, ludzkie. Jednego nie znałem, brzmiał nieokrzesanie, najwyraźniej był to jakiś wieśniak; głos drugi, układny i z bostońskim akcentem, należał do mego niedawnego przewodnika Noyesa.

Wytężając słuch, zdałem sobie sprawę, że prócz rozmowy, niestety mocno przytłumionej przez solidną podłogę, z gabinetu dobiegają też odgłosy jakiejś krzątaniny, że coś tam łazi, skrobie, postukuje. Nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że jest tam pełno żywych istot, nie tylko tych, które potrafię rozróżnić po głosie. Niezmiernie trudno byłoby opisać, na czym właściwie ta krzątanina polegała, ponieważ właściwie nie sposób jej z czymkolwiek

porównać. Tajemnicze obiekty przemieszczały się co pewien czas po pokoju w sposób, zdawałoby się, świadomy i celowy, odgłos zaś ich kroków brzmiał twardo i klekocząco, jak stukot niedobranych powierzchni urobionych z rogu bądź twardej gumy. Lub też – by użyć konkretniejszego, lecz mniej trafnego porównania – jak gdyby po wypolerowanych deskach podłogi powłóczyli nogami ludzie obuci w luźne, rozklekotane drewniaki. Kim byli i jak wyglądali ci, którzy te dźwięki wytwarzali – doprawdy nie śmiałem dociekać.

Rychło zdałem sobie sprawę, że nie zdołam wychwycić sensu tej rozmowy. Co pewien czas dolatywały mnie tylko pojedyncze słowa – głównie wypowiadane przez mówiący aparat – między innymi nazwiska Akeleya i moje. Brak ciągłości sprawiał wszelako, że niepodobna było się domyślić prawdziwego znaczenia tych strzępków. Dziś nie jestem w stanie wyciągnąć z nich żadnych niezbitych wniosków – przeraziły mnie, owszem, lecz raczej siłą sugestii, nie zaś dlatego, iżby objawiły mi coś przerażającego. Byłem pewien, że w pokoju pode mną odbywa się jakieś przeraźliwe, zwyrodniałe zebranie, lecz cóż za ponure rewelacje były jego przedmiotem – nie umiałem orzec. Ciekawe jest to, że wbrew wszelkim zapewnieniom Akeleya, jakoby Zewnętrzni mieli przyjazne zamiary, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że obcuję z czymś wrogim i bluźnierczym.

Słuchając cierpliwie, począłem wreszcie rozróżniać wyraźnie poszczególne głosy, jakkolwiek wciąż niewiele mogłem zrozumieć z tego, co każdy z nich mówił. Zdawało mi się, że wyczuwam w nich pewne typowe emocje. Jeden z głosów bzyczących brzmiał na przykład wyraźnie władczo, natomiast głos mechaniczny, choć sztucznie wzmocniony i zrównoważony, wydał mi się uległy i błagalny. Noyes mówił pojednawczo, jakby starał się złagodzić atmosferę. Pozostałych głosów nie byłem w stanie zinterpretować. Nie słyszałem też znajomego szeptu Akeleya, ale wiedziałem doskonale, że tak cichy dźwięk nie przedarłby się przez grube deski podłogi.

Postaram się spisać tutaj garstkę luźnych słów i innych dźwięków, które udało mi się dosłyszeć, w miarę możności przypisując je poszczególnym rozmówcom. Pierwsze wyraźne zdania wypowiedziała maszyna.

(MÓWIĄCY APARAT)

...ja sam sprowadziłem... odesłał listy i nagranie... skończyć z tym... schwytany... widząc i słysząc... bodaj was diabli... mimo wszystko, bezosobowa siła... świeży, lśniący cylinder... wielki Boże...

(PIERWSZY BZYCZĄCY GŁOS)

...pora, abyśmy przestali... mały i ludzki... Akeley... mózg... mówi...

(DRUGI BZYCZĄCY GŁOS)

...Nyarlathotep... Wilmarth... nagrania i listy... kiepskie oszustwo...

(NOYES)

...(trudne do wymówienia słowo bądź imię, coś w rodzaju N’gah-Kthun)... nieszkodliwy... spokój... parę tygodni... teatralne... mówiłem

wam już…

(PIERWSZY BZYCZĄCY GŁOS)

…nie ma powodu… pierwotny plan… efekty… Noyes może dopilnować… Krągłe Wzgórze… świeży cylinder… samochodem Noyesa…

(NOYES)

…cóż… w wasze ręce… tu, na dole… spocząć… miejsce…

(KILKA GŁOSÓW MÓWI COŚ RAZEM NIEZROZUMIALE)
(LICZNE KROKI, WŚRÓD NICH OSOBLIWY
LUŹNY TUPOT CZY STUKOT)
(DZIWNY DŹWIĘK, JAKBY TRZEPOT)
(WARKOT URUCHAMIANEGO
I ODJEŻDŻAJĄCEGO SAMOCHODU)
(CISZA)

Oto mniej więcej wszystko, co udało mi się usłyszeć, gdy leżałem sztywno na mym dziwnym łóżku na piętrze, zamknięty na nawiedzonej farmie śród demonicznych wzgórz – wciąż w ubraniu, w prawej ręce ściskając rewolwer, a w lewej kieszonkową latarkę. Wspomniałem już, że otrzeźwiałem wówczas do reszty; wszelako jeszcze długo po tym, jak ucichły ostatnie echa tajemniczych głosów, trwałem w bezruchu, jakby zdjęty niepojętym paraliżem. Gdzieś z dołu, z głębi domu, dobiegało mnie drewniane, namaszczone tykanie zabytkowego zegara z Connecticut, potem usłyszałem też nierówne pochrapywanie. Najwyraźniej znużony długą naradą Akeley zapadł w drzemkę – i nie wątpiłem, że mu się to należy.

Nie miałem bladego pojęcia, co o tym wszystkim myśleć i co teraz począć. Zresztą cóż właściwie słyszałem – czyż nie to, na co przygotowały mnie posiadane pierwej informacje? Czyż Akeley nie pisał był, że te bezimienne stwory z Zewnątrz mają już swobodny dostęp do jego domu? Bez wątpienia zaskoczyli go niespodziewaną wizytą. Ta fragmentaryczna rozmowa miała jednak w sobie coś, co zmroziło mnie do szpiku kości i obruszyło we mnie lawinę groteskowych i strasznych wątpliwości; zapragnąłem żarliwie, bym mógł wreszcie się zbudzić i aby wszystko okazało się snem. Wydaje mi się, że podświadomie pojmowałem coś, czego nie zdołałem jeszcze rozpoznać świadomą myślą. Ale co z Akeleyem? Czyż nie był moim przyjacielem, czy nie protestowałby, gdyby tamci szykowali zamach na mą osobę? Jego spokojne chrapanie zdawało się pokpiwać z wezbranych we mnie z nagła lęków.

Byłoż możliwe, że Akeley został wykorzystany jako przynęta, by zwabić mnie na wzgórza z listami, zdjęciami i nagraniem? Czy te istoty zamierzały nas zwyczajnie zlikwidować, ponieważ uznały, że za dużo wiemy? Znów przypomniała mi się nagła, nienaturalna zmiana sytuacji, jaka zaszła między dwoma ostatnimi listami Akeleya. Instynkt podpowiadał mi, że coś jest straszliwie nie tak, wszystko zdawało się czystą grą pozorów. A wstrętna

kawa, której nie wypiłem – nie mogłyż owe skryte, nieznane istoty doprawić jej rozmyślnie jakimś narkotykiem? Muszę natychmiast rozmówić się z Akeleyem – pomyślałem – muszę przywrócić mu właściwą perspektywę. Zewnętrzni zahipnotyzowali go obietnicą kosmicznych rewelacji, muszę jednak przemówić mu do rozsądku. Musimy się stąd wydostać, nim będzie za późno. Jeśli Akeleyowi zabraknie woli, by wyrwać się na wolność, sam go do tego przekonam. A jeśli mi się to nie uda, może ucieknę sam. Na pewno pozwoli mi wziąć forda, zostawiłbym go potem w garażu w Brattleboro. Widziałem, że stoi w szopie – teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, była otwarta – i zdawało mi się, że powinien być gotów do użytku. Chwilowa niechęć do Akeleya, którą czułem w trakcie wieczornej rozmowy i podczas mych późniejszych rozmyślań, zniknęła bez śladu. Obaj jesteśmy w podobnej sytuacji, musimy więc trzymać się razem. Wiedziałem, w jak kiepskiej jest formie, i żal mi było go budzić, ale byłem pewien, że nie mam wyjścia. W obecnej sytuacji nie mogłem zostać tam do rana.

Wreszcie poczułem się zdolny do działania i przeciągnąłem się energicznie, by odzyskać panowanie nad mięśniami. Następnie podniosłem się z łóżka – z ostrożnością raczej instynktowną niż rozmyślną – i świecąc sobie latarką, ruszyłem w dół po schodach. Nerwy miałem tak napięte, że z prawej garści wciąż nie wypuszczałem rewolweru, w lewej trzymając walizkę pospołu z latarką. Po co przedsiębrałem takie środki ostrożności – nie mam pojęcia; szedłem wszak zbudzić jedynego mieszkańca domu.

Gdy zszedłem wreszcie na palcach po skrzypiących schodach i znalazłem się w korytarzu na dole, chrapanie stało się wyraźniejsze – jednocześnie zauważyłem, że dociera ono z mojej lewej strony, czyli z salonu, którego progu nie przestąpiłem dotychczas ani razu. Po prawej ręce ziała czarna czeluść gabinetu, w którym słyszałem pierwej głosy. Drzwi do salonu nie były zaryglowane, pchnąłem je zatem i oświetlając drogę latarką ruszyłem w stronę chrapiącego. Wreszcie skierowałem snop światła na jego twarz – lecz nie minęła sekunda, a schowałem latarkę za siebie i w pośpiechu, lecz bezszelestnie, wymknąłem się na korytarz. Tym razem ostrożność moją dyktował tyleż instynkt, co zdrowy rozsądek – albowiem człowiekiem, który spał na kanapie, nie był bynajmniej Akeley, tylko mój były przewodnik Noyes.

O cóż mogło w tym wszystkim chodzić – nie umiałem dociec. Rozsądek podpowiadał mi jednak, że najbezpieczniej będzie zbadać sprawę po cichu, nikogo nie budząc. Znalazłszy się na powrót w korytarzu, zamknąłem i zaryglowałem za sobą drzwi do salonu, zmniejszając w ten sposób prawdopodobieństwo zbudzenia Noyesa. Następnie ostrożnie wszedłem do ciemnego gabinetu, gdzie – jak oczekiwałem – Akeley spał lub czuwał w swym ulubionym wielkim fotelu. Gdy posuwałem się w głąb pokoju, światło latarki omiotło stojący pośrodku wielki stół. Oczom moim ukazał się jeden z piekielnych cylindrów; podłączony był do aparatów wzrokowych i słuchowych, obok stała gotowa do natychmiastowego podłączenia maszyna mówiąca. Najpewniej był to ów mózg, który brał udział w przeraźliwej naradzie; przez chwilę miałem przewrotną chęć podłączyć aparat mówiący i posłuchać, co też ma mi do powiedzenia.

Nawet w tej chwili musi być świadom mej obecności – pomyślałem; urządzenia wzrokowe i słuchowe z pewnością wychwyciły światło latarki i ciche skrzypienie podłogi pod mymi stopami. Nie ośmieliłem się wszakże zbliżyć do maszyny. Zauważyłem tylko w przelocie, że stojący przy niej świeży, lśniący cylinder opatrzony jest nazwiskiem Akeleya – był to ten sam cylinder, który widziałem wieczorem na półce i którym miałem nie zawracać sobie głowy. Dziś mogę tylko żałować, że okazałem się tak bojaźliwy i nie uruchomiłem tej mówiącej machiny. Bóg jeden wie, jakie tajemnice, jakie straszne wątpliwości, jakie zagadki tożsamości zostałyby wówczas przede mną odsłonięte, rozjaśnione! Lecz może być też i tak, że czyniąc to, wyrządziłbym sobie krzywdę...

Gdy już przyjrzałem się temu, co stało na stole, skierowałem światło w kąt pokoju, gdzie spodziewałem się zastać Akeleya – lecz ku mojemu zdziwieniu w wielkim fotelu nie było nikogo, nikt w nim nie spał ani nie czuwał. Z siedziska spływał w obszernych fałdach znany mi już żółty szlafrok, obok zaś leżały na podłodze żółty szal i wielkie zwoje bandaży, które tak mnie pierwej zdziwiły. Stanąłem jak wryty, usiłując dociec, gdzie też mój gospodarz mógł się podziać i czemu tak nagle porzucił swą niezbędną rekonwalescencyjną garderobę – a w tej samej chwili zauważyłem, że w pokoju nie ma już ani śladu dziwnej woni i ledwie słyszalnego wibrowania. Skądżeż się wcześniej brały? Uświadomiłem też sobie rzecz osobliwą: zarówno zapach, jak i wibrację wyczuwałem wyłącznie w obecności Akeleya, najsilniej zaś przy jego fotelu; wystarczyło wyjść za próg gabinetu, a odczucia te znikały. Nie wiedząc, co począć, błądziłem latarką po ciemnym wnętrzu pokoju i daremnie usiłowałem wyrozumieć ten dziwny zwrot wydarzeń.

O niebiosa! Czemuż nie wymknąłem się stamtąd po cichu, tylko omiotłem raz jeszcze snopem światła ów opustoszały fotel! Uczyniwszy to, nie wyszedłem już po cichu, tylko dławiąc w sobie krzyk; krzyk, który z pewnością usłyszał przez sen – nie budząc się jednak do końca – śpiący wartownik po drugiej stronie korytarza. Ów krzyk, wraz z niewzruszonym chrapaniem Noyesa, był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałem w tym schorzałym domu przycupniętym u stóp nawiedzonej, porośniętej knieją góry – w tym ognisku transkosmicznej zgrozy ukrytym w widmowym wiejskim ustroniu, śród odludnych zielonych wzgórz i szemrzących swe ciche klątwy potoków.

Aż dziw, że tarabaniąc się na oślep, nie wypuściłem z rąk i nie pogubiłem latarki, walizki ani rewolweru. Udało mi się bez większych hałasów wyjść z pokoju i wydostać na zewnątrz, dopaść do szopy, ulokować swój dobytek i siebie we wnętrzu starego forda, a następnie uruchomić ten archaiczny wehikuł i wyruszyć w mrok bezksiężycowej nocy na poszukiwanie bliżej nieokreślonego ratunku. Była to jazda deliryczna, rodem z opowieści Poego, poematów Rimbauda czy grafik Dorégo – wreszcie wylądowałem jednak w Townshend. Na tym koniec. Jeśli okaże się, że nie poniosłem uszczerbku na umyśle, będę szczęśliwy. Czasem boję się tego, co mogą przynieść przyszłe lata – zwłaszcza teraz, gdy świat obiegła intrygująca wieść o odkryciu Plutona.

Nadmieniłem przeto, że omiótłszy pokój światłem latarki, skierowałem je

na powrót na opustoszały fotel. Wtedy to po raz pierwszy dostrzegłem na nim pewne przedmioty, pierwej niewidoczne wśród fałd porzuconego niedbale szlafroka. Przedmiotów tych, w liczbie trzech, nie znaleźli już później policyjni detektywi. Jak wspomniałem na początku, same w sobie nie miały nic przerażającego; problem tkwi we wnioskach, jakie się na ich widok nasuwały. Nawet dziś jeszcze zdarza mi się powątpiewać, czy naprawdę je widziałem – jestem wówczas skłonny uwierzyć sceptykom, którzy wszystko, co przeżyłem tamtej nocy, uważają za zlepek sennych rojeń, ułudę zmysłów i roztrzęsionych nerwów.

Owe trzy przedmioty były naprawdę diablo zręcznie zmajstrowane – i zaopatrzone w zmyślne metalowe klamry, którymi można było przymocować je do jakichś organicznych form. Do jakich? Nie śmiem domniemywać. Wbrew temu, co podpowiada mi najgłębsza trwoga, mam nadzieję – pobożną nadzieję – że przedmioty te wykonane były z wosku, że był to tylko mistrzowski wytwór rzemieślniczego kunsztu. Wielki Boże! Ten starzec szepczący w ciemności, wśród dziwnych wibrowań i chorobliwego odoru! Czarodziej, emisariusz, odmieniec, odludek... to ohydne, stłumione bzyczenie... przez cały czas w tym świeżym, lśniącym cylindrze na półce... biedaczysko! „Niesłychane kwalifikacje chirurgiczne, biologiczne, chemiczne i mechaniczne”...

Otóż mianowicie na fotelu leżały doskonałe, oddane – bądź tożsame – w najdrobniejszych, mikroskopijnych szczegółach – ręce i twarz Henry’ego Wentwortha Akeleya.

* Nic nie powstaje z niczego (łac.).

# W górach szaleństwa

## I

Jestem zmuszony opowiedzieć tę historię, ponieważ naukowcy orzekli, że nie wysłuchają mnie, jeśli nie poznają moich argumentów. Sprzeciwiam się mianowicie planom wtargnięcia na kontynent antarktyczny, przewidującym szeroko zakrojone poszukiwania skamielin oraz odwierty i topienie prastarej pokrywy lodowej – lecz przyczyny tego sprzeciwu wyjawiam z najwyższą niechęcią; tym mniej jestem ku temu skłonny, że pewnie nikt mych ostrzeżeń nie posłucha. Odkryję tu najprawdziwsze fakty, wszelako jestem pewien, że zostaną przyjęte z powątpiewaniem; gdybym jednak zataił wszystko to, co wydaje się wydumane i nieprawdopodobne, zostałbym z niczym. Na poparcie mych słów mam ukrywane dotąd fotografie robione z ziemi i z samolotu – są diablo wyraziste i plastyczne; lecz zważywszy, jak doskonale można dziś fałszować zdjęcia, im również mało kto da wiarę. Szkice wykonane tuszem zostaną rzecz jasna wyśmiane jako jawne oszustwo – jakkolwiek ich dziwaczna technika powinna głęboko zainteresować historyków sztuki.

Koniec końców pozostaje mi wesprzeć się na osądzie tych nielicznych naukowych autorytetów, które z jednej strony są na tyle niezależne myślowo, że umieją należycie ocenić zebrane przeze mnie materiały, zarówno w związku z ich odrażającym przedmiotem, jak i w świetle pewnych pierwotnych, zdumiewających cyklów mitycznych, z drugiej zaś strony – na tyle wpływowe, że mogą ostudzić zapędy świata nauki do prowadzenia nazbyt ambitnych i nierozważnych badań w odkrytych przez nas górach szaleństwa. Niestety, tak się bowiem składa, że ja i moi stronnicy, związani z jednym tylko niewielkim uniwersytetem, nazbyt jesteśmy nieliczni, byśmy mogli spodziewać się, że w obliczu spraw dziwacznych, szalonych i kontrowersyjnych argumenty nasze wywrą na kimkolwiek wrażenie.

Na naszą niekorzyść świadczy również to, że nie jesteśmy w najściślejszym sensie specjalistami w dziedzinach, które odgrywają tu rolę największą. Moim zadaniem jako głównego geologa ekspedycji Uniwersytetu Miskatonic było tylko pozyskiwanie próbek skał i gleby z rozmaitych miejsc na kontynencie antarktycznym; wykorzystywaliśmy w tym celu świder zaprojektowany przez profesora Franka H. Pabodiego z wydziału inżynieryjnego naszej uczelni. Nie zamierzałem bynajmniej przecierać szlaków w żadnej innej dziedzinie; miałem jedynie nadzieję, że jeśli zastosujemy ten nowy, doskonały sprzęt w odkrytych już pierwej miejscach, natrafimy na materiały, których za pomocą metod tradycyjnych wydobyć niepodobna. Urządzenie wiertnicze Pabodiego, jak powszechnie wiadomo z naszych raportów, było rewelacyjnie wręcz lekkie, wygodne w transporcie, a przy tym umożliwiało zastosowanie dwu metod wiercenia: zwykłej metody artezyjskiej oraz małego mimośrodowego świdra skalnego – dzięki temu

można było szybko przebijać warstwy o zróżnicowanej twardości. Stalowa głowica, łączone wały, benzynowy silnik, składany drewniany dźwig, materiały wybuchowe, lonty i kable, wiertło pozwalające na usuwanie odpadów oraz składany, pięciocalowej średnicy rurociąg umożliwiający wiercenie na głębokość nawet tysiąca stóp – razem z niezbędnymi akcesoriami wszystko to bez trudu mieściło się na trzech saniach, z których każde ciągnęło po siedem psów. Było to możliwe dzięki temu, że większość metalowych części wykonano ze zmyślnego stopu aluminium. Cztery wielkie dorniery, zaprojektowane specjalnie do nieuniknionych na Antarktydzie lotów na dużych wysokościach, wyposażone dodatkowo w układ podgrzewania paliwa i system szybkiego startu – oba według projektu Pabodiego – były w stanie przetransportować całą ekspedycję z bazy na skraju wielkiej Bariery Lodowej do wybranych miejsc w głębi lądu; stamtąd mieliśmy wyruszać w teren psimi zaprzęgami.

Badania nasze planowaliśmy prowadzić tak daleko, jak tylko pozwalał jeden antarktyczny sezon – jakkolwiek w razie absolutnej konieczności braliśmy pod uwagę możliwość przedłużenia pobytu. Działać mieliśmy głównie w łańcuchach górskich i na płaskowyżu na południe od Morza Rossa, czyli w rejonach zbadanych już w różnym stopniu przez Shackletona, Amundsena, Scotta i Byrda. Zamierzaliśmy często zmieniać obozy, przemieszczając się aeroplanami na odległości znaczące z geologicznego punktu widzenia; liczyliśmy, że dzięki temu uda nam się odkryć niespotykane dotąd bogactwo materiału, zwłaszcza w warstwach prekambryjskich, z których dotychczas na Antarktydzie niewiele udawało się wydobyć. Pragnęliśmy również jak najdokładniej przebadać zróżnicowane górne warstwy skamielinowe – informacje o prapoczątkach życia w tym posępnym, lodowym królestwie śmierci są bowiem kluczowe dla naszej wiedzy o przeszłości całej Ziemi. Dziś już każde dziecko wie, że na Antarktydzie panował niegdyś ciepły, tropikalny wręcz klimat z kwitnącym bujnie życiem roślinnym i zwierzęcym – z którego zachowały się jedynie porosty, fauna morska, pajęczaki i pingwiny na północnym skraju kontynentu; mieliśmy nadzieję, że uda nam się tę wiedzę poszerzyć, pogłębić i uszczegółowić. Zrazu zamierzaliśmy wykonywać zwyczajne wiercenia, a natrafiwszy na pierwsze ślady skamielin – poszerzać nawierty za pomocą ładunków wybuchowych i tym sposobem wydobywać należycie duże i dobrze zachowane próbki.

Wiercenia nasze – o głębokości określanej podług szacunkowych oględzin górnej warstwy gleby bądź skały – mieliśmy podejmować wyłącznie na odsłoniętych lub prawie odsłoniętych powierzchniach lądu; tym samym skazywaliśmy się na operowanie na zboczach i grzbietach górskich, jako że niżej położony grunt przykrywała gruba na milę lub dwie warstwa litego lodu. Nie mogliśmy sobie pozwolić na wiercenie w grubych pokładach lądolodu, jakkolwiek Pabodie opracował metodę lokalnego rozpuszczania lodu: można by mianowicie gęsto nawiercić lód na wybranych obszarze, umieścić w otworach miedziane elektrody, a następnie puścić prąd wytwarzany przez benzynowe dynamo. Taki właśnie program – którego nie mogliśmy w pełni wdrożyć, przeprowadziliśmy tylko próby – ma zamiar

zrealizować, nie zważając na ostrzeżenia, jakie wystosowałem po naszym powrocie z Antarktydy, ekspedycja Starkweathera i Moore'a.

Opinia publiczna wie o dokonaniach ekspedycji Uniwersytetu Miskatonic z raportów radiowych, jakie systematycznie wysyłaliśmy do gazety „Arkham Advertiser" i agencji Associated Press, oraz z napisanych później przeze mnie i Pabodiego artykułów. Z uniwersytetu było nas czterech: Pabodie, Lake z wydziału biologii, fizyk (i meteorolog) Atwood oraz ja – geolog i nominalny dowódca wyprawy. Towarzyszyło nam szesnastu asystentów: siedmiu absolwentów uczelni oraz dziewięciu wykwalifikowanych mechaników. Z tej szesnastki dwunastu ludzi miało kwalifikacje pilotów, w tej dwunastce zaś dziesięciu biegle posługiwało się radiem, ponadto ośmiu – a także Pabodie, Atwood i ja – umiało nawigować za pomocą kompasu i sekstansu. Do tego dochodziły oczywiście pełne załogi dwóch żaglowców – dawnych jednostek wielorybniczych o specjalnie wzmocnionych kadłubach i wyposażonych w pomocnicze maszyny parowe. Ekspedycja została sfinansowała przez Fundację Nathaniela Derby'ego Pickmana oraz kilka specjalnych dotacji – dzięki temu, choć nie mieliśmy wielkiej reklamy, mogliśmy przygotować się do niej z wyjątkową starannością. Psy, sanie, maszyny, materiały do budowy obozu oraz pięć rozmontowanych aeroplanów przywieziono do Bostonu i załadowano na statki. Byliśmy znakomicie wyposażeni i przygotowani do osiągnięcia swoich celów, we wszystkich zaś kwestiach związanych z zaopatrzeniem, wyżywieniem, transportem i budową obozów korzystaliśmy z doświadczeń wybitnych odkrywców, którzy przemierzyli Antarktydę niedługo przed nami. Właśnie dlatego, że mieliśmy już tak licznych i sławnych poprzedników, wieść o naszej ekspedycji – jakkolwiek pokaźnej – nie odbiła się w świecie głośnym echem.

Jak pisały gazety, z Zatoki Bostońskiej wypłynęliśmy 2 września 1930 roku; niespiesznie pożeglowaliśmy wzdłuż wybrzeża, przekroczyliśmy Kanał Panamski, potem zatrzymaliśmy się jeszcze na wyspach Samoa oraz w Hobart na Tasmanii, gdzie dokonaliśmy ostatnich uzupełnień ekwipunku. Nikt z nas nie był wcześniej w okolicach podbiegunowych, toteż zdaliśmy się w pełni na naszych kapitanów, weteranów wielorybniczych rejsów po antarktycznych wodach: J.B. Douglasa, dowodzącego brygiem Arkham i całą morską wyprawą, oraz Georga Thorfinnssena, dowódcę barku Miskatonic. Im dalej zostawialiśmy za sobą zamieszkany świat, tym niżej słońce opuszczało się na północnym niebie i tym dłużej wisiało każdego dnia nad horyzontem. W okolicach 620 szerokości południowej wypatrzyliśmy pierwsze góry lodowe przypominające stoły o pionowych bokach, zaś tuż przed kołem podbiegunowym, które przekroczyliśmy 20 października, świętując ów fakt odpowiednio barwną ceremonią, napotkaliśmy poważny problem w postaci pola lodów. Po długiej żegludze przez tropiki spadek temperatury dawał mi się mocno we znaki, starałem się jednak wziąć w garść, wiedząc, że czeka nas jeszcze większy chłód. Wielekroć oczarowywały mnie zdumiewające zjawiska atmosferyczne; ujrzałem między innymi uderzająco sugestywny miraż, pierwszy, jaki widziałem w życiu: odległe góry lodowe przeobraziły się nagle w blanki niewyobrażalnych kosmicznych zamków.

Przedarłszy się przez pole lodów, na szczęście niezbyt rozległe i gęste, na 67 0 szerokości południowej i 1750 długości wschodniej wyszliśmy wreszcie na otwarte wody. Rankiem 26 października na południowym niebie spostrzegliśmy charakterystyczny „odblask lodowy” i nim minęło południe, z dreszczem podniecenia ujrzeliśmy, jak wyrasta przed nami potężny, pokryty śniegiem łańcuch górski, wyniosły i rozciągnięty w obie strony aż po skraj horyzontu. Tak oto dotarliśmy wreszcie do przyczółka wielkiego, nieznanego kontynentu, tajemniczego świata lodowej śmierci. Bez wątpienia mieliśmy przed sobą odkryte przez Rossa Góry Admiralicji; teraz naszym zadaniem było okrążyć Półwysep Adare’a i pożeglować wzdłuż wschodniego wybrzeża Ziemi Wiktorii do miejsca, w którym mieliśmy założyć naszą bazę, leżącego na 77 09’ szerokości południowej na brzegu Cieśniny McMurdo, u stóp wulkanu Erebus.

Ostatni etap naszej podróży wielce pobudził naszą wyobraźnię: łańcuch wielkich, nagich szczytów majaczył stale na zachodnim niebie, słońce zaś, za dnia wiszące nisko nad północnym horyzontem, a nocą jeszcze niżej nad horyzontem południowym, zlewało swą mglistą czerwonawą poświatę na dziewiczą biel śniegu, na błękit lodu i wodnych kanałów, na czerń odsłoniętych tu i ówdzie granitowych zboczy. Wściekłe porywy straszliwego antarktycznego wichru, bijące co pewien czas spoza wierzchołków gór, w swej rytmiczności i szerokości dźwiękowej gamy brzmiały niekiedy jak opętańcze poświstywanie tak melodyjne, że niemal rozumne – i w mej najgłębszej podświadomości trącały jakąś strunę niepokojącą, nieomal straszliwą. Cała sceneria przywodziła mi na myśl dziwne, poruszające azjatyckie malarstwo Nicholasa Roericha, tudzież jeszcze dziwaczniejsze, jeszcze bardziej wstrząsające opisy osnutego złą legendą płaskowyżu Leng, zawarte w straszliwym *Necronomiconie* szalonego Araba Abdula Alhazreda. Później żałowałem wręcz, że w ogóle zajrzałem do tej potwornej księgi w uczelnianej bibliotece.

Siódmego listopada na pewien czas straciliśmy z oczu zachodnie pasmo gór, przysłoniła je nam bowiem mijana właśnie Wyspa Franklina. Dnia następnego ujrzeliśmy przed sobą oba wulkaniczne stożki na Wyspie Rossa, Erebus i Terror, za nimi zaś długą linię Gór Parry’ego. Na wschodzie ciągnęła się teraz grubą, białą linią wielka Bariera Lodowa wznosząca się w niektórych miejscach prostopadle na wysokość dwustu stóp niczym skaliste urwiska Quebecu. Dalej w tym kierunku płynąć już się nie dało. Po południu wpłynęliśmy do Cieśniny McMurdo i rzuciliśmy kotwicę w cieniu dymiącego Erebusa. Wierzchołek z czarnego żużlu wzbijał się na tle wschodniego nieba na wysokość 12 700 stóp niczym święta góra Fudżi na japońskich rycinach; za nim wznosiła się widmowa, biała sylweta wygasłego już Terroru, wysokiego na 10 900 stóp. Z Erebusa buchały co jakiś czas kłębu dymu; jeden z asystentów, błyskotliwy młodzieniec nazwiskiem Danforth, zwrócił nam uwagę, że na zaśnieżonym zboczu widać jakby lawę – uświadamiając nam, że ta właśnie góra była natchnieniem Edgara Allana Poego, gdy siedem lat po jej odkryciu, w roku 1847, pisał:

Jak te lawy, co wiecznie a z mocą

Aż na Yanik siarczyście się leją
Pod biegunów lodowych północą –
Aż na Yanik jęcząco się leją
Pod tych królestw lodowych północą*.

Danforth był bardzo oczytany w literaturze niesamowitej i sporo mówił o Poem. Zainteresowało mnie to, miałem bowiem w pamięci antarktyczny fragment jedynej dłuższej opowieści tego pisarza, tajemniczego i wstrząsającego *Artura Gordona Pyma*. Na jałowym brzegu i wznoszącej się w tle Barierze Lodowej pokrzykiwały, trzepocząc płetwami, miriady groteskowych pingwinów, w morzu zaś roiło się od tłustych fok – pływały lub wylegiwały się na dryfujących niespiesznie bryłach lodu.

Krótko po północy 6 listopada za pomocą niewielkich łodzi dokonaliśmy niełatwego lądowania na Wyspie Rossa. Przeciągnęliśmy kable z obu statków i przygotowaliśmy się do wyładowania zaopatrzenia, używając do tego celu specjalnych kół ratunkowych. Jakkolwiek nie byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy postawili stopę w tym miejscu wybrzeża – przed nami uczyniły to ekspedycje Shackletona i Scotta – ów pierwszy krok przejął nas niezmiernie i wzruszył. Obóz, który rozbiliśmy na skutym lodem brzegu u podnóża wulkanu, był jedynie prowizoryczny, kwaterą główną wciąż pozostawał pokład Arkhamu. Wyładowaliśmy cały sprzęt wiertniczy, psy, sanie, namioty, żywność, zbiorniki z benzyną, eksperymentalne urządzenie do rozpuszczania lodu, stacjonarne i lotnicze aparaty fotograficzne, części aeroplanów i wiele innych akcesoriów, między innymi trzy małe, przenośne radiostacje (nie licząc tych, które miały znaleźć się w aeroplanach) umożliwiające kontakt z radiostacją Arkhamu z dowolnego miejsca na kontynencie. Aparatura na statku służyła do kontaktu ze światem zewnętrznym – potężna radiostacja na przylądku Kingsport Head w Massachusetts miała odbierać raporty prasowe dla „Arkham Advertiser”.

Liczyliśmy, że uporamy się z naszymi pracami w trakcie jednego antarktycznego lata; gdyby okazało się to niemożliwe, mieliśmy przezimować na pokładzie Arkhamu, a Miskatonic jeszcze przed zamarznięciem lodów wysłać na północ po zaopatrzenie na następne lato.

Nie muszę chyba powtarzać tego, co pisały gazety o wczesnej fazie naszych prac: o naszej wspinaczce na Erebusa czy o wierceniach na Wyspie Rossa, które dzięki urządzeniom Pabodiego przeprowadziliśmy z niezwykłą wręcz sprawnością i skutecznością, mimo że skały były dość twarde; nie będę opowiadał o tym, jak wypróbowaliśmy naszą aparaturę do roztapiania lodu, o ryzykownej wspinaczce z saniami i zaopatrzeniem na Barierę Lodową, o tym, jak rozbiliśmy obóz na jej szczycie i zmontowaliśmy wreszcie całą piątkę wielkich aeroplanów. Całej naszej lądowej ekipie – dwudziestu ludziom i pięćdziesięciu pięciu alaskańskim psom zaprzęgowym – dopisywało zdrowie, jakkolwiek dotychczas nie doświadczyliśmy jeszcze, rzecz jasna, naprawdę uciążliwych temperatur ani wiatrów. Temperatura oscylowała zazwyczaj między zerem a dwudziestoma czy dwudziestoma pięcioma stopniami Fahrenheita*; nawykli do mroźnych zim w Nowej Anglii

radziliśmy sobie w takich warunkach bez trudu. Obóz na Barierze Lodowej był tymczasowy, miał pełnić funkcję składu benzyny, żywności, dynamitu i innego zaopatrzenia. Do transportowania urządzeń wydobywczych wystarczały nam tylko cztery aeroplany, toteż piąty zostawiliśmy w obozie pod opieką pilota i dwóch marynarzy, aby w razie utraty pozostałych czterech maszyn mógł zabrać nas z powrotem na pokład Arkhamu. Później, gdy cała czwórka zakończyłaby już transportowanie sprzętu, mogliśmy wykorzystać ją do przewożenia ekwipunku między składem a drugą stałą bazą zlokalizowaną sześćset–siedemset mil dalej na południe, na wielkim płaskowyżu za Lodowcem Beardmore'a. Na przekór jednogłośnym ostrzeżeniom przed nękającymi ów płaskowyż straszliwymi wiatrami i burzami śnieżnymi postawiliśmy na ekonomię, a może również większą skuteczność działania, i postanowiliśmy zaryzykować i obejść się bez obozów przejściowych.

Komunikaty radiowe donosiły o czterogodzinnym, nieprzerwanym, zapierającym dech w piersiach locie, jaki odbyliśmy całą naszą eskadrą 21 listopada nad wysoką ścianą szelfowego lodowca. Na zachodzie wznosiły się olbrzymie szczyty gór, a rykowi naszych silników odpowiadała jedynie niezgłębiona cisza. Wiatr nie dawał nam się zbytnio we znaki, raz tylko wlecieliśmy w gęstą mgłę, ale radiokompasy pomogły nam utrzymać kierunek. Gdy między 83 a 84 0 szerokości ląd przed nami począł wznosić się potężnie w górę, było jasne, że dotarliśmy do Lodowca Beardmore'a, największego lodowca dolinnego na świecie; był to znak, że kończy się pod nami zamarznięte morze, a zaczyna posępny, górzysty ląd. Teraz już naprawdę dotarliśmy do podbiegunowego, od prawieków skutego białą śmiercią świata – i wnet daleko na wschodzie oczom naszym ukazał się wierzchołek Góry Nansena wznoszący się na wysokość niemal piętnastu tysięcy stóp.

Południowa baza, którą udało nam się założyć ponad lodowcem, na szerokości 86 07' oraz 174 023' długości wschodniej, wyprawy podejmowane saniami i aeroplanami, fenomenalnie szybkie i owocne odwierty, jakie przeprowadziliśmy z użyciem świdrów i dynamitu – to wszystko już historia, podobnie jak żmudna, lecz zwycięska wspinaczka na Górę Nansena, jaką w dniach 13–15 grudnia podjął Pabodie z dwoma asystentami Gedneyem i Carrollem. Znajdowaliśmy się jakieś 8500 stóp nad poziomem morza, gdy zaś próbne wiercenia wykazały, że twardy grunt znajduje się ledwie dwanaście stóp pod warstwą śniegu i lodu, zrobiliśmy użytek z aparatury do rozmrażania – zanurzyliśmy świdry i laski dynamitu w miejsca, do których nie dotarł dotąd żaden z poszukiwaczy minerałów. Wydobyte tym sposobem próbki prekambryjskich granitów i przybrzeżnych piaskowców potwierdziły nasz domysł, że płaskowyż stanowi jedną całość z wielką masą kontynentu znajdującą się na zachodzie, zarazem jednak ma nieco inny charakter niż ląd leżący na wschód od nas, poniżej Ameryki Południowej. Wydawało nam się wówczas, że ten ostatni stanowi osobny, mniejszy ląd oddzielony od kontynentu zamarzniętym przesmykiem Mórz Rossa i Weddella – wszelako późniejsze odkrycie Byrda obaliło tę hipotezę.

W niektórych piaskowcach, nawierconych pierwej świdrem, a potem

odłupanych dynamitem, znaleźliśmy wiele ciekawych skamielin, zarówno śladów, jak fragmentów organizmów – głównie paproci, wodorostów, trylobitów, liliowców i mięczaków, takich jak lingule i brzuchonogi – a każdy z nich wiele nam powiedział o najdawniejszych dziejach całego regionu. Znaleźliśmy także cudaczny, prążkowany odcisk trójkątnego kształtu. Lake poskładał go z odłamków łupku wydobytych z głębokiego otworu odstrzelonego dynamitem. Był to odwiert zachodni, przeprowadzony w pobliżu Gór Królowej Aleksandry. Lake jako biolog uznał ten odcisk za niezwykle zastanawiający, choć na moje geologiczne oko nie wyróżniał się on zbytnio na tle skał osadowych, obfitujących wszak w osobliwe efekty fałdowań. Łupki to przecież nic innego jak tylko formacja metamorficzna z wprasowaną warstwą osadów – wiedząc zaś, w jak dziwaczny sposób ciśnienie potrafi zniekształcić wszelkie możliwe odciski, nie widziałem powodu, by się temu prążkowanemu okazowi szczególnie dziwić.

Szóstego stycznia 1931 roku Lake, Pabodie, Danforth i ja w towarzystwie całej szóstki asystentów i czterech mechaników przelecieliśmy dwoma samolotami nad biegunem południowym. Nagły poryw wysokiego wiatru zmusił nas w pewnym momencie do lądowania, ale na szczęście nie przerodził się w typową burzę. Był to, jak pisały gazety, jeden z kilku lotów obserwacyjnych; pozostałe loty miały na celu rozpoznanie właściwości topograficznych obszarów, gdzie nie dotarli jeszcze poprzedni badacze. Pod tym względem te pierwsze loty okazały się rozczarowujące, jakkolwiek pozwoliły nam nacieszyć oczy charakterystycznymi dla okolic podbiegunowych mirażami – tak wspaniale łudzącymi, tak fantastycznymi w swym bogactwie, że to, cośmy widzieli pierwej z pokładu statku, było jedynie ich skromnym przedsmakiem. Dalekie góry unosiły się na niebie niby zaczarowane miasta; w promieniach niskiego nocnego słońca śnieżnobiały świat rozpływał się często w rozmigotaną złotem, srebrem i szkarłatem krainę rodem z baśni Lorda Dunsany’ego, w sennym rozmarzeniu zwiastującą wielkie przygody. W pochmurne dni mieliśmy poważne kłopoty z lataniem – znikał wówczas najsłabszy nawet ślad horyzontu i śnieżnobiałe pustkowie zlewało się z niebem w nierozdzielną, mistycznie opalizującą próżnię.

Wreszcie postanowiliśmy zrealizować nasz plan pierwotny i polecieć wszystkimi czterema aeroplanami pięćset mil na wschód, a następnie założyć kolejną bazę przejściową – w miejscu położonym, jak nam się podówczas mylnie zdawało, na osobnym lądzie. Pozyskane tam przez nas geologiczne próbki mogłyby okazać się cennym materiałem porównawczym. Jak dotąd cieszyliśmy się wybornym wręcz zdrowiem; monotonną dietę złożoną z mocno osolonych konserw uzupełnialiśmy sokiem z limony, temperatury zaś rzadko spadały poniżej zera, toteż obywaliśmy się bez najgrubszych futer. Był środek lata; liczyliśmy na to, że zachowując należyte tempo, uporamy się z naszymi pracami do marca i unikniemy żmudnego zimowania przez długą antarktyczną noc. Z zachodu kilkakroć zaatakowały nas rozszalałe nawałnice, udało nam się wszakże uniknąć strat w sprzęcie – głównie dzięki przemyślności Atwooda, który potrafił z ciężkich bloków śniegu zbudować prowizoryczne wiatrochrony dla aeroplanów i umocnienia

dla głównych namiotów obozowych. Skuteczność naszych działań oraz dopisujące nam dotychczas szczęście były doprawdy niesamowite.

Świat oczywiście dowiadywał się na bieżąco o naszych poczynaniach. Wiedział także o dziwnym, zaciętym uporze, z jakim Lake nastawał na podjęcie wyprawy na zachód, czy raczej północny zachód. Biolog chciał, byśmy wybrali się tam przed ostateczną przeprowadzką do nowej bazy. Wyglądało na to, że nie dawał mu spokoju ów trójkątny, prążkowany odcisk w kawałku łupku; Lake łamał sobie nad nim głowę, aż doszedł do zatrważająco zuchwałego przekonania, jakoby nie pasował on do swego macierzystego okresu geologicznego i nie mieścił się w porządku Natury. Wniosek ten rozjątrzył jego ciekawość do najdalszych granic: Lake jął domagać się przeprowadzenia dalszych odwiertów w formacjach skalnych rozciągających się w kierunku zachodnim, czyli w tych, z których pochodziły wygrzebane kawałki. Był dziwnie pewien, że trójkątny ślad został odciśnięty w skale przez nieznany masywny organizm, wymykający się wszelkim klasyfikacjom, a przy tym wysoko zaawansowany ewolucyjnie. Nie zważał przy tym na to, że skamielina pochodzi z niesłychanie zmierzchłych pradziejów – z kambru, a być może nawet z prekambru – w których nie było jeszcze nie tylko zaawansowanych organizmów, ale w ogóle żadnych organizmów wyższych niż jednokomórkowce czy trylobity. Łupki noszące dziwny odcisk musiały liczyć sobie od pięciuset milionów do miliarda lat.

## II

Puszczając w świat komunikat o wyprawie Lake'a na północny zachód, na tereny nietknięte dotąd ludzką stopą i niezgłębione ludzką imaginacją, musieliśmy – jak sądzę – nieźle poruszyć masową wyobraźnię; nie wspomnieliśmy wszakże ani słowem o jego wybujałych nadziejach zrewolucjonizowania całej biologii i geologii. Wstępna wyprawa na saniach, podjęta przez Lake'a w dniach 11–18 stycznia wraz z Pabodiem i pięcioma asystentami – okupiona stratą dwóch psów zabitych podczas wywrotki przy przekraczaniu wielkich zwałów lodowych – przyniosła kolejne okazy łupków z archaiku. Nawet ja byłem zaskoczony, że w tych niewyobrażalnie starych warstwach znajduje się tak osobliwe bogactwo skamielin. Były to jednak skamieliny bardzo prymitywnych form życia, toteż nie widziałem w nich nic specjalnie paradoksalnego poza tym, że w tak starych, ewidentnie prekambryjskich jeszcze skałach nie powinno być w zasadzie żadnych form życia; dlatego wciąż nie byłem przekonany, że żądania biologa, opóźniające realizację naszych głównych planów – ich uwzględnienie wymagałoby bowiem zaangażowania wszystkich czterech samolotów, wielu ludzi i całego sprzętu wiertniczego – są naprawdę uzasadnione. Koniec końców nie sprzeciwiłem się jego planom, odmówiłem jednak udziału w wyprawie – mimo że Lake błagał mnie, bym wspomógł go swą wiedzą geologiczną; postanowiłem, że zostanę z Pabodiem i pięcioma ludźmi w bazie i opracuję ostateczny plan przenosin na wschód. Z tą właśnie myślą – jakkolwiek nie była to jeszcze nagląca potrzeba – jeden z naszych samolotów począł już

przewozić zapasy benzyny z Cieśniny McMurdo. Zostawiłem sobie sanie i dziewięć psów, pozbawianie się wszelkich środków transportu w tym bezludnym, martwym od prawieków świecie byłoby bowiem mocno nierozsądne.

Jak wszyscy pewnie pamiętają, Lake wysyłał ze swej nadprogramowej wyprawy w nieznane osobne raporty przez krótkofalowe nadajniki na pokładach samolotów; jego transmisje były odbierane jednocześnie przez naszą radiostację w bazie południowej oraz na pokładzie Arkhamu w Cieśninie McMurdo, skąd przekazywano je dalej w świat na falach długich, w niemal pięćdziesięciometrowym paśmie. Wyprawa wyruszyła 22 stycznia o godzinie czwartej rano. Pierwsza wiadomość nadeszła już dwie godziny później: Lake meldował, że wylądował jakieś trzysta mil od nas, roztopił na niewielkim obszarze lód i przeprowadził pierwsze wiercenie. Sześć godzin później nadszedł meldunek drugi; biolog donosił z wielkim podnieceniem, że ryje w ziemi jak kret, posłużył się świdrem i dynamitem i wydobył z płytkiego szybu fragmenty łupków z odciskami podobnymi do tych, które tak zaintrygowały go w bazie.

Trzy godziny później krótki komunikat poinformował nas, że wyprawa rusza dalej, tym razem w porywach wściekłej wichury; odpowiedziałem, że nie życzę sobie dalszych niebezpiecznych kroków, lecz biolog odparł szorstko, że dla takich okazów warto podjąć każde ryzyko. Pojąłem, że jest tak podekscytowany, iż gotów jest się zbuntować, a ja nie jestem władny powstrzymać go przed dalszymi szaleńczymi posunięciami, zagrażającymi powodzeniu całej ekspedycji. Na myśl o tym, że zanurza się coraz głębiej w zdradliwą, posępną białą otchłań śniegowych burz i niezgłębionych tajemnic, ciągnącą się przez jakieś półtora tysiąca mil aż do na poły tylko znanej, na poły domyślanej się linii brzegowej Wybrzeża Knoxa i Ziemi Królowej Mary, ogarniała mnie trwoga.

Potem, po upływie mniej więcej półtorej godziny, z pokładu swego samolotu Lake przysłał wiadomość ekscytującą w dwójnasób – a ja, wysłuchawszy jej, omal nie pożałowałem, że nie wziąłem udziału w jego wyprawie.

> 22.05. Jesteśmy w powietrzu. Po przejściu burzy śnieżnej wypatrzyliśmy na wprost masyw górski wyższy niż wszystkie, jakie dotychczas widzieliśmy. Biorąc pod uwagę wysokość płaskowyżu, być może dorównuje Himalajom albo nawet jest wyższy. Przypuszczalne współrzędne: 76°15’ szer. płd., 113°10’ dł. wsch. Ciągnie się w obie strony aż po horyzont. Dwa stożki prawdopodobnie wulkaniczne. Wszystkie wierzchołki czarne, pozbawione śniegu. Wichura od strony gór utrudnia nawigację.

Usłyszawszy tę wieść, Pabodie, ja i reszta ludzi stłoczyliśmy się z zapartym tchem przy odbiorniku. Myśl o tym, że siedemset mil od nas wznosi się łańcuch tytanicznych gór, poruszyła naszą najgłębiej skrywaną awanturniczą żyłkę; cieszyliśmy się, że jeśli nawet nie my osobiście, to przynajmniej członkowie naszej ekspedycji są ich odkrywcami. Pół godziny

później Lake odezwał się ponownie:

> Samolot Moultona musiał lądować na płaskowyżu u podnóża gór, ale nikomu nic się nie stało, może też da się go naprawić. Jeśli zajdzie potrzeba, przeniosę najpotrzebniejsze rzeczy do pozostałych trzech maszyn, ale na razie żadne loty z większym ładunkiem nie będą potrzebne. Wybraliśmy się na zwiad samolotem Carrolla, bez żadnego ładunku. Wielkość tych gór przekracza wszelkie pojęcie. Nawet nie próbujcie ich sobie wyobrazić. Najwyższe szczyty muszą mieć ponad 35 000 stóp. Everest to przy nich bagatela. Atwood mierzy wysokość teodolitem, a my z Carrollem wylecieliśmy na rozpoznanie. Chyba myliłem się co do dymiących stożków, formacje skalne są raczej warstwowe: prawdopodobnie łupki prekambryjskie przemieszane z innymi warstwami. Zauważam dziwne efekty optyczne: wydaje się, jakby do najwyższych szczytów przylegały regularne grupy sześciennych brył. Całe pasmo w czerwonozłotym blasku niskiego słońca. Wygląda cudownie, jak tajemnicza kraina ze snów albo wrota do zakazanego świata pełnego nietkniętych jeszcze cudów. Szkoda, że was tu nie ma, zobaczylibyście sami.

O tej porze doby zwykle już spaliśmy, lecz żaden z nas ani przez chwilę nie pomyślał o udaniu się na spoczynek. Podobnie zasłuchana musiała być ekipa w Cieśninie McMurdo, czyli obsada magazynu na lodowcu i załoga Arkhamu – zaraz odezwał się bowiem kapitan Douglas, gratulując ważnego odkrycia, po chwili zawtórował mu Sherman z obozu. Oczywiście żal nam było uszkodzonego samolotu, mieliśmy jednak nadzieję, że da się go łatwo naprawić. Godzinę przed północą nadszedł kolejny komunikat:

> Lecimy z Carrollem nad najwyższą częścią pogórza. Przy tej pogodzie nie będziemy ryzykować lotu nad wyższymi szczytami, ale później spróbujemy. Ciężko i strasznie jest tu dotrzeć, ale naprawdę warto. Cały masyw bardzo zwarty, niepodobna dojrzeć, co jest po drugiej stronie. Główne wierzchołki wyższe niż Himalaje i jakieś dziwaczne. Góry zbudowane jakby z łupków prekambryjskich, ale widać też wyraźnie wypiętrzenia innych warstw. Myliłem się jednak co do tych wulkanów. Łańcuch ciągnie się w obie strony jak okiem sięgnąć. Powyżej jakichś 21 tysięcy stóp szczyty nagie, zupełnie bez śniegu. Na stokach najwyższych gór widać dziwaczne formacje: wielkie, niskie kwadratowe bloki o idealnie pionowych bokach, a pod nimi poziome, niskie obwałowania, zupełnie jak te stare azjatyckie świątynie przylegające do stromych zboczy na obrazach Roericha. Z daleka robią potężne wrażenie. Do niektórych podlecieliśmy trochę bliżej; Carrollowi wydawało się, że zbudowane są z osobnych, mniejszych bloków, ale sądzę, że to raczej efekt wietrzenia. Większość krawędzi skruszała i zaokrąglona, jak gdyby przez miliony lat wystawione były na działanie burz i zmian klimatu. Pewne, zwłaszcza wyższe części gór wydają się zbudowane ze skał jaśniejszych niż

właściwe zbocza, najpewniej mają więc pochodzenie krystaliczne. Z bliska widać liczne gardziele jaskiń – niektóre o niezwykle regularnych zarysach, kwadratowych albo półkolistych. Musicie przylecieć i zbadać sami. Zdaje mi się, że jeden taki dziwny szaniec widziałem na samym wierzchołku jednej z gór, na wysokości jakichś 30–35 tysięcy stóp. Jestem teraz na 21 tysiącach, jest diabelnie zimno. Wiatr gwiżdże i świszcze na przełęczach i w wylotach jaskiń, ale lot na razie nie jest niebezpieczny.

Przez kolejne pół godziny biolog niezmordowanie bombardował nas wiadomościami, stwierdził też, że chętnie wspiąłby się na niektóre szczyty. Odparłem, że dołączę do niego, gdy tylko przyśle po mnie samolot, i że razem z Pabodiem opracujemy nowy plan transportu benzyny – postanowimy, gdzie i jak zgromadzić zapasy z myślą o nowych celach naszej ekspedycji. Oczywiście odwierty i lotnicze zwiady Lake'a wymagały przeniesienia znacznej ilości zaopatrzenia do jego nowej bazy u podnóża gór; mogło się tedy okazać, że do końca lata jednak nie uda nam się polecieć na wschód. W związku z tym nawiązałem kontakt z kapitanem Douglasem i poprosiłem, by pozostawionym na pokładzie Arkhamu zaprzęgiem przetransportował jak najwięcej zapasów ze statków do składu na Barierze Lodowej. Koniecznie musieliśmy wytyczyć bezpośrednią marszrutę przez nieznane tereny leżące pomiędzy miejscem, w którym znalazł się biolog, a Cieśniną McMurdo.

Później znów odezwał się Lake. Oznajmił, że nie będzie już przenosił obozu, pozostawia go tam, gdzie stoi samolot Moultona; dodał, że widać już pewne postępy w naprawie. Pokrywa lodowa była bardzo cienka, tu i ówdzie widać było nawet czarny grunt, toteż przed wyruszeniem na wspinaczkę lub wyprawę saniami zamierzał przeprowadzić kilka wierceń na miejscu. Opowiadał, że cała okolica tchnie niewysłowionym dostojeństwem i że gdy stoi u podnóża tych olbrzymich, milczących wieżyc, wzbijających się pod samo niebo niby ściana na krawędzi świata, ogarnia go dziwaczne uczucie. Według teodolitowych pomiarów Atwooda pięć najwyższych szczytów liczyło sobie od trzydziestu do trzydziestu czterech tysięcy stóp wysokości. Lake'a wyraźnie niepokoiło to, że stoki gór są do cna omiecione ze śniegu – wskazywało to bowiem, że zdarzają się tam potężne wichury, gwałtowniejsze niż wszystkie wiatry, których dotychczas zdarzyło nam się doświadczyć. Jego obóz leżał nieco ponad pięć mil od miejsca, gdzie wystrzelało w górę wyższe pogórze. Potem jął nalegać, byśmy wszyscy jak najrychlej uporali się z naszymi sprawami i razem z nim obadali tę dziwną okolicę, a mnie się zdało, że poprzez siedemset mil lodowej próżni słyszę w jego słowach nutę podświadomej trwogi. Na koniec oznajmił, że wycieńczony całodniową pracą, natłokiem zdarzeń i nieoczekiwanych odkryć udaje się na spoczynek.

Rankiem odbyłem wspólną naradę radiową z Lakiem i kapitanem Douglasem. Uzgodniliśmy, że jeden z samolotów biologa przyleci do naszej bazy i zabierze Pabodiego, mnie i piątkę asystentów oraz tyle benzyny, ile tylko zdoła udźwignąć. Transport reszty paliwa uzależniliśmy od naszej decyzji co do wypadu na wschód, na razie mogliśmy tę sprawę o kilka dni

odłożyć – zapas benzyny, jakim dysponował Lake, wystarczał do ogrzania obozu i przeprowadzenia wierceń. W starej południowej bazie prędzej czy później i tak musieliśmy uzupełnić zaopatrzenie, ale gdybyśmy odłożyli wyprawę na wschód, benzyna nie byłaby nam potrzebna aż do następnego lata; tymczasem Lake musiał koniecznie wysłać samolot i przetrzeć bezpośredni szlak między świeżo odkrytymi górami a Cieśniną McMurdo.

Pabodie i ja przygotowaliśmy bazę do zamknięcia na dłuższy lub krótszy czas, w zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja. Gdyby przyszło nam zimować na Antarktydzie, nie musieliśmy tu wracać – przypuszczalnie moglibyśmy polecieć na Arkham prosto z bazy Lake'a. Część naszych stożkowych namiotów już wcześniej wzmocniliśmy blokami zmrożonego śniegu, teraz postanowiliśmy dokończyć dzieła i przekształcić obóz w trwałe osiedle na wzór eskimoskich wiosek – biolog był dobrze zaopatrzony w namioty i nawet po naszym przybyciu powinno mu ich wystarczyć dla wszystkich. Dałem mu znać przez radio, że potrzebujemy jeszcze jednego dnia na pracę i jednej nocy na odpoczynek, toteż razem z Pabodiem będziemy gotowi do drogi następnego ranka.

Robota szła nam jednak dobrze tylko do godziny szesnastej, mniej więcej od tego momentu Lake jął bowiem zasypywać nas nadzwyczajnymi, ekscytującymi komunikatami. Dzień zaczął mu się niepomyślnie: wybrał się samolotem na obserwację najbliższych odsłoniętych skał, okazało się jednak, że nie ma w nich ani krztyny tego, na czym zależało mu najbardziej: pierwotnych, archaicznych warstw, czyli głównego budulca kolosalnych szczytów wznoszących się w pokuśliwej bliskości obozu. Z jego obserwacji wynikało, że nagie skały składają się głównie z jurajskich i komanczańskich* piaskowców oraz permskich i triasowych łupków; pomiędzy nimi połyskiwały gdzieniegdzie czarne smugi – najprawdopodobniej pokłady twardego, łupkowego węgla. Biolog nie był zachwycony – całą wyprawę podjął wszak z myślą o wydobyciu próbek liczących sobie co najmniej pięćset milionów lat. Zrozumiał, że jeśli pragnie odkryć żyłę archaicznych łupków takich samych jak te, w których znalazł dziwaczny odcisk, będzie musiał wypuścić się saniami z pogórza aż pod strome zbocza gigantycznych gór.

Tak czy owak Lake postanowił trzymać się głównego programu całej ekspedycji i wykonać na miejscu kilka odwiertów; zmontował tedy świder i posłał pięciu ludzi do wiercenia, sam zaś z resztą załogi kończył rozbijanie obozu i naprawę uszkodzonego aeroplanu. Na pierwszy ogień wybrano najmiększą z dotychczas zaobserwowanych skał, piaskowiec oddalony o jakieś ćwierć mili od obozu. Świder spisywał się doskonale, wiertnicy nie musieli nawet używać wielkich ilości dynamitu. Po jakichś trzech godzinach, tuż po pierwszym donośniejszym wybuchu, w obozie dał się słyszeć ich krzyk; po chwili przybiegł bez tchu młody Gedney, pełniący funkcję brygadzisty, i ogłosił wieść niebywałą: świder przebił się do jaskini.

Zrazu, przebiwszy warstwę piaskowca, wiertnicy dotarli do pokładów komanczańskiego wapienia wypełnionego drobniutkimi skamielinami: głowonogami, koralami, jeżowcami, gdzieniegdzie jakby też gąbkami krzemowymi i kośćmi morskich kręgowców – prawdopodobnie ryb kostnoszkieletowych, kostnołuskich i rekinów. Już i to było znaleziskiem

wielkiej wagi, po raz pierwszy bowiem ekspedycja nasza natknęła się na skamieliny kręgowców; wkrótce jednak, gdy głowica świdra przebiła się przez wapienie i trafiła na próżnię, wiertników ogarnęła zupełnie nowa, dwakroć potężniejsza fala podniecenia. Dobrze odmierzony ładunek wybuchowy dopełnił dzieła i odsłonił przed oczyma żądnych wrażeń poszukiwaczy podziemny sekret: oto w poszarpanym otworze, szerokim na jakieś pięć stóp i na trzy stopy głębokim, ział płytki korytarz, przed pięćdziesięciu z górą milionami lat wydrążony w warstwie wapieni przez cieki gruntowych wód tropikalnego niegdyś świata.

Wydrążona warstwa nie miała więcej niż siedem czy osiem stóp grubości, ciągnęła się wszakże we wszystkich możliwych kierunkach, wyczuwalny w niej zaś leciutki prąd świeżego powietrza wskazywał, że jest to tylko część rozległego systemu jaskiń. Podłoże i sklepienie kipiały od wielkich stalaktytów i stalagmitów, część z nich zdążyła już się zrosnąć i utworzyć kolumny; najważniejszym znaleziskiem był jednak potężny osad muszli i kości, miejscami tak gruby, że niemal blokował przejście. Kostne usypisko – wymyte z nieznanych mezozoicznych dżungli gęstych od grzybów i drzewiastych paproci, z trzeciorzędowych lasów puchnących od roślin nagonasiennych, prymitywnych okrytonasiennych i palm wachlarzowatych – zawierało więcej kredowych, eoceńskich i innych gatunków zwierząt, niż najznakomitszy nawet paleontolog zdołałby zgromadzić i sklasyfikować przez okrągły rok. Były tam i muszle mięczaków, i pancerzyki skorupiaków, i szkielety ryb, płazów, gadów, ptaków, wczesnych ssaków – wielkich i małych, znanych i nieznanych… Nic dziwnego, że Gedney przybiegł do obozu z krzykiem, a usłyszawszy jego wieść wszyscy z miejsca porzucili swe zajęcia i popędzili przez siarczysty mróz w stronę wysokiego szybu, pod którym stały otworem wrota do wnętrza ziemi – do jej tajemnic i dawno minionych eonów.

Zaspokoiwszy najpierwszą, najżarliwszą ciekawość, Lake nabazgrał w notatniku wiadomość i kazał młodemu Moultonowi w te pędy wysłać ją przez radio. Wówczas po raz pierwszy usłyszałem o ich odkryciu. Biolog pisał, że zidentyfikował wczesne okazy muszli, kości ryb kostnołuskich i pancernych, szczątki labiryntodontów i tekodontów, wielkie fragmenty czaszek mozazaurów, kręgi i pancerne płyty dinozaurów, zęby i kości skrzydeł pterodaktyli, szczątki praptaków, zęby mioceńskich rekinów, czaszki prymitywnych ptaków oraz czaszki, kręgi i inne kości archaicznych ssaków: paleoterii, dinoceratów, eohippusów, oreodonów, tytanoterów i wielbłądokształtnych z rodziny *xiphodontidae.* Nie było ani śladu zwierząt późniejszych: mastodontów, słoni, zwykłych wielbłądów, zwierzyny płowej ani bydła. Lake wyciągnął stąd wniosek, że ostatnie osady zostały naniesione w epoce oligocenu, czyli jaskinia przetrwała w obecnej postaci – sucha, martwa i niedosięgła – co najmniej trzydzieści milionów lat.

Najosobliwszą wszakże rzeczą była jednak przewaga szczątków najwcześniejszych form życia. Jakkolwiek obecność tak pospolitych organizmów jak gąbki z rodzaju ventriculites wskazywała niezbicie, że formacja wapienna nie mogła powstać wcześniej niż w okresie komanczańskim, wśród skamielin znajdowało się zaskakująco wiele

szczątków organizmów uważanych dotychczas za znacznie starsze – nawet pierwotnych ryb, mięczaków i korali występujących jeszcze w sylurze czy ordowiku. Nasuwał się nieodparty wniosek, że w tej części świata musiała była wystąpić wyjątkowa, niespotykana nigdzie indziej ciągłość między życiem sprzed trzystu i trzydziestu milionów lat. Jak daleko mogła owa ciągłość sięgać, czy wykraczała poza oligocen, kiedy jaskinia się zamknęła – niepodobna było oczywiście orzec. Tak czy owak straszliwe zlodowacenie, które nastąpiło w plejstocenie, około pięciuset tysięcy lat temu – czyli w porównaniu z wiekiem jaskini niemal przed chwilą – musiało uśmiercić wszystkie pierwotne formy, jakim udało się przeżyć swój czas.

Lake nie poprzestał na pierwszym komunikacie; nim Moulton zdążył wrócić, już napisał następny i posłał go przez śniegi do obozu. Potem słał przez kolejnych umyślnych dalsze dopiski, a Moulton został przy radiostacji w jednym z samolotów i przesyłał je do mnie oraz na pokład Arkhamu i dalej, w szeroki świat. Każdy, kto podówczas śledził w gazetach przebieg wyprawy, pamięta zapewne, jaką ekscytację wzbudziły te popołudniowe sprawozdania w kręgach naukowych – to właśnie one po tylu latach doprowadziły do zorganizowania ekspedycji Starkweathera i Moore'a, którą tak uparcie staram się udaremnić. Najlepiej będzie, jeśli przytoczę te wiadomości dosłownie, tak jak Lake stenografował je ołówkiem w swym notatniku, a nasz operator McTighe tłumaczył je dla nas w bazie:

> Fowler dokonał odkrycia najwyższej wagi. W odłupanych dynamitem fragmentach piaskowca i wapienia widać kilka wyraźnych trójkątnych, prążkowanych odcisków, podobnych do tych, które znaleźliśmy w łupkach z archaiku. Jest to dowód na to, że coś, co je wykonało, przetrwało 600 mln lat temu aż do okresu komanczańskiego, z niewielkimi tylko zmianami w morfologii i spadkiem średnich rozmiarów ciała. Odciski komanczańskie wyglądają wręcz na prymitywniejsze, bardziej zdegenerowane od starszych. Przekazując wiadomość do prasy, podkreślcie wagę odkrycia. Dla biologii znaczy ono tyle, ile dla matematyki i fizyki znaczą odkrycia Einsteina. Potwierdza to moje wcześniejsze domysły i tym mocniej dowodzi słuszności wniosków. Zgodnie z mymi podejrzeniami wygląda na to, że na Ziemi istniał już cały cykl lub cykle życia organicznego, zanim jeszcze od archeozoicznych komórek rozpoczęła się znana nam ewolucja. Życie rozwijało się i różnicowało już przed miliardem lat, gdy planeta była jeszcze młoda i nie nadawała się do zamieszkania przez żadne formy życia ani zwyczajną strukturę protoplazmatyczną. Pytanie brzmi: kiedy, gdzie i jak się ono rozwinęło?

***

> Później. Badamy fragmenty szkieletów wielkich gadów, lądowych i morskich, oraz prymitywnych ssaków. Znaleźliśmy osobliwe uszkodzenia czy urazy struktury kostnej, których nie da się przypisać

żadnym drapieżnikom czy zwierzętom wszystkożernym z żadnych znanych nam epok. Są dwojakiego rodzaju: proste, przewiercone na wylot otwory i jakby rany sieczne. W jednym lub dwóch przypadkach kości gładko przecięte. Okazów uszkodzonych niewiele. Wysłałem ludzi do obozu po latarki. Poszerzymy obszar poszukiwań, odrąbując stalaktyty.

***

Jeszcze później. Znaleźliśmy dziwaczny kawałek steatytu, szeroki na jakieś sześć cali i na półtora cala gruby, zupełnie niepodobny do żadnych okolicznych formacji. Zielonkawy, ale trudno określić jego wiek. Jest niezwykle gładki i regularny. Ma kształt pięcioramiennej gwiazdy z odłamanymi wierzchołkami; w wewnętrznych kątach i pośrodku widać też jakieś pęknięcia. Po drugiej, czystej stronie ma małe, gładkie wgłębienie. Bardzo ciekawe, jak to dziwo mogło powstać i wytrzymać proces wietrzenia. Może to sprawka wody. Carroll ogląda to przez lupę, twierdzi że widzi jeszcze inne ślady, które mogą mieć znaczenie dla geologa: grupy maleńkich punkcików układające się w regularne wzory. Psy coraz bardziej się niepokoją, najwyraźniej nie znoszą tego steatytu. Musimy sprawdzić, czy ma on jakiś specyficzny zapach. Odezwę się, kiedy już Mills wróci z latarkami i zaczniemy poszukiwania pod ziemią.

***

22.15. Ważne odkrycie. Orrendorf i Watkins, pracujący z latarkami, o 21.45 znaleźli monstrualną baryłkowatą skamielinę kompletnie nieznanego pochodzenia, prawdopodobnie roślinę lub przerośnięty okaz nieznanego promieniaka. Tkanka zakonserwowała się dzięki działaniu soli mineralnych. Ma twardość skóry, ale w niektórych miejscach zachowała zdumiewającą elastyczność. Na końcach i po obu stronach widać ślady odłamanych części. Długość: sześć stop, szerokość pośrodku: trzy i pół stopy, na obu końcach zwęża się do jednej stopy. Wygląda to jak beczka z pięcioma wzdłużnymi wybrzuszeniami zamiast klepek. W połowie korpusu na tych wybrzuszeniach widać jakby ślady po odłamanych cieńszych odroślach. W bruzdach między wybrzuszeniami zachowały się ciekawe kończyny, jakby grzebienie czy skrzydła, które zwijają się i rozwijają jak wachlarze – wszystkie prawie zupełnie zniszczone, z wyjątkiem jednego, rozpościerającego się niemal na siedem stóp. Całość kojarzy się z niektórymi monstrami z najpierwotniejszych mitów, zwłaszcza sławnymi Starszymi Istotami z *Necronomiconu*. Te skrzydła zbudowane są jakby z błony rozpiętej na rurkowatym szkielecie. Na końcach skrzydeł w tym szkielecie widać

drobne potworki. Korpus na obu końcach mocno pomarszczony, trudno określić, jaką mógł mieć budowę wewnętrzną lub co się od tych końców odłamało. W obozie musimy zrobić sekcję. Nie potrafię stwierdzić, czy to organizm roślinny czy zwierzęcy. Wiele cech wskazuje, że był wręcz niewiarygodnie prymitywny. Wszyscy moi ludzie ścinają stalaktyty i szukają kolejnych okazów. Znaleźliśmy kolejne uszkodzone kości, ale one teraz muszą poczekać. Problem: psy nie są w stanie ścierpieć tego nowego znaleziska; gdybyśmy nie trzymali ich na uwięzi, prawdopodobnie rozerwałyby je na sztuki.

***

23.30. Dyer, Pabodie, Douglas, uwaga! Wiadomość najwyższej, transcendentnej wręcz wagi. Arkham musi natychmiast ją przekazać do Kingsport Head. Tamte ślady w archaicznych skałach zostały odciśnięte właśnie przez te dziwne baryłkowate odrośle. Czterdzieści stóp od otworu Mills, Boudreau i Fowler odkryli kolejne trzynaście sztuk wymieszanych z intrygująco zaokrąglonymi i ukształtowanymi fragmentami steatytu, mniejszymi niż ten pierwszy – również gwiaździstego kształtu, ale prawie nienaruszonymi, spękanymi tylko w niektórych miejscach. Spośród trzynastu okazów organicznych osiem zachowanych doskonale, ze wszystkimi odroślami. Wszystkie wyciągnąłem na powierzchnię. Psy trzymam z dala, bo ich serdecznie nie znoszą. Uważajcie, żeby dokładnie przekazać opis, każcie sobie powtórzyć, żeby wszystko się zgadzało. Nie można dopuścić, żeby gazety coś przekręciły.

Obiekty są długie na osiem stóp. Korpus o pięciu wzdłużnych grzbietach, długi na sześć stóp, szerokość pośrodku trzy i pół stopy, na końcach jedna stopa. Całość ciemnoszara, elastyczna i niesamowicie twarda. Z bruzd między grzbietami wyrastają skrzydła: błoniaste, tej samej barwy, długie na siedem stóp, w chwili znalezienia ciasno zwinięte. Szkielet skrzydeł zbudowany z rurek czy gruczołów, również szary, ale nieco jaśniejszy, z otworkami na końcach. Krawędzie rozwiniętych skrzydeł ząbkowane. W najgrubszym miejscu korpusu na każdym z pięciu grzbietów znajdują się elastyczne ramiona czy macki jasnoszarej barwy; w chwili odkrycia były zwinięte ciasno przy tułowiu, ale rozwijają się przeszło na trzy stopy. Wyglądają jak ramiona prymitywnych liliowców. Każda taka odrośl ma trzy cale średnicy i w odległości sześciu cali od nasady rozgałęzia się na pięć mniejszych, z tych zaś po dalszych ośmiu calach wyrasta po pięć małych, zwężających się macek czy witek; łącznie daje to dwadzieścia pięć macek na każdą odrośl.

Na szczycie korpusu znajduje się przysadzista, bulwiasta szyja jasnoszarej barwy, zaopatrzona chyba w skrzela. Na szyi żółtawa głowa w kształcie pięcioramiennej rozgwiazdy, pokryta trzycalowej długości rzęskami, sztywnymi i mieniącymi się całą gamą barw. Jest

gruba i pękata, od czubka do czubka mierzy około dwu stóp szerokości, z każdego końca wyrastają giętkie, żółte, trzycalowej długości rury. Na samym wierzchołku szczelina, prawdopodobnie otwór oddechowy. Na końcu każdej rury kuliste rozszerzenie pokryte żółtawą błoną; po jej rozsunięciu ukazuje się szklista kula z czerwoną tęczówką, najpewniej oko. Kolejne pięć rur, nieco dłuższych i czerwonawej barwy, wyrasta z zagłębień między rożkami głowy. Na końcach każdej rury workowaty guz tego samego koloru, po naciśnięciu rozwiera się w nich otwór w kształcie dzwonu o średnicy dwu cali, obramowany ostrymi, białymi odrostami przypominającymi zęby – prawdopodobnie jest to gęba. Wszystkie te rury, rzęski i rożki głów były ciasno zwinięte; rury i rożki przylegały ciasno do bulwiastej szyi i korpusu. Całość jest niezwykle twarda, ale zaskakująco giętka.

W dolnej części korpusu układ z grubsza podobny, ale inaczej funkcjonujący. Bulwiasta, jasnoszara niby-szyja, pozbawiona już tych jakby skrzeli, na niej zielonkawe, pięcioramienne zakończenie w kształcie rozgwiazdy. Twarde, muskularne ramiona długości czterech stóp, zwężające się od siedmiu cali u nasady do około dwóch i pół cala na końcu. Z każdego wyrasta węższym końcem błoniasty, zielonkawy trójkąt przecięty pięcioma żyłkami, długi na osiem cali, a rozszerzający się do sześciu. Jest to zapewne łapa, płetwa lub niby-stopa, która między miliardem a 50-60 milionami lat temu pozostawiała ślady w skałach. Z zagłębień między rożkami niby-rozgwiazdy wyrastają czerwonawe rury długości dwu stóp zwężające się od trzech cali u nasady do jednego na końcu; na czubkach są otworki. Wszystkie te członki niesłychanie twarde i skórzaste, ale niezmiernie elastyczne. Te czterostopowe ramiona z pewnością służyły do przemieszczania się, czy to w wodzie, czy na lądzie. Kiedy się nimi poruszy, sprawiają wrażenie niezwykle muskularnych. Wszystkie te odrośle w chwili znalezienia również były ściśle zwinięte wokół niby-szyi i zwieńczenia kadłuba, tak jak na drugim końcu.

Nie potrafię jeszcze określić, czy są to przedstawiciele królestwa zwierząt, czy roślin, ale więcej przemawia za zwierzętami. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z niewiarygodnie zaawansowanym ewolucyjnie gatunkiem promieniaka, zachowującym wszakże wiele cech prymitywnych. Wyraźnie przypomina szkarłupnie, jakkolwiek niektóre cechy temu przeczą. Zważywszy, że stworzenia te żyły prawdopodobnie w środowisku morskim, zdumiewająca jest obecność skrzydeł – być może jednak używały ich do nawigacji wodnej. Ciała mają symetryczne w układzie góra-dół, co dziwnie upodabnia je do roślin – zwierzęta ukształtowane są według wzoru przód-tył. Bajecznie wczesne miejsce, jakie zajmują te stworzenia na drabinie ewolucji – są jeszcze starsze niż najprostsze znane nam protozoa z archaiku – uniemożliwia snucie jakichkolwiek domysłów co do ich pochodzenia.

Kompletne okazy są tak niesamowicie podobne do niektórych stworzeń z pierwotnych mitów, że w czasach najdawniejszych prawie

na pewno musiały żyć poza Antarktydą. Dyer i Pabodie czytali *Necronomicon*, widzieli też inspirowane tą księgą koszmarne obrazy Clarka Ashtona Smitha, i z pewnością wiedzą, co mam na myśli, gdy mówię o Starszych Istotach – które ponoć dla żartu albo przez pomyłkę stworzyły życie na Ziemi. Badacze zawsze uważali, że legendarne Starsze Istoty wyrodziły się ze schorzałej ludzkiej wyobraźni pod wpływem znajdowanych ongiś okazów prastarych, tropikalnych promieniaków. Te nasze znaleziska kojarzą się też ze stworami z prehistorycznych ludowych bajań, o których mówił Wilmarth – choćby z różnych odłamów kultu Cthulhu.

Otwiera się szerokie pole do badań. Sądząc po wieku innych znalezisk, okazy pochodzą prawdopodobnie z górnej kredy lub dolnego eocenu. Nad nimi uformowały się potężne stalagmity. Ciężko było je wyciągnąć, ale dzięki temu, że są tak twarde, wcale się nie pouszkadzały. Zachowały się wręcz wspaniale, oczywiście dzięki temu, że narósł nad nimi osad wapienny. Więcej na razie nie znaleźliśmy, ale później wznowimy poszukiwania. Teraz musimy przetransportować wszystkie czternaście olbrzymów do obozu, i to bez pomocy psów – ujadają wściekle, nie można im ufać. Trzech ludzi będzie pilnować psów, a z dziewięcioma będziemy przewozić okazy. Mamy trzy pary sań, powinniśmy dać sobie radę, choć wieje okropny wiatr. Trzeba wytyczyć trasę powietrzną do Cieśniny McMurdo i zacząć przewozić te stwory. Zanim pójdziemy spać, muszę jeszcze zrobić sekcję jednego z nich. Przydałoby się prawdziwe laboratorium. Dyer, kopnij się w kostkę za to, żeś chciał mnie powstrzymać przed tą wyprawą. Najpierw najwyższe góry świata, a teraz to. Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest największe osiągnięcie naszej ekspedycji. Pod względem naukowym więcej nam nie trzeba. Pabodie, gratuluję świdra. No dobra – czy Arkham mógłby teraz powtórzyć opis?

Nie zdołałbym chyba opisać uczuć, jakie ogarnęły mnie i Pabodiego, gdy czytaliśmy tę relację; z nie mniejszym entuzjazmem zareagowali nasi towarzysze. McTighe, który spisywał pospiesznie co ważniejsze informacje, zanim jeszcze wybrzmiały do końca z buczącego odbiornika, odczytał je szybko ze stenografowanej wersji, gdy tylko rozłączył się operator Lake'a. Wszyscy doceniali epokową wagę odkrycia; gdy tylko operator z Arkhamu zgodnie z życzeniem powtórzył opisową część sprawozdania, wysłałem Lake'owi powinszowania, w ślad za mną uczynili to także Sherman ze stacji w Cieśninie McMurdo i kapitan Douglas z pokładu statku. Później do raportu, który miał pójść w świat, dodałem jeszcze kilka słów od siebie jako szefa ekspedycji. Rzecz jasna, byliśmy tak podnieceni, że o spoczynku nawet nie mogło być mowy; marzyłem o tym, by znaleźć się jak najszybciej w obozie Lake'a. Niestety, biolog przysłał rozczarowujący komunikat, że od strony gór nadciąga wichura uniemożliwiająca lot.

W ciągu następnej półtorej godziny kolejne wiadomości od Lake'a na nowo rozpaliły jednak naszą ciekawość i sprawiły, że zapomniałem o rozczarowaniu. Transport czternastu wielkich obiektów do obozu zakończył

się pełnym powodzeniem. Znaleziska okazały się zaskakująco ciężkie, toteż ciągnięcie ich po śniegu było prawdziwą harówką, dziewięciu ludzi podołało jej wszakże bez większych kłopotów. Część grupy budowała już pospiesznie śnieżną zagrodę w bezpiecznej odległości od obozu – dla większej wygody przy karmieniu zamierzano przenieść tam wszystkie trzydzieści siedem psów. Znaleziska złożono na ubitym śniegu nieopodal obozu, z wyjątkiem jednego okazu, który biolog, borykając się z trudnymi warunkami, usiłował zbadać.

Sekcja okazała się zadaniem trudniejszym niż można było oczekiwać; jakkolwiek uruchomiono benzynowy grzejnik i w nowo wzniesionym namiocie laboratoryjnym było całkiem ciepło, zwodniczo elastyczne tkanki wybranego przez Lake'a okazu – potężnego i nietkniętego – nie straciły ani trochę ze swej niepospolitej twardości, większej niż w przypadku zwykłej skóry. Lake zastanawiał się, jak wykonać niezbędne nacięcia, aby nie zniszczyć przy okazji strukturalnych subtelności badanego obiektu. Miał wprawdzie w zapasie jeszcze siedem doskonale zachowanych okazów, lecz postępując lekkomyślnie, mógł je łatwo zmarnować, a nie wiadomo było, czy w jaskini jest ich więcej. Po namyśle odciągnął potężny egzemplarz na miejsce i sięgnął po inny, uszkodzony – miał on wprawdzie zachowane resztki rozgwiazdowatych narządów, ale był mocno zgnieciony, a wzdłuż jednej z bruzd między grzbietami miał rozdartą powłokę.

Rezultat badań, niezwłocznie przekazany przez radio, był doprawdy zdumiewający i dawał do myślenia. Tkanka była tak nienaturalnie twarda, że z trudem poddawała się narzędziom Lake'a, toteż nie było mowy o precyzyjnej i akuratnej sekcji, lecz nawet te skąpe wnioski, do jakich udało mu się dojść, przyjęliśmy z osłupieniem. Okazało się, że trzeba zrewidować całą zgromadzoną dotąd wiedzę biologiczną – znaleziona istota nie była bowiem wytworem żadnego wzrostu komórkowego, jaki znałaby współczesna nauka. Trudno było dostrzec ślady jakiejkolwiek wymiany mineralnej, choć zaś okaz liczył sobie czterdzieści milionów lat, narządy wewnętrzne zachowały się w stanie nienaruszonym. Cały organizm, ukształtowany w trakcie jakiejś paleogenicznej ewolucji bezkręgowców – tak pradawnej, że wymykającej się wszelkim domysłom – był zbudowany ze skórzastego, odpornego, niezniszczalnego wręcz budulca. Istota zrazu była sucha, lecz gdy poczęła tajać w nagrzanym namiocie, nieuszkodzony bok zrosiła jakaś organiczna wilgoć o cierpkim, nieznośnym zapachu. Nie była to krew, tylko gęsta, ciemnozielona ciecz najwyraźniej pełniąca jednak funkcję krwi. Nim biolog dotarł do tego etapu swych badań, wszystkie psy były już zamknięte w nieukończonej jeszcze zagrodzie nieopodal obozu; nawet jednak z tej odległości wyczuwały przenikliwy, gryzący odór i wściekle ujadały.

Prowizoryczna sekcja nie tylko nie wyjaśniła zagadki dziwnego stwora, ale jeszcze ją pogłębiła. Wszystkie domysły na temat funkcji jego członków potwierdziły się, tedy można było już bez większych wątpliwości stwierdzić, że jest to zwierzę; wszelako w swej budowie wewnętrznej obiekt wykazywał tyle cech roślinnych, że Lake był w kropce. Istota miała układ trawienny i układ krążenia, produkty zaś przemiany materii wydalała przez czerwonawe rury w gwiazdowatej podstawie. Co do aparatu oddechowego, to mówiąc w

pewnym uproszczeniu, przyswajała raczej tlen niż dwutlenek węgla; co ciekawe miała także komory do przechowywania powietrza i potrafiła przemieszczać proces oddychania z zewnętrznego otworu oddechowego do przynajmniej dwóch innych, w pełni rozwiniętych systemów: skrzeli i porów. Najprawdopodobniej prowadziła ziemno-wodny tryb życia i przystosowana była do długich okresów hibernacji bez dostępu powietrza. Głównemu układowi oddechowemu towarzyszyły – jak się zdaje – narządy głosowe, lecz miały one w sobie tyle anomalii, że trudno było z miejsca określić zasadę ich działania. Trudno sobie wyobrazić, by mogły wytwarzać mowę artykułowaną, czyli opartą na zgłoskach i wyrazach, lecz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umożliwiały wytwarzanie melodyjnych, świszczących dźwięków. Układ mięśniowy rozwinięty był w stopniu wręcz nadnaturalnym.

Układ nerwowy okazał się tak rozbudowany i złożony, że Lake aż osłupiał. Jakkolwiek pod pewnymi względami istota była niezmiernie archaiczna i prymitywna, miała też liczne ośrodki i połączenia nerwowe – co świadczyło o niesłychanie wysokim stopniu rozwoju i specjalizacji. Zaskakująco rozwinięty był pięciopłatowy mózg; zachowały się też pozostałości układu czuciowego – jego organem były sztywne rzęski na głowie – zdolnego odbierać sygnały niewyczuwalne dla wszelkich ziemskich organizmów. Stworzenie mogło mieć więcej niż pięć zmysłów, toteż niepodobna było wysnuć jakichkolwiek analogii na temat jego trybu życia. Była to, jak sądził biolog, istota niezwykle czuła, poruszająca się w swym pierwotnym świecie za pomocą subtelnie zróżnicowanych funkcji – trochę tak jak dzisiejsze mrówki i pszczoły. Rozmnażała się na podobieństwo roślin skrytopłciowych, zwłaszcza pterydofitów: na koniuszkach skrzydeł miała zarodnie, rozwijała się zaś na pewno z plechy bądź przedrośla.

Na tym etapie badań szaleństwem byłoby jednak kusić się o jakiekolwiek przyporządkowania taksonomiczne. Istota wyglądała jak promieniak, ale z pewnością była czymś więcej. Po części była rośliną, a przecież jej organizm w trzech czwartych miał budowę zwierzęcą. Symetryczne ciało i niektóre inne cechy jasno wskazywały na pochodzenie morskie, trudno było jednak określić, jak dalece wynikały one z późniejszych przystosowań. Z kolei skrzydła nieodparcie przywodziły na myśl środowisko powietrzne. Jakim cudem ta istota mogła przejść na nowo narodzonej Ziemi tak złożoną ewolucję i już w archaiku pozostawić swoje ślady – wprost nie mieściło się w głowie. Nic dziwnego, że Lake pozwalał sobie na cudaczne aluzje do pierwotnych mitów o Wielkich Przedwiecznych, którzy przybyli na Ziemię z gwiazd i dla żartu albo przez pomyłkę wysmażyli zalążek ziemskiego życia, tudzież szalonych opowieści o ukrywających się wśród wzgórz Nowej Anglii przybyszach z kosmosu, przytaczanych niegdyś przez naszego kolegę z uczelni, folklorystę z wydziału anglistyki.

Biolog oczywiście rozważał też i taką możliwość, że prekambryjskich odcisków nie pozostawiły okazy znalezione w jaskini, tylko ich mniej rozwinięty przodek – wszelako wziąwszy pod uwagę to, że starsze skamieliny były bardziej rozwinięte strukturalnie, szybko odrzucił tę hipotezę jako nieuzasadnioną. W istocie było wręcz przeciwnie, wygląd odcisków późniejszych wskazywał raczej, że pozostawiły je istoty

zdegenerowane, a nie wyżej rozwinięte: zmniejszył się rozmiar niby-stopy, cała morfologia wydawała się zaś prostsza i toporniejsza. O tym, że zaszło uwstecznienie w stosunku do wcześniejszych, bardziej złożonych form, w szczególny sposób świadczył również wygląd nerwów i narządów wewnętrznych. Wiele części ciała ulegało już zanikowi lub zachowało się wręcz w stanie szczątkowym. Ogólnie rzecz biorąc, trudno było wyciągnąć z tego jakieś wnioski, toteż Lake znów odwołał się do mitologii i ukuł dla swych znalezisk żartobliwe miano „Starszych Istot”.

Około drugiej trzydzieści w nocy biolog postanowił odłożyć resztę pracy na później i udać się na krótki spoczynek; przykrył tedy rozcięty organizm brezentem, opuścił namiot laboratoryjny i raz jeszcze z zainteresowaniem przyjrzał się nietkniętym okazom. Niegasnące antarktyczne słońce nieznacznie ogrzało zamarznięte tkanki, toteż w dwu czy trzech ciałach rurowate kończyny i ramiona gwiazdowatych głów poczęły się delikatnie rozchylać; Lake uznał jednak, że w temperaturze bliskiej zeru raczej nie grozi im całkowity rozkład. Tak czy owak poprzysuwał do siebie wszystkie nienaruszone okazy i dla ochrony przed promieniami słońca przykrył zapasowym namiotem. Pragnął również w ten sposób przytłumić nieco ich zapach – psy były już tak rozjuszone, że choć trzymano je w rozsądnej odległości, a reszta ekipy naprędce budowała wokół ich zagrody coraz wyższy mur ze śniegu, coraz trudniej było nad nimi zapanować. Od strony tytanicznych gór zrywały się coraz potężniejsze porywy wichru, toteż biolog musiał obciążyć rogi płóciennego przykrycia ciężkimi blokami śniegu. Znów odżyły obawy przed straszną siłą antarktycznych wichrów – pod kierownictwem Atwooda cała ekipa starannie pobudowała śnieżne umocnienia mające zabezpieczać od strony gór wszystkie namioty, psią zagrodę i prowizoryczne schrony dla samolotów. Te ostatnie, wznoszone w wolnych chwilach z ciężkich śnieżnych bloków, były stanowczo za niskie, toteż w końcu Lake nakazał wszystkim przerwanie innych zajęć i oddelegował do pracy nad ich umacnianiem.

Było już po czwartej, kiedy biolog uznał, że schrony są już dostatecznie wysokie, postanowił przeto udać się wraz ze swą ekipą na spoczynek i poradził, byśmy i my uczynili podobnie. Przez chwilę gawędził jeszcze przyjacielsko na falach eteru z Pabodiem, znów wychwalając jego świdry, które w cudowny wręcz sposób pozwoliły mu dokonać wielkiego odkrycia. Do pozdrowień i pochwał dołączył się Atwood. Raz jeszcze przesłałem Lake’owi serdeczne gratulacje, przyznając, że słusznie upierał się przy wyprawie na zachód. W końcu umówiliśmy się na wznowienie kontaktu radiowego o dziesiątej rano; ustaliliśmy, że jeśli nawałnica do tej pory ucichnie, Lake wyśle po nas do bazy samolot. Na koniec posłałem ostatni komunikat na Arkham; przykazałem, by puszczając w świat najświeższe wiadomości, odrobinę je stonowali – były tak sensacyjne, że zanim się ich należycie nie potwierdzi, mogły spotkać się z ogólnym niedowierzaniem.

## III

Myślę, że tego ranka nikt z nas nie spał długo ani głęboko – zanadto byliśmy podnieceni odkryciem Lake'a, przeszkadzała nam też jednak narastająca nawałnica. Nawet u nas wicher dął z taką furią, że trudno było sobie wyobrazić, co musi się dziać w obozie biologa – rozbitym wszak u samego podnóża olbrzymich, nieznanych szczytów, z których owe rozsrożone porywy brały swój początek. McTighe o dziesiątej był już na posterunku, zgodnie z naszą umową usiłował połączyć się z Lakiem przez radio, lecz nawałnica spowodowała takie zakłócenia elektryczne, że od strony zachodniej zanikła wszelka łączność. Udało nam się tylko połączyć z Arkhamem. Douglas oznajmił, że on także nadaremnie usiłował nawiązać łączność z Lakiem; o wichurze nic nie wiedział, jakkolwiek bowiem u nas wiało z niesłabnącą gwałtownością, w Cieśninie McMurdo wiatr był bardzo słaby.

Przez cały dzień prowadziliśmy coraz bardziej niespokojny nasłuch i co pewien czas usiłowaliśmy nawiązać łączność z Lakiem, ale bez żadnych rezultatów. Około południa wicher z zachodu rozwścieklił się do granic czystego szaleństwa, poczęliśmy wręcz lękać się o bezpieczeństwo naszego obozu; w końcu jednak nieco zelżał. O godzinie czternastej zerwał się znowu, ale już tylko na chwilę. Nim minęła trzecia, ucichł zupełnie, toteż jęliśmy ze zdwojonym zapałem wywoływać Lake'a. Miał przecież cztery samoloty, a na pokładzie każdego z nich doskonałą krótkofalówkę – nie mieściło nam się w głowie, co też musiałoby się stać, by unieszkodliwić za jednym zamachem wszystkie aparaty jednocześnie. Tak czy owak radio milczało jak zaklęte, ilekroć zaś uzmysławialiśmy sobie, z jak obłędną siłą musiało wiać w okolicach jego bazy, nie mogliśmy opędzić się od najstraszliwszych przypuszczeń.

Lęk nasz wzmagał się z każdą godziną, toteż o szóstej przeprowadziłem z Douglasem i Thorfinnssenem radiową naradę i postanowiłem podjąć kroki, które wyjaśnią zagadkę milczenia Lake'a. Piąty, rezerwowy aeroplan, pozostawiony pod opieką Shermana i dwóch marynarzy przy składzie w Cieśninie McMurdo, był w dobrym stanie i gotów do użytku, a sytuacja – jak nam się zdawało – dojrzała już do tego, by z niego skorzystać. Wywołałem Shermana przez radio i nakazałem, by korzystając ze sprzyjających warunków atmosferycznych, przyleciał do nas niezwłocznie z obydwoma marynarzami. Potem przystąpiliśmy do ustalania składu wyprawy poszukiwawczej i ostatecznie stanęło na tym, że wyruszymy wszyscy, łącznie z saniami i psami. Ufaliśmy, że potężny samolot, zbudowany specjalnie z myślą o przewożeniu ciężkiej maszynerii, poradzi sobie nawet i z takim obciążeniem. W przerwach wciąż wywoływałem biologa, ale bezskutecznie.

Sherman i towarzyszący mu marynarze, Gunnarsson i Larsen, wystartowali o dziewiętnastej trzydzieści. Po drodze kilkakroć meldowali, że lot przebiega bez zakłóceń; do bazy dotarli o północy. Wszyscy z miejsca jęliśmy naradzać się, co czynić dalej. Lot nad Antarktydą jedną maszyną, bez wsparcia w postaci pomocniczych baz, był krokiem nader ryzykownym, nikt jednak nie chciał rezygnować z udziału w tej najpilniejszej misji. Załadowaliśmy na pokład samolotu część ekwipunku i o drugiej udaliśmy się na krótki spoczynek, wszelako już po czterech godzinach byliśmy znów na

nogach i kończyliśmy pakowanie.

Nazajutrz, czyli 25 stycznia, o siódmej piętnaście rano, McTighe zasiadł za sterami aeroplanu i wystartowaliśmy na północny zachód: dziesięciu ludzi i siedem psów, z saniami, zapasem paliwa i żywności oraz innymi potrzebnymi rzeczami, na przykład pokładową radiostacją. Widoczność była dobra, wiatr słaby, temperatura dość łagodna, spodziewaliśmy się przeto, że bez większych kłopotów wkrótce osiągniemy pozycję geograficzną, w jakiej Lake zlokalizował swój obóz. Tego jednak, co odkryjemy – lub czego odkryć nam się nie uda – u kresu naszej podróży, niepodobna było się domyślić, jedyną odpowiedzią na nasze sygnały wywoławcze wciąż była bowiem głucha cisza.

Wszystko, co zdarzyło się w trakcie tego czteroipółgodzinnego lotu, wryło mi się w pamięć, był to bowiem w mym życiu moment przełomowy. Oto w wieku pięćdziesięciu czterech lat przyszło mi utracić cały spokój i równowagę umysłu, jakie każdy normalny człowiek osiąga dzięki znajomości i zrozumieniu Natury oraz rządzących nią praw. Wkrótce dziesięciu z nas – głównie jednak asystent Danforth i ja – miało odkryć i zgłębić ohydnie spotężniały świat przyczajonych zgróz, to zaś, cośmy w nim ujrzeli, wraziło się w nasze dusze piętnem niezatartym; gdyby to było w naszej mocy, oszczędzilibyśmy tej wiedzy reszcie ludzkości. Komunikaty, jakie słaliśmy z pokładu samolotu, szły drukiem w gazetach; świat czytał o naszym nieprzerwanym locie, o bojach stoczonych z dwiema zdradzieckimi nawałnicami, które zaskoczyły nas na wysokim pułapie, o tym, jak dojrzeliśmy pęknięty grunt w miejscu, gdzie przed trzema dniami Lake zatopił swój świder, o tym, jak spostrzegliśmy wspominane swego czasu przez Amundsena i Byrda dziwaczne, puszyste cylindry śnieżne, gnające z wiatrem przez bezbrzeżną pustać skutego lodem płaskowyżu. Aż wreszcie przyszła chwila, gdy wrażeń naszych nie dałoby się już ująć w słowa zrozumiałe dla prasy; a jeszcze chwilę później zmuszeni byliśmy już obłożyć nasze odkrycia ścisłą cenzurą.

Marynarz Larsen pierwszy wypatrzył poszarpaną linię strzelistych wierchów rysującą się na dalekim widnokręgu niby stado wiedźm; to właśnie jego krzyk zelektryzował całą załogę wielkiego, przestronnego samolotu i sprawił, że wszyscy w te pędy rzucili się do okien. Mimo że lecieliśmy szybko, góry przybliżały się niezwykle powoli – uznaliśmy przeto, że muszą być jeszcze nieskończenie daleko i w zasięg naszego wzroku weszły wyłącznie za sprawą swej niepospolitej wysokości. Posępny łańcuch piął się jednak na zachodnim niebie coraz wyżej i wyżej; z wolna poczęliśmy wyróżniać poszczególne szczyty, czarniawe, nagie i ponure. Patrzyliśmy, jak stoją w czerwonawym blasku antarktycznego słońca na drażniącym tle opalizujących chmur lodowego pyłu, i poczęła na nas wpływać bijąca od nich fantastyczna aura. Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że widok ten kryje w sobie niesłychaną tajemnicę, potworną jakąś rewelację – jak gdyby te nagie iglice rodem z sennych koszmarów były pylonami straszliwej bramy wiodącej do sfery zakazanych snów, w której niedosiężne głębie czasu i przestrzeni zlewają się w jedną wielowymiarową bezdeń. Dręczyło mnie przemożne, uporczywe uczucie, że gnieździ się tam zło – że są to góry

szaleństwa, które najdalszymi stokami opierają się o krawędź jakiejś przeklętej, ostatecznej otchłani. Gorejące lodowym blaskiem chmury, na których tle rysował się górski łańcuch, zdawały się przynależeć nie tyle do ziemskiej przestrzeni, ile do jakiegoś mglistego, eterycznego wymiaru zewnętrznego; w zatrważający sposób uzmysławiały, że ta niezbadana, nietknięta ludzką stopą południowa kraina jest najprawdziwszym skrajem świata, odosobnionym, opuszczonym i martwym od prawieków.

To młody Danforth zwrócił nam uwagę na ciekawe regularności wyższych partii górskiego łańcucha. Były to chyba owe fragmenty idealnie foremnych sześcianów, o których wspominał biolog, i w rzeczy samej trudno było opędzić się od skojarzeń z malarstwem Roericha – były to wypisz, wymaluj ruiny prawiecznych świątyń, które na jego dziwnych i subtelnych płótnach majaczyły wśród obłoków na wierzchołkach azjatyckich gór niby senne miraże. Zresztą cały ten nieziemski antarktyczny kontynent ze swą tajemniczą górzystością miał w sobie coś niesamowicie wręcz roerichowskiego. Wrażenie to nawiedziło mnie już w październiku, gdy naszym oczom po raz pierwszy ukazała się Ziemia Wiktorii, teraz zaś uderzyło mnie ze zdwojoną siłą. Znów jęły mnie dręczyć bulwersujące skojarzenia z pewnymi wątkami archaicznych mitów – to królestwo śmierci przywodziło mi bowiem na myśl osnuty złą legendą płaskowyż Leng z najpierwotniejszych ludzkich pism. Mitologowie umiejscowili Leng w Azji Środkowej, wszelako pamięć rasy ludzkiej – lub jej poprzedników – jest długa, tedy może być tak, że niektóre opowieści wywodzą się z przeraźliwych krain, świątyń i gór starszych jeszcze niż Azja, starszych niż znany nam człowieczy świat. Paru śmiałych mistyków sugerowało, że zachowane fragmenty Rękopisów Pnakotycznych mogły powstać jeszcze wcześniej niż w plejstocenie, a wyznawcy Tsathoggui różnili się od człowieka nie mniej niż sam Tsathoggua. W jakimkolwiek zresztą czasie i przestrzeni leżał mityczny Leng, wolałem trzymać się odeń z daleka; nie było mi też w smak, że znalazłem się na progu świata, który w mrokach archaicznej ery spłodził tak tajemnicze monstra jak te odkryte przez Lake'a. Rozmyślając o tych sprawach, zacząłem żałować, że w ogóle zaglądałem do plugawego *Necronomiconu* i przegadałem tyle godzin z Wilmarthem, nieprzyjemnie oczytanym folklorystą z naszego uniwersytetu.

Nic dziwnego, że będąc w takim nastroju, tak żywo zareagowałem na bulwersujący miraż, który wychynął przed nami z opalizującego coraz bardziej zenitu, gdyśmy zbliżali się do gór nad sfałdowanym coraz silniej pogórzem. W ciągu poprzednich tygodni naoglądałem się już polarnych miraży na pęczki, niektóre z nich były nie mniej fantastyczne i niesamowite niż ten obecny – miał on wszakże właściwość, jakiej tamtym zgoła brakowało: tajemną, mroczną symbolikę; przeto kiedym wpatrywał się w labirynt bajecznych murów, wież i minaretów, kipiący nam nad głowami pośród skłębionych lodowych oparów, przejął mnie dreszcz grozy.

## STRASZLIWY TSATHOGGUE, ÓW BEZKSZTAŁTNY, ROPUCHOKSZTAŁTNY PÓŁBÓG

Ujrzałem mianowicie cyklopowe miasto o architekturze, jakiej nie mógł stworzyć ani nawet wyśnić ludzki umysł: olbrzymie skupiska budowli czarnych jak noc, wzniesionych z poczwarnym pogwałceniem praw geometrii, groteskowe w swej skrajności wytwory złowieszczej ekstrawagancji. Były wśród nich ścięte stożki, niekiedy tarasowe lub kanelowane, tu i ówdzie zwieńczone wysokimi walcowatymi szczytami, gdzieniegdzie bulwiasto rozpękłe, a często też piętrowo nakryte fryzowanymi tarczami; widzieliśmy też dziwaczne konstrukcje przypominające poprzechylane stoły, jakby stosy nakładających się na siebie płyt w kształcie prostokąta, koła bądź pięcioramiennej gwiazdy. Zdarzały się kompozycje stożków i piramid, stojące samotnie bądź też na szczytach innych form – walców, sześcianów lub kolejnych, płaskich i ściętych stożków i piramid; gdzieniegdzie wystrzelały w górę osobliwe, bo pięciorne zgrupowania wieżyc smukłych niczym igły. Wszystkie te niezdrowe budowle pospinane były – jak mi się zdawało – siecią rurowatych mostów przerzuconych na zawrotnych wysokościach; gigantyczne rozmiary całości przytłaczały zaś i budziły trwogę. Ogólnie rzecz biorąc, miraż nie odbiegał zbytnio od niektórych obłędnych omamów, jakie zaobserwował i naszkicował w latach dwudziestych arktyczny wielorybnik Scoresby – wszelako w takim miejscu i chwili, akurat gdy zdążaliśmy w stronę tytanicznego pasma mrocznych, niedosiężnych wierchów, oszołomieni tym, że przyszło nam odkryć zwyrodniale zamierzchły świat, w głębi zaś serc lękaliśmy się, że większą część naszej ekspedycji mogła spotkać zguba, wszyscyśmy chyba widzieli i czuli, że szalony ów zwid skażony jest jakąś utajoną nikczemnością, że nie zwiastuje nic prócz niezmierzonego zła.

Byłem rad, gdy miraż począł znikać, aczkolwiek rozpływając się w powietrzu, niektóre koszmarne wieżyczki i stożki na chwilę przybierały formy jeszcze ohydniejsze niż pierwej. Gdy cała złuda rozpłynęła się do końca w opalizującą kipiel, poczęliśmy na nowo spoglądać ku ziemi i rychło ujrzeliśmy, że kres naszej podróży jest już niedaleki. Nieznane góry wznosiły się przed nami niczym straszliwy szaniec gigantów, przedziwne ich regularności nawet bez lornetki widać było aż zdumiewająco wyraziście. Lecieliśmy już nad najniższym pogórzem; na głównym płaskowyżu, wśród śniegu, lodu i spłachetków nagiego gruntu widzieliśmy już dwa punkty ciemniejsze: obóz Lake’a i miejsce jego wierceń. Wyższe pogórze wystrzelało w górę pięć, może sześć mil dalej; jakkolwiek niższe od przeraźliwego, przerastającego Himalaje pasma, które wznosiło się za nimi, stanowiło wręcz osobny masyw. W końcu Ropes – asystent, który zastąpił McTighe’a przy sterach – zaczął sprowadzać maszynę w dół, w stronę ciemnego punktu po lewej ręce, na tyle dużego, że wskazującego raczej na obóz. Tymczasem McTighe wysłał komunikat o naszym odkryciu, ostatnią już nieocenzurowaną wiadomość, jaką świat miał otrzymać od naszej ekspedycji.

Wszyscy oczywiście pamiętają krótkie, lapidarne komunikaty o reszcie naszego pobytu na Antarktydzie. Kilka godzin po wylądowaniu wysłaliśmy

starannie zredagowany raport o tragedii, która rozegrała się w obozie przed naszym przybyciem; niechętnie poinformowaliśmy, że cała grupa Lake'a poprzedniego dnia lub jeszcze w nocy zginęła w walce ze straszliwym wichrem; że znaleźliśmy jedenaście ciał, a młody Gedney zaginął. Ludzie wybaczyli nam, że donieśliśmy o tym tak mgliście, nie podając szczegółów – rozumieli zapewne, jak bardzo musiało nami wstrząsnąć to tragiczne wydarzenie; uwierzyli też, gdyśmy wyjaśnili, że wiatr tak sponiewierał wszystkie jedenaście ciał, iż żadne nie nadawało się do wywiezienia z obozu. Zaiste, pochlebiam sobie nawet, że choć zrozpaczeni, poruszeni do głębi i przejęci najżywszą zgrozą, zadbaliśmy o to, by żaden z podanych przez nas faktów znacząco nie rozmijał się z prawdą. Najokropniejsze i najbardziej znaczące jest wszakże to, czegośmy powiedzieć nie śmieli – i czego nie zdradziłbym po dziś dzień, gdyby nie to, że muszę ostrzec innych przed niewysłowioną zgrozą.

Prawdą jest, że wichura poczyniła straszliwe spustoszenia. Śmiem wątpić, czy gdyby nawet tylko ona spustoszyła obóz, ktokolwiek zdołałby ujść z życiem. Rozwścieklona burza miotająca cząsteczkami lodu musiała przeróść wszystko, czego wcześniej zdążyła doświadczyć nasza ekspedycja. Jeden ze schronów dla aeroplanów – wydaje się zresztą, że żaden z nich nie został należycie wykończony i umocniony – został niemal starty w drobny pył; szyb wiertniczy rozsypał się na kawałki. Odsłonięte metalowe części samolotów i urządzeń wiertniczych były wypolerowane na błysk, dwa zaś mniejsze namioty, choć ogrodzone śnieżnymi blokami, zostały wręcz zrównane z ziemią. Powierzchnie drewniane, które były wystawione wprost na atak wichru, zostały podziurawione i odarte z farby; na śniegu nie pozostał żaden, najlżejszy nawet ślad. Prawdą jest też, że nie znaleźliśmy ani jednego z archaicznych organizmów, który byłby w stanie nadającym się do transportu. Z wielkiego usypiska wybraliśmy co nieco minerałów, między innymi kilka zielonkawych kawałków steatytu, które swym pięcioramiennym kształtem i niewyraźnymi, regularnie rozmieszczonymi punkcikami sprowokowały później tyle domysłów i wątpliwości. Zabraliśmy też pewną ilość skamieniałych kości, wśród nich również te charakterystycznie uszkodzone.

Nie przeżył ani jeden pies – pospiesznie wybudowana zagroda została zniszczona niemal całkowicie. Być może rozniósł ją wiatr, wszelako większy wyłom znajdował się od strony obozu, czyli od zawietrznej, co wskazuje, że oszalałe zwierzęta mogły rozbić ją same, próbując wyrwać się na zewnątrz. Zniknęły wszystkie trzy pary sań – próbowaliśmy sobie wytłumaczyć, że może wiatr porwał je gdzieś w nieznane. Sprzęt wiertniczy i aparatura do rozpuszczania lodu były zbyt mocno zniszczone, by dało się je uratować, tedy użyliśmy ich do zatkania wykonanego przez Lake'a odwiertu – wrót do przeszłości napawających nas niejasnym niepokojem. W obozie pozostawiliśmy też dwa najciężej uszkodzone samoloty – w naszej ocalałej grupce było bowiem tylko czterech pilotów z prawdziwego zdarzenia: Sherman, Danforth, McTighe i Ropes, przy czym Danforth był zbyt roztrzęsiony, by zasiąść za sterami. Pozbieraliśmy wszystkie książki, instrumenty naukowe i inne drobiazgi, jakie tylko udało nam się odnaleźć,

jakkolwiek większość i tak w niewytłumaczalny sposób przepadła bez śladu. Poginęły też zapasowe namioty i futra, a te, co zostały, nie nadawały się do użytku.

Mniej więcej o czwartej po południu, gdy staranne poszukiwania z powietrza nie przyniosły żadnych rezultatów, zmuszeni byliśmy uznać Gedneya za zaginionego. Wówczas to wysłaliśmy nasz lakoniczny komunikat, który Arkham miał puścić w świat; zważywszy na to, co odkryliśmy, udało nam się chyba zredagować go w sposób spokojny i zrównoważony. Najobszerniej informowaliśmy o zachowaniu naszych psów – jak można było się spodziewać po skąpych relacjach nieszczęsnego Lake'a, w pobliżu biologicznych znalezisk wręcz szalały z niepokoju. Jak mi się zdaje, nie wspomnieliśmy jednak o tym, że podobnie niespokojne były wówczas, gdy pozwoliliśmy im obwąchać dziwaczne zielonkawe steatyty i inne przedmioty rozrzucone po okolicy: przyrządy naukowe, aeroplany oraz rozmaite maszyny w obozie i przy odwiercie – wszystkie ze zdumiewającą, jakby umyślną skrupulatnością rozniesione, rozwleczone, sponiewierane przez wiatr.

O czternastu biologicznych znaleziskach opowiedzieliśmy zdawkowo, wszelako lapidarność naszą przyjęto ze zrozumieniem. Oznajmiliśmy, że udało nam się odnaleźć wyłącznie okazy uszkodzone, okazały się one jednak na tyle dobrze zachowane, że można uznać opis biologa za niezwykle trafny i dokładny. Tu bodaj najtrudniej było nam powściągnąć emocje – nie zdradziliśmy jednak, ile tych okazów było ani w jaki sposób wpadliśmy na ich trop. Wspólnie uradziliśmy, że nie puścimy w świat żadnych informacji, które sugerowałyby, że ludzi Lake'a mogło ogarnąć szaleństwo – niełatwo zaś było powstrzymać się od myśli o szaleństwie, gdy okazało się, że owa szóstka uszkodzonych poczwar została starannie pogrzebana w pozycji pionowej w głębokich na dziewięć stóp grobach, każdy grób zwieńczony był pięcioramiennym kopcem, a każdy kopiec oznaczony punkcikami ułożonymi dokładnie w taki sam wzór jak na dziwacznych, zielonkawych kawałkach steatytu wydobytych z mezozoicznych lub trzeciorzędowych skał. Osiem idealnie zachowanych okazów, o których wspominał biolog, zniknęło bez śladu, jakby porwał je wiatr.

Nie chcąc zanadto wzburzać opinii publicznej, Danforth i ja niewiele zdradziliśmy też szczegółów z przerażającej wyprawy na drugą stronę gór podjętej przez nas samowtór następnego dnia. Prawdą jest, że tylko dzięki temu, iż samolot musiał być jak najlżejszy, by dało się przelecieć nad niebotycznie wysokimi górami, reszta ekipy szczęśliwie uniknęła udziału w tym rekonensansie. Kiedy wróciliśmy o pierwszej w nocy, Danforth był na krawędzi histerii, jakkolwiek z godnym podziwu zacięciem trzymał emocje na wodzy. Nie musiałem go nawet przekonywać, by przyrzekł, że nie pokaże nikomu naszych szkiców i innych rzeczy, które przywieźliśmy w kieszeniach, ani nie zdradzi nikomu nic ponad to, co wspólnie postanowiliśmy obwieścić światu; nie musiałem go też namawiać, by ukrył filmy z naszego aparatu i po powrocie wywołał je we własnej pracowni. Opowieść, którą za chwilę przedstawię, będzie tedy tak samo nowa dla Pabodiego, McTighe'a, Ropesa, Shermana i innych, jak dla wszystkich pozostałych czytelników. Danforth zaś

jest jeszcze skrytszy ode mnie – widział bowiem, lub zdaje mu się, że widział coś, czego nie chce zdradzić nawet mnie.

Jak wszystkim doskonale wiadomo, w raporcie opowiadaliśmy o naszym żmudnym locie w górę; potwierdziliśmy domysł Lake'a, że wielkie szczyty zbudowane są z łupków archaicznych i innych starych warstw zachowanych w niezmienionym kształcie co najmniej od połowy okresu komanczańskiego; zdawkowo wspomnieliśmy o przylegających do szczytów skalnych sześcianach i obwałowaniach; stwierdziliśmy, że gardziele jaskiń wskazują miejsce, gdzie znajdowały się rozpuszczone już dziś żyły wapienia; wysnuliśmy przypuszczenie, że niektóre zbocza i przełęcze są na tyle dogodne, że wprawni alpiniści zdołaliby pewnie przemierzyć cały masyw; odnotowaliśmy wreszcie, że po drugiej, tajemniczej stronie znajduje się wysoki, jeszcze potężniejszy płaskowyż, równie stary i niezmieniony jak same góry – wznosi się na wysokość dwudziestu tysięcy stóp, spod jego cienkiej pokrywy lodowej przebijają groteskowe formacje skalne, między główną powierzchnią płaskowyżu a przepaścistym pasmem najwyższych wierchów rozciąga się zaś łagodnie wzniesione pogórze.

Wszystkie te informacje były poniekąd prawdziwe, zadowoliły też w zupełności resztę naszej ekipy. Szesnastogodzinną nieobecność w obozie – dłuższą, niżby tego wymagały przelot, lądowanie, rekonesans i zbieranie próbek skał – złożyliśmy na karb długich zmagań z niepomyślnym wiatrem; prawdziwa była też nasza opowieść o lądowaniu na pogórzu. Na szczęście cała relacja brzmiała na tyle prozaicznie i realistycznie, że nikt nie pokusił się o powtórzenie naszej wyprawy. Gdyby zresztą ktoś spróbował to uczynić, użyłbym wszelkich możliwych środków perswazji, by go powstrzymać – a nie wiem, co mógłby zrobić Danforth. Podczas naszej nieobecności Pabodie, Sherman, Ropes, McTighe i Williamson uwijali się jak mrówki przy dwóch najlepiej zachowanych samolotach Lake'a – usiłowali przywrócić je do użytku, mimo że wszystkie ich mechanizmy zostały w niepojęty sposób zdewastowane.

Postanowiliśmy, że następnego ranka zatankujemy wszystkie samoloty i jak najszybciej powrócimy do starej bazy. Wybraliśmy więc dwuetapowy, ale i bezpieczniejszy sposób dostania się do Cieśniny McMurdo – lot na przełaj przez nieznane jeszcze nikomu połacie martwego od prawieków kontynentu wiązałby się z niepotrzebnym ryzykiem. O dalszych pracach wydobywczych trudno zaś było mówić, skoro zostaliśmy w tak tragiczny sposób zdziesiątkowani, a nasz sprzęt wiertniczy zdewastowany; jeśli dodać do tego dręczące nas wątpliwości i ponure myśli – jakie zachowywaliśmy dla siebie – trudno się dziwić, że mieliśmy już tylko jedno pragnienie: uciec jak najdalej z tej podbiegunowej pustaci, która okazała się ostoją najczystszego szaleństwa.

Jak wiadomo, udało nam się powrócić do świata bez wielkich przeszkód. Po szybkim, nieprzerwanym locie wszystkie samoloty wylądowały w naszej starej bazie wieczorem dnia następnego, czyli 27 stycznia. Nazajutrz byliśmy już w Cieśninie McMurdo. Dotarliśmy tam w dwóch etapach – raz tylko, zostawiwszy już za sobą wielki płaskowyż, zmuszeni byliśmy lądować na szelfowym lodowcu, gdy wściekły atak wichury uszkodził ster jednej z maszyn. Nie minęło kolejnych pięć dni, a Arkham i Miskatonic ze

wszystkimi ludźmi i sprzętem na pokładach kołysały się już na falach Morza Rossa, przedzierając się przez gęstniejące pole lodów. Na burzliwym zachodnim niebie wznosiło się szydliwie górzyste wybrzeże Ziemi Wiktorii, a pędzący od niego wiatr wygwizdywał wśród okrętowych lin melodie, od których ścinała mi się krew w żyłach. W ciągu niespełna dwóch tygodni zostawiliśmy za rufą ostatnie resztki lodu – wreszcie mogliśmy podziękować niebiosom, że opuściliśmy na dobre to przeklęte, nawiedzone królestwo, w którym u zarania niepojętych dziejów, ledwie ostygła ziemska skorupa i zamrowiło się na niej od najpierwszych cząstek ożywionej materii, życie ze śmiercią, a przestrzeń z czasem zadzierzgnęły czarne, bluźniercze sojusze.

Od chwili powrotu cała nasza ekipa nie ustaje w wysiłkach, by zniechęcić innych do badań Antarktydy, wszelako z godną podziwu konsekwencją i lojalnością pozostawiając dla siebie pewne wątpliwości i domysły. Nawet młody Danforth, który wrócił do domu w stanie załamania nerwowego, nie zdradził się przed lekarzami nawet jednym słówkiem; co więcej, jak już mówiłem, uważa, że widział coś, o czym nie powiedział nawet mnie. Sądzę jednak, że gdyby mimo wszystko zechciał to uczynić, zwierzenie takie wpłynęłoby korzystnie na stan jego psychiki – wiele mogłoby wyjaśnić i przyniosłoby mu ulgę. Z drugiej strony mogło to być tylko złudzenie wywołane doznanym pierwej wstrząsem. Takie właśnie odnoszę wrażenie, gdy w naszych rozmowach zaczyna niekiedy wyrzucać z siebie nerwowym szeptem niezborne sugestie – którym zaciekle zaprzecza, gdy tylko na powrót weźmie się w garść.

Trudno będzie zniechęcić innych do wypraw na wielki południowy kontynent; tym bardziej że swym uporem możemy wywołać skutek wręcz przeciwny, czyli zwrócić na siebie tym większą uwagę. Od początku powinniśmy byli się domyślić, że ludzka ciekawość jest nieśmiertelna, ogłaszając zaś wyniki naszych odkryć, niechybnie sprowokujemy innych do wejścia na ścieżkę odwieczną – pogoni za nieznanym. Raporty Lake’a o odkrytych pod lodem potwornościach rozpaliły do białości ciekawość naturalistów i paleontologów – jakkolwiek byliśmy na tyle rozsądni, że nie pokazaliśmy nikomu fotografii pogrzebanych okazów ani zabranych z obozu fragmentów ich ciał. Powstrzymaliśmy się też przed ujawnieniem co dziwaczniejszych zwęglonych kości i zielonkawych kawałków steatytu; Danforth i ja pilnie strzegliśmy również fotografii i rysunków wykonanych na potężnym płaskowyżu po drugiej stronie gór oraz pewnych pomiętych przedmiotów, które rozprostowaliśmy i obejrzawszy ze zgrozą, zabraliśmy ze sobą w kieszeniach. Przygotowania do wyprawy Starkweathera i Moore’a idą już jednak pełną parą, i to z takim rozmachem, że nasza ekspedycja nie może się z nią równać. Jeśli nie zdołamy ich powstrzymać, niebawem wyruszą oni i dotrą do najtajniejszego jądra Antarktydy – tam będą wiercić i topić lód, aż wydobędą na powierzchnię coś, co naszemu światu może przynieść zatratę. Dlatego muszę wreszcie przerwać naszą zmowę milczenia i o wszystkim opowiedzieć – nawet o tym, czego wysłowić nie sposób, a co mieszka za górami szaleństwa.

# IV

Z najwyższą niechęcią i odrazą wracam pamięcią do obozu Lake'a i tego, co naprawdę tam zastaliśmy – tudzież do tego, cośmy znaleźli za murem straszliwych gór. Wciąż kusi mnie, by pominąć jakieś szczegóły, by miast nagich faktów i nieuniknionych wniosków poprzestać na mglistych aluzjach. Mam nadzieję, że jedną rzecz omówiłem już na tyle obszernie, że mogę ją w paru słowach podsumować – mianowicie przerażające odkrycie w obozie. Opowiadałem już o spustoszeniach dokonanych przez wichurę: zniszczonych schronach, popsutych maszynach, o tym, jak niepokoiły się nasze psy, o tym, że w obozie brakowało sań i wielu innych przedmiotów, o zabitych ludziach i psach, o tym, że zaginął Gedney, a sześć biologicznych okazów zostało w obłędny sposób pogrzebanych – sześć organizmów martwych od czterdziestu milionów lat i choć poważnie uszkodzonych wewnętrznie, zbudowanych z zaskakująco dobrze zachowanych tkanek. Nie pamiętam, czy wspominałem, że gdy liczyliśmy trupy psów, okazało się, że jednego brakuje. Nie wydaje mi się, byśmy później zbytnio zawracali sobie tym głowę – w istocie tylko Danforth i ja w ogóle zwróciliśmy na to uwagę.

Zatajone przez nas sprawy to głównie szczegóły dotyczące zwłok, a także pewne drobiazgi odkryte w trakcie oględzin obozu – drobiazgi, które do panującego dokoła chaosu zdawały się wnosić szczyptę niewiarygodnego i odrażającego porządku. Podówczas starałem się odwrócić od nich uwagę pozostałych członków ekipy – nierównie prościej, a też i naturalniej było przecież złożyć wszystko na karb szaleństwa, jakie musiało wybuchnąć w grupie Lake'a. Zważywszy na to, co zastaliśmy w obozie, ten szatański górski wicher naprawdę mógł każdego doprowadzić do obłędu – zwłaszcza tam, na końcu świata, w samym środku największej ziemskiej tajemnicy.

Ukoronowaniem potwornego odkrycia był oczywiście stan, w jakim znajdowały się ciała – zarówno ludzi, jak i psów. Wyglądały tak, jakby padły ofiarą straszliwej napaści, były porozszarpywane i pokiereszowanie w upiorny i zgoła niewytłumaczalny sposób. Na ile udało nam się to ocenić, przyczyną śmierci było we wszystkich przypadkach uduszenie bądź okaleczenie. Całe zajście najpewniej wywołały psy – sądząc po stanie nieudolnie wybudowanej zagrody, musiały samowolnie wyrwać się na zewnątrz. Zagroda znajdowała się w pewnej odległości od obozu, gdyż piekielne organizmy z archaiku budziły w zwierzętach zażartą wrogość; wszystko jednak wskazywało na to, że środki ostrożności podjęto na próżno. Pozostawione na pastwę potwornego wiatru psy najprawdopodobniej oszalały ze strachu i stratowały liche, nie dość wysokie ściany; czy doprowadził je do tego sam wiatr, czy też subtelny, lecz coraz silniejszy odór, jaki wydawały koszmarne znaleziska – niepodobna orzec. Znaleziska były, rzecz jasna, przykryte płótnem namiotowym, lecz niskie antarktyczne słońce świeciło na nie bez ustanku, Lake wspominał zaś, że pod wpływem słonecznego ciepła ich dziwnie zwarte, twarde tkanki poczęły się rozluźniać i rozszerzać. Być może wiatr zerwał z nich przykrycie i potarmosił je tak, że mimo niewiarygodnie zaawansowanego wieku ich właściwości zapachowe ujawniły się w jeszcze bardziej odstręczającym stopniu.

Cokolwiek jednak się tam wydarzyło, było ohydne i oburzające. Najlepiej chyba będzie, jeśli zacisnę zęby i wreszcie opowiem o wszystkim prosto z mostu – jakkolwiek muszę stanowczo podkreślić, opierając się na dokonanym przeze mnie i Danfortha odkryciu oraz naszym rygorystycznym wnioskowaniu, że żadną miarą nie można uznać, iżby winę za ten zatrważający i plugawy czyn ponosił zaginiony Gedney. Mówiłem już, że ciała były w przerażający sposób pokiereszowane. Muszę jeszcze dodać, że niektóre z nich zostały z niepojętą, nieludzką premedytacją ponacinane i rozczłonkowane. Dotyczy to i ludzi, i psów. Ze wszystkich zdrowszych, tłuściejszych ciał, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych, z wprawą godną wytrawnego rzeźnika powycinano i usunięto co grubsze warstwy tkanki. Wokół nich łyskała na śniegu rozsypana sól zabrana ze splądrowanych skrzyń z prowiantem, składowanych w jednym z samolotów; ujrzawszy to, nie mogliśmy się powstrzymać od najprzeraźliwszych skojarzeń. Wszystko rozegrało się w jednym z prymitywnych śnieżnych hangarów, z którego wprzódy wyciągnięto aeroplan. Wicher zatarł wszystkie ślady, toteż niepodobna było pokusić się o żadne wiarygodne wyjaśnienia. Żadnych wskazówek nie podsuwały też porozrzucane strzępy ubrań brutalnie pozdzieranych z ofiar masakry. Wydało nam się wprawdzie, że w osłoniętym zakątku zrujnowanego schronu zachowało się kilka niewyraźnych śladów odciśniętych w śniegu, nic nam wszakże z tego odkrycia nie przyszło – nie kojarzyły się nam one bowiem zgoła ze śladami ludzkich stóp, tylko z pamiętnymi odciskami w skamielinach, o których nieszczęsny Lake rozwodził się przez kilka poprzednich tygodni. W przytłaczającym cieniu gór szaleństwa stanowczo należało powściągać wyobraźnię.

Jak już wspomniałem, ostatecznie okazało się, że zaginął Gedney oraz jeden pies. Gdy przystępowaliśmy do oględzin przeraźliwego hangaru, zrazu brakowało dwóch psów i dwóch ludzi – okazało się jednak, że w namiocie sekcyjnym, który obejrzeliśmy po zbadaniu potwornych pochówków, czeka nas jeszcze jedno odkrycie. Namiot ów zachował się w stanie niemal nietkniętym, lecz bynajmniej nie w takim, w jakim pozostawił go Lake – części ciała pradawnego potwora, zostawione przezeń pod przykryciem na zaimprowizowanym stole, zniknęły bowiem bez śladu. Istotnie, już wcześniej zauważyliśmy, że jeden z obłąkańczych grobów – a dobywał się zeń wyjątkowo nienawistny fetor – najprawdopodobniej kryje właśnie tę istotę, którą usiłował badać Lake. Po całym laboratorium walały się zaś szczątki inne – i nie trzeba było wiele czasu, by domyślić się, że są to fragmenty ciał jednego człowieka i jednego psa poddanych starannej, acz przedziwnej i niewprawnej sekcji. Pozwólcie, że nie będę ranił uczuć tych, którzy uszli z życiem, i nie zdradzę tożsamości tej nieszczęsnej ofiary. Narzędzia chirurgiczne Lake’a zniknęły, zachowały się jednak ślady świadczące o tym, że pieczołowicie je wyczyszczono. Zniknął także benzynowy piecyk, w miejscu zaś, w którym zapewne stał, znaleźliśmy dziwnie wielką ilość rozsypanych zapałek. Szczątki ludzkie pogrzebaliśmy razem z pozostałą dziesiątką, psa zaś – z pozostałymi trzydziestoma pięcioma psami. Jeśli zaś chodzi o podejrzane plamy na stole laboratoryjnym oraz rozwleczone dokoła, brutalnie sponiewierane ilustrowane książki, zbyt byliśmy wstrząśnięci, by

kusić się o jakiekolwiek domysły.

Było to najpotworniejsze z odkryć, jakich dokonaliśmy w obozie, wszelako inne były nie mniej zdumiewające. Zniknięcie Gedneya, psa, ośmiu nieuszkodzonych okazów biologicznych, trzech par sań, niektórych urządzeń, ilustrowanych książek o tematyce technicznej i naukowej, przyrządów do pisania, latarek i baterii elektrycznych, żywności i paliwa, sprzętu grzewczego, zapasowych namiotów, futer i tym podobnych rzeczy wymykało się wszelkim próbom rozsądnego wyjaśnienia; to samo tyczyło się atramentowych kleksów nachlapanych tu i ówdzie na papierze, tudzież śladów osobliwych, niezdarnych manipulacji i eksperymentów, jakie odkryliśmy w samolotach i innych urządzeniach mechanicznych, zarówno w obozie, jak i przy odwiercie. Cudacznie popsute maszyny zdawały się budzić odrazę wśród psów. Trzeba też wspomnieć o splądrowanej spiżarni, zniknięciu niektórych produktów spożywczych oraz szokujących, ale i nieodparcie komicznych stosach puszek z konserwami pootwieranych siłą w najnieprawdopodobniejszy sposób i znajdowanych w najnieprawdopodobniejszych miejscach. Kolejną, pomniejszą tajemnicą były porozsypywane wszędzie zapałki, nietknięte, połamane bądź wypalone; jeszcze inną – porozrzucane w nieładzie futra oraz dwie czy trzy płachty namiotowego płótna porżnięte osobliwymi, nietypowymi cięciami, jak gdyby ktoś nieporadnie starał się je przystosować do jakichś niedocieczonych celów. Cały ten obłąkańczy bałagan wytworzyła najwyraźniej ta sama ręka, która sponiewierała człowiecze i psie ciała oraz wyprawiła wariacki pogrzeb uszkodzonym archaicznym organizmom. Przyjąwszy taką ewentualność, sporządziliśmy staranną dokumentację fotograficzną szaleńczo zdewastowanego obozu. Zamierzam teraz posłużyć się tymi fotografiami, by uzasadnić nasz apel o zarzucenie planowanej ekspedycji Starkweathera i Moore’a.

Znalazłszy ciała w hangarze, sfotografowaliśmy je niezwłocznie oraz otworzyliśmy cały rząd obłąkańczych grobów zwieńczonych pięcioramiennymi śnieżnymi kopcami. Poczwarne kopce, przyozdobione identycznymi grupami punkcików, od razu skojarzyły się nam z dziwnymi zielonkawymi kawałkami steatytu, jakie opisywał nieszczęsny Lake. Niektóre z tych steatytów odnaleźliśmy później w usypanym pośrodku obozu wielkim stosie minerałów – istotnie, podobieństwo było uderzające. Kształt owych bryłek – trzeba to mocno podkreślić – w obrzydliwy sposób przywodził na myśl rozgwiazdowate głowy archaicznych istot; doszliśmy przeto do zgodnego wniosku, że skojarzenie to musiało wywrzeć potężny wpływ na przewrażliwione umysły przemęczonych ludzi Lake’a. Chwila, w której na własne oczy ujrzeliśmy pogrzebane istoty, była zaiste straszliwa, najbardziej dla Pabodiego i mnie – w wyobraźni naszej odezwały się echem wyczytane przez nas niegdyś bądź zasłyszane wstrząsające pierwotne mity. Wszyscy zgodnie uznaliśmy, że to właśnie nieustanna obecność tych stworów, doprawiona przytłaczającym poczuciem osamotnienia na podbiegunowym pustkowiu oraz piekielnym górskim wiatrem, doprowadziła grupę Lake’a do szaleństwa.

Szaleństwo było bowiem wyjaśnieniem, które wszyscyśmy przyjęli

spontanicznie od samego początku – a ponieważ jedyną osobą, jaka prawdopodobnie uszła z życiem, był Gedney, zrazu przypisaliśmy je właśnie jemu. Taki przynajmniej pogląd deklarowaliśmy otwarcie w naszych rozmowach, acz nie jestem tak naiwny, by sądzić, że każdy z nas nie snuł po cichu domysłów własnych, nazbyt obłąkanych, by wypowiedzieć je na głos. Po południu Sherman, Pabodie i McTighe przeprowadzili wyczerpujący lotniczy zwiad nad całym dookolnym obszarem; przez lornetki przepatrzyli horyzont, szukając Gedneya lub zaginionych przedmiotów, nie znaleźli jednak niczego. Po powrocie donieśli, że łańcuch tytanicznych gór ciągnie się w nieskończoność w obie strony, ani na jotę nie zmniejszając swej wysokości ani zasadniczej struktury. Na niektórych szczytach jednakowoż sześcienne i wałowe formacje skalne były regularniejsze i masywniejsze, co jeszcze potęgowało ich fantastyczne podobieństwo do ruin azjatyckich świątyń na obrazach Roericha. Częstotliwość występowania tajemniczych gardzieli jaskiń w czarnych, omiecionych ze śniegu stokach była, według ich relacji, w całym masywie z grubsza taka sama.

Jakkolwiek byliśmy oszołomieni i sparaliżowani zgrozą, zachowaliśmy w sobie tyle naukowego zapału oraz zwykłej żądzy przygód, że zapragnęliśmy sprawdzić, jak też wygląda nieznane królestwo po drugiej stronie tajemniczych gór. Jak już informowaliśmy w zdawkowych komunikatach, o północy zakończyliśmy wreszcie ów zatrważający i zdumiewający dzień, udając się na spoczynek; pierwej uradziliśmy jednak, że nazajutrz z rana opróżnimy jeden z samolotów, pozostawiając na pokładzie tylko aparat do fotografii lotniczej oraz sprzęt geologiczny, i wykonamy co najmniej jeden lot na drugą stronę górskiego masywu. Postanowiono, że najpierw polecimy Danforth i ja, toteż obaj wstaliśmy już o siódmej rano, żeby wyruszyć jak najwcześniej – wszelako, jak wspomnieliśmy w opublikowanym później krótkim raporcie, z powodu silnego wiatru start nasz opóźnił się i nastąpił dopiero przed dziewiątą.

Przytaczałem już wymijającą historyjkę, którą szesnaście godzin później, po powrocie do obozu, opowiedzieliśmy reszcie ekipy i puściliśmy dalej w świat. Nie mogę już uchylać się od straszliwego obowiązku poszerzenia tego raportu; muszę wypełnić pozostawione wcześniej litościwie puste miejsca i przynajmniej napomknąć o tym, co naprawdę ujrzeliśmy w ukrytej za górami krainie, odsłonić rewelacje, które Danfortha doprowadziły w końcu do nerwowej zapaści. Chciałbym też, żeby i on opowiedział wreszcie bez ogródek o tym, co ukazało się tam wyłącznie jego oczom – jakkolwiek najprawdopodobniej był to tylko omam skołatanych nerwów – a co być może okazało się kroplą, która przepełniła czarę, i doprowadziło go tam, gdzie obecnie przebywa. Danforth jednak stanowczo się temu sprzeciwia, toteż pozostaje mi jedynie przytoczyć zasłyszane z jego ust nerwowe szepty – tylko tak mogę wyjaśnić, co sprawiło, że gdy odlatywaliśmy już do obozu nad smaganymi wichrem szczytami, doświadczywszy pierwej wspólnie tylu trwóg, biedak podniósł nagle histeryczny wrzask. Na tym zakończę mą opowieść. Jeśli ujawnione tu przeze mnie dowody na to, że na Antarktydzie przetrwało siedlisko prastarych zgróz, nie powstrzymają innych przed zapuszczaniem się w głąb kontynentu – a przynajmniej przed zbyt głębokim

ryciem pod powierzchnią tej nieludzkiej, przeklętej od prawieków i pełnej zakazanych tajemnic pustaci – nie ja będę odpowiedzialny za niewysłowione, być może nawet niezmierzone zło, jakie może z tego wyniknąć.

Przestudiowawszy notatki sporządzone przez Pabodiego podczas popołudniowego lotu i dokonawszy pomiarów sekstansem, Danforth i ja obliczyliśmy, że najniższa przełęcz, nad którą można przelecieć, znajduje się na prawo od nas, w zasięgu wzroku, leży zaś około dwudziestu trzech–dwudziestu czterech tysięcy stóp nad poziomem morza. W tę właśnie stronę skierowaliśmy się przeto odciążonym aeroplanem, gdy już wyruszyliśmy w nasz odkrywczy lot. Obóz rozbity był na pogórzu wznoszącym się ponad wysokim kontynentalnym płaskowyżem i sięgającym dwunastu tysięcy stóp; względna różnica w wysokościach, jaką należało pokonać, nie była zatem tak wielka, jak mogło się wydawać. Tak czy owak podczas wznoszenia dały nam się we znaki rzednienie powietrza i przenikliwe zimno – dla polepszenia widoczności musieliśmy bowiem pootwierać w kabinie okna. Ubrani byliśmy, rzecz jasna, w nasze najgrubsze futra.

Im bardziej zbliżaliśmy się do niegościnnych szczytów wznoszących się ciemnym, złowrogim pasmem nad linią zmrożonego śniegu i spękanych lodowców, tym więcej zauważaliśmy osobliwych, regularnych formacji na zboczach; i znów stanęły nam przed oczyma dziwne azjatyckie obrazy Nicholasa Roericha. Pradawne, zwietrzałe warstwy skał wyglądały dokładnie tak, jak opisywał je w swych komunikatach Lake; potwierdziło się jego przypuszczenie, że sędziwe te wierchy wznoszą się nietknięte zębem czasu od zadziwiająco dawnych dziejów – być może ponad pięćdziesiąt milionów lat. Próżno było zgadywać, jak wysokie musiały być ongiś; wszystko jednak wskazywało na to, że wpływy atmosferyczne w tej przedziwnej okolicy w niepojęty sposób hamują wszelkie zmiany, spowalniając zwykłe klimatyczne procesy rozpadu skał.

Tym wszakże, co zafascynowało i zaniepokoiło nas najbardziej, było nagromadzenie regularnych sześcianów, wałów i jaskiń na zboczach. Podczas gdy Danforth siedział za sterami, ja przyglądałem im się przez lornetkę i robiłem zdjęcia; co pewien czas, jakkolwiek moja znajomość sztuki pilotażu jest zdecydowanie amatorska, zastępowałem go też przy sterach, aby i on mógł skorzystać ze szkieł. Szybko zauważyliśmy, że w przeciwieństwie do wszystkich innych skał widocznych dokoła na rozległych stokach budulcem tych formacji jest nieco jaśniejszy archaiczny kwarcyt; regularność ich kształtu była zaś doprawdy wyjątkowa – bardziej niesamowita niż można było wnioskować ze wzmianek nieszczęsnego Lake’a.

Jak również wspominał Lake, pod wpływem trwającego od niewysłowionych eonów wietrzenia struktury owe były nadkruszone i zaokrąglone na krawędziach; za sprawą nadprzyrodzonej wręcz trwałości i twardości materiału nie zatraciły jednak swych kształtów. Wiele fragmentów, zwłaszcza przylegających bezpośrednio do zboczy, było zbudowanych bodaj z tego samego tworzywa co powierzchnia dookolnych skał. Ogólny ich układ przywodził na myśl ruiny andyjskiego Machu Picchu lub najpierwotniejsze fundamenty miasta Kish odkryte w 1929 roku przez wspólną ekspedycję uniwersytetu w Oxfordzie i chicagowskiego Field Museum. Od czasu do

czasu odnosiliśmy też wrażenie, że istotnie, jak zauważył Carroll z grupy Lake'a, składają się one z osobnych, cyklopowej wielkości bloków. Skąd wzięły się takie obiekty w takim miejscu – nie miałem najbledszego pojęcia i jako geolog odczuwałem wobec nich specyficzną pokorę. Dziwne regularności nie są rzadkością w skałach wulkanicznych – wystarczy wspomnieć słynną Groblę Olbrzyma w Irlandii – przecież jednak, jakkolwiek Lake'owi zrazu wydało się, że widzi dymiące stożki, struktura tego otchłannego górskiego pasma nie nosiła najmniejszych śladów działalności wulkanicznej.

Osobliwe gardziele jaskiń, w których pobliżu – jak nam się zdawało – zgromadzonych było najwięcej intrygujących formacji, stanowiły kolejną, choć mniejszą zagadkę, a to ze względu na regularność swego obrysu. Były to otwory naturalne, a przecież wiele z nich, jak już donosił Lake w swym komunikacie, miało kształt zbliżony do kwadratu czy półkola, jak gdyby dla większej symetrii uformowała je jakaś czarodziejska ręka. Godna odnotowania była ich liczebność i częstotliwość występowania – widać było, że cały masyw jest podziurawiony tunelami powstałymi w miejscach po rozpuszczonym wapieniu. Nie udało nam się zajrzeć zbyt głęboko do ich wnętrza, spostrzegliśmy jednak, że są zupełnie pozbawione stalaktytów i stalagmitów. W bezpośredniej ich bliskości zbocza wydawały się gładkie i harmonijnie ukształtowane; Danforthowi wydawało się też, że dostrzega w nich wietrzeniowe spękania i zagłębienia układające się w niezwykłe wzory. Wciąż jeszcze przejęty dziwnością i grozą odkryć poczynionych w obozie Danforth stwierdził, że układ owych zagłębień przypomina mu nieco owe zdumiewające grupy punkcików, które widzieliśmy na prastarych zielonkawych steatytach i które jakaś obłąkana ręka w odrażający sposób odtworzyła na grobowych kopcach sześciu poczwar.

Wznosiliśmy się stopniowo nad coraz wyższym pogórzem, zmierzając w stronę obranej przez nas przełęczy. Popatrywaliśmy w dół, zastanawiając się, czy dałoby się przejść przez góry drogą lądową, z prostym ekwipunkiem, jaki mieli do dyspozycji dawni polarnicy. Ku swemu zaskoczeniu odnieśliśmy wrażenie, że byłoby to znacznie prostsze, niż można było się spodziewać – jakkolwiek stoki obfitowały w szczeliny i inne niebezpieczne miejsca, Scott, Shackleton czy Amundsen pokonaliby je na swych saniach bez większego trudu. Niektóre lodowce zdawały się z niezwykłą wręcz płynnością prowadzić prosto na omiecione ze śniegu przełęcze; zbliżając się zaś do naszego łęku, przekonaliśmy się, że i on nie stanowi wyjątku.

Nie sposób chyba przelać na papier napięcia i niecierpliwości, jakie towarzyszyły nam, gdyśmy przygotowywali się do przelotu nad granią i wyglądali leżącego za nią nieznanego świata – jakkolwiek przecież nic nie przemawiało za tym, by miał on różnić się znacząco od okolic, które zdążyliśmy już ujrzeć i przemierzyć. Zbliżając się do dzielącej nas odeń górskiej bariery i spoglądając w morze opalizującego nieba, łyskające kusząco między wierzchołkami, wyczuwaliśmy niezwykle subtelną, nieuchwytną aurę tajemniczego zła, której niepodobna ująć w słowa. Był to zapewne zlepek mglistej psychologicznej symboliki i skojarzeń estetycznych – doprawiony jeszcze reminiscencjami z egzotycznej poezji i malarstwa tudzież

archaicznych mitów, które kryły się na kartach wyklętych, zakazanych ksiąg. Nawet w porywach wichru zdawało się pobrzmiewać rozmyślne zło; słuchając, jak odbija się echem w gardzielach wszechobecnych jaskiń, przez chwilę odnieśliśmy wrażenie, że ten zwielokrotniony, wielodźwięczny szum zawiera w sobie nutę osobliwie muzyczną, melodyjny gwizd czy świst o szerokiej gamie. Dźwięk ów przyprawił nas o mroczne, a złożone i nieokreślone odczucia, wydało nam się, że poruszył w nas jakieś mgliste, wstrętne wspomnienie.

Wreszcie po długim, powolnym locie znaleźliśmy się – jak wskazywał aneroid – na wysokości 23 570 stóp. Zostawiliśmy już za sobą ostatnie resztki śniegu, przed nami wznosiły się już tylko ciemne, nagie stoki i poczynały spływać w dół grubo żebrowane lodowce – prowokujące sześcienne bryły, wały i rezonujące potężnym echem gardziele jaskiń nadawały im jednak wymiar nienaturalny i fantastyczny, jak ze snu. Przepatrując długą linię najwyższych gór, miałem wrażenie, że dostrzegam szczyt, o którym wspominał biedny Lake – z wałem umiejscowionym na samym wierzchołku. Wydawał się tonąć w dziwacznej antarktycznej mgiełce; być może właśnie ową mgiełkę Lake wziął zrazu za przejaw aktywności wulkanicznej. Gładka, omieciona wiatrem przełęcz wznosiła się wprost przed nami, między poszarpanymi, wyszczerzonymi złowrogo pylonami szczytów. Za nią widniało niebo przystrojone kłębami oparów i rozświetlone niskim polarnym słońcem – niebo tajemniczego, odległego królestwa, na którym, jak byliśmy przekonani, nie spoczęło jeszcze nigdy ludzkie oko.

Jeszcze kilka stóp i mieliśmy ujrzeć to królestwo jako pierwsi. W ogłuszającym skowycie i świście przewalającej się nad przełęczą wichury oraz naszych niewyciszonych silników mogliśmy się porozumiewać już tylko krzykiem, tedy wymieniliśmy z Danforthem jedynie wymowne spojrzenia. A potem, pokonawszy tę ostatnią piędź wysokości, wzbiliśmy się wreszcie ponad przełomową grań i oczom naszym ukazały się nietknięte od prawieków tajemnice pierwotnej, nieskończenie obcej Ziemi.

## V

Wydaje mi się, że gdy wreszcie wzlecieliśmy nad przełęcz i ujrzeliśmy, co znajduje się po drugiej stronie, zakrzyknęliśmy pospołu, nie dowierzając własnym zmysłom, przejęci bojaźnią, zdumieniem i zgrozą. Oczywiście musieliśmy podówczas sięgnąć w głąb naszych umysłów po jakąś teorię, która to, cośmy ujrzeli, wyjaśniłaby w sposób naturalny i uspokoiła szybko nasze nerwy. Przyszły nam pewnie do głowy takie fenomeny jak Ogród Bogów w Kolorado, pełen groteskowo zwietrzałych głazów, czy wyrzeźbione przez wiatr z fantastyczną symetrią skały na pustyni w Arizonie. Być może nawet przemknęło nam przez myśl, że to tylko miraż podobny do tego, który widzieliśmy poprzedniego ranka, zbliżając się do gór szaleństwa. Z całą pewnością w takich właśnie wyjaśnieniach szukaliśmy oparcia, przemierzając wzrokiem bezkresny, pobliźniony przez burze płaskowyż, próbując ogarnąć nieskończony, zdałoby się, labirynt kolosalnych,

regularnych, zgeometryzowanych kamiennych masywów wznoszących swe pożłobione, kruszejące wręby nad lodową pokrywą – w najgłębszym miejscu nie grubszą niż czterdzieści, może pięćdziesiąt stóp, a gdzieniegdzie jeszcze cieńszą.

Potworny ów widok wywarł na nas wrażenie nieopisane – albowiem zrazu wydało się pewne, że w jakiś diabli sposób zostały tu pogwałcone prawa Natury. Oto na piekielnie starożytnej wyżynie, wyniesionej dwadzieścia tysięcy stóp nad poziom morza, w klimacie, który już co najmniej pięćset milionów lat przed narodzinami człowieka był zabójczy dla wszelkich form życia, rozciągało się niemal po najdalszy widnokres zbiorowisko głazów – tak uporządkowane, że umysł ludzki tylko w rozpaczliwym obronnym odruchu mógłby uznać je za dzieło ślepych sił Natury.

Razem z Danforthem zdążyliśmy już pierwej odrzucić – przynajmniej w poważnych, rozsądnych spekulacjach – myśl, że sześciany i obwałowania na stokach gór mają pochodzenie sztuczne; jakżeż mogłoby być inaczej, skoro w czasach, gdy całym dookolnym obszarem władała już niepodzielnie lodowa śmierć, gatunek ludzki nie zdążył jeszcze na dobre odróść z pnia małpiej rodziny? W tej jednak chwili nasze rozsądne założenia zostały nieodwołalnie zakwestionowane, albowiem cyklopowy labirynt prostokątnych, okrągłych i spiczastych bloków miał właściwości, których rozumnie wyjaśnić się nie dało. Ponad wszelką wątpliwość mieliśmy przed sobą owo bluźniercze miasto z mirażu, tyle że już w obiektywnej, niezaprzeczalnie realnej postaci. Wyglądało na to, że ten przeklęty wczorajszy omen miał jednak źródło w rzeczywistości materialnej – w wyższych partiach atmosfery unosiła się zapewne pozioma warstwa lodowego pyłu, i to za jej sprawą, zgodnie z prostymi prawami odbicia światła, te wstrząsające kamienne ostańce przeniosły swój obraz na drugą stronę gór. Zwid ów, rzecz jasna, zniekształcony był i spotężniały, zawierał też rzeczy, które w realnym źródle nie istniały; wszelako teraz, gdy owo realne źródło ukazało się już naszym oczom, uznaliśmy je za jeszcze ohydniejsze i bardziej złowieszcze niźli daleki jego obraz.

Tylko niewiarygodna, nieludzka masywność tych olbrzymich kamiennych wież i szańców uchroniła przeraźliwe ich skupisko przed całkowitą zagładą w toku setek tysięcy, jeśli nie milionów lat, podczas których wichry smagały bez ustanku posępną wyżynę. Gdy spoglądaliśmy w dół na to zawrotne widowisko, na usta cisnęły nam się najróżniejsze fantastyczne określenia: Corona Mundi… Dach Świata… Znów przyszły mi na myśl upiorne, pierwotne mity nawiedzające mnie uparcie już od pierwszej chwili, gdy ujrzałem ten martwy antarktyczny świat – o demonicznym płaskowyżu Leng, o himalajskich Mi-Go, czyli Wstrętnych Ludziach Śniegu, o Rękopisach Pnakotycznych, powstałych być może jeszcze przed narodzinami człowieka, o kulcie Cthulhu, o *Necronomiconie*, wreszcie o hiperborejskich legendach o bezkształtnym Tsathoggui i gorzej niż bezkształtnym gwiezdnym pomiocie, jaki z tą półistotą kojarzono.

Kamienny twór ciągnął się na wsze strony w nieskończoną dal, nie zmniejszając zbytnio gęstości zabudowy; spoglądając w obie strony wzdłuż niskiego, wznoszącego się stopniowo pogórza, które oddzielało go od

właściwego górskiego masywu, uznaliśmy wręcz, że nie rzednieje on właściwie ani na jotę – jedyny większy prześwit dostrzegliśmy na lewo od naszej przełęczy. Trafiliśmy po prostu w przypadkowym miejscu na fragment całości o nieoszacowanych rozmiarach. Pogórze, na którym groteskowe kamienne budowle występowały w nieco mniejszej obfitości, łączyło przeraźliwe miasto ze znanymi nam już sześciennymi bryłami i wałami ewidentnie stanowiącymi jego górskie przyczółki. Przyczółków tych, podobnie jak jaskiń, było tyle samo na wewnętrznych, jak na zewnętrznych stokach gór.

Niepojęty kamienny labirynt składał się w większości ze ścian wznoszących się od dziesięciu do stu pięćdziesięciu stóp ponad warstwę lodu, grubych zaś na pięć do dziesięciu stóp. Zbudowany był głównie z ogromnych bloków prastarego, ciemnego łupku lub piaskowca – niejednokrotnie osiągających rozmiary cztery na sześć na osiem stóp – jakkolwiek w paru miejscach zdawał się wyrżnięty wprost z litego, chropawego podłoża prekambryjskich skał. Budynki znacznie różniły się wielkością; wiele było poprzecinanych ogromnymi systemami wewnętrznych korytarzy, zdarzały się też budowle mniejsze, stojące osobno. Większość gmachów miała kształt stożka, piramidy bądź tarasów, zdarzało się też jednak sporo idealnych walców, sześcianów i wielościanów tudzież innych prostokątnych brył; gdzieniegdzie zdarzały się też osobliwe gmachy zbudowane na planie pięcioramiennej gwiazdy, przypominające z grubsza nasze współczesne fortyfikacje. Budowniczowie z wyraźnym znawstwem i zamiłowaniem stosowali struktury łukowe, w czasach świetności w mieście musiały też istnieć kopuły.

Cały labirynt był potwornie zwietrzały; pokrywa lodowa, z której wystrzelały wieże, usiana była rumowiskiem obalonych bloków i przedwiecznego gruzu. Tam, gdzie lód był przezroczysty, można było dostrzec niższe partie gigantycznych gmachów, zauważyliśmy też, że pod lodem zachowały się kamienne galerie rozpięte na różnych wysokościach między poszczególnymi wieżami. Na odsłoniętych murach rzucały się w oczy ukruszone występy, najpewniej szczątki innych, wyższych mostów. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegliśmy też nieprzebraną liczbę całkiem sporych okien; niektóre zamknięte były okiennicami ze skamieniałego już drewna, większość jednak ziała ponurą, złowieszczą pustką. Wiele ruin oczywiście nie miało już dachów i szczerzyło się ku niebu nierównymi, choć zaokrąglonymi przez wiatr wrębami ścian; budowle wzniesione na planie stożka lub piramidy, a także i te, które stały w cieniu większych sąsiadów, zachowały zaś swój kształt niezmieniony, aczkolwiek – jak wszystkie inne gmachy – nadkruszone były i pożłobione. Przez lornetkę wypatrzyliśmy też chyba coś, co wyglądało jak poziome rzędy ozdobnych rzeźbień – wśród nich między innymi znane nam już dziwaczne grupy punkcików; ich obecność na prastarych kawałkach steatytu stawała się przeto niezmiernie brzemienna w znaczenia.

Gdzieniegdzie budynki były do cna zrujnowane, a pokrywa lodowa wskutek rozmaitych procesów geologicznych pocięta głębokimi szczelinami. W innych miejscach budowle zostały starte aż do poziomu lodu. Gdzieś z

głębi miasta wynurzał się szeroki pas wolnej przestrzeni; ciągnął się aż do pogórza i znikał w skalnej rozpadlinie o jakąś milę od naszej przełęczy. Uznaliśmy, że jest to prawdopodobnie koryto wielkiej rzeki, która w okresie trzeciorzędu – przed milionami lat – płynęła przez miasto i wpadała do jakiejś niesłychanej podziemnej otchłani pod potężnym masywem. Z całą pewnością była to kraina przepastnych pieczar i grot skrywających niedostępne człowiekowi tajemnice.

Gdy przywołuję z pamięci towarzyszące nam podówczas uczucia, gdy przypominam sobie, jak z oszołomieniem wlepialiśmy wzrok w tę potworną pozostałość po eonach uważanych przez nas pierwej za czasy przedludzkie, nie mogę się nadziwić, że udało nam się jednak zachować przynajmniej namiastkę równowagi. Oczywiście nie mieliśmy wątpliwości, że coś zostało tu fatalnie wypaczone – może chronologia, może teorie budowane przez naukę, a może nasz zdrowy, świadomy rozsądek; zachowaliśmy jednak przecież tyle przytomności umysłu, by móc sterować samolotem, całkiem dokładnie przyjrzeć się wielu obiektom oraz starannie wykonać serię fotografii, które teraz mogą przynieść pożytek i nam, i całemu światu. W moim przypadku niebagatelną rolę mogły odegrać ugruntowane nawyki uczonego – nad trwogą i oszołomieniem górowała we mnie bowiem żarłoczna ciekawość: pragnąłem zgłębić tę odwieczną tajemnicę, dowiedzieć się, kim byli budowniczowie i mieszkańcy niezmierzonego, gigantycznego miasta i jakie związki mogły łączyć to wyjątkowe siedlisko życia z resztą świata – zarówno w tamtych, jak i wszelkich innych czasach.

Z pewnością nie było to bowiem zwykłe miasto. Musiało to być najpierwsze jądro i centrum archaicznego, niewiarygodnego rozdziału ziemskich dziejów, którego boczne odgałęzienia, zachowane już tylko szczątkowo w najmglistszych, zniekształconych mitach, przepadły w chaosie konwulsji, jakie miotały naszą planetą na długo, nim ludzkie plemię zeszło z drzewa. Mieliśmy przed sobą paleogeniczne megalopolis, tak stare, że w porównaniu z nim legendarne krainy w rodzaju Atlantydy, Lemurii, Commoriom, Uzuldaroum czy Olathoë w ziemi Lomar powstały nawet nie wczoraj, ale zaledwie przed chwilą – megalopolis nie mniej bluźniercze niż inne przedludzkie miejsca, o których nie mówi się inaczej niż szeptem: Waluzja, R’lyeh, Ib w ziemi Mnar i Bezimienne Miasto na Pustyni Arabskiej. Gdy lecieliśmy nad tym skupiskiem surowych, tytanicznych wież, popuszczałem niekiedy wodze wyobraźni i błąkałem się w myślach po królestwie fantastycznych skojarzeń – a nawet szukałem związków między tym zaginionym światem a najdzikszymi spośród rojeń, do jakich natchnęło mnie obłąkańcze i przeraźliwe odkrycie w obozie.

Nasz zbiornik paliwa dla odciążenia samolotu został napełniony jedynie częściowo, tedy poszukiwania nasze musieliśmy prowadzić z należytą ostrożnością. Obniżyliśmy pułap, aż przestaliśmy niemal odczuwać wiatr, ale i tak pokonaliśmy jeszcze olbrzymie połacie terenu – czy raczej powietrza. Zarówno łańcuch górski, jak i przeraźliwe kamienne miasto graniczące z wewnętrznym pogórzem zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Przelecieliśmy po pięćdziesiąt mil w obie strony, a i tak nie zauważyliśmy, by labirynt skał i gmachów, wystający jak trup spod wiecznego lodu, zmienił

się w sposób znaczący. W paru miejscach dostrzegliśmy wszakże twory bardzo ciekawie się wyróżniające – na przykład w kanionie, przez który rzeka zdążała ongiś do ujścia. Otóż w miejscu, gdzie rzeka znikała w głębi gór, wznosiły się naturalne skalne cyple – i owe cyple zostały śmiało ociosane, aż przybrały postać cyklopowych pylonów. Gdyśmy zaś z Danforthem przyglądali się ich baryłkowatym, rżniętym w pionowe bruzdy kształtom, odezwało się w nas dziwaczne, nienawistne, a przy tym niejasne, mgliste, na poły wyczuwalne wspomnienie.

W kilku miejscach napotkaliśmy również otwarte przestrzenie o rozgwiazdowatym obrysie, najpewniej dawne publiczne place. Zauważyliśmy też, że płaskowyż jest jednak nieco pofałdowany, zaś wszystkie wynioślejsze wzgórza są wydrążone i przekształcone w coś na kształt topornych kamiennych budowli. Odnotowaliśmy wszakże co najmniej dwa wyjątki: jedno wzniesienie było zbyt zwietrzałe i nie dało już się rozpoznać, co znajdowało się niegdyś na jego szczycie, na drugim zaś wciąż wznosił się fantastyczny stożkowy obelisk wycięty wprost z litej skały, kojarzący się z grubsza z Wężowym Grobowcem w starożytnej dolinie Petry.

Oddalając się od gór, odkryliśmy, że miasto nie sięga jednak przesadnie daleko w głąb płaskowyżu, jakkolwiek wzdłuż linii pogórza zdawało się ciągnąć w najdalszy bezkres. Po mniej więcej trzydziestu milach groteskowy natłok kamiennych gmachów począł rzednąć, po dalszych dziesięciu dotarliśmy zaś do dziewiczego pustkowia pozbawionego śladów rozmyślnej działalności. Koryto rzeki ciągnęło się dalej, poza miasto, szerokim, wklęsłym torem, grunt zaś, już nieco nierówny, jakby leciutko się wznosił i niknął gdzieś na omglonym zachodnim horyzoncie.

Jak dotąd nie wylądowaliśmy ani razu, choć nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy stąd odlecieć, nie spróbowawszy wejść do któregoś z tych poczwarnych gmachów. Postanowiliśmy przeto wyszukać należycie płaskie miejsce na pogórzu nieopodal naszej przełęczy, posadzić maszynę i wybrać się na pieszy rekonesans. Choć stoki pogórza były częściowo usłane ruinami i gruzem, uznaliśmy, że lecąc na odpowiednio niskim pułapie, bez trudu znajdziemy potencjalne lądowisko. Jako że następny nasz lot miał już prowadzić z powrotem przez góry do obozu, szukaliśmy miejsca położonego jak najbliżej przełęczy – i koniec końców wybraliśmy gładkie, twarde pole śniegowe, zgoła wolne od przeszkód i pozwalające na szybki, łatwy start. Wylądowaliśmy o godzinie dwunastej trzydzieści.

Ponieważ na ziemi nie zamierzaliśmy zabawić zbyt długo, a na tej wysokości szczęśliwie nie zagrażały nam wysokie wiatry, uznaliśmy, że nie musimy zabezpieczać aeroplanu śnieżnym ogrodzeniem; upewniliśmy się jedynie, że płozy są bezpiecznie unieruchomione, a żywotne mechanizmy należycie zabezpieczone przed zimnem. Najgrubsze futra, które mieliśmy na sobie w trakcie lotu, podczas pieszej wędrówki byłyby nieprzydatne, toteż zostawiliśmy je w samolocie. Przygotowaliśmy sobie natomiast skromny ekwipunek: kieszonkowy kompas, podręczny aparat fotograficzny, lekkie racje żywnościowe, liczne notatniki i papier, młotek i dłuto geologiczne, torbę na okazy, zwój liny oraz mocne latarki elektryczne z zapasowymi bateriami. Wszystkie te rzeczy zabraliśmy z obozu na wypadek, gdyby

nadarzyła się okazja do wylądowania, zrobienia fotografii z ziemi, sporządzenia rysunków i szkiców topograficznych tudzież zebrania próbek skał z jakiegoś nagiego zbocza, wzniesienia bądź górskiej jaskini. Szczęśliwym trafem mieliśmy też sporo zapasowego papieru, który mogliśmy podrzeć na kawałki, zapakować do zapasowej torby na okazy i w razie gdybyśmy zabłądzili w jakichś ciemnych wnętrzach, móc znaczyć sobie drogę. Zabraliśmy go na wypadek, gdyby udało nam się odkryć system jaskiń ze spokojnym przepływem powietrza – odwieczna metoda znaczenia drogi kawałkami papieru jest szybsza i łatwiejsza niż stosowane zazwyczaj wykuwanie znaków w skalnych ścianach.

Gdy schodziliśmy ostrożnie po zeskorupiałym śniegu w stronę porażającego kamiennego labiryntu wznoszącego się na opalizującym tle zachodniego nieba, przeczucie oczekujących nas cudów przejmowało nas niemal tak potężnie jak cztery godziny wcześniej, gdyśmy zbliżali się do przełęczy skrywającej nieznaną krainę. Zdążyliśmy już wprawdzie oswoić się z niewiarygodną tajemnicą ukrytą za barierą gór, ale to, że już za chwilę mieliśmy znaleźć się wśród pierwotnych murów wzniesionych ręką świadomych istot być może przed wielu milionami lat – nim jeszcze na świecie pojawiła się pierwsza ludzka rasa – zakrawało na kosmiczną aberrację i napełniało nas najprawdziwszą bojaźnią. Jakkolwiek rozrzedzone wysokogórskie powietrze czyniło nasz mozół żmudniejszym niż zwykle, obaj z Danforthem radziliśmy sobie wcale nieźle; czuliśmy, że zdołamy pokonać każdą przeszkodę, na jaką natrafimy na swej drodze. Do pierwszych ruin, bezkształtnych i startych aż do poziomu śniegu, mieliśmy ledwie parę kroków; dziesięć–piętnaście prętów dalej wznosił się na wysokość dziesięciu, może jedenastu stóp olbrzymi, pozbawiony stropu bastion o kompletnie zachowanym pięcioramiennym obrysie. Ruszyliśmy w tamtą stronę – i po chwili mogliśmy już wyciągnąć ręce i dotknąć jego zwietrzałych, cyklopowych bloków; uczuliśmy, że gestem tym nawiązaliśmy bezprecedensowy, niemal bluźnierczy kontakt z zapomnianymi eonami, z natury rzeczy niedostępnymi dla naszego gatunku.

Bastion, wzniesiony na planie gwiazdy i szeroki mniej więcej na trzysta stóp, zbudowany był z bloków jurajskiego piaskowca zróżnicowanych pod względem rozmiarów, średnio mierzących jednak sześć na osiem stóp. Na końcach ramion i przy wewnętrznych kątach gwiazdy, mniej więcej cztery stopy od powierzchni lodu, biegły dość symetrycznie rzędy łukowatych furt czy okien szerokich na jakieś cztery stopy i na pięć stóp wysokich. Wyglądając przez nie, zauważyliśmy, że mury mają aż pięć stóp grubości, że nie zachowały się żadne ściany działowe, a na wewnętrznej stronie murów ciągną się szeregi szczątkowo zachowanych rytów czy płaskorzeźb. Wszystko to spostrzegliśmy już właściwie z powietrza, przelatując nisko nad tym i podobnymi doń bastionami. Znajdowaliśmy się prawdopodobnie wyżej niż na poziomie parteru, lecz niższe kondygnacje zniknęły bezpowrotnie pod głęboką warstwą lodu i śniegu.

Przeczołgaliśmy się przez jedno z okien i usiłowaliśmy odcyfrować rzeźbienia, lecz na próżno – były zatarte niemal do cna. Nie pokusiliśmy się o skruszenie lodowego podłoża. Podczas orientacyjnych przelotów

zaobserwowaliśmy, że wiele budynków we właściwym mieście jest nieco płyciej zalanych lodem, przeto jeśli zaczniemy penetrować budowle o zachowanych stropach, być może uda nam się znaleźć przejście aż na rzeczywisty parter. Przed opuszczeniem bastionu dokładnie go obfotografowaliśmy i z najwyższym osłupieniem skonstatowaliśmy, że cyklopowe bloki połączone są bez krzty zaprawy. Żałowaliśmy, że Pabodie nie może nas wspomóc swą inżynierską wiedzą – z jego pomocą może domyślilibyśmy się, jak w niewiarygodnie zamierzchłych czasach, gdy powstawało miasto i jego obrzeża, radzono sobie z tak tytanicznym murarskim budulcem.

Półmilowej długości marsz ku właściwemu miastu – przy akompaniamencie dzikich, lecz bezsilnych wrzasków wichury wysoko nad nami chłoszczącej wystrzelone w niebo szczyty – wrył mi się w pamięć na zawsze, i to w najdrobniejszych szczegółach. Doświadczyliśmy wówczas z Danforthem efektów optycznych, jakie istotom ludzkim dane jest oglądać tylko w fantastycznych sennych koszmarach. Pomiędzy nami a wrzącą kipielą zachodniego horyzontu rozciągała się potworna gmatwanina ciemnych kamiennych wież o formach nieziemskich, tak nieopisanych, że z każdym krokiem, gdy tylko zmieniał się kąt naszego spojrzenia, chłonęliśmy je wzrokiem od nowa jak urzeczeni. Był to miraż wykuty w litej skale – i gdyby nie fotografie, do dziś wątpiłbym, czy widziałem go naprawdę. Pod względem techniki murarskiej większość budowli nie różniła się od obejrzanego już przez nas bastionu, wszelako wymyślność kształtów, jakie przybierały one we właściwym mieście, wymyka się wszelkim próbom opisu.

Nawet na zdjęciach uwieczniliśmy zaledwie jeden czy dwa przykłady tej nieogarnionej ekstrawagancji, nieprzebranej różnorodności, nadnaturalnej masywności i niepojęcie obcej egzotyki. Widzieliśmy formy geometryczne, dla których nie znalazłby nazwy sam Euklides – najnieregularniej ukształtowane i pościnane stożki, tarasy drażniące najprzeróżniejszymi rodzajami dysproporcji, dziwacznie wypękłe na szczytach słupy, osobliwe grupy pogruchotanych kolumn, wreszcie obłąkańczo groteskowe pięciorne układy, gwiazdowate bądź żebrowane. Gdy podeszliśmy bliżej, pod przezroczystym tu i ówdzie lodem ujrzeliśmy rurowate kamienne mosty, które na różnych wysokościach spinały to szaleńczo rozsiane mrowie gmachów. Wszystko wskazywało na to, że w mieście nie ma zwykłych ulic; jedyny szeroki, otwarty szlak ciągnął się o milę dalej, po naszej lewej ręce – było nim koryto owej rzeki, która w zamierzchłych czasach płynęła przez miasto w stronę gór.

Przez lornetkę widać było, że poziome szeregi niemal do cna startych rzeźbień i grup punkcików są na zewnętrznych ścianach wręcz wszechobecne; wyobrażaliśmy sobie, jak miasto musiało wyglądać w dawnych czasach – choć większość dachów i szczytów wież w nieunikniony sposób zdążyła już rozpaść się w proch. Ogólnie rzecz biorąc, była to skomplikowana gmatwanina krętych alejek i zaułków głębokich jak kaniony, niekiedy zaś tak ukrytych pod łukowatymi mostami i nawisami murów, że upodobnionych wręcz do tuneli. Rozpostarte u naszych stóp miasto wznosiło się niby senny

zwid na tle mglistych oparów zachodniego nieba, przez które na północnym skraju przebijało się z wysiłkiem czerwonawe antarktyczne słońce wczesnego popołudnia. Ilekroć zaś jego omdlałe promienie przesłaniał któryś z masywniejszych gmachów, cały krajobraz grążył się w cieniu – tak nieuchwytnie, lecz dojmująco złowróżbnym, że nie oddałby go żaden opis. Nawet w słabym skowycie i świście niewyczuwalnego tutaj wichru, smagającego hen, wysoko górskie turnie, wyczuwaliśmy jakąś szaleńczą nutę rozmyślnej nikczemności. Nasze zejście do miasta kończyło się nadzwyczaj urwistą, nagłą stromizną, na samym jej zaś skraju spod lodu wystawała poszarpana skała. Uznaliśmy, że niegdyś musiał tu istnieć murowany taras, pod lodem zaś zachowały się zapewne schody lub innego typu zejście.

Kiedy wreszcie zstąpiliśmy w głąb właściwego labiryntu i jęliśmy wdrapywać się na obalone rumowiska tudzież przeciskać pod wszechobecnymi gzymsami nadkruszonych, pobrużdżonych ścian, ogarnęły nas uczucia takiego rodzaju, że dziwię się doprawdy, jak zdołaliśmy nad sobą zapanować. Danforth był wyraźnie niespokojny, w pewnym momencie począł nawet snuć absurdalne, niestosowne domysły związane z okropnym odkryciem w obozie. Rozdrażnił mnie tym nie na żarty – tym bardziej że wśród tych schorzałych reliktów koszmarnej pradawności niektórym jego wnioskom zwyczajnie nie mogłem zaprzeczyć. Snując swe spekulacje, Danforth rozjątrzył również własną wyobraźnię: oto w pewnym miejscu – na rogu zasłanego gruzem zaułka – począł się na przykład upierać, że dostrzegł na ziemi ślady, które nie przypadły mu do gustu. W innym miejscu zatrzymał się nagle i zasłuchał w delikatny dźwięk dobiegający rzekomo z nieokreślonego miejsca – był to, jak twierdził, przytłumiony, melodyjny świst podobny do tego, który dobiegał z górskich jaskiń, ale też dziwnie, niepokojąco odeń odmienny. Zarówno w otaczającej nas architekturze, jak i niezatartych do końca rzeźbionych arabeskach stale powtarzał się złowieszczo, choć mgliście, sugestywny motyw pięcioramiennej gwiazdy – motyw, który napełniał nas straszliwymi, podświadomymi przeświadczeniami co do pierwotnych budowniczych i mieszkańców tego bezbożnego miasta.

Naukowa i awanturnicza żyłka nie sczezła w nas jednak do końca, toteż machinalnie realizowaliśmy nasz program, zbierając próbki wszelkich typów skał, jakie można było spotkać w otaczających nas murach. Pragnęliśmy uzbierać jak największy ich wybór, aby móc tym ściślej określić wiek całej metropolii. Potężne ściany zewnętrzne nie zawierały budulca nowszego niźli skały jurajskie i komanczańskie, w całym zaś mieście nie znaleźliśmy ani jednego kamienia, który powstałby później niż w pliocenie. Z bezwzględną pewnością mogliśmy stwierdzić, że znajdujemy się w miejscu, w którym śmierć włada co najmniej od pięciuset tysięcy lat – a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze dłużej.

Przedzierając się przez ten omroczniały kamienny labirynt, zatrzymywaliśmy się przy każdym napotkanym otworze w poszukiwaniu sposobu dostania się do środka. Wiele z nich znajdowało się zbyt wysoko, inne prowadziły do skutych lodem ruin pozbawionych stropu i równie jałowych jak bastion na wzgórzu. Jedno z przejść, choć przestronne i

zachęcające, prowadziło w bezdenną wręcz czeluść pozbawioną jakichkolwiek ułatwień służących do zejścia na dół. Co pewien czas mieliśmy możność dokładniejszego obejrzenia skamieniałych okiennic; z zachwytem odczytywaliśmy z widocznych jeszcze słojów bajecznie zamierzchły wiek drewnianego budulca. Drewno pochodziło z mezozoicznych roślin nagonasiennych – zwłaszcza kredowych sagowców – i drzew szpilkowych oraz palm wachlarzowatych i wczesnych, prawdopodobnie trzeciorzędowych okrytonasiennych. Nie znaleźliśmy ani kawałka, który byłby wyraźnie młodszy niż z pliocenu. Okiennice mocowane były, jak nam się zdawało, na wiele sposobów – niektóre na zewnątrz, a inne wewnątrz głębokich ambrazur; na ich krawędziach widać było jeszcze ślady dziwacznych, dawno rozpadłych zawiasów. Montowano je zapewne na stałe i tylko dzięki temu przetrwały tak długo – dłużej niż metalowe obicia i mocowania, które dawno już unicestwiła rdza.

Po pewnym czasie natknęliśmy się wreszcie na szereg okien. Znajdowały się one w jednym z pięciu pionowych wybrzuszeń kolosalnego pięciogrzbietowego stożka z ocalałym zwieńczeniem. W środku widać było potężną, dobrze zachowaną salę z kamienną posadzką. Okna znajdowały się jednak tak wysoko, że do zejścia potrzebna byłaby lina. Dysponowaliśmy wprawdzie liną, ale nie mieliśmy ochoty kłopotać się bez potrzeby schodzeniem z dwudziestostopowej wysokości – zwłaszcza w rozrzedzonym wyżynnym powietrzu zmuszającym serce do zdwojenia wysiłku. Olbrzymie pomieszczenie było prawdopodobnie czymś w rodzaju holu bądź sali zebrań; w świetle latarek widzieliśmy, że ściany okolone są szerokimi pasami wyrazistych, niepokojących nawet z daleka płaskorzeźb; rozdzielały je równie szerokie pasma konwencjonalnych arabesek. Starannie zanotowaliśmy sobie położenie tej budowli – zamierzaliśmy do niej wrócić, gdybyśmy nie natrafili gdzieś na łacniej dostępne wnętrze.

W końcu nadarzyło nam się upragnione wejście. Była to łukowata furta, szeroka mniej więcej na sześć stóp i na dziesięć stóp wysoka; znajdowała się na końcu nieistniejącej już galerii przerzuconej nad zaułkiem, około pięciu stóp nad poziomem obecnego zlodowacenia. Galerie tego rodzaju spinały górne piętra budynków – i w tym przypadku górne piętro jednego z budynków wciąż jeszcze istniało, umożliwiając wejście do środka. Gmach znajdował się po naszej lewej ręce, skierowany był frontem ku zachodowi i składał się z wielu prostokątnych tarasów. Budynek przeciwległy, w którym ziała otworem podobna furta, chylił się już ku upadkowi; miał kształt walca i zgoła pozbawiony był okien, tylko jakieś dziesięć stóp nad furtą dziwacznie się wybrzuszał. W środku panował nieprzebity mrok, jak gdyby za furtą otwierała się nieskończenie pusta studnia.

Pod furtą po lewej usypane było gruzowisko, toteż dostać się do niej było podwójnie łatwo – wszelako nim skorzystaliśmy z tej wymarzonej okazji, zawahaliśmy się przez chwilę. Jakkolwiek przecież zanurzyliśmy się w ten tajemniczy, archaiczny labirynt, to aby wykonać krok następny, czyli wejść do kompletnego, zachowanego budynku – a tym samym zstąpić jeszcze głębiej w bajecznie pradawny świat, który z coraz ohydniejszą jasnością odsłaniał przed nami swą prawdziwą naturę – musieliśmy od nowa zebrać

się na odwagę. Koniec końców przemogliśmy się wreszcie i wdrapaliśmy się po rumowisku do otwartej furty. W głąb budowli ciągnął się długi, wysoki korytarz o posadzce z wielkich łupkowych płyt i rzeźbionych ścianach.

Po obu stronach korytarza znajdował się szereg łukowatych wyjść, co oznaczało, że system wewnętrznych pomieszczeń może być bardzo rozbudowany; uznaliśmy przeto, że najwyższy czas przystąpić do znaczenia drogi. Do tej pory wystarczały nam wskazania kompasu i orientacyjne spoglądanie w stronę górskiego masywu; od tej chwili jednak należało koniecznie zastosować metodę dodatkową. Podarliśmy nasze zapasowe arkusze papieru na odpowiednio duże kawałki, umieściliśmy je w torbie Danfortha i postanowiliśmy, że będziemy używać ich tak oszczędnie, jak tylko pozwolą względy bezpieczeństwa. We wnętrzu prastarego gmachu nie zauważyliśmy silnych prądów powietrza, toteż znacząc drogę tą metodą, raczej nie powinniśmy byli pobłądzić. Gdybyśmy mimo wszystko wykryli po drodze mocniejszy przeciąg, moglibyśmy oczywiście zastosować bezpieczniejszą, choć bardziej znojną i czasochłonną metodę nadłupywania ścian.

Jak rozległe było terytorium, które właśnie się przed nami otwierało – niepodobna było z góry oszacować. Poszczególne budynki łączyły się ze sobą w gęstą sieć, toteż być może dałoby się przechodzić z jednego do drugiego za pomocą zatopionych w lodzie pomostów – przynajmniej dopóty, dopóki nie stanęłyby nam na drodze rozpadliska powstałe wskutek geologicznych tąpnięć – wyglądało bowiem na to, że zlodowacenie nie dotarło zanadto w głąb masywnych gmachów. Tam gdzie lód był przezroczysty, widzieliśmy zazwyczaj, że skute przezeń okna są zawarte na głucho, jak gdyby miasto zachowało się w nietkniętym stanie aż do nadejścia lodowca – który następnie aż po nasze czasy skuł jego niższe partie. Odnieśliśmy wręcz osobliwe wrażenie, że w niepamiętnym, pradawnym eonie miasta nie poraził bynajmniej nagły kataklizm ani nawet powolny rozkład, tylko że rozmyślnie pozamykano je i opuszczono. Czyżby jego nienazwani mieszkańcy przewidzieli nadejście zlodowacenia i pospołu udali się na poszukiwanie mniej zagrożonego siedliska? Z dokładnym określeniem warunków fizjograficznych, jakie towarzyszyły formowaniu się pokrywy lodowej, należało jeszcze poczekać. Tak czy owak widać było, że nie nasunęła się na miasto z niszczącą siłą. Być może zmrożeniu uległ nagromadzony w mieście śnieg; być może wylała rzeka lub pękła jakaś pradawna lodowa zapora w wielkich górach. Doprawdy, w takim miejscu można było sobie wyobrazić niemal wszystko.

## VI

Szczegółowy, uporządkowany opis naszych wędrówek po przepastnych kamiennych korytarzach martwego od prawieków labiryntu – poczwarnej ostoi starożytnych tajemnic, która teraz, po upływie nieprzeliczonych epok, po raz pierwszy rozbrzmiewała echem ludzkich kroków – byłby żmudny i nieciekawy. Przede wszystkim dlatego, że głównym źródłem dramatycznych

i przeraźliwych rewelacji, jakich tam dostąpiliśmy, były po prostu oględziny wszechobecnych ściennych płaskorzeźb. O tym, że widzieliśmy je naprawdę, zaświadczyć mogą fotografie, które robiliśmy w świetle flesza; wypada tylko żałować, że nie mieliśmy ze sobą więcej klisz. Gdy już zużyliśmy wszystkie rolki, najciekawsze wizerunki przerysowywaliśmy topornie w notatniku.

Budynek, do którego weszliśmy, był potężny i niezwykle rozbudowany, dawał też wyborne pojęcie o architekturze tych niewysłowionych geologicznych pradziejów. Ściany wewnętrzne nie były tak masywne jak zewnętrzne mury, ale na niższych piętrach zachowały się w doskonałym stanie. Układ pomieszczeń był niezwykle skomplikowany, a na niższych poziomach dziwacznie nieregularny, wręcz labiryntowy; gdybyśmy nie zaznaczali sobie drogi kawałkami papieru, zgubilibyśmy się niechybnie już na samym początku. Wpierw postanowiliśmy zbadać część górną, bardziej zniszczoną, toteż wspięliśmy się przez gmatwaninę pomieszczeń i korytarzy na wysokość jakichś stu stóp – aż przez zrujnowane stropy izb najwyższych rozśnieżyło się nad nami bielą antarktyczne niebo. Szliśmy po stromych, poprzecznie żebrowanych kamiennych pochylniach pełniących funkcję schodów. Napotykaliśmy izby we wszelkich możliwych rozmiarach, proporcjach i obrysach, od pięcioramiennych gwiazd po idealne kwadraty. Z dużą dozą pewności można stwierdzić, że przeciętne mierzyły trzydzieści na trzydzieści stóp na poziomie podłogi oraz około dwudziestu stóp wysokości – jakkolwiek wiele izb było jeszcze obszerniejszych. Po gruntownym zbadaniu pięter wyższych i poziomu lodowca jęliśmy zstępować stopniowo do zanurzonej części budowli i wkrótce znaleźliśmy się w nieprzerwanym ciągu izb i przejść przypuszczalnie rozpościerającym się gdzieś w niezmierzoną dal poza budynkiem. Wszystko było tak gigantyczne i cyklopowo masywne, że czuliśmy się osobliwie przytłoczeni; kontury, wymiary, proporcje, zdobienia i niuanse konstrukcyjne bluźnierczo archaicznych rzeźbień miały zaś w sobie coś niejasno, lecz głęboko nieludzkiego. Z treści rzeźbień szybko wyciągnęliśmy wniosek, że potworne miasto liczy sobie wiele milionów lat.

Po dziś dzień nie umielibyśmy wyjaśnić, jakich użyto tam zasad sztuki inżynierskiej, by dopasować do siebie i utrzymać w anormalnej wręcz równowadze tak olbrzymie masy kamienia – widać było jedynie, że chętnie stosowano sklepienia łukowe. W odwiedzanych przez nas pomieszczeniach nie znaleźliśmy w ogóle sprzętów ruchomych, co utwierdziło nas w przekonaniu, że miasto opuszczono z rozmysłem. Główną, powszechną wręcz techniką dekoracyjną była ścienna płaskorzeźba; reliefy ciągnęły się od posadzki aż po sufit w nieprzerwanych poziomych pasmach szerokości trzech stóp, przeplatane zaś były identycznie szerokimi pasmami geometrycznych arabesek. Odstępstwa od tej reguły zdarzały się niezmiernie rzadko. Wzdłuż pasm arabesek ciągnęły się zaś gdzieniegdzie serie gładkich kartuszy przyozdobionych osobliwymi deseniami z punkcików.

Wkrótce przekonaliśmy się, że płaskorzeźby wykonane są z niepospolitą biegłością i dojrzałością techniczną; pod względem estetycznym stanowiły one przykład najwyższej, skończonej wręcz maestrii i wyrafinowania, jakkolwiek w każdym szczególe były kompletnie obce wszelkim tradycjom artystycznym, jakie wytworzyła ludzka rasa. Nie zdarzyło mi się jeszcze

widzieć rzeźby, która równałaby się z nimi dokładnością i subtelnością szczegółu. Wizerunki roślin i zwierząt, choć nie brakowało im rozmachu, wykonane były w najdrobniejszych, zdumiewających żywością detalach, konwencjonalne zaś wzory były istnymi cudeńkami kunsztownej zawiłości. Arabeski były w znacznej mierze oparte na regułach matematycznych: roiło się w nich od zawile symetrycznych łuków oraz kątów opartych na wielokrotnościach piątki. Stylistyka rzeźbień obrazkowych była mocno sformalizowana, dość osobliwie traktowano też w nich perspektywę, wszelako miały one w sobie tyle artystycznej siły wyrazu, że mimo otchłannej geologicznej zamierzchłości głęboko nas poruszyły. Zastosowana w nich metoda obrazowania była dość osobliwa – zasadzała się mianowicie na tym, że obiekty przedstawiano dwuwymiarowo, a jednocześnie w przekroju – pozwoliła wszakże osiągnąć psychologiczną głębię, jakiej nie znała żadna starożytna tradycja artystyczna. Próżno byłoby porównywać te rzeźby z jakimikolwiek dziełami sztuki zgromadzonymi w muzeach. Kto je obejrzy na naszych fotografiach, być może doszuka się w nich analogii do niektórych groteskowych koncepcji najśmielszych futurystów.

Arabeskowe ornamenty wyżłobione były w niezwietrzałych murach na głębokość od jednego do dwóch cali. Tam, gdzie znajdowały się kartusze z grupami punkcików – były to najprawdopodobniej napisy wykonane w nieznanym, pierwotnym języku i alfabecie – gładka powierzchnia wgłębiona była mniej więcej na półtora cala, a otworki mniej więcej na kolejne półtora. Rzeźbienia obrazkowe wykonane były techniką nawiercanego reliefu płaskiego; ich tło było zagłębione w stosunku do powierzchni ściany mniej więcej na dwa cale. Gdzieniegdzie można było zauważyć ślady kolorowania, jakkolwiek w toku nieprzeliczonych eonów barwniki dawno już uległy rozkładowi i zanikły. Im dokładniej studiowaliśmy cudowne wyrafinowanie techniczne tych dzieł, tym większy ogarniał nas podziw. Podlegały one ścisłym rygorom konwencji, a przecież zarazem ich twórcom nie sposób było odmówić dokładności i trafności obserwacji ani artystycznego kunsztu; wydawało się wręcz, że same konwencje symbolizują i podkreślają najgłębszą istotę oraz cechy swoiste wszelkich przedstawianych obiektów. Mieliśmy też wrażenie, że ich wspaniałość dociera do nas jedynie częściowo, że mają one jeszcze przymioty dodatkowe, niedosiężne dla naszych zmysłów. Niektóre niuanse drażniły wzrok niejasną, jak gdyby uśpioną symboliką – gdybyśmy mieli inne zaplecze umysłowe i emocjonalne tudzież pełniejszy bądź odmienny zestaw zmysłów, być może ujawniłaby się nam ona w całej swej głębi i obfitości znaczeń.

Treścią rzeźb było życie codzienne w owej zamierzchłej epoce; często występowała też tematyka historyczna. Pradawni artyści musieli w anormalnym wręcz stopniu interesować się historią, co cudownym zrządzeniem losu działało na naszą korzyść – rzeźby były dla nas nieprzebraną skarbnicą informacji, toteż niemal bez reszty poświęciliśmy się ich fotografowaniu i interpretowaniu. W niektórych pomieszczeniach formy obrazowe uzupełnione były obficie mapami, wykresami astronomicznymi i innymi rycinami o charakterze naukowym – w beznamiętny, a zarazem straszliwy sposób potwierdzającymi to, czegośmy dowiadywali się z reliefów

i fryzów obrazowych. Odsłaniając przed czytelnikiem treść, jaką zdołaliśmy z owych zdobień odczytać, mogę mieć tylko nadzieję, że wśród tych czytelników, którzy zechcą dać wiarę mej opowieści, roztropna ostrożność weźmie górę nad ciekawością. Byłoby prawdziwą tragedią, gdyby moje przestrogi, mające zmierzić światu to antarktyczne królestwo śmierci i zgrozy, odniosły skutek przeciwny.

Pasy płaskorzeźb przerywane były wysokimi oknami i masywnymi, wysokimi na dwanaście stóp odrzwiami; gdzieniegdzie zachowały się jeszcze resztki okiennic i drzwi – skamieniałe drewniane deski, wymyślnie rzeźbione i wypolerowane. Wszelkie metalowe mocowania dawno się rozpadły, ale drzwi gdzieniegdzie wciąż jeszcze trzymały się w futrynach i przechodząc z izby do izby musieliśmy je wyważać. Tu i ówdzie zachowały się jeszcze, choć w niezbyt wielkiej liczbie, okienne ramy z dziwacznymi przezroczystymi szybami, zwykle eliptycznego kształtu. Często widywaliśmy też potężne wnęki, na ogół puste, choć w jednej z nich znaleźliśmy cudaczny przedmiot wyrżnięty w zielonym steatycie – porzucony zapewne dlatego, że był zepsuty bądź nieznaczący. Niektóre otwory musiały z kolei mieć związek z przedstawionymi na wielu płaskorzeźbach instalacjami mechanicznymi służącymi do oświetlania wnętrz, ogrzewania i tym podobnych działań. Sufity były przeważnie gładkie; gdzieniegdzie tylko zachowały się resztki kasetonów wykonanych z zielonego steatytu lub innych materiałów. Podłogi również bywały wyłożone steatytem, choć przeważały jednak proste, kamienne posadzki.

Jak już mówiłem, nigdzie nie znaleźliśmy mebli ani żadnych innych ruchomości; sądząc wszakże po treści rzeźb, rozbrzmiewające grobowym echem izby wypełnione były niegdyś przedziwnymi urządzeniami. Powyżej poziomu lodowca podłogi pokrywała zwykle gruba warstwa rumoszu, gruzu i rozmaitych szczątków; im głębiej jednak schodziliśmy, tym było czyściej. W niektórych niższych komnatach i korytarzach napotykaliśmy jedynie krupiasty pył lub starodawne kamienne złogi, w innych zaś miejscach odnosiliśmy niesamowite wrażenie, że zupełnie niedawno coś skalało ich dziewiczą pustkę. Oczywiście tam, gdzie ze starości lub wskutek geologicznych tąpnięć obwaliły się ściany, znajdowaliśmy rumowiska nie mniejsze niż na piętrach wyższych. W centralnej części budynku znajdował się dziedziniec – taki sam, jak w innych budowlach, które obserwowaliśmy z powietrza – dzięki czemu światło dzienne docierało nawet do najdalszej głębi gmachu, toteż studiując rzeźbienia w wyżej położonych izbach rzadko musieliśmy pomagać sobie latarkami. W plątaninie pomieszczeń położonych pod poziomem lodu było znacznie ciemniej, gdzieniegdzie panowała czerń niemal absolutna.

Aby dać choć najogólniejsze wyobrażenie o myślach i uczuciach, jakie towarzyszyły nam, gdyśmy przemierzali to milczące od prawieków dzieło nieludzkich budowniczych, musiałbym uporządkować beznadziejne kłębowisko ulotnych nastrojów, wspomnień i wrażeń. Znaleźliśmy się wszak w miejscu tchnącym śmiertelną pustotą, w swej zatrważającej pradawności zdolnym wstrząsnąć bodaj każdą wrażliwą duszą – do tego dochodziła zaś niepojęta zgroza w obozie oraz rewelacje, jakie już niebawem miały ukazać

się naszym oczom na straszliwych reliefach. Gdy udało nam się natrafić na idealnie zachowany ciąg rzeźbień, niedopuszczający już żadnych interpretacyjnych wątpliwości, wystarczył krótki rzut oka, by pojąć najwstrętniejszą prawdę. Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że Danforth i ja nie domyśliliśmy się jej już wprzódy – starannie jednak unikaliśmy dzielenia się najbłahszymi nawet spostrzeżeniami na ten temat. Nie mogliśmy już jednak miłosiernie się łudzić, że nie domyślamy się, kim byli ci, co przed milionami lat wznieśli i zamieszkiwali to potworne, martwe miasto – w czasach, gdy przodkami człowieka były jeszcze prymitywne, archaiczne ssaki, a po tropikalnych stepach Europy i Azji snuły się olbrzymie dinozaury.

Pierwej uparcie, rozpaczliwie trzymaliśmy się wyjaśnienia – każdy w zaciszu własnych myśli – że powszechność motywu pięcioramiennej gwiazdy oznacza tylko tyle, iż pierwotne te istoty znały jakiś naturalny przedmiot z ery archaicznej o takim właśnie kształcie i dokonały jego kulturowego bądź religijnego wywyższenia. Na podobnej zasadzie w kulturze minojskiej Krety wywyższono świętego byka, w egipskiej skarabeusza, w rzymskiej wilka i orła, a w różnych dzikich plemionach najrozmaitsze zwierzęta totemiczne. To, co odkryliśmy, a czego czytelnik z pewnością od dawna się domyśla, brutalnie odarło nas jednak z tych złudzeń i wstrząsnęło nami do głębi. Jeszcze dziś drży mi ręka, gdy próbuję napisać o tym bez ogródek; może jednak nie jest to już nawet konieczne.

Otóż istoty, które w epoce dinozaurów wybudowały i zamieszkiwały te zatrważające gmachy, bynajmniej nie były dinozaurami. Były czymś o wiele gorszym. Zwykły dinozaur był tworem Natury stosunkowo nowym i niemal bezrozumnym – natomiast budowniczowie miasta byli mądrzy i starzy, ich ślady odciśnięte były w skałach, które już u zarania miasta liczyły sobie bez mała miliard lat... skałach pochodzących z czasów, gdy prawdziwie ziemskie życie nie wybiło się jeszcze nad poziom komórkowych zlepków... z czasów, gdy prawdziwie ziemskie życie jeszcze zgoła nie istniało! Oni, właśnie oni to życie stworzyli i ujarzmili, właśnie o nich opowiadają upiorne stare mity, o których z trwogą wspomina się w *Necronomiconie*, Rękopisach Pnakotycznych i innych tego typu źródłach. Byli to Wielcy Przedwieczni, którzy spłynęli z gwiazd, gdy Ziemia była jeszcze młoda – istoty, których materię ukształtowała inna, obca ewolucja, dzierżące potęgę nieznaną pierwej na naszej planecie. I pomyśleć, że zaledwie dzień wcześniej Danforth i ja trzymaliśmy w rękach ich skamieniałe od milionoleci szczątki... a nieszczęsny Lake i jego ekipa oglądali je w całej okazałości...

Oczywiście nie umiałbym opowiedzieć w należytym porządku, jak odsłaniała się przed nami wiedza o tym potwornym rozdziale dziejów przedludzkiego życia. Po pierwszym objawieniu wstrząsającej prawdy potrzebowaliśmy dłuższej chwili, by ochłonąć, i dopiero o godzinie piętnastej rozpoczęliśmy właściwe, systematyczne badania. Sądząc po pewnych wskazówkach geologicznych, biologicznych i astronomicznych, rzeźby w pierwszym budynku powstały stosunkowo późno, mniej więcej dwa miliony lat temu, pod względem artystycznym zaś utrzymane były w stylu, który – w porównaniu z okazami, jakie znajdowaliśmy w budowlach starszych,

przekraczając pomosty pod pokrywą lodową – można by nazwać schyłkowym. Jeden z gmachów, wykuty w litej skale, liczył sobie czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt milionów lat – powstał zatem w dolnym eocenie lub górnej kredzie – i wypełniony był reliefami o niespotykanej nigdzie indziej doskonałości artystycznej, jakkolwiek z jednym okropnym wyjątkiem. Gmach ów, jak później zgodnie stwierdziliśmy, był najstarszy ze wszystkich, jakie napotkaliśmy na swej drodze.

Gdyby nie zależało mi na wykazaniu prawdziwości zdjęć, które wkrótce zamierzam ogłosić, nie zdradziłbym ani słowem, co odkryliśmy i czegośmy się domyślili – w obawie, że zostanę zamknięty w przytułku dla obłąkanych. Rzecz jasna, najpierwsze, niesłychanie wczesne fragmenty tej wieloczęściowej rzeźbiarskiej opowieści – traktujące o życiu rozgwiazdogłowych istot, zanim jeszcze dotarły na Ziemię, na innych planetach, w innych galaktykach, w innych wszechświatach – można łacno zinterpretować jako fantastyczną mitologię. Tu i ówdzie jednak natrafialiśmy wśród nich na wzory i diagramy tak niesamowicie zbieżne z najświeższymi odkryciami matematyki i astrofizyki, że sam nie wiem, co o nich myśleć. Niech osądzą inni, gdy już opublikuję fotografie.

Każdy ciąg rzeźb przedstawiał oczywiście zaledwie cząstkę większej opowieści, nam zaś nigdy nie udawało się poznać poszczególnych etapów tych historii we właściwej kolejności. Pod względem zawartości obrazowej niektóre spośród wielkich sal stanowiły odrębne całostki, inne zaś wraz z korytarzami łączyły się w nieprzerwane kroniki. Najlepsze mapy i diagramy znaleźliśmy na ścianach pewnej przepaścistej groty położonej jeszcze niżej aniżeli poziom pierwotnego gruntu; ta przeraźliwa czeluść mierzyła około dwustu stóp szerokości i sześćdziesiąt stóp wysokości, i niemal na pewno pełniła funkcję swoistego centrum edukacyjnego. Niekiedy ta sama treść uporczywie powtarzała się w wielu różnych budynkach i pomieszczeniach – najwidoczniej pewne doświadczenia owej tajemniczej rasy, pewne fazy i sposoby ujęcia jej dziejów były wśród różnych mieszkańców lub dekoratorów tematami szczególnie ulubionymi. Zdarzało się, że dzięki istnieniu różnych wersji tych samych wątków mogliśmy uzupełnić braki w informacjach i rozstrzygnąć sporne kwestie.

Wciąż nie przestaje mnie zdumiewać, że mając tak niewiele czasu, zdołaliśmy tak wiele pojąć. Naturalnie poznaliśmy wszystko jedynie w najogólniejszym zarysie; wiele rzeczy stało się dla nas jasnych dopiero później, gdy przestudiowaliśmy nasze zdjęcia i rysunki. Być może właśnie pod wpływem tych późniejszych analiz Danforth doznał nerwowej zapaści – może przyczynił się do tego nawrót wspomnień i niejasnych wrażeń połączony z ogólną wrażliwością charakteru oraz ową niesłychaną okropnością, którą biedaczysko ujrzał na koniec i do dziś nie zdradził mi jej sekretu. Widocznie jednak tak być musiało – nie zdołalibyśmy wystosować rozsądnej przestrogi, nie przedstawiając wszelkich dostępnych nam informacji, zaś przestroga jest teraz najpilniejszą koniecznością. W tej nieznanej antarktycznej krainie, rządzonej przez zaburzony czas i obce prawa naturalne, wciąż działają pewne niepojęte czynniki – dlatego muszę uczynić wszystko, by zniechęcić świat do jej dalszych badań.

## VII

Pełna historia tajemniczej rasy – na ile zdołaliśmy ją odczytać – ukaże się niebawem w oficjalnym biuletynie Uniwersytetu Miskatonic; tutaj jedynie w chaotyczny, dygresyjny sposób streszczę jej najdonioślejsze momenty. Mit czy nie mit, rzeźby opowiadały o przybyciu z przestrzeni kosmicznej na wykluwającą się dopiero z pierwotnej martwoty Ziemię gwiazdogłowych stworów – a także wielu innych obcych istot, które mają w zwyczaju wypuszczać się od czasu do czasu w kosmiczne podróże. Gwiazdogłowi przemierzali międzygwiezdny eter za pomocą olbrzymich błoniastych skrzydeł – co w osobliwy sposób potwierdzało dziwne ludowe opowieści, które przytaczał mi niegdyś znajomy folklorysta z uniwersytetu. Po przybyciu na naszą planetę przez długi czas mieszkali w morskich głębinach – wznosili tam fantastyczne miasta i toczyli przeraźliwe walki z nienazwanymi wrogami, zaprzęgając do boju skomplikowane urządzenia oparte na nieznanych źródłach energii. Ich wiedza naukowa i mechaniczna ewidentnie przerastała dzisiejszą wiedzę ludzką, jakkolwiek najpełniejszy i najwszechstronniejszy użytek czynili z niej wyłącznie w razie konieczności. Z niektórych rzeźb wynikało, że na innych planetach mogli przejść etap życia zmechanizowanego, lecz wycofali się zeń, uznawszy jego efekty za niezadowalające na poziomie emocjonalnym. Dzięki nadnaturalnie wręcz wytrzymałej konstytucji cielesnej oraz prostocie naturalnych potrzeb w zadziwiający sposób przywykli do życia na podgórskim płaskowyżu; posługiwali się jedynie najprostszymi wytworami swej rękodzielniczej przemyślności, nawet ubierali się tylko sporadycznie, gdy zmusiła ich do tego surowość żywiołów.

Zaródź ziemskiego życia poczęli w morskich odmętach, zrazu dla pożywienia, potem także w innych jeszcze celach; posłużyli się swymi wypróbowanymi metodami oraz dostępnymi na miejscu substancjami. Bardziej wyrafinowane eksperymenty wszczęli wówczas, gdy udało im się unicestwić wszystkich kosmicznych wrogów. Nie inaczej postępowali na innych planetach; wytwarzali nie tylko konieczną do przeżycia żywność, ale też pewne wielokomórkowe protoplazmatyczne masy, pod wpływem hipnozy umiejące formować ze swych tkanek najróżniejsze tymczasowe organy – w ten sposób hodowali sobie idealnych niewolników i na ich barki zrzucali najcięższe roboty. To właśnie o tych lepkich masach trwożliwie wspominał w swym straszliwym *Necronomiconie* Abdul Alhazred, określając je mianem „shoggothów”, aczkolwiek nawet szalony ów Arab nie sugerował, jakoby mogły one istnieć na Ziemi – chyba że w snach wywoływanych przez żucie pewnych alkaloidalnych ziół. Gdy gwiazdogłowi Przedwieczni zsyntetyzowali już na naszej planecie proste formy pożywienia i wyhodowali sobie solidny zastęp shoggothów, dla większej różnorodności puścili w ruch inne jeszcze grupy komórek, pozwalając z nich wyróść kolejnym formom życia zwierzęcego i roślinnego. Formy, które nastręczały jakichkolwiek kłopotów, były eliminowane.

Z pomocą shoggothów, które można było zaprząc do przenoszenia potężnych ciężarów, niewielkie i niskie podmorskie miasta porozrastały się i

przeobraziły w olbrzymie, przepyszne kamienne labirynty. Podobne wznoszono później na lądzie. Przedwieczni radzili sobie doskonale w różnych środowiskach, lecz w innych częściach wszechświata żyli głównie na lądzie, przeto zachowali wiele tradycji budownictwa lądowego. Gdy oglądaliśmy wizerunki kolejnych paleogenicznych miast – wśród nich również martwej od prawieków metropolii, którą właśnie przemierzaliśmy – uwagę naszą zwróciła osobliwa okoliczność i po dziś dzień nawet nie próbowaliśmy jej wyjaśnić, choćby i na własny użytek. Otóż na płaskorzeźbach przedstawione były dokładnie zwieńczenia budynków: potężne grupy wieżyc smukłych niby igły, delikatne kwiatony na szczytach niektórych stożków i piramid, schodkowato napiętrzone, fryzowane dyski na zwieńczeniach walcowatych kolumn. W rzeczywistym mieście wszystkie te formy już przed wiekami zdążyły obrócić się w proch i ruinę, ale przecież widzieliśmy je w całej okazałości w potwornym, złowieszczym mirażu, gdyśmy po raz pierwszy zbliżali się do fatalnego obozu nieszczęsnego Lake'a! Martwe miasto, którego szczyty nie istniały już od dziesiątków tysięcy lat, po tamtej stronie niezgłębionych gór szaleństwa objawiło się naszym nieświadomym oczom w pełni swego rozkwitu.

O życiu Przedwiecznych, zarówno tym podmorskim, jak i późniejszym, gdy część z nich wywędrowała już na suchy ląd, można by napisać tomy. Ci, którzy pozostali w płytkich wodach, wciąż czynili użytek ze swych oczu umieszczonych na czubkach pięciu głównych głowowych macek, w niezmieniony sposób uprawiali też sztukę rzeźbiarską i pisarską; pisali za pomocą rylców na wodoodpornych woskowych tabliczkach. Ci, którzy pozostali w oceanicznych głębinach, jakkolwiek wykorzystywali pewne cudaczne fosforyzujące organizmy wytwarzające światło, wspomagali się dodatkowo szczególnym, niepojętym dla nas zmysłem. Narządem tego zmysłu były pryzmatyczne rzęski na głowie, mieli go zaś wszyscy Przedwieczni – dzięki niemu w razie potrzeby mogli obywać się bez światła. Wraz ze zmianą trybu życia na podmorski zmieniły się też formy sztuki rzeźbiarskiej i pisarskiej; zaczęto chyba stosować jakieś chemiczne powłoki – najprawdopodobniej dla zachowania fosforescencji – aczkolwiek rzeźby nie do końca objaśniały zasadę ich działania. W morzu Przedwieczni poruszali się dwojako: za pomocą obustronnie umieszczonych ramion, przypominających ramiona ziemskich liliowców, lub dolnej grupy macek, wśród których znajdowały się niby-stopy. Od czasu do czasu wykonywali też długie susy, wspomagając się co najmniej dwiema parami rozchylających się wachlarzowato skrzydeł. Do chodzenia po lądzie używali niby-stóp, w razie potrzeby potrafili też niezwykle wysoko i daleko latać. Liczne smukłe macki, wyrastające z liliowcowatych ramion, były niesłychanie czułe, elastyczne, mocne i wybornie skoordynowane pod względem mięśniowo-nerwowym – to dzięki nim istoty osiągnęły najwyższą biegłość w sztuce i innych precyzyjnych czynnościach.

Wytrzymałość Przedwiecznych doprawdy z trudem mieściła się w głowie. Nie szkodziło im nawet straszliwe ciśnienie panujące w przydennych morskich głębiach. Wydaje się, że mało kto z nich umierał, chyba że śmiercią gwałtowną, toteż niezmiernie rzadko zdarzały się pochówki. W

pewnym momencie odkryliśmy wizerunki pionowych grobów przykrytych pięcioramiennymi, rzeźbionymi kopcami – i znów potrzebowaliśmy dłuższej chwili, by ochłonąć, stanęły nam bowiem przed oczyma identyczne pochówki w obozie. Istoty rozmnażały się na modłę roślinną, za pomocą zarodników – najbardziej podobnie do pterydofitów, czyli tak jak podejrzewał Lake – ponieważ jednak były nadzwyczaj wytrzymałe i długowieczne, a więc nie potrzebowały wymiany pokoleń, ich przedrośla rozwinęły się w niewielkim stopniu – nadrabiały to jednak, gdy trzeba było kolonizować nowe tereny. Młode osobniki błyskawicznie osiągały dojrzałość, zdobywały też niewyobrażalne wręcz dla nas wykształcenie. Ogólny poziom życia intelektualnego i estetycznego Przedwiecznych był bardzo wysoki, wypracowali oni wiele trwałych zwyczajów i instytucji; dokładniejszy ich opis przedstawię w planowanej monografii. Owe zwyczaje i instytucje różniły się nieznacznie, w zależności od tego, czy powstawały w morzu czy na lądzie, wszelako w najogólniejszych założeniach i pryncypiach były niezmienne.

Jakkolwiek Przedwieczni potrafili, tak jak rośliny, czerpać pożywienie z substancji nieorganicznych, wyraźnie preferowali pokarm pochodzenia organicznego, zwłaszcza zwierzęcego. W morzu żywili się surowym mięsem stworzeń morskich, na lądzie spożywali posiłki gorące. Polowali na dzikie zwierzęta, hodowali stada rzeźne, oprawiali je zaś za pomocą ostrych narzędzi – dziwaczne ślady wykonanych nimi cięć ekspedycja nasza zaobserwowała jeszcze na niektórych skamieniałych kościach. W cudowny wręcz sposób znosili wszelkie możliwe temperatury; w wodzie wytrzymywali niemal do temperatury zamarzania. Gdy jednak w plejstocenie – niemal milion lat temu – zaczęło się wielkie ochłodzenie, istoty naziemne zmuszone były zabezpieczać się przed chłodem, między innymi za pomocą sztucznego ogrzewania; zabójczy ziąb i tak wszakże wpędził je w końcu z powrotem do morza. W czasach prehistorycznych, jak głosi legenda, wyprawiając się w swe podróże kosmiczne, Przedwieczni przyswajali specjalne związki chemiczne, które niemal zupełnie uniezależniały ich od konieczności jedzenia i oddychania tudzież niskich temperatur; nim jednak nadeszło wielkie ochłodzenie, zdążyli utracić tę umiejętność. I tak zresztą nie mogli przedłużać tego sztucznego stanu w nieskończoność bez uszczerbku na zdrowiu.

Jako istoty na poły roślinne, Przedwieczni nie łączyli się w pary, toteż nie mieli biologicznych podstaw, by zakładać rodziny – jak czynią to na przykład ssaki. Wydaje się jednak, że tworzyli duże gospodarstwa domowe, rozsądnie gospodarując przestrzenią oraz – jak wnosiliśmy z przedstawionych na reliefach zajęć i rozrywek współmieszkańców – wykorzystując wrodzone pokrewieństwo umysłowe. Wszystkie domowe ruchomości umieszczano pośrodku wielkich izb, miejsce zaś na ścianach rezerwowano do celów dekoracyjnych. Oświetlenie, przynajmniej u istot naziemnych, działało najprawdopodobniej na zasadzie elektrochemicznej. Zarówno na lądzie, jak i w morzu używano specyficznych stołów, krzeseł oraz kanap przypominających cylindryczne ramy – istoty odpoczywały bowiem i spały w pozycji wyprostowanej, ze zwiniętymi mackami – a także stojaków na „książki”, czyli pospinane arkusze kart pokrytych wzorami z kropek.

Rząd miał strukturę dość złożoną i był prawdopodobnie socjalistyczny, jakkolwiek z przestudiowanych przez nas rzeźb nie dało się dowiedzieć w tej materii niczego pewnego. Powszechnie uprawiano handel, zarówno lokalnie, jak i między poszczególnymi miastami; funkcję pieniędzy pełniły niewielkie, płaskie żetony, pięcioramienne i rżnięte w jakieś napisy. Spośród znalezionych przez naszą ekspedycję kawałków zielonkawego steatytu te mniejsze prawdopodobnie były właśnie pieniędzmi. Kultura miała raczej charakter miejski, na niewielką skalę uprawiano również jednak ziemię, powszechnie hodowano też zwierzęta gospodarskie. Istniały kopalnie oraz garstka manufaktur. Bardzo chętnie podróżowano, jakkolwiek stałe migracje zdarzały się stosunkowo rzadko – nie licząc, rzecz jasna, potężnych ruchów kolonizatorskich, które doprowadziły do rozprzestrzenienia się rasy po całym globie. Do przemieszczania się nie stosowano żadnych środków lokomocji – Przedwieczni umieli poruszać się z jednaką chyżością po ziemi, w wodzie i w powietrzu. Do transportu używano wszakże zwierząt pociągowych – w morzu shoggothów, na lądzie zaś, u schyłku ery naziemnej, najróżniejszych prymitywnych kręgowców.

Kręgowce te, podobne jak inne nieprzebrane w swej mnogości formy życia – zwierzęcego i roślinnego, w morzu, na lądzie i w powietrzu – były tworami samorzutnej ewolucji, którą Przedwieczni wszczęli od poziomu komórkowego, a następnie przestali nad nią panować. Rozwijały się w sposób niepohamowany, dopóki nie stanowiły zagrożenia dla istot nadrzędnych; formy, które przysparzały kłopotów, oczywiście niezwłocznie likwidowano. Na późnych, mocno już schyłkowych płaskorzeźbach z wielkim zainteresowaniem obejrzeliśmy interesujące stworzenie: prymitywnego, powłóczącego nogami ssaka, jakby o małpim, ale też nieco ludzkim pokroju; hodowano go na wsi, niekiedy jako zwierzę rzeźne, a niekiedy dla rozrywki. Do dźwigania olbrzymich kamiennych bloków, stanowiących budulec wysokich miejskich wież, wykorzystywano na ogół nieznany dzisiejszej paleontologii gatunek wielkoskrzydłego pterodaktyla.

Nieustępliwość z jaką Przedwieczni przetrwali wielkie zmiany geologiczne i konwulsje skorupy ziemskiej, zakrawała niemal na cud. Jakkolwiek spośród pierwszych miast bardzo nieliczne – o ile w ogóle jakiekolwiek – zdołały przetrwać erę archaiczną, cywilizacja trwała i przekazywała swą puściznę następnym pokoleniom w sposób niezakłócony. Miejscem, gdzie Przedwieczni zstąpili na Ziemię, był Ocean Antarktyczny; przypuszczalnie zresztą nastąpiło to niedługo po oderwaniu się z terenów sąsiedniego południowego Pacyfiku bryły materii, która potem utworzyła księżyc. Wedle jednej z map cały ziemski glob przykrywała wówczas woda, a w miarę upływu eonów sieć kamiennych miast rozprzestrzeniała się coraz dalej od antarktycznych akwenów. Na innej mapie biegun południowy był już otoczony potężnym lądem, na nim zaś istniały pierwsze próbne przyczółki – jakkolwiek główne ośrodki miejskie zostały przeniesione na dno dookolnych mórz. Mapy późniejsze, na których ląd ów pęka już i rozpada się, a poszczególne części poczynają dryfować na północ, w uderzający sposób dowodzą słuszności teorii dryfu kontynentalnego rozwiniętej w naszych czasach przez Taylora, Wegenera i Joly’ego.

Wypiętrzenie się nowego lądu na południowym Pacyfiku dało początek przeraźliwym wydarzeniom. Niektóre morskie miasta obróciły się w perzynę, ze wszystkich nieszczęść nie to było jednak najgorsze. Wkrótce bowiem z nieskończonych przestworów kosmosu poczęła przenikać na Ziemię jeszcze inna rasa – lądowe stworzenia podobne do ośmiornic, czyli pewnie to, co znaliśmy z fantastycznych legend jako przedludzki pomiot Cthulhu. Najeźdźcy rozpętali potworną wojnę i na pewien czas wpędzili Przedwiecznych z powrotem pod wodę, co – jako że na szeroką skalę osiedlali się już oni na lądach – było dla nich dotkliwym ciosem. Później zawarto rozejm: nowe lądy oddano pomiotowi Cthulhu, natomiast Przedwieczni zatrzymali dla siebie morza i ziemie dawniejsze. Na lądach pobudowano nowe miasta – a największe w Antarktyce, albowiem miejsce przybycia na Ziemię uważano za święte. Antarktyka na powrót stała się ośrodkiem cywilizacji Przedwiecznych, wszystkie zaś miasta, które zdążył wznieść tam pomiot Cthulhu, zostały zrównane z ziemią. Później pacyficzne lądy znów niespodziewanie pogrążyły się w odmętach, a wśród nich przeraźliwe kamienne miasto R'lyeh i wszystkie kosmiczne ośmiornice, toteż Przedwieczni na powrót wzięli całą planetę w niepodzielne władanie; na ich dalszym życiu położył się jednak cieniem nieokreślony lęk. W stosunkowo niedawnej fazie dziejów Przedwieczni rozprzestrzenili się już po wszystkich kontynentach i akwenach naszej planety – dlatego w mej planowanej monografii zasugeruję, by archeologowie zrobili użytek z metody Pabodiego i rozpoczęli systematyczne wiercenia w pewnych starannie wyodrębnionych rejonach globu.

W ciągu dziejów Przedwieczni stopniowo zmieniali środowisko życia z wodnego na lądowe, jakkolwiek nigdy do końca nie wyprowadzili się z morza. Do migracji na ląd zachęcały wypiętrzające się stale kontynenty, ale też narastające trudności z hodowlą i utrzymaniem w ryzach shoggothów – na których wszak opierało się życie pod wodą. Z biegiem czasu – wyznawali z żalem rzeźbiarze – Przedwieczni zatracili zupełnie umiejętność tworzenia nowego życia z form nieorganicznych, przeto pozostawało im tylko urabianie form już istniejących. Na lądzie łatwe do okiełznania okazały się wielkie gady, w morzu jednak shoggothy przez pewien czas przysparzały coraz dotkliwszych problemów: mnożyły się przez podział, efektem zaś ubocznym ich rozwoju okazał się niebezpiecznie wysoki poziom inteligencji.

Dotychczas shoggothy kontrolowane były przez Przedwiecznych metodą sugestii hipnotycznej i modelując odpowiednio swą plastyczną, choć toporną masę, wytwarzały tymczasowe kończyny i narządy; teraz jednak zdarzało się, że wykorzystywały tę umiejętność suwerennie, przybierając wżłobione im niegdyś drogą sugestii formy naśladowcze. Wydaje się, że rozwinął się w nich na poły stabilny mózg kierujący się własną, niekiedy niepokorną wolą i nie zawsze posłuszny woli Przedwiecznych. Wizerunki shoggothów napełniły nas z Danforthem przerażeniem i odrazą. Były to stworzenia zbudowane z kleistej galarety i zasadniczo pozbawione jakichkolwiek kształtów; wyglądały jak wielkie bąbliste zlepy, mierzyły zaś średnio piętnaście stóp średnicy. Zmieniały jednak nieustannie zarówno swą formę, jak rozmiary; naśladując swych panów, spontanicznie bądź pod wpływem sugestii nabierały

ciała bądź wykształcały sobie tymczasowe organy wzroku, słuchu czy mowy.

Szczególną krnąbrność shoggothy okazały pod koniec pierwszej połowy okresu permskiego, około stu pięćdziesięciu milionów lat temu. Morska linia Przedwiecznych wypowiedziała im wówczas regularną wojnę. Rzeźbione sceny z owej wojny, zwłaszcza wizerunki bezgłowych, zaślimaczonych Przedwiecznych, którzy padli ofiarą shoggothów, wciąż są istnym cudem makabry – jakkolwiek przecież od momentu ich powstania dzieli nas niewysłowiona otchłań wieków. Przedwieczni zwrócili ku zbuntowanym stworom osobliwą broń, zakłócającą ich budowę komórkową, i w końcu odnieśli miażdżące zwycięstwo. Na reliefach przedstawiających okres późniejszy widać było shoggothy kiełznane i oswajane przez uzbrojonych Przedwiecznych, tak jak czynili to kowboje z mustangami na Dzikim Zachodzie. Podczas rebelii potwierdziło się, że shoggothy zdolne są żyć poza środowiskiem wodnym, Przedwieczni nie zrobili wszakże użytku z tej ich umiejętności – niewątpliwa przydatność tych stworów na lądzie i tak byłaby niewspółmierna wobec problemów z utrzymaniem ich w ryzach.

W okresie jury Przedwieczni przeżyli kolejny atak kosmicznych najeźdźców – tym razem pół grzybów, pół skorupiaków – pochodzących z pewnej dalekiej planety, w której rozpoznaliśmy odkrytego niedawno Plutona. Były to bez wątpienia te same stwory, o których szeptano sobie lękliwe legendy na wzgórzach Północy, a mieszkańcy Himalajów znają je jako Mi-Go, czyli Wstrętnych Ludzi Śniegu. I znów Przedwieczni stanęli do walki – i po raz pierwszy od czasu zstąpienia na Ziemię próbowali wzlecieć w międzyplanetarny eter i wrócić do macierzy. Jakkolwiek podjęto wszelkie zwyczajowe przygotowania, okazało się, że ziemskiej atmosfery już opuścić niepodobna. Czymkolwiek był ów starodawny sekret międzygwiezdnych podróży, Przedwieczni utracili go bezpowrotnie. Koniec końców Mi-Go wyparli Przedwiecznych ze wszystkich północnych ziem – nie byli jednak władni zaszkodzić tym, którzy mieszkali w morzu. Tak oto prastara rasa poczęła z wolna wycofywać się na swe pierwotne, antarktyczne tereny.

Studiując obrazy bitew, zauważyliśmy rzecz ciekawą: otóż zarówno Mi-Go, jak i pomiot Cthulhu zbudowani byli ze zgoła innej substancji aniżeli Przedwieczni. Umieli przekształcać się i odtwarzać w sposób, który dla tych ostatnich był nieosiągalny – wydaje się tedy, że pochodzili z jeszcze odleglejszych czeluści kosmosu. Przedwieczni, jakkolwiek niesłychanie wręcz wytrzymali i wyposażeni w bardzo szczególne funkcje życiowe, byli zdecydowanie materialni, musieli więc wywodzić się ze znanego nam czasoprzestrzennego kontinuum; skąd natomiast przybyli tamci, można tylko z zapartym tchem domniemywać – zakładając, rzecz jasna, że przypisywane im przez rzeźbiarzy pozaziemskie konszachty i anomalie nie były czystą mitologią. Nie da się zresztą wykluczyć, że Przedwieczni wymyślili sobie ów kosmiczny kontekst, by usprawiedliwić swe okazjonalne klęski – charakter mieli bowiem dumny i umieli myśleć historycznie. Wielce znaczące jest, że w swych kronikach nawet nie zająknęli się o wielu innych żyjących niegdyś rasach istot, zaawansowanych i prężnych twórcach potężnych kultur i wyniosłych miast, o których do dziś jeszcze wspominają co mglistsze legendy.

Wiele map i wizerunków pokazywało z olśniewającą żywością, jak z upływem długich geologicznych er odmieniała się postać świata. Niektóre pewniki współczesnej nauki trzeba będzie teraz zrewidować, lecz wiele śmiałych wnioskowań zostało w wyborny sposób dowiedzionych. Jak już wspomniałem, niesamowita rzeźbiona kronika w bezapelacyjny sposób potwierdziła choćby hipotezę Taylora, Wegenera i Joly'ego, jakoby wszystkie kontynenty były odłamami pierwotnej antarktycznej masy lądu, która wskutek odśrodkowego ruchu rozpękła się i rozeszła na wsze strony po półpłynnym wewnętrznym podłożu – hipotezę, za jaką przemawiają chociażby pasujące do siebie linie brzegowe Afryki i Ameryki Południowej oraz wypiętrzanie się wielkich górskich łańcuchów.

Na mapach przedstawiających świat w okresie karbonu – sprzed stu, a może jeszcze więcej milionów lat – widać było charakterystyczne rozpadliny i uskoki, które później miały oderwać Afrykę od stanowiących jednię królestw Europy (czyli Waluzji z piekielnej pradawnej legendy), Azji, obu Ameryk oraz Antarktydy. Na innych – zwłaszcza jednej, o tyle znaczącej, że obrazującej świat przed pięćdziesięciu milionami lat, gdy powstawało otaczające nas kamienne miasto olbrzym – kontynentów było już tyle co dziś, tyle że miały jeszcze dość odmienny kształt. Wreszcie na najświeższej mapie, jaką udało nam się odkryć – datującej się zapewne z okresu pliocenu – świat wyglądał z grubsza jak obecnie, poza tym, że Alaska połączona była z Syberią, Ameryka Północna poprzez Grenlandię z Europą, Ameryka zaś Południowa poprzez Ziemię Grahama z kontynentem antarktycznym. Na mapie karbońskiej cała powierzchnia globu – zarówno dna oceanów, jak i dryfujące lądy – upstrzona była symbolami oznaczającymi potężne kamienne miasta Przedwiecznych, wszelako na diagramach późniejszych wyraźnie było widać, że stopniowo wycofują się one ku Antarktyce. Na ostatniej, plioceńskiej mapie miast na lądach nie było już w ogóle – z wyjątkiem Antarktydy i koniuszka Ameryki Południowej – linia zaś miast podmorskich nie przekraczała pięćdziesiątego równoleżnika długości południowej. Znajomość i ciekawość północnych stron świata najwyraźniej zmalała u Przedwiecznych do zera – odnotowywali już tylko zmiany zarysu linii brzegowych, poznawane prawdopodobnie dzięki długodystansowym lotom badawczym na wachlarzowatych, błoniastych skrzydłach.

Niszczenie miast przez ruchy górotwórcze, rozdzieranie odśrodkowym ruchem kontynentów, sejsmiczne wstrząsy lądów czy morskiego dna i wiele innych naturalnych zjawisk – wszystko to rzetelnie odnotowywano na reliefach. Co ciekawe, w miarę upływu stuleci Przedwieczni coraz rzadziej zmieniali miejsce zamieszkania. Ogromne megalopolis, dziś ziejące wokół nas pustką i martwotą, było bodaj ostatnią stolicą całej rasy; wzniesiono je w początkach kredy, po starciu z powierzchni Ziemi przez tytaniczne fałdowanie stolicy poprzedniej, jeszcze ogromniejszej, leżącej zresztą niedaleko stąd. Okazało się, że cały dookolny obszar jest miejscem najświętszym ze świętych – ponoć właśnie tutaj Przedwieczni osiedlili się na dnie praoceanu. W nowym mieście – w którym dzięki reliefom poczęliśmy już się nieźle orientować, lecz ciągnęło się ono wzdłuż górskiego pasma tak daleko w obie strony, że jeden zwiad lotniczy nie wystarczyłby, żeby obejrzeć

je w całości – podobno przechowywane były pewne święte głazy, budulec najpierwszego podwodnego miasta wyniesiony na powierzchnię w trakcie geologicznych fałdowań wraz z całym morskim dnem.

## VIII

Nie muszę chyba wspominać, że ze szczególną ciekawością, a zarazem osobliwą bojaźnią, pochłanialiśmy z Danforthem wszelkie możliwe informacje na temat terenów bezpośrednio nas otaczających – i znajdowaliśmy je, rzecz jasna, w wielkiej obfitości. W labiryncie budynków na poziomie gruntu szczęśliwie natrafiliśmy na wyjątkowo późny dom, którego ściany, jakkolwiek lekko uszkodzone przez niedalekie osunięcie ziemskiego podłoża, stanowiły obfite źródło informacji. Pokrywające je rzeźby, utrzymane w nieco schyłkowym już stylu, opowiadały o stosunkowo niedawnych dziejach regionu, znacznie nowszych niż na owej mapie plioceńskiej – dotychczas będącej najpóźniejszym źródłem wiedzy o historii powszechnej przedludzkiego świata. Dom ów był ostatnim już miejscem, jakie poddaliśmy szczegółowym oględzinom – to, cośmy w nim odkryli, wyznaczyło bowiem naszym dociekaniom cel nowy, niecierpiący zwłoki.

Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że znajdujemy się w najdziwniejszym, najupiorniejszym i najstraszliwszym zakątku świata. Spośród wszystkich lądów na planecie ten był najbardziej zamierzchły – jakoż i nabraliśmy przekonania, że ohydna wyżyna jest w rzeczy samej płaskowyżem Leng, krainą z koszmarnych klechd, z niechęcią wspominaną nawet przez szalonego autora *Necronomiconu*. Potężne górskie pasmo było przeraźliwie długie – wyrastało, zrazu niepozorne, z Ziemi Luitpolda na wybrzeżu Morza Weddella, i przecinało niemal cały kontynent. Najwyższa część ciągnęła się mniej więcej od 82 0 długości południowej i 60 0 szerokości wschodniej do 70 0 długości południowej i 115 0 szerokości wschodniej, potężnym łukiem obróconym wklęsłą stroną do naszego obozu i biegnącym dalej w stronę morza – a kończyła się dopiero na długim, skutym lodem wybrzeżu, które mogli obserwować z koła podbiegunowego Wilkes i Mawson.

Jednak w niepokojącej bliskości od nas znajdował się wybryk Natury jeszcze poczwarniejszy. Wspominałem już, że szczyty odkrytych przez nas gór są wyższe od Himalajów – lecz z płaskorzeźb wynikało, że bynajmniej nie są najwyższe na świecie. Posępny ów zaszczyt ponad wszelką wątpliwość przypada miejscu, o którym połowa rzeźbiarzy nie wspomniała wcale, inni zaś czynili to z wyraźną odrazą i trwogą. Wygląda na to, że pewnej części prastarego lądu – tej, która pierwsza dźwignęła się z morza, gdy Ziemia już cisnęła księżyc w niebo, a z gwiazd spłynęli Przedwieczni – zaczęto unikać jako siedliska nieokreślonego, bezimiennego zła. Pobudowane tam miasta już wprzódy obróciły się w ruinę i gdy znaleźli je Przedwieczni, widać było, że opuszczono je w pośpiechu. Później, w okresie komanczańskim, gdy całym dookolnym obszarem wstrząsnął spazm pierwszego wielkiego fałdowania, pośród przeraźliwego zgiełku i zamętu wyrosło straszliwe pasmo szczytów –

tak oto narodziły się najwyższe i najokropniejsze ziemskie góry.

Jeśli rzeźby pokazywały wszystko we właściwej skali, szkaradny ów masyw musiał wznosić się na ponad czterdzieści tysięcy stóp – nierównie wyżej niż owe wstrząsające góry szaleństwa, któreśmy właśnie przekroczyli. Ciągnął się, jak wynikało z mapy, mniej więcej od 77 0 długości południowej i 70 0 szerokości wschodniej do 70 0 długości południowej i 100 0 szerokości wschodniej – niespełna trzysta mil od wymarłego miasta; gdyby więc zachodni widnokrąg nie rozemglił się był w połyskliwym oparze, może udałoby nam się dojrzeć te przeraźliwe wierzchołki z pokładu samolotu. Z kolei północny ich kraniec musiał być widoczny z koła podbiegunowego przecinającego długim łukiem Ziemię Królowej Mary.

W czasach schyłku niektórzy Przedwieczni zanosili do tych gór dziwaczne modły; nikt jednak nigdy się do nich nawet nie zbliżył ani nie śmiał domniemywać, co jest po drugiej stronie. Nigdy dotąd nie oglądało ich jeszcze ludzkie oko – gdy zaś wyczuwałem emocje bijące z płaskorzeźb, modliłem się, by tak pozostało. Od strony wybrzeża – na Ziemi Królowej Mary i Ziemi Cesarza Wilhelma – osłania je pasmo wzgórz; dziękuję niebiosom, że nikt jeszcze nie zdołał tam wylądować i ich sforsować. Nie jestem już tak sceptyczny wobec starych bajęd i strachów – nie było mi do śmiechu, gdy pradawni rzeźbiarze twierdzili, że co pewien czas w te posępne wierchy znacząco biją pioruny, a przez całą noc polarną jeden z tych straszliwych wierzchołków lśni niewytłumaczalnym blaskiem. Być może szeptane przed wiekami legendy o Kadath na Zimnej Pustaci mają jednak rzeczywisty i potworny sens.

Bliższe nam tereny były jednak nie mniej dziwaczne – nawet jeśli nie ciążyła na nich aż tak niewysłowiona klątwa. Wkrótce po wybudowaniu miasta Przedwieczni wznieśli w górach swe główne świątynie; na wielu reliefach widać było wzbite w niebo groteskowe, fantastyczne wieże, po których dziś – jak widzieliśmy z samolotu – zostały już tylko przytulone do szczytów dziwne wały i sześcienne bloki. Z biegiem wieków pojawiły się jaskinie, które następnie przekształcono w pomniejsze przybytki. Jeszcze później w całej okolicy wody gruntowe wypłukały żyły wapienia, wskutek czego całe góry wraz z pogórzem i obiema równinami pocięła sieć jaskiń i korytarzy. Wiele rzeźb opowiadało o badaniu tych przepastnych rozpadlin, którego ukoronowaniem było odkrycie drzemiącego w trzewiach Ziemi stygijsko mrocznego morza.

Tę otchłań nieprzebitej oćmy wyżłobiła niewątpliwie wielka rzeka płynąca od strony bezimiennych i strasznych gór na zachodzie. Pierwej zakręcała ona u podnóża masywu Przedwiecznych, dalej płynęła wzdłuż niego i wreszcie na Ziemi Wilkesa, między Ziemią Budda a Ziemią Tottena, wpadała do Oceanu Indyjskiego. Swym meandrem u stóp pogórza wgryzała się pomału w miękki wapień, aż w końcu mnogimi podziemnymi ciekami dotarła do jaskiń wypłukanych przez wody gruntowe i wraz z nimi jęła drążyć coraz głębszą czeluść. Wreszcie cały nurt przesączył się do próżnego wnętrza wzgórz, na dobre opuszczając stare koryto. Znaczna część dzisiejszego miasta była wzniesiona właśnie w tym wyschniętym łożysku. Przedwieczni rozumieli istotę zjawiska i nie omieszkali pofolgować swym zamiłowaniom

artystycznym: w miejscu, w którym wielka rzeka staczała swe wody w wiekuistą ciemność, obrobili wysokie skalne cyple, nadając im postać zdobnych pylonów.

Przecinająca miasto dolina, którą widzieliśmy z samolotu, była właśnie korytem owej rzeki spinanej niegdyś mnóstwem dostojnych kamiennych mostów. Dzięki temu, że jej bieg zaznaczony był na wielu reliefach, mogliśmy zorientować się, jak najważniejsze punkty – place, ważne budynki i tym podobne – wyglądały w różnych okresach prawiecznej, martwej od eonów historii miasta, i określić naszą względem nich pozycję; z myślą o dalszych poszukiwaniach narysowaliśmy sobie przeto szkicową, lecz staranną mapę. Oczyma wyobraźni widzieliśmy, jak ta zdumiewająca metropolia wyglądała przed pięciu, dziesięciu, pięćdziesięciu milionami lat – rzeźby pokazywały szczegółowo dawny wygląd budynków, gór, placów, przedmieść, dookolnego krajobrazu i bujnej trzeciorzędowej roślinności. Miasto musiało wówczas tchnąć cudownym, mistycznym pięknem; w zamyśleniu niemal zapomniałem, że jeszcze niedawno dławiło mnie i przytłaczało swą potęgą i lodowym półmrokiem, że jego nieludzka pradawność i martwota przeszywały mi serce wstrętną, lodowatą grozą. Wszelako posępne to uczucie nie było obce również mieszkańcom miasta; oto bowiem na pewnych reliefach powtarzała się złowieszcza scena, w której Przedwieczni wzdrygają się z odrazy i trwogi na widok jakiegoś przedmiotu – zawsze niewidocznego dla widza – znalezionego w wielkiej rzece płynącej przez rozszumiałe, oplątane pnączami sagowcowe lasy wprost ze strasznych zachodnich gór.

Dopiero we wspomnianym już nowszym domu, w jednej ze schyłkowych rzeźb, doszukaliśmy się zapowiedzi ostatecznej katastrofy, która później doprowadziła do opuszczenia miasta. Rzeźb z tego okresu z pewnością musiało być więcej, nawet jeśli przyjąć, że strapieni, niepewni swego losu Przedwieczni z trudem krzesali z siebie energię i ambicję potrzebne do tworzenia artystycznych kronik; i rzeczywiście, już niedługo później znaleźliśmy niezbity dowód, że takie rzeźby faktycznie istniały – ta jednak była pierwszą i jedyną, jaką widzieliśmy na własne oczy. Zrazu chcieliśmy szukać kolejnych, wszelako, jak wspomniałem, nadzwyczajne okoliczności wyznaczyły nam inny cel. Całkiem zresztą możliwe, że opowieść o nadchodzącej zgubie i tak pozostała nieukończona – wszak gdy Przedwieczni nie mieli już złudzeń i wiedzieli, że wkrótce będą musieli opuścić swe miasto, z pewnością zarzucili wszelką zdobniczą działalność. Ostateczny cios zadało im, rzecz jasna, wielkie ochłodzenie klimatu, które zamknęło większą część globu w lodowym uścisku, a nieszczęsnych biegunów nie wypuściło zeń do dziś – na drugim końcu świata sprowadzając zatratę na legendarne krainy Lomar i Hiperboreę.

Trudno wskazać dokładnie, kiedy w Antarktyce rozpoczęło się wielkie zlodowacenie. Dziś zwykliśmy datować początek tego procesu na jakieś pięćset tysięcy lat wstecz, ale na biegunach straszliwy ów dopust mógł rozpocząć się znacznie wcześniej. Wszelkie obliczenia muszą być z konieczności oparte na zwykłych domysłach, jest jednak dość prawdopodobne, że schyłkowe płaskorzeźby liczą sobie znacznie mniej niż

milion lat, miasto zaś opuszczono na długo przed tradycyjnie przyjmowanym początkiem plejstocenu dla całej Ziemi, czyli przeszło pięćset tysięcy lat temu.

Na schyłkowych reliefach widać było już, że roślinność staje się coraz wątlejsza i następuje stopniowa migracja do miast. Domy były już wówczas ogrzewane, kto zaś zimą wyruszał w podróż, opatulał się w tkaniny chroniące przed mrozem. Potem ujrzeliśmy serię kartuszy (w sztuce okresu późnego szeregi obrazowych płaskorzeźb często już bywały nimi przerywane) obrazujących narastającą falę migracji do najbliższych cieplejszych schronień – niektórzy uciekali do podmorskich miast leżących z dala od brzegów kontynentu, inni zstępowali w głąb wydrążonych wzgórz i przez labirynt wapiennych grot przedzierali się w stronę czarnej otchłani podziemnego morza.

Wygląda na to, że w końcu właśnie ta niedaleka otchłań stała się celem masowej kolonizacji. Po części niewątpliwie dlatego, że cały ten region tradycyjnie poważano jako święty; więcej mogło jednak zaważyć to, że przeniósłszy się do wnętrza gór, można było wciąż czynić użytek z wykutych w nich świątyń, olbrzymią zaś naziemną metropolię traktować jako siedlisko letnie i przystanek na drodze do dookolnych kopalń. Ulepszono połączenia starego siedliska z nowym, między innymi wyrzynając urwiście strome tunele wiodące wprost ze starożytnej stolicy do czarnej morskiej otchłani. Ustaliliśmy, gdzie mogą znajdować się ujścia owych tuneli, i zaznaczyliśmy je pieczołowicie na naszej orientacyjnej mapie. Z naszych obliczeń wynikało niezbicie, że co najmniej dwa leżą w naszym zasięgu, na podgórskim skraju miasta – jedno niecałe ćwierć mili w stronę starego koryta rzeki, drugie mniej więcej dwa razy dalej w kierunku przeciwnym.

Podziemne morze było otoczone rozległymi połaciami suchego lądu, wszelako Przedwieczni postanowili, że nowe miasto wybudują pod wodą – niewątpliwie ze względu na mniejsze różnice podmorskich temperatur. Morze było niezwykle głębokie, toteż dzięki żarowi bijącemu z wnętrza Ziemi można było w nim zamieszkać na nieokreślenie długi czas. Przedwieczni nie mieli bodaj żadnych problemów z zaadaptowaniem się do częściowo – a w dalszej perspektywie oczywiście już całkowicie – podmorskiego trybu życia, nie pozwolili bowiem, by zanikły im skrzela. Z wielu rzeźb dowiedzieliśmy się, że już pierwej odwiedzali swych pobratymców w podoceanicznych miastach i często zażywali kąpieli w głębokich wodach wielkiej rzeki. Nie przeszkadzała im też panująca we wnętrzu Ziemi ciemność – były to wszak istoty nawykłe do długich antarktycznych nocy.

Jakkolwiek ostatnie płaskorzeźby utrzymane były w niewątpliwie schyłkowym stylu, opowieść o budowie miasta w jaskiniowym morzu przedstawiały z prawdziwie epickim rozmachem. Przedwieczni zabrali się do tego nad wyraz fachowo: kruszyli nierozpuszczalne skały i wywozili je z trzewi wydrążonych gór, pragnąc zaś skorzystać ze sprawdzonych technik budowlanych, zatrudnili wykwalifikowanych robotników z najbliższego oceanicznego miasta. Robotnicy ci dostarczyli wszystko, co było niezbędne do realizacji wielkiego przedsięwzięcia: tkankę, z jakiej miały powstać

shoggothy do dźwigania budulca, a później także do spełniania pomniejszych posług w mieście, oraz jeszcze inny rodzaj protoplazmatycznej materii, z którego wytwarzano fosforyzujące organizmy służące do oświetlania.

Wreszcie na dnie stygijskiego morza stanęła potężna metropolia. Pod względem architektonicznym mocno przypominała miasto naziemne, ponieważ zaś w trakcie budowy trzymano się ściśle zasad matematycznych, nie zdradzała wielu oznak schyłkowości. Świeżo wyhodowane shoggothy potężnie się porozrastały i osiągnęły wysoki poziom inteligencji, toteż rozkazy swych panów przyjmowały i wykonywały z fenomenalną chyżością. Z Przedwiecznymi porozumiewały się, jak się zdaje, imitując ich głos – o ile trafnie wnioskował ze swej sekcji nieszczęsny Lake, był to szczególny, melodyjny świst o szerokiej gamie dźwięków – i posługiwano się nimi raczej za pomocą wypowiadanych w głos poleceń niż jak dawniej drogą sugestii hipnotycznej. Tak czy owak panowano nad nimi wręcz wyśmienicie. Bardzo przydatne okazały się również fosforyzujące organizmy – niewątpliwie rekompensowały Przedwiecznym brak polarnych zórz, które na powierzchni swojskim blaskiem rozświetlały mrok antarktycznych nocy.

Wciąż uprawiano też sztukę i zdobnictwo, aczkolwiek, rzecz jasna, w cokolwiek schyłkowym już stylu. Przedwieczni chyba zdawali sobie sprawę, że nadchodzi zmierzch ich cywilizacji; w pewnym sensie wyprzedzili nawet późniejszy gest Konstantyna Wielkiego, przenosząc ze swej lądowej siedziby bloki kamienia ozdobione najwyborniejszymi starożytnymi reliefami – tak jak ów rzymski cesarz w podobnie schyłkowej epoce ograbił Grecję i Azję z najwspanialszych dzieł sztuki, aby swej nowej stolicy w Bizancjum przydać splendoru, jakiego nie umieli już w nią tchnąć jego poddani. Oczywiście nie było to przedsięwzięcie zbyt szeroko zakrojone, a to z tej przyczyny, że naziemnego miasta nie porzucono jeszcze do końca. Zanim to nastąpiło – a musiało nastąpić, zanim jeszcze za kręgiem podbiegunowym rozpoczął się na dobre plejstocen – Przedwieczni zdążyli już chyba zagustować w swej schyłkowej sztuce, a może po prostu przestali zauważać wyższość rzeźb dawniejszych. Tak czy inaczej milczące od prawieków ruiny, które przemierzaliśmy z Danforthem, z całą pewnością nie zostały do cna ogołocone z wytworów sztuki rzeźbiarskiej – jakkolwiek najlepszych posągów, podobnie jak innych ruchomości, faktycznie już nie było.

Schyłkowe kartusze i reliefy opowiadające historię tych przenosin były, jak mówiłem, najpóźniejszymi rzeźbieniami, jakie udało nam się znaleźć w trakcie naszych ograniczonych poszukiwań. Opowieść urywała się w okresie, gdy Przedwieczni prowadzili mieszany tryb życia – latem mieszkali w mieście naziemnym, zimą zaś w jaskiniowym morzu – i od czasu do czasu utrzymywali kontakty handlowe z podmorskimi miastami u wybrzeży Antarktydy. Pewnikiem zdawali sobie już wówczas sprawę, że miasto naziemne czeka nieuchronny koniec, na rzeźbach uwiecznili bowiem wiele świadectw działania nieprzyjaznego zimna. Roślinność zanikała, a straszliwe ilości śniegu, jakie napadały zimą, nie topniały do końca nawet w środku lata. Gadzi inwentarz wyzdychał niemal do nogi, niewiele lepiej miały się ssaki. Do pracy na powierzchni trzeba było zaprząc część bezkształtnych, zadziwiająco odpornych na zimno shoggothów – jakkolwiek Przedwieczni

zrazu wzbraniali się przed przyzwyczajaniem ich do życia na lądzie. Wielka rzeka opuściła już bez reszty swe dawne koryto, zniknęła też większość pierwotnych mieszkańców oceanu – pozostały tylko foki i wieloryby. Odleciały wszystkie ptaki, z wyjątkiem wielkich, groteskowych pingwinów.

Co się stało później – mogliśmy jedynie domniemywać. Jak długo przetrwało nowe podmorskie miasto? Czy jego kamienne truchło grążyło się tam jeszcze w wiekuistej oćmie? Czy podziemne wody skuł w końcu mróz? Jaki los spotkał miasta zewnętrzne, pobudowane na dnie oceanów? Czy ktokolwiek z Przedwiecznych zdołał ujść na północ przed pełznącą nieubłaganie czapą lodów? Dzisiejsza geologia nie notuje żadnych śladów ich istnienia. Czy przeraźliwi Mi-Go wciąż sieją postrach na otwartych lądach dalekiej północy? Czy można z całą pewnością określić, co kryją po dziś dzień nieprzebite, bezdenne ciemności najgłębszych ziemskich mórz? Stworzenia te znosiły wszak bez trudu największe ciśnienia – a przecież ludziom morza zdarza się wyławiać różne dziwne rzeczy… Czy teoria, jakoby istniał pewien drapieżny gatunek wieloryba, naprawdę wyjaśniła, skąd wzięły się okrutne i tajemnicze rany na ciałach fok, które już przed laty zauważyli Borchgrevink i inni polarnicy?

Okazów, które znalazł nieszczęsny Lake, te domysły nie dotyczą, ich wiek geologiczny dowodzi bowiem, że musiały żyć w bardzo wczesnym okresie dziejów miasta. Sądząc po miejscu, w jakim je znaleziono, musiały sobie liczyć nie mniej niż trzydzieści milionów lat; w tym czasie nie istniały jeszcze ani miasto w podziemnym morzu, ani nawet grota z owym morzem. Pamiętałyby raczej dzieje dawniejsze: bujną roślinność trzeciorzędu, młode jeszcze miasto, w którym kwitną sztuki piękne, wielką rzekę obmywającą podnóże potężnych gór i toczącą swe wody na północ, w stronę dalekiego tropikalnego oceanu.

A przecież nie mogliśmy przestać myśleć o tych Lake’owych okazach – zwłaszcza o owej doskonale zachowanej ósemce, która zniknęła z ohydnie spustoszonego obozu. Cała ta sprawa miała w sobie coś nienormalnego: wszystkie te dziwaczności, jakie uparcie staraliśmy się złożyć na karb czyjegoś szaleństwa… przeraźliwe groby… wszystkie te rzeczy zaginione, to, że zniknęło ich tak wiele i to akurat takich… Gedney… nieziemska wytrzymałość tych archaicznych potworów i osobliwe żywe dziwolągi, które były, jak wynikało z płaskorzeźb, w posiadaniu tej pradawnej rasy… Zaprawdę, wieleśmy z Danforthem przez te parę godzin zobaczyli! Gotowi byliśmy uwierzyć – a potem zamilczeć przed innymi – w niejedną jeszcze przeraźliwą i niewiarygodną tajemnicę pierwotnej Natury.

## IX

Wspomniałem już, że pod wpływem oględzin schyłkowych rzeźb zmieniliśmy nasze najbliższe plany. Chodziło oczywiście o zbadanie wydrążonych traktów wiodących w mrok podziemnego świata – pierwej nie mieliśmy pojęcia o ich istnieniu, teraz zaś zapragnęliśmy odnaleźć je i przemierzyć. Ze skali rzeźb wynikało niezbicie, że wystarczy opuścić się

mniej więcej milę w głąb któregokolwiek z najbliższych tuneli, by dotrzeć na skraj nietkniętych słońcem urwisk nad wielką otchłanią, a stamtąd odpowiednimi ścieżkami – ulepszonymi przez Przedwiecznych – zejść na skalisty brzeg ukrytego w ciemnościach oceanu. Możność ujrzenia na własne oczy tej bajecznej bezdni była pokusą, której nie mogliśmy się oprzeć już od pierwszej chwili, gdy dowiedzieliśmy się o jej istnieniu – wszelako zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli chcemy uporać się z tym zadaniem w trakcie obecnego rekonesansu, musimy wyruszyć natychmiast.

Była już godzina dwudziesta, a nasz zapas baterii do latarek bynajmniej nie był niewyczerpany. Oglądając i przerysowując rzeźby pod poziomem lodu, używaliśmy ich nieprzerwanie co najmniej od pięciu godzin; latarki nasze zasilane były wprawdzie specjalnymi suchymi ogniwami, ale nie było szans, by starczyło nam ich na dłużej niż cztery następne godziny. Mogliśmy wszelako wydłużyć nieco ten czas, świecąc jedną tylko latarką, a drugą zostawiając sobie na najciekawsze bądź najtrudniejsze miejsca. W tych cyklopowych katakumbach nie poradzilibyśmy sobie już bez światła, tedy podjąwszy decyzję o wyprawie w otchłań, musieliśmy zupełnie zarzucić odczytywanie ściennych płaskorzeźb. Oczywiście zamierzaliśmy wrócić później do miasta, badać je i fotografować jeszcze przez wiele dni, a może nawet tygodni – ciekawość dawno już wzięła w nas górę nad zgrozą – teraz jednak należało się spieszyć. Nasz zapas papieru do oznaczania drogi również nie był niewyczerpany, a woleliśmy nie niszczyć zapasowych notatników ani papieru do szkicowania; i tak poświęciliśmy jeden duży notes. W najgorszym razie mogliśmy uciec się do wykuwania znaków w skałach – a gdybyśmy mimo wszystko naprawdę stracili orientację, mogliśmy po prostu krążyć na chybił trafił po kanałach, dopóki nie trafimy na taki, który wprowadzi nas na światło dzienne. Koniec końców ruszyliśmy więc ochoczo w stronę najbliższego tunelu.

Wedle rzeźb, jakie posłużyły nam do sporządzenia mapy, upragniony wylot tunelu powinien był znajdować się nie dalej niż ćwierć mili od nas; dzielił nas odeń szereg solidnych budynków, które powinno się dać z łatwością przemierzyć pod poziomem lodu. Wejście miało znajdować się w suterenie olbrzymiej pięcioramiennej budowli pełniącej niegdyś jakieś funkcje publiczne, może nawet obrzędowe. Usiłowaliśmy przypomnieć sobie, czy widzieliśmy ją podczas naszego lotniczego zwiadu, lecz bezskutecznie, uznaliśmy przeto, że jej górna część musi być poważnie zniszczona – lub też może cały gmach został zgruchotany przez przemieszczający się lód. W tym ostatnim przypadku tunel mógł okazać się zatkany; wówczas musielibyśmy sprawdzić następny, leżący niespełna milę dalej na północ. O tym, by dało się jeszcze w trakcie tego rekonesansu zbadać tunele leżące na południowym brzegu rzeki, nie było co marzyć. Gdyby zaś okazało się, że oba najbliższe tunele są zatkane, nie starczyłoby nam już raczej baterii, by dotrzeć do kolejnego po stronie północnej – jeszcze o milę dalej niż drugi.

Tak oto brnęliśmy przez labirynt, kierując się mapą i wskazaniami kompasu: przemierzaliśmy zachowane w najróżniejszym stopniu izby i korytarze, wdrapywaliśmy się na powierzchnię i szliśmy po górnych piętrach, po galeriach, by za chwilę znów gramolić się na dół, mijając

zasypane bramy i zwały gruzu, niekiedy przyspieszając kroku, gdy trafialiśmy na lepiej zachowane, niesamowicie wręcz czyste przejścia, myląc drogę i odnajdując ją z powrotem (w takich wypadkach zbieraliśmy z błędnej ścieżki nasze papierowe znaczniki)… do tego co pewien czas otwierały się nad nami zrujnowane dachy i szliśmy skąpani w większych lub mniejszych kaskadach dziennego światła – a przez całą drogę wabiły nas nieskończone pasy ściennych płaskorzeźb. Wiele z nich musiało opowiadać historie o pierwszorzędnym historycznym znaczeniu, toteż tylko perspektywa kolejnych wizyt powstrzymywała nas przed dokładniejszymi oględzinami. Z rzadka jedynie zwalnialiśmy nieco kroku i włączaliśmy drugą latarkę. Gdybyśmy mieli jeszcze kliszę do aparatu, oczywiście pozwalalibyśmy sobie na krótkie postoje i fotografowanie niektórych reliefów – o czasochłonnym przerysowywaniu nie było wszakże mowy.

Tak oto po raz kolejny dochodzę do miejsca, w którym pióro wypada mi z ręki – w którym miast wszystko wyznać, mam ochotę poprzestać na mglistych aluzjach. Muszę jednak dociągnąć mą opowieść do końca, by uzasadnić, czemu domagam się zarzucenia dalszych badań Antarktydy. Oto dobrnęliśmy wreszcie do budynku, w którym wedle naszych obliczeń znajdowała się gardziel tunelu – przez pomost na wysokości drugiego piętra przedostaliśmy się do jednego z pięciu ramion rzeczonego gmachu, a następnie zeszliśmy na dół zrujnowanym korytarzem, obfitującym w rozbuchane w swej schyłkowości późne reliefy o wyraźnie rytualnym charakterze – gdy nagle, około dwudziestej trzydzieści, młody Danforth po raz pierwszy wychwycił swym czujnym węchem coś niecodziennego. Gdybyśmy mieli z sobą psa, pewnie ostrzegłby nas wcześniej. Zrazu niepodobna było określić, co jest nie tak z krystalicznie czystym dotychczas powietrzem, ale po paru sekundach pamięć nasza wyjaśniła nam to aż nazbyt jednoznacznie. Pozwólcie, że powiem to wreszcie bez ogródek: poczuliśmy pewną woń – i to woń mgliście, delikatnie, acz nieomylnie podobną do tej, która przyprawiła nas o mdłości, gdyśmy w obozie odgrzebali obłąkańczo pochowane resztki z sekcji nieszczęsnego Lake’a.

Oczywiście nie wpadliśmy na to tak szybko, jak można by sądzić z mej relacji. Wpierw przedyskutowaliśmy wszystko niepewnym szeptem i doszliśmy do kilku możliwych wyjaśnień. Co najważniejsze, nie zamierzaliśmy się wycofać bez dokładniejszego zbadania sprawy; skoro dotarliśmy już tak daleko, tylko prawdziwe nieszczęście mogło zawrócić nas z drogi. Tak czy owak żywione przez nas podówczas podejrzenia były tak szalone, że aż niewiarygodne. Takie rzeczy nie dzieją się w normalnym świecie! Chyba tylko za podszeptem czystego, irracjonalnego instynktu przyciemniliśmy latarkę – nie kusiły nas już więc schyłkowe, posępne reliefy łypiące złowrogo z przytłaczających ścian – i zwolniliśmy kroku; ostrożnie, na palcach, brnęliśmy dalej pośród coraz obfitszych zwałów gruzu.

Danforth górował nade mną nie tylko węchem, ale i wzrokiem, gdyśmy bowiem przebili się już przez ciąg zawalonych rumoszem łukowatych odrzwi i dotarliśmy do izb i korytarzy na parterze, to znów on pierwszy zauważył, że pokonywane przez nas rumowiska mają pewną dziwaczną właściwość. Stwierdził, że nie tak powinny wyglądać rumowiska nietknięte od

nieprzeliczonych tysiącleci – i gdy skierowaliśmy na nie silniejszy snop światła, ujrzeliśmy, że istotnie, ciągnie się przez nie równiejszy, jakby wymieciony niedawno pas. Gruz był oczywiście mocno nieregularny, toteż trudno było doszukać się w nim jednoznacznych śladów, aczkolwiek wygląd tych równiejszych miejsc sugerował, że ciągnięto tamtędy jakieś ciężkie przedmioty. W jednym miejscu zdało nam się, że dostrzegamy parę śladów równoległych, jakby pozostawionych przez płozy. Na ten widok zatrzymaliśmy się ponownie.

Zatrzymawszy się zaś, poczuliśmy przed sobą – tym razem jednocześnie – woń jeszcze inną. Co paradoksalne, była ona i bardziej, i mniej przerażająca niż zapach poprzedni – sama w sobie nie przeraziłaby nikogo, lecz w tym miejscu, w tych okolicznościach, napełniła nas najprzeraźliwszą zgrozą... no chyba że Gedney...

Był to bowiem najzwyklejszy w świecie zapach paliwa – najpospolitszej, zwyczajnej benzyny.

Wyjaśnienie motywacji, która pchnęła nas w tamtej chwili do dalszego marszu, pozostawiam psychologom. Pojęliśmy, że zgroza, jaką odkryliśmy w obozie, musiała wpełznąć jakimiś strasznymi odnogami do tego spowitego mrokiem grobowca umarłych eonów i niepodobna już dłużej wątpić, że ledwie o krok przed nami czai się – lub czaiło przed chwilą – coś niewysłowionego. W końcu jednak daliśmy się ponieść... czemu? Może czystej ciekawości – może lękowi – może autohipnozie – a może nieokreślonym podejrzeniom, że chodzi jednak o Gedneya? Może czemuś jeszcze innemu? Danforth znów przypomniał mi szeptem, że w ruinach na powierzchni widział na rogu zaułka jakby odcisk stopy, a niedługo potem zdało mu się, że gdzieś z czeluści kamiennego labiryntu dobiega go leciutki melodyjny świst – co w świetle raportów z sekcji Lake'a mogło być faktem o niesłychanym znaczeniu, jakkolwiek przecież podobny świst dobywał się z gardzieli jaskiń na smaganych wichrem szczytach. Ja z kolei półgłosem przypomniałem, w jakim stanie znaleźliśmy obóz, które przedmioty z niego zniknęły oraz że jedyny człowiek ocalały z pogromu mógł – wiedziony obłędem – powziąć zamiar na pozór niewyobrażalny: pokonania szaleńczym marszem potwornych gór i zstąpienia w nieznane, w głąb pierwotnego kamiennego labiryntu...

Nie mogliśmy wszakże przekonać się nawzajem – ani nawet samych siebie – do żadnego konkretnego wyjaśnienia. Staliśmy bez ruchu, ze zgaszonymi latarkami, i wnet spostrzegliśmy, że spowijający nas mrok nie jest absolutny: rozjaśniał go mianowicie leciuteńki, zanikły niemal do cna poblask dziennego światła. Machinalnie ruszyliśmy przed siebie, od czasu do czasu przyświecając sobie latarkami. Nie mogliśmy otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobił na nas widok śladów w rumowiskach, zapach benzyny zaś począł się nasilać. Coraz większe widzieliśmy zwały ruin, brnęliśmy przez nie z coraz większym mozołem – aż wreszcie ujrzeliśmy, że droga przed nami jest zasypana. A więc nie pomyliliśmy się, pesymistycznie oceniając dostrzeżony z powietrza lodowy uskok. Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę; nie mieliśmy szansy dotrzeć do piwnic, w których ów szlak ku otchłani miał mieć swój początek.

Świecąc latarką po groteskowo rzeźbionych ścianach zawalonego korytarza, ujrzeliśmy kilka bocznych wyjść, w różnym stopniu zasypanych. Z jednego dochodziła szczególnie wyraźna woń benzyny, przemożniejsza nawet niż ów ślad zapachu, który poczuliśmy pierwej. Bliższe oględziny uzmysłowiły nam niezbicie, że z tych właśnie odrzwi delikatnie, i to całkiem niedawno, uprzątnięto nieco gruzu. Czymkolwiek była czająca się przed nami zgroza, nie mogliśmy już wątpić, że idziemy dokładnie jej śladem. Nikt się chyba nie zdziwi, gdy powiem, że nim postąpiliśmy choćby o krok naprzód, odczekaliśmy dłuższą chwilę.

Kiedy odważyliśmy się już przeleźć przez te czarne, łukowato sklepione wrota, napięcie zrazu z nas opadło. Wśród rumoszu zalegającego rzeźbioną kryptę – idealny sześcian, szeroki może na dwadzieścia stóp – nie rzucił nam się w oczy żaden większy przedmiot, który sprawiałby wrażenie niedawno porzuconego. Instynktownie rozejrzeliśmy się tedy w poszukiwaniu dalszych przejść. Chwilę później bystry wzrok Danfortha wypatrzył jednak miejsce, w którym gruz był wyraźnie naruszony; nie zwlekając skierowaliśmy tam światło obu latarek. Widok, który ukazał się naszym oczom, był wprawdzie zwyczajny i błahy, wszelako wzdragam się przed jego opisaniem ze względu na wynikające zeń sugestie. Otóż gruz był w tym miejscu z grubsza wyrównany, na tym wyrównanym miejscu poniewierało się zaś kilka niewielkich przedmiotów. Ponadto nieco z boku ktoś musiał rozlać sporą ilość benzyny, bo nawet w tym rozrzedzonym wysokogórskim powietrzu wyczuwało się wyraźnie jej ostry zapach. Innymi słowy, nie było to nic innego jak obóz – przystanek nieznanych nam istot, które tak jak my musiały zawrócić, gdy droga w otchłań niespodziewanie okazała się zasypana.

Powiem wprost: porozrzucane przedmioty pochodziły ze splądrowanego obozu Lake'a. Były to puszki konserw, tak samo cudacznie pootwierane jak te, które widzieliśmy w obozie, rozsypane zapałki, trzy ilustrowane książki pokryte mniej lub bardziej osobliwymi plamami, pusty kałamarz z obrazkową instrukcją obsługi, złamane wieczne pióro, trochę dziwnie pociętych kawałków futra i płótna namiotowego, zużyta bateria elektryczna z opakowaniem, prospekt, który dołączony był do naszych grzejników namiotowych, oraz garść pomiętych kartek papieru. Wszystko to robiło już dostatecznie okropne wrażenie, lecz gdy rozprostowaliśmy i obejrzeliśmy te zmięte kartki, uczuliśmy, że jest to rzecz najgorsza ze wszystkich. Pogryzmolone w niepojęty sposób papiery znaleźliśmy wprawdzie już wcześniej w obozie, toteż mogliśmy być przygotowani na to, co zobaczymy, wszelako tu, w przedludzkich lochach koszmarnego miasta, widok ów był dla nas wręcz nie do zniesienia.

Mógł szalony Gedney wyrysować kropkowane wzory identyczne z tymi, które widział pierwej na zielonkawych steatytach – wszak czyjaś ręka odtworzyła je już na obłąkańczych pięcioramiennych grobowcach. Mógł też sporządzić sobie pospieszne, zgrzebne rysunki, z różną dokładnością przedstawiające dookolną część miasta oraz marszrutę wiodącą z pewnego obiektu w centrum, do któregośmy nie dotarli jeszcze w trakcie naszej wędrówki – obiektu z powietrza wyglądającego jak olbrzymia kolista głębina, z rzeźb zaś wynikało, że jest wielką cylindryczną wieżą – aż do

pięcioramiennego gmachu, gdzie właśnie się znajdowaliśmy, i ukrytej w nim gardzieli tunelu. Mógł, powtarzam, sporządzić sobie takie szkice; widać było bowiem, że rysunki na pomiętych kartkach, podobnie jak nasze, wykonano, opierając się na odkrytych gdzieś w lodowym labiryncie późnych płaskorzeźbach – jakkolwiek innych niż te, które widzieliśmy i wykorzystaliśmy my sami. Jednej wszakże rzeczy to kompletne plastyczne beztalencie zrobić nie byłoby w stanie: wyrysować tych szkiców dziwną, a dojrzałą techniką, mimo pośpiechu i niedbałości wykonania doskonalszą bodaj niż wszelkie techniki, którymi wykonane były schyłkowe rzeźby stanowiące ich pierwowzór – jedyną w swoim rodzaju techniką, jaką posługiwali się Przedwieczni w czasach świetności swego miasta.

Niektórzy pewnie uznają, że Danforth i ja musieliśmy zgoła postradać rozum, skoro dokonawszy tego odkrycia, nie czmychnęliśmy stamtąd gdzie pieprz rośnie; jakkolwiek bowiem szaleńcze były nasze wnioski, jawiły nam się już z nieodpartą jasnością – jakie zaś były to wnioski, nie muszę chyba wyjaśniać nikomu, kto doczytał mą relację aż do tego miejsca. Może i byliśmy szaleni – czyż nie powiedziałem, że te straszliwe szczyty były górami szaleństwa? Myślę jednak, że podobnego ducha – choć w mniej skrajnej postaci – można zauważyć u ludzi, którzy w afrykańskich dżunglach tropią dzikie drapieżniki, by je fotografować lub badać ich zwyczaje. Jakkolwiek zdjęci byliśmy paraliżującą grozą, gorzał w nas nieugaszony płomień żarliwej ciekawości – i on to ostatecznie zatriumfował.

Oczywiście nie zamierzaliśmy stanąć oko w oko z tymi, którzy pewnikiem przeszli tamtędy przed nami, byliśmy jednak przekonani, że nie ma ich już w pobliżu. Z pewnością zdążyli już odkryć sąsiednie wejście do otchłani i skorzystawszy z niego, zanurzyli się w niewysłowioną bezdeń, której jeszcze nigdy nie widzieli, pełną najmroczniejszych okruchów przeszłości. A jeśli i to wejście było zasypane, być może ruszyli na północ w poszukiwaniu następnego. Umieli wszak, jak pamiętamy, radzić sobie bez światła.

Kiedy wracam pamięcią do tej chwili, nie mogę już sobie dokładnie przypomnieć, jakie właściwie ogarnęły nas podówczas emocje – jaki właściwie objawił nam się cel, że dążyliśmy doń z taką gorliwością. Na pewno nie planowaliśmy konfrontacji z tym, co budziło w nas trwogę – acz nie przeczę, że tliło się w nas podświadome pragnienie, by przyczaić się w ukryciu i podejrzeć to i owo. Być może nie wygasła w nas chęć ujrzenia samej otchłani, aczkolwiek wziął już nad nią górę cel inny, czyli wielki kolisty obiekt, który widzieliśmy na zmiętych rysunkach. Od razu rozpoznaliśmy w nim potworną cylindryczną wieżę widoczną na najstarszych płaskorzeźbach – choć z lotu ptaka wyglądała ona już tylko jak ogromna okrągła rozpadlina. Konstrukcja ta robiła doprawdy imponujące wrażenie, nawet na tych pospiesznych, niestarannych szkicach – spodziewaliśmy się tedy, że na jej ocalałych, podlodowych kondygnacjach wciąż muszą kryć się rzeczy wyjątkowej wagi. Może oczekiwaliśmy, że ujrzymy architektoniczne cuda przerastające wszystko, cośmy widzieli do tej pory. A mogło tak być, ponieważ jej wiek był wręcz nieprawdopodobny – zgodnie z treścią płaskorzeźb była to jedna z pierwszych budowli w mieście. Jeśli zachowały się w jej wnętrzu jakieś rzeźby, z pewnością miały pierwszorzędne znaczenie.

Co więcej, w wieży mogło znajdować się dogodne wyjście na powierzchnię lodowca, krótsze niż to, które sobie z Danforthem tak pieczołowicie oznaczyliśmy – i być może właśnie z niego skorzystali tamci.

Tak czy owak przestudiowaliśmy dokładnie te straszliwe rysunki – idealnie zresztą pokrywające się z naszą mapą – i zawróciliśmy, biorąc kurs na ów kolisty obiekt; nasi nienazwani poprzednicy musieli oczywiście przemierzyć tę trasę już dwukrotnie. Mogło tam się znajdować jeszcze jedno zejście w otchłań. Nie muszę chyba dokładnie opowiadać o tej wędrówce – idąc, wciąż znaczyliśmy sobie drogę oszczędnie dawkowanym papierem – jota w jotę przypominała bowiem tę, która zaprowadziła nas w ślepy zaułek; z tą najwyżej różnicą, że trzymaliśmy się bliżej poziomu gruntu, a nawet schodziliśmy do piwnic. Co pewien czas wśród chrzęszczących pod stopami szczątków i gruzu spostrzegaliśmy niepokojące znaki; gdy zaś pozostawiliśmy już za sobą zapach benzyny, raz po raz wyczuwaliśmy w powietrzu ów pierwszy fetor, trwalszy i wstrętniejszy. Gdy odbiliśmy już w bok z przemierzonego pierwej szlaku, niekiedy ukradkiem omiataliśmy ściany światłem przygaszonej latarki. Niemal za każdym razem odsłaniały się przed nami wszechobecne płaskorzeźby – najwyraźniej był to wśród Przedwiecznych główny środek artystycznego wyrazu.

Około dwudziestej pierwszej trzydzieści, gdy szliśmy korytarzem o coraz niższym sklepieniu, sądząc po oblodzonej posadzce, leżącym nieco poniżej poziomu gruntu, ujrzeliśmy przed sobą mocny blask dziennego światła, mogliśmy już więc zgasić latarkę. Wyglądało na to, że zbliżamy się wreszcie do ogromnego kolistego obiektu i jesteśmy już całkiem niedaleko od powierzchni. Korytarz kończył się łukowatym wyjściem, zaskakująco niskim jak na te megalityczne ruiny, lecz zanim jeszcze zdążyliśmy je przekroczyć, widzieliśmy, co jest po drugiej stronie. Rozciągała się tam mianowicie kolista przestrzeń, olbrzymia – mierząca nie mniej niż dwieście stóp średnicy – i zasłana gruzem, wychodziły z niej zaś liczne zasypane odrzwia, podobne do tych, które mieliśmy przed sobą. Wokół całej ściany biegły spiralną linią pyszne płaskorzeźby o wzniosłych proporcjach; proces wietrzenia, szczególnie silny pod otwartym niebem, zdążył odcisnąć na nich niszczące piętno, ale i tak swym kunsztem artystycznym przewyższały one wszystko, co napotkaliśmy do tej pory. Podłogę pokrywał nie tylko gruz, ale i gruba warstwa lodu, toteż imaginowaliśmy sobie, że najniższy poziom w istocie leży znacznie głębiej.

Głównym jednak obiektem we wnętrzu wieży była tytaniczna kamienna pochylnia, która omijając ostrym dośrodkowym skrętem łukowate wyjścia, wiła się spiralnie w górę wzdłuż kolosalnej cylindrycznej ściany niczym wewnętrzny odpowiednik wchodów okalających zewnętrzne mury potwornych wież i zikkuratów starożytnego Babilonu. Tylko ze względu na chyżość lotu – tudzież perspektywę, która sprawiła, że pochylnię zasłoniła z góry zwężająca się ściana gmachu – przeoczyliśmy ją w trakcie powietrznego zwiadu. Gdybyśmy ją dostrzegli, nie szukalibyśmy innego zejścia pod poziom lodowca. Może Pabodie zdołałby wyjaśnić, jakiej techniki inżynierskiej użyto, by utrzymać tę konstrukcję w powietrzu – Danforth i ja mogliśmy jedynie zastygnąć w zdumionym zachwyceniu. Dostrzegliśmy wprawdzie potężne

kamienne filary i krokształty, wydały nam się one wszakże zbyt nikłe w stosunku do pełnionej funkcji. Pochylnia zachowała się w wybornym stanie aż do poziomu obecnego szczytu wieży – co, zważywszy na brak dachu, było okolicznością doprawdy wyjątkową – a przy okazji uchroniła przed zniszczeniem kosmiczne, wstrząsające w swej dziwaczności reliefy na ścianach.

Wszedłszy do wnętrza tego monstrualnego cylindra – liczącego sobie pięćdziesiąt milionów lat, bez wątpienia najstarożytniejszego gmachu, jaki dane było ujrzeć naszym oczom – w strasznym półświetle dnia spostrzegliśmy, że okolone pochylnią mury wystrzelają na zawrotną wysokość sześćdziesięciu stóp. Na podstawie naszych lotniczych obserwacji uświadomiliśmy sobie zatem, że znajdujemy się mniej więcej czterdzieści stóp pod poziomem zlodowacenia – z góry wieża jawiła nam się bowiem jako wysokie na jakieś dwadzieścia stóp rumowisko gruzu, w trzech czwartych obwodu osłonięte koliście przed naszym wzrokiem masywnymi ścianami wyższych ruin. Zgodnie z ilustracjami na płaskorzeźbach pierwotnie wieża znajdowała się pośrodku przepotężnego kolistego placu i wznosiła się może nawet na pięćset–sześćset stóp w górę, pod szczytem rozszerzała się w stos poziomych tarcz, zaś górną jej krawędź okalały strzeliste iglice. Większa część budowli runęła najwidoczniej na zewnątrz, a nie do środka – co było okolicznością szczęśliwą, bo w przeciwnym wypadku pochylnia mogłaby zostać zgruchotana, a całe wnętrze zawalone gruzem. Kamienna spirala i tak zresztą była mocno poobijana, wnętrze zaś zasypane na tyle, że łukowate wyjścia ktoś niedawno najwyraźniej zmuszony był sobie odgruzować.

W jednej chwili pojęliśmy, że tamci tą właśnie drogą zeszli na dół, dla nas zaś będzie to najlogiczniejsza droga powrotu na górę – mimo że zdążyliśmy już zaznaczyć za sobą papierem szlak inny. Wylot wieży nie znajdował się dalej od pozostawionego na pogórzu samolotu niźli ów tarasowaty gmach, przez który zstąpiliśmy do wnętrza labiryntu, a jeśli mieliśmy jeszcze prowadzić badania pod powierzchnią lodu, to mniej więcej w tej właśnie okolicy. To doprawdy zadziwiające, że wciąż jeszcze braliśmy pod uwagę możliwość późniejszych lotów – po tym wszystkim, co już widzieliśmy i czegośmy się domyślali. Wreszcie ruszyliśmy ostrożnie przez zwałowiska gruzu zaściełające wielkie dno wieży – kiedy nagle ukazało nam się coś, co na pewien czas bez reszty zajęło naszą uwagę.

Oto w niewysokim, niewidocznym dla nas pierwej miejscu na pochylni stały w zgrabnym szyku trzy pary sań – tych samych, które zniknęły z obozu Lake'a. Mocno były sponiewierane – widać było, że ktoś ciągnął je na siłę przez długie, bezśnieżne korytarze i gruzowiska, a też i pewnie taszczył bezceremonialnie w miejscach, przez które ciągnąć ich się nie dało. Cały ładunek ułożono na nich i przymocowano z wielką pieczołowitością i przemyślnością, składał się on zaś z rzeczy doskonale nam znanych: benzynowego piecyka, kanistrów z benzyną, skrzynek z narzędziami, puszek konserw oraz książek i innych jeszcze, trudniej rozpoznawalnych przedmiotów popakowanych w brezent. Wszystko pochodziło z obozu Lake'a. Po tym, co znaleźliśmy w gmachu nad tunelem, w pewnej mierze byliśmy już przygotowani na takie odkrycie; gdy jednak podeszliśmy bliżej i

odwinęliśmy jedną z brezentowych pak, ponieważ kształt jej wydał się nam osobliwie niepokojący, przeżyliśmy najprawdziwszy wstrząs. Wyglądało na to, że nie tylko Lake, ale tamci również interesowali się zbieraniem reprezentatywnych okazów. Dwa takie okazy mieliśmy bowiem przed sobą: oba zamrożone na kość, doskonale zachowane, z opatrzonymi plastrem ranami na szyjach, starannie zabezpieczone przed dalszymi uszkodzeniami. Były to zwłoki młodego Gedneya i brakującego psa.

## X

Wielu czytelników z pewnością uzna to za objaw bezduszności, a może i szaleństwa, że dokonawszy tak ponurego odkrycia, nie zarzuciliśmy poszukiwań tunelu wiodącego w otchłań – i z niechęcią wyznaję, że nie wznowiliśmy tych poszukiwań od razu tylko ze względu na pewną szczególną okoliczność, która w owej chwili sprowokowała nas do zgoła nowych domysłów. Przykryliśmy nieszczęsnego Gedneya brezentem i staliśmy nad nim, pogrążeni w niemym oszołomieniu, gdy nagle dotarł do nas pewien dźwięk – pierwszy, jaki usłyszeliśmy od zejścia pod lód, kiedy to z nieziemskich wysokości żegnało nas słabe zawodzenie górskiego wiatru. Jakkolwiek był to dźwięk znajomy i pospolity, w tej zapadłej krainie śmierci zaskoczył nas i zatrwożył bardziej jeszcze, niż gdyby był groteskowy lub niesamowity – a to dlatego że obrócił wniwecz wszelkie nasze wyobrażenia na temat harmonii kosmosu.

Gdybyśmy usłyszeli ów cudaczny melodyjny świst o szerokiej gamie, który pod wpływem wyników sekcji Lake'a skłonni byliśmy uważać za głos tych tajemniczych istot – i którego od wizyty w porażonym obozie nasza sterana wyobraźnia doszukiwała się w każdym skowycie wichru – uznalibyśmy przecież, że w jakiś piekielny sposób pasuje on do martwej od prawieków okolicy; wszak cmentarzysko sczezłych eonów jest najwłaściwszym miejscem dla głosu ze sczezłych eonów. Dźwięk, który dobiegł naszych uszu, strzaskał natomiast nasze najgłębiej żywione przekonania – zaprzeczył przyjmowanemu przez nas zgodnie założeniu, że antarktyczny interior jest martwą pustacią wyzbytą wszelkich szczątków normalnego życia, jałową niczym tarcza księżyca. Nie usłyszeliśmy bynajmniej rozdźwięczanego w bajecznych tonach bluźnierstwa starożytnej Ziemi, które uchowało się, nieludzko wytrzymałe, w swym lodowym grobie i rzuciło poczwarny odzew niewidzianemu od wieków polarnemu słońcu. Przeciwnie, dźwięk ów był szydliwie zwyczajny – tak się z nim oswoiliśmy, żeglując u brzegów Ziemi Wiktorii i obozując w Cieśninie McMurdo, że słysząc go tutaj, gdzie nie było dlań miejsca, uczuliśmy dreszcz grozy. Powiem krótko: było to po prostu wrzaskliwe skrzeczenie pingwina.

Stłumiony ów dźwięk płynął ku nam z podlodowcowych załomów niemal dokładnie na wprost korytarza, którym przyszliśmy – stamtąd, gdzie najpewniej schodził tunel do podziemnej otchłani. Obecność morskiego ptaka w takim miejscu – w świecie od wieków już ściętym lodową martwotą – prowadziła tylko do jednego wniosku, toteż wpierw zapragnęliśmy niezbicie

zweryfikować źródło głosu. Jakoż i zaraz jął się on powtarzać; niekiedy zaś zdawał się dobywać z więcej niż jednej gardzieli. Ruszyliśmy w jego stronę. Przekroczyliśmy łukowate odrzwia porządnie uprzątnięte z gruzu, gdy zaś światło dzienne przestało rozjaśniać nam drogę, na powrót zaczęliśmy znaczyć ją sobie papierem; korzystaliśmy przy tym z książek, z osobliwą odrazą zabranych z osłoniętych brezentem pakunków na saniach.

Kiedy lodowe podłoże znów zniknęło pod warstwą rumoszu, dostrzegliśmy wyraźne powłóczyste tropy; Danforth znalazł też w pewnej chwili ślad osobny, który aż nazbyt zbytecznie byłoby opisywać. Kurs wyznaczany przez krzyki pingwinów był jota w jotę tożsamy z tym, który wedle naszej mapki i wskazań kompasu wiódł do północnego wejścia do tunelu; szliśmy więc dziarsko przez przygruntowe i podziemne korytarze, z zadowoleniem wnioskując, że droga najpewniej nie jest zasypana. Z mapy wynikało, że wejście do tunelu powinno się znajdować w piwnicy pewnej wielkiej piramidy, która – jak mgliście zapamiętaliśmy z lotniczego zwiadu – była nad wyraz dobrze zachowana. Przez całą drogę latarka nasza wyłuskiwała z mroku niekończące się ciągi płaskorzeźb, nie zatrzymywaliśmy się jednak, by je obejrzeć.

Raptem zamajaczył przed nami zwalisty biały kształt, włączyliśmy tedy drugą latarkę. Zaprawdę to osobliwe, że podjąwszy tę nową wyprawę, tak rychło przestaliśmy się lękać i zapomnieliśmy o tym, co może się czaić przed nami. Skoro tamte stwory pozostawiły swą zdobycz w wielkiej wieży, na pewno przecież planowały, że wrócą po nią, gdy tylko wytyczą sobie drogę do otchłani – my jednak zdążyliśmy już zarzucić wszelkie środki ostrożności, jak gdyby ich tam nigdy nie było. Białe, człapiące kaczkowato stworzenie mierzyło pełne sześć stóp wzrostu, od razu jednak zdaliśmy sobie sprawę, że nie jest to jeden z tamtych. Tamci byli więksi i ciemnej barwy, a do tego, jak można było wywnioskować z rzeźb, po powierzchni ziemi poruszali się pewnie i chyżo – mimo że służył im do tego dziwaczny, typowy raczej dla stworzeń morskich zestaw macek. Próżno byłoby wszakże twierdzić, że widok tej białej istoty nas nie przestraszył – przeciwnie, przez chwilę przeszyła nas przeraźliwa, prymitywna trwoga, potężniejsza niż najgorszy nawet, dobrze wszak umotywowany, lęk przed tamtymi. Chwilę później napięcie w nas opadło, biała postać zniknęła bowiem w jednym z bocznych wyjść po lewej stronie korytarza, dołączając do dwu innych, które przyzywały ją skrzekliwym powrzaskiwaniem. Był to bowiem tylko pingwin – aczkolwiek należący do jakiegoś olbrzymiego, nieznanego nam gatunku, większy niż najpotężniejsze ze znanych pingwinów królewskich, i tym potworniejszy, że był albinosem, w dodatku niemal pozbawionym oczu.

Gdy skręciliśmy jego śladem w łukowate odrzwia i skierowaliśmy światło obu latarek na obojętną, nieświadomą niczego grupkę, ujrzeliśmy, że wszystkie trzy stworzenia są olbrzymimi, bezokimi albinosami należącymi do tego samego, nieznanego gatunku. Ze względu na swe rozmiary przypominały nam one archaiczne pingwiny przedstawiane na płaskorzeźbach, toteż rychło doszliśmy do wniosku, że pochodzą z tej samej rodziny, która przetrwała dzięki wycofaniu się do cieplejszej, podziemnej krainy – tam, w wiecznym mroku, ich ciała utraciły wszelki pigment, a oczy

zanikły do rozmiarów bezużytecznych szczelin. Ani przez chwilę nie wątpiliśmy, że ich obecnym siedliskiem jest podziemna otchłań. Uzyskany tym sposobem dowód, że jest ona w istocie miejscem wciąż ciepłym i zdatnym do zamieszkania, sprowokował nas do najosobliwszych i nieco niepokojących rojeń.

Zastanawialiśmy się także, co sprawiło, że te trzy ptaki wypuściły się poza obręb swego matecznika. Pustka i cisza panujące w wymarłej metropolii świadczyły o tym, że żadną miarą nie może ona być miejscem sezonowego gniazdowania – ponadto ta trójka nie zwracała na nas najmniejszej uwagi, byłoby więc dziwne, gdyby przestraszyła się tamtych. Byłożby możliwe, że tamci dopuścili się jakiejś agresji, na przykład zapolowali na te ptaki dla mięsa? Nie wydawało nam się możliwe, by ów żrący fetor, którego tak nie znosiły nasze psy, mógł być równie odstręczający dla tych pingwinów, ich przodkowie żyli bowiem z Przedwiecznymi w jak najlepszych stosunkach – ich przyjaźń z pewnością nie została przerwana przeprowadzką do podziemnego morza i trwała, dopóki żył ostatni Przedwieczny. Żałując – w przebłysku dawnego, czysto naukowego ducha – że nie możemy sfotografować tych wynaturzonych stworzeń, zostawiliśmy je swojemu losowi i ruszyliśmy w stronę zejścia w otchłań. Obecność pingwinów potwierdzała bowiem niezbicie, że stoi ono otworem, pojawiające się zaś gdzieniegdzie ślady łap wskazywały nam drogę.

Niebawem jęliśmy schodzić długim, niskim, pozbawionym bocznych wyjść oraz – co najciekawsze – wolnym od rzeźb korytarzem; stromizna tego zejścia upewniła nas, że zbliżamy się wreszcie do gardzieli tunelu. Minęliśmy kolejne dwa pingwiny, przed nami pokrzykiwały następne. Potem korytarz wyprowadził nas nagle na otwartą przestrzeń, tak olbrzymią, że aż zaparło nam dech. Było to wnętrze idealnie półkuliste, najwyraźniej wykute już głęboko pod ziemią; mierzyło nie mniej niż sto stóp średnicy i pięćdziesiąt stóp wysokości, na całym obwodzie wychodziły z niego niskie łukowate odrzwia, w jednym zaś miejscu tę idealną symetrię burzył otwór znacznie większy: mroczne sklepione wyjście wysokie niemal na piętnaście stóp. Była to brama do wielkiej otchłani.

Pod olbrzymią kopułą, pokrytą wspaniałymi, choć schyłkowymi rzeźbieniami ilustrującymi pierwotny firmament niebieski, kiwało się kilka pingwinów albinosów; wyglądały tu obco, ale w swej ślepocie były obojętne na wszystko. Za zdobnym łukowatym wyjściem, o rżniętych w groteskowe wzory ościeżach i nadprożu, ział nieprzebitą czernią tunel ciągnący się spadziście w nieskończoną głąb. Stojąc przy tej tajemnej gardzieli, mieliśmy wrażenie, że bije z niej odrobinę cieplejsze powietrze, a może nawet leciuteńki opar. Zastanawialiśmy się, jakie jeszcze istoty prócz pingwinów skrywają ta przepastna bezdeń oraz sąsiadująca z nią sieć tuneli we wnętrzu ziemi i tytanicznych gór. Zastanawialiśmy się też, czy dym, który nieszczęsny Lake dostrzegł rzekomo nad wierzchołkami, oraz dziwaczna mgiełka, którą zauważyliśmy z samolotu nad obwałowanym wierchem, nie ulatywały właśnie stąd, z plątaniny podziemnych kanałów – czy nie były to wapory z niezgłębionego rdzenia ziemi.

Wchodząc do tunelu, zauważyliśmy, że mierzy on – przynajmniej u wylotu –

około piętnastu stóp szerokości. Ściany, posadzkę i łukowate sklepienie wymurowano jak zwykle z olbrzymich megalitów; na ścianach zdarzały się z rzadka konwencjonalne kartusze utrzymane w późnym, schyłkowym stylu. Całość, z rzeźbieniami włącznie, zachowała się przewybornie. Posadzka była zupełnie czysta, gdzieniegdzie tylko zalegały spłachetki drobnego gruzu, poznaczone wiodącymi na zewnątrz odciskami łap pingwinów oraz skierowanymi w dół śladami tamtych. Im dalej w głąb, tym było cieplej, toteż niebawem porozpinaliśmy nasze ciężkie futra. Zastanawialiśmy się, czy na dole rzeczywiście można napotkać przejawy aktywności wulkanicznej i czy woda w mrocznym morzu jest gorąca. Po niedługim czasie murowane ściany ustąpiły litej skale, tunel zachował jednak pierwotne proporcje i regularny kształt. Stromizna nie była wszędzie jednakowa, lecz od czasu do czasu stawała się naprawdę znaczna; w takich miejscach podłoże było rżnięte w schodkowate bruzdy. Kilkakroć minęliśmy wyloty bocznych chodników; nie były one odnotowane na naszych mapkach, uznaliśmy jednak, że nie powinny nas zmylić w drodze powrotnej, mogą natomiast przydać się jako schronienia, gdyby doszło do niepożądanego spotkania z istotami wracającymi od strony otchłani. Ich okropny smród wyczuwaliśmy już bardzo wyraźnie. Nie da się ukryć, że wchodząc w takich okolicznościach do tunelu, wykazaliśmy się straceńczą głupotą, widocznie jednak dla niektórych ludzi to, co nieznane, jest bardziej pokuśliwe, niż można by przypuszczać – przecież nic innego jak taka właśnie pokusa sprowadziła nas w nieziemską pustać Antarktydy. W trakcie marszu minęliśmy kilka pingwinów i staraliśmy się dociec, jaką przyjdzie nam jeszcze pokonać odległość. Wedle rzeźb strome zejście w otchłań ciągnęło się przez jakąś milę, wszelako nasze poprzednie peregrynacje zdążyły nam już uświadomić, że nie zawsze można polegać na ich skali.

Mniej więcej ćwierć mili od wejścia do tunelu okropny smród znacznie się nasilił, tedy uważnie notowaliśmy w pamięci mijane boczne wyjścia. W głębi tunelu nie wyczuwało się już oparów, może po prostu dlatego, że nie było tu już kontrastującego z nimi chłodniejszego powietrza. Temperatura rosła błyskawicznie. Nie zdziwiliśmy się też, gdy natrafiliśmy na kolejną stertę zatrważająco znajomych przedmiotów. Były to futra i płachty namiotowego płótna z obozu Lake’a; nie mieliśmy jednak ochoty oglądać dziwacznych kształtów, w jakie je poprzycinano. Odrobinę dalej znacznie rozmnożyły się i powiększyły boczne chodniki, uznaliśmy więc, że dotarliśmy już do gęstej sieci tuneli pod wyższym pogórzem. Okropny smród mieszał się teraz osobliwie z wonią jeszcze inną, acz niewiele mniej wstrętną – skąd zaś ona pochodziła, nie umieliśmy dociec: może z rozkładających się organizmów, może z jakichś nieznanych podziemnych grzybów. Potem tunel rozszerzył się nagle w sposób zgoła nieuwzględniony na płaskorzeźbach: rozpękł się w górę i w boki do rozmiarów obszernej eliptycznej groty o naturalnym wyglądzie i płaskim podłożu, długiej na jakieś siedemdziesiąt stóp i na pięćdziesiąt stóp wysokiej, z wieloma przepastnymi bocznymi wyjściami wiodącymi w nieprzebity mrok.

Jakkolwiek grota zdawała się mieć pochodzenie naturalne, baczne oględziny w świetle obu latarek wykazały, że powstała prawdopodobnie

wskutek rozmyślnego wyburzenia ścian rozdzielających kilka sąsiednich korytarzy. Ściany były surowe, a wysoko wysklepiony strop porastały gęsto stalaktyty; lite skaliste podłoże było jednak wygładzone i w nienaturalnym stopniu wolne od wszelkiego gruzu, szczątków, a nawet pyłu. Dotyczyło to także wszystkich bocznych korytarzy, z wyjątkiem tego, którym przyszliśmy. Próżno dociekaliśmy przyczyn tego szczególnego zjawiska. Nowy, dziwaczny fetor stał się już tak dotkliwy, że zupełnie zagłuszył pierwszy. Całe to miejsce ze swym wypolerowanym, niemal błyszczącym podłożem przejęło nas nieokreślonym zdumieniem i przerażeniem – bardziej jeszcze niż wszystkie napotkane pierwej potworności.

Spośród mnogości identycznie wielkich tuneli jeden, biegnący dokładnie na wprost, był wyjątkowo regularny i zasłany większą ilością pingwinich odchodów, toteż nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, którędy iść dalej. Niemniej postanowiliśmy, że jeśli dalej droga się skomplikuje, wznowimy znaczenie drogi papierem – nie mogliśmy już wszak liczyć na ślady odciśnięte w pyle. Ruszyliśmy zatem wybranym korytarzem, świecąc latarką po ścianach – i nagle stanęliśmy jak wryci, widząc, jak bardzo zmienił się wygląd płaskorzeźb. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedy budowano te tunele, sztuka rzeźbiarska Przedwiecznych przeżywała okres wielkiego schyłku; już w poprzednich tunelach zauważyliśmy, że ostatnie arabeski wykonane są w sposób dość pośledni. Wszelako tutaj, w głębiach za jaskinią, różniły się one od rzeźbień dawniejszych w stopniu zgoła niewytłumaczalnym – zarówno pod względem swej najgłębszej istoty, jak i zwykłej jakości rzemiosła. Doprawdy, rzemiosło to uległo głębokiej, katastrofalnej wręcz degradacji, zdumiewającej nawet dla kogoś, kto widział dotychczasowe oznaki upadku.

Te nowe reliefy były krzykliwe, prostackie i wyzute z wszelkiej subtelności szczegółu. Wyryto je przesadnie głęboko; biegły z grubsza w takich samych pasmach jak nieliczne kartusze we wcześniejszych odcinkach korytarza, mniejsza była jednak wypukłość ich podłoża w stosunku do ściany. Danforth zasugerował, że mogą to być po prostu ryty wtórne – swoisty palimpsest wykonany po zeszlifowaniu zdobień poprzednich. Rzeźbienia miały charakter czysto dekoracyjny i konwencjonalny; składały się z topornych spiral i kanciastych figur z grubsza naśladujących matematyczną, opartą na piątce tradycję Przedwiecznych – wyglądały jednak raczej jak parodia tej tradycji aniżeli jej twórcza kontynuacja. Nie mogliśmy oprzeć się wrażeniu, że wytworzony za pomocą tej techniki efekt artystyczny został wzbogacony pierwiastkiem subtelnie, acz zasadniczo obcym – i być może, jak domniemywał Danforth, właśnie owa obcość odpowiedzialna była za ten mozolny i nieudolny substytut. Reliefy te były niby podobne, a zarazem niepokojąco niepodobne do tego, co dotychczas obserwowaliśmy w sztuce Przedwiecznych; uparcie przywodziły mi na myśl inne wytwory artystycznego bękarctwa, na przykład nieudolnie naśladujące styl rzymski rzeźby starożytnej Palmiry. Koślawe płaskorzeźby najwyraźniej nie uszły uwagi grupy idącej przed nami: pod jednym z charakterystycznych wzorów leżała zużyta bateria od latarki.

Nie mieliśmy już jednak czasu na dokładniejsze badania, toteż

rozejrzeliśmy się tylko pobieżnie i ruszyliśmy w dalszą drogę – aczkolwiek często świeciliśmy po ścianach, sprawdzając, czy w dekoracjach nie nastąpiły jeszcze większe zmiany. Nic jednak nie zauważyliśmy, poza tym że rzeźb było coraz mniej – ściany bowiem coraz częściej przerywały wejścia do bocznych tuneli o gładko wypolerowanych posadzkach. Mniej też widzieliśmy i słyszeliśmy pingwinów, aczkolwiek odnieśliśmy mgliste wrażenie, że gdzieś w nieskończenie odległych głębiach ziemi rozbrzmiewa cały ich chór. Nowy, niewytłumaczalny smród przyprawiał nas już o mdłości, wciąż natomiast nie wyczuwaliśmy najlżejszego choćby śladu okropnej woni, którą poczuliśmy pierwej. W głębi tunelu majaczyły obłoki pary świadczące o tym, że temperatura rośnie coraz bardziej i zbliżamy się do pogrążonych w wiecznym mroku klifów otchłannego morza. Raptem, zupełnie niespodziewanie, na wypolerowanej podłodze wyrosły przed nami pewne przeszkody – i bynajmniej nie były to pingwiny. Upewniliśmy się, że są zupełnie nieruchome, po czym skierowaliśmy na nie światło obu latarek.

## XI

I oto znów dochodzę do miejsca, w którym pióro wypada mi z ręki. Powinienem już być zahartowany – pewne doświadczenia i przeczucia pozostawiają jednak zbyt głębokie blizny, by można było je uleczyć, i tak wysubtelniają naszą wrażliwość, że przywołując je z pamięci, budzimy całą ich pierwotną grozę. Jak mówiłem, ujrzeliśmy przed sobą, na wypolerowanej posadzce, pewne zawalidrogi; dodam jeszcze, że niemal równocześnie uderzył nas w nozdrza ze zdwojoną siłą ów dziwny, przemożny fetor, teraz już z całą pewnością zmieszany z okropnym smrodem tych, którzy szli przed nami. Światło drugiej latarki nie pozwalało wątpić w tożsamość owych zawalidróg; i nie postąpilibyśmy nawet o krok naprzód, gdybyśmy z daleka nie widzieli, że są już zupełnie nieszkodliwe – tak samo nieszkodliwe, jak sześć podobnych okazów, które wygrzebaliśmy z potwornych gwiazdokształnych grobowców w obozie nieszczęsnego Lake’a.

W istocie obiekty te były podobnie niekompletne – wszelako sądząc po gęstniejącej dokoła kałuży ciemnozielonej cieczy, zostały rozczłonkowane tuż przed naszym przybyciem. Było ich tylko cztery, choć komunikaty Lake’a pozwalały mniemać, że idąca przed nami grupa składa się raczej z ośmiu osobników. Nie spodziewaliśmy się, że znajdziemy je w takim stanie – tym bardziej zachodziliśmy w głowę, cóż za potworny bój musiał się rozegrać w tym nieprzebitym mroku.

Pingwiny w razie ataku broniły się wściekłym dziobaniem; słyszeliśmy już wyraźnie, że gdzieś daleko przed nami znajduje się ich kolonia. Czyżby tamci natrafili przypadkiem na taką kolonię, spłoszyli pingwiny i ściągnęli na siebie ich morderczy atak? Nie wydawało się to możliwe: dzioby pingwinów nie byłyby w stanie tak okropnie pokiereszować tych gruboskórnych istot; z naszych obserwacji wynikało zresztą, że te ślepe ptaszyska są wyjątkowo łagodne.

Czyżby zatem tamci pobili się między sobą, a następnie ocalała czwórka

uciekła? Jeśli tak, to dokąd? Czy czaiła się gdzieś w pobliżu i mogła być niebezpieczna także dla nas? Pomału, z ociąganiem jęliśmy zbliżać się do zabitych, zerkając lękliwie w wyloty bocznych chodników. Cokolwiek się wydarzyło, musiało porządnie przerazić pingwiny – z pewnością właśnie dlatego włóczyły się teraz nerwowo po tunelach. Lecz skoro tak, musiało się wydarzyć w pobliżu kolonii, której słabe pokrzykiwania dolatywały do nas z niezgłębionej czeluści – nic bowiem nie wskazywało na to, by ptaki mieszkały w tunelach. Być może rozegrał się tu odrażający pościg – może tamci, jako osobniki słabsze, uciekali w stronę swych ukrytych sań, zaś prześladowcy dopędzili ich i wybili do nogi. Wyobrażaliśmy sobie, jak demoniczna musiała być to bitwa: nienazwane potwory uciekają co sił z mrocznej otchłani, a przed nimi pędzi chmara rozwrzeszczanych ze strachu pingwinów…

Jak mówiłem, do niekompletnych, rozwleczonych ciał zbliżyliśmy się powoli i z ociąganiem. Boże! Bodajbyśmy tego nigdy nie uczynili, tylko uciekli co sił w nogach z tego bluźnierczego tunelu, od tych posadzek wypolerowanych na błysk, od zwyrodniałych płaskorzeźb szydliwie małpujących swe poprzedniczki! Bodajbyśmy uciekli, nim ujrzeliśmy to, cośmy ujrzeli, a w umysły nasze wraziło się coś, co na zawsze odebrało nam spokój!

W świetle obu latarek szybko stało się jasne, czego przede wszystkim brakowało czterem znieruchomiałym ciałom. Otóż jakkolwiek były one poharatane, zmiażdżone, poskręcane i porozszarpywane, wszystkie poniosły jeden szwank najważniejszy: zostały pozbawione swych mackowatych, rozgwiazdowatych głów. Gdy podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy, że nie odcięto ich w żaden zwyczajny sposób – raczej z piekielną siłą oddarto bądź wyssano. Wstrętna ciemnozielona posoka rozlewała się coraz szerszą kałużą, wszelako jej woń i tak tłumił ów smród nowszy, dziwniejszy, i jeszcze nigdzie nie dławił on nas tak boleśnie jak tutaj. Dopiero gdy podeszliśmy naprawdę blisko, dotarło do nas, skąd wziął się ten niewytłumaczalny dotąd fetor. Gdy tylko to pojęliśmy, przypomniawszy sobie sugestywne reliefy ilustrujące permski okres dziejów Przedwiecznych, czyli wydarzenia sprzed stu pięćdziesięciu milionów lat, Danforth nie wytrzymał nerwowego napięcia i zaniósł się krzykiem – a histeryczne echo poniosło ten krzyk przez sklepiony, archaiczny korytarz wypełniony palimpsestem nikczemnych reliefów.

Mało brakowało, bym mu zawtórował – wszak i ja widziałem te prastare rzeźby, i ja z dreszczem grozy podziwiałem kunszt, z jakim bezimienny artysta pokazał ciała Przedwiecznych zabitych podczas wielkiej wojny o władzę: zaszlachtowane, obślimaczone wstrętnym śluzem, z głowami upiornie wyssanymi przez straszliwe shoggothy. Rzeźby te opowiadały o pradawnej, niepamiętnej przeszłości, a przecież były wstrętne, haniebne, jak z koszmarnego snu – nikt na świecie nie powinien portretować shoggothów i ich straszliwego żniwa, a istoty ludzkie nie powinny ich oglądać. Szalony autor *Necronomiconu* zaklinał się nerwowo, że na naszym globie żaden taki stwór nigdy się nie ulągł, a wyobrazić je sobie można tylko w narkotycznych rojeniach. Bezkształtna protoplazma zdolna podszyć się pod każdą formę, każdy organ, każdy proces – kleiste zlepy bulgoczących komórek –

gumowate, niesłychanie giętkie piętnastostopowe sferoidy – niewolnicy sugestii, budowniczowie miast – coraz posępniejsi, coraz inteligentniejsi, coraz bardziej ziemno-wodni, coraz bardziej naśladowczy… wielki Boże! Cóż za szaleństwo kazało tym bluźnierczym Przedwiecznym zaprzęgać do pracy i portretować takie twory?

I kiedy tak patrzyliśmy z Danforthem, jak świeży śluz, połyskujący i opalizujący niby czarne zwierciadło, oblepia te bezgłowe ciała, i czuliśmy, jak bije odeń ów odór wszeteczny, nieznany, którego źródła można było dociec jedynie w rojeniach schorzałej wyobraźni – i widzieliśmy jeszcze, że migocze też z lekka w gładszym miejscu nawarstwionych w przeklęty sposób reliefów, migocze rozmyślnie ułożoną serią kropek – pojęliśmy całą głębią naszego jestestwa, czym jest prawdziwie kosmiczna trwoga. Nie baliśmy się bynajmniej tych czterech nieobecnych stworów – albowiem nie mieliśmy krzty wątpliwości, że są już nieszkodliwe. O nieszczęśni! Przecież w swym świecie nie byli tak naprawdę źli. Byli ludźmi – tyle że w innej epoce i innym porządku rzeczy. Zaiste, tragicznie skończył się ich powrót do domu… Natura spłatała im piekielnego figla – i spłata go niechybnie każdej istocie, którą szaleni, bezduszni i okrutni ludzie odgrzebią w tej ohydnie wymarłej czy uśpionej polarnej postaci.

A przecież nie były to nawet okrutne dzikusy. Cóż bowiem takiego uczynili? Wyobraźmy sobie, co przeżyli: wstrętne przebudzenie w zimnej, nieznanej epoce – wściekłe ujadanie, a może nawet atak futrzanych czworonogów – obok równie rozszalałe białe małpoludy, dziwacznie okutane i uzbrojone w dziwne instrumenty – przecież te oszołomione istoty musiały się bronić… nieszczęsny Lake, nieszczęsny Gedney… i nieszczęśni Przedwieczni! Uczeni do samego końca – czyż uczynili coś, czego i myśmy nie uczyniliby na ich miejscu? Boże, cóż za inteligencja, cóż za wytrwałość! Stawili czoło temu, co nie mieściło im się w głowie, tak jak czynili to ich pobratymcy i przodkowie z płaskorzeźb! Czymkolwiek byli – roślinami, promieniakami, potworami, gwiezdnym pomiotem – okazali się ludźmi!

Przemierzyli łańcuch skutych lodem gór, na których niegdyś modlili się w świątyniach i przechadzali się w cieniu drzewiastych paproci. Odnaleźli swe miasto, obłożone śmiertelną klątwą wiecznej zimy, i tak jak my wyczytali z rzeźbionych kronik historię jej ostatnich dni. Próbowali dotrzeć do żyjących jeszcze ziomków w legendarnej, mrocznej bezdni, której nigdy przedtem nie widzieli – i co ich tam spotkało? Wszystkie te myśli przebiegły nam przez głowę w jednoczesnym przebłysku zrozumienia; spojrzeliśmy na bezgłowe, obślimaczone kadłuby, na odrażający rzeźbiarski palimpsest, na diaboliczne wzory z kropel świeżego śluzu na ścianie obok rzeźb – i pojęliśmy w jednej chwili, co zwyciężyło, co przetrwało w tym cyklopowym wodnym mieście, w tej oćmionej, rozwrzeszczanej skrzekiem pingwinów otchłani… otchłani, która jakby w odpowiedzi na histeryczny wrzask Danfortha wionęła właśnie ku nam posępnym tumanem bladej mgły!

Pojąwszy, co oznaczają ten potworny śluz i bezgłowe zwłoki, zastygliśmy jak posągi – bez ruchu, bez słowa – i dopiero późniejsze rozmowy uświadomiły nam, że myśleliśmy wówczas dokładnie o tym samym. Zdawało nam się, że tkwimy tam całe wieki, tak naprawdę nie minęło

jednak więcej niż dziesięć czy piętnaście sekund. Kłęby nienawistnej bladej mgły buchały w naszą stronę, jak gdyby pchała je z oddali jakaś pełznąca naprzód masa. I nagle usłyszeliśmy pewien dźwięk – dźwięk, który obalił część naszych wniosków, a zarazem odczarował nas i zbudził z bezruchu. Nie zwlekając ani chwili dłużej, rzuciliśmy się do szaleńczej ucieczki: przez tunele, wśród krzyków spłoszonych pingwinów, przez zatopione w lodzie megalityczne korytarze, aż do podnóża wielkiej wieży i dalej, po archaicznej spiralnej pochylni, machinalnie, jak szaleńcy – w stronę otwartej, zdrowej przestrzeni i rozumnego światła dnia.

Dźwięk ów, jak wspomniałem, obalił niektóre z naszych wniosków; opierając się na zapisie sekcji nieszczęsnego Lake'a, uważaliśmy go bowiem za głos Przedwiecznych, tymczasem Przedwieczni leżeli martwi u naszych stóp. Danforth wyznał później, że dokładnie taki dźwięk, tyle że niezmiernie stłumiony, słyszał za rogiem zaułka na powierzchni; z całą pewnością przypominał on też poświst wiatru, który obaj słyszeliśmy nad gardzielami wysokogórskich jaskiń. Zabrzmi to pewnie niepoważnie, ale muszę dodać coś jeszcze – choćby dlatego że wrażenie, jakie odniósł Danforth, w zaskakujący sposób współgra z moim. Oczywiście jedną z przyczyn tej zbieżności są po prostu wspólne lektury – jakkolwiek Danforth czynił dziwaczne sugestie, jakoby Poe, pisząc przed stuleciem swego *Arthura Gordona Pyma*, mógł mieć dostęp do jakichś niebywałych, zakazanych źródeł. Wszyscy zapewne pamiętają, że w tej fantastycznej opowieści występuje pewne tajemnicze słowo o znaczeniu nieznanym, lecz w straszliwy i brzemienny sposób wiążącym się z zabójczym jądrem Antarktyki. Wykrzykiwały je w nieskończoność gigantyczne, widmowo białe ptaki, brzmiało zaś: *Tekeli-li! Tekeli-li!* Otóż mogę zaręczyć, że właśnie tak brzmiał dziwaczny ów dźwięk, który, jak nam się zdawało, nagle doleciał naszych uszu spoza nadciągającej mgły – podstępny melodyjny świst o osobliwie szerokiej gamie.

Nim te cztery dźwięki czy sylaby zdążyły wybrzmieć do końca, pędziliśmy już na złamanie karku, choć wiedzieliśmy, że tym chyżym istotom uciec niepodobna – i jeśli tylko ocalała z rzezi czwórka zechce nas dopędzić, uczyni to z łatwością w jednej chwili. Mieliśmy wszelako mglistą nadzieję, że jeśli nie okażemy agresji i dowiedziemy, że jesteśmy ich braćmi w rozumie, być może nas oszczędzą – przynajmniej z naukowej ciekawości. Zresztą gdyby nic im z naszej strony nie groziło, nie mieliby też powodu, by nas skrzywdzić. Jako że w tym momencie nie było już sensu się kryć, puściwszy się biegiem, poświeciliśmy za siebie latarkami i zauważyliśmy, że mgła rzednieje. Byłożby nam dane ujrzeć wreszcie całe i żywe osobniki? I znów ozwał się ów podstępny melodyjny świst: *Tekeli-li! Teke-li-li!*

Gdy zorientowaliśmy się, że ścigająca nas istota pomału zostaje w tyle, przyszło nam do głowy, że może być ranna. Nie mogliśmy jednak ryzykować, było bowiem najzupełniej pewne, że puściła się za nami nie dlatego, że zagrażały jej inne stworzenia, lecz w odpowiedzi na krzyk Danfortha. Ścisłe następstwo obu zdarzeń nie pozostawiało co do tego wątpliwości. O tym, gdzie szwenda się teraz drugi, niepostrzeżony dotąd stwór, ten koszmar wcielony, niepojęty i nieopisany – cuchnąca góra

rzygającej śluzem protoplazmy, której pobratymcy opanowali podziemne morze i z wolna poczynali już ryć w ścianach własne rzeźby i kłębić się w podgórskich grotach – nie mieliśmy najbledszego pojęcia. Na myśl o tym, że uciekając przed Przedwiecznym – przypuszczalnie ciężko ranionym, być może też jedynym ocalałym – pozostawiamy go na pastwę niewyobrażalnego losu, przeżywaliśmy prawdziwą katuszę sumienia.

Dzięki niebiosom, że nie zwolniliśmy biegu. Kłęby mgły zgęstniały na nowo i pędziły naprzód korytarzem z coraz większą chyżością, a zbłąkane pingwiny za nami skrzeczały wrzaskliwie, zdradzając oznaki paniki – co było zaskakujące, bo gdy je mijaliśmy, wydawały się najwyżej lekko zdezorientowane. Raz jeszcze rozległ się ów złowieszczy świst o szerokiej gamie: *Tekeli-li! Tekeli-li!* A więc byliśmy w błędzie. Stwór nie był ranny – po prostu natknął się na ciała swych zabitych krewnych i wykonane piekielnym śluzem inskrypcje. Nigdy nie dowiemy się, co może znaczyć ten diabli napis – wszelako sądząc po grobowcach w obozie Lake'a, Przedwieczni traktowali swych zmarłych z wielką atencją. Niebacznie świecąc latarkami, ujrzeliśmy wreszcie przed sobą ową wielką sklepioną jaskinię, gdzie zbiegały się liczne korytarze; odetchnęliśmy z ulgą, że za chwilę zostawimy za sobą palimpsest ze schorzałych rzeźbień, którego obecność wyczuwaliśmy wręcz przez skórę.

Zbliżając się do jaskini, pomyśleliśmy też, że może w tym gąszczu identycznych chodników dałoby się zgubić ścigającego nas stwora. Pośrodku groty ujrzeliśmy kilka ślepych białych pingwinów; widać było już z daleka, że zbliżanie się naszego prześladowcy napawa je zgoła niepojętym przerażeniem. Postanowiliśmy przygasić latarki i trzymać je przy sobie – liczyliśmy na to, że w gęstniejącej mgle rozwrzeszczane pingwiny zagłuszą nasze kroki, ukryją kierunek naszej ucieczki i może zmylą pogoń. W skłębionym wirowisku oparów główny tunel ze swą zaśmieconą i matową posadzką niewiele różnił się od chorobliwie wypolerowanych pozostałych korytarzy – skłonni byliśmy przypuszczać, że Przedwiecznemu nie pomoże nawet specjalny zmysł, który w razie potrzeby pozwalał jego rasie częściowo, acz niedoskonale, obywać się bez światła. Sami nawet baliśmy się trochę, żeby w pośpiechu nie zmylić drogi; obraliśmy bowiem, rzecz jasna, prosty kurs na wymarłe miasto – woleliśmy sobie nawet nie wyobrażać, co mogłoby oznaczać zgubienie się w gąszczu podziemnych korytarzy.

Udało nam się ujść z życiem i wydostać na górę, co jest wystarczającym dowodem na to, że nasz prześladowca faktycznie obrał zły kierunek, nas zaś ręka Opatrzności pokierowała we właściwą stronę. Same pingwiny nie byłyby w stanie nas ocalić – być może pomogła nam jeszcze mgła. Tylko pomyślny los sprawił, że skłębiony wapor był w tamtej chwili dostatecznie gęsty – miesił się bowiem nieustannie i mógł w każdej chwili zniknąć. Zanim wybiegliśmy z tego obrzydliwie porzeźbionego korytarza w otwartą przestrzeń jaskini, na chwilę nawet się rozwiał; przeto nim przygasiliśmy latarki i wmieszaliśmy się między pingwiny, rzuciliśmy za siebie ostatnie, rozpaczliwie przelękłe spojrzenie – by po raz pierwszy i jedyny, w półmgnieniu oka dostrzec nadciągającego stwora. I o ile ręka losu, która

skryła nas w mroku, była naprawdę litościwa, o tyle owo półmgnienie zesłała nam jego druga, nieskończenie nikczemniejsza dłoń; albowiem gdyby nie ów przebłysk, cała wyprawa nie byłaby nawet w połowie tak przerażająca.

Spojrzeliśmy za siebie chyba tylko za podszeptem odwiecznego instynktu, który każe ściganemu oszacować, kim i jak daleko jest jego prześladowca. Może też machinalnie szukaliśmy odpowiedzi na podświadome pytanie, jakie stawiał nam jeden ze zmysłów. Pędząc co sił w nogach, całym wysiłkiem ciał i umysłów skupieni na problemie ucieczki nie mieliśmy warunków, by przeanalizować rzecz w szczegółach – a mimo to uśpione komórki naszych mózgów musiały się zdumieć, gdy dotarł do nich sygnał z nozdrzy. Później zrozumieliśmy, jak ów sygnał brzmiał: otóż choć nieustannie oddalaliśmy się od cuchnącego śluzu, który okrywał bezgłowe trupy, a jednocześnie nie przestawał nas doganiać ich ocalały pobratymiec, odczuwaliśmy wciąż ten sam fetor – aczkolwiek logika podpowiadała, że powinien się zmienić. W bezpośrednim pobliżu uśmierconych istot ten nowy, niewytłumaczalny smród dominował, lecz do tej pory powinien był ustąpić woni pierwszej, tej, którą przypisywaliśmy Przedwiecznym. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło – wręcz przeciwnie: ów nowszy, nieznośniejszy smród nie tylko nie zelżał, ale potężniał i zatruwał nas z każdą sekundą.

Obejrzeliśmy się więc – i to, jak mi się teraz zdaje, jednocześnie, jakkolwiek z całą pewnością żaden z nas nie sprowokował drugiego. A gdy już odwróciliśmy głowy, żgnęliśmy rzedniejącą właśnie mgłę pełnym światłem obydwu latarek – albo w pierwotnym, lękliwym odruchu chcąc zobaczyć jak najwięcej, albo też mniej prymitywnie, acz równie nieświadomie pragnąc oślepić prześladowcę, nim przygasimy latarki i wmieszamy się między oszalałe pingwiny. Cóż to był za niefortunny czyn! Nawet sam Orfeusz, nawet żona Lota nie zapłacili większej ceny za to, że ośmielili się spojrzeć za siebie. I znów rozległ się za nami ów wstrząsający świst: *Tekeli-li! Tekeli-li!*

Najlepiej będzie, jeśli wyznam wreszcie – choć przychodzi mi to z najwyższym trudem – cośmy ujrzeli; zrobię to, choć w tamtej chwili wydawało nam się, że niezdolni będziemy mówić o tym nawet między sobą. Słowa, które dotrą do czytelnika, nie zdołają oddać obrzydliwości tego widoku. Poraził on naszą świadomość do takiego stopnia, że doprawdy nie pojmuję, jak zdołaliśmy zachować resztkę zdrowych zmysłów, zgodnie z planem przyciemnić latarki i pobiec właściwym tunelem w stronę wymarłego miasta. Musiał nas prowadzić najczystszy instynkt – i zrobił to chyba lepiej, niż uczyniłby to rozum; choć nawet jeśli tak było, drogo za to zapłaciliśmy. Rozumu oczywiście niewiele nam wówczas zostało. Danforth był kompletnie roztrzęsiony, a ja pamiętam tylko tyle, że gdy już pędziliśmy na oślep, w pewnym momencie usłyszałem jego zawodzenie – chłopak wyśpiewywał półprzytomnie histeryczny ciąg słów, i spośród wszystkich ludzi na świecie tylko ja byłbym w stanie pojąć, że jest to coś więcej niż tylko obłąkańczy bełkot. Falsetowe echo niosło się wśród skrzeczenia pingwinów, rozbrzmiewało pod sklepieniami otwierających się przed nami korytarzy oraz – dzięki Bogu – pustego już tunelu za nami. Z całą pewnością

Danforth nie zaczął krzyczeć od razu – gdyby tak było, nie uszlibyśmy z życiem; aż lękam się myśleć, co by się stało, gdyby jego nerwy zareagowały choć odrobinę wcześniej.

– South Station – Washington – Park Street – Kendall – Central – Harvard… – biedaczyna wyśpiewywał nazwy stacji kolei podziemnej między Bostonem a Cambridge, tunelu, który przerył spokojną ziemię naszej ojczystej Nowej Anglii wiele tysięcy mil stąd – dla mnie jednak rytualny ów zaśpiew nie był ani bełkotem, ani wyrazem tęsknoty za domem. Tętniło w nim czyste przerażenie – a ja rozpoznałem w nim od razu potworną, świętokradczą analogię. Oglądając się, oczekiwaliśmy wprawdzie, że z rzednącej mgły wyłoni się straszliwa, poruszająca się w niepojęty sposób istota; wiedzieliśmy jednak dobrze, jakiej istoty się spodziewać. Wśród zrzedniałych złośliwie oparów ujrzeliśmy natomiast coś zgoła odmiennego, a przy tym nierównie bardziej plugawego i nienawistnego. Była to przyobleczona w cielesny, rzeczywisty kształt idea rodem z powieści fantastycznych: „coś, co nie powinno istnieć”; jeśli zaś kusić się o jakąś analogię, to najbliższą byłby rozpędzony pociąg widziany z peronu metra – kolosalne czarne cielsko wyłaniające się z nieskończonych podziemnych dali, upstrzone na czole dziwacznie barwionymi światłami i wypełniające olbrzymi tunel tak jak tłok wypełnia cylinder.

Tyle tylko że my nie staliśmy na dworcowym peronie. Biegliśmy samym środkiem toru, przez całą zaś piętnastostopową szerokość tunelu sunęła na nas koszmarnie plastyczna kolumna cuchnącego, czarno opalizującego szlamu; nabierała pędu, pchając przed sobą gęstniejącą znów, wirującą chmurę bladego waporu z podziemnej otchłani. Była to rzecz straszliwa i nieopisana, potężniejsza niźli pociąg metra – bezkształtny konglomerat kipiącej protoplazmy, łyskający leciuteńkim światłem i oblepiony miriadami tymczasowych ślepi rodzących się i znikających niczym wypryski zielonkawego światła; i pędził tak prosto na nas, wypełniając tunel bez reszty, miażdżąc oszalałe pingwiny, sunął po wybłyszczonej posadzce – wybłyszczonej właśnie dlatego, że on i jemu podobni wyczyścili ją nikczemnie z najdrobniejszego pyłu. I wciąż rozbrzmiewał ów wrzask infernalny, szydliwy: *Tekeli-li! Tekeli-li!* A my wreszcie przypomnieliśmy sobie, że shoggothy, te demony wcielone – które Przedwiecznym zawdzięczały wszystko: życie, myśli, plastycznie kształtowane narządy, i nie posiadły żadnego języka prócz tego wyrażanego przez grupy kropek – nie miały również własnego głosu, umiały tylko naśladować wymowę swych niegdysiejszych panów.

## XII

Danforth i ja mgliście przypominamy sobie drogę powrotną. Pamiętamy, jak dotarliśmy do rzeźbionej, półkulistej groty, jak wracaliśmy po własnych śladach przez cyklopowe komnaty i korytarze wymarłego miasta. Wspominamy to wszakże niczym strzępki snu wyzute z wszelkich szczegółów, przejawów świadomej woli i fizycznego wysiłku – zupełnie jakbyśmy

szybowali przez świat czy wymiar mgławicowy, pozbawiony czasu, przyczynowości i kierunku. Gdy dotarliśmy do wielkiej okrągłej wieży, otrzeźwiło nas odrobinę szare półświatło dnia; nie zbliżyliśmy się już jednak do ukrytych sań, nie spojrzeliśmy więcej na nieszczęsnego Gedneya i psa. Spoczęli w dziwnym, tytanicznym mauzoleum – i mam nadzieję, że nikt nie zakłóci ich spoczynku aż do końca istnienia tej planety.

Dopiero gdy jęliśmy wdrapywać się po gigantycznej spiralnej pochylni, uczuliśmy, jak straszliwie jesteśmy wyczerpani. Paniczny bieg w rozrzedzonym wysokogórskim powietrzu pozbawił nas resztek tchu. Nawet jednak lęk przed omdleniem nie zmusiłby nas do odpoczynku – wpierw musieliśmy wydostać się na górę, ujrzeć nad sobą słońce i niebo normalnego świata. Droga, którą opuszczaliśmy grobowiec umarłych eonów, wydała nam się w mglisty sposób stosowna i właściwa: wlokąc się ku szczytowi tego sześćdziesięciostopowego dzieła pradawnych budowniczych, spoglądaliśmy bowiem w bok – i widzieliśmy, że ciągnąca się spiralnie parada heroicznych rzeźb wykonana jest wczesną techniką nienoszącą jeszcze śladów zepsucia. Tak żegnali się z nami Przedwieczni – obrazami wykutymi przed pięćdziesięciu milionami lat.

Wreszcie wgramoliliśmy na górę. Znaleźliśmy się na szczycie wielkiego zwałowiska kamiennych bloków; na zachodzie rysowały się krętą linią wyższe budowle, a na wschodzie, za rozsypiskiem nie mniej pogruchotanych gmachów, wznosiły się potężne góry. Była północ. Przez szczerby ruin na południowym horyzoncie sączyło się czerwienią niskie antarktyczne słońce – na tle tak spowszedniałych już, swojskich elementów polarnego pejzażu tym straszliwsza była zaś starość koszmarnego miasta i bijąca z niego martwota. Niebo było skłębioną, opalizującą kipielą ulotnych lodowych oparów. Przeszywał nas dotkliwy chłód, toteż ciężkimi, zmęczonymi ruchami odłożyliśmy nasze torby z podręcznym ekwipunkiem – które podczas rozpaczliwej ucieczki ściskaliśmy instynktownie w garści – i pozapinaliśmy na powrót ciężkie kapoty, a potem powlekliśmy się w dół, po usypisku ruin, i dalej, przez prawieczny kamienny labirynt, w stronę pogórza, gdzie czekał nasz aeroplan. O tym, co wygnało nas z archaicznej czeluści i ukrytych w jej mroku tajemnic dawnej ziemi, nie wspomnieliśmy ani słowem.

W niespełna kwadrans odnaleźliśmy strome zbocze, którym rano zeszliśmy z pogórza – być może pozostałość po starożytnym tarasie – i ruszyliśmy pod górę. Poprzez sterczące ze zbocza resztki ruin widzieliśmy już wielką, ciemną sylwetę naszego samolotu. W połowie drogi zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby złapać tchu, i obejrzeliśmy się, by raz jeszcze spojrzeć w dół, na bajeczne paleogeniczne gruzowisko niewiarygodnych kamiennych kształtów – znów rysujące się mistycznie na tle niezbadanego zachodniego horyzontu. I ujrzeliśmy, że niebo na zachodzie utraciło już swą poranną nieprzejrzystość; niespokojna lodowa chmura wzbiła się w górę, ku zenitowi, i jakby wahała się, czy nie przetopić swych szydliwych kształtów w jakiś przedziwaczny wzór – jakby lękała się, że zastygnie w tym wzorze, skończonym i ostatecznym.

Hen, za groteskowym miastem, nad najdalszym, białym widnokręgiem odsłoniła się zaś i rysowała omgloną, zwiewną linią fioletowa wysoczyzna –

strzeliście łamana majaczyła na tle kuszącej różaności zachodniego nieba niczym senny zwid. Ku tej rozmigotanej krawędzi wznosił się łagodnym stokiem prawieczny płaskowyż przecięty nieregularną wstęgą cienia: korytem dawno wyschłej rzeki. Przez chwilę chłonęliśmy ten pejzaż zatchnięci jego nieziemską, kosmiczną pięknością – a potem w nasze dusze jęła wsączać się nieokreślona groza. Albowiem ta fioletowa linia nie mogła być niczym innym jak tylko łańcuchem przeraźliwych gór – najwyższym pasmem świata, jądrem wszechziemskiego zła, matecznikiem niewysłowionych zgróz i tajemnic archaicznej ery, zakazaną krainą, z modlitwą na ustach omijaną przez mieszkańców miasta bojących się nawet wyrżnąć w kamieniu jej sens – nietkniętą stopą żywej ziemskiej istoty, nawiedzaną tylko przez złowieszcze błyskawice i bijącą dziwnym blaskiem śród mroków polarnej nocy. Nie mieliśmy wątpliwości, że właśnie owe góry są zagadkowym pierwowzorem upiornego Kadath w Zimnej Pustaci za obmierzłym płaskowyżem Leng, krainą, o której mglistymi półsłówkami opowiadają najpierwotniejsze legendy. Byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy je ujrzeli – i niech Bóg sprawi, byśmy byli ostatni.

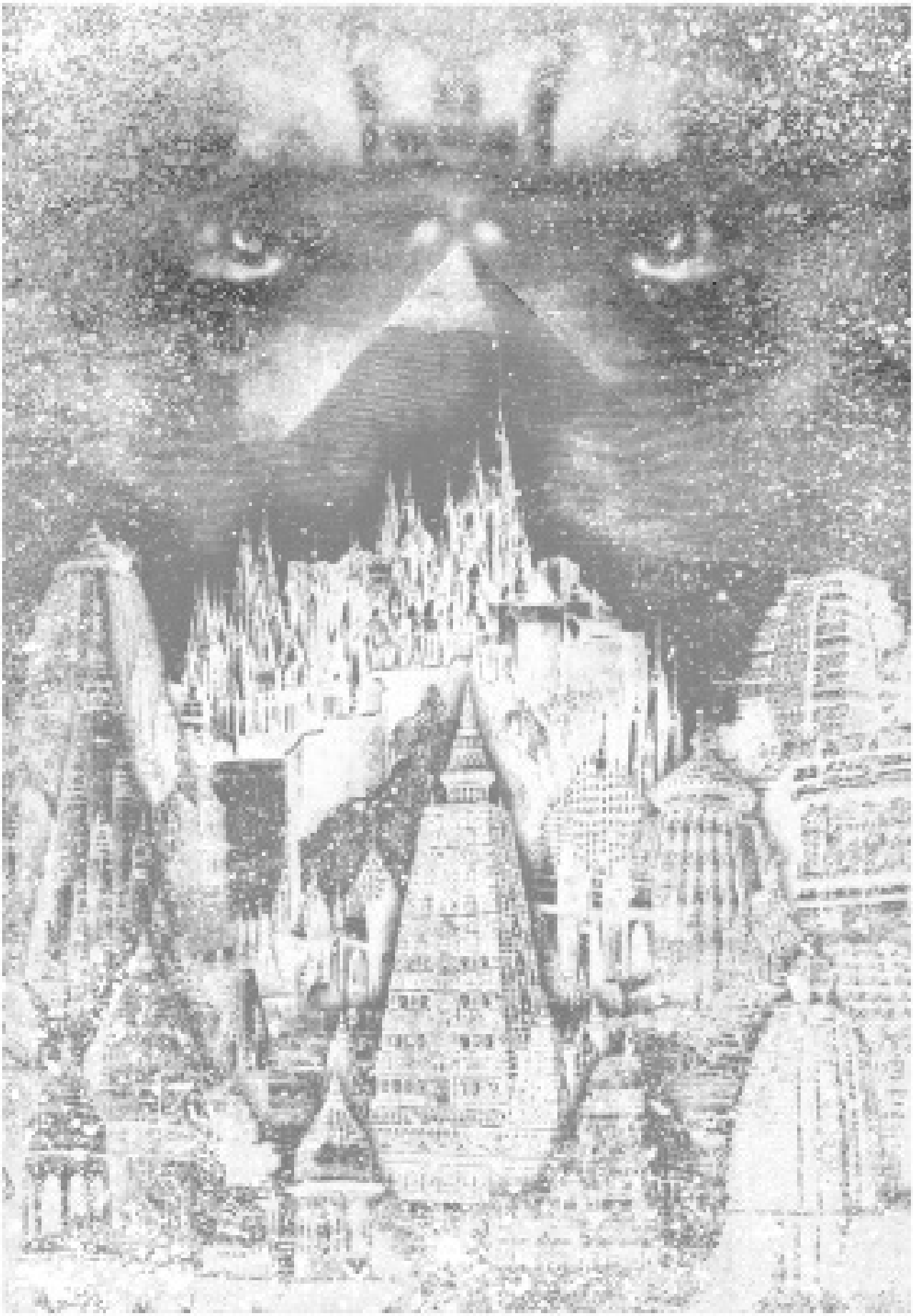

NIE MIELIŚMY WĄTPLIWOŚCI, ŻE WŁAŚNIE OWE GÓRY SĄ ZAGADKOWYM PIERWOWZOREM UPIORNEGO KADATH W ZIMNEJ PUSTACI

Jeśli wierzyć rzeźbionym mapom i obrazom w tym przedludzkim mieście, tajemne fioletowe góry znajdowały się co najmniej trzysta mil stąd; a przecież omglona, ulotna linia wierchów sterczała wyniośle nad daleką, śnieżną linią widnokresu niczym zębaty wrąb jakiejś potwornej, obcej planety wzbijający się w nieznane niebiosa. Musiała zatem wznosić się na wysokość niewyobrażalną – hen, do najrzadszych warstw atmosfery, tam gdzie mieszkają zwiewne strzygi, o których, konając po niewytłumaczalnych upadkach, szeptali czasem nierozważni lotnicy. Patrząc na nie, pomyślałem nerwowo o wyczytanej z pewnych rzeźb sugestii, jakoby niegdyś, w dawnych wiekach, do miasta spłynęło coś w falach wielkiej rzeki, coś zmytego z tych przeklętych gór – i począłem zastanawiać się, czy lęk, który nie pozwolił Przedwiecznym otwarcie opowiedzieć o tym zdarzeniu, był raczej przejawem rozsądku czy szaleństwa. Przypomniałem sobie, że północnym krańcem góry te sięgają niemal brzegu Ziemi Królowej Mary, tam zaś, niespełna tysiąc mil stąd, operuje właśnie ekspedycja sir Douglasa Mawsona; miałem nadzieję, że zły los nie podszepnie sir Douglasowi i jego ludziom, by zapuścić się za ochronne pasmo nadbrzeżnych gór. Takie oto przemyślenia drążyły podówczas mój przeciążony umysł – Danforth zaś miewał się chyba jeszcze gorzej.

Wszelako nim zdążyliśmy minąć ruiny wielkiego, gwiazdokształtnego bastionu i dotarliśmy do samolotu, lęk nasz znalazł sobie przedmiot nowy: mniejsze, lecz i tak przecież olbrzymie pasmo gór, które mieliśmy za chwilę przekroczyć. Obsypane ruinami zbocza wzbijały się z pogórza, nagie, czarne i ohydne, i znów skojarzyły nam się z dziwnymi azjatyckimi płótnami Nicholasa Roericha. Gdy zaś pomyśleliśmy o tym, że wewnątrz pocięte są siecią przeklętych tuneli, może aż po najwyższe szczyty, i prawdopodobnie przeżerają się już przez nie cuchnącymi cielskami przeraźliwe, amorficzne stwory – ogarniał nas popłoch; z trwogą myśleliśmy o tym, że znów będziemy lecieć nad wyszczerzonymi w niebo gardzielami jaskiń, w których szum wichru zmieniał się w nikczemny melodyjny świst o szerokiej gamie. Na domiar złego wokół kilku szczytów widzieliśmy przecież osobne kłębki mgły – przez nieszczęsnego Lake’a wzięte za przejaw działalności wulkanicznej – i z dreszczem zgrozy przypomnieliśmy sobie mgłę, z której niedawno uciekliśmy, i bluźnierczą otchłań, wylęgarnię zgróz, z której wszystkie te opary brały swój początek.

Samolot był w jak najlepszym porządku. Okutaliśmy się niezdarnie w nasze ciężkie lotnicze futra, po czym Danforth bez kłopotu uruchomił motor i po gładkim starcie wzbiliśmy się nad koszmarne miasto. Cyklopowy labirynt rozciągał się pod nami tak jak wówczas, gdyśmy ujrzeli go po raz pierwszy – tak niedawno, a zarazem przecież nieskończenie dawno temu. Po chwili skręciliśmy w stronę gór i poczęliśmy się wzbijać, by przed wzlotem nad przełęcz sprawdzić siłę wiatru. Sądząc po najwymyślniej pokłębionych formach, w jakie stroiły się w zenicie chmury lodowego pyłu, na bardzo wysokim pułapie musiało być naprawdę niespokojnie – lecz na dwudziestu

czterech tysiącach stóp, czyli na wysokości naszej przełęczy, nawigacja nie nastręczała większych problemów. Gdy zbliżyliśmy się do szczytów, znów doleciał nas dziwaczny świst wichru; zauważyłem, że Danforthowi trzęsą się ręce na sterach. Jakkolwiek moja znajomość sztuki pilotażu była zaledwie amatorska, uznałem, że lepiej będzie, jeśli to ja wykonam niebezpieczny przelot między wierzchołkami; gdy pokazałem mu na migi, że chcę przesiąść się na jego fotel i przejąć obowiązki pilota, nawet nie protestował. Robiłem wszystko, żeby wywiązać się z zadania jak najlepiej i nie stracić panowania nad sobą, przeto wpatrywałem się uparcie w daleki wycinek czerwonawego nieba między ścianami przełęczy – rozmyślnie omijałem wzrokiem kłęby oparów nad wierchami i marzyłem o tym, by tak jak załoga Odyseusza mieć zatkane uszy i nie dopuszczać do swej świadomości tego utrapionego świstu.

Lecz Danforth, zwolniony z obowiązków pilota i rozdygotany nerwowo do niebezpiecznych granic, nie mógł usiedzieć w spokoju. Czułem, jak się wierci przy oknach, jak popatruje niespokojnie: to wstecz, na straszne miasto – to wprost, na zryte jaskiniami, oblepione sześciennymi blokami wierzchołki – to znów na boki, w ponure morze śnieżystego, obwałowanego pogórza – wreszcie w górę, w groteskowo skotłowane, zachmurzone niebo. I właśnie w tamtej chwili, gdy starałem się przenieść nas bezpiecznie nad przełęczą, usłyszałem jego opętańczy wrzask – i omal nie nastąpiła katastrofa, bo i mnie puściły wówczas nerwy, i na sekundę wypuściłem stery z rozedrganych rąk. Po chwili zdołałem wziąć się w garść i pewnie wykonałem manewr – obawiam się jednak, że Danforth w owej chwili zmienił się na zawsze.

Jak już mówiłem, Danforth wciąż nie zdradził mi, jakiż to przeraźliwy widok skłonił go do tak obłędnego krzyku; a przecież – konstatuję ze smutną pewnością – właśnie ów widok przyczynił się do załamania, z którego biedak nie otrząsnął się do dziś. Kiedy już przelecieliśmy na bezpieczną stronę gór i kołowaliśmy nad obozem, zamieniliśmy wprawdzie parę słów – przekrzykując poświst wiatru i warkot motoru – wszelako dotyczyły one głównie przysięgi milczenia, jaką złożyliśmy sobie przed odlotem z koszmarnego miasta. Zgodziliśmy się, że istnieją rzeczy, o których ludzie nie powinni wiedzieć ani beztrosko deliberować – i nie zdradziłbym ich do dziś, gdyby nie ta oto okoliczność, że muszę za wszelką cenę wstrzymać badania Antarktydy: zarówno ekspedycję Starkweathera i Moore’a, jak i wszystkie inne. Pokój i bezpieczeństwo całej ludzkości wymagają bezwzględnie, by od niektórych mrocznych, wymarłych zakątków ziemi i niezgłębionych bezdni trzymać się z daleka – by uśpione wynaturzenia nie zbudziły się do życia, a bluźnierczo uchowane koszmary nie wyroiły się i nie wypełzły ze swych czarnych leży na dalsze, jeszcze rozleglejsze podboje.

Danforth zasugerował mi tylko, że tym, co go tak na koniec przeraziło, był miraż. Nie było już jednak w tym mirażu – jak twierdzi – żadnych jaskiń ani sześciennych bloków, któreśmy widzieli w świszczących, osnutych oparami, zrobaczywiałych górach szaleństwa; rozbłysł on jednym fantastycznym, demonicznym mgnieniem wśród kłębiących się w zenicie chmur, odsłonił zaś to, co leży po drugiej stronie owych fioletowych zachodnich gór, jakich lękali się i wystrzegali Przedwieczni. Całkiem możliwe, że było to czyste złudzenie zrodzone pod wpływem ciężkich przejść oraz rzeczywistego, choć zrazu

niepojętego mirażu wymarłego miasta, który widzieliśmy dzień wcześniej, zbliżając się do obozu Lake'a – było ono wszakże tak żywe, że Danforth nie otrząsnął się do dziś.

Zdarza się niekiedy, że biedak zapomni się i nerwowo poszeptuje wydumane i dziwaczne słowa: „czarna czeluść", „rzeźbiony wrąb", „protoshoggothy", „pięciowymiarowe bryły bez okien", „nieopisany cylinder", „starszy pharos", „Yog-Sothoth", „pierwotna biała galareta", „kolor z innego wszechświata", „skrzydła", „oczy w ciemności", „drabina na księżyc", „najpierwszy, wieczny, nieśmiertelny"... Gdy jednak odzyskuje panowanie nad sobą, wszystkiemu zaprzecza; stwierdza, że to tylko echa osobliwych i makabrycznych lektur z lat młodzieńczych. Istotnie, Danforth znany jest z tego, że jako jeden z niewielu ośmielił się przeczytać od deski do deski przeżarty przez robaki egzemplarz *Necronomiconu* trzymany pod kluczem w uczelnianej bibliotece.

Pewne jest, że gdy lecieliśmy nad przełęczą, wysoko na niebie kłębiło się od oparów; jakkolwiek nie widziałem już zenitu, wyobrażam sobie, w jak dziwne formy mogły wówczas się oblekać podniebne wirowiska lodowego pyłu. Reszta mogła być wybrykiem wyobraźni – wszak wiadomo, jak plastycznie potrafią się niekiedy odbijać, załamywać i wzmacniać odległe widoki w tak burzliwie nawarstwionych chmurach. Danforth zaś, rzecz jasna, nie uchylił nawet rąbka tajemnicy z ujrzanych wówczas zgróz, dopóki jego pamięć nie połączyła ich z dawnymi lekturami. Nie byłby w stanie zobaczyć aż tyle w jednym mgnieniu oka.

W tamtej chwili wywrzaskiwał z siebie tylko jedno obłąkańcze słowo, którego źródło jest aż nazbyt oczywiste:

– *Tekeli-li! Tekeli-li!*

* Ulalume, tłum. Antoni Lange.

* 0°F to ok. minus 18°C, 25°F to ok. minus 4°C. Dziś wiadomo, że temperatury na Antarktydzie są niższe, latem we wnętrzu kontynentu sięgają minus 34°C.

* Okres komanczański w dawnej stratygrafii umiejscawiano pomiędzy jurą a kredą, czyli ok. 144 mln lat temu.

# Widmo nad Innsmouth

## I

Zimą z przełomu roku 1927 na 1928 urzędnicy rządu federalnego przeprowadzili dziwne i tajne dochodzenie w związku z pewnymi okolicznościami zaistniałymi w prastarym porcie Innsmouth w stanie Massachusetts. Opinia publiczna dowiedziała się o tym w lutym, po tym jak policja dokonała tam zmasowanych najazdów i aresztowań, a następnie rozmyślnie wysadziła dynamitem i spaliła – podjąwszy konieczne środki ostrożności – ogromną liczbę murszejących, zrobaczywiałych i przypuszczalnie pustych domostw w opuszczonej nadmorskiej dzielnicy miasta. Kto nie zaprząta sobie głowy zbędnymi pytaniami, mógł zignorować to wydarzenie jako kolejne starcie w zaciętej wojnie z przemytnikami alkoholu.

Bystrzejsi czytelnicy gazet zdumieli się jednak, że aresztowano aż tak wielu ludzi, że zaangażowano w tym celu tak olbrzymie siły, miejsce zaś pobytu zatrzymanych otoczone jest tajemnicą. Nie pisano o procesach ani nawet konkretnych zarzutach, nikogo z pojmanych nie widziano też później w żadnym zwykłym zakładzie karnym. Wspominano mgliście o chorobie i obozach koncentracyjnych, później pojawiły się wzmianki, że aresztantów rozesłano do różnych więzień wojskowych, zarówno armii lądowej, jak marynarki, żadna z tych informacji nie została jednak potwierdzona. Innsmouth pozostało niemal do cna wyludnione, po dziś dzień nie zaczęło jeszcze na dobre odżywać.

Wiele organizacji wolnościowych zaskarżyło działania rządu. W odpowiedzi ich przedstawicieli zapraszano na długie, poufne rozmowy, a następnie zawożono do niektórych obozów i więzień – z takim oto zaskakującym skutkiem, że skargi nagle cichły. Trudniej było spacyfikować dziennikarzy, lecz koniec końców większość z nich również okazała się skłonna do współpracy. Jedna tylko gazeta – brukowiec powszechnie pogardzany za swe wyjątkowe wścibstwo – wspomniała, że jeden z okrętów podwodnych o znacznym zanurzeniu odpalił torpedy w otchłanną morską głębię tuż za Diabelską Rafą. Wiadomość ta, zasłyszana przypadkiem wśród marynarzy, wydawała się jednak mało prawdopodobna: niska, czarna rafa znajduje się aż półtora mili od portu Innsmouth.

Mieszkańcy okolicznych wiosek i miasteczek sporo szemrali między sobą na ten temat, lecz nie byli skłonni dzielić się swą wiedzą ze światem. Wzmianki i aluzje o umierającym, na poły opuszczonym Innsmouth krążyły po okolicy niemal od stulecia, obecne plotki nie były zaś ani na jotę obłędniejsze ani ohydniejsze niźli pogłoski sprzed lat. Nauczeni doświadczeniem miejscowi umieli dochować tajemnicy, toteż próżno byłoby ich naciskać. Zresztą tak naprawdę ich wiedza była nader ograniczona: szerokie połacie słonych bagien, jałowych i bezludnych, skutecznie

odgradzają Innsmouth od sąsiadów w głębi lądu.

Niniejszym zamierzam jednak złamać zmowę milczenia. Efekty działań rządu są tak doniosłe, że informując o tym, co odkryli w Innsmouth przerażeni policjanci, nie wyrządzę społeczeństwu żadnej szkody, najwyżej przyprawię je o dreszcz obrzydzenia. Zresztą niewykluczone, że cała sprawa ma więcej niż jedno wyjaśnienie. Nie wiem nawet, w jakiej mierze sam ją dokładnie poznałem, i z wielu powodów wolałbym tego nie dociekać. Doświadczyłem jej bowiem dotkliwiej niż ktokolwiek z osób postronnych, wyniesione zaś z niej przeświadczenia zmuszają mnie do podjęcia drastycznych środków.

To właśnie ja uciekłem z Innsmouth jak wariat wczesnym rankiem 16 lipca 1927 roku, to ja zasypałem czynniki rządowe gorączkowymi apelami o podjęcie zdecydowanych działań. Póki sprawa była świeża i niepewna, nie miałem ochoty zabierać w niej głosu; dziś już mało kto o niej pamięta, toteż dręczy mnie dziwaczne pragnienie, by uchylić rąbka tajemnicy i zdać relację z kilkunastu przerażających godzin, jakie spędziłem w tym niesławnym, widmowym porcie tchnącym śmiercią, złem i bluźnierczą zwyrodniałością. Opowiadanie o tym pomoże mi odzyskać zaufanie do własnych władz umysłowych, upewnić się, że nic, co przeżyłem, nie było tylko wytworem zaraźliwych rojeń z sennego koszmaru; pomoże mi też rozważyć czekające mnie straszliwe kroki.

Zanim trafiłem do Innsmouth po raz pierwszy i – jak dotąd – ostatni w moim życiu, nie miałem pojęcia o jego istnieniu. Świętowałem wówczas osiągnięcie pełnoletności i z tej okazji wybrałem się na wycieczkę do Nowej Anglii: zwiedzałem, oddawałem się poszukiwaniom antykwarycznym i genealogicznym, gdy zaś dotarłem do prastarego miasteczka Newburyport, umyśliłem sobie, że następnym przystankiem będzie Arkham, rodzinne miasto mojej matki. Nie miałem samochodu, podróżowałem pociągami, tramwajami i autobusami, zawsze starając się znaleźć przejazd najtańszy. W Newburyport okazało się, że do Arkham kursuje pociąg – i dopiero w dworcowej kasie, gdy wyraziłem niezadowolenie z wysokiej ceny biletu, dowiedziałem się o istnieniu Innsmouth. Tęgi, bystry z wyglądu kasjer, sądząc ze sposobu mówienia raczej nie miejscowy, zdawał się rozumieć moją oszczędność i podsunął mi rozwiązanie, o którym nie wspomniał nikt z mych poprzednich rozmówców.

– Wydaje mi się, że mógłbyś tam dojechać takim starym autobusem – powiedział z pewnym wahaniem. – Chociaż tutaj mało kto zawraca sobie nim głowę. Kursuje przez Innsmouth, może obiło ci się coś o uszy? No i właśnie dlatego ludziska zbytnio się do niego nie palą. Prowadzi go taki jeden typek z Innsmouth, John Sargent. Nikt z tutejszych nim nie jeździ, z Arkham chyba też nie. Przecie chyba nie jest drogi, a jeżdżą nim najwyżej po dwie–trzy osoby, i to wszyscy z Innsmouth. Dziwię się, że w ogóle jeszcze kursuje. Wyjeżdża z rynku, naprzeciwko drogerii Hammonda, jeśli ostatnio nic się nie zmieniło, to o dziesiątej rano i o siódmej wieczorem. Poznasz go, to okropny gruchot. Ja tam nigdy nim nie jechałem.

Wówczas po raz pierwszy w życiu usłyszałem o widmowym Innsmouth. Każda wzmianka o miasteczku nieobecnym na mapach i pomijanym

milczeniem we współczesnych przewodnikach byłaby dla mnie interesująca, dziwnie zaś aluzyjny sposób mówienia kasjera zaintrygował mnie w dwójnasób. Stwierdziłem, że miasto, które potrafi wzbudzić taką niechęć wśród sąsiadów, musi być co najmniej niezwykłe i godne uwagi turysty. Skoro leży na trasie do Arkham, mógłbym się tam zatrzymać – poprosiłem więc mego rozmówcę, by mi nieco o nim opowiedział. Kasjer mówił o Innsmouth z poczuciem lekkiej wyższości i bardzo starannie dobierał słowa:

„Innsmouth? A, taka tam podejrzana mieścina u ujścia Manuxet. Kiedyś to było miasto jak się patrzy, przed wojną z 1812 roku mieli tam niezły port, ale zeszło na psy bodaj ze sto lat temu. Nawet pociągi tam już nie jeżdżą; zresztą główna linia Boston–Maine nie dotarła tam nigdy, kiedyś była tylko boczna linia z Rowley, ale już dawno ją zamknęli.

Teraz to chyba więcej jest tam pustych domów niż ludzi. Zresztą nie bardzo jest z nimi o czym gadać, chyba że o rybach albo homarach. Handlować przyjeżdżają głównie tutaj, do Arkham albo do Ipswich. Dawniej mieli parę ładnych fabryk, ale teraz nie zostało już nic prócz rafinerii złota. Ale i ona działa tylko od wielkiego dzwonu.

Swoją drogą ta rafineria to był kiedyś niezły interes… staruszek Marsh musiał się na niej dorobić lepiej niż Krezus! To dziwny stary piernik, nie wyściubia nosa z domu. Ponoć na starość dopadła go jakaś choroba skóry; a może go pokrzywiło? Tak czy owak nie pokazuje się ludziom na oczy. Jego dziadkiem był kapitan Obed Marsh… to on rozkręcił ten interes ze złotem. Matkę miał jakąś taką cudzoziemską, ponoć z Mórz Południowych, więc jak pięćdziesiąt lat temu ożenił się z dziewczyną z Ipswich, wszyscy się pieklili. Zawsze tak jest: tych z Innsmouth nikt nie lubi, nikt się nie przyznaje, że ma tam jakichś krewnych. Ale dzieci i wnuki Marshów wyglądają w sumie całkiem zwyczajnie. Bywały tu kiedyś, ktoś mi je pokazywał. Chociaż, jak się zastanowić, to dzieciaki akurat ostatnio się tu nie pokazują… Starego nigdy nie widziałem na oczy.

Czemu wszyscy się tak na to miasto zawzięli? No cóż, młody przyjacielu, nie powinieneś brać sobie do serca wszystkiego, co ludzie mówią. Trudno ich pociągnąć za język, ale jak już się uda, gadają jak najęci. O Innsmouth paplają, zazwyczaj półgębkiem, chyba już od stu lat. Myślę, że mają po prostu tęgiego pietra. Z niektórych historii to nawet koń by się uśmiał: stary kapitan Marsh ponoć miał konszachty z diabłem, sprowadzał do Innsmouth jakieś licha prosto z piekła; w ogóle podobno był tam jakiś kult diabła, ktoś ponoć widział, że przy nabrzeżach składano tam paskudne ofiary, bodaj w 1845 roku… ale ja jestem człowiek z Vermontu, pochodzę z Panton, i nikt mnie na takie bajki nie nabierze.

Mimo wszystko powinieneś wiedzieć, co niektórzy staruszkowie opowiadają o tej ich czarnej rafie. Zwą ją Diabelską Rafą. Leży kawałek od brzegu, przez większość czasu wystaje porządnie nad wodę, zanurza się niewiele – choć wyspą to raczej bym jej nie nazwał. No więc ludzie mówią, że czasem można na niej zobaczyć cały legion diabłów – wylegują się albo wyskakują z jakichś jaskiń tuż pod krawędzią. Rafa jest postrzępiona i urwista, leży dobrą milę od brzegu, a jak jeszcze pływały żaglowce, marynarze nieźle nadkładali drogi, żeby ją ominąć. Obcy marynarze, ma się

rozumieć, nie ci z Innsmouth. A o kapitanie Marshu to jeszcze mówią, że ponoć nocami, jak była dobra fala, zdarzało mu się do tej rafy przybijać. Może i tak było, bo jest to skała, powiedziałbym, dość ciekawie ukształtowana, i całkiem możliwe, że szukał tam jakichś pirackich skarbów – albo i nawet je znalazł; no ale ludzie mówią, że on się tam ugadywał z demonami. Tak czy owak to chyba przez niego rafa ma taką złą opinię.

To było jeszcze przed 1846, czyli przed wielką epidemią. Do Innsmouth przyszła wtedy zaraza, wybiła ponad połowę mieszkańców. Do dziś nie wiadomo, co to właściwie było; najpewniej ktoś przywlókł na statku jakąś obcą chorobę, z Chin albo jeszcze skądś indziej. Paskudna historia: ludzie się burzyli, wyczyniali różne okropieństwa… tylko oni sami wiedzą jakie. Po epidemii niewiele z miasta zostało. I tak jest aż do dziś: mieszka tam ze trzysta, może czterysta osób.

Ale tak naprawdę ludzie zawzięli się na Innsmouth dlatego, że są uprzedzeni rasowo, ot co. Wcale zresztą nie twierdzę, że nie mają racji. Ja sam nie znoszę tamtejszej hołoty i wolę tam nie jeździć. Sądząc po akcencie, jesteś z Zachodu, ale chyba wiesz, co tu się kiedyś działo: statki szwendały się po różnych podejrzanych portach, po Afryce, Azji, Morzach Południowych czy gdzie tam jeszcze je zaniosło, no i zwłóczyły do naszej poczciwej Nowej Anglii różne tałatajstwo. Słyszałeś pewnie o tym człowieku z Salem, który przywiózł sobie żonę Chinkę? A wiesz, że gdzieś przy Cape Cod ciągle jeszcze mieszka zgraja wyspiarzy z Fidżi?

Tak czy siak z tym Innsmouth coś musi być na rzeczy. Zawsze byli odcięci od reszty kraju bagnami i potokami, więc nigdy nie wiadomo, co tam się u nich dzieje; ani chybi stary kapitan Marsh naprzywoził jednak trochę dziwnych okazów, kiedy jeszcze miał pod sobą trzy statki… w dwudziestych–trzydziestych latach. Nie da się ukryć, że coś jest z tymi ludźmi nie tak; nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ciarki przechodzą na sam ich widok. Zobaczysz, jak przyjedzie Sargent. Niektórzy mają dziwaczne, wąskie głowy, płaskie nosy i wyłupiaste, wytrzeszczone oczy, które chyba nigdy się nie zamykają; skórę też mają jakąś dziwną: szorstką i parchatą, a na szyi, po bokach, kompletnie pomarszczoną i pofałdowaną. Bardzo młodo łysieją. Im starsi, tym bardziej paskudni – chociaż, prawdę mówiąc, nie widziałem chyba jeszcze stamtąd nikogo, kto byłby naprawdę stary. Założę się, że umierają od spojrzenia w lustro! Zwierzęta ich nienawidzą; zanim się pojawiły samochody, mieli tam niezły ambaras z utrzymaniem koni.

Nikt się z nimi nie zadaje, ani tu, ani w Arkham czy Ipswich, oni sami zresztą też się trochę najeżają, gdy tu przyjadą albo jak ktoś próbuje łowić ryby na ich wodach. To ci dopiero niesamowita sprawa: koło ich portu zawsze roi się od ryb, a wszędzie dokoła zupełna posucha; ale za to spróbuj się zapuścić na ich łowiska, a zobaczysz, jak cię pogonią! Kiedyś przyjeżdżali tu pociągiem – kiedy zamknęli boczną linię, szli pieszo do Rowley i tam wsiadali w pociąg. Teraz jeżdżą już tylko tym autobusem.

Tak, jest tam hotel, nazywa się Gilman House, ale daj sobie z nim spokój. Nie radziłbym ci się tam zatrzymywać. Lepiej przenocuj tutaj i jedź tam jutro o dziesiątej; będziesz miał cały dzień na zwiedzanie, a o ósmej złapiesz autobus do Arkham. Parę lat temu zatrzymał się w Gilmanie pewien

inspektor pracy… ależ paskudne rzeczy potem opowiadał! Wszystkie pokoje niby puste, ale gromadziła się w nich jakaś podejrzana hałastra. Coś tam między sobą gadali, i to w jakimś obcym języku, bo inspektor nic nie rozumiał, a jeden brzmiał tak, że aż go przechodziły ciarki: głosisko nienaturalne, jakieś takie chlupoczące… biedak nawet nie śmiał się rozebrać i położyć do łóżka; czuwał przez całą noc i wyjechał w te pędy z samego rana. A tamci gadali i gadali przez całą noc.

Ten facet, Casey mu było, opowiadał jeszcze, że wszyscy go tam w Innsmouth obserwowali i jakby się przed nim pilnowali. Obejrzał tę rafinerię Marsha i stwierdził, że jest mocno podejrzana. To taka stara fabryczka nad rzeką, przy niższym szypocie Manuxet. Potwierdziło się to, co słyszałem już wcześniej: księgi w fatalnym stanie, żadna transakcja nie zapisana tak, jak należy. Trzeba ci też wiedzieć, że nikt nie ma pojęcia, skąd właściwie Marshowie biorą złoto do rafinacji: nigdy go za dużo nie skupowali, a przed laty wywozili z tej swojej fabryczki tyle sztabek, że ho, ho.

Kiedyś sporo się też mówiło o podejrzanej zagranicznej biżuterii; sprzedawali ją czasem pokątnie marynarze i robotnicy z rafinerii, ponoć nosiły ją też kobiety Marshów. Ludzie mówili, że stary kapitan Obed mógł ją sprowadzać z jakiegoś pogańskiego portu… tym bardziej że zamawiał sporo szklanych paciorków i świecidełek, którymi marynarze zwykle handlowali z dzikusami. Inni sądzili, że pewnie znalazł na Diabelskiej Rafie jakąś piracką skrzynię z dawnych czasów. Ale najśmieszniejsze jest to, że stary kapitan nie żyje już od sześćdziesięciu lat, od czasów wojny domowej nie uświadczysz w Innsmouth ani jednego większego statku, a Marshowie ponoć wciąż zamawiają całą tę drobnicę, którą sprzedaje się dzikim: świecidełka, gumowe ozdóbki, różne takie. Może oni tam w Innsmouth po prostu je noszą? Bóg mi świadkiem, nie są już lepsi niż ludożercy z Mórz Południowych czy dzikusy z Gwinei.

Ta zaraza w czterdziestym szóstym musiała tam wytruć co lepszą krew. Tak czy owak teraz to naprawdę szemrane towarzystwo; a ci bogatsi, Marshowie i inni, nie są wcale lepsi niż reszta. Powiadam ci, nie znajdziesz tam już więcej niż czterysta osób, a miasto ponoć wcale nie jest małe. To jest chyba właśnie ten sort, który południowcy nazywają „białą hołotą” – szczwani lawiranci, co mają swoje mętne sprawki. Łowią sporo ryb i wywożą je ciężarówką. To naprawdę podejrzane, że właśnie u nich aż tak roi się od ryb, nigdzie indziej.

Nijak nie da się ich zarejestrować; ileż się z nimi zawsze nabiedzą urzędnicy od szkół albo spisów powszechnych! Nie lubią też wścibskich nieznajomych, możesz być pewien! Co najmniej raz słyszałem na własne uszy, że zniknął tam bez śladu jakiś urzędas czy fabrykant; chodzą też słuchy, że jeszcze inny zwariował i wylądował w Danvers. Musieli go tam w Innsmouth paskudnie nastraszyć.

Dlatego właśnie ja bym tam na noc nie jechał. Nigdy tam nie byłem i być nie zamierzam, ale myślę, że jeśli pojedziesz w dzień, krzywda ci się raczej nie stanie, nawet jeśli ktoś z tutejszych będzie ci to odradzał. Jeśli chcesz pozwiedzać czy poszukać staroci, Innsmouth powinno ci się spodobać”.

Resztę wieczoru spędziłem zatem w bibliotece publicznej Newburyport, tropiąc informacje o Innsmouth. Próbowałem też podpytać miejscowych – w sklepach, w stołówce, w warsztatach, w straży pożarnej – ale okazało się to jeszcze trudniejsze, niż przewidywał kasjer: wszyscy odruchowo nabierali wody w usta, uznałem tedy, że nie będę tracił na nich czasu. Odnosili się do mnie z jakąś niejasną podejrzliwością, jak gdyby uważali, że jeśli ktoś naprawdę interesuje się Innsmouth, musi być z nim coś nie tak. Pytałem też recepcjonistę w schronisku YMCA, w którym się zatrzymałem – ten radził po prostu, bym nie jechał do tak ponurego, zdeprawowanego miejsca; podobny pogląd wyrazili bibliotekarze. Najwyraźniej w oczach ludzi wykształconych Innsmouth było po prostu miastem wyjątkowo zdegenerowanym.

W książkach poświęconych historii hrabstwa Essex o Innsmouth nie pisano wiele: tyle tylko że założono je w roku 1643, przed rewolucją prężnie działały tam stocznie, w początkach wieku dziewiętnastego miasto rozkwitło jako port morski, a później stało się pomniejszym ośrodkiem przemysłowym wykorzystującym jako źródło energii nurt rzeki Manuxet. O epidemii i zamieszkach z roku 1846 zaledwie wzmiankowano, jak gdyby była to ujma dla hrabstwa.

O późniejszym upadku miasta pisano pobieżnie, aczkolwiek to, co pisano, było bardzo znamienne. Po wojnie domowej cały przemysł w Innsmouth ograniczył się do Marsh Refining Company, sprzedaż zaś złotych sztabek jest ostatnią liczącą się gałęzią handlu, nie licząc oczywiście nieśmiertelnego rybołówstwa. Konkurencja ze strony wielkich korporacji i spadek cen zbytu spowodowały, że łowienie ryb było coraz mniej opłacalne, ale za to nigdy ich w okolicach portu nie brakowało. Cudzoziemcy rzadko osiedlali się w Innsmouth; sprowadziło się tam trochę Polaków i Portugalczyków, lecz dyskretne poszlaki sugerowały, że ich populacja zmniejszyła się później w drastycznym wręcz stopniu.

Najciekawsza była jednak rzucona mimochodem wzmianka o dziwnej biżuterii, mgliście kojarzonej z Innsmouth. Najwyraźniej zrobiła ona wrażenie w całym regionie, i to niemałe, dwa okazy eksponowano bowiem w muzeum Uniwersytetu Miskatonic w Arkham oraz sali muzealnej Towarzystwa Historycznego Newburyport. Precjoza owe opisano w książce dość skąpo i beznamiętnie, a jednak intrygująco: wyczułem, że muszą mieć w sobie coś wyjątkowo dziwacznego i prowokującego. Nie mogłem przestać o nich myśleć, toteż mimo dość późnej pory postanowiłem, że jeśli będzie to możliwe, obejrzę miejscowy okaz. Wedle opisu był to spory przedmiot o cudacznych proporcjach; jego przeznaczenie było niejasne, najbardziej wszakże przypominał tiarę.

Bibliotekarz dał mi bilecik polecający do mieszkającej nieopodal panny Anny Tilton, kuratorki Towarzystwa; pora nie była jeszcze skandalicznie późna, toteż po krótkich wyjaśnieniach dystyngowana starsza pani okazała się na tyle miła, że zaprowadziła mnie do zamkniętego budynku z eksponatami. Zbiór okazał się doprawdy zajmujący, wszelako byłem w takim nastroju, że uwagę moją bez reszty pochłonął przedziwny przedmiot w kącie, połyskujący za szybą w blasku elektrycznej lampy.

Zaiste nie trzeba było wyjątkowej wrażliwości na piękno, by zaniemówić

na widok fantasmagorycznej, nieziemskiej wspaniałości, która pyszniła się na poduszeczce z purpurowego atłasu. Nawet teraz trudno mi ją opisać, choć z całą pewnością opis nie kłamał, że było to coś na kształt tiary. Z przodu wysoka, boki miała wygięte niezwykle szeroko i zadziwiająco nieregularnie, jak gdyby wykonano ją dla głowy o fikuśnym, eliptycznym niemal kształcie. Zachowała się w stanie niemal doskonałym. Wykonana była chyba głównie ze złota, acz niesamowita połyskliwość skłaniała do przypuszczeń, że może wchodzić w grę jakiś dziwny stop złota z równie pięknym, a trudnym do zidentyfikowania materiałem. Niepospolite i zdumiewająco nietradycyjne zdobienia – formy geometryczne lub motywy morskie – odlano bądź wygrawerowano na powierzchni z niewiarygodnym wręcz kunsztem i wdziękiem; można było je studiować godzinami.

Im dłużej przyglądałem się tiarze, tym większa ogarniała mnie fascynacja – podszyta jednak uczuciem osobliwie ambarasującym, trudnym do opisania i sklasyfikowania. Zrazu uznałem, że źródłem tego niepokoju był dziwaczny, nieziemski pierwiastek tajemniczego eksponatu. Wszystkie artefakty, jakie dotąd zdarzyło mi się widzieć, należały do określonego prądu, rasowego czy narodowego, lub rzucały wszelkim uznanym prądom świadome, modernistyczne wyzwanie. Tiara nie mieściła się ani w jednym, ani drugim nurcie. Ponad wszelką wątpliwość stanowiła dzieło wyrafinowanego, nieskończenie dojrzałego i doskonałego rzemiosła, było ono wszakże niesłychanie odległe od wszelkich technik, jakich wytwory zdarzyło mi się poznać naocznie bądź z opisów – zarówno wschodnich, jak i zachodnich, zarówno starożytnych, jak nowoczesnych. Można było odnieść wrażenie, że jest to rękodzieło z innej planety.

Wkrótce spostrzegłem jednak, że istnieje jeszcze jedno, być może równie potężne źródło mego niepokoju: zawarte w dziwacznych zdobieniach obrazowe i matematyczne sugestie. Rzeźbienia owe przywodziły na myśl niedosiężne tajemnice i niewyobrażalne otchłanie przestrzeni i czasu, konsekwentnie zaś morska tematyka motywów sprawiała wrażenie niemal złowieszcze. Były wśród nich fantazyjne potwory o kształtach odrażająco groteskowych i nikczemnych – trochę jakby na poły rybich, na poły płazich – oddziaływały zaś na jakiś natarczywy, nieznośny zmysł pseudopamięci, jak gdyby na ich widok ożywały obrazy utrwalone w najgłębszych komórkach i tkankach, odziedziczone po najpierwotniejszych przodkach. Chwilami nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że każdy kontur tych bluźnierczych rybożab jest ostateczną kwintesencją niepojętego i nieludzkiego zła.

Z wyglądem tiary osobliwie kontrastowała jej krótka i prozaiczna historia. Według panny Tilton w 1873 roku zastawił ją za śmieszną sumę w lombardzie przy State Street jakiś pijany przybysz z Innsmouth, który niedługo później zginął w bójce. Towarzystwo zakupiło ją bezpośrednio od właściciela lombardu i ze względu na jej walory od razu wystawiło do oglądania. Sądzono, że pochodzi z Indii Wschodnich lub Indochin, aczkolwiek był to właściwie czysty domysł.

Panna Tilton, porównawszy wszystkie możliwe hipotezy na temat pochodzenia tiary i jej obecności w Nowej Anglii, skłonna była sądzić, że stanowiła ona część jakiegoś egzotycznego skarbu odkrytego przez kapitana

Obeda Marsha. Pogląd ten był w tej mierze uzasadniony, że gdy tylko Marshowie dowiedzieli się, iż tiara znajduje się w rękach Towarzystwa, zaproponowali, że wykupią ją po wysokiej cenie. Propozycje te wciąż jeszcze składali, mimo że Towarzystwo nieugięcie odmawiało sprzedaży kosztowności.

Odprowadzając mnie do wyjścia, poczciwa staruszka uzmysłowiła mi, że teoria o pirackim pochodzeniu fortuny Marshów jest dość popularna wśród inteligentniejszych mieszkańców okolicznych miast. Panna Tilton nigdy nie widziała Innsmouth, lecz mówiła o nim z odrazą: brzydziło ją, że społeczność tego widmowego miasta tak podupadła pod względem kulturowym, zapewniła mnie też, że pogłoski o kulcie diabła są częściowo uzasadnione istnieniem osobliwej tajnej sekty, która w Innsmouth urosła w siłę i opanowała wszystkie prawomyślne kościoły.

Sekta nosiła miano Ezoterycznego Zakonu Dagona. Zdaniem panny Tilton był to bez wątpienia podupadły, quasi-pogański kult przyniesiony ze Wschodu sto lat wcześniej, kiedy wydawało się, że jałowieją łowiska wokół Innsmouth. Jego trwałość wśród prostych ludzi była o tyle uzasadniona, że niedługo później łowiska nagle i na trwałe się odrodziły – kult zyskał wówczas w miasteczku wielkie wpływy, całkowicie wyparł wolnomularstwo i za swą główną siedzibę obrał dawny Masonic Hall przy skwerze New Church Green.

Dla pobożnej pani Tilton wszystko aż nadto świadczyło o tym, że to starodawne, wyludnione miasto jest siedliskiem zepsucia i zbydlęcenia, i należy je omijać – dla mnie wszakże stanowiło raczej dodatkową podnietę. Moje zainteresowania architektoniczne i historyczne zyskały mocną podbudowę antropologiczną, toteż gdy wreszcie udałem się na spoczynek w małym pokoiku w YMCA, z wrażenia nie mogłem zmrużyć oka.

II

Nazajutrz tuż przed dziesiątą udałem się z moją niewielką walizką na stary plac targowy i ustawiłem się przed drogerią Hammonda. Zauważyłem, że w miarę jak zbliżała się godzina przyjazdu autobusu, miejscowe próżniaki stopniowo przenoszą się w górę ulicy lub do baru Ideal Lunch po drugiej stronie rynku. Kasjer nie przesadzał: miejscowi naprawdę nie przepadali za Innsmouth i jego mieszkańcami. Niebawem w State Street wtoczył się z łoskotem niewielki autobus pomalowany brudnoszarą farbą i do cna zdezelowany. Gdy zawracał i ustawiał się przy krawężniku, nie miałem wątpliwości, że to ten pojazd; przypuszczenie to rychło potwierdziła umieszczona za przednią szybą tablica z na poły nieczytelnym napisem: „Arkham – Innsmouth – Newb’port”.

Autobusem przyjechało tylko trzech pasażerów – ponurych śniadych mężczyzn, z wyglądu dość młodych i niechlujnych; gdy tylko się zatrzymał, cała trójka wygramoliła się na zewnątrz i ruszyła wzdłuż State Street, jakby cichaczem, niemal chyłkiem. Wysiadł także kierowca – przyjrzałem mu się, gdy wchodził do drogerii po jakieś sprawunki. Był to, jak przypuszczałem, Joe Sargent, o którym wspominał kasjer; i nim jeszcze zdążyłem dostrzec jakiekolwiek szczegóły jego wyglądu, zapałałem do niego odruchową odrazą, której nijak nie mogłem sobie wytłumaczyć. W jednej chwili przestałem się

dziwić, że mieszkańcy Newburyport nie chcą jeździć autobusem prowadzonym przez takiego człowieka i bez wyraźnej potrzeby nie zapuszczają się do miasta zamieszkanego przez niego i jego krewnych.

Gdy kierowca wyszedł z drogerii, przyjrzałem mu się nieco bliżej, starając się określić źródło owego fatalnego wrażenia. Był to chudy, zgarbiony mężczyzna, wysoki na niemal sześć stóp, bez służbowego uniformu, ubrany w znoszony niebieski strój i wystrzępiony szary kaszkiet. Mógł liczyć sobie trzydzieści pięć lat, lecz komuś, kto nie przyjrzałby się baczniej jego tępej, pozbawionej wyrazu twarzy, mógł wydawać się znacznie starszy – a to za sprawą dziwacznych, głębokich zmarszczek po bokach szyi. Głowę miał wąską, oczy błękitne, wodniste i wyłupiaste – w dodatku wydawało się, że wcale nimi nie mruga – nos płaski, czoło i podbródek cofnięte, zaś uszy osobliwie słabo rozwinięte. Długa, gruba dolna warga i dziobate, szarawe policzki zdawały się zgoła pozbawione zarostu, nie licząc rzadkich, nieregularnych kępek żółtych włosków; tu i ówdzie zresztą cerę miał dziwnie nieregularną, jakby łuskowatą – może cierpiał na jakąś chorobę skórną. Ręce miał wielkie, w niezwykłym niebieskoszarym odcieniu, pokryte gęstą siatką żył. Palce były niezwykle krótkie w stosunku do reszty, odniosłem też wrażenie, że mają skłonność do zwijania się i chowania we wnętrzu potężnych dłoni. Przypatrując się, jak szofer osobliwie człapie w stronę autobusu, spostrzegłem, że ma nadzwyczaj wielkie stopy. Im bliżej się im przyglądałem, tym bardziej zachodziłem w głowę, gdzie kupuje tak ogromne buty.

Antypatię moją potęgowało to, że człowiek ów był jakby wytłuszczony. Najwyraźniej pracował w porcie rybnym lub przynajmniej często się po nim kręcił, ciągnął się za nim bowiem charakterystyczny rybi odór. Wyglądał na cudzoziemca, lecz skąd mógł pochodzić – nie śmiałem zgadywać. Przy całej swej dziwaczności nie wyglądał ani na Azjatę, ani na Polinezyjczyka, Lewantyńczyka czy Murzyna, wszelako trudno było się dziwić, że ludzie postrzegają go jako obcego. Osobiście skłonny byłem sądzić, że wchodzi tu w grę raczej biologiczna degeneracja niż domieszka obcej krwi.

Nie byłem zachwycony, gdy okazało się, że jestem jedynym pasażerem. Nie wiedzieć czemu, nie spodobała mi się myśl, że będę jechał samowtór z tym dziwnym kierowcą. Gdy nadszedł moment odjazdu, przemogłem jednak wstręt i wsiadłem za nim do autobusu, a następnie wręczyłem mu jednodolarowy banknot i mruknąłem krótko: „Innsmouth”. Szofer zerknął na mnie z ciekawością i bez słowa wydał czterdzieści centów reszty. Usiadłem daleko z tyłu, lecz po tej samej stronie co on, chciałem bowiem w trakcie jazdy popatrzeć na wybrzeże.

Zdezelowany autobus ruszył wreszcie z nagłym szarpnięciem, po czym z głuchym łoskotem, w kłębach spalin potoczył się wzdłuż ceglanych zabudowań State Street. W przelocie zauważyłem rzecz dziwną: przechodnie jakby starali się odwracać od autobusu wzrok – a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Wkrótce skręciliśmy w lewo, w nieco mniej stromą High Street, później przemknęliśmy obok statecznych starych willi z czasów wczesnej republiki i jeszcze starszych, kolonialnych gospodarstw, minęliśmy parkową dzielnicę Lower Green, przekroczyliśmy rzekę Parker, aż wreszcie

wyjechaliśmy z miasta i roztoczył się przed nami monotonny nadmorski krajobraz.

Dzień był słoneczny i ciepły, lecz w miarę jak posuwaliśmy się do przodu, pejzaż piaszczystych wydm, kęp turzycy i karłowatych zarośli stawał się coraz bardziej odludny. Widziałem błękitną linię morza i piaszczysty brzeg Plum Island; wkrótce skręciliśmy z głównej szosy prowadzącej do Rowley i Ipswich w wąską drogę wijącą się tuż nad linią plaż. Nie było tu żadnych domów, stan drogi świadczył zaś dobitnie, że ruch panuje tu nader nikły. Na niewielkich, steranych przez wiatry i deszcze słupach telegraficznych biegły zaledwie dwa druty. Co pewien czas przejeżdżaliśmy przez toporne drewniane mosty przerzucone nad kanałami pływowymi wrzynającymi się kręto w głąb lądu i potęgującymi ogólną izolację całej okolicy.

Od czasu do czasu spod ruchomych piasków wystawały resztki fundamentów i zmurszałe pniaki; przypomniałem sobie, że według jednej z książek historycznych, które czytałem w bibliotece, był to niegdyś rejon żyzny i gęsto zaludniony. Wszystko zmieniło się ponoć po roku 1846, kiedy to w Innsmouth wybuchła epidemia, a okoliczni wieśniacy zaczęli podejrzewać jego mieszkańców o mroczne konszachty z tajnymi siłami zła. W rzeczywistości cały rejon wyludnił się po tym, jak nieroztropnie wycięto nadbrzeżne lasy będące najlepszą ochroną dla gleby i zaporą przed nanoszonym przez wiatr piaskiem.

Wkrótce Plum Island zniknęła nam z oczu. Po lewej stronie rozpościerał się już tylko bezkresny Atlantyk. Wąska droga pięła się coraz bardziej stromo; patrzyłem, jak głębokie koleiny biegną na szczyt samotnego urwiska i stykają się z samym niebem – i czułem, jak do serca zakrada mi się osobliwy niepokój. Miałem wrażenie, że autobus wzbije się w górę, że zostawi za sobą rozumny ziemski świat i stopi się w jedno z niepojętą tajnią niebieskich przestworzy. W zapachu morza pojawiła się nuta złowieszcza, widok zgarbionych, sztywnych pleców kierowcy i jego wąskiej czaszki był mi coraz bardziej nienawistny. Zauważyłem, że tył głowy ma on niemal tak samo bezwłosy jak twarz – szorstką skórę porastały mu jedynie pojedyncze żółte kosmyki.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt urwiska i oczom naszym ukazała się rozległa dolina; widać było ujście rzeki Manuxet, a dalej na południe długą linię klifów zakręcającą w stronę Cape Ann. Na dalekim, zamglonym widnokręgu majaczył oszałamiający profil skały Kingsport Head, a na niej tajemniczy, prastary dom, o którym krążyło tyle legend. W tym momencie jednak uwagę moją przykuł bez reszty widok bliższy, rozciągający się pod nami: zdałem sobie sprawę, że dojeżdżam do osławionego, widmowego Innsmouth.

Miasto było rozległe i gęsto zabudowane, lecz wydawało się złowieszczo bezludne. Z lasu kominów unosiły się tylko pojedyncze smużki dymu. Na tle morza rysowały się trzy surowe, nieotynkowane wieże; jedna kruszyła się u szczytu i straszyła dziurą po zegarze; podobna wyrwa ziała w drugiej wieży. Z rozległego gąszczu mansardowych dachów i wyniosłych kalenic biła aura najwstrętniejszego zrobaczywienia – gdy zjechaliśmy jeszcze niżej, okazało się, że w istocie wiele dachów jest zupełnie zawalonych. Zauważyłem także

kilka dużych, kwadratowych domów w stylu georgiańskim, o czterospadowych dachach zaopatrzonych w kopuły i „wdowie tarasy” z poręczami. Większość z nich znajdowała się w pewnym oddaleniu od brzegu, a jeden czy dwa były nawet w zupełnie znośnym stanie. Spomiędzy nich wybiegał w głąb lądu zardzewiały, zarośnięty tor kolejowy z szeregiem poprzekrzywianych, pozbawionych drutu słupów telegraficznych oraz na wpół zatarte koleiny dawnych gościńców do Rowley i Ipswich.

Najbardziej przeżarte rozkładem były okolice portu, aczkolwiek to właśnie tam wypatrzyłem białą dzwonnicę wcale nieźle zachowanej ceglanej budowli, wyglądającej na niewielką fabrykę. Port był mocno zasypany piaskiem, osłaniał go zaś stareńki kamienny falochron zwieńczony – jak mi się zdawało – fundamentami zburzonej latarni morskiej; na falochronie dostrzegłem kilka maleńkich sylwetek siedzących rybaków. W samym porcie piach wdzierał się wielkim jęzorem w głąb lądu; dostrzegłem tam parę rozklekotanych chatynek, łodzi rybackich i więcierzy do połowu homarów. Głęboka była tu chyba tylko rzeka wypływająca zza ceglanej budowli i skręcająca na południe, a kawałek dalej, przy falochronie, wpadająca do oceanu.

Tu i ówdzie wychylały się w morze nabrzeża w różnym stopniu rozkładu, najbardziej zaś przegniłe zdawały się te najdalej wysunięte na południe. Mimo że akurat trwał przypływ, na pełnym morzu udało mi się też dostrzec długą czarną krechę – ledwie wystawała nad wodę, lecz emanowała z niej aura osobliwej, uśpionej nikczemności. A więc tak wyglądała Diabelska Rafa. Przyglądając się rafie, uczułem z zaskoczeniem, że jej widok napawa mnie nie tylko posępną odrazą, ale zaczyna też dziwacznie, subtelnie nęcić – i co najbardziej niezwykłe, wrażenie to przejęło mnie większym jeszcze niepokojem niźli pierwotne uczucie wstrętu.

Na drodze wciąż nie było widać żywej duszy. Mijaliśmy teraz opuszczone, w różnym stopniu zrujnowane farmy. Zauważyłem, że kilka z nich jest zamieszkanych: wybite szyby w oknach zatkane były szmatami, a na zaśmieconych podwórzach zalegały muszle i martwe ryby. Kilkakroć udało mi się dostrzec ludzi: pracowali osowiale w jałowych ogródkach bądź przekopywali cuchnącą rybami plażę w poszukiwaniu małży; widziałem też grupki brudnych, podobnych do małpek dzieci bawiące się wśród chwastów przy progach domów. Nie wiedzieć czemu ludzie owi sprawiali na mnie wrażenie jeszcze bardziej niepokojące niż zamieszkiwane przez nich ponure budynki – niemal każdy z nich rysami twarzy bądź sposobem poruszania budził we mnie instynktowną niechęć, jakkolwiek nie byłem w stanie określić i pojąć jej źródeł. Przemknęło mi przez myśl, że być może typowa dla mieszkańców Innsmouth konstytucja cielesna skojarzyła mi się z jakimś zapomnianym wizerunkiem, może ujrzanym w książce, w szczególnie melancholijnych bądź przerażających okolicznościach – to rzekome wspomnienie zgasło jednak natychmiast.

Gdy autobus zjechał jeszcze niżej, w nienaturalnej ciszy wychwyciłem jednostajny szum wodospadu. Krzywe, niepomalowane domy stały już coraz gęściej po obu stronach drogi i wyglądały bardziej miejsko niż te, które zostały za nami. Szeroką panoramę za oknami pojazdu zastąpił widok

wąskiej ulicy. Gdzieniegdzie można było też zauważyć resztki brukowanej nawierzchni i ceglanych chodników. Wszystkie domy sprawiały wrażenie opuszczonych, między niektórymi ziały też puste miejsca i tylko szczątki kominów oraz piwnicznych murów świadczyły o tym, że i tam stały niegdyś domostwa. Wszędzie unosił się najohydniejszy w świecie rybi fetor.

Wkrótce pojawiły się pierwsze skrzyżowania i rozdroża; ulice po lewej, niebrukowane i zapadłe, wiodły w stronę nadbrzeżnych siedlisk nędzy i zepsucia, te po prawej zachowały jeszcze resztki przeszłej świetności. Jak dotąd nie widziałem w mieście żadnych ludzi, gdzieniegdzie dało się jednak zauważyć oznaki zamieszkania: a to zasłonięte okno, a to poobijane auto zaparkowane przy krawężniku. Nawierzchnia ulic i chodników robiła coraz lepsze wrażenie, drewniane zaś i ceglane domy, jakkolwiek przeważnie dość stare – wyglądały na wybudowane w początkach dziewiętnastego stulecia – były wyraźnie zadbane. Jako antykwariusz amator niemal zapomniałem o mdlącym fetorze; miasto nie napawało mnie już uczuciem wstrętu i zagrożenia, przeciwnie, nęciło mnie jako nietknięty zabytek minionych dziejów.

Nim jednak dotarłem do celu, znów dostrzegłem coś, co napełniło mnie uczuciem wyjątkowej przykrości. Autobus przejeżdżał właśnie przez rodzaj placu czy ronda z zapuszczonym okrągłym zieleńcem pośrodku. Po prawej i lewej stronie stały kościoły, uwagę moją zwrócił zaś duży budynek z kolumnami przy najbliższym skręcie w prawo. Niegdyś pomalowany na biało, zszarzał i łuszczył się, fronton przyozdobiony był zaś czarno-złotą tablicą, na której z najwyższym trudem udało mi się odczytać wyblakły napis: „Ezoteryczny Zakon Dagona”. A więc była to dawna siedziba loży masońskiej, przejęta przez wyznawców zwyrodniałego kultu. W chwili gdy mozoliłem się nad odczytaniem rzeczonego napisu, uwagę moją przykuł dochodzący z naprzeciwka fałszywy dźwięk pękniętego dzwonu – szybko odwróciłem więc głowę i spojrzałem przez okno po mojej stronie autobusu.

Dźwięk ten dochodził z przysadzistej wieży kamiennego kościoła. Świątynia była wyraźnie późniejsza niż większość domów, wybudowana w niezdarnym neogotyckim stylu i wyposażona w nieproporcjonalnie wysokie podmurówki; okna w tych podmurówkach zasłonięte były okiennicami. Zegar po mojej stronie wieży nie miał już wskazówek, ale doliczyłem się jedenastu uderzeń ochrypłego dzwonu. Nagle jednak przestałem myśleć o czasie, ujrzałem bowiem z całą wyrazistością widok, który przejął mnie niepojętą grozą, nim zdołałem pojąć, co właściwie widzę. Oto drzwi do kościelnych podziemi były otwarte, rysowały się na tle muru czarnym prostokątem, i w chwili, gdy spoglądałem w tamtą stronę, przez prostokąt ów przesunął się – lub zdało mi się, że przesunął – pewien obiekt, który wraził mi się w mózg jak wizja z sennego koszmaru; najnieznośniejsze było zaś to, że po namyśle nie mogłem doszukać się w nim absolutnie niczego koszmarnego.

Była to istota żywa – nie licząc szofera, jedyna, jaką widziałem od wjazdu w głąb miasta – i w spokojniejszym nastroju doprawdy nie dopatrzyłbym się w niej żadnych znamion grozy. W istocie był to, jak zdałem sobie sprawę po chwili, miejscowy pastor obleczony w osobliwe szaty, bez wątpienia

wprowadzone do miejscowych obrządków przez Zakon Dagona. Tym, co w pierwszej chwili przykuło moją podświadomą uwagę i żgnęło mnie sztychem najosobliwszej zgrozy, było to, że na głowie miał tiarę niemal taką samą jak ta, którą poprzedniego wieczoru pokazała mi panna Tilton. Przedmiot ów trącił struny mej wyobraźni i sprawił, że widoczna pod nim nieokreślona twarz i spowita w dziwne szaty niezdarna postać kapłana tchnęła czymś niewysłowionym i złowrogim. Przecież jednak – uznałem po namyśle – nie było żadnych powodów, by miało mnie nękać owo nikczemne niby-wspomnienie; czyż mogłem się dziwić, że działająca w miasteczku tajemnicza sekta włączyła do swych liturgicznych szat tak wyjątkowe nakrycie głowy, które dziwnym sposobem – być może jako spadek po pirackim skarbie – stało się własnością miejscowej społeczności?

Na chodnikach pojawiali się już teraz ludzie, acz bardzo sporadycznie. Szli samotnie bądź w milczących parach lub trójkach, wszyscy dość młodzi, a przy tym odpychający z wyglądu. Gdzieniegdzie na parterze murszejących domów mieściły się małe sklepiki z obskurnymi szyldami; zauważyłem też jedną czy dwie zaparkowane ciężarówki. Wodospad szumiał już coraz wyraźniej, aż wreszcie ujrzałem przed nami wcale głęboki kanion; przerzucono nad nim szeroki most z żelaznymi poręczami, po drugiej zaś stronie rozpościerał się duży plac. Gdy przejeżdżaliśmy z donośnym chrzęstem po moście, rozejrzałem się dokoła i w dole rzeki wypatrzyłem jakieś fabryczne zabudowania. Pod nami pieniła się rzeczna kipiel; spostrzegłem dwa strome uskoki po prawej stronie oraz co najmniej jeden w dole. Z bliska szum wodospadów był wręcz ogłuszający. Przejechawszy przez most, autobus wtoczył się na duży półkolisty plac, skręcił w prawo i zatrzymał się przed wysokim budynkiem zwieńczonym kopułami i pokrytym szczątkami żółtej farby; na wpół zatarty szyld informował, że jest to hotel Gilman House.

Z ulgą wysiadłem z autobusu i niezwłocznie udałem się do hotelu. W obskurnej portierni zostawiłem bagaż; napotkałem tam tylko jednego człowieka – starszego mężczyznę niewyglądającego, jak zwykłem określać to w myślach, „tubylczo” – postanowiłem tedy, że nie będę szukał u niego odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Wyszedłem na plac, z którego zdążył tymczasem odjechać autobus, i jąłem przyglądać mu się uważnym, krytycznym okiem.

Brukowany rynek z jednej strony zamknięty był brzegiem rzeki, z drugiej zaś – półkolistym szeregiem ceglanych budynków o skośnych dachach, wybudowanych w początkach dziewiętnastego wieku; kilka ulic rozchodziło się promieniście na południowy wschód, południe i południowy zachód. Elektryczne latarnie były przygnębiająco nieliczne i niepozorne, toteż byłem rad, że wyjadę przed zapadnięciem zmroku, jakkolwiek wiedziałem, że noc będzie księżycowa. Wszystkie budynki były przyzwoicie zachowane, znajdowało się w nich z tuzin czynnych sklepów i punktów usługowych; wśród nich zauważyłem sklep spożywczy należący do sieci First National, ponurą restaurację, drogerię, biuro hurtowni ryb, na wschodnim zaś skraju placu, nad samą rzeką, biuro jedynej tutejszej fabryki – Marsh Refining Company. Po placu kręciło się z dziesięć osób, naliczyłem też cztery czy pięć

aut osobowych i ciężarówek. Nie miałem wątpliwości, że znajduję się w centrum miasta. Na wschodzie połyskiwał błękitnie port; na jego tle wznosiły się szczątki trzech niegdyś pięknych georgiańskich wież. Na drugim brzegu rzeki, nieopodal morskiego wybrzeża, widać było dzwonnicę budynku, w którym – jak mi się zdawało – znajdowała się rafineria.

Z jakiegoś powodu postanowiłem, że najpierw zasięgnę języka w sklepie spożywczym – może założyłem, że w sieciowym sklepie raczej nie będą sprzedawać miejscowi. Sprzedawcą okazał się chłopiec na oko siedemnastoletni, bystry i układny, spodziewałem się więc, że ochoczo udzieli mi wszelkich niezbędnych informacji. Istotnie, okazał się wyjątkowo skory do rozmowy. Szybko się przekonałem, że Innsmouth ze swym rybim odorem i podejrzanymi mieszkańcami nie budzi w nim sympatii; każda możność rozmowy z przyjezdnym była dlań prawdziwą ulgą. Pochodził z Arkham, mieszkał na stancji u rodziny, która sprowadziła się z Ipswich, i w każdy wolny dzień wyjeżdżał do domu. Jego bliscy z przykrością pogodzili się z tym, że zatrudnił się w Innsmouth, nie mógł jednak nic na to poradzić: wysłała go tu macierzysta firma, a chłopiec nie chciał rezygnować z posady.

W mieście nie było biblioteki publicznej ani izby handlowej, może jednak – stwierdził sprzedawca – uda się obmyślić jakąś marszrutę. Ulica, którą przyjechałem, nazywała się Federal Street; po jej zachodniej stronie znajdowały się piękne, stare ulice willowe – Broad, Washington, Lafayette i Adams Street – po wschodniej zaś aż do portu ciągnęły się nędzne rudery. Właśnie wśród nich – przy Main Street – znajdowały się georgiańskie kościoły, stare i piękne, lecz dawno już opuszczone. W takich miejscach nie powinienem przesadnie rzucać się w oczy – zwłaszcza po północnej stronie rzeki, jej mieszkańcy usposobieni są bowiem posępnie i nieprzyjaźnie. Zdarzało się nawet, że przyjezdni ginęli tam bez wieści.

W niektóre miejsca w ogóle lepiej się nie zapuszczać – chłopiec przekonał się o tym kiedyś na własnej skórze. Nie należy na przykład kręcić się przy rafinerii Marshów ani w pobliżu żadnego z czynnych jeszcze kościołów czy siedziby Zakonu Dagona przy New Church Green. Przedziwne były to świątynie – brutalnie zbezczeszczone przez zmianę nazw i wprowadzenie dziwacznych obrzędów oraz szat liturgicznych, stanowiły teraz siedlisko innowierczego, tajemniczego kultu. Kult ów odnosił się aluzyjnie do jakichś cudownych cielesnych transformacji, rzekomo prowadzących do swoistej – doczesnej, ziemskiej – nieśmiertelności. Pastor z Arkham, doktor Wallace z episkopalnego Kościoła baptystów, solennie przestrzegał chłopca, by trzymał się z daleka od tutejszych kościołów.

O mieszkańcach Innsmouth młodzieniec sam nie wiedział, co myśleć. Widać ich było rzadko, ukrywali się niczym zwierzęta w norach i trudno było sobie wyobrazić, jak spędzali czas między sporadycznymi połowami. Sądząc po wypijanych w mieście ilościach nielegalnych trunków, być może po prostu przez większość dnia grążyli się w alkoholowym otępieniu. Można było odnieść wrażenie, że łączy ich jakaś posępna więź – że gardzą otaczającym ich światem, jak gdyby umieli wejrzeć w wyższe, doskonalsze sfery istnienia. Wyglądali porażająco – zwłaszcza ze swymi wyłupiastymi oczyma, które nigdy się nie zamykały ani nie mrugały – i mówili ohydnymi głosami.

Najwstrętniej brzmiały ich zaśpiewy dochodzące nocami z kościołów, zwłaszcza gdy obchodzili swe najważniejsze święta, przypadające na 30 kwietnia i 31 października.

Mieszkańcy Innsmouth uwielbiali wodę – z wielkim upodobaniem pływali w rzece i w morzu, uwielbiali urządzać wyścigi pływackie z portu do Diabelskiej Rafy. Wydawali się zresztą wprost stworzeni do tego nielekkiego sportu. W zasadzie można było odnieść wrażenie, że miejscach publicznych widuje się tylko ludzi młodych, im zaś kto był doroślejszy, tym bardziej nieludzko wyglądał. Gdy już napotkało się wyjątek od tej reguły, była to osoba pozbawiona zgoła wszelkich śladów aberracji, taka jak stary recepcjonista w Gilman House. Ciekawe, co się dzieje z większością starszych mieszkańców, i czy „tubylczy wygląd” nie jest po prostu efektem działania dziwnej, złośliwej choroby, z biegiem lat zarażającej coraz większą populację.

Oczywiście musiało to być schorzenie wyjątkowo niespotykane, skoro wywoływało tak rozległe i dogłębne zmiany w anatomii dorosłego człowieka – nieomijające nawet zasadniczych cech kośćca, takich jak kształt czaszki. Nawet jednak te deformacje nie były bardziej wstrząsające i niesłychane niż wygląd ogólny dotkniętego rzekomą chorobą człowieka. Młodzieniec twierdził, że trudno mu kusić się o jakiekolwiek wnioski, nawet bowiem mieszkając w Innsmouth wiele lat, nie sposób było zawrzeć z miejscowymi bliższej znajomości.

Chłopiec był przekonany, że w niektórych miejscach poukrywani są osobnicy jeszcze szkaradniejsi. Gdzieniegdzie można było usłyszeć najdziwaczniejsze hałasy. Rozchwierutane rudery na północ od rzeki były ponoć połączone ukrytymi tunelami, co czyniło z nich istną wylęgarnię niewyobrażalnych zwyrodnień. Skąd pochodziło to cudzoziemskie nasienie – o ile w istocie byli to cudzoziemcy – nie sposób było orzec. Wiadomo było jednak, że gdy w mieście pojawiał się państwowy urzędnik lub jakikolwiek przybysz z zewnętrznego świata, najbardziej odrażające jednostki trzymano w ukryciu.

Na nic zdałoby się jednak – zapewniał mój informator – wypytywanie miejscowych. Jedynym skorym do zwierzeń mieszkańcem Innsmouth był pewien bardzo stary, lecz zwyczajnie wyglądający pijaczyna o nazwisku Zadok Allen mieszkający w przytułku na północnym skraju miasta. Ów sędziwy, bo dziewięćdziesięcioszześcioletni, a w dodatku lekko trącony człeczyna zwykle włóczył się po mieście lub wysiadywał w pobliżu remizy strażackiej. Był dziwny i skryty, nieustannie zerkał przez ramię, jak gdyby się czegoś obawiał, i w chwilach trzeźwości za nic nie ośmieliłby się rozmawiać z obcym – nie umiał sobie jednak odmówić swej ulubionej trucizny i gdy był wstawiony, hojnie zwierzał się z najbardziej zdumiewających wspomnień.

Trudno było jednak spodziewać się po nim użytecznych informacji: stary plótł trzy po trzy, czynił aluzje do jakichś niemożliwych cudów i zgróz, które z całą pewnością lęgły się wyłącznie w jego rozbuchanej fantazji. Nikt nie dawał mu wiary, lecz miejscowym i tak nie były w smak jego pijackie pogaduszki z obcymi – toteż dla własnego bezpieczeństwa należało go zdybać

na osobności. Być może to właśnie on rozsiewał krążące po okolicy niesamowite i bałamutne pogłoski na temat Innsmouth.

Spośród przyjezdnych mieszkańców miasta kilku osobom rzekomo zdarzyło się zauważyć mimochodem różne potworności, trudno się wszakże dziwić, że w mieście pełnym zdeformowanych tuziemców oraz bajęd starego Zadoka ludziom zwiduje się to i owo. Tak czy owak panowało ogólne przekonanie, że pozostawanie po zmroku poza domem byłoby wielce nierozsądne, toteż przyjezdni wieczorami zamykali się w domach. Późnym spacerom nie sprzyjała zresztą panująca na ulicach odrażająca ciemność.

Interesy w mieście zamierały: w morzu wprawdzie wręcz niesamowicie roiło się od ryb, lecz miejscowi rybacy czerpali z ich połowu coraz mniej korzyści. Co gorsza, spadały ceny i rosła konkurencja. Najlepiej prosperującym przedsiębiorstwem w mieście była oczywiście rafineria, której biuro mieściło się przy placu, ledwie parę domów od miejsca, gdzie rozmawiałem z młodym sprzedawcą. Starego Marsha nie widywano nigdy, z rzadka tylko można było zauważyć, jak przyjeżdża do fabryki zamkniętym, szczelnie zasłoniętym samochodem.

O tym, jak teraz wygląda, krążyły najróżniejsze plotki. Niegdyś był wielkim dandysem – mówiono, że wciąż ubiera się we fraki i inne fatałaszki z epoki edwardiańskiej, poprzerabiane tak, by dobrze leżały na zniekształconym ciele. Biuro przy placu prowadzili kiedyś jego synowie, ostatnimi czasy jednak i ich trudno było zobaczyć – pojawiali się z rzadka, większość interesów pozostawili młodszemu pokoleniu. Wyglądali już bardzo dziwacznie, zwłaszcza ci najstarsi; to samo dotyczyło ich sióstr. Podobno całe potomstwo Obeda Marsha mocno niedomagało.

Jedna z jego córek miała odpychającą, gadzią aparycję i obwieszała się cudaczną biżuterią, podobnie egzotyczną jak dziwna tiara, którą zdarzyło mi się oglądać. Mój rozmówca widział te ozdoby wiele razy, słyszał też, że są one pono częścią tajemnego, pirackiego bądź diabelskiego skarbu. Podobne ozdoby nosili na głowie miejscowi duchowni – księża, kapłani, czy jak ich jeszcze ostatnio nazywano; jednak publicznie pojawiali się bardzo rzadko. Innych dziwnych kosztowności chłopiec nie widział, aczkolwiek chodziły słuchy, że w okolicach Innsmouth jest ich jeszcze sporo.

Marshowie, podobnie jak trzy inne dobre rodziny w mieście – Waite'owie, Gilmanowie i Eliotowie – żyli w ścisłym odosobnieniu. Wszyscy mieszkali w olbrzymich rezydencjach na Washington Street. Pewne rody ponoć ukrywały tych spośród swoich członków, którzy z racji swego wyglądu nie mogli już pokazać się publicznie; starannie ogłaszano i odnotowywano tylko ich zgony.

Rozmówca mój ostrzegł mnie, że w mieście brakuje wielu tablic informacyjnych, narysował mi jednak szkicowy, lecz obszerny i szczegółowy plan miasta, uwzględniający jego najważniejsze punkty. Mapka od razu wydała mi się wielce pomocna, schowałem ją więc starannie do kieszeni i serdecznie podziękowałem. Nie miałem ochoty wstępować do obskurnej restauracji przy placu, toteż z myślą o późniejszym posiłku zaopatrzyłem się tylko w spory zapas sucharów serowych i słodkich pierniczków. Postanowiłem, że obejdę główne ulice miasta, porozmawiam ze wszystkimi przyjezdnymi mieszkańcami, jakich tylko uda mi się spotkać, i o ósmej

wieczorem złapię autobus do Arkham. Innsmouth stanowiło doskonały, przesadny wręcz przykład miasta upadłego; nie będąc socjologiem, musiałem wszakże ograniczyć poważniejsze obserwacje do sfery architektonicznej.

Tym sposobem rozpocząłem półprzytomną, choć systematyczną zarazem wędrówkę po wąskich zaułkach zaklętego, widmowego Innsmouth. Przeszedłem przez most, skręciłem w stronę ryczących uskoków dolnego biegu rzeki i minąłem z bliska rafinerię Marshów, z której – co ciekawe – nie dochodził żaden fabryczny hałas. Budynek rafinerii stał na skraju rzecznego urwiska, nieopodal mostu i rozległego zbiegu ulic, który – jak przypuszczałem – u zarania dziejów miasta stanowił jego centrum, po wojnie o niepodległość zastąpione w tej funkcji przez obecny rynek.

Wróciwszy na Main Street ponownie przekroczyłem most i znalazłem się w okolicy tak zapadłej, że na jej widok aż przejął mnie dreszcz. Na tle nieba rysował się fantastycznie pogiętą, szczerbatą krechą gąszcz pozapadanych mansardowych dachów, górowała zaś nad nim makabryczna, zgilotynowana wieżyca stareńkiego kościoła. Niektóre domy na Main Street wyglądały na zamieszkane, większość jednak była zabita deskami na głucho. W niewybrukowanych bocznych uliczkach ziały okna opuszczonych ruder, niekiedy poprzechylanych pod niewiarygodnym, niebezpiecznym kątem na osiadłych w ziemi fundamentach. Okna owe wytrzeszczały się na mnie tak upiornie, że skręcenie na wschód, w stronę wybrzeża, kosztowało mnie sporo odwagi. Nie da się ukryć, że w tak ponurym, wyludnionym mieście groza opustoszałych domostw rośnie nie w arytmetycznym nawet, ale w geometrycznym wręcz postępie. Na widok niekończących się alej tchnących śmiercią i rybiooką pustotą, na myśl o niezliczonych wnętrzach grążących się w ponurym mroku i wydanych na pastwę pająków, wspomnień i robaka zwycięzcy, nawet najtrzeźwiejszy filozof nie oprze się ukłuciom lęku i odrazy.

Fish Street była opuszczona w podobnym stopniu co Main Street, więcej było tu jednak doskonale zachowanych domów i magazynów z cegły i kamienia. Water Street była niemal jej kopią, z tą tylko różnicą, że gdzieniegdzie otwierały się obszerne prześwity z widokiem na nabrzeże. Wciąż nie widziałem ani żywej duszy, na dalekim falochronie majaczyły tylko pojedyncze sylwetki rybaków, jedynym zaś dźwiękiem był szum fal w porcie i ryk rzecznych wodospadów. Miasto coraz bardziej działało mi na nerwy; wracając na drugą stronę rzeki przez rozchwierutany most na Water Street zacząłem zerkać ukradkiem przez ramię. Most na Fish Street – jak wynikało z mapki – był zniszczony.

Po północnej stronie rzeki tętniło słabiutko nędzne miejskie życie: na Water Street działały przetwórnie ryb, niektóre dachy były połatane, tu i ówdzie z kominów leciał dym, z nieokreślonych źródeł dochodziły czasem jakieś dźwięki, posępnymi uliczkami i niebrukowanymi zaułkami snuły się z rzadka ludzkie postacie – cóż jednak z tego, skoro okolica sprawiała jeszcze bardziej przytłaczające wrażenie niż wyludniona część południowa. Przede wszystkim dlatego, że ludzie byli tu jeszcze ohydniejsi i bardziej zwyrodniali niźli mieszkańcy centrum; ich widok kilkakrotnie nasunął mi na myśl nikczemne, fantasmagoryczne skojarzenia, których źródła nie umiałem

określić. Ponad wszelką wątpliwość w żyłach tych ludzi płynęło więcej obcej krwi niźli u tych, co mieszkali w głębi lądu; chyba że „tubylczy wygląd” był istotnie skutkiem choroby, a nie cudzoziemstwa – wówczas można by uznać, że w portowej dzielnicy spotyka się po prostu bardziej zaawansowane przypadki.

Podczas tej przechadzki wyjątkowo drażniła mnie jedna rzecz: pochodzenie owych słabych, nieokreślonych dźwięków, które niekiedy dolatywały mych uszu. W zasadzie powinny one dobiegać z domów zdradzających oznaki zamieszkania, najsilniej jednak wybrzmiewały one z zabitych na głucho ruder. Były to poskrzypywania, tupoty oraz inne jeszcze, chrapliwe dźwięki nieokreślonej natury; w nieprzyjemny sposób nasunęły mi się na myśl owe sekretne tunele, których istnienia domyślał się chłopiec ze sklepu. Nagle zacząłem się zastanawiać, jak też mogą brzmieć głosy mieszkańców miasta – na razie nie słyszałem z ich ust ani słowa i z niezrozumiałych przyczyn bardzo nie chciałem ich usłyszeć.

Tylko na chwilę zatrzymałem się przy dwóch pięknych, choć zrujnowanych kościołach na Main i Church Street, a następnie z ulgą jąłem oddalać się od przebrzydłej nadmorskiej dzielnicy. Następnym przystankiem w moim planie był skwer New Church Green, lecz myśl o tym, że miałbym zbliżyć się do kościoła, w którym dostrzegłem niepojęcie zatrważającą postać księdza czy pastora w dziwacznym diademie, z jakichś powodów wydała mi się nieznośna. Zresztą mój informator również sugerował, że przebywanie w pobliżu kościołów, tudzież siedziby Zakonu Dagona, jest rzeczą dla obcych niewskazaną.

Szedłem tedy wzdłuż Main Street w kierunku północnym, ku Martin Street, następnie skręciłem w głąb lądu, minąłem Federal Street w bezpiecznej odległości od New Church Green, po czym wkroczyłem do podupadłej dzielnicy arystokratycznej, zamkniętej między północnym odcinkiem Broad Street a ulicami Washingtona, Lafayette’a i Adamsa. Majestatyczne stare aleje, kryjące się w cieniu rozłożystych wiązów, były mocno zaniedbane, lecz zdołały zachować szczątek dawnej godności. Z ciekawością przyglądałem się mijanym willom: większość chyliła się ku upadkowi, straszyła zabitymi oknami z głębi zapuszczonych ogrodów, w jednej czy dwu dostrzegłem jednak oznaki życia. Na Washington Street minąłem rząd aż czterech czy pięciu domów w stanie doskonałym, pyszniących się znakomicie utrzymanymi trawnikami i ogrodami. Najbardziej okazała willa, na tyłach aż po Lafayette Street otoczona rozległymi kwietnymi tarasami, należała – jak przypuszczałem – do starego Marsha, schorowanego właściciela rafinerii.

Na żadnej z tych ulic nie widać było śladów życia; zdziwiło mnie, że w Innsmouth nie ma w ogóle psów ani kotów. Zaskoczyło mnie również i zaniepokoiło to, że nawet w najlepiej zachowanych willach okna na wyższych piętrach i poddaszach były starannie zasłonięte okiennicami. Wyglądało na to, że to milczące, tchnące obcością i śmiercią miasto za wszelką cenę broni swoich sekretów. Nie mogłem też oprzeć się wrażeniu, że chytre, wyłupiaste, wiecznie otwarte oczy jego mieszkańców śledzą z ukrycia każdy mój krok.

Pęknięty dzwon na wieży po mej lewej ręce wybił godzinę trzecią, a ja aż zadrżałem – zbyt dobrze pamiętałem, z którego kościoła dochodzi ten dźwięk. W miarę jak Washington Street zbliżała się do rzeki, oczom moim ukazywały się kolejne relikty dawnego przemysłu i handlu: na wprost ujrzałem ruiny jakiejś fabryki, a po prawej ręce, w górze rzeki, jeszcze jednej, obok zaś szczątki stacji kolejowej i zarośnięte torowisko.

Most był niepewny i opatrzony ostrzegawczą tabliczką, zaryzykowałem jednak i przedostałem się z powrotem na południowy brzeg. Znów pojawiły się ślady życia: snujące się ulicami postacie rzucały mi ukradkowe, nieprzeniknione spojrzenia, twarze zaś zwyklejsze przyglądały mi się z chłodnym zainteresowaniem. Miasto z każdą chwilą stawało się coraz bardziej nieznośne, toteż skręciłem w Paine Street i ruszyłem w stronę rynku w nadziei, że złapię jakiś wcześniejszy transport do Arkham i nie będę musiał czekać aż do ósmej na odjazd posępnego autobusu.

Wtedy właśnie po lewej ręce oczom moim ukazała się zrujnowana remiza, a przed nią, na ławce – stary brodacz o czerwonej twarzy i załzawionych oczach, ubrany w nieokreślone łachmany i gawędzący z dwoma flejtuchowatymi, choć zwyczajnie wyglądającymi strażakami. Nie miałem wątpliwości, że mam przed sobą wpółobłąkanego Zadoka Allena, niemal stuletniego pijusa, skarbnicę niewiarygodnych i odrażających opowieści o starym Innsmouth i dręczących go widmach.

III

Musiał mnie chyba dopaść jakiś bies przewrotności – lub szyderczy impuls z mrocznych, utajonych źródeł – że jednak postanowiłem zmienić plany. Od dłuższej już chwili ograniczałem swe obserwacje wyłącznie do architektury i szybkim krokiem zmierzałem w stronę rynku, licząc na to, że znajdę środek transportu, który pomoże mi wydostać się z tego ropiejącego, tchnącego śmiercią i zgnilizną miasta – na widok starego Zadoka Allena myśli moje potoczyły się wszakże w inną stronę, a nogi same zwolniły kroku.

Mój rozmówca ze sklepu zapewniał, że od starego opoja nie usłyszę nic prócz steku niejasnych, obłędnych, niewiarygodnych legend, przestrzegł mnie też, że rozmawianie z nim na oczach mieszkańców miasta jest rzeczą niebezpieczną; wszelako to, że od niemal stu lat Zadok był naocznym świadkiem upadku miasta, że pamięć jego sięga czasów, gdy w Innsmouth działały jeszcze fabryki i budowano statki, było pokusą, jakiej nie mogłem sobie wyperswadować. W końcu najdziwaczniejsze nawet i najdziksze mity często bywają po prostu symbolicznym bądź alegorycznym wyrazem jakiejś prawdy – stary Zadok widział zaś wszystko, co działo się w Innsmouth przez ostatnie dziewięćdziesiąt lat. Koniec końców ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem – wiedziony podszeptem młodzieńczego egotyzmu roiłem sobie, że z mętnych fantasmagorii starego dziwaka – które być może uda mi się sprowokować tanią whiskey – zdołam wyłuskać jądro prawdziwej historii.

Wiedziałem, że nie mogę zagadnąć go tam, gdzie siedzi – strażacy z pewnością zorientowaliby się w mych zamiarach i udaremniliby je. Tymczasem mogłem się jednak odpowiednio przygotować: zajść do sklepu, w którym wedle słów mego informatora sprzedawano nielegalnie alkohol, kupić butelkę, po czym wrócić pod remizę i udać, że wałęsam się jak gdyby

nigdy nic – a wreszcie niby to przypadkiem wpaść na starego Zadoka, gdy wyruszy na jedną ze swych częstych włóczęg. Młodzieniec w sklepie przy rynku twierdził, że stary jest bardzo niespokojny, rzadko przesiaduje pod remizą dłużej niż godzinę lub dwie.

Kwartę whiskey kupiłem bez trudu – choć bynajmniej nie tanio – tuż przy rynku, na tyłach zapyziałego sklepu z mydłem i powidłem na Eliot Street. Obsłużył mnie jakiś brudas niepozbawiony tubylczej wyłupiastości oczu, ale też zupełnie przyzwoity w obejściu – może po prostu nawykł już do odwiedzin szukających rozrywki przyjezdnych: kierowców ciężarówek, handlarzy złotem i tym podobnych.

Gdy wróciłem na rynek, okazało się, że szczęście mi sprzyja; ledwie wyszedłem leniwym krokiem zza rogu Gilman House, wyrosła przede mną wysoka, chuda, obdarta postać starego Zadoka Allena. Postąpiłem tedy zgodnie z moim planem i śmiało odsłoniłem zakupioną właśnie butelkę; potem skręciłem w Waite Street, zmierzając w stronę najbardziej wyludnionej części miasta, i rychło zdałem sobie sprawę, że stary gorliwie ruszył moim śladem.

Zgodnie ze wskazaniami mej szkicowej mapki kierowałem się w stronę zgoła bezludnego południowego odcinka wybrzeża. Widać tam było jedynie rybaków na końcu falochronu, wystarczyło zresztą minąć jeszcze kilka przecznic, by wydostać się poza zasięg również ich wzroku. Postanowiłem, że zaciągnę starego Zadoka na któreś z opuszczonych nabrzeży, tam znajdę ustronne miejsce do siedzenia i bez pośpiechu, z dala od wścibskich oczu, o wszystko go wypytam. Nim zdążyłem skręcić w Main Street, za plecami usłyszałem słaby, dychawiczny okrzyk: „Ej, panie!”, toteż przystanąłem, zaczekałem, aż starzec mnie dogoni, i pozwoliłem mu zdrowo pociągnąć z butelki.

Gdy zdążaliśmy już razem w stronę Water Street, zagłębiając się w południową część miasta, wyludnioną do ostatka i pogrążoną w ostatecznej ruinie, począłem dyskretnie ciągnąć starego za język, okazało się to jednak zadaniem trudniejszym, niż oczekiwałem. W końcu dostrzegłem przejście między murszejącymi ceglanymi murami, zarośnięty trawą zaułek wiodący w stronę morza. W prześwicie widać było zachwaszczone kamienno-ziemne nabrzeże usiane stosami omszałych kamieni, na których można było w miarę znośnie przysiąść, od północy całkowicie zasłonięte zrujnowanym magazynem. Od razu uznałem, że jest to idealne miejsce na długą, sekretną konwersację – poprowadziłem więc starego przez zapuszczony zaułek, a gdy znaleźliśmy się na nabrzeżu, wybrałem najdogodniejsze siedziska wśród omszałych kamieni. Miejsce tchnęło upiorną aurą śmierci i opuszczenia, rybi odór był wręcz nie do zniesienia, lecz nic już nie było w stanie mnie zniechęcić.

Jeśli miałem zdążyć na wieczorny autobus do Arkham, na rozmowę pozostały mi mniej więcej cztery godziny, toteż zacząłem wydzielać staremu alkohol drobnymi łykami, sam zaś jadłem swój skromny obiad. Starałem się nie upić Zadoka za szybko – nie chciałem, by ze stanu pijackiej gadatliwości przeszedł w tępe odrętwienie. Po godzinie stary ośmielił się nieco, lecz ku memu rozczarowaniu pytania dotyczące Innsmouth i jego widmowej

przeszłości pozostawiał bez odpowiedzi: rozpaplał się o sprawach aktualnych, zdradzając gruntowne oczytanie w prasie oraz wielkie zamiłowanie do sentencjonalnych ludowych mądrości.

Pod koniec drugiej godziny zacząłem się obawiać, że kwarta whiskey może nie wywołać pożądanych rezultatów, i przemyśliwałem, czyby nie zostawić Zadoka na chwilę i nie uzupełnić zapasów. Czego jednak nie osiągnąłem pytaniami, podarował mi w pewnej chwili przypadek – i oto pijak skierował wreszcie swą dychawiczną gadaninę na wyczekiwane przeze mnie od dawna tory. Siedziałem mianowicie odwrócony w stronę brzegu, stary zaś twarzą ku zionącemu rybim fetorem morzu i w pewnym momencie z jakiegoś powodu jego błądzące spojrzenie spoczęło na Diabelskiej Rafie rysującej się nad falami fascynująco wręcz wyraźną linią. Jej widok najwyraźniej go mierził, w pewnej chwili bowiem rzucił słabą wiązankę przekleństw, a potem łypnął porozumiewawczo i nachylił się w moją stronę. Chwycił mnie za klapę płaszcza, gdy zaś nadstawiłem uszu, jął sączyć do nich aluzje, których treść odgadłem bez pudła:

„Tam się wszystko zaczęło, tam, jak dno opada i zaczyna się głęboka woda. To brama piekieł! Nie zmierzyłbyś, bratku, ile tam sążni wody i ile stóp błota… Po stokroć przeklęte miejsce! A wszystko przez starego szypra Obeda Marsha: szwendał się po Morzach Południowych, no i przywlókł stamtąd nie to, co trza…

Źle się wtedy działo, oj źle… Handel szedł mizernie, fabryki ledwie zipały, nawet te nowe… co miały robić chłopy z Innsmouth? Ano szły na morze: szły do korsarzy, jak wybuchła wojna w osiemset dwunastym, albo szły na dno na statkach Gilmana… Miał ci on bryg Elizy i dwumasztowiec Ranger. Obed Marsh miał trzy łajby: brygantynę Columby, bryg Hetty i bark Sumatry Queen. Z tutejszych szyprów tylko on jeszcze pływał na Pacyfik i do Indii Wschodnich… choć prawda, był jeszcze Esdras Martin – miał barkentynę Malay Pride, i na tej barkentynie pływał jeszcze w dwudziestym ósmym.

Diabli nadali tego Obeda Marsha! Najgorszym z wszystkich szyprów był… He, he, pamiętam, jakie bezeceństwa wygadywał, jak się naśmiewał, że ludziska chodzą do kościoła i tyrają w pocie czoła jak woły robocze. Są lepsi bogowie – gadał – na ten przykład w Indiach… tacy bogowie, że jak im się składa ofiary, to wysłuchują modlitw i dają ludziom ryb w bród.

Matt Eliot, jego pierwszy oficer, o, ten tyż sporo gadał, ino on akurat nie chciał, żeby ludziska się nawracali na pogaństwo. Gadał o jakiejś wyspie na wschód od Otaheiti, że jest tam cała masa kamiennych ruin, starych, że aż się we łbie nie mieści, trochę takich jak te na Karolinach, na Ponape, ino że z wyrzeźbionymi gębami, podobnymi do tych z Wyspy Wielkanocnej. Tam niedaleko była ponoć jeszcze jedna wysepka, wulkaniczna, z jeszcze innymi ruinami i jeszcze innymi rzeźbami – a te ruiny były takie przeżarte, jakby długo były pod wodą, i całe rzeźbione w jakieś szkaradne potwory.

No i Matt gadał, panoczku, że ci tubylcy mieli tam tyle ryb, ile tylko chcieli, i jeszcze że nosili różne ozdóbki na rękach i głowach, bransolety i inne takie porobione z jakiegoś dziwacznego złota, i całe porzeźbione w takie same potwory jak na tej małej wysepce – jakieś takie rybowate żaby

czy żabowate ryby, a wyrysowane w takich pozach, jakby to byli ludzie. Nikt się nie mógł połapać, skąd oni to wszystko mają, a inni krajowcy jeszcze się dziwili, jak im się udaje nałowić tyle ryb, skoro sami mieszkają o rzut kamieniem od nich, a łapią tyle co kot napłakał. Matt tyż się zaczął dziwić, i kapitan Obed tyż. A Obed jeszcze zauważył, że z roku na rok cała chmara młodych, pięknych chłopaków i dziewuch przepada tam bez śladu, i że mało tam widać starych ludzi. I jeszcze zdawało mu się, że niektórzy z tych krajowców to cholernie dziwacznie wyglądają, nawet jak na Kanaków.

No i trochę czasu minęło, zanim się Obed zmiarkował, jak to jest z tymi poganami. Nie wiem, jak mu się to udało, ale wpierw zaczął z nimi handlować: kupował te ich złote ozdoby, potem ich spytał, skąd je mają i czy mogliby mieć więcej, aż wygadał mu wszystko taki jeden stary wódz – Walakea mu było. Nikt na miejscu kapitana Obeda by temu żółtemu czortowi nie uwierzył, ale kapitan Obed umiał przejrzeć ludzi na wylot… He, he! Nikt mnie tera nie słucha, jak o tym opowiadam, ty mi tyż, koleżko młody, pewnikiem nie dasz wiary – chociaż… pokaż no mi się… ależ ty świdrujesz tymi swoimi oczami, wypisz wymaluj jak kiedyś Obed!”

Szept starego przycichł, a ja zorientowałem się, że straszliwy, złowieszczy ton jego głosu przejmuje mnie dreszczem zgrozy – jakkolwiek wiedziałem przecież, że opowieść jego jest niczym więcej jak tylko pijacką fantazją.

„No więc, panoczku, Obed dowiedział się, że są na ziemi rzeczy, o jakich większości ludzi się nawet nie śniło – a jakby im się przyśniło, toby nie uwierzyli… Okazało się, że te Kanaki składali całe chmary swoich młodych chłopców i dziewuszek w ofierze jakimś niby to bogom, co żyją w morzu, i w zamian dostawali wszystko, czego dusza zapragnie. Spotykali się z nimi na tej wysepce z dziwnymi ruinami, a te szkaradne rybio-żabie potwory, co były tam wyrzeźbione, to były chyba akuratnie te bogi. Kto wie, może właśnie od nich się zaczęły te wszystkie historie o syrenach i innych takich stworach. Na dnie morza miały najróżniejsze miasta, a ta wysepka to się dopiero co wydźwignęła z dna. No i pewnie było tak, że jak się nagle wynurzyła, to niektóre z nich właśnie siedziały w tych kamiennych budowlach. Stąd Kanaki wyniuchali, że to stwory z dna morza. Wpierw mieli tęgiego pietra, ale potem dogadali się na migi i szast-prast dobili targu.

Te stwory lubiły ofiary z ludzi. Dostawały je kiedyś, wieki temu, ale potem straciły kontakt ze światem na górze. Co one z tymi biedakami robiły, to już ci nie powiem, a i Obed tyż chyba się o to zbytnio nie wypytywał. Ale tym poganom było to w smak; przędli wtedy cienko, więc nie za bardzo się certolili – dwa razy w roku, w przeddzień święta majowego i w noc przed Wszystkich Świętych, brali trochę swoich dzieciaków i ofiarowali tym morskim stworom. I jeszcze dawali im trochę ozdóbek, co to je sami wyrabiali. A te stwory dawały im w zamian całe mnóstwo ryb – ściągały je tam z całego morza – i co jakiś czas dorzucały jeszcze trochę tych swoich niby to złotych świecidełek.

No więc, jak powiadam, działo się to wszystko tak, że krajowcy zabierali te swoje ofiary, wsiadali w kanu, płynęli na tę wulkaniczną wysepkę, spotykali się z tymi stworami, a z powrotem przywozili te niby złote błyskotki. Stwory z początku nie zapuszczały się na główną wyspę, ale z

czasem zaczęły. Umyśliły se, że będą się z tymi krajowcami krzyżować – i jak przychodziło święto majowe albo Wszystkich Świętych, to odprawiały z nimi wspólne obrzędy. Widzisz, bratku, one mogły żyć i w wodzie, i na lądzie; ziemno-wodne były, czy jak to się nazywa. Kanaki bali się, że jak ludziska z innych wysp zwęszą, co się u nich dzieje, to mogą ich wyciąć w pień, ale tamci powiedzieli, że się nie boją, bo jakby chcieli, to sami by mogli wyciąć ludzi w pień, i to wszystkich – znaczy się tych, co nie znają odpowiednich znaków, tych, co je kiedyś używali Przedwieczni, czy jak im tam było. Ale gadały tyż, że nie chcą nikogo zabijać – jak ktoś przypływa na ich wyspę, to się przyczajają w wodzie.

Parzyć się z tymi ropuchowatymi rybami to te Kanaki nie za bardzo mieli ochoty, ale w końcu usłyszeli coś, co ich przekonało. Rozchodzi się mianowicie o to, że ludzie są chyba z tymi wodnymi bydlętami jakoś powiązani – wszystko, co żyje, wylazło kiedyś z wody i trzeba tylko trochę pokombinować, a do wody wróci. Te stwory powiedziały Kanakom, że jak się z nimi skrzyżują, to ich dzieci będą z początku wyglądać jak ludzie, ale potem już się upodobnią do tych stworów, a w końcu pójdą pod wodę i będą żyły tam na dole. I tu mnie słuchaj uważnie, koleżko młody – ci, co już się zrobili tacy rybowaci i poszli pod wodę, nigdy nie umrą. Taki stwór wogle nie umiera, chyba że ktoś go ukatrupi.

Zdaje mi się, panoczku, że Obed i tak już wtedy zdążył się pomiarkować, że ci wyspiarze są z tymi podmorskimi stworami pokrzyżowani na całego. Jak tylko na starość zaczynało to z nich wyłazić, to zamykali się w ukryciu i czekali, aż poczują, że chcą już iść do wody i odpłynąć. Niektórych brało bardziej, innych mniej, niektórzy wogle się nie zmieniali na tyle, żeby pójść pod wodę – ale większość się zmieniała, tak jak te stwory mówiły. Kto już od urodzenia wyglądał jak one, to się zmieniał wcześniej, a kto z początku wyglądał jak człowiek, to zostawał na wyspie nawet i do siedemdziesiątki, a zanim poszedł pod wodę, wpierw musiał trochę popływać na próbę. Ci, co już pływali, to często wracali na wyspy i odwiedzali swoich – nieraz się zdarzało, że człek gadał z własnym dziadkiem z piątego pokolenia wstecz, co to zszedł z lądu paręset lat wcześniej.

No i wszystkim się to spodobało, że jak już człek w to wejdzie, to nie umiera – chyba że nie zdąży pójść pod wodę, bo zabiją go na wojnie inni wyspiarze, pójdzie na ofiarę dla tych morskich bogów, użre go wąż albo położy go trupem jakieś nagłe choróbsko… czeka se taki spokojnie, a potem się zwyczajnie zmienia, i ta zmiana po chwili tyż już nie jest taka straszna. Pomyśleli se, że w sumie więcej zyskają, niż stracą – i jak Obed już se trochę przemyślał to wszystko, co mu naopowiadał ten Walakea, to chyba tyż zaczął tak sądzić. Zresztą Walakea to akurat nie miał w sobie ani kropli tej rybiej krwi, jeden z niewielu… był królem, a króle wiązali się tylko z rodzinami królewskimi na innych wyspach.

Ten Walakea pokazał Obedowi dużo obrzędów i zaśpiewów, które trza odprawiać dla tych morskich stworów, pokazał mu tyż niektórych swoich ludzi już poprzemienianych w te ryby. Za to tych prawdziwych stworów jakoś nigdy mu nie pokazał. Na koniec dał mu takie małe śmieszne coś, zrobione bodaj z ołowiu, i powiedział, że to przyzywa te rybie stwory spod wody, jeśli

akurat w danym miejscu mają gniazdo. Trza wpuścić to do wody, pomodlić się jakoś odpowiednio i czekać. Walakea mówił, że one są rozsiane po całym świecie, więc jak ktoś się uprze, to może trafić na gniazdo i przywołać je na górę.

Mattowi to wszystko się wcale a wcale nie podobało, gadał Obedowi, że lepiej trzymać się od tych wysp z daleka – no ale kapitan się uparł… połapał się tyż, że skoro już kupuje za grosze te niby-złote cacka, to może warto by na nich zarobić. I tak to szło przez całe lata… Obed zebrał tych niby-złotych świecidełek na tyle dużo, że przejął starą, zamkniętą pilśniarnię Waite'ów i zrobił tam rafinerię. Nie sprzedawał tych błyskotek w całości, coby ludziska nie zadawali za dużo pytań. Ludzie z jego załóg tyż czasem dostali jakąś sztukę i ją sprzedawali, chociaż przysięgali, że nie puszczą pary z ust. Jak któreś z tych ozdób miały bardziej ludzki wygląd, to Obed pozwalał tyż je nosić swoim kobietom.

No i gdzieś koło roku trzydziestego ósmego – siedem lat wtedy miałem – Obed znów popłynął na wyspy, ale nie zastał tam już żywej duszy… Pewnikiem inni wyspiarze zwęszyli, co się święci, i wzięli sprawy w swoje ręce. Musieli tyż chyba znać któreś z tych starych magicznych znaków, bo te morskie stwory gadały, że to jedyna rzecz, jakiej się boją. Jeśli jeszcze raz wynurzy się tam kiedyś jakaś wyspa z ruinami sprzed potopu, to nie wiem, czy będzie jeszcze czym sobie zawracać głowę – to były naprawdę święte czary, Kanaki zrównali wszystko z ziemią, i na głównej wyspie, i na tej wulkanicznej… zostało tylko to, czego nie dali rady zburzyć. W paru miejscach były porozrzucane małe kamyki – jakby amulety – z takim wzorkiem, co wy go tera nazywacie swastyką. Może to były znaki tych Przedwiecznych? Po ludziach ani śladu, po tych niby-złotych ozdobach tyż, żaden z Kanaków w okolicy nie puścił pary z gęby o tym, co tam się zdarzyło. Nie chcieli nawet przyznać, że na tej wyspie wogle żyli jacyś ludzie.

No i wyszło na to, że Obed ma niezły ambaras, zwłaszcza że na zwykłym handlu zarabiał ledwo ledwo. I całe Innsmouth miało ambaras, bo w tamtych czasach na morzu było jeszcze tak, że jeśli zarabiał właściciel łajby, to proporcjonalnie zarabiała tyż załoga. Większość miejscowych pogodziła się z losem i tyrała dalej w pocie czoła, chociaż było wtedy naprawdę krucho – ryb było coraz mniej, fabryki w mieście ciągnęły resztką sił…

No i właśnie wtedy Obed zaczął wyklinać, że ludziska są potulne jak barany, że modlą się ciągle do chrześcijańskiej Bozi, a nic z tego nie mają. Powiedział, że znał ludzi, którzy modlili się do takich bogów, co to dawali im wszystkiego pod dostatkiem, i że jeśli skrzyknie się dostatecznie dużo chłopa, to może uda się skumać z takimi mocami, co dadzą miastu sporo ryb i trochę złota na dokładkę. Ma się rozumieć, że ci, co służyli u niego na Sumatry Queen, i byli na wyspach, to wiedzieli, o czym gada, i nie bardzo się palili do tych morskich stworów… Ale ci, co nie wiedzieli, dali się Obedowi omamić – ludziska sami zaczęli go prosić, żeby ich ponawracał na tę wiarę, co to ma przynieść takie zyski".

To powiedziawszy, stary zająknął się, wymamrotał coś pod nosem, po czym pogrążył się w chmurnym, lękliwym milczeniu; to zerkał nerwowo

przez ramię, to wpatrywał się jak zahipnotyzowany w daleką czarną linię rafy. Zagadnąłem go, lecz nie odpowiedział, uznałem tedy, że muszę pozwolić mu opróżnić butelkę do końca. Jego banialuki wielce mnie zaintrygowały – uznałem, że mam do czynienia ze zgrzebną alegorią dziejów tego dziwnego miasta pomysłowo pozlepianą ze strzępów egzotycznych legend. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że opowieść Zadoka traktuje o konkretnych, prawdziwych wydarzeniach; niemniej tkwiło w niej ziarno najprawdziwszej zgrozy – choćby we wzmiance o niezwykłych precjozach przywodzącej na myśl diaboliczną tiarę, którą widziałem na własne oczy w Newburyport. Być może tiara rzeczywiście pochodziła z jakiejś dziwnej wyspy; możliwe też, że wariacka gawęda starego pijaczyny była zlepkiem wymysłów nie tyle jego własnych, ile kapitana Obeda.

Podałem Zadokowi butelkę. Opróżnił ją do ostatniej kropli; musiał mieć naprawdę mocną głowę – wlał w siebie tyle whiskey, a jego piskliwy, dychawiczny głos nie ochrypł nawet odrobinę. Oblizał szyjkę i wsunął butelkę do kieszeni, po czym jął kiwać głową i szeptać coś pod nosem. Nachyliłem się, by nie uronić jego słów, i zdało mi się, że spoza jego krzaczastych, poplamionych wąsisk przeziera szyderczy uśmiech. Nie myliłem się – naprawdę coś mówił, i to w miarę zrozumiale.

„Biedny Matt… Mattowi nigdy się to nie podobało… próbował przeciągnąć ludzi na swoją stronę, naradzał się z pastorami, ale nic z tego… pastora kongregacjonistów Obed przepędził z miasta, chłopina od metodystów wyjechał sam, wielebnego Babcocka od baptystów tyż jużżem nigdy nie widział… gniew Jehowy… mały wtedy byłem, ledwieżem odrósł od ziemi, ale co widziałem i słyszałem, to moje… Dagon, Ashtoreth… Belial, Belzebub… złoty cielec, bożki Kananejczyków i Filistynów… wszeteczności Babilonu… *Mene, mene, tekel, ufarsin…*”

Stary urwał ponownie, załzawione błękitne oczy przybrały błędny wyraz. Zacząłem się obawiać, że popada w pijacki stupor. Gdy jednak potrzasnąłem go za ramię, odwrócił się ku mnie ze zdumiewającą czujnością i znów jął wyrzucać z siebie swą niepojęte słowa:

„Nie wierzysz mi, hę…? He, he, he, he… no to powiedz mi, koleżko, po co kapitan Obed razem z dwudziestu chłopa włóczyli się po nocy przy Diabelskiej Rafie i zawodzili tak głośno, że jak powiało od morza, to słychać ich było w całym mieście?… No, niby po co…? I powiedz mi jeszcze, po co Obed wywoził tam tyle ciężkich rzeczy i wrzucał je w głęboką wodę po drugiej stronie rafy, tam gdzie dno opada w dół jak przepaść, aż nie sięgniesz go sondą? Powiedz mi no, bratku, co on zrobił z tym śmiesznym ołowianym czymś, co dostał od Walakei? Hę…? I co oni wyśpiewywali w święto majowe, a potem jeszcze we Wszystkich Świętych? A czemu typki, co kiedyś były marynarzami, zostały pastorami, i czemu noszą te dziwne suknie, a na głowy wkładają te niby-złote błyskotki, które poprzywoził Obed? Hę?”

Łzawe błękitne oczy jarzyły się już szaleńczym, dzikim blaskiem, a brudna siwa broda jeżyła mu się jak naelektryzowana. Stary Zadok chyba zauważył, że kulę się ze strachu, bo zaniósł się złośliwym chichotem.

„He, he, he, he! Zaczynasz kojarzyć, hę? A może wolałbyś, tak jak ja,

wleźć nocą na strych, popatrzeć na morze i zobaczyć to i owo? Co ci powiem, to ci powiem, małe dzieciaki słyszą wszystko… i ja tyżżem słyszał wszystko, co ludziska gadali o kapitanie Obedzie i o tym, co ze swoimi kamratami wyprawia na rafie! He, he, he! A wiesz ty, że którejś nocy zabrałem na strych okrętową lunetę mojego tatki i widziałem, że na rafie aż się roi od jakichś dziwnych kształtów, a jak księżyc wzeszedł, to one chybcikiem dały nura w wodę…? Obed i jego ludzie siedzieli w szalupie, a te kształty dawały nura w głęboką wodę po tamtej stronie rafy i już nie wypływały… Jak by ci się to podobało, być takim smarkaczem, siedzieć samemu na strychu i widzieć kształty, co nie wyglądają jak ludzie…? Hę…? He, he, he, he…”

Śmiech starego stawał się coraz bardziej histeryczny, a ja zacząłem drżeć, zdjęty nieopisanym lękiem. Zadok chwycił mnie za ramię sękatą, szponiastą dłonią – trzęsła mu się, ale, jak mi się zdało, bynajmniej nie z uciechy.

„Wyobraź se, że widzisz, jak kapitan Obed wywozi w szalupie coś ciężkiego za rafę, a następnego dnia dowiadujesz się, że kolejny młody chłopak zniknął z domu… Co ty na to? Myślisz, że ktoś w mieście widział jeszcze Hirama Gilmana? Albo Nicka Pierce’a? A Luelly Waite, Adoniram Southwick, Henry Garrison? Gdzie się podzieli, hę? He, he, he, he… A te kształty gadały ręcami na migi… jakby to naprawdę były ręce…

No i wiedz, panoczku, że właśnie wtedy Obed zaczął stawać na nogi… Ludziska patrzą, a tu trzy córki Obeda noszą na głowach ozdoby, jakich nikt tu przedtem nie widział na oczy… z komina rafinerii leci dym… Innym też się wiodło, koło portu zaroiło się od ryb, Bóg jeden wie, ileśmy ich wtedy sprzedawali: do Newburyport, Arkham, Bostonu. Właśnie wtedy Obed doprowadził tu kolej. Rybakom z Kingsport obiło się o uszy, że tu można nałowić, ile dusza zapragnie, więc przypłynęli kiedyś na paru slupach – ale przepadli bez śladu… Jak kamień w wodę! I właśnie wtedy ludziska wymyślili ten Ezoteryczny Zakon Dagona – od Komandorii Kalwaryjskiej kupili Masonic Hall i zrobili tam świątynię… He, he, he! Matt Eliot był masonem, więc znów był przeciwny, no i akurat w tym czasie gdzieś się zawieruszył…

Pamiętaj: ja wcale nie mówię, że Obed chciał, coby u nas wszystko było kubek w kubek jak u tamtych Kanaków. Z początku to on chyba nie miał zamiaru się parzyć z tymi stworami i płodzić jakichś rybowatych dziecków… co to pójdą potem pod wodę i będą żyć wiecznie. Myślał tylko o tych złotych błyskotkach; gotów był słono za nie płacić i tamci chyba przez jakiś czas byli zadowoleni…

No ale gdzieś koło czterdziestego szóstego ludziskom w mieście wszystko zaczęło się wydawać trochę podejrzane. Za dużo ludzi znikało, za dużo było tego dzikiego zawodzenia na niedzielnych modłach, za dużo gadania o tej rafie. Ja tyż chybażem trochę nabruździł, bo poszłem do radnego Mowry’ego i opowiedziałem, cożem widział ze strychu. No i jak którejś nocy Obed popłynął na rafę, to za nim popłynęła druga łódź, i potem słyszałem, jak się strzelają na tych łodziach. Następnego dnia Obed i trzydziestu dwóch ludzi wylądowało w mamrze, a wszyscy zachodzili w głowę, co się święci i o co go oskarżą. Boże, gdyby ktoś wtedy przewidział… ładnych parę tygodni nikt nie wypływał, nie wrzucał nic do wody, i w końcu…”

Po Zadoku znać już było trwogę i wyczerpanie, toteż pozwoliłem mu pomilczeć przez chwilę, aczkolwiek zerkałem z lękiem na zegarek. Z ulgą spostrzegłem, że zaczyna się przypływ; liczyłem, że wysoka fala choć trochę przytłumi odór ryb. Narastający szum fal, jak mi się zdało, wyrwał Zadoka z odrętwienia; ponownie wytężyłem słuch, by nic nie uronić z szeptanych przezeń słów.

„Ta okropna noc... widziałem ich... siedziałem na strychu... całe hordy... całe roje... kłębiły się na rafie, płynęły do portu, wpływały do rzeki... Boże, co się tej nocy w Innsmouth wyrabiało... łomotali nam do drzwi, ale tatko nie otworzył... capnął muszkiet i wyskoczył przez kuchenne okno, poleciał szukać radnego Mowry'ego, coby się naradzić... Ludzie padali jak muchy... strzały, wrzaski, trupy na ulicach... krzyki na starym i nowym rynku, na New Church Green... otworzyli ciupę... zdrada... układy... jak kto potem przyjechał do miasta i widział, że brakuje połowy ludzi, to się dowiadywał, że była zaraza... Zostali tylko ci, co trzymali z Obedem i tymi stworami albo siedzieli cicho... po tatce słuch zaginął..."

Starzec ciężko dyszał, spływał grubym potem. Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na mym ramieniu.

„Do rana wszystko było posprzątane – ale zostały ślady... Obed przejął władzę w mieście i powiedział, że tera wszystko będzie inaczej... tamci będą odprawiać obrzędy razem z nami, a niektóre domy będą przyjmować gości... że oni chcą się krzyżować z nami jak z tamtymi Kanakami, a on nie uważa, żeby trza było ich powstrzymywać. Zmienił się Obed, oj zmienił... chłopisko do cna zbzikowało na tym punkcie. Gadał, że oni dają nam ryby i skarby, więc trza im dać wszystko, czego zechcą...

Niby nic się nie zmieniło – ino jak kto nie chciał mieć kłopotów, to nie wolno mu było puścić pary przed obcymi. Wszyscyśmy musieli złożyć Przysięgę Dagona, a niektórzy potem składali jeszcze drugą i trzecią. Jak kto przysiągł, to go nagradzali – dostawał złoto i inne takie... Gadali, że trza ich słuchać, bo w wodzie są ich całe miliony... że nie chcą wyrżnąć całej ludzkości w pień, ale jak ich spróbujemy wystawić do wiatru, to będzie rzeź... A myśmy nie znali tamtych dawnych czarów jak ci wyspiarze z Mórz Południowych – te Kanaki nie zdradziliby swoich sekretów...

No więc stanęło na tym, że jak będziemy im składać tyle ofiar, ile chcą, a do tego dawać świecidełka od dzikusów i schronienie w mieście, to dadzą nam spokój. I gęby na kłódkę przed obcymi, coby nie rozgadali po okolicy... Nikt, kto do nich przystąpi – znaczy się, do Zakonu Dagona – nie umrze, tylko razem z dziećmi wróci tam, skąd wszyscyżeśmy kiedyś wyszli, do Matki Hydry i Ojca Dagona... *Iä! Iä! Cthulhu fhtagn! Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah-nagl fhtagn...*"

POWSTANĄ Z GŁĘBIN, BY ZŁOŻYĆ NALEŻNĄ DANINĘ WIELKIEMU CTHULHU

Opowieść starego Zadoka ześliznęła się w najzwyklejszy bełkot, a ja aż wstrzymałem oddech z wrażenia. Biedny staruszek! W jakich żałosnych otchłaniach pogrążył się ten płodny niegdyś umysł, w jakież omamy wtrącił go alkohol podsycany nienawiścią do panoszących się wokół zgnilizny, schorzałości i obcości! Zadok począł jęczeć; łzy ciekły mu po pobrużdżonych policzkach i ginęły w gęstej brodzie.

„Mójżeż ty Boże, na cóżem ja się napatrzył, od kiedym skończył piętnaście lat... *Mene, mene, tekel, ufarsin...* widziałem, jak ludziska przepadają jak kamień w wodę albo zabijają się sami... niektórzy wszystko rozpowiadali, i w Arkham, i w Ipswich, ale każdy ino pukał się w głowę, tak samo jak tera ty... Boże, na cóżem ja się napatrzył... Wiedziałem tyle, że już dawno by mnie ukatrupili, ino żem złożył przed Obedem pierwszą i drugą Przysięgę Dagona, więc byłem chroniony – chyba żeby mi udowodnili, że rozgadałem coś naumyślnie... ale trzeciej przysięgi żem nie złożył – co to, to nie, już bym wolał zdechnąć...

Jak wybuchła wojna domowa, to się zrobiło jeszcze paskudniej, bo zaczęły dorastać dzieciaki, co to rodziły się po czterdziestym szóstym – no, przynajmniej niektóre. Okropnieżem się bał – od tamtej okropnej nocy nie wtykałem już kinola w nie swoje sprawy ani tyż nigdyżem już nie widział żadnego z nich z bliska. Przynajmniej takiego prawdziwego, pełnej krwi... Poszedłem na wojnę – i gdybym miał trochę ikry albo rozumu, tobym tu nigdy nie wrócił, osiedliłbym się jak najdalej stąd. No ale ludziska pisali, że nie jest tak źle. Pewnikiem dlatego, że od sześćdziesiątego trzeciego w mieście siedziały oficery poborowe. A po wojnie miasto znów upadło na pysk... Ludzi było coraz mniej... zamykali zakłady i sklepy... stocznia stanęła, port tyż... zamknęli kolej... za to tamci... tamci jak zawsze wynurzali się zza tej przeklętej rafy, niech ją szatan pochłonie, i przypływali... wyłazili z rzeki... i coraz więcej widziałeś okien na strychach zabitych deskami, i coraz więcej rumorów słyszałeś z chałup, w których niby nikt już nie mieszkał...

Poza miastem ludzie gadają o nas różne rzeczy – sądząc po twoich pytaniach, samżeś się ich pewnie sporo nasłuchał... Gadają o tym, co im się czasem udaje przyuważyć, i o tej podejrzanej biżuterii, bo nie wszystko poszło do pieca, co rusz gdzieś się pojawia jakaś sztuka... ale po prawdzie to nie wiedzą nic konkretnego. Nikt by w to wszystko nie uwierzył... Gadają, że te niby złote świecidełka to skarb piratów, że myśmy tu mieszańcy albo żeśmy się wszyscy na coś pochorowali. Zresztą ci, co tu mieszkają, to tyż przepędzają stąd obcych jak tylko mogą, a jak już ktoś zostanie, to go zniechęcają, żeby za dużo nie węszył, zwłaszcza po nocy... Zwierzęta dostają pietra na widok tych stworów: konie to wcale nie są takie głupie osły... no ale od kiedy wszyscy jeżdżą samochodami, to problemu nie ma.

A w czterdziestym szóstym Obed wziął se tyż drugą żonę – nikt w mieście nie widział jej na oczy... niektórzy gadają, że nie chciał, że tamci go zmusili... trójkę dzieci jej zrobił: dwójka zniknęła za młodu, za to trzecie,

dziewucha, była niepodobna do nikogo i pojechała na naukę do Europy. Obed wydał ją w końcu za mąż: podpuścił jakiegoś typka z Arkham, który nic nie podejrzewał. Ale tera to już nikt spoza miasta się z tutejszymi nie zadaje... Barnabas Marsh, co tera prowadzi rafinerię, to wnuk Obeda z pierwszego małżeństwa – syn jego najstarszego syna Onesiphorusa – ale jego matka tyż była z tamtych i nikt jej nigdy nie widział na ulicy.

Barnabas to chyba już się zmienia. Nie zamyka ślipiów i wygląda już mocno nie tego. Pono jeszcze chodzi ubrany, ale niedługo idzie pod wodę. Może nawet już próbował – oni czasem włażą do wody na próbę, zanim odpłyną na dobre. Będzie już z dziesięć lat, jak nikt go w mieście nie widział. Ciekawe, jak się z tym czuje jego żona... bidulka, pochodzi z Ipswich... Jak Barnabas się z nią żenił – lat temu pięćdziesiąt z hakiem – to mało go nie zlinczowali. Obed umarł, jak miał siedemdziesiąt osiem lat, całego następnego pokolenia tyż już ni ma – dzieci z pierwszej żony nie żyją, a reszta... kto ich tam wie...”

Fale przyboju szumiały coraz natarczywiej, a równocześnie, jak mi się zdało, zmieniał się nastrój Zadoka: pijacka tkliwość z wolna ustępowała trwożliwej czujności. Od czasu do czasu stary zawieszał głos i raz po raz zerkał przez ramię lub spoglądał w stronę rafy, ja zaś, jakkolwiek miałem jego opowieść za stek niedorzeczności, czułem że udziela mi się jego nieokreślony lęk. Zadok piał coraz donośniej, najwyraźniej usiłując dodać sobie odwagi:

„A ty czego się nie odzywasz, hę? Jak by ci się podobało, gdybyś mieszkał w takim mieście, gdzie wszystko zdycha i gnije, i gdzie się nie obrócisz, tam widzisz pozabijane okna i słyszysz, jak te potwory wiją się w ciemności po piwnicach i strychach, jak tam podskakują, i beczą, i ujadają? Hę? Podobałoby ci się, gdybyś co noc słyszał te ich zawodzenia z kościołów i z Zakonu Dagona, i wiedział, o czym oni zawodzą? Gdybyś w każde święto majowe i we Wszystkich Świętych słyszał, co oni wyczyniają na tej paskudnej rafie? Hę? Myślisz, że stary ma kuku na muniu, co? No to ci powiem, panoczku, że to jeszcze nie jest najgorsze!”

Teraz Zadok już krzyczał, szaleństwo zaś, którym roztętnił się jego głos, wstrząsnęło mną bardziej, niżbym sobie tego życzył.

„Niech cię diabli, czego tak na mnie wytrzeszczasz ślipia? Mówię ci, Obed Marsh smaży się w piekle i już stamtąd nie wyjdzie! He, he... w piekle, nie inaczej! Nie dostanie mnie, ja nic nie zrobiłem, niczem nikomu nie powiedział... Że co? A, że niby tobie, koleżko? Ha, no więc może nikomużem jeszcze nie powiedział, ale powiem tera! Słuchaj mnie, chłopcze, uważnie, bo tego, co usłyszysz, nie zdradziłem jeszcze nikomu... Mówiłem ci, że od tamtej nocy trzymałem uszy po sobie... ale i tak widziałem, jak się rzeczy mają!

Chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim najokropniejsze? Hę? No to ja ci powiem: najgorsze nie jest to, co te rybie diabły już zrobiły, ale co jeszcze zamiarują zrobić! Przyprowadzają ze sobą to i owo stamtąd, z dołu... już od lat, ino ostatnio trochę se odpuścili. W tych chałupach na północ od rzeki, między Water Street i Main, aż się od nich roi... od tych diabłów i od tego, co z sobą przyprowadzili... a jak już będą gotowe... jak już będą gotowe, to ja

ci mówię… słyszałeś kiedyś o czymś takim jak *shoggoth…*?

Ej, słyszysz mnie? Mówię ci, ja wiem, co to za stwór – widziałem którejś nocy… EH – AHHHH – AH! E’YAAHHHH…”

Staremu wyrwał się z gardła ohydnie nagły wrzask, tak nieludzko zatrważający, że omal nie zemdlałem. Oczy, wytrzeszczone ślepo gdzieś ku cuchnącemu morzu, dosłownie wychodziły mu z orbit; twarz starego zmieniła się w maskę czystego strachu godną greckiej tragedii. Ramię moje wciąż tkwiło w potwornym imadle jego kościstych szponów, gdy zaś obróciłem głowę, by zobaczyć, co dojrzał za mymi plecami, nawet nie drgnął.

Nic tam nie było. Tylko szeroko rozlana fala przypływu, z jednym może jęzorem śmielej liżącym wybrzeże. Zadok jednak szarpnął mnie gwałtownie, przeto spojrzałem na niego – i ujrzałem, jak jego twarz, jeszcze przed chwilą ścięta lodowatą trwogą, rozpada się na mrowie niezbornych ruchów: stary trzepotał powiekami, bełkotał coś, obnażając dziąsła; wreszcie przemówił, lecz głosem ściszonym już do drżącego szeptu:

– Zabieraj się stąd! Uciekaj! Widzieli nas… uciekaj, jeśli ci życie miłe…! Nie ma na co czekać… oni już wiedzą… w nogi, szybko… uciekaj z tego miasta…!

Kolejna mocarna fala grzmotnęła o zmurszałą ścianę nabrzeża; szept oszalałego starca znów przeszedł w nieludzki, mrożący krew w żyłach wrzask:

– E – YAAHHHH!… YHAAAAAAA!…

Nim zdołałem odzyskać przytomność umysłu, stary rozluźnił chwyt na mym ramieniu, zerwał się jak opętany i popędził w stronę ulic miasta, skręcając na północ przy zrujnowanym magazynie.

Raz jeszcze zerknąłem w stronę morza, lecz nic nie zobaczyłem. Gdy zaś wyszedłem na Water Street i zwróciłem wzrok na północ, nie było tam już śladu Zadoka Allena.

IV

Nie umiem opisać, w jaki nastrój wprawiła mnie ta utrapiona rozmowa – obłędna i żałosna zarazem, groteskowa i przeraźliwa. Chłopiec ze sklepu wprawdzie mnie uprzedzał, lecz nie byłem przez to ani trochę mniej oszołomiony i wstrząśnięty. Jakkolwiek dziecinna była opowieść Zadoka, jego obłąkańcza żarliwość i przerażenie rozjątrzyły mój niepokój i podsyciły przepełniającą mnie już wcześniej odrazę do miasta i wiszącej nad nim widmowo niepojętej klątwy.

Przemyślenie alegorycznej opowieści Zadoka i wyłuskanie z niej jądra historycznej prawdy odłożyłem wszakże na później. Zrobiło się niebezpiecznie późno – zegarek wskazywał kwadrans po dziewiętnastej, autobus o Arkham odjeżdżał z rynku o dwudziestej – starałem się przeto skierować myśli na jak najobojętniejsze i najpraktyczniejsze tory. Pędziłem przez wyludnione ulice, mijałem pochylone domy o zapadniętych dachach i kierowałem się w stronę hotelu, gdzie czekała na mnie moja walizka, a obok miał swój przystanek autobus.

W złotym świetle przedwieczoru prastare dachy i rozchwierutane kominy emanowały spokojem i mistycznym pięknem, ale i tak co pewien czas mimo

woli zerkałem przez ramię. Chciałem jak najszybciej wydostać się z tego cuchnącego, zatrważająco widmowego miasta i wolałbym to uczynić innym środkiem lokomocji niż autobusem posępnego Sargenta. Nie spieszyłem się jednak przesadnie, niemal na każdym rogu uwagę mą przykuwały bowiem ciekawe szczegóły architektoniczne, ponadto wedle moich obliczeń mogłem dotrzeć do rynku w ciągu półgodziny.

Posiłkując się mapką, wytyczyłem sobie trasę, którą pierwej nie szedłem, i dotarłem do rynku nie przez Marsh Street, lecz State Street. W okolicach skrzyżowania z Fall Street począłem zauważać rozproszone grupki miejscowych szepczące do siebie ukradkiem, gdy zaś dotarłem wreszcie do rynku, okazało się, że niemal wszyscy miejscy próżniacy zgromadzili się u wrót Gilman House. Gdy odbierałem walizkę w portierni, czułem na plecach dziwaczne spojrzenie całego mrowia wodnistych, wyłupiastych oczu; miałem nadzieję, że żadne z tych nieprzyjemnych stworzeń nie będzie mi towarzyszyć w podróży.

Autobus wtoczył się z łoskotem na plac dosyć wcześnie, trochę przed dwudziestą. Jeden z nikczemnie wyglądających osobników przed hotelem rzucił do szofera parę niezrozumiałych słów. Sargent cisnął na chodnik worek z pocztą i rulon gazet, po czym wszedł do hotelu; tymczasem pasażerowie – ci sami mężczyźni, którzy rankiem wysiedli w Newburyport – wytoczyli się z autobusu i zagadali coś gardłowo do jakiegoś próżniaka; mógłbym przysiąc, że nie mówili po angielsku. Wszedłem do pustego autobusu i zająłem to samo miejsce co rano, ledwie jednak zdążyłem usiąść, wrócił Sargent – i zaczął mamrotać do mnie wyjątkowo odrażającym, gardłowym głosem. Okazało się, że mam pecha. Coś się stało z silnikiem; z Newburyport przyjechał wprawdzie punktualnie, lecz kurs do Arkham jest odwołany. Nie, nie da się go szybko naprawić, nie ma też sposobu, by jeszcze przed nocą wydostać się z Innsmouth – ani do Arkham, ani dokądkolwiek indziej. Niestety, jestem zmuszony zatrzymać się w Gilmanie. Może policzą mi taniej za nocleg. To jedyne wyjście.

Na myśl o tym, że przyjdzie mi spędzić noc w tym gnijącym, nieoświetlonym mieście, uczułem przypływ najżywszej trwogi. Oszołomiony nagłą przeszkodą opuściłem autobus i wróciłem do hotelu. Posępny, dziwaczny recepcjonista oświadczył, że mogę zająć pokój 428 na przedostatnim piętrze – duży, lecz bez bieżącej wody; nocleg kosztuje jednego dolara.

Chcąc nie chcąc, wpisałem się do książki, zapłaciłem, pozwoliłem gburowatemu recepcjoniście wziąć mój bagaż i ruszyłem za nim po skrzypiących schodach, mijając zakurzone korytarze pozbawione – jak mi się zdało – śladów jakiegokolwiek życia. Pokój 428 znajdował się w głębi korytarza, był obskurny, nędznie umeblowany i sprawiał przygnębiające wrażenie; okna wychodziły na zapuszczone podwórze, po bokach zamknięte niskimi, opuszczonymi budynkami z cegły, dalej rozciągała się panorama zapadłych dachów i bagien na zachód od miasta. Staroświecka łazienka na końcu korytarza nie wyglądała lepiej; wyposażona była w antyczną marmurową umywalkę, blaszaną wannę, słabe elektryczne światło i zbutwiałą drewnianą lamperię.

Korzystając z resztek dziennego światła, udałem się na rynek, by rozejrzeć się za jakąś kolacją; udawałem, że nie zauważam dziwnych spojrzeń pokracznych próżniaków. Sklep spożywczy był już zamknięty, toteż zmuszony byłem przeprosić się ze wzgardzoną wcześniej restauracją. Obsługiwał w niej zgarbiony mężczyzna o wąskiej głowie i wyłupiastych, niemrugających oczach oraz dziewoja o płaskim nosie i niewiarygodnie grubych, niezdarnych rękach. Lokal był samoobsługowy, ku mojej uldze okazało się też, że serwuje głównie gotowe dania z puszek. Zadowoliłem się zupą jarzynową i krakersami. Zjadłem szybko i wróciłem do swego posępnego pokoju; po drodze zatrzymałem się przy rozklekotanym stojaku z prasą i śledzony wrogim spojrzeniem recepcjonisty wziąłem wieczorną gazetę oraz upstrzone przez muchy czasopismo.

Znalazłszy się w pokoju, położyłem się na tanim, żelaznym łóżku i zabrałem się do czytania. Gdy zaczęło się ściemniać, włączyłem słabą elektryczną lampkę i ze wszystkim sił starałem się skupić na lekturze. Czułem, że jest ze wszech miar wskazane, bym zajął czymś myśli – nie chciałem roztrząsać zwyrodnień tego starodawnego, zaklętego miasta, póki znajdowałem się w jego granicach. Po szaleńczych bajdurzeniach sędziwego pijusa nie spodziewałem się miłych snów, czułem też, że muszę za wszelką cenę unikać wspomnienia jego dzikich, załzawionych oczu.

Nie wolno mi było również zastanawiać się nad tym, co inspektor pracy powiedział kasjerowi z Newburyport na temat Gilman House i głosów nocnych lokatorów – ani też o tiarze i widocznej pod nią twarzy, która mignęła mi na tle czarnego wejścia do kościoła, twarzy tak straszliwej, że wciąż nie umiałem ogarnąć jej świadomą myślą. Być może łatwiej byłoby mi powstrzymać się od tych niepokojących wspomnień, gdyby pokój, w którym przyszło mi spędzić noc, nie był tak przeraźliwie zatęchły – w istocie zatęchłość ta była wręcz zabójcza, w ohydny sposób uzupełniała się z ogólnym fetorem ryb i sprawiała, że trudno było myśleć o czymś innym niż śmierć i zgnilizna.

Niemile zaskoczył mnie także brak zasuwy na drzwiach. Ślady po śrubkach świadczyły o tym, że niegdyś tam była, lecz niedawno została usunięta – najpewniej się popsuła jak wszystko w tym zapyziałym budynku. Rozejrzałem się nerwowo po pokoju i odkryłem, że identycznych rozmiarów zasuwa znajduje się na drzwiach od szafy. Aby zyskać choć namiastkę spokoju, zająłem się przeniesieniem zasuwy: za pomocą zawierającego śrubokręt niezbędnika, który nosiłem na kółku z kluczami, wymontowałem ją z szafy i zainstalowałem na drzwiach wejściowych. Pasowała idealnie; myśl o tym, że idąc spać, będę mógł zamknąć się w pokoju, przyniosła mi pewną ulgę. Nie wiedziałem dokładnie, do czego mogłoby to mi być potrzebne, lecz w takim otoczeniu mile widziana była każda, choćby symboliczna oznaka bezpieczeństwa. Podobne zasuwy znajdowały się na obu bocznych drzwiach wiodących do sąsiednich pokojów – zamknąłem je również niezwłocznie.

Nie rozbierałem się – postanowiłem, że będę czytał, póki nie ogarnie mnie senność, a potem położę się w ubraniu, zdjąwszy jedynie płaszcz, kołnierzyk i buty. Z walizki wyjąłem podręczną latarkę i przełożyłem ją do

kieszeni spodni, abym zbudziwszy się w środku nocy, mógł sprawdzić, która godzina. Senność wszakże nie nadchodziła; gdy zaś przeanalizowałem stan swego umysłu, spostrzegłem z niepokojem, że nieświadomie wytężam słuch – nasłuchuję z lękiem, choć nie wiedząc czego. Najwyraźniej opowieść inspektora podziałała na moją wyobraźnię silniej, niżbym się spodziewał. Próbowałem wrócić do przerwanej lektury, lecz bezskutecznie.

Po pewnym czasie wydało mi się, że na schodach i w korytarzu słyszę rytmiczne skrzypnięcia, jak gdyby ciche kroki. Sądziłem, że wracają lokatorzy sąsiednich pokojów; nie usłyszałem jednak żadnych głosów, uderzyło mnie też, że owe skrzypnięcia są jakby nieco ukradkowe. Nie spodobało mi się to; jąłem zachodzić w głowę, czy w ogóle mogę pozwolić sobie na sen. Mieszkańcy Innsmouth byli naprawdę dziwaczni, wiadomo było też, że kilku osobom zdarzyło się zniknąć tu bez śladu. Czyżbym zakwaterował się w jednej z owych gospód, w których morduje się i ograbia podróżnych? Nie wyglądałem jednak na szczególnie majętnego turystę. Czy może prawdą było, że ciekawscy przyjezdni są tutaj tak niemile widziani? Czyżby miejscowym nie przypadło do gustu, że zwiedzam ich miasto, na dodatek posiłkując się mapką? Zdałem sobie sprawę, że chyba naprawdę jestem w stanie silnego napięcia nerwów, skoro parę przypadkowych skrzypnięć sprowokowało mnie do takich rozmyślań – tak czy owak żałowałem, że nie mam przy sobie broni.

Wreszcie uczułem znużenie, jakkolwiek zupełnie wyzbyte senności, toteż zamknąłem drzwi na świeżo zamontowaną zasuwę, zgasiłem światło i rzuciłem się na twarde, nierówne łóżko – jak stałem, w płaszczu, w kołnierzyku, w butach. W ciemności każdy, najlżejszy nawet nocny szmer zdawał się donośniejszy, przeto z miejsca pogrążyłem się w podwójnie niemiłych dumaniach. Żałowałem, że zgasiłem światło, byłem jednak zbyt zmęczony, by wstać i zapalić je ponownie. Nagle, po długiej, strasznej chwili ciszy i kolejnym skrzypnięciu na schodach i w korytarzu, rozległ się dźwięk iście przeklęty – cichutki, lecz nie do pomylenia z żadnym innym, złośliwe spełnienie wszystkich moich obaw. Nie miałem nawet cienia wątpliwości, że ktoś ostrożnie, nieśmiało, ukradkiem próbuje otworzyć kluczem moje drzwi.

Ów niezbity dowód grożącego mi niebezpieczeństwa wzburzył mnie chyba mniej, niż powinien. Sprawił to zapewne dręczący mnie dotychczas nieuchwytny lęk; od dawna bowiem trwałem w stanie nieokreślonego, instynktownego pogotowia – i bez względu na to, czym miało się okazać nowe, rzeczywiste już zagrożenie, byłem gotów się z nim zmierzyć. Niemniej nagłe potwierdzenie mglistych przewidywań wstrząsnęło mną do głębi. Ani przez chwilę nie sądziłem, bym mógł się przesłyszeć; byłem pewien, że ktoś podchodzi mnie w złych zamiarach, toteż milczałem jak grób, czekając na jego następny ruch.

Po pewnym czasie cichutki szczęk zamka ustał, po chwili zaś usłyszałem, jak ktoś za pomocą uniwersalnego klucza wchodzi do pokoju od północy. Potem zachrobotał zamek w drzwiach łączących ten pokój z moim. Zasuwa oczywiście nie ustąpiła, znowu usłyszałem więc skrzypnięcie podłogi, świadczące o tym, że intruz opuszcza pokój. Chwilę później chrobot powtórzył się raz jeszcze, tym razem w drzwiach od południa: znów

ukradkowy szczęk zasuwy, a potem oddalające się skrzypnięcia. Tym razem skrzypienie oddaliło się wzdłuż korytarza, a następnie ucichło na schodach; napastnik widocznie zorientował się, iż pokój mój jest zamknięty ze wszystkich stron, i odłożył realizację swych zamiarów na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Moja gotowość do działania świadczyła o tym, że już od dawna musiałem podświadomie odczuwać zagrożenie i rozważać różne możliwości ucieczki. Od razu założyłem, że niewidoczny włamywacz jest zbyt groźny, by myśleć o stawieniu mu czoła, i pozostaje mi natychmiastowa rejterada. Jedynym wyjściem było wydostanie się z hotelu najrychlej, jak tylko się da, i to inną drogą niż głównymi schodami.

Podniosłem się cicho i świecąc sobie latarką, odnalazłem włącznik lampki nad łóżkiem; korzystając z jej światła, zamierzałem przejrzeć rzeczy, pochować do kieszeni wszystko, co najpotrzebniejsze, nieporęczną zaś walizkę zostawić w pokoju. Lampka nie zaświeciła się – odcięto dopływ prądu. Najwyraźniej nieznani sprawcy mieli tajne, nikczemne zamiary i przedsiębrali je na dużą skalę. Gdy stałem tak i rozmyślałem z ręką na bezużytecznym włączniku, moich uszu doleciało stłumione skrzypienie z pokoju pode mną, zdało mi się też, że słyszę jakieś głosy prowadzące rozmowę. Po chwili nie miałem już pewności, czy te głębokie dźwięki istotnie można nazwać głosami – były to raczej chrapliwe powarkiwania, niezborne skrzeczenia niepodobne do żadnej ludzkiej mowy. Znów przypomniała mi się, i to ze zdwojoną siłą, opowieść o dźwiękach, jakie słyszał nocą w tym sparszywiałym, zbutwiałym budynku inspektor z Newburyport.

Pomagając sobie latarką, napełniłem kieszenie, włożyłem kapelusz i na palcach podszedłem do okien, by rozważyć szansę ucieczki. Wbrew przepisom bezpieczeństwa na tyłach hotelu nie było schodów przeciwpożarowych: z okien mego pokoju można było tylko skoczyć cztery piętra w dół na brukowany dziedziniec. Po lewej i prawej stronie z hotelem stykały się jednak stareńkie ceglane magazyny. Ich skośne dachy sięgały na tyle wysoko, że z wysokości mego piętra dałoby się na nie zeskoczyć. Mogłem to jednak uczynić dopiero z okien odległych o dwa pokoje od mego własnego – na północ bądź na południe – toteż niewiele myśląc, zacząłem obliczać szanse przejścia między pokojami.

Uznałem, że nie zaryzykuję wyjścia na korytarz – tam z pewnością byłoby słychać moje kroki, ponadto frontowe drzwi do obu pokojów mogły się okazać zbyt solidne. Jedyne wyjście, o ile w ogóle miałem jakieś wyjście, prowadziło przez znacznie lichsze drzwi między pokojami: jeśliby się okazało, że są zamknięte na zamki i zasuwy, mogłem wyłamać je siłą, używając ramienia jako taranu. Założyłem, że konstrukcja budynku jest na tyle rachityczna, iż nie powinno mi to sprawić problemu; wszelako zdawałem sobie sprawę, że nie zdołam tego uczynić bezszelestnie. Mogłem liczyć po prostu na własną chyżość – że uda mi się uciec przez okno, nim moi wrogowie skoordynują swe działania i otworzą właściwe drzwi za pomocą uniwersalnego klucza. Drzwi od mego pokoju wzmocniłem, przysuwając do nich biurko – powolutku, aby nie zdradzić się niepotrzebnym hałasem.

Zdawałem sobie sprawę, że szanse mam nader nikłe, toteż byłem przygotowany na najgorsze. Nawet przeskoczenie na sąsiedni dach nie rozwiązywało problemu – czekała mnie wówczas jeszcze konieczność zejścia na ziemię i opuszczenia miasta. Sprzyjała mi tylko ta oto okoliczność, że sąsiadujące z hotelem magazyny były opuszczone i zrujnowane, w obu dachach ziały też czarne otwory świetlików.

Z mapki otrzymanej od chłopca ze sklepu zorientowałem się, że najlepiej uciekać z miasta na południe, toteż najpierw zerknąłem na drzwi wiodące do południowego pokoju. Otwierały się do środka, pojąłem przeto – odsunąwszy zasuwę i stwierdziwszy, że są zamknięte na klucz – że nie da się ich sforsować. Rezygnując z tej drogi wyjścia, ostrożnie zastawiłem je łóżkiem, zabezpieczając się na wypadek ataku z sąsiedniego pokoju. Drzwi od strony północnej otwierały się na zewnątrz, uznałem więc – choć okazało się, że są zamknięte na klucz bądź zasuwę – że uciekać będę właśnie tędy. Gdybym zdołał dotrzeć na dachy budynków na Paine Street i zejść bezpiecznie na ziemię, może udałoby mi się przemknąć przez dziedziniec i jeden lub drugi magazyn do Washington lub Bates Street – lub też przekraść się w kierunku południowym, na Washington Street, przez samą Paine. Tak czy inaczej musiałem jakoś dotrzeć na Washington Street i jak najszybciej oddalić się od rynku. Paine Street wolałem jednak uniknąć – remiza strażacka mogła mieć nocny dyżur.

W trakcie tych rozmyślań spoglądałem w okno, na plugawe morze niszczejących dachów oświetlone promieniami niemal pełnego jeszcze księżyca. Po prawej stronie przygnębiający ów pejzaż rozłupany był na dwoje czarną szramą rzecznego kanionu; porzucone fabryki i stacja kolejowa przylgnęły do jej brzegów jak skorupiaki. Dalej ciągnęły się zardzewiały tor oraz droga do Rowley, prosto przez płaską, bagnistą równinę upstrzoną zakrzaczonymi wysepkami suchszego gruntu. Po lewej stronie kraniec miasta był bliższy, widać było pola poprzecinane strumieniami i wąską drogę do Ipswich łyskającą biało w świetle księżyca. Z tej strony hotelu nie mogłem zobaczyć wylotu na południe, w stronę Arkham, który obrałem za drogę mej ucieczki.

Stałem tak, nie mogąc zdecydować, kiedy najlepiej zaatakować północne drzwi i jak zrobić to po cichu, gdy nagle zauważyłem, że niewyraźne dźwięki w pokoju pode mną ustąpiły kolejnemu, cięższemu poskrzypywaniu na schodach. Pod drzwiami zamigotało słabe światło latarki, a deski podłogi jęły uginać się z jękiem pod jakimś znacznym ciężarem. Stłumione głosy, być może dobywające się z gardeł intruzów, zbliżały się coraz bardziej, aż wreszcie rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

Na chwilę wstrzymałem oddech w oczekiwaniu. Zdało mi się, że czekam tak wieczność całą, podczas gdy moje nozdrza zaatakował ze zdwojoną mocą mdlący rybi odór. Pukanie powtórzyło się – coraz mocniej, coraz natarczywiej. Pojąłem, że trzeba działać. Nie zwlekając dłużej, odsunąłem rygiel północnych drzwi i zebrałem siły przed szturmem. Pukanie było coraz donośniejsze, miałem więc nadzieję, że zagłuszy moje poczynania. Wreszcie jąłem napierać lewym ramieniem na wątłe deski, nie zważając na ból. Okazały się trwalsze, niż się spodziewałem, lecz nie ustawałem w

wysiłkach. Towarzyszyło mi nieprzerwane, narastające tarabanienie do drzwi od strony korytarza.

Wreszcie drzwi między pokojami ustąpiły, z takim jednak trzaskiem, że intruzi niechybnie go słyszeli. Pukanie natychmiast przerodziło się w serię gwałtownych łomotów, jednocześnie w drzwiach prowadzących do obu sąsiednich pokojów z korytarza złowieszczo zachrobotały klucze. Pędząc przez świeżo otwarty pokój, zdążyłem w przelocie zasunąć rygiel na zewnętrznych drzwiach, nim zdążyły się otworzyć; wnet jednak usłyszałem, że ktoś dobija się do drzwi w pokoju następnym – tym, przez który wiodła droga mej ucieczki.

Na chwilę zdjęła mnie bezgraniczna rozpacz, zdało mi się bowiem, że na dobre utkwiłem w pokoju bez okien dających możliwość ucieczki. Zalała mnie fala niewyobrażalnej wręcz zgrozy; chwilę później przerażenie moje wzrosło, gdym w świetle latarki ujrzał odciśnięte na zakurzonej podłodze straszliwe, niesłychane w swej osobliwości ślady stóp napastnika, który dobijał się był z tego pokoju do mych drzwi. Wówczas, wiedziony już tylko ślepym odruchem, silniejszym niźli poczucie beznadziei, rzuciłem się ku drzwiom prowadzącym do następnego pokoju, naparłem na nie z całych sił, licząc na to, że i tu rygiel będzie działać i że uda mi się go zasunąć, nim otworzą się z zewnątrz.

Zdążyłem dzięki szczęśliwemu przypadkowi: drzwi między pokojami były nie tylko niezaryglowane, ale wręcz uchylone. W ciągu sekundy znalazłem się po drugiej stronie, przypadłem do drzwi na korytarz, które otwierały się już do środka, i naparłem na nie prawym kolanem i ramieniem. Siła, z jaką to uczyniłem, zaskoczyła intruza, drzwi zamknęły się bowiem, przeto tak jak w poprzednim pokoju bez trudu zasunąłem rygiel. Zyskałem w ten sposób chwilę wytchnienia, zaraz usłyszałem jednak, że walenie do dwojga innych drzwi osłabło, bezładny zaś łoskot rozległ się tym razem pode drzwiami, które zastawiłem łóżkiem. Najwyraźniej grupa napastników dostała się już do południowego pokoju i przypuszczała atak z obu stron. W tej samej jednak chwili klucz zagrzechotał w drzwiach następnego pomieszczenia, pojąłem więc, że z tej strony niebezpieczeństwo jest bliższe.

Wejście prowadzące do kolejnego pokoju stało otworem, lecz w drzwiach wiodących zeń na korytarz już chrobotał zamek, toteż czas naglił; jedyne, co mogłem uczynić, to zamknąć i zaryglować przejście prowadzące w obie strony – jedne zastawiłem łóżkiem, drugie biurkiem, do drzwi na korytarz przysunąłem zaś stojak na miednicę. Pozostawała mi tylko nadzieja, że te prowizoryczne barykady zdołają powstrzymać intruzów na tyle długo, bym zdążył wydostać się przez okno na dach budynku na Paine Street. Nawet w tej naglącej chwili główną przyczyną mej zgrozy nie była jednak słabość środków, jakie przedsięwziąłem dla obrony – o dreszcze przyprawiało mnie raczej to, że ani jeden z mych prześladowców, wstrętnie posapujących, pochrząkujących i poszczekujących z cicha w dziwacznych odstępach czasu, nie wydobył dotąd z siebie ani razu wyraźnego, zrozumiałego głosu.

Barykadując drzwi i pędząc do okna, usłyszałem na korytarzu straszliwy tupot przemieszczający się w stronę pokoju od północy, spostrzegłem też, że ustał rumor od południa. Najwyraźniej większość mych przeciwników

zamierzała skoncentrować siły na słabych drzwiach między pokojami, które – jak się domyślali – otworzą się prosto na mnie. Tymczasem w promieniach księżyca otwierała się już pode mną stromizna sąsiedniego dachu, pojąłem tedy, że skok będzie zadaniem wręcz desperackim.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, zdecydowałem się wyskoczyć przez okno bliższe strony południowej; zamierzałem wylądować na wewnętrznej stronie dachu i wskoczyć do wnętrza ceglanej rudery przez najbliższy świetlik. Musiałem liczyć się z tym, że prześladowcy ruszą za mną w pogoń, lecz miałem nadzieję, że uda mi się wydostać z ceglanej ruiny, przemknąć się przez ziejące wyrwy po drzwiach wzdłuż widmowego dziedzińca, dotrzeć do Washington Street i prześliznąć się ku południowym rogatkom.

Rumor przy wewnętrznych drzwiach był nie do opisania, z lichych listew leciały już drzazgi; najwidoczniej moi prześladowcy zaprzęgli do wyważania drzwi jakiś taran. Łóżko jednak ani drgnęło, miałem więc jeszcze nikłą szansę ujść pogoni. Otwierając okno, spostrzegłem, że ciężkie welurowe zasłony przesuwają się po karniszu na mosiężnych pierścieniach, na zewnątrz zaś zamontowana jest duża ochronna klamra do zamykania okiennic. Pojąłem, że dzięki tym przedmiotom mogę uniknąć niebezpiecznego skoku – chwyciłem za zasłony, szarpnąłem i ściągnąłem je na ziemię razem z karniszem; następnie szybko zaczepiłem dwa pierścienie na klamrze do okiennic i przerzuciłem zasłonę na zewnątrz. Ciężka tkanina sięgała aż do przyległego dachu, upewniłem się więc, że pierścienie i klamra udźwigną mój ciężar, po czym wydostałem się przez okno i spuściłem po zaimprowizowanej drabinie na dół, zostawiając za sobą schorzałe, przeżarte grozą wnętrza Gilman House.

Udało mi się wylądować na stromym dachu, a następnie dojść, nie omsknąwszy się na obluzowanych dachówkach, do czarnego otworu świetlika. Zerknąłem w okno – wciąż było ciemne, lecz po północnej stronie miasta, za lasem murszejących kominów, widziałem światła łyskające złowieszczo w świątyni Zakonu Dagona, kościele baptystów i kościele kongregacjonistów – miejsca, na których wspomnienie zadrżało mi serce. Podwórze wydawało się puste, toteż miałem nadzieję, że uda mi się czmychnąć, nim rozniesie się wieść o mej ucieczce. Zaświeciłem latarką w okienko: nie było schodów. Wysokość nie była jednak znaczna, przełożyłem więc nogi przez krawędź i skoczyłem; wylądowałem na zakurzonej podłodze zawalonej rozpadającymi się skrzyniami i beczkami.

Miejsce wyglądało upiornie, lecz takie drobiazgi nie robiły już na mnie wrażenia: zerknąwszy pospiesznie na zegarek, wskazujący już godzinę drugą, puściłem się biegiem w stronę schodów widocznych w świetle latarki. Schody trzeszczały, lecz wydawały się w miarę solidne, pobiegłem więc na dół, mijając po drodze przepastne pomieszczenia na pierwszym piętrze. Budynek był kompletnie opuszczony, krokom moim odpowiadało jedynie echo. Wreszcie dotarłem na parter. Na końcu hali majaczył prostokąt drzwi wiodących na zrujnowaną Paine Street; ruszyłem jednak w stronę przeciwną – tylne drzwi również okazały się otwarte, wypadłem więc na zewnątrz i po pięciu kamiennych schodkach zbiegłem na zarośnięty trawą bruk podwórza.

Nie sięgało tu światło księżyca, udało mi się jednak odnaleźć drogę bez pomocy latarki. W niektórych oknach hotelu ujrzałem blady poblask, zdało mi się też, że dobiegają stamtąd bezładne hałasy. Przekradając się w stronę Washington Street, spostrzegłem, że kilka drzwi jest otwartych, wybrałem więc najbliższe jako drogę ucieczki. Wewnątrz było ciemno choć oko wykol, gdy zaś dotarłem do końca budynku, okazało się, że wyjście na ulicę jest zamknięte na głucho. Postanowiłem przekraść się drugim budynkiem, po omacku wróciłem więc na podwórze; znalazłszy się przy drzwiach, zastygłem jednak bez ruchu.

Oto bowiem z otwartych wrót Gilman House wylewał się tłum podejrzanych postaci; kołysały się latarnie, upiornie skrzekliwe głosy pokrzykiwały coś między sobą w nieokreślonym, z pewnością nie angielskim języku. Patrząc na ich niepewne ruchy uznałem, że na szczęście chyba nie wiedzą, dokąd uciekłem; wszelako na ich widok przeszedł mnie dreszcz najczystszej zgrozy. W ciemności nie dało się dostrzec rysów twarzy, lecz ich przyczajony, powłóczący chód napawał mnie nieopisanym obrzydzeniem; a co najgorsze, jedna z postaci była dziwacznie odziana i przystrojona aż nazbyt dobrze mi znaną wysoką tiarą. W miarę jak tłum rozbiegał się po dziedzińcu, narastał we mnie lęk; co będzie, jeśli nie znajdę wyjścia z magazynu na ulicę? Rybi odór był wręcz nieznośny, aż dziw, że nie zemdlałem. Raz jeszcze jąłem szukać drogi ucieczki. Dostałem się do pustej izby; okna były wprawdzie zamknięte na głucho okiennicami, lecz pozbawione szyb. Przyświecając sobie latarką stwierdziłem, że zdołam je otworzyć – i tak też się stało: po krótkiej chwili wygramoliłem się na zewnątrz i starannie zamknąłem za sobą drewniane skrzydło.

Znajdowałem się na Washington Street. Zrazu nie spostrzegłem nikogo, ulicę rozświetlał jedynie blask księżyca. Z różnych stron dobiegało mnie jednak dalekie echo chrapliwych głosów, kroków, tudzież osobliwszy jeszcze tupot, zupełnie nieprzypominający zwykłego stąpania. Nie miałem czasu do stracenia. Kompas wskazywał mi kierunek ucieczki, toteż byłem rad, że – jak to się zdarza w uboższych miejscowościach – korzystając z księżycowej nocy, nie włączono w mieście latarni. Niektóre hałasy dochodziły z południa, podtrzymałem jednak zamiar ucieczki w tym właśnie kierunku. Wiedziałem, że w południowej części miasta znajdę mnóstwo opuszczonych domów, które w razie spotkania z podejrzanymi osobnikami posłużą mi za schronienie.

Pospiesznie, cichaczem przemykałem się pod ścianami zrujnowanych domostw. Podczas znojnej ucieczki przez okno uszargałem się i straciłem kapelusz, lecz dzięki temu mniej rzucałem się w oczy i w razie spotkania z przypadkowym nocnym włóczęgą miałem większe szanse przejść niepostrzeżenie. Na Bates Street wyszły wprost na mnie dwie pokraczne sylwetki, ukryłem się więc w przedsionku najbliższego domu, po chwili jednak wznowiłem marsz. Zbliżałem się do otwartego placu, na którym Washington Street krzyżuje się z South Street i ukosem przecina Eliot Street. Nie szedłem tamtędy jeszcze, lecz mając w pamięci mapkę, uznałem otwarte, skąpane w świetle księżyca skrzyżowanie za miejsce niebezpieczne. Nie było jednak sensu go omijać – każda okrężna trasa mogłaby mnie odsłonić jeszcze bardziej tudzież narazić na tragiczne w skutkach opóźnienie.

Musiałem po prostu śmiało, otwarcie przemaszerować przez skrzyżowanie, starając się naśladować powłóczący krok mieszkańców Innsmouth i ufając, że nikogo po drodze nie spotkam – a przynajmniej żadnego z mych prześladowców.

Jak zorganizowany był pościg – i jaki właściwie był jego cel – nie miałem najbledszego pojęcia. Wydawało mi się, że w mieście panuje wyjątkowy ruch, nie miałem jednak wrażenia, by rozeszła się już wieść o mej ucieczce z hotelu. Oczywiście liczyłem się z tym, że wkrótce będę musiał zboczyć z Washington Street w jedną z ulic wiodących na południe – nie miałem wątpliwości, że grupa z hotelu wkrótce mnie dopędzi. W starym magazynie z pewnością pozostawiłem dość śladów, które zdradzały drogę mej ucieczki.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami plac skąpany był w świetle księżyca; pośrodku znajdował się zapuszczony skwer otoczony żelazną barierką. Na szczęście nie widziałem tam nikogo, jakkolwiek zdało mi się, że w okolicach rynku narasta osobliwy gwar czy ryk.

South Street była prosta i bardzo szeroka, łagodnie opadała w stronę nabrzeża. Rozciągał się z niej widok na morze; miałem nadzieję, że w trakcie przekraczania placu nie wypatrzy mnie nikt od strony portu.

Nic mi na szczęście nie przeszkodziło, nie usłyszałem nic, co wskazywałoby, żem został dostrzeżony. Rozglądając się dokoła, mimowolnie zwolniłem kroku, by popatrzeć na morze, wspaniale opalizujące w świetle księżyca. Daleko za linią falochronu majaczyła ciemną linią Diabelska Rafa. Na jej widok przypomniały mi się wszystkie odrażające legendy, jakie słyszałem w ciągu ostatnich trzydziestu czterech godzin – postrzępiona skała jawiła się w nich jako brama do królestwa niezgłębionej grozy i niepojętego zwyrodnienia.

Raptem, zupełnie niespodziewanie, na rafie dostrzegłem nieregularne błyski światła. Były wyraźne, widziałem je jak na dłoni, ujrzawszy je zaś, uczułem przypływ ślepej, nieracjonalnej grozy. Mięśnie sprężyły mi się do panicznej ucieczki; powstrzymał mnie jedynie podświadomy odruch ostrożności oraz na wpół hipnotyzujący widok dalekich świateł. Na domiar złego podobne rozbłyski dojrzałem w strzelistej kopule Gilman House wznoszącej się za mną na północno-wschodnim niebie – układały się w odmienną nieco serię, lecz ponad wszelką wątpliwość sygnalizowały jakąś odpowiedź.

Opanowałem odruch ucieczki, a jednocześnie uprzytomniłem sobie, że stojąc pośrodku placu, jestem widoczny jak na dłoni, tedy ruszyłem żwawo dalej, pozorując powłóczący chód. Dopóki nie straciłem z oczu morza, nie odrywałem wszakże wzroku od piekielnej, złowieszczej rafy. Czemu miały służyć te dziwne poczynania? Nie miałem pojęcia. Mógł to być jakiś dziwny rytuał związany z Diabelską Rafą lub znak, że na owej ponurej skale wyokrętowała się właśnie grupa marynarzy. Skręciłem w lewo przez zniszczony skwer; wciąż wpatrywałem się w ocean lśniący w widmowym blasku letniego księżyca i obserwowałem tajemne łyśnięcia niepojętych, niewytłumaczalnych sygnałów.

W tej właśnie chwili poczyniłem spostrzeżenie ze wszystkich najstraszliwsze – spostrzeżenie, które odarło mnie z resztek opanowania i

sprawiło, że pognałem niczym szaleniec w kierunku południowym, mijając czarne paszcze drzwi i rybio wytrzeszczone okna opuszczonych domów ciągnących się wzdłuż ulicy jak w sennym koszmarze. Wytężywszy wzrok, spostrzegłem bowiem, że wody między portem a rafą bynajmniej nie są puste: kłębiła się w nich horda jakichś postaci zdążająca wpław w stronę miasta; i choć byłem tak daleko, olśnienie zaś moje trwało ledwie chwilę, widziałem dobrze, że młócące wodę ramiona oraz głowy wznoszące się wśród fal były nieludzkie, wynaturzone – w sposób, którego nie sposób świadomie określić ani wyrazić.

Szaleńczy mój bieg zakończył się, nim dotarłem do następnej przecznicy – z lewej strony dobiegł mnie bowiem tumult wskazujący jednoznacznie, że przez Federal Street pędzi w kierunku południowym grupa pościgowa: słyszałem wyraźnie tupot stóp, gardłowe pokrzykiwania i warkot silnika. Ta jedna sekunda wywróciła na opak cały mój plan – skoro bowiem południowy wyjazd z miasta był już odcięty, musiałem szukać innej drogi ucieczki. Zatrzymałem się i ukryłem w najbliższej sieni; zaiste, przemknęło mi przez myśl, szczęśliwy to traf, że zdążyłem pokonać otwartą, widną przestrzeń, nim pościg dotarł tam równoległą ulicą.

Następna refleksja była już mniej krzepiąca. Skoro moi prześladowcy znaleźli się już przede mną, było oczywiste, że nie idą moim śladem – nie tyle mnie ścigają, ile realizują szeroko zakrojony plan odcięcia dróg ucieczki. Ponieważ nie wiedzieli, którędy zamierzam wydostać się z miasta, musieli obstawić wszystkie drogi wyjazdowe. Jeśli tak było w istocie, pozostawały mi tylko bezdroża – jakżeż jednak mogłem trzymać się z dala od dróg, wiedząc, że Innsmouth otoczone jest bagnami i potokami? Beznadziejność mego położenia, w połączeniu z gęstniejącym coraz szybciej rybim odorem, przyprawiła mnie o chwilowy zawrót głowy.

Wówczas przypomniałem sobie o opuszczonej linii kolejowej do Rowley – solidnym, zarośniętym chwastami nasypie ciągnącym się od niszczejącej stacji na skraju kanionu ku północno-zachodnim rogatkom. Istniał cień szansy, że miejscowi nie wezmą go pod uwagę: był tak zarośnięty dziką różą, że przedostać się przezeń było niemal niepodobna, przeto stanowił najmniej prawdopodobną drogę ucieczki. Widziałem ów nasyp z okna hotelu, umiałbym więc tam trafić. Początkowy jego odcinek był niestety widoczny z drogi biegnącej do Rowley, tudzież z wyższych obiektów w mieście; mógłbym jednak przeczołgać się niepostrzeżenie przez krzaki. Tak czy owak była to bodaj jedyna szansa ratunku, nie mogłem więc z niej nie skorzystać.

Ukryłem się w ciemnej izbie opuszczonego domu i raz jeszcze, w świetle latarki, sprawdziłem mapkę. Najpierw musiałem jakoś dotrzeć w pobliże toru; najpewniejsza droga wiodła prosto przez Babson Street, stamtąd musiałem skręcić na zachód w Lafayette Street – przekradając się obrzeżem otwartego skweru, podobnego do tego, który już minąłem – a następnie zygzakiem, to na północ, to na zachód, przemknąć się przez ulice Lafayette, Bates, Adams oraz Bank Street – ta ostatnia szła brzegiem kanionu – aż do opuszczonego, zrujnowanego budynku stacji, który widziałem z okna. Przez Babson zdecydowałem się iść dlatego, że nie miałem ochoty po raz wtóry przekraczać skweru; nie chciałem też ruszać za zachód przez szeroką South

Street.

Ponownie ruszyłem więc w drogę. Zrazu przekroczyłem ulicę po prawej ręce, by możliwie najskryciej przekraść się do Babson Street. Na Federal Street wciąż rozbrzmiewał gwar; gdy zerknąłem przez ramię, zdało mi się też, że błysnęło światło nieopodal magazynu, przez który uciekłem. Chciałem jak najszybciej opuścić Washington Street, toteż ruszyłem przed siebie cichym truchtem, mając nadzieję, że nie wypatrzy mnie żaden przyczajony obserwator. Tuż przed rogiem Babson Street spostrzegłem z przestrachem, że jeden z domów jest zamieszkany – w oknach były zasłony; w środku panowała jednak zupełna ciemność, udało mi się więc minąć go bez przygód.

Babson Street krzyżowała się z Federal Street, mogła więc odsłonić mnie przed oczyma prześladowców, przeto przemykałem się tuż pod ścianami koślawych, pokrzywionych budynków; dwakroć, gdy hałas nasilał się na chwilę, kryłem się w bramach. Przede mną otwierał się pusty, rozświetlony blaskiem księżyca plac, tym razem jednak nie musiałem go przekraczać. Podczas drugiego przystanku zdało mi się, że stłumiony rozgwar pościgu dobiega mnie jeszcze z innej strony; wyjrzawszy ostrożnie z ukrycia, spostrzegłem samochód – przemknął przez plac i skręcił w Eliot Street przecinającą w owym miejscu zarówno Babson, jak Lafayette Street.

Po chwili zauważyłem – znów dusząc się od narastającego rybiego fetoru – że w ślad za samochodem podąża niezdarnymi susami grupa pokracznych, skulonych postaci; domyśliłem się, że spieszą w stronę drogi do Ipswich będącej przedłużeniem Eliot Street. Dwie postacie przystrojone były w fałdziste szaty, jedna zaś miała na głowie spiczasty diadem łyskający bielą w świetle księżyca. Postać owa poruszała się w sposób tak dziwaczny, że aż przeszedł mnie dreszcz – zdało mi się mianowicie, że czyni to niemal w pod skokach.

Gdy pochód zniknął mi wreszcie z oczu, ruszyłem dalej; skręciłem za róg i popędziłem wzdłuż Lafaeytte Street, a następnie w wielkim pośpiechu przebiegłem przez szeroką Eliot Street, mając nadzieję, że nie dojrzy mnie żaden maruder z grupy pościgowej. Gdzieś od strony rynku dobiegał skrzekliwy tumult, udało mi się jednak dotrzeć na drugą stronę ulicy bez przygód. Najbardziej trwożyła mnie myśl, że raz jeszcze zmuszony będę przejść przez szeroką i oświetloną blaskiem księżyca South Street – z widokiem na morze – musiałem tedy porządnie wziąć się w garść. Byłem tam widoczny ze wszystkich stron, zarówno od strony morza, jak od Eliot Street. W ostatniej chwili postanowiłem, że zwolnię kroku i przejdę przez ulicę tak jak poprzednio, czyli markując niezdarny krok typowego mieszkańca Innsmouth.

Nim znów otworzył się przede mną widok na morze – tym razem po prawej ręce – postanowiłem, że nie spojrzę w tamtą stronę. Nie udało mi się: powłócząc nogami w stronę zbawczego cienia po drugiej stronie ulicy, zerknąłem w bok. Wbrew oczekiwaniom nie dostrzegłem żadnego statku; rzuciła mi się natomiast w oczy niewielka łódź wiosłowa – płynęła w stronę nabrzeży i wiozła masywny, okryty brezentem przedmiot. Wioślarze, jakkolwiek z daleka widziałem ich niewyraźnie, wyglądali wyjątkowo

odpychająco. Kilka postaci płynęło jeszcze wpław, dalej, na czarnej rafie jarzył się zaś słabiutko jednostajny blask, inny niż sygnalizacyjne mrugnięcia, które zaobserwowałem wcześniej, w dziwniejszym też kolorze, jakiego nie mogłem jednoznacznie określić. Przede mną, nieco z prawej strony, nad linią skośnych dachów górowała wysoka kopuła Gilman House, ciemna już jednak zupełnie. Rybi odór, na chwilę rozproszony przez miłosierną bryzę, znów zaatakował moje nozdrza z nieznośną intensywnością.

Nie zdążyłem jeszcze przejść na drugą stronę, gdy od północy dobiegł mnie gwar pościgu zdążającego Washington Street. Gdy prześladowcy dotarli do placu, z którego po raz pierwszy z drżeniem serca ujrzałem przybrzeżne wody, mogłem im się dokładnie przyjrzeć, mijali mnie bowiem w odległości ledwie jednej przecznicy – i na widok zezwierzęconych, zwyrodniałych twarzy i podkulonych, psich raczej niźli ludzkich sylwetek, ogarnęła mnie zgroza. Jeden z członków grupy poruszał się dosłownie jak małpa, długimi ramionami co rusz dotykając ziemi; inna postać – przystrojona w tiarę i kapłańskie szaty – przemieszczała się niemal w podskokach. Uznałem, że jest to owa grupa, którą widziałem na hotelowym podwórzu – a więc najbardziej depcząca mi po piętach. Kilka postaci odwróciło się w moją stronę, toteż na chwilę sparaliżowała mnie trwoga, udało mi się wszakże utrzymać pozorowany powłóczący krok. Po dziś dzień nie jestem pewien, czy zostałem wówczas dostrzeżony. Jeśli tak, to mój fortel musiał być skuteczny, prześladowcy przeszli bowiem przez plac, nie zmieniając kursu – bełkocząc coś skrzekliwie w swojej obmierzłej gardłowej gwarze, której określić nie sposób.

Znalazłszy się na powrót w cieniu, puściłem się truchtem wzdłuż pochylonych, rozchwierutanych domostw wpatrzonych obojętnie w mrok. Na najbliższym rogu skręciłem w Bates Street i ruszyłem południową stroną ulicy. Wśród mijanych przeze mnie domów dwa musiały być zamieszkane, w oknach na piętrze dostrzegłem bowiem słabe światło, minąłem je wszakże bez przeszkód. Skręciwszy w Adams Street, poczułem się znacznie pewniej, osłupiałem jednak, gdy z jednej z czarnych sieni wytoczył się prosto na mnie jakiś człowiek. Na szczęście okazał się beznadziejnie wręcz pijany, toteż wkrótce udało mi się dotrzeć bez przeszkód do posępnych ruin składów na Bank Street.

Ulica była na szczęście kompletnie wymarła, a ryk wodospadów tłumił odgłos mych kroków. Do zrujnowanej stacji musiałem przebiec jeszcze niemały kawałek, a ceglane mury wielkich magazynów nie wiedzieć czemu napawały mnie jeszcze większą zgrozą niźli fasady prywatnych domostw. Wreszcie ujrzałem przed sobą arkady wiekowej stacyjki – lub raczej tego, co z niej zostało – i ruszyłem prosto na tory, które zaczynały się na jej drugim końcu.

Szyny były zardzewiałe, lecz prawie nietknięte, podkłady zaś wprawdzie przegniłe, ale nie więcej niż w połowie. Marsz lub bieg po takiej powierzchni był zadaniem niezwykle trudnym, lecz nie ustawałem w wysiłkach i posuwałem się do przodu we wcale niezłym tempie. Przez pewien czas tor wiódł wzdłuż krawędzi kanionu, wkrótce jednak dotarłem do

przerzuconego na zawrotnej wysokości przez rzekę długiego krytego mostu. Od tego, w jakim jest stanie, uzależniłem swój następny krok: jeśli nadaje się do użytku, ruszę dalej; jeśli nie, zaryzykuję powrót na ulice miasta i poszukam najbliższego mostu drogowego.

Otchłanna przestrzeń starej konstrukcji upiornie lśniła w świetle księżyca. Widziałem, że przynajmniej na parę stóp przede mną podkłady są całe, wszedłem więc do środka i włączyłem latarkę. Omal nie zbiła mnie z nóg spłoszona przypadkiem chmara nietoperzy. Mniej więcej w połowie mostu napotkałem groźną wyrwę: brakowało kilku belek. Przez chwilę obawiałem się, że będę musiał zawrócić, po chwili namysłu zaryzykowałem jednak: wykonałem rozpaczliwy skok, który na szczęście okazał się udany.

Wreszcie dotarłem do wylotu makabrycznego mostu i z ulgą powitałem światło księżyca. Stary tor przecinał River Street i zaraz za przejazdem wybiegał łukiem za miasto, na tereny coraz bardziej wiejskie i wolne od ohydnego odoru ryb. Brnąłem przez chwasty i kępy dzikiej róży, ubranie darło mi się na strzępy, pocieszałem się jednak, że w razie niebezpieczeństwa krzaki będą dobrym schronieniem. Doskonale pamiętałem, że większa część mojej trasy jest widoczna z drogi do Rowley.

Niebawem okolica zrobiła się bagnista, pojedynczy tor szedł niską, trawiastą groblą, zarośla zaś nieco się przerzedziły. Dalej suchy teren wyrastał nad bagnem na podobieństwo wysepki; szyny biegły w tym miejscu płytkim, otwartym wykopem, do cna zarośniętym krzakami i kępami jeżyn. Ucieszyłem się, że znajdę tam przynajmniej częściowe schronienie, droga do Rowley na tym odcinku biegła bowiem niebezpiecznie blisko. Po drugiej stronie wykopu przechodziła przez tor, a potem oddalała się na bezpieczniejszą odległość; na razie musiałem jednak zachować najwyższą ostrożność. Całe szczęście – w tym momencie byłem już tego pewien – że sam tor nie był patrolowany.

Tuż przed wejściem do wykopu zerknąłem za siebie, nikt mnie jednak nie ścigał. W magicznym żółtym świetle księżyca prastare iglice i dachy obumierającego miasta połyskiwały cudnie, eterycznie – zadumałem się przez chwilę, jak musiały wyglądać dawniej, nim nad Innsmouth nadciągnęło widmo. Gdy odwracałem wzrok, uwagę moją przykuł jednak widok mniej spokojny – ujrzawszy go zaś zamarłem na chwilę.

Daleko na południowym widnokręgu ujrzałem mianowicie – lub roiłem sobie, że widzę – niepokojące, jakby falujące poruszenie; uznałem, że w stronę Ipswich wylewa się z Innsmouth potężna horda. Odległość była znaczna, nie mogłem więc dopatrzyć się żadnych szczegółów, wszelako wygląd owej kolumny zupełnie nie przypadł mi do gustu. Zbyt mocno falowała, zbyt jasno lśniła w promieniach zachodzącego już księżyca. Zdało mi się też, że dobiegają mnie stamtąd jakieś dźwięki, choć wiatr wiał w przeciwną stronę – zwierzęce szurgoty i porykiwania, gorsze jeszcze niźli pomruki grup, które napotkałem do tej pory.

W głowie kotłowało mi się od nieprzyjemnych domysłów. Przypomniałem sobie o owych najskrajniejszych przypadkach tutejszej choroby, ukrywanych ponoć w murszejących, wiekowych labiryntach nieopodal portu. Pomyślałem też o potwornych pływakach, którzy spieszyli do brzegu od strony rafy.

Sądząc po liczbie grup pościgowych, które widziałem do tej pory, tudzież tych, które pewnie obstawiły pozostałe drogi, liczba mych prześladowców zdawała się dziwnie wielka jak na tak wyludnione miasto.

Skądżeż wzięła się zgraja, którą dostrzegłem przed chwilą? Czyżby owe prastare, niezgłębione labirynty były rojowiskiem zdumiewającego, wynaturzonego życia, nieznanego w ludzkich katalogach? A może na tej piekielnej rafie wyokrętował się z jakiegoś statku legion przybyszów z niepojętych stron? Kimżeż oni byli? Co tam robili? A skoro na drodze do Ipswich grasowało takie ich mrowie, to czy patrole na innych drogach również zostały wzmocnione podobnymi posiłkami?

Wszedłem do wykopu i przedzierałem się właśnie przez gęste zarośla, gdy ze zdwojoną siłą uderzył mnie w nozdrza przeklęty rybi odór. Czyżby wiatr nagle zmienił kierunek i wiał teraz od morza i miasta? Musiało tak być, począłem bowiem słyszeć z tamtej strony okropne gardłowe pomruki. Dobiegł mnie także dźwięk jeszcze inny – coś jakby rozmrowiony, zwielokrotniony tupot czy trzepotanie, przywodzące na myśl najobmierzlejsze wyobrażenia. Wbrew wszelkiej logice skojarzył mi się z ową falującą kolumną, którą dostrzegłem na dalekiej drodze do Ipswich.

A później zarówno fetor, jak i gwar jęły się nasilać, toteż zastygłem wstrząsany dreszczem obrzydzenia i rad ze swojego schronienia. Przypomniałem sobie, że właśnie w tym miejscu droga do Rowley zbliża się do linii kolejowej – tuż za wykopem przekracza ją i skręca na zachód. Coś się tą drogą zbliżało, musiałem tedy pozostać w ukryciu, nim przejdzie mimo i zniknie w oddali. Dziękowałem niebiosom, że te stworzenia nie używają tropiących psów – choć w okolicy tak przesiąkniętej fetorem ryb byłoby to raczej niemożliwe. W zakrzaczonej piaszczystej rozpadlinie czułem się całkiem bezpiecznie, aczkolwiek wiedziałem, iż moi prześladowcy pewnikiem przejdą przez tor w odległości nie większej niż sto jardów ode mnie. Mogłem ich zobaczyć, oni zaś dojrzeć mnie nie mogli, chyba że za sprawą cudownego – a dla mnie zgubnego – zrządzenia losu.

Raptem na myśl o ujrzeniu tej zgrai ogarnęła mnie trwoga. W świetle księżyca widziałem drogę, na której za chwilę miało się od niej zakotłować, i nawiedziła mnie myśl osobliwa: że drogę ową dotknie niezatarta zmaza. Być może ze wszystkich mieszkańców Innsmouth był to sort najgorszy – taki, którego lepiej nie pamiętać.

Smród był już obezwładniający, daleki tumult spotężniał zaś, przerodził się w zwierzęcy rozgwar skrzeków, ujadań, skowytów, wyzbyty choćby śladu ludzkiej mowy. Byłyżby to naprawdę głosy mych prześladowców? Czy nie mieli jednak ze sobą psów? Jak dotąd czworonogów nie widziałem w Innsmouth nawet na lekarstwo. Tupot czy trzepot zwyrodniałych istot brzmiał potwornie – nie mogłem się zmusić, by spojrzeć w ich stronę. Zaciskałem powieki, póki tumult nie zaczął przesuwać się na zachód. Horda była już bardzo blisko – w powietrzu kipiało od chrapliwych powarkiwań, ziemia drżała od tętentu nieludzkich stóp. Brakowało mi tchu; musiałem wytężyć całą siłę woli, żeby nie otwierać oczu.

Nawet teraz nie jestem jeszcze władny stwierdzić, czy to, co ujrzałem chwilę później, było ohydną rzeczywistością czy tylko omamem z

koszmarnego snu. Wszczęte za sprawą mych szaleńczych apeli działania rządu zdają się potwierdzać, że była to potworna prawda – czyż jednak w tym prastarym, nawiedzonym mieście widmie omam nie mógł się powtórzyć? Takie miejsca miewają dziwne właściwości, w gąszczu zaś wymarłych, zaśmiardłych ulic, gnijących dachów i murszejących wież obłąkańcze legendy mogły wywrzeć wpływ na każdego, kto tylko jest obdarzony wyobraźnią. Czy można wykluczyć, że w posępnym widmie, które zawisło nad Innsmouth, lęgnie się zaraźliwy zarodek prawdziwego szaleństwa? Któż zawierzy rzeczywistości, usłyszawszy opowieść starego Zadoka Allena? Policja nie odnalazła biednego Zadoka, nie miała też najbledszego pojęcia, jaki mógł spotkać go los. Gdzie kończy się szaleństwo, a zaczyna rzeczywistość? Czy to możliwe, że nawet lęk, który dręczy mnie ostatnio, jest tylko czystym złudzeniem?

Muszę jednak spróbować opowiedzieć, co, jak mi się zdaje, ujrzałem w żółtym świetle drwiącego księżyca – co tarabaniło się w falujących podskokach drogą do Rowley, gdym kulił się w kępach jeżyn na opuszczonym torowisku. W postanowieniu, by nie otwierać oczu, oczywiście nie wytrwałem. Nie mogłem w nim wytrwać – któż siedziałby w ukryciu z zamkniętymi oczyma, podczas gdy ledwie sto jardów dalej przetacza się ze wstrętnym trzepotem legion skrzeczących, skowyczących istot nieznanego pochodzenia?

Sądziłem, że jestem gotów na najgorsze, i zaiste, wszystko, co widziałem do tej pory, powinno było dać mi jego przedsmak. Prześladowcy, z którymi miałem do czynienia wcześniej, dość już byli spotworniali – czyż więc nie powinienem był sądzić, że ujrzę ów zwyrodniały pierwiastek w większym natężeniu, że oczom mym ukażą się formy, w jakich normalności nie ma już ani na krztynę? Powieki uniosłem dopiero wówczas, gdy chrypliwa wrzawa rozbrzmiewała już z pewnego oddalenia, gdy wiedziałem, że spora część wrzaskliwej hordy mijać będzie prześwit wykopu, tam gdzie droga przecina torowisko – i gdy czułem, że muszę już przekonać się na własne oczy, jakie okropieństwo roztacza przede mną szydliwy żółty księżyc.

Był to kres wszystkiego, co pozostało mi jeszcze z ziemskiego żywota, kres psychicznego spokoju, tudzież wiary w integralność Natury i ludzkiego umysłu. Cokolwiek bym sobie wyfantazjował – nawet traktując najdosłowniej w świecie bajdurzenia starego Zadoka – w najmniejszym nawet stopniu nie dorównałoby to bluźnierczej, demonicznej rzeczywistości, która odsłoniła się mym oczom – lub też tylko oczom wyobraźni. Do tej pory starałem się ją zakryć mglistymi aluzjami, bo myśl o jej opisaniu napawała mnie zgrozą. Jestże możliwe, by na naszej planecie lęgły się takie istoty, by człowiek na własne oczy oglądał coś, co pierwej znał jedynie z gorączkowych fantazji i mglistych legend?

A przecież widziałem je – widziałem, jak trzepoczą, skaczą, skrzeczą, beczą nieludzko w upiornym blasku księżyca, jak tańczą swą groteskową, złowieszczą sarabandę rodem z najfantastyczniejszych sennych koszmarów. A niektóre z nich miały na sobie wysokie tiary z nieznanego złotobiaławego metalu… niektóre dziwne szaty… a przewodnik całego pochodu odziany był w czarny, upiornie wybrzuszony na grzbiecie płaszcz i pasiaste spodnie, tam

zaś, gdzie miast obmierzłego bezkształtu winien mieć głowę, przystrojony był w filcowy męski kapelusz...

Ciała ich były – jak mi się zdaje – głównie barwy szarozielonej, choć na brzuchu białe; przeważnie zdawały się połyskliwie śliskie, lecz grzbiety pokryte były łuską. W najogólniejszym zarysie istoty te były człekokształtne, lecz głowy miały rybie, o olbrzymich, niezamykających się ślepiach. Po obu stronach szyi pulsowały skrzela, długie szpony połączone były błoną. Stwory poruszały się w nieregularnych podskokach, czasem na dwóch nogach, czasem na czworaka. Nie wiedzieć czemu byłem rad, że nie mają więcej kończyn. W skrzekliwych, skowyczących głosach, jakimi bez wątpienia porozumiewały się w sposób artykułowany, pulsował bezlik najmroczniejszych odczuć, których wyzbyte były ich beznamiętne, wytrzeszczone twarze.

A przecież na swój poczwarny sposób były mi znane. Wiedziałem aż za dobrze, kim są – dawnoż to byłem w Newburyport i oglądałem niegodziwą tiarę? Miałem przed sobą owe bluźniercze rybożaby przedstawione w jej niepojętych wzorach – miałem je przed sobą w żywej, straszliwej postaci – a gdy je ujrzałem, pojąłem też, czemu mnie tak przeraził ów straszliwy garbaty kapłan w tiarze, którego ujrzałem w czarnych wrotach kościoła. Było ich mrowie nieprzeliczone – przelotnym spojrzeniem zdołałem ogarnąć, jak mi się zdało, zaledwie drobną ich grupkę... w następnej zaś chwili zasnuła mi wzrok litościwa omrocz. Zemdlałem – po raz pierwszy w życiu.

V

Zbudziła mnie łagodna letnia mżawka. Gdy już na dobre odzyskałem zmysły, wygrzebałem się z zachwaszczonego wykopu i chwiejnym krokiem wyszedłem na drogę, ale w świeżym błocku nie dostrzegłem zgoła żadnych śladów. Zniknął też bez reszty fetor ryb. Na południowo-wschodnim niebie szarym cieniem rysowały się zrujnowane dachy i pokrzywione wieże Innsmouth, lecz na słonym bagnistym pustkowiu nie dostrzegłem ani żywej duszy. Mój zegarek wciąż chodził – pokazywał, że minęło już południe.

O tym, co naprawdę przydarzyło mi się tej nocy, nie umiałem powiedzieć nic pewnego, wszelako czułem, że gdzieś na dnie tych niejasnych wspomnień czai się coś odrażającego. Musiałem uciekać jak najdalej od tego nikczemnego, widmowego miasta – z tą myślą jąłem zbierać w sobie resztki sił. Byłem wyczerpany, skostniały, osłabiony, głodny, przerażony i ogłupiały, po dłuższej chwili wszakże uczułem się zdolny do marszu; ruszyłem przeto błotnistą drogą w stronę Rowley. Przed wieczorem byłem już w wiosce. Posiliłem się, wymieniłem swoje zniszczone odzienie i złapałem nocny pociąg do Arkham. Następnego dnia udałem się do tamtejszych urzędników rządowych i odbyłem z nimi długą, poważną rozmowę; podobne spotkanie odbyłem później w Bostonie. Główny rezultat tych spotkań jest już publicznie znany – i jeśli mam pozostać przy zdrowych zmysłach, wolałbym już więcej o tym wszystkim nie opowiadać. Być może po prostu ogarnia mnie szaleństwo; być może jednak naprawdę odsłania się przed nami coś jeszcze straszliwszego – lub cudowniejszego.

Nietrudno sobie wyobrazić, że nie kontynuowałem już swej wycieczki – zrezygnowałem z widokowych, architektonicznych i antykwarycznych

atrakcji, których z taką radością wyglądałem. Nie ośmieliłem się też wybrać do muzeum Uniwersytetu Miskatonic, by obejrzeć przechowywane tam dziwne precjoza. Podczas pobytu w Arkham udało mi się jednak zebrać pewne informacje genealogiczne, na których już od dawna mi zależało – informacje wprawdzie ogólne, lecz dość wartościowe, by później, gdy znajdę czas na ich uporządkowanie i skolacjonowanie, dało się uczynić z nich dobry użytek. Kurator tamtejszego towarzystwa historycznego, pan E. Lapham Peabody, był bardzo uprzejmy i pomocny, wielce zaintrygowało go też to, że jestem wnukiem Elizy Orne z Arkham, urodzonej w roku 1867 i w wieku lat siedemnastu wydanej za Jamesa Williamsona z Ohio.

Wyszło otóż na jaw, że przed wielu laty w siedzibie towarzystwa podobną kwerendę odbył mój wuj ze strony matki – oraz że rodzina mej babki wzbudziła swego czasu w Arkham niemałe zainteresowanie. Jak powiedział pan Peabody, sporo mówiło się o małżeństwie jej ojca Benjamina Orne'a. Benjamin ożenił się tuż po zakończeniu wojny domowej. Pochodzenie jego wybranki okazało się wielką zagadką; wieść głosiła, że jest ona sierotą po Marshach z New Hampshire – kuzynką Marshów z hrabstwa Essex – kształciła się jednak we Francji, o swej zaś rodzinie wiedziała bardzo niewiele. Opiekun zdeponował w jednym z bostońskich banków fundusze na utrzymanie jej oraz francuskiej guwernantki; opiekun ów był jednak nieznany nikomu z nazwiska, ponadto po pewnym czasie zniknął bez wieści, toteż decyzją sądu obowiązki jego przejęła guwernantka. Kobieta ta zmarła już dawno temu, za życia była zaś wyjątkowo skryta; niektórzy twierdzą nawet, że bardziej niż powinna.

Najbardziej zdumiewające było jednak to, że nikt nie potrafił określić, z której ze znanych rodzin stanu New Hampshire mogli pochodzić rodzice młodej mężatki – Enoch i Lydia (z domu Meserve) Marshowie. Sądzono, że jest nieślubną córką którychś z wysoko postawionych Marshów – z całą pewnością miała typowe dla tej rodziny oczy. Plotki ucichły wraz z jej przedwczesną śmiercią; kobieta zmarła w połogu, rodząc jedyne dziecko – moją babkę. Nazwisko Marsh budziło we mnie niezbyt przyjemne skojarzenia, toteż nie ucieszyło mnie to, że pojawia się ono w dziejach mej rodziny; nie byłem też zachwycony spostrzeżeniem pana Peabody'ego, jakobym i ja miał oczy po Marshach. Niemniej byłem mu wdzięczny za informacje, które – jak sądziłem – miały mi się przydać w dalszych poszukiwaniach; dzieje rodziny Orne'ów były bogato udokumentowane, sporządziłem więc obfite notatki i wypisy bibliograficzne.

Z Bostonu pojechałem od razu do swego domu w Toledo, następnie zaś spędziłem miesiąc na rekonwalescencji w Maumee. We wrześniu wróciłem do Oberlinu na uczelnię i pozostałem tam do czerwca: kończyłem studia i oddawałem się bezlikowi najróżniejszych zajęć; o straszliwych zajściach minionego roku przypominałem sobie jedynie wówczas, gdy wzywano mnie na przesłuchania związane z dochodzeniem, jakie wszczęto po mym alarmującym raporcie. Mniej więcej w połowie czerwca – dokładnie rok po przygodzie w Innsmouth – wybrałem się do Cleveland i spędziłem tydzień u rodziny swej matki; korzystając z dostępnych tam zapisków, przekazów ustnych i rodowych pamiątek zweryfikowałem zebrane w Arkham informacje

i starałem się ułożyć z nich spójną całość.

Zadanie to nie należało do najprzyjemniejszych, atmosfera panująca w domu Williamsonów działała na mnie bowiem przytłaczająco. Panowało tam chorobliwe napięcie; gdy jeszcze byłem dzieckiem, nawet matka nie zachęcała mnie do odwiedzin u swych rodziców – choć gdy jej ojciec przyjeżdżał do Toledo, był przez nią mile widziany. Moja babka z Arkham jawiła mi się jako istota dziwna, wręcz przerażająca, i nawet nie zmartwiłem się zbytnio, gdy zniknęła. Miałem wówczas osiem lat; mówiono, że zabiła ją boleść po śmierci wuja Douglasa, jej najstarszego syna. Wuj zastrzelił się po powrocie z podróży do Nowej Anglii – tej samej, która zaprowadziła go do siedziby arkhamskiego Towarzystwa Historycznego.

Douglas był podobny do babki i również nie budził mojej sympatii. Oboje mieli dziwaczne, wytrzeszczone oczy, którymi chyba nigdy nie mrugali; ich widok napawał mnie niejasnym, trudnym do określenia niepokojem. Moja matka i wuj Walter wyglądali inaczej, byli podobni do swego ojca, jakkolwiek mój młodszy kuzyn Lawrence – syn Waltera – był niemal doskonałą kopią babki; niestety, przed czterema laty biedaczek postradał zmysły i zamknięto go w szpitalu dla obłąkanych w Canton. Nie widziałem go od tamtej pory, lecz wuj napomknął kiedyś, że jest w fatalnym stanie, zarówno umysłowym, jak fizycznym. Jego matka zmarła przed dwoma laty, prawdopodobnie ze zgryzoty z powodu syna.

W Cleveland pozostali zatem moja babka i jej owdowiały syn Walter. Dom był jednak duszny od wspomnień, wciąż źle się tam czułem, toteż starałem się uporać ze swymi badaniami najszybciej, jak mogłem. Kopalnią informacji o rodzinie Williamsonów były zbiory mego dziadka; zgłębiając dzieje Orne'ów, musiałem polegać na wuju Walterze, który udostępnił mi wszystkie swoje archiwa: zapiski, listy, wycinki, rodowe pamiątki, fotografie i miniatury.

I właśnie wówczas, gdy studiowałem listy i portrety rodziny Orne'ów, przodkowie moi poczęli mnie napawać przerażeniem. Wspomniałem już, że babka i wuj Douglas zawsze budzili we mnie niepokój; teraz, gdym wiele już lat po ich śmierci wpatrywał się w ich rodowe portrety, towarzyszyło mi raczej uczucie wstrętu i obcości. Zrazu nie mogłem pojąć, skąd wzięła się we mnie ta zmiana, z wolna jęło mi się wszakże narzucać pewne nieświadome, a straszliwe porównanie – jakkolwiek świadomość moja uporczywie odrzucała najlżejsze nawet podejrzenia. Nie dało się zaprzeczyć, że charakterystyczny wyraz ich twarzy przypomina mi coś, z czym nie kojarzył się wcześniej – gdybym zaś przyznał się do tego otwarcie, ogarnąłby mnie paniczny lęk.

Największego jednak wstrząsu doznałem wówczas, gdy wuj zabrał mnie do miasta i pokazał mi złożoną w bankowej skrytce rodową biżuterię Orne'ów. Niektóre precjoza były wielce subtelne i inspirujące; w skrytce znajdowała się też jednak szkatułka pełna starych i dziwnych klejnotów należących niegdyś do mej tajemniczej prababki – i tych właśnie rzeczy wuj zrazu pokazać mi nie chciał. Zdobione były – jak mówił – w stylu niezwykle groteskowym, niemal odpychającym, i wedle jego wiedzy nikt nigdy nie nosił ich publicznie, jakkolwiek moja babka uwielbiała im się przyglądać.

Mówiono, że przynoszą pecha; francuska guwernantka mej prababki twierdziła, że w Nowej Anglii nie powinno się ich nosić – choć zupełnie bezpiecznie można to robić w Europie.

Wreszcie wuj począł odwijać klejnoty, czynił to jednak powoli i niechętnie, ostrzegając, że dziwaczność, a nawet ohyda ich zdobień może być dla mnie wstrząsająca. Artyści i archeologowie, którym dane było je oglądać, określili je jako wyrób najprzedniejszego, egzotycznego rękodzieła, choć nikt z nich nie był w stanie powiedzieć, z jakiego wykonane są materiału, ani przypisać ich do żadnej tradycji artystycznej. Zbiór składał się z dwóch naramienników, tiary i czegoś w rodzaju napierśnika; ten ostatni rżnięty był w motywy tak wymyślne, że doprawdy nieznośne.

Słuchając słów wuja, starałem się ze wszystkich sił powściągnąć emocje, lecz wyraz mej twarzy musiał zdradzać, że wzbiera we mnie lęk. Wuj przerwał odpakowywanie i jął przyglądać mi się z wyraźną troską. Ponagliłem go jednak, by robił swoje, co też z wyraźną niechęcią uczynił. Spodziewał się pewnie, że widok pierwszego klejnotu – mianowicie tiary – zrobi na mnie duże wrażenie, wszelako wątpię, czy oczekiwał tego, co istotnie się stało. Nie oczekiwałem tego i ja; sądziłem, że jego ostrzeżenia dostatecznie przygotowały mnie na to, co zobaczę. Stało się zaś to, że nie wydawszy głosu, zemdlałem – dokładnie tak jak przed rokiem w zarośniętym dziką różą wykopie kolejowym.

Od tego dnia życie moje zmieniło się w koszmar: pogrążyłem się w posępnych, lękliwych domysłach, nie wiedząc, gdzie kończy się ohydna prawda, a zaczynają szaleńcze majaki. Moja prababka wywodziła się z nieznanych Marshów, mąż zaś jej pochodził z Arkham – czyż Zadok nie mówił, że Obed Marsh ze swą potworną żoną spłodził córkę, a następnie wydał ją podstępem za arkhamczyka? Co miał na myśli stary pijaczyna, gdy mamrotał, że z oczu jestem podobny do kapitana Obeda? Kurator w Arkham również stwierdził, że mam oczy po Marshach. Czyżby Obed Marsh był moim prapradziadkiem? Kimże – lub czym – była zatem moja praprababka? Może jednak nie ma w tym ani krzty prawdy. Białawozłote precjoza równie dobrze mógł kupić ojciec mej prababki – kimkolwiek był – od jakiegoś marynarza z Innsmouth. Nikczemny wyraz wyłupiastych oczu mej babki i wuja samobójcy mógł zaś być zwykłym wytworem mojej fantazji – podsyconej przeżyciami w widmowym Innsmouth, które odcisnęły tak mroczne piętno na mej wyobraźni. Czemuż jednak mój wuj odebrał sobie życie po odbyciu genealogicznej kwerendy w Nowej Anglii?

Przeszło dwa lata starałem się odsunąć od siebie te myśli i po części mi się to udało. Ojciec przygotował mi posadę w biurze ubezpieczeń i bez reszty pogrążyłem się w codziennych obowiązkach. Zimą roku 1930 i 1931 zaczęły mnie jednak nawiedzać sny: zrazu sporadyczne i niepozorne, z czasem coraz częstsze i wyrazistsze. Otwierały się w nich przede mną wielkie wodne przestrzenie, wędrowałem pośród zatopionych tytanicznych portyków, w gromadzie groteskowych ryb przemierzałem porośnięte wodorostami labirynty cyklopowych murów. Później zacząłem widywać postacie inne, które po przebudzeniu napawały mnie niewysłowioną zgrozą; w snach nie przerażały mnie jednak ani trochę – byłem jedną z nich; nosiłem ich

nieludzkie stroje, pływałem jak one i razem z nimi wznosiłem potworne modły w podmorskich świątyniach zła.

Nie wszystko pamiętałem po przebudzeniu, lecz wystarczyłaby nawet drobna cząstka, by okrzyknięto mnie szaleńcem bądź geniuszem – gdybym tylko ośmielił się ją spisać. Czułem, że jakaś zatrważająca siła krok po kroku próbuje wyrwać mnie z rozumnego świata i wciągnąć w nienazywalne otchłanie najczarniejszej nieludzkości. Proces ten fatalnie wpłynął na moje zdrowie i wygląd zewnętrzny; niedomagałem coraz bardziej, aż wreszcie musiałem zrezygnować z posady i zacząłem wieść statyczny, odosobniony żywot inwalidy. Cierpiałem na tajemniczą przypadłość nerwową, czasami niemal nie byłem w stanie zamknąć oczu.

Wtedy właśnie jąłem bacznie studiować swoje odbicie w lustrze – i wpadałem w coraz większy popłoch. Obserwowanie powolnych postępów choroby z zasady nie należy do zajęć przyjemnych, wszelako w mej twarzy zachodził proces subtelniejszy i bardziej zagadkowy. Zauważył to również mój ojciec – zaczął mi się ciekawie, ale i niemal trwożliwie przyglądać. Co się ze mną działo? Czyżbym zaczynał upodabniać się do babki i wuja Douglasa?

Pewnej nocy miałem straszny sen: przyśniło mi się, że w morskich głębinach spotkałem swoją babkę. Mieszkała w fosforyzującym pałacu o wielu tarasach, śród ogrodów, w których rosły dziwne, trędowate korale i groteskowo rozgałęzione wykwity, powitała mnie zaś z serdecznością, lecz podszytą jakby szyderstwem. Zmieniła się – tak jak wszyscy schodzący pod wodę – i zdradziła mi, że wcale nie umarła; odeszła do królestwa, które czekało także na jej syna, lecz które ów odrzucił, przykładając pistolet do głowy. Królestwo to czeka też na mnie – nie zdołam przed nim uciec. Nigdy nie umrę; będę żył pośród tych, którzy żyli już wówczas, gdy na ziemi nie było jeszcze człowieka.

Spotkałem również babkę swojej babki. Nosi imię Pth’thya-l’yi i mieszka w Y’ha-nthlei od osiemdziesięciu tysięcy lat. Wróciła tam po śmierci Obeda. Y’ha-nthlei wcale nie zostało zniszczone, gdy mieszkańcy ziemi wystrzelili śmierć w morską głębinę; ucierpiało, lecz ocalało. Istoty z Głębin są niezniszczalne – choć posłuszne paleogenicznym czarom pogrążonych w niepamięci Przedwiecznych. Na razie spoczywają w morzu, lecz pewnego dnia, jeśli nie zapomną, powstaną z głębin, by złożyć należną daninę Wielkiemu Cthulhu. Następnym razem pojawią się w mieście większym niż Innsmouth. Zamierzali już poszerzyć swe władztwo, wyprowadzili sobie na ziemię pomocników, lecz teraz znów muszą czekać. Ja zaś powinienem odpokutować za to, że ściągnąłem na nich śmierć z rąk mieszkańców ziemi; na szczęście pokuta nie będzie ciężka. W tym właśnie śnie po raz pierwszy ujrzałem shoggotha – i zbudziłem się, wrzeszcząc jak opętany. Tego ranka patrząc w lustro przekonałem się niezbicie, że przybrałem wygląd tubylca z Innsmouth.

Na razie nie poszedłem w ślady wuja Douglasa. Kupiłem wprawdzie pistolet, ale powstrzymały mnie kolejne sny. Coraz mniej w nich było paroksyzmów grozy, nie lękałem się już nieznanych morskich głębin – przeciwnie, wywierały one na mnie dziwny urok. We śnie słyszę i robię

dziwne rzeczy, budzę się zaś raczej z uczuciem uniesienia niż zgrozy. Nie sądzę, bym musiał czekać – jak większość – na pełną przemianę; ojciec pewnie zamknąłby mnie w zakładzie i podzieliłbym los biednego kuzyna. W morzu czekają mnie zdumiewające, niesłychane dziwy, wkrótce więc ruszę na ich poszukiwanie. *Iä-R'lyeh! Cthulhu fhtagn! Iä! Iä!* Nie zamierzam się zabijać, o nie – nic mnie do tego nie skłoni!

Pomogę kuzynowi uciec z zakładu i razem udamy się do cudownie widmowego Innsmouth. Popłyniemy w stronę posępnej rafy i zanurzymy się w czarne otchłanie, aż dotrzemy do Y'ha-nthlei, cyklopowego miasta kolumn, i tam, w mateczniku Istot z Głębin, zamieszkamy we wspaniałościach i chwale po najdłuższe czasy.

# Cień spoza czasu

## I

Po dwudziestu dwóch latach przeżytych jak w sennym koszmarze jedynym ratunkiem jest dla mnie rozpaczliwe przekonanie, że niektóre z mych wrażeń mają źródło w mitach – toteż nie poręczyłbym głową za to, co odkryłem w Australii Zachodniej nocą z 17 na 18 lipca 1935 roku. Mam powód, by wierzyć, że to, czego wówczas doświadczyłem, było przynajmniej po części halucynacją – zaiste, przemawia za tym aż nadto dowodów. A jednak było to przeżycie tak ohydnie realistyczne, że niekiedy tracę resztki nadziei. Jeśli to wszystko wydarzyło się naprawdę, ludzkość będzie musiała przyjąć zupełnie nowe rozumienie kosmosu oraz własnego miejsca w rozszalałych odmętach czasu – i to takie, że nawet najbłahsza o nim wzmianka jest po prostu porażająca. Musimy też mieć się na baczności, albowiem czyha na nas bardzo szczególne niebezpieczeństwo; nie zagraża ono wprawdzie istnieniu całej ludzkiej rasy, wszelako śmielsze jednostki mogą narazić się na nieodgadnione wręcz okropności i cierpienia. Właśnie dlatego z całą stanowczością apeluję, by zaprzestano wszelkich prób odkopania owych szczętów nieznanej, pradawnej architektury, których zbadanie było celem mojej ekspedycji.

Jeżeli tamtej nocy naprawdę byłem przytomny i przy zdrowych zmysłach, oznacza to, że żaden człowiek przede mną nie doświadczył niczego podobnego. Co więcej, w zatrważający sposób potwierdziło się wszystko, co pierwej starałem się zdyskwalifikować jako wytwory mitów i sennych złud. Los okazał się na tyle miłosierny, że uciekając z zatęchłej podziemnej otchłani, zgubiłem pewien straszliwy przedmiot, który mógłby w sposób niepodważalny dowieść prawdziwości mej przygody. W owej przerażającej chwili byłem sam jak palec – i do tej pory nikomu nie zwierzyłem się z mego odkrycia. Nie mogłem powstrzymać reszty ekipy przed prowadzeniem dalszych wykopalisk, jak dotąd wszakże ruchome piaski i zwykły przypadek sprawiły, że nikt nie odnalazł rzeczonego miejsca. Muszę jednak wreszcie złożyć ostateczne oświadczenie – nie tylko dlatego, by zachować psychiczną równowagę, ale też ku przestrodze wszystkim, którzy zechcą przeczytać je z uwagą.

Opowieść niniejszą – której pierwsza część na pewno będzie znana czytelnikom prasy, i ogólnej, i naukowej – spisuję w kajucie statku, którym wracam do kraju. Przekażę ją memu synowi profesorowi Wingate'owi Peasleemu z Uniwersytetu Miskatonic – jedynemu członkowi mej rodziny, który nie opuścił mnie przed laty, gdy zapadłem na dziwaczną amnezję, i dysponuje najobszerniejszą wiedzą na temat całej sprawy. Spośród wszystkich żyjących ludzi on na pewno nie wyśmieje mej relacji z owej nieszczęsnej nocy. Przed wypłynięciem nie zdradziłem mu żadnych rewelacji, uznałem bowiem, że powinien zapoznać się z nimi w formie pisemnej; w niespiesznej,

kilkukrotnej lekturze wyrobi sobie nierównie pełniejszy obraz całej sprawy niż ów, który przekazałbym mu moim skołowaciałym językiem. Niechaj zrobi z tym wyznaniem wszystko, co uzna za stosowne – na przykład opatrzy je odpowiednim komentarzem i okaże wszelkim organom, które mogą uczynić z niej właściwy użytek. Ponieważ na pewno nie wszyscy czytelnicy słyszeli o wcześniejszych fazach mego przypadku, muszę zacząć od stosownego wstępu, czyli rzetelnie owe fazy streścić.

Nazywam się Nathaniel Wingate Peaslee. Ci, którzy pamiętają, co pisano w gazetach o pokolenie wstecz – a przed sześciu–siedmiu laty w listach i artykułach w periodykach psychologicznych – z pewnością znają to nazwisko i wiedzą, czym się zajmuję. W latach 1908–1913 prasa rozpisywała się szczegółowo o mojej dziwnej amnezji, przy okazji sypiąc aluzjami do szaleństwa i czarów, czyli całej tej niesamowitej tradycji, która wiąże się nierozerwalnie z mym ówczesnym i obecnym miejscem zamieszkania – starodawnym miastem Arkham w stanie Massachusetts. Muszę jednak nadmienić, że ani w latach mej młodości, ani wśród moich przodków nigdy nie występowały przypadki szaleństwa ani inne mroczne historie. Zważywszy na to, jak złowrogi cień zawisł nagle nad całym moim życiem – cień, który pochodzi z zewnątrz – ma to znaczenie niebagatelne. Być może posępne, murszejące Arkham, od wieków poszeptujące sobie o różnych mrocznych sprawach, w osobliwy sposób poczęło takie cienie przyciągać – wszelako w świetle przypadków, z którymi udało mi się zapoznać później, nie wydaje się to zbyt prawdopodobne. Tak czy owak pozwolę sobie podkreślić rzecz najważniejszą: wszyscy członkowie mej rodziny i osoby z mego otoczenia byli najzupełniej normalni. To, co mnie nawiedziło, przyszło skądinąd; lecz skąd – nawet dziś nie jest mi łatwo wyjaśnić.

Jestem synem Jonathana Peasleego i Hannah z domu Wingate. Rodzice wywodzili się z Haverhill, ze starych, zacnych rodzin. Urodziłem się i wychowałem właśnie w Haverhill, w starej rodowej rezydencji przy Boardman Street, nieopodal Golden Hill; do Arkham trafiłem dopiero w wieku osiemnastu lat, gdy podjąłem studia na Uniwersytecie Miskatonic. Było to w roku 1889. Po uzyskaniu magisterium studiowałem jeszcze ekonomię na Harvardzie; w 1895 roku wróciłem do Miskatonic i objąłem stanowisko wykładowcy ekonomii politycznej. Przez trzynaście lat życie moje biegło spokojnie i szczęśliwie. W roku 1896 poślubiłem Alice Keezar z Haverhill, w latach 1898, 1900 i 1903 urodziła się trójka moich dzieci: Robert K., Wingate i Hannah. W 1898 roku zostałem profesorem nadzwyczajnym, a w 1902 otrzymałem nominację na profesora zwyczajnego. Przez cały ten czas zupełnie nie interesowałem się okultyzmem ani psychopatologią.

Dziwaczna amnezja spadła na mnie w czwartek 14 maja 1908 roku. Stało się to dość niespodziewanie, jakkolwiek później zdałem sobie sprawę, że już od kilku godzin nękały mnie zwiastuny tego, co ma się wydarzyć: krótkie, migotliwe przebłyski chaotycznych wizji; bardzo mnie one zaniepokoiły, nigdy wcześniej bowiem nie przytrafiało mi się nic podobnego. Rozbolała mnie głowa, a do tego nawiedziło mnie wyjątkowo osobliwe uczucie, kompletnie dla mnie nowe: że ktoś mianowicie usiłuje zawładnąć mymi

myślami.

Atak nastąpił około godziny dziesiątej dwadzieścia; wygłaszałem wówczas wykład z dawnych i współczesnych tendencji ekonomicznych dla studentów pierwszego i drugiego roku. Przed oczyma pojawiły mi się nagle dziwne kształty, uczułem też, że zamiast w sali wykładowej znajduję się w nieznanym, groteskowym pomieszczeniu. Gdy zacząłem gubić wątek wykładu, studenci zorientowali się, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Potem osunąłem się bezprzytomnie na krzesło i zapadłem w odrętwienie, z którego nikt nie mógł mnie wybudzić. Pełnię władz umysłowych – a tym samym możność powrotu do świata normalnych, zdrowych ludzi – odzyskałem dopiero po pięciu latach, czterech miesiącach i trzynastu dniach.

O tym, co działo się po ataku, dowiedziałem się, rzecz jasna, od innych. Przez szesnaście i pół godziny nie zdradzałem najmniejszych oznak przytomności, mimo że przewieziono mnie do mego domu przy Crane Street 27 i otoczono troskliwą opieką lekarską. Piętnastego maja o godzinie trzeciej nad ranem otworzyłem oczy i zacząłem mówić – lecz już po chwili wyraz mej twarzy i sposób mówienia wprawiły lekarzy i rodzinę w najprawdziwszy popłoch. Widać było jak na dłoni, że straciłem pamięć i nie wiem, kim jestem, jakkolwiek z sobie tylko znanych powodów starałem się to ukryć. Toczyłem dziwnym wzrokiem po otaczających mnie osobach, a moje mięśnie twarzy pracowały w niespotykany pierwej sposób.

Inaczej też posługiwałem się mową – niezdarnie i niewprawnie, jakby obco. Narządów głosowych używałem nieporadnie i z wysiłkiem, wysławiałem się zaś w sposób sztuczny, wymuszony, jak gdybym wyuczył się angielskiego z książek. Akcent miałem cudzoziemski, wręcz barbarzyński, a moje słownictwo naszpikowane było przedziwnymi archaizmami oraz wyrażeniami zgoła niezrozumiałymi. Jedno z takich niepojętych wyrażeń przypomniał sobie później z wielkim zdumieniem – czy wręcz przerażeniem – najmłodszy z badających mnie lekarzy. Dwadzieścia lat później weszło ono mianowicie do powszechnego obiegu, zrazu w Anglii, a potem także w Stanach Zjednoczonych, i choć było dość skomplikowane, a przy tym bezdyskusyjnie nowe, lekarz ów pamiętał doskonale, że słyszał je już w roku 1908 wśród tajemniczych majaczeń dziwnego pacjenta z Arkham.

Siłę fizyczną odzyskałem natychmiast, lecz o dziwo straciłem panowanie nad rękoma, nogami i resztą członków, toteż od nowa musiałem się uczyć, jak używać własnego ciała. Ze względu na te i inne upośledzenia, jakich zwykle doznaje się wskutek utraty pamięci, przez pewien czas pozostawałem pod ścisłą opieką lekarzy. Zorientowawszy się, że nie zdołam ukryć mej amnezji, przyznałem się do niej otwarcie i jąłem chciwie pochłaniać wiadomości z najprzeróżniejszych dziedzin. Lekarze odnieśli wręcz wrażenie, że gdy tylko się zorientowałem, iż amnezja traktowana jest jako zjawisko naturalne, zupełnie przestałem się interesować mą właściwą tożsamością. Główne wysiłki wkładałem w opanowanie wybranych zagadnień z historii, nauk ścisłych, sztuki, języka i folkloru; jedne z tych zagadnień były niezmiernie zawiłe, inne zaś dziecinnie proste, trudno było też pojąć, jakim cudem niektóre z nich pozostawały dotąd poza zasięgiem mej świadomości.

Równocześnie dało się zauważyć, że posiadłem niewytłumaczalne

rozeznanie w wielu niemal zupełnie nieznanych dziedzinach wiedzy; co ciekawe, nie byłem zbyt skłonny, by tę wiedzę okazywać, starałem się raczej ją ukryć. Zdarzało się na przykład, że z niezachwianą pewnością siebie wspominałem o wydarzeniach, które rozgrywały się w mglistych pradziejach, tak dawnych, że niebędących już nawet przedmiotem zainteresowania rzetelnych historyków; widząc, że moje otoczenie przyjmuje te wzmianki ze zdumieniem, natychmiast obracałem je w żart. Zdarzało się też, że wspominałem o wypadkach przyszłych, dwa czy trzy razy wywołując w mych słuchaczach nie lada przerażenie. Te niesamowite przebłyski rychło ustąpiły, jakkolwiek niektórzy z obserwujących mnie lekarzy skłonni byli twierdzić, że wcale nie utraciłem swej dziwacznej wiedzy, stałem się tylko bardziej skryty, jakby ostrożniejszy. W istocie czyniłem olbrzymie, nienormalne wręcz wysiłki, by przyswoić sobie sposób mówienia, zwyczaje i poglądy panujące w otaczającym świecie – zupełnie jakbym był dociekliwym przybyszem z dalekich, obcych krajów.

Gdy tylko uzyskałem niezbędną zgodę lekarzy, jąłem przesiadywać godzinami w uczelnianej bibliotece. W następnych latach sprowokowałem lawinę komentarzy, wyruszając w dziwne podróże i uczęszczając na specjalne wykłady na amerykańskich i europejskich uniwersytetach. Ani na chwilę nie traciłem kontaktu z ludźmi najwyższej intelektualnej próby, przypadek mój zyskał bowiem niemałą sławę wśród ówczesnych psychologów. Na wykładach opisywano mnie jako typowy przykład osobowości wtórnej, jakkolwiek od czasu do czasu zadziwiałem wykładowców nietypowymi zachowaniami: zdradzałem zaskakujące objawy bądź pokpiwałem sobie z ich teorii w starannie zawoalowany sposób.

Prawdziwej życzliwości zaznałem jednak wówczas niewiele. W moim wyglądzie i mowie było coś, co wzbudzało w ludziach niechęć i nieokreślony lęk – jak gdybym był istotą nieodwracalnie oderwaną od wszystkiego, co normalne i zdrowe, jak gdyby przezierało przeze mnie coś mrocznego i przerażającego, pochodzącego z niezmierzonej dali. Wrażenie owo, dziwnie trwałe i powszechne, nie ominęło też mojej rodziny. Już od samej chwili mego przebudzenia żona odnosiła się do mnie z niewysłowioną odrazą i zgrozą; była święcie przekonana, że ciało jej męża posiadła jakaś obca, nieludzka istota. W 1910 roku uzyskała formalny rozwód, nigdy też nie chciała się już ze mną zobaczyć, nawet po roku 1913, gdy na powrót stałem się normalnym człowiekiem. Podobnie odnosili się do mnie mój starszy syn oraz córeczka – ich też już nigdy później nie widziałem.

Jedyną osobą, która zdołała przemóc grozę i obrzydzenie wywołane mą przemianą, był mój drugi syn Wingate. On także czuł, że stałem się kimś obcym, lecz choć w chwili mej zapaści miał zaledwie osiem lat, ani przez chwilę nie przestał wierzyć, że pewnego dnia odzyskam właściwą jaźń. Kiedy to już nastąpiło, odszukał mnie, a sąd przyznał mi na powrót prawa rodzicielskie. W następnych latach Wingate wspomógł mnie w badaniach, do których skłoniła mnie choroba, i dziś, w wieku trzydziestu pięciu lat, jest już profesorem psychologii w Miskatonic. Nie dziwię się wcale, że budziłem podówczas takie przerażenie – zaprawdę, istota, która ocknęła się z omdlenia 15 maja 1908 roku, ani swym umysłem, ani głosem, ani mimiką

nie przypominała Nathaniela Wingate'a Peasleego.

Nie będę zanadto rozpisywał się o tym, co porabiałem między 1908 a 1913 rokiem; kto będzie ciekaw, dowie się o tym z grubsza – tak jak ja dowiadywałem się w swoim czasie – ze starych roczników gazet i czasopism naukowych. Ponieważ przywrócono mi dostęp do mych funduszy, wydawałem je – acz niespiesznie i najzupełniej rozważnie – na podróże i studia w najróżniejszych ośrodkach naukowych. Nie były to jednak bynajmniej zwyczajne podróże – wręcz przeciwnie, zapuszczałem się na długo w najodleglejsze zakątki świata. W roku 1909 spędziłem na przykład miesiąc w Himalajach; w 1911 zaintrygowałem wszystkich, wyprawiając się na wielbłądzie w głąb nieznanych pustyń Arabii. Czego w trakcie tych wędrówek doświadczyłem – nie dowiedziałem się nigdy. Latem roku 1912 wyczarterowałem statek i pożeglowałem do Arktyki, na północ od Spitsbergenu, po powrocie wyglądałem jednak na rozczarowanego. W tym samym roku siedziałem samotnie przez parę tygodni w olbrzymim, wciąż do końca niezbadanym systemie jaskiń wapiennych w zachodniej Wirginii – najprawdziwszym labiryncie, tak rozległym i mrocznym, że nikt nie zdołałby mnie tam wytropić.

Na kursach uniwersyteckich błyskawicznie przyswajałem wiedzę, jak gdyby moja wtórna osobowość była nieporównanie inteligentniejsza od pierwotnej. Fenomenalne wręcz postępy poczyniłem również w trakcie samodzielnych lektur. Wystarczyło, że spojrzałem na zadrukowaną stronicę, a zapamiętywałem jej treść w najdrobniejszych szczegółach, toteż pochłaniałem książki, po prostu je kartkując. Powszechne zdumienie budziła też moja zdolność rozumienia najtrudniejszych wzorów i obliczeń. Od czasu do czasu odzywały się również podejrzenia, jakobym umiał wywierać wpływ na myśli i działania innych ludzi – ponoć jednak starałem się z tą umiejętnością nie afiszować.

Nieprzychylnie komentowano też to, że nawiązałem zażyłe stosunki z przywódcami różnych sekt okultystycznych oraz naukowcami podejrzanymi o konszachty z nieokreślonymi grupami odrażających hierofantów przedwiecznego świata. Pogłoski te nigdy nie zostały potwierdzone, ich źródłem były zaś niewątpliwie lektury, którym się podówczas oddawałem w czytelniach – wypożyczanie prawdziwie rzadkich dzieł trudno utrzymać w tajemnicy. Zachował się namacalny dowód – w postaci notatek na marginesach – że wnikliwie zaczytywałem się w takich dziełach, jak *Cultes des Goules* hrabiego d'Erlette'a, *De Vermis Mysteriis* Ludviga Prinna czy *Unaussprechlichen Kulten* von Junzta, tudzież w zachowanych fragmentach Księgi Eibona oraz straszliwym *Necronomiconie* szalonego Araba Abdula Alhazreda. Nie da się zresztą zaprzeczyć, że w latach mej dziwnej amnezji zakazane sekty mnożyły się na całym świecie ze złowrogą, niespotykaną od dawna intensywnością.

Latem 1913 roku zacząłem zdradzać oznaki ogólnego znudzenia; coraz mniej rzeczy mnie interesowało, dawałem też do zrozumienia osobom z mego otoczenia, że wkrótce mogą spodziewać się kolejnej przemiany. Twierdziłem na przykład, że odzyskuję wspomnienia z lat młodości – jakkolwiek większość mych słuchaczy uważała te wspominki za zmyślenie,

nie wykraczałem w nich bowiem poza ogólniki, które łacno mogłem wyczytać w rodzinnych dokumentach. W połowie sierpnia wróciłem do Arkham i otworzyłem zamknięty od dawna dom przy Crane Street. Zainstalowałem tam sobie niezmiernie osobliwy mechanizm złożony z elementów wykonanych osobno przez rzemieślników z Europy i Ameryki zajmujących się wytwarzaniem aparatury naukowej; potem baczyłem pilnie, by nie zobaczył go nikt dostatecznie inteligentny, by zrozumieć zasadę jego działania. Ci, którzy widzieli ów mechanizm – robotnik instalujący go, służący oraz nowa gosposia – twierdzą, że była to przedziwna mieszanina drążków, kół i luster; mierzyła nie więcej niż dwie stopy wysokości, jedną stopę szerokości i stopę grubości. Centralne lustro było okrągłe i wypukłe. Opis ten potwierdzili konstruktorzy elementów składowych, przynajmniej ci, do których udało mi się później dotrzeć.

W piątek 26 września wieczorem odprawiłem służącego i gosposię, dając im wychodne aż do południa dnia następnego. Do późnej nocy w domu paliły się światła, w pewnej zaś chwili pod dom zajechał samochodem szczupły, śniady mężczyzna o dziwnie cudzoziemskim wyglądzie. Światło w oknach widziano po raz ostatni około godziny pierwszej. O drugiej piętnaście policjant zauważył, że dom pogrążony jest w mroku, lecz obcy samochód wciąż jeszcze stoi przy krawężniku. O czwartej nad ranem auta już na pewno nie było. O godzinie szóstej u doktora Wilsona zadzwonił telefon: niepewny, cudzoziemski głos poprosił go, by udał się do mego domu i obudził mnie z osobliwego omdlenia. Policja ustaliła później, że dzwoniono z budki telefonicznej na północnym dworcu kolejowym w Bostonie; szczupły cudzoziemiec przepadł jednak bez śladu.

Doktor Wilson znalazł mnie nieprzytomnego w salonie – siedziałem w głębokim fotelu przysuniętym do stołu. Politurowany blat był porysowany, najwidoczniej spoczywał na nim pierwej jakiś ciężki przedmiot. Cudaczna machina zniknęła i odtąd zaginął po niej wszelki słuch; najpewniej zabrał ją ów śniady, szczupły cudzoziemiec. Kominek w bibliotece pełen był popiołu – spalone zostały wszystkie, najbłahsze nawet zapiski, jakie poczyniłem w latach amnezji. Doktor zbadał mnie i stwierdził, że bardzo nietypowo oddycham, wystarczył jednak podskórny zastrzyk i oddech odzyskał regularność.

Dwudziestego siódmego września o godzinie jedenastej piętnaście poruszyłem się gwałtownie, a na mej twarzy, dotąd sztywnej jak maska, zaczęły pojawiać się pierwsze nieśmiałe grymasy. Doktor Wilson zauważył, że nie jest to mimika właściwa mojej osobowości wtórnej, tylko mej jaźni pierwotnej. Około wpół do dwunastej wymruczałem kilka sylab – sylab wielce osobliwych, brzmiących obco i nieludzko. Sprawiałem też wrażenie, jakbym z czymś się zmagał. Następnie, kiedy tylko wybiło południe – tymczasem zdążyli wrócić gosposia i służący – zacząłem mamrotać po angielsku:

– … wśród ortodoksyjnych ekonomistów tego okresu Jevons reprezentuje nurt dominujący, dążący do maksymalnego, naukowego uściślenia ekonomii. Podjęta przezeń próba powiązania handlowego cyklu dobrobytów i kryzysów z fizycznym cyklem aktywności plam na Słońcu jest być może punktem

szczytowym dążeń...

Nathaniel Wingate Peaslee powrócił – duchem zaś wciąż był w sali wykładowej, w pamiętny czwartkowy poranek 1908 roku, i zza sfatygowanego biurka przemawiał do studentów ekonomii.

II

Powrót do normalnego życia okazał się procesem trudnym i bolesnym. Trudno sobie wyobrazić, ile komplikacji stwarza utrata pięciu lat życia; musiałem pozałatwiać doprawdy niezliczenie wiele spraw. To, czego dowiedziałem się o mych poczynaniach od roku 1908, zdumiało mnie i poruszyło, ze wszystkich sił starałem się jednak spojrzeć na całą sprawę z filozoficznym spokojem. Wreszcie, gdy odzyskałem prawa do opieki nad Wingate'em, zamieszkaliśmy pospołu w domu przy Crane Street i próbowałem wrócić do pracy naukowej – uczelnia była na tyle uprzejma, że zaproponowała mi objęcie dawnej katedry.

Wykłady wznowiłem w lutym 1914 roku. Podpisałem umowę tylko na jeden rok – i po roku zmuszony byłem zrezygnować, okazało się bowiem, że moja przygoda wpłynęła na mnie rujnująco. Jakkolwiek zachowałem pełnię władz umysłowych – tak mi się przynajmniej zdawało – i moja właściwa osobowość nie poniosła żadnej skazy, nie odzyskałem już dawnej werwy. Stale nękały mnie jakieś niejasne sny i dziwaczne idee, gdy zaś wybuch wojny światowej skierował moje zainteresowania ku historii, odkryłem ze zdumieniem, że mój sposób myślenia o okresach i wydarzeniach historycznych jest najdziwniejszy z możliwych. Odniosłem wrażenie, że moje rozumienie czasu – zdolność do rozróżniania następstwa i równoczesności zdarzeń – uległo pewnemu rozchwianiu; umyśliłem sobie, że żyjąc w określonym wieku, można by przemierzyć nieskończone przestwory czasu samym tylko umysłem, zyskując w ten sposób wiedzę o minionych i przyszłych wiekach.

W latach wojny nawiedzało mnie często dziwne wrażenie, że pamiętam niektóre z jej dalekosiężnych konsekwencji – jak gdybym znał już jej wynik i mógł ocenić ją z perspektywy czasu, w świetle przyszłych informacji. Wszystkie te niby-wspomnienia kosztowały mnie wiele udręki, miałem też wrażenie, że dostępu do nich broni mi jakaś sztucznie ustanowiona psychologiczna bariera. Napomykałem o tym wszystkim nieśmiało mym przyjaciołom, ich reakcje były jednak rozmaite. Niektórzy patrzyli tylko na mnie z niepokojem, znajomi z wydziału matematycznego orzekli natomiast, że moje przeżycia kojarzą im się ze sformułowanymi niedawno teoriami względności – wówczas znanymi jeszcze tylko w kręgach naukowych, już wkrótce jednak sławnymi także wśród laików. Doktor Albert Einstein – powiadali – już niebawem zredukuje czas do rangi zwykłego fizycznego wymiaru.

Senne zwidy i dziwne odczucia nękały mnie wszakże coraz dotkliwiej, toteż w 1915 roku ostatecznie porzuciłem pracę na uniwersytecie. Niektóre z tych odczuć przybierały postać wyjątkowo irytującą; dręczyło mnie na przykład uporczywe przeświadczenie, że moja amnezja była skutkiem jakiejś bezbożnej zamiany – że moją osobowością wtórną był tak naprawdę intruz z nieznanych sfer, który przemocą wyparł moją jaźń właściwą. Stąd wiodła

prosta droga do mglistych i zatrważających dociekań, gdzie też moje własne ja mogło się przez te wszystkie lata podziewać. Im więcej dowiadywałem się z rozmów, gazet i czasopism o dziwnych zainteresowaniach i zachowaniach tymczasowego lokatora mego ciała, tym bardziej byłem zaniepokojony. Dziwność owa – która wprawiała wszystkich mych znajomych w osłupienie – w straszliwy sposób korespondowała z przebłyskami mrocznej wiedzy wciąż jarzącymi się gdzieś w otchłaniach mej podświadomości. Zacząłem gorączkowo poszukiwać wszelkich, najdrobniejszych nawet strzępków informacji na temat studiów i podróży, jakie podjął tamten w owych mrocznych latach.

Nie wszystkie moje kłopoty były jednak aż tak abstrakcyjne. Nękały mnie też sny – i to coraz konkretniejsze, coraz bardziej sugestywne. Wiedziałem, że większość osób z mego otoczenia niechybnie je zbagatelizuje, toteż zwierzałem się z nich jedynie osobom zaufanym: memu synowi lub kilku wybranym psychologom. W końcu podjąłem jednak systematyczne studia nad przypadkami podobnymi do mojego – chciałem się przekonać, jak bardzo typowym objawem są takie wizje u ofiar amnezji. Rezultaty tych badań – w których posiłkowałem się radą doświadczonych naukowców: psychologów, historyków, antropologów i psychiatrów, a także lekturą opisów wszelkich przypadków rozszczepienia jaźni, począwszy od dawnych legend o ludziach opętanych przez demony po raporty medyczne z czasów współczesnych – zrazu bardziej mnie wzburzyły, aniżeli pocieszyły.

Przekonałem się mianowicie, że w większości potwierdzonych przypadków amnezji istotnie nie odnotowano marzeń sennych podobnych do moich. Pozostawała wszelako garstka relacji, które głęboko mnie poruszyły i nie dawały mi potem spokoju przez długie lata, odpowiadały bowiem idealnie mym własnym doświadczeniom. Niektóre z nich odnalazłem w prastarych legendach, inne w annałach medycyny; jeden czy dwa przypadki błąkały się po marginesach historii powszechnej. Wszystko wskazywało na to, że moja przypadłość, jakkolwiek niesłychanie rzadka, nie jest przypadkiem odosobnionym – zdarzała się w długich odstępach czasu już od samego zarania dziejów. W pewnych stuleciach występowała dwukrotnie czy trzykrotnie, w innych nie zdarzała się wcale – przynamniej nie zachowały się na ten temat żadne pisemne przekazy.

W ogólnym zarysie wszystkie przypadki wyglądały tak samo: osoba o bogatej, przenikliwej umysłowości przechodziła nagle przedziwną przemianę i przez pewien czas wiodła niejako wtórną, kompletnie odmienną egzystencję. Wstępnym objawem tej metamorfozy była trudność w poruszaniu się i mówieniu, późniejszym zaś nagły pęd do wiedzy naukowej, historycznej, antropologicznej i z dziedziny sztuk pięknych. Wiedzę tę ofiara przyswajała z niepohamowaną żarłocznością oraz zgoła nienaturalną sprawnością umysłową. Potem następował niespodziewany powrót świadomości właściwej, wszelako ofiarę w dalszym ciągu nękały mgliste senne mary. Treść owych mar sugerowała, że są to odpryski jakichś ohydnych, rozmyślnie wymazanych wspomnień; ponieważ jota w jotę zgadzały się one z moimi koszmarami, nie miałem wątpliwości, że stanowią objaw typowy i znaczący. Jeden czy dwa przypadki wydały mi się też

bluźnierczo znajome, jak gdybym słyszał był o nich już wprzódy za pośrednictwem jakiegoś kosmicznego kanału, zbyt chorobliwego i przerażającego, by zastanawiać się nad jego istotą. W trzech relacjach natknąłem się na wzmianki o nieznanej maszynie, dokładnie takiej, jaką widziano u mnie w domu przed moją drugą przemianą.

W trakcie mych dociekań zaniepokoiła mnie wzrastająca częstotliwość przypadków nieco odmiennych, w których krótkie, ulotne przebłyski typowych koszmarów nękały pacjentów niedotkniętych właściwą amnezją. Przytrafiało się to ludziom miernym lub wręcz ograniczonym umysłowo – niekiedy tak prymitywnym, że wprost trudno sobie wyobrazić, iżby mogli oni posiąść jakąś wyrodną wiedzę bądź nadprzyrodzone zdolności umysłowe. Obca siła rozżagwiała się w nich przez krótką chwilę, po czym wycofywała się, zacierając za sobą pamięć o całym zdarzeniu; jedynym śladem w umyśle ofiary było znikliwe wspomnienie czegoś nieludzkiego i potwornego.

W ostatnim półwieczu odnotowano takie przypadki co najmniej trzykrotnie, w tym jeden zaledwie przed piętnastu laty. Czyżby coś wychynęło z niepojętej czeluści Natury i szukało na oślep po przestworach czasu? Byłyżby owe nikłe przypadki śladem potwornego, ponurego eksperymentu przeprowadzanego nie wiedzieć przez kogo i po co? Takie właśnie domysły kłębiły mi się w głowie w chwilach słabości. Wyobraźnię moją rozniecały dodatkowo podania i mity odkryte w trakcie mych badań. Nie miałem bowiem wątpliwości, że niektóre z pradawnych, a wciąż żywych legend – z całą pewnością nieznane ostatnim ofiarom ani ich lekarzom – muszą mieć jakiś przeraźliwy związek z przypadkami amnezji podobnymi do mojego.

O naturze snów i wrażeń, które nękały mnie podówczas z coraz większą natarczywością, nawet dziś jeszcze lękam się mówić. Ocierałem się w nich o szaleństwo – zaiste, niekiedy skłonny byłem sądzić, że są to zwiastuny nadchodzącego obłędu. Czyżby istniał pewien szczególny typ omamów doświadczany przez ofiary zaników pamięci? Wiadomo przecież, że podświadomość wypełnia kłopotliwe luki w pamięci, tworząc pseudowspomnienia, nie da się więc wykluczyć, że to właśnie ona jest zarodzią dziwnych urojeń. Tak przynajmniej uważa większość alienistów, którzy wspierali mnie w poszukiwaniach pokrewnych przypadków (mnie jednak w końcu bardziej trafiła do przekonania teoria alternatywna, odwołująca się do folkloru) – i tak jak ja zdumiewali się, odkrywając w nich ewidentne zbieżności. Nie uważali oni tego schorzenia za czysty obłęd, zaliczali je raczej do kategorii zaburzeń nerwowych. Widząc, że nie lekceważę swej przypadłości, tylko staram się ją gruntownie przeanalizować, gorąco mi przyklaskiwali – twierdzili, że postępuję zgodnie z najszczytniejszymi zasadami psychologii. Ja z kolei szczególnie ceniłem sobie radę tych lekarzy, którzy badali mnie w latach mej przemiany.

Moje pierwsze zaburzenia nie były wcale wzrokowe – wiązały się raczej, jak już wspomniałem, z kwestiami natury abstrakcyjnej. Niewytłumaczalnym i nieopisanym przerażeniem napełniała mnie również moja własna osoba. Oglądanie własnej powłoki cielesnej zaczęło mnie napawać dziwnym lękiem, jak gdybym obawiał się, że zobaczę jakieś obce ciało, nieludzkie i niewyobrażalnie wstrętne. Ilekroć spojrzałem po sobie i widziałem swojską,

ludzką sylwetkę odzianą w stonowany szary bądź niebieski garnitur, ogarniała mnie osobliwa ulga – lecz aby jej doznać, musiałem zwalczyć w sobie najokropniejszą trwogę. Starałem się w miarę możności unikać luster, goliłem się wyłącznie u fryzjera.

Te przykre odczucia nie od razu skojarzyły mi się z omamami wzrokowymi, które właśnie wtedy zaczęły mnie nękać. Możliwość istnienia takiego związku dostrzegłem dopiero pod wpływem cudacznego wrażenia, że moją pamięć krępują sztuczne, narzucone z zewnątrz ograniczenia. Czułem, że te przebłyskowe zwidy mają doniosły i straszliwy sens, tudzież w upiorny sposób wiążą się z moją osobą, lecz wywołująca je siła sprawiała zarazem, że ani tego sensu, ani jego związku ze mną nijak nie mogłem uchwycić. Potem, jak już wspomniałem, udziwniło się moje postrzeganie czasu, zacząłem też podejmować rozpaczliwe próby umiejscowienia owych sennych zwidów na czasowo-przestrzennej osi.

Same omamy zrazu były raczej dziwne niż straszne. Zdawało mi się, że przebywam w olbrzymiej komnacie, której niebotyczny żebrowy strop niemal niknął w półmroku. Nie miałem pojęcia, w jakim miejscu ani czasie się znajduję, wszelako łuk jako formę architektoniczną stosowano tam równie obficie jak w starożytnym Rzymie. Widziałem potężne okrągłe okna i wysokie, łukowato zwieńczone drzwi, a także stoły czy piedestały wysokości zwykłego pokoju. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z ciemnego drewna, a na nich jakby ogromne księgi ozdobione na grzbietach dziwnymi hieroglifami. Kamienne ściany rżnięte były w osobliwe krzywoliniowe wzory – przypominające matematyczne wykresy – oraz cyzelowane inskrypcje wykonane tym samym alfabetem co napisy na grzbietach ksiąg. Ściany zbudowane były z monstrualnie wielkich bloków ciemnego granitu ułożonych w taki sposób, że wypukłe wierzchy wpasowane były we wklęsłe dna bloków wyższych. Nie było tam krzeseł, ale na potężnych cokołach leżały stosy książek i papierzysk oraz coś, co wyglądało na przybory do pisania – dziwnokształtne słoiczki z fioletowawego metalu oraz zabarwione na końcach pręciki. Cokoły były wysokie, ale niekiedy udawało mi się zobaczyć je z góry. Na niektórych widziałem też wielkie kule z błyszczącego kryształu, służące jako lampy, oraz maszyny niewiadomego przeznaczenia, zbudowane ze szklanych rurek i metalowych drążków. Okna były oszklone i zaopatrzone w solidne kraty. Nie odważyłem się podejść bliżej i wyjrzeć na zewnątrz, widziałem jednak kołyszące się czubki osobliwych roślin, jakby wielkich paproci. Posadzka wykonana była z masywnych ośmiokątnych flizów, nie zauważyłem natomiast ani wykładzin, ani zasłon.

W późniejszych wizjach roiło mi się, że szybuję przez cyklopowe kamienne korytarze wymurowane tą samą potworną ręką – wiodące z izb do izb oraz ukośnie, z piętra na piętro. Nigdzie nie było schodów, żadne z przejść nie mierzyło też mniej niż trzydzieści stóp szerokości. Niektóre z przemierzanych przeze mnie budowli musiały wzbijać się ku niebu na tysiące stóp. Niżej znajdowały się mroczne, wielopoziomowe podziemia. Widziałem tam nigdy nieotwierane zapadnie, zawarte na głucho metalowymi sztabami; w ich pobliżu wyczuwałem złowieszczą aurę, jak gdyby wiązało się z nimi szczególne niebezpieczeństwo. Wszystko

wskazywało na to, że jestem więźniem, a wszędzie, gdzie spojrzałem, czaiły się posępność i zgroza. Czułem, że gdyby nie strzegła mnie opoka litościwej niewiedzy, szydliwe kręte hieroglify na ścianach swą treścią zmiażdżyłyby mą duszę.

Jeszcze później zdarzało mi się spoglądać w dół przez wielkie okrągłe okna oraz z tytanicznego dachu, na który wiodły najwyższe korytarze; pustą płaszczyznę dachu urozmaicały gdzieniegdzie niezwykłe ogrody, krawędź okolona była zaś fryzowanym parapetem. W dole ciągnęły się w nieskończoność gigantyczne budowle otoczone ogrodami i połączone brukowanymi drogami szerokimi na dwieście stóp. Gmachy wyglądały bardzo rozmaicie, lecz tylko nieliczne mierzyły mniej niż pięćset stóp szerokości i tysiąc stóp wysokości. Wiele z nich było doprawdy nieobjętych w swym ogromie – ciągnęły się wszerz na kilka tysięcy stóp, a ich szczyty niczym górskie wierzchołki niknęły w szarych, parnych niebiosach. Głównym budulcem był, jak mi się zdawało, kamień lub beton; zauważyłem też, że w większości gmachów pojawia się motyw cudacznie krętych linii, takich samych jak w budynku, który był moim więzieniem. Dachy były płaskie i przyozdobione ogrodami, często też zwieńczone fryzowanymi gzymsami; niektóre miały własne tarasy i wyższe piętra, gdzieniegdzie widać było też rozległe puste przestrzenie między ogrodami. Na szerokich drogach panował chyba ruch, ale w tych wcześniejszych wizjach nie byłem w stanie dostrzec szczegółów.

W niektórych miejscach rzuciły mi się w oczy ogromne cylindryczne wieże, znacznie wyższe aniżeli wszystkie inne gmachy. Były to twory zgoła wyjątkowej natury, potężnie nadgryzione zębem czasu. Wymurowano je z przedziwnych, ciętych w sześciany bloków bazaltu; w górnych partiach, tuż pod krągłymi zwieńczeniami, zwężały się nieco ku górze. W żadnej z tych wież nie widziałem najmniejszych nawet okien ani innych otworów – jedynie potężne drzwi. Widziałem też budowle nieco niższe, choć zbliżone do nich w ogólnym pokroju, również skruszałe z upływem nieprzeliczonych eonów. Wszystkie te architektoniczne monstra otaczała gęsta, niemal namacalna aura niewytłumaczalnej grozy – dokładnie taka sama, jaką wyczuwałem w pobliżu zapieczętowanych zapadni.

Wszechobecne ogrody były niemal zatrważające w swej dziwności. Cudaczne, nieopisane formy roślinnego życia kołysały się nad szerokimi ścieżkami, te zaś były okolone rzędami osobliwych posągów. Dominowały nienaturalnie rozłożyste niby-paprocie, zielone lub powleczone upiorną, grzybowatą bladością. Spomiędzy paproci wystrzelały widmowe drzewa przypominające kalamity, o bambusowatych pniach wybujałych do bajecznych rozmiarów. Widziałem też niesamowite, czubate sagowce oraz groteskowe krzewy i drzewa ciemnozielonej barwy, najpewniej iglaste. Kwiaty były nieliczne i bezbarwne; kwitły w geometrycznie zaprojektowanych klombach bądź luzem, pośród zieleni. Na kilku tarasach i dachach spostrzegłem też kwiaty większe, o bujnych, wyzywających wręcz kształtach, tak szczególne, że musiały to być chyba sztucznie wyhodowane krzyżówki. Wszędzie roiło się też od grzybów w niewyobrażalnym wręcz bogactwie rozmiarów, kolorów i kształtów, na dodatek rozmieszczonych według przemyślnego

planu – widać było, że za ich uprawą stoi wieloletnia, szacowna tradycja ogrodnicza. W większych, naziemnych ogrodach starano się zachować Naturę we wszystkich jej nieregularnościach; ogrody na dachach były bardziej wypielęgnowane, wyraźniej znać było w nich rękę ogrodnika.

Niebo było niezmiennie pochmurne i wilgotne, niekiedy widywałem też potężne ulewy. Raz na pewien czas zza chmur wyglądało jednak słońce – wydawało się nienormalnie wielkie – lub księżyc, który wyglądał jakby nieco inaczej niż zwykle, choć nie mogłem pojąć, na czym ta różnica polega. Jeśli było akurat pogodnie – zdarzało się to wyjątkowo rzadko – nocą widziałem gwiazdozbiory, ale nie mogłem się w nich doszukać znanych mi gwiazd. Zarys niektórych konstelacji pokrywał się z grubsza z rzeczywistym, ale tylko z grubsza, nigdy co do joty; na podstawie położenia pewnych gwiazd udało mi się wszakże rozpoznać, że znajduję się na półkuli południowej, nieopodal zwrotnika Koziorożca. Daleki widnokrąg rozmywał się zawsze w kłębowisku chmur, widziałem jednak, że za miastem rozciąga się wielka dżungla, pełna nieznanych gatunków paproci, kalamitów, lepidodendronów i sygilarii; fantastycznie rozkrzewione listowie kołysało się szydliwie, poruszane falami leśnych wyziewów. Na niebie również co pewien czas dostrzegałem jakiś ruch, wszelako te wczesne wizje tutaj również były ubogie w szczegóły.

Jesienią 1914 roku zacząłem z rzadka odbywać dziwne loty nad miastem i jego okolicami. Widziałem drogi biegnące w nieskończoność przez puszczę – gęstwę przeraźliwych drzewiszcz o cętkowanych, pręgowanych i żłobkowanych pniach – ku innym miastom, równie dziwnym jak to, które widywałem najczęściej. W leśnym omroczu, na polanach i przesiekach widziałem potworne gmaszyska z czarnego bądź opalizującego kamienia; przemierzałem też długie groble biegnące wzdłuż bagien – tak ciemnych, że o ich wilgotnej, wybujałej strzeliście roślinności niewiele mogę powiedzieć. Któregoś razu ujrzałem niekończącą się równinę pełną przedwiecznych bazaltowych ruin, pod względem architektonicznym przypominających owe bezokienne wieże o krągłych szczytach, które widziałem w pierwszym mieście. Raz ujrzałem też morze – bezkresny, parny przestwór – oraz kolosalne kamienne nabrzeże gigantycznego miasta pełnego kopuł i łuków. Nad falami przesuwały się potężne, bezkształtne cienie, a powierzchnię wód burzyły tu i ówdzie nienaturalne fontanny wody.

III

Jak już mówiłem, te obłędne majaki nie od razu zaczęły mnie przerażać. Wielu ludzi z pewnością widuje w snach rzeczy jeszcze dziwniejsze – polepione ze sobą strzępki życia codziennego, obrazów i lektur, które uśpiony umysł kapryśnie składa w fantastyczne, wydziwione formy. Przez pewien czas przyjmowałem te wizje jako rzecz naturalną, jakkolwiek nigdy nie szczyciłem się zbyt wybujałą wyobraźnią. Tłumaczyłem sobie, że wiele spośród tych mglistych anomalii bierze początek ze źródeł zupełnie trywialnych, a przy tym zbyt wielorakich, by dało się je wyśledzić; w innych odbijała się pospolita książkowa wiedza na temat prymitywnej roślinności i innych przymiotów świata sprzed stu pięćdziesięciu milionów lat, czyli z okresu permu lub triasu. Po kilku miesiącach wszelako w moich snach

począł kiełkować pierwiastek prawdziwej grozy. Stało się to w chwili, gdy zacząłem przeżywać je jako wspomnienia, a mój umysł począł łączyć je z nasilającymi się zaburzeniami w sferze abstrakcyjnej: uczuciem skrępowania pamięci, osobliwymi wrażeniami związanymi z czasem oraz wrażeniem, że w latach 1908–1913 ktoś w odrażający sposób podmienił moją osobowość – a nieco później także z niewytłumaczalną odrazą w stosunku do własnej osoby.

W miarę jak w snach zaczęły pojawiać się konkretne szczegóły, groza spotęgowała się po tysiąckroć – aż wreszcie, w październiku 1915 roku, stwierdziłem, że muszę coś z tym zrobić. Wtedy właśnie wszcząłem systematyczne badania nad pokrewnymi przypadkami amnezji i majaków – czułem, że w ten sposób może zdołam nadać mej udręce wymiar obiektywny i uwolnię się z emocjonalnej opresji. Wszelako, jak już pisałem, rezultat tych działań zrazu okazał się wprost przeciwny do zamierzonego: byłem wstrząśnięty, że wielu ludzi miewało sny niemal identyczne jak ja, tym bardziej że niektórzy z nich żyli w dawnych czasach, nie posiadali wiedzy geologicznej i nie mogli sobie wyobrazić, jak wyglądała Ziemia w czasach prehistorycznych. Co więcej, wiele przywidzeń obfitowało w wyjątkowo okropne szczegóły i wyjaśnienia dotyczące budowli, ogrodów i innych urojonych obiektów. To, co widywałem i przeczuwałem w moich snach, było już dostatecznie okropne – opowieści i sugestie innych ofiar ocierały się wręcz o obłęd i bluźnierstwo. Najgorsze zaś było to, że lektura tych relacji pobudziła jeszcze bardziej moją własną pseudopamięć: moje rojenia stawały się coraz obłędniejsze, przeczuwałem, że wnet odsłonią mi się w nich jakieś rewelacje. A mimo to większość lekarzy i tak pochwalała moją dociekliwość.

Systematyczne studia psychologiczne, jakie podówczas prowadziłem, podziałały inspirująco na mego syna Wingate'a – dzięki temu jest dziś w tej dziedzinie profesorem. W roku 1917 i 1918 uczęszczałem w Miskatonic na specjalne kursy. Wciąż niestrudzenie prowadziłem też kwerendy medyczne, historyczne i antropologiczne: odwiedzałem biblioteki w odległych zakątkach świata, dotarłem nawet do ksiąg najohydniejszych, źródeł pradawnej, zakazanej wiedzy, którymi w bulwersujący sposób fascynowałem się w stanie amnezji. Niekiedy trafiałem nawet na te same egzemplarze – i byłem wstrząśnięty, odkrywając na marginesach tych wstrętnych ksiąg notatki, a nawet ewidentne poprawki sporządzone dziwnie nieludzkim stylem i charakterem pisma.

Notatki te zawsze wykonane były w takim samym języku, w jakim opublikowano daną księgę; autor najwidoczniej biegle się tymi językami posługiwał, jakkolwiek widać było, że jest to biegłość wyuczona. W księdze *Unaussprechlichen Kulten* von Junzta znalazłem natomiast dopisek, który poruszył mnie z zupełnie wyjątkowych powodów. Wykonany był tym samym atramentem co poprawki po niemiecku, składał się jednak z cudacznych krętych hieroglifów nieprzypominających żadnego ludzkiego pisma. Co więcej, hieroglify te były łudząco podobne do owych rytów, które widywałem w mych snach. Ryty te wydawały mi się zresztą dziwnie znajome, niekiedy miałem wręcz wrażenie, że za chwilę przypomnę sobie, co znaczą. W tej mrocznej konfuzji utwierdzili mnie jeszcze bibliotekarze, którzy przejrzawszy karty biblioteczne rzeczonych ksiąg, stwierdzili, że

wszystkie te dopiski musiały zostać sporządzone przeze mnie, w czasie mej przemiany – mimo że nigdy nie znałem i nie poznałem do dziś żadnego z trzech języków, w jakich je wykonano.

Z rozproszonych materiałów – starożytnych i współczesnych, antropologicznych i medycznych – wyłoniła się całkiem spójna mieszanina mitów i halucynacyjnych rojeń, tak obłąkańcza i pełna rozmachu, że aż zapierająca dech w piersiach. Pocieszałem się tylko tym, że mityczna część tej mieszaniny powstała jeszcze w bardzo zamierzchłych czasach. Z jakich czeluści zagubionej wiedzy przedostały się do tych prymitywnych bajęd paleozoiczne i mezozoiczne pejzaże – nie miałem najmniejszego pojęcia. Nie dało się wszelako zaprzeczyć, że te pejzaże naprawdę ongiś istniały – a zatem istniała podstawa, na której mógł ukształtować się pewien stały schemat omamów. Najpewniej było tak, że ataki amnezji spowodowały powstanie pewnego ogólnego wzorca mitu, wytwarzane zaś później przez wyobraźnię rozwinięcia tego wzorca oddziaływały zwrotnie na ofiary ataku i nadawały ton nękającym je pseudowspomnieniom. Ja sam przecież podczas mych kwerend przekonałem się niezbicie, że w moim odmienionym stanie zapoznawałem się z opisami wcześniejszych przypadków – nie byłoż więc rzeczą naturalną, że moje późniejsze sny i wrażenia emocjonalne zostały zabarwione i ukształtowane przez to, co potajemnie uchowało mi się w pamięci z okresu amnezji? Co ciekawe, w pewnych mitach można było zauważyć znaczące związki z innymi mglistymi legendami opowiadającymi o świecie sprzed narodzin człowieka; dotyczy to zwłaszcza podań hinduskich – w których występują szczególnie oszałamiające otchłanie czasu – będących ważnym źródłem inspiracji dla współczesnych teozofów.

Wspólnym elementem starożytnych mitów i nowożytnych omamów było założenie, że ludzkość jest tylko jedną – i to być może najlichszą – z wielu wysoko rozwiniętych ras, które panowały na Ziemi w trakcie jej długich i wciąż nie do końca poznanych dziejów. Istoty o niewyobrażalnych kształtach wznosiły wieże sięgające nieba i drążyły najgłębsze sekrety Natury, na długo nim pierwszy płazi praprzodek człowieka wypełzł na ląd z gorącego morza, czyli wcześniej niż przed trzystu milionami lat. Część z tych istot przybyła z gwiazd; niektóre były stare jak sam kosmos; inne wyrosły szybko już z ziemskich zarodzi w czasach tak dawnych, że czas trwania naszej ewolucji wydaje się przy nich błahostką. Rozmach tych legend był zdumiewający: ich autorzy żonglowali swobodnie tysiącami milionów lat, trafiały się wzmianki o związkach łączących Ziemię z innymi galaktykami i wszechświatami. Zaprawdę, nie istniało nic takiego jak czas w naszym ludzkim rozumieniu tego słowa.

W większości podań i halucynacji pojawiała się wszakże pewna rasa, która – choć ukształtowana w dziwaczny i złożony sposób, zupełnie nieznany współczesnej nauce – żyła stosunkowo niedawno, zaledwie piętnaście milionów lat przed narodzinami człowieka. Były to najwspanialsze istoty w dziejach Ziemi, ponieważ tylko im udało się zgłębić tajemnicę czasu. Dowiedziały się wszystkiego, czego tylko można było lub będzie można się dowiedzieć na naszej planecie, mocą swych przenikliwych umysłów umiały bowiem wejrzeć w przeszłość i przyszłość, i to o całe milionlecia; w ten

sposób posiadły mądrość wszelkich możliwych dziejów. To właśnie ich działalność dała początek legendom o prorokach, również tym, które znamy z naszej, ludzkiej mitologii.

W swych potężnych bibliotekach istoty te gromadziły księgi i ryciny obejmujące całość ziemskich dziejów – opis i historię każdego gatunku, jaki kiedykolwiek istniał lub będzie istniał, wraz z jego charakterystyką psychologiczną oraz kompletnym katalogiem dzieł sztuki, języków i osiągnięć naukowych. Posiadłszy wiedzę nieprzeliczonych eonów, Wielka Rasa wybierała sobie z każdej ery i każdej formy życia takie idee, dzieła sztuki i procesy, które najlepiej odpowiadały jej naturze i ogólnej sytuacji. Wiedzę o przeszłości zdobywano za pomocą procesu, którego nie da się pojąć naszymi zmysłami. Proces sondowania przyszłości był prostszy i bardziej materialny. Za pomocą odpowiednich maszyn umysł badacza rzutował się w przyszłość i przemierzał czas dopóty, dopóki nie wyczuł w pozazmysłowy sposób, że znajduje się w pożądanym okresie dziejów. Wówczas po kilku wstępnych próbach wyszukiwał najwartościowszego reprezentanta dominującej w danym momencie formy życia, wdzierał mu się do mózgu i nastrajał go podług własnych wibracji; tymczasem umysł wyparty przenoszony był wstecz do epoki intruza i pozostawał w jego ciele, dopokąd ów nie wszczął procesu odwrotnego. Rzutowany umysł, zagnieżdżony w organizmie z przyszłości, udawał tymczasem przedstawiciela rasy, od której zapożyczył powłokę cielesną, i starał się jak najszybciej posiąść wszelką możliwą wiedzę na temat jego epoki.

Tymczasem umysł wyparty, uwięziony w epoce i ciele intruza, trzymano pod strażą. Pilnowano, by nie wyrządził żadnej krzywdy ciału, które zajmował, i wyciągano zeń wszelką wiedzę za pomocą fachowo przeprowadzanych przesłuchań. Nierzadko przepytywano go w ojczystym języku – o ile oczywiście intruzi zdążyli się go nauczyć dzięki uprzednim wyprawom. Jeśli posługiwanie się językiem ofiary przekraczało fizyczne możliwości Wielkiej Rasy, konstruowano zmyślne maszyny i odgrywano na nich obcą mowę jak na instrumencie muzycznym. Przedstawiciele Wielkiej Rasy mieli postać potężnych, pomarszczonych stożków, mierzyli dziesięć stóp wzrostu, ich zaś głowy i inne narządy znajdowały się na końcach elastycznych ramion grubości jednej stopy wyrastających ze szczytu stożka. Porozumiewali się, szczękając lub skrobiąc potężnymi łapami czy szponami znajdującymi się na końcach dwu z czterech ramion, poruszali się zaś, rozciągając i kurcząc lepką powierzchnię znajdującą się u spodu stożkowego korpusu.

Kiedy pojmany umysł otrząsnął się już ze zdumienia i oburzenia, tudzież gdy przestał go przerażać tymczasowy cielesny kształt (zakładając, że jego macierzyste ciało mocno różniło się od ciał przedstawicieli Wielkiej Rasy), pozwalano mu rozeznać się w nowym środowisku, uczyć się i oglądać cuda, które na co dzień widywał porywacz. Z zachowaniem stosownych środków ostrożności – i w zamian za odpowiednie przysługi – mógł on zwiedzać cały zamieszkany świat z pokładu tytanicznych machin latających bądź naziemnych wehikułów napędzanych energią atomu, przemierzających wielkie gościńce niczym olbrzymie naziemne łodzie. Swobodnie korzystał

też z księgozbiorów bibliotecznych mieszczących opis przeszłych i przyszłych dziejów świata. Wielu więźniów dzięki temu łatwiej godziło się z losem; dla światłego umysłu nie ma przecież donioślejszego życiowego doświadczenia niż odkrywanie najgłębszych ziemskich tajemnic – zamkniętych rozdziałów niepojętej przeszłości i zawrotnych otchłani czasów przyszłych, wykraczających nawet poza macierzystą epokę badacza – i to bez względu na to, że w trakcie takich studiów można niekiedy odkryć najczarniejsze okropieństwa.

Od czasu do czasu pewnym więźniom zezwalano na kontakt i wymianę myśli z innymi więźniami z przyszłości – umysłami, które żyły setki, tysiące lub miliony lat przed nimi bądź po nich. Wszystkich nakłaniano też do prowadzenia obszernych zapisków we własnych językach; zapiski te później zbierano i przechowywano w wielkich centralnych archiwach.

Warto dodać, że pewna szczególna, smutna kategoria więźniów cieszyła się znacznie większymi przywilejami aniżeli pozostała większość. Byli to umierający wieczni wygnańcy, uwięzieni w ciałach zbliżających się już do kresu życia. Ich właściwe ciała zostały zawłaszczone przez sprytnych przedstawicieli Wielkiej Rasy, którzy czując, że nadchodzi śmierć, postanowili szukać ucieczki, aby ocalić przynajmniej swój umysł. Tych smutnych wygnańców nie było tak wielu, jak można by oczekiwać, albowiem długowieczni członkowie Wielkiej Rasy znacznie mniej miłowali życie – zwłaszcza ci najświatlejsi, którzy posiedli umiejętność podróży w czasie. Niemniej właśnie za sprawą takich działań zdarzały się przypadki trwałych zmian osobowości, odnotowywane w nowszej historii – w tym także w historii ludzkości.

Zwykle jednak działo się tak, że gdy umysł intruza dowiadywał się wszystkiego, czego pragnął, budował urządzenie podobne do tego, które wyekspediowało go w przyszłość, i odwracał proces projekcji. Powracał do własnego ciała i własnej epoki, umysł zaś uwięziony odzyskiwał swe prawowite ciało z przyszłości. Powrót do stanu wyjściowego był niemożliwy tylko wówczas, jeśli w trakcie zamiany jedno z ciał zmarło. W takich przypadkach umysł przedstawiciela Wielkiej Rasy pozostawał przez resztę życia w obcym ciele, podobnie jak umysły tych, którzy uciekali w przyszłość przed śmiercią – bądź też umysł porwany dożywał swych dni w ciele porywacza, podobnie jak umierający wieczni wygnańcy.

Los ten był mniej straszny, jeśli porwany również należał do Wielkiej Rasy; przypadki takie nie były wcale rzadkie, ponieważ Wielka Rasa zawsze była żywo zatroskana o swą przyszłość. Liczba wiecznych wygnańców była w tej grupie znikoma, ponieważ za przechwycenie gwałtem umysłu innego członka Wielkiej Rasy groziły srogie kary. W ślad za sprawcą takiego postępku rzutowano w przyszłość umysł egzekutora, który wymierzał mu karę, a czasem zmuszał go też do powrotu. Znane były też – i starannie naprawiane – sytuacje jeszcze bardziej skomplikowane, gdy przechwycony został umysł innego badacza przyszłości lub umysł już pierwej wyparty i uwięziony. Od kiedy Wielka Rasa odkryła sekret projekcji umysłów, zawsze pewien drobny, ale rozpoznawalny ułamek jej populacji stanowiły umysły z wieków minionych przybyłe z krótszą bądź dłuższą wizytą.

Jeśli uwięziony umysł należał do innej rasy, przed powrotem do swego ciała poddawany był zawiłemu procesowi mechanicznej hipnozy, która oczyszczała go z wszelkiej wiedzy, jaką zdążył zdobyć w epoce Wielkiej Rasy – gwoli uniknięcia groźnych konsekwencji, jakie mogłoby przynieść przeniesienie w przyszłość niepożądanej wiedzy. Kilka razy zdarzyło się, że wypuszczono w przyszłość umysły nieoczyszczone, i zawsze przynosiło to katastrofalne skutki. Zgodnie z tym, co mówiły mity, właśnie za sprawą dwóch takich przypadków ludzkość dowiedziała się w ogóle o istnieniu Wielkiej Rasy. Jedynym fizycznym i bezpośrednim reliktem tego przedwiecznego świata, jaki przetrwał do naszych czasów, są ponoć wielkie kamienne ruiny w odludnych zakątkach lądów i w głębinach mórz oraz niektóre fragmenty straszliwych Rękopisów Pnakotycznych.

Tak oto porwany umysł wracał do swej epoki i tylko z nikłych, fragmentarycznych wizji dowiadywał się, co się z nim działo w trakcie przemiany. Wszystkie wspomnienia, które dało się usunąć, były usuwane – toteż w większości przypadków cały okres uwięzienia był dla ofiary jedynie czystą kartą, oćmioną jedynie strzępami sennych zwidów. Niektórym udawało się wszakże co nieco zapamiętać; jeśli kilku takim ofiarom udało się przypadkiem połączyć wspomnienia, wylęgały się nieśmiałe podejrzenia, że może jednak istnieje jakaś zapomniana, zakazana przeszłość. Nie było chyba epoki, w której rozmaite grupy czy sekty nie snułyby potajemnie takich domysłów. O tym, jakoby taka sekta istniała również wśród ludzi, sugerują wzmianki w *Necronomiconie*; jej członkowie ponoć niekiedy nieśli pomoc umysłom Wielkiej Rasy, które przez otchłań wieków zawędrowały aż do ludzkich czasów.

Tymczasem Wielka Rasa stała się niemal wszechwiedna, jeśli chodzi o dzieje Ziemi, i podjęła się zbadania przeszłych i przyszłych dziejów innych planet – oczywiście przechwytując umysły ich mieszkańców. Starała się również zgłębić przeszłość i pochodzenie miejsca swego umysłowego pochodzenia: czarnego, wymarłego od prawieków globu w dalekim zakątku kosmosu. Trzeba bowiem wiedzieć, że umysł Wielkiej Rasy był starszy niż jej kształt cielesny. Gdy przedwieczny matecznik Rasy zaczął konać, jej przedstawiciele – posiadłszy już największą tajemnicę wszechświata – poczęli rozglądać się za światem nowym, tudzież za nowym gatunkiem, którego powłoka cielesna pozwoliłaby im wieść długi żywot. Wreszcie znalazły – i *en masse* wyprawiły się w przyszłość, w ciała istot, które najlepiej nadawały się na nowe mieszkania: stożkowatych stworów żyjących na Ziemi przed miliardem lat. Tak oto narodziła się Wielka Rasa – miriady wypędzonych umysłów czekała natomiast rychła śmierć w dziwnych, strasznych ciałach. W nowym kształcie cielesnym Wielką Rasę także czekał kiedyś koniec – miała jednak przetrwać raz jeszcze, zasiedlając umysłami swych najlepszych przedstawicieli ciała jeszcze innych istot mających przed sobą dłuższą przyszłość.

Taką właśnie treść niosły powiązane ze sobą legendy i halucynacje. Około roku 1920, gdy wyniki mych badań zaczęły układać się w spójną całość, uczułem, że napięcie, które rosło we mnie od chwili ich podjęcia, z wolna ustępuje. Za podszeptem ślepych emocji wyrajały mi się wprawdzie dziwne

fantazje, wszelako czyż większość z mych dolegliwości nie dawała się łatwo wytłumaczyć? Przecież moje mroczne dociekania z okresu amnezji mogły być owocem zwykłego przypadku. Naczytałem się zakazanych legend, poznałem członków prastarych, niesławnych sekt – i tym sposobem dostarczyłem sobie materiału do snów oraz podniety do niepokojących wrażeń, które poczęły mnie nękać, gdy już odzyskałem pamięć. Jeśli chodzi o notatki, które – jak twierdzili bibliotekarze – sporządziłem własną ręką w nieznanych mi językach i widmowymi hieroglifami – cóż, w trakcie mej przemiany mogłem przecież te języki z grubsza poznać, hieroglify zaś niewątpliwie wyroiły mi się w wyobraźni pod wpływem lektury zamierzchłych legend, a potem wkradły się także do mych snów. W niektórych kwestiach chciałem skonsultować się z przywódcami sekt, niestety do żadnego z nich nie udało mi się dotrzeć.

Wciąż jeszcze zachodziłem w głowę, jakim cudem w ciągu tylu wieków mogło zaistnieć tak wiele niemal identycznych przypadków; z drugiej jednak strony zauważyłem, że te niezwykłe legendy były ongiś znacznie powszechniejsze niż w czasach nowszych. Najprawdopodobniej dawne ofiary dziwnej amnezji już od najmłodszych lat obcowały z mitami, które ja poznałem dopiero w mym odmienionym stanie. Gdy zatem taki nieszczęśnik tracił pamięć, utożsamiał się ze stworzeniami znanymi mu już z mitów – bajecznymi najeźdźcami wypędzającymi ludzkie umysły z prawowitych ciał – i zaczynał gromadzić wiedzę, w nadziei, że uda mu się przenieść ją do urojonej, nieludzkiej przeszłości. Odzyskawszy pamięć, odwracał ten skojarzeniowy proces: nie uważał się już za intruza, tylko umysł, który uległ był wyparciu. Stąd brały się późniejsze sny i pseudowspomnienia rozwijające konwencjonalny schemat mitu.

Nie było to może najzręczniejsze wyjaśnienie, ale wbiłem je sobie do głowy dość skutecznie – głównie dlatego że wszystkie teorie konkurencyjne były jeszcze słabsze. W miarę upływu czasu przyznało mi też rację wielu znamienitych psychologów i antropologów. Im głębiej się zastanawiałem, tym bardziej moje rozumowanie wydawało mi się przekonujące; koniec końców udało mi się uzyskać naprawdę skuteczną broń przeciw dręczącym mnie wciąż omamom i wrażeniom. Nocami roją mi się dziwaczne zwidy? Błahostka – nie ma w nich nic, o czym bym pierwej nie czytał i nie słyszał. Własne ciało napawa mnie wstrętem, męczą mnie wizje i pseudowspomnienia? Proszę bardzo – to tylko echa mitów, które przyswoiłem sobie w odmienionym stanie. Może mi się przyśnić i przywidzieć cokolwiek – nie będzie to miało żadnego istotnego znaczenia.

Gdy ufortyfikowałem się już w takim filozoficznym bastionie, w znacznym stopniu odzyskałem nerwową równowagę – mimo że wizje (właśnie wizje, nie zaś abstrakcyjne wrażenia) nękały mnie coraz częściej, widziałem w nich też coraz więcej bulwersujących szczegółów. W roku 1922 poczułem, że mogę wrócić do pracy zawodowej, uczyniłem przeto praktyczny użytek z wiedzy, którą posiadłem w ostatnich latach, i objąłem stanowisko wykładowcy na wydziale psychologii mego uniwersytetu. Moja dawna katedra ekonomii od dawna już była obsadzona przez kompetentną osobę, zresztą od moich czasów metody nauczania ekonomii mocno się zmieniły. Mój syn otwierał

właśnie przewód doktorski, wstępując tym samym na ścieżkę kariery profesorskiej, sporo też pracowaliśmy razem.

IV

Wciąż jednak starannie zapisywałem swoje sny, które z biegiem czasu stawały się coraz sugestywniejsze i coraz bardziej outré. Tłumaczyłem sobie, że takie zapiski mają wartość dokumentalną. Wciąż roiło mi się nieznośnie, że te fantastyczne senne wizje są w istocie wspomnieniami – udało mi się jednak to wrażenie dość skutecznie stłumić. Zapisywałem je w takiej formie, jakbym wszystko widział naprawdę, lecz gdy tylko odkładałem pióro, odsuwałem je od siebie jako urojenia śpiącej imaginacji. W codziennych rozmowach nikomu się z tych zwidów nie zwierzałem – wszelako, jak to często bywa, moje zapiski wydostały się na światło dzienne i wzbudziły wiele spekulacji na temat stanu mych zmysłów. Zdumiewające, że rozsiewali je wyłącznie laicy – lekarze i psychologowie ani przez chwilę nie wątpili w moją poczytalność.

Spośród majaków, które nawiedziły mnie po roku 1914, wspomnę tylko o kilku; kompletne zapiski są do dyspozycji poważnych badaczy. Z czasem umysł mój ewidentnie wyzbył się początkowych zahamowań, ponieważ moje senne wizje jęły nabierać rozmachu; nigdy jednak nie stały się czymś więcej niż luźnymi, niespójnymi fragmentami, z pozoru pozbawionymi wyraźnej motywacji. Stopniowo zyskiwałem w nich wszakże coraz większą swobodę ruchu. Przemierzałem coraz to nowe kamienne budowle, szybowałem przez tytaniczne podziemne tunele łączące poszczególne obiekty. Na najniższym poziomie niekiedy zbliżałem się do gigantycznych, zamkniętych na głucho zapadni, od których biła aura niesamowitości i grozy. Widywałem olbrzymie, wyłożone mozaiką baseny, tudzież izby wypełnione najosobliwszymi, niepojętymi utensyliami. Otwierały się też przede mną kolosalne hale wypełnione skomplikowaną maszynerią o najdziwniejszych kształtach i niedocieczonym przeznaczeniu. Dopiero po kilku latach śnienia zacząłem słyszeć wydawany przez nie dźwięk. Muszę też dodać, że jedynymi zmysłami, jakimi dysponowałem w tym urojonym świecie, były właśnie wzrok i słuch.

Prawdziwa zgroza zaczęła się w maju 1915 – wtedy to po raz pierwszy ujrzałem żywe istoty. Nie znałem jeszcze wówczas pokrewnych przypadków ani dawnych legend, przeto nie wiedziałem, czego się spodziewać. W miarę jak mój umysł obalał kolejne bariery, w głównym budynku i na ulicach zacząłem dostrzegać wielkie kłęby rzadkich oparów. Kłęby te powoli, acz systematycznie, tężały i wyraźniały, aż wreszcie począłem w nich dostrzegać zarys potwornych sylwetek. Były to olbrzymie, opalizujące stożki mierzące około dziesięciu stóp wysokości i tyleż szerokości u podstawy, urobione ze żłobkowanej, łuskowatej, na poły rozciągliwej materii. Ze szczytu stożków wyrastały cztery elastyczne, walcowate kończyny grubości jednej stopy, utoczone z podobnie żłobkowanej substancji. Członki te niekiedy niemal zupełnie się chowały, a czasami rozciągały się w różne strony nawet na dziesięć stóp. Dwa zwieńczone były potężnymi szponami czy szczypcami. Trzeci kończył się czterema czerwonymi, trąbkowatymi wyrostkami. Czwarty wieńczyła nieregularna kula żółtawej barwy, najpewniej głowa,

mierząca jakieś dwie stopy średnicy, wzdłuż obwodu okolona trojgiem wielkich ciemnych oczu. Z czubka głowy wyrastały cztery smukłe łodyżki zakończone słupkami jak u kwiatów, u dołu zaś zwisało osiem zielonkawych czułków czy macek. Centralny stożek okolony był u podstawy gumowatą szarą substancją, która kurcząc się i rozciągając, wprawiała całą istotę w ruch.

Stwory oddawały się zajęciom zupełnie nieszkodliwym, przeraziło mnie to jednak jeszcze bardziej aniżeli ich wygląd – nieprzyjemnie było patrzeć, jak takie potwory wykonują czynności, które uważamy za przypisane człowiekowi. Krzątały się w celowy sposób po wielkich izbach, sięgały po książki, przenosiły je z półek na stoły i ze stołów na półki, czasem też gorliwie pisały osobliwymi rysikami trzymanymi w zielonkawych mackach. Wielkich szczypiec używały do przenoszenia ksiąg i porozumiewania się – ich mowa składała się ze szczęknięć i zgrzytów. Istoty nie nosiły żadnych ubrań, na szczycie stożkowatych kadłubów miały tylko przewieszone tornistry czy chlebaki. Głowę wraz z szyją trzymały zwykle na poziomie górnej części stożka, często jednak unosiły ją bądź pochylały. Trzy pozostałe kończyny, jeśli nie były akurat używane, zwisały swobodnie wzdłuż boków korpusu, ściągnięte do długości jakichś pięciu stóp. Sądząc po tym, ile czasu stwory spędzały na lekturze, pisaniu i obsłudze maszyn (maszyny znajdujące się na stołach wydawały się w niepojęty sposób związane z myśleniem), pod względem inteligencji musiały znacznie przewyższać ludzi.

Później widywałem je już wszędzie: tłoczyły się w wielkich komnatach i korytarzach, obsługiwały potworne maszyny w sklepionych kryptach, pędziły po olbrzymich drogach w swych gigantycznych łódkokształtnych samochodach. Odniosłem wrażenie, że są naturalną częścią swego środowiska, toteż przestałem się ich lękać. Stopniowo zacząłem dostrzegać między nimi pewne różnice. Wydało mi się też, że niektóre osobniki są w swych poczynaniach jakby nieco skrępowane; wyglądały wprawdzie zupełnie zwyczajnie, lecz wiele zachowań i zwyczajów nie tylko odróżniało je wyraźnie od większości, ale także między sobą. Ta niewielka grupka wyjątkowo dużo pisała, posługując się – o ile mogłem się rozeznać w mglistych przywidzeniach – najróżniejszymi alfabetami, nigdy jednak nie używając krętych hieroglifów. Zdawało mi się nawet, że niektóre indywidua używają pisma naszego, ludzkiego. Większość z nich pisała znacznie wolniej niż przeważający ogół.

Przez cały ten czas moja własna osoba występowała w tych snach wyłącznie jako bezcielesna świadomość obdarzona nienaturalnie szerokim zasięgiem wzroku; szybowałem swobodnie, acz wyłącznie wzdłuż wyznaczonych dróg i ze stosowną chyżością. Dopiero w sierpniu roku 1915 jął dręczyć mnie niejasny domysł, że jednak bytuję w tych zwidach cieleśnie. Powiadam „dręczyć”, albowiem zrazu było to tylko abstrakcyjne, choć zatrważające przeczucie, że odczuwana już wówczas przeze mnie odraza do własnego ciała w jakiś sposób wiąże się z treścią mych wizji. Pamiętam, że przez pewien czas w snach myślałem tylko o tym, by nie spojrzeć na siebie, i cieszyłem się, że w dziwnych kamiennych komnatach w ogóle nie ma luster. Bardzo mnie trapiło, że stojących tam stołów – wysokich na całe

dziesięć stóp – nigdy nie oglądam od dołu, lecz przynajmniej z poziomu blatów.

Z czasem poczęła we mnie narastać chorobliwa pokusa, by zobaczyć, jak wygląda moje ciało. Którejś nocy nie oparłem się jej – i spojrzałem w dół. Zrazu nie dostrzegłem nic zgoła. Po chwili pojąłem, dlaczego: moja głowa znajdowała się na końcu elastycznej, niesłychanie długiej szyi. Cofnąłem tę szyję, zdecydowanie spojrzałem w dół – i ujrzałem łuskowaty, pofałdowany, opalizujący kadłub w kształcie potężnego stożka, mierzący dziesięć stóp wysokości i tyleż szerokości u podstawy. Na ten widok wrzasnąłem tak przeraźliwie, że musiałem chyba obudzić połowę mieszkańców Arkham, i wyrwałem się z otchłani snu.

Wiele tygodni musiało minąć, wiele razy musiała się powtórzyć ta ohydna wizja, nim oswoiłem się z widokiem mej spotworniałej postaci. Teraz już w pełni cielesnych kształtów wtopiłem się w tłum nieznanych mi istot; czytałem straszne księgi z niekończących się regałów, godzinami stałem przy wielkich stołach i pisałem rysikiem trzymanym w mackach u spodu głowy. Strzępki tych lektur i zapisków zachowały mi się w pamięci. Były to straszliwe annały innych światów i wszechświatów tudzież przestrzeni poza wszelkimi wszechświatami poruszanej jedynie drgnieniami bezcielesnego życia. Były to opisy dziwnokształtnych gatunków zamieszkujących świat w niepamiętnych dziejach oraz zatrważające kroniki inteligentnych, obleczonych w groteskowe ciała istot, które będą go zamieszkiwać miliony lat po śmierci ostatniego człowieka. O naszych, ludzkich dziejach dowiedziałem się rzeczy, jakie nie śnią się nawet współczesnym uczonym. Większość pism spisana była hieroglifami, musiałem więc nauczyć się ich, korzystając z pomocy buczących maszyn; był to najwyraźniej język aglutynacyjny, z systemem rdzeni wyrazowych niespotykanych w żadnej ludzkiej mowie. Niektóre księgi spisane były w jeszcze innych, nieznanych językach – ich także uczyły mnie dziwaczne maszyny. Znajome języki napotkałem w zaledwie kilku tomach. Doskonałą pomocą naukową były przejrzyste, czytelne ilustracje zamieszczane w książkach bądź zbierane w osobnych albumach. Przez cały czas wydawało mi się też, że spisuję po angielsku historię świata w mej własnej epoce. Z języków, którymi władałem we śnie, po przebudzeniu zostawały mi w głowie jedynie bezsensowne strzępki – z przeczytanych kronik pamiętałem natomiast całe zdania.

Dowiedziałem się tedy – zanim jeszcze na jawie zacząłem studiować przypadki pokrewne i dawne mity stanowiące wylęgarnię tego typu snów – że stożkowate istoty należą do najwspanialszej rasy na świecie, rasy, która okiełznała czas i wysyła umysły swych najbystrzejszych badaczy we wszelkie możliwe epoki. Wiedziałem też, że zostałem porwany przemocą z moich własnych czasów i z własnego ciała – zamieszkiwanego teraz przez kogoś innego – a niektórzy z mych dziwnokształtnych towarzyszy dzielą podobny los. Rozmawiałem także – używając jakiegoś dziwnego języka, za narząd mowy mając szczękające szczypce – z intelektami porwanymi z najróżniejszych zakątków Układu Słonecznego.

Jeden z nich pochodził z planety znanej nam jako Wenus i narodzi się

dopiero w nieogarnionej przyszłości; inny, z zewnętrznego księżyca Jowisza, żył przed sześcioma milionami lat. Poznałem też umysły ziemskie: kilka skrzydlatych, gwiazdogłowych, na poły roślinnych istot z paleogenicznej Antarktydy, jednego człowieka-gada z legendarnej Waluzji, trzech kudłatych, przedludzkich Hiperborejczyków, czcicieli Tsathoggui, jednego przedstawiciela wyjątkowo wstrętnej rasy Tcho-Tcho, dwa myślące pajęczaki z ostatniego etapu ziemskich dziejów, a także pięć krzepkich żukowatych istot z gatunku, który zapanuje nad Ziemią zaraz po zagładzie ludzkości. Te ostatnie Wielka Rasa upatrzyła sobie jako następne ofiary gromadnej kolonizacji w razie śmiertelnego zagrożenia.

Wśród moich rozmówców znalazły się też umysły ludzi pochodzących z najrozmaitszych odnóg naszej rasy: Yiang-Li, filozof z okrutnego cesarstwa Tsan-Chan, które powstanie pięć tysięcy lat po Chrystusie; wódz wielkogłowego, smagłego plemienia, które zamieszkiwało Afrykę Południową pięćdziesiąt tysięcy lat przed naszą erą; Bartolomeo Corsi, mnich z dwunastowiecznej Florencji; król Lomaru, który władał tą straszliwą polarną krainą sto tysięcy lat przed najazdem z zachodu dokonanym przez żółtych pokurczów z plemienia Inutos; Nug-Soth, czarownik mrocznych pogromców z szesnastotysięcznego roku po Chrystusie; Tytus Semproniusz Blesus, Rzymianin, skarbnik państwowy w czasach Sulli; Egipcjanin Chefnes z czternastej dynastii, który zdradził mi ohydną tajemnicę Nyarlathotepa; kapłan ze środkowego królestwa Atlantydy; James Woodville, dżentelmen z Suffolk z czasów Cromwella; nadworny astronom z przedinkaskiego Peru; australijski fizyk Nevil Kingston-Brown, który umrze w roku 2518; arcymag z zaginionej pacyficznej krainy Yhe; Teodotides, greko-baktriański urzędnik z dwóchsetnego roku przed Chrystusem; sędziwy Francuz nazwiskiem Pierre-Louis Montmagny, z epoki Ludwika XIII; Crom-Ya, cymeryjski wódz żyjący piętnaście tysięcy lat przed Chrystusem… i jeszcze wielu, wielu innych – tak wielu, że nie byłem w stanie spamiętać wszystkich wstrząsających tajemnic i oszałamiających dziwów, jakie przekazywali mi w rozmowach.

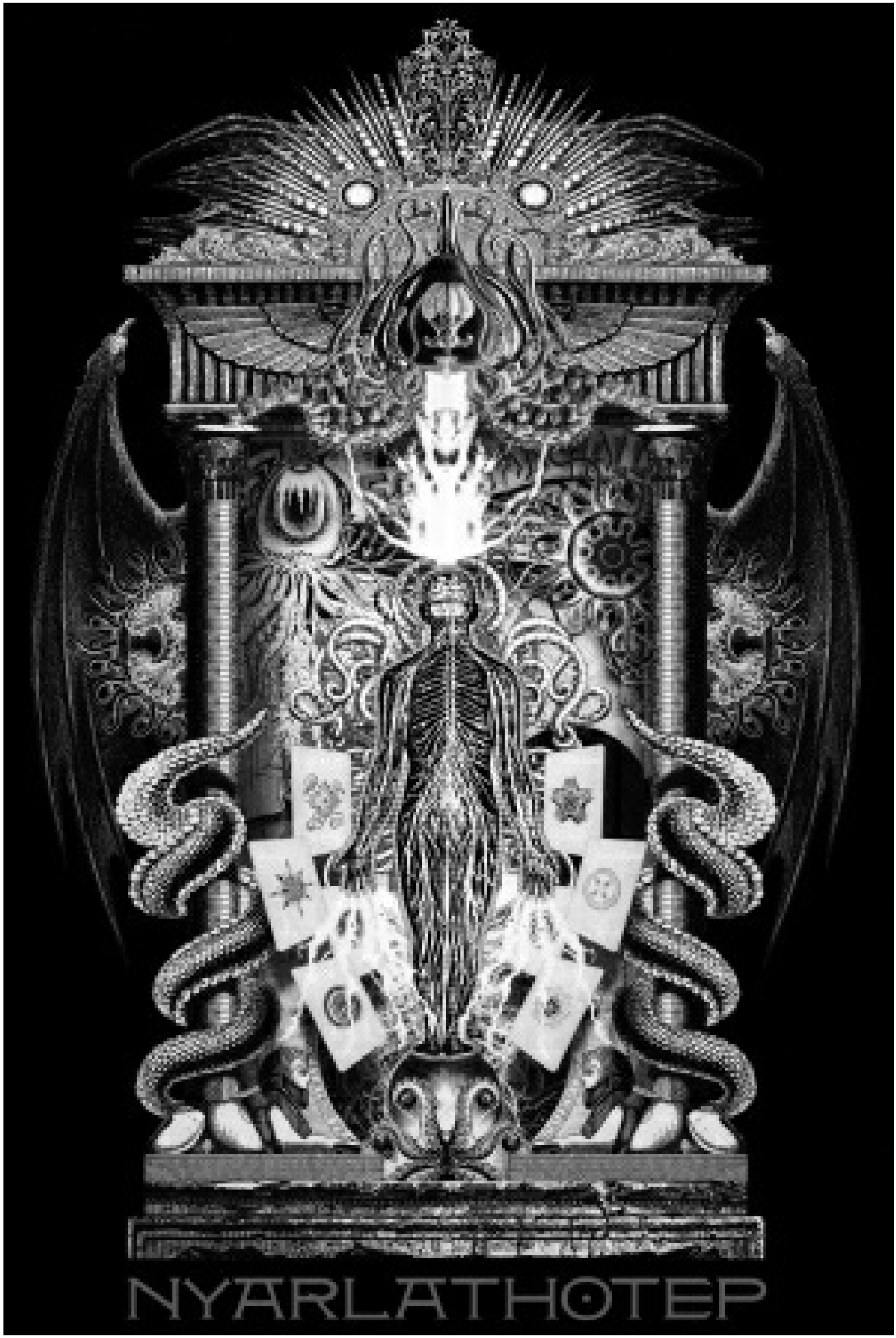
NYARLATHOTEP

ZDRADZIŁ MI OCHYDNĄ TAJEMNICĘ NYARLATHOTEPA

Każdego ranka budziłem się rozgorączkowany. Jeśli uchowała mi się w pamięci informacja niewykraczająca poza zasięg współczesnej ludzkiej wiedzy, jak szalony rzucałem się do źródeł, by ją zweryfikować. Powszechnie znane fakty nabierały nowego, niejednoznacznego wymiaru. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że uśpiony umysł potrafi w zaskakujący sposób kwestionować oficjalną historię i naukę. Aż drżałem na myśl o tajemnicach, jakie może skrywać przeszłość; aż trząsłem się ze zgrozy, gdy pomyślałem o niebezpieczeństwach, jakie może przynieść przyszłość. Gdy przyszli mieszkańcy Ziemi napomknęli o losie, jaki czeka ludzki gatunek, popadłem w stan, którego nie podejmę się nawet opisać. Po człowieku nadejdzie czas potężnej cywilizacji żuków – to właśnie ich ciała zasiedli elita Wielkiej Rasy, gdy jej prastary świat pocznie zbliżać się do potwornego końca. Później, gdy dzieje naszej planety wejdą w fazę schyłku, umysły intruzów znów wyruszą na wyprawę poprzez czas i przestrzeń – następnym przystankiem będą bulwiaste, roślinne ciała mieszkańców Merkurego. Po ich odejściu Ziemię zaludni jeszcze wiele ras – żałośnie jej wierne, będą rodzić się i ginąć do samego końca, wgryzając się aż do wypełnionego zgrozą jądra stygnącej planety.

Tymczasem zajmowałem się spisywaniem dziejów mej własnej epoki – trochę z własnej woli, trochę zaś skuszony obietnicą dalszych podróży i większej swobody w dostępie do biblioteki. Zapiski moje miały trafić do centralnych archiwów Wielkiej Rasy. Archiwa znajdowały się w kolosalnym podziemnym gmachu opodal centrum miasta. Znałem ten gmach, często wykonywałem tam różne prace i odbywałem rozmaite konsultacje. Był tytaniczny, masywny jak góra, pod względem wytrzymałości nie miał sobie równych wśród miejskich budowli – miał trwać tak długo, jak rasa jego budowniczych, i wytrzymać najgwałtowniejsze nawet wstrząsy ziemskiej skorupy.

Kroniki spisywano bądź drukowano na wielkich arkuszach osobliwie trwałej celulozowej materii, a następnie zszywano w książki, które otwierało się od góry. Książki te wkładano w osobne kasety z niesłychanie lekkiego, nierdzewnego metalu szarawej barwy; na pokrywach kaset wyżłobione były wzory matematyczne oraz tytuły dzieł zapisane krętym hieroglificznym alfabetem. Kasety przechowywano w prostokątnych, ułożonych piętrowo skrytkach – przypominających zamykane regały – ulanych z tego samego nierdzewnego metalu i zaopatrzonych w klamki, które otwierało się skomplikowanym systemem ruchów. Moje zapiski wylądowały na najniższym piętrze archiwum, przeznaczonym dla kręgowców – w dziale poświęconym kulturze ludzi oraz ssaków i gadów, które panowały na Ziemi tuż przed nami.

Nigdy jednak nie udało mi się zobaczyć w całej okazałości, jak w tym przyśnionym świecie wygląda życie codzienne. Sny przepływały mi przez głowę w mgławicowych, oderwanych strzępach, na dodatek w przypadkowej kolejności. Bardzo niedokładnie przypominam sobie na przykład warunki, w jakich przyszło mi tam mieszkać – pamiętam tylko mgliście, że mieszkałem

samotnie w wielkiej kamiennej komnacie. Z czasem przestałem być traktowany jak więzień, toteż odbyłem wiele pasjonujących podróży: wędrowałem potężnymi gościńcami przez dżunglę, bawiłem w dziwnych miastach, zapuszczałem się nawet w głąb potężnych bezokiennych ruin, które napawały Wielką Rasę osobliwym lękiem. Odbywałem dalekomorskie rejsy na ogromnych wielopokładowych statkach poruszających się z niewiarygodną chyżością, a nad dzikimi ostępami latałem w zamkniętych, podobnych do rakiet wehikułach wprawianych w ruch za pomocą odpychania elektrycznego. Za rozległym, ciepłym oceanem znajdowały się inne miasta Wielkiej Rasy, na pewnym zaś dalekim kontynencie wypatrzyłem zgrzebne wioski czarnopyskich, skrzydlatych stworzeń, które po ucieczce najświatlejszych umysłów Wielkiej Rasy w przyszłość miały wyewoluować i stać się gatunkiem dominującym. Krajobrazy były z reguły równinne, wszędzie krzewiła się rozbuchana zieleń. Wzniesienia zdarzały się rzadko, zwykle pozbawione były też oznak działalności wulkanicznej.

O zwierzętach, którą widywałem, mógłbym napisać całe tomy. Wszystkie były dzikie – Wielka Rasa już od dawna prowadziła żywot zmechanizowany, nie hodowała żadnych zwierząt domowych, odżywiała się zaś wyłącznie produktami roślinnymi bądź syntetycznymi. Zwaliste, nieruchawe gady taplały się w parujących moczarach, trzepotały skrzydłami w ciężkim powietrzu, pluskały się w morzach i jeziorach. Wydawało mi się, że rozpoznaję wśród nich archaiczne prototypy gatunków znanych współczesnej paleontologii: dinozaurów, pterodaktyli, ichtiozaurów, labiryntodontów, ramforynchów, plezjozaurów i innych. Ptaków ani ssaków nie widziałem wcale.

Na lądach i w bagnach roiło się od węży, jaszczurek i krokodyli, a wśród bujnej roślinności brzęczały chmary owadów. Daleko na morzu wystrzelały w parne niebo monumentalne fontanny piany wyrzucane przez niepostrzeżone, nieznane wodne monstra. Pewnego razu gigantyczna łódź podwodna zabrała mnie w głąb oceanu; w świetle reflektorów widziałem tam niepojęte potwory, olbrzymie i przeraźliwe. Widziałem też ruiny niewiarygodnych zatopionych miast oraz nieprzebraną obfitość liliowców, ramienionogów, korali, najróżniejszych ryb.

O fizjologii, psychologii, obyczajach i historii Wielkiej Rasy zapamiętałem z mych wizji bardzo mało; wiele faktów, które tu przedstawię, zaczerpnąłem nie tyle z samych snów, ile z badanych na jawie legend i raportów medycznych. Z czasem moje lektury zrównały się bowiem z sennymi majakami, a nawet je prześcignęły – fragmenty niektórych wizji wyjaśniałem sobie zatem niejako z góry, potwierdzały one tylko treść już przeze mnie wyczytaną. Było to doświadczenie krzepiące, ponieważ utwierdzało mnie w przeświadczeniu, że straszliwa przędza moich pseudowspomnień wysnuwa się właśnie z lektur i badań prowadzonych przez mą wtórną jaźń.

Scenerię mych zwidów stanowił świat sprzed blisko stu pięćdziesięciu milionów lat, kiedy to era paleozoiczna stopniowo przechodziła w mezozoiczną. Organizmy zajmowane przez Wielką Rasę nie przetrwały w toku ewolucji, nie zostały nawet odnotowane przez współczesną naukę; była to wszakże osobliwa, bardzo jednorodna, wyspecjalizowana forma życia,

dająca się zaklasyfikować do królestwa zarówno roślin, jak i zwierząt. Procesy komórkowe zachodziły u niej w sposób wyjątkowy, niemal wykluczający zmęczenie i zupełnie eliminujący konieczność snu. Pożywienie, przyswajane za pomocą czerwonych trąbopodobnych wyrostków na jednym z wielkich rozciągliwych ramion, było zawsze półpłynne i pod wieloma względami zupełnie niepodobne do tego, czym żywią się zwierzęta. Spośród znanych nam zmysłów Wielka Rasa posiadała tylko dwa – wzrok i słuch. Narządem słuchu były wyrostki na końcach szarych łodyżek na głowie. Istoty te miały jednak z pewnością znacznie więcej zmysłów, zupełnie dla nas niewyobrażalnych (umysły wygnańców niezbyt biegle umiały się nimi posługiwać). Odpowiednio rozmieszczona trójka oczu zapewniała niepospolicie szerokie pole widzenia. Krew była ciemna, niezwykle gęsta i miała barwę zielonkawą. Wielka Rasa była bezpłciowa, rozmnażała się za pomocą nasion czy zarodników wyrastających w spodniej części korpusów. Zarodniki te mogły rozwijać się wyłącznie pod wodą, toteż gromadzono je i przechowywano w specjalnych, wielkich i płytkich zbiornikach. Młodych wychowywano jednak niewiele, a to ze względu na długowieczność Wielkiej Rasy – istoty te dożywały bez trudu czterech–pięciu tysięcy lat.

Osobników obarczonych wadami wrodzonymi dyskretnie się pozbywano, gdy tylko ułomność stawała się widoczna. Wielka Rasa nie miała zmysłu dotyku i nie odczuwała fizycznego bólu, toteż nadejście choroby i zapowiedź zgonu można było rozpoznać jedynie dzięki objawom widocznym. Ciała zmarłych palono w trakcie uroczystych ceremonii. Co pewien czas, jak już wspominałem, któryś z bystrzejszych reprezentantów Rasy uciekał przed śmiercią, przenosząc się umysłem w przyszłość; nie były to jednak częste przypadki. Jeśli już do tego doszło, wygnańca z przyszłości otaczano największymi względami, póki nie sczezło jego obce cielesne lokum.

Wielka Rasa tworzyła jedną, dość luźną wspólnotę, jakby naród czy ligę mającą wspólne instytucje, lecz dzielącą się na cztery odrębne części. W każdej jednostce panował identyczny ustrój społeczny i ekonomiczny, swego rodzaju faszystowski socjalizm; główne surowce były odgórnie, racjonalnie rozdzielane, władzę zaś sprawowała niewielka rada zarządzająca, wybierana głosami tych obywateli, którzy zdali odpowiednie testy edukacyjne i psychologiczne. Struktura rodzinna nie była zbyt rygorystyczna, choć więzy pokrewieństwa były dość zauważalne, a wychowywaniem młodych zajmowali się zwykle rodzice.

Podobieństwa do zwyczajów i instytucji ludzkich najsilniej zaznaczały się w dwóch odrębnych dziedzinach: w dziedzinie zjawisk czysto abstrakcyjnych oraz tam, gdzie wchodziły w grę podstawowe potrzeby, właściwe wszystkim organizmom żywym. Istniała także garstka zbieżności wtórnych, powstałych stąd, że Wielka Rasa stale sondowała przyszłość i czerpała z niej wedle potrzeb. Przemysł był w znacznej mierze zmechanizowany, nie zajmował więc obywatelom wiele czasu; czas wolny, którego było pod dostatkiem, przeznaczano na najróżniejsze zajęcia intelektualne i estetyczne. Nauki ścisłe rozwinięte były w niewiarygodnym wręcz stopniu. Ważny element życia stanowiła także sztuka, jakkolwiek w okresie z mych snów największą świetność miała już za sobą. Nadzwyczajnie rozwijała się technologia –

główną podnietą do postępu była nieustanna walka o przetrwanie gatunku i ocalenie miast zagrożonych przez częste ruchy górotwórcze.

Zaskakująco niski był poziom przestępczości, zresztą radzono sobie z nią wyjątkowo skutecznie. Zakres kar był szeroki, od pozbawienia przywilejów i więzienia po śmierć lub tortury emocjonalne, nigdy jednak nie wymierzano ich bez starannego zbadania motywacji przestępcy. Konflikty zbrojne już od kilku tysiącleci ograniczały się głównie do wojen domowych, choć zdarzały się też najazdy wrogich gadów i ośmiornic. Wojowano także z mieszkańcami Antarktyki – skrzydlatymi, gwiazdogłowymi Przedwiecznymi. Starcia takie nie zdarzały się często, lecz były niesłychanie wyniszczające. Wielka Rasa utrzymywała w pogotowiu olbrzymią armię wyposażoną w potężne miotacze energii elektrycznej, podobne trochę do aparatów fotograficznych. Po co stale trzymano ją pod bronią – trudno było się dowiedzieć; miało to chyba jednak coś wspólnego z niesłabnącym lękiem, jaki budziły w Wielkiej Rasie prastare, ciemne, bezokienne ruiny oraz zamknięte na głucho zapadnie na najniższym poziomie miejskich podziemi.

Tych bazaltowych ruin i zapadni lękano się podskórnie, nigdy o tym nie mówiono, a jeśli już, to tylko szeptano półgębkiem. Co ciekawe, o całej sprawie milczały również książki, przynamniej te ogólnie dostępne. Było to jedyne tabu w całej kulturze Wielkiej Rasy; musiało być jakoś związane z koszmarem niegdysiejszych wojen, a może też z zagrożeniem przyszłym, które miało kiedyś skłonić jej najświatlejszych przedstawicieli do gromadnej ucieczki w inny czas. Nie była to jedyna kwestia, która odsłaniała mi się fragmentarycznie i niedokładnie, wszelako milczenie, jakie ją otaczało, było doprawdy zdumiewające. Nie wspominały o niej w ogóle dawne mity – chyba że wszelkie aluzje na ten temat zostały z nich rozmyślnie usunięte – zadziwiająco mało pomocne były również sny, zarówno moje, jak i cudze. Przedstawiciele Wielkiej Rasy z własnej woli nigdy tej sprawy nie poruszali; wszystkie moje domysły opieram na tym, co usłyszałem od wygnańców, i to tych najbłyskotliwszych.

Niemniej domysły owe brzmią następująco: otóż praprzyczyną lęku Wielkiej Rasy była straszliwa, starsza rasa polipowatych kreatur, która przed sześciuset milionami lat przybyła z niepomiernie odległych wszechświatów i podbiła Ziemię oraz trzy inne planety Układu Słonecznego. Były to istoty tylko częściowo materialne – podług naszego rozumienia materii – a ich świadomość i postrzeganie zmysłowe kompletnie różniły się od ziemskich. Nie posiadały na przykład wzroku; ich świat psychiczny sprowadzał się do dziwnego, bezwzrokowego układu wrażeń. Były to jednak byty na tyle materialne, że jeśli znalazły się w rejonie kosmosu zawierającym materię, umiały się nią posłużyć. Musiały też gdzieś mieszkać – aczkolwiek ich siedliska były bardzo specyficzne. Umiały przenikać zmysłami wszelkie bariery materialne, nie potrafiły wszelako uczynić tego substancją swych ciał. Śmiertelnie niebezpieczne były dla nich niektóre formy energii elektrycznej. Umiały latać, choć nie miały skrzydeł ani żadnych innych środków umożliwiających unoszenie się w powietrze. Ich umysły skonstruowane były w taki sposób, że Wielka Rasa nie byłaby w stanie ich skolonizować.

Po przybyciu na Ziemię istoty te pobudowały z bazaltu potężne miasta z wieżami bez okien i w straszliwy sposób żerowały na wszystkim, co żyło dokoła. Tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy spoza naszej galaktyki – z tajemniczego świata, który w niepokojących i dyskusyjnych Ułomkach z Eltdown znany jest pod nazwą Yith – przybyli konkurenci: umysły Wielkiej Rasy. Przybysze wytworzyli odpowiednią broń i bez trudu podporządkowali sobie drapieżne polipy – zapędzili je do podziemnych jaskiń, które stworzenia te już wprzódy połączyły ze swymi domostwami i zaczęły zasiedlać. Potem zapieczętowali wejścia i pozostawili je swojemu losowi. Zajęli też większość miast wzniesionych przez poprzedników, zachowując co ważniejsze budowle – jakkolwiek nie tyle z obojętności, zuchwałości czy ze względów naukowych i historycznych, ile za podszeptem przesądnego lęku.

Wraz z upływem eonów pojawiły się jednak mgliste, złowieszcze oznaki, że Starsze Istoty mnożą się w swym podziemnym świecie i rosną w siłę. Co pewien czas jeden z potworów wyrywał się na wolność i siał ohydne spustoszenie; zdarzało się to głównie w małych, prowincjonalnych miastach zamieszkanych przez Wielką Rasę oraz pewnych miastach na pustyni, które pozostały niezasiedlone – tam, gdzie zejścia pod ziemię nie były należycie zapieczętowane i strzeżone. Pod wpływem tych incydentów wzmożono środki ostrożności i wiele zejść zamknięto na zawsze, wszelako niewielką ich garstkę pozostawiono – właśnie pod postacią zapieczętowanych zapadni – ze względów strategicznych, na wypadek gdyby Starszym Istotom udało się jednak w niespodziewanym miejscu wydostać na powierzchnię. Były to świeże uskoki tektoniczne powstałe wskutek tych samych ruchów skorupy, jakie zaczopowały niektóre zejścia i z wolna obracały w perzynę nieziemskie budowle oraz ruiny pozostałe po zwyciężonych istotach.

Sporadyczne ataki Starszych Istot musiały budzić niewyobrażalną, nieopisaną wręcz grozę, skoro odcisnęły na psychice Wielkiej Rasy tak trwałe piętno. Trwożliwa zmowa milczenia była tak silna, że obejmowała nawet powierzchowność tych pradawnych stworzeń – nigdy nie udało mi się dokładnie dowiedzieć, jak one właściwie wyglądały. Z zawoalowanych sugestii domyśliłem się jedynie, że były to monstra plastyczne, że niekiedy stawały się niewidzialne oraz że umiały okiełznać i wykorzystywać w walce potężne wiatry. Wydawały też ponoć osobliwe gwizdy i pozostawiały olbrzymie ślady łap o pięciu okrągłych palcach.

Nie ulegało wątpliwości, że zagłada, której tak panicznie lękała się Wielka Rasa – i która miała skłonić miliony najświatlejszych jej przedstawicieli do wyruszenia w podróż przez otchłanie czasu ku bezpiecznej przyszłości w nowych, dziwnych ciałach – nastąpi wówczas, gdy Starsze Byty ostatecznie wyrwą się na wolność. Dzięki swym mentalnym rekonesansom Wielka Rasa doskonale wiedziała, że jest to los nieuchronny, uznała więc, że każdy, kto tylko może, powinien go uniknąć. Wiedziała też, że atak nie będzie służył odzyskaniu władzy nad powierzchnią Ziemi, tylko krwawej zemście – z badań późniejszych dziejów planety wynikało bowiem, że kolejne rasy będą już żyły spokojnie, nieniepokojone przez podziemne monstra. Być może z czasem Starsze Istoty uznały, że lepiej żyje im się w głębiach Ziemi aniżeli na powierzchni wystawionej na działanie wichrów i burz – światło nie

było im wszak do niczego potrzebne. Być może w miarę upływu wieków zaczęły też słabnąć. Tak czy owak było pewne, że w epoce myślących żuków, które zapanują na Ziemi po schyłku ludzkości, nie będzie już po nich śladu. Tymczasem Wielka Rasa trwała w czujnym pogotowiu, w każdej chwili gotowa sięgnąć po swe potężne bronie – jakkolwiek przyczynę tej czujności bojaźliwie wymazała z codziennych rozmów i publicznych archiwów. Nad zapieczętowanymi zapadniami i mrocznymi, bezokiennymi wieżami nieustannie wisiał cień niewysłowionej trwogi.

V

Taki właśnie świat oglądałem co noc w mglistych, rozproszonych majakach. Nie łudzę się, że zdołam uzmysłowić czytelnikowi ogrom bijącej z nich zgrozy – najbardziej przerażające było w nich bowiem wrażenie zgoła nieuchwytne, choć przemożne: że nie są to zwyczajne senne mary, tylko moja pseudopamięć. Jak już wspomniałem, w toku mych badań nauczyłem się bronić przed tym wrażeniem za pomocą racjonalnych wyjaśnień psychologicznych. Ich zbawienny wpływ był tym silniejszy, że z czasem zdołałem do mych dziwnych snów odrobinę przywyknąć. Uczucie nieokreślonej grozy przeszywało mnie jeszcze od czasu do czasu, lecz już nie tak dojmująco jak na początku; po roku 1922 wiodłem już zatem w miarę zwyczajny żywot wypełniony pracą i wypoczynkiem.

W następnych latach nabrałem przekonania, że moje doświadczenia – uzupełnione opisami pokrewnych przypadków oraz ludowymi legendami – należałoby ostatecznie podsumować i ogłosić drukiem na użytek ambitnych badaczy. Przygotowałem tedy serię artykułów opisujących zwięźle całe zagadnienie; zilustrowałem je prostymi rysunkami przedstawiającymi sylwetki, miejsca, motywy dekoracyjne i hieroglify, które udało mi się zapamiętać ze snów. Artykuły ukazywały się w latach 1928–1929 w branżowym „Journal of the American Psychological Society”, nie wzbudziły jednak zbytniego zainteresowania. Ja tymczasem z największą skrzętnością zapisywałem kolejne sny – jakkolwiek liczba tych zapisków zaczynała mnie z wolna przytłaczać.

Dziesiątego lipca 1934 roku Towarzystwo Psychologiczne przesłało do mnie pewien list, zapoczątkowując decydujący, a zarazem najstraszliwszy etap mej obłąkańczej gehenny. List nosił stempel z Pilbarry w Australii Zachodniej, jego autor był zaś – jak udało mi się ustalić – cenionym inżynierem górnictwa. W kopercie znalazłem też kilka nadzwyczaj osobliwych fotografii. Treść listu przedstawię w całości, aby każdy z czytelników mógł sobie wyobrazić, jak potężne wywarł na mnie wrażenie. Doprawdy, przez pewien czas nie mogłem wręcz uwierzyć własnym oczom. Wprawdzie często już dochodziłem do wniosku, że legendy, z których wywodziły się moje sny, muszą mieć przynajmniej częściowe oparcie w faktach, ale nawet mi się nie śniło, że napotkam namacalny, materialny dowód, że ten niepojęcie odległy, zaginiony świat istniał naprawdę i zostały po nim jakieś szczątki. Najbardziej oczywiście zdruzgotały mnie fotografie; bezdyskusyjne w swym chłodnym realizmie, przedstawiały spłachetek piaszczystej pustyni, a na piasku skruszałe, zwietrzałe, zaokrąglone przez wodę bloki kamienia – bloki o kształtach aż nazbyt dobrze mi znanych:

delikatnie wypukłych z wierzchu i wklęsłych u dołu. Gdy zaś przypatrzyłem się im przez szkło powiększające, wśród żłobień i spękań ujrzałem wyraźne ślady krętych zdobień i hieroglifów, które z biegiem lat nabrały dla mnie tak ohydnego znaczenia. Oto jednak rzeczony list – niechaj przemówi sam za siebie:

Dampier Street 49
Pilbarra, Australia Zach.
18 maja 1934 r.

Prof. N.W. Peaslee
Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne
East 41. Street 30
Nowy Jork, USA

Drogi, szanowny Panie!

Zachęcony niedawną rozmową z doktorem E.M. Boyle'em z Perth tudzież lekturą Pańskich artykułów, które właśnie otrzymałem odeń pocztą, ośmielam się podzielić z Panem obserwacjami, jakie poczyniłem na Wielkiej Pustyni Piaszczystej, na wschód od złotonośnych pól, gdzie właśnie prowadzimy prace. Gdy przeczytałem osobliwe legendy, które Pan przytoczył – o starych, potężnych miastach z kamienia i dziwnych zdobieniach czy hieroglifach – uznałem, że moje znalezisko może mieć naprawdę wielką wagę.

Tutejsi krajowcy już od niepamiętnych czasów opowiadają o „wielkich kamieniach ze znakami"; z jakiegoś powodu zresztą okropnie się ich boją. Te kamienie mają chyba jakiś związek z Buddai, gigantycznym staruchem, który od wieków śpi głęboko pod ziemią z głową na ramieniu i pewnego dnia obudzi się, by pożreć cały świat. Słyszałem też bardzo stare, niemal zupełnie już zapomniane opowieści, jakoby pod ziemią znajdowały się potężne kamienne siedliska z zejściami w jeszcze większą głąb – działy się tam ponoć straszne rzeczy. Tubylcy twierdzą, że kiedyś kilku wojowników, uciekając z pola bitwy, zapędziło się do takich podziemi i już nie wróciło – a kiedy zniknęli, zerwał się tam straszliwy wicher. Na ogół jednak gadaniną czarnych nie ma co zawracać sobie głowy.

Muszę Panu wszelako opowiedzieć coś jeszcze. Dwa lata temu, gdy przeprowadzałem rozpoznanie terenu jakieś pięćset mil na wschód stąd, pośrodku pustyni trafiłem na zbiorowisko dziwacznych, oszlifowanych głazów. Wszystkie mierzyły mniej więcej trzy stopy długości, trzy szerokości i dwie stopy grubości, i były niemal do cna zwietrzałe i zniszczone przez czas. Z początku nie zauważyłem żadnych znaków, o których mówili tubylcy, ale gdy przyjrzałem się dokładnie, wśród spękań i bruzd dostrzegłem głęboko wyrżnięte linie – pozakręcane w dziwne wzory, idealnie zgodne z opisami krajowców. Naliczyłem tych bloków ze trzydzieści, może czterdzieści; leżą na obszarze mniej więcej jednej mili kwadratowej, niektóre niemal zupełnie zagrzebane w piachu.

Kiedy tylko odkryłem pierwsze bloki, zacząłem szukać kolejnych,

potem jeszcze zbadałem teren za pomocą moich instrumentów. Sfotografowałem dziesięć czy dwanaście najbardziej typowych okazów – kilka odbitek znajdzie Pan w kopercie. Próbowałem nimi zainteresować instytucje państwowe w Perth, ale bezskutecznie. Potem poznałem doktora Boyle'a, który czytał Pańskie artykuły w „Journal of the American Psychological Society", i napomknąłem mu o kamieniach. Doktor bardzo się tym zaciekawił, a gdy zobaczył zdjęcia, był wręcz poruszony – stwierdził, że dokładnie takie głazy i znaki występowały w legendach i w Pańskich snach. Zamierzał do Pana napisać, ale widać nie znalazł czasu. Tymczasem przysłał mi większość Pańskich artykułów z „Journala" – i z Pańskich opisów i rysunków od razu się zorientowałem, że to te same kamienie. Zresztą niech Pan spojrzy na zdjęcia. W swoim czasie powinien też do Pana napisać doktor Boyle.

Teraz pojmuję, jak wielką wagę ma dla Pana ta sprawa. Bez wątpienia natknęliśmy się na relikty nieznanej cywilizacji, starszej, niż nam się śniło; właśnie z niej wywodzą się Pańskie legendy. Jako inżynier górnictwa znam się nieco na geologii i muszę przyznać, że aż boję się myśleć, jak stare mogą być te bloki. Większość z nich to piaskowce i granity, ale jeden prawie na pewno został odlany z przedziwnego cementu czy betonu. Wszystkie noszą ślady działania wody, co wskazywałoby, że cały ten obszar znalazł się niegdyś pod powierzchnią morza, a potem, po wielu wiekach, wynurzył się na nowo. Jak długo to trwało? Setki tysięcy lat, może dłużej – wolę o tym nie myśleć.

Sądząc po tym, jak pieczołowicie powyszukiwał Pan te stare legendy i wszystko, co się z nimi wiąże, nie wątpię, że zechce Pan zorganizować ekspedycję archeologiczną i przeprowadzić na pustyni wykopaliska. Doktor Boyle i ja z chęcią podejmiemy się stosownej współpracy, o ile znajdzie Pan instytucję, która sfinansuje całe przedsięwzięcie. Mogę zebrać kilkunastu wykwalifikowanych górników, specjalistów od najcięższych prac; na czarnych raczej nie ma co liczyć – przekonałem się już, że miejsce to wzbudza w nich maniakalny wręcz strach. Boyle i ja nie podzieliliśmy się jeszcze z nikim naszym odkryciem – uznaliśmy, że ma Pan tu pełne prawo pierwszeństwa.

Z Pilbarry można dojechać na miejsce w cztery dni traktorem; traktory zresztą i tak będą potrzebne do przewiezienia sprzętu. Kamienie znajdują się kawałeczek na południowy zachód od szlaku Warburtona z 1873 roku, sto mil na południowy wschód od źródła Joanna Spring. Zamiast wyruszać z Pilbarry, można też spławić sprzęt rzeką De Grey; zresztą szczegóły omówimy we właściwym czasie. Położenie geograficzne tego miejsca jest mniej więcej następujące: 22°3'14" szerokości południowej, 125°0'39" długości wschodniej. Klimat jest tropikalny, warunki ciężkie, pustynne. Najlepiej byłoby wybrać się tam zimą – w czerwcu, lipcu lub sierpniu. Będę bardzo rad, jeśli zechce Pan do mnie napisać, a jeśli zdecyduje się Pan na

wyprawę, z wielką chęcią wezmę w niej udział. Pańskie artykuły zrobiły na mnie wielkie wrażenie, nie mam wątpliwości, że jest to rzecz najwyższej wagi. Doktor Boyle napisze do Pana później. Jeśli będzie potrzebny szybszy kontakt, może Pan słać wiadomości do Perth drogą telegraficzną.

Z niecierpliwością oczekuję rychłej odpowiedzi.

Proszę mi wierzyć!

Z wyrazami najgłębszego szacunku
Robert B.F. Mackenzie

O bezpośrednich konsekwencjach tego listu sporo można się dowiedzieć z prasy. Uniwersytet Miskatonic na szczęście zgodził się zapewnić fundusze, Mackenzie i Boyle okazali się zaś niezastąpieni w załatwianiu niezbędnych spraw w Australii. Nie wtajemniczyliśmy opinii publicznej zbyt dokładnie w cel naszej wyprawy – nie chcieliśmy zostać obśmiani przez żądne sensacji brukowce, poinformowaliśmy więc ogólnikowo, że będziemy badać ruiny odkryte na pustyni. Gazety nie rozpisywały się tedy o naszym przedsięwzięciu zbyt obszernie, doniosły jednak o naszym wyruszeniu i odnotowywały postępy w pracach przygotowawczych.

W ekspedycji towarzyszyli mi profesorowie z Miskatonic: William Dyer z wydziału geologii (dowódca wyprawy na Antarktydę z przełomu 1930 i 1931 roku), Ferdinand C. Ashley z wydziału historii starożytnej, Tyler M. Freeborn z wydziału antropologii oraz mój syn Wingate. Mój korespondent Mackenzie przyjechał na początku 1935 roku do Arkham i towarzyszył nam w ostatnich przygotowaniach. Okazał się ujmującym mężczyzną około pięćdziesiątki, niesłychanie kompetentnym, wybornie oczytanym i znającym na wylot australijskie pustynie. W Pilbarrze czekały już na nas traktory, wynajęliśmy też lekki parostatek, którym mieliśmy tam dotrzeć z Perth. Wykopaliska zamierzaliśmy przeprowadzić z prawdziwie naukową starannością, przesiewając każdą garść piachu i jak najmniej naruszając pierwotny układ miejsca.

Dwudziestego ósmego marca 1935 roku zaokrętowaliśmy się w Bostonie na dychawiczny parowiec Lexington i po niespiesznym rejsie przez Atlantyk, Morze Śródziemne, Kanał Sueski, Morze Czerwone i Ocean Indyjski dotarliśmy do celu. Nie muszę chyba mówić, jak przygnębiające wrażenie wywarło na mnie niskie, piaszczyste wybrzeże Australii Zachodniej, jak zmierziły mnie posępne złotonośne pola i prymitywne górnicze miasteczko, w którym kończyliśmy załadunek naszych traktorów. Przywitał nas tam doktor Boyle, który okazał się starszym, inteligentnym dżentelmenem, a przy tym wielkim erudytą w dziedzinie psychologii – razem z Wingate'em spędziliśmy z nim później wiele godzin na interesujących dyskusjach.

Gdy załadowaliśmy się wreszcie całą osiemnastką na traktory i ruszyliśmy z łoskotem przez piaszczyste i kamieniste bezdroża, większość z nas odczuwała dziwną mieszaninę ekscytacji i niepokoju. W piątek 31 maja przeprawiliśmy się brodem przez rzekę De Grey i zapuściliśmy się w najskrajniejsze piaszczyste pustkowie. Gdy zbliżaliśmy się już do miejsca, w którym tkwiły relikty pradawnego, legendarnego świata, zacząłem

doświadczać uczucia najprawdziwszej grozy – tym większej, że niepokojące sny i pseudowspomnienia dręczyły mnie wciąż z niesłabnącą siłą.

W poniedziałek 3 czerwca ujrzeliśmy wreszcie na wpół zagrzebane w piachu bloki. Nie potrafię opisać, co poczułem, gdy moja dłoń – na jawie, w obiektywnej rzeczywistości – spoczęła na tych cyklopowych wytworach sztuki kamieniarskiej, identycznych z tymi, które stanowiły budulec gmachów w moich snach. Na ich powierzchni zachowały się słabiutkie ślady rzeźbień – i aż zadrżałem, rozpoznawszy pod palcami fragment krętych zdobień, które po latach sennych koszmarów i oszałamiających dociekań kojarzyły mi się iście piekielnie.

W ciągu miesiąca udało nam się odkryć w sumie tysiąc dwieście pięćdziesiąt kamieni, w różnym stopniu zwietrzałych i zniszczonych. Większość z nich stanowiły rzeźbione megality o zaokrąglonych wierzchach i podstawach. Niektóre były mniejsze, cieńsze i płaskie, cięte w kwadrat bądź ośmiokąt – tak jak płytki, z jakich ułożone były posadzki i chodniki w moich snach. Znaleźliśmy też kilka brył osobliwie masywnych, wyciętych czy wykutych w łagodne łuki – musiały to być fragmenty żebrowanych sklepień bądź okiennych wnęk. Im głębiej – i dalej na północ i wschód – kopaliśmy, tym bloków było więcej, wciąż jednak nie mogliśmy dopatrzyć się wśród nich jakiegokolwiek porządku. Profesor Dyer był wstrząśnięty ich zamierzchłym wiekiem, Freeborn zaś wśród rzeźbionych zdobień doszukał się symboli, które w mroczny sposób pasowały do nieskończenie zamierzchłych legend papuaskich i polinezyjskich. Widok skruszałych, porozrzucanych w piachu bloków nie pozostawiał wątpliwości, że przetoczyły się nad nimi zawrotne cykle czasu i wstrząsały nimi geologiczne konwulsje o iście kosmicznej gwałtowności.

Ekspedycja nasza wyposażona była w aeroplan, toteż mój syn Wingate niekiedy wzlatywał na rozmaite wysokości i przepatrywał z góry skalisto-piaszczystą pustać, szukając najmglistszych choćby zarysów większej całości – różnic poziomów bądź kierunków, w jakich układałyby się bloki. Nie odkrył wszakże nic – ilekroć dopatrzył się jakichś znaczących prawidłowości, podczas następnego rekonesansu nie było po nich śladu, a na ich miejscu pojawiały się inne, równie niekonkretne. Wszystkiemu winien był przesypujący się z wiatrem piach. Spośród tych efemerycznych obserwacji jedna czy dwie wywarły na mnie jednak wielkie wrażenie, dziwaczne i nieprzyjemne; zdawało mi się, że w przeraźliwy sposób korespondują one z czymś, co znałem już ze snów bądź lektur, wszelako nie mogłem sobie przypomnieć, z czym. Wydawały mi one jakoś pseudoznajome – w sposób tak straszliwy, że aż zacząłem ukradkiem rozglądać się lękliwie po wstrętnym, sterylnym pustkowiu, które rozciągało się daleko na północ i północny wschód.

Mniej więcej w pierwszym tygodniu lipca ta północno-wschodnia połać pustyni zaczęła mnie napełniać dziwnie pomieszanymi emocjami. Było wśród nich uczucie zgrozy, była ciekawość – lecz ponad wszystko wybijało się uporczywe, bulwersujące złudzenie, że obszar ów skądś pamiętam. Chwytałem się najróżniejszych psychologicznych wybiegów, lecz na próżno: nijak nie umiałem tego wrażenia wyplenić. Zacząłem też cierpieć na

bezsenność, wszelako tę akurat dolegliwość przywitałem niemal z ulgą, ponieważ dzięki niej nieco słabiej nękały mnie sny. Nocami wypuszczałem się na długie, samotne przechadzki w głąb pustyni – zwykle w kierunku północnym bądź północno-wschodnim, czyli tam, dokąd popychał mnie subtelnie ów dziwny, nieznany impuls.

Podczas tych przechadzek potykałem się niekiedy o zagrzebane w piachu fragmenty starożytnych murów. Na pierwszy rzut oka bloków było tam mniej niż w miejscu naszych wykopalisk, byłem jednak pewien, że olbrzymie ich mnóstwo tkwi pod powierzchnią. Grunt był tam bardziej pofałdowany niż w obozie, szalejące zaś często wichury od czasu do czasu usypywały z piachu fantastyczne, choć nietrwałe pagórki – zasypując ślady jednych bloków, a odsłaniając inne. Z dziwną niecierpliwością wyczekiwałem dnia, kiedy zaczniemy tam kopać, a zarazem bałem się tego, co możemy znaleźć. Moje zdrowie psychiczne najwyraźniej się pogarszało – a co gorsza, nie miałem pojęcia dlaczego.

O tym, jak kiepski był podówczas stan mych nerwów, może zaświadczyć reakcja na dziwne odkrycie, jakiego dokonałem podczas jednej z tych nocnych włóczęg. Zdarzyło się to wieczorem 11 lipca, gdy garbaty księżyc zalewał tajemnicze pagóry osobliwą bladością. Wypuściwszy się nieco dalej w głąb pustyni, natrafiłem na wielki głaz, który od razu wydał mi się inny niż te, które widzieliśmy pierwej. Był niemal zupełnie przysypany, schyliłem się jednak i rękoma odgarnąłem piach, a następnie poddałem głaz starannym oględzinom, wspomagając blask księżyca światłem elektrycznej latarki. W przeciwieństwie do innych wielkich bloków ten był idealnie sześcienny, a boki miał płaskie, bez żadnych wklęsłości czy wypukłości. Po chwili spostrzegłem, że od znanych nam już bloków, wytworzonych z granitu, piaskowca, a niekiedy też betonu, różni się czymś jeszcze: wycięty jest mianowicie z ciemnego materiału przypominającego bazalt.

Nagle zerwałem się na równe nogi, odwróciłem i popędziłem co sił w nogach do obozu. Była to ucieczka zgoła nieświadoma i irracjonalna, nie miałem pojęcia, co mnie tak gna. Pojąłem to dopiero gdy dobiegłem do mego namiotu. Otóż takie dziwaczne ciemne głazy były mi już znane, śniłem o nich i czytałem, a w prawiecznych legendach tchnęła z nich najpotworniejsza zgroza. Odgrzebany przeze mnie blok był fragmentem pradawnych bazaltowych murów, których tak bardzo bała się Wielka Rasa – wysokich, bezokiennych ruin pozostawionych przez groźne, obce, na poły materialne Istoty, które po przegranej wojnie mrowiły się w trzewiach Ziemi i po to, by nie rozpętały na nowo swych potężnych wichrów, zamknięto nad nimi potężne zapadnie strzeżone przez niezasypiających wartowników.

Nie zmrużyłem oka do samego rana, z nadejściem świtu poczułem się jednak głupio, że wytrącił mnie z równowagi cień jakiegoś dawnego mitu. Takie odkrycie powinno było raczej wzbudzić we mnie entuzjazm, a nie paniczną trwogę. Przed południem opowiedziałem o wszystkim reszcie ekipy i w towarzystwie Dyera, Freeborna, Boyle’a i mego syna wyruszyliśmy na poszukiwanie niezwykłego bloku. Nasze poszukiwania spełzły jednak na niczym – nie pamiętałem dokładnie położenia głazu, wiatr zaś zdążył już zupełnie zmienić rzeźbę wydm.

VI

Przechodzę teraz do kluczowego, a zarazem najtrudniejszego fragmentu mej opowieści – tym bardziej kłopotliwego, że nie umiem rozstrzygnąć z niezbitą pewnością, czy jest to obiektywna prawda. Czasami nabieram nieprzyjemnego przekonania, że jednak nie śniłem ani nie uległem złudzeniu; dlatego właśnie – zważywszy, jak niesłychane implikacje wynikałyby z prawdziwości mych przeżyć – zdecydowałem się spisać niniejszą relację. Niechaj mój syn – wytrawny psycholog, najlepiej znający i rozumiejący mój przypadek – pierwszy wyda o niej osąd.

Zacznę od naszkicowania sytuacji wyjściowej, znanej już pozostałym członkom naszej ekspedycji. Siedemnastego lipca, po wyjątkowo wietrznym dniu, wcześnie udałem się na spoczynek, lecz nie mogłem zasnąć. Tuż przed jedenastą wstałem z pryczy i jak zwykle wyruszyłem na zwyczajowy nocny spacer, pod wpływem dziwnego impulsu znów kierując się na północny wschód. Po drodze spotkałem i pozdrowiłem tylko jedną osobę, australijskiego górnika o nazwisku Tupper. Niedawno była pełnia, księżyc świecił więc jasno na czystym niebie, pławiąc prastare piaski w białym, trędowatym blasku, który – jak mi się zdawało – emanował jakimś nieskończonym złem. Wiatr ustał już zupełnie; ci, którzy tej nocy nie spali, potwierdzili potem, że cisza trwała jeszcze niemal pięć godzin. Tupper widział, jak zmierzam raźnym krokiem na północny wschód – aż zniknąłem wśród bladych pagórów, strażników nieznanych tajemnic.

Około godziny trzeciej trzydzieści zerwał się wiatr tak gwałtowny, że obudził całą ekipę i obalił trzy namioty. Niebo było bezchmurne, pustynia wciąż lśniła trędowatą poświatą. Podczas stawiania namiotów ktoś zwrócił uwagę, że jeszcze mnie nie ma, ekipa zdążyła już jednak przywyknąć do mych wędrówek, uznano więc, że nie ma powodu do niepokoju. Mimo to aż trzech ludzi – wyłącznie Australijczyków – zdawało się wyczuwać, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Mackenzie wyjaśnił profesorowi Freebornowi, że na pewno udzielił im się lęk aborygeńskich bajarzy – tubylcy już dawno zaobserwowali, że co pewien czas przy bezchmurnym niebie zrywają się gwałtowne wichury i osnuli wokół nich osobliwą przędzę złowróżbnych legend. Powiadali z trwogą, że wiatry te wieją spod ziemi, z wielkich kamiennych siedlisk, w których dzieją się przeokropne rzeczy – i że można je spotkać wyłącznie w pobliżu głazów z wyrytymi znakami. Tuż przed godziną czwartą wichura ucichła równie szybko, jak się zerwała, znów pozostawiając po sobie kompletnie odmieniony krajobraz piaszczystych wydm.

Było już po piątej – opuchły, grzybowaty księżyc zachodził właśnie na zachodnim niebie – gdy wtoczyłem się chwiejnym krokiem do obozu: bez hełmu i latarki, zdyszany i sponiewierany, na wpół oszalały, z podrapaną, okrwawioną twarzą. Większość ludzi zdążyła już udać się na spoczynek, tylko profesor Dyer siedział jeszcze przed swym namiotem i palił fajkę. Gdy zobaczył, w jakim jestem stanie, zawołał doktora Boyle’a, po czym obaj ułożyli mnie na polowym łóżku. Rychło dołączył do nich mój syn, zbudzony rozgardiaszem, i wszyscy trzej usiłowali mnie uspokoić i ułożyć do snu.

Ja jednak zasnąć nie mogłem. Mój stan psychiczny był doprawdy niezwykły

– nigdy dotąd nie przeżywałem czegoś podobnego. Po pewnym czasie oświadczyłem, że chcę rozmawiać, po czym nerwowo i zawile objaśniłem, co mi się przydarzyło. Powiedziałem, że poczułem się wyczerpany, położyłem się więc na piasku, by się zdrzemnąć. Nawiedziły mnie wówczas sny jeszcze potworniejsze niż dotychczas, gdy zaś obudził mnie nagły poryw wichury, moje przeciążone nerwy nie wytrzymały – rzuciłem się do panicznej ucieczki. Biegłem na oślep, co chwila przewracając się na wystających spod piachu kamieniach, dlatego wróciłem taki obszarpany i poturbowany. Moja drzemka musiała zaś trwać dość długo – dlatego aż tyle godzin nie było mnie w obozie.

Ani jednym słowem nie zdradziłem, jakobym ujrzał był bądź przeżył coś dziwnego – wykazałem się w tej materii naprawdę wielką powściągliwością. Oznajmiłem wszelako, że zmieniam zdanie co do dalszych wykopalisk; jąłem gorliwie nalegać, by jak najszybciej zaprzestano prac w kierunku północno-wschodnim. Moja argumentacja były oczywiście wątła: wspomniałem, że bloków jest już coraz mniej, że powinniśmy liczyć się z uczuciami przesądnych górników, że może nam nie wystarczyć uczelnianych funduszy – krótko mówiąc, plotłem trzy po trzy, wymyślając nieistotne bądź zgoła urojone przeszkody. Nikt oczywiście nie potraktował mych słów poważnie – nawet mój syn, który troszczył się wszak o moje zdrowie jak nikt inny.

Następnego dnia wstałem z łóżka i snułem się po obozie, nie uczestniczyłem jednak w wykopaliskach. Widząc, że nie zdołam wstrzymać prac, postanowiłem zadbać o własne nerwy i jak najszybciej wrócić do domu; na synu wymogłem obietnicę, że gdy tylko zlustruje teren, na który nie chcę się zapuszczać, odwiezie mnie samolotem do odległego o tysiąc mil na południowy zachód Perth. Pomyślałem, że jeśli to, co odkryłem, będzie jeszcze widoczne, być może wystosuję konkretniejsze ostrzeżenie, nawet gdybym miał się przy tym ośmieszyć. Możliwe, że znający miejscowy folklor górnicy staną po mojej stronie. Aby mnie udobruchać, Wingate udał się na rekonesans jeszcze tego samego popołudnia; obleciał cały teren, który mogłem obejść w trakcie nocnej włóczęgi, nie znalazł wszakże nic – piach zdążył zatrzeć wszelkie ślady, tak jak uczynił to pierwej z nienormalnym bazaltowym blokiem. Przez chwilę niemal pożałowałem, że w panicznej trwodze zgubiłem pewien niesamowity przedmiot – teraz jednak wiem, że była to zguba miłosierna. Wciąż mogę wierzyć, że cała przygoda była tylko ułudą; mam pobożną nadzieję, że ta piekielna czeluść na zawsze pozostanie nieodkryta i będę mógł wierzyć w to dalej.

Wingate odwiózł mnie do Perth 20 lipca, odmówił jednak porzucenia ekspedycji i powrotu do domu. Został ze mną aż do dwudziestego piątego, kiedy to miał odpłynąć parowiec Empress do Liverpoolu. Teraz przesiaduję w kajucie, grążę się w długich, gorączkowych dumaniach – i nabieram przekonania, że przynajmniej mój syn powinien się o wszystkim dowiedzieć. Przygotowując się na wszelką ewentualność, streściłem znane już z grubsza tło całej historii, teraz zaś postaram się możliwie najzwięźlej opowiedzieć, co przydarzyło mi się tamtej ohydnej nocy podczas nieobecności w obozie.

Z nerwami napiętymi do ostatnich granic, zdjęty trwogą, a zarazem gnany niewytłumaczalnym pseudopamięciowym bodźcem, brnąłem z przekorną

gorliwością na północny wschód. Z nieba zlewała się złowieszcza pożoga księżyca. Tu i ówdzie wyłaniały się z piasku przedwieczne cyklopowe bloki, relikty nieopisanych, zapomnianych eonów. Zewsząd napierała na mnie potworna pustać – niepomiernie zamierzchła, złowróżbna, przeraźliwa, przytłaczająca bardziej niż kiedykolwiek; nie mogłem przestać myśleć o snach, które doprowadzały mnie do szaleństwa, o zatrważających legendach, które się za nimi skrywały, o tym, jak bardzo tubylcy i górnicy lękali się pustyni i jej rzeźbionych głazów.

Mimo to parłem naprzód jak na jakieś upiorne rendez-vous – coraz bardziej osaczony natłokiem fantastycznych rojeń, natręctw i pseudowspomnień. Przypomniało mi się, co mój syn mówił o blokach widzianych z powietrza, i zachodziłem w głowę, czemu domniemany sposób ich ułożenia wydał mi się tak złowieszczy i znajomy zarazem. Coś uparcie dobijało się do bram mej pamięci, lecz inna, równie niepojęta siła usilnie nie pozwalała mi ich otworzyć.

Noc była bezwietrzna, pagóry bladego piachu wznosiły się i opadały jak ścięte lodem morskie fale. Parłem bez celu, ale uparcie, jak gdybym szedł na spotkanie z przeznaczeniem. Moje sny przesączały się do świata jawy: wystające z piachu megality łączyły się w bezkresny ciąg przedludzkich izb i korytarzy, wyrżnięte zaś w nich hieroglify i symbole wydawały mi się doskonale znane po latach uwięzienia w świecie Wielkiej Rasy. Chwilami zwidywało mi się, że te wszechwiedne stożkowate potwory krzątają się dokoła, i ogarniał mnie strach, czy nie wyglądam tak jak one. A przecież widziałem nie tylko izby i korytarze, ale i pokryte piaskiem bloki – nie tylko rozjarzone kryształowe lampy, ale i gorejący złym blaskiem księżyc – bezkresną pustynię, ale i wielkie paprocie i sagowce falujące za oknami. Byłem na jawie i śniłem równocześnie.

Nie mam pojęcia, jak daleko ani w jakim kierunku zaszedłem, kiedy moim oczom ukazał się stos bloków omiecionych do czysta przez popołudniowy wiatr. Było to największe zbiorowisko, jakie widziałem do tej pory – widok ten poruszył mnie tak mocno, że wyśniony krajobraz z bajecznych eonów rozwiał się w jednej chwili. Znów widziałem tylko pustynię skąpaną w złym blasku księżyca i kamienne ułomki nieodgadnionej przeszłości. Podszedłem bliżej i przystanąłem, świecąc sobie latarką. Miałem przed sobą niskie, z grubsza koliste zwałowisko megalitów i mniejszych kamieni mierzące około czterdzieści stóp średnicy i od dwóch do ośmiu stóp wysokości.

Już od pierwszej chwili wiedziałem, że jest w tych głazach coś zgoła wyjątkowego, coś, z czym dotąd się nie zetknęliśmy. Nie chodziło tylko o to, że jest ich nadzwyczajnie dużo – gdy przyjrzałem im się w zmieszanym świetle księżyca i latarki, uwagę moją przykuły też nikłe, przeżarte przez piach ślady rzeźbień. Ich rysunek nie był wcale inny niż na okazach, które widzieliśmy wprzódy; różnica istniała, owszem, lecz znacznie subtelniejsza. Zauważałem ją tylko wówczas, gdy przestawałem przyglądać się poszczególnym blokom i ogarniałem spojrzeniem całą grupę. Aż nagle mnie olśniło: kręte wzory na wielu blokach wyraźnie wiązały się ze sobą – były to fragmenty jednego, potężnego ornamentu. Po raz pierwszy, od kiedyśmy przybyli na tę sprażoną, prawieczną pustać, natrafiłem na całą budowlę –

owszem, zgruchotaną, niekompletną, ale przecież wyraźnie widoczną w swym pierwotnym kształcie!

Wspiąłem się na niższe bloki i jąłem gramolić się na górę. Tu i ówdzie musiałem odgarniać piach rękoma, próbowałem też rozeznać się w rozmiarach, kształtach i stylu rzeźbień, pokrywających niegdyś olbrzymie połacie pradawnych murów, oraz w łączących je związkach. Wkrótce wyrobiłem sobie mgliste pojęcie o całości wzorów. Były jota w jotę zgodne z tymi, które widziałem w mych sennych majakach – ta identyczność przerażała mnie i wytrącała z równowagi. Domyśliłem się też, jaką funkcję pełniła ongiś cała budowla – był to cyklopowy, wysoki na trzydzieści stóp korytarz wyłożony ośmiokątnymi blokami i sklepiony masywnym żebrowanym stropem. Po prawej stronie znajdował się niegdyś zapewne szereg izb, a na końcu – jedna z owych dziwnych pochylni prowadzących w jeszcze dalszą głąb.

Gdy strumień domysłów zaczął przepływać mi przez głowę, zatrząsłem się gwałtownie – domyślałem się przecież znacznie więcej aniżeli dało się wyczytać z samego układu kamieni. Skąd wiedziałem, że korytarz znajdował się niegdyś głęboko pod ziemią? Skąd wiedziałem, że piętro wyżej, po lewej stronie powinien biec długi podziemny chodnik do placu Filarów? Skąd wiedziałem, że dwa piętra niżej powinna znajdować się sala maszyn, a w prawo od niej wiedzie tunel do centralnych archiwów? Skąd wiedziałem, że cztery piętra niżej, na samym dole, znajdują się przeraźliwe, obite metalem zapadnie? Świat z moich snów znów wdzierał się w jawę – poczułem, że targa mną dreszcz i oblewa mnie zimny pot.

Wreszcie uczułem rzecz najnieznośniejszą: nikły, podstępny wiew zimnego powietrza, sączący się z jakiegoś zagłębienia w środkowej strefie rumowiska. Tak jak pierwej, senne majaki pierzchły w jednej chwili – znów widziałem tylko lśniący złym blaskiem księżyc, ponurą pustynię i gruzowisko paleogenicznych murów. Stanąłem w obliczu czegoś rzeczywistego i namacalnego, acz podszytego bezbrzeżną, mroczną tajemnicą. Ów zimny powiew mógł bowiem oznaczać tylko jedno: że pod zapiaszczonym rumowiskiem skrywa się ogromna pusta przestrzeń.

Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to złowróżbne aborygeńskie legendy o ukrytych pod megalitami podziemnych siedliskach, w których dzieją się potworne rzeczy i rodzą się potężne wichury. Potem znów przypomniały mi się moje sny – i w głowie znów zakotłowało mi się od pseudowspomnień. Cóż to było za miejsce? Jakież pierwotne, niepojęte źródło odwiecznych mitów i koszmarnych snów czekało tam na mnie w podziemnych czeluściach? Zawahałem się, ale tylko przez chwilę – ciekawość i naukowa dociekliwość nie były bowiem jedynymi impulsami, które zdławiły we mnie narastającą trwogę. Poruszałem się niemal machinalnie, jak gdyby kierowało mną nieuchronne fatum. Schowałem latarkę do kieszeni, zakasałem rękawy i krzesałem z siebie siłę, o jaką nigdy siebie nie podejrzewałem: chwyciłem jeden z tytanicznych głazów, wyrwałem i cisnąłem w bok – potem następny – aż wiew spod ziemi wyraźnie się nasilił. Wyczuwałem w nim wilgoć dziwacznie kontrastującą z suchością pustynnego powietrza. Tymczasem w trędowatym blasku księżyca czerniała już u mych stóp szczelina, zrazu

niewielka, potem coraz większa, aż wreszcie – gdy odrzuciłem na stronę wszystkie kamienie, jakie tylko byłem w stanie dźwignąć – na tyle szeroka, że mogłem się przez nią przecisnąć.

Wyciągnąłem latarkę i skierowałem snop światła w głąb otworu. Pod ziemią ujrzałem chaotyczne rumowisko, nachylone ku północy pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni, powstałe zapewne wskutek zawalenia się wyższych pięter. Między jego powierzchnią a krawędzią szczeliny rozciągała się otchłań nieprzebitego mroku; u góry widać było resztki gigantycznych, powykrzywianych żeber sklepienia. Wyglądało na to, że pod mymi stopami znajduje się strop jakiejś tytanicznej budowli z czasów, gdy Ziemia była jeszcze młoda. Jakim cudem uchowała się przez tyle eonów, jak przetrwała tyle geologicznych wstrząsów – nawet nie próbowałem ani nie próbuję domniemywać.

Z perspektywy czasu mój pomysł, aby samotnie, w środku nocy zejść w tak zdradliwą otchłań – zwłaszcza że nikt w obozie nie wiedział, gdzie jestem – może zakrawać na najczystsze szaleństwo. Może i rzeczywiście tak było – niemniej przystąpiłem do czynu bez najmniejszego wahania. Znów czułem wyraźnie, że do każdego kroku nęci mnie i nagli jakaś fatalna siła. Świecąc sobie tylko od czasu do czasu, aby nie wyczerpać za szybko baterii, rozpocząłem karkołomne zejście po złowróżbnym cyklopowym usypisku; tam gdzie miałem dogodne oparcie dla rąk i stóp, szedłem naprzód, innym razem odwracałem się twarzą ku zgruchotanym megalitom i chwytając się kurczowo kamiennych występów, ostrożnie zstępowałem tyłem. Po lewej i prawej ręce światło latarki wyłuskiwało z mroku kruszejące rzeźbione ściany; na wprost rozpościerała się jednak czerń niezgłębiona.

Podczas schodzenia doszczętnie straciłem rachubę czasu. Głowę wypełniała mi taka kipiel zawrotnych obrazów i domysłów, że wszelkie zjawiska rzeczywiste odsunęły się ode mnie w jakąś niezmierzoną dal. Utraciłem fizyczną zdolność odczuwania; nawet już się nie bałem – strach łypał na mnie jakby z góry, bezsilny i bezradny jak wyszczerzony gargulec. W końcu dotarłem do podłoża usłanego rozbitymi blokami, bezkształtnymi ułomkami kamieni, piaskiem i najróżniejszym rumoszem. Po obu stronach, oddalone od siebie mniej więcej o trzydzieści stóp, wznosiły się masywne ściany zwieńczone potężnymi łukami. Widziałem, że są przyozdobione jakimiś rzeźbieniami, lecz co te rzeźbienia przedstawiają – nie byłem w stanie dostrzec. Uwagę moją najsilniej przykuł sklepiony strop. Światło latarki nie mogło go dosięgnąć, lecz niższe partie monstrualnych żebrowań rysowały się całkiem wyraźnie. I tak dokładnie odpowiadały żebrowaniom, które widywałem w przyśnionym świecie, że aż się wzdrygnąłem.

Za moimi plecami zlewała się z góry nikła księżycowa poświata, jedyny łącznik z zewnętrznym światem. Jakiś szczęt przezorności podszepnął mi, że nieostrożnie byłoby tracić ją z oczu, bo to jedyny znak wskazujący drogę powrotną. Ślady rzeźbień były najwyraźniejsze na ścianie po lewej, ruszyłem więc w tamtą stronę. Podłoga była tak zawalona gruzem, że szło się po niej niewiele łatwiej niż po rumowisku, brnąłem jednak wytrwale do celu. W którymś miejscu odsunąłem parę bloków i nogami odgarnąłem rumosz, by przyjrzeć się posadzce – i aż zadrżałem; ujrzałem bowiem wypaczone,

spękane, lecz wciąż zespolone ze sobą, a przy tym złowieszczo, fatalnie wręcz znajome ośmiokątne płyty.

Gdy byłem już w dogodnej odległości do ściany, pomału i starannie jąłem świecić latarką po zatartych szczątkach rzeźbień. Piaskowcowe bloki musiała ongiś zalać woda, bo ich powierzchnię pokrywały cudaczne narośle, których nijak nie umiałem wyjaśnić. Niektóre bloki były już mocno obluzowane i wypaczone – zastanawiałem się, ile jeszcze eonów upłynie, nim ten ukryty starożytny gmach ostatecznie zatraci swój pierwotny kształt.

Najbardziej wszakże byłem podniecony widokiem samych rzeźbień. Czas obszedł się z nimi brutalnie, ale z bliska były jeszcze całkiem wyraźne – i włosy stawały mi dęba, albowiem znałem te kręte linie doskonale, znałem w najdrobniejszych szczegółach. To, że ten sędziwy gmach wydał mi się znajomy w ogólnych zarysach, nie urągało zdrowemu rozsądkowi: jego monstrualna architektura najwidoczniej wywarła potężne wrażenie na pradawnych mitotwórcach i przeniknęła do tajemnych legend, te zaś przykuły mą uwagę w okresie amnezji i odcisnęły się w mej podświadomości serią sugestywnych obrazów. Jak jednak mogłem wyjaśnić to, że przez dwadzieścia z górą lat śniły mi się dokładnie te same dziwne zdobienia, które miałem teraz przed oczyma, że znałem w nich każdą linię, każdą najmniejszą spiralę? Cóż za ciemna, zapomniana ikonografia odtworzyła je w najsubtelniejszych niuansach i odcieniach, i uparcie, noc po nocy, wtłaczała mi do głowy w niezmienionej formie?

Nie była to bowiem zbieżność ani przypadkowa, ani powierzchowna. Byłem absolutnie pewien, że korytarz, w którym się znajduję, wynurzony spod pyłu i kurzu mileniów, jest pierwowzorem korytarza, który w snach znałem jak własną kieszeń, nie gorzej niż mój własny arkhamski dom na Crane Street. Owszem, w snach jawił mi się w pełni świetności, ale nawet teraz, gdy był już ruiną, nie miałem wątpliwości, że jestem dokładnie w tym samym miejscu, poruszałem się z doskonałą, straszliwą orientacją. Znałem ten gmach – i znałem też jego położenie w przedwiecznym mieście z moich strasznych snów. Z ohydną, instynktowną pewnością zdałem sobie sprawę, że mogę bezbłędnie dotrzeć w każdy zakątek, jeśli tylko uszedł niszczącemu działaniu nieprzeliczonych wieków. Cóż to, na litość boską, mogło znaczyć? Skądżeż wiedziałem to, co wiedziałem? I czy naprawdę, jak głosiły starożytne klechdy, w tym przedpotopowym kamiennym labiryncie mieszkały niegdyś jakieś wstrętne istoty?

Trudno ująć w słowa kłębowisko trwogi i oszołomienia, które w tamtej chwili trawiło moją duszę. Znałem to miejsce. Wiedziałem, co napotkam przed sobą, i wiedziałem, co napotkałbym ongiś, nim miriady niebosiężnych wież rozpadły się w proch, pył i piasek pustyni. Na nic mi już blada księżycowa poświata – pomyślałem z dreszczem trwogi. Byłem rozdarty: chciałem uciekać, z drugiej wszakże strony pchał mnie naprzód gorączkowy melanż palącej ciekawości i przemożnej, fatalnej siły. Cóż działo się w tym potwornym, zamierzchłym megalopolis przez miliony lat, jakie dzieliły mnie od świata z mych snów? Co się stało z labiryntem korytarzy, który ongiś łączył ze sobą tytaniczne wieże miasta, ile tych podziemnych pasaży przetrwało milionletnie konwulsje ziemskiej skorupy?

Czyżbym odkrył pogrzebany, bezbożnie archaiczny świat? Czy trafiłbym jeszcze do domu naczelnego skryby? Albo do wieży, w której więzień S’gg’ha, gwiazdogłowy roślinny drapieżca z Antarktydy, wyrył na pustych połaciach ścian pewne płaskorzeźby? Czy dałoby się jeszcze zejść dwa piętra niżej i dotrzeć odpowiednim korytarzem do sali, w której więzione były porwane umysły? W tej właśnie sali pewna niewiarygodna istota – która za osiemnaście milionów lat w swym półplastycznym ciele mieszkać będzie w wydrążonym wnętrzu nieznanej planety, jeszcze dalszej niż Pluton – wyrzeźbiła i przechowywała pewien przedmiot z gliny…

Zamknąłem oczy i przyłożyłem dłoń do czoła, usiłując tym żałosnym, daremnym gestem oczyścić świadomość z okruchów oszalałych snów. Wtedy po raz pierwszy uczułem, że w otaczającym mnie powietrzu przepływa wilgotny, chłodny prąd. Z dreszczem trwogi pojąłem, że gdzieś pode mną naprawdę ciągnie się cały szereg wymarłych przed wiekami czeluści wypełnionych nieprzebitym mrokiem. Znów pomyślałem o przeraźliwych komnatach, korytarzach i wiodących w dół pochylniach, które widywałem w snach. Czyżby droga do centralnych archiwów wciąż stała otworem? Przypomniałem sobie księgi pełne porażających zapisków, gromadzone w prostokątnych schowkach z nierdzewnego metalu – i znów uczułem, jak fatalna, przemożna siła z uporem wdziera mi się w mózg.

Tam właśnie, jak powiadały sny i legendy, zgromadzone są całe przeszłe i przyszłe dzieje kosmicznego kontinuum czasoprzestrzennego spisane przez uwięzione umysły z każdej możliwej epoki, ze wszystkich planet Układu Słonecznego. Cóż za obłąkańczy pomysł! Czyż jednak i ja nie byłem obłąkany, zstępując teraz w tę otchłań szaleństwa? Pomyślałem o zaryglowanych metalowych szafkach, o osobliwej kombinacji ruchów, jaką trzeba było wykonać, aby je otworzyć. Mój własny schowek stanął mi przed oczyma jak żywy. Ileż to razy schodziłem na najniższe piętro, poświęcone kręgowcom, chwytałem za klamkę i otwierałem ją skomplikowanym ciągiem obrotów i przyciśnięć! Pamiętałem ten system doskonale, jak gdybym robił to nie dalej niż wczoraj. Jeśli szafka z mych snów istniała naprawdę, otworzyłbym ją w jednej chwili. I gdy tylko o tym pomyślałem, szaleństwo owładnęło mną bez reszty. Zanim się obejrzałem, pędziłem już naprzód, potykając się o stosy kamiennego gruzu, w stronę doskonale znanej pochylni wiodącej ku niższym piętrom.

VII

Za to, co opowiem teraz, nie mogę już z czystym sumieniem poręczyć; w rzeczy samej łudzę się jeszcze rozpaczliwą resztką nadziei, że wszystko, co przytrafiło mi się potem, było już tylko demonicznym snem lub zrodzonym z obłędu majakiem. Mózg trawiła mi gorączka, niemal wszystko docierało do mnie jak przez kłęby mgły. Latarka świeciła mdłym blaskiem, wywołując ze smolistej czerni fantasmagoryczne przebłyski odrażająco znajomych ścian i rzeźbień, jednako porażonych wielowiekowym rozkładem. W jednym miejscu obaliła się wielka połać sklepienia, musiałem tedy przegramolić się przez potężną hałdę kamieni, sięgającą niemal do postrzępionego stropu obwieszonego groteskowymi stalaktytami pękniętych żebrowań. Koszmar przekraczał już wszelkie granice – a pogłębiał go jeszcze bluźnierczy natłok

pseudowspomnień. Nie zgadzała się tylko jedna rzecz: mój wzrost w stosunku do rozmiarów potwornej budowli. Jej ogrom mnie przytłaczał, jak gdybym nie przywykł oglądać tych wyniosłych murów z perspektywy mikrego, człowieczego ciała. Raz po raz zerkałem nerwowo po sobie, widok mej cielesnej powłoki napawał mnie bowiem niejasnym niepokojem.

Naprzód, wciąż gnałem naprzód przez nieprzebitą czerń! Skakałem, brnąłem, potykałem się, często upadałem, obijając się boleśnie o kamienie, raz nawet omal nie zgubiłem latarki. Znałem w tej demonicznej bezdni każdy kamień, każdy kąt; wielekroć przystawałem i świeciłem w kruszejące, zasypane, lecz znajome boczne wyjścia. Niektóre izby zawaliły się do cna; inne świeciły pustkami lub zasłane były gruzem. Gdzieniegdzie widziałem kolosalne metalowe konstrukcje – czasem nietknięte, czasem połamane, zmiażdżone bądź pogruchotane; bez trudu rozpoznałem w nich stoły czy piedestały z moich snów. Do czego służyły naprawdę – nie śmiałem zgadywać.

Wreszcie dotarłem do pochylni i zacząłem schodzić w dół. Po pewnym czasie zatrzymała mnie wielka, szczerbata wyrwa w podłodze, wybita przez spadający blok kamienia. Otwór mierzył w najwęższym miejscu co najmniej cztery stopy szerokości i ział niezmierzoną, czarną jak atrament głębią. Wiedziałem, że tytaniczny gmach ciągnie się jeszcze dwa piętra w dół, i aż zadrżałem na myśl o obitych metalem zapadniach na najniższym poziomie. Nikt ich już na pewno nie strzegł – to, co się pod nimi czaiło, już dawno dokonało swego ohydnego dzieła i dożywało swych ostatnich dni; nim na Ziemi zapanują rozumne żuki, zdąży sczeznąć do reszty. A mimo to na myśl o tych legendarnych istotach znów wstrząsnął mną dreszcz.

Przeskoczenie przez wyrwę kosztowało mnie okropnie dużo wysiłku, chodnik był bowiem tak zasłany gruzem, że trudno było się rozpędzić. Szaleństwo jednak dodawało mi sił; ustawiłem się pod lewą ścianą – szczelina była tam najwęższa, a drugi brzeg w miarę wolny od niebezpiecznego gruzu – po czym wykonałem wariacki skok i wylądowałem bezpiecznie na drugiej stronie. Dotarłszy na niższy poziom, minąłem łukowate odrzwia wiodące do sali maszyn – widziałem fantastyczną plątaninę metalowych ruin, na wpół pogrzebaną pod szczątkami zwalonego stropu. Wszystko było na swoim miejscu, przeto gdy dotarłem do gruzowiska, które zagradzało drogę do przepastnego poprzecznego korytarza, bez wahania przelazłem na drugą stronę – była to bowiem, jak pamiętałem doskonale, podziemna arteria wiodąca do centralnych archiwów.

Ruszyłem więc dalej tym poprzecznym chodnikiem – potykałem się, pełzłem, skakałem przez głazy – i miałem wrażenie, że przemierzam niezmierzone stulecia. Tu i ówdzie spod liszajów na ścianach wyłaniały się wyraźniejsze rzeźbienia; część z nich znałem, inne musiały zostać wykonane później. Ponieważ był to tunel łączący poszczególne domy, nie było tu żadnych bocznych wyjść, chyba że akurat w pobliżu znajdowały się niższe kondygnacje mijanych gmachów. Na takich skrzyżowaniach skręcałem czasem w bok i zapuszczałem się w głąb wybornie mi znanych izb i korytarzy. Tylko dwukrotnie napotkałem wyraźne zmiany w stosunku do

tego, co widziałem w snach; w jednym przypadku był to ślad po zamurowanym łukowatym przejściu w ścianie.

Z dreszczem wstrętu i trwogi minąłem też podziemia jednej z owych wielkich bezokiennych wież, nieziemskich bazaltowych ruin, zdradzających niepojęte, straszliwe pochodzenie – przechodząc przez nie, przyspieszyłem kroku, czułem jednak zarazem, jak zalewa mnie fala osobliwej słabości. Przedpotopowy ów loch miał kształt kolisty i mierzył pełne dwieście stóp średnicy, ciemna zaś powierzchnia kamiennych ścian wyzbyta była wszelkich ozdób. Podłoga była pusta, pokrywały ją tylko piach i pył, widziałem też wiodące w górę i w dół otwory. Nie było tu schodów ani pochylni – i to także zgadzało się z treścią mych snów, widziałem w nich bowiem, że bajeczna Wielka Rasa nawet nie tknęła tych sędziwych wież; ci, co je wznieśli, obywali się zaś bez schodów i pochylni. W moich snach otwór w podłodze był zamknięty na głucho i niespokojnie strzeżony – teraz rozwierał się szeroko czarną czeluścią. Buchał zeń wyraźny strumień chłodnego, wilgotnego powietrza. Do jakich niezgłębionych otchłani wiekuistej oćmy mógł ów mroczny szyb prowadzić – uparcie starałem się nie myśleć.

Nieco później, przedzierając się przez mocno zagruzowany odcinek korytarza, dotarłem do miejsca, w którym strop był całkowicie obwalony. Rumowisko piętrzyło się przede mną jak góra. Niewiele myśląc, jąłem przełazić przez nie, w świetle latarki rozglądając się po olbrzymiej pustej przestrzeni pozbawionej sklepienia i ścian. Była to, jak mi się zdawało, piwnica domu dostawców metalu, położonego przy trzecim placu, nieopodal archiwów. Co się z tym wielkim gmachem stało – niepodobna było sobie wyobrazić.

Przebrnąwszy przez górę głazów i gruzu, znalazłem się na powrót w korytarzu, niebawem dotarłem jednak do miejsca kompletnie zawalonego – rumowisko obalonego sklepienia sięgało niemal stropu, ten zaś chylił się niebezpiecznie. Jak zdołałem utorować sobie drogę, skąd wykrzesałem w sobie tyle siły, jak odważyłem się tknąć ciasno upakowane fragmenty kamiennych bloków – wiedząc, że najmniejsze zaburzenie równowagi może obruszyć na mnie wielotonową masę spiętrzonego gruzowiska i zmiażdżyć mnie jak muchę – nie mam pojęcia. Powodował mną już tylko czysty obłęd – chyba że zgodnie z mą pobożną nadzieją cała ta podziemna przygoda była tylko piekielnym zwidem lub przyśnieniem. Wreszcie zdołałem – na jawie czy we śnie – utorować sobie przejście i przeczołgałem się na drugą stronę. Wijąc się jak robak przez kamienne rumowisko – włączoną latarkę trzymałem w kurczowo zaciśniętych zębach – czułem, że fantastyczne stalaktyty obwalonego stropu rozszarpują mi ubranie.

Pomału zbliżałem się do wielkiego podziemnego archiwum, które – jak mi się zdawało – stanowiło cel mej wędrówki. Zsunąwszy się wreszcie z hałdy fragmentów stropu, szedłem dalej korytarzem, co pewien czas włączając trzymaną w ręku latarkę – aż wreszcie dotarłem do niskiej, kolistej krypty zachowanej w doprawdy wybornym stanie, z rozchodzącymi się we wszystkich kierunkach sklepionymi wyjściami. Ściany, a przynajmniej te ich połacie, których dosięgło światło mej latarki, były gęsto pokryte hieroglifami i wijącymi się symbolami; część z nich musiała zostać wyryta

już po okresie znanym mi ze snów.

Zrozumiałem, że jestem u celu. Bez wahania skręciłem w znajome wyjście po lewej. Byłem dziwnie przekonany, że droga na wszystkie ocalałe piętra będzie stała otworem. Olbrzymi gmach archiwum, mieszczący w sobie annały całego Układu Słonecznego, wzniesiono z nadprzyrodzonym wręcz znawstwem i solidnością – miał wszak przetrwać dopóty, dopóki ziemski glob będzie krążyć wokół Słońca. Mocarne kamienne bloki, wyważone z genialną matematyczną biegłością i spojone niewiarygodnie trwałą zaprawą, pod względem solidności mogły równać się ze skalistym jądrem planety. I proszę: minęła otchłań wieków, której niepodobna wręcz pojąć zdrowym rozumem, a ten masyw trwał – pogrzebany pod ziemią, ale w zasadniczym kształcie wciąż nienaruszony. Podłogę zamiast wszechobecnego gruzu zaścielał tylko kurz gdzieniegdzie urozmaicony drobnym rumoszem.

Przez głowę przemknęła mi osobliwa myśl, że dalsza droga będzie już błahostką. Dotychczas wciąż musiałem przebijać się przez kamienne zawaliska, teraz już nic mnie nie wstrzymywało w gorączkowym pędzie – gdy tylko skręciłem w łukowate wyjście i znalazłem się w nisko sklepionej, potwornie znajomej alejce między bibliotecznymi szafami, rzuciłem się naprzód jak szalony. Już dawno przestałem się dziwić, że wszystko tak świetnie pamiętam. Hieroglify na metalowych drzwiczkach wyłaniały się z mroku niczym monstra; niektóre skrytki tkwiły wciąż na swoim miejscu, inne były pootwierane na oścież, jeszcze inne zaklinowały się i zwichrowały pod naporem geologicznych ciśnień, nie na tyle wszakże mocnych, by zmiażdżyć tytaniczny gmach. Tu i ówdzie pod pustymi wnękami piętrzyły się przykryte kurzem stosy – najpewniej kasety, które powypadały wskutek drżeń ziemskiej skorupy. Gdzieniegdzie wznosiły się kamienne filary pokryte symbolami bądź literami segregującymi księgozbiór na katalogowe grupy.

W pewnej chwili przystanąłem przed otwartym schowkiem, w którym pod warstwą wszechobecnego, krupiastego kurzu ujrzałem znajomy rządek metalowych kaset. Wyciągnąłem rękę, nie bez trudu wydobyłem jedną z cieńszych kaset i położyłem na podłodze, by przyjrzeć się jej bliżej. Tytuł wypisany był tradycyjnymi krętymi hieroglifami, wszelako ich układ wydał mi się odrobinę niecodzienny. Zasadę działania osobliwej haczykowatej klamry znałem doskonale, toteż sforsowałem ją błyskawicznie, uniosłem metalową pokrywę – wciąż nietkniętą przez rdzę i gładko działającą – i wyjąłem ukrytą wewnątrz książkę. Zgodnie z mymi oczekiwaniami mierzyła jakieś dwadzieścia na piętnaście cali i dwa cale grubości. Cienkie metalowe okładki otwierały się do góry. Twarde celulozowe kartki zachowały się wybornie, upływ milionleci nie wyrządził im najmniejszej nawet szkody. Zapatrzyłem się w rękopiśmienne znaki wykonane tuszem osobliwej barwy – kompletnie niepodobne do hieroglifów Wielkiej Rasy ani żadnych innych alfabetów, jakie znane są ludzkiej nauce – i czułem, jak budzą się we mnie upiorne wspomnienia. Uświadomiłem sobie, jest to język używany przez więźnia, którego znałem przelotnie w moich snach – porwanego z dużej planetoidy, gdzie przetrwało wiele archaicznych form życia i wiedzy z planety stanowiącej z nią pierwej jedną całość. W tym momencie przypomniało mi się, że jest to piętro przeznaczone na zapiski dotyczące

innych ciał niebieskich.

Gdy skończyłem kartkować ten niesamowity dokument, spostrzegłem, że moja latarka zaczyna przygasać, szybko wymieniłem więc baterię na zapasową, którą zawsze nosiłem przy sobie. Uzbrojony w silniejsze światło puściłem się znowu gorączkowym pędem przez niekończącą się gmatwaninę korytarzy i alejek między regałami, co pewien czas rozpoznając znajome skrytki. Moje kroki dudniły wśród wymarłych katakumb głośnym echem; słysząc ten niestosowny tupot, czułem się dziwnie nieswojo, podobnie jak na widok śladów, które pozostawiałem w nietkniętym od mileniów kurzu. Jeśli w mych szalonych snach była choć krztyna prawdy, to w tych prehistorycznych korytarzach jeszcze nigdy nie postała ludzka stopa. Dokąd właściwie gnałem z tak szaleńczą chyżością, moje świadome ja wciąż się nie domyślało. Byłem ogłupiały, moją wolę pętały wspomnienia wyłaniające się z piasków niepamięci – trzymała mnie jednak w karbach jakaś siła, mocarna i zła, toteż byłem mgliście przekonany, że nie biegnę na oślep.

Dotarłem wreszcie do pochylni i popędziłem ku jeszcze przepastniejszym głębiom. Mijałem kolejne sale, nie traciłem już jednak czasu na ich oglądanie. W kotłowisku myśli począłem wyczuwać pewien rytm, który po chwili udzielił się także mojej prawej dłoni. Paliłem się, żeby coś otworzyć – i czułem, że pamiętam misterny ciąg obrotów i przyciśnięć, które do tego służą; przypominało to trochę otwieranie współczesnego sejfu z szyfrowym zamkiem. Może i znałem tę kombinację ze snu, ale znałem na pewno. Jakim cudem zwykły sen lub strzęp nieświadomie przyswojonej legendy mógł zakarbować mi w głowie tak precyzyjne i misterne ruchy – nawet nie próbowałem sobie wytłumaczyć. Nie ostał się już we mnie nawet szczęt spójnej myśli. Czyż wszystko, co przeżywałem owej nocy – to, że widziane po raz pierwszy ruiny były mi tak bulwersująco znajome, że wszystko, co widziałem, idealnie zgadzało się z tym, co tylko mgliście sugerowały mi sny i strzępki mitów – nie było jedną wielką potwornością urągającą rozsądkowi? Być może kierowałem się wówczas przekonaniem – które w chwilach trzeźwości umysłu żywię i teraz – że to nie dzieje się naprawdę, że całe to pogrzebane miasto zwiduje mi się tylko w gorączkowych omamach.

W końcu dotarłem na poziom najniższy, zbiegłem z pochylni i skręciłem w prawo. Jakiś niejasny podszept kazał mi iść ciszej, jakkolwiek znacznie mnie to spowolniło. Gdzieś na tym piętrze znajdowało się miejsce, którego najbardziej się lękałem – i gdy tylko postąpiłem o parę kroków naprzód, wszystko sobie przypomniałem. Musiałem po prostu przejść obok jednej z zabarykadowanych, pilnie strzeżonych zapadni. Uświadomiwszy sobie, że nikt już jej nie strzeże, wzdrygnąłem się i jąłem przemykać się na palcach pod ścianami, dokładnie tak, jak czyniłem to w czarnym bazaltowym lochu. Tu także wyczułem wilgotny, chłodny podmuch i żałowałem, że właśnie tędy musi biec moja marszruta. Czemu jednak właśnie taką trasę obrałem – nie wiedziałem.

Zbliżywszy się, ujrzałem, że zapadnia jest otwarta na oścież. W głębi majaczyły kolejne szafy, przed jedną z nich leżał stos kaset – musiały pospadać niedawno, bo kurz przykrywał je wyraźnie cieńszą warstwą. W tym momencie znów ogarnęła mnie fala panicznej trwogi, choć przez pewien czas

nie mogłem pojąć dlaczego. Sterty rozsypanych kaset mijałem już wielokrotnie – wstrząsy tektoniczne targały przecież tym mrocznym labiryntem od nieprzeliczonych eonów, niejeden już raz wybrzmiewał w nim ogłuszający łoskot spadających przedmiotów. Dopiero gdy byłem niemal po drugiej stronie otworu, zrozumiałem, co mnie tak zbulwersowało.

Nie chodziło wcale o same kasety, tylko o kurz na podłodze. W świetle latarki wydało mi się mianowicie, że nie zalega tak równo jak powinien: w niektórych miejscach wydawał się cieńszy, jak gdyby coś go starło, i to przed niewielu miesiącami. Pewności nie miałem, bo nawet te cieńsze miejsca były mocno zakurzone, nie mogłem wszelako oprzeć się wielce niepokojącemu wrażeniu, że ta urojona nierówność układa się w pewien regularny wzór. Poświeciłem sobie dokładnie latarką i to, co ujrzałem, nie przypadło mi do gustu – złudliwa regularność wydawała się bowiem coraz wyrazistsza. Były to jakby równe ciągi identycznych, choć niejednolitych wgłębień; wgłębienia te występowały trójkami, mierzyły mniej więcej stopę szerokości, każde z nich składało się zaś z pięciu niemal dokładnie okrągłych odcisków – przy czym jeden wystawał odrobinę przed pozostałą czwórkę.

Domniemane ślady wiodły w dwóch kierunkach, jak gdyby coś dokądś poszło, a następnie wróciło. Wgłębienia były oczywiście bardzo nikłe, równie dobrze mogły stanowić wytwór wyobraźni bądź zwykłego przypadku; nie mogłem jednak wyzbyć się uczucia niejasnej, utajonej grozy, śledząc ich szlak. Albowiem na jednym jego końcu znajdowały się kasety, które niedawno musiały wypaść z półek, na drugim zaś źródło wilgotnego wiatru – złowroga, niestrzeżona już zapadnia, wiodąca w niewyobrażalną bezdeń.

VIII

O tym, jak głęboki i przemożny był impuls, który mną kierował, świadczyć może to, że zupełnie zapomniałem o strachu. Po tym, jak ujrzałem te ohydne ślady w kurzu i krew ścięła mi się od związanych z nimi wspomnień, żaden racjonalny motyw nie skłoniłby mnie do dalszej wędrówki. A przecież moja prawica, jakkolwiek trzęsła się ze strachu, wciąż skręcała się w rytmicznych skurczach, jak gdyby nie mogła już doczekać się zamka, który będzie mogła otworzyć. Nim zdążyłem się obejrzeć, zostawiłem za sobą stos rozsypanych kaset i przemykałem na palcach przez nietknięty już kurz ku miejscu, które wydawało mi się strasznie, chorobliwie wręcz znajome. Przez głowę przebiegały mi pytania, których źródła i sensu dopiero teraz zaczynałem się domyślać: Czy w mym obecnym ciele zdołam dosięgnąć właściwej skrytki? Czy ludzka ręka poradzi sobie z zapamiętaną przed wiekami kombinacją zamka? Czy ten zamek w ogóle będzie działał, czy nie będzie uszkodzony? I co właściwie uczynię – co ośmielę się uczynić – z tym, co (dopiero teraz zacząłem to pojmować) tak bardzo chciałem, a zarazem lękałem się odnaleźć? Czy odkryję niesłychaną, porażającą prawdę o czymś, co nie mieści się w zdrowej wyobraźni, czy dowiodę raczej, że wszystko mi się tylko śni?

Pamiętam, że w następnej chwili stałem już w miejscu i wpatrywałem się w rzędy przeraźliwie znajomych skrytek opisanych ciągami hieroglifów. Szafa zachowała się w stanie niemal idealnym, otwarte było jedynie troje

drzwiczek. Nie umiem opisać stanu ducha, w jaki wprawił mnie ten widok; nade wszystko wypełniało mnie przemożne, intensywne uczucie swojskości. Spojrzałem w górę, ku jednemu z najwyższych rzędów, i zachodziłem w głowę, jak się tam wspiąć. Mogłem wykorzystać jedne z otwartych drzwiczek, znajdujące się cztery rzędy od ziemi; dobrym oparciem dla dłoni i stóp mogły się też okazać zamki drzwiczek zamkniętych. Gdybym potrzebował obu rąk, mógłbym wypróbowanym sposobem chwycić latarkę w zęby. Przede wszystkim nie wolno mi było hałasować. Niejaką trudność mogło mi też sprawić zniesienie na dół tego, co chciałem z owej górnej skrytki wyjąć – ale może dałoby się zahaczyć ruchomą klamrę na kołnierzu płaszcza i przenieść cały przedmiot jak tornister. Raz jeszcze zacząłem się zastanawiać, czy na pewno zamek da się jeszcze otworzyć. W to, że umiem powtórzyć stosowną sekwencję ruchów, nie wątpiłem ani trochę; wolałbym też jednak, by stary mechanizm nie zaskrzypiał ani nie zazgrzytał – i żeby podołała mu ludzka dłoń.

Zanim jeszcze zdążyłem to wszystko rozważyć, już wspinałem się na górę z latarką zaciśniętą w zębach. Zamknięte zamki kiepsko się sprawdziły, natomiast zgodnie z oczekiwaniami wielce pomocne okazały się otwarte drzwiczki. Skorzystałem zarówno z nich, jak i z samej skrytki – i na szczęście udało mi się to zrobić w miarę cicho. Gdy stanąłem na rozchybotanej krawędzi drzwiczek i sięgnąłem w prawo, upragniony zamek był już w mym zasięgu. Palce rozdygotały mi się od wysiłku wspinaczki, toteż zrazu radziłem sobie kiepsko, rychło jednak przekonałem się, że ludzka anatomia nie stanowi żadnej przeszkody. Pamięć tętniła mi w dłoni mocnym rytmem. Sekretna, misterna kombinacja ruchów dotarła z nieznanych czeluści czasu wprost do mego umysłu, akuratna w najdrobniejszych szczegółach; nie minęło nawet pięć minut, a rozległ się znajomy szczęk zamka – tym bardziej szokujący, że świadomą myślą wcale się go nie spodziewałem. Chwilę później metalowe drzwiczki otwierały się już powolutku, z ledwie słyszalnym skrzypieniem.

Moim oszołomionym oczom ukazał się rząd szarawych grzbietów kaset. Do głowy uderzyła mi fala zgoła niewytłumaczalnych uczuć. W zasięgu prawej ręki miałem kasetę, której hieroglifowy tytuł przyprawił mnie o dreszcz – i nie był to bynajmniej dreszcz zwyczajnej trwogi. Drżącymi rękoma wyciągnąłem kasetę, tonąc w kaskadzie ziarnistego kurzu, i niemal bezszelestnie przyciągnąłem ją do siebie. Podobnie jak egzemplarz, który oglądałem pierwej, kaseta mierzyła trochę ponad dwadzieścia na piętnaście cali i miała nieco ponad trzy cale grubości, na ściankach wyryte były kręte matematyczne symbole. Niezdarnie przycisnąłem ją brzuchem do półek i gmerałem przy klamrze, aż udało mi się odpiąć haczyk. Podniosłem wieczko, przesunąłem sobie ciężki przedmiot na plecy i zaczepiłem haczyk na kołnierzu. Uwolniwszy tym samym obie dłonie, niezdarnie zlazłem na zakurzoną podłogę i przygotowałem się do oględzin mego łupu.

Ukląkłszy w grubym kurzu, zdjąłem kasetę z pleców i ułożyłem przed sobą. Ręce mi się trzęsły i bałem się wyciągnąć książkę ze środka – bałem się, a zarazem niemal z taką samą siłą tego pragnąłem i czułem, że muszę to uczynić. Bardzo, bardzo powoli zaczynałem się domyślać, co w niej

znajdę, i domysł ten działał na mnie paraliżująco. Jeśli kaseta naprawdę zawierała to, czego się domyślałem – i jeżeli naprawdę nie śniłem – implikacje mogły okazać się nie do udźwignięcia dla człowieczego ducha. Najbardziej zaś cierpiałem dlatego, iż chwilowo nijak nie umiałem poczuć, że śnię; rzeczywistość narzucała mi się w sposób odrażający – teraz, gdy wspominam tę chwilę, czuję dokładnie to samo.

W końcu drżącymi rękoma wyciągnąłem książkę z futerału i wbiłem urzeczony wzrok w doskonale znajome hieroglify na okładce. Książka zachowała się w pierwszorzędnym stanie, kręte litery tytułu zaś wprawiły mnie w stan hipnotyczny, zupełnie jakbym wiedział, co znaczą. Czyż mogę jednak przysiąc, że jakiś straszliwy przebłysk zwyrodniałej pamięci nie uświadomił mi wówczas ich treści? Nie wiem, jak długo się wahałem, nim ośmieliłem się podnieść cieniutką metalową okładkę. Odwlekałem tę chwilę, wynajdując najróżniejsze wymówki. Wyjąłem latarkę z ust i zgasiłem ją, by nie marnować baterii. Dopiero wtedy, w ciemności, zebrałem się na odwagę – nie zapalając światła, uniosłem metalowy arkusz. A potem – zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć, bez względu na to, co ukaże się mym oczom – włączyłem latarkę i poświeciłem na odsłoniętą stronicę.

Patrzyłem przez mgnienie oka – i omal nie zemdlałem. Na szczęście udało mi zdławić krzyk. Osunąłem się na posadzkę w nieprzebitej czerni i przyłożyłem dłoń do czoła. Znalazłem to, czego się spodziewałem i czego najbardziej się lękałem. Jeżeli to nie sen – myślałem – czas i przestrzeń są już tylko błahą farsą. To musi być sen! Lecz przecież mogłem to sprawdzić – wystarczyło zarzucić tę potworność na grzbiet, zanieść do obozu i pokazać Wingate'owi. Okrutnie kręciło mi się w głowie, choć w smolistej oćmie nie było nic, co mogło mi wirować przed oczyma. W jednym krótkim błysku latarki ujrzałem świat z nowej, niesłychanej perspektywy; teraz z tego przebłysku lęgły się najpotworniejsze idee i obrazy – mrowiły się we mnie, kipiały, obezwładniały zmysły.

Wreszcie przypomniały mi się domniemane ślady odciśnięte w kurzu – i aż zadrżałem, słysząc szmer własnego oddechu. Raz jeszcze włączyłem latarkę i spojrzałem na otwartą stronicę jak ofiara drapieżnego węża, która spogląda na ślepia i kły swego oprawcy. Potem po omacku zamknąłem książkę, umieściłem ją w futerale, zatrzasnąłem pokrywę i zapiąłem wymyślną klamrę. Muszę za wszelką cenę zanieść tę rzecz do obozu – pomyślałem; o ile w ogóle istnieje jakiś obóz – o ile naprawdę istnieje ta podziemna bezdeń – o ile w ogóle istnieję ja sam i cały świat dokoła.

Nie potrafię określić, jak długo trwało, nim udało mi się podźwignąć i ruszyć w drogę powrotną. To osobliwe, ale przez cały ten ohydny czas spędzony pod ziemią ani razu nie spojrzałem na zegarek – naprawdę musiałem kompletnie zapomnieć o zewnętrznym świecie! Z latarką w dłoni, ściskając pod pachą złowrogą kasetę, w wylękłym milczeniu przemknąłem obok podejrzanych śladów w kurzu i ziejącej chłodem czeluści. Dotarłszy do bezkresnych pochylni, zmniejszyłem nieco środki ostrożności, wciąż jednak nie mogłem uwolnić się od niejasnych obaw, których nie czułem pierwej, gdy schodziłem w dół.

Trwożyła mnie myśl, że muszę ponowne przejść przez czarny bazaltowy

loch, starszy niźli całe dookolne miasto, pełen niestrzeżonych już, ziejących wilgocią zapadni. Myślałem o tym, czego lękała się Wielka Rasa i co wciąż mogło się tam czaić – choćby nawet już dogorywało. Myślałem o pięciornych śladach w kurzu i o tym, co mówiły o nich moje sny – tudzież o kojarzonych z nimi dziwnych wichrach i piskliwych dźwiękach. Myślałem też o Aborygenach, po dziś dzień szepczących przeraźliwe klechdy o nieopisanych ruinach w głębi Ziemi i potężnych wiatrach.

Wyryty w ścianie symbol pomógł mi trafić na właściwy poziom i dotarłem wreszcie – minąwszy rozłożoną na posadzce książkę, którą oglądałem wprzódy – do wielkiej okrągłej groty pełnej łukowatych wyjść. Po prawej od razu odnalazłem wejście do właściwego tunelu. Zdawałem sobie sprawę, że pozostała część wędrówki będzie trudniejsza, ponieważ poza obrębem archiwów korytarze są częściowo zawalone. Na plecach ciążyła mi metalowa kaseta, a na dodatek brnąc wśród gruzu i najróżniejszego rumoszu, coraz trudniej było zachować ciszę.

Wreszcie dotarłem do sięgającego aż po sufit rumowiska, w którym wcześniej wygrzebałem sobie wąskie przejście. Na ten widok przejęła mnie trwoga niewyobrażalna, ponieważ gdy przeciskałem się przez nie po raz pierwszy, narobiłem sporo hałasu, teraz zaś – mając w pamięci tajemnicze ślady – niczego nie lękałem się bardziej aniżeli głośnych dźwięków. Pokonanie ciasnej szczeliny mogła mi też utrudnić szeroka kaseta. W końcu jednak najciszej, jak umiałem, wspiąłem się na gruzowisko i wcisnąłem kasetę w wygrzebany tunel. Potem chwyciłem latarkę w zęby i popychając kasetę przed sobą, przeczołgałem się na drugą stronę, znów raniąc sobie grzbiet o kamienne stalaktyty. Gdy próbowałem podnieść kasetę, wyśliznęła mi się i zsunęła po zboczu rumowiska; grzechot metalu o kamienie rozbrzmiał takim echem, że aż oblałem się zimnym potem. Rzuciłem się za nią i chwyciłem ją, nie czyniąc już większych hałasów – lecz chwilę później kamienne bloki obruszyły mi się pod stopami z nagłym, niespotykanym pierwej łoskotem.

Łoskot ów rozległ się na moją zgubę. Nagle bowiem zdało mi się – nie wiem, czy słusznie – że gdzieś za mną, z dalekich tuneli, odpowiedział mu pewien dźwięk, i to dźwięk straszliwy: przeszywający gwizd, jakiego dotąd nie słyszała Ziemia, wymykający się wszelkim próbom opisu. Może był to tylko wytwór mej imaginacji. Lecz jeśli tak, to w tym, co nastąpiło potem, była ponura ironia – gdybym bowiem nie wpadł wtedy w panikę, być może wcale nie wydarzyłyby się wszystkie okropności późniejsze.

A jednak wpadłem – i to w panikę obłędną, nieugaszoną. Porwałem latarkę, drżącą ręką przycisnąłem do siebie kasetę i puściłem się naprzód opętańczym pędem. W głowie kołatało mi się tylko jedno szalone pragnienie: żeby wydostać się z tych koszmarnych ruin do rzeczywistego świata, na daleką, skąpaną w blasku księżyca pustynię. Sam nie wiem, kiedy znalazłem się u stóp wielkiego usypiska wznoszącego się w ciemność przez zapadnięty strop, i obijając się boleśnie o kamienie, jąłem wdrapywać się po szczerbatej stromiźnie. A potem nastąpiła katastrofa. Sadząc na oślep przez wierzchołek rumowiska, wpadłem w nagły uskok, omsknęła mi się noga – i z rumorem godnym artyleryjskiej kanonady stoczyłem się w dół w

lawinie zgruchotanych bloków.

Nie pamiętam już, jak wygrzebałem się spod ruin. Pamiętam tylko, że korytarz aż zatrząsł się od ogłuszającego huku spadających głazów; w przebłyskach świadomości widzę siebie, jak brnę, gramolę się, jak pędzę dalej naprzód, ściskając wciąż w garściach latarkę i kasetę. A potem, gdy zbliżałem się już do przedwiecznej bazaltowej krypty, która budziła we mnie taką trwogę, szaleństwo sięgnęło kresu. Gdy tylko ucichło echo kamiennej lawiny, ów straszliwy, nieziemski gwizd usłyszałem bowiem po raz wtóry – i tym razem byłem pewien, że słyszę go naprawdę, a co najgorsze, nie rozległ się już za mymi plecami, tylko przede mną.

W tym momencie wyrwał mi się chyba przeraźliwy wrzask. Pamiętam mgliście, że pomknąłem bez tchu przez ten piekielny bazaltowy loch, słysząc jak z otwartej, niestrzeżonej zapadni, wprost z najgłębszych trzewi Ziemi, dobywa się ów przeklęty, nieziemski świst. Rozszalał się też wiatr – lecz już nie słaby powiew wilgotnego chłodu, tylko gwałtowny i rozmyślny orkan; buchał wściekłymi, zimnymi smagnięciami z tej samej wstrętnej czeluści, z której dobywał się wszeteczny gwizd.

Pamiętam co nieco, jak przeskakiwałem i gramoliłem się przez najróżniejsze przeszkody, a ów świdrujący pisk i dzika nawałnica rozwścieklały się z każdą sekundą. Zdawało mi się, że wiatr owija się i skręca wokół mnie z rozmyślną złośliwością; niby smagał mnie po plecach, lecz przecież miast pchać mnie do przodu raczej spowalniał mój bieg, jakby ktoś chwytał mnie na lasso czy stryk. Nie zważając już na czyniony hałas, przetarabaniłem się przez kolejne usypisko i znalazłem się w budowli, z której wiodła już prosta droga na powierzchnię. Pamiętam, że w przelocie mignęło mi wejście do izby z maszynami i omal nie wrzasnąłem, ujrzawszy pochylnię wiodącą w dół na najniższy poziom, tam gdzie z pewnością ziała otworem kolejna bluźniercza zapadnia. Wszelako zamiast wrzeszczeć, jąłem mamrotać do siebie, że to tylko sen, z którego wnet się obudzę. Być może wcale nie opuściłem obozu – może w ogóle wciąż byłem w mym domu w Arkham. Otrzeźwiawszy nieco pod wpływem tych sugestii, zacząłem piąć się po pochylni na górę.

Nie zapomniałem, rzecz jasna, że znów muszę się zmierzyć z czterostopowej szerokości rozpadliną, miałem wszakże znacznie poważniejsze powody do strachu, toteż dopiero gdy stanąłem nad krawędzią, uzmysłowiłem sobie, jak przeraźliwe będzie to zadanie. Gdy schodziłem w dół, skok nie był trudny – ale jak miałem go powtórzyć pod górę, wyczerpany, strwożony, obciążony metalową kasetą i hamowany anomalnymi porywami diablego wichru? Uświadomiłem to sobie w ostatniej chwili. Dopiero wtedy pomyślałem też o nieopisanych stworzeniach, które mogły czaić się w tej czarnej, bezdennej rozpadlinie.

Latarka zamigotała i poczęła przygasać, głęboko ukryte wspomnienie podpowiedziało mi jednak, że zbliżam się do krawędzi. Zimne smagnięcia wichru i wstrętne piskliwe wrzaski za plecami na moment litościwie stępiły moją wyobraźnię, niczym opium znieczuliły mnie na zgrozę ziejącą u mych stóp. W tej chwili nie miałem już wątpliwości, że identyczny gwizd i poryk wichru rozlega się przede mną – obrzydlistwo ciągnęło zimnymi falami z

samej szczeliny, z głębin, których nie umiałem i nie chciałem sobie wyobrazić.

Teraz już naprawdę znalazłem się w samym jądrze koszmaru. Rozsądek poszedł precz, kierował mną już tylko zwierzęcy impuls ucieczki – bez namysłu puściłem się biegiem pod górę, przeskakując nad stertami gruzu, jak gdyby nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Gdy ujrzałem przed sobą skraj szczeliny, wytężyłem ostatnie resztki sił, rzuciłem się naprzód szaleńczym susem – i w okamgnieniu pochłonęło mnie wirujące pandemonium obmierzłego pisku i najskrajniejszej, materialnej niemal czerni.

O ile pamiętam, był to już koniec mej eskapady. Wszystko, czego doświadczyłem potem, należy już bez reszty do królestwa delirycznej fantasmagorii. Senne majaki, szaleństwo i wspomnienia zlewały się ze sobą obłąkańczo w serię fantastycznych, ułamkowych omamów, w których nie było zgoła nic rzeczywistego. Roiło mi się ohydnie, że spadam przez bezbrzeżną ciemność, lepką i żywą, wśród wrzawy głosów, których nie wydałby z siebie żaden wytwór ziemskiego, organicznego życia. Budziły się we mnie dopiero najpierwsze zaczątki zmysłów; wyczuwałem nimi, że szybuję przez czeluście i próżnie, mijając najróżniejsze okropieństwa, i jeszcze dalej, ku nieznającym słońca skalnym turniom, oceanom, tudzież rojnym miastom pełnym bezokiennych bazaltowych wież, których nigdy nie musnął najlżejszy promień światła.

Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, a przecież rozbłyskiwały mi w głowie najgłębsze tajnie ziemskiej prehistorii, sekrety niepamiętnych eonów; odsłaniały się przede mną rzeczy, których nie domyślałem się pierwej nawet w najobłędniejszych snach. Tymczasem wilgotny opar wciąż wpijał we mnie swoje zimne szpony, wirującą zaś ciemność przeszywał nieustannie ów upiorny pogwizd, z piekielną mocą zagłuszając opętańczy tumult.

Potem zwidywało mi się cyklopowe miasto z moich snów – nie zrujnowane, lecz w pełnym rozkwicie, dokładnie tak jak mi się śniło. Znów byłem przyobleczony w nieludzkie, stożkowate ciało, w tłumie istot z Wielkiej Rasy i więzionych umysłów chodziłem po olbrzymich korytarzach i potężnych pochylniach, i tak jak one nosiłem stosy książek. Potem przez te obrazy jęła przebijać się strasznymi przebłyskami czysta, bezwzrokowa świadomość – i czułem, że szamoczę się z czymś rozpaczliwie, że wyrywam się z macek gwiżdżącej wichury, że szaleńczo, jak nietoperz lecę przez stężałe powietrze, że ryję gorączkowo przez ciemność chłostaną biczami cyklonu i gnam dzikim pędem przed siebie, potykając się o gruzy.

W pewnym momencie na poły ujrzałem, na poły domyśliłem się, że z jakichś niedosiężnych wyżyn zlewa się na mnie rozproszony niebieskawy poblask. Potem przyśniło mi się, że gramolę się pod górę ścigany porywami schorzałego huraganu – wczołguję się po gruzowisku, które osuwa się pode mną z łoskotem, aż wreszcie wypełzam wprost pod szydercze oblicze księżyca. To właśnie księżyc, bijący opętańczo swym nikczemnym, monotonnym blaskiem, uświadomił mi, że powróciłem do świata, który niegdyś miałem za obiektywną rzeczywistość.

Pełzłem potem na brzuchu przez piaski australijskiej pustyni, a wokół

mnie szalała nawałnica, jakiej świat chyba dotąd nie widział. Ubranie miałem w strzępach, ciało moje było jednym wielkim sińcem i raną. Wiele czasu minęło, nim w pełni odzyskałem świadomość; nie umiałem orzec, w którym momencie kończyło się wspomnienie tego, co przeżyłem naprawdę, a zaczynało delirium sennych zwidów. Było tu chyba jakieś rozwalisko tytanicznych bloków… zdaje się, że zszedłem przez nie w otchłań, odkryłem potworną rewelację z przeszłości, a na koniec doświadczyłem niewysłowionego koszmaru – lecz cóż z tego wszystkiego było prawdą? Nie miałem już latarki, a jeśli rzeczywiście znalazłem jakąś metalową skrzyneczkę, przepadła też i ona. Czy ta kaseta istniała naprawdę? Czy istniały podziemna otchłań i kamienne gruzowisko? Uniosłem głowę i spojrzałem za siebie – lecz zobaczyłem tylko rozfalowaną wydmami piaszczystą pustać.

Ucichł demoniczny wiatr, opuchły grzybowato księżyc zachodził czerwonawo na zachodnim niebie. Dźwignąłem się z piachu i ruszyłem chwiejnie na południowy zachód, w kierunku obozu. Cóż mi się właściwie przydarzyło? Może po prostu zasłabłem na pustyni i nękany przez senne koszmary wlokłem się godzinami po piachu, rozbijając ciało o zagrzebane bloki? Bo jeśli nie, to jakżeż teraz miałem żyć? Pewność, jaką żywiłem dotychczas – że mianowicie moje senne wizje są tylko wylęgłymi z mitów fantazjami – znowu legła w gruzach, znów opadły mnie dawne, piekielne wątpliwości. Jeśli ta otchłań istniała naprawdę, musiała też istnieć Wielka Rasa – a jej bluźniercze wędrówki przez odmęty kosmicznego czasu i porywanie umysłów innych istot nie były mitem ani sennym koszmarem, tylko druzgocącą, mrożącą krew rzeczywistością.

Byłożby więc ohydną prawdą, że gdy grążyłem się w przedziwnej, mrocznej amnezji, umysł mój porwano o sto pięćdziesiąt milionów lat wstecz, do przedludzkiego świata? Czyżby w mym ciele zamieszkała podówczas jakaś straszliwa obca świadomość z paleogenicznych głębin czasu? Byłżebym naprawdę więźniem tych stożkowatych monstrów, oglądał ich przeklętą kamienną metropolię w latach pierwotnej świetności i pełzł jak ślimak po jej korytarzach w obrzydliwym cielsku mego porywacza? Czyżby senne mary, które dręczyły mnie dwadzieścia z górą lat, były pokłosiem najprawdziwszych i najpotworniejszych wspomnień? Czy to prawda, że rozmawiałem z umysłami z niedosiężnych zakątków czasu i przestrzeni, poznałem przeszłe i przyszłe tajemnice wszechświata, spisałem dzieje mej własnej epoki, umieściłem zapiski w metalowej kasecie i złożyłem w tytanicznym archiwum? Czyżby wreszcie te drugie stwory – świszczące demonicznie Starsze Istoty, przeraźliwi dzierżcy obłąkańczych wichrów – naprawdę czyhały jeszcze, osłabłe, lecz wciąż groźne, w swych czarnych otchłaniach? Czy to możliwe, że od milionleci roiły się w trzewiach sędziwej planety, podczas gdy na powierzchni kołowrót życia toczył się różnorodnością form?

Sam nie wiem. Jeżeli ta otchłań i jej sekrety naprawdę istniały, nie ma dla nas nadziei – zaprawdę, oznaczałoby to, że nad całym ludzkim światem wisi niewiarygodny, szydliwy cień spoza czasu. Na szczęście nie potrafię udowodnić, że nie było to tylko moje kolejne przyśnienie wylęgłe z

archaicznych mitów. Mogłaby tego dowieść metalowa kaseta, nie doniosłem jej wszakże do obozu, podziemnych zaś korytarzy jak dotąd nie odnaleziono. Jeśli prawa rządzące wszechświatem okażą się łaskawe, nie odnajdzie ich już nikt. O wszystkim, co widziałem – lub zdawało mi się, że widzę – musi jednak dowiedzieć się mój syn; niechaj oceni jako psycholog, czy można dać wiarę mej relacji i obwieścić ją światu.

Wspomniałem już, że wstrętna prawda o mej wieloletniej udręce zależna jest wyłącznie od tego, czy rzeczywiście widziałem to, co widziałem na dnie owych cyklopowych ruin. Nie jest mi łatwo wyznać tę największą rewelację, jakkolwiek chyba każdy z czytelników już się jej domyśla. Mieściła się ona, rzecz jasna, w kasecie – metalowej skrzyneczce, którą wyszperałem w zapomnianej kryjówce i wyciągnąłem spod nagromadzonego przez milion wieków kurzu. Ani oko nie widziało, ani ręka nie dotknęła tej księgi, od kiedy na planecie Ziemi pojawił się człowiek. A jednak gdy w tej przeraźliwej megalitycznej otchłani skierowałem na nią światło mej latarki i na kruchych, zbrązowiałych ze starości celulozowych kartach ujrzałem osobliwie barwione litery, widziałem doskonale, że nie są to wcale niepojęte hieroglify z zarania ziemskich dziejów. Wręcz przeciwnie – były to zwyczajne litery naszego alfabetu, swojskie angielskie słowa napisane moją własną ręką.

Więcej na: www.ebook4all.pl

# Nawiedziciel mroku

(dedykowane Robertowi Blochowi)

Ujrzałem w mrocznej czeluści wszechświata

Czarnych planet bezcelowy znój –

Ślepy, zgasły, nieodkryty w swej grozie

Czarnych planet bezimienny rój.

Nemezis*

Kto zechciałby zbadać sprawę z należytą rozwagą, zastanowiłby się po dwakroć, nim odrzuciłby powszechne przeświadczenie, że Roberta Blake'a zabił piorun lub spowodowany wyładowaniem rozległy wstrząs nerwowy. Okno, w które Blake się wpatrywał, nie było wprawdzie rozbite, wszelako Natura nieraz już udowadniała, że stać ją na najdziwniejsze wybryki. Wyraz jego twarzy mógł być równie dobrze skutkiem jakiegoś tajemniczego napięcia mięśni, niezwiązanego z tym, co ujrzał za szybą, zapiski zaś w dzienniku z całą pewnością stanowią fantastyczny wytwór jego wyobraźni rozbudzonej przez miejscowe zabobony oraz pewne zamierzchłe sprawy, które odkrył niedługo przed śmiercią. Co się zaś tyczy anomalii w opuszczonym kościele na Federal Hill – każdy wnikliwy analityk bez wahania uzna je za wymysł świadomego bądź nieświadomego szarlatańswa, z którym Blake był w tajemniczy sposób powiązany.

Trzeba bowiem pamiętać, że nieszczęśnik ów był pisarzem i malarzem bez reszty pogrążonym w świecie mitów, sennych rojeń, zabobonów i grozy, złaknionym scen i efektów dziwacznych i niesamowitych. Jego pierwszy

pobyt w mieście – wizyta u pewnego starego dziwaka, nie mniej oddanego okultystycznej, zakazanej wiedzy – zakończył się pożarem i śmiercią w płomieniach, skoro więc przyjechał ponownie ze swego rodzinnego Milwaukee, musiał nim powodować jakiś chorobliwy instynkt. Wbrew temu, co głosi jego dziennik, Blake mógł znać miejscowe bajędy, nagła zaś śmierć być może udaremniła mu sprokurowanie jakiejś potężnej mistyfikacji, którą zamierzał wykorzystać w swej twórczości literackiej.

Wśród tych, którzy badali i weryfikowali wszystkie te poszlaki, kilka osób skłania się jednak ku mniej racjonalnym i banalnym teoriom. Większą część zapisków Blake'a odczytują oni dosłownie, wskazują też na kilka znaczących i potwierdzonych faktów: że mianowicie stare księgi parafialne są z całą pewnością oryginalne, że przed rokiem 1877 rzeczywiście istniała znienawidzona, nieprawomyślna sekta Gwiezdnej Mądrości, że w roku 1893 naprawdę zaginął pewien dociekliwy reporter Edwin M. Lillibridge oraz – przede wszystkim – że młody pisarz zginął z twarzą wykrzywioną potwornym, panicznym strachem. Jeden z przedstawicieli tego stronnictwa, fanatycznie wręcz przekonany o słuszności swych mniemań, utopił w zatoce dziwnie ozdobioną metalową szkatułę z osobliwym wielościanem w środku, znalezioną w iglicy starego kościoła – w ciemnej iglicy bez okien, nie zaś w wieży, w której rzekomo znalazł ją Blake. Postępek ten spotkał się z ogólnym potępieniem zarówno ze strony czynników oficjalnych, jak i opinii publicznej, wszelako jego sprawca – powszechnie szanowany lekarz, rozmiłowany w dziwnym folklorze – upierał się, że czyniąc to, uwolnił świat od wielkiego niebezpieczeństwa.

Które z tych stronnictw ma słuszność – niechaj każdy czytelnik osądzi na własny użytek. Gazety przedstawiły całą sprawę sceptycznie, koncentrując się na namacalnych szczegółach, nie wnikając w to, jak widział ją sam Robert Blake – czy też może jak zdawało mu się, szczerze bądź nieszczerze, że ją widzi. Spróbujmy przeczytać jego dziennik uważnie, bez emocji i zbędnego pośpiechu, rekonstruując ten mroczny łańcuch wypadków z punktu widzenia ich głównego uczestnika.

Młody Blake wrócił do Providence na początku zimy 1934 roku i zamieszkał na piętrze dostojnej willi przy College Street, oddzielonej od ulicy trawiastym dziedzińcem. Dom stał wysoko na wschodnim stoku wielkiego wzgórza, nieopodal miasteczka uczelnianego Uniwersytetu Browna, na tyłach marmurowego gmachu John Hay Library. Było to miejsce przytulne i fascynujące: prastary przydomowy ogród był małą oazą niemal wiejskiego spokoju, na dachu jednej z szop wylegiwały się w słońcu dorodne i przymilne koty. Kwadratowa, georgiańska willa miała uskokowy dach, klasyczne, rzeźbione drzwi, okna o małych szybkach, krótko mówiąc była typowym wytworem sztuki architektonicznej początków dziewiętnastego stulecia. Wewnątrz można było podziwiać sześciopanelowe drzwi, podłogi z szerokich desek, kręte kolonialne schody i kominki obudowane białymi gzymsami w stylu Adamów, pokoje zaś na tyłach położone były o trzy schodki wyżej niż główna część domu.

Pracownia Blake'a była przestronna i znajdowała się w południowo-zachodnim narożniku. Okno południowe wychodziło na frontowy ogród, za

oknami zachodnimi zaś – przed jednym z nich Blake ustawił swe biurko – rozciągały się stromy stok wzgórza i przepyszna panorama niższych dzielnic miasta: rozległe morze dachów, nad którym rozżagwiało się mistycznie zachodzące słońce, dalej zaś, na widnokręgu, purpurowy przestwór zamiejskich wzgórz. Na tym tle, w odległości jakichś dwu mil od domu, wznosił się niesamowity garb Federal Hill najeżony stromiznami dachów i iglic, które w wirujących kłębach miejskiego dymu falowały tajemniczo, przybierając fantastyczne kształty. Blake nie mógł oprzeć się osobliwemu wrażeniu, że ma przed oczyma jakiś nieznany, eteryczny świat i gdyby spróbował kiedykolwiek dotrzeć tam i wkroczyć osobiście, być może rozwiałby się bez śladu niby senny zwid.

Sprowadziwszy z domu większość książek, Blake kupił trochę stosownie antycznych mebli, po czym zasiadł do pisania i malowania. Mieszkał samotnie, nie najął też służącego. Pracownię malarską urządził sobie w pokoju na stryszku, znakomicie iluminowanym przez świetliki w uskokowym dachu. Do końca zimy napisał pięć swoich najbardziej znanych opowiadań – *Podziemny ryjec*, *Schody w krypcie*, *Shaggai*, *W dolinie Pnath* i *Biesiadnik z gwiazd* – oraz namalował siedem płócien przedstawiających nieopisane, nieludzkie monstra oraz nieziemskie, odpychająco obce pejzaże.

O zachodzie słońca Blake często zasiadał przy biurku i wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w zachodnią panoramę miasta: w ciemne wieże pobliskiego Memorial Hall, w dzwonnicę georgiańskiego budynku sądu, w strzeliste pinakle budynków w centrum miasta tudzież w rozmigotany, zwieńczony iglicami garb odległego wzniesienia, ów labirynt nieznanych uliczek i dwuspadowych dachów, który tak potężnie rozpalał jego wyobraźnię. Nieliczni sąsiedzi, z którymi zdążył nawiązać znajomość, wyjaśnili mu, że na Federal Hill znajduje się ogromna dzielnica włoska, jakkolwiek większość domów pamięta jeszcze czasy dawnych Jankesów i imigrantów irlandzkich. Od czasu do czasu Blake lustrował tę widmową, nieosiągalną krainę przez lornetkę – wyłuskiwał z kłębów dymu poszczególne dachy, iglice i kominy, a potem wyobrażał sobie, jakie mogą kryć się za nimi tajemnice i dziwy. Nawet przez szkła wzgórze wyglądało cokolwiek obco, na poły baśniowo, wydawało się wręcz, że coś łączy je z nierealnym, nieuchwytnie cudownym światem opowiadań i obrazów Blake’a. Wrażenie to nie mijało nawet wówczas, gdy wzgórze rozpłynęło się już w fioletowym, rozjarzonym latarniami zmroku, gdy rozjarzony gmach sądu i czerwone światło na szczycie wieżowca Industrial Trust przeobrażały noc w groteskowy spektakl.

Spośród wszystkich budowli na Federal Hill najbardziej fascynował Blake’a pewien potężny, ciemny kościół. Wielkie wieże i zwężająca się iglica świątyni rysowały się o niektórych porach dnia ostrym, wyrazistym konturem, o zachodzie słońca zaś czerniały na tle rozżagwionego nieba. Kościół musiał być usytuowany wyjątkowo wysoko, bo jego zapuszczona fasada i widoczna z ukosa północna ściana ze spadzistym dachem i szczytami wielkich, wysokich okien wzbijała się zuchwale ponad dookolną gmatwaninę kalenic i kominów. Był to gmach osobliwie surowy i posępny, wybudowany najpewniej z kamienia; na odymionych, liszajowatych murach znać było

działanie ponadstuletnich wiatrów i burz. Pod względem architektonicznym utrzymany był – o ile dało się to określić przez lornetkę – w stylu charakterystycznym dla najwcześniejszej, eksperymentalnej fazy „odrodzenia gotyckiego”, które poprzedzało dostojny styl Upjohna i zachowało część konturów oraz proporcji stylu georgiańskiego. Wybudowano go zapewne około 1810, może 1815 roku.

Miesiące mijały, a Blake wciąż obserwował srożący się w oddali gmach, i to z dziwacznie narastającym zainteresowaniem. Potężnych okien nie rozjaśniało nigdy najsłabsze nawet światło, toteż uznał, że kościół najpewniej jest pusty. Im dłużej mu się przyglądał, tym pilniej pracowała jego wyobraźnia – aż wreszcie poczęły mu się wyrajać osobliwe spostrzeżenia. Zdawało mu się, że aura opuszczenia materializuje się nad świątynią na podobieństwo mglistego oparu, że nawet gołębie i jaskółki omijają z daleka przydymione kościelne okapy. Przez lornetkę zauważył, że wielkie stada ptaków nie stronią od innych wież i dzwonnic dzielnicy, kościół zaś omijają szerokim łukiem. Tak mu się przynajmniej zdawało – i tak napisał w swoim dzienniku. Pokazał kościół kilku przyjaciołom, wszelako żaden z nich nigdy nie był na Federal Hill i nie miał najbledszego pojęcia, czym jest lub był onegdaj ów tajemniczy obiekt.

Wiosną Blake’a zaczął dręczyć głęboki niepokój. Rozpoczął właśnie pracę nad planowaną od dawna powieścią – opartą na domyśle, jakoby na terenach stanu Maine zachowało się jeszcze czarownictwo – ogarnął go jednak dziwny bezwład, nie był w stanie poczynić żadnych postępów. Coraz częściej przesiadywał przy zachodnim oknie i wpatrywał się w czarną, omijaną przez ptaki wieżę mroczącą się na dalekim wzgórzu. Gdy pączki w ogrodzie wypuściły pierwsze delikatne listki, świat od nowa wypełnił się pięknem, lecz niepokój Blake’a nie zmniejszył się przez to znacząco. Wtedy właśnie po raz pierwszy zaświtała mu myśl, by wybrać się na drugą stronę miasta i śmiało wspiąć się na bajeczne wzgórze, wprost do omglonej dymem krainy snów.

Pod koniec kwietnia, gdy zbliżała się okryta pomroką dziejów Noc Walpurgii, Blake podjął pierwszą wyprawę w nieznane. Przedarłszy się z mozołem przez labirynt śródmiejskich ulic i posępne, plugawe place niższych dzielnic, dotarł wreszcie do wznoszącej się stromo alei pełnej poprzekrzywianych doryckich werand, wytartych z biegiem wieków schodków, kopuł o zamazanych szybkach – i był pewien, że wiedzie ona do znanych mu już, a nieosiągalnych dotąd światów za zasłoną mgieł. Nazwy ulic na wyblakłych niebiesko-białych tabliczkach nic mu nie mówiły, dokoła falował tłum śniadych twarzy, a w brązowych, steranych przez deszcze i wiatry budynkach gnieździły się osobliwe sklepiki z obcojęzycznymi szyldami. Nigdzie nie mógł doszukać się obiektów, jakie widywał z oddali – tedy raz jeszcze począł sobie roić, że widoczne z jego okna wzgórze jest światem ze snu, w którym nigdy nie postawi swej stopy żaden żywy człowiek.

Co pewien czas spoza dachów wyłaniała się sponiewierana fasada lub murszejąca wieżyca kościoła, lecz Blake ani razu nie ujrzał jego sczerniałej bryły w pełnej krasie. Gdy zapytał jakiegoś sklepikarza o wielki kamienny

kościół, ten uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową, mimo że swobodnie mówił po angielsku. Im wyżej Blake się wspinał, tym dziwniejsza zdawała mu się okolica; wszędzie widział tylko gordyjską plątaninę ponurych brązowych zaułków wiodącą nieskończenie w kierunku południowym. Dwakroć bądź trzykroć mijał szerokie aleje, raz zdawało mu się też, że widzi już znajomą wieżę. Znów zagadnął jakiegoś kupca, czy zna potężny kościół z kamienia – i tym razem mógłby przysiąc, że zagadnięty tylko markuje niewiedzę. Przez śniadą twarz mężczyzny przebiegł źle ukryty grymas lęku, Blake spostrzegł też, jak prawą ręką wykonuje dziwny znak.

Raptem czarna wieżyca wyrosła po lewej na tle zachmurzonego nieba, ponad napiętrzoną linią brązowych dachów i plątaniną zaułków. Blake poznał ją natychmiast, toteż niewiele myśląc, puścił się ku niej przez nędzne, niebrukowane uliczki odchodzące od alei ku szczytowi wzgórza. Dwukrotnie gubił drogę, nie wiedzieć czemu nie śmiał jednak zasięgać języka – ani u sędziwych starców i gospodyń siedzących na progach domów, ani u dzieci bawiących się z krzykiem w cienistych, błotnistych zaułkach.

Wreszcie ujrzał wieżę wprost na południowo-zachodnim niebie, a na końcu zaułka wyrosła zwalista sylweta z ciemnego kamienia. Blake stał właśnie pośrodku rozległego placu, po którym hulał wiatr; plac wyłożony był fikuśnym brukiem, a z jednej strony zamykał go wysoki mur opasujący rozległe, płaskie wzniesienie. Wyprawa dobiegła końca; oto bowiem na zachwaszczonym, otoczonym płotem podwyższeniu terenu – stanowiącym wręcz odrębny, mniejszy świat wyniesiony o całe sześć stóp ponad poziom dookolnych ulic – stał posępny, tytaniczny gmach, którego nawet teraz, po raz pierwszy patrząc z takiej perspektywy, Blake nie mógł pomylić z żadną inną budowlą.

Kościół chylił się już ku upadkowi. Niektóre kamienne przypory zdążyły się obwalić, wśród rozkrzewionych brązowych zarośli leżały też ułomki kilku smukłych kwiatonów. Okopcone gotyckie okna, od środka pokryte tajemniczymi malunkami, w większości były całe, jakkolwiek brakowało wielu kamiennych maswerków. Blake zdumiał się, że przetrwały one tak długo w nienaruszonym stanie, zważywszy na to, że w okolicy roiło się od małych chłopców, których zwyczaje są znane jak świat długi i szeroki. Masywne wrota były nietknięte i zawarte na głucho. Dokoła wzniesienia, skrajem muru, biegło zardzewiałe żelazne ogrodzenie; brama, do której wchodziło się z placu po schodkach, zamknięta była na widoczną już z daleka kłódkę. Ścieżka wiodąca od bramy do wrót kościoła była zupełnie zarośnięta. Pod okapami nie widać było nawet śladu ptaków, murów nie okrywał ani jeden listek bluszczu. Aura zgnilizny i ogólnej opustoszałości wisiała nad całym tym miejscem niczym żałobny kir; Blake uczuł, że przejmuje go mglista, nieuchwytna osmętnica, której nie jest w stanie pojąć ani określić jej źródeł.

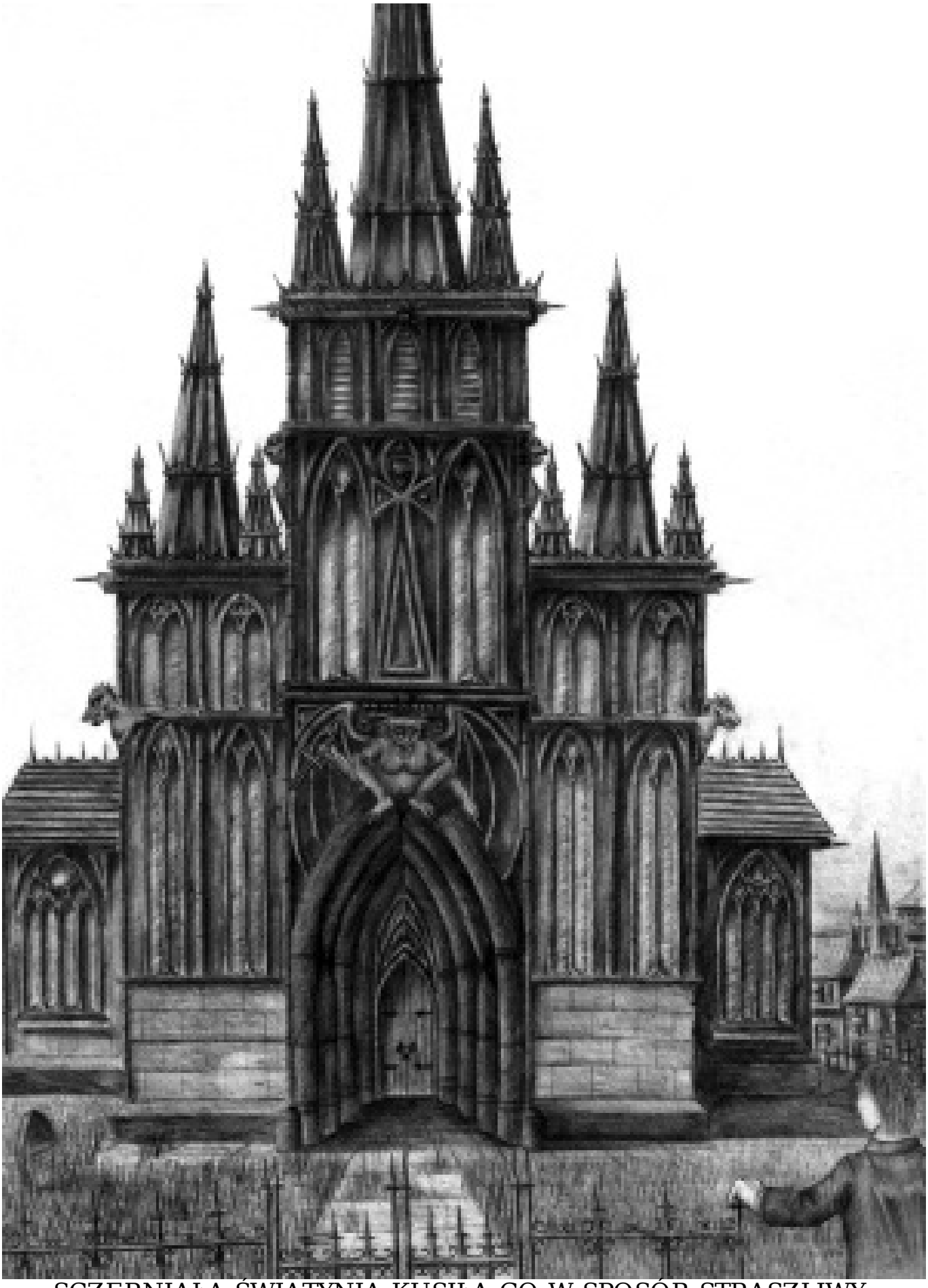

SCZERNIAŁA ŚWIĄTYNIA KUSIŁA GO W SPOSÓB STRASZLIWY,

Plac był niemal zupełnie pusty, w północnym narożniku Blake dostrzegł jednak policjanta, podszedł więc doń i począł wypytywać go o kościół. Policjant był rosłym, rumianym Irlandczykiem, toteż młodzieniec zdziwił się, że w odpowiedzi uczynił jedynie znak krzyża i mruknął, że w okolicy nigdy się o nim nie rozmawiało. Po krótkich naleganiach odparł w wielkim pośpiechu, że włoscy księża przestrzegali, by nikt nie zbliżał się do kościoła – zaklinali się, że niegdyś mieszkało tam monstrualne zło, które napiętnowało kościół na zawsze. On sam słyszał co nieco na ten temat od swego ojca, ten zaś z kolei pamiętał jakieś dziwne dźwięki i pogłoski z lat swojego chłopięctwa.

W świątyni miała kiedyś swą siedzibę – opowiadał policjant – pewna zła sekta, zła i bezprawna, która z jakichś nieznanych nocnych czeluści przywołała przeokropne istoty. Żeby je egzorcyzmować, wezwano zacnego księdza ojca O'Malleya – choć niektórzy uważali, że wystarczyłoby wpuścić do kościoła trochę światła. Gdyby ojciec O'Malley żył, na pewno miałby o czym opowiadać. Ale teraz nie ma tam czego szukać, najlepiej po prostu zostawić kościół w spokoju. Nikomu już za jego sprawą nie dzieje się krzywda, a ostatni właściciele poumierali bądź powyjeżdżali. Czmychnęli z miasta jak szczury w roku siedemdziesiątym siódmym, kiedy to okolicznych mieszkańców zaczęło niepokoić, że co rusz przepada bez wieści ktoś z sąsiadów. Któregoś dnia pewnie zjawią się urzędnicy i ogłoszą, że z braku spadkobierców kościół przechodzi na własność miasta – ale najlepiej byłoby, gdyby nikt go w ogóle nie tykał. Niech już się nawet zawali, byle tylko nie zbudziło się to, co powinno spoczywać na wieki w swej czarnej otchłani.

Gdy policjant się oddalił, Blake zapatrzył się na ponure, zwieńczone smukłą iglicą gmaszysko. Był bardzo przejęty, że nie tylko jemu kościół wydaje się taki posępny. Zastanawiał się, jakie ziarno prawdy kryje się w starych bajaniach, które przytoczył mu funkcjonariusz. Mogły to być po prostu błahe miejscowe legendy wyrosłe samorodnie w złowieszczej aurze, jaka otaczała okolicę – lecz nawet jeśli tak, wydawały mu się one dziwnie znajome, jak gdyby ktoś wyjął je żywcem z jego opowiadań.

Chmury rozproszyły się nieco, błysnęło popołudniowe słońce, lecz nadaremno – wydawało się, że nic nie zdoła rozświetlić poplamionych, okopconych ścian starej świątyni, górującej nad swym małym wyniesieniem. To doprawdy niezwykłe, ale brązowych, zwiędłych chaszczy, krzewiących się bujnie na ogrodzonym dziedzińcu, nawet nie musnęła wiosenna zieleń. Nagle Blake przyłapał się na tym, że krąży wokół podwyższenia i bada, czy aby nie da się tam wspiąć i przeleźć przez zardzewiałe ogrodzenie. Sczerniała świątynia kusiła go w sposób straszliwy, niepohamowany. W pobliżu schodów otaczająca kościół konstrukcja była nienaruszona, lecz po stronie północnej w jednym miejscu brakowało kilku prętów. Blake uznał, że dałoby się wdrapać po schodach na wzniesienie i okrążyć je, idąc wąskim murkiem wzdłuż ogrodzenia, aż do owej wyrwy. Skoro to miejsce budzi w okolicznych mieszkańcach aż tak paniczną trwogę, nikt raczej nie powinien mu przeszkodzić.

Udało mu się niepostrzeżenie wdrapać na mur i dotrzeć do upatrzonej wyrwy. Gdy był już niemal u celu, obejrzał się – i ujrzał, jak kilka osób ucieka z placu, wykonując prawymi rękoma ten sam znak, który uczynił sklepikarz przy głównej alei. Trzasnęło kilka okiennic, jakaś tłusta kobieta wybiegła na ulicę, chwyciła grupkę małych dzieci i wciągnęła je do rozchwierutanej, niepomalowanej chałupiny. Przejście przez wyrwę nie nastręczało wielkich kłopotów, toteż po krótkiej chwili Blake brnął już przez opuszczony dziedziniec. Spośród gnijących zarośli wychylały się gdzieniegdzie zwietrzałe resztki nagrobnych płyt świadczące o tym, że dziedziniec służył niegdyś jako miejsce pochówków; musiały to być jednak wyjątkowo zamierzchłe dzieje. Z bliska surowa bryła kościoła sprawiała wrażenie przytłaczające, Blake przemógł się jednak, dotarł do fasady i po kolei próbował otworzyć troje wielkich wrót. Wszystkie były zamknięte na klucz, tedy ruszył na obchód cyklopowego gmaszyska z nadzieją, że znajdzie jakieś mniejsze, a dogodniejsze wejście. Wciąż jeszcze nie był pewien, czy na pewno uśmiecha mu się wchodzenie do tego opuszczonego, widmowego siedliszcza, wszelako dziwność tego miejsca przyciągała go nieodparcie.

Wymarzonym wejściem okazało się wybite, niezabezpieczone okienko od piwnicy na tyłach świątyni. Blake zajrzał do środka i ujrzał loch pogrążony w zwałach kurzu i oplotach pajęczyn, słabiutko rozświetlony promieniami niskiego słońca. Widział śmieci, stare beczki, połamane skrzynie i najróżniejsze meble, wszelkie wyraźniejsze kształty rozmiękczał jednak gruby całun kurzu. Zauważył też zardzewiałe szczątki centralnego pieca świadczące o tym, że kościół funkcjonował jeszcze w połowie czasów wiktoriańskich.

Działając machinalnie, niemal bez udziału świadomej woli, Blake wczołgał się przez okienko i zeskoczył na betonową posadzkę zarzuconą rupieciami i wyścieloną dywanem kurzu. Sklepiona piwnica była olbrzymia, bez jakichkolwiek ścian działowych, w odległym zaś prawym kącie, w cienistym omroczu ział czarny otwór łukowatego wyjścia najwyraźniej wiodącego na górę. Znalazłszy się we wnętrzu upiornego gmachu, Blake poczuł się dziwnie nieswojo, lecz starając się utrzymać nerwy na wodzy, rozglądał się bacznie dokoła, aż w zwałach kurzu znalazł to, czego szukał: nietkniętą beczkę; dotoczył ją do okienka, by zapewnić sobie możliwość odwrotu. Potem zebrał się na odwagę i przez girlandy pajęczyn ruszył w stronę wyjścia. Dusząc się od wszechobecnego kurzu, odgarniając z twarzy koszmarne wstęgi pajęczego włókna, dotarł wreszcie do celu – i ruszył prosto w ciemność po wyślizganych kamiennych schodach. Nie miał ze sobą żadnego światła, szedł po omacku, ostrożnie obmacując ściany. Wreszcie za zakrętem natrafił przed sobą na zamknięte drzwi, a po krótkim gmeraniu znalazł też antyczną klamkę. Po chwili otworzył się przed nim nikle oświetlony korytarz o ścianach wyłożonych przeżartą przez korniki boazerią.

Blake jął spiesznie penetrować kościół. Spośród wewnętrznych drzwi żadne nie były zamknięte na klucz, toteż swobodnie przebiegał z izby do izby. Przepastna główna nawa sprawiała wrażenie niemal infernalne: stalle, ołtarz, ambonę z baldachimem przykrywały góry kurzu, a strzeliste łuki chóru i kiściowe gotyckie kolumny obwieszone były tytanicznymi sznurami

pajęczyn. Przez dziwne, na poły sczerniałe szybki wielkich okien apsydy przezierały promienie zachodzącego słońca, oblewając tę szarą, oniemiałą pustotę ohydnym ołowianym światłem.

Okienne malunki były tak zamazane, że Blake ledwie mógł je odcyfrować, lecz to, co udało mu się dojrzeć, nie przypadło mu do gustu. Większość zdobień była utrzymana w konwencjonalnym stylu, lecz rozpoznał też pewne motywy starożytne, znane mu ze studiów nad okultystyczną symboliką. Zdarzały się także wizerunki świętych, lecz niektórzy z nich mieli twarze zastygłe w wyjątkowo kontrowersyjnych grymasach, jedno zaś z okien przedstawiało tylko mroczną przestrzeń wypełnioną spiralami osobliwej światłości. Blake zauważył też, że opleciony pajęczynami krucyfiks nad ołtarzem nie jest zwyczajnym krzyżem – przypominał raczej prastary ankh, czyli crux ansata, symbol z widmowego Egiptu.

W położonej obok apsydy zakrystii Blake znalazł spróchniałe biurko i wysokie aż po sufit półki pełne zapleśniałych, murszejących ksiąg. Wówczas po raz pierwszy targnął nim dreszcz najprawdziwszej zgrozy, tytuły owych ksiąg znał bowiem doskonale. Były to czarne, zakazane dzieła, o jakich większość zdrowych na umyśle ludzi nigdy nawet nie słyszała, a jeśli słyszała, to jedynie w ukradkowych, bojaźliwych szeptach – wyklęte, straszliwe skarbnice dwuznacznych sekretów i niepamiętnych formuł, które płynęły z prądem czasu od najpierwszego zarania ludzkiego gatunku, a nawet jeszcze dłużej, od mglistych, bajecznych czasów poprzedzających narodziny człowieka. Wiele z nich Blake znał z pierwszej ręki – czytał łacińską wersję odrażającego Necronomiconu, posępną Liber Ivonis, niesławne Cultes des Goules hrabiego d’Erlette’a, Unaussprechlichen Kulten von Junzta, piekielne De Vermis Mysteriis starego Ludviga Prinna. Były tu też wszelako dzieła, które znał tylko ze słyszenia lub nie znał ich wcale: Rękopisy Pnakotyczne, Księga Dzyan, a także gnijące tomiszcze zapisane alfabetem zgoła nierozpoznawalnym – jakkolwiek wśród nieczytelnych znaków Blake zauważył garść symboli i diagramów, które każdego adepta wiedzy tajemnej przyprawiają o dreszcz. Miejscowe plotki najwyraźniej nie kłamały: kościół był onegdaj siedliskiem zła starszego niż ludzkość i wykraczającego poza najdalsze rubieże znanego nam wszechświata.

W szufladzie zniszczonego biurka Blake znalazł też mały, oprawny w skórę notatnik zapisany odręcznie jakimś niezwykłym szyfrem. Tekst był gęsty i zwarty, ciągnął się przez wiele stronic i składał się z tradycyjnych symboli oznaczających Słońce, Księżyc, planety, postacie i znaki zodiaku, stosowanych obecnie w astronomii, a dawniej w alchemii, astrologii i innych wątpliwych dziedzinach wiedzy; sądząc po podziale na wyrazy i akapity, każdemu znakowi musiała odpowiadać jakaś litera alfabetu.

Blake schował notes do kieszeni płaszcza z nadzieją, że po powrocie do domu zdoła odczytać tajemniczy kryptogram. Wielkie woluminy na półkach fascynowały go w sposób nieopisany; czuł nieprzepartą pokusę, by później wrócić tu i pożyczyć sobie niektóre z nich. Nie mógł się nadziwić, że przetrwały tak długo nietknięte ludzką ręką – czyżby to miejsce budziło aż taką trwogę, że przez niemal sześćdziesiąt lat nikt nie odważył się tu wejść?

Zbadawszy dokładnie cały parter, Blake ruszył ponownie przez upiorną

główną nawę w stronę frontowej kruchty, pierwej zauważył tam bowiem drzwi i spiralne schody przypuszczalnie wiodące do sczerniałej wieży i iglicy – obiektów, które znał już od dawna z obserwacji. Niełatwo było się tam wspiąć: przejście było ciasne, dławił go kurz, pająki również zdążyły zrobić swoje; Blake piął się po wysokich, wąskich, drewnianych stopniach, od czasu do czasu mijając zamazane okna, za którymi rozciągała się zawrotna panorama miasta. Na dole nie zauważył żadnych sznurów, spodziewał się wszelako, że gdy dotrze na szczyt wieży, której ostrołukowe, kryte żaluzjami okna tylekroć lustrował przez lornetkę, zastanie tam dzwon lub nawet cały karylion. Srodze się jednak rozczarował: gdy dotarł na górę, okazało się, że nie ma tam ani śladu dzwonów, wieża służyła bowiem najwyraźniej do zgoła odmiennych celów.

Kwadratowa izba mierzyła mniej więcej piętnaście stóp szerokości i pogrążona była w półmroku, jedyne źródło światła stanowiły bowiem cztery wąskie ostrołukowe okna, po jednym na każdej ścianie, zasłonięte zmurszałymi żaluzjami. Żaluzje wzmocnione były dodatkowo szczelnymi okiennicami, te jednak zdążyły już przegnić i rozpaść się niemal do cna. Pośrodku zakurzonej podłogi wznosił się osobliwy kamienny postument w kształcie kanciastej kolumny, mierzący jakieś cztery stopy wysokości i średnio dwie stopy średnicy, ze wszystkich stron topornie rżnięty w wymyślne, kompletnie nieczytelne hieroglify. Na postumencie spoczywała szkatuła o osobliwie asymetrycznym kształcie, wykonana z żółtawego metalu; pokrywa na zawiaskach była odemknięta, a w środku, pod wieloletnią warstwą kurzu, można było dostrzec czterocalowej wielkości przedmiot w kształcie jaja czy nieregularnej kuli. Wokół postumentu stało w nieporządnym kręgu siedem gotyckich krzeseł o wysokich oparciach, dość dobrze zachowanych, za nimi zaś, pod ścianami wyłożonymi ciemną boazerią – siedem gipsowych posągów, olbrzymich i pomalowanych na czarno, lecz mocno już skruszałych, kojarzących się zaś najdobitniej z tajemniczymi, nieodgadnionymi megalitami z Wyspy Wielkanocnej. W kącie wyzierała spod pajęczyn wpuszczona w ścianę drabina, nad nią zaś widać było klapę prowadzącą na jeszcze wyższe piętro – do bezokiennej iglicy.

Kiedy Blake przywykł już do półmroku, zauważył, że dziwna otwarta szkatuła rżnięta jest po bokach w niepokojące wzory. Wyjął chustkę do nosa i otarł ją z kurzu, aż jego oczom ukazała się treść owych rzeźbień – były to wizerunki nieopisanych, nieludzkich monstrów, istot z pewnością żywych, lecz niepodobnych do żadnej formy życia, jaką wytworzyła ziemska ewolucja. Domniemana czterocalowa kula okazała się niemal czarnym, czerwono prążkowanym wielościanem o wielu płaskich, nieregularnych powierzchniach; był to albo wyjątkowo niezwykły kryształ, albo rozmyślnie obrobiona i wypolerowana bryłka jakiegoś minerału. Wielościan nie spoczywał na dnie szkatuły – w połowie obwodu opasany był jedynie metalową taśmą, tę zaś podtrzymywało siedem cudacznie zaprojektowanych podpórek zamocowanych poziomo tuż pod pokrywą do wewnętrznych kątów szkatuły. Omiótłszy kamień z kurzu, Blake jął wpatrywać się weń z zatrważającą niemal fascynacją. Nie mógł oderwać oczu od jego połyskliwych powierzchni, roił wręcz sobie, że w istocie są one

przezroczyste, że można przez nie wejrzeć w głąb cudownych, na wpół ukształtowanych światów. Przed oczyma przepływały mu obrazy obcych planet: na jednych wznosiły się wielkie kamienne wieże, na innych tylko tytaniczne, pozbawione życia góry; zwidywały mu się też jeszcze odleglejsze przestrzenie, w których jedynym śladem świadomości i woli były poruszenia w rozemglonej czerni.

Rozglądając się po izbie, w kącie koło drabiny Blake spostrzegł dość osobliwą hałdę kurzu; nie potrafił orzec, czemu właściwie przykuła jego uwagę, wszelako jej zarys wyraźnie przemówił do jego nieświadomości. Kiedy już ruszył w jej kierunku, odgarniając na bok girlandy pajęczyn, kształt ów zaczął go niepokoić. Wystarczyło kilka ruchów ręką i chustką do nosa, by spod kurzu wyłoniła się ponura prawda. Zmieszanemu Blake'owi aż zaparło dech: był to ludzki szkielet. Musiał tu leżeć od bardzo dawna. Ubranie zdążyło rozpaść się na strzępy, lecz sądząc po guzikach i niektórych fragmentach tkaniny, był to mężczyzna w szarym garniturze. Dowodów jego tożsamości było więcej: buty, metalowe sprzączki, wielkie spinki do mankietów, staromodna szpilka do krawata, odznaka reportera z tytułem nieistniejącej już gazety „Providence Telegram" oraz rozsypujący się skórzany portfel. Ten ostatni Blake obejrzał ze szczególną wnikliwością; wewnątrz znajdowało się kilka wycofanych już z obiegu banknotów, laminowany kalendarzyk reklamowy na rok 1893, kilka wizytówek z nazwiskiem Edwin M. Lillibridge oraz kartka papieru zapisana ołówkowymi notatkami.

Notatki te, odczytane przez Blake'a w słabym świetle zachodniego okna, okazały się dość zagadkowe. Składały się z luźnych zdań następującej treści:

Maj 1844: prof. Enoch Bowen (znany archeolog i badacz okultyzmu) wraca z Egiptu. W lipcu kupuje stary kościół Wolnej Woli.

29 XII 1844: dr Drowne z Czwartego Kościoła Baptystów ostrzega w kazaniu przed Gwiezdną Mądrością.

Liczebność zgromadzenia pod koniec 1845: 97 osób.

1846: znikają trzy osoby – pierwsza wzmianka o Lśniącym Trapezoedrze.

7 zaginięć w 1848 – zaczynają się pogłoski o krwawych ofiarach.

Śledztwo w 1853 – bez efektów. Pogłoski o dziwnych hałasach.

Ksiądz O'Malley opowiada o sekcie oddającej cześć diabłu. Sekta posługuje się szkatułą znalezioną w potężnych egipskich ruinach. Przywołuje coś, co nie może istnieć w świetle – słabe światło zmusza je do ucieczki, mocne przepędza na dobre. Potem trzeba to przywołać raz jeszcze. Ksiądz dowiedział się o tym prawdopodobnie z przedśmiertnej spowiedzi Francisa X. Feeneya, który dołączył do Gwiezdnej Mądrości w 1849. Ci ludzie twierdzą, że Lśniący Trapezoedr odsłania przed nimi niebo i inne światy, a Nawiedziciel Mroku przekazuje im jakieś tajemnice.

1857: opowieść Orrina B. Eddy'ego. Oni wzywają to przez wpatrywanie się w kryształ; mają też własny język.

Liczebność zgromadzenia w 1863: 200 lub więcej, nie licząc

przełożonych.

1869: najazd Irlandczyków na kościół po zniknięciu Patricka Regana.

14 III 1872: zawoalowany artykuł w J., przechodzi bez echa.

1876: znika 6 osób – tajna komisja wzywa do siebie burmistrza Doyle'a.

Akcja planowana na luty 1877; kwiecień – zamknięcie kościoła.

Maj: gang (Chłopcy z Federal Hill) grozi doktorowi ..... i zakrystianom.

Do końca 1877 z miasta wyjeżdża 181 osób – nazwiska nieznane.

Około 1880 w kościele ponoć zaczyna straszyć – sprawdzić, czy rzeczywiście nikt tam nie wchodził od 1877.

Poprosić Lanigana o zdjęcie kościoła sprzed 1851.

...

Blake złożył kartkę i razem z portfelem schował do kieszeni płaszcza, po czym obejrzał raz jeszcze zakurzony szkielet. Wnioski z notatek nasuwały się same: przed czterdziestu dwu laty człowiek ten jako pierwszy odważył się wejść do opuszczonej świątyni, szukając tematu do sensacyjnego artykułu. Kto wie, może nawet nikogo nie wtajemniczył w swój plan? Tak czy owak do swej redakcji już nie wrócił. Czyżby w krytycznym momencie nie zdołał opanować trwogi i powaliła go nagła niewydolność serca? Blake pochylił się nad połyskującymi kośćmi i spostrzegł, że zachowały się one w dość szczególnym stanie. Część z nich leżała rozsypana luzem, a niektóre wydawały się dziwacznie rozpuszczone na końcach. Inne były dziwnie pożółkłe, jakby nadpalone. Ślady ognia zachowały się też na niektórych fragmentach garderoby. W przedziwnym stanie znajdowała się czaszka: ją również pokrywały żółte plamy, nadto zaś na czubku widniał wypalony otwór, jak gdyby przez litą kość przeżarł się w tym miejscu jakiś mocarny kwas. Co się działo ze szkieletem przez ponad czterdzieści lat leżenia w tym cichym grobowcu – niepodobna było sobie wyobrazić.

Ani się Blake obejrzał, a już wpatrywał się z powrotem w kamień, rozkoszując się rozemglonym widowiskiem, jakie ów wzbudzał w jego umyśle. Widział procesje postaci o nieludzkim pokroju, odzianych w habity i kaptury; widział szeregi niebotycznych posągów, biegnące przez pustynne bezkresy. Widział wieże i mury w oćmionych podmorskich głębinach, widział wiry przestrzeni, gdzie na tle znikliwych rozmigotań zimnej purpury smużyły się kłęby czarnej mgły. A nade wszystko wejrzał w odmęt nieskończonej ciemności, w którym tylko zwiewne poruszenia zdradzały obecność stałych i na poły stałych form, a niedocieczone układy sił kiełznały chaos swym porządkiem i dzierżyły klucz do wszystkich paradoksów i tajemnic znanych nam światów.

Raptem czar prysł zmieciony przypływem nieokreślonej, panicznej trwogi. Blake aż się zachłysnął; czym prędzej odwrócił wzrok od kamienia, czując, że coś bezcielesnego i nieludzkiego wpatruje się weń z przeraźliwą intensywnością. Miał wrażenie, że coś go spętało – coś, co nie znajduje się w kamieniu, lecz poprzez kamień go widzi – coś, co będzie szło nieustępliwie jego śladem i znało każdy jego krok, choć nie za pośrednictwem fizycznego

wzroku. Kościół wyraźnie zaczynał rozstrajać mu nerwy – i zważywszy na makabryczne znalezisko w hałdzie kurzu, nie było w tym nic dziwnego. Co gorsza, zaczynało się ściemniać; Blake nie miał przy sobie żadnego źródła światła, toteż wiedział, że musi jak najprędzej wyjść.

I właśnie wtedy, w gęstniejącym zmroku, zdało mu się, że w obłędnie kanciastym kamieniu dostrzega nikły poblask. Próbował się odwrócić, ale kamień przyciągał jego wzrok jakąś niejasną i upartą siłą. Cóż to miało znaczyć – czyżby fosforyzował leciuteńko? Może był promieniotwórczy? Czy w notesie zmarłego reportera nie było przypadkiem wzmianek o Lśniącym Trapezoedrze? I do czegóż właściwie miało służyć to porzucone siedlisko kosmicznego zła? Co tu się onegdaj wydarzyło? Czy coś mogło czaić się jeszcze w cienistych, omijanych nawet przez ptaki załomach? Blake odniósł wrażenie, że gdzieś w pobliżu wyczuwa ledwie uchwytny fetor, jakkolwiek nie mógł dociec, skąd się wydobywa. Chwycił wieczko otwartej od lat szkatuły i zamknął ją szybko. Wieczko obróciło się płynnie na swych nieziemskich zawiasach i zatrzasnęło szczelnie nad kamieniem połyskującym już teraz wyraźną jasnością.

Gdy tylko wybrzmiał trzask zamykanej szkatuły, z pogrążonej w wiekuistym mroku iglicy dobiegło szmerliwe poruszenie. To pewnie tylko szczury – jedyne żywe stworzenia, które ujawniły swą obecność, odkąd Blake wszedł do tej przeklętej ruiny. Szmer ów wszelako wystraszył go tak przeraźliwie, że młodzieniec zerwał się nagle i popędził jak szalony – w dół po spiralnych schodach, przez upiorną nawę, sklepioną piwnicę, prosto w gęstniejący zmierzch opustoszałego placu, i dalej, przez rojne, nawiedzone trwogą zaułki i aleje Federal Hill, aż do zdrowych ulic śródmieścia. Zatrzymał się dopiero na ceglanym chodniku wśród swojskich zabudowań dzielnicy uniwersyteckiej.

W następnych dniach Blake nie zdradził się przed nikim ze swoją wyprawą, pogrążył się natomiast w lekturze różnych książek, wertował dokładnie archiwa miejskich gazet oraz gorączkowo porał się z kryptogramem w skórzanym notatniku, który wyniósł z zapuszczonej zakrystii. Rychło okazało się, że szyfr bynajmniej nie jest prosty; po wielu żmudnych wysiłkach Blake zyskał niezbitą pewność, że tekst nie został napisany po angielsku, łacinie, grecku, francusku, hiszpańsku, włosku ani niemiecku. Zrozumiał, że musi sięgnąć do najgłębszych pokładów swej dziwnej erudycji.

Każdego wieczoru nawiedzał go też dawny impuls każący spoglądać na zachód; spoglądał przeto – i jak onegdaj widział czarną iglicę wzbijającą się ponad gąszcz dachów odległego, na poły bajecznego świata. Nie umiał już wszakże patrzeć na nią bez zgrozy. Wiedział, że jest to ostoja pradawnej i niedobrej wiedzy, świadom zaś tego nurzał się w coraz dziwaczniejszych umyśleniach. Z południa wracały już wędrowne ptaki – obserwując ich klucze na tle wieczornego nieba Blake roił sobie, że samotna, trupia wieżyca odstręcza je bardziej jeszcze niż dotychczas. Zdawało mu się, że ilekroć jakieś stado zbliży się do niej nieopatrznie, natychmiast zawraca i rozprasza się w panicznym rozgardiaszu; z takiej odległości nic oczywiście nie słyszał, ale domyślał się, jak szaleńczym wybuchają przy tym świergotem.

W czerwcu Blake odnotowuje w swym dzienniku, że wreszcie uporał się z kryptogramem. Jak się okazało, tekst spisany był w mrocznym języku Aklo używanym w niektórych nikczemnych kultach starożytności; Blake poznał go pobieżnie w trakcie swych niegdysiejszych dociekań. O wynikach swej pracy wspomina z wyraźną bojaźnią, jakkolwiek do samej treści rozszyfrowanego tekstu odnosi się bardzo powściągliwie. Stwierdza, że napotkał w nim wzmianki o Nawiedzicielu Mroku, który budzi się, gdy ktoś zapatrzy się w Lśniący Trapezoedr, oraz szaleńcze domniemania, jakoby stwór ów przybywał z czarnych czeluści chaosu. Pisano o nim jako istocie wszechwiednej i domagającej się potwornych ofiar. Blake był wyraźnie przekonany, że go przywołał; w niektórych zapiskach trapił się, czy aby nie wymknie się na zewnątrz – dodaje jednak, że światła uliczne stanowią dla tej nocnej istoty nieprzekraczalną zaporę.

Blake wspomina też często o Lśniącym Trapezoedrze; nazywa go oknem, przez które widać cały czas i całą przestrzeń. Streszcza również jego dzieje, od samej chwili powstania. Kamień wytworzono na mrocznej planecie Yuggoth, na Ziemię przywędrował razem z Przedwiecznymi. W osobliwej szkatule złożyły go i przechowywały myślące liliowce z Antarktydy; z antarktycznych ruin wydobyli go ludzie węże z Waluzji. Po wielu eonach w Lemurii spoczął na nim wzrok pierwszych istot ludzkich. Długo, długo wędrował przez dziwne lądy i jeszcze dziwniejsze morza, aż zatonął razem z Atlantydą; potem zaplątał się w sieć minojskiego rybaka, który następnie sprzedał go śniadym kupcom z nocnej krainy Khem*. Faraon Nephren-Ka wybudował dlań świątynię z bezokienną kryptą, a następnie popełnił czyn, który sprawił, że jego imię wymazano ze wszystkich pism i pomników. Potem kamień spał w ruinach swego sanktuarium zburzonego przez kapłanów i nowego faraona, aż wreszcie rydel współczesnego odkrywcy po raz kolejny zbudził go na pohybel ludzkości.

Na początku lipca w gazetach pojawiły się wiadomości w osobliwy sposób potwierdzające zapiski Blake'a, jakkolwiek były one tak zdawkowe i niepozorne, że zwróciły powszechną uwagę dopiero po jego śmierci i odkryciu dziennika. Pisano mianowicie, że odkąd do straszliwego kościoła wdarł się jakiś obcy, na Federal Hill znów zapanowała trwoga. Włosi szeptali lękliwie, że z ciemnej iglicy bez okien słychać niespotykane pierwej łoskoty, chroboty i szmery, prosili też swych księży, by przegnali precz istotę, która nawiedza ich w snach. Twierdzili, że coś tam nieustannie waruje przy drzwiach, bacząc, czy jest dość ciemno, by można było wyjść na zewnątrz. Gazety wspominały, że tego rodzaju zabobony krążą po okolicy od dawien dawna, nie zadały sobie wszakże trudu, by przedstawić dawniejsze dzieje tej przerażającej sprawy. Widać było, że w dzisiejszych czasach młodzi reporterzy nie mają za grosz historycznej żyłki. Blake wspomina o tych artykułach z osobliwym poczuciem winy, stwierdza nawet, że czuje się obowiązany pogrzebać Lśniący Trapezoedr i wpuścić do ohydnej wieżycy światło dzienne, by przepędzić to, co nieopatrznie przywołał. Zarazem jednak wciąż jest nią niebezpiecznie zafascynowany; przyznaje, że dręczy go – nawet w snach – pragnienie, by odwiedzić ów przeklęty obiekt i raz jeszcze wejrzeć w kosmiczne tajemnice skryte w jaśniejącym kamieniu.

I oto rankiem 17 lipca w „Providence Journal” ukazała się notka, która wprawiła naszego diarystę w najprawdziwsze przerażenie. Był to tylko kolejny półżartobliwy artykulik o niepokojach na Federal Hill, lecz dla Blake’a niósł on treść straszliwą. Otóż nocą przetoczyła się nad miastem burza z piorunami, która na całą godzinę wyłączyła miejskie oświetlenie – i podczas tego godzinnego zaciemnienia Włosi odchodzili od zmysłów ze strachu. Ci, którzy mieszkali w najbliższym sąsiedztwie straszliwej świątyni, zaklinali się, że stwór z iglicy skorzystał z awarii ulicznych lamp i opuścił swą kryjówkę – szamotał się po całym kościele z wyjątkowo przeraźliwym, lepkim trzepotem. Na koniec wpadł z powrotem do wieży, z której po chwili dobiegł brzęk tłuczonego szkła. W ciemnościach poruszał się z nieskrępowaną swobodą, światło jednak niechybnie zmusiłoby go do ucieczki.

Gdy na powrót włączono prąd, w wieży zakotłowało się przeokropnie, stwór nie znosił bowiem światła nawet w tak nikłej ilości, jaka sączyła się przez poczerniałe, zasłonięte żaluzjami okna. Wślizgnął się do swej gościnnej ciemnicy w ostatnim momencie – większa dawka światła niechybnie odesłałaby go z powrotem w otchłań, z której przyzwał go obcy szaleniec. Przez całą ciemną godzinę wokół kościoła gromadził się w deszczu rozmodlony tłum, osłaniając gazetami i parasolami zapalone lampy i świece – świetlna straż chroniąca miasto przed przyczajonym w ciemnościach koszmarem. Ci, co stali najbliżej, twierdzili nawet, że w pewnej chwili ohydnie załomotały główne wrota.

Nawet to nie było jednak najgorsze. Oto bowiem wieczorem Blake przeczytał w „Evening Bulletin”, co w trakcie burzy udało się odkryć dwóm wścibskim reporterom. Postanowili oni mianowicie sprawdzić, ile warte są niesamowite pogłoski, i rzucili wyzwanie oszalałym Włochom, wchodząc do kościoła. Zrazu bezskutecznie usiłowali sforsować frontowe wrota, a potem wczołgali się przez okienko w piwnicy. Okazało się, że kurz zalegający w kruchcie i upiornej nawie jest osobliwie zruszony, a co jeszcze ciekawsze, po podłodze walają się strzępki przegniłych poduszek i atłasowych obić wyrwanych ze stalli. Wszędzie okropnie cuchnęło, tu i ówdzie widać też było żółte plamy oraz inne, jeszcze dziwniejsze ślady, jakby osmalenia. Reporterzy odważyli się także otworzyć drzwi do wieży; przez chwilę wahali się, usłyszawszy na górze skrobanie, a następnie ruszyli po wąskich spiralnych schodach, które – jak się okazało – były z grubsza omiecione z kurzu.

Na wpół omiecione było również wnętrze wieży. Dziennikarze znaleźli tam siedmiokątny kamienny postument, poprzewracane gotyckie krzesła, niepokojące gipsowe posągi, o dziwo nie zająknęli się wszakże ani o metalowej szkatule, ani pokiereszowanym szkielecie. Dla Blake’a natomiast informacją najbardziej wstrząsającą – nie licząc wzmianek o plamach, śladach zwęglenia i wstrętnym zapachu – był szczegół, który wyjaśniał, skąd wziął się brzęk tłuczonego szkła. Otóż wszystkie ostrołukowe okna w wieży były rozbite, dwa z nich zostały zaś topornie, naprędce zaciemnione: szpary między skośnymi deseczkami zewnętrznych żaluzji zatkane były wyściółką atłasowych obić i końskim włosiem z poduszek. Strzępy atłasu i kępki włosia

zalegały też na świeżo omiecionej podłodze. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś usiłował był przywrócić w wieży kompletną ciemność – taką jak wówczas, gdy żaluzje i okiennice były jeszcze całe – ale coś mu przeszkodziło.

Żółtawe plamy i smolne ślady znajdowały się też na drabinie wiodącej do bezokiennej iglicy; jakoż i jeden z reporterów wdrapał się tam, odsunął klapę i skierował słabe światło latarki w wypełnioną dziwnym smrodem czerń – zobaczył jednak tylko ciemność, a nieopodal otworu także stos bezkształtnych i różnorodnych strzępów czegoś nieokreślonego. Werdykt był oczywisty: szarlatańswo. Ktoś niechybnie spłatał figiel zabobonnym mieszkańcom wzgórza – albo też jakiś fanatyk umyślnie podsycał w nich lęk, mając na względzie ich domniemane dobro. A może to ktoś z miejscowych, młodszy i sprytniejszy, obmyślił wyszukaną mistyfikację, chcąc zadrwić sobie z reszty świata? Reporterskie doniesienia chciała potwierdzić policja, efekt tych zamiarów okazał się jednak zdumiewający: trzech kolejnych funkcjonariuszy uchyliło się od zleconej misji, czwarty zaś przyjął ją z wyraźną niechęcią, bardzo szybko wrócił i nie miał nic do powiedzenia ponad to, co napisano w gazecie.

Od tej chwili zapiski w dzienniku Blake’a pełne są coraz bardziej dojmującej zgrozy i nerwowych domniemań. Blake wyrzuca sobie bezczynność, przemyśliwa szaleńczo nad konsekwencjami, jakie może przynieść kolejna awaria miejskiego oświetlenia. Po jego śmierci wyszło na jaw, że trzykrotnie – podczas burz z piorunami – wydzwaniał jak wariat do elektrowni, domagając się podjęcia jakichś desperackich środków zaradczych. Nie dawało mu spokoju, że reporterzy w trakcie oględzin oćmionej wieży nie natrafili na szkatułę i kamień, ani na dziwnie okaleczony szkielet. Doszedł do wniosku, że przedmioty te zostały stamtąd po prostu wyniesione; lecz przez kogo lub przez co, i dokąd – mógł się tylko domyślać. Najbardziej wszakże lękał się o siebie; czuł, że zadzierzgnęło się bezbożne porozumienie między jego umysłem a monstrum przyczajonym w odległej iglicy – owym nocnym potworem, którego przez swą nieroztropność przywołał z najczarniejszych zakątków przestrzeni. Nieustannie mocował się z jakąś nieznaną siłą; ci, którzy go podówczas odwiedzali, wspominają, że często siedział sztywno przy biurku z twarzą na wprost zachodniego okna i wpatrywał się nieprzytomnie w najeżone wieżami wzniesienie majaczące za skłębioną zasłoną miejskich dymów. W dzienniku zapisywał z uporem, że dręczą go nocne koszmary, że we śnie owo świętokradcze porozumienie wzmaga się jeszcze i krzepnie. W jednym z zapisków odnotował, że pewnej nocy zbudził się na ulicy – kompletnie ubrany schodził machinalnie w dół College Hill, kierując się na zachód. Raz po raz powtarzał, że stwór z iglicy znajdzie go wszędzie bez trudu.

# AZATHOTH, ŚLEPY BÓG IDIOTA, PAN WSZYSTKICH RZECZY

Od 30 lipca przez tydzień Blake przeżywał częściowe załamanie. Przestał się ubierać, jedzenie zamawiał wyłącznie przez telefon. Jego ówcześni goście wspominają, że przy łóżku trzymał pęk sznurów – twierdził, że zaczyna lunatykować, dlatego przywiązuje się za kostki do łóżka w nadziei, że przez sen nie zdoła się uwolnić, a może nawet zbudzi się w trakcie rozwiązywania.

W swym dzienniku Blake opisuje też ohydną genezę tego załamania. Otóż w nocy 30 lipca, udawszy się na spoczynek, ocknął się nagle w niemal doskonale czarnej przestrzeni. Jedyną rzeczą, jaką widział, były krótkie, nikłe, poziome smużki niebieskawego światła; dławił go natomiast przemożny fetor, a gdzieś w górze mrowiły się osobliwie miękkie, ukradkowe dźwięki. Blake próbował wymacać tę ciemność, lecz ilekroć się poruszył, potykał się o coś z łoskotem, a z każdym potknięciem, jakby w odpowiedzi, rozlegało mu się nad głową szmerliwe poruszenie, połączone z ostrożnym tarciem drewna o drewno.

W pewnej chwili wymacał przed sobą kamienny, pusty na wierzchu postument, a potem zdał sobie sprawę, że zaciska ręce na szczeblach wpuszczonej w ścianę drabiny i wspina się niepewnie, z góry zaś bucha jeszcze potężniejszy smród i bije weń strumień palącego żaru. Przed oczyma migotał mu kalejdoskop bajecznych widziadeł, co pewien czas rozwiewających się w bezkresnej, niezgłębionej otchłani, w której wirowały słońca i światy pełne jeszcze głębszej ciemności. Przyszły mu na myśl starożytne legendy o Ostatecznym Chaosie – tam, w samym centrum, otoczony roztrzepotaną hordą bezmyślnych i bezkształtnych tancerzy, spoczywa w swym leżu Azathoth, ślepy bóg idiota, Pan Wszystkich Rzeczy, dzierżąc w nieopisanych łapach demoniczny flet i popiskując sobie monotonnie do snu.

Wtem gdzieś na zewnątrz coś huknęło, wytrącając go z odrętwienia i uprzytomniając mu niewysłowioną grozę jego położenia. Skąd ów huk pochodził – Blake nie dowiedział się nigdy; może był to spóźniony fajerwerk, może znów, jak przez całe lato, Włosi na Federal Hill czcili któregoś ze swoich licznych świętych lub patronów swych wiosek w ojczystej Italii. Tak czy inaczej Blake wrzasnął przeraźliwie, na łeb na szyję zeskoczył z drabiny i po omacku, potykając się o niewidoczne przeszkody, popędził przed siebie przez niemal nieprzebitą czerń.

Od razu domyślił się, gdzie jest. Nie bacząc na nic, rzucił się w dół po wąskich, spiralnych schodach, nieustannie obijając się boleśnie o ściany. Jak w koszmarnym śnie przemknął przez potężną główną nawę, której upiorne łuki w oplotach pajęczyn sięgały aż do królestw szydliwie łypiącego cienia, na ślepo przedarł się przez zaśmieconą piwnicę, stamtąd wydostał się na wolne powietrze, w blask ulicznych latarń, jak szaleniec popędził w dół widmowego wzgórza, rozszemranego pomrukiem starych dachów, dalej przez milczące, ponure miasto strzelistych czarnych wież, pod górę stromym zboczem – aż wreszcie dopadł do antycznych drzwi swojego domu.

Gdy rankiem odzyskał świadomość, ujrzał, że leży na swym łóżku kompletnie ubrany, pokryty kurzem i pajęczynami. Całe ciało miał poobijane

i pokryte bolesnymi sińcami. Gdy spojrzał w lustro, okazało się, że włosy ma mocno osmalone, na górnych zaś częściach garderoby wyczuł dziwną i niedobrą woń. Wtedy właśnie się załamał. Przez kilka następnych dni snuł się w szlafroku po mieszkaniu pogrążony w niemal zupełnej bezczynności – wpatrywał się tylko bez końca w zachodnie okno, drżał na każdy dźwięk gromu i robił obłąkańcze zapiski w swym dzienniku.

Ósmego sierpnia, tuż przed północą, rozpętała się wielka burza. Pioruny biły raz po raz we wszystkich częściach miasta, zauważono też dwa niezwykłe pioruny kuliste. Deszcz lał jak z cebra, nieustanna kanonada gromów nie pozwalała zasnąć tysiącom mieszkańców. Blake panicznie bał się awarii zasilania, dosłownie odchodził od zmysłów; o pierwszej w nocy próbował dodzwonić się do elektrowni, choć linie telefoniczne były wyłączone ze względów bezpieczeństwa. Wszystko zapisywał w swym dzienniku – wielkie, nerwowe, często nieczytelne hieroglify, gryzmolone na oślep w ciemnościach, dają dobre pojęcie o tym, jak owej nocy wzbierały w nim szaleństwo i rozpacz.

Blake musiał siedzieć po ciemku, żeby widzieć, co dzieje się za oknem; większość czasu spędził przy biurku, wpatrując się lękliwie w rozmigotane od deszczu dachy śródmieścia i daleką konstelację świateł Federal Hill. Od czasu do czasu otwierał dziennik i bazgrał po omacku; całe dwie strony zapisane są urywanymi zdaniami w rodzaju: „Oby tylko nie zgasły światła”, „Na pewno wie, gdzie jestem”, „Muszę to zniszczyć” czy „Wzywa mnie – ale może tym razem mnie nie skrzywdzi”.

Nagle całe miasto pogrążyło się w ciemności. Zgodnie z raportem elektrowni nastąpiło to o drugiej dwanaście, Blake nie odnotowuje jednak dokładnej godziny. Napisał tylko: „Światła zgasły – Boże dopomóż”. Nie mniejsza trwoga panowała na Federal Hill: grupki ludzi paradowały w strugach deszczu po placu i zaułkach wokół złowieszczej świątyni, trzymając pod parasolami zapalone świece, latarki elektryczne, lampy naftowe, krucyfiksy i mamrocząc wszelkie możliwe zaklęcia, jakie w podobnych wypadkach stosuje się w południowej Italii. Błogosławili każdą błyskawicę, gdy zaś burza poczęła mijać i pioruny biły coraz rzadziej, aż wreszcie umilkły, prawymi rękoma czynili tajemne, trwożliwe znaki. Nagły poryw wiatru zdmuchnął wszystkie świece, grążąc plac w przeraźliwym mroku. Ktoś pobiegł obudzić ojca Merluzza z kościoła Spirito Santo; ksiądz pospieszył na posępny plac, by wspomóc swych wiernych wszelkim świętym słowem, jakie tylko mogło okazać się pomocne. I nikt już nie miał wątpliwości, że coś miota się i szamocze po zaciemnionej wieży.

O tym, co zdarzyło się o godzinie drugiej trzydzieści pięć, wiadomo z zeznań następujących osób: ojca Merluzza, kapłana młodego, inteligentnego i wykształconego, Williama J. Monahana z głównego komisariatu policji, odpowiedzialnego i spolegliwego funkcjonariusza, który pełnił właśnie nocny patrol i przybył na plac, by sprawdzić, co się dzieje, a także niemal wszystkich siedemdziesięciu ośmiu ludzi zgromadzonych u stóp kościelnego pagórka – zwłaszcza tych pod wschodnią fasadą świątyni. Oczywiście nie stało się nic, co byłoby bezapelacyjnie sprzeczne z porządkiem Natury, zaobserwowane zjawisko mogło mieć wiele różnych przyczyn. Nikt nie jest w

stanie stwierdzić z niezachwianą pewnością, jakie procesy chemiczne zachodzą w ogromnym, prastarym, niewietrzonym i od dawna opuszczonym gmaszysku, niejednorodnie umeblowanym i wyposażonym; mogły wydzielić się trujące opary, mógł nastąpić samozapłon, mogło wzrosnąć ciśnienie gazów powstałych wskutek wieloletniego gnicia – doprawdy, mogło się zdarzyć niemal wszystko. Żadną miarą nie można też, rzecz jasna, wykluczać rozmyślnego oszustwa. Incydent sam w sobie był całkiem prosty i nie trwał nawet trzech minut – ojciec Merluzzo, człowiek precyzyjny i akuratny, co rusz spoglądał na zegarek.

Otóż zrazu wyraźnie nasiliły się tępe, niezdarne łoskoty we wnętrzu czarnej wieży. Dziwne, niedobre fetory, które od dłuższej już chwili buchały z kościoła, teraz spotężniały nie do wytrzymania. Wreszcie rozległ się trzask pękającego drewna i tuż pod posępną wschodnią fasadą upadł nad dziedziniec duży, ciężki przedmiot. Ponieważ w porywistym wietrze nie dało się zapalić świec, wieża była zgoła niewidoczna, ale gdy przedmiot ów dosiągł ziemi, ludzie stojący najbliżej poznali, że jest to okopcona, sczerniała żaluzja wschodniego okna wieży.

Chwilę potem gdzieś z niewidocznych wyżyn chlusnęła fala przeokropnego, nieznośnego smrodu, przyprawiając roztrzęsionych obserwatorów o okrutne mdłości i niemal ścinając z nóg tłum stojący na placu. Równocześnie powietrzem targnęło nagłe drżenie, jak gdyby w górze zatrzepotały skrzydła, a od zachodu uderzył poryw jeszcze gwałtowniejszego wichru, zwiewając ludziom kapelusze z głów i wyrywając z rąk ociekające deszczem parasole. W nieprzebitym mroku nie widać było absolutnie nic, jakkolwiek tym, którzy zadzierali głowy w górę, zdawało się, że na tle atramentowego nieba dostrzegają rozpostartą płachtę jeszcze gęstszej czerni, jakby bezkształtną chmurę dymu – śmignęła nad placem i z chyżością meteoru pomknęła na wschód.

Na tym koniec. Zgnębieni obserwatorzy, na poły sparaliżowani z trwogi i zdumienia, nie mieli pojęcia, co czynić – i czy w ogóle czynić cokolwiek. Nie wiedząc, co się właściwie stało, nie odstąpili od czuwania na placu. Chwilę później rozmodlili się na nowo, rozełkane deszczem niebo rozdarła bowiem spóźniona błyskawica, a chwilę później rozległ się ogłuszający huk gromu. Pół godziny później deszcz ustał, a po następnym kwadransie ulice rozjarzyły się znowu światłem latarń; wyczerpany, przemoczony i zziębnięty tłum odetchnął wreszcie z ulgą i rozszedł się do domów.

Nazajutrz gazety napomknęły tylko o tym zdarzeniu na marginesie ogólnych relacji z wielkiej burzy. Wydaje się, że potężne wyładowanie, które nastąpiło po zajściach na Federal Hill, było jeszcze bardziej ogłuszające i oślepiające we wschodniej dzielnicy miasta; dało się tam również odczuć wiew dziwacznego fetoru. Całe zjawisko najdotkliwiej wystąpiło nad College Hill – potężny huk wyrwał mieszkańców tamtejszych domów ze snu i sprowokował do nieprawdopodobnych domysłów. Spośród tych, co nie spali już pierwej, tylko nieliczni spostrzegli świetlną anomalię, która rozbłysła pod samym szczytem wzgórza, i zauważyli, że od strony dolnych ulic wionął nagle niewytłumaczalny prąd powietrza, tak potężny, że omal nie ogołocił drzew z liści i nie połamał krzewów w ogrodach. Powszechnie sądzono, że

gdzieś w pobliżu musiał uderzyć samotny, nagły piorun, wszelako nigdzie nie widać było po nim śladów. Członkowie bractwa studenckiego Tau Omega tuż po błysku zauważyli ponoć, jak za oknami ich bursy przepływa groteskowa, ohydna masa dymu – spostrzeżenie to nie zostało wszakże zweryfikowane. Nieliczni świadkowie zdarzenia zgodnie twierdzą jednak, że nim uderzył ów spóźniony piorun, z zachodu istotnie buchnął gwałtowny poryw wiatru gnający falę nieznośnego smrodu; wszyscy okoliczni mieszkańcy potwierdzają zaś zgodnie, że tuż po grzmocie czuć było przez chwilę swąd spalenizny.

Wszystkie te sprawy roztrząsano później z wielką starannością, ponieważ uznano, że mogą mieć związek ze śmiercią Roberta Blake'a. Rankiem 9 sierpnia mieszkańcy bursy Psi Delta, której tylne, górne okna wychodzą na dom młodzieńca, zauważyli w zachodnim oknie jego pracowni białą, niewyraźną twarz, i coś im się nie spodobało w jej wyrazie. Gdy nadszedł wieczór, a twarz wciąż tkwiła tam w niezmienionej pozycji, zaczęli się niepokoić; czekali, aż w oknie zapali się światło, lecz na próżno. Wreszcie udali się do ciemnego mieszkania i zadzwonili do drzwi, a na koniec wezwali policję.

Sztywny trup siedział wyprostowany przy biurku na wprost okna – gdy zaś intruzi ujrzeli jego szkliste, wytrzeszczone oczy i twarz stężałą w grymasie najczystszej, konwulsyjnej trwogi, odskoczyli do tyłu z okrzykiem niesmaku i przerażenia. Zwłoki rychło trafiły na stół koronera, ten zaś, mimo że okno było nietknięte, orzekł, że przyczyną śmierci Blake'a było porażenie prądem lub spowodowane wyładowaniem napięcie nerwowe. Odrażający wyraz twarzy denata zupełnie zbagatelizował – stwierdził, że może to być rezultat głębokiego wstrząsu, całkiem prawdopodobnego u osoby tak niezrównoważonej emocjonalnie i obdarzonej wynaturzoną wyobraźnią. To ostatnie spostrzeżenie wysnuł po znalezieniu w mieszkaniu książek, obrazów i rękopisów, tudzież zabazgranego po omacku dziennika, który leżał otwarty na biurku. Blake gryzmolił w nim szaleńczo do ostatka – gdy go znaleziono, w zaciśniętej śmiertelnym spazmem dłoni ściskał jeszcze ołówek ze złamanym rysikiem.

Notatki zapisane po awarii oświetlenia są bardzo niespójne i tylko w części czytelne. Niektóre z osób badających sprawę wyciągnęły z ich lektury wnioski znacząco odmienne od tych zawartych w oficjalnym werdykcie – takie spekulacje rzadko jednak spotykają się z uznaniem konserwatywnie myślących osób. Teoretykom obdarzonym bujniejszą wyobraźnią nie przysłużył się też swym postępkiem przesądny doktor Dexter; przechwycił on mianowicie osobliwą szkatułę z wielościanem – kamień zaś ewidentnie wytwarzał światło, potwierdzili to świadkowie, którzy znaleźli szkatułę we wnętrzu mrocznej, bezokiennej iglicy – i wrzucił do najgłębszego kanału zatoki Narragansett. Gorączkowe przedśmiertne zapiski Blake'a powszechnie uznano za wytwór ciężkiej nerwicy i wybujałej wyobraźni dodatkowo rozjątrzonej wiedzą o nikczemnym kulcie, którego zdumiewające ślady udało mu się odkryć w posępnym kościele. Otóż i one – a raczej to, co udało się z nich odczytać:

Światła ciągle nie ma – już chyba od pięciu minut. Cała nadzieja w błyskawicach. Niechaj Yaddith sprawi, by biły jak najdłużej...! Wyczuwam w nich działanie jakiejś siły... Deszcz, grzmoty, wiatr – można ogłuchnąć... Ten stwór przejmuje władzę nad moim umysłem...

Mam kłopoty z pamięcią. Widzę rzeczy, których nigdy dotąd nie widziałem. Inne światy, inne galaktyki... Ciemno... Błyskawice wydają się ciemne, a ciemność wydaje się błyskać...

To niemożliwe, żebym w tym mroku naprawdę widział kościół i wzgórze. Pewnie błyskawice wytwarzają mi powidok na siatkówce oka. Boże, oby tylko ci Włosi zostali tam ze swoimi świecami, jeśli przestanie się błyskać!

Czegóż ja się boję? Czyż nie jest to wcielenie Nyarlathotepa, który w starożytnej, widmowej krainie Khem przybrał nawet postać ludzką? Pamiętam Yuggoth, pamiętam jeszcze dalsze Shaggai, pamiętam najskrajniejszą próżnię czarnych planet...

Długo szybował przez próżnię... nie mógł przemierzyć rozświetlonego wszechświata... myśli schwytane w Lśniący Trapezoedr stworzyły go na nowo... pchnęły przez otchłanie straszliwej jasności...

Nazywam się Blake – Robert Harrison Blake, East Knapp Street 620, Milwaukee, Wisconsin... Jestem tu, na tej planecie...

Miej litość, Azathothu! – przestało się błyskać – to straszne – wszystko widzę, ale nie wzrokiem, tylko jakimś innym, potwornym zmysłem – światło jest mrokiem, a mrok jest światłem... tamci ludzie na wzgórzu... straż... świece i zaklęcia... ich ksiądz...

Straciłem poczucie odległości: to, co dalekie, jest blisko, a to, co blisko – dalekie. Żadnego światła – żadnej szyby – widzę tę iglicę – tę wieżę – okno – słyszę – Roderick Usher – zwariowałem lub zwariuję – to coś miota się i szamocze po wieży – jestem nim, a to jest mną – chcę się wydostać... trzeba się wydostać i połączyć siły... To wie, gdzie jestem...

Jestem Robert Blake, ale widzę wieżę spowitą w mroku. Potwornie cuchnie... przemienione zmysły... z żaluzji w oknie lecą drzazgi... uwalnia się... Iä... ngai... ygg...

Widzę to – zbliża się – piekielny wiatr – tytaniczny kłąb – czarne skrzydła – Yog-Sothothu, ratuj – to trójpłatowe, gorejące oko...

* Fragment wiersza samego Lovecrafta, napisanego w 1917 roku.

* Khem, czyli „czarny” – nazwa starożytnego Egiptu używana przez jego mieszkańców.

Maciej Płaza

# W przeddzień potwornego zmartwychwstania

Jeśli istniała rzecz, której Lovecraft nie pomieściłby w swojej otchłannej wyobraźni, był nią zapewne pośmiertny los jego własnej twórczości. Niewielu pisarzy równie sumiennie zapracowało sobie na obojętność świata – choć niewielu też zdołało zaskarbić sobie bezinteresowną przyjaźń kolegów po piórze, którzy potem uchronili ich dorobek przed zapomnieniem. Przez całe niedługie życie Lovecraft uprawiał literaturę ze straceńczą nonszalancją: publikował w szmatławych pisemkach, tracił mnóstwo czasu na poprawianie cudzych utworów, kilku świetnych tekstów nie próbował ogłosić drukiem, bo uznał je za poronione. Nie licząc broszurki *Widmo nad Innsmouth*, wydanej niechlujnie w pięciuset egzemplarzach, swego nazwiska nigdy nie zobaczył na okładce książki. Czytając biografię Lovecrafta, trudno oprzeć się wrażeniu, że zarówno jego pisarstwo, jak i życie były rozchybotane między nadzieją i goryczą, ambicją i klęską, pragnieniem i stratą; widać w nim to samo pęknięcie między wzniosłością ideałów a siermiężnym okrucieństwem rzeczywistości, które szczerbatą krechą przecina życie jego bohaterów.

Lovecraft urodził się w roku 1890 w Providence, stolicy maleńkiego stanu Rhode Island na północno-wschodnim skraju USA – czyli w Nowej Anglii, kolebce anglosaskiej Ameryki. Był jedynakiem. Ojciec był obrotnym komiwojażerem, matka zgodnie z ówczesnymi standardami zajmowała się domem. Howard był dumny ze swoich korzeni: Phillipsowie, czyli rodzina matki, wywodzili się jeszcze z siedemnastowiecznych kolonistów, przodkowie ojca zaś przybyli do Stanów na początku XIX wieku z Anglii. W pozbawionej tradycji szlacheckich Ameryce taka genealogia, w połączeniu z białym kolorem skóry, protestanckością i porządną profesją, wystarczała, by poczuć się arystokratą – i tak przez całe życie miał czuć się Lovecraft. Początkowo wszystko wskazywało też, że będzie wzrastał jak w cieplarni: rodzice nie mieli wprawdzie ambicji artystycznych ani intelektualnych, ale byli ludźmi oświeconymi i kulturalnymi. Niestety, już w wieku czterech lat chłopiec przeżył pierwszą katastrofę: ojciec nagle oszalał i został zamknięty w szpitalu, by już nigdy go nie opuścić – zmarł cztery lata później. Howard nigdy nie poznał prawdziwej przyczyny szaleństwa i śmierci swego ojca; jego biografowie ustalili po latach, że Winfielda Scotta Lovecrafta zabiła uaktywniona po wielu latach kiła.

Osieroconego Howarda i jego matkę wziął pod opiekę dziadek, bogaty

przedsiębiorca Whipple van Buren Phillips. Ten serdeczny i charyzmatyczny człowiek godnie zastąpił Lovecraftowi nieobecnego ojca; Howard uwielbiał słuchać jego niesamowitych gawęd i przesiadywać we wspaniałej, zaopatrzonej w kolekcję osiemnastowiecznych książek bibliotece. Był dzieckiem wybitnie inteligentnym i łakomym na wiedzę; do piętnastego–szesnastego roku życia zdążył zafascynować się historią i kulturą starożytnej Grecji (w wieku siedmiu lat napisał regularnie rymowany poemat o Odyseuszu), literaturą niesamowitą (jako ośmiolatek zaczął czytać Edgara Allana Poego), astronomią (jako dziesięciolatek redagował własne gazetki naukowe, w wieku szesnastu lat pisywał artykuły popularnonaukowe do lokalnych czasopism); nauczył się łaciny, tłumaczył Wergiliusza, pisał opowiadania. Był chorowity, do szkoły chodził więc rzadko, ale wszystko wskazywało na to, że jest cudownym dzieckiem i nie potrzebuje pełnowymiarowej edukacji szkolnej. Niestety, gdy miał czternaście lat, ten świat także legł w gruzach: dziadek popadł w tarapaty finansowe i nagle zmarł. Reszta jego majątku, ocalała po spłaceniu długów, stała się głównym, acz stale wysychającym źródłem utrzymania Lovecrafta, jego matki oraz dwu ciotek – osób, z którymi do końca życia pozostał mocno związany.

Wraz z dziadkiem i młodzieńczą beztroską Howard utracił też dom – ze wspaniałej posiadłości Whipple'a Phillipsa, którą trzeba było sprzedać, przeprowadził się z matką do wynajętego mieszkania; wśród tych zawirowań zaginął też jego ukochany kot. Chłopiec rozpaczał, godzinami jeździł bez celu rowerem po Providence, myślał o samobójstwie. Ratunek znów odnalazł w książkach; żarliwie zainteresował się historią regionu, poszedł do szkoły średniej, rozwijał zainteresowania naukowe, zamierzał studiować astronomię. Kolejna katastrofa nastąpiła już nie tyle w jego otoczeniu, ile w nim samym, trudno jednak określić jednoznacznie, co ją spowodowało. Wiadomo tylko, że Lovecraft nagle porzucił szkołę, nawet nie próbował zapisać się na uniwersytet i właściwie zerwał kontakty ze światem zewnętrznym. Dlaczego? Dokładnie nie wiadomo; być może rozczarowany odkrył, że nie jest dość biegły w matematyce, by dostać się na wymarzone studia. Po latach lakonicznie stwierdził, że przeżył wówczas „załamanie nerwowe". Jeśli tak, musiało być silne, bo następne pięć lat jego życia jest niemal białą kartą: Lovecraft prawie nie wychodził z domu, nie nawiązywał znajomości, nie robił nic. Właściwie tylko czytał: oprócz książek naukowych, historycznych i genealogicznych namiętnie pochłaniał pisemka z groszową literaturą: fantastyczną, niesamowitą, romansową, kryminalną, westernową. Pisywał wiersze, podupadał na zdrowiu. Matka nie motywowała go do zmiany trybu życia; nie otrząsnąwszy się po okropnej śmierci męża, pogrążała się w depresji i dziwaczała; roiła sobie, że jej syn ma odrażającą twarz i dlatego ukrywa się przed ludźmi. Między obojgiem zacieśniała się zwyrodniała, miłosno-nienawistna więź.

Kto wie, jak skończyłby Lovecraft, gdyby przypadkiem nie nawiązał kontaktu z ciekawym kręgiem dziennikarzy amatorów. Byli to ludzie rozmaitych profesji, namiętnie uprawiający najróżniejsze rodzaje pisarstwa, od publicystyki i krytyki po prozę i poezję, energiczni i doskonale zorganizowani – pisemka drukowali domowymi sposobami i wysyłali sobie

pocztą, zrzeszeni byli w związkach z demokratycznie wybieranymi władzami. Stanowili środowisko nierówne pod względem intelektualnym, ale będące świetnym forum wymiany myśli oraz szkołą pisania i krytyki literackiej. Lovecraft poczuł się w nim jak ryba w wodzie: nawiązał intensywną korespondencję, zaczął wydawać własną gazetkę o znamiennym tytule „The Conservatist”, publikował wiersze, toczył żarliwe polemiki. Wkrótce stał się wśród swych kolegów po piórze prawdziwym autorytetem. Wyróżniał się erudycją, błyskotliwością i sprawnością pióra, ale brał też sobie do serca cudze krytyki i rady; dzięki nim stopniowo porzucił pisanie wierszy – rzemieślniczo sprawnych, ale staroświeckich i wtórnych – i wrócił do gatunku zarzuconego w latach dorastania, czyli opowieści niesamowitych. Jednym z powstałych wówczas opowiadań był ukończony w lipcu 1917 roku Dagon.

Biografowie podkreślają, że środowisko dziennikarzy amatorów spodobało się Lovecraftowi między innymi dlatego, że swoją bezinteresowną praktyką pisarską potwierdzało wyznawany przezeń etos sztuki dla sztuki, pisarstwa jako arystokratycznego gestu. Wzorzec do naśladowania Lovecraft znalazł w 1918 roku w życiu i twórczości swojego kolejnego literackiego idola, irlandzkiego fantasty Lorda Dunsany’ego. Etos pisania dla przyjemności, wywiedziony z opacznie i naiwnie rozumianego arystokratyzmu, stał się niestety główną przyczyną jego ubóstwa, a być może też przyczyną przedwczesnej śmierci: żyjąc ze spadku po Whipple’u Phillipsie, Lovecraft hołubił w sobie wyniosłe złudzenie, że jest niezależny od materialnego wymiaru pisarstwa i w ogóle zwolniony z konieczności podjęcia pracy zarobkowej. Łudził się też, że jest niezależny w wymiarze artystycznym – choć później, gdy już publikował w groszowych pisemkach, sam zauważył, że mimowolnie nagina się do gustów masowego czytelnika. Tak czy owak w latach 1913–1917 w jego życiu nastąpił prawdziwy przełom: Lovecraft odnalazł się w życzliwym sobie środowisku, nawiązał inspirujące kontakty intelektualne, serdeczne przyjaźnie – a wreszcie znalazł żonę.

Lovecraft dał się poznać nowym znajomym jako postać charyzmatyczna, ale dziwaczna, pełna sprzeczności: fascynujący rozmówca i polemista, w poglądach zatwardziały konserwatysta, rasista i antysemita (co w tamtych latach było znacznie bliższe przyjętym standardom niż dziś), dżentelmen o staroświeckich manierach, wielkoduszny i bezinteresowny przyjaciel, abstynent, zagorzały wróg alkoholu i rozrywek cielesnych, a do tego osobnik wyjątkowo aseksualny. Takim poznała go starsza o siedem lat wdowa Sonia Haft Greene, dziennikarka amatorka, z zawodu modystka, kobieta żywa, inteligentna i przedsiębiorcza, z pochodzenia zaś – co w świetle poglądów Howarda do dziś zbija z tropu biografów – rosyjska Żydówka. Jakim cudem przypadli sobie do gustu? Sonię zafascynowały umysłowość i osobliwa charyzma Lovecrafta; ten z kolei, poznawszy ją, złagodził wyniesiony z szacownej, aryjskiej, protestanckiej Nowej Anglii antysemityzm. Być może pomogła im się zbliżyć rozpacz Lovecrafta po śmierci matki. Susan Phillips zakończyła życie w sposób ponury, aż nazbyt przywodzący na myśl fabuły jego opowiadań: w 1919 roku przeżyła załamanie psychiczne i została zamknięta w szpitalu, zmarła zaś dwa lata później po nieudanej operacji

pęcherzyka żółciowego. W każdym razie Lovecraft i Sonia Greene spotykali się regularnie od 1922 roku – głównie w Nowym Jorku, na zjazdach dziennikarzy amatorów – a w 1924 wzięli ślub, w tajemnicy przed ciotkami Lovecrafta, które przejęły teraz kuratelę nad niechcącym dorosnąć siostrzeńcem.

Małżeństwo przetrwało dwa lata. Lovecraft przeniósł się do mieszkania żony na Brooklynie, opublikował kilka opowiadań, Sonia początkowo świetnie zarabiała. Niestety, rychło pojawiły się kłopoty finansowe, u Soni także problemy ze zdrowiem, Lovecraft zaś nie przyjął posady redaktora założonego w 1923 roku pulpowego pisma „Weird Tales" – wymagałoby to przeprowadzki do Chicago – i nie mógł znaleźć innej pracy, czemu zresztą trudno się dziwić, zważywszy, że miał już wówczas trzydzieści pięć lat i żadnych praktycznych umiejętności z wyjątkiem pisania, o doświadczeniu zawodowym nie wspominając. W 1925 roku Sonia wyjechała za chlebem na zachód, Howard przeprowadził się do maleńkiej kawalerki i małżeństwo przekształciło się w związek na odległość. Lovecraft przez rok pogrążał się w coraz większej nędzy i depresji: spotykał się wprawdzie z przyjaciółmi, ale już tylko pozorował szukanie pracy, godzinami włóczył się po nowojorskich slumsach, dręczony nostalgią przesiadywał w bibliotekach nad książkami o historii Providence. Nowy Jork przerażał go: hałaśliwa metropolia, wielojęzyczna i wielonarodowościowa, wydała mu się potwornym molochem, zwiastunem końca czystej rasowo cywilizacji anglosaskiej; do obsesyjnych rozmiarów urósł wówczas jego rasizm.

Dwa lata w Nowym Jorku przeżył jak w przedpieklu, gdy więc w 1926 roku za namową ciotek wrócił wreszcie do Providence, odżył jeszcze bardziej niż trzynaście lat wcześniej, gdy wchodził w świat amatorskiego dziennikarstwa. Szybko zapomniał o małżeństwie – Sonia zresztą wkrótce się z nim rozwiodła i zupełnie, choć bez wrogości, zerwali kontakty – i zaczął prowadzić ubogie, lecz intensywne kawalerskie życie, oprócz lektur wypełnione wizytami u przyjaciół i muzealno-antykwarycznymi wycieczkami po wschodnim wybrzeżu Stanów. Ostatnie czternaście lat jego życia było czasem owocnym, inspirującym i twórczym, na swój sposób dobrym. Cieniem kładło się na nim ubóstwo – spadek po dziadku kurczył się coraz bardziej, Lovecraft utrzymywał się z kiepsko płatnego pisania na zamówienie i poprawiania cudzych utworów – niebawem także śmierć obu ukochanych ciotek, no i rosnące zniechęcenie do pisania. Lovecraft pisał teraz bowiem jak szalony, tyle że jego utwory, coraz dłuższe i ambitniejsze, coraz częściej bywały odrzucane przez redaktorów czasopism. Z tych lat pochodzi też spora część jego olbrzymiej korespondencji, zawierającej kilkadziesiąt tysięcy listów niekiedy liczących po kilkadziesiąt stron rękopisu. Lovecraft był tak samo wielkodusznym, bezinteresownym i atrakcyjnym korespondentem, jak przyjacielem i partnerem do dyskusji: pisał szczerze, chętnie i żarliwie, wykładał swoje poglądy naukowe, filozoficzne, polityczne i estetyczne, udzielał rad młodszym pisarzom, relacjonował krajoznawcze wycieczki. Z piszącymi kolegami przerzucał się pomysłami. Wiele fikcyjnych bóstw, postaci czy ksiąg wypełniających jego twórczość stanowiło ich wspólną własność, krążyło między utworami,

niekiedy były to żartobliwe kryptonimy konkretnych osób: kapłan Atlantydów Klarkash-Ton z *Szepczącego w ciemności* to malarz, poeta i nowelista Clark Ashton Smith; hrabia D'Erlette, autor wspomnianej w *Cieniu spoza czasu* i *Nawiedzicielu mroku* książki *Cultes des Goules*, to powieściopisarz i nowelista August Derleth; dzieło *Unaussprechlichen Kulten* von Junzta wymyślił fantasta Robert E. Howard, twórca postaci Conana, tytuł zaś wspólnie (i błędnie) przetłumaczyli na niemiecki Lovecraft z Derlethem. Wiele konceptów, zwykle służących jako barwne, tajemnicze hasła, pochodziło z twórczości pisarzy starszych, mistrzów literatury niesamowitej, niemających pojęcia o istnieniu Lovecrafta i jego kręgu: Arthura Machena (znak Voor, język Aklo), Roberta W. Chambersa (Żółty Znak), Ambrose'a Bierce'a (bóstwo Hastur, książka *Dziwy wiedzy* „starego Morrystera"). Pełne wyliczenie i objaśnienie tych wspólnych wynalazków wypełniłoby osobne posłowie.

Lovecraft ze swymi przyjaciółmi, spośród których wielu nigdy nie spotkał osobiście, stworzył w latach dwudziestych i trzydziestych specyficzną, bo dość ascetyczną i w znacznej mierze korespondencyjną cyganerię. Stopniowo zyskiwał w niej coraz większe poważanie: im bardziej zniechęcał się do pisania, tym bardziej jego koledzy pojmowali, że mają między sobą pisarza wyjątkowego, zasługującego na więcej niż łamy „Weird Tales" i kiepskie broszurki. Niestety, aż do śmierci nie doczekał się uznania poza kręgiem swoich korespondentów i anonimową rzeszą czytelników groszowych pisemek. Zmarł na początku 1937 roku: po serii gwałtownych bólów brzucha znalazł się w szpitalu, gdzie zdiagnozowano mu raka jelita w końcowym stadium. Pochowano go w rodzinnym grobowcu na Swan Point Cemetery w Providence. Dopiero w latach siedemdziesiątych miłośnicy jego twórczości ufundowali mu nagrobek: skromną płytę z dumnym napisem „I am Providence".

Literackie przyjaźnie uchroniły twórczość Lovecrafta od zapomnienia: August Derleth oraz pisarz, poeta i redaktor Donald Wandrei dwa lata po jego śmierci założyli oficynę Arkham House, początkowo wyłącznie z myślą o wydawaniu utworów Lovecrafta. Wśród wydanych pośmiertnie utworów znalazły się też niezwykłe pierwodruki, na przykład *Przypadek Charlesa Dextera Warda*, który – w co trudno uwierzyć – Lovecraft uważał za tekst słaby i nigdy nie próbował go opublikować. Po latach oprócz opowiadań wydawnictwo opublikowało także pięciotomowy wybór jego listów. Dziś stare publikacje Arkham House, niskonakładowe, w twardych okładkach, są bibliofilskim rarytasem.

Lovecraft znał świat prawie wyłącznie z lektur; nigdy nie pracował, nie miał znajomych spoza kręgów literackich, z wyjątkiem wizyt w kanadyjskim Quebecu i na Florydzie nie podejmował dłuższych podróży; prócz małżeństwa z Sonią Greene nie miał żadnych związków z kobietami; gdy wybuchła wojna światowa, próbował zaciągnąć się do wojska, ale zdyskwalifikowano go ze względu na słabe zdrowie. Prawie przez całe życie obserwował świat ze wzgórz swojego ukochanego Providence – miasta o zacnej historii, będącego ważnym ośrodkiem uniwersyteckim, jednak dość prowincjonalnego. Kolonialna atmosfera Nowej Anglii, szacowne

pochodzenie społeczne, wyniesione z domu wychowanie oraz młodzieńcze lektury ukształtowały w nim nie tylko ultrakonserwatywny światopogląd, ale i głęboką, instynktowną niechęć do współczesności. Tym gorzej dla niego, bo przełom XIX i XX wieku był burzliwy; rodziła się wówczas ni mniej, ni więcej jak tylko nowoczesność – w wymiarze materialnym, społecznym, myślowym i estetycznym. Stara „kolonialna” Ameryka odchodziła w przeszłość. W całym świecie Zachodu był to czas gwałtownej industrializacji i narodzin przedsiębiorczości korporacyjnego typu: wielkich trustów, wielkiego biznesu, wielkich majątków. Wielką *idée fixe* zachodniej cywilizacji stał się postęp: bezwarunkowy, bezcelowy i niemoralny, w sobie samym znajdujący rację bytu.

Lovecraft pilnie śledził bieg wydarzeń, ale kierunek zmian w Ameryce i w świecie budził w nim zgrozę. Tęsknie spoglądał w stronę plantatorskiego i rasistowskiego Południa, żałując przegrania wojny secesyjnej, krzywo patrzył na rozrastające się miasta, wstrętem napawał go napływ imigrantów: Latynosów, Włochów, Polaków, Żydów; w swoim nostalgicznym, snobistycznym konserwatyzmie był tak skrajny, że nie uważał się nawet za Amerykanina, tylko Anglika, twierdził, że błędem była już sama wojna o niepodległość! Jego rasizm nie był wówczas niczym wyjątkowym, pamiętajmy, że jeszcze niemal dwadzieścia lat po śmierci Lovecrafta na południu Stanów czarnoskórzy jeździli w autobusach na osobnych ławkach. Początek XX stulecia to okres darwinizmu społecznego, naukowo sankcjonowanego etnocentryzmu; pogarda dla innych ras i kultur, przekonanie o absolutnej wyższości białej cywilizacji były wówczas standardowym wyposażeniem anglosaskiego intelektualisty. U Lovecrafta ten światopogląd został dodatkowo podbudowany źle zrozumianymi doświadczeniami osobistymi: za swoją klęskę w Nowym Jorku obwiniał nie tyle siebie, staroświeckiego i niepragmatycznego prowincjusza, ile wstrętne, kolorowe ludzkie masy. Jedynym elementem współczesności, który go fascynował, były odkrycia nauk przyrodniczych i ścisłych: astronomii, fizyki, kosmologii, biologii, geologii, paleontologii. Ale rozwój nauk, nie inaczej niż cały postęp, był dwuznaczny, poszerzał bowiem kosmos, tę czterowymiarową otchłań przestrzeni i czasu, pogłębiając w człowieku poczucie zagubienia. Ta dwuznaczność nauki odcisnęła się w pisarstwie Lovecrafta bardzo mocnym piętnem.

Duchem Lovecraft tkwił właściwie w XVIII stuleciu, w idealizowanym przez siebie wieku oświecenia. Nie inaczej było z jego poglądami estetycznymi. Pomijając literaturę niesamowitą z Poem na czele, Lovecraft prawie nie dostrzegał literatury i kultury dziewiętnastowiecznej. Istniały dla niego w zasadzie tylko dwa bieguny: wiek XVIII, z jego wzniosłym stylem, eleganckimi dziennikami z podróży, traktatami filozoficznymi i sylabicznym wierszem, oraz prądy i tendencje współczesne, którymi gardził: modernistyczną poezję z T.S. Eliotem na czele uważał za bezwartościowy bełkot, w realizmie i naturalizmie w prozie widział triumf przyziemności i prymitywu, a awangardy artystyczne w rodzaju futuryzmu uznawał za jałowe wybryki wyobraźni. Zmieniała się także specyfika życia literackiego: w latach dwudziestych rozrastał się, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, rynek

kultury popularnej; mnożyły się pisemka z groszową literaturą, prężnie rozwijał się film, rodził się komiks. Wykluwała się także nowoczesna fantastyka – coś więcej niż konwencja literacka, raczej osobny świat, wspólna własność jej twórców, powiązana siecią pojęć, obrazów i motywów, z samowystarczalną społecznością pisarzy, czytelników i krytyków. Świat ten był pod względem intelektualnym dość pokraczny, ale sugestywnie obrazował nadzieje, marzenia i lęki współczesności oraz stanowił wylęgarnię konceptów służących do jej opisania. Lovecraft w pewnym sensie z tej zmiany skorzystał, bo uważał, że w fantastyce – głównie fantastyce grozy – najpełniej da się uchwycić poczucie metafizycznej samotności i zagubienia, będące, jak sądził, głównym rysem kondycji ludzkiej. Jego twórczość jednak na tym ucierpiała, trochę pod względem warsztatowym, ale głównie dlatego, że na kilkadziesiąt lat wchłonęło ją getto literatury niepoważnej; solidnie poszufladkowany i wiecznie zadowolony z siebie światek akademicki jeszcze do niedawna nie chciał uznać jej obywatelstwa w świecie literatury „w ogóle". W niektórych krajach, choćby w Polsce, pisarstwo Lovecrafta wciąż też jeszcze nie wyszło z czyśćca fatalnych tłumaczeń, ohydnych wydań i amatorskich opracowań.

Lovecraft jako twórca literatury niesamowitej był wyjątkowo samoświadomy. Świadczy o tym choćby jego esej *Supernatural Horror in Literature* („Nadprzyrodzona groza w literaturze", po polsku znany pod nieco innym tytułem, w żenującym przekładzie) – tekst przez lovecraftologów przeceniany, napisany na zamówienie, w pośpiechu i wskutek tego dość felietonowy, ale dowodzący niezłego oczytania i znajomości kanonów gatunku. Własne opowiadania niesamowite Lovecraft pisał ze śmiertelną powagą, widział siebie jako rewelatora mrocznych tajemnic, których nie byłaby w stanie udźwignąć literatura realistyczna. Jego dojrzała twórczość powstawała przez okrągłe dwadzieścia lat: od 1917 do 1937 roku; w takiej właśnie chronologicznej rozpiętości i kolejności prezentuję ją w niniejszym wyborze. Z ponad sześćdziesięciu utworów, które wyszły spod jego pióra, wybrałem piętnaście, jak to się kiedyś ładnie mówiło, najcelniejszych: najgłębszych i najpoważniejszych, a przede wszystkim najlepszych literacko, pozbawionych mielizn, dłużyzn, uproszczeń, kiepskich chwytów fabularnych i chybionych żartów. Nie ma tu też przesadnych erupcji nienawiści rasowej – nasycone nią teksty odrzuciłem nie ze względu na polityczną poprawność, tylko dlatego że folgując sobie ideowo, Lovecraft zaczynał po prostu źle pisać. Zupełnie pominąłem osobną, szczuplejszą objętościowo gałąź Lovecraftowskiej *fantasy* – jest to twórczość urokliwa literacko, ale wtórniejsza, a przede wszystkim, co jest nieuleczalną skazą tego gatunku, eskapistyczna; nie odciska się w niej rzeczywiste, złożone doświadczenie ludzkiego bytowania. Oto więc przed Tobą, Czytelniczko i Czytelniku, piętnaście najintensywniejszych koszmarów, jakie zrodziły się w wyobraźni Lovecrafta. Jeśli zaczynasz lekturę od tego posłowia, najlepiej przejdź teraz na początek książki i rozkoszuj się samym Lovecraftem, a tutaj wróć później. Jeśli już ją przeczytałaś bądź przeczytałeś, znajdziesz tu garść myśli, które być może nieco rozświetlą te mroczne i wcale nieproste wizje – myśli, które wykluwały mi się w głowie przez kilkanaście lat obcowania z prozą

Lovecrafta i kilkanaście miesięcy tłumaczenia jej.

W lekturze tej prozy uderza rzecz charakterystyczna, choć zwodnicza; wywiodła na manowce choćby znakomitego biografa, ale gorszego interpretatora S.T. Joshiego. Otóż z grubsza obecny jest w niej klasyczny schemat literatury niesamowitej, czyli konfrontacja bohatera z przerażającą Tajemnicą – znakiem rozpoznawalnym Lovecrafta jest jednak materialność owej Tajemnicy, doczesność Zła. Z listów Lovecrafta wiadomo, że był on zagorzałym ateistą. W jego opowiadaniach nie istnieją zaświaty i eschatologie; występuje w niej spory panteon rzekomych „bóstw", ale nie są to przecież żadni bogowie, tylko istoty fizyczne, uważane za boskie przez swych prymitywnych wyznawców. Świat Lovecrafta jest wielopiętrowy, narratorzy bez krępacji mówią o wykraczaniu poza Einsteinowskie kontinuum czasoprzestrzenne, o innych niż materialne formach bytowania – ale nawet gdy budzi się w nich metafizyczna trwoga, nie opuszczają kręgu metafizyki laickiej. Do tego materializmu Lovecraft dochodził stopniowo, w początkowym okresie twórczości zdarzało mu się pisać utwory z wyczuwalnym tchnieniem zaświatów. Ich reliktem jest w niniejszym zbiorze *Muzyka Ericha Zanna*, pyszna fantazja wzorowana na gotyckiej i romantycznej literaturze grozy. Wszystkie pozostałe opowiadania, od *Dagona* po *Nawiedziciela mroku* – może jeszcze z wyjątkiem *Wyrzutka*, ale to utwór zupełnie osobny – rozgrywają się właściwie w tym samym, jednorodnie materialnym świecie. Co w takim razie jest w nim straszne? Wydaje mi się, że trzy rzeczy, splecione w ciężki, mroczny węzeł: kosmos, czas i potworność.

Lęk przed ogromem kosmosu przenika niemal wszystkie utwory Lovecrafta. Większość „bogów", wątków, wizji można uznać za czyste emanacje tego lęku, za przyobleczone w obrazowy kształt doznanie otchłanności wszechświata. Czym jest przecież planeta Yuggoth, czym jest daleki glob Yith, kolebka Wielkiej Rasy z Cienia spoza czasu, czymże są wreszcie nieopisane kosmiczne i pozakosmiczne przestrzenie, w których mieszkają Azathoth, Nyarlathotep, Yog-Sothoth i inni bogowie? Wszechświat Lovecrafta, choć ogromny, jest tłoczny: straszliwe istoty przemierzają próżnię, kolonizują planety, zwalczają się nawzajem. Wręcz trudno w nim na siebie nie wpaść: to przecież zdumiewające, że – jak wynika z *Zewu Cthulhu*, *W górach szaleństwa*, *Zgrozy w Dunwich*, *Cienia spoza czasu* – kosmiczne potwory aż tyle razy ścierały się ze sobą na maleńkiej, pozornie nieznaczącej Ziemi. Co to znaczy? To, że kosmos na Ziemię napiera: niepojęty ogrom próżni nie jest bierny i neutralny, raczej rozmyślny i złośliwy, bije w naszą planetę czarnym, zimnym ogniem, poraża umysły wrażliwszych jednostek. Bohaterowie Lovecrafta to ludzie wykształceni, zwykle uczeni bądź oświeceni amatorzy, zdają sobie sprawę z potęgi wszechświata, ale w pewnym momencie jego otchłanna próżnia odsłania im się w straszliwym objawieniu – i ten właśnie moment Lovecraft przedstawia jako zetknięcie z pozaziemskimi istotami bądź przedmiotami.

Dlaczego ten moment jest taki straszny? Ponieważ nie tylko sam kosmos, ale nawet wiedza o jego ogromie nie jest na ludzką miarę. Zauważmy, jak namiętnie Lovecraftowscy bohaterowie mówią o „nienaturalności"

wszechświata, o jego anomalności, zwyrodniałości, bluźnierczości. Rozpoznają je natychmiast, instynktownie. Skąd to pomieszanie pojęć, dlaczego ci mądrzy ludzie tak łatwo tracą intelektualną miarę? Czemu wreszcie, choć ich twórca był zatwardziałym ateistą i boskość jest w ich świecie nieobecna, tak często wznoszą okrzyki do chrześcijańskiego Boga? Skąd w ogóle bierze się w nich tak silne poczucie metafizycznego zła, czemu tak mocno czują jego obecność w jednorodnym przecież, materialnym świecie? Ta właśnie sprawa nie daje spokoju wielu interpretatorom Lovecrafta, między innymi Joshiemu – a to dlatego że nie doceniają oni jego literackiej i filozoficznej samoświadomości. Kosmiczna trwoga, która doprowadza do szaleństwa bohaterów Lovecrafta, jest nie tylko echem jego osobistej fobii, ale i krzykliwą metaforą metafizycznej samotności człowieka ery nowoczesnej. Literatura grozy, to *infant terrible* epoki oświecenia, zawsze była wywrotowa wobec racjonalistycznego, laickiego modelu świata, nawet gdy wychodziła spod pióra ateistów; przypominała, że model ten nigdy nie będzie dość kompletny, by wykluczyć lęk przed nieznanym, a nawet że właśnie ta kompletność może stać się źródłem przerażenia. Nie po raz pierwszy w historii kultury zdesakralizowana boskość przerodziła się w potworność, a zabity Bóg stał się demonem. Nigdy w dziejach ludzkiej myśli świat nie był odczarowywany tak drastycznie i gwałtownie, jak w drugiej połowie XIX i pierwszej XX wieku. Kosmos poszerzał się i zmieniał dosłownie na oczach Lovecrafta: ten pasjonat astronomii, fizyki i chemii doskonale rozumiał, jakie filozoficzne implikacje ma teoria względności Einsteina czy mechanika kwantowa Heisenberga i Bohra; wiedział, że chwieje się gmach, w którym ludzkość mieszka od swojego zarania: gmach mitologii, eschatologii i *sacrum* dający złudne, ale kojące poczucie filozoficznego bezpieczeństwa. Zabawną, ale znamienną anegdotą jest, że przystępując do pisania *Szepczącego w ciemności*, Lovecraft był przekonany – jak cały ówczesny świat – że wokół Słońca krąży osiem planet; zanim jeszcze skończył tę fantazję o nieznanej Ziemianom planecie Yuggoth, wyczytał w gazecie, że odkryto planetę kolejną, Plutona!

Nieco bardziej złożona jest sprawa czasu. W zasadzie Lovecraftowscy bohaterowie boją się go tak samo jak otchłannych dali – i nic dziwnego, czas jest przecież takim samym atrybutem wszechświata jak przestrzeń. Nauka „rozciągnęła” historię wszechświata w podobnie zatrważający sposób: od kilku tysięcy lat istnienia, które w wieku XVIII pracowicie wyliczano na podstawie Księgi Rodzaju, do kilku miliardów w czasach Lovecrafta. Czas ma jednak dla Lovecrafta jeszcze jedną, mniejszą skalę: historię, czyli czas ludzki, zwłaszcza trzystuletnią historię Ameryki.

Czas kosmiczny oraz „przedludzki” czas ziemski budzą grozę z tej samej przyczyny, co przestrzeń. Najdotkliwiej odczuli ją profesorowie Dyer i Peaslee, narratorzy opowiadań *W górach szaleństwa* i *Cień spoza czasu*; zgłębiając pradawne ruiny, nie tyle dowiedzieli się oni, że Ziemia czy wszechświat istnieją miliardy lat – któż wiedziałby to lepiej niż geolog? – ile doświadczyli tego na własnej skórze. Ich wędrówki w głąb geologicznej przeszłości to wspaniałe fabularne ilustracje poczucia nieludzkości czasu, jego głębokiej niestosowności wobec ludzkiej skali pojmowania. Dostąpili oni

także iluminacji, odkrywszy, że „ludzkość jest tylko jedną – i to być może najlichszą – z wielu wysoko rozwiniętych ras, które panowały na Ziemi w trakcie jej długich i wciąż nie do końca poznanych dziejów” – czyli uzmysławiają sobie niejedyność i niekonieczność człowieka. Czy trzeba podkreślać, że inne rasy, przeszłe i przyszłe – ci wszyscy Hiperborejczycy, Tcho-Tcho, ludzie-gady z Waluzji, plejstoceńscy wyznawcy Tsathoggui – są okropne, nawet jeśli umieją stworzyć lepszą cywilizację niż my? Muszą takie być. Nasza skala normalności jest króciutka, nie obejmuje nawet całej różnorodności gatunku ludzkiego; któż odczuwał to mocniej niż Lovecraft, rasista kulący się z odrazy na widok Murzynów i Chińczyków? W dodatku najdoskonalsza ze wszystkich Wielka Rasa z *Cienia spoza czasu* zbudowała swoją kulturę przemocą, podstępem i podbojem – Inny musi być więc wstrętny nie tylko estetycznie, ale i etycznie.

Złudną ostoję daje swojski czas historyczny. Lovecraft, miłośnik muzeów, zabytków i antykwariatów, czuł się w nim jak ryba w wodzie; na pozór nie inaczej czują się jego bohaterowie, zwłaszcza Charles Dexter Ward. Zgłębiając dzieje swego ukochanego Providence, Ward dokopuje się jednak do przerażającej tajemnicy, która przynosi mu zgubę. Nie lepszy los spotyka innych historyków amatorów: Delapore’a ze *Szczurów w murach* czy narratora *Widma nad Innsmouth*. Wciąż powtarza się ten sam schemat: wertując dokumenty i przekazy ustne składające się na oficjalną historię, w końcu zawsze dociera się do wiedzy okropnej, zabójczej; historia, materialnie obecna w witrażach, mansardowych dachach, malowniczych uliczkach i gotyckich murach, o których z taką lubością rozpisują się Lovecraftowscy narratorzy, jest historią nikczemności, zwyrodnień i zbrodni. Oczywiście im dalej w przeszłość, tym okrutniej, aczkolwiek Lovecraft dostrzega też w ludzkim świecie pewien constans okrucieństwa; czegóż innego metaforą jest trwałość ludożerczego kultu w *Szczurach w murach* czy krwawych obrzędów w *Zewie Cthulhu*?

Paradoksalny stosunek Lovecrafta do historii unaocznia w dość kuriozalnym skrócie przedziwny fragment *Koloru z innego wszechświata*, kiedy Ammi Pierce uzmysławia sobie nagle, że dom Gardnerów, w którym przyczaił się przed szalejącym kolorem, jest „obmierźle antyczny”. Dlaczego, u licha, Lovecraft pisze tak o domu zbudowanym w ukochanych kolonialnych czasach? Odsłania się tu, jak sądzę, jego głębokie przekonanie o dwu sprawach. Po pierwsze, o tym, że historia jest kroniką ludzkiego zła, choćby i nieświadomego, także w mikroskopijnej skali jednej rodziny; gdy zarażona przez kolor pani Gardner zaczyna tracić rozum, poczciwy mąż zamyka ją przecież w komórce na strychu – na wsiach była to wówczas normalna praktyka, Lovecraft wspominał o tym w listach, ale czy to usprawiedliwia ten akt mimowolnego okrucieństwa? Ile takich aktów zdążyło już zobaczyć dwustuletnie domostwo Gardnerów? Po drugie, historia jest opisem przemijania, a przemijanie wiąże się z rozpadem i rozkładem; badając materialne znaki przeszłości, odkrywamy zalążki zepsucia, które są zwyczajnie wstrętne, choćby dlatego, że przypominają nam o przemijalności naszych własnych ciał. Dlatego również chata samego Ammiego jest, jak stwierdza narrator, „archaiczna wręcz zatrważająco” i wydziela „słabą woń

rozkładu, właściwą nazbyt wiekowym domostwom”. Historia ma taką właśnie nieznośną i nieusuwalną dwuznaczność, etyczną i estetyczną.

Najbardziej jednak, bardziej niż otchłanie czasu i przestrzeni, przeraża Lovecrafta potworność. Czym są jego potwory? Ogólnie i filozoficznie mówiąc, są ucieleśnioną negacją. Negacją czego? Wszystkiego, co normalne, czyli ludzkie, czyli zdrowe, czyli dobre, czyli piękne. Dodajmy jeszcze: są negacją absolutną, bo zaprzeczającą wszystkim bez wyjątku pozytywnym jakościom naszego świata, oraz agresywną, to znaczy działającą, czynną, niszczącą. Gdy śledzi się ewolucję pojęcia potworności w historii kultury i sensy, jakie mu z biegiem wieków nadawano, potwory Lovecrafta wydają się dziwnie archaiczne. Wszystkie te Cthulhu, Mi-Go, Istoty z Głębin czy ich ziemski pomiot w rodzaju braci Whateleyów, są bowiem skonstruowane tak, jak „konstruowała” potwory świadomość ludzi średniowiecza czy renesansu. Lovecraft utożsamia w nich mianowicie nieklasyfikowalność, czyli wymiar epistemologiczny, z ohydą cielesną, czyli wymiarem estetycznym, oraz absolutnym złem, czyli wymiarem moralnym. W taki sposób wyobrażano sobie potwory w dawnych dziełach geograficznych, zawierających fantastyczne opisy dalekich, nietkniętych chrześcijańską stopą krain. Tak też trzeba rozumieć strumienie przymiotników, jakimi Lovecraftowscy narratorzy bezradnie chłoszczą opisywane przez siebie potwory. Błyskawicznie, z zadziwiającą nadświadomością identyfikują oni wszystkie trzy wymiary potworności, nawet gdy widzą te monstra tylko kątem oka, czytają o nich w cudzych zapiskach lub oglądają ich schematyczne wizerunki, takie jak posążek Cthulhu czy tiara z Innsmouth: od razu wiedzą, że potwór jest obcy, wstrętny i zły, i to w sposób absolutny. Dodajmy jeszcze: bluźnierczy – bo istnienie potwora jest zamachem także na sferę *sacrum*. Potwory Lovecrafta są niejako diabłami, i to w postaci pierwotnej, wolnej od folklorystycznych czy literackich kostiumów, którymi z biegiem wieków oswajano postać diabła. Skąd u Lovecrafta diabły? Lovecraft w Szatana nie wierzył, podobnie jak w Boga, w świecie jego opowiadań sfera *sacrum* jednak przecież istnieje. Jest mglista, opróżniona z treści religijnej, ale wciąż funkcjonuje, jest szkieletem, na którym człowiek rozpina – siłą kulturowego przyzwyczajenia, ale też dlatego że innego szkieletu nie ma i mieć nie będzie – swoje rozumienie świata i swoją etykę. Boga już nie ma, ale istnieje jeszcze jego nostalgiczne i bolesne wspomnienie, w wielu opowiadaniach uosobione przez sprofanowane kościoły (w *Zgrozie w Dunwich, Nawiedzicielu mroku, Widmie nad Innsmouth, Święcie, Szczurach w murach*). Natomiast potwory, ów diabeł w wielu osobach, są ucieleśnieniem wiecznego zła, które pozostało z nami, w nas, nie umarło wraz z Bogiem, wręcz przeciwnie, nie umrze nigdy – ponieważ świat jest niesymetryczny, czynić zło jest łatwiej i przyjemniej, a więc zło jest potężniejsze od dobra. *Zew Cthulhu* to przecież między innymi rozpaczliwie ironiczny hymn na cześć Zła – ślepego, prymitywnego, a zarazem bardzo ludzkiego.

Kiedy narratorzy Lovecrafta zaklinają się, że zetknęli się z czymś bluźnierczym, jest to znak, że zostało urażone ich głębokie poczucie *sacrum*. To irracjonalne, pierwotne poczucie wciąż w człowieku nowoczesnym istnieje, wydaje się zatem uniwersalne. Lovecraft pozostaje, rzecz jasna, w

kręgu kultury chrześcijańskiej, toteż taką właśnie, chrześcijańską świętość pokazuje w przegranej walce z niepojętym, wstrętnym złem. Najbardziej przejmującym, ale i dwuznacznym utworem o klęsce świętości w starciu z potwornością jest *Kolor z innego wszechświata*. Odniesienia biblijne przenikają go na wskroś: od imion bohaterów (Nahum, Ammi, Zenas) poprzez obrazowanie (porównanie do języków ognia w dzień Pięćdziesiątnicy) aż po samą fabułę. Główne tropy są dwa: Księga Hioba, ta niepojęta historia absurdalnej Bożej przemocy, oraz Księga Nahuma, bezlitosne proroctwo zniszczenia i wypalenia do gołej ziemi grzesznej Niniwy. Oba są bliskie, a zarazem ironicznie przeciwstawne: swemu cierpiętnikowi Lovecraft nadaje imię proroka zagłady. Kto miażdży tego współczesnego Hioba? Czy znów Szatan z Bożym przyzwoleniem? Nie wiadomo. Ale trudno oprzeć się myśli, że jest to Szatan potężniejszy niż ten biblijny; tym razem nie ma kto Hioba pocieszyć, jego cierpienia nie zostają wynagrodzone, a trujący bosko-szatański palec nie cofnął się, wciąż tkwi w miejscu, gdzie stało niegdyś jego gospodarstwo. Wybijcie sobie z głowy wszelką nadzieję – mówi Lovecraft; potworność jest niezwyciężona, może najwyżej na chwilę się uciszyć; potworność jest obojętna, ślepa, bezdyskusyjna; potworność nie kusi, nie rozmawia ani nie przebacza, tylko zabija. Opowieści religijne nie przyniosą nam już żadnej pociechy. Wbrew pozorom nie ma też nadziei dla bohaterów *Zgrozy z Dunwich*, tej bezbożnej ewangelii o zwiastowaniu, narodzinach, proroctwach i golgocie potwornych bliźniaków. Skąd mieliby ją wziąć, skoro okrzyk odpowiadający biblijnemu „Eli, Eli!” wyrzuca tu z siebie, o ironio, ginące monstrum? Utwór ten, podobnie jak wiele innych, pokazuje zresztą dwuznaczność religii, jej obrzędowości i retoryki; podobną wymowę ma motyw zbezczeszczonych kościołów w *Święcie* czy *Nawiedzicielu mroku*. Pod religijną formą – świątynią, tradycją, rytuałem, choćby i pobożnym – może skrywać się treść złowroga; a może to być po prostu treść święta tylko dla nas, potworna zaś i bezbożna dla innych. Zlaicyzowany świat nie ma już w religii oparcia, wciąż zaś jest podatny na jej fałsze.

Potworność u Lovecrafta nie przerażałaby może tak bardzo, przynajmniej nie bardziej niż w twórczości innych autorów opowieści niesamowitych, gdyby nie była zaraźliwa. Historycy kultury wiedzą, że to, co monstrualne, zawsze było pociągające, choćby dlatego że pokazuje nam granicę człowieczeństwa, granicę normy. Przekroczenie tej granicy jest transgresją, doświadczeniem gwałtownym i skrajnym, w którym możemy dostrzec, może w przedśmiertnym okamgnieniu, kim naprawdę jesteśmy. Zresztą potworności nie musimy naprawdę doświadczyć; wystarczy, że będziemy jej pragnąć, bo w mrocznym marzeniu opada z nas krępujący gorset kultury. Potworność jest ciemną stroną człowieczeństwa; trudno się oprzeć wrażeniu, że fantazjując o niej, dotykamy czegoś, co nie jest wcale zewnętrzne i obce, lecz mieszka w nas – głęboko ukrytego kłębka wrażeń i emocji, w którym wstręt, wstyd i poczucie winy splatają się z dreszczem niepodobnej do niczego ekstazy. Wiedzieli o tym dobrze organizatorzy i widzowie widowisk typu *freak show*, przez współczesną wrażliwość wymazanych już z pejzażu kultury. Wiedzieli o tym twórcy literatury niesamowitej, którzy w swych

opowieściach często snuli, choćby nieświadomie i wbrew własnym intencjom, zakazane marzenia.

W klasycznym wiktoriańskim opowiadaniu grozy *Wielki Bóg Pan* Arthura Machena – autora, który jak nikt inny ukazał w swym pisarstwie dwuznaczny charakter potworności – pewien angielski dżentelmen trzyma pod kluczem w sekretarzyku dzienniczek pod tytułem *Memuary dowodzące istnienia diabła*; w wolnych chwilach oddaje się lekturze i uzupełnianiu tych zapisków z iście pornograficzną przyjemnością. Lovecraft, ubóstwiający Machena i wiele mu zawdzięczający jako pisarz, nie od parady wspomina o tym utworze w *Zgrozie w Dunwich*. Bezlitośnie go zresztą przelicytowuje: dowodem istnienia „diabła" o imieniu Yog-Sothoth w Dunwich nie są, jak u Machena, wybryki jednej demonicznej *femme fatale*, lecz długotrwała i wielopłaszczyznowa, również seksualna więź z siłami Zła, które niosą zgubę całemu ludzkiemu gatunkowi. Nie inaczej dzieje się w *Widmie nad Innsmouth*. Potworność lęgnie się nie tyle nawet obok nas, ile w nas samych, zaraża człowieczeństwo, zaciera granice między ludzkością a nieludzkością, które w swej naiwności mamy za nienaruszalne. Najbardziej sugestywną wizją splugawienia człowieczeństwa są *Ustalenia dotyczące zmarłego Arthura Jermyna* i jego rodu – utwór poniekąd rasistowski, ale na tyle wielowymiarowy, że trzeba widzieć w nim przede wszystkim przypowieść o umowności granic, jakie kreślimy wokół tego, co uważamy za ludzkie. Wstrętna i poruszająca historia występku sir Wade'a Jermyna nie jest przecież incydentem; Lovecraft sugeruje już na początku, że ma ona głębszy sens, wtrącając na marginesie: „o ile rzeczywiście jesteśmy odrębnym gatunkiem". Co to znaczy? Lovecraft wyraża tu pogląd dwojaki, z jednej strony podszyty rasizmem, choć z drugiej – podważający pseudonaukowe podstawy ideologii rasistowskiej. Po pierwsze, czystość rasy białej jest mitem: jeżeli nawet istnieje coś takiego jak rasa w sensie biologicznym i jeśli faktycznie rasa biała jest lepsza niż inne – wówczas w obie prawdy święcie wierzono, dziś nauka obie odrzuca – to i tak jest ona mniej lub bardziej „skalana", ideał czystości rasowej jest tylko niebezpiecznym urojeniem. Po drugie, jest coś fundamentalnie nieczystego w całym ludzkim gatunku, z tej prostej przyczyny, że pochodzimy od zwierząt i w zasadzie niewiele od nich odstrychnęliśmy. To nie przypadek, że kluczowe wydarzenia *Ustaleń dotyczących zmarłego Arthura Jermyna…* rozgrywają się w wieku XVIII, kiedy tyle światłych umysłów Zachodu z Linneuszem na czele zajmowało się klasyfikowaniem świata istot żywych. Interesowano się też wówczas rozmaitymi dziwolągami: „dzikimi dziećmi", ludźmi o anomalnej budowie ciała; traktowano je jako istoty pograniczne, niekiedy odmawiano im przynależności do gatunku ludzkiego, te klasyfikacyjne działania pomagały jednak określić gatunkową tożsamość człowieka we wspólnej tabeli gatunków, umieszczały go w ciągłym łańcuchu życia. Lovecraft idzie właśnie tym tropem. Cywilizacja, kultura, dobre wychowanie, normy społeczne – wszystko to jest cieniutkim kostiumem stwarzającym pozór wyjątkowości człowieka; i kto wie, czy pod tym kostiumem nie jesteśmy prymitywniejsi od zwierząt. W *Ustaleniach dotyczących zmarłego Arthura Jermyna…* słychać przecież echa rzezi, których na przełomie XIX i XX wieku

Belgowie dokonywali w Kongu traktowanym jako folwark do uprawy kauczuku. Na Zachodzie było o tych wydarzeniach głośno, Joseph Conrad wysnuł z nich swoje *Jądro ciemności*. Lovecraft otwarcie nigdy nie ubolewał nad eksterminacją prymitywnych ludów, traktował ją raczej z typową dla swej epoki obojętnością; nie zamykał jednak na takie fakty oczu i wyciągał z nich wnioski. Potworność jego zdaniem jest zaraźliwa i pokuśliwa, bo człowiek sam jest potworem; to, co ohydne, okrutne i straszne, pociąga nas, ponieważ odpowiada na głęboki zew pierwotnej dzikości.

Jak na człowieka, który deklarował uwielbienie dla białej, anglosaskiej cywilizacji, w swej twórczości Lovecraft wypowiada się o niej ze zdumiewającą goryczą. Nie inaczej odnosi się do awangardy owej cywilizacji, jaką jest akademicka nauka – zarówno jej dziedziny empiryczne, badające świat materialny, jak humanistyczne i społeczne. Słynne sentencjonalne wstępy do *Ustaleń dotyczących zmarłego Arthura Jermyna…* i *Zewu Cthulhu* są ponurym wyznaniem myśliciela, który przejrzał swą cywilizację na wylot, a wysiłkom poznawczym ludzkości przygląda się bez złudzeń, ponieważ rozumie, że rewelacje nauki odzierają człowieka z godności. Godność tę Lovecraft hołubi z rozpaczliwą, dekadencką ironią: nie odmawia jej swoim bohaterom ani stojącym za nimi instytucjom – uczelniom, gazetom, muzeom, placówkom służącym do gromadzenia i klasyfikacji wiedzy – ale z melancholią przygląda się, jak odkrywają oni małość, nieistotność człowieka, jego kosmiczną i metafizyczną samotność oraz przyrodzone okrucieństwo. Nie ma złudzeń co do tymczasowości, względności i kruchości cywilizacyjnych i kulturowych norm, choć swoim bohaterom każe z pełną powagą ich bronić. Dążenie do poznania jest u istoty myślącej instynktowne, ale wiedza, którą ono przynosi, jest porażająca. Dlatego świat Lovecrafta wydaje się tak bardzo niesymetryczny. Obojętność Natury człowiek postrzega jako złą, ponieważ dobrze czuje się tylko w świecie, który mu sprzyja; próbował zatem gwałtem się od niej odseparować, tworząc kulturę i naukę, pozorną ostoję ładu i dobra. Dążąc do wiedzy, odkrywa jednak nikczemną prawdę o sobie i pośrednio wraca do barbarzyństwa – albo też jedynie w barbarzyństwie może szukać ucieczki przed straszliwą wiedzą. Cywilizacja i kultura wyszły więc z prymitywu i w pewnym sensie są na powrót do prymitywu skazane. Zło, będące niczym więcej jak tylko materialną bezrozumnością tkwiącą w świecie i w człowieku, jest tak przerażające, że człowiek, istota z gruntu religijna, skłonny jest uważać je za samoistny, działający byt; to, co nieludzkie, przez swoją siłę i nieuchronność wydaje mu się antyludzkie, diabelskie.

Kończąc tę refleksję nad Lovecraftowską wizją świata, przyjrzyjmy się jeszcze pewnej fabule, powtarzającej się mniej lub bardziej wyraźnie we wszystkich utworach z niniejszego wyboru. Jest ona tak powtarzalna i charakterystyczna, że można ją uznać za główną strukturę Lovecraftowskiego myślenia o miejscu człowieka w świecie. Jego bohaterowie, jak łatwo zauważyć, są badaczami: zawsze czegoś szukają, pragną odkryć jakąś doniosłą prawdę, która przypadkiem odsłoniła im swój rąbek. Zwróćmy uwagę, że w trakcie tych poszukiwań zawsze przebywają mniej więcej tę samą drogę. Narrator *Dagona* przemierza wydźwigniętą z morza krainę i

napotyka w niej strasznego mieszkańca głębin; w *Zewie Cthulhu*, ambitniejszej wariacji na temat *Dagona*, marynarze zwiedzają wynurzone miasto R'lyeh i wywołują z głębin Wielkiego Cthulhu, nowe wcielenie Krakena z żeglarskich legend; narratorzy *Szczurów w murach* i *Święta* oraz doktor Willett w *Przypadku Charlesa Dextera Warda* zstępują w głąb podziemnych jaskiń, by odkryć prawdę o dziejących się tam potwornościach; profesorowie z opowiadań *Cień spoza czasu* i *W górach szaleństwa* zanurzają się w tętniące niegdyś życiem labirynty i na samym ich dnie napotykają dogorywające bestie; bohater *Muzyki Ericha Zanna* wchodzi w labirynt staromiejskich uliczek, by odkryć w nich demony i ich nieszczęsnego zakładnika; doktor Armitage ze *Zgrozy w Dunwich* i Blake z *Nawiedziciela mroku* wkraczają we wstrętny, obcy świat zapadłych wiosek i podejrzanych miejskich dzielnic, by spotkać w nich potwory; profesor Wilmarth w *Szepczącym w ciemności* zagłębia się w piękny, lecz posępny labirynt vermonckich wzgórz i w sercu puszczy omal nie zostaje porwany przez strasznych kosmitów; w *Kolorze z innego wszechświata* Ammi Pierce i narrator wkraczają w świat porażony niepojętą zarazą, której ogniskiem, jak się okazuje, jest studnia; kolejni Jermynowie osobiście bądź za pośrednictwem wysłanników zagłębiają się w mrok afrykańskiej dżungli, by odkryć tam prawdę o własnej potworności; podobną wędrówkę w przestrzeni i w czasie odbywa narrator *Widma nad Innsmouth*. Czy to wszystko czegoś nam nie przypomina? Oczywiście, że tak: wędrówkę Tezeusza w głąb labiryntu, gdzie mieszka Minotaur, potwór zrodzony z bluźnierczego mariażu człowieka ze zwierzęciem.

Opowieść o Minotaurze Lovecraft wpisał w swoją twórczość zapewne nieświadomie, ale mocno, obsesyjnie. I nic dziwnego, bo to jedna z opowieści założycielskich kultury europejskiej, mit dotykający najistotniejszych doświadczeń ludzkiego istnienia. Przypomnijmy: Minotaur został spłodzony przez białego byka oraz Pazyfae, żonę Minosa, króla Krety; namiętność do zwierzęcia zesłał na królewską małżonkę Posejdon, mszcząc się na Minosie za oszustwo przy składaniu ofiar. Minos polecił Dedalowi, wielkiemu wynalazcy i konstruktorowi, wybudowanie dla potwora domu, do którego nie dałoby się wejść ani z niego wyjść. Podobno pragnął w ten sposób ukryć przed światem świadectwo zwyrodniałego związku, swej małżeńskiej hańby oraz własnego oszustwa; potwór był zresztą krwiożerczy, podbici przez Minosa Ateńczycy mieli dostarczać mu ofiar z ludzi. Według innej wersji mitu labirynt miał być dla Minotaura domem, chronić go przed śmiałkami, którzy dla chwały chcieli go zabić. Postać Minotaura pozostaje więc z labiryntem w dwuznacznym związku, jego potworność znajduje swoje odzwierciedlenie w potworności budowli. Jorge Luis Borges, wielki miłośnik i filozof labiryntowych przestrzeni, pisał: „Dom zbudowany tak, aby zagubili się w nim ludzie, jest może jeszcze dziwniejszy jako pomysł niż człowiek z głową byka, ale oba w pewien sposób się łączą i obraz labiryntu odpowiada obrazowi Minotaura. Jest rzeczą naturalną, by w monstrualnym domu żył monstrualny mieszkaniec" (tłum. Zofia Chądzyńska.) Nie inaczej jest u Lovecrafta. Jego labirynty bywają dosłowne, bywają metaforyczne; niekiedy są to tylko labirynty niejasnych faktów, domysłów, dwuznacznych

dokumentów, ale nawet wówczas przemierzenie ich wymaga podjęcia wędrówki w przestrzeni. Lovecraftowski Minotaur niekiedy dosłownie pochodzi z nieczystego związku (*Zgroza w Dunwich*), zawsze zaś, podobnie jak jego pierwowzór, jest hybrydą: potwornym mieszańcem, w którym łączy się to, co powinno być osobne, urągającym ludzkiemu poczuciu harmonii, wrażliwości moralnej i estetycznej. Bolesny kłopot, jaki narratorzy Lovecrafta mają z opisem napotkanych monstrów, wynika między innymi właśnie stąd, że łączą się w nich niewspółmierne porządki. Do skrajności posuwa się bohater *Święta*, który wspominając poczwarne podziemne rumaki, jest jedynie w stanie powiedzieć, do czego nie były one podobne. Nieznośnie hybrydyczne są też przecież jedyne istoty, które Lovecraft darzy pewnym szacunkiem, czyli Przedwieczni z opowiadania *W górach szaleństwa*; roślinno-zwierzęca potworność zostaje im wybaczona dopiero wtedy, gdy okazuje się, że to nie oni są Minotaurem, że na dnie labiryntu czai się monstrum jeszcze straszliwsze. Zgodnie ze spostrzeżeniem Borgesa Minotaury u Lovecrafta zarażają swe siedliska własną potwornością, nawet wówczas, gdy wydaje się to sprzeczne z logiką. Czemu właściwie w opisie miasta Przedwiecznych, istot poniekąd sympatycznych, a przynajmniej rozgrzeszonych, profesor Dyer aż krztusi się od przymiotników w rodzaju „potworny”, „monstrualny”, „straszliwy”? Dlatego że antarktyczna metropolia jest przestrzenią symboliczną, rozgrywa się w niej zdarzenie mityczne: spotkanie ludzkości z nieludzkością. Istoty najgłębiej nieludzkie nie mogą mieszkać w domach zachowujących ludzką miarę.

Profesor Dyer jest zaś typowym Tezeuszem – wysłannikiem jasności, rozumu i dobra, a zarazem herosem poznającym, poszukującym, pragnącym zgłębić świat. Niepohamowana żądza wiedzy kieruje bohaterami wszystkich opowiadań. Lovecraft szczodrze obdzielił ich swoją dociekliwością oraz własnymi intelektualnymi przymiotami: błyskotliwą inteligencją, żelazną logiką, zdolnością obserwacji, doskonałą pamięcią, erudycją, znajomością reguł naukowego wnioskowania. Wchodząc w głąb labiryntu, nie idą oni na zwykłą wyprawę badawczą: opuszczają świat ludzki, wkraczają w inny czas, a zarazem w mityczny bezczas. Tu również Lovecraft wiernie idzie śladem mitu, tym razem jego ludzką, Tezeuszową ścieżką. W wielu kulturach przejście przez labirynt było modelem wędrówki inicjacyjnej, służącej zgłębieniu tyleż świata, co siebie samego: poznaniu własnych możliwości, sprawdzeniu się w granicznych sytuacjach; zabicie potwora symbolizowało pokonanie własnej słabości, rzucenie zwycięskiego wyzwania trwodze i śmierci. Niejednokrotnie, zwłaszcza w archaicznych wersjach mitu, labirynt umiejscawiano pod ziemią: zstąpienie w głąb korytarzy wypełnionych pierwotnym, chtonicznym mrokiem bywało symbolem przekroczenia granicy życia i śmierci, zstąpienia do piekieł lub w łono *Magna Mater*, pramatki Ziemi; powrót na powierzchnię oznaczał rozpoczęcie kolejnego cyklu istnienia, odrodzenie się do nowego życia. Czy trzeba wspominać, że większość Lovecraftowskich labiryntów znajduje się w głębinach ziemi lub oceanu? Lovecraft miał prawdziwą obsesję na punkcie grot, jaskiń, czeluści; otchłań jest w jego literackiej wyobraźni najbardziej typowym pejzażem. A grota jest też przecież tradycyjnym symbolem nieświadomości. Wyprawy

bohaterów Lovecrafta odwzorowują ten archetyp w najdrobniejszych szczegółach. *Święto* czy *Szczury w murach* to przecież raj dla interpretacji psychoanalitycznych: bohaterowie tych utworów zstępują tam przez kolejne warstwy historycznej, kulturowej i rodzinnej pamięci w głąb własnego „ja”, odkrywając – niczym ostatni mieszkańcy ginącej Ziemi w *Cieniu spoza czasu* – „wypełnione zgrozą jądro”.

Minotaur u Lovecrafta jest potężniejszy od Tezeusza. Nawet jeśli ktoś zdoła wydostać się na powierzchnię, bezpowrotnie utraci rozum, spokój ducha, radość życia. Mroczny, dwuznaczny, lecz w gruncie rzeczy budujący mit Lovecraft przekształcił w fatalistyczną przypowieść o nieuchronności klęski. Gatunek powieści oparty na motywie inicjacji zwykło się określać niemieckim terminem *Bildungsroman*, czyli powieści rozwojowej; Lovecraftowska fabuła inicjacyjna jest jej przeciwieństwem: zdobywana przez bohaterów wiedza nie rozwija ich, nie kształci, tylko niszczy – jest to raczej jakaś *Vernichtungsroman*, powieść o zagładzie. Dlaczego ze spotkania z potworem człowiek u Lovecrafta nigdy nie wychodzi zwycięsko? Ponieważ odkrywa, że potworność jest bliższa, niż mu się zdawało; że cywilizacja jest kruchą fasadą zbudowaną na okrucieństwie i że tętni pod nią bestialska dzikość; że nikczemność jest bardziej pociągająca od dobra; że człowiek nie odróżnia się ani fizycznie, ani moralnie od reszty wszechświata, czyli to, co ludzkie, nie jest lepsze od tego, co nieludzkie; że sam, najdosłowniej w świecie, jest potworem. Lovecraft sprowadza w otchłań labiryntu całą ludzkość, z jej historią, nauką, kulturą, literaturą, filozofią, moralnością – i pokazuje, że może w nim odkryć jedynie kosmiczną samotność, bezsens swojego istnienia i przede wszystkim własne bestialstwo.

Lovecraft przemyślał, zrozumiał i uwewnętrznił w sobie mit o Minotaurze tak głęboko i twórczo, że przeszedł nawet na drugą stronę labiryntu i spojrzał na człowieka oczyma bestii. Owocem tego spojrzenia jest *Wyrzutek*, jedyna w jego pisarstwie opowieść Minotaura. Ten tajemniczy utwór interpretowano na wiele sposobów; moim zdaniem prawdziwej, katarktycznej siły wyrazu nabiera dopiero wówczas, gdy odczyta się go właśnie jako rewers okrutnego minojskiego mitu. Właściwie nie trzeba go już wtedy nawet interpretować: gdy tylko dostrzeżemy w tytułowym potworku wcielenie Minotaura, utwór wyskakuje z płaskich stronic książki, w jednej chwili staje się wielowymiarowy, pełny, skończony. Posłuchajmy – mówi Lovecraft – co miałby nam do powiedzenia negatywny bohater naszej pysznej i fałszywej kultury; spytajmy go, jak czuł się w swej samotni będącej przedłużeniem i pomnikiem jego potworności; spójrzmy w lustro oczyma kogoś, kto jest wstrętny, nikczemny i bluźnierczy zarazem; poczujmy na własnej skórze nieodwołalność tego wyroku, stańmy się choć na chwilę wcieloną innością, negatywnością, zaprzeczeniem. Wzdrygnijmy się z odrazy i westchnijmy jak obudzeni z koszmarnego snu, z ulgą, że jesteśmy normalni, dobrzy i piękni, że jesteśmy tam gdzie trzeba, po stronie większości. I znów pobawmy się w Tezeuszy.

Sposób, w jaki Lovecraft potraktował opowieść o Minotaurze, potwierdza, że jego twórczość prezentuje świat odczarowany, który sam pozbawił się formujących mitów. Jego bohaterowie, choć nie uświadamiają sobie, że we

własnej przygodzie poznawczej odtwarzają antyczną opowieść, bardzo często się z mitami stykają; gromadzą je, drążą, interpretują; niektórzy, jak Akeley z *Szepczącego w ciemności*, mają w małym palcu całą współczesną etnologię. Czego w nich tak desperacko szukają? Wiedzy o sobie, o człowieku i jego miejscu w świecie. W mitach jaśnieje im ulotne, migotliwe światło, przebłysk jakiejś prawdy, której racjonalny świat Zachodu nie chce już uznać. Folklor jest istotniejszym nawet źródłem poznania, niż się wydaje katalogującym go skrzętnie etnologom. Nauka dopiero mozolnie dociera do wiedzy, w mitach zaś zawarta jest ona już od początku. Lovecraft wyjaskrawia to przekonanie, często podpowiadając swoim bohaterom, że mity są prawdziwe dosłownie – niczym w *Skradzionym liście* Poego, prawda leży w nich jak na dłoni i właśnie dlatego nikt jej nie dostrzega. Jest w tym oczywiście gorzka ironia, podobnie jak w tym, że prawdziwe okazują się wstrętne dzieła okultystyczne z *Necronomiconem* na czele. Zmowa bibliotekarzy, którzy trzymają ich ostatnie egzemplarze pod kluczem, nie wynika z pobudek moralnych ani estetycznych, lecz poznawczych: oni po prostu przeczuwają, że te teksty mówią potworną prawdę, i dlatego je ukrywają.

Kultura Zachodu, budując swoją pozycję hegemona, nie tyle więc nawet obaliła dawne systemy wiedzy, ile przemocą je wyparła. Z niedowierzaniem i bólem zaczynają to rozumieć bohaterowie *Cienia spoza czasu*, *Szepczącego w ciemności* czy *Zewu Cthulhu*. Prawdę znają tylko „dzicy”, człowiek oświecony zaś musi się jej uczyć. Mitologia w pierwotnym, kulturotwórczym sensie już się jednak w nowoczesnym świecie nie odrodzi. Zauważmy przecież, że świat mitów zawsze jest u Lovecrafta jakoś zdegenerowany, nawet w warstwie obrazowej: labirynt, będący wzorcową przestrzenią mityczną, objawia człowiekowi zabójczą prawdę i doprowadza go do rozpaczy, ale sam w sobie jest już zwykle pokazany jako posępna i plugawa ruina. Na zamieszkanych przez potwory zgliszczach mitu nie wytworzy się już żadna wartość, żadna pozytywność.

Na progu nowoczesności – mówi zatem Lovecraft – ludzkość znajduje się w szczególnym miejscu: oddaliła się od okrutnego barbarzyństwa, ale tylko pozornie, mniemając zaś, że dąży ku chwalebnemu oświeceniu, pozostaje zawieszona między prymitywną, bezpieczną ignorancją a wiedzą, której nie będzie w stanie udźwignąć; demaskując mity i religie, odrzuciła filozoficzną ostoję i źródło niedoskonałego, ale w jakiś sposób istotnego poznania, a przez to pogrążyła się w drzemce niebezpiecznych złudzeń. Już wkrótce jednak z tej drzemki się zbudzi – na własne życzenie i na własną zgubę.

***

Na zakończenie muszę jeszcze powiedzieć choć parę słów o tym, jak napisane są utwory Lovecrafta. Podstawą przekładu były poprawione i solidnie opracowane przez S.T. Joshiego teksty zebrane w trzech tomach wydawnictwa Penguin: *The Call of Cthulhu and Other Weird Stories (1999), The Thing on the Doorstep and Other Weird Stories (2001) i The Dreams in the Witch House and Other Weird Stories (2004).* Jest to ważne, ponieważ w wydaniach poprzednich roiło się od błędów. A skoro mowa o błędach, chcę i muszę serdecznie podziękować Annie Żebrowskiej – bez jej wszechstronnej

pomocy na pewno nie wyszedłbym cało z wielu pułapek. W pracy nad przekładem przyświecał mi zamiar prosty i zasadniczy: po raz pierwszy pokazać polskiemu czytelnikowi prawdziwe oblicze prozy Lovecrafta, przetłumaczyć ją tak, jak na to zasługuje. W zasadzie nieładnie jest kpić z dokonań poprzedników, ale dotychczasowych polskich przekładów Lovecrafta nie mogę nie skomentować. Powiem więc krótko i po Lovecraftowsku: jest to bluźniercze plugastwo z najczarniejszej otchłani ignorancji i złego smaku; niechaj winni tej zbrodni skończą w szponach Wielkiego Cthulhu.

Lovecraft jest pisarzem wyrafinowanym i bardzo samoświadomym stylistycznie. Wiele elementów jego stylu nie było zresztą jego wynalazkiem. Charakterystyczny chwyt „przedmiotu zbyt strasznego, by go opisać", pozorujący niewystarczalność języka wobec przedstawianego koszmaru, Lovecraft zapożyczył na przykład od walijskiego pisarza Arthura Machena, który zresztą posługiwał się nim o wiele zgrabniej, choćby w powieściach *The Three Impostors (1895)* i *The Hill of Dreams (1897)* czy opowiadaniu *The Red Hand (1895)*. Od Machena Lovecraft nauczył się też sztuki malowania niepokojących krajobrazów, pod maską piękna skrywających głęboką diaboliczność; popisową stylizacją jest pod tym względem *Szepczący w ciemności*. Potęgowania efektu grozy za pomocą niedomówień Lovecraft nauczył się po trosze od Roberta W. Chambersa, autora cyklu opowiadań *The King in Yellow (1895)*, i pisarza marynisty Williama Hope Hodgsona, autora powieści *Boats from „Glen Carrig" (1907)*, *Dom na granicy światów (1908)*, *Widmowi piraci (1909)* czy cyklu opowiadań *Tropiciel duchów*; jeśli chodzi o obrazowanie, sporo zawdzięczał wszystkim wyżej wymienionym oraz Algernonowi Blackwoodowi, autorowi między innymi słynnych opowiadań *Wierzby (1907)* i *Wendigo (1910)*. Niektóre koncepty fabularne zaczerpnął z twórczości wspaniałego nowelisty Ambrose'a Bierce'a: jego *Drańswo (1894)* miejscami wydaje się wręcz napisane przez Lovecrafta. Osobną, znaczącą grupę stanowią teksty nieumyślnie bądź świadomie stylizowane na Poego, choćby *Muzyka Ericha Zanna* czy *Wyrzutek* w początkowych partiach otwarcie nawiązujący do Berenice. Wspominam o tym najzwięźlej, jak się da, bo inspiracje Lovecrafta to temat na sążnistą monografię.

Zapożyczenia nie psują jednak wielkiej indywidualności i urody prozy Lovecrafta: precyzyjnych opisów, epickich narracji, melodyjnego i obrazowego stylu. Właściwie nawet stylów, bo Lovecraft opanował wiele różnych rejestrów i konwencji: z równą swobodą pisywał w sposób kronikarsko-reportażowy jak fantastyczno-baśniowy, miał doskonale opanowany warsztat pisarstwa niesamowitego zarówno w wersji tradycyjnej, gotyckiej, jak współczesnej, pulpowej. Wśród autorów opowieści niesamowitych wyróżniał się erudycją i kulturą literacką; należał właściwie do ostatniego pokolenia twórców tego gatunku, którzy byli prawdziwymi artystami i intelektualistami. Gdy dziesięć lat po nim zmarł Machen, a kolejne cztery lata później Blackwood, epoka takich pisarzy w zasadzie się skończyła. Trzeba wszakże przyznać, że Lovecraft dzielnie wspomagał swym piórem awangardę tych przemian, czyli amerykański rynek pulpowych pisemek – dlatego też między jego pisarstwem a wiktoriańsko powściągliwym stylem Machena czy Blackwooda widać znaczną różnicę.

Ta pulpowa ekspresja zawsze była kamieniem obrazy dla czytelników i krytyków o akademickich gustach. Nie da się ukryć, że Lovecraft nadużywał przymiotników, że w opisach często popadał w kicz i egzaltację, że nadmiernie, nie ufając inteligencji czytelnika, domykał intrygi fabularne – krótko mówiąc, zdarzało mu się grzeszyć przeciw kanonom przyjętym nie tylko w literaturze „wysokiej", ale nawet w opowieściach grozy. Krzywiąc się przy opisach Cthulhu czy macek braci Whateleyów, pamiętajmy jednak o wywrotowym i rytualnym charakterze pisarstwa Lovecrafta. Powtarzalność sama w sobie jest wpisana w każdą literaturę gatunkową, nie chodzi mi więc o uporczywą wymienność motywów czy fabuł. Lovecraft robi coś więcej: wieszcząc upadek cywilizacji, odprawia z tej okazji maniakalny obrzęd; potoki przymiotników to inkantacje rozczarowanych kapłanów racjonalizmu, bezradne w walce z zaklęciami potworności, nieludzkości i barbarzyństwa. Świat nie kończy się tu skomleniem, tylko hukiem i skowytem – a to dlatego że Lovecraft zachował wierność osiemnastowiecznemu ideałowi wzniosłości: doświadczenia skrajnego, w którym groza łączy się z uniesieniem. Obrazowość i język literackiego gotycyzmu wystarczały, by wywołać dreszcz u romantycznych libertynów, człowiek ery nowoczesnej potrzebował jednak dreszczu mocniejszego; musiał wyobrazić sobie rzeczy bluźniercze w epoce, w której słowo „bluźnierstwo" z wolna traciło sens. Nową wzniosłością mogła być tylko monstrualność; tę zaś mógł oddać tylko język antyestetyczny, konwulsyjny. Lovecraft jako prorok zagłady nie jest ani wyniosłym wieszczem i dekadentem, ani cynicznym producentem makabr, zajmuje raczej wzgardzoną ziemię niczyją między artyzmem a tandetą. Jest jednym z tych osobnych, wyjątkowych pisarzy transgresji, ekstazy i rozpaczy, których styl nie mieści się w żadnej kategorii.

Przy całej swej ekspresywności Lovecraft był jednak jako stylista mocno staroświecki: prawie nie stosował dialogów, budował skomplikowane, piętrowo złożone zdania, lubował się w archaizmach; konsekwentnie używał słów, które były przestarzałe bądź zapomniane już w jego epoce: czasownika *shew* zamiast *show*, nazwy *Esquimaux* zamiast *Eskimo*, przymiotników *eldritch* (upiorny) czy *gibbous* (w wyrażeniu *gibbous moon* – „garbaty księżyc", czyli tuż przed pełnią lub po niej). Ta staroświeckość stanowi najtrudniejsze i najprzyjemniejsze wyzwanie dla tłumacza, Lovecrafta nie należy bowiem przekładać stylem mu współczesnym; nie ma u niego nawet śladu tendencji, które już za jego życia nieodwracalnie przeobraziły amerykańską i światową literaturę: ani realizmu Hemingwaya i Sherwooda Andersona, ani modernizmu spod znaku Faulknera czy Dos Passosa. W prozie Lovecrafta spotykają się osiemnastowieczna rozlewność narracji i opisów, romantyczna egzaltacja i drobiazgowość psychologicznych introspekcji, wiktoriańska fascynacja rekwizytornią i aparaturą pojęciową nauki oraz dwudziestowieczna, pulpowa dosadność makabry. Tłumacz musi oczywiście uwzględniać wszystkie składniki tej miszkulancji i w zależności od sytuacji sięgać po stosowne konwencje, musi też jednak zdecydować się na jakiś nadrzędny rejestr stylistyczny, który tę paradoksalnie spójną prozę uchwyci. Nie wchodząc w szczegóły, powiem najkrócej, że budując ten rejestr, szukałem inspiracji głównie w literaturze młodopolskiej i romantycznej;

wydało mi się wskazane, by styl polskich przekładów Lovecrafta był staroświecki, i to tak, jak staroświecki byłby dla dzisiejszego czytelnika styl pisarza niemodnego już wówczas, osiemdziesiąt lat temu.

Opracowanie tekstów ograniczyłem do minimum. Wyczerpujące skomentowanie geograficznych, historycznych i biograficznych realiów Lovecraftowskiego świata wymagałoby właściwie książki o innym charakterze, zbrojnej w potężne, żmudne przypisy. Niniejszy wybór ma natomiast przede wszystkim dawać przyjemność z lektury, dlatego przypisy umieściłem tylko tam, gdzie są najniezbędniejsze, czyli gdzie brak stosownego objaśnienia przeszkadzałby w lekturze. Nie komentowałem też błędów rzeczowych, pojawiających się – bardzo zresztą rzadko – w wywodach narratorów na tematy naukowe; dla niefachowca są one zupełnie niezauważalne, niekiedy są to zresztą błędy nie tyle samego Lovecrafta, ile ówczesnej wiedzy. Klasycznym przykładem jest wspomniany w paru utworach „człowiek z Piltdown”; te rzekome szczątki małpoluda, brakującego ogniwa między człowiekiem a małpimi przodkami, dopiero piętnaście lat po śmierci Lovecrafta zostały zdyskwalifikowane jako sprytna mistyfikacja.

Wiele przyjemności dostarcza w lekturze oryginalnych tekstów Lovecrafta odnajdywanie kryptocytatów, pojawiających się niekiedy w najmniej spodziewanych miejscach. Najliczniejsze są nawiązania do Poego: „bies przewrotności”, „robak zwycięzca” i inne; oddawałem je, cytując odpowiednie przekłady, nie wskazując jednak źródeł. Niekiedy było to niemożliwe: nie sposób na przykład zasugerować polskiemu czytelnikowi, że umierającemu Whateleyowi Lovecraft włożył w usta tytuł opowiadania Ambrose’a Bierce’a – choćby dlatego, że opowiadanie to (*A Tough Tussle* – „Ostra szarpanina”) nie było tłumaczone na polski. Żeby nie gubić waloru erudycyjności tej prozy, gdzieniegdzie wprowadziłem kryptocytaty z literatury polskiej; niech ich odnajdowanie dostarczy Ci, Czytelniczko bądź Czytelniku, podobnej przyjemności. I niech lektura tych opowiadań dostarczy Ci najprawdziwszego dreszczu, bolesnego i zachwycającego, takiego, jaki przed laty przeżył autor tych słów, nie śniąc jeszcze nawet o tym, że kiedyś zwiąże się z tą dziwną i piękną prozą tak mocnym węzłem.
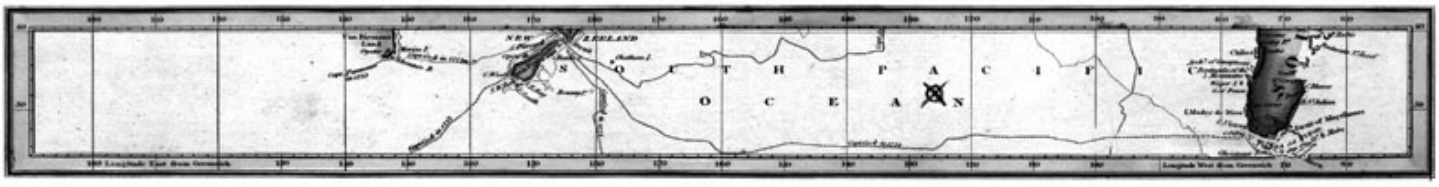
Powrót do świata